ROK V. STYCZEŃ — 1929. Nr. 1.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Moniuszki 3a

Czasopisma katolickie

GODNE POLECENIA.

Misje katolickie, organ misyjny XX. Jezuitów, Kraków, Kopernika 26.

Sodalis Marianus, organ sodalicyj marjańskich. Wydawnictwo XX. Jezuitów, Kraków, Kopernika 26.

Rycerz Niepokalanej, wydawnictwo OO. Franciszkanów w Niepokalanowie p. Teresin p. W-wa.

Nasz Misjonarz, organ misyjny OO. Werbistów, Górna Grupa, Grudziądz.

Powściągliwość i Praca — miesięcznik ilustrowany, organ Tow. św. Michała Archanioła, Miejsce Piastowe, Małopolska.

Cześć Marji — miesięcznik związku Sodalicyj żeńskich szkół średnich w Polsce. Red. Ks. Fr. Marlewski, Inowrocław, gimn. żeńskie.

Dzwonek Marji — miesięcznik ilustrowany dla Kongregacyj Marjańskich. Rybnik, Górny Śląsk.

Królowa Apostołów, organ Kongregacji Księży Pallotynów, Wadowice (Kopiec).

Mały Apostoł — miesięcznik dla dzieci. Wydawnictwo Księży Pallotynów, Wadowice (Kopiec).

Rodzina Polska — miesięcznik przeznaczony dla rodzin polskich, wydawnictwo Księży Pallotynów, Wadowice (Kopiec).

Dziś i Jutro — miesięcznik dla młodzieży żeńskiej. Kraków, ul. Starowiślna 3.

Roczniki Katolickie — X. Cieszyński. Poznań, Kościół Pana Jezusa.

„Gość Niedzielny" — Tygodnik ilustrowany dla ludu katolickiego — Katowice, ul. Warszawska № 58. Konto P.K.O. Katowice, № 304.264.

„Niedziela" — Tygodnik dla katolików djecezji Częstochowskiej. — Częstochowa, ul. Krakowska 1.

Żądajcie i rozszerzajcie wydawnictwo katolickie *„Dobrej Prasy".* — Płock, ul. Piekarska 5. Kolporterom procent. Wszelkich informacji i druków udziela „Dobra Prasa" — Płock, Piekarska 5.

„Młodzież Misyjna" — Miesięcznik ilustrowany — Warszawa, Lipowa 14.

„Pokłosie Salezjańskie" — Miesięcznik ilustrowany. Warszawa, Lipowa 14.

Róża Duchowna — Czasopismo różańcowe — Lwów, OO. Dominikanie.

Echo z Afryki—Czasopismo ilustrowane dla poparcia Misyj Katolickich w Afryce. — Wyd. Sodalicja Ś-go Piotra Klawera. Cena rocznie 2,50 zł. Warszawa, ul. Warecka 10.

Murzynek—katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży. Wyd. Sodal. Ś-go Piotra Klawera. Cena roczna zł. 1,50. Warszawa, Warecka 10.

SPIS RZECZY „PRO CHRISTO”

ROCZNIK 1929.

I. Spis alfabetyczny autorów i artykułów.

A.

B.

J.

Str.

K.

L.

Ł.

II. Spis według działów.

Artykuły i polemiki.

Zagadnienie Akcji Katolickiej.

Bohaterowie wiary i sylwetki.

Dział literacko - opisowy.

Z życia młodzieży.

Wiersze.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Rękopisów redakcja nie zwraca.

OD REDAKCJI.

Przy okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku Redakcja „Pro Christo" łączy wszystkim swoim Współpracownikom, Czytelnikom i Przyjaciołom najserdeczniejsze życzenia błogosławieństwa Bożego.

Pro Christo!

„Błogosławieni miłosierni"...

„Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości"...

„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości..."

Można zaobserwować w Polsce objaw charakterystyczny, że znaczna część katolików i to katolików porządnych, praktykujących nie zna kwestji społecznej, wogóle się nią nie interesuje, a pewne narzucające się zagadnienia, omawiane w opinji publicznej, jak strejki, ustawy socjalne i t. p. — skłonna jest traktować b. powierzchownie i jednostronnie z punktu widzenia interesów przedsiębiorców.

Niewątpliwie są rozmaite przyczyny tego zjawiska. Za jedną z nich można uważać wpływ pewnej części prasy, od kilku lat popierającej katolicyzm, która jednak w zagadnieniach socjalnych stoi na stanowisku liberalnym i urabia opinję publiczną w kierunku obrony interesów przedsiębiorców, każdorazowo, gdy ci znajdą się w konflikcie z robotnikami— w imię swoiście pojętych interesów ogólno-narodowych.

Pod wpływem tej propagandy powstaje objaw nadzwyczaj smutny, a mn. przeciętny inteligent polski, dowiedziawszy się o jakichś przejawach akcji robotniczej, choćby zupełnie słusznych i prowadzonych przez Chrześcijańskie Związki Zawodowe — potępia je w czambuł bezapelacyjnie, nazywając często socjalizmem, czy komunizmem — w imię zręcznie narzuconej mu doktryny liberalizmu gospodarczego, zasadniczo sprzecznej z zasadami religji i kościoła.

W ten sposób ci, którzy prowadzą w masach i w dołach najskuteczniejszą i najrealniejszą walkę z prądami wywrotowemi: chrześcijańskie organizacje robotnicze, czy zawodowe—czują się w pewnych wypadkach opuszczeni przez znaczną część polskiej opinji publicznej właśnie wówczas, gdy prowadzą ostrą i skuteczną walkę z jednej strony z radykalizmem socjal-komunistów, a z drugiej strony z chciwością i wyzyskiem niesumiennych pracodawców, bardzo często pochodzenia żydowskiego, czy niemieckiego.

Za główną przyczynę tego ujemnego zjawiska uważamy nieznajomość istoty zagadnień socjalnych oraz zasad Kościoła katolickiego w tej dziedzinie u znacznej części naszej inteligencji katolickiej.

Czy dużo inteligentnych katolików zna Encyklikę Rerum Novarum, ten program rozwiązania kwestji społecznej, opracowany z inicjatywy i pod kierunkiem Wielkiego Papieża Leona XIII? Albo, czy dużo osób czytało t. zw. katolicki kodeks społeczny, książkę bardzo tanią, wydaną niedawno, w której znajduje się zbiór i streszczenie zasad społecznych, ustalonych przez doktrynę katolicką? Sądzimy, że odpowiedź na te pytania wypadłaby raczej negatywnie...

Posłuchajmy oto, w jaki sposób Ojciec św. Leon XIII scharakteryzował w Rerum Novarum współczesny ustrój gospodarczy:

„...niepomierny przyrost dostatków u szczupłej liczby osób, ubóstwo zaś ogółu...”

„...Stosunki pogorszyła nienasycona lichwa, potępiona niejednokrotnie wyrokiem Kościoła, która jednak, choć pod coraz inną występuje postacią, uprawiana bywa przez ludzi chciwych i żądnych zysku. Produkcja i handel stały się niemal monopolem niewielu, a w ten sposób garstka bogaczów nałożyła jarzmo prawie niewolnicze stanowi pracującemu...”

„...Wedle światła rozumu i filozofji chrześcijańskiej, praca ręczna nie poniża człowieka, lecz owszem przynosi mu zaszczyt, bo dostarcza godziwych środków do utrzymania życia. Hańbą zato i nieludzkością jest nadużywać ludzi, jakby rzeczy jakiejś dla zysku i oceniać ich tylko według wartości, jaką przedstawiają ich mięśnie i ich siły...”

Poczem Ojciec Chrześcijaństwa rzuca głos przestrogi i napomnienia:

„...niechaj bogaci i pracodawcy pamiętają, że ani boskie ani ludzkie prawa nie pozwalają uciskać potrzebujących i nędzarzy dla osobistej korzyści i zyski ciągnąć z cudzego niedostatku. Pozbawiać zaś kogokolwiek zapłaty zasłuzonej, zbrodnią jest do nieba wołającą o pomstę!..”

Encyklika Rerum Novarum nie ogranicza się tylko do stwierdzenia wyzysku, lecz zajmuje się rozstrzygnięciem szeregu zagadnień gospodarczo-społecznych i kreśli w ogólnych zarysach program ich rozwiązania. Potępiając zasady socjalistyczne i biorąc w obronę prawo własności prywatnej, jednocześnie Encyklika zakreśla granicę prawa własności w myśl pojęć chrześcijańskich i rzuca szereg śmiałych i nowoczesnych myśli, dotyczących kierunku reform społecznych i ingerencji państwa w tej dziedzinie, stworzenia chrześcijańskich organizacyj robotniczych i różnych zagadnień, do których nieraz jeszcze powrócimy.

Nie jest tematem dzisiejszego artykułu omawiać i rozpatrywać te zagadnienia. Pragniemy tylko zwrócić uwagę na ich ważność, gdyż według poczynionych przez nas spostrzeżeń nie są one należycie docenione przez ogół naszej inteligencji katolickiej. Zdajemy sobie sprawę z trudności i niebezpieczeństw, czyhających na każdym kroku przy rozwiązywaniu zagadnień społecznych. Wszak w samej „Encyklice” czytamy:

„Kwestja ta jest bez wątpienia trudna i pełna niebezpieczeństw; trudna, ponieważ trudnem zaiste jest zadaniem odmierzyć prawa i obowiązki wzajemne bogatych a ubogich, kapitału a pracy".

„Zadanie to jest pełne niebezpieczeństw, gdyż zręczni wichrzyciele zbyt często wypaczają zdrowy sąd ludu, aby szerzyć wzburzenie i pobudzać do buntu tłumy niezadowolone".

Lecz zaraz potem dodaje: *„Bądź co bądź, uznajemy dobrze, i na to godzą się wszyscy, iż warstwom najniższym trzeba podać pomoc rychłą, a skuteczną..."*

A w końcu wzywa duchowieństwo i wszystkich wiernych:

„Wiecie, Czcigodni Bracia, komu i w jaki sposób zająć się należy tą sprawą, niezwykle trudną. Trzeba, aby każdy zabrał się do swego zadania i to jaknajrychlej, bo inaczej wskutek zwłoki w leczeniu choroba nieuleczalną się stanie..."

Wezwanie to padło 37 lat temu, lecz czyż dzisiaj straciło cośkolwiek ze swojej aktualności i znaczenia?

Raczej przeciwnie, ciężka sytuacja gospodarcza doby powojennej oraz wzrastające niebezpieczeństwo destrukcji socjal-komunistycznej postawiły przed nami powyższe zagadnienia w całej powadze i wyrazistości.

Tem większe są obowiązki naszej inteligencji katolickiej. Pierwszym z nich, który chcemy dzisiaj specjalnie podkreślić— jest zainteresowanie się i zapoznanie z zagadnieniem. Należy jednak do niego przystępować bez żadnych uprzedzeń klasowych, odrzuciwszy daleko od siebie pokutujące jeszcze pośród nas przeżytki pojęć kapitalistyczno-liberalnych, które nie mają nic wspólnego z zasadami katolicyzmu.

„Błogosławieni miłosierni..." „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości".

Miłość i sprawiedliwość — oto nastawienia, z którymi winniśmy przystępować do rozpatrywania zagadnień społecznych.

Tylko te zasady Chrystusowe są zgodne z dobrze pojętym interesem narodu. Naród nie jest abstrakcją, lecz żywym organizmem, złożonym z rozmaitych warstw społecznych. Oparta na zasadach sprawiedliwości chrześcijańskiej równowaga między tymi warstwami i stała kontrola zbiorowości, usuwająca wszelki

znaczny wyzysk — oraz panująca w życiu zbiorowym atmosfera miłości i solidarności — zapewnić muszą narodowi harmonijny rozwój i rozkwit.

Stefan Kaczorowski.

U wrót Nowego Roku.

Szybko, jak bystry potok, płynie czas w niepowstrzymanym swoim pędzie. I oto znowu witamy rok nowy, znów jedna kreska więcej zaznacza się na naszem życiu i nowa otwiera się karta w dziejach każdej jednostki i całego społeczeństwa. I jak co roku, tak i dziś budzą się w naszych duszach poważniejsze myśli. Bo każdy rok nowy jest niby stacją, niby etapowym słupem postawionym w tem naszem życiu dla lepszej rachuby, ileśmy już uszli drogi i dla zastanowienia się, jak użyliśmy użyczonego nam przez Boga czasu. Rzucając okiem wstecz—w dziedzinę wspomnień—spoglądamy zarazem z nadzieją i jakimś niepokojem na tajemniczą zasłonę przyszłości, niepewni, co nam przyniesie ten rok, na którego podwojach czytamy obecnie napis 1929. Czy słońcem wesela opromieni nas samych, rodziny nasze i Ojczyznę naszą, czy też, broń Boże, w dalszym ciągu losy przeciwne dotykać nas będą.

Lecz oto z tej zadumy budzą nas dźwięki pieśni anielskich, co zabrzmiały cudną melodją nad ubogą szopką w Betleemie, w której Bóg-Dziecina spoczął w twardym żłóbku na garstce siana. Dziś silniej i dobitniej dolatuje nas ów przecudny śpiew, kojący serca nieziemskim balsamem: **„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”**. Bo głos ten leci po przez wszystkie wieki, od pokolenia do pokolenia i nie zgłuszy go żadna złość, ani szczęk oręża, ani ryk armatni, ani hasła fałszywych nauk, ni żadne gromy nieszczęść. Płynie on tryumfalnie ponad niwy i sioła, ponad miasta, kraje i trony i nie zamilknie nigdy i nie przeminie, dopóki ziemia trwać będzie.

Ten bowiem, którego powitała ta pieśń, ów Oczekiwany przedtem z utęsknieniem całe tysiące lat, zstąpił z niebios jako Słońce, aby rozproszyć panującą na ziemi błędów pomrokę i wskazać ludziom wzniosły cel ich życia i nauczyć ich dróg prawdziwej mądrości, co z Boga wyszła i do Niego wiedzie. Pod ciepłem promieni tego Słońca sprawiedliwości nowe zakwitło życie.

Wszędzie, gdzie tylko znalazły się dusze, poddające się Jego wpływom, poczęły się krzewić nieznane dotąd cnoty; prysły lody obojętności i samolubstwa, a człowiek w bliźnim swoim uznał brata i siostrę—dzieci jednego Ojca w niebiesiech. I tam, gdzie dotąd panował występek i rozterka duchowa, zawitał pokój, bo człowiek znowu zwrócił się ku Bogu, Źródłu prawdy, miłości i szczęścia, a serca wiernych stały się harfą, rozbrzmiewającą wielkim hymnem na cześć Bożą i wespół z Aniołami w zgodnym akordzie śpiewały radośnie: **„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli"**.

Dzisiaj, po tylu wiekach błogich rządów Króla pokoju, w iluż to jednak sercach panuje przygnębienie, smutek, zwątpienie.... choć Jezus zawsze ten sam, pełen miłości, wszechmocy i współczucia dla wszystkich cierpiących! Jak ongi, tak i dziś po wszystkie czasy, jest On dobrym Pasterzem i Światłem na oświecenie i uszczęśliwienie dusz. Jeśli w tylu sercach ludzkich niema dziś pokoju—to jedynie dlatego, że znajdują się one zdala od źródła prawdy, że w tej ziemi i jej złudnych i znikomych dobrach upatrują swój cel, że zamiast ku niemu kierować swoje spójrzenia i kroki, umiłowały występek i pogrążyły się w jego błocie.

Któż nie przyzna, że znaczna część dzisiejszego społeczeństwa przypomina w zupełności owych ludzi z ery przedchrystusowej, którzy zabrnąwszy w błędy i gruby materjalizm, pędzili żywot niezgodny z powołaniem i celem człowieka na ziemi? I stąd dziś upadek i rozprzężenie tylu rodzin, stąd błędne zasady w życiu i wychowaniu młodego pokolenia.

Gdzież tedy szukać lekarza na uleczenie tych strasznych niedomagań? Chyba w Tym tylko, co wyprowadził świat z nicości i dzierży w Swem ręku jego ster; w Tym jedynie, który niezliczonym gwiazdom wskazał nieomylną drogę, a przyszedłszy na ziemię ukazał ludziom ścieżki żywota. Sam tylko Jezus i Jego Boska nauka może dźwignąć upadłych i wprowadzić ogólne stosunki na właściwe tory. Ku Niemu więc ludzkość cała zwrócić się powina, jako do jedynego ratunku. W obecnej krwawej dobie powszechnego zniszczenia i klęsk, obowiązkiem jest naszym jąć się dzieła odbudowy przedewszystkiem duchowej i wszystko odnowić w Chrystusie. On ustawicznie żyje wśród nas i ani na chwilę nie zostawia nas sierotami I jak za owych dni, gdy

w ludzkiej postaci szedł przez ziemski Swój żywot dobrze czyniąc, tak i dziś słucha drgnień naszych serc i użala się nad cierpiącymi, gotów każdej chwili uzdrawiać i dźwigać niemocnych, byle tylko z wiarą prosili Go o to i szli za Nim w wiernej służbie, której jarzmo jest słodkie, a brzemię prawdziwie lekkie.

Do urzeczywistnienia tego zwrotu ku Bogu i Jego chwale powinny się przyczynić wszystkie dusze miłujące go szczerze. Naszym to jest obowiązkiem dążyć do tego przez uświęcenie własne i przyświecanie dobrym przykładem, aby w domach naszych, rodzinach i w całej naszej Ojczyźnie był Chrystus czczony i wielbiony, aby przeniknął wszystkie objawy naszego życia i darzył nas Swojem błogosławieństwem tego Ducha Bożego, tego pokoju, który jest udziałem wiernych sług Bożych, a który ich nie opuszcza nawet wśród ciężkich prób i doświadczeń. Módlmy się o to, by to błogie tchnienie ogarnęło wszystkie warstwy społeczne i aby wszyscy—bogaci i ubodzy, uczeni i prostaczkowie, królowie i narody — uznali i ukochali Tego, który jest Drogą, Prawdą i Żywotem i aby życiem swojem całem śpiewali nieustannie ową pieśń anielską:

Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Zygmunt Gąsiorowski.

MYŚLI.

Nie proch i glina, lecz Boże słowo
Życia twojego początkiem,
A nieśmiertelność bytu osnową,
A światło duszy twej wątkiem.

* * *

Nie próżną skargą, marnem westchnieniem
Łzą, co bezsilna w proch spływa,
Lecz hartem woli, czynu płomieniem,
Duch chwile szczęścia zdobywa.

* * *

Nie to jest twojem, co przyszło cudem
Na skrzydłach duchów zesłane,
Lecz to, co dzielnym zdobyte trudem,
Żywą krwią serca oblane.

Zygmunt Gąsiorowski.

RELIGJA I MORALNOSĆ.

Przenajświętsza Rodzina.

(3 niedziela po Trzech Królach).

Biedne Nazareth Galilejskie, a w niem jeden z najbiedniejszych domków stały się najszczęśliwszym zakątkiem całego świata. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej jasnego i pełnego szczęścia, jak współżycie tych trzech najlepszych istot na ziemi: Marja i Józef, skupieni obok ich prawdziwego Słońca — Jezusa. Najlepszy syn pośrodku najlepszych rodziców, Matki i Opiekuna... Dwie istoty najbardziej kochające Boga i najbardziej kochający Bóg wśród nich.

Ale poza tym naprawdę niewysłowionym stosunkiem nadnaturalnym, jakaż tam głębia rodzinnego szczęścia!

Rodzina z natury swojej — to klejnot na szarem tle ziemi, jaśniejący wewnątrz i promieniejący dokoła — z takich klejnotów, z takich gwiazd błyszczących miało być zbudowane społeczeństwo ludzkie. Człowiek w normalnych warunkach sam żyć nie może. Z natury swojej, jako istota społeczna, musi współżyć z innymi. Tworzy społeczności większe lub mniejsze, lecz to mu nie wystarcza. Potrzebuje koniecznie współżycia ścisłego, potrzebuje obok siebie bratniej duszy i zjednoczenia z nią najbardziej idealnego w myśli, sądach, pragnieniach, uczuciach, w pracy wspólnej, w całem swem życiu. Potrzebuje, jako konieczność swej ekspansywnej nawskroś natury, założenia własnej rodziny, potrzebuje odbicia swej duszy w jasnych duszyczkach niewinnych dzieci, odbicia swych oczu w ich oczach, swego całego jestestwa w ich istotach, która jest krwią z jego krwi i kością z jego kości, ożywioną tchnieniem Stwórcy duszy ludzkiej.

Ileż głębi w serdecznem zespoleniu rąk i wszystkich wysiłków z duszą bratnią w realizowaniu wspólnego szczęścia i planu życia! Ile radości w zespoleniu dusz, w świadomości współżycia z ukochaną istotą! Miec ją zawsze obok siebie, czuć jej spojrzenie i jej serce zawsze ku sobie zwrócone, być pewnym, że wszystkie najczulsze drgnienia ludzkiej duszy i serca ku niemu dążą nieomylnie i nieomylny w nim znajdują oddźwięk, zna-

leźć echo najdelikatniejsze każdego swego przeżycia, ukojenie w smutku, radość w radości, umocnienie w chwilach ułomności ludzkiej i załamań duszy, osłodę w goryczy zawodów życiowych i to jedno niewypowiedzianej pociechy zapewnienie: „choćby świat cały stanął przeciwko nam, my wszak zostajemy razem, a co mi znaczy świat cały, gdy z tobą jestem zawsze!.. Oto ognisko prawdziwego szczęścia.

A gdy do stóp rodzicielskich przytulą się jasne główki, gdy w otwarte szeroko ramiona przylgną całą siłą swych serc i podniosą ku oczom swe, bijące szczęściem dzieciństwa i ojcowego kochania, oblicza, swe źrenice, przez które przeziera Bóg niepodzielnie w ich duszach mieszkający, gdy z małych, najsłodszych usteczek padną na swój sposób ukute słowa i wykrzykniki, wyrażające wszystko, co tchnie miłością, przywiązaniem, wiarą i ekstazą oddania, gdy z każdym dniem coraz jaśniejsze, coraz pełniejsze i coraz bardziej kochane stawać się one będą—kto wypowie szaleństwo wprost radości, rozrywającej serce tych najbogatszych i najszczęśliwszych istot pod słońcem, które się zwą ojcem i matką rodziny!

Oto ognisko prawdziwego, bożego szczęścia.

I będą szły dnie za dniami, miesiące i lata za latami i trwać będzie ten jasny, słoneczny dzień bez zmiany, bez wzruszeń bolesnych, bo wszystko ukoi wspólność dusz i serc i trudności życiowe i nawet śmierć samą, albowiem i ona tylko na chwilę i to tylko zewnętrznie oddzieli od radości wspólnego ogniska z całą nietylko wiarą, ale przekonaniem, że wkrótce wszyscy znajdą się razem, a tymczasem ten jeden z ich grona dokonał najtrudniejszego zadania: przeciął życie chwilowe, by zacząć życie bez nocy i bez kresu — co było i pozostaje zawsze pragnieniem ich wszystkich.

A gdy szron wieku ubieli włos na głowie, gdy już siły fizyczne osłabną, nie ustanie radość i moc, bo jedność pozostanie nietkniętą, a każde spojrzenie, każdy ruch i uczucie otaczać będą jak gołąbek srebrnego patrjarchę i duszę mu rozjaśniać i na rękach nosić i mówić na każdym kroku: „Ojcze... Matko”, jako najświętsze imiona na ziemi po Bogu.

Z szeptem błogosławieństwa na ustach, z duszą rozmodloną do Boga, Ojca Wszechświata, z ostatniem jasnem spojrzeniem na tych, którzy jemu pozostają, jako spadkobiercy nietyle mie-

nia ile duszy własnej i własnego szczęścia, poczyna się z nimi bez beznadziejnego ziemskiego smutku i rozpaczy, ale z weselem, że do Pana idzie, jako przewodnik utrudzony, bo to tylko chwilowy odmarsz ciała, gdy duszą z nimi pozostanie zawsze, aż ich powita u wrót bożego domu w wieczności, jak witał każdego dnia na progu swojego domostwa.

Odejdzie, ale duch jego pozostanie zawsze wśród nich, nie jako upiorna mara, ale jako jasny Anioł-Stróż, Opiekun i Przewodnik i zawsze, jako ich Ojciec i Matka...

Czy może być wśród doczesnych radości szczęście większe i bardziej radosne!

Z cichym smutkiem w duszy powiemy może, że to marzenie nieziszczalne, fata-morgana jakiejś oazy przecudnej na spieczonej skwarem nielitościwym i nie smaganej wichrem żracym pustyni życia, gdzie jeno hjenv i szakale żerują, albo słychać mrożący w żyłach krew ryk lwa, czyhającego na swą nieszczęsną zdobycz!

Nie, nie ułuda. Królestwo Boże w nas jest i zawsze je w nas zbudować możemy z przemożną pomocą Boga—Miłości. I było wielu takich, którzy je znaleźli i zbudowali.

Czegóż potrzeba, by i nasze szczęście stało się pełnem? Dobrej woli i słońca w duszy—i bożej łaski na każdy dzień.

Przyjrzyjmy się Nazaretańskiemu słońcu.

Pod ubogą strzechą trzy istoty—jak my żyjące, zdobywając w pocie oblicza kawałek codziennego chleba. — Prostota, schludne ubóstwo, cichość wewnętrzna i uśmiech, który zespalał te dusze. Wniknijmy w ich powszedni tryb życia, od wczesnego ranka do chwili wieczornego spoczynku. Przypatrzmy się ich wspólnej modlitwie, ich pracy chętnej, choć ciężkiej, ich chwilom wspólnego odpoczynku i rozmów rodzinnych Patrzmy na ich oczy, jak zajęte pracą, idą ku sobie nieustannie, przez ściany, przez dal ich dzielącą, rozmiłowane i pełne duszy. Wniknijmy, jak każde jednem tylko jest zajęte: jak ulżyć, usłużyć drugiemu, jak je uradować i bardziej jeszcze ukochać. Wszędzie dziecięca ufność, pewność wzajemności serca, wszędzie uśmiech i nieme wyznanie, jak bardzo, jak niewypowiedzianie łączy ich wspólna miłość w czystości serca i duszy.

Szły dnie za dniami, ciche a tak radosne, szare a tak pełne jasności, w wysiłku ciężkim, a tak lekkie, jakby na skrzyd-

łach. Słońce było wewnątrz, atmosfera w ubogiej izdebce przeniknięta tem niebem dusz, a promienie szły poprzez mury i próg na bliskie i dalsze chaty i ogniska domowe, a każdy, kto się zbliżył ku nim, lub do których w prostocie przyjaźni sąsiedzkiej zawitały najświętsze osoby, patrzył na ten cud miłości, jako i a promień życiodajny i przyjmował do duszy swojej pokój i ukojenie z nich płynące i ulepszał duszę i ze wzruszeniem drżącem szedł ich śladami, które jako magnes przykuwały oczy i serca wszystkich.

Przyszedł kres pielgrzymki ziemskiej Starca-Opiekuna i głowy tej błogosławionej jedności. Lecz nie było w żałobą dotkniętem gronie nieopanowanego bólu, choć ból był głęboki, bo nie było nigdzie takiej miłości. Doprowadzony został do bram wieczności, gdzie miał oczekiwać na tych, najbardziej ukochanych... O, śmierci! jakżeż znikomy jest oścień twój... wśród miłości i wiary domowego ogniska!

Wypisany na pierwszej stronicy kroniki rodzinnej, a więcej jeszcze na kartach ser naszych wezwanie Chrystusowego apostoła: „Przyobleczcież się tedy (jako wybrani Boży, święci i umiłowani) we wnętrzności miłosierdzia, w dobrotliwość w pokorę, w cichość, w cierpliwość. Jedni drugich znosząc i odpuszczając sobie, jeśli kto ma skargę przeciw komu, jako i Pan odpuścił wam, tak i wy. A nad to wszystko miejcie miłość, która jest związką doskonałości. A pokój Chrystusów niech przewyższa w sercach waszych, ku któremu też wezwani jesteście w jednem ciele, a wdzięczni bądźcie. Słowo Chrystusowe niechaj mieszka w nas obficie, z wszelaką mądrością nauczając i sami siebie napominając, przez psalmy, i pieśni, i śpiewania duchowne, *w łasce śpiewając w sercach waszych Bogu.* Wszystko, cokolwiek czynicie w słowie, albo w uczynku, wszystko w imię Pana Jezusa Chrystusa, *dziękując Bogu i Ojcu przezeń... Cokolwiek czynicie, z serca czyńcie*". (Kolos. 3:12—17,23).

Niech się tak stanie..!

Ks. A. Bogdański.

O znaczeniu i wartości Pisma św.

II.

W pierwotnych czasach chrześcijaństwa szli ludzie raczej na śmierć, niż mieliby wydać Pismo św., ponieważ wydanie go uważano za równoznaczne wydaniu Chrystusa, powtórzeniu zdrady Judasza. Zupełnie zaś przypadkowe dowody stwierdzają, że nie była to jedynie martwa cześć, lecz że pierwsi chrześcijanie rownież pilnie czytali Pismo św. Tak naprzykład męczennicy ścillijscy w dniu 17 lipca 180 roku wobec konsula zeznali do protokółu, co się znajduje w ich kufrach: „Są tam używane u nas księgi i listy pobożnego człowieka, Pawła". Jak również męczennica Irena uskarża się w Aktach Męczeńskich: „W naszym domu było Pismo Święte, lecz nie mogliśmy go używać (z powodu prześladowań). Przeto doznawaliśmy wielkiej męki ponieważ nie mogliśmy, jak przedtem, czytać go we dnie i w nocy, do czego wpierw byliśmy przyzwyczajeni aż do roku zeszłego, gdy je schowaliśmy". Czy nie jest to wzruszające? Więc Pismo św. czytali codziennie! Podobne dowody mamy z czasów późniejszych. Pobożne niewiasty, Paula i jej córka, Eustochjum, pobudzały św. Hieronima do przełożenia Pisma św i napisania do niego komentarza. Zupełnie inne niewiasty, jak Salvina, Marcella, Hedibia, prosiły go listownie o wyjaśnienie trudniejszych ustępów. W kościele etjopskim wierni cały Psałterz umieli na pamięć. Kształcenie młodzieży rozpoczynano od jego wykładu. Czytamy również w Wyznaniach św. Augustyna, jak bardzo pragnął całkowicie się oddać czytaniu Pisma św. Musiał, oczywiście, zbyt długo czekać na spełnienie tego pragnienia, ponieważ dopiero w 72-gim roku życia zezwolili mu jego wierni wziąć sobie do pomocy w kaznodziejstwie innego kapłana, Herakljusza, by tem się nieco odciążył i zwolnił do czytania Pisma św. Podobnie działo się w średniowieczu. Profesorów teologji nazywano prosto magistri s. Scripturae -- profesorami Pisma św. Do czytania Pisma św. zachęcali również kaznodzieje, jak np. Berthold z Regensburga doradzał swoim współbraciom: „Trzeba wygłaszać kazania z Pisma św". Tekst święty spisywano na najlepszym pergaminie najozdobniejszym charakterem pisma, nieraz złotem i srebrem na tle purpurowem. Oprawę zaś zdobiono metalem, kością słoniową i drogiemi ka-

mieniami. Podobne okazy Pisma św. może nieraz oglądaliśmy sami w bibljotekach klasztornych lub miejskich. Według jednozgodnego świadectwa również badaczy protestanckich zachowanie Biblji zawdzięczamy „mrocznemu“ Średniowieczu. Wiemy o istnieniu koło 4000 greckich i przeszło 5000 łacińskich rękopisów. Czasy przed Reformacją również nie były pozbawione Pisma św. Franciszek Falk wymienił siedemnaście pełnych wydań Biblji w języku niemieckim, dokonanych przed Reformacją od roku 1450 do 1520. W tymże okresie, jego zdaniem, dokonano również 103 wydań niemieckich postylli. Więc nie dopiero Luter wydobył Biblję z ukrycia lub odwiązał ją od łańcucha żelaznego, do którego była przykuta, lub jak inaczej dźwięcznie brzmią porównania, przeciwnie: Dziś mówią nawet protestanci, jak np. Dobschütz: „Musimy przyznać, iż Średniowiecze posiadało przedziwnie wielką, najbardziej godną uznania, znajomość Biblji, której nasze czasy pod każdym względem powinny się wstydzić“.

Jeszcze dziś zdarzają się odosobnione odgłosy tego dawnego katolickiego zapału i miłości do Pisma sw. Naprzykład, podczas soborów również obecnie na fotelu środkowym leży Pismo św., wyobrażające Chrystusa, przewodniczącego soborowi biskupów. Lub choćby przypomnijmy sobie, jak uroczyście czyta się Ewangelję podczas Mszy św. Diakon najpierw się modli, głęboko schylony: „Oczyść serce moje i usta moje, wszechmogący Boże, któryś usta Izajasza proroka oczyścił kamieniem ognistym: tak i mnie przez łaskawe zmiłowanie Twe racz oczyścić, bym zdołał godnie opowiadać Twą świętą Ewangelję“. Potem śpiewa Ewangelję po złożeniu głębokiego ukłonu i okadzeniu księgi. Obecni zaś powstają, w wiekach średnich królowie i rycerze dobywali miecza, jeszcze dziś pochyla się chorągwie. Rozumiemy znaczenie tych obrzędów. Mają one na względzie nie człowieka, ani też księgę ludzką, lecz Tego, który w księdze się ukrywa, jak powiedział św. Agustyn: „Sic cofugio ad evangelium tanquam ad praesentem Christum. Tak się uciekam do Ewangelji, jak do obecnego Chrystusa.“ Tak, jest On w Piśmie św. obecny i przez litery niewidzialnie przemawia do mnie, jak niegdyś w Palestynie przemawiał do uczniów. Jest to głęboką, niezłomną wiarą naszą.

Jest więc b.rdzo smutnem, że dziś tak wielu chrześcijan utraciło stosunek dodatni do Pisma św. Protestanci, niegdyś tak dumni, że Biblja jest ich własnością i cechą odrębną, dziś uskarżają się sami, że śród nich szerokie koła oddaliły się od Biblji. Metoda historyczno-religijna, która sprowadziła wszystko w chrystjanizmie do zapożyczeń z innych religij i która w małych broszurach popularnych przedostała się do najszerszych warstw ludu, zdziałała wielkie spustoszenie. Szlachetny Bodelschwingh, już jako starzec, oburzał się na liberalnych profesorów protestanckich: „Nic lepszego nie mają do czynienia, jak odbieranie ludziom wiary w Pismo św. Wolałbym raczej ciosać kamienie, niż się zajmować taką pracą. Któż jednak pobudza ludzi do tak okrutnej usługi? Zdarzają się zresztą umysły nikczemne, służalcy nędzni, obłoki bez wody, miotane powiewem próżności, drzewa bezlistne i bezowocne. Bez uczoności gruntownej, bez głosów sumienia i prawdy, bez należytej powagi, uważają to jednak za potrzebne dla zdobycia sobie ostróg profesorskich oraz napaści na którąkolwiek księgę Pisma św. i wszechstronne obudzenie do niej uprzedzeń". Ze strony drugiej, ze strony wierzących w Biblję, obok, dzięki Bogu, jeszcze dość wielkiej liczby cichych, uważnych czytelników Pisma św., szerzy się wybujały indywidualizm. Co wyrabiają tak zwani „poważni badacze Biblji" i inne sekty podobne wskutek dowolnego wykładu Pisma św., wprost włosy stają na głowie. Przytem pod względem duszpasterskim, jak mi to również mówili pastorowie protestanccy, tacy ludzie należą do najbardziej opornych.

Wykazałem przedtem, jak głośno świadczy historja o tem, że aż do czasów Reformacji Biblja była księgą rozpowszechnioną i czytaną również w kołach ludzi świeckich. Wreszcie przyszedł Luter i Reformacja. Nie poruszam tu sprawy winy. Chociaż bowiem rzeczywiście odczuwano wówczas wielkie szkody w życiu Kościoła i przeto potrzebę reform, można wszakże być różnego zdania o jakości dokonanej próby reformy, potępiać wraz z rozumniejszymi protestantami wystąpienie reformatorów z Kościoła i nad tem ubolewać. Jakiż bowiem był skutek tej gwałtownej chaotycznej próby reformy od zewnątrz, zamiast od wewnątrz? Było nim coś co się wydaje zupełnie nieprawdopodobnem, co wszakże stwierdza historja, mianowicie biblijny ruch katolicki, który do Lutra tryskał żywym strumieniem, karmiąc

tysiące, przez Lutra i Reformację został wstrzymany. Dla utwierdzenia swej nowej nauki Luter był zmuszony powoływać się na Biblję, tem mocniej i bezwzględniej w swych wystąpieniach przeciwko ówczesnemu pojęciu wiary i ustalonemu jej wykładowi. W ten sposób Biblja stała się dlań jedyną podstawą. Za jego przykładem poszli potem inni herezjarchowie. Wszyscy oni w swej walce z Kościołem i tradycją powoływali się na Pismo św. Wprawdzie następstwem tego zjawiska nie było zaprzeczenie Biblji przez Kościół (jak wiemy, Sobór Trydencki, niestropiony walką, wziął Biblję w swoją obronę), pogląd dogmatyczny Kościoła na Biblję i jego stosunek do niej zostawały zawsze te same. Jedynie pod względem karności, nadużywanie Biblji przez reformatorów dla celów polemicznych i dzika egzegeza sekciarska zniewoliły sfery kościelne do większej wstrzemięźliwości i ostrożności w polecaniu Biblji do czytań prywatnych. Doszło nawet do pewnego soboru prowincjonalnego, na którym za jedyny sposób usunięcia zgubnych następstw dowolnego wykładu Biblji uznano zakaz prywatnego jej czytania. Była to bolesna reakcja, przejawiająca się w Kościele zawsze, gdy jaka herezja wybierała dogodne dla siebie ustępy z całokształtu Pisma św., jednostronnie je wykładając. Dla zabezpieczenia innych katolików od prądu sekciarskiego Kościół był zmuszony, jedynie ze względu na ten prąd, stosować pewną ostrożność i wstrzemięźliwość. Do tego pobudziło nadużywanie Biblji. Jest rzeczą wiadomą, iż Kościół dzisiejszy już dawno zerwał z tem wymuszonem od zewnątrz stanowiskiem biernem. Właśnie Sobór Trydencki ze swemi naprawdę wzorowemi reformami ułatwił szybki powrót na wielką spokojną linję katolicką. Również po czasach racjonalizmu, który u katolików i protestantów nie podniósł powagi Pisma św., w obozie katolickim ruch biblijny ożył ponownie. Ostatni papieże, Leon XIII, Pius X i Benedykt XV, popierali go, o ile tylko mogli. Pius X, naprzykład, nietylko polecił darmo rozdać tysiące Biblij śród ludu, lecz również nadał odpusty za jej czytanie. Ponieważ wielu, prawdopodobnie, nie wie o nich, więc je tu powtarzam: Kto codziennie w ciągu kwadransa czyta Pismo św., otrzymuje 300 dni odpustu; kto praktykuje to w przeciągu miesiąca, dostępuje odpustu zupełnego. Protestant, pod wpływem wystąpień Lutra i Tetzla, odpustów, mających oczywiście głębsze

znaczenie jako uczestnictwo w ogólnych zasługach mistycznego ciała Chrystusowego, osobiście dla siebie nie uznaje, wszakże i dla niego jest oczywiste, iż przez nadanie Biblji odpustów wyrażono zachętę do jej czytania. Są jednak katolicy, upatrujący w czytaniu Biblji coś zakazanego, protestanckiego!

Nie mogłem temu dać wiary, aż upewniono mię osobiście. Wydarzyło się to memu poprzednikowi w wykładaniu Biblji ze strony pewnego krótkowzrocznego katolika świeckiego, oraz kilku innym osobom wiarogodnym. Tłumaczę to tem, iż tymczasowa wstrzemięźliwość warstw katolickich względem Biblji, która ze względu na nadużycia była niegdyś potrzebna dla dobra chrześcijaństwa, obecnie oddziałuje w dalszym ciągu jako pewna ociężałość. Tylko dlatego, że protestanci w Piśmie św. widzą dla siebie jedyne źródło wiary, my, katolicy, bynajmniej nie odstępujemy od Pisma św. Tworzymy Kościół, który pierwszy je posiadał. Katolicy je czytali, czcili i miłowali w ciągu wielu stuleci, nim nastał protestantyzm. Tylko od nas, katolików, protestanci przejęli Biblję. Jest ona naszem wspólnem dobrem rodzinnem, które protestanci zabrali ze sobą, występując z Kościoła. Winszujemy im tego i cieszymy się, iż mają Pismo św., że taka obfitość dóbr katolickich znajduje się w ich obozie, która w innym razie nigdyby nie miała tam dostępu. Ponieważ zaś Biblja jest własnością wspólną, powinniśmy, obie strony, jej strzec i ją cenić. Może stać się kiedyś pomostem, na którym się spotkamy; może połączy nas znowu, co obecnie dzieli. Przytem Pismo św. dla nas, katolików, nie jest taką księgą, którą można dowoli brać i znowu odkładać jak inną książkę pożyteczną lub modlitewnik, jest bowiem kamieniem węgielnym gmachu wiary katolickiej. Jest dla nas, jak wyżej powiedziałem, jakkolwiek nie jedynem, lecz głównem źródłem wiary, z którem tradycja pod względem jasności i pełni nie może się równać. Pismo św. i tradycja jedynie wzięte razem, lub jeszcze ściślej: ustnie i na piśmie przekazane Słowo Boże, jak je podaje i wykłada urząd nauczycielski Kościoła, ta pierwotnie chrześcijańska podstawa wiary, jest również dla nas opoką, na której są utwierdzone nasze zasady wiary i całe nasze życie katolickie. Przynajmniej

więc ta, na dogmatach oparta powaga Pisma św. powinna być uznawana przez każdego katolika.[1])

Jak widzimy, cały szereg powodów przemawia za powrotem do pierwotnie katolickiej i średniowiecznej praktyki prywatnego czytania Pisma św. Trzeba, być może, uzasadnić to szczegółowiej. To czytanie ma przedewszystkiem znaczenie dla życia wiary. Katolik, zasadniczo trzymający się zdala od Pisma św., nie starający się o jego zrozumienie, tem samem oczywiście nie przestaje być katolikiem. On nie jest tak bardzo uzależniony od Pisma św., jak protestant. Choćby bowiem pomijał Pismo św., ma jeszcze naukę wiary, trzymającą go w obrębie katolicyzmu. Przeto konieczność dla każdego katolika czytania Pisma św. Kościół wyraźnie odrzucił. Jedynie taki katolik powstrzymuje się w ten sposób od korzystania ze źródeł zasad swej wiary.

Już tylko z drugiej ręki otrzymuje prawdy do wierzenia. Więc może nie widzieć i nie rozumieć, dlaczego Kościół to lub owo utrzymuje i naucza. W czasach zaś obecnych, w których tak często przychodzi się uzasadniać swą wiarę, dla inteligentnego katolika jest to bardzo przykrem. Znowuż jego wiara jest pozbawiona niezbędnej pełni życia. Bardzo bowiem trudno inteligentnemu człowiekowi uzupełnić swą wiedzę religijną, która musi odpowiadać dwom, pozornie całkiem różnym wymaganiom. Z jednej strony wymaganiu przesadnego krytycyzmu rozumowego, który nigdy nie uważa sprawy za dostatecznie zgłębioną; z drugiej strony wiedza winna być nie bojażliwą i suchą, lecz żywotną, zdolną poruszyć uczucia i w ten sposób wpłynąć na

---

[1]) Dla orjentacji podajemy tu określenia Kodeksu Prawa Kanonicznego. Kanon 1386, § 1 zabrania wydawania Pisma św. lub komentarzy do niego bez aprobaty kościelnej. Kanon 1391: Przekłady Biblji na języki narodowe mogą być drukowane jedynie po uzyskaniu aprobaty od Stolicy Apostolskiej lub z komentarzami zwłaszcza świętych Ojców Kościoła i wybitnych pisarzy kościelnych, uznanych przez biskupów. Według kanonu 1399 jest wzbronione czytanie tekstu oryginalnego Pisma św. i starożytnych przekładów katolickich, nawet kościoła wschodniego, wydanych przez niekatolików. Również przekłady na wszystkie języki przez nich dokonane lub wydane. Kanon 2318, § 2 przewiduje kary względem niestosujących się w wydawnictwie do tych przepisów. Oczywiście to określenie jest przepojone tymże duchem, co poprzednie, mianowicie troską o nieskazitelność świętego tekstu, więc tem samem troską o dobro chrześcijan.

wolę. Gdyż tylko wówczas, gdy wszystkie zasoby duszy słabego człowieka współczesnego powoła się pod sztandar, z wiedzy religijnej wypływa czyn moralny. Pismo św. doświadcza tę usługę. Z jednej bowiem strony podaje obfity materjał do rozważań. Nawet największe umysły nie wyczerpały Pisma św., upatrując w niem coraz to nowe zagadnienia. Z drugiej strony jest ono niezmiernie żywotnem, potężne życie Boże tętni w Piśmie św. porywając i zmuszając do współżycia każdego, kto do niego się zbliży.

Stąd wynika znaczenie Pisma św. dla reszty życia religijno-moralnego, zwłaszcza dla życia pobożnego. Z wielkich myśli Pisma św., z odkupienia, ułaskawienia, synostwa Bożego i t. d. pobożność czerpie dla siebie jedynie możliwy mocny fundament rozumowy, stając się jako pobożność biblijna czemś całkiem innem, niż wówczas, gdy swe potrzeby religijne zaspakajamy z drugiej ręki, z książek ascetycznych i modlitewników, do których, choć są miłe, łatwo się zniechęcamy. Lub gdy w wolnej modlitwie wciąż mamy na względzie tylko marne, zmysłowe ja; gdy nabożeństwo kościelne jest dla nas całkiem niezrozumiałe, jak księga o siedmiu pieczęciach; nabożeństwo, składające się przeważnie z ustępów Pisma św., zwłaszcza w miejscach głębszych i subtelniejszych.

Następstwem zaniedbania Pisma św. i nabożeństw jest oczywiście również oziębłość w życiu moralnem. W liście do Żydów (4,12) powiedziano: „Vivus est sermo Dei et efficax: Żywa jest mowa Boża i skuteczna“. Stosuje się to do Pisma św., które jakże bardzo obudziło życie moralne! Wspomnijmy choćby, iż słowa: „Jeśli pragniesz być doskonałym, sprzedaj wszystko”, stworzyły zakony. Inne słowa: „Ktoby przyjął jedno dziecię takowe w imię moje, mnie przyjmuje... Cokolwiekbyście uczynili jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili“, stworzyły dzieła miłosierdzia. Tę samą moc Pismo św. ma również dzisiaj. Wszak tętni w niem to samo życie Boże. Przemawia w niem do duszy naszej to samo Słowo, które niegdyś stworzyło niebo. Gdy będziemy na nie wrażliwi, będzie mogło w nas również nowe światy stworzyć. Lecz oczywiście tylko wówczas, gdy Słowu Bożemu damy do siebie dostęp.

Wreszcie człowiek, gardzący Pismem św., pozbawia siebie niewymownej pociechy i szczęścia. Muszę tu nadmienić o pię-

knie Pisma św. i o pamiętnych przeżyciach, których we mnie to piękno było powodem. Można je bowiem obrazować jedynie z przeżyć osobistych. Choćby samo piękno wewnętrzne pisma św., jego treść wzniosła i duchowa. Zgłębiając je mam wrażenie, jakgdybym się wdrapywal na wierzchołek góry, ponad lodowce i śniegi, gdzie obłok się rozstępuje, odsłaniając u dołu kraj górski, lasy, jeziora, łąki; poza niemi rysują się w oddali kontury miast i wsi — wszystko takie jasne i takie barwne we właściwym stosunku wielkości. U góry zaś rozpościera się niewymownie głęboka promienna pełnia jasności niebieskiej, niezmienny majestatyczny świat dogmatów, okazujący się z poza słów w całej swej wielkości i uroku. Piękno wewnętrzne Pisma św. prowadzi do poznania piękna jego formy. Jak bardzo w bezprzykładnie prostych słowach Pisma św. odbija się cała skala uczuć ludzkich, jak trafnie wszystko powiedziano! Żaden wyraz nie rzuca cieni, jest tylko szatą. Słowo i duch tworzą jedno żywe ciało. W niektórych miejscach dźwięczy liryka, rytm wewnętrzny, jak np. w kazaniu na Górze, modlitwie „Ojcze nasz" i mowie pożegnalnej. Znowuż całkiem innym jest św. Paweł. Jego zdania są trudne do zrozumienia. Szata słów często się ugina pod ciężarem myśli, zdarzają się wówczas domówienia i powtórzenia. Lecz i z temi poprawkami św. Paweł jest wielkim. Bowiem poprzez ułamki tych słów przebija się właściwy blask jego ducha, dostrzega się jego samego, tego ojca, tak troskliwego o swe dzieci duchowe. Pamiętam chwile, w których te wrażenia stopniowo nabywałem, należące do najpiękniejszych chwil mego życia. Nieraz doznawałem ich w samotnej celi studenckiej. Do tych chwil radości głębokiej mógłbym zastosować słowa św. Tomasza à Kempis: „Cella continuata dulcescit — cela i pobyt w niej stają się słodkiemi". Lub czytanie Pisma św. z wiernym przyjacielem w podróży! Pare wierszy, przeczytanych w uroczej ciszy poranku, gdy dokoła błyszczy rosa na trawie, gdy skowronki ze szczebiotem unoszą się do góry, zdala zaś gdy donoszą się dźwięki dzwonów kościelnych, jak bardzo wrażają się do duszy, jak wówczas niejeden wiersz jako myśl dobra, towarzyszy w podróży przez lasy i pola i wraz z jasnością dzienną staje się pamiętnem przeżyciem kształtującej się duszy. Lub było to czasem wieczorem u skraju lasu przy ognisku. U góry na niebie błękitno-lazurowem za-

palały się słabe iskierki gwiaz, jego zaś urok powiększyło gwiaździste nizbo duchowe Pisma św. Lub byliśmy czasem w chałupie górskiej, głęboko zaśnieżonej. Nazewnątrz huczał wiatr, lecz wewnątrz, w mrocznym pokoju, było ciepło, łagodnie i miło. Zapalaliśmy wówczas świecę i siedzieliśmy tam z pochylonemi głowami nad Biblją. Nie mogę wypowiedzieć, jak bliskim i miłym towarzyszem życiowym i drogowskazem stał się dla mnie ten prosty mały tom Pisma św. Uważam, iż wyżej powiedziane wystarcza dla zagrzania serc naszych do Pisma św. i dla rozpalenia tęsknoty za niem.

Skoro tedy tęsknimy za Pismem św., starajmy się stosować do siebie słowa św. Augustyna z Wyznań księgi 11: „Sint castae deliciae meae scripturae tuae — niech twe Pisma, o Panie, będą dla mnie rozkoszą dziewiczą". Przejdźmy teraz do praktyki. Wielu z nas już posiada Nowy Testament. Jeśli zaś nie, w takim razie niech to będzie pobudką do jego nabycia w czasie najprędszym. Pismo św. Nowego Testamentu i Mszał powinien posiadać każdy inteligentny katolik. To własne Pismo św. czytajmy możliwie łącznie z kapłanem, wykładającym miejsca trudniejsze. Lub w domu sami. Niech czyta ojciec lub matka, czy starsze dziecko w rodzinie, w niedziele po południu lub świątecznych godzinach wieczorowych. Dzieci młodsze może poszły już spać. Rodzice jednak nieraz siedzą we mroku, tuląc się wzajemnie. „Tak marzy się dobrze" (Falke). Czy trzeba wszakże wówczas tylko marzyć? Czy raczej nie należy przyjąć Boga, jako trzecią osobę, do towarzystwa? Wszak ich żywi i strzeże. W podobnych uroczystych chwilach wieczorowych kilka wierszy Pisma św., wspólnie przeczytanych i omówionych— lub może czasem nie mówj się nic, zezwalając jedynie, by słowa do dusz wlewały się same, jak bardzo to jednoczy! Budzi się wówczas pewna siła magiczna, gdy dwie pary oczu wgłębiają się naraz do tej księgi. Podobnie mogliby wspólnie czytać koledzy lub koleżanki. Doznaliby uspołeczniajacej mocy tej księgi, jednoczącej o wiele lepiej, niż przysięgi i obietnice. Niech czyta Pismo nauczyciel wraz ze swymi uczniami, niech czytają je w zgromadzeniach i na zebraniach. Czemu nie wprowadzić tego zwyczaju? Niech każde zebranie się rozpoczyna czytaniem Pisma św. od 10 do 15 minut. O ile wiem, już niektore to praktykują i dobrze na tem wychodzą, bowiem Pismo

św. odrazu podnosi umysły i serca do góry. Wszystko inne idzie wówczas owocniej i lepiej. Gdybyśmy w podobnem prywatnem czytaniu Biblji napotkali trudności i niejasności, ze spokojem idźmy dalej. Tyle światła, ile go potrzebujemy w naszej drodze życiowej, Bóg nam zawsze udzieli. Miejsca zaś trudniejsze możemy wynotować i prosić przy sposobności o ich wyjaśnienie znawców Pisma św. W ten sposób, przypuszczam, Pismo św, stanie się nam wiernym towarzyszem życiowym.

Muszę kończyć. Gdym poraz pierwszy wygłosił ten odczyt przed szerszą publicznością, niż wykłady uniwersyteckie, było właśnie Boże Narodzenie. W błogiej radości klęczeliśmy wówczas u żłobka Syna Bożego, wielbiąc tajemnicę wcielenia „Et Verbum caro factum est — A Słowo stało się ciałem". Od dzisiaj już wiemy, iż Bóg się wcielił nietylko w dziecię Jezus, lecz również w Pismo św. Jest ono jakby dalszym ciągiem wcielenia. Jak niegdyś kształty ludzkie były dla Boga jedynie sposobem stania się widzialnym, tak samo są nim obecnie litery i zdania Pisma św. Ukrył się w nich, by przemawiać do nas, jak niegdyś przemawiał na ziemi. Kochajmy więc również to dziecię Jezus, małego Zbawcę Pisma św. i dozwólmy, by często przemawiało do duszy naszej!

Ks. A. Stonner T. J. Wiedeń
(„Schönere Zukunft", I Jahrgang.)
Tłom. A. Zgierski.

BOŻE NARODZENIE.

Wesołą nowinę, bracia, słuchajcie,
Niebieską dziecinę ze mną witajcie

Anioł z gwiaździstych błękitów
Do sennych zstąpił pasterzy:
Czy ludu rzesza uboga
Nowinie cudu uwierzy?

Czy pojmie go i zrozumie,
Że Bóg zejść może na ziemię,
Że może pomiędzy sobą
Ludzkie pomieścić go plemię?

Że bratnia miłość i zgoda
Świat święcie urządzić — może:
Może się ziścić na ziemi
Niebieskie królestwo Boże?

I mędrcy, co wdal się śpieszą
Za gwiazdy jasnemi blaski,
Czy przyjąć również zdołają
Cudowne posłanie łaski?
Gdy złożą przed Zbawicielem
Mirrę, kadzidło i złoto,
Czy serce w piersiach uderzy
Łagodną uczuć prostotą?
I od pastuszków drużyny,
Czyż nie odgrodzi ich pycha,
A piersi przeniknie miłość,
Głęboka, silna i cicha?
Czy będzie taka noc cudu?
Powiedz, promienny aniele?
Czy wszystkie twory tej ziemi
Święte przeniknie wesele?
Wszystko złe, nędzne i smutne,
Jak stara opadnie szata;
Ludność podniesie się piękna,
Silna, szczęśliwa, bogata?
A w górze pośród błękitów
Anielska zabrzmi hosanna,
Nad globem drżącym radością,
Wzejdzie jutrzenka różana?...

Z. G.

D Y S P U T Y.

Pyt. Łaskawy Amice! Mam przed sobą numer „Pro Christo", Luty, w nim dyskusja o „Wolnej Woli—i Wszechwiedzy Boskiej". Jakkolwiek artykuły Szanownego Amicusa są doskonałe, ten jednak artykuł dając dużo,—wiele pozostawia „dobrej woli" czytelnika i odsyła go do paragrafu „Literatura" kończący artykuł Szanownego Amicusa. Szperanie takie to sprawa teologów, ale nas, którzy nieco po francusku, mniej po niemiecku a już wcale nic po łacinie, takie szperanie nie pociąga:—wolimy krótkie, kategoryczne: białe—to białe, a zielone—to zielone, a nie papuziaste i basta!

Weźmy końcowy okres z artykułu—„modlitwa poszczególnych ludzi”, że modlitwa i jej skutek były przewidziane przez Boga od wieków:—dobrze,—a modlitwy potępionych? Przecież od kolebki zbrodniarzami nie byli i ich uczyły matki pacierza i Bóg wiedział, że będą potępieni, jak naprzykład Judasz. W imię jakiej idei, Bóg powołał potępionych?

Dalej — „Bóg jest Przyczyną Pierwszą wszystkich rzeczy i każda przyczyna ma od niej moc sprawczą” (z artykułu str. 101). Wiem że Amicus, co do lat nie jest Mathuselem, nie miał więc czasu badać, iść krok za krokiem, od zlepka okruchów będących uświadomieniem naszem, od analizy zewnętrznych zjawisk, które znamy jako splot barw i kształtów—głosów i milczenia, od ciasnej anatomji własnego czucia i woli—do uczucia ludzkości, do woli światów, do nieskończoności wymiarów. Legjony rzemieślników nauki rozpatrywały od wieków ułudę zmysłów, myśl Wolnej Woli, problemat przypadku i przeznaczenia, genezę etyki, rozkwity i upadki cywilizacji, zwycięstwo ich i pogromy, losy ziemi i gwiazd, szereg dochodzeń, rojeń, walk, podbojów myśli i jej buntów, któż to jednem rzutem poznania ogarnął? A jednak człowiek łudzi się, sądząc, że to on sam wytwarza sobie losy ducha, że żądza wiedzy i pragnienie szczęścia w nim tylko walczą, o zwycięstwo, że to on sam gotuje sobie przyszłość, która nie urodziła się jeszcze w łonie czasów. Nie prawda, — nim rządzą te same prawa, które pędzą przez eter wiry atomów. Jedne symbole prawideł są dla nikłych mrowisk człowieczych i dla komet, których rozpalone dusze miotają się w grzywach niezmiernych po niebie, te same dla chaotycznych żarów, skąd wykrystalizować się mają nowe światy, i dla uświadomionego prochu stworzenia, który osiada na stygnących planetach.

Wszelako analiza współczynników dziejowych nie wykazała nic innego, jak tylko rosnącą ciągle dążność każdego ustroju do udoskonalenia swego chemizmu — do najobfitszego odtwarzania tkanek.

Po drobnej sprawie ludzkości o której mniemają, że świat dla niej został stworzony—idźmy do większych kół rozpędowych, określmy związki i koleje światów. Odtąd narzędziem i skrzydłem tego trudnego określenia staje się rachunek wielościami, z których najmniejszy jest nieskończonością. Choć gwiazdy niebieskie idą na gwiazdy spotykają się one z nowymi światami

warunkującemi swój byt wzajemnie na całe łańcuchy tych światów, a straszna nieskończoność kosmicznych ruchów zmieniła się w przelotny rozbłysk pozaświatowej wieczności.

Powiedz Amicusie, może z monad zlepieni, wciągnięci jesteśmy w jakąś falistość ruchu i wyczerpawszy treść życia przepłynąć mamy byt następny w powrotnym rozkładzie na samoistne monady? Może przez nasz świat teraźniejszy przejawia się nieszczęsny Lucyper w pył ludzki rozbity, a dopiero w przyszłości zdolny do odrodzenia? A wtedy istoty nasze, odrębne dziś i popychane ku sobie magnesem miłości, lub roztrącane wstrętami i gniewem złożyć się mają na jedność doskonalszej świadomości, na zaklętego w duszy ludzkiej Anioła, o tyle wyższego od nas, o ile my wyżsi jesteśmy od unoszonej powietrzem monady.

A Bóg—teza „wielkiej niewiadomej — pierwszej i ostatniej". Aby się do Niej dostać i z Nią połączyć, wysnuć się i przeminąć muszą wszystkie stopnie istnienia, a że ilość ich jest to Nieskończoność mnożona przez Nieskończoność więc po za ten twórczy pytajnik przebić się już nie można. W nim leży *centrum* wszystkich emanacji bytu, ostatnia *konkomitencja i entropja* światów, kreatoryczne „X" bez którego żadne równanie rzetelnej wiedzy obejść się nie może: Pozawymiarowa Opatrzność.

O, jak wielkim jest majestat „Wszechbytu", z którego płynie wszelki ruch imponujący nam jako energja i materja, wymiana sił, gra świateł, dźwięków, czasów i przestrzeni, że ruch ten większy jest nad wszelką ludzką wielkość i małość, znikomość i nieskończoność, wieczność i krótkotrwałość, bo czas i przestrzeń to tylko dwa cienie jego potężnych skrzydeł — przez ruch i w ruchu jest ta siła twórcza, ów świat, czy ruch, nie mający żadnych określonych kształtów ani barw, ani głosów, a jednak taki powszechny, taki ogólny, taki trwały, że cokolwiek bądź się z Tobą dzieje, cokolwiek myślisz, pragniesz, czujesz,—pragniesz tylko jako bierne odbicie jego ocierających się o Ciebie przejawów.

Więc czy myśl zestrojona z myślą świata, rozlewać się nie może w kręgi nieskończone? — Czy to nie będzie arcydziełem poezji, rapsodją chaosu?

Odp. Bardzo mi jest przykro, że nie wystarczyły moje argumenty w numerze lutowym „Pro Christo". A uprzedzałem zaraz na początku mojej odpowiedzi w tamtej dyspucie, że kwestja ta (tajemnica wolnej woli człowieka i wszechwiedzy i wszechmocy Boskiej) nie da się rozwiązać w jednym, ograniczonym normą numeru pisma, artykule. Genjusze wiedzy, jak i Ś-ty Augustyn, całe życie poświęcali badaniu tej jednej kwestji i niełatwo wybrnęli z tych trudności, wielu uczonych do dnia dzisiejszego całe dzieła o tem pisało i piszą jeszcze—nie miałem więc innego wyjścia, jak odesłać łaskawego i cierpliwego czytelnika do poważnej literatury, której wykaz w różnych językach, (dla dogodzenia różnym zdolnościom i upodobaniom) podałem na końcu dysputy.

I dzisiaj to samą powtórzę, bo poważnego zagadnienia inaczej traktować mi niewolno.

Powtórzę więc tylko krótko (nie zaglądając do numeru lutowego) zasady rozwiązania tej kwestji.

A więc: wolna wola człowieka jest darem Boga, bo mógł Pan Bóg stworzyć sobie marjonetki. Ale choć to jest dar boski, dobrowolny, szanuje go Pan Bóg w człowieku i, będąc konsekwentnym, nigdy nie zmusza woli człowieka, najwyżej oddziałuje na nią z zewnątrz, podobnie jak wiele innych czynników. Wyjątkowo tylko, np. przy nagłych nawróceniach ludzi, zawraca na miejscu wolę człowieka, ale i tutaj trzyma się normalnej drogi, t.j. oświeca w sposób nadzwyczajny umysł, który dopiero wolę za sobą pociąga.

Cokolwiek więc człowiek czyni, jako człowiek, czyni zawsze na podstawie wewnętrznej zgody woli, która może w każdej sytucji powiedzieć „tak" lub „nie", choćby nazewnątrz człowieka tego zmuszano do czynu wprost przeciwnego. Woli ludzkiej nie dosięgnie żadna moc i nikt nie wyrwie jej decydującego aktu. Najwyżej można wyrwać z umęczonych ust z torturowanego fizycznie lub moralnie męczennika odpowiedź, uwalniająca go od męki, ale wewnętrznego słowa i postanowienia nie złamie, ani narzuci żadna potęga.

Odróżnić trzeba następnie wszechwiedzę Boga i Jego wszechmoc, t.j. nieomylność i niezmienność Jego woli. Pan Bóg wie wszystko, przewiduje wszystko i cokolwiek postanowi, spełni zawsze, a postanawia wszystko jedynie według praw na-

tury, jaką ustanowił sam, bo jest mądry nieskończenie, a więc przedewszystkiem najbardziej logiczny sam z sobą. W stosunku więc do wolnej woli ludzkiej jest jedynie jako czynnik zewnętrzny, wewnątrz zaś nadaje jej tylko ogólną moc działania i wolnego działania, bo jest Pierwszą Przyczyną wszystkiego (o czem niżej powiemy.)

Ta wszechwiedza i wszechmoc Boża są przedwieczne, bo są z natury swej wieczne, t.j. trwające niezmiennie, a więc zawsze.

Jak wiadomo z kosmologji, czas jest to wymiar trwania, które ma oddzielne momenty, poprzednik i następnik, zastosowany do natury materjalnej, składającej się z cząstek. Duch zaś nie ma cząstek, a więc jest niezmienny, a więc jego trwanie jest niezmienne, bez poprzednika i następnika. To jest trwanie wieczne.

Bóg więc, jako wieczny, trwa niezmiennie, zawsze „jest", niema w nim przeszłości, ani przyszłości, jest tylko zawsze teraźniejszość. Bóg wszystkie czasy ma zawsze przed sobą (tego sobie, jako ludzie żyjący w czasie, nigdy nie wyobrazimy, bo to jest przeciwne naszemu ustrojowi, ale zrozumieć przy dobrej woli można). Zastrzegam się przytem, że kwestji wieczności nie traktuję tutaj ex professo, tylko o niej wspominam— więc jej nie wyczerpuję.

Wobec tego wszystkie nasze czyny wolne są Bogu zawsze wiadome, zanim się jeszcze staną, a wiadome są jako dobrowolne Bóg *przewiduje*, a raczej wie o nich zawsze, ale *nie drzeznacza*. I choć człowiek z wolnej woli swojej czyni źle, choć się potępia dobrowolnemi złemi czynami, Pan Bóg nie przeszkadza, bo jest zawsze wierny wolności człowieka, wpływa tylko na wszelki sposób, żeby mimo nadużyć wolnej woli, doprowadzić człowieka do skruchy i zbawić jego duszę.

Przechodzę teraz do pierwszej wątpliwości. Pan Bóg przewidział modlitwy potępionych, widział, że będą potępieni. Dlaczego ich powołał?

Człowiek przychodzi na świat z wolnej woli człowieka. Pan Bóg tylko stosuje się do tej ludzkiej woli i nowemu człowiekowi daje nieśmiertelną duszę. Gdy już raz człowiek się stał Pan Bóg daje mu wszystko, by zbawił swoją duszę. Człowiek jednak decyduje sam o tem, czy korzystać z tych środ-

ków, danych mu przez Boga. Niestety, jak to z własnego życia wiemy, odrzuca nieraz tę pomoc bożą. Pan Bóg nie zraża się tem bynajmniej. (proszę przejrzyć art. „Dobry Pan Bóg wśród grzeszników"—Pro Christo № październikowy, 1928 r.) Do końca życia walczy miłosierdzie Boże z wolną, ale chorą wolą człowieka i najczęściej, przynajmniej w ostatnim momencie, doprowadza do zwycięstwa dobra Źle więc ludzie sądzą, myśląc, że tak wielu jest potępionych.

Zbrodniarzami źli ludzie nie byli od kolebki, stali się później pod wpływem różnych kolei życia. Modlitwy ich były przewidziane i spełniły się zawsze w sposób najlepszy, t.j. prośby o zbawienie wyprosiły im napewno łaskę nawrócenia, prośby o rzeczy doczesne sprowadziły im to, co było dla ich duszy najbardziej pożyteczne (dobra matka niezawsze da dziecku to, o co prosi, ale zawsze to, co jest dla niego lepsze, choćby chwilowo było przykrem).

Nie wątpmy więc w zbawienie największych nawet zbrodniarzy i nie wińmy w niczem Pana Boga, bo powtarzam, ludzie są z woli ludzkiej, a z ogólnej mocy twórczej, danej im przez Boga. Bóg tylko prowadzi dalej dzieło człowieka, oddając bez zastrzeżeń wszystkie skarby łaski każdej duszy. Oto cała najszlachetniejsza w tem rola Boga. Resztę czyni sam człowiek, przyjmując lub odrzucając szczodrobliwość bożą.

* * *

To wszystko piszę „w skrócie", jako odpowiedź na odpowiedź i zupełnie poważnie odsyłam do literatury naukowej tych wszystkich, którzyby chcieli te kwestje naukowo sobie rozświetlić. Ja tylko mogę drogę wskazać; na napisanie dzieła na tem temat, zamałym, niestety, jestem człowiekiem.

Co do dalej stawianych kwestyj i wywodów, przyznam również z pokorą, że kilka razy je odczytywałem i nie mogłem należycie zdać sobie z nich sprawy. Winę przypisuję sobie, bo naprzód: zaciasną mam głowę, powtóre: nie przywykłem do tak wysokiej terminologji, bo, jak to widać z moich prostaczych odpowiedzi, operuję zwykle pojęciami najprostrzemi, nie wdając się w nowoczesną terminologję, któraby potrzebowała osobnego komentarza; po trzecie: jestem takim prozaikiem z jednej strony a więc ignorantem wszelkiej naukowej „poezji i rapsodji chaosu", a z drugiej takim racjonalistą, że jeżeli nie mam całego rów-

nania skróconego do ostatecznej formy: „a=a“, trudno mi jest zdecydować się na rzucenie się „z głową“ w cudne morze, ale nieobliczalne bałwany spienionych fal, wirów i pian, do mnie przemawia tylko spokojna głębia.

O ile w mojej prostaczej myśli śmiem analizować „piękną“, naukę w powyżej przytoczonych wierszach mowa jest o tem, że Bóg jest „pierwszy i ostatni”, pierwsza przyczyna, centrum wszystkich emanacji bytu i ostatnią entropją, ostatnim spoczynkiem, czyli mówiąc po staremu, ostatecznym, najwyższym celem światów.

Ale, że to wszystko razem wzięte jest „Wielką Niewiadomą”, „kreatorycznem „X”, — bo któż mógł zbadać nieskończoność, kto był tym Matusalem, który mógł być świadkiem początków wszystkiego i kto zobaczy koniec wszechrzeczy? Czy raczej wszystko nie jest jednym, powszechnym „Wszechbytem", „Wszechbogiem", „Panteos"?

Chciałbym na to odpowiedzieć zasadniczo, nie wdając się w szczegóły wszystkich tych myśli.

Odpowiedź moja jest ta: obok doświadczenia własnego, czy świadków (historja), wielkim, najpotężniejszym i jedynym środkiem poznania prawdy jest *rozum*. Doświadczenia wszelkie, tradycja i t. p. są tylko jego sługami na potwierdzenie jego przesłanek i procesu myślenia, lub jako okazje i pobudki (terminus a quo) jego badań i rozumowań. Wszelkie wynalazki i odkrycia (szczególnie w zakresie praw przyrody) powstały albo dlatego, że myślenie abstrakcyjne nakazywało uczonemu iść w tym kierunku, bo tak, według jego teoretycznego jeszcze wyliczenia być powinno, albo dlatego, że w jakimś nieznacznym nieraz szczególe doświadczalnym teoretyczny umysł dostrzegł ślad czegoś powszechnego, które następnie stwierdził na innych miejscach, skojarzył z już istniejącemi zdobyczami prawdy i ostatecznie utwierdził się, że tak jest.

Obok tych prawd, które możemy stwierdzić doświadczalnie, musimy przyznać konieczność istnienia prawd t. zw. metafizycznych, t. j. stanowiących podstawę, źródło i syntezę (zależy z której strony je brać) tych wszystkich poszczególnych prawd i praw. Jest to teren ściśle rozumowany, abstrakcyjny (którego prawdziwość stwierdza całość praw i prawd doświadczalnych, od nich pochodzących). Są przecież takie przymioty istnień, które się

stosują do nich wszystkich, jak to, że one są bytami, że są prawdziwemi, pięknemi, jednemi w sobie, dobremi—są to t zw. „transcendentalne przymioty bytów", w każdym z nich widzimy to, czem każdy z nich jest i to, że jest, istotę ich i istnienie i t. d. i t. d. Te wszystkie zagadnienia musimy poznać naprzód, jeśli chcemy mówić o prawach fizycznych, o ruchu, o monadach, o konkomitencji i entropji, o magnesie miłości, czy dynamicie nienawiści, o wszelkich wstrętach, gniewach, czy pociągach, o zaklętych w duszy ludzkiej aniołach i t. d. o Bogu wreszcie, jako jednym z tych bytów.

Jest to metafizyka czysta. I tak, jak przyznajemy słuszność wszystkich prawd doświadczalnych, które ze swej podstawy opierają się na tych „ponadfizycznych" granitach, tak samo tę moc prawdy musimy przyznać konsekwencjom z tych prawd w świecie pozadoświadczalnym, duchowym, niematerjalnym—bo prawda jest jedna tylko i te same jej prawa i procesy, w materji i duchu, w przeszłości i przyszłości, w czasie i wieczności i, da Bóg, tam w niebie te same prawdy znajdziemy zawsze wieczne i niezmienne.

Jeżeli więc metafizyka najściślej logiczna doprowadza nas (a tak jest) do wytworzenia sobie filozoficznego pojęcia Boga, co później zostało stwierdzonem przez Objawienie (to jest już inna kwestja) i doświadczeniem historycznem—musimy lojalnie przyznać tym wnioskom wartość prawdy i nie nazywać ich „Wielką Niewiadomą", ale „Wielką, Prawdą" choć bardzo, przyznam niedostępną.

W tej kwestji odsyłam znowu czytelnika z anielską cierpliwością do artykułów Ks. Bogdańskiego w „Pro Christo" z miesięcy Październik—Grudzień 1927 r. i Styczeń—Marzec 1928 r. w pierwszym dziale „Religja i moralność".

W końcu proszę bardzo o dalsze kwestje, tylko bez niedostępnej dla mego prostactwa terminologji i bez żądania pisania wielkich dzieł, bo... będę myślał, że jestem conajmniej wyrocznią świata i musiałbym iść tam, skąd otrzymałem cenne pytania.

* * *

Pyt. Religja nas uczy, że człowiek, umierający bez skruchy w grzechu śmiertelnym, jest potępiony i cierpi męki w pie-

kle. Jak się to może stać, kiedy dusza człowieka jest niematerjalna?

Odp. O potępieniu człowieka pisaliśmy już nieraz, że nie można niem tak łatwo szafować, bo łaska boska jest wszechpotężna i miłosierdzie boże nieskończone. Pan Bóg do ostatka walczy o zbawienie każdej duszy i zwycięża nawet już wtedy kiedy ciało sparaliżowane nie może żadnego znaku wewnętrznej skruchy konającego okazać. Gdy znajdziemy się kiedyś u stóp Boga, ujrzymy te cuda bożego miłosierdzia i przekonamy się wreszcie, jak naprawdę Bóg jest niepojęcie dobry dla człowieka.

Lecz, jeżeli mimo naglącego działania łaski, człowiek świadomie nie wzbudzi w sobie skruchy i, mając wolną wolę, będzie uparcie trwał w buncie przeciwko Bogu do końca — oczywiście, będzie musiał ponieść tragiczne konsekwencje sprawiedliwości, która po wyczerpaniu miłosierdzia musi wydać wyrok potępiający.

Potępienie jest największą tragedją człowieka. Jako skutek potępienia, nieszczęsny, uparty grzesznik musi cierpieć. Cierpi jego dusza, a później po zmartwychwstaniu i ciało, jako współpracownik duszy.

Właściwa kara potępienia polega na odrzuceniu człowieka od Boga, na niemożliwości widzenia i obcowania z Bogiem. Cała natura człowieka dąży do posiadania dobra i prawdy, do szczęścia. Dusza nieśmiertelna, a więc nieskończona, dąży do posiadania nieskończonej prawdy, dobra i szczęścia, którem jest jedynie Bóg. To pragnienie jest w niej tak potężne, jak nieskończoność jej natury. Właściwie każde cierpienie ludzkie jest spowodowane częściowo utratą tego szczęścia. Utrata zaś szczęścia nieskończonego, do którego się cała istota człowieka wyrywa, utrata bezpowrotna i beznadziejna i świadomość, że człowiek sam, z własnej woli tę utratę spowodował, mimo, że Bóg do ostatniej chwili wyciągał doń rękę ojcowską, będzie tym „robakiem", gryzącym duszę, doprowadzającym ją do szału rozpaczy.

Pozatem — jako dodatkowa kara spotkają potępionych męki fizyczne. Pan Jezus w Ewangelji mówi wyraźnie o „ogniu piekielnym, który nigdy nie gaśnie".

Męki przedewszystkiem cierpi dusza, która ma świadomość. Ból fizyczny, który nieraz odczuwany w sposób bardzo przykry, jest cierpieniem duszy, ciało jest tylko materją, która powoduje ból. Ale bez świadomości duchowej nie byłoby cierpienia. Do-

wodem tego jest tak proste, a często spotykane doświadczenie, że czujemy skaleczenie dopiero wtedy, gdy je spostrzeżemy. Lepszym jeszcze dowodem są operacje chirurgiczne, dokonywane bez znieczulenia, a tylko pod narkozą. Nie czujemy wtedy szalonego bólu, bo jesteśmy nieprzytomni i nie mamy świadomości naszych ran. Ból zaczyna się dopiero po przebudzeniu. Cierpi więc właściwie dusza. Przed zmartwychwstaniem ciał dusza niematerjalna może cierpieć „fizycznie" tylko w sposób niezwykły, bez stosowania przewodu cierpienia, nerwów. W ten tylko sposób można zrozumieć twierdzenie Pana Jezusa o „mękach dusz w ogniu". Ale Pan Jezus dał dowodów niemało, że co mówił, jest prawdą. Nic przeciwnego rozumowi tu niema, bo źródło cierpienia, dusza, jest na miejscu, przyczyna, ogień, również, brak tylko przewodników, nerwów fizycznych. Ale to może łatwo wszechmoc uzupełnić. Wierzmy Panu Jezusowi, ale nie myślmy, że do nas będzie te przykre rzeczy stosował. Dobry On jest, bądźmy i my dobrymi i myślmy o niebie, które na nas czeka.

* * *

Pyt. Dlaczego naród żydowski, mimo spełnienia się proroctw mesjańskich na osobie Chrystusa, nie chciał Go uznać za Mesjasza?

Odp. Był to jeden ze smutnych skutków wprowadzenia polityki do religji.

Żydzi utracili niepodległość na kilka wieków przed przyjściem na świat Zbawiciela. Naród cierpiał bardzo z tego powodu. Jarzmo pogańskich tyranów dokuczało im strasznie. Z pragnień narodu zaczęły się tworzyć legendy o przyszłych bohaterach, którzy go wyzwolą z pęt niewoli.

W narodzie żydowskim grunt był do tego bardzo podatny, gdyż Proroctwa przedstawiały przyszłego Mesjasza, jako Wielkiego Wodza i Króla, który zapanuje nad całym światem. Oczywiście, była tu mowa o panowaniu duchowem Zbawiciela.

Jednakże pod wpływem niedoli politycznej, a również pod wpływem politycznej agitacji, zaczęto powoli urabiać opinję, że ten tak wielki i potężny Mesjasz, będzie owym Wybawicielem Narodu z niewoli władców politycznych, a nie z niewoli grzechu.

Gdy na drogach palestyńskich ukazał się Zbawiciel, cichy i pokorny, przebaczający wszystkim, potępiający miecz, nakazujący płacić daninę Cezarowi, mieszający się z tłumem, ubogi i prosty — odwróciły się od Niego nadzieje wszechwładnych podówczas partyj polityczno-religijnych: Faryzeuszów i Saduceuszów. Wzgardzono Nim, jako słabym defetystą.

Gdy, na domiar złego, Chrystus zaczął publicznie potępiać błędy obłudnych wodzów narodu i żądać powrotu do prostoty, do prawdy, do zachowania ducha religji raczej, a nietyle przepisów formalnych, które zabijały ducha, oprócz wzgardy, wybuchła przeciwko Niemu głucha nienawiść i zapadło postanowienie zgładzenia ze świata niewygodnego Mesjasza—moralisty.

Obałamucenie tłumów i obudzenie w nich fanatyzmu, religijnego, było już rzeczą nietrudną dla tych mistrzów obłudy i demagogów politycznych którzy z jednej strony potępiali Chrystusa za rzekome tchórzostwo i sprzyjanie Cezarowi, z drugiej oskarżali Go przed Władzą rzymską o „podburzanie ludu".

Było to morderstwo z premedytacją, wbrew świadomości rozumu, a u ludu ciemny zawiedziony fanatyzm.

Na te dwie choroby niełatwo znaleźć lekarstwo, są prawie nieuleczalne.

* * *

Pyt. Chrystus Pan używał w mowie takich zwrotów, z którychby można wnosić, że nie był Bogiem. Tak np. modlił się do Ojca słowy: „ten jest żywot wieczny, aby poznano Ciebie, jedynego, prawdziwego Boga i któregoś posłał, Jezusa Chrystusa" (Jan. 17: 3). A gdzieindziej znów mówi: „Ojciec jest większy ode mnie" (Jan. 14: 28), albo: „A o dniu owym (dzień sądu ostatecznego) i godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebiesiech, ani Syn, jeno Ojciec". (Mar. 13: 32).

Odp. W Panu Jezusie były dwie natury: boska i ludzka, był On prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem, w jednej Osobie Boskiej. Był Synem Bożym i Synem Marji, w sposób nadprzyrodzony poczęty. Na tem właściwie polega cała tajemnica odkupienia, że Chrystus, jako prawdziwy człowiek, występował w imieniu ludzkości, a jako prawdziwy Bóg, nadawał swemu zadosyćuczynieniu wartość nieskończoną, okupując tem dostatecznie sprawiedliwość bożą. Pan Jezus był zupełnie

świadom swej podwójnej natury i podkreślał ją nieraz wyraźnie. Mówił o Sobie, jako o Bogu, że jest wiecznym, wszechmocnym i t. p. gdy twierdził, że „zanim Abraham się stał — Jam (jako Bóg) jest", że gdyby zburzono tę świątynię, On ją wystawi łatwo bez pomocy ludzi, gdy miał na myśli zmartwychwstanie Swoją Boską mocą.

W przytoczonych zaś tekstach mówi o Sobie, jako o człowieku, że Go Bóg posłał, że Bóg większy jest od niego, że nie wie dnia sądu ostatecznego i t. p. On był jednak przedwiecznym, jako Bóg, równym Ojcu, jako Bóg i wszechwiedzącym, jako Bóg zawsze.

Pyt. Pan Bóg gniewa się na człowieka, gdy grzeszy, przebacza mu zaś, gdy potem za grzech swój pokutuje—a więc się zmienia.

Odp. Takie wyrażenia, jak... „Pan Bóg się gniewa, przebacza" i t. p. są na sposób ludzki stosowane do Niego tylko dlatego, że nie mamy innego na to wyrażenia. U nas, ludzi, są to stany zmienne, następujące jeden po drugim, wymagające pewnego czasu. Pan Bóg zaś nie żyje w czasie, jest wieczny, dla Niego jest tylko zawsze niezmienna teraźniejszość.

Wyrażenia te nie orzekają stanów Boga, lecz człowieka grzeszącego lub pokutującego. To znaczy, że gdy człowiek grzeszy, jest w takim stanie, w którym zasługuje „na gniew", t. j. narusza porządek boski, a gdy pokutuje—naprawia ten naruszony porządek i przywraca porządek normalny.

Pan Bóg zaś w swej wiecznej, niezmiennej teraźniejszości ma zawsze przed oczyma wszystkie czyny człowieka i grzech i pokutę i całe życie ludzkie i jedno zawsze usposobienie i pragnienie: uszczęśliwienie człowieka i wieczne jego zbawienie.

* * *

Pyt. Jednakże Pan Bóg zmienia się, albowiem stwarzając świat, stał się jego stworzycielem, którym pierwej nie był.

Odp. Zmienia się to, co przedtem było, a teraz nie jest, lub się staje, gdy nie było przedtem. Zmiana może być tylko tam, gdzie są cząstki, t. j. materja z cząstek złożona. To, co jest całością niepodzielną i zawsze trwającą, zmieniać się nie może, ale albo jest, albo go niema. To, co niema cząstek, nie może się zmienić, bo nie może w niem nic ustępować, ani przybywać, jest niepodzielnem. To, co jest zawsze trwającem

t. j. wiecznem, jest również niezmiennem, bo niema w niem cząstek czasu, poprzednika i następnika, których wymaga każda zmiana.

Pan Bóg jest niepodzielny, bo jest duchem, niezłożonym z cząstek i wiecznym, zawsze trwającym — a więc jest niezmiennym. Ponadto tę swoją niepodzielność i wieczność ma Sam ze Siebie, Jego istotą jest „być", jest Pierwszym Bytem i Pierwszą Niezależną Przyczyną. Nie było więc żadnego momentu, ani będzie, kiedyby Pana Boga nie było. Mogą się zmieniać byty dokoła Niego, całe nawet światy, ale On pozostaje w swej pełnej istocie zawsze ten sam.

W stosunku do świata Pan Bóg był jego stworzycielem zawsze, od wieków, bo żył zawsze w teraźniejszości, w niej przed wiekami, przed istnieniem czasu postanowił stworzyć świat i w niej, w tej teraźniejszości ten świat stworzył. Od tego momentu zaczął się czas. Ale u Boga zawsze to była ta sama teraźniejszość, jak jest teraz i będzie bez końca. Zmienił się tylko świat poza Nim, bo przedtem nie był, a później się stał i zmienia się w swych atomach ciągle. Lecz Bóg trwa zawsze niewzruszony, niezmienny, wieczny i teraźniejszy.

Pyt. Jak pogodzić z Opatrznością Bożą istnienie zła fizycznego, jakiem jest: choroba, straszne wypadki i katastrofy w przyrodzie, jej niekorzystne wpływy i t. p.? Religja nas uczy, że Pan Bóg, zsyłając na człowieka cierpienia fizyczne, czyni to zawsze dla wyższego celu, dla większego dobra fizycznego lub moralnego, które z natury swej jest wyższe, niż wszelkie dobro fizyczne. Jeżeli tak - to dlaczego cierpią zwierzęta, skoro to cierpienie nie pochodzi z ich winy, ani nie jest dla nich bodźcem do ich postępu kulturalnego lub moralnego, ani nie może być wynagrodzonem w życiu przyszłem?

Odp. Na te pytanie dałem odpowiedź w numerze grudniowym 1928 r. „Pro Christo". Odsyłam więc tam łaskawego czytelnika. Tutaj tylko przypomnę niektóre zasady tam podane.

Zło fizyczne jest skutkiem źle zastosowanych praw i mocy naturalnych. Moce te i prawa wszystkie są z natury swojej jedynie pożyteczne, zbawcze i dobroczynne.

Elektryczność w piorunie, siły wichrów i bałwanów morskich, ogień i woda tyle mogą uczynić dobrego, jeśli się je do-

brze zużytkuje. A na to Pan Bóg dał rozum człowiekowi, by umiał to wszystko opanować i uczynić swemi niewolnikami. I da Bóg, gdy technika ludzka, dzisiaj już genjalna, wzniesie się jeszcze wyżej, będzie tych katastrof coraz mniej, a może ustaną zupełnie. Wtedy tylko ludzka nieostrożność będzie powodowała wypadki. Ale to już nie Pan Bóg jest temu winien.

A przyznajmy, cobyśmy dzisiaj robili bez elektryczności, bez ognia, bez siły wody!

To, że, jako siły ślepe, mogą te żywioły spowodować katastrofy, jest tylko pobudką dla ludzkiego genjuszu do udoskonalenia naszego życia, do coraz większego postępu, a nawet do pamiętania na swoje zbawienie, skoro życie niezawsze pośród tych mocy jest pewne. Bądźmy więc coraz mądrzejsi i lepsi, a to wszystko stanie się naszym sługą i dobroczyńcą. Wiedział Pan Bóg, co robi i dobrze wszystko uczynił.

Zwierzęta nierozumne w trudnych warunkach swego życia też wyrabiają swą zręczność, przemyślność i mają większe zadowolenie życia z trudniej zdobytego łupu, niż, gdyby im gołąbki same do gąbki wpadały. Zresztą nie jest im tak źle, jak sądzimy, myśląc o ich życiu według naszych wymagań. Nie przejmują się one wcale byle głupstwem, tak, jak my to czynimy; mniej cierpią, bo nie mają tak delikatnych nerwów. a łatwiej znajdują zadowolenie, bo skala ich wymagań jest mniejsza.

A przedewszystkiem sam fakt, że żyją, daje im tyle tego zadowolenia, że nie liczą napewno okupu, jaki za życie składają

* * *

Pyt. Pan Bóg może swoją wszechpotężną łaską odwrócić człowieka od grzechu, nie czyniąc żadnej ujmy jego wolnej woli—a więc powinienby zawsze to czynić.

Odp. Przedewszystkiem, choćby tak było, nie miałby Pan Bóg ścisłego obowiązku ciągle „biegać" koło człowieka i zważać na wszystkie jego kaprysy — gdyż nigdy się do tego nie obowiązywał, a wszystko co człowiek ma, ma z Jego szczodrobliwości. Byłby to tylko obowiązek miłości, a raczej nie obowiązek, tylko konsekwencja miłości, że Pan Bóg, jako miłujący człowieka prawdziwie i najbardziej, usuwałby proch z pod jego nóg.

I tak rzeczywiście Pan Bóg robi. Zapytajmy siebie samych, albo chociaż tych, którzy doznali łaski nawrócenia, jak ten do-

bry Pan Bóg używał wszystkich środków i łagodnych i wkońcu wstrząsających, by ich naprowadzić na dobrą drogę. Człowiek by tego nigdy nie uczynił, bo uważałby sobie za ujmę, za obrazę, niehonorowość, gdyby powracał ze swoją łaską tam, gdzie jej już raz nie przyjęto i trzaśnięto za nim drzwiami, drwiąc sobie i szydząc ze wspaniałomyślnego dobroczyńcy (por. artyk. Ks. Bogdańskiego. Dobry Pan Bóg wśród grzeszników. Pro Chrysto, Październik, 1928).

Ale Pan Bóg nie trzyma się żadnych „kodeksów honorowych", ma na myśli tylko nasze dobro i do ostatniej chwili szturmuje do naszych dusz.

Tylko właśnie nie może odwrócić człowieka od grzechu, nie czyniąc ujmy jego wolnej woli. Bo właśnie grzech jest zwróceniem się *dobrowolnem* człowieka do złego i wszelki nacisk położony wprost, bezpośrednio na wolę, byłby już gwałtem i naruszeniem istoty jej wolności.

Wolność woli jest zagwarantowana przez Pana Boga do tego stopnia, że nawet Pan Bóg jej nie zmusza, bo byłby sprzecznym sam ze sobą, gdyby dał tę wolność, a sobie jednak zostawił prawo jej ograniczania.

Za to na wszelki możliwy sposób wpływa pośrednio na wolę i umysł człowieka, by go od złego odwieść i zbawić. Zbawienie nasze w naszem jest tylko ręku, od zgody naszej woli zależy jedynie, bo ze strony Pana Boga mamy zapewnioną wszelką pomoc i tyle łaski i miłosierdzia, że wystarczy nam ich zawsze, choćbyśmy latami całemi przeciw Bogu walczyli i dopiero w ostatniej chwili zwrócili się ku niemu.

Pan Bóg to nie człowiek—to *Dobry Bóg.*

* * *

Pyt. Dlaczego nie mamy przypisać własnemu rozumowi zwierząt celowego ich działania, którem zdają się naśladować człowieka? Nauki przyrodnicze dowodzą, że celowy porządek w naturze wynika koniecznie z samych praw natury.

Odp. Działanie celowe jest zawsze dowodem rozumu, albowiem oznacza ono, że działający jest świadom tego, do czego dąży, świadom tego, co czyni w danej chwili i musiał się zastanowić, jakiemi drogami dojść do osiągnięcia tego celu i że to, co teraz spełnia, jest środkiem do tego. Te wszystkie akty

i procesy psychiczne są aktem rozumowania, a gdzie jest akt rozumowania, tam musi być i władza rozumowania, t. j. rozum.

Ale, by działanie można było nazwać celowem, musi ono odpowiadać wielu warunkom, a przedewszystkiem być zawsze zastosowanem do sytuacji, nie być szablonowem, zmieniać się i udoskonalać ze zmianą okoliczności, musi z biegiem czasu przez nabyte doświadczenie stawać się coraz bardziej uproszczonem i skutecznem. To dowodziłoby niezbicie, że tam pracuje świadomy rozum, bo znowu jednym z zasadniczych aktów rozumu jest refleksja i wnioskowanie.

Tego jednak, niestety, nie możemy stwierdzić u zwierząt, mimo ich technicznej genjalności, przewyższającej niejednokrotnie pomysły i zręczność ludzi. Przeciwnie, widzimy w nich szablon i bezmyślność.

Weźmy np. cuda architektury pszczół lub bobrów. Takiej komórki woskowej, tak matematycznie ścisłej i symetrycznej, jak budują pszczoły, może im człowiek pozazdrościć. Tak solidnych robót wodnych, jak je wykonują bobry, nie powstydziłby się żaden dyplomowany inżynier.

Ale... zróbmy otwór w denku komórki, do której pracowita pszczoła składa swój miód. Nic łatwiejszego, zdawałoby się, jak położeniem warstwy wosku naprawić to uszkodzenie. Ale pszczoła na to się nie zdobędzie. Widzi, że miód przecieka, że komórka zawsze pusta, ale pozostaje bezradną i ciągle miód do komórki znosi. Jest to dowodem zupełnej bezmyślności w tym przedziwnym budowniczym. Minął czas budowy komórek, instynkt nakazuje znosić miód, więc go znosi, nie troszcząc się o to, że *nie osiąga celu*. Albo weźmy pod obserwację bobry w klatce bez wody. Dajmy im materjał, a zaczną znowu budować swoje tamy rzeczne i domki wodne. Poco? przecież wody tam niema? Ale one robią, bo nie rozumieją celowości swych czynów, działają tylko pod wpływem ślepego instynktu, a niema *w nich rozumu*, który należycie ocenia zmianę sytuacji i do niej się dostosowuje.

Takich przykładów nauki przyrodnicze mogą przytoczyć bardzo wiele, z każdym cudem techniki zwierzęcej.

Celowy porządek w naturze wynika rzeczywiście z samych praw natury. Lecz kto tym martwym prawom dał taką celo-

wość, kto je tak sharmonizował i tak niemi pokierował, żeby utworzyły ten przecudny świat?

Kamień, woda, ciała niebieskie biegnące w przestrzeń, pędzą, jak motory, ale gdyby niemi nie kierowała ręka boskiego kierowcy, gdyby On nie ułożył tak ich szyn, normując wszechmądre prawo przyciągania odśrodkowe i dośrodkowe i wszystkie inne—mysterja wszechświata, strzaskałyby się w jednym oka mgnieniu. Same one się nie ułożyły, ani rozwinęły, martwe są i w martwych kolosach. Działa tam umysł Gospodarza Świata—Boga. *Amicus.*

BOHATEROWIE WIARY.

Sylwetki Ojców Kościoła.

I.

Swięty Ambroży.

WSTĘP.

1. Wiadomości o życiu ś. Ambrożego mamy w pismach współczesnych mu pisarzy, szczególnie S. Augustyna i w biografji diakona Paulina, a wreszcie w pismach autora samego. Życiorys wspomniany, napisany przez Paulina, powstał 25 lat po śmierci Ambrożego na prośbę Marceliny, siostry biskupa medjolańskiego. Ma on cechy współczesnych biografji świętych mężów i podkreśla szczególnie stronę nadprzyrodzoną: zjawiska cudowne, uzdrowienia i objawienia.

2. Ambroży urodził się przypuszczalnie w roku 333, jeżeli nie w roku 340. Z rodziny chrześcijańskiej, z której wyszła nawet jedna męczenniczka, Sotheris. Ojciec Ambrożego był namiestnikiem cesarskim na Gallję północną z siedzibą w Trewirze. Wcześnie jednak odumarł młodą żonę, która z trojga dziećmi Ambrożym, Sytyrem i Marceliną wróciła do rodzinnych stron, czyli do Rzymu. Z młodych lat Ambrożego nie posiadamy szczegółów prawie żadnych, wiemy tylko, że poszedł za

wzorem ojca poświęcając się karjerze wyższego urzędnika w administracji państwowej tzw. cursus honorum. Służył przy boku namiestnika na całe Włochy Sekstusa Petronjusza Probusa, a wymową ognistą, choć młody, zyskał odrazu mir swego przełożonego i otrzymał dwie prowincje w samodzielną admistrację: Ligurję i Emolję z siedzibą w Medjolanie. Był urzędnikiem nad wyraz sprawiedliwym i w krótkim czasie zdobył ogólne zaufanie i szczere przywiązanie.

Biskupem w Medjolanie był Auksencjusz, zarażony błędami Arjanów. Umarł zaledwo rok po przybyciu Ambrożego do Medjolanu, a mimo to lud oświadczył, że tylko Ambrożego chce mieć biskupem, choć nie miał żadnych święceń, przeciwnie był dygnitarzem świeckim. Nie pomogło. że się wymawiał, biskupi okoliczni wyrazili zgodę na wybór tak trafny a sam cesarz Valentinjan II przychylił się do ogólnego życzenia. Przyjmuje więc Ambroży wprzód chrzest, tydzień później sakrament kapłaństwa w dniu 8 września 374 r., wbrew istniejącym przepisom, by biskupem został kto już dłuższy czas był chrześcijaninem ochrzczonym.

3. Wola ludu wprowadziła Ambrożego w dziwne położenie. Bez wykształcenia teologicznego stał się nauczycielem wiernego ludu, a bez wyrobienia wewnętrznego objął kierownictwo duchowe swej diecezji. Musiał więc, jak sam mówi, „nauczać zanim sam zdołał się był nauczyć".

Wykształcenie jego nie rożniło się niczem od wykształcenia synów wybitnych rodzin i znał klasyków łacińskich i greckich, był biegłym w przemawianiu. Krótko przed wyniesieniem do godności biskupiej próbował piora tłumacząc z greckiego na łacinę „historję żydów" Józefa, przyczem okazał upodobanie w formach alegorycznych, kwiecistych w wyrażaniu się. Na każdym kroku wymykają mu się zwroty zapamiętane z lektury Wirgila, Cycerona, Salusta. Ówcześni profesorowie literatury potrafili świetnie nauczyć korzystania z autorów pogańskich. Sztuka niejednego pisarza polegała więc często tylko na tej zdolności odtwarzania przestudjowanych autorów klasycznych. To widzimy poczęści i u Ambrożego. Pełno u niego opisów romantycznych morza, kwiecistego ogrodu, zwyczajów, zwierząt domowych.

Oczywiście, że tem nie mógł się zadowolić. Jako pisarz katolicki i biskup wielkiej metropolji musiał też podać coś treściwego w swych pismach. Przejęty wielkością nowego zadania niewątpliwie spostrzegł płytkość tej literatury, którą się karmił za młodu.

Więc widzimy go studjującego głęboko księgi natchnione Pisma ś. Innych dzieł nie chciał próbować, zanimby zdobył wiadomości katechizmowe, tembardziej że o kodeks świętych ksiąg nietrudno było, a przytem w nich znalazł najistotniejsze prawdy streszczone. W porę, czy nie w porę przytacza Ambroży w pismach swych dzwonem bijące mu w duszy słowa Boże i dziś, gdy go czytamy, nieraz niecierpliwimy się, albo czujemy przesyt dla zbytku tych wyjątków biblijnych. Ambroży przecie nigdy nie widział ich dosyć, bo w Piśmie ś. upatrywał źródło wszelkiej prawdy, piękna niewyczerpanego, filozofji jedynej i niezawodnej. Ono radzi w potrzebach życia codziennego, daje miarę uczynków. Stary Testament odpowiadał szczególnie i studjom literackim młodych lat i wyobraźni bujnej biskupa.

Ale od czasu napisania Pisma ś. myśl katolicka szła naprzód. Nie sposób nie znać nowej zdobyczy kolegów na urzędzie biskupim i rozprawy zasadnicze, które wyszły z pod ich pióra. Zabiera się więc Ambroży, jako student teologji nieco spóźniony do studjum ojców greckich. Omija, zdaje się, i niewiadomo dlaczego, Cyprjana i Tertuljana, co łacińską pisali mową, a chwyta się greckich mistrzów. Może poczuł w nich bliższe pokrewieństwo myśli, albo większą korzyść w zwalczaniu arjańskich zamysłów wielkiej części swych diecezjan. Origenes i Philow objęli wobec niego obowiązki profesorów egzegez: moralną i dogmatykę wykładają mu Atanasy, Bazyli, Cyryl Aleksandryjski; by postąpić w znajomości mistyki staje się uczniem Epifanjusza, Didyma i Grzegorza z Nasjaugu. Skwapliwie dowiadywał się o księgach, co ujrzały światło dzienne i zdobywał je nie tracąc chwili.

Uczy się więc nasz biskup na gwałt teologji, ale ustawicznie przemawia, korzystając ze świeżo nabytych wiadomości. Zmuszony jest uporządkować przed publicznym występem nowiny naukowe, zaczerpnięte w zacisznej pracowni. Sam nie chce i nie może tyle czasu poświęcić, by starannie ułożyć

bieg myśli i ich szatę zewnętrzną, to też dużo jest niedopowiedzeń, niemało zbyt trywjalnych przykładów, bo jego sekretarz ani nie miał potrzebnych zdolności ani potrzebnego wykształcenia, by je ominąć. Pisał, stenografował raczej, co wychodziło z ust jego pana.

4. Jakie też tematy mogły uwięzić uwagę byłego wojewody? Pewno nie literalne, ni sztuka, ale chyba rzeczy uchwytne: kierownictwo dusz, wyzyskanie osób i okoliczności dla dobra Kościoła. A sposobności Medjolan nastręczał aż nadto. Z końcem 3 wieku stolica Ligurji i Emilji wysunęła się po Rzymie na naczelne miejsce wśród miast naówczas znaczniejszych. Poeta Auzonjusz woła: Mediolani mira omnia. (W Medjolanie pełno cudów). W niej urzędował namiestnik cesarski na północne Włochy. Konstantyn Wielki w Medjolanie podpisał 313 sławny edykt wolności dla Kościoła. W Medjolanie urzędowali cesarze i cesarzewicze Walentynjan I, Gracjan, Walentynjan II, a często też Teodozjusz. Częste wytrząsanie spraw wspólnych Kościołowi i państwu, badanie ich zadań, wymagało wytężenia myśli w kierunku praktycznym.

A co więcej—urząd biskupi po edykcie medjolańskim górował nade wszystkiemi innemi. Poza nabożeństwem w kościele biskup był ojcem, doradcą. Jego wstawiennictwo zapobiegło wielu procesom, zwłaszcza, że nowe prawo chrześcijańskie wydane przez cesarzy dawało mu szerokie uprawnienia. Teodozjusz cesarz umożliwił biskupom rozstrzyganie wszystkich procesów, a w r. 384 powierzył trybunałowi biskupiemu wyłączne prawo rozpatrywania spraw toczących się między duchownymi.

Chateaubriand, romantyk francuski, w studjach historycznych nad czwartym wiekiem trafnie wykazał obręb kompetencji biskupa chrześcijańskiego: „Biskup chrzcił, powiada, spowiadał, nauczał, wydawał wyroki pokutnicze, prywatne lub publiczne, odwiedzał chorych, zaopatrywał umierających, grzebał umarłych, wykupywał niewolników i jeńców, karmił ubogich, wdowy, sieroty, kierował szpitalami i przytułkami, zawiadował dobrami duchownemi, był rozjemcą w sporach, godził zwaśnione osoby fizyczne i moralne. Równocześnie publikował traktaty moralne, dyscyplinarne i teologiczne, odpierał ataki heresjarchów i filozofów wolnomyślnych, popierał naukę i sztukę, listownie odpowiadał proszącym z dalekich nieraz stron o radę, korespondował

z papieżem, z biskupami kraju, zakonnikami i pustelnikami, jeździł na sobory prowincjonalne i powszechne, zasiadał w radzie cesarza, podejmował się rokowań między naczelnikami szczepów: trzy wielkie dziedziny życia religijna, polityczna i filozoficzna skupiły się w ręku biskupa".

Dziś już poszczególne działy zadań biskupich są podzielone między wikarjuszów, proboszczów, dziekanów, kapitułę, oficjała i wikarjusza Generalnego podobnie jak i w dziedzinie świeckiej nastąpił podział między władzą sądową, administracyjną, wojskową, szkolną, polityczną.

5. Jeżeli Chateaubriand wylicza zadania wszystkich biskupów, to może w wyższym jeszcze stopniu odnosi się to do ś. Ambrożego. Był on przecie doradcą cesarzy Gracjana, Walentynjana II i Teodozjusza. Podczas dwudziestu z górą lat, od r. 378 aż do r. 397, daty śmierci, był duchem opiekuńczym całego cesarstwa. Ile razy moralnym swym wpływem uchronił cesarzy od osłabienia ich władzy, ile razy zniweczył bezecny wpływ dworzan chciwych panowania, a pozbawionych sumienia politycznego. A cesarze wiedzieli, że mogą zaufać temu biskupowi, co nietylko był pasterzem, ale także był patrjotą rzymskim i wybitnym mężem stanu.

Ambroży w sercu i w głowie zjednoczył idee cesarstwa rzymskiego i Kościoła Chrystusowego, był zapalonym zwolennikiem ścisłej współpracy władz duchownych z władzami świeckiemi. Rzym wydawał mu się nietylko posiadaczem posłannictwa Bożego, ale także samodzierżcą myśli politycznej. Widział on, że wpływy z zewnątrz bijące, które waliły w mury gmachu politycznego, także w postaci arjańskiej herezji paraliżowały życie religijne i kościelne.

Jego poglądy dzielił też św. Augustyn, jego dziecię duchowne, głosili w średniowieczu św. Tomasz z Akwinu, przypuszczalny autor De regimine principum, i Dante w piśmie De monarchia christiana. Średniowiecze patrzało bowiem znowu na państwo rzymskie, choć poprzez kataklizmy wędrówki ludów. Dziś nie wierzymy już w hegemonję Rzymu na terenie politycznym, choć teza ta znalazła potężnego przedstawiciela w osobie Mussoliniego, genjalni myśliciele jak Tomasz z Akwinu i Dante dowodzą, jak mądra była myśl św. Ambrożego do pewnego czasu. My wszakże poprzez 1500 lat przestrzeni jesteśmy zawsze i bę-

dziemy wyznawcami idei Ambrozjańskiej, że tylko zgodna współpraca pierwiastków świeckich i czynników kościelnych może naprawdę ludowi przynieść najwyższą sumę szczęścia.

6. Jaki cel miał na oku Ambroży w niezliczonych swych zabiegach? Nasamprzód znając jak nikt inny zachłanność etatyzmu, broni Kościoła przed nieuzasadnionymi i niesprawiedliwymi pretensjami Skarbu Państwa. Podziwienia godna mądrość, która kochając władzę świecką, umie jednak uderzyć ją po łapach, gdy za daleko sięgają. Stanowczo sprzeciwił się, gdy fisk rzymski chciał się pokusić o nieruchomości kościelne.

Gdy wymagała tego potrzeba, szedł dalej i zmuszał do poszanowania zasad katolickiej etyki w rozporządzeniach rządowych, a posunął się nieraz aż do wykluczenia winnych ze społeczności kościelnej.

Mimo wszystką stanowczość wobec rządu biskup Ambroży z Medjolanu dąży do tego, by wyznanie katolickie żyło w najlepszem porozumieniu z państwem i by było jego moralną podporą. Sfery rządzące wzamian za to nietylko nie upośledzają katolików wobec innych związków kościelnych, ale wyraźnie odznaczają ich religję i zwalczają jej wrogów.

Mąż czynu, Ambroży miał jednak w duszy dużo dobroci. Jedna sprawa zpośród wielu dla przykładu. Pryscyljan, biskup Ascili w Hiszp. wódz bluźnierców, przeczących nieograniczonej wszechmocy Boga, spotkał się z pobłażliwością św. Ambrożego, gdyż nie przedstawiał niebezpieczeństwa dla wiary w jego okolicy, podczas gdy inni biskupi włoscy postarali się o skazanie Prisciljana na śmierć drogą nieuczciwych poduszczeń wobec władzy świeckiej. Ambroży zmartwiony surowością i nieuczciwością swych kolegów, nie szczędził im ostrych wymówek. W liście 26 pisze o tych biskupach: Chrystus nie zdobył się na potępienie jednej tylko kobiety, winnej cudzołóstwa, oni zaś uważają, że nigdy nie można dość karać i potępiać.

Miło jest słyszeć, jak Ambroży w onych czasach nieugiętych rządów wzdryga się przed biskupem, co przeprowadza swe wyroki krwawemi środkami i już dziwi się, jak może biskup uciekać się do władzy świeckiej, by tem dotkliwiej mścić popełnione wykroczenia. Jest to już daleko idąca dobroć, bo i dziś

duchowieństwo posługuje się ramieniem urzędów państwowych, żeby naprawić zło, które wyrasta ponad wpływ moralny kościoła.

Nawróceń, sprowadzonych gwałtem, nie życzy sobie Ambroży, „wpływ na dusze, oto dziedzina nasza według wzoru Chrystusa. Namową zyskujmy dusze, pisze z okazji sporu z Arjanami, by poznawały, gdzie prawdziwe ich dobro. Przytem wzdychajmy do Boga i płaczmy przed obliczem Stwórcy wspólnego". (Ps. XCV,6).

„My nie pragniemy zwyciężać, ale leczyć. My nie stawiamy pułapek, ale pobożne dajemy rady. Często pokona dobroć, kogo ujarzmić nie potrafiła siła ni rozum. Gdy Zbawiciel natknął się na zranionego przez zbójców, wtedy nie leczył go gwałtownemi środkami prawa starozakonnego czy trwałością pokutną proroków, ale winem i oliwą. Niech idą więc do Jezusa, którzy szukają zdrowia, niech zażyją leków przyniesionych z nieba".

7. Potomność wczas ze czcią wymawiała Ambrożego imię, dając mu zaszczytny przydomek „filaru Kościoła, brylantu błyszczącego na Bożym palcu, kwiatu wśród ogrodu pisarzy kościelnych". Zawsze surowy św. Heronim, sam jeden tylko nie oszczędził i Ambrożego, św. Augustyn natomiast do zgonu nie mógł zapomnieć dostojnej postaci medjolańskiego biskupa; choć przewyższał mistrza myślą filozoficzną, to w rzeczach obyczajów chrześcijańskich przytaczał głos z Medjolanu jako powagę nie do zaczepienia. Kilka wieków później zobaczył świat w najwyższym Senacie doktorów Kościoła obok Augustyna, Grzegorza także świętego Ambrożego Wielka ta postać winna być przykładem dla Kościoła zwłaszcza w dobie bieżącej. *Ks. Dr. Akt.*

Ś-ty Sebastjan-męczennik.

20 stycznia.

Kto z nas nie czytał cudnej „Fabioli" Wisemana, lub będąc w Wiecznem Mieście nie szedł przepiękną i przesławną via Appia, śladami stóp apostolskich aż do kapliczki „Quo Vadis" i dalej pośród alei drzew, podziwiając na horyzoncie zarysy gór, a tuż obok olbrzymim szarym rzutem biegnące ruiny dawnych aquaeductów, dziś jeszcze szkieletami swojemi imponujących technikom XX-go wieku i dalej jeszcze, na niecały kilometr od

pysznego mausoleum dumnej rzymianki, Cecylji Metelli, już prawie w wiejskiej ciszy aż do wspaniałej świątyni z wejściem do katakumb... Wszędzie tam wypisane imię Sebastjana, rycerza, wodza pierwszej brygady Djoklecjana, obrońcy uciśnionych, apostoła wiary, nieustraszonego wyznawcy i męczennika w czasie ostatnich lat prześladowań chrześcijan przez rzymskich tyranów.

Mam przed oczami jego sylwetkę, jakby dzisiaj jasno na tem tle widzianą. Przepyszny oficer gwardji cesarskiej, przed którym stały otworem wszystkie drzwi pałaców monarchy, arystokrata, czysty typ rzymskiego obywatela, choć nie w Rzymie urodzony, piękny postawą atlety w lśniącej zbroi, muskularny, o niespożytej sile, osmagany wiatrem i opalony słońcem, nieugięty w znoju żołnierskim, jak stal, w którą był zakuty, z oczami pełnemi ognia i jakiejś niewypowiedzianej dobroci, i zarazem mocy, pogodny, a cichy i spokojny, wśród zbytku, zepsucia i zbrodni, a prosty duszą i czysty jak łza, wśród krwiożerczych instynktów łagodny jak baranek i dobrze czyniący wszystkim... wreszcie przywiązany do słupa i przeszyty strzałami własnych żołnierzy na rozkaz tyrana... potem, —gdy już był jako martwy rzucony, — wyleczony z ran, jak staje znowu nieustraszenie oko w oko dobrowolnie przed krwawym prześladowcą imienia Chrystusowego, by mu powiedzieć w imię Chrystusa słowa upomnienia bożego... a wreszcie schłostany rózgami, gdy ducha wyzionął jako podwójny bohater-męczennik. — To Sebastjan...

Był rycerzem, nietylko powołanym przez cesarza, ale pasowanym przez Boga na rycerza ducha i to ostatnie rycerstwo było zawsze pierwszą zasadą i chlubą jego życia. Jakim trzeba było być człowiekiem pełnym, by umieć pogodzić swe obowiązki żołnierskie i obywatelskie ze wszystkiemi konsekwencjami wiary, w służbie tego, który tę wiarę postanowił zetrzeć na ziemi, a przynajmniej wyrzucić precz z granic swojego mocarstwa, a wyznawców jej zniszczyć ogniem i mieczem, więzieniem i torturami, kłami dzikich zwierząt i większą jeszcze krwiożerczością swych pochlebczych pachołków-katów! Szlachetność rycerska i nieustraszoność wiary starczyły mu za drogowskazy nieomylne wśród labiryntu intryg i przemocy. Wiara dała mu zdecydowanie i moc ducha, rycerskie sumienie prostowało mu wszystkie ścieżki życiowe.

Mieszkał i żył w samej paszczęce ziejącego nienawiścią ślepą lwa, w ognisku zbrodni, wśród przewrotnych dworaków,

skazany na kaprysy zmarnowanego nadużyciem życia władcy, w każdej chwili narażony na śmierć dla najbłahszych powodów.

Pozostaje jednak zawsze niewzruszony ani na łaskę, ani na gniew, wsłuchany jedynie w głos własnego sumienia, wiernie meldujący każdego dnia swemu wodzowi raport służbowy, a zawsze w przeświadczeniu, że u stóp Boga pełni piękną straż, z Bogiem tym w duszy zjednoczony najściślej i wpatrzony w godło krzyża, jako w swój sztandar rycerski, nieskalany i zwycięski zawsze.

Mimo swych ograniczeń służbowych i etykiety dworskiej, zawsze w duchu wierny uczeń Chrystusa i pokorny naśladowca Boskiego Mistrza, obcuje jak brat z żołnierską swą rodziną i hojną ręką i wpływem na dworze broni ostatniego z poddanych i niewolników, czyni im dobrze na wszelki sposób i głosi wszędzie, nawet w murach więziennych imię swego umiłowanego Zbawcy.

Z podziwem patrzono na dworze Cezara na tego oficera legjonów rzymskich, jak był odmienny zupełnie od zepsutego świata, w którym przebywał, jak imponował swym spokojem, równowagą ducha, swą prostotą i jakąś mocą nieugiętą, a zarazem swą dobrocią dziwną i czarem, który rozlewał dokoła.

A on szedł krokiem równym i pewnym, duszę mając pełną hymnów uwielbienia dla Boga Jedynego, Dobrego i Wszechmocnego, będąc gotowym życie swe w każdej chwili za Niego oddać.

Nie zepsuły go, ani oszołomiły zbytek i blichtr dworskiego życia. Przed oczami miał wieczność jasną, do której zdążał bez wytchnienia i bez wahania. Dlatego umiał zachować pogodny uśmiech na twarzy zawsze, choc czuł każdego dnia wiszący miecz nad swoją głową.

Wiara i miłość nadprzyrodzona, przenikająca nawskroś jego naturalne szlachetne przymioty, uczyniły go tak jak granit mocnym, a jak kwiat w słońcu popołudniowem barwnym, mieniącym się szkarłatem i bielą nieskalaną.

To nie mógł być brutalny żołdak cesarski. Musiała się w tem kryć jakaś tajemnica. Czarodziej, czy pół-bóg, bo nikt nawet pomyśleć nie mógł, by powiernik cesarski mógł należeć do wzgardzonej i prześladowanej „sekty niewolników".

Zła wola i zazdrość ludzka pracowały, aż zdemaskowały zda się, największą zbrodnię stanu i zdradę tronu. Stwierdzono, iż Sebastjan jest chrześcijaninem.

„Sprawiedliwości" musiało się stać zadość. Miłość cesarska zamieniła się w tem większy gniew. Wyrok śmierci i jego wykonanie okrutne nastąpiły bezpośrednio.

Dla Sebastjana nie było to z podwójnego względu żadną niespodzianką: jako żołnierz, zahartowany w trudach bojowych i jako rycerz Chrystusowy, śmierci patrzył w oczy, jak siostrze rodzonej, zżył się już oddawna z myślą o niej, tembardziej, że była ona dla niego, jako chrzest krwi, który otwierał mu podwoje na służbę radosną w pałacu swego najwyższego Wodza-Chrystusa.

Przyjął więc ją z uśmiechem na ustach, za nic sobie mając powolną torturę konania—wszak ginął, a raczej zaczynał żyć na posterunku. To był dzień jego narodzin „natalitiae martyris Christi".

Wielkiem było jego zdumienie, gdy się ocknął z nieprzytomności po śmierci pozornej. Powstał z ran, ale już nie po to, by służyć ziemskiemu panu. Wiedział, że życie, które mu wróconem zostało, jedynie do Boga należy, że dlatego pozostał, by w imieniu tego dobrego Boga poselstwo spełnić do zapamiętałego w gniewie monarchy.

Chwiejąc się jeszcze na nogach, do ducha podobny, blady i przejrzysty, staje nagle przed Djoklecjanem, jako głos z poza grobu i, cały wiecznością już ogarnięty, mówi mu o niej, o bożem królestwie i o innym Władcy, nieskończenie potężniejszym —lepszym od niego, którego nie przemogą nigdy ani legjony jego, ani nienawiść śmiertelna...

Jak wstrząsająca musiała być ta scena, gdy skrzyżowały się oczy kata i ofiary, zbrodni i heroizmu, zaślepienia i wieczności!

Co się musiało dziać w duszy Sebastjana, gdy zapomniawszy o wszystkiem, co ziemskie, w Bogu już tylko zatopiony, pełnił poselstwo swoje, ze spokojem i mocą z wieczności płynącą, jasny jak anioł, i jak on prawie że przenikliwy... Co się działo później, gdy po raz wtóry do słupa przywiązany, oddawał pod uderzeniami biczów, kroplę po kropli krew swoją za tego, którego jedynie i najmocniej kochał — nie rodzaj męczeństwa, lecz duch męczennika jest jego koroną chwały i nasieniem przyszłych pokoleń radosnych bohaterów krzyża. Prawdziwy „miles Christi" — żołnierz Chrystusów.

Ks. A. Bogdański.

O beatyfikację Kardynała Hozjusza.

Każdy, kto choć pobieżnie zajmował się historją Kościoła Katolickiego w Polsce, nie mógł się niespotkać z powszechnem prawie zjawiskiem, że aczkolwiek dzieje nader obfitują w ludzi wielkich, zmarłych w opinji świętości, mamy jednak stosunkowo mało świętych i błogosławionych ogłoszonych oficjalnie przez Kościół i na ołtarze ku czci publicznej wyniesionych. Mogą na stan taki składać się czynniki różne, ale jedną z zasadniczych przyczyn—jak to zresztą chętnie się przyznaje ze strony kompetentnej—jest brak żywszygo zainteresowania się ogółu takiemi zagadnieniami oraz przeniesiona z życia społeczno-narodowego w dziedzinę religijną skłonność do zapoznania własnych wielkości przy równoczesnem wysławianiu zagranicy i nieuznawaniu potęgi celowej propagandy i zdrowej reklamy. Dlatego też należy zawsze z całą radością notować te fakty, które przeciwdziałają niepożądanym tym objawom i z zapomnienia wieków wydobywają postaci, dawno zeszłe do grobu, ale których życie pełne było ofiarnej pracy i świątobliwych czynów.

Już oto choćby z tych względów należałoby się zająć mężem, który w czasie swoim—wpływem, znaczeniem i cnotami daleko wybiegał poza swą ojczyznę, a sławą swych czynów i świętością życia zasłużył się dobrze dla Kościoła i Polski.

Mamy tu na myśli Stanisława Hozjusza, biskupa chełmińskiego, warmińskiego i kardynała, męża prawdziwie opatrznościowego w przełomowym wieku XVI, którego projekt beatyfikacji już 5 lat temu wysunął Dostojny Episkopat Polski na konferencji w Częstochowie. Rozumie się, że, jak każdy proces beatyfikacyjny, tak i ten, wymagać będzie niemało przygotowań i wysiłków, zwłaszcza że chodzi o osobę dawno zmarłą i wszechstronnie działającą. Wdzięczne pole znalazła przed sobą nauka polska, która zgromadzić winna potrzebny materjał historyczny dla zebrania ściślejszych dowodów na korzyść projektu. Aczkolwiek zaznaczyć trzeba, że w ostatnim czasie Hozjuszem zajęto się bardzo żywo—dużo jednak upłynie wody, zanim ziszczą się gorące pragnienia Katolików-Polaków, by ujrzeć nowego orędownika-ziomka na ołtarzach świątyń i kościołów. W pierwszym rzędzie, zdaje się, chodzić będzie

o szeroką popularyzację imienia świętobliwego kardynała zapomocą przystępnie opracowanych biografij, broszur i artykułów w prasie.

Nie tu miejsce na kilka choćby pobieżnych szczegółów z życia i działalności Hozjusza. Ograniczymy się tym razem do samego tylko zwrócenia uwagi na sam fakt, godny poparcia i pomocy. Ponieważ zaś kult przeszłości — tej zdrowej, szlachetnej i pięknej—jest obowiązkiem naszym; ponieważ płynie z jej wielkich i majestatycznych postaci pełnia wzniosłego przykładu i czyn dobry, owiany zapałem ukochania, ponieważ dopatrywać się tam trzeba wzorów- ideałów, tak obcych dzisiejszym czasom—w szeregu dalszych artykułów omówimy bliżej świątobliwe życie, szeroką działalność oraz niepospolite zasługi cichego sługi Bożego i wielkiego Polaka.

Na jeden szczegół chcielibyśmy wszakże już teraz wskazać—a jest nim ta przedziwna siła ducha i moc charakteru, uosobione w słowie i czynie Stanisława Hozjusza. Dziś, gdy społeczną stał się chorobą brak ludzi silnych, zdycydowanych charakterów i czystych intencyj—musimy koniecznie w odrodzeniowem haśle powrotu do Boga i świętości wykorzystać wielkie momenty dziejowe i wskazać na indywidualności potężne i silne, a przytem tak pokorne i oddane woli Bożej... W ten sposób może choć częściowo rozwiążemy jedną stronę problemu wychowawczego, że wskazując na konkretne wzory i przykłady, nauczymy młodzież praktycznych cnót, konsekwentnego życia katolickiego i chrześcijańskiego na świat poglądu.

St. Gronowski.

SZARUGA.

Z jękiem i szlochem deszcz o szyby dzwoni,
Niebo mgła ciężką zasnuła powłoką;
Wichr wyje głucho.. Hen! na nieboskłonie
Brzemienne deszczem chmurzyska się wloką.

Ileż obrazów minionej przeszłości
Staje nam w oczach w takiej smętnej chwili!
Jakoż tęsknota w sercach naszych gości!
A dusza z żalu, jako dziecię, kwili...

I z utęsknieniem oczekuje słońca,
Co się rozbłyśnie wśród dżdżystej szarugi...
Lecz ta mgła chmurna zda się nie mieć końca,
I nowe deszczu wylewa wciąż strugi,

Co z takim jękiem o szyby nam dzwoni,
Jakby się doli litował tułaczej!...
Że aż się zdaje, iż niebo łzy roni,
Że chmury łkają, że Bóg w niebie płacze!...

Bronisław Wiszniewski.

Ks. Bronisław Bonawentura Markiewicz.

Dwoma kardynalnemi niemal wadami naszego narodu tak dawniej, jak obecnie, z jednej strony jest brak miary i opanowania siebie, a z drugiej zbytnia opieszałość w pracy, przechodząca czasami wręcz w lenistwo. Do największego bodaj nasilenia nieprzestrzeganie norm doszło w czasach króla Augusta II Sasa, który, jak wykazują najnowsze badania historyków, był członkiem międzynarodowej masonerji. Za jego to rządów przekraczanie miary w dziedzinie najprostszych funkcyj życia codziennego święciło wielkie triumfy, nie można jednakże, niestety, powiedzieć, by znacznie lepiej było w czasach ostatnich, czy obecnych. Ludzie dzisiejsi także nie umieją utrzymać się na poziomie normy, a nie pomnąc, że praca może być przy wzbudzeniu intencji aktem modlitewnym, zapatrują się na nią, jak na twardą konieczność, jak na jakieś malum necessarium, czy obowiązkowe jarzmo. Obie te przywary, tak właściwe narodowemu charakterowi polskiemu zarówno brak poczucia aureae medioritatis, poczucia złotego środka, jak brak umiłowania pracy, obawą napełniały wielką serca mężów, głębiej zastanawiających się nad przejawami życia społecznego, równocześnie zaś wzbudzały one w nich zapał do szukania skutecznego na te niedomagania antidotum. Lekarzy znalazło się sporo, a wśród nich był także ktoś, kto całą receptę zamknął w dwuch słowach: „Powściągliwość i praca". Człowiekiem tym właśnie był ks. Bronisław Bonawentura Markiewicz, twórca zakonnego Towarzystwa św. Michała Archanioła, czyli zgromadzenia ks. ks. Michaelistów. Pastać tego kapłana polskiego jest niecodzienna, należał on bowiem do ludzi, „których — według słów Ojca św. Piusa XI—Bóg wzbudzał w godzinie, przez Siebie wybranej, i którzy, jak te wielkie meteory, widywane niekiedy na sklepieniu niebieskiem, przebiegają niebo historji", „którzy przychodzą goić rany i ożywiać miłość[1]).

Ks. Markiewicz — to osobistość dni naszych, gdyż zmarł on zaledwie siedemnaście lat temu. Urodzony dnia 13 lipca

[1]) Pius XI. Meteory ducha. (Kalendarz Królowej Korony Polskiej na rok Pański 1928. Miejsce Piastowe, 1929, str. 32).

1842 r. w Pruchniku, w powiecie jarosławskim, w Małopolsce wschodniej, był synem Jana i Marji z Gryzieckich, należących do stanu mieszczańskiego. Ojciec jego należał do elity owego miasteczka, ponieważ piastował godność burmistrza pruchnickiego. Dom państwa Markiewiczów, gdzie oprócz małego Bronisława wychowywała się reszta dziatwy, zachowywał wiernie tradycje katolickie i narodowe, co, nawiasem mówiąc było w większej części zasługą matki, będącej osobą wyższej inteligencji duchowej. Przyszły przeto kapłan wzrastal w środowisku dobrem, wchłaniając w siebie te wszystkie dodatnie pierwiastki, które stały się podstawą przyszłych cnót. Wiarę rodzice wszczepili mu w serce żywą, mocną, wiarę, uzewnętrzniającą się przezu czynki, to też, kiedy w młodem sercu odezwał się głos powołania do stanu kapłańskiego, złe wpływy otoczenia nie zdołały zagłuszyć tej świętej iskry.

Faktem, który ostatecznie wpłynął na poświęcenie się pobożnego młodzieńca na służbę Bożą, było widzenie pewnego kolegi jego w dniu 3 maja 1863 r. Kiedy był on w klasie ósmej, tuż przed samą maturą rzekomy przyjaciel jego miał niezwykłą zaiste wizję: oto ujrzał nadludzką postać, która wyjawiając mu przyszłe losy dopiero co świeżo powstaniem styczniowem w 1863 r. skrwawionej Polski, oświadczyła: „Pokój wam, słudzy i służebnice Pańskie! Ponieważ Pan Najwyższy was więcej umiłował, aniżeli inne narody, dopuścił na was ten ucisk, abyście, oczyściwszy się z grzechów waszych, stali się wzorem dla innych narodów i ludów, które niebawem odbiorą karę sroższą od waszej, w zupełności grzechów swoich. Oto już stoją zbrojne miljony wojsk z bronią w ręku, strasznie morderczą. Wojna będzie powszechna na całej kuli ziemskiej, tak krwawa, iż wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą jej następstwa. Ujrzycie zgliszcza, gruzy naokół i tysiące dzieci opuszczonych, wołających chleba. W końcu wojna stanie się religijną: walczyć będą dwa obozy: obóz ludzi, wierzących w Boga, i obóz nie wierzących w Niego. Nastąpi wreszcie bankructwo powszechne i nędza, jakiej świat nigdy nie widział, do tego stopnia, iż wojna sama ustanie z braku sił i środków. Zwycięscy i zwyciężeni znajdą się w równej niedoli i wtedy niewierni uznają, iż Bóg rządzi światem i nawrócą się, a pomiędzy nimi wielu żydów. Wojnę powszechną

poprzedzą wynalazki zdumiewające i straszliwe zbrodnie, popełnione na całym świecie. Wy, Polacy, przez ucisk niniejszy oczyszczeni i miłością wspólną silni nietylko będziecie się wzajem wspomagali, nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom, nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane braterstwo ludów; Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą poczytne stanowiska na kuli ziemskiej, języka waszego będą się uczyć na całym świecie... Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża. Ufajcie przeto w Panu, bo jest dobry, miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy! On pokornych podwyższa i im łaskę dawa, a pysznych poniża i odrzuca na wieki. Szukajcie przedewszystkiem Królestwa Niebieskiego, dóbr duchownych, które trwają na wieki! Polacy, Bóg żąda od was nie walki, jaką staczali najlepsi przodkowie wasi na polach bitew w chwilach stanowczych, ale bojowania cichego, pokornego, a znojnego. On chce od was, abyście każdy na swojem stanowisku wiedli przedewszystkiem na każdy dzień bój bezkrwawy".[2])

Jakie było nazwisko kolegi, który doznał łaski widzenia przyszłości, urzeczywistnionej dopiero w pół wieku potem, ks. Markiewicz nie podaje. To dało prof. Wincentemu Lutosławskiemu asumpt do postawienia hipotezy, „że to, co później ksiądz Markiewicz podaje za widzenie kolegi, było jego własnem widzeniem, bo nie możnaby inaczej wytłumaczyć, dlaczego nie podał nazwiska owego kolegi"[3]). Sprawa ta, zdaje się, nie będzie wyświetlona nigdy, dość na tem, iż pałający miłością Boga oraz ojczyzny ośmioklasista po ukończeniu studjów średnich wstąpił do seminarjum duchownego w Przemyślu, by tam przysposobić się na kapłana, którby przygotował rodaków swych do wielkiej misji w sposób należyty.

---

[2]) Widzenie to zostało przez ks. Markiewicza ogłoszone drukiem jeszcze w 1904 r. Kiedyś zdarzyło się nam natrafić na druk jego z końca wieku ubiegłego, gdzie to jednak zostało wówczas opublikowane, nie przypominamy sobie.

[3]) Prof. Wincenty Lutosławski. Nieznany prorok. (Wielki ilustrowany Kalendarz Królowej Korony Polskiej na rok Pański 1926. Miejsce Piastowe, 1926. Str. 54).

Przez cztery lata studjował on nauki teologiczne, zapoznawał się z umiejętnościami, potrzebnemi przyszłemu duszpasterzowi, nie zapominając równocześnie pogłębiać swego życia wewnętrznego, aż wreszcie w 1867 r. został ost tecznie wyświęcony na kapłana.

Ośrodkiem pierwszych prac kapłańskich ks. Markiewicza były kolejno: Harta i Przemyśl. Tam to baczniejszą uwagę zwracał młody kapłan na lud, na warstwy robotniczo-włościańskie, czując intuicyjnie, że przyszłość Polski i to przyszłość świetna leży w tym uśpionym narodowo i drzemiącym pod względem religijnym olbrzymie. Celem obudzenia go z tej śpiączki począł organizować w owych miejscowościach kursa oświatowe i wykłady katechizmowe, przedstawiając podczas takich lekcyj potrzebę podniesienia się moralnego, jakoteż uszlachetnienia i uświętobliwienia dusz własnych, ażeby świty zmartwychwstania nie zastały ich pełnymi brudu moralnego. Sam świecił gromadce każdej świetlanym wzorem, gorzał cnotami jasno, jakby żagiew, albowiem posiadał to zrozumienie, iż słowa, choćby najwznioślejsze, będą zawsze rzucaniem grochu o ścianę, o ile nie zostaną poparte przykładem.

Po pierwszych tych usiłowaniach działalnosć jego pośród ludu uległa na czas jakiś przerwie, teraz bowiem wypadło udać się mu na studja filozoficzne zrazu do Lwowa, a następnie do Krakowa, skoro natomiast ukończył je, powrócił na ulubione terytorjum duszpasterskie, otrzymując probostwo w Gaci, po opuszczeniu którego przeniósł się do Błażowej. Stąd odwołał go dopiero rozkaz władzy duchownej, mianowicie ks. Łukasz Ostoja-Solecki, biskup przemyski, wezwał go w 1782 r. na stanowisko profesora teologji pastoralnej w seminarjum duchownem w Przemyślu. Mając ciągłą styczność z przyszłymi siewcami ziarna Ewangelji, starał się ks. Markiewicz wywrzeć na młódź wpływ jaknajsilniejszy, oraz wpoić w nią te ideały, jakie przyświecały jemu samemu: uświadomienie religijne ludu.

W 1885 r. w sercu jego obudziło się powołanie do stanu zakonnego. Pomny ciągle na słowa nadziemskiej istoty z widzenia o przyszłych losach ojczyzny, chciał rozszerzyć wszędzie miłość ku Temu, co na naród polski zesłał błogosławioną karę oczyszczającą, pragnął płomień miłości, trawiący jego

duszę, przerzucić do dusz rodaków, następstwem zaś tej świętej żądzy była gwałtowna potrzeba opuszczenia drogi, wiodącej do wyniesień i dostojeństw, a kroczenia przez życie szlakiem ewangelicznych cnót zakonnych. Czułe jego serce nie mogło patrzeć też obojętnie na nędzę dziatwy, opuszczonej i zaniedbanej przez wszystkich niemal, więc rozpoczął niezwłocznie starania o pozwolenie na opuszczenie profesorstwa.

Zrazu zamyślał zostać Teatynem, dopiero potem za radą spowiednika swgo udał się do zgromadzenia ks. ks. Salezjanów, do czcigodnego sługi Bożego, Jana Bosko.

(D. c. n.). *J. M. Chudek.*

PRZYSIĘGA.

Do fałszu, zdrady nie wyciągnę dłoni,
Nie zaznam uciech, ani zmysłów szału!
Przed złotym cielcem nie pochylę skroni, —
Lecz będę zawsze w służbie Ideału!
I drogą Prawdy stąpać będę wiernie,
Choćby mi, idąc, przyszło iść pod ciernie!
Cnocie i męstwu podam dłoń pomocną,
I będę wielbił bohaterstwa wzloty;
W Sztukę i Piękno będę wierzyć mocno,
I w Zmartwychwstania blask jutrzenki złoty;
Nigdy nie będę się piął na wyżyny,
By skroń w kłamliwe ustroić wawrzyny!
Tych, którzy zejdą na mgliste bezdroże,
Ostrzegę głosem, co ich ze snu zbudzi;
I choć nikomu duszy nie otworzę, —
Lecz będę miłość miał dla braci — ludzi!
I nigdy sercem w szlachetność bogatem
Nie wzgardzę,—lecz sam będę dla nich bratem!
Zawsze iść będę z podniesionem czołem,
Choć mi pod nogi słać będą kamienie;
Gdzie stąpnę, — będę Pokoju Aniołem,
I Bożej Łaski siać będę promienie;
I zawsze duchem dążyć będę wzwyż!
Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż!..

Br. W—ski.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Z zagadnień obyczajowych.

Podajemy poniżej tekst przemówienia, wygłoszonego na zebraniu Pań Chyliczanek w Zakładzie im. Cecylji Platerówny przez p. Bronisława Załuskiego, dyrektora gimnazjum na Bielanach.

Temat poruszony w tem przemówieniu jest zawsze ciekawy i aktualny, i z wdzięcznością skorzystamy z upoważnienia Szan. Autora, aby zaznajomić z nim naszych czytelników. REDAKCJA.

Słyszeliśmy, że przy Magistracie st. m. Warszawy istnieje sekcja opieki moralnej nad młodzieżą, że członkowie Tow. mają prawo interwencji na ulicach i w lokalach, w wypadkach uchybiania obyczajowości,—na zasadzie swych legitymacyj członkowskich.

Ujęcie wykroczeń przeciw moralności w silne i jasne przepisy Kodeksu Karnego jest nader cenne, i może się stać też skutecznem w walce z wyuzdaniem obyczajowem, pod warunkiem czujnego przestrzegania prawa.

Przypominam sobie, że kiedy przed wojną wydano w Petersburgu rozporządzenie, aby policja interwenjowała na ulicach, w wypadkach zaczepiania kobiet, nawet bez ich wezwania, — pierwszym aresztowanym został... prokurator, urzędowy obrońca prawa. To wspomnienie jest dla mnie aktualne i znajduje analogję u nas.

Przy Magistracie st. m. Warszawy tworzy się sekcja opieki moralnej nad młodzieżą, a z aprobatą ojców miasta eksploatuje się tramwaje do celów reklamowych pornograficznych filmów.

Oto niedawno obwoziło się jaskrawo reklamowany film „O czem się nie mówi“,—raz poraz przez szerokość ulic zawieszone są reklamowe transparanty „Niewolnicy miłości" i t. p. W najważniejszych znów dziennikach spotykamy artykuły w sprawach obyczajowych, o opiece moralnej nad młodzieżą, brzmiące bardzo ideowo, a tuż obok tytuły filmów sensacyjnie erotycznych i kryminalnych, których sama redakcja jest już niemoralna; reklamowanie różnych środków o przeznaczeniu demoralizującem,

których użycie bez żenady wskazane. Czyż nie widać tutaj sprzeczności aż nadto wyraźnej! — Redakcja zrzuca z siebie odpowiedzialność za te reklamy, jako za ogłoszenie opłacone. — Kto jednak tę odpowiedzialność ponosi? Faktem jest bowiem, że często ogłoszenia są czytywane z większą pilnością, niż sam dziennik, zwłaszcza przez dorastające dzieci, i są przedmiotem niewłaściwych dociekań. Redakcja może nie odpowiadać za dobroć i trwałość butów polecanych i ogłaszanych przez szewca, bo pośrednictwo takie nikomu moralnej krzywdy nie przynosi. Nie wolno jednak pośredniczyć w tem, co służy do szerzenia rozpusty lub co ją pobudza. Zawsze przecież widnieje podpis redaktora, i nie wolne mu nie wiedzieć, co na szpaltach jego pisma się dzieje. Nie wolno być nieodpowiedzialnym za ogłoszenia opłacane. Za pieniądze bowiem i nierządnice się sprzedają!

Na ulicach mamy pełno jaskrawych, wyuzdanych pism pornograficznych, któremi Warszawa jest dziś zalana. Kioski i przekupnie uliczni w najruchliwszych miejscach je wystawiają. Najdrastyczniejsze momenty pornograficznych filmów w naturalnych barwach rozplakatowane w najwidoczniejszych miejscach. Okna wystawowe księgarni i antykwarni żydowskich zapełnione książkami o tytułach drastycznych, lub traktujących o zagadnieniach seksualnych, ich zboczeniach, chorobach. I zdarza się, że są tam dzieła nawet naukowe, ale umieszczone tendencyjnie, ze względu na swój tytuł, mają one osłaniać pornografję naukową treścią. Dodajmy do tego stroje kobiece: nieprzyzwoite i drażniące.

Tow. Opieki moralnej nad młodzieżą winno wniknąć w te zjawiska i im przeciwdziałać, mobilizując nadewszystko opinję. Młodzież bowiem patrzy, jak ich rodzice, wychowawcy, nauczyciele, władze państwowe wszelkiej hierarchji, dają milczącą aprobatę tym zjawiskom, choć są one jawne, publiczne, propagowane głośno, a protestu nie słychać. I ta właśnie świadomość młodzieży stwarza dla niej tak rujnujące i zgubne warunki moralne, jakich przed 20—30 laty nie było za naszych czasów.

W sprawie cenzury filmów i widowisk publicznych należałoby wymagać większej surowości, a wykonywać tę cenzurę winni ludzie o subtelniejszem poczuciu moralnem i większej kulturze duchowej. Stanowisko cenzury, dozwalającej korzystania

z pornografji w wieku od 17 lub 18 roku życia, jest niewłaściwe i demoralizujące. Można być przekonanym, że młodzieniec, który w tym wieku nie korzystał z takich widowisk, bo nabrał przekonania, że one plamiłyby jego duszę, że uwłaszczałyby jego godności, napewno nie będzie z nich korzystał w wieku męskiej dojrzałości. Ten zaś, dla którego był to owoc zakazany, będący przedmiotem pożądań, dostępny tylko dla starszych, będzie takie widowiska odwiedzał nawet w wieku, kiedy będzie siwizną okryty, kiedy stanie się ojcem rodziny. Oczywiście, członkowie takich rodzin stają się też pierwszym źródłem moralnego rozkładu swego potomstwa.

Jeżeli urzędy zdrowia publicznego mogą zakazać sprzedaży obywatelom trucizny, to władne są zakazać szerzeniu trucizny moralnej.

Aby walczyć skutecznie, nie wystarczy usuwać tylko przejawów zła, ale należy dotrzeć do jego źródła.

Mam przed sobą poważny zespół pań, należących do elity moralnej i umysłowej społeczeństwa, których rola w tej akcji w sposób doniosły zaważyć może. Zorganizowana akcja kobiet, tak naturalnych zdawałoby się strażniczek czystości obyczajów w ogniskach domowych, nie zaznaczyła się jeszcze niemal zupełnie. Przeciwnie, — biernością swoją, poddawaniem się wpływom czasu i mody, skwapliwością z jaką je przyjmują, stają się może pomimowoli popularyzatorkami zepsucia.

W wychowaniu młodzieży, jak i w pielęgnowaniu obyczajów wogóle potężnym czynnikiem jest poczucie wstydliwości, które winno być z największą pieczołowitością chronione. Znam wypadek, że chłopiec 9-cio letni rozpłakał się niemal, gdy mu kazano rozebrać się wobec lekarza, tak uczuł się zażenowany wobec obcego człowieka. Poczucie wstydu powstaje bowiem z głębokiego instynktu, który usiłuje osłonić to, co powinno być poznawane w samotności nieskalanej duszy, jako dostojna tajemnica. Wolfram von Eschenbach nazwał poczucie wstydu — wiedzą dobrych obyczajów. Skromność nie jest obłudą. Naród, w którym wstyd zanika, ulega rozkładowi.

Czy panie polskie mogą służyć wzorem do naśladowania dla swych dzieci? Czy też przeciwnie, może one właśnie obdzierają ich niewinność z poczucia wstydu? W najpoważniejszych towarzystwach, w salonach, na rautach, zjazdach, uroczy-

stościach, nieraz nawet organizacji katolickich, widać pełno kobiet, które nie wdziękiem skromności i dystyngowanem pięknem strojów pociągają, lecz narzucają się publicznie obnażeniem ciał w sposób zmysłowo drażniący. Moda dzisiejsza uwłacza czci niewieściej i kobiety nadewszystko mogą tutaj przeciwdziałać! Otrząsnąć się jednak muszą z próżności i bezkrytycznego naśladownictwa.

Moda jest zawsze wyrazem ducha i dążności swojej epoki. Aby tedy wytępić brydotę i bezwstyd w strojach kobiecych, trzeba je wytępić w umysłach i sercach.

Na to zaś trzeba odnowić i wykształcić pojęcia, wynoszące człowieka ponad świat zmysłów, trzeba oprzeć się o zasadę duchowego swego przeznaczenia, o Boga, o religję.

Intelektualne tylko wykształcenie, zasad życia moralnego i obyczajowego nie stworzy. Byłem świadkiem jak ludzie zajmujący nawet stanowiska profesorów najwyższych uczelni, siwowłosi, potrafili być tak rozwięzłymi w rozmowie, że nie mogłem się powstrzymać od pytania, czy zgodziliby się, aby przedmiotem podobnych żartów były ich żony i córki.

Kwestja rozluźnienia obyczajów jest u nas już groźną dla samego bytu narodu. Symptomatem najbardziej niepokojącym jest obniżenie życia rodzinnego i związków małżeńskich. Można już obecnie na dziesiątki liczyć rozbite rodziny, wśród najbliższych znajomych, i zarówno na wysokich stanowiskach, jak i niższych, gdzie mąż z żoną się rozchodzą, wstępując w nowe związki, bez żadnej uwagi na dzieci i odpowiedzialność moralną. A tych dzieci, ofiar lekkomyślności i nieuczciwości rodziców, coraz więcej.

Przez Zakład nasz, którego jestem kierownikiem, przesunęło się już podobnych kandydatów parę dziesiątków. W jednem wypadku chłopiec dziesięcioletni, zapytany o nazwisko swoje, wymienił trzy nazwiska kolejnych towarzyszów pożycia rodzinnego swojej matki, którzy wszyscy żyli w nowych związkach. A zaznaczyć należy, że należeli do elity umysłowo-społecznej. W innym znów wypadku zjawia się elegancka młoda dama, pragnąc umieścić swego syna w gimnazjum. Zapytana czy ojciec chłopca zajmuje się także jego wychowaniem, odpowiedziała: on jakby niemiał ojca, bo ja jestem panną... Oczywiście rozmowę na tem zakończyłem.

Cały tragizm, a jednocześnie destrukcyjny wpływ na dziecko wyciśnie taka rozbita rodzina w wieku młodzieńczym.

Miarą moralnego rozkładu życia rodzinnego jest w tych wypadkach brak zażenowania i obawy wobec opinji. Jeżeli przed laty zdarzały się podobne fakty, to lękano się jak przed sromotą publiczną, aby nie doszły do szerszej wiadomości, bo opinja by je napiętnowała. Dziś osoby żyjace w luźnych związkach i dzikich małżeństwach, nie kryją tego, a z życia towarzyskiego nie są eliminowane. Owszem, żądają dla nich publicznie sankcji prawnej, formułując już wnioski do Sejmu o śluby cywilne, o rozwody, o zrównanie prawne nielegalnego macierzyństwa.

Kobiety winny widzieć w tem zamach na swoją cześć i na świętą czystość domowego ogniska.

Jestem przekonany, że zgromadzone tutaj Panie, nie tylko wezmą czynny udział w Towarzystwie opieki moralnej nad młodzieżą szkolną, ale same poruszą w organizacjach kobiecych sprawę tak bardzo je obchodzącą i obmyślą właściwe środki

Myśli te, przygodnie i okolicznościowo wypowiedziane, bodaj przed dwoma laty, aktualne są i dzisiaj, i zasługują na rozważenie i zastosowanie przez każdą uczciwą polkę i polaka.

Bronisław Załuski.

PIERRE L'ERMITE.

Zasiew marcowy.

Obrazek prawdziwy z życia paryskiego.

Stał przedemną wysoki młodzieniec, trochę zakłopotany, nie bez skrępowania ciągle poruszający swym kapeluszem, który trzymał w rękach przed sobą.

Jego matka, elegancka i wytwornie ubrana pani, tłumaczy mi z pośpiechem przyczynę przybycia:

— Proszę księdza, mój mąż — to człowiek bardzo inteligentny.., wykształcony, rozumny, cieszący się opinją uczonego!.. On mówił, że niema obowiązku suggerować jakiejkolwiek religji w wychowaniu swego syna.

— Przepraszam panią, ale mąż rozumiał doskonale, że daje synowi życie, nakłada nań obowiązek karmienia się i okrywania, kazał mu się uczyć, chodzić do szkoły, słuchać profesorów, ko-

chać język ojczysty i inne nakładał na niego obowiązki, choć syn nie zawsze miał do tego ochotę.

* * *

Mój mąż powiedział: w dwudziestym roku wybierze sobie, jaka mu się podoba! Lecz gdy rok dwudziesty skończył, wybuchła wojna.

— I bez wojny, proszę pani, w dwudziestym roku przychodzi czas służby wojskowej, nadchodzą egzaminy, wybór stanu, pojawiają się pewne małe... jak tu powiedzieć? małe żądze.

— Mój syn niema żadnych żądz...

— Ah!.

— A więc dlatego, że wojna zaskoczyła go w tym przełomowym wieku, on nie mógł sobie jeszcze wybrać dotychczas .. Obecnie chce się ożenić...

— Czy pani jest bardzo bogata?...

— Dlaczego?...

— By naprawdę wybrać sobie jaką religję, trzeba bardzo wiele czasu... dużo odbyć podróży, by poznać wszystkie... kupić książki wszystkich religij obecnych i przeszłych... przeczytać je w ich języku oryginalnym, zrozumieć je, przestudjowac, nabyć...

Młody człowiek słuchał, trzymając ciągle kapelusz i kręcąc nim przed sobą.

Widząc jego zakłopotanie, odezwałem się doń po ojcowsku:

— Czy Pan umie jaką modlitwę?

— Cóż to jest modlitwa?..

— No, Ojcze nasz, naprzykład?...

— Ja tego nie rozumiem...

— A może Pan słyszał cokolwiek o Bogu?..

— Bardzo mało!.. Kiedy się mój papa rozgniewa... Również, gdy zdawałem maturę, znajdowałem ten wyraz w książkach, które musiałem przejrzeć do egzaminu...

— Czyż przynajmniej czuje pan choć trochę swoje nieszczęście?

— No, my nie jesteśmy wcale nieszczęśliwi!—wtrąciła matka. Mamy 12 tysięcy rocznego dochodu, dom własny... auto!..

* * *

Kapelusz w ręku młodzieńca kręcił się coraz prędzej. Rzeczywiście, ten biedny, duży chłopak wzbudzał we mnie coraz większą litość.

- To nie jest wina pana... lecz obecnie jesteś pan rzeczywiście „parjasem" ludzkości. W razie pańskiej śmierci, nie będzie pan miał na całej kuli ziemskiej świątyni, gdzieby można złożyć ciało. Buddysta ma swoją pagodę, turek swój meczet, żyd swą synagogę, chrześcijanin swoją świątynię. Pan nie ma żadnej. Pan jesteś ofiarą wytwornego ateizmu wieku ostatniego. Ja to doskonale rozumiem i dlatego mimo przeciążenia pracą, postaram się ukraść cokolwiek czasu z moich codziennych zajęć, by pana pouczyć w rzeczach religji...

Naraz odzywa się mama i z pewnym naciskiem wtrąca te słowa:

— Tak, tak... gdyż jemu potrzeba kapłana bardzo inteligentnego... Mój syn ma już maturę!...

* * *

— Pierwszym ołtarzem dla dziecka, gdzie poznaje Boga, są kolana matki. A potem trzeba stopniowo zaznajamiać z wiarą coraz lepiej. Naprzód katechizm dla dzieci do lat 6, potem większy w celu przygotowania do pierwszej spowiedzi i Komunji św. — a wreszcie katechizm wytrwania dla młodzieży.

— Wtedy, dodaję, ziemia jest dobrze przygotowaną, w swoim czasie obrobioną..., wtedy odbywa się posiew normalny, w jesieni.., i rzuca się prawdziwe, czyste zboże!

— Tymczasem pan cóż...? Jak ziemia nieuprawiona, najeżona głogami i ostami... to gleba, która pługa i bron nie zna... to ziarno w marcu posiane.., praca przykra, ciężka, a bardzo często bezowocna. Przyznaję się panu, że wolałbym mieć raczej czarnego negra przed sobą, bo z nim byłoby mi łatwiej.

— Czy pan ma katechizm?

* * *

Spójrzał naprzód na matkę, a potem na mnie:

— Cóż to jest katechizm?...

— Ja panu pożyczę, jeśli chodzi o to. Przyjdź pan jutro rano, w niedzielę, o 10 godzinie.

— Nie mogę, mam wtedy match footbalowy...

— Może w poniedziałek wieczorem o 8 ½ godz.?

— Też nie mogę... mam w tym czasie przygotowanie wojskowe...

— Wtorek... o 9 godz. wieczorem...?

— I wtedy też nie mogę! mam naznaczone już powtórzenie match'u!

* * *

I nie myślcie, by tu grała rolę zła wola. Wcale nie. To jest życie, jego życie, życie całego tłumu takich młodzieńców, których do nas kapłanów przyprowadzają i wobec których parafjalny ksiądz, już nadszarpany całodzienną pracą, znaleźć musi tę odrobinę wolnego czasu, by zaznajomić każdego z prawdami wiary świętej...

I odszedł mój biedny, choć bogaty maturzysta, z nosem na kwintę spuszczonym trochę uspokojony:

— Ja nie wyobrażałem sobie, by ten katechizm był czemś tak ważnem!...

— Za moich czasów..., wtrąciła jego matka.

Nie słuchałem jej, tej matki, która nigdy nie była dla swego syna matką.

Ach, gdybym ja mógł powiedzieć jej te prawdy osobiście w cztery oczy!... Lecz syn jej był tam i on byłby ją osądził...

* * *

Oto, co jest bólem naszego społeczeństwa, chorobą wieku, i ciężką zbrodnią dzisiejszego wychowania. Ten głos niech dojdzie do wszystkich ojców, do wszystkich matek, do wszystkich rodziców, do wszystkich katolików.

Wypuszczać w świat dzieci, bez zasad religijnych, bez znajomości wiary i obowiązków względem Boga—to krzywda, która mścić się będzie na losie dzieci i odbije się na przyszłości Ojczyzny,—to zbrodnia, podobna do tej, gdy się wysyła żołnierzy na pole bitwy nie zaopatrzywszy ich wcale w naboje.

Że tak jest, wystarczy bacznem okiem rozejrzeć się do koła. Młodzież dziczeje, żyje samopas bez względu na Boga i jego nakazy, a główną przyczyną to brak gruntownej znajomości wiary i dlatego staje się łupem wrogów katolicyzmu.

Wszyscy tę sprawę wziąć muszą do serca. Nietylko kapłani.

Ich trzeba wspomagać w tej posłudze i razem z nimi nieść pochodnie wiary nie tylko w słowach, ale i w życiu.

Najwyższy nakaz dany Apostołom był taki: Idźcie i nauczajcie!

Pierwszymi apostołami dla dziecka— to rodzice, a ich wychowanie w duchu katolickim jest tak konieczne, jak dla każdego, jest ten chleb codzienny.

A więc, idźcie... i nauczajcie!

tłum. *O. Aleksander, Paulin.*

Ernest Hello.

Francja święciła w dniu 4 listopada 100-letnią rocznicę urodzin jednego z najgłębszych myślicieli katolickich i wybitnego pisarza wieku ubiegłego, Ernesta Hello. Nazwisko to jest ogółowi mało znane, zwłaszcza w Polsce, jeszcze mniej jego dzieła. Dziwne to trochę i smutne, że wydobywa się je w tej chwili z pyłu zapomnienia. Jednak dobrze, że się to czyni, aby złożyć hołd przed człowiekiem mądrym a mocnym, który w czasach największego rozkwitu materjalizmu i niewiary głosem apostoła wskazywał ludziom drogę prawdy, miał odwagę wierzyć. Walery Gostomski, tłomacz urywków z dzieł jego na język polski, pisał o nim w r. 1912: „...jest z liczby tych, którym sądzono żyć i jaśnieć w czasach odległych, gdy wiele szeroko dzisiaj rozświetlonych gwiazd literackich oddawna pogaśnie“. Można mieć nadzieję, że słowa te spełnią się w niedalekiej przyszłości.

Ernest Hello urodził się w Bretonji, prowincji francuskiej, która wiąże z sobą zwykle serca swych synów na ich życie całe; gdziekolwiek są, muszą ją kochać i do niej tęsknić. Hello również pozostał jej wierny. W domu wychowano go starannie, ze szkół wyniósł wszechstronne wykształcenie, lecz w dzieciństwie i wczesnej młodości nie było przy nim nikogo bliskiego, ktoby duszę jego kształtował w kierunku religijnym. O matce jego niewiele wiemy, prawdopodobnie nie wywierała na syna większego wpływu, a wpływ ojca mógł być tylko niepożądany, gdyż był to sceptyk, przejęty zasadami XVIII wieku. Jednak mimo ojcowskiej niewiary młody Ernest już w 18 roku życia jest żarliwym katolikiem. Radosny z posiadania prawdy, pragnie ją szerzyć wśród tych, którzy ją utracili, zgłębiać i umacniać tam, gdzie jeszcze o niej pamiętają. Czuje w sobie powołanie apostolskie. Gromadzi koło siebie młodych rówieśników, słowa jego rozpalają w nich gorącą wiarę. Z tego grona wybiera sobie dozgonną towarzyszkę, która przez życie całe była mu osłodą cierpień i przykrości, jakich zmaterjalizowany świat ówczesny nie szczędził myślicielowi, przebywającemu na wyżynach. Kiedy słowa jego padały wśród ludzi bez odgłosu, jak kamienie, w przepaść rzucane, jego ukochana żona zawsze go rozumiała i pomagała mu do wytrwania na zajętem stanowisku.

A wytrwać nie było łatwo, nawet dla tak mocnego człowieka, jak Hello. Z jednej strony zimne, obojętne społeczeństwo, pogrążone w kontemplacji materji, które w sprawach religijnych oświecał największy z ateuszy, Ernest Renan, z drugiej — samotny prawie myśliciel, nieuznający kompromisu ze złem, ani z fałszem. Na początku swej działalności odrazu przypuścił szturm do twierdz umysłowości ówczesnej: w r. 1858 polemizuje z Renanem w broszurze p. t. Renan, Niemcy i ateizm XIX w., jednocześnie rozpoczyna wydawać pismo w duchu chrześcijańskim „Le Croisé". Lecz nie znajduje zrozumienia — pismo wkrótce upada. Nie traci jednak nadziei, że ziarna jego padną wreszcie na urodzajną glebę, pisze swe dzieła dla garści czytelników. W r. 1872 ukazuje się „L'homme" (Człowiek) później nieco — „Fizjonomje Świętych", „Słowa Boże" i wiele innych; również liczne artykuły po czasopismach. Pisze je w ciszy swojej ukochanej Bretonji lub w dusznym gwarze Paryża, którego atmosfera była mu zawsze obca. Aż do zgonu, który nastąpił w r. 1886, pracował dla sprawy Bożej z jednaką ofiarnością, a ludzie zawsze jednakowo obojętnie przechodzili obok niego, słów jego nie słysząc.

Przyczyna tego tragicznego rozdźwięku leży przedewszystkiem w fizjonomji duchowej Ernesta Hello i jego współczesnych. Filozof kochał gorąco wszystko, co wielkie i szlachetne, a w równym stopniu nienawidził zła pod wszelką postacią, nienawidził tego, co małe, pospolite. Uczuć tych kryć nie umiał, ujawniał je przy każdej sposobności, ze szczerością często bolesną dla słuchaczy. Filozofja jego nie stroiła się w szaty rozmaitych naukowych doktryn, lecz była tak jasna i prosta, jak źródło jej — Ewangelja. Dlatego nie imponowała ludziom ówczesnym, którym się zdawało, że wznieśli się ponad jej poziom. W jednym ze swoich szkiców Ernest Hello scharakteryzował niezwykle trafnie najczęściej spotykany typ człowieka swojej epoki, nazywając go „człowiekiem wiecznym". Jest to człowiek, który odznacza się niepospolitą uległością względem opinji publicznej, więc dlatego nie mówi nigdy, zawsze tylko powtarza. Następnie bardzo charakterystyczny jest jego stosunek do religji: „Człowiek wieczny sądzi: że chrześcijaństwo jest użytecznym środkiem ostrożności i byłoby nieroztropnie odrzucać je. Niemniej przeto nienawidzi go w głębi duszy; niekiedy znów żywi dlań pewien szacu-

nek konwencjonalny, taki sam, jak dla książek, mających powodzenie. Ale czuje szczególną odrazę do katolicyzmu, zarzuca mu przesadę, woli o wiele protestantyzm, który poczytuje za umiarkowany. Jest on zwolennikiem wszelkich zasad i wszelkich ich przeciwieństw... Ubolewa, że religja chrześcijańska posiada dogmaty; wolałby, żeby głosiła tylko czystą moralność, a jeżeli mu powiecie, że moralność jej wynika z jej dogmatów, jak wniosek wynika z zasady, odpowie, że wpadacie w przesadę".

Kończy tę świetną charakterystykę: ...„ta wstrętna osobistość zawiera się całkowicie w dwóch wyrazach: Oziębłość i Próżność". W tem jest zawarty sąd nad współczesnymi i jednocześnie wyjaśnienie, dlaczego ludzie mierni nie mogli zrozumieć człowieka wyższego duchem, który nie chciał być dla nich uprzejmy i nie wahał się mówić im prawdy. Pozostał więc na uboczu z cichem uczuciem bólu, które się czasem odzywa, choćby w słowach, że „rodzaj ludzki kocha umarłych, a nie kocha żywych". I to jest jedna z prawd smutnych: Ernest Hello jest bliski dzisiejszej Francji katolickiej i niezawodnie dzieła jego, wśród których są i takie, które ujrzą teraz czcionki drukarskie po raz pierwszy, wywalczą dla swego twórcy pośmiertne zwycięstwo. *Marja Krzyżanowska.*

Pod sąd opinji publicznej.

Atak na Uniwersytet Katolicki — Co się dzieje w szkolnictwie?

Żyjemy w czasach wzmagających się ustawicznie ataków obozu masońsko-radykalnego na instytucje katolickie w Polsce. Atakowano już konkordat, naukę religji w szkole, małżeństwo katolickie—w ostatnich czasach przyszła kolej na Uniwersytet Katolicki w Lublinie.

Oto w numerze 280 „Epoki" pojawił się artykuł p. Haka p. t. „Ciemny Uniwersytet". Oddajmy głos innemu pismu katolickiemu: „Rzeczypospolitej", która w ten sposób streszcza artykuł p. Haka i rozprawia się z nim w artykule wstępnym № 315:

„P. Hak przedstawił Uniwersytet Lubelski jako istną twierdzę ciemnoty, opanowaną przez konwentykl zakonników, niedopuszczających nawet do wpływu ks. biskupa lubelskiego, pomimo iż piastuje urząd kanclerza Uniwersytetu.

Dalej, według p. Haka, uniwersytet lubelski „nie uznaje nad

sobą kontroli państwa" i rządzi się sam, czerpiąc natchnienie z zewnątrz: Tow. Uniwersytetu Lubelskiego, obarczone troską utrzymania tej szkoły, w ciągu lat czterech nie odbyło walnego zgromadzenia w celu zatwierdzenia sprawozdania i ustalenia budżetu, a „rachunki U. L. stanowią pilnie strzeżoną tajemnicę".

— Już to jedno — pisał p. Hak — wystarczyłoby, aby usprawiedliwić odrzucenie wniosku o wyasygnowanie 25 tys. zł. subwencji rządowej dla U. L. Niestety, są jeszcze i inne powody, a przedewszystkiem niesłychanie niski poziom naukowy tej uczelni.

Twierdzenie to, poza atakiem na profesorów, p. Hak popiera takim najmocniejszym argumentem:

— Zeszłoroczny wynik egzaminów państwowych okazał się dla uniwersytetu fatalnym: przeszło 75 proc. stających do egzaminów, zostało reprobowanych, najliczniejszy zaś wydział prawny ukończył jeden, wyraźnie jeden.

Wobec tak przerażającego stanu rzeczy w Uniwersytecie Lubelskim, p. Hak, wiedziony widocznie litością, nie chciał już poruszać: „stosunków wewnętrznych i kierunku, w jakim ciasna bigoterja lub karjerowiczowstwo pewnych jednostek, pragnęłoby prowadzić młodzież akademicką", wspomniał, jednakże, że Uniwersytet Lubelski, który pierwotnie miał być tylko wydziałem teologicznym, na wzór Petersburskiej Akademji Duchownej, przez wzgląd na „ducha czasu" uzupełniony został przez dodanie wydziałów prawnego i humanistycznego, przyczem z przekąsem zaznaczył, że poziom wydziałów teologicznego i prawa kanonicznego U. L. być może nawet jest wystarczający „na skromne potrzeby kleru naszego"...

Cały atak na „ciemny uniwersytet" kończy się oświadczeniem, iż odmowa subwencji rządowej U. L. jest usprawiedliwiona, gdyż Uniwersytet ten „nie może pretendować do miana instytucji nauczania akademickiego we właściwem tego słowa znaczeniu".

Zgóry można było utrzymywać, iż zarzuty p. Haka, wydrukowane w „Epoce", na naczelnem miejscu, są natury bardzo podejrzanej, gdyż ukazały się w okresie wznowionej kampanji, prowadzonej przez pismo to, przeciw nauczaniu religji w szkołach i wpływowi Kościoła na sprawy publiczne. Ale dopiero z odpowiedzi ks. rektora U. L. na zarzuty „Epoki", widać jak dalece p. Hak rozminął się z prawdą. Ks. rektor twierdzi z wyrozu-

miałości„, że „Epoka" najwidoczniej musiała paść ofiarą „fałszywej i złośliwej informacji"...

Zacznijmy od zarzutów najważniejszych. P. Hak utrzymywał, iż wydział prawny ukończył wyraźnie jeden student, ksiądz rektor zaś oświadcza:

— Zgodnie z aktami rządowej Komisji Egzaminacyjnej na wydziale prawniczym (sekcja prawnicza i ekonomiczna) przystąpiło do egzaminów rocznych w terminach wiosennym i jesiennym w r. 1928—245 osób. Wyniki dobry 38 osób (w tem 4 z odznaczeniem), dostateczny 130, niedostateczny 48, otrzymało poprawki 29 osób. Do egzaminów z ostatniego roku studjów zgłosiło się 15 osób, otrzymało dyplomy 12.

Prawdomówność więc p. Haka jest uderzająca!

Co do twierdzenia, iż „rachunki U. L. stanowią pilnie strzeżoną tajemnicę" okazuje się, że Uniwersytet podlegając kontroli dwóch władz: Ministerstwa W. R. i Ośw. Publ. oraz Episkopatu Polskiego dwa razy do roku składa szczegółowe sprawozdania z zamknięciem rachunkowem. Walne zgromadzenie Tow. U. L., rzekomo nie zwoływane przez 4 lata, odbyło się po raz ostatni dnia 27 czerwca 1928 r., o czem można dowiedzieć się chociażby z gazet.

Zarzut, iż Uniwersytet uchyla się od złożenia władzom swego statutu, jest również niesłuszny, gdyż po założeniu swem U. L. statut władzom do zatwierdzenia zgłosił, i nie jego winą jest, iż dopiero w marcu 1928 r. nastąpiło zatwierdzenie tego statutu

Narzekanie na „konwentykle zakonników" i bezsilność wobec tego zjawiska nawet ks. biskupa kanclerza Uniwersytetu, we właściwem świetle ukaże się wówczas, jeśli powiemy, że kanclerz, biskup lubelski ks. Fulman, jest członkiem Rady Pięciu ks. Biskupów, rozstrzygających w imieniu Episkopatu w sprawach kontroli nad Uniwersytetem. Do Rady tej poza ks. kanclerzem należą: ks. Prymas kardynał Hlond, ks. kardynał Kakowski, ks. arcybiskup lwowski Twardowski i ks. biskup podlaski Przeździecki. Wogóle zaś mówienie o uchylaniu się Uniwersytetu Lubelskiego z pod wpływów i kontroli Episkopatu, świadczy tylko, iż p. Hak nie ma wyobrażenia o organizacji Kościoła katolickiego.

Wreszcie okazuje się, iż wydział teologiczny U. L. jest najmłodszy z wydziałów, gdyż prawny i humanistyczny powstały

w Lublinie wcześniej i dowcipkowanie na temat „ducha czasu" wcale nie jest na miejscu.

Jeszcze jedno: wniosek posła Ch. Dem. p. Bitnera dotyczył nie udzielenia subwencji, ale jej podwyższenia, gdyż U. L. na równi z innemi wyższemi zakładami prywatnemi, subwencję otrzymywał i otrzymuje.

Tyle „Rzeczpospolita". Dodać należy, że dopiero w dniu 15 listopada t. j. w dwa tygodnie po rozesłaniu do prasy—uważała „Epoka" za stosowne zamieścić wyżej cytowane sprostowanie Jego Magnificencji ks. Rektora Kruszyńskiego i to zaopatrując je w złośliwy i obłudny komentarz, powtarzający w dalszym ciągu najgłówniejsze insynuacje przeciwko tej wybitnej, katolickiej placówce naukowej.

To był najwybitniejszy w ostatnich dwóch miesiącach atak przeciwko katolicyzmowi w Polsce. Pozatem mamy do zanotowania inny objaw, oparty może na drobnych i sporadycznych wypadkach, ale niemniej niebezpieczny.

Jeszcze nie przebrzmiała sprawa krzyżów, usuwanych raz po raz z sekciarską nienawiścią ze ścian rad miejskich i kas chorych, gdy do wiadomości opinji zaczęły dochodzić fakty wybryków poszczególnych zbyt gorliwych nauczycieli, którzy widać naiwnie i prostolinijnie zrozumieli treść artykułów umieszczanych raz po raz w „Epoce", „Głosie Prawdy", czy innych podobnych organach.

Oto jeden „wychowawca" pokłócił się z ks. katechetą i nie chce go dopuścić do wykładów religji, a żąda wyznaczenia innego. Wprawdzie ustawy mówią, że katechetę wyznacza władza kościelna, a nie dyrektor gimnazjum. Lecz, cóż z tego, ustawa swoje, a pan dyrektor swoje.

Oto inny nauczyciel w Derewnie (pow. Słonimskiego), niejaki Bonowicz, organizując obchody narodowe, prowadzi dzieci katolickie do cerkwi prawosławnej na nabożeństwa.

A nad tem wszystkiem, oczywiście, patronuje Związek Zaw. Nauczycielstwa Szkół powszechnych, który już w zeszłym roku rozsyłał okólniki do swych oddziałów z zapytaniem, czy nie należałoby usunąć nauki religji ze szkolnictwa.

Nie chcemy przypuszczać, aby podobne posunięcia, sprzeczne z Konkordatem i obowiązującemi ustawami — nie miały spotkać się z odpowiednią reakcją, czy pouczeniem Ministerstwa

Oświaty. Tego bowiem domaga się cała katolicka opinja publiczna

Uważamy za swój obowiązek zacytować w naszym miesięczniku te przejawy wzrastającej w naszym społeczeństwie walki z religją i Kościołem. I w dalszym ciągu będziemy cytowali i zbierali podobne materjały w celu uświadomienia i poruszenia szerokiej opinji katolickiej.

Znaczna bowiem część katolików nie zdaje sobie jeszcze sprawy z grożącego niebezpieczeństwa i przypuszcza może, że te ataki i usiłowania rozejdą się po kościach i jakoś to będzie...

Niebezpieczne miemanie! Fakty te nie są przypadkowe, lecz mają swoich aranżerów, którzy na razie pozostają w ukryciu, lecz z czasem wyjdą i staną otwarcie na czele gotujących się zastępów Antychrysta.

S. K-ski.

Ku pokrzepieniu.

Bezsilną jestem i leniwą,
Ale że siał mą ręką Pan.
Tedy bogate będzie żniwo,
Stokrotne plony wyda łan!

Stokrotne plony wyda niwa
Choć sieje najospalsza z sług!
Bo senną ręką—Sam Pan żniwa
Kieruje siejąc—Siewca Bóg!

O, Jezu, duszy ukochanie!
Przebacz mój nieudolny trud!
Bogate będzie żniwobranie
Bo na siew--Twój mię rozkaz wiódł!

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Działalność społeczna „Odrodzenia" na terenie Warszawskim.

— Życie ideowe młodzieży wyższych uczelni warszawskich rózniczkuje się na wiele organizacji, które hołdując najrozmaitszym hasłom i doktrynom, starają się je wcielać w życie.

Dominuje nad temi najliczniejszemi stowarzyszeniami akademickiemi stolicy, ze względu na swój głęboki charakter ideowo-wychowawczy, grupa organizacji katolickich, która wychowanie swoich członków oparła na nauce Chrystusa Pana.

Na czoło tych właśnie ugrupowań wysunęło się, od chwili swego powstania „Odrodzenie" Stowarzyszenie Młodzieży Akademickiej, które za jeden z głównych obowiązków obywatela-akademika uważa czynną pracę społeczną.

Twierdzenie, że zadaniem akademika są jedynie studja naukowe i dlatego wszelkie dygresje społeczne są uciążliwe, a nawet szkodliwe, że wszelka ofiara składana na ołtarzu dobra powszechnego — jakkolwiek jest piękna i chlubna, to nie mniej jednak szkodliwa, bo odciąga młodzież od jej bezpośrednich zadań i obowiązków, — uważa Odrodzenie za fałszywe i szkodliwe z punktu widzenia interesu samej młodzieży i niebezpieczne ze względu na rację dobra społecznego.

Z tym tak wąskim i egoistycznym poglądem walczą odrodzeniowcy warszawscy wszędzie gdzie tylko to zagadnienie jest poruszane. Akcja „Odrodzenia" nie ogranicza się jednak do dyskusji i rozważań nad tą sprawą, realizuje ona swoje hasło pracy społecznej praktycznie.

Pracuje przedewszystkiem Koło Warszawskie „Odrodzenie" w Stowarzyszeniach Młodzieży Polskiej, gdzie liczni odrodzeniowcy i odrodzenianki wygłaszają prelekcje i pogadanki, organizując również kółka muzyczne i przedstawienia amatorskie.

Entuzjazm do pracy oświatowej i kulturalnej wzmaga się i szeregi pracowników praktycznej pracy społecznej Odrodze-

nia warszawskiego stają się stopniowo liczniejsze. Chęć bliższego współżycia z temi warstwami, którym się niesie kaganiec oświaty, coraz to żywsza, skłoniła Senjorat „Odrodzenia" już w roku 1927 do założenia własnego koła, złożonego z młodych robotników, rzemieślników biuralistów i innych oraz z członków akademickiego „Odrodzenia", pod nazwą Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

Z początku koło to składało się zarówno z kobiet, jak i mężczyzn. Szybki jednak rozwój i gromadny napływ młodzieży sprawił, że musiano stworzyć oddzielne koło męskie i żeńskie. Oba koła w ubiegłym roku akademickim pracowały z wielkim zapałem odbywając systematycznie i codziennie zebrania.

Prace tych Kół idą w czterech kierunkach: a) religijnym t. j. wspólne msze święte, rekolekcje, przystępowanie do Komunji Swiętej, jak również wychowywanie za pomocą pogadanek i odczytów w duchu asad katolickich.

b) kulturalno oświatowym — organizowanie szeregu wykładów i prelekcji, które omawiają zagadnienia socjalne, ekonomiczne, narodowe i wreszcie oświatowo-literackie. Przy kole męskim utworzono bibljoteczkę, która posiadając elementarne książki z dziedziny powyższych zagadnień, ułatwia w znacznym stopniu prowadzenie pracy oświatowej.

c) sportowym -- istnieje Klub Sportowy „Odrodzenie", dzielący się na 2 sekcje lekkoatletyczne i piłki nożnej. O wynikach akcji sportowej świadczy choćby zdobycie przez członków klubu szeregu nagród w międzyklubowych zawodach.

d) towarzyskim — członkowie organizacji spotykają się stale w świetlicy, gdzie gry towarzyskie, chór śpiewaczy i czytelnia pozwala im pożytecznie i przyjemnie spędzać czas po całodziennej mozolnej pracy zawodowej.

Koła Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie", składujące się zarówno z młodzieży pracującej umysłowo (akademicy, biuraliści) jak i fizycznie (robotnicy, rzemieślnicy), okazały się najlepszym sposobem pracy społecznej prowadzonej wśród młodzieży. Ten bliski kontakt jaki istnieje między młodzieżą akademicką a robotniczo-rzemieślniczą przez wspólne praktyki religijne, wykłady, zebrania towarzyskie, jak również branie udziału w życiu sportowym, umożli-

wia prawdziwe wychowywanie tych licznych rzesz w duchu głębszej religijności i mocnego poczucia narodowego i społecznego.

— Jak dalece ta praca społeczna prowadzona przez Odrodzenie warszawskie okazała się racjonalną i potrzebną, najlepiej świadczyć o tem może masowe zgłaszanie się młodzieży robotniczej Warszawy do tych kół, które są już tak liczne, że nie mogą przyjmować wszystkich chętnych wobec czego zarząd Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie“ stoi wobec konieczności stworzenia nowych kół młodzieży pracującej.

— Gdyby inne organizacje, które tak często podnoszą swój nacjonalizm i swoje głębokie poczucie katolicyzmu, zabrały się do takiej mozolnej i uciążliwej a równocześnie pozytywnej pracy społecznej, jaką prowadzi „Odrodzenie”, to nie byłoby w Polsce tyle niezrozumienia dla zjawisk społecznych, tyle nieufności między warstwami, tyle egoizmu klasowego i walk wzajemnych, które godzą niejednokrotnie w istotę Odrodzonej Ojczyzny.

Młodzież akademicka winna zamłodu zaprawiać się w pracy społecznej, aby w przyszłości jako inteligencja naprawdę była zdolna do prowadzenia i kierowania temi szerokiemi masami, które wchodząc na widownię życia politycznego Polski winny odrodzić ją miłością Chrystusową i sprawiedliwością społeczną.

Ignacy Kruszyński.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Ks. Piotr Stach. Wrażenia z podróży do Ziemi Świętej. Lwów 1928 „Biblj. Relig.“ str. 208. Cena zł. 3.

Dzieło znanego profesora Uniw. Jana Kazimierza wśród wielu podobnych tego rodzaju odznacza się odmiennem zgoła ujęciem sprawy. Strona „geograficzna“ podróży, jeśli tak powiedzieć możemy, mniej znalazła miejsca wśród kart książki, zostawiając je przedewszystkiem na szerokie i krytyczne omówienie obecnych stosunków religijnych, społecznych, gospodarczych, a nawet politycznych Ziemi św., w zestawieniu ich z temi stosunkami z przed kilku lat. Rozdział pierwszy stanowi jakgdyby wstęp dzieła, wprowadzając czytelnika w orbitę tych wrażeń i spostrzeżeń, które przedewszystkiem zajęły uwagę autora. Rozdział drugi omawia sprawę żydowską, między innemi z punktu widzenia stosunku jej do chrześcijaństwa. W tym też rozdziale porusza autor sprawę nawrócenia żydów na chrześcijaństwo. Życie chrze-

ścijan w Palestynie, dalej nabożeństwa wielkotygodniowe w Jerozolimie, tak ściśle z naszym kultem spojone, wreszcie ciekawy opis zwiedzania miejsc świętych „kraju wybranego" wypełniają obszerny rozdział trzeci. — Na zakończenie autor daje rozdział zatytułowany: Palestyna pod rządem angielskim, omawiając tu co dla tego kraju, jego protektorzy zrobili, co czeka jeszcze nakładu pracy, wreszcie zwraca uwagę na zbytnie faworyzowanie sekt schyzmatyckich z niesprawiedliwem pominięciem łacinników.

Książka X Piotra Stacha to dzieło aktualne i ciekawe przedewszystkiem, jako przewodnik wśród stosunków wewnętrznych Palestyny.

Marjan Jan.

Zasób naszych książek do nauki religji w szkołach powszechnych i młodszych klasach szkół średnich powiększyły **Dzieje Starego i Nowego Przymierza dla wyższych oddziałów szkół powszechnych** w opracowaniu **ks. dr. Zygmunta Bielawskiego** i wydane nakładem „Bibljoteki religijnej" Lwów 1928 str. 276 z 70 ilustracjami i mapą Palestyny cena zł. 2.50. **M. J.**

Rec. Um Seelen. Missions-Zeitschrift. St. Gabriel. Modling b. Wien. nr. I — 1928. Ruchliwe, zasłużone dla misjologji Tow. Misjonarzy Słowa Bożego, w pośród których pracuje także kilkadziesiąt Polaków, wystąpiło z nowem pismem misyjnem, które polecamy naszej inteligencji, pt Um Seelen O dusze! Cena roczna w Austrji 3 szyl., ceny na zagranicę nie podano. Jeśli wczytamy się nieco w literaturę misyjną, to przekonamy się, że zastraszające liczby pogan na świecie, po 2 tys. lat pracy misjonarzy, pochodzą z winy tych, którzy sprawy misyjne uważali sobie za obce. Kiedyś... ktoś był dla nas miłościwszy! To też Misjonarze rzucają światu w oczy gorący apel. O dusze chodzi. Pomóżcie nam! Inteligencja pogańska czeka na zbliżenie ze strony naszych kół wykształconych. A czasopisma, jak powyższe, mają być serdecznym łącznikiem.

K. B.

Lumen. Revue Mensuelle. Organe des Cercles d'Enseignement Catholique pour les Femmes du monde. Paris. 76 rue des SS. Perès.—45 fr. Omawia kwestje bieżące z życia w duchu katolickim dla sfer kobiet wykształconych. Towarzystwo, Koła Lumen, powstały 1917 w Paryżu; mają na celu szerzenie wiedzy religijnej wśród pań światowych, pod protektoratem ks. kard. Dubois. Praca społeczna Lumen opiera się na wyrobieniu indywidualnem, wewnętrznem, czyli, że pismo idzie za nowoczesnemi wskazaniami szeroko zakreślonej akcji katolickiej, mającą na celu wykształcić i dać Kościołowi zastępy przekonanych i pracowitych katolików. Polecamy najgoręcej. **K. B.**

Rec. Schmidlin. Swami Upadyaya Brahmabadhav. Ein katholischer Wahrheitsucher des Ostens Firma Aschendorff. Münster i W. Rzecz bardzo ciekawa z dwu przyczyn: Widzimy w konwertycie typ hinduskiej inteligencji, wśród której dotąd nawróconej najmniej, zaciekawia nas system pracy misjonarskiej, jaki Upadyaya nakreśla, system stosowania się do tego, co jest, budowania na tem, co jest, wy-

chodząc z założenia, że w Europie powstał chrześcijanizm na szkole filozofów greckich. Współcześni nie rozumieli pionjera. Dziś — zaczynamy się zastanawiać nad jego metodami. Ks Schmidlin zwraca uwagę na chrześcijanizm znanego Sadhu Sundhar Sing, także Hindusa, który był protestanckim, i Upadyayi—który był katolickim, mimo namiętnego przywiązania do neutralnych dla wiary tradycyj kraju ojczystego. Umarł 1907. Króciutkie studjum, bo tylko 21 stronicowe, życia U. nasunie mnóstwo refleksyj dla nowoczesnego misjonarstwa. Jeśli chcemy doń rękę przyłożyć — a wzywają nas do tego Encykliki Papieskie—to jednem z pierwszych zadań: zapoznanie się z inteligencją pogańską, drogą wymiany pism, nauki ich języków, wierzeń nauki sztuki. K. B.

Rec. En Terre d'Islam. Revue Mensuelle d'Etudes et d'Informations sur l'Apostolat Catholique dans le Monde Musulman. Alger. Afrique. 24 rue de la Liberté. Zagadnienie Islamizmu staje się coraz żywszem dla apostolstwa misyjnego. Prawda, że często niema czasu na pogłębienie problematów, jak powyższy; możemy jednak przyswoić sobie wiadomości—jakie uważamy za niezbędne dla każdego wykształconego katolika —za pomocą przeglądów, jak wymieniony. Cena roczna 25 fr. franc. Pismo należy do poważnych i pożytecznych Może zajmie nas także i z tej racji, że mamy w Polsce kilkadziesiąt tysięcy wyznawców Islanizmu. K. B.

Wiadomości z kraju i zagranicy.

List pasterski J. Em. Ks. Kardynała Aleksandra Kakowskiego z okazji dziesięciolecia Niepodległości Polski.

Aleksander Kardynał Kakowski z Bożej i Stolicy
Apostolskiej łaski Arcybiskup Warszawski

Wielebnemu Duchowieństwu Archidiecezji Warszawskiej pozdrowienie w Panu i błogosławieństwo pasterskie.

11-go listopada rb. Polska odrodzona obchodzi pierwsze dziesięciolecie swej niepodległości. Przez ten okres czasu utrwaliła i obroniła swój byt niezależny za sprawą Opatrzności Bożej, wstawiennictwem Marji Królowej Korony Polskiej i orędownictwem Świętych Patronów naszych.

Z chlubą wspominam o tem, że gdy naród cały wspólnym wysiłkiem poświęcenia i bohaterstwa odpierał napór wrogów i kapłani nasi, jako nieodrodni synowie Matki Ojczyzny, przyczyniali się ze swej strony do zbawienia Polski, zanosząc gorące modły do Boga w uroczystych błagalnych nabożeństwach, wypraszając ratunek z nieba, budząc otuchę wśród ludu, podtrzymując ducha wśród żołnierzy z narażeniem nawet życia swego, że wspomnę świetlane imię Księdza Skorupki.

W ciągu tego dziesięciolecia duchowieństwo nasze, pasterzując z poświęceniem po parafjach wśród ludu wiejskiego i wśród robotników po miastach, utrwalając zasady zgody, ładu i porządku społecznego, przyczyniło się w znacznej mierze do ustalenia bytu państwowego. Nie uchylało się od współ-

pracy z czynnikami rządzącymi w tem wszystkiem, co służy ku dobru i pokojowi powszechnemu i pogłębieniu idei państwowej, narodowych tradycji i narodowych ideałów.

Gdy więc Polska cała obchodzić ma uroczyście wielki dla nas dzień 11-go listopada i wspominać będzie ze szlachetną dumą, jakeśmy zerwali kajdany niewoli i stali się wolni, równi w rodzinie narodów, niepodlegli i mocarstwowi, to i duchowieństwo polskie wspólnem uczuciem przepełnione, weźmie czynny udział w powszechnych objawach radości narodowej, nadto postara się, aby w dniu tym po całej Archidiecezji naszej dziękczynne zabrzmiały do Boga modły.

Podzielając z całem Duchowieństwem mojem radość i dumę Polaka-Obywatela, postanawiam, aby w dniu 11-go listopada, który w tym roku jest dniem niedzielnym, Czcigodni Księża mojej Archidiecezji odprawili po Sumie nabożeństwo Te Deum z modlitwami pro gratiarum actione, dziękując wraz z ludem wiernym Bogu za otrzymane łaski w ciągu tego dziesięciolecia, dziękując za uzyskaną niepodległość Polski, za zjednoczenie ziem polskich, za ustanowienie państwa i rządu.

A jednocześnie niech Czcigodni Księża modlą się wraz z ludem o zgodę i zjednoczenie serc i umysłów w pośród obywateli, synów jednej ziemi, — o umocnienie i rozwój organizacji państwowych i społecznych, — o błogosławieństwo dla głowy państwa i podległych mu urzędów, o utrwalenie sąsiedzkich stosunków z ościennemi państwami, wreszcie o pokój powszechny na ziemi.

W nabożeństwie, które odprawię tego dnia w kościele katedralnym św. Jana, będę się łączył z Waszemi modłami.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa z Wami wszystkimi. Amen.

Dan w Warszawie, dnia 15-go października 1928 r

(—) Aleksander Kardynał Kakowski, Arcybiskup Warszawski.

(—) Ks. Z. Choromański, Kanclerz Kurji

List pasterski J. E. Księdza Biskupa Polowego Stanisława Galla z okazji dziesięciolecia Niepodległości Polski.

Stanisław Gall, z Bożego zmiłowania i Stolicy
Apostolskiej łaski Biskup Polowy Wojsk Polskich.

Drodzy Żołnierze!

Dziesięć lat upływa od czasu, kiedy dokonały się wyroki sprawiedliwości Bożej, a dostojna, droga Macierz nasza, Ojczyzna, opromieniona zorzą wolności, powstała do nowego życia. W zaraniu radosne owe dni zamącił szczęk oręża, przesłoniły jasny horyzont dymy i łuny pożarów, a wrogowie i źli sąsiedzi ścisnęli ją zewsząd ogniowem koliskiem. Na ten widok zabiły żywiej serca wiernych synów Ojczyzny, którzy porwali się do broni, by własną piersią zasłonić umiłowaną swą Matkę. Orlęta lwowskie, gorejącym wzrokiem w Nią wpatrzone, broniły każdej piędzi ziemi Czerwieńskiej; ślązacy z góralami Podhala odpierali napaście sąsiedzkie; front wielkopolski rozbrzmiewał hukiem armat; szczękały gęsto karabiny na olbrzymim szlaku rosyjskim; zmagał się prawy wilnianin z Pogonią... Szły coraz nowe zastępy

mężnych bojowników, obficie swą krwią bitewne pola zraszając, a mogiłami bezimiennych bohaterów tworząc szańce obronne Ojczyzny, wsparte mocą niebiańską, która szła od stóp Częstochowskiej Pani Hetmanki Wojska Polskiego. W oczach zdumionego świata dokonał się wiekopomny „Cud Wisły". Jakaż więc radość wielka i duma szlachetna powinna wypełnić serca nasze! Ileż wdzięczności winno się objawić dla Najwyższego Dawcy zwycięstwa! Dzięki też Bogu oddając za tak sławne zwycięstwo, o którem z weselem dzisiaj wspominamy, mówić nam wypada z Psalmistą: „Głos wesela i zwycięstwa w namiotach i w obozie sprawiedliwych. Pochyliłem się do upadku, a On podjął mię i ręka Jego wzmocniła mię". (Ps. 41). Wdzięcznem więc sercem wyznajemy, że Boża moc w owe dni wiekopomne w nas się okazała, jako mówi natchniony Pieśniarz Pański: „Błogosławiony Pan Bóg, który naucza ręce moje do wojny i palce moje do boju" (Ps. 144). Ta moc Boża krzepiła serca żołnierskie, bo nasze zbrojne hufce broniły świętej wiary ojców, drogiej ziemi rodzinnej i umiłowanych braci naszych, utrwalały pokój i sprawiedliwość i dlatego wiodła je ku zwycięstwu „prawica Boża".

Cieszyć się zatem powinniśmy i chlubić, że dał nam Bóg oglądać sławę rycerską naszej armji, którą utworzył i prowadził do zwycięstwa nasz Wódz Naczelny i podwładni jemu Dowódzcy, ceną męstwa i cnoty wojskowej szarego żołnierza polskiego. Cieszyć się nam wypada i chlubić, że nasze sztandary i chorągwie wojskowe wracały z pola bitew opromienione glorją zwycięstwa, świadcząc o nieskażonym honorze żołnierskim.

Ustała wojna, nie ustała służba żołnierska; stoi żołnierz polski na straży odzyskanej wolności, otoczył orężnem koliskiem dzierżawy Dostojnej swej Pani i Matki, czujny na każdy odgłos niebezpieczeństwa, gotów każdej chwili drogę zastąpić wrogowi, gdyby się odważył zbrodniczo przeciwko niej wyciągnąć ręce. Przeto z ufnością poględa Matka Ojczyzna na rycerskiego swego obrońcę, jemu powierzając miecz ku obronie wolności i sprawiedliwości.

Jednakże bezmierne to zaufanie, jakie żywi Ojczyzna ku swemu żołnierzowi. ileż od niego wymaga hartu, poświęcenia i cnoty. Ileż potrzeba szczytnej i bezinteresownej miłości. aby nią ogarnąć Naród cały i wszystkich braci swoich, za których żołnierz polski w razie potrzeby winien nie poskąpić swego życia młodego i krwi swojej serdecznej.

Ale wierzymy wszyscy, że polski żołnierz sprosta swemu wielkiemu zadaniu. Niechaj się wpatrzy w swego Wodza Niebieskiego, Jezusa Chrystusa, a usilnie się ćwiczy, bo gdy się nauczy nieprzyjaciela dusznego zwojować, nie trudno mu już będzie wrogów Ojczyzny pokonać. Niechaj się uczy cnót, właściwych żołnierzowi chrześcijańskiemu, do czego św. Kościół katolicki nakłania z rozkazania Chrystusowego. Jak apostołowie i uczniowie ponieśli słowo ewangeliczne na świat cały, aby ludzi od złego uchraniać i w dobrem utwierdzać, tak wśród was, drodzy Żołnierze, przebywają kapłani, którzy przez święte posługiwanie utwierdzają was w łasce Chrystusowej. dzielą z wami trudy żywota żołnierskiego, a jak całe dzieje Ojczyzny zgodnie poświadczają i ostatnia wojna dowiodła, że na niebezpieczeństwo się narażali, odnosząc na polu bitew ciężkie rany, a nawet życie za Ojczyznę składali. Niechajże to święte posługiwanie Kościoła przyniesie wam, drodzy Żołnierze, i całemu Narodowi naszemu najobfitsze owoce, niechaj miłość

wspólna wzmaga się w sercach naszych, ogarniając wszystkich bez wyjątku braci naszych, niechaj krzepną nietylko ramiona, ale i dusze się hartują w codziennym wysiłku i pracy nieustannej, — niechaj karność żołnierska zespala was w jeden sprawny i sprężysty organizm, który zapewni nam niewzruszoną potęgę.

Niechaj Bóg miłości pełen, niepomny grzechów naszych i przewinień, w swem nieskończonem miłosierdziu, przez zasługi Królowej Polski i świętych naszych Patronów, błogosławi Rzeczypospolitej naszej, Jej Władzom rządzącym, Jej Sile orężnej, oraz wszystkim stanom, by wiernie pełniąc zakon Pański, umacniali potęgę Ojczyzny!

„Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystua niech będzie z Wami"

Dan w Warszawie, w rocznicę zwycięstwa pod Chocimem,
dn 10 października 1928 r.

Biskup Polowy Wojsk Polskich
(—) † **Stanisław Gall**

Kongres katolickiej młodzieży włoskiej. W dniu Wszystkich świętych w Palazzo della Cancellerisa w Rzymie otworzony został kongres katolickiej młodzieży włoskiej, Obrady poprzedzone zostały Mszą św. w kościele Santa Maria w Vallicella. W czasie nabożeństwa 1. 500 młodych ludzi odśpiewało pieśń „Christus vincit" (Chrystus zwycięża). Generalny prezydent Mgr Tardini wygłosił w czasie kongresu przemówienie, które było wspaniałym hymnem na cześć Papiestwa i jego ogólno-światowej misji. Prezydentem kongresu obrany został hr. dalla Torre, wiceprezydentami — Commendatore Ciriaci i adwokat Rossi z Lecce,

Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy. Od dnia 7-go listopada r. b. rozpoczęły się zapisy do Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego w Wilnje (Ś-to Jańska 12, lub Metropolitalna 1), prowadzonego przez Stowarzyszenie Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie" od lutego 1928 r. Ta oświatowa placówka zaczyna już zyskiwać uznanie mas robotniczych dzięki dobrej organizacji wykładów i doborowi prelegentów, którzy rekrutują się z fachowych sił aauczycielskich i profesorskich. Między innymi wykłady zasad socjologji chrześcijańskiej prowadzi znany w kraju i zagranicą socjolog ks. dr. Aleksander Wóycicki, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Zakres programu Ch. U. R. obejmuje wykłady etyki, języka i literatury polskiej, nauki o Polsce współczesnej wraz z historją, propedeutyki matematyki, geometrji stosowanej (zwłaszcza dla robotników budowlanych). hygjenę, historję ruchu chrześcijańsko-społecznego oraz zasady socjologji. Jednocześnie przewidziane są cykle wykładów z ustawodawstwa robotniczego i aktualnych zagadnień bieżących, wykłady takie odbywać się będą w niedziele i święta.

Sprawą dalszego rozwoju Ch. U. R. zainteresowana została Centrala Chrześcijańskich Związków Zawodowych, gdzie na posiedzeniu delegatów wszystkich związków, w obecności kilkudziesięciu osób, dnia 6 listopada

powzięto uchwałę, mocą której udzielono jaknajdalej idącego poparcia tej placówce.

Wykłady w Chrześcijańskim Uniwersytecie Robotniczym rozpoczną się około 15 listopada r. b.

Kurs instrukcyjno-społeczny w Grodnie. W dniu 6 listopada r. b. odbył się w Grodnie jednodniowy kurs instrukcyjno-społeczny dla działaczy katolicko-społecznych, którzy będą brali czynny udział w akcji katolickiej, zwłaszcza w Ligach katolickich Na kursie obecnych było 80 osób z pośród miejscowej uspołecznionej inteligencji. Referaty z dziedziny zasad akcji katolickiej wygłosili specjalnie przybyli z Wilna ks, prałat Ignacy Olszański i ks. Franciszek Kafarski, sekretarz gen. Wileńskiego Związku Młodzieży Polskiej.

Siódmy kongres katolickich robotników Kanady. W Kanadzie odbył się siódmy kongres tamtejszych robotników katolickich. Wzięli w nim udział Arcybiskup z Quebeo, Kardynał Rouleau, oraz minister pracy, Galipeault. Otwarcie kongresu poprzedziła uroczysta Msza św., w czasie której podniosłe kazanie wygłosił ks. Bonhomme.

Głównym przedmiotem obrad była encyklika „Rerum novarum“. Przemawiał m. in. minister pracy, dzieląc się z zebranymi uwagami na temat organizacji pracy i przypuszczając możliwość pewnej poprawy ich obecnej sytuacji. Na uwagę zasługuje rezolucja o świętowaniu niedzieli.

Zjazd prezesów Kół Stow. Młodz. Akad. „Odrodzenie“. W dniu 1 listopada r. b. odbył się w Warszawie zjazd prezesów Kół Stowarzyszenia Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie“, na którym rozważane były aktualne zagadnienia z życia akademickiego w Polsce.

W zjeździe wziął udział ks. Szymański, vice-rektor Uniwersytetu Lubelskiego i prezes senioratu „Odrodzenia“.

Obrady toczyły się w lokalu „Odrodzenia“ przy ul. Krakowskie Przedm. 7.

Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Z okazji „Święta Młodzieży”, dorocznie obchodzonego przez Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, a w tym roku przypadającego na dzień 18 listopada, podajemy cyfry wyjęte z ostatniego sprawozdania centrali S. M. P., Zjednoczenia Młodzieży Polskiej „za rok 1927 (Księgarnia S. A. „Ostoja”, Poznań, ul. Pocztowa 15, cena 1.50).

„Święto Młodzieży” jest poświęcone patronowi męskieh Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, św. Stanisławowi Kostce. W dniu 18 listopada święto to uczci w Polsce 1,997 Stowarzyszeń Mł. Pol., które zgrupują około 68.000 druhów. Jestto młodzież pozaszkolna, w wieku 14—25 lat. Według statystyki przeciętnie w każdem męskiem Stowarzyszeniu znajduje się obecnie 34 druhów, Władzą organizacyjną dla każdego Stowarzyszenia jest Związek Mł. P., a centralą Związków jest Zjednoczenie Młodzieży Polskiej, z siedzibą w Poznaniu, ul. Pocztowa 15.

Obecnie Zjednoczenie grupuje 28 tych Związków, a ich siedziby to: Częstochowa, Kielce, Kraków, Lublin, Lwów. Łomża, Łódź, Mikołów, Poznań, Płock, Przemyśl, Radom, Siedlce, Tarnów, Warszawa, Wąbrzezno, Wilno, Włocławek, Katowice, Pińsk i Kowel. Należy podać, że nietylko Stowarzyszenia Mł, P. męskiej należą do Związków M. P., ale również i Stowarzyszenia Mł. P. żeńskiej. Ogółem członkiń, t. j. druchen we wszystkich towarzyszeniach M. P. żeńskiej, należących do tych 28 Związków, jest 61,455. Samych Stowarzyszeń M. P. żeńskich jest 1.572. Wchodzą tu jeszcze w rachubę Stowarzyszenia mieszane (członków 1.349 w Związkach: Łódź i Włocławek), których jest ogółem 40. Stowarzyszenia te jednak wkrótce zostaną rozwiązane, gdyż organizacja wychowuje oddzielnie druhów i oddzielnie druchny.

Zjednoczenie Młodzieży Polskiej liczy ogółem w. 3.609 Stowarzyszeniach M. P„ żeńskich i męskich, — 130.444 młodzieży. Są to cyfry z roku ostatniego; dziś przedstawiają się one napewno jeszcze lepiej, gdyż organizacja z każdym rokiem rozwija się żywiołowo.

W Stowarzyszeniach M. P. wre praca w myśl idei katolickich, obywatelskich i narodowych. Hasłem Stowarzyszeń M. P. jest „Bóg i Ojczyzna". Cała organizacja jest apolityczna. Działalność oświatowa prowadzona jest w Stowarzyszeniach przez wykłady i kółka, jak oświatowe, eucharystycyne, marjologiczne, misyjne, śpiewackie, muzyczne, teatralne, abstynenckie, robót ręcznych i zawodowych. Na szczególną uwagę zasługuje akcja przysposobienia rolniczego. W tegorocznym konkursie kukurydzowym wzięło udział 18.000 uczestników, którzy wykazali przytem niezwykłe zainteresowanie. Tak samo kółka wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego rozwijają się w sposób żywiołowy, tak że Zjednoczenie jest obecnie liczebnie jedną z najliczniejszych organizacyj w. f. i p. w. w Polsce (40.000).

Zadania pracy oświatowej spełniają wydawnictwa Zjednoczenia M. P., dostarczając Stowarzyszeniom M. P. materjałów do różnych obchodów, wieczornic itp. Czasopismem organizacyjnem dla druhów Stowarzyszeń jest „Przyjaciel Młodzieży", którego abonament jest obowiązkowy dla każdego z członków, dla druchen zaś organem takim jest „Młoda Polka", do prenumerowania którego również obowiązana jest każda członkini. Dla zarządowców w Stowarzyszeniach Mł P. wydawany jest specjalnie „Kierownik Stowarzyszeń Młodzieży". Ponadto poszczególne Stowarzyszenia otrzymują „okólniki" od swych związków, zawierające wiadomości organizacyjne na terenie działalności danego Związku.

Powyższe cyfry, przytoczone w chwili zwrócenia uwagi społeczeństwu na „Święto Młodzieży", powinny każdemu utkwić głęboko w pamięci. Napewno starsze społeczeństwo, zainteresowane działalnością Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, ze względu na ich wartość wychowawczą, będzie miało wiele okazji i sposobności do pośpieszenia z pomocą tym niezwykle pożytecznym placówkom, wychowujących przyszłych, dzielnych obywateli w katolickiej Polsce.

Wpływy masońskie na poszczególne koła socjalistyczne w Polsce. Poszczególne koła socjalistyczne prowadzą dla wciągania młodzieży w sferę socjalizmu t. zw. oddziały Tow. Uniwersytetu Robotn. Obecnie masonerja stara się uzyskać wpływ na tę młodzież, czego dowodzi następujący dokument:

„Do Oddziału Tow. Uniwersytetu Robotn. — Szanowni Towarzysze! W swoim czasie przesyłaliśmy Wam parokrotnie NN. „Życia Wolnego“ w nadziei, że zaprenumerujecie je na stałe. Niestety, nie otrzymaliśmy zamówienia, aczkolwiek mogliśmy liczyć na poparcie najbliższych nam współideowców

Wobec poruszonych w ostatnich NN. pism naszych „Życie Wolne“ i „Wolnomyśliciel Polski“ zagadnień z dziedziny proletarjackiej (Hulka-Laskowski „Poezja proletarjacka“, Jabłoński „W sprawie taktyki antyklerykalnej“), pozwalamy sobie jeszcze raz przesłać Wam oba pisma i liczymy, że niewątpliwie zamówicie je do stałej wysyłki. Zwracamy też Waszą uwagę na wydane dotąd przez nas broszury (zaznaczone na okładce „Życia Wolnego“), które winny znajdować się w każdej bibljotece socjalistycznej. Na żądanie Wasze gotowiśmy przyznać wam 25% rabatu, a w zamian liczymy nietylko na Wasze poparcie ale i na wyrażenie przez Was chęci masowego kolportażu zarówno pism jak i wydawnictw.

W druku znajdują sią interesujące a tanie broszury socjalistów austryjackich: prof. Teodora Hartwiga p. t. „Socjalizm a wolnomyślicielstwo“ oraz d-ra Roberta Plochna pt. „Katechizm wolnomyśliciela“. Jak widzicie działalnością noszą wypełniamy pewną lukę, której lekceważyć nie należy.

W oczekiwaniu łaskawej odpowiedzi przesyłamy wolnomyślicielskie pozdrowienia.—„Życie Wolne“, Administracja, Warszawa, Królewska 16“.

Przemilczane liczby. „Le Dictionaire de Theologie Catholique“ w jednym z ostatnich swoich zeszytów podaje ciekawe szczegóły o męczennikach Kościoła katolickiego. Zajmuje się on tylko męczennikami ostatniego stulecia, przyczem pomija Ormjan katolickich, którzy w latach 1985—1896 i podczas wojny światowej padali tysiącami z rąk tureckich — wchodziły tam w grę między innymi także i względy polityczne — i zestawia liczby właściwych męczenników, którzy wiarę swą przypieczętowali krwią.

I tak więc na Korei w r. 1827 umarło za wiarę około 1,000,a w latach 1866 — 1870 około 8.000 katolików. W Sjomie, Annamie i Tonkini, w latach 1855—1862 i 1883—1885 przeszło 40,000 chrześcijan poniosło śmierć z ręki katów, ponieważ nie chcieli deptać krzyża nogami. W Chinach w r. 1900 fanatyczne bokserzy zamordowali około 8.000 osób. O prześladowaniach w Rosji i w Polsce pod zaborem rosyjskim niema jeszcze zupełnie dokładnych danych. Wiadomo tylko, że prześladowania te trwały prawie bez przerwy za czasów Mikołaja I, Aleksandra II, Aleksandra III i Mikołaja II. Sam Mikołaj I kazał stracić 406 księży katolickich.

Sumując tylko te, wymienione wyżej dane, otrzymamy wielką liczbę 57,000 męczenników. A niema tu bohaterów wiary z czasów najnowszych w Rosji i Meksyku, Chociaż historja usiłuje przemilczać te liczby, my, katolicy, winniśmy wiedzieć o nich i pamiętać je!

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19.
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo!

Spójrzmy prawdzie w oczy...

Nawiązując do dwóch poprzednich artykułów wstępnych, postarajmy się streścić tezy w nich zawarte, aby następnie wyprowadzić odpowiednie wnioski.

W pierwszym rzędzie uzasadnialiśmy, że *nie wolno katolikowi żyjącemu w czasach dzisiejszych zamykać religji li tylko w ramach życia indywidualnego*, lecz przeciwnie należy pojmować jej zasady, jako program do zrealizowania w całokształcie stosunków życiowych. Należy przeto zapewnić panowanie jej zasadom w życiu społecznym narodu.

Następnie zwróciliśmy uwagę na najważniejszy bodaj dzisiaj odcinek życia społecznego, *na kwestję socjalną*. Okazuje się, że znaczna część katolików nie zna tego zagadnienia, lub nim się nie interesuje w dostatecznym stopniu, że mimo wyraźnego stanowiska Kościoła, ujętego w Encyklikach papieskich, mimo wspaniałego wezwania Wielkiego Papieża Leona XIII, znaczna część inteligencji katolickiej w Polsce znajduje się po dziś dzień pod wpływem przestarzałych pojęć liberalno-kapitalistycznych, sprzecznych z nauką naszej religji, że skutkiem tego istnieje u nas pewien mur chiński wzajemnej obcości i niezrozumienia wzajemnych potrzeb i interesów między inteligencją a robotnikiem polskim, że w konsekwencji

tego stanu rzeczy pogląd na masy ludowe uzyskuje w Polsce coraz bardziej typ inteligentnego, pozbawionego skrupułów i gotowego na wszystko radykała, bardzo często pochodzenia żydowskiego.

Przejdźmy teraz do dalszych rozważań.

Czy istnieją katolicy, którzy nie zdają sobie sprawy, że *rozpoczął się już koncentryczny i planowy atak zorganizowanych żywiołów antyreligijnych na realne pozycje katolicyzmu w Polsce.* Jeżeli są jescze tacy, niech przeczytają sobie sprawozdania posiedzeń komisji budżetowej Sejmu, lub choćby artykuły, omawiające szczegółowo tę sprawę w tym samym numerze „Pro Christo"—a wówczas pozbędą się szkodliwych iluzji.

„Point de reveries" — Nieprzyjaciel zdobył już pierwsze linje okopów i szykuje się do decydującego uderzenia w samo serce naszych pozycji: w rodzinę, w szkołę, w konkordat!

I łudziłby się ten, ktoby powodzenie akcji katolickiej w Polsce opierał jedynie i wyłącznie na praktykach religijnych i mówił: „Dobrze jest. Wszak dużo ludzi było na pasterce, a tłumy całe przystępowały do spowiedzi wielkanocnej".

Niewątpliwie, praktyki religijne są pierwszym i najniezbędniejszym przejawem katolicyzmu i musi radować się serce każdego dobrego katolika, gdy widzi podczas świąt i uroczystości olbrzymie tłumy ludzi, dające zapomocą praktyk religijnych wyraźny dowód swego tradycyjnego przywiązania do Kościoła.

Ale niech obraz ten nie przesłania nam innych faktów. Nie zapominajmy o tem, *że ci sami ludzie, żarliwie i szczerze modlący się po kościołach, podczas wyborów oddają tłumnie swoje głosy na P. P. S., Wyzwolenie, Partję Chłopską, a nawet komunę—wogóle wszelkie ugrupowania notorycznie zwalczające Kościół i religję. Religja ich bowiem opiera się wyłącznie na tradycji, a nie uświadomieniu.*

Do czego taki stan rzeczy może doprowadzić.? Do tego, co się dzieje we Francji, gdzie kościoły też są często przepełnione żarliwie rozmodlonym tłumem wiernych, a *krajem rządzi od lat kilkudziesięciu oligarchja masońska*, która zlikwidowała systematycznie wszystkie publiczne instytucje religijne, narzucając przyszłym pokoleniom przyzwyczajenia i tradycje pogańskie. Tradycja bowiem jest twierdzą obronną, która może być uży-

ta, zarówno w obronie katolicyzmu, jak i zakorzenionych już np. w społeczeństwie francuskiem zasad literalno-materjalistycznych.

U nas jeszcze tradycja, zwłaszcza wśród mas ludowych stoi raczej na usługach katolicyzmu. Ale mury obronne tej tradycji są już stale i systematycznie rozbijane i kruszone przez silnie zakorzenione i wpływowe wśród mas organizacje radykalne, które w walce z katolicyzmem potrafią umiejętnie i skutecznie posługiwać się hasłami socjalnymi.

A przecież musimy pamiętać, że o tem, czy Polska ma być w przyszłości państwem katolickim, czy pogańskim—decydować będzie nietylko inteligencja, ale i lud, a raczej *lud pod kierownictwem zorganizowanych kadrów inteligencji.* Taka już jest struktura czasów dzisiejszych.

Jeśli do tej pory inteligencja katolicka nie zdołała uzyskać wśród ludu wpływów dostatecznych, któreby gwarantowały charakter katolicki naszego narodu i państwa—to w tem musi się kryć poza warunkami terenu pracy—jakiś błąd zasadniczy, jakaś przyczyna szczególnie ważna.

Tą przyczyną jest fakt, że *poza nielicznymi wyjątkami, ludzi zapracowujących się po łokcie w stowarzyszeniach i związkach ruchu chrześcijańsko-społecznego, ogół naszej inteligencji katolickiej, czy duchownych, czy świeckich — nie zna zagadnień socjalnych i nimi się wogóle nie interesuje.*

I dlatego ludzie ci nie mają dostępu do warstw ludowych, nie mają z nimi wspólnego języka. *Chłop bowiem i robotnik stanie się zwolennikiem tylko takiej organizacji i tylko takim przywódcom da się powodować, którzy poza obroną zasad moralnych wezmą również w obronę jego interesy ekonomiczne i to w sposób wyraźny i zdecydowany.*

Point de reveries... Jeżeli inteligencja katolicka w Polsce, a zwłaszcza młode jej pokolenie nie pójdzie za mądrymi i wiekopomnymi wskazaniami Ojca św. Leona XIII i nie wytworzy w sobie potężnego pędu do pracy na terenie realnych warsztatów działalności katolicko-socjalnej—będziemy wkrótce mieli w Polsce męczenników, tak, jak w Meksyku, albo jeszcze gorzej—urządzenia życia publicznego będą służyć do stystematycznego zatruwania ducha społeczeństwa, jak we Francji!

Katolicyzm i wówczas nie zginie, bo jest nieśmiertelny, ale ile klęsk, ile daremnych wysiłków, ile zniszczenia może przejść przez Polskę.... *Stefan Kaczorowski.*

*
* *

Ponad te kłótnie, nad te ziemskie swary,
nad te zwycięstwa z pomocą oręża
wznosi się Kościół katolicki stary,
który miłością i pracą zwycięża.

Miłością twórczą wrogów pokonywa,
miłością—czynem w imię Chrystusowe,
a ciżba wraża, zguby jego chciwa,
z podziwem przed nim skłaniać musi głowę.

J. M. Ch.

Msza święta.

Spiew Gregorjański.

II.

Zanim zaczniemy zaznajamiać czytelnika z mszą św. trzeba nam jeszcze powiedzieć kilka słów o muzyce i śpiewie używanych w liturgji rzymskiej.

Kościół ma swój śpiew własny, śpiew uświęcony, który jako wyraz modlitwy żadnemu innemu nie ustępuje.

Nazywa się on „Cantus planus“, to jest śpiew o nutach równej wartości, „Cantus firmus" dla jego spokoju i niebiańskiej pogody i „Cantus choralis", gdyż śpiewany jest chórem — „Cantus liturgiens", gdyż służy liturgji; „Cantus gregorjanus“, gdyż dał mu impuls św. Grzegorz Wielki († 604).

Zawdzięczamy temu wielkiemu papieżowi, benedyktynowi, uporządkowanie obecnego repertuaru muzycznego.

Za Karola Wielkiego śpiew gregorjański rozchodzi się po całem jego państwie.

W IX w. powstają szkoły śpiewu w St. Gall i w Metz.

W XI w. Guy z Aresso ułatwia wykonanie śpiewu gregorjańskiego wprowadzeniem pięciolinji.

Ale w XVI w. z nastaniem „Odrodzenia" i z powrotem do pojęć bardziej pogańskich, prostota melodji gregorjańskich już nie wystarcza — trzeba już rzeczy bardziej skomplikowanych, bardziej ludzkich, a zatem mniej bożych. Będzie to panowanie

polifonji, instrumentów smyczkowych, orkiestry, śpiewu solowego, które się rozszerzy w chrześcijaństwie i trwać będzie tak długo, jak długo znaczenie liturgji będzie zapoznane.

W XIX w. dopiero D. Gnesanger, odnowiciel ideału benedyktyńskiego we Francji, wtajemniczył uczniów swoich w znajomość starożytnych melodji liturgicznych. Odtąd prace Dom Pothier i Dom Mocquerau rzuciły pełne światło na śpiew gregorjański.

Nakoniec „Motu proprio“ Piusa X (z dn. 22 list. 1903 r.) zatwierdza ostatecznie pierwszeństwo śpiewu gregorjańskiego w liturgji rzymskiej: „On jeden jest prawdziwą, śpiewaną modlitwą Kościoła — Jeden głos, jeden dźwięk, jedna dusza, jedno serce, jedna modlitwa, potężna, jak ton całego Kościoła. Ile powagi, spokoju, majestatu w tym śpiewie! a jaka prostota środków, aby wywrzeć, nie szukając tego, tak potężne wrażenie“.

Czy może być coś bardziej poruszającego i podnoszącego, jak głos tłumu, wyznającego Credo lub szepczącego „Kyrie eleison“!

A jednak Kościół nie jest ciasny. Nie wyklucza innej muzyki religijnej.

W wielkich kościołach i katedrach śpiew wielogłosowy, klasyczny w rodzaju „Palestriny“ lub „de Monte“ jest zupełnie dozwolony. Szkoła nowoczesna może w tym zakresie twórczość szeroko rozwinąć.

Trzeba jednak liczyć się z tem, że dzieła muzyczne religijne będą o tyle święte i liturgiczne, o ile w natchnieniu, smaku i tempie zbliżać się będą do melodji gregorjańskich—o tyle mniej będą godne Kościoła, o ile bardziej oddalać się będą od tego wzoru.

Nie zapominajmy o tem, że kościoły nasze nie są salonami ani salami teatralnemi, ale są domami modlitwy, wszystko więc, co może odwracać uwagę naszą od modlitwy, powinno być z nich na zawsze wykluczone i wygnane.

Aspersja wodą święconą w niedzielę.

W niedzielę przed sumą kapłan kropi wodą święconą lud zgromadzony. Woda ta przedtem została we właściwy sposób poświęconą.

Woda od niepamiętnych czasów uważana była jako symbol oczyszczenia.

Chrześcijanie używali jej z początku tylko do chrztu św.

Należało jednak, aby kapłani, mający odprawiać mszę św., mieli ręce czyste, równie jak i wierni, którzy początkowo do rąk brali Eucharystję świętą. Stąd zwyczaj w dawnych bazylikach, że świątynia była poprzedzona sienią lub dziedzińcem (dawne „atrium" rzymskich domów), gdzie się znajdowała fontanna.

Już w II w. Tertuljan mówi o wodzie święconej.

Gdy przedsionek kościelny zmniejszył swój obszar do tego stopnia, że się stał kruchtą, fontanna zmieniła się w prostą kropielnicę, do której wierni przychodzą nie dlatego, aby umyć ręce, ale tylko, aby umoczyć palce, wyobrażając w ten sposób oczyszczenie duszy.

W w. IX zaczął wchodzić w użycie, a w w. X-ym stał się ogólnym zwyczaj święcenia wody przed mszą św. w niedzielę i kropienie nią wiernych, którym też wolno było zabierać wodę święconą do domu (sobór w Nantes koło 900 r.).

Do poświęcenia wody kapłan używa wody zwyczajnej i soli. Bierze on naprzód sól, potem wodę, którą egzorcyzmuje, wrzuca sól do wody i błogosławi, odmawiając przepisane modlitwy.

Co znaczą te ceremonje?

Właściwością soli jest zabezpieczenie od zepsucia — właściwością wody—oczyszczenie. Kapłan *egzorcyzmuje* je, t.j. oddala wszelkie wpływy djabelskie, co zresztą Kościół czyni zawsze, ilekroć przeznacza rzecz jakąś do użytku świętego.

Miesza sól z wodą, aby ta woda święcona zarazem strzegła od zepsucia i oczyszczała.

Błogosławi je, czyniąc znak krzyża, który jest bronią zbawienia i źródłem łask wszelkich.

Modli się: chce uprosić dla tej wody moc wypędzenia szatana z dusz naszych, z naszego ciała, z naszych mieszkań, moc leczenia naszych chorób i ściągnięcia do dusz naszych obecności i pomocy Ducha św.

Woda święcona należy do sakramentalji t. z. ma moc odpuszczania grzechów powszednich dla tych wszystkich, którzy używają jej z wiarą w Jezusa Chrystusa i ze skruchą za grzechy.

Zwyczaj kropienia wodą święconą stał się ogólnym na Zachodzie.

Aspersja ma miejsce przed rozpoczęciem najwznioślejszej czynności liturgicznej, mszy św., aby nas nauczyć tej wielkiej prawdy, że się nam trzeba oczyścić przed tak wielką sprawą

Jakaby nie była zresztą nasza modlitwa, powinna wychodzić z serca czystego. Takie ma znaczenie symbol wody święconej, której używamy wchodząc do kościoła, pozostałość dawnego zwyczaju oczyszczenia zewnętrznego przez umycie rąk.

Zwyczaj wypływający z potrzeby materjalnej (mieć ręce czyste), zamienił się w obrządek bardzo wyrazisty. Niestety, zapomniano do tego stopnia, jakie jest pochodzenie, a nawet jaki jest cel najbliższy tego zwyczaju (oczyszczenie wewnętrzne przez modlitwę), że wierni biorą też wodę święconą wychodząc z kościoła. Pomimo przywiązanych doń 100 dni odpustu, zwyczaj ten, w tej właśnie chwili jest raczej niefortunny, gdyż czynności związane z kultem, nie powinny być brane z punktu widzenia otrzymywanych odpustów, ale przedewszystkiem ze względu na cel, dla którego postanowione zostały.

Jeżeli się rozumie znaczenie obrządku przeżegnania się wodą święconą przy wchodzeniu do kościoła, byłoby więcej w duchu liturgicznym, a zatem zgodniejsza z duchem Kościoła, nie używać wody święconej, wychodząc.

Podczas aspersji chór śpiewa antyfonę następującą, po której dodaje pierwszy werset psalmu „Misesere“ i Gloria Patri·

„Asperges me. Domine, hyssopo, et mundabor: lavabis me, et super nivem dealbabor (Ps. L. 9).	Pokrop mnie, Panie, hyzopem, a będę czysty; obmyj mię, a nad śnieg wybieleję.

Kapłan kropi naprzód ołtarz, aby oddalić odeń ducha ciemności, kropi siebie, potem obecnych.

To przypomnienie ps. miserere ma na celu wyrażenie skruchy, którą powinniśmy być przejęci przed otrzymaniem łaski ofiary Eucharystycznej.

W czasie wielkanocnym chór śpiewa antyfonę następującą, a po niej 1-szy werset ps Confitemini (ps. 117):

„Vidi aquam egredientem de templo a latere dextro, alleluia. Et omnes, ad quos pervenit aqua inta, salvi facti sunt et dicunt: alleluia, alleluia, alleluia.	Ujrzałem wodę, wypływającą z pod świątyni, od strony prawej, alleluja. I wszyscy, do których doszła woda ona, zostali zbawieni i wołać będą: alleluja, alleluja. alleluja.

Te słowa przypominają nam owoce zbawienne chrztu św., owoce, które zawdzięczamy przebitemu Sercu Pana Jezusa, prawdziwej świątyni Bożej.

Stąd też uczucia radości w tej antyfonie.

Przychodźmy zawsze wczas do Kościoła, aby skorzystać z łask, do Aspersji przywiązanych.

Gdybyśmy mieli więcej wiary! (d. c. n.)

D. Karol van Ovst, O. S. B.

DYSPUTY.

Pyt. Religja uczy, że śmierć chrześcijan i męczeństwo za przekonania religijne jest dowodem boskości religji. A tymczasem niektórzy heretycy, jak np. Hus, ponieśći śmierć w obronie swojej herezji. A zatem męczeństwo, czyli śmierć za przekonania religijne, nie jest dowodem boskości religji.

Odp. Fakty męczeństwa za wiarę są wyprawdzie dowodem apologetycznym tej wiary, lecz zewnętrznym i drugorzędnym. Prawdziwość zasad wiary winna być już przedtem stwierdzona na podstawie argumentów wewnętrznych, wypływających z samej ich treści.

Przytem wtedy tylko może być ten dowód brany w rachubę, jeżeli jest faktem powszechnym, gromadnym. Wypadki sporadyczne, jednostkowe siły dowodowej jeszcze nie mają, bo można je wytłomaczyć w inny sposób, np. uporem, pychą, chorobliwą ambicją, stanem psychopatycznym i t. p.

Fakt męczeństwa musi występować jednocześnie z innemi okolicznościami, stwierdzającemi niewinność, bezinteresowność, szlachetność i stan normalny ofiary prześladowania religijnego. Dopiero wtedy może być uznany za dowód przekonania religijnego.

Męczenników z czasów pierwszych chrześcijan, mamy kilkanaście miljonów, ludzi z różnych stanów i płci, w różnym wieku, od dzieci począwszy aż do starców nad grobem, prostaczków i uczonych, niewolników i z domów panujących, nędzarzy i bogatych, słabych i mocarzy. W następnych wiekach, aż do naszych czasów, nie brak ich również nigdy. Przykładów mamy dość naocznych, choćby z niedalekiej Bolszewji, lub Meksyku.

Nie przesądzamy, nie możemy nigdy sądzić, jak Pan Bóg przyjął śmierć np. Husa, czy innych „męczenników“ herezyj i schizm, bo Pan Bóg patrzy zawsze na duszę człowieka, której my nie przenikniemy, nawet po najściślejszych badaniach naukowych. A może ten czy inny człowiek umierał, kładąc z całem przekonaniem swe życie na stwierdzenie swych poglądów. Pan Bóg policzy mu to wtedy napewno po swojemu, t. j. przyjmie go za swego męczennika, bo właściwie subjektywnie on za niego umierał. Historja i prawo na podstawie dokumentów zewnętrznych i kodeksów swoich wyda zawsze sąd, odpowiedni do swych artykułów i dlatego nie można z tych jednostkowych faktów czynić naukowego argumentu. Zasadą życia każdego człowieka powinno być: dojść prosto i szczerze, z dobrą wolą do swego światopoglądu, pamiętając jednak, że nad przemijające poglądy jednostek, wznosi się autorytet Kościoła Bożego. Bóg patrzy tylko na duszę i żąda prostoty, szczerości i dobrej woli, popartej możliwym wysiłkiem.

Łaski swojej nie odmawia wtedy nikomu.

* * *

Pyt. Kościół uczy, że szybkie rozpowszechnienie chrześcijaństwa dowodzi boskości religji katolickiej, a przecież inne religje, jak np. mahometanizm, protestantyzm, także prędko rozszerzyły się po świecie. Przeto szybkie rozpowszechnienie chrześcijaństwa niczego nie dowodzi.

Odp. I to jest również zewnętrznym i drugorzędnym argumentem apologetycznym. I jego również nie można brać bezkrytycznie i powierzchownie. Rozważyć należy okoliczności towarzyszące temu faktowi, bo wiele rzeczy i zwyczajów przyjęło się powszechnie i bardzo szybko, ale to nie jest jeszcze dowodem ich nadnaturalności. Weźmy choćby pod uwagę np. obłudę i kłamstwo w stosunkach ludzkich, a szczególnie w polityce międzynarodowej.

Nic dziwnego, że szybko rozszerzył się mahometanizm, który dawał folgę wszystkim podejrzanym skłonnościom ludzkim i pobudzał fanatyzm religijny obietnicą raju o również podejrzanych rozkoszach, a przytępiał głos sumienia swą nauką o nieuniknionem fatum.

Nic dziwnego również, że tak się stało z protestantyzmem, przynajmniej w początkach jego historji, bo otwierał naoścież

bramę do nieskrępowanego żywota, na co nie pozwalała etyka katolicka. Ale że chrystjanizm pierwotny objął odrazu tysiące i w krótkim czasie miljony wiernych wyznawców, że przeniknął wszystkie lądy i morza, że dotarł do wszystkich narodów i mimo przemocy pogańskiej pociągał ku sobie jakąś nieznaną mocą, która kazała się ludziom wyrzekać wszystkiego, porzucać „wygodę" życia pogańskiego, sprzedawać majątki i kłaść je u nóg apostołów, odwracać się od ponęt zepsutego świata i oddać się dobrym uczynkom, modlitwie i pokucie nieraz bardzo surowej, dając w perspektywie — arenę Circus maximi, kły dzikich zwierząt, pochodnie Cezara, lub w najlepszym razie cuchnące więzienie albo zesłanie zdaleka od ludzi. — Czem to wytłomaczyć? Nie było w tem nic absolutnie z tego, co zwykło pociągać ludzi, za czem ludzie gonią przez życie, co im się podoba i dogadza. Na żaden ziemski sposób tego nie wytłomaczymy, a nie możemy przypuścić, że całe te miljony ludzi cierpiały na jakąś manję prześladowczą, na zwyrodniały sadyzm, lubujący się w cierpieniach i torturach własnych, uległy zbiorowej suggestji, lub wogóle były anormalne. — Pozostaje tylko jedno: siła nadnaturalna, łaska Boża, moc prawdy, podbijającej dusze i serca.. jednem słowem, boskość religji.

Tu było bohaterstwo, w mahometanizmie fanatyzm, w protestantyzmie rozwiązłość.

Mówimy tutaj, oczywiście, o pierwszych pionierach tych kierunków, którzy na sobie odbili całą ideę nauki wyznawanej. Następne pokolenia szły już drogą utartą i mogły bez przeżywania wewnętrznego kryzysu znaleźć w każdej z tych religji prawdę, czy jej cząstkę i do tej prawdy szczerze się przywiązać — co im dobry Pan Bóg policzy napewno za zasługę rzeczywistą — lecz pierwsze szeregi świadczą nieomylnie o ich wartości i pochodzeniu.

* * *

Pyt. Przeciwnicy cudów, widząc, że nie można zmartwychwstania Chrystusa wytłumaczyć wykradzeniem przez Apostołów Ciała Jego z grobu, wystąpili z innem przypuszczeniem—również niepsychologicznem, jak pierwsze. Mianowicie większa część racjonalistów utrzymuje, że te zjawienia się Chrystusa po Jego śmierci krzyżowej, o których księgi Nowego Testamentu wspo-

minają, nie były rzeczywistością, ale tylko złudzeniem, a właściwie hallucynacją.

Odp. Stwierdzamy naprzód, że Ewangielje są dokumentem historycznym, że sami Ewangeliści znani są, jako autorzy wiarogodni, światli i bezstronni i że fakty poszczególne, nietylko ogólne tło treści ewangielicznej są stwierdzone historycznie — co wszystko obszernie i naukowo stwierdza apologetyka oparta na archeologji, historji, geografji, etnografji i t. d. i t. d.

Z tego powodu trudno w dziele tak poważnem i krytycznem dopatrywać się błędów historycznych, zwykłego oszustwa lub fatalnej omyłki, zwłaszcza—jeżeli mowa o złudzeniach i hallucynacjach—że pisane były w kilkadziesiąt lat po faktach opisanych, gdy już był czas na rozwianie się tych złudzeń pod wpływem następstw dziejowych. (Pierwsza Ewangielja napisana była prawie w 20 lat po Zmartwychwstaniu Chrystusa, ostatnia w lat sześćdziesiąt).

Lecz przypuśćmy...

Zbadajmy tylko bezstronnie, czy możliwa tam była hallucynacja?

Złudzenie, hallucynacja, autosuggestja, czy suggestja zbiorowa, według praw psychologicznych, wymagają pewnych warunków uprzednich. Wszystkie te objawy występują zawsze na podłożu pewnego wmówienia w siebie, czy w otoczenie jakiegoś bardzo silnego pragnienia, które w końcu przybiera formę duchowej fata-morgany, graniczącej w swem oddziaływaniu z rzeczywistością.

Gdzie tego pragnienia niema, gdzie jest realizm życiowy i trzeźwość sądu, tam trudno o coś podobnego, a już psychologicznie są te zjawiska wręcz niemożliwe przy nastrojach i usposobieniach przeciwnych.

Tam, gdzie straciliśmy wszelką nadzieję i poddaliśmy się rozpaczy—nie wmówimy w siebie rzeczy już nieoczekiwanej zupełnie i przekreślonej w naszych możliwościach.

Przypatrzmy się grupie apostołów i uczniów Chrystusowych po tragedji Kalwaryjskiej. Niebardzo to pochlebne dni w ich historji.

Depresja zupełna, rozwianie wszystkich nadziei, skrzętnie i tajemniczo w duszy chowanych, ruina bezpowrotna najpiękniejszych marzeń, a -- co gorsza — duch zwątpienia i żalu w stosun-

ku do Mesjasza, jak to widać ze słów uczniów, idących do Emaus: „Myśmy myśleli, że on odbuduje Królestwo Izraelskie, a tymczasem...“ Jednocześnie z zawaleniem się pięknej legendy o Mesjaszu-Królu ziemskim, gdy wszelka łączność ideowa z potępionym przez władze i straconym haniebnie buntownikiem przeciwko Prawu i Cesarzowi groziła śmiercią lub więzieniem, opanował ich serca lęk i paniczny strach. Naprzód uciekli od Mistrza, a później zamknęli się wszyscy w wieczerniku, nie śmiąc wyjrzeć na ulicę, by kto z tłumu nie wskazał na nich palcem i nie zawołał: „i tyś był z Jezusem Nazareńskim, bo i mowa sama cię zdradza..." Jakżeż w takich okolicznościach mogła się zrodzić wśród nich myśl o zmartwychwstaniu, lub pragnienie tego, a stąd wizja hallucynacyjna i wmówienie w siebie i we wszystkich, że widzą Chrystusa w chwale...?

Zachowanie się ich na pierwszą wiadomość o ukazaniu się Chrystusa dowodzi bezsprzecznie ich wprost przeciwnego usposobienia. Nie wierzą, posądzają o plotki: „I zdały się im jako plotki słowa te i nie wierzyli im". (Łuk. 24: 11). Czyżby tak mówili ludzie zasuggestjonowani? „Nie uwierzę, dopóki sam nie ujrzę i nie dotknę się ran Jego“ — mówił typowy ich pod tym względem przedstawiciel, Tomasz Apostoł. Trudno wreszcie pomyśleć o tej samej hallucynacji, występują w tym samym prawie czasie, na różnych miejscach i u różnych osób, bez żadnej zmowy, ani wiadomości o sobie. Chrystusa widziały niewiasty u grobu, Magdalena, uczniowe w wieczerniku, uczniowie w Emaus, wreszcie cały tłum w Galilei.

A Jezus wymawiał niedowiarstwo ich i zatwardziałość serca; iż tym, którzy go widzieli, że zmartwychwstał, nie wierzyli". (Mar. 16: 14).

Nie poddawali się więc suggestji, nie mogło być mowy o hallucynacji.

Chrystus sam nie potrzebuje dowodów swej boskości, bo On jest i będzie zawsze Prawdą wieczną, ale żal wielki tych ludzi, którzy, wątpiąc w Niego, nie mają fundamentu życiowego, ani przyjaciela, ani prawdziwej radości życia.

Do nich przemawiamy po ludzku, używając ludzkich argumentów. Czy im zabłyśnie promyk bożego światła?

* * *

Pyt. Czy to jest pycha? Rok temu przeszło zmieniłam się nagle (pod wpływem św. Tereni w kościołku Imienia Jezus) powiedziałam i ogłosiłam, że będę świętą, więc niech wszyscy patrzą i uważają, jak się to łatwo robi. Wkrótce wytworzyła się taka atmosfera, że całe moje otoczenie myślało o „doskonaleniu się" i pamiętało o Bogu.

Coprawda ciężko mi; jeszcze prawie co miesiąc popełniam coś, co może być grzechem—ale ogół myśli, że mi lekko, opinja wyolbrzymia moje cnoty. Zdawało mi się, że mojem powołaniem jest być żywem memento, zmuszać ludzi do myślenia i pamiętania dokąd idą. Nietylko sama żyję tak „natarczywie" ale zmuszam osoby, które żyją nienagannie, aby się jasno opowiedziały, skąd siłę czerpią i z pod czyjej są chorągwi. Troszkę strach tak wszystko czynić w Imię Jezusa, ale gdy się kocha... Czy to pycha czynić z siebie wzór? Czy raczej — pokora, narażać się co krok na ciężkie upokorzenia?... Czym ja faryzeuszem, czy też kroplą, która drąży skały, lub iskrą, co roznieca pożary?

Odp. Trudno to nazwać pychą, nie można nawet tego tak nazwać. Pychą byłoby to wtedy, gdyby człowiek stanął przed tłumem, względnie kółkiem swoich najbliższych i oświadczył im, żeście wogóle niewiele warci, i ja tylko jeden pomiędzy wami jestem święty i naśladowania godny... Patrzcie i uczcie się odemnie świętości prawdziwej, bo wszystko, cokolwiek poza mną jest, jest grzechem i niedoskonałością.

Nie chodziłoby tu zresztą o formę i słowa, ale o myśl zasadniczą, przeświadczenie i ukryty cel wyniesienia się ponad nikczemny plebs powszednich grzeszników.

Ale, gdy kto w pewnym momencie życia pod wpływem nagłej błyskawicy, która się nazywa łaską bożą, a daje takie światło nigdy przedtem nieprzewidziane, ani nawet nieszukane specjalnie z jakiegoś mglistego przeczucia, że człowiek olśniony tym blaskiem rzuca się naoślep w rozsłonecznioną drogę do Boga, która się nagle przed oczyma duszy otworzyła i widzi, że „wszystko uczynić mogę w tym, który mnie umacnia" i że „słodko jest wyznawać Panu" i służyć Mu i być „świętym" i wtedy, rozmiłowawszy się w tym dobrym, najlepszym Bogu, idzie do ludzi i dzieli się z nimi swą łaską, a dla ich pokrzepienia i porwania za sobą mówi: patrzcie na mnie, słabego i takiego, jakiegoście znali przedtem, co może zdziałać łaska dobrego Boga

w nas... świętym będę... bo Bóg tego chce i patrzcie, jak się to łatwo z tą łaską bożą robi...!" i nie uważa na to, że choć w Imię Jezusa mówi i dlatego, że Go kocha, spotkają go za to upokorzenia i drwiny...—to nie jest pycha, ale, powiedziałbym, niepohamowany wybuch dziecięcej i prostej miłości ku temu dobremu Bogu, naturalny odzew—a rzucone hasło boże. I jest się wtedy „kroplą, która drąży skały i iskrą, co wznieca pożary".

Ale... przyznać trzeba otwarcie, że jest to przedsięwzięcie zbyt ryzykowne, a na chłodno wzięte nawet nieroztropne i może być wytłumaczone tylko niezwykłem natchnieniem bożem i podniesieniem ducha po doznanej łasce. Jest zbyt ryzykownem i niebezpiecznem, albowiem zapał może łatwo się ostudzić, a krytyka i zła wola ludzka zaostrzyć swoje oko i wyciągać z nieznacznych ułomności naszych argumenty wprost przeciwne naszym świętym zamierzeniom. Jest zbyt niebezpiecznem, bo to nakłada na nas w konsekwencji bardzo ciężką odpowiedzialność i obowiązek trzymania na każdy dzień oburącz wysoko naszego sztandaru, któryśmy rozwinęli nad głowami naszemi, by lśnił całem bogactwem swych barw i odcieni w jasnych promieniach świętości bożej.

Noblesse oblige... a tembardziej proklamowane hasło świętości bożej.

Ale proszę być spokojną zupełnie. Pan Bóg tak kocha dzieci, tak rozmiłowany jest w duszach prostych i zapalnych, tak Mu jest dobrze w ich gronie zawsze, że już On sam postara się, by wszystko było dobrze. Jeden warunek. Proszę pamiętać, że cokolwiek się stanie—Bóg wszystko działa w naszej duszy. Nie nasza to zasługa. Myśmy Mu oddali serce, duszę, zapał, entuzjazm, gotowość na wszystko—i to było też łaską bożą—reszta od Niego jest i będzie.

Nie my świętymi będziemy, ale świętość boża w nas. Czy zgoda?

* * *

NAJDROŻSZY AMICUSIE!

Pyt. Od roku tak Amicusa nazywam w sercu, listownie nie śmiałam, cieszę się, że ktoś inny śmiał i że to zostało cierpliwie przyjęte. Byłoby brakiem umartwienia wypisać wszystkie

serdeczności i zachwyty (nad „T. P.") jakie mi się pod pióro cisną, więc je pomijam, a przystępuję odrazu ad rem:

Amicus nic nie rozumie! Nie można cały rok stać na jednym czubku miłości i zadowolić się szczuplutkim horyzontem, choćby najsłoneczniejszym! Nie wszyscy ludzie potrzebują być przekonywani, że jest Bóg i że jest nadzwyczajny pod każdym względem, albo że piekło jest zgotowane djabłu i aniołom jego nie zaś ludziom.

Ze swego szczytu Amicus widzi same zgięte grzbiety i z góry patrząc na mizerne dusze, wyobraża sobie, że wszystkie są zahukane i trzeba je „ośmielić".

Amicus jest upojony Jezusem i nie chce myśleć trzeźwo: wszystko jest różowe i basta! To bardzo śliczne w 80-ciu wypadkach, ale w skromnych 20-tu ta metoda zawodzi.

Pora chyba, żeby Najdroższy i Czcigodny Amicus zajął inny punkt obserwacyjny, t. j. z większą uwagą przyglądał się szaremu tłumowi „przyjaciół". Ot, taki nieciekawy okaz jak ja: o jednym tylko grzechu w życiu wiem, że go napewno popełniłam (na pytanie, czy mię pies ukąsił dałam odpowiedź prawie twierdzącą, co było kłamstwem) a inne grzechy — nie wiem, czy były grzechami. Czy to prawdopodobne?

Gdyby Amicus był doświadczony, toby mię przekonał, że jestem grzeszna, ale Amicus to samo myśli co ja i wszyscy... Niech Amicus się zastanowi, jakie to niebezpieczne dla mojej pychy! Ja i tak wierzę i wiem, że będę świętą. Amicus był moją ostatnią deską ratunku i jeszcze raz się zawiodłam.

Co ja mam zrobić, żeby uwierzyć w swoje grzechy napewno i móc żałować za nie? Kiedy Amicus jest dobry, to niech będzie dobry do końca.

Tydzień temu skończyłam 25 lat, a już 3 lata przed 1-szą Komunją św. zaczęłam naśladować świętych. Zdaje mi się, że jeszcze mam przed sobą dwa lata umierania. Jestem bardzo samotna, nie mogę bywać u mądrego spowiednika i już się prawie nie doskonalę. Co począć? Żadnych rekolekcji słuchać nie mogę, jedynie „Pro Christo" rozgrzewa moją oziębłą duszę—ale żalu za grzechy też nie wzbudza: wdzięczność i radość, to moje dominujące uczucia (nawet kiedy miałam 40° gorączki).

Byle jaką doskonałością się nie zadowolnię. Zdeptałam wszystkie róże i tulę ciernie, ale to niedosyć: chcę kochać he-

roicznie, t. j. tak, by siłą woli dźwignąć ciało z łóżka i rzucić je na usługi bliźnich. Niech Amicus co ze mną zrobi, żebym była czysta jak cherubin, a jak serafin rozkochana.

Bardzo się pobrudziłam w życiu, ale nie mogę uznać, że to moja wina. „Pro Christo" czytam b. sumiennie, więc jeśli będzie choć cień odpowiedzi, odszukam.

P.S. A może to szukanie ulgi i niedoskonałość?!

Odp. Co ja mam z Wami wszystkimi, Boże Kochany!—to ludzkie pojęcie przechodzi! Tłomaczyć i tłomaczyć ciągle to samo „de capo" i znowu ta sama historja. A więc, jeśli chcecie koniecznie — to jesteście wszyscy pyszni i próżni, —cieszcie się więc, że macie grzechy, bo, jak widzę, bardzo wam jest przykro, że ich w sobie nie widzicie.

Ale żart na stronę... Odpowiadam pokolei.

Naprzód więc, co do mego „punktu obserwacyjnego". Ani myślę go zmieniać kiedykolwiek, bo mam tę pewność, że nareszcie znalazłem prawdę.

Prawda jest jedna i każdy ma do niej prawo, głosić ją więc trzeba wszystkim. Jeżeli wielu ludzi, choćby 80%, nie potrzebowało dowodzenia o tem, że Bóg jest i jest taki dobry, to dla tych biednych 20% trzeba ją głosić zawsze, bo może kiedykolwiek i oni to zrozumieją. Jeżeliby nawet wszyscy ludzie znali Pana Boga i kochali Go, jak przyjaciela najlepszego, jeszcze i wtedy należałoby o tem ciągle mówić i pisać, by ich w tem utwierdzić, by nie wkradła się do ich dusz żadna wątpliwość, by zawsze mieli to słońce nietylko w duszach własnych, ale i zzewnątrz świecące.

Niestety, niema jeszcze tak idealnego stanu, a kiedy będzie? Zresztą, ja nie patrzę „na same zgięte grzbiety i mizerne dusze", ale patrzę w słońce i o tem słońcu mówię i piszę dla wszystkich, by się w niem rozgrzali i sami rozsłonecznili. A „szary tłum przyjacół"? Prawda, że on szary, ale dlatego tylko, że zamknął okiennice na promienie tego słońca, które już od dawnego świtu do nich się dobijają.

Ja też się dobijam. „Otwórzcie bo już dzień, już samo południe, trzeba się cieszyć słońcem i radować jego ciepłem i blaskiem, wystawić nasze zbolałe kości i zmarszczoną skórę na ich działanie, by odmłodziły się, nabrały mocy i żyły i by wszy-

stko stało się młodem, silnem, jędrnem i radosnem aż do dna dusz"!

„Czy to prawdopodobne, żeby kto miał tylko jeden świadomy grzech?"—Odpowiem krótko: jeśli to jest faktem, to tembardziej jest to prawdopodobnem, bo jest już pewnem. Poco łamać sobie głowę, żeby uwierzyć w swoje grzechy i żałować za nie, jesli ich niema? Z tej racji wychodząc, człowiek powinienby jaknajwięcej grzeszyć, żeby mieć później materję do żału...

To absurd. Owszem, ktoś kiedyś napisał, że Pan Bóg tak skwapliwie i z taką radością odpuszcza grzechy ludziom, żałującym za nie, że zdawałoby się, że trzeba grzeszyć, żeby Panu Bogu tę „przyjemność" przebaczania zrobić. Ale, powtarzam, to jest absurd, świadczący tylko, jak wielką, nieograniczoną niczem ufność mieć powinniśmy w miłosierdzie Boże, jeżeli tylko mamy w duszy dobrą wolę, popartą możliwym dla nas wysiłkiem.

Odpowiedzialni jesteśmy tylko za grzechy świadome. Jeżeli więc kto nie ma świadomości grzechu, to niema i grzechu. — Niech się więc cieszy całą duszą i dziękuje dobremu Panu Bogu za to, bo to Jego łaska to sprawiła, a nie martwi się i nie szuka dziury w całem. A że to jest niebezpieczne dla pychy.— Być może — trzeba się jej strzedz i tutaj już znaleźć można podstawę do pokornego o sobie mniemania. Ale znowu ufać trzeba, że Pan Bóg łaską swoją umocni nas przeciw tym napaściom pychy.

A jeśli tylko chcemy żałować, to zawsze mamy za co Bogu dzięki, nie mamy grzechów świadomych, ale ile ułomności codziennych, ile może nierozważnych opuszczeń, niedosłyszeń szeptu bożego do duszy.? A zresztą, choćbyśmy stworzyli najcudniejszy mistrzowski obraz (nie my, ale łaska boża w nas) — to jeszcze tam możnaby zrobić niektóre pociągnięcia, czegośmy nie zrobili, opuścili — jeszcze to nie jest ostatni wyraz sztuki, bo poza Bogiem niema żadnego absolutu.

Jeżeli trudno nam żałować za siebie — żałujmy za innych. Zdaje się, że w tym wypadku nie zbraknie nam nigdy materjału.

Podstawiam więc tę „deskę ratunku" — proszę na nią siadać i płynąć spokojnie i prościutko do Pana Boga, śpiewając z całej duszy „Ave Maris Stella".

Są różne rodzaje doskonałości i apostolstwa. Jedni, w rozgwarze życia, zahukani, zapędzeni, chodzą, biegają, mówią, piszą, wznoszą wielkie dzieła — bo mają jeszcze ruszające się nogi, ręce, głos, talent, żyją z ludźmi — i wszędzie, jak mogą, budują czynnie królestwo Boże, aż się umęczą do ostatka i pójdą sobie trochę odpocząć u Pana Boga, a inni ich w ich bieganiu zastąpią.

Kto jest tak postawiony — winien to robić dopóki mu starczy sił i talentu.

Inni inaczej. Czy to, że życie pozostawiło ich w samotności, czy że nie mają odpowiednich warunków i otoczenia, są chromi, niewidomi, głusi, chorzy, na pustyni ludzkiej. Tych doskonałość i apostolstwo jest znowu innego rodzaju, ale zawsze dla nich dostępne — Pan Bóg od nikogo nie wymaga nigdy rzeczy niemożliwych.

Muszą oni być z natury rzeczy bardziej bierni, niż czynni. Muszą umieć cierpieć z uśmiechem i ten swój uśmiech złożyć na ołtarzu apostolstwa. Muszą umieć się modlić za wszystkich szczególnie za tych pierwszych, biegających, którzy w wirze pracy nie mogą znaleźć chwili na kontemplację i dłuższą modlitwę i za tych, którzy o modlitwie nie pamiętają wcale, a może zupełnie modlić się nie umieją.

Poza tem znajdzie się tysiąc sposobności każdego dnia, by dla swego otoczenia czynić dobrze, choćby dobrą myślą o niem, spojrzeniem jasnem i tym samym uśmiechem, pełnym miłości i wdzięczności. Można dokoła siebie, nie poruszając się z miejsca, wytworzyć taką atmosferę pogody i ciepła, że każdy, jak do słońca, będzie tam ciągnął, by się nacieszyć i umocnić.

Każde westchnienie, każda modlitwa, każda najmniejsza ofiara, w świetle tego najcudniejszego dogmatu o świętych obcowaniu, będzie czynem apostolskim, tak, że nie wiedząc nawet o tem, sprowadzać będziemy do dusz łaskę nawrócenia i pokoju, wspomagając czynnych pracowników bożych w ich dziełach codziennych.

By tak dążyć do doskonałości i tak apostołować nie potrzeba koniecznie, jeśli kto tego mieć nie może, ani długich rekolekcyj, ani innych bardzo cennych i pożytecznych dla duszy środków, które jednak są zawsze jedynie środkami, nie celem same w sobie. W braku ich Pan Bóg nas uczy i podtrzy-

muje na duchu i o wiele skuteczniej, tylko trzeba Go ciągle oburącz trzymać.

A przedewszystkiem trzeba umieć dziękować Bogu za wszystko i radować się z Nim ze wszystkiego. Jest to najwyższe uczczenie Boga, gdy, wierząc w Jego nieskończenie dobrą Opatrzność, przyjmujemy wszystko z Jego ręki z wdzięcznością i radością, czyniąc zawsze, co w naszej mocy jest dla spełnienia naszych obowiązków.

Ludzie zazwyczaj umieją tylko prosić Pana Boga, zdobędą się jeszcze na żal za winy swoje — i myślą, że to jest tylko modlitwą. Owszem, modlitwą jest — ale najniższego stopnia. Wyższą i prawdziwie Bogu godną modlitwą, jest dziękczynienie, uwielbienie i radość niezmienna duszy. W niebie będziemy tylko tak do Boga przemawiać.

Co ja mam, biedny, zrobić jeszcze z tą duszą, by się stała cherubinem i serafinem? Naprzód muszę ją skarcić, że „zdeptała wszystkie róże, a tuli ciernie". — Czy to róże są po to, żeby je deptać, a ciernie, żeby je całować i niepotrzebnie ranić sobie usta i może oko niem wykłuć?

Wszystko, co piękne, wonne, cudne — jest po to, żeby się niem cieszyć. Żyjemy z woli bożej po to, by się życiem cieszyć i radować i pójdziemy do Boga na wieczność całą też tylko w tym celu. Piękno i radość wszelką daje nam Pan Bóg w swej szczodrobliwości na to, byśmy się niemi cieszyli i uśmiechnęli się do Boga z wdzięcznością, że taki jest dla nas dobry. Cierpienie nie było nigdy w planach bożych, gdy nas do życia powołał. Ludzie je sami sprowadzili. Pan Bóg nie może się nigdy cieszyć, gdy widzi nasze twarze i serca w bólu skamieniałe — On szuka w nas radości i tę radość pełną dłonią nam do dusz sieje. Nie oddalać więc radości, nie deptać róż — bo to najpiękniejsze dary boże, ale, powtarzam, cieszyć się niemi, Bogu za nie dziękować i kochać Go za to jeszcze więcej.

A gdy przyjdzie cierpienie samo, przyjąć je również z wdzięcznością, wiedząc, że taka jest nasza nieszczęsna konieczność życiowa. Ale nie wyszukiwać go specjalnie. Ofiara nasza nietylko przez cierpienie jest miłą Bogu, ale przez radość i wdzięczność serca. Wszak i w Starym Zakonie nietylko były ofiary krwawe, całopalne, ale i ofiary z kadzidła i chlebów pokładnych.

A Chrystus tak nieskończenie udoskonalił ofiarę Nowego Zakonu, której imię jest Miłość, Wdzięczność, Uwielbienie i Radość.

Oto ucieleśnienie Cherubina i Serafina na ziemi. Kochać, uwielbiać, dziękować i radować się, radować całą duszą... Pan blisko jest! *Amicus.*

Z minionych dni.

Było, że duszę zalegały cienie
i jąk w pomroce stało moje mienie
darów żywota, znaczone protestem,
że żyć nie mogę, a muszę—bo jestem!

Och! Gdyby spłynąć w nicości głębinę,
lecz ginąc wiedzieć, że na wieki ginę!
Wówczas duch skrzydła bezszelestnie złoży,
ukojon wiedzą, że spoczynku dożył...

Gdyby... lecz w każdej myśli, co zagości
pragnieniem siebie oddania nicości,
zawsze głos jeden słyszę, dobrze znany:
— nie ujdziesz życia na falach nirwany.

Dusza znękana, jakby w proch rozbita,
Przez wielorakie przetrząsana sita,
aż się w ostatniem osieje z szelestem
ziarno żywota... żyć muszę — bo jestem!

Jest zakreślona granica niedoli...
Z takich odmętów duch mój się wyzwoli,
gdy Bóg wlał we mnie tchnienie miłościwe,
i znów uczułem serce w piersiach żywe...

Nie tak się wiosna zielonością pleni,
nie tak się słońce w dni lipcowe jarzy,
Jlem ja ujrzał świetlistej przestrzeni
w miłości, jaką Pan Bóg ludzi darzy...

Jak mam Cię chwalić, miłosierny Boże,
I jaką złożyć mogę Ci podziękę?
Krwawiące serce ludzkie wziąłeś w rękę,
aż z ran obeschło i ścichło w pokorze...

Życie — dzień cały — niechaj każda chwila
aktem wdzięczności do stóp Twoich wzlata!
Dla wszystkich ludzi chcę mieć serce brata
a Ty — nas braci — miłością zasilaj!

Z. Cz.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Jan z Matty.
Założyciel Zakonu O.O. Trynitarzy.

8 lutego.

Koniec wieku dwunastego, początek trzynastego. Po strasznym terrorze religijnym w okresie roku tysiącznego, po rozluźnieniu na wielu punktach życia religijnego i wewnętrznej karności kościelnej przed i jeszcze po tym przełomowym roku, po długoletnich walkach nieubłaganego w swej, logicznej zresztą, żelaznej akcji wielkiego mnicha z Cluny, ś-go Grzegorza VII-go, Kościół powraca do pokoju, umacnia się, dojdzie niezadługo do szczytu swej potęgi, jako mocarstwo i do wyżyn najwyższych i największych głębin swej nauki i świętości heroicznej w wieku trzynastym.

Świt tego złotego wieku kultury i wiary już zaróżowił brzegi firmamentu świata. Już żyje Franciszek Moriconi, przyszły „Biedaczyna z Assyżu", a w tym czasie jeszcze dorodny młodzieniec, żyje, nieco starszy od niego Dominik, żyją rodzice nieśmiertelnego Tomasza z Akwinu, Bonawentury, i Duns Scotta, niedługo przyjdzie na świat święty król francuski, Ludwik IX-ty, działa już przyszły wielki Papież, Innocenty III-ci. Gotuje się cały hufiec epokowych mężów, choć świat o nich jeszcze wie bardzo mało, albo jeszcze ich wogóle nie oglądał.

Zajaśnieje niezadługo niezatartym do dnia dzisiejszego blaskiem wiek XIII-ty, gdzie w zawody o pierwszeństwo szła prawdziwa świętość i bohaterstwo z najgłębszą, najściślejszą i najsubtelniejszą nauką, poświęcenie najwyższe, miłość Boga i ludzi „na zabój", ponad wszystko, równolegle ze zwykłem średniowiecznem barbarzyństwem i nieodłącznem od niego okrucieństwem.

Do całego szeregu „wielkich" tego wieku dołącza się w ciszy pustelni szlachetna postać Jana z Matty i jego bohaterskich towarzyszów z Feliksem Walerjanem na czele. Dzisiaj o Trynitarzach i ich duchowych ojcach czytamy tylko w dawnych kronikach. Dzisiaj są już nieaktualni, bo zmie-

niły się warunki współżycia cywilizowanych narodów, (choć, kto wie, czy na lepsze!)—ale wtedy byli oni heroicznym owocem chrystjanizmu, niosącym siebie samych w ofierze na wykupienie z kajdan niewoli pogańskiej jeńców chrześcijańskich.

Jan z Matty odbył swe studja w dawnych Aquae Sextae, później w Alma Matre Paryskiej. Został kapłanem, gdy już był dojrzałym duchowo do największego poświęcenia. Pan Bóg oddawna wybrał go do przyszłego dzieła, wielkością ofiary przewyższającego siły zwykłego człowieka, ale—nieskrępowany czasem—jako mądry i dobry pedagog, zaczekał z wyjawieniem swej woli aż do tego momentu rozwoju jego ducha, gdy już nic go zadziwić, ani powstrzymać nie mogło. W sposób mistyczny Jan uświadamia sobie swe powołanie.

Tysiące jeńców cierpi okropną niewolę w rękach niewiernych. Znamy opisy ich katuszy moralnych i fizycznych z opowiadań powieściowych. Ale, co znaczą wogóle wszelkie opisy wobec rzeczywistości! Ludzie współcześni zdawali sobie doskonale sprawę z przeżyć biednych skazańców. I im zawsze mógł grozić los podobny wobec niepewności granic i fanatyzmu hord barbarzyńskich. Ktoby z nich pomyślał kilkadziesiąt lat przedtem, że hordy te z Azji zawitają aż na kwitnący dzisiaj Śląsk i tam szerzyć będą pożogę, rabunek, brać w jassyr dziesiątki i tysiące Bogu ducha winnych niewiast i dzieci!

Trudny był na to ratunek. Musiały jeszcze przejść lata— aż do końca wieku XVII-go — żeby się załamała potęga wroga Chrystusa i kultury i żeby świat odetchnął od gniotącej go zmory... dopóki nie nadeszły inne, już „kulturalne", ale może, mimo to, stokroć gorsze. Trzeba było choć cokolwiek ulżyć niedoli nieszczęśliwym brańcom i brankom.

Nie miał się jednak kto tem zająć. Nie było żadnej organizacji, na własną rękę przedsiębrane indywidualne czyny były kroplą w morzu bezmiaru nieszczęścia.

Niewolników można było tylko wykupić za fantastyczne ceny, albo dać kogo wzamian. Pieniędzy nie było, lub raczej nie było hojnych ofiarodawców, a ktoby się zdecydował dobrowolnie na męki niewoli...?! zresztą nie zmieniłoby to sytuacji: liczba jeńców pozostałaby ta sama.

Znaleźli się jednak tacy bohaterzy i to dla ludzi zupełnie sobie nieznanych, nie dla ukochanych osób, dla których się wszystko poświęca... wiadomem było o nich tylko, że są ludźmi i że cierpią.

Znaleźli się i to cały ich legjon, obudzony mocą Ducha Bożego, pobudką z nieba daną, tak gromką i porywającą, że rzucili wszystko i poszli sami na ofiarny stos. Wodzem ich stał się Jan z Matty.

Ideą dzieła było zbieranie funduszy i wszelkich ofiar na wykupienie jeńców, budowanie szpitali i przytułków dla ulżenia ich losowi, przedzieranie się do nich, by im nieść pociechę duchową, a w razie braku środków, oddawanie się w niewolę za ich wolność i powrót do kraju.

Idea ta wyraźnie zarysowała się przed oczami Jana w pierwszym dniu jego kapłaństwa. Objęła całą jego duszę, nie znalazła żadnego oporu, jedną tylko odpowiedź: „rozkaz"! Bóg wiedział, że karnego w nim znajdzie bojownika.

Lecz dzieło przechodziło siły ludzkie. Musiało być przemyślane głęboko, a przedewszystkiem wymodlone na całe przyszłe wieki, uproszona łaska heroizmu dla tych, którzy przyjść mieli pod ten nowy sztandar, łaska roztropności i wytrwałego męstwa, bo nie na jeden bohaterski gest liczyć można było, ale na całe życie u szczytu poświęcenia i napięcia ducha. Miał powstać legjon bohaterów miłości.

Jan to rozumiał dobrze. To też po pierwszem uświadomieniu udaje się w góry, by tam w samotności rozmyślać nad przyszłem dziełem, modlitwą i postem zgromadzić skarbiec łask. Tam spotyka pierwszego towarzysza i najdzielniejszego swego współ-wodza, Feliksa Walezego, z którym przeżywa całą ideę. Potem już poszło wszystko zwykłym trybem. Zatwierdzenie najwyższej władzy kościelnej, rozpoczęcie i rozwój akcji, propaganda, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, wśród możnych tego świata, zbieranie funduszów, mobilizowanie armji i... praca na froncie najcięższej niedoli ludzkiej.

Legjon się znalazł, rzucił się w wir walki i pracy, ginął, niknął w kajdanach niewoli, konał z uśmiechem radości na ołtarzu poświęcenia, wzmagał się znowu i wzrastał, słychać było tylko nieustanną trugiczną komendę: „Czuwaj"!... i szli nowi bohaterowie po krwawych śladach po swych przedników

porwani szałem poświęcenia—a gdziekolwiek się ukazali, jasność szła za nimi, jak od promieni słońca, pożółkłe oblicza ożywiały się nagle, zgaszony cierpieniem i rozpaczą wzrok zapalał się błyskiem nadziei, ręce okute wyciągały się do swych zbawców i padał na wszystkich jakby czar i ekstaza Chrystusowego miłosierdzia... Bohaterzy!

Tak, to byli bohaterzy Chrystusowi, prawdziwa Armja Zbawienia w najszerszem i najdosłowniejszem tego wyrazu znaczeniu.

Kto ich pojmie dzisiaj? A jednak była to rzecz z punktu widzenia psychologicznego i nadnaturalnego zupełnie zrozumiała i prosta. Trzeba tylko dojrzeć do tego stanu ducha, by wczuć się w tych bohaterów i... pójść za nimi.

Idea szalonej miłości Chrystusa dla ludzi, która zaprowadziła Go na Krzyż Kalwaryjski i kazała Mu oddać wszystko, nawet odzienie i ostatnią kroplę krwi; idea wieczności promiennej—nie tej mahometańskiej,—ale prawdziwie boskiej, czystej, przejasnej, słonecznej, skąpanej w ekstazie poznania i miłości Nieskończonej Prawdy i Dobra, ogarnięcie całej natury człowieka, żądnej i głodnej nieskończonego szczęścia, które tam dopiero, w blaskach wieczności okazuje się w całej pelni i ciągnie niepochamowaną mocą ku sobie, spojrzenie jednym rzutem wzroku duszy w tę nieskończoność i jasność bez miary, wobec czego wszystko na ziemi wydaje się tak znikomem, krótkiem, przemijającem i bladem... a w tym momencie jakby grom żywy z jasnego nieba: uderzenie łaski bożej, oszałamiające, olśniewające, porywające jak wicher i wyraźny, dobitny głos wśród tego szumu i kipiącej dokoła burzy duchowej: „idź!—tam czekają... nędzarze, męczennicy... idź!—patrz na mnie... na Golgotę... spójrz w niebo..!".

Co się w tej duszy podówczas dzieje? Przed nią otwarty szlak słońcem zalany, ginący, hen, aż w nieskończoności i dokoła szkielety ziemskie, błyskotki i liczmany bez wartości... i ona, na chwilę, na moment rzucona w ten pochód jakby masek karnawałowych—a tam ciągle to słońce jaśnieje i błyszczy i ciągnie ku sobie.

Ha!—co znaczy długie choćby na sto lat to ziemskie istnienie, co znaczą wygody i mamidła świata, co znaczy ona sama..? Jest pionkiem, jednym z wielu, niema dla niej różnicy,

czy jest na tronie książęcym, odbierając niskie pokłony i panując nad tłumem pochlebców, czy tam, w lochach niewoli, kajdanami okuta, smagana biczem nienawiści umierająca z chłodu i wycieńczenia—co to wszystko znaczy.

Pionkiem jestem... a tamci tak cierpią, a Chrystus tak ich ukochał, czekają na nich utęsknione serca dzieci, żon, mężów i matek. Pionkiem jestem. Zamieńmy pionki, jak na szachownicy! Ty idż tam do domowego ciepła, gdzie będziesz odtąd radością najbliższych, a ja stanę na twojem miejscu. Spotkamy się tam u Chrystusa, który nas obydwu ukochał. Idź i ciesz się i ciesz innych, ja cieszyć się będę twoją radością i dobrze mi będzie. Pionkiem jestem w ręku dobrego Boga, który też czeka na mnie, jak tam, w domu, twoi wszyscy na ciebie. I z nieziemskim uśmiechem na ustach podaje swe ręce na przyjęcie kajdan, bierzę taczkę w swe dłonie i pcha ją naprzód, śpiewając hymn radości, aż ją dociągnie do krańca żywota i początku wieczności.

Ludzie powiedzą: „oszalał!" - lecz nie,—to logika nagłębszych zasad i najdalszego spojrzenia, doprowadzająca do ostatnich konsekwencji życiowych. On się temu nie dziwi, bo dla niego jest to tak prostem i jasnem. Dziwią się ci, którzy zzewnątrz tylko patrzą, ale nie mogą wniknąć w głębie duszy i nie mogą wznieść się na najwyższy szczyt serca, którym jest: CHARITAS!

I dzisiaj są jeszcze tacy szaleńcy... bodajby ich był cały legjon!!! *T. P.*

Ks. Bronisław Bonawentura Markiewicz.

(Dokończenie.)

Wielki pedagog stulecia dziewiętnastego jak nazywają założyciela zgromadzeń salezjańskich, przybysza z Polski przyjął do nowicjatu swego dnia 1 stycznia 1886 r. Ks. Markiewicz był wogóle pierwszym Polakiem, który stanął pod sztandarem czcigodnego sługi Bożego, Jana Bosko, sprawił on wrażenie bardzo dodatnie, bo świętobliwy opiekun młodzieży ukochał go całem sercem, zaznajamiając go z ideą swoją bardzo drobiazgowo.

Kiedy wielki mistrz ks. Markiewicza przeniósł się tam, gdzie stał się orędownikiem przed tronem Pana Zastępów, uczeń jego powrócił do Polski. Powołany w 1892 r. na probostwo w Miejscu Piastowem, ukochane ideały wychowawcze założyciela zgromadzeń salezjańskich jął przeszczepiać na grunt polski. Pozbierawszy zewsząt ubogich chłopców, na plebanji miejscopiastowskiej utworzył pierwszy swój zakład dla biednej i opuszczonej młodzieży, który za skromnych zaczątków rozwinął się rychło przewspaniale.

Dewizą, jaką postawił przed oczy swym wychowankom, było hasło: „Powściągliwość i praca". Powściągliwy w życiu codziennem, szczepił te dwie cnoty w sercach przygarniętej dziatwy, żywiąc się tem, co ona, oraz pracując z nią wraz. Żeby natomiast rozszerzyć te idee na kraj cały, w 1895 r. począł wydawać miesięcznik „Powściągliwość i Praca", gdzie zamieszczał wiele niezwykle cennych artykułów, zawierających nierzadko prorocze przepowiednie na przyszłość.

Wogóle ks. Markiewicz często dość w chwili jakiegoś natchnienia mawiał o czasach przyszłych, szczególnie zaś ważnem jest proroctwo, o ile je można nazwać tak już dziś, z 1898 r. Wtedy to, dyktując prof. Bartłomiejowi Grochowi artykuł do redagowanego przez się czasopisma, tak się doń odezwał: „Będą oblegali Przemyśl i... Kraków, a koło nas (t. zn. koło Miejsca Piastowego) pójdą Moskale na Węgry". „Mówił wtedy także i o innych ważnych wypadkach przyszłości, na które się już dziś zanosi — powiada, wspominając te czasy, prof. Groch. — O końcu zaś tej wojny tak prorokował [4]): „Wszyscy przegrają, nawet ci, którzy zwyciężą, albowiem nawzajem się zniszczą. Padnie bardzo wiele ludzi od kul, wymrze jeszcze więcej z głodu i zarazy, a kaleki i sieroty będą zapełniały domy. Ale na pierwszej wojnie jeszcze się nie skończy nieszczęście ludzkie. Koniec jego nastąpi, aż narody uznają się za braci, aż wolność Polski zupełnie będzie zabezpieczoną". W czasie rozmowy tej nie wymienił ks. Markiewicz dokładnej daty owej wielkiej wojny, w parę jednak lat po tym facie w artykule p. t. „W przeddzień

---

[4]) Prof. Bartłomiej Groch, O. Br. Markiewicz, jako wieszcz i pionier odrodzenia narodu. (Miejsce Piastowe. Jednodniówka jubileuszowa Miejsce Piastowe, 1927 r. str 42).

wojny wszechświatowej", drukowanym w „Powściągliwości i Pracy" w № 8 z miesiąca sierpnia 1904 r., oznaczył ją na koniec panowania Ojca św. Piusa X.

W Miejscu Piastowem jakoteż od 1902 r. w Pawlikowicach, pod Krakowem, wychował natchniony prorok krocie sierot oraz niezamożnej dziatwy, kierując ich na dzielnych rolników czy rzemieślników, niektórzy wszakże pragnęli pozostać przy nim na całe życie dla kontynuowania jego zbożnej pracy. Gromadka miłośników wielkich ideałów świętobliwego kapłana stała się zaczątkiem zakonnego Towarzystwa św. Michała Archanioła. Pierwsze lata istnienia były dla tej instytucji niezwykle ciężkie, albowiem jak pisze Józef Stanisław Pietrzak, „tyle bo trudności temu dziełu Bożemu narobili ludzie przez jakieś dziwne niezrozumienie czy intrygę szatańską, że nowe to zgromadzenie, tak potrzebne i pożyteczne, nikomu nic nie winne, nikomu na drodze nie stojące, tak, jak i jego świętobliwy założyciel, co tylko miłością i miłosierdziem i prawdą i słusznością i sprawiedliwością się kierował w życiu, przecież wycierpiało udręk, szykan i prześladowań bez liku".

W ciężkich tych chwilach zapoznał się ks. Markiewicz ze świetlaną postacią czcigodnego sługi Bożego Stanisława od Jezusa i Marji Papczyńskiego, ukochał szczerze tego świętobliwego ziomka naszego oraz nosił się z zamiarem przyjęcia jego reguły zakonnej, wszakże w końcu ze względu na powstałe trudności zaniechał tego.

Ostatnie lata życia ks. Markiewicza były cierniową zaiste drogą, była to dlań Kalwarja, po której nadejść miało zmartwychwstanie na łonie Bożem. Pewna świętobliwa Polka, zmarła przed rokiem w Warszawie, częstokroć powtarzała nam w rozmowach, że nawet święci świętym czynili przykrości z dopustu Boskiego, nawet oni, ufni iż czynią dobrze mimowoli powodowali sobie nawzajem cierpienia, coś podobnego miało miejsce i w danym wypadku. Obawiając się, iżby przez tworzenie nowych zakonów nie rozdrobnić sił katolickich, znaleźli się ludzie którzy usiłowali przeszkodzić uznaniu dzieła zakonnego ks. Markiewicza przez władze duchowne, nie mając bynajmniej — powtarzamy—złośliwych intencyj, ale świętobliwy opiekun opuszczonych z Miejsca Piastowego bolał z tego powodu wielce. Przykrość następowała po przykrości, krzyż spadał po krzyżu

wszakoż trwał, wiary pełen, że po próbach Bóg zlituje się nad dziełem życia jego, nie upadał ani na moment, wierząc, że i wrogowie przyznają mu wreszcie rację.

Na krótko przed śmiercią skreślił artykuł p. t. „Uroczystość narodowa N. Marji P.. Królowej Korony Polskiej", jaki ukazał się drukiem w „Powściągliwości i Pracy" w Nr. 5 z miesiąca maja 1912 r. Utwór ten był właściwie, że się tak wyrazimy, łabędzim śpiewem ks. Markiewicza. Tu znowu zadźwięczała głośno nuta prorocza, czyniąc z rozprawki owej testament jakby jego dla współziomków. „Ogół polski sobą trwoży i pyta, co począć"—brzmią jego słowa stamtąd—„Wrogowie nasi, uzbrojeni od stóp do głowy, jak nigdy przedtem, grożą zupełną zagładą wszystkiego, co polskie. Najżyczliwsi nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele, od nas odstąpiwszy, łączą się z wrogami. A my, bezbronni i podzieleni na trzy dzielnice, opasane zbrojnym kordonem. Ludzie małej wiary, czemu sobą trwożycie?... Zwycięstwo nie zależy ani od siły wojsk ani od mnogości walczących, ale od siły, którą przesyła Niebo... W górę serca, Polacy! Oto chwila ostatniej próby naszej, a oraz chwila straszliwego pohańbienia wrogów naszych. Oto teraz dokona się na nich straszliwa chłosta Boża, tak zwana w Piśmie św. chłosta w zupełności grzechów. Walczyć będą na ziemi i na morzu orężem niesłychanie morderczym, odniosą nawet zwycięstwa, ale zwycięstwa Pyrrhusowe. Miljardów nie zabiorą, albowiem, wszystko spustoszywszy, opanują gruzy i gromady ludu, łaknącego chleba. Wojna zatamuje handel, przemysł i rolnictwo. Głód i stosy trupów sprowadzą zarazy, które pożrą ich więcej, aniżeli żelazo i pociski pękające. Na dobitek tłumy pozostałe rzucą się na możnych i potężnych tego świata i zbroczą dłonie swoją krwią bratnią... Po kilku latach szału dzikiego reszta pozostałych oglądnie się i ujrzy ze zdumieniem naród polski, żyjący twardo, a w zgodzie bratniej i przyjaźni Bożej i zaczną nam zazdrościć stanu naszego... Wyciągną ku nam ręce i zawołają: Dajcie nam mistrzów a nauczcie nas, jak żyć szczęśliwie na ziemi, podobnie wam. I zasiędą stolce nauczycielskie mężowie z narodu naszego po różnych miejscach na świecie, my odzyskamy niezawisłość polityczną i zasłyniemy więcej, aniżeli kiedykolwiek przed laty". Po takich przepowiedniach ks. Markiewicz podał cały szereg

wskazań, lecz już nie dla Polski cierpiącej, jeno dla Polski odrodzonej, ważnych niezwykle dla nas, których świętym obowiązkiem jest świetną tę przyszłość przyodziać w szaty rzeczywistości. „Aby zaś to podniesienie nasze ze stanu upośledzenia wkrótce się ziściło, musimy bronić ustaw i praw Kościoła katolickiego i zachowywać je... Opierajmy się jedynie na prawie Bożem... Dalej obowiązkiem Polaków jest zabrać się pilnie do uczynków miłosierdzia chrześcijańskiego, gdyż wiara bez uczynków jest martwa... Szczególnie czyńcie uczynki miłosierdzia co do duszy, starajcie się o kościoły, kaplice, o nauczanie zasad wiary katolickiej, o piękne nabożeństwa w kościołach, o uszanowanie rzeczy i osób, Bogu poświęconych, o szkoły prawdziwie katolickie, o pisma i książki pożyteczne, a przedewszystkiem o to, aby między nami nie było nędzarzy żebrzących i dzieci opuszczonych! Wznoście przytuliska i liczne zakłady dla dziatwy opuszczonej i wspierajcie należycie już istniejące! Lud tej samej krwi jest pierwszy, ale obowiązkiem jest pamiętać o narodach, które dotąd żyją w błędzie, a zwłaszcza o narodach ościennych. Wspierać tedy pieniędzmi i krwią misjonarzy, katolickich kapłanów ducha apostolskiego. Na polu duchowem prowadźmy wojnę z naszymi wrogami, nie żałując zdrowia i krwi najlepszych synów i córek Polski, nie szczędząc mienia. Północ i Wschód aż do brzegów oceanu Spokojnego powinien ulegać zbawiennemu wpływowi cywilizacji naszej. Podboje duchowe są posłannictwem naszem, a nie zabory krajów, wynaradawianie ludów i rozlewy krwi... Ekonomiści..., nie opierający się na zasadach Ewangelji, są ślepymi przewodnikami ślepych, sami staczają się w przepaść razem z wiedzionymi. Przewrót socjalny i bankructwo powszechne wykażą najlepiej zgubność ich nauki. Kto trzeźwo patrzy, już dzisiaj widzi. My, Polacy, musimy wziąć zasady naszej ekonomji politycznej z Ewangelji stosownie do tradycji, przekazanej nam przez wielkich przodków, którzy stawiali kościoły, budowali domy misyjne, szpitale, modlili się razem z ludem i t. d... Moralne powstanie jest podstawą i zadatkiem podniesienia się materjalnego i politycznego. Słowa Chrystusowe: „Szukajcie Królestwa Bożego przedewszystkiem, a reszta wam będzie przydana” są pierwszą zasadą ekonomji naszej politycznej. Należy budować

na skale, a nie na piasku. Stańmy wszyscy, jak jeden mąż..., z ludem naszym głęboko religijnym przy sztandarze Marji, Królowej Polski!... Za Jej pomocą znowu zajmiemy stanowisko, przeznaczone nam przez Opatrzność i pozostaniemy przedmurzem chrześcijaństwa. Pod Jej wodzą ruszymy bryłę świata. Mężowie nauki, mistrze sztuki polskiej, sławcie dziełami waszemi potęgę i dobroć Marji, Królowej naszej! O, ileż kart w historji naszej dostarczy nam wątku do utworów na cześć tej Pani i Matki naszej! Wstąpcie wszyscy do bractwa Królowej Korony Polskiej! Dzień 3-go maja poświęcony czci N. Marji Panny, Królowej Korony Polskiej, jako pamiątka ślubów Jana Kazimierza, niech stanie się największą uroczystością narodową. Jest ścisłym obowiązkiem naszym, pod utratą posłannictwa, przeznaczonego nam przez Opatrzność, ślub Marji obiecany dopełnić, on był bowiem uczyniony w imieniu całego narodu naszego. Kto tedy z nami nie stanie tego dnia przy niej, jest w pewnem znaczeniu buntownikiem Jej królestwa i znieważa Jej majestat monarszy. Od was, kapłani polscy, głównie zależy, aby naród polski był rzeczywiście narodem Marji, a Ona jego Królową".

Z końcem 1911 r. zapadł ks. Markiewicz bardzo ciężko na zdrowiu. Leżąc na łożu boleści, cierpiał bez skargi, nie skarżył się na bóle cielesne ni bóle gorsze, bo moralne, zadane nieświadomie przez przeciwników jego. Nawet w czasie choroby nie przestawał się modlić, nie przestawał wierzyć, że dobra idea jego zwycięży. W ufności Swojej nie doznał zawodu, Episkopat polski bowiem przyrzekł na wieść o groźnym stanie jego zaopiekować się dziełem jego życia. Gdy doniesiono o tem choremu, przejęty do głębi, wyszeptał: „Deo gratias". Dnia 29 stycznia 1912 r. czyli w uroczystość kościelną św. Franciszka Salezego, którego, jako uczeń czcigodnego sługi Bożego Jana Bosko, czcił z całej duszy oraz kochał ogromnie, nadeszły ostatnie chwile jego życia. Nad ranem jeszcze na prośbę jego jeden z pierwszych duchownych synów udzielił mu Wijatyku, tak zaś przygotowany na drogę do wieczności, przez cały dzień udzielał zakonnej gromadce swej ostatnich już rad i pouczeń. Wieczorem z Imieniem Jezus na ustach zasnął cicho, a dusza jego, tylekroć krzyżowana na tym padole płaczu, uleciała ku Ojcu Przedwieczemu, by wziąć nagrodę wiekuistą.

J. M. Chudek.

Siedem Franciszkanek Misjonarek Marji, umęczonych za wiarę św. w 1900 roku w Chinach.

Istniejące od lat piędziesięciu paru zgromadzenie sióstr Franciszkanek Misjonarek Marji wydało już dziewięć kandydatek do beatyfikacji, wśród których jest siedem męczenniczek za wiarę św. Temi ostatniemi są zakonnice, które zginęły dnia 9 lipca 1900 r. w Tai-Uien-Fou, w Chansi, w Chinach. Chwalebne męczeństwo ich za Chrystusa miało miejsce podczas powstania bokserów, śmierć zaś wtedy poniosły: matka Marja Herminja od Jezusa (w świecie Irma Gcivot), Francuska, Marja od Pokoju (w świecie Marjanna Giuliani), Włoszka, Marja Chiara (w świecie Klelja Nanetti), Włoszka, Marja od św. Natalji (w świecie Joanna Marja Kerguin), Francuska, Marja od św. Justyna (w świecie Anna Moreau), Francuska, Marja Adolfina (w świecie Marja Dierkx), Holenderka, i Marja Amandyna (w świecie Paulina Jeuris), Belgijka.

Życie tych sióstr Franciszkanek, Misjonarek Marji było niezwykle świętobliwe i uduchownione. Zwierciadłem ich przeżyć wewnętrznych są do pewnego stopnia ich listy. Z korespondencji można badać przeżycia duchowe tych pobożnych zakonnic, jednak pozna się je w nikłej zaledwie cząsteczce. Tak np. matka Marja Herminja była osobliwą czcicielką Eucharystji, co zresztą cechuje wszystkie Franciszkanki Misjonarki Marji. Ona to wyznawała w liście: „Część Przenajświętszego Sakramentu jest połową mego życia, druga zaś połowa polega na uczczeniu miłości Jezusa oraz na zdobywaniu dla niego dusz". Matka Marja od Pokoju znowu pisała: „Odkryłam tajemnicę szczęścia, odkąd szukam jeno woli Bożej", a siostra Marja od św. Natalji powiada w korespondencji: „Gdyby mi Pan Bóg nie zsyłał cierpień, myślałabym, iż mnie już nie kocha". Wynurzenia te i tym podobne świadczą o heroiźmie cnót tych siedmiu sióstr zakonnych, koroną zasię tego świętobliwego żywota ich było męczeństwo za wiarę św. Nie lękały się go one bynajmniej, bo było to ich największem pragnieniem. Odnośnie do tego także znaleść można wyznania w listach. „Proszę Boga, by umacniał męczenników, ale go nie proszę, aby ich zachował" — wyznaje

siostra Marja Amandyna, a kiedy biskup, pod władzą którego pozostawały siostry Franciszkanki Misjonarki Marji z Tai-Uien-Fou, polecił im szukać schronienia przed prześladowaniem ze strony bokserów, matka Marja Herminja imieniem wszystkich jako przełożona, odpisała: „Ekscelencjo! Na miłość Boską nie broń nam umrzeć wraz z Tobą. Jeśli odwaga nasza jest zasłaba, by stawić opór okrucieństwom katów, wierz, że Bóg, który nam zsyła tę próbę, da nam również moc wyjścia z niej zwycięsko! Nie lękamy się ni śmierci ni mąk, jakiemi grozi nam gniew wicekróla. Przybyłyśmy tutaj, żeby świadczyć miłosierdzie, i przelać, jeśli zajdzie tego potrzeba, krew naszą, dla miłości Jezusa Chrystusa, to też zaklinamy Cię ze łzami w oczach byś nie wyrywał nam palmy, którą łaskawość Boża wyciąga ku nam z wysokiego nieba". Gorącemu życzeniu świętobliwych zakonnic stało się zadość, Zbawca, Król męczenników, pozwolił im zginąć śmiercią męczeńską, w nagrodę za co włożył im, jak powiada Mszał Rzymski, „na głowę wieniec z kamienia drogiego", koronę chwały męczenniczek.

Obecnie proces beatyfikacyjny tych siedmiu Franciszkanek Misjonarek Marji jest w pełnym biegu, wszakże potrzebne są jeszcze nowe łaski i cuda za ich przyczyną. Gdyby ktoś doznał takiego dobrodziejstwa, powinien zawiadomić o tem współsiostry zakonne służebnic Bożych (Roma, via Giusti 12 lub Łabunie, poczta Zamość), u których nabywać też można obrazki dwukartkowe z modlitewką o łaski.

J. M. Chudek.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Pojedynek i walka z nim.

I.

Pojedynek w znaczeniu walki orężnej dwóch osób z sobą jest obyczajem jak świat starym, jeszcze bowiem Goljat „wyzywał na pojedynek żołnierzy Saulowych, aby się z nim sam na sam który spotkał".*) W tem znaczeniu każdą walkę samowtór możnaby nazwać pojedynkiem. Jako sposób rozstrzy-

*) Piotr Skarga.

gania waśni i zatargów nawet zbiorowych, walki pojedynkowe (Duellum, monomachja) były częstem zjawiskiem zarówno w czasach starożytnych, jak i średniowieczu. W „Iljadzie" znajdujemy cały szereg opisów takich walk pojedynkowych (pojedynek Parysa z Menelajem, Hektora z Ajaksem, Achillesa z Eneaszem, Achillesa z Hektorem i t. d.)

Rozpowszechnione w wiekach średnich Sądy Boże, czyli t. zw. Ordalje *) w liczbie prób, podejmowanych celem wykazania czyjejś słuszności, lub niewinności, uwzględniały również pojedynkowe walki orężne. Były to t. zw. pojedynki sądowe. Wiodące spór strony wstępowały wówczas w szranki i w obecności licznie zgromadzonych widzów toczyły pomiędzy sobą walkę, której wynik decydował o wygraniu sprawy w procesie cywilnym, bądź też o zastosowaniu kary w razie oskarżenia o zbrodnię. Jeżeli stroną w procesie była kobieta, dziecko lub duchowny, wolno było wówczas zastąpić się w pojedynku przez wybranego w tym celu rycerza. Podobnie, jak inne próby (purgationes, iudicia), pojedynki Sądowe były oparte na wierze, że Opatrzność nie pozwoli na pognębienie niewinnego i przez zwycięstwo jednej lub drugiej strony objawi prawdę, wykaże czyjeś prawo, stwierdzi niewinność lub zbrodnię.

Razem z ordaljami pojedynki Sądowe zanikły z początkiem 16-go wieku.

Pozostały natomiast w użyciu pojedynki w ścisłem znaczeniu, t. j. walki, toczone na zasadzie uprzedniego porozumienia się stron co do miejsca walki, rodzaju broni i innych warunków, a mające na celu obronę honoru, zmazanie doznanej zniewagi przez rozprawę orężną.

Pochodzenie pojedynku, jako rozprawy honorowej, wiąże się niewątpliwie z istnieniem stanu rycerskiego i z pojęciem t. zw. czci rycerskiej. Rycerz, którego cześć została zadraśnięta, wyzywał obrażającego do walki. Urządzane często w średniowieczu igrzyska rycerskie, t. zw. turnieje, które odbywały się według przepisanych z góry warunków, dawały gotową formę dla tego rodzaju rozpraw honorowych. Mając

*) Wyraz pochodzący od staro-germańskich wyrazów Urtheil, Oordeel (anglosaskie Ordal).

**) Stąd określenie: Duellum-vindex honoris.

na celu pomszczenie doznanej zniewagi, rozprawy te z reguły miały charakter morderczy. Brali w nich udział częstokroć nie tylko poważnieni, ale ich sekundanci, i pojedynek trzech przeciwko trzem, lub nawet sześciu przeciwko sześciu nie należy do rzadkości. Niebawem pojedynek, jako sposób rozstrzygania spraw honorowych, ulega coraz większemu rozpowszechnieniu i staje się zwyczajem. Dzielny a lekkomyślny stan rycerski, zaprawiony w rzemiośle wojennem, reaguje na każdą zaczepkę, a niekiedy sam ją prowokuje.

Pojedynki wynikają z najbłahszych powodów. O byle drobnostkę ludzie się pojedynkują i zabijają. Coraz większa ilość pojedynków i spowodowanych przez nie zajść śmiertelnych sprawia wreszcie, że zarówno Kościół, jak i władza świecka zmuszone są wystąpić do walki z pojedynkiem. Już w roku 855 potępia pojedynki synod Vienneński (Concilium Viennense seu Velentinum) we Francji. Potępiają również pojedynki papieże Mikołaj I, Celestyn II, Innocenty II, Eugenjusz III, i Aleksander III, na III Soborze Laterańskim.

Sobór Trydencki (1546 — 1563) ustanawia następujące kary za pojedynek: 1) infamję i utratę majątku, 2) pozbawienie pogrzebu tego kto ginie w pojedynku, 3) klątwę większą, w którą wpadają, choćby pojedynek nie nastąpił: wyzywający się, świadkowie doradcy lub sprzyjający pojedynkowi, a nawet ci, którzy umyślnie mu się przypatrują i przez to pobudzają strony do walki.

Jednocześnie królowie francuscy, począwszy od Karola IX. w r. 1566, wydają cały szereg aktów ustawodawczych, mających na celu zwalczanie pojedynków*). Uważając pojedynek za jedną z klęsk społecznych, królowie francuscy starają się przeciwdziałać tej klęsce przez zakwalifikowanie pojedynku, jako zbrodni obrazy majestatu (crimen laesae majestatis) i grożą karą śmierci, połączoną z konfiskatą majątku nie tylko samym stronom, ale i sekundantom, bez względu na rezultat pojedynku. Podobne akty prawne istnieją i w innych kracjh, nie są one jednak w stanie wytępić pojedynku, jako

*) Karol IX—ordonans z r. 1566; Henryk III — ordonans z r. 1579; Henryk IV—edykty z r. 1602, 1606 i 1609; Ludwik XIII — deklaracje i edykty z r. 1614, 1613, 1617, 1623, 1626, 1634, Ludwik XIV deklaracje i edykty z r. 1643, 1646, 1651, 1653, 1679, 1704; Ludwik XV. z r. 1723.

zakorzenionego już sposobu rozstrzygania spraw honorowych, który sam staje się nieledwie prawem, przez zwyczaj ustanowionem (jus moribus constitutum). Przyczyna tej bezskuteczności aktów prawodawczych, skierowanych przeciwko pojedynkom, tkwi w tem, że w umyśle samych władz, ustanawiających te przepisy, oraz powołanych do ich stosowania, zbyt silnie tkwi przekonanie o pojedynku, jako o koniecznem następstwie zniewagi i jedynym środku rehabilitacji pomiędzy „dobrze urodzonemi".

To też, zdając sobie sprawę ze szkodliwości pojedynku i z obowiązku zwalczania go groźbą najbardziej surowych kar, władze miękną z zetknięciem się z wypadkami konkretnemi, którym zawsze towarzyszą takie lub inne okoliczności usprawiedliwiające. Stąd pochodzi nieprawdopodobna wprost ilość wydawanych np. we Francji „lettres de grace" i „lettres d'abolition", które rzecz prosta, w niwecz obracały znaczenie surowych przepisów prawa, z taką łatwością przy każdej okazji uchylanych.

Ta rozbieżność pomiędzy poglądem na pojedynek, jako na zjawisko w wysokim stopniu szkodliwe i wymagające surowej sankcji prawnej, a łagodnym stosunkiem do niego ze strony organów sądowych, powołanych do wymierzania kar na podstawie istniejących przepisów prawnych, istnieje do dnia dzisiejszego.

Ustawodawstwa współczesne traktują pojedynek bądź jako naruszenie bezpieczeństwa i porządku publicznego (prawo angielskie), bądź jako pominięcie państwowego wymiaru sprawiedliwości i użycie niedozwolonej samoobrony (kodeks włoski), bądź jako działanie, skierowane przeciwko bezpieczeństwu życia jednostki (kodeks ros. z r. 1903, ustawa karna niem. z r. 1871 i ustawa karna austryjacka z r. 1852).

We wszystkich tych jednak wypadkach, podobnie jak i wtedy, gdy prawo milczy o pojedynku i sądy zmuszone są stosować do niego ogólne przepisy o morderstwie, względnie uszkodzeniu ciała, praktyka sądowa idzie w kierunku możliwie łagodnego wymiaru kary, a sądy przysięgłych tam gdzie one istnieją (np. we Francji), wręcz uniewinniają zabójców, lub sprawców ciężkich uszkodzeń ciała w pojedynkach. W ten sposób prawo po dawnemu pozostaje bezsilne w stosunku do pojedyn-

ków, gdyż nawet wtedy, gdy jest ono dostatecznie surowe, aby mogło skutecznie wpływać na społeczeństwo, łagodzi je i przez to unicestwia jego znaczenie praktyka sądowa oraz rozpowszechniony wśród sędziów pogląd, że są sprawy honorowe, których inaczej, niż za pomocą pojedynku, załatwić nie można.

II.

Gdy mowa jest o pojedynku, jako ustalonym przez zwyczaj sposobie rozstrzygania spraw honorowych, drogą walki orężnej, należy sobie zdać sprawę z tych przeobrażeń, jakie z biegiem czasu zaszły w pojęciach ludzi co do czci samej oraz sposobów jej obrony.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że sam pojedynek i możność jego stosowania nie są w umysłach społecznych takie same, jakiemi były one przed laty dwudziestu lub trzydziestu. Nikt nie pojedynkuje się dzisiaj dla przyjemności, albo sportu, nikt również nie szuka zwady dla pozyskania okazji stanięcia na placu i wypróbowania swej sztuki szermierskiej lub umiejętności strzelania. Jeżeli tu i owdzie, wśród wojskowych lub akademików znajdzie się bursz, poszukujący przygód i chlubiący się następnie liczbą odbytych pojedynków, to w pojęciu przeważającej części społeczeństwa nie znajdzie on uznania ani dla swej odwagi, ani dla swoich czynów: zdobędzie on raczej wątpliwej wartości opinję hulaki, awanturnika, zawadyjaki, która w niczem laurów mu nie przysporzy.

Jest to zresztą naturalnem następstwem zmierzchu rzemiosła i życia rycerskiego, ześwieczczenia społeczeństwa, jednocześnie i jego ucywilizowania się.

Społeczeństwa dzisiejsze wymagają innych dowodów odwagi i dzielności, niż pojedynki, które zawsze pachną awanturą i pozostawiają po sobie posmak zły... przynajmniej dla jednej ze stron, biorących udział w zatargu.

Pomimo jednak stopniowego zanikania pojedynków, jako walk orężnych wywoływanych dla zaspokojenia bądź zbyt gorącego temperamentu, bądź wypróbowania dzielności i sztuki walczenia, pojedynki nie przestają pozostawać w bardzo szerokim użyciu, jako sposób rozstrzygania spraw honorowych i zacierania ujmy, wyrządzonej honorowi danej jednostki przez inną jednostkę.

Zmusza to nas do zastanowienia się nad istotą t. zw. honoru i wyrządzonych honorowi uchybień oraz nad temi przyczynami, które powodują, że ludzie, czujący się dotknięci w swym honorze szukają zadośćuczynienia, mogącego przywrócić ich honorowość.

Wskutek upadku stanu rycerskiego i szlacheckiego pojęcia czci osobistej i honoru zostały przesunięte na nieco inną płaszczyznę, nie stały się jednak przez to mniej odczuwane, niż były dawniej: przeciwnie treść ich stała się bogatsza, zakresem zaś swoim objęły one wszystkie stany, wszystkich ludzi, stojących mniej więcej na równym poziomie towarzyskim.

Gdy w wiekach ubiegłych każda zaczepka mogła wydawać się wyrządzeniem zniewagi zaczepionemu, który ceniąc swój honor rycerski lub klejnot szlachecki, odpowiedział na wymierzoną przeciwko niemu zaczepkę wyzwaniem, dziś to poczucie własnej czci i godności, resp. honoru, opiera się na innych podstawach.

Wyrządzenie ujmy honorowi w czasach dzisiejszych polega na słowach, lub czynach, obniżających stanowisko danej jednostki w społeczeństwie i zmniejszających należną jednostce dozę poszanowania dla niej ze strony społeczeństwa.

Prawo do tego poszanowania ma każdy, kto przez postępowanie swoje nie wywołał ujemnego stosunku do niego ze strony społeczeństwa.

Im wyżej stoi grupa społeczna do której należy dana jednostka, tem w zasadzie subtelniejsze powinno być poczucie własnej godności osobistej, której odpowiadać winno należyte ustosunkowanie się społeczeństwa do jednostki.

Z drugiej strony na wysubtelnienie tego odczuwania godności osobistej, będącej treścią pojęcia honoru w znaczeniu dzisiejszem, wpływać może w dużym stopniu należenie do tego, lub innego ugrupowania społecznego (np. wojskowi), które od członków swoich wymaga utrzymania się na pewnym poziomie opinji o nich i przestrzegania, aby ich honor przez cudze słowa lub czyny nie był obniżany, a przez to nie wpływał na pogorszenie się tej opinji.

Z chwilą więc wyrządzenia ujmy czyjemuś honorowi, dotknięta zniewagą jednostka nie może przechodzić nad nią do porządku dziennego, pomijając bowiem pierwiastek **ściśle** pod-

miotowy, jakim jest obrażone poczucie miłości własnej i godności osobistej, w sytuacji społecznej znieważonego zachodzą okoliczności objektywne, które mogą wpłynąć na istniejącą o danej jednostce opinję społeczeństwa i zmienić ją na niekorzyść jednostki.

Stąd wypływa naturalny zupełnie wniosek, że dotknięta zniewagą jednostka, musi „reagować“, musi szukać środków, mogących przekonać grupę społeczną, do której należy, że nie pozwala bezkarnie na poniewieranie własnej godności i obniżania istniejącej opinji o niej, a przez to samo jest w dalszym ciągu godną szacunku, jaki się jej dotychczas należał ze strony społeczeństwa.

W związku z tem nasuwa się pytanie, czy pojedynek, jako sposób naprawienia ujmy, wyrządzonej czyjemuś honorowi, jest środkiem dopuszczalnym, celowym i dającym się usprawiedliwić objektywnemi warunkami.

III.

O dopuszczalności pojedynku dla wierzącego katolika decyduje stanowisko Kościoła Katolickiego. Stanowisko to jest zasadniczo ujęte w dwóch wyrazach, stanowiących treść 5-go przykazania: „Nie zabijaj“.

W myśl 5-go przykazania nie do pomyślenia jest dopuszczalność umowy, która przewidywałaby możność pozbawienia w walce życia swojego przeciwnika, a taką umową jest pojedynek.

W encyklice „Pastoralis officii", wydanej w dniu 12 września 1891 roku, a poświęconej pojedynkom, Papież Leon XIII, podkreślając rozpowszechnienie się pojedynku na całym świecie, słusznie stwierdza, że pojedynek godzi w prawo boże naturalne i pozytywne, zabraniające w sposób formalny, aby katolik poza potrzebą publicznej obrony, zabijał lub ranił bliźniego, nie będąc do tego zmuszony koniecznością obrony własnego zagrożonego przez napastnika życia.

To samo prawo boże zabrania narażania życia na niebezpieczeństwo poważne i oczywiste, jeżeli niema do tego żadnego motywu, płynącego bądź z poczucia obowiązku, bądź z poświęcenia.

Tymczasem z tego rodzaju sytucją mamy właśnie do czynienia przy pojedynku, w którym każda ze stron jednocześnie

godzi na życie swojego przeciwnika i naraża bez słusznego motywu swoje własne.

To też Kościół Katolicki, od najdawniejszych czasów zajął w stosunku do pojedynków stanowisko zdycydowanie wrogie, potępiając je i zakazując ich.

Wyżej zostały już przytoczone imiona papieży, którzy występowali przeciwko pojedynkom jeszcze przed Soborem Trydenckim oraz postanowienia tegoż Soboru, przewidujące infamję, ekskomunikę i pozbawienie pogrzebu kościelnego, jako kary na uczestników pojedynków. Postanowienia te zostały rozszerzone i wyjaśnione w Konstytucji „Detestabilem", wydanej w dn. 10 listopada 1752 r. przez papieża Benedykty XIV, a następnie potwierdzonej przez papieża Piusa IX w encyklice „Apostolicae Sedis", w której Pius IX, ograniczając cenzury kościelne „Latae sententiae", oświadcza otwarcie, że karom kościelnym za pojedynek ulegają nie tylko sami pojedynkujący się, ale również ich sekundanci, świadkowie i nawet ci, z których wiadomością pojedynek się odbywa.

Przytoczone wyżej postanowienia karne za udział w pojedynku weszły w całości do nowego Kodeksu Prawa Kanonicznego, wydanego w roku 1917. Zgodnie z Kanonem 1240 p. 4. K. Pr. Kan., pozbawieni są prawa do pogrzebu kościelnego zabici w pojedynku, lub zmarli z ran w pojedynku odniesionych, chybaby przed śmiercią dali dowody skruchy. Kanon 2351. § 2 nakłada na strony, biorące udział w pojedynku oraz ich sekundantów infamję. Wreszcie tenże Kanon 2351 § 1. postanawia, że ci, którzy się pojedynkują, jak również ci, co wyzwanie przyjmują, dalej okazujący jakiekolwiek poparcie, lub przychylność sprawie pojedynku, rozmyślnie się mu przypatrujący, zezwalający nań lub nie wzbraniający go w miarę możności, jakiejkolwiek byliby godności, ulegają ipso facto ekskomunice, zastrzeżonej w zwykły sposób Stolicy Apostol-

W ten sposób Kościół za pomocą surowych kar stara się zapobiec pojedynkom, grożąc ekskomuniką nawet tym, którzy braliby w nim udział pomocniczy, lekarzom, księżom, a nawet widzom pragnącym z ciekawości asysować przy pojedynku.

Stanowisko Kościoła jest w kwestji pojedynków, tak jasne, że żadnego komentarza nie wymaga. Niestety, przez naszych

katolików, którzy w większości wypadków są katolikami tylko z imienia, jest ono najczęściej lekceważone i pomijane.

Pomijając wypadki rzeczywistej, a bynajmniej nie rzadkiej nieznajomości zasad wiary chrześcijańskiej), rozumowanie przeciętnego obywatela jest następujące: „Wprawdzie pojedynki są rzeczą zdrożną, ale wobec faktu zniewagi innego wyjścia niema“. Rozumowanie to zresztą w niczem nie odbiega od rozumowania sędziów i prokuratorów, którzy będąc obowiązani do stosowania przepisów ustanawiających kary za udział w pojedynku, starają się łagodzić w miarę możności wymiar sprawiedliwości z uwagi na charakter pojedynku, jako rozprawy honorowej.

I oto stajemy wobec zjawiska zaiste osobliwego. Wiadomo jest powszechnie, że zarówno Kościół, jak i Państwo zabraniają pojedynków i przewidują surowe kary za nie. Jednocześnie uznaje się ogólnie, że pojedynki są przeżytkiem, który bynajmniej nie przynosi zaszczytu ludzkości, chlubiącej się i słusznie zresztą, tem, że osiągnęła pewien stopień cywilizacji. Mimo to gdy zdarzy się sprawa honorowa z rozwiązaniem w postaci pojedynku, większość ludzi powiada, że pojedynek w pewnych wypadkach jest koniecznością, która uchylić się nie daje. Na zapytanie co jest powodem takiego stanowiska, otrzymujemy w najlepszym wypadku odpowiedź, że są plamy na honorze, względnie zniewagi, które się daje zmyć tylko krwią.

W ten sposób rzekomo cywilizowany obywatel powraca do początków cywilizacji, stając na stanowisku rozprawy krwawej, sprzecznej z prawem i porządkiem społecznym, według którego zasad, jest rzeczą niedopuszczalną, aby ktokolwiek sam sobie wymierzał sprawiedliwość.

Gdyby nawet stanięcie do pojedynku uważać, jak chcą niektórzy, za stwierdzenie przez danego osobnika gotowości przelania krwi w imię własnego honoru, a przez to dostarczenie społeczeństwu, czy danej grupie społecznej dowodu, jak wysoko ceni swój honor i że ma prawo korzystania z szacunku, z którego korzystał dotychczas, to i wówczas trudno byłoby znaleźć uzasadnienie dla pojedynku inne, jak tylko to, że jest to potworny barbarzyński przyżytek, który przynosi hańbę ludzkości przy dzisiejszym stopniu jej rozwoju cywilizacyjnego.

Mniemanie, jakoby tylko krwią można było zmyć plamę na honorze, jeżeli nawet i obecnie jest dość rozpowszechnione, jest wykroczeniem nie tylko przeciwko prawu i przepisom Kościoła - jest ono ciężkim grzechem wobec cywilizacji, zejściem o stopień niżej z poziomu życia dzisiejszego, otwarciem drogi barbarzyństwu i sponiewieraniem najświętszego prawa, którego bez względu na odniesioną zniewagę żadnemu cywilizowanemu człowiekowi przekroczyć nie wolno — prawa poszanowania dla życia własnego i cudzego.

IV.

Samo potępienie pojedynku nie wyczerpuje jednak kwestji. Zgodnie z tem co było mówione wyżej, sprawy honorowe należą do rzędu spraw szczególnie drażliwych i dotkliwych. Niepodobna jest czynić komuś zarzutu z tego powodu, że dba o swój honor i o swe miejsce w społeczeństwie. Poczucie własnej godności i czci jest potężną dźwignią życia społecznego.

Byłoby rzeczą smutną i dla życia społecznego niepożądaną, gdyby ono zanikało.

I oto wysuwa się kwestja: jeżeli potępiamy pojedynek, to jakich środków radzimy użyć znieważonemu, aby mógł uchronić swój honor, swoją cześć od zmazy.

Zaznaczyć tu należy, że pojedynek nie jest jedyną formą rozstrzygania zatargów honorowych. Będące u nas w użyciu kodeksy honorowe Boziewicza oraz Zamojskiego i Krzemienieckiego ograniczają zastosowanie pojedynku jedynie do wypadków obrazy trzeciego stopnia, polegającej na znieważeniu przez uderzenie, lub hańbiące posądzenie, zdolne skrzywdzić cześć i honor, lub na obrazie narodu, rodziny i kobiety.

W wypadku zniewagi o znaczeniu pomniejszem zatarg honorowy może być zlikwidowany przez udzielenie zadośćuczynienia w takiej, lub innej formie na mocy bądź porozumienia sekundantów, bądź też orzeczenia sądu honorowego.

Powstaje zapytanie, jak w wypadku zniewagi ciężkiej ma postąpić człowiek, który zgodnie ze swemi przekonaniami nie uznaje pojedynku, jako sposobu roztrzygnięcia zatargów honorowych. Czy ma również żądać zwołania Sądu honorowego. A jeśli sąd honorowy uzna, że satysfakcja winna być udzielona właśnie w formie pojedynku? Wynika stąd, że na sąd ho-

norowy zdawać się nie można, chyba że się zgóry oświadczy, że się jest przeciwnikiem pojedynku (antyduelantem). Tego rodzaju jednak postawienie sprawy wymaga nie tylko głębokiego przekonania, ale i dużej odwagi cywilnej. Łatwiej bowiem dać dowód odwagi stojąc na mecie, niż uchylając się od stanięcia w imię swoich przekonań, lub nakazów Kościoła. Jeżeli wziąć pod uwagę, że w niektórych ugrupowaniach społecznych, jak np. wśród wojskowych, uchylenie się od pojedynku może pociągnąć za sobą uznanie niehonorowości przez Sąd oficerski i wydalenie z wojska, to łatwo jest zrozumieć, jak ciężkiem może być położenie jednostki, pozostawionej samej sobie i zasłaniającej się jedynie swojemi przekonaniami.

Jako proste następstwo tego wynika stwierdzenie, że, jeśli się chce zwalczać pojedynki, nie wystarczy pozostawiać to jednostkom, a trzeba prowadzić walkę zorganizowaną. Organizacja tej walki jest zresztą niezbędną ze względu na to, że pojedynek miał i ma formę zwyczaju, t.j. sposobu działania przez społeczeństwo uznanego i głęboko, niestety, zakorzenionego. Jeżeli się chce ten zwyczaj wytępić, to nie wystarczy uchylenie się jednostek od pojedynku w sporadycznych wypadkach. Trzeba w ciągu dłuższego czasu na społeczeństwo oddziaływać, jeśli się chce wpłynąć na zmianę istniejących w niem poglądów i przekonań. W ten sposób walka z pojedynkiem wymaga należycie zorganizowanej i systematycznie prowadzonej akcji społecznej.

Z drugiej strony akcja tego rodzaju winna stać się oparciem dla jednostek, mających w sobie dostateczną siłę przekonań i zasób odwagi cywilnej, aby w razie potrzeby uchylić się od wyzwania.

Najskuteczniejszym środkiem byłoby tutaj zrzeszanie się jednostek w organizacje antypojedynkowe, których członkowie słowem honoru zobowiązaliby się do nieprzyjmowania wyzwania na pojedynek i poddawania każdej sprawy honorowej do rozpatrzenia sędziom, obieranym przez organizacje. Tego rodzaju stowarzyszenie powstało w r. 1844 w Anglji i dzięki przystąpieniu do niego szeregu osób wybitnych odegrało i odgrywa znaczną rolę w akcji przeciwpojedynkowej. Potrzebne stowarzyszenia pod nazwą lig antypojedynkowych powstały również w szeregu innych krajów europejskich i wszędzie

zdołały osiągnąć pozytywne wyniki. Liga taka istnieje i w Polsce, mianowicie we Lwowie, gdzie powstała jeszcze przed wojną*). Niestety, żadnej żywszej działalności Liga ta nie ujawnia i szerokie koła społeczne nic o niej nie wiedzą. Co do pozostałych organizacji to, o ile jest mi wiadomem, jędynie należenie do Związku Harcerstwa Polskiego nakłada na członków obowiązek stanowczy niebrania udziału w pojedynkach**).

W ten sposób dla szeroko zakreślonej akcji antypojedynkowej znajduje się w Polsce obszerne a wdzięczne pole działania i w akcji tej winni wziąć udział wszyscy, którym na sercu leży wytępienie tego zgubnego zwyczaju, jakim jest pojedynek.

Akcja społeczna powinna iść wszakże nie tylko w kierunku uświadamiania społeczeństwa i organizowania go w ligi antypojedynkowe, lecz również w kierunku wywarcia nacisku na władze, aby przez wydanie stosownych przepisów zapobiegły szerzeniu się pojedynków.

Nie chodzi mi tutaj o przepisy prawa karnego, które istnieją i, jak to wyżej było już powiedziane, w praktyce okazują się bezskutecznemi. Chodzi mi o wydanie przepisów dla wojskowych, któreby wprost zakazywały pojedynków i ustanowiły surowe sankcje aż do wydalenia z armji za przekroczenie tego zakazu. W sferze wojskowych przyzwyczajonych do posłuchu i subordynacji, przepisy takie nie mogłyby pozostawać martwą literą i „bongre, malgre" musiałyby być przestrzegane, a usunięcie pojedynków z wojska niewątpliwie przyczyniłoby się do wydatnego zmniejszania się ich ilości wśród osób cywilnych. Wymowny zreszta przykład skuteczności takich przepisów dała Anglja, w której wprowadzono je na wniosek księcia Alberta (męża królowej Wiktorji) i w której dziś pojedynki są rzeczą nieznaną. Mniemanie jakoby utrzymanie pojedynków przyczyniło się do utrzymania „kurażu militarnego" w armji zostało już oddawna zarzucone

---

*) Liga obrony czci.

**) St. mł. ak. „Odrodzenie" i Chrześcijański Związek Korporacyj zakazały również swoim członkom brania udziału w pojedynkach (przyp. Red.)

i zdyskwalifikowane, jako „głupie i niegodne człowieka rozumnego" *). Z odpadnięciem zaś tego czysto utylitarnego argumentu, jest nie do pomyślenia tego rodzaju stan rzeczy, aby oficer tylko dlatego, że jest oficerem, nie miał prawa uchylić się od pojedynku, a tego rodzaju stan rzeczy istnieje w Polsce.

Im prędzej on się skończy, tem szybciej nastąpi u nas zanik tego barbarzyńskiego przesądu, który J. J. Rousseau nazywa hańbą ludzkości i ostatnim stopniem zwierzęcości, do jakiego ludzie zejść mogą...

Najwyższy czas jest przestać strzelać do siebie, lub bić się na szable do pierwszej czy ostatniej krwi, bo śmierć zadana nawet w pojedynku, nawet z umówionej broni oraz w umówionym miejscu i czasie, z moralnego punktu widzenia jest i będzie zawsze tylko morderstwem i zbrodnią.

Stanisław Janczewski.

Ruch społeczny wśród studentów niemieckich przed wojną.

(Na podstawie niemieckiego wypracowania).

Wobec coraz bardziej wzrastającego dziś wśród młodzieży studenckiej zainteresowenia się kwestją socjalną, warto się przyjrzeć przedwojennej pracy społecznej studentów tego kraju, który był ojczyzną ksks Kettelerów i Kolpingów i który wydał także autora „Manifestu Komunistycznego" — Marksa.

Trudno ściśle określić czas, w którym sfery studenckie Niemiec zabrały się do pracy społecznej, bo aczkolwiek tu i owdzie poszczególne jednostki jeszcze w zeszłym wieku szły śladem Ks. Kolpinga czy ks. bpa Kettelera, zbiorową pracą na tej niwie, właściwym ruchem społecznym niemieckich studentów, wykazać się może dopiero pierwsza dziesiątka obecnego stulecia. Przez cały zatem wiek XIX, pełen przewrotów społecznych, sfery studenckie pozostały obojętne na wzrastający coraz bardziej ruch robotniczy. Student niemiecki zaledwie zauważył owe zmiany

---

*) „Inceptum et indignm sapienti viri opinio"—słowa enc. Leona XIII

w dziedzinie gospodarczej, które przecież tak bardzo łączyły się z dolą i niedolą robotnika. Wypierająca rękodzielnictwo maszyna, z entuzjazmem witana przez kapitalizm, święciła triumfy w pochodzie swym, wprowadzając nowe warunki pracy. Na miejscu dotychczasowych mniejszych warsztatów powstały olbrzymie fabryki, grupujące około siebie tysiące robotników, dając tem samem początek rozlicznych miast robotniczych. Zaczęła się szerzyć specjalizacja; robotnik nie umiał całokształtu pracy, jak dawniej, tylko pewną, oderwaną od całości część, której nigdzie indziej użyć nie mógł. Widmo głodowej śmierci w razie bezrobocia zatem wzrastało coraz bardziej. Praca w fabryce stała się dla robotnika czemś zupełnie martwem, nie dała żadnego zadowolenia. Narzędzia—a były niemi teraz maszyny—nie służyły już pracownikowi, tylko robotnik sam musiał obsługiwać maszynę. A przytem dążenia kapitalizmu do jaknajwiększego produkowania i zysku—kosztem robotnika i wzrastające stąd nienawiści klasowe: wszystko to było obce studentowi niemieckiemu. Zdawał się nie słyszeć huczącej fali pochodu robotniczego, która w uszach Lassalle'a brzmiała jako „der dumpfe Massenschrit der Arbeiterbataillone". Podczas gdy jego rówieśnicy, nie studenci, którzy to niegdyś wędrowali od wioski do wioski i od miasta do miasta jako czeladnicy, już dawno byli w szeregach robotników przemysłowych, podczas gdy nawet kobiety i dzieci zmuszone były zarabiać na twardy chleb codzienny w ponurych murach fabryki—student niem. żył jeszcze tradycją poglądów patryarchalnych i tą beztroską, cechującą studenterję niemiecką z czasów przedwojennych.

To miało się jednakże niebawem zmienić. I oko studenckie miało się wkrótce zwrócić ku wszystkim tym zmianom i nowościom, które zalewały prawie całą Europę. Różne przyczyny składały się na nastawienie umysłowości studentów niem. w kierunku ruchu społecznego i pracy socjalnej.

Najpierw zaprowadzenie nowych przedmiotów naukowych na wyższych uczelniach. Wszak nowoczesne przewroty gospodarcze pociągały za sobą przewroty w dziedzinie umysłowej. Nowe stosunki wymagały nowych praw. Prawnik musiał się liczyć ze zjawiskami wielkomiejskiemi, z nowemi pojęciami prawnemi wśród mas ludowych, musiał brać pod uwagę prawo koalicyjne, siłą konieczności musiał się zainteresować trustami,

objawem strejku i lokautu i t. p. Medycyna znowu musiała się zajmować różnemi chorobami, właściwemi poszczególnym zawodom; w jej zakres wchodziła także kwestja kas chorych. Teologję zaś czekało rozwiązanie nowych zagadnień z dziedziny moralnej np.: praca, jej znaczenie i wartość; płaca na tle nowych stosunków gospodarczo-społecznych; wpływ nowych stosunków gospodarczych na duchowe życie wiernych; stosunek pracodawcy do pracobiorcy; praca kobiet; zachowywanie przykazań na tle nowych stosunków socjalnych i mnóstwo innych tematów. Każdy zawód w ten sposób znacznie rozszerzył granice swej wiedzy. Zrozumiało to i państwo, zaprowadzając szereg społecznych kursów uzupełniających jak np. dla lekarzy i prawników. A uniwersytety zaczęły odtąd bardziej i intensywniej, niż kiedykolwiek, traktować sprawy bieżące, zwłaszcza z niwy społecznej.

Nie tylko zmiana i rozszerzenie programu naukowego na korzyść nauk socjalnych sprawiły, że studenci niemieccy zaczęli interesować się również swem otoczeniem, zaczęli zważać na to, co się wkoło nich działo, ale w wielkiej mierze przyczyniły się do tego także stosunki, jakie się wytworzyły przez stykanie się na jednym i tym samym bruku poczerniałych twarzy robotniczych z czapkami studenckiemi. Poruszony tłum, który nie pozostał tylko na ulicy, ale wtargnął pod sam gmach Uniwersytetu, obserwował bacznie życie studenterji. Liczono dnie i godziny, które ona spędziła na hulance lub marnowała na prostem łazikowaniu i próżnowaniu. I pytano się tam w tłumie: dlaczego wolno studentowi siedm dni świętować, podczas gdy oni tylko jedną niedzielę w tygodniu mają. A zrozumiemy jeszcze lepiej ten rażący wprost kontrast tego rodzaju życia studenckiego z jego otoczeniem, gdy wyobrazimy sobie miasto uniwersyteckie w środowisku przemysłowem. Codziennie stykają się tam spracowane i zmarnowane twarze robotników fabrycznych z wesołą, pełną bezroski miną rozbawionych studentów, szlifujących bruk zadymionej ulicy. Nie dziw, że wobec takiego widoku wzbudził się w piersi robotnika robak niewiści klasowej. I zrozumiano, że taki kontrast powiększa tylko przepaść między wykształconymi a niewykształconymi i bardziej utrwala wśród ludu przekonanie o prawdziwości tezy marksowskiej, że jedynie praca ręczna zdoła stwarzać wartości.

Zaczęto zatem myśleć o zażegnaniu zła, o naprawie stosunków. A mogło się to stać jedynie przez socjalne wychowanie młodzieży uniwersyteckiej. Ale przekonano się wkrótce także, że nietylko sam nowy program naukowy, ani wzgląd studentów na ich otoczenie zdołają poprowadzić młodą inteligencję po torze ideologji socjalnej. Czekały niemieckiego studenta jeszcze niejedne obowiązki względem ludu, a to obowiązki niemałej wagi. I tak zdawano sobie sprawę z tego, że przyszłość tworzącego się ludu potrzebuje uczonych przewodników, ich współpracy i pomocy. Wołano na głoś: inteligencja w lud! A wołanie to rozlegało się po wszystkich wsiach i miastach. Domagały się ingerencji inteligencji okna wystawowe, repertuary teatrów i widowisk świetlnych, księgarnie i kioski. Wszystko to było najlepszem zwierciadłem spaczenia w wychowaniu narodowem ówczesnych Niemiec. Lud karmił się strawą, podawaną mu w „przystępnej formie" przez bałamucicieli i pseudonaukowców, podczas gdy świat prawdziwie uczony i katolicki trzymał się zdala od intensywnej pracy nad ludem, a jednostki wśród nawału pracy społecznej ginęły, jakby na głuchej puszczy.

Wreszcie jako jedno z najważniejszych zadań uważano konieczne pojednanie inteligencji i klasy t. zw. posiadającej z ludem pracującym. Wszak w czasach, gdy pracodawca i pracobiorca wspólnie pracowali w warsztacie, pewna równość klas już była dana przez samo życie. Z nastaniem jednakże maszyn i fabryk zaczęła się wytwarzać pewna klasowość, zaczęto mówić o proletarjacie i kapitaliźmie wzgl burżuazji. Do tego doszło nierówne wykształcenie poszczególnych klas. A wiadomo, że, jak życie umysłowe trudno sprawia należytą łączność między panem a robotnikiem, tak znowuż praca fizyczna częstokroć przytępia umysłowość i czyni ludzi niezdolnych nie tylko do samodzielnego myślenia, ale i do zrozumienia i ocenienia pracy umysłowej. Wykształconemu trudno się zniżyć do sposobu myślenia pracownika fizycznego, a robotnik nie zdoła pojąć znaczenia i mozołów pracy umysłowej, do tego stopnia, że nie życzy np. profesorowi kilka chwil przechadzki po parku, czy zasłużonych wakacyj, które mają uspokoić nadwyrężone nerwy. I nic dziwnego, że takie nastały nieporozumienia. Wszak inteligent i zwyczajny robotnik poprostu siebie nie znają, nigdy się bliżej nie stykali, nie wypowiadali się

o swych kłopotach i radościach. W dodatku jeszcze zgubna agitacja wśród ludu zwiększyła mur między temi obiema warstwami.

Poznano i zrozumiano powoli, że przewroty społeczne i gospodarcze wieku XIX-go zrodziły także szereg nowych obowiązków dla inteligencji: obowiązek studjum socjologji, obowiązek wglądu i pracy pojednawczej. Zwłaszcza młodzież studjującą należało zapoznać z temi zadaniami; bo pełna zapału i energji młódź zdoła głębiej i intensywniej przygotowywać się do służby społecznej dla ludu i narodu i służbę tę wiernie i chętnie spełniać. Trzeba więc było zebrać tych młodych bojowników idei kolpingowskiej, dać im do ręki pług socjalny i posłać ją na ugorem leżące pola pracy nad ludęm.

Pierwsze kroki uczynił inżynier Wagner, który w roku 1901 zaprowadził w Charlottenburgu pierwszy studencki kurs naukowy dla robotników (studentischer Arbeiterunterrichts-kursus) Prawie równocześnie daje się w całych Niemczech zauważyć ruch wykształcenia polityczno-obywatelskiego. Zagadnienia, tyczące się polityki, państwa i obywateli poruszali nie tylko dziennikarze na łamach prasy codziennej, ale zajmowali się tym tematem także powieściopisarze. Idee społeczne bardziej niż kiedykolwiek zaczęły teraz przenikać katolickie korporacje studenckie. Powzięto szereg uchwał i rezolucyj, nawołujących do pracy społecznej. W roku 1908 katoliccy studenci utworzyli w München-Gladbach specjalny „Sekretarjat Społecznej Pracy Studenckiej" („Sekretariat Sozialer Studentenarbeit"), który cieszył się gorącem poparciem różnych, nawet bardzo poważnych towarzystw, mających na celu pracę socjalną. „Sekretarjat" stał się wogóle niejako związkiem i ośrodkiem bardzo intensywnej i szeroko rozgałęzionej pracy. Założono np. własny organ „Soziale Studenten Blätter", wydawano mnóstwo ulotek, starano się rozwijać jak najwyższą propagandę. Zorganizowano t. zw. „Sozjale Ferienvereinigungen" czyli związki wakacyjne. Są to powiatowe, lub gminne organizacje studentów celem wzbudzenia społecznego i obywatelsko-państwowego zainteresowania i pogłębienia posiadanych już wiadomości. Praca w tych związkach wakacyjnych przedstawiała się w ten sposób, że obierano sobie coraz to inny przedmiot studjum, jak: zakłady elektryczne, dworce, fabrykę i t. p. by przyjrzeć się tam pracy i życiu robotnika. Nie zapominano także o warunkach mieszkaniowych robotników. Zwiedzania te uzupełniano

później referatami i wykładami, by stworzyć sobie zaokrąglony sąd na całokształt zagadnienia spełecznego. Takich zwiedzań i wykładów było w jednym tylko roku 1912-tym czterysta czterdzieści; a związków wakacyjnych zorganizowano od r. 1908 do Wielkanocy 1912 dwieście jedenaście. Wcale pokaźna ilość!

Obok związkow wakacyjnych istniały mniejsze koła naukowe, gdzie na podstawie poważnych dzieł przyswajano sobie potrzebne wiadomości z dziedziny socjologji. Co tydzień urządzano wspólne schadzki, by omówić różne tematy z dziedziny socjalnej. Ale nie poprzestawano w tych kołach tylko na samej nauce; szerzono jak najdalej idącą agitację, by jak najwięcej studentów zapoznać z pracą społeczną i charytatywną. Za pośrednictwem różnych kół i kółek brała ta młoda inteligencja udział w najrozmaitszych towarzystwach i związkach zawodowych, zapoznawając się w ten sposób z różnemi gałęźmi i systemami pracy społecznej; zaprawiała się do kierowania towarzystwami dobroczynnemi. Niejeden młody człowiek miał wreszcie już wówczas okazję, przysłużyć się czynnie ludowi. Młodzież studencka garnęła się do pracy biurowej w zakładach przemysłowych, chętnie udzielała swych sił i zdolności do współpracy w amatorskich teatrach ludowych, starając się o postawienie i zachowywanie ich na odpowiednim poziomie. Studenci dalej nie tylko pracowali w bibljotekach ludowych i towarzystwach czeladzi i młodzieży, nie tylko organizowali ludowe wieczory oświatowe, ale objeżdżali także wsie i środowiska przemysłowe, wygłaszając wszędzie popularne wykłady i odczyty, a z młodzieżą rzemieślniczą i robotniczą urządzali wspólne wycieczki i przechadzki, które w niemałej mierze przyczyniły się do zbliżenia tych dwóch klas ze sobą.

Jako zupełną nowość przywitano zainicjowanie wspólnej pracy studentów z młodzieżą rękodzielniczą w domach czeladniczych. Po raz pierwszy miało to miejsce w październiku 1908 r. w Kolonji, gdzie w tamtejszym domu czeladniczym około 300 „synow Kolpinga" zetknęło się z grupą studentów do wspólnej pracy dziennej i do wzajemnego poznawania się. Serca dwu dotąd przeciwnych sobie warstw młodzieży biły wspólnie pod jednym dachem. Poznały się i pokochały się. Część dnia spędzono na wspólnem, pożyciu i pracy w domu czeladniczym, a resztę wypełniły wykłady, odczyty, zwiedzania, zbierania dysku-

syjne i praca charytatywna. Za Kolonją szły inne miejscowości w organizowaniu wspólnej pracy studentów z czeladnikami w domach czeladniczych. Niejednokrotnie ukształtowano tę wspólność pracy w ten sposób, że jeden student sam poprostu zamieszkiwał na jakieś 2—3 miesiące w takim domu czeladniczym, udzielając się swym towarzyszom-czeladnikom pomocą naukową, nie zaniedbując przy tem i szerszej pracy społecznej i dobroczynnej.

Innym środkiem zbliżania młodzieży studenckiej z ludem roboczym były kursy robotnicze, gdzie robotnicy i robotnice pod kierownictwem studentów mieli możność nie tylko pogłębiać i uzupełniać swe wiadomości, nabyte w szkole powszechnej, ale także wypowiadać się ze swych myśli i zapatrywań. I tutaj poznawano się wzajemnie; student zapoznał się ze sposobem myślenia pracowników fizycznych, robotnik znowuż mógł wglądnąć w duchowe życie uczącej się młodzieży.

Zapoczątkowana praca żywo się wzmagała, budząc zaciekawienie szerszych kół niemieckiego społeczeństwa. Wszak także świadome swej kobiecej natury studentki zabrały się energicznie do pracy na niwie społecznej. Ileż to ulgi i pociechy przyniosły one niejednej rodzinie robotniczej! Z iście matczyną miłością szły one do nor nędzy i biedy, ocierając łzy i podawając przyjazną dłoń.

Oto kartka z początkowego ruchu społecznego wśród niemieckiej młodzieży uniwersyteckiej przed wojną. W tych kilku pierwszych latach, aż do wybuchu wojny światowej zdołano uzbierać przepiękne wawrzyny. Wojna światowa jednakże nie tylko, że przerwała nić spokojnej pracy społecznej, ale wykazała w swym epilogu tę smutną prawdę, że do pracy socjalnej zabrano się w kołach studenckich zbyt późno tak, że mimo pierwszych sukcesów przedwojennych nie zdołano uratować naród od dalszego postępu socjalizmu i komunizmu. Dziś katolicka młodzież studencka Niemiec z nowym zapałem bierze się do dzieła, by rzesze robotnicze i lud poprowadzić torem katolickiej, chrześcijańskiej ideologji socjalnej.

A. F. Kowalkowski.

Niebezpieczeństwo się zbliża.

Koncentryczny atak lewicy na religję i Kościół Katolicki.— Stanowisko rządu. — Akcja wolnomyślicieli. Katolicka opinja publiczna protestuje przeciwko krematorjom. — Profanacja kościoła. — O wykonanie Konkordatu. — Interpelacja Chrześcijańskiej Demokracji. — Oblicze moralne wrogów Chrystusa.

Bezwględna i nieubłagana walka, którą wydały P. P. S., Wyzwolenie i Partja Chłopska wraz z masonerją i sprzymierzonymi z nią czynnikami wpływowymi... wszystkiemu, co katolickie w Polsce przybiera coraz bardziej na sile i zwartości. Już w poprzednim numerze podaliśmy szereg szczegółów. Każdy miesiąc przynosi garść nowych faktów, wobec których katolicka opinja publiczna nie może przejść do porządku dziennego. Grudzień był pod tym względem miesiącem brzemiennym w znamienne wydarzenia.

Nigdy jeszcze tak jasno i wyraźnie, z taką zajadłością nie wystąpili słudzy Antychrysta przeciwko religji, jak stało się to podczas obrad komisji budżetowej Sejmu nad budżetem Min. Wyznań Rel. i Oświecenia Publ., zwłaszcza w części dotyczącej departamentu Wyznań Religijnych.

Dnia 17 grudnia wygłosił w komisji budżetowej przemówienie poseł Czapiński z P. P. S., zwany osobistym nieprzyjacielem Pana Boga i oświadczył:

„Proponujemy skreślić cały budżet wyznań w kwocie 25 milj. Ponieważ jednak pozycje wyznaniowe są związane z konkordatem, uważamy to za formę zerwania konkordatu.

Proponując zerwanie konkordatu, wyrażamy tem nietylko nasze zasadnicze stanowisko rozdziału Kościoła od państwa, ale także protest przeciw niesłychanemu rozpolitykowaniu się kleru.

Następnie przemawiał p. pos. Kalinowski (Wyzw.) który dodał:

„Jestem za skreśleniem całego działu 2-go budżetu min. w. r. i o. p. (t. j. wyznania religijne), wychodząc z założenia o konieczności rozdziału Kościoła od państwa i podkreślając możność zmiany dotychczasowego stosunku wobec rewizji Konstytucji".

W cztery dni później odbyło się w komisji głosowanie nad wnioskami P. P. S., Wyzwolenia, Stronnictwa Chłopskiego, względnie posłów z wyżej wymienionych ugrupowań przyczem: 1) Wniosek o skreślenie całego działu budżetowego wyznań

religijnych nie został poddany przez przewodniczącego p. Byrkę pod głosowanie, jako sprzeczny z obowiązującymi ustawami i Konkordatem, przeciw czemu wnosili interpelację pp. Czapiński z P. P. S. i Woźnicki z Wyzwolenia. 2) Wniosek p. Putka z Wyzwolenia o skreślenie 147000 zł. z pozycji „wyznania katolickie" został poddany pod głosowanie, aczkolwiek kwota ta jest przewidziana w Konkordacie i przeszedł 14 głosami przeciwko 13. 3) Wniosek Czapińskiego z P. P. S., o manifestacyjne skreślenie 1000 zł. został odrzucony 13 głosami przeciwko 12. 4) Również upadł wniosek lewicowy o skreślenie marnej 25.000 dotacji na Uniwersytet Lubelski. 5) Równocześnie ci sami „przedstawiciele ludu" — *katolickiego* (!) mieli czelność głosować za wnioskiem mniejszościowym pp. Grynbauma i Utty o poparcie prywatnych szkół niemieckich i żydowskich i domagali się 200.000 subsydjum na założenie Uniwersytetu Ukraińskiego we Lwowie. *Sumy, z których obdarli Kościół Katolicki chcieli ofiarować natychmiast Niemcom, Żydom i Ukraińcom*!

Zagadnieniem bardzo ciekawym jest pytanie, jakie stanowisko zajmie Rząd wobec wyraźnego dążenia lewicy, a także znacznej części klubu B. B. do zniszczenia wszystkich instytucyj katolickich i rozdziału Kościoła od Państwa.

Otóż stwierdzić należy, że stanowisko poszczególnych dygnitarzy jest bardzo często tajemnicze i dwuznaczne. Wiemy np. że Komisja kodyfikacyjna ma już prawie wykończony projekt prawa małżeńskiego, wprowadzający śluby cywilne. Rząd w tej sprawie już oddawna nurtującej katolicką opinję publiczną, nie wypowiedział się dotychczas zupełnie. Milczenie to jest dosyć niepokojące, zwłaszcza wsród takich okoliczności...

Powróćmy jednak to debaty w komisji budżetowej. Minister Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. p. Świtalski w dość charakterystyczny sposób polemizował z wnioskiem lewicy o skreślenie budżetu wyznań. Oto jego słowa przytoczone dosłownie według relacji „Kurjera Warszawskiego":

„Żądano tu — mówił minister — wykreślenia pozycji na wyznania. Budżet ministerjum opierać się musi na ustawach. Jedną z nich jest konkordat, który jest koniecznością państwową Propozycja p. Czapińskiego zerwania konkordatu przez wykreślenie sum na wyznanie jest zupełnie

niedopuszczalna w praworządnem państwie Jeśli sejm zechce wypowiedzieć konkordat, może to uczynić, dotychczas jednak konkordat obowiązuje, (podkr. Red.) szanować go musimy, a jedną z jego konsekwencji są wydatki na wyznania. Każdy minister mego resortu musi się starać o załatwianie spraw wyznaniowych w sposób niedrażniący. Wiele z poruszonych zarzutów dotyczy spraw drobnych i niezwiązanych ściśle z religją, nie trzeba ich też na tę platformę przenosić i nie trzeba wydobywać namiętności religijnych".

Słowa te muszą wywołać poważne refleksje w umyśle każdego katolika. Co się stanie, gdy w Sejmie i w Senacie znajdzie się zdecydowana większość za zerwaniem Konkordatu. Czy p. Świtalski i jego przyjaciele ideowi staną w obronie konkordatu z pobudek zasadniczych? Zacytujmy jeszcze owe słowa ministra i zastanówmy się nad ich sensem:

„Jeśli Sejm zechce wypowiedzieć konkordat, może to uczynić, dotychczas jednak Konkordat obowiązuje..."

* * *

Oprócz ataku koncentrycznego w samo serce pozycji katolickich: w szkołę, w rodzinę, w konkordat—odbywa się stale walka na bocznych, że się tak wyrazimy, choć nie mniej ważnych, odcinkach. Oto mamy przed sobą wniosek, dotyczący ważnej bardzo dziedziny życia religijno-wyznaniowego, złożony w Sejmie w miesiącu grudniu, który podajemy w streszczeniu „Rzeczypospolitej":

Pos. Langer i inni posłowie z „Wyzwolenia" zgłosili wniosek w sprawie ustawy „o wolności sumienia i wyznania". Najważniejsze punkty tego wniosku, zmierzającego do rozszerzenia sekciarstwa są następujące:

Art. 1. Wszyscy obywatele państwa polskiego mają poręczoną w myśl art. 111 i 116 konstytucji wolność sumienia i wyznawania publicznie i prywatnie zasad swojej religji. W wykonaniu tego prawa obywatele Rzplitej mogą dobrowolnie zrzeszać się w związki wyznaniowe i pozawyznaniowe.

Art. 2. Każdy związek wyznaniowy i pozawyznaniowy zostaje uznany przez państwo o ile jego urządzenia, nauka i ustrój nie są przeciwne porządkowi publicznemu ani obyczajności publicznej, a działalność związku nie staje w sprzeczności z ustawami państwa.

Dalsze artykuły wniosku przewidują, że dla zarejestrowania związku wyznaniowego winno być złożone w min. oświecenia oświadczenie podpisane conajmniej przez 50 osob obywateli polskich, korzystających z pełni praw z dołączeniem dwóch egzemplarzy statutu związku. Brak odpowiedzi odmownej na podanie o rejestrację w przeciągu 3 miesięcy należy uważać za zgodę na rejestrację. Do przystąpienia do związku wyznaniowego lub pozawyznaniowego uprawniony jest każdy obywatel polski, który ukończył lat 21 i złożył w powiatowej władzy admin. osobiste zgłoszenie

o wystąpieniu z dotychczasowego wyznania. Wreszcie wniosek przewiduje przekazanie prowadzenia aktów stanu cywilnego władzom administr.

Nikt nie odmawia obywatelowi Rzeczypospolitej prawa przynależności do takiego, czy innego zrzeszenia religijnego, byleby tylko obrzędy jego i działalność nie sprzeciwiały się dobrym obyczajom (jak np. sekta marjawicka). Lecz akcja ta ma inny cel przed oczyma. P. Langerowi i jego towarzyszom chodzi o to, aby w Polsce powstała masa sekt, nie dlatego, żeby on był zwolennikiem takiego czy innego kierunku teologicznego, lecz poprostu w celu zadania stanowczego ciosu Kościołowi katolickiemu.

I równocześnie z akcją w parlamencie, zainicjowaną przez Wyzwolenie t. zw. „Polski Związek Myśli Wolnej" wydaje odezwy zapraszające na „wiec manifestacyjny za wolnością sumienia w Polsce", w której czytamv dosłownie:

Wbrew prawu i wbrew logice życia nie mamy dotychczas ani szkoły świeckiej, ani wspólnych cmentarzysk komunalnych, ani państwowej rejestracji akt stanu cywilnego, niezależnej od parafji wyznaniowych, ani nawet prawnopaństwowego uznania bezwyznaniowości, czy też innych wyznań religijnych, poza kilkoma wyznaniami uprzywilejowanemi. Mamy natomiast konkordat, zmuszający Polskę do utrzymania kościołów wyznaniowych kosztem 26,000.000 złotych rocznie z czego sam jeden kościół rzymsko-katolicki zabiera prawie 23.000.000 zł., mamy wciąż wzrastającą chmarę mnichów i mniszek, usuwanych ze wszystkich ucywilizowanych krajów świata, a znajdujących w Polsce swój kraj obiecany, mamy wreszcie słynny okólnik ministerjalny, oddający dusze naszych dzieci w niewolę prefektów szkolnych.

Wiec manifestacyjny, który obecnie zwołujemy, ma być wyrazem naszego protestu przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Chcemy naszemu rządowi i ciałom ustawodawczym jasno i wyraźnie powiedzieć, że żądamy od nich wykonania ich obowiązku, polegającego na wprowadzenie w życie wolnościowych ustaw konstytucyjnych.

Mamy więc cały program antykatolicki ujęty w kilku słowach. Panom tym nie wystarczy zalegalizowanie gminy bezwyznaniowej. Oni żądać będą coraz więcej: szkoły bezwyznaniowej, małżeństwa cywilnego, zerwania konkordatu, jednym słowem narzucenia katolickiemu w swej olbrzymiej większości społeczeństwu polskiemu więzów państwa świeckiego, laickiego według systemu francuskiego lub meksykańskiego do wyboru!

A jakie rezultaty daje rozpowszechnianie się w Polsce sekciarstwa — podajemy tytułem przykładu notatkę z № 380 „Gazety Warszawskiej":

Miejscowość Borowica w powiecie chełmskim była terenem skandalicznych zajść, wywołanych przez miejscowych hodurowców. Ściągnęli oni do Borowicy duchownego swego z Piasków Luterskich niejakiego Sinkę, zorganizowali tłum i przemocą wtargnęli do miejscowego kościoła katolickiego. Opanowawszy w ten sposób kościół, odprawili w nim swoje nabożeństwo hodurowskie, znieważając świątynię katolicką. „Zdobyty" kościół zamienili odrazu na swój dom modlitwy.

Wśród ludności katolickiej skandaliczny ten fakt wywołał zrozumiałe oburzenie. Sprawą tą zainteresowały się władze. Na miejsce zjechała policja i prokurator. Hodurowców z kościoła wyrzucono i z polecenia władzy duchownej kościół znieważony przez sekciarzy zamknięto.

Najpierw będą prawować się z nami w parlamencie i urzędach, a potem, gdy poczują się na siłach, gwałtem będą odbierać nam świątynie!

* * *

To nie są wypadki sporadyczne, lecz systematyczna i zażarta walka. Atakujący mają swoje sztaby i działają według dokładnie opracowanego planu.

Czy katolickie organizacje i ugrupowania i katolicka opinja publiczna — zdają sobie sprawę z sytuacji?

Nie można powiedzieć, by z ich strony nie było wyraźnych i zdecydowanych odruchów samoobrony. Ale są to, jak dotychczas, tylko odruchy.

Oto w odpowiedzi na prafonacje krzyżów odbywa się szereg wieców i zebrań protestacyjnych.

Oto młodzież akademicka protestuje przeciwko prześladowaniom w Meksyku.

Oto w połowie grudnia odbywa się w Warszawie wiec p. t. „Po usunięciu księży palenie zwłok (krematorja"), który uchwala rezolucję następującą:

„Obywatele stolicy państwa, Polacy — katolicy, zebrani w dniu 8 grudnia 1928 roku na wezwanie Towarzystwa im. Piotra Skargi w sali Twa Higjenicznego, uchwalają co następuje: Wobec tego, że grzebanie zmarłych jest nietylko tradycyjną formą pogrzebu chrześcijańskiego, lecz nadto formą, odpowiadającą chrześcijańskiej ideologji, — wszelka próba, usiłująca wprowadzić do rdzennie chrześcijańskiego kraju niezgodne z tą formą palenie ciał, jest sprzeczną z nauką Kościoła katolickiego i obraża uczucia olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego. Ponadto, wobec tego, że zamiar ten staje w sprzeczności z najprostszemi postulatami prawa ogól-

nego i żadnej korzyści dla higjeny nie przynosi, a pociąga za sobą ogromne koszta i to w chwili, kiedy w kraju naszym tysiące żywych nie mają dachu nad głową, kiedy dla młodzieży brak budynków szkolnych a dla chorych szpitali — ta wyszukana troska o niezwykłe formy pogrzebu zmarłych tłumaczyć się tylko daje sekciarskiemi zapędami masonerji, jedynej promotorki tego rodzaju pogrzebów.

Wobec tego zebrani protestują przeciwko wprowadzaniu w jakiejkolwiek formie palenia zwłok zmarłych.

Oto obradująca w dniu 16 grudnia w Warszawie Rada Naczelna Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji ostrzega społeczeństwo i zwraca uwagę władzom wykonawczym Stronnictwa na niebezpieczeństwo grożące religji w słowach następujących:

Wobec powtarzających się systematycznie ataków pewnych kół na Kościół i wychowanie religijne młodzieży, Rada Naczelna wzywa reprezentację parlamentarną Ch. D. do zwrócenie szczególnej uwagi na potrzebę energicznej obrony praw Kościoła i religji we wszystkich wypadkach tego rodzaju, a Zarząd Główny do systematycznego informowania o nich opinji publicznej.

A w parlamencie mówcy i działacze ugrupowań katolickich wygłaszają przemówienia w obronie religji i Kościoła, stawiają wnioski i poprawki. Podajemy np. w całości interpelację, zgłoszoną przez senatorów Chrześcijańskiej Demokracji z dn. 19 grudnia, dotyczącą istniejących jeszcze unas z czasów carskich ograniczeń kościoła katolickiego:

„Święcimy w tym roku dziesięciolecie odzyskanej niepodległości, a tymczasem przywileje cerkwi prawosławnej, ustanowione przez zaborców rosyjskich, nie zostały jeszcze zniesione.

Prawo rosyjskie małżeńskie z r. 1891 stało na gruncie, że sprawa zawierania i rozwiązywania małżeństw opiera się na prawie kanonicznem dla katolików. Tymczasem w r. 1891 podczas wzmagającego się ucisku wszystkiego, co nieprawosławnego, zniesiono trzy artykuły prawa o małżeństwie art. 197, 198 i 205, łamiąc zupełnie zasady, że dla małżonków katolików, którzy brali ślub w kościele katolickim, tylko konsystorz katolicki jest uprawniony do rozstrzygania w sprawach małżeńskich. Po zniesieniu tych artykułów wystarczało, by jedno z małżonków przeszło na prawosławie, by jurysdykcję w sprawie małżeństwa i rozwodu oddać konsystorzowi prawosławnemu. Senat dnia 23 lipca 1926 r. uchwalił rezolucję, wzywającą Rząd, by dla b. zaboru rosyjskiego przywrócić art. 197, 198 i 205.

Oprócz tego Senat uchwalił domaganie się zniesienia art. 199 — 203 ustawy rosyjskiej, które nakazują m. in. wychowanie dzieci w religji prawosławnej, gdy jedno z małżonków jest prawosławne.

Jednogłośna uchwała Senatu z dn. 23 lipca 1926 r. nie skłoniła jednak Rządu do wniesienia noweli uchylającej przywileje cerkwi prawosławnej, a konsystorz prawosławny rozwiązuje dalej małżeństwa katolickie, jeżeli jedno z małżonków przejdzie w tym celu na prawosławie.

W dwóch wypadkach, gdy poszkodowana strona katolicka odniosła się do sądu, Sąd Najwyższy orzekł, że odnośne artykuły prawa małżeńskiego z roku 1836 nie obowiązują wobec istnienia państwa polskiego i jego konstytucji. Jednak konsystorz prawosławny już po tych wyrokach dalej rozwiązuje małżeństwa katolickie, jak np. małżeństwo Stanisława i Izabeli Dobruckich (12. 11. 1928 r. № 3940).

Wobec tego zapytujemy Pana Prezesa Rady Ministrów, czy i kiedy zechce wnieść projekt ustawy, przywracającej moc obowiązującą art. 196, 197 i 205 prawa o małżeństwie z r. 1836, tudzież uchylającej art. 190 — 203 tegoż prawa".

* * *

Nie można więc powiedzieć, abyśmy się zupełnie nie bronili, lecz w tych warunkach obrona nasza jest jeszcze za słabą i niedostateczną.

Dopiero wówczas, gdy działacze katoliccy, *zarówno duchowni, jak i świeccy, nie będą ograniczać się do obrony, lecz przejdą do natarcia i zaatakują wroga w jego własnej twierdzy t.j. wśród mas ludowych* — dopiero wówczas będzie można mówić o należytej aktywności katolików w Polsce.

Twierdzą panów Czapińskich, Putków, Langerów, Kalinowskich, Woźnickich, et tutti quanti, ich podstawą operacyjną, źródłem ich wpływów i potęgi — są obałamucone przez nich i demagogicznie eksploatowane — masy chłopskie i robotnicze. One ich wysłały do parlamentu, ale one nie zdają sobie należycie sprawy,co ich wybrańcy w tym parlamencie robią. Trzeba te masy uświadomić, aby zrozumiały, w czyje ręce wpadły, ale równocześnie *trzeba im dać ochronę ich słusznych interesów zawodowych*. Bez tego katolicy nie uzyskają wpływu na lud.

Na tym haśle: „zasady moralne i sprawiedliwość społeczna" opiera się działalność ruchu chrześcijańsko-społecznego. Ale ruch ten posiada zamało oddźwięku i zrozumienia w szerokich sferach inteligencji katolickiej.

Dlatego też wpływ na lud uzyskują coraz bardziej ludzie lewicy, typy pozbawione zasad moralnych, nie liczące się z żadnymi skrupułami, zwalczające w sposób podstępny i nikczemny, ale trzeba to przyznać skuteczny — Kościół i religję.

Na uwagę zasługuje ich metoda. Najpierw wysunęli hasło, że religja jest rzeczą prywatną i oni nie zamierzają jej zwalczać, jako przejawów czysto osobistych—i hasło to zdołali w dużej mierze zaszczepić w masach. Potem przyszła kolej na walkę „z rozpolitykowaniem kleru". I tu walka w dużej mierze powiodła się lewicy. Każdy uważny obserwator stosunków w Polsce wie, że w r 1928 duchowieństwo znacznie mniejszymi rozporządza wpływami na terenie społecznym i politycznym, aniżeli dajmy na to w r. 1921, czy 22. Stwierdzamy fakt.

Po częściowym zrealizowaniu swych dwóch haseł, że się tak wyrazimy — przygotowawczych — zaczęli zdejmować panowie z lewicy maskę ze swego oblicza i nakładać rynsztunek wojenny, przygotowywując się do decydującego spotkania. I wówczas z pod osłonek „liberalizmu", i „wolnomyślności" zaczęły ukazywać się oblicza tryglodytów moralnych, ziejących dziką nienawiścią przeciwko wszystkiemu co katolickie, gotowych odebrać wszystko Kościołowi, a oddać choćby żydom i ukraińcom, byleby tylko zaspokoić swój bezecny szał nienawiści.

Moment ten powinien być wykorzystany przez poważne sfery katolickie do zainicjowania daleko idącej akcji uświadamiającej wśród mas ludowych. Akcja ta, jak już zaznaczyliśmy winna mieć charakter katolicko-społeczny *(socjalny)*, gdyż tylko taka akcja da trwałe owoce.

A czasu niema dużo... Za pięć minut dwunasta!

St. K — ski.

Co sądzić o strajku?

I.

Życiem gospodarczem naszego kraju wstrząsają od czasu do czasu tu i ówdzie wybuchłe strajki.

Wieść o tych strajkach rozmaicie jest w opinji społecznej przyjmowana.

Poszczególny śmiertelnik stawia sobie pytanie, w jakiej mierze ten czy ów strajk będzie dla mnie dokuczliwy, jak on wpłynie na bieg moich spraw zawodowych, względnie moich interesów gospodarczych. Jeśli fale strajku nie podmywają moich pozycji gospodarczych—mogą iść naprzód, nie troszcząc

się o to, jakie straty materjalne i moralne wyrządzi bliźnim moim to groźne, zbiorowe zawieszenie pracy. Nasze zacne społeczeństwo katolickie w znakomitej mierze odsunięte od wpływu na życie państwowe, gospodarcze i socjalne każdą wiadomość o strajku przyjmuje z lękiem i konsternacją—a gdy te ustaną—z oburzeniem na próżniactwo robotników, ich wygórowane żądania, brak ofiary, poświęcenia, patrjotyzmu. Ferujemy wyroki szybko—surowe, bezapelacyjne.

Wszędzie widzimy zakusy bolszewickie, rękę niemiecką, masońską... słowem strajk wyprowadza nas z równowagi i miłego „świętego spokoju".

A jednak, śmiem twierdzić, reakcja społeczności katolickiej i opinji katolickiej na strajk wychodzić winna z innych założeń—i podążać innemi drogami. Jeśli katolicy zainteresują się bardziej naszem życiem gospodarczem i socjalnem, jeśli poza znajomością zasad życia gospodarczego, będą mieli nieco więcej wiedzy społeczno-chrześcijańskiej, wówczas inaczej będą patrzeć i oceniać przejawy życia gospodarczego i socjalnego. Ale my właśnie w obawie o to, aby nasze zasady katolickie nie zostały na szwank narażone uciekamy od tych praktycznych warsztatów i życia — a uciekając od życia, wyrzekając się ambicji pokierowania życiem po katolicku, zawsze będziemy w ogonie tego życia, które nam gotuje liczne niespodzianki—wobec których stajemy bezradni. Daj Boże, oby ten okres braku wpływów katolickich na życie publiczne szybko minął. Minie on za Bożą pomocą wtedy, gdy świadomi swej godności katolików, nabierzemy zdrowej ambicji walki o respekt dla zasad katolickich na wszystkich placówkach życia polskiego.

Aby to zadanie wypełnić trzeba zadać sobie trud śledzenia doktryny katolicko-społecznej, mieć dobrą wolę i chęć pracy społecznej w duchu katolickim a przedewszystkiem zerwać z lękiem i fałszywą pokorą. Winniśmy o tem pamiętać, że pracując uczciwie dla chwały Bożej, mamy za sobą pomoc Bożą i nie na własne siły jesteśmy zdani. Jeśli ponadto akcja nasza będzie rozumną, roztropną — niewątpliwie mieć będziemy za sobą liczne rzesze ludzi dobrej woli. Tych ludzi dobrej woli jest dużo—trzeba tylko umieć do nich trafić.

Pozwoliłem sobie tych kilka słów podać w tym celu, abyśmy mieli większą wiarę w dyskonto naszych wpływów, a dy-

skontować nasze wpływy winniśmy przy każdej sposobności. Jeśli wybrałem za temat mego artykułu zagadnienie strajku, to chodziło mi o to, abyśmy mogli sobie powiedzieć śmiało, że i my katolicy mamy na tę kwestję swój punkt patrzenia i my jesteśmy uzdolnieni i powołani do tego, aby zatargi społeczne regulować w imię zasady sprawiedliwości i miłości. I dlatego na sygnał strajku naszym zadaniem zorjentować opinję o nim po katolicku i to będzie bardzo dużo, gdyż wiemy bardzo dobrze, że obydwu stronom stanowczo zależy na poparciu opinji publicznej. Zanim jednak przyjdę do oceny strajku z punktu widzenia gospodarczego i moralnego chciałbym rzucić na temat tego zagadnienia kilka uwag ogólnych, a znaczeniu ekonomicznemu i moralnemu strajków poświęcić uwagi końcowe.

* * *

Każdy z nas w strajku widzi zaprzestanie pracy. Nie jest to jednak niezgłoszenie się do pracy bezcelowe, za tą bezczynnością kryje się jakiś cel, jakiś sens akcji strajkowej. Robotnicy strajkują—nie dosyć na tem, niedopuszczają innych robotników do pracy — wynika stąd jasno, że strajkiem chcą zadać pracodawcy straty — nieraz bardzo dotkliwe. Zadanie jednak tych strat nie jest bezcelowe. Straty, na jakie strajk naraża pracodawcę mają go skłonić do uwzględnienia żądań robotników, pracowników.

Żądania te są najrozmaitsze, bądź to obrona przed pogorszeniem warunków pracy, bądź też walka o poprawę zarobku albo okazanie solidarności i poparcia robotników strajkujących w innych zakładach przemysłowych i t. p. Są najrozmaitsze żądania strajkowe i rozmaite rodzaje strajków np. strajk generalny, strajk częściowy, strajk włoski (robotnicy zgłaszają się do pracy, lecz nie pracują lub pracują tak powolnie, iż uniemożliwiają normalny bieg pracy danego przedsiębiorstwa).

Nie od rzeczy będzie rzucić okiem wstecz i zajrzeć do historji strajków. W starożytności strajków nie było. Warunki ówczesne gospodarcze, społeczne i prawne nie stworzyły dogodnego podłoża dla strajków. Skupiać się w zrzeszenia społeczne, zawodowe, przedsiębrać zorganizowaną akcję samoobrony społecznej może ten, komu na to prawo zezwala, człowiek wolny. Dzieje starożytne sygnalizowały bunty niewolników — były to jednak bunty, a nie pokojowa akcja strajkowa W średnio-

wieczu strajki były rzadkie. Wpływały na to różne czynniki. A więc czynnik gospodarczy: system produkcji. Mały warsztat (rzemiosła) nie tak podatny do akcji strajkowej, jak duża, ludna fabryka. Ten mały, średniowieczny warsztat pracy skupiał przy sobie majstra, czeladnika i ucznia. Wspólna wiara łagodziła chwilowe nieporozumienia, tembardziej, że nie było tak wielkich sprzeczności interesów, ani socjalnych nierówności. Każdy uczeń wiedział, że po pewnym czasie zostanie czeladnikiem, a czeladnik majstrem. W tych czasach katolicyzm głęboko przenikał w życie społeczne, a teorja walki klasowej znaną nie była. Od XVI wieku (reformacja, indywidualizm religijny) strajki pojawiają się speradycznie w formie b. gwałtownej, czemu nie możemy się dziwić—akcja ta nie była dobrze rozplanowana, była silnym odruchem ludzi materjalnie krzywdzonych. Gwałtowność tych strajków spotykała się z silną reakcją władzy państwowej, co znajdowało uzasadnienie w tem, że władza państwowa ingerowała w ówczesne życie gospodarcze, brała udział w ustalaniu warunków pracy, przeto strajk, pomijając ekscesy mu towarzyszące (z tego względu też interesujący władzę) był akcją antypaństwową. Dopiero wiek XIX, wiek liberalizmu i kapitalizmu, stworzył podłoże dogodne dla rozwoju strajków. Zasada wolności, obłudnie zresztą głoszona, wytworzyła sytuację, w której strajk musiał uzyskać prawo obywatelstwa.

Charakterystyczną i niezmiernie ciekawą ewolucję strajku w wieku XIX i XX podamy w artykule następnym, poczem przejdziemy do oceny strajku w świetle teorji liberalnej, socjalistycznej i katolicko-społecznej.

Bogumił Budka.

Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy.

Wiemy wszyscy, co to jest t. zw. „T. U. R."—Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych — jedna z najsilniejszych w Polsce organizacyj kulturalno-oświatowych, wychowująca młodzież robotniczą w duchu zasad socjal-komunistycznych za pieniądze samorządów miejskich.

Spotykaliśmy się niewątpliwie nieraz, zwłaszcza w miasteczkach prowincjonalnych z jaskrawymi afiszami, zaprasza-

jącymi młodzież robotniczą obojga płci na kursa „oświatowe" lub „samokształceniowe" na temat dajmy na to: „Trzeba raz skończyć z bredniami i bajkami biblji. Człowiek pochodzi od małpy. Zasady nauki Darwina", albo też — „Systematyczny kurs doktryny socjalistycznej" i t. p. I niejeden katolik myślał z przerażeniem, co będzie z młodym dorastającym pokoleniem, gdy przez kraj przejdzie fala takiej propagandy, zniesławiającej systematycznie i pod płaszczykiem wiedzy, wszystko co katolickie i szerzącej nienawiść klasową.

I podnosiły się nieraz w pismach, czy na zebraniach protesty przeciwko działalności destrukcyjnej i demoralizującej „Turu", protesty bezsilne i do żadnych realnych wyników nie prowadzące. Propagandy bowiem żadnej nie można zwalczyć biadaniem, tylko kontrpropagandą w innym, właściwym kierunku.

I znalazło się wreszcie grono działaczy katolicko-społecznych, którzy powiedzieli sobie, że szkodliwej działalności „Turu" przeciwstawić należy placówkę równie realną, broń skutecznie działającą w dzisiejszych warunkach. Na uderzenie miecza należy odpowiedzić po męsku—nie płaczem i jękiem, lecz potężnym ciosem również miecza z dobrej, hartownej stali.

W ten sposób powstał *Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy*, którego Statut został zarejestrowany przez Komisarjat Rządu m. st. Warszawy w dn. 7. XII. 1928 pod № 586.

Poświęcimy kilka słów tej nowej, a tak koniecznej i ważnej instytucji.

Celem Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego, który dla skrótu będziemy nazywać *Ch. U. R-em* — jest trwała i systematyczna akcja kulturalno-oświatowa w duchu katolickim, narodowym i społecznym oraz popieranie wychowania fizycznego wśród warstw robotniczych i włościańskich, a zwłaszcza wśród młodego pokolenia tych warstw.

Do celu tego „Chur" dąży, jak głosi Statut, zapomocą:

1) urządzania wykładów, odczytów i zebrań dyskusyjnych.

2) organizowania kursów ogólnokształcących i zawodowych.

3) zakładania i prowadzenia bibljotek, czytelni, poradni dla samouków, muzeów, wystaw i t. p.

4) organizowania zebrań i wycieczek naukowych.

5) urządzania przedstawień teatralnych, kinowych, koncertów ludowych.

6) popierania rozwoju fizycznego młodzieży przez tworzenie kół sportowych, organizowanie ćwiczeń gimnastycznych i t. p.

7) budowy domów ludowych.

8) prowadzenia wydawnictw jednorazowych i perjodycznych.

Stowarzyszenie jest osobą prawną, działalnością swą obejmuje Rzeczpospolitę Polską; siedzibą Zarządu Głównego jest Warszawa.

Członkowie „Churu" dzielą się na wspierających i rzeczywistych. Członkiem wspierającym może zostać każdy, kto na rzecz „Churu" wniesie jednorazowo opłatę 100 zł. Członkiem rzeczywistym — osoba, która złożyła odpowiednią deklarację i została przyjęta przez Zarząd koła.

Fundusze organizacji składają się z miesięcznych składek, z ofiar zapisów i darowizn i z wszelkich innych wpływów nadzwyczajnych.

Siedziba tymczasowego Zarządu Głównego „Churu" mieści się narazie przy ul. Żórawiej 9 m. 14, tam też należy się zwracać o wszelkie informacje i instrukcje.

Każdy działacz katolicko-społeczny może założyć „Chur" w swojej miejscowości za upoważnieniem Zarządu Głównego (art. 14 Statutu). Minimum członków, tworzących koło prowincjonalne, wynosi 7 osób. I nie potrzeba więcej. Chodzi o jakość, a nie o ilość. Chodzi o to, aby koło „Churu" zdołało zorganizować według instrukcji Centrali systematyczne, i odpowiednie wykłady w lokalu, uczęszczanym przez warstwy pracujące, a szczególnie przez pracującą młodzież, żeby zdołało skupić w tym lokalu szersze masy i przyzwyczaić je do systematycznej pracy kulturalno-oświatowej, aby znalazło dla nich odpowiednie atrakcje i sposoby, któreby je związały ściśle z tym typem pracy.

Zadanie nie jest tak trudne, ale wymagające nietylko dobrej woli, ale i zrozumienia typu nowoczesnej pracy społecznej.

Oczywiście „Chur" musi korzystać z tych środowisk i lokalów, w których są już zgromadzone masy robotnicze o poglądach katolickich, a więc w pierwszym rzędzie ze Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich, Chrześcijańskich Zwiazków Zawodowych, Lig Katolickich i t. d. „Chur" nie jest nową, jeszcze

jedną, organizacją katolicką, lecz narzędziem kontrolujących działalność kulturalno - oświatową ruchu katolicko - społecznego.

Należy wyrazić wielką radość, że powstała wreszcie tego rodzaju placówka, która może się stać, jeżeli szersze sfery inteligencji katolickiej, oraz władze samorządowe nie odmówią jej swojej pomocy, pokaźnym narzędziem uświadomienia mas ludowych w kierunku katolickim, patryjotycznym i socjalnym.

Jeżeli chodzi o stan obecny „Churu" — to nie ogranicza się on tylko do zalegalizowanego Statutu. Mniejsze, lub większe zaczątki tej organizacji istnieją już w szeregu miejscowościach, a w szczególności: w Warszawie, Wilnie, Łodzi, Krakowie, Zawierciu, Częstochowie, Włocławku, Mławie, Pruszkowie, Grodnie i t. d.

Tylko trochę energji, a cała Polska pokryje się stalową siecią „Churów". *S. J. K.*

Stara piosenka.

Stara piosenka, luba piosenka,
Stłumionem echem w przestworzu drży,
Zbolałe serce tęsknotą nęka,
I w duszy dawne obudza sny...

Ponad zmroczone leci kurhany,
Hen! w niezmierzony, ponury świat...
Niesie ją lekko wiatr rozełkany,
Starą piosenkę z minionych lat...

O tym wojaku, co w obce strony
Szedł, by za wolność Polski lać krew;
Choć padł, śmiertelną kulą rażony,
W oczach miał ogień, na ustach śpiew!...

Stara piosenka, luba piosenka,
Stłumionem echem w przestworzu drży,
Zbolałą duszę tęsknotą nęka,
I z oczu gorzkie wyciska łzy...

Bronisław Wiszniewski.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Klasztor P.P. Benedyktynek w Staniątkach

(w 700 letnią rocznicę).

Na południowo-wschód od Krakowa, niedaleko Niepołomskiej puszczy, leży wieś Staniątki, z pierwszym w Polsce klasztorem Benedyktynek, sięgającym początków XIII-go wieku. Miejscowość ta, uświęcona pobytem św. Wojciecha, otrzymała na jego pamiątkę nazwę „Staniątki". Oto co mówi podanie:

W r. 995, zdążając z Węgier do Krakowa, zatrzymał się tu święty Biskup dla odpoczynku i miał wyrzec te pamiętne słowa: „Udielamy tady staniatky" (zróbmy tu sobie odpoczynek). Stanąwszy tu rzeczywiście nauczał lud prawd wiary św., a potem zatknął krzyż w ziemi. Lud na pamiątkę świętego Męża nazwał tę miejscowość „Staniątki". Krzyż stoi po dziś dzień w polu, na miejscu, na którem miał kazać św. Wojciech i w wielkiej jest czci u tamecznego ludu.

Benedyktyni byli w Polsce od zarania jej dziejów: papież Jan XIII, na prośbę Mieczysława I i Dąbrówki, przysłał był 8-iu Benedyktynów Włochów, z których jeden, Prochorjusz, został 1-szym biskupem krakowskim. Nie było jednak jeszcze klasztoru żeńskiego: Staniątki miały być pierwszym.

Fundatorem jego jest Klemens hrabia na Ruszczy i Klimuntowie, kasztelan krakowski, z możnego rodu Jaxów herbu Gryf, oraz jego małżonka Recława cz. Rościsława, córka kasztelana opolskiego, z rodu ruskich książąt Rościsławiczów.

Pobożne i dostojne to stadło miało jedyną córkę imieniem Wizennę, „która w młodości swey w boiaźni Bożey świętobliwie postępowała, a w Stan Małżeński, urody będąc piękney, gdy ią chciano wydać, zezwolić nie chciała". Stryj jej bowiem, Wierzbięta, rodzony brat kasztelana Klemensa, był benedyktynem na Tyńcu; zapalił on młodziuchną bratanicę taką miłością Oblubieńca dziewic, iż postanowiła poświęcić Mu się w zakonie i być pierwszą Benedyktynką w Polsce. Zacni rodzice nie opierali się córce, lecz zasięgnąwszy rady poważnych i doświadczonych mężów, między innymi i Andrzeja, biskupa płockiego, młodszego

brata hrabiego Klemensa, postanowili oddać ją na służbę Bogu i ufundować klasztor dla zakonnych panien, oddając równocześnie wszystkie swoje majętności na jego uposażenie, t. j. około 100 wsi, zachowując sobie tylko jedną, Niemodlin, w dożywocie; i ta po ich śmierci miała przejść na własność klasztoru. Pierwszy kamień położono w 1216 r., kościół zaś został poświęcony pod wezwaniem św. Wojciecha w r. 1228, w niedzielę po rocznicy śmierci ścięcia św. Jana, przez Wisława, biskupa krakowskiego. Zatem w roku bieżącym 700 lat upływa od tej konsekracji. Kronika klasztorna tak opowiada to założenie:

„Kiedy już postanowił nieodmiennie hr. Klemens fundować dla Wizenny klasztor, wyjechawszy w bratem swoim Andrzejem na Górę Staniątecką „Winnicą” zwaną, uczynili rozporządzenie, iż miejsce będzie piękne, wesołe, aura zdrowa, i kazali wielości robotników materjały tak w drzewach, jako i kamieniach zgromadzać, fundamenta wprzód na kościół, a potem i klasztor zakładać; i gdy co żyło, chwyciło się pracowicie i usilnie roboty, rzecz cudowna: w nocy, bez ludzkiej pomocy, nawet i widzenia, wszystko zostało sprowadzone na to miejsce, mniej pozorne, gdzie teraz klasztor stoi. Poznali wszyscy, że to miejsce, a nie od ludzi wybrane, Pan Bóg sobie upodobał, i na nim bez oporu kościół i klasztor fundować kazał, ale nie bez drugiego cudu: Bo to miejsce było nazwane Chrościem, dla zarośli i bagnisk, nie tylko ludziom, ale i bydlętom nieprzystępne, a to dla wielości płazów. Przyleciało stado bocianie (sic!), które wybierając i dusząc owe gady, odnosiły na puste miejsca, a oczyściwszy owo miejsce, odleciały”. Tyle kronika klasztorna.

Starożytny obraz, przechowywany w Staniątkach, przedstawia to przenoszenie fundamentów w taki sposób, że zakonnice niosą na ramionach kościół z Góry Staniąteckiej, upatrując miejsce w dolinie, gdzie go postawić. Fundatorowie Klemens i Recława klęczą z boku i przypatrują się temu pochodowi. Obok mnóstwo bocianów oczyszcza okolicę od płazów.

Tradycja ta tłómaczy, dlaczego klasztor Staniątecki, wbrew zasadzie benedyktyńskiej: „Benedictus colles, Bernardus valles amabat” [1]), stoi nie na pobliskiem wzgórzu lesistem, z którego uroczy roztacza się widok aż ku Krakowu, lecz w nizinie i dla-

[1]) „Benedykt wzgórza, Bernard (Cystersi) doliny lubił“.

czego sąsiednia wieś nazywa się Chroście, chociaż tam dziś już żadnych zarośli niema.

Przyszłość wykazała, jak opatrznościowe było to położenie klasztoru: w czasie kilkakrotnych napadów tatarskich, klasztor za lasami ukryty łatwiej uszedł ich oka, jak to niżej zobaczymy; a już najszczególniej w czasie wojny światowej w 1914 r., gdy przez 8 dni bombardowany uległ wielkiemu uszkodzeniu. Cóżby się było z nim stało, gdyby był zbudowany na wzniesionej górze, a nieprzyjaciel zrobił sobie z niego obserwacyjną stację? Zapewne nie pozostałby z niego kamień na kamieniu.

Klemens z Ruszczy i Recława mieli pociechę widzieć kościół i klasztor wykończony (budowniczym był Wierzbięta, biegły architekt i niemniej uczony i pobożny mnich), córkę swoją pierwszą ksienią staniątecką, a zgromadzenie zakonne pięknie rozkwitające; zewsząd bowiem garnęły się pobożne i urodzeniem dostojne dziewice, pragnące służyć Bogu w zakonie. Wierzbięta został przeznaczony przez swego opata na przełożonego (praepositus) do Staniątek, nie tylko dla opiekowania się nową fundacją, ale jeszcze bardziej dla zaszczepienia i utwierdzenia życia zakonnego w młodem Zgromadzeniu. Reguły na polski język tłomaczonej wówczas jeszcze nie było, ani klasztoru Benedyktynek nigdzie w Polsce; życie zakonne w Staniątkach mogło się zatem rozwijać jedynie na podstawie ustnych wykładów, wyjaśnień i przykładów osób już wyćwiczonych w duchu benedyktyńskim. Uczył zatem Wierzbięta bratanicę i jej zakonne siostry sposobu odprawiania kanonicznych pacierzy, ceremonji chórowych i śpiewu gregorjańskiego, lecz szczególnie pracował nad wyrobieniem w Wizennie wzoru doskonałej zakonnicy, licząc na to, że ona, jako pierwsza ksieni benedyktyńska na polskiej ziemi, musi się stać wzorem dla następnych pokoleń zakonnych. Wierzbięta został później opatem na Tyńcu. Dla jego zasług około fundacji Staniąteckiego klasztoru został potem zaliczony do jego fundatorów.

Kilka lat minęło; Bóg chciał widocznie doświadczyć stałości pp. kasztelaństwa Krakowskich oraz cudem zatwierdzić świętość ich córki, a też okazać, jak miłą Mu była nowa fundacja.

„Kiedy Klemens i Rościsława, w podeszłym będąc wieku, dziedzica imienia swego i fortuny już nie oczekiwali, dał im

Pan Wszechmogący syna. Czym będąc niepomału zafrasowani, dali o tym znać Xieni, córce swojej, i jakieby imię synowi na chrzcie św. dać, onej się radzili". Wizennę wieść ta strwożyła, bała się bowiem odbierać to, co raz na chwałę Bożą zostało ofiarowane. Udała się zatem w tej trosce swojej wedle zwyczaju do chóru, a upadłszy na kolana, modliła się gorąco, aby Bóg tą sprawą tak pokierował, by żadna obraza Boża stąd nie powstała. Wtem wzrok jej padł na wielki krucyfiks, umieszczony na łuku pod sufitem, naprzeciw kraty chórowej; Chrystus na krzyżu rozpięty zdawał się miłosiernem okiem spoglądać na Oblubienicę swoją, i dał się słyszeć głos z krzyża: „Dajcie mu imię Dojutrek". Zrozumiała Wizenna znaczenie tych słów „a pokrzepiona na sercu i dziwnie uweselona" przemówieniem Ukrzyżowanego Zbawiciela, wysłała do rodziców posłańca z poleceniem, aby braciszka nazwano „Dojutrkiem". Zdziwili się nieco rodzice tak niezwykłem imieniem, lecz ufni w świętobliwość córki, uczynili jak kazała. Na drugi dzień po chrzcie dziecię zaniemogło i wieczorem umarło. „Ten Bóg synaczka onego do chwały Niebieskiej powołał, a rodziców jego w pobożnem przedsięwzięciu umocnił; za co błogosławiona Rościsława Panu dziękując, radowała się, iż córkę jej Wizennę duchem proroczym obdarzyć raczył.

Dziecinę pochowano w Staniąteckim kościele. Jaroszewicz, Franciszkanin z XVIII w. pisze o tem w znanem dziele „Matka Świętych Polska": „A on święty Dojutrek... leży w habiciku benedyktyńskim, przy wielkim ołtarzu w cyprysowej trumience, do którego grobku jest okienko i jeszcze są znaki tak ciałeczka jako i pokrycia, com sam widział". (1767 r.).

Nadszedł rok 1241, „gdy dla grzechów ludzkich Tatarowie do Polski w wielkim gminie, za czasów Bolesława Wstydliwego, króla polskiego, wtargnęli, i oną wzdłuż i wszerz mieczem wojowali i ogniem palili". Klemens z Ruszczy, który po śmierci syna pobożne i dobrym uczynkom oddane prowadził życie, chwycił po raz ostatni za broń: „Zawrzała gorąca krew miłującego Boga i ojczyznę kasztelana; rycerski duch zerwał się na ratunek utrapionego ludu, i jak pisze kronika klasztorna, „na skrzydłach herbownego Gryffa" postanowił „lecieć na dzikie pohańce". Zebrawszy znaczny oddział, razem z wojewodą krakowskim wyruszył pod Chmielnik.

Wybierając się na wojnę, wstąpił do ukochanych Staniątek. Rzewnem było pożegnanie ojca z córką, przewidującą śmierć jego. Zalewała się łzami Wizenna, gdy ojciec żegnając się, oddał jej ostatnią swoją posiadłość, wieś Niemodlin, i prosił o złożenie, w razie śmierci, ciała jego w przygotowanym grobie. Niebawem odjechał i już go nie miała świętobliwa ksieni oglądać żywego: cięty mieczem w głowę, padł pod Chmielnikiem dnia 18 marca 1241 roku[1]). Martwe jego zwłoki przewieziono do Staniątek i złożono w przeznaczonym grobie z wielką czcią, jakoby męczennika, gdyż papież Grzegorz IX nadał był odpust krucjaty wszystkim, którzy padną w wojnie z Tatarami[2])

Pohańcy z pod Chmielnika pociągnęli dalej, spalili Kraków, a rozproszywszy się po okolicy, zapędzili się do Staniątek. Błogosławiona Wizenna wyjęła obraz N. P. Bolesnej z ołtarza, i w procesji ze śpiewem i łzami, obnosiła go po klasztorze. I stał się cud: „kościół i klasztor zmienił się w oczach Tatarów w gęsty las, a śpiew zakonnic wydał im się śpiewem ptaków. Rozzłoszczeni cofnęli się, alić patrzą z daleka, a tu znowu klasztor stoi. Trzy razy wracali i trzy razy to samo się powtarzało: wreszcie klnąc i złorzecząc odjechali”. Na pamiątkę tego cudu ustanowiono od tej pory codzienny rano na cześć Najśw. Panny śpiew: „Ave Maria, virgo serena”.

Gdy już ucichły trochę nieszczęścia i klęski po Tatarach, zajęła się święta Ksieni utwierdzeniem ducha zakonnego w zgromadzeniu i własnym postępem w doskonałości. Niemniej potrzeba było zająć się uporządkowaniem majątku i zabezpieczeniem dóbr, darowanym klasztorowi tak przez Klemensa, jak i braci jego: Andrzeja, biskupa Płockiego, Janka i syna tegoż Sulisława. Za staraniem Wierzbięty, naonczas już opata na Tyńcu, ojciec św. Innocenty IV w r. 1253 wydał uroczystą bullę, zatwierdzającą fundację, dobra i przywileje klasztoru staniąteckiego z tytułem ksieni dla Wizenny i jej następczyń, i biorąc je „pod Piotra św. i naszą obronę“.

---

[1]) Dotychczas w Staniątkach obchodzi się solennie rocznica jego zgonu, dnia 18 marca, i tytułuje się go mianem „Błogosławionego“.

[2]) Kiedy w roku 1793 po raz ostatni oglądano szczątki Klemensa, jeszcze widoczne było na czaszce ciecie szabli tatarskiej.

Od śmierci bohaterskiej małżonka, Recława osiadła przy córce w klasztorze i umarła tam świątobliwie w 1260 r.

Wizenna tymczasem wielkim krokiem dążyła do świętości: była „chodzącym wzorem cnót i uosobieniem Reguły", tak że gdy która z zakonnic na nią spojrzała, z jej świętobliwości poznawała własne swoje niedoskonałości, pobudzając się do naśladowania jej cnót. „Szczególnie umiłowała Wizenna (jak na prawdziwą Benedyktynkę przystało) „divinum officium", odmawiane i śpiewane w chórze zakonnym. Mimo licznych zajęć, nie opuściła nigdy wspólnego śpiewania; na Jutrznię w nocy wstawała o godzinę wcześniej, by się na osobności pomodlić przed Najśw. Sakramentem, a potem sama obchodziła cele, budząc Siostry na Matutinum"...

O ile surową była dla siebie, o tyle dużo miała miłości i łaskawości dla Sióstr zakonnych i wogóle dla wszystkich. Kronika tak pisze o niej: „Łączyła łagodność kochającej matki z surowością groźnej dla występnych mistrzyni; to też Siostry, bojąc się jej, kochały, a kochając, bały".

Podeszła w leciech, ustaliwszy porządek życia zakonnego wedle Reguły św. Patryarchy Benedykta, niestrudzona pracownica winnicy Pańskiej patrzała rozweselonem okiem na obfite żniwo swej półwiekowej pracy: „Sto zakonnych Sióstr otaczało ją miłością i czcią, jako najukochańszą Matkę Mistrzynię i Fundatorkę; lecz ona z tęsknotą wyrywała się do niebieskiej Ojczyzny... Zawsze miała w zwyczaju gotować się do śmierci, a gdy dawała jałmużny, dołączała zawsze słowa: „O śmierć szczęśliwą".

Nadszedł wreszcie dzień pożądany; z niewypowiedzianym wyrazem radości powtarzała słowa psalmu 121-go: „Ucieszyłam się z tego, co mi powiedziano: Pójdziemy do domu Pańskiego." Zakonne Siostry płacząc otaczały łoże, żegnając odchodzącą Matkę. Ona z największą miłością przyjęła Sakramenta św. potem czule żegnała i błogosławiła swe duchowne córki, zalecając wierne zachowanie Reguły, podniosłość chwały Bożej w chórze i miłość wzajemną. Wreszcie spokojnie oddała Bogu ducha dnia 28 grudnia 1289 roku.

Pochowana z wielką czcią obok rodziców w kościele staniąteckim, zasłynęła cudami i zaraz zaczęto ją czcić jako „Błogosławioną". Często nad jej grobem pokazywała się jasność

niebieska, a woń róż, wychodząca z jej relikwji, rozchodziła się po całym klasztorze. Tak zakonnice, jak i lud okoliczny we wszystkich potrzebach uciekał się do jej przyczyny, doznając nieraz cudu; w onych wiekach procedura beatyfikacji i kanonizacji nie była jeszcze ustalona, i nieraz ogólna opinja i cuda starczyły za beatyfikację. To też nie podjęto zrazu starań w Rzymie. Wieki mijały, nieszczęścia i klęski waliły się na Polskę, starania wciąż odkładano na lepsze, spokojniejsze czasy. Wreszcie Ojczyzna nasza zmartwychwstała; starania podjęto na nowo; i jak Kościół niedawno, na podstawie odwiecznej, od niepamiętnych czasów czci, ozdobił tytułem „Błogosławionego" św. biskupa Bogumiła, tak ufamy, że i świętą Ksienię Staniątecką, pierwszą Benedyktynkę na ziemi naszej, ujrzymy niebawem na ołtarzach. (d. c. n.)

Z pamiętnika Kapłana i jego matki.

18 maja.....

Dziś rzekłem mojej matce: „Matko, Bóg mnie wzywa!
Ta żarliwość w mej duszy pobożna i żywa,
Te marzenia o lepszym i o wiecznym świecie,
Któremi na kolanach karmiłaś twe dziecię,
Dziś owoc swój przynoszą, może gorzki, tobie,
Gorzki i dla mnie dzisiaj, ale słodki w grobie!
Wzywają mnie do siebie świątyni podwoje
Chciałbym Bogu poświęcić niewinne dni moje,
Jak kielich, który czysty Bogu się przeznacza.
Niema dla mnie uroku, co świat czcią otacza!
O, niech ciebie nie gniewa ta moja chęć żywa,
Pomyśl trochę —a kiedyś będziesz tak szczęśliwa,
Dumna z tego, co hasłem rozstania się zdaje...
Cóż traci ten, co wiecznie Bogu się oddaje?!
Cóż chcesz więcej dla dziecka, które błaga ciebie
O spokój na tej ziemi i ojczyznę w niebie?
Skromny tytuł kapłana niech ciebie nie wstydzi,
Me serce świetniejszego na ziemi nie widzi!
I któż boskich tajemnic cel dla nas oświeci?
Podzielił On czynności między ziemskie dzieci:

Tym rolę do uprawy, domowe starania,
Tym sławę, a tym żonę, dzieci do kochania,
Tym korzyści doczesne, tym chwałę ich synów,
Innym znowu dał echa od ich własnych czynów!
A dla serc które wiarą karmią się tajemnie:
„Nic nie bierzcie, rzekł, wszystko odzyskacie we Mnie“!

* * *

Ale powiesz:—Jednemu bez miłości w duszy,
W ustroniu, bez rodziny, serce się wysuszy!
— Powiedz raczej, że zwiększy się jego rodzina,
Ubogi mu zastąpi miejsce brata, syna.
Chrystus do serca takie zaszczepił uczucie,
Że każdy, byle cierpiał, obudzi współczucie!
O! nie lękaj się, matko, bym daleki świata,
Zapomniał na twą miłość i na pierwsze lata!
Pan, biorąc mnie do siebie, tobie nie zabiera,
Jego miłość ku wszystkim mą duszę otwiera...
O, święte obowiązki! o związki niewinne!
Przy ołtarzu nie zatrą was imiona inne.
Matko! niech cię nie trwoży ta moja ofiara
Nie patrzaj się tak na mnie, raczej mów, jak Sara:
— Synu! niechaj się w tobie spełni wola Pana!
I błogosław, Jaś twoje uściśnie kolana

. . . .

· · ·

26 maja....

Tydzień mija, na wzór Jeftego niegdyś pięknej córy,
Której Pan dni wyliczył, aby między góry
Szłą biedna opłakiwać swoje młode lata,
Matuś za mnie żegnała rozkosz tego świata.
Jak tamta, opłakawszy święty stan dziewiczy
Wróciła dobrowolnie pod nóż ofiarniczy.
I moja biedna matka rzekła w końcu: — „Zgoda“.

· · ·

5 lat potem w listopadzie młody kapłan składa Panu Bogu na Jasnej Górze pierwszą Ofiarę Mszy św. Matka pisze w pamiętuiku:

Błogosławcie Pana ze mną wszyscy, jestem teraz matką kapłana. Gdy 24 lat temu syn został mi dany, nie posiadałam się prawie z nadmiaru radości. Patrzałam na niego, wyciągając ręce do kołyski, by zapewnić się, że moje marzenia, przybrane w widome kształty, naprawdę tam spoczywają. Jakżeż odmienna, o ile wyższa radość napełnia dziś moją duszę wzruszeniem nigdy dotąd nie doświadczonym.

Jestem teraz matką kapłana! Rączki tak w tedy malutkie co je tak czule całowałam, dziś są rękami poświęconemi, piastującemi Chleb Żywota. Władze rozumu, które za mojem pośrednictwem światło odbierały, są teraz jedynie służbą Bożą zajęte. To ciało, które pielęgnowałam, spędzając wiele bezsennych nocy, gdy choroba zniszczeniem mu groziła, będąc sługą duszy kapłana, zużywać się będzie, nawracając grzeszników, pouczając prostaczków, rozdając samegoż P. Jezusa wszystkim, którzy Go szukają.

Skupiony i poważny stał mój syn przy ołtarzu: było coś dostojnego w całej jego postawie; zachwycona tem, com widziaja, nie śmiałam się poruszyć. Ujrzałam go na ten czas klękałącego przed Najświętszem Sakramentem—i zdawało mi się, że słyszę jego myśli. Nie mogłam się modlić, wyjąknęłam tylko: Wszechmogący Boże! dziękuję Ci, dziękuję Ci. Ten kapłan by moim. Jego dusza w mojej duszy się rozgrzała. Teraz już nie jest moim, Twoim jest. Zachowaj go od cienia złego. Jest on ze ziemi, ziemski; strzeż go, by nigdy Cię nie obraził. Wszechmogący Boże, kocham Cię! Kocham go i poważam, jest on Twoim kapłanem.

W chwili Komunji św. ministrant zobaczył mnie przystępującą i odmówił „Confiteor", celebrujący obrócił się i podniósł rękę, matce swej udzielając absolucji. Syn mój zapłakał, jak mi się zdaje. Potem wziął puszkę i zbliżył się do mnie. Co za zjednoczenie. Bóg, Jego Matka, Jego kapłan i ja matka kapłana. Czy się modliłam? Nie wiem. Dziwny spokój ogarnął mą duszę, która wezbrała miłością i dziękczynieniem. Mój Bóg i mój syn! Jestem nadto szczęśliwa. Miewałam słodkie dni w życiu, lecz ten jest najszczęśliwszym ze wszystkich. Po

raz pierwszy pojęłam, jak niekończąca się chwila wieczności z Bogiem będzie spędzona.

Nie mogę już dzisiaj pisać więcej. — Niech to wystarczy.

. . . .

O. Aleksander, Paulin.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Na marginesie sprawy pojedynków.

Korporacje chrześcijańskie zwalczają barbarzyństwo XX wieku.

Ostatnia kwatera naukowa, Warszawskiego Koła Środowiskowego, Zjednoczenia Polskich Akademickich Korporacji Chrześcijańskich, która odbyła się w grudniu w lokalu „Odrodzenia" przy ul. Krak. Przedmieściu 7 — zajmowała się sprawą pojedynków. Jak wiadomo, Z. P. A. K. Ch. łączy w sobie 15 korporacji akademickich, stojących trwardo na gruncie antiduelanckim i rozmieszczonych we wszystkich centrach akademickich Polski (Warszawa, Lwów, Poznań, Wilno, Lublin, Kraków). W skład Warszawskiego Koła Środowiskowego Z. P. A. K. Ch. wchodzą obecnie 3 korporacje: Laudania, Maratonia i Ignitia. Gospodarzem kwatery była P. A. K. Ch. „Maratonia". Przewodniczył zebraniu Kom. Zbigniew Kubec, Prezes K. Maratonia, na sekretarza powołano Kom. Wierzbowskiego (Ignitia).

Po powitaniu, przez prezesa, obecnych na kwaterze gości zabrał głos, uproszony na referenta, przez władze W. K. S. Z. P. A. K. Ch., p. *dr. Stanisław Okęcki, Dyr. Dep. Min. Oświaty* i jeden z czołowych członków, antiduelanckiej **„Ligi Obrony Czci"**.

Szanowny prelegent wygłosił odczyt p. t. „Cel i działalność Ligi Obrony Czci".

Z początku prelegent omawiał stosunek Kościoła do pojedynku. Jako definicję pojedynku przytoczył, określenie Ks. M. Morawskiego T. J., że jest to „kombinacja mężobójstwa z samobójstwem". Życie nie należy do człowieka, ale do Boga,

społeczeństwa i rodziny. Kościół do pojedynków ustosunkował się negatywnie, obciążając, tak biorących w nim udział, jak świadków i lekarzy—ekskomuniką.

W dalszym ciągu, prelegent omówił stosunek prawa do pojedynku i kolizje, niektórych przepisów, w tej dziedzinie, potem zaś przeszedł do historji pojedynków. Istnienie ich wiąże się z kwestją pewnych, średniowiecznych praktyk, w rodzaju sądów Bożych. W rozwoju pojedynków dużą rolę odegrali trubadurzy i ministrele, którzy gloryfikowali, m. in., ten rodzaj zabójstwa. Sama instytucja pojedynku nie jest poparta żadnemi poważne i przesłankami rozumowemi. Zabitym może być tak samo krzywdziciel, jak i pokrzywdzony. Nonsens bije tu w oczy.

Poważniejsi myśliciele ostatnich wieków, nieraz już myśleli nad zlikwidowaniem pojedynku. W związku z tem powstała Liga Antypojedynkowa w Wiedniu a potem „Liga Obrony Czci“ we Lwowie. Ta ostatnia przyjęła nazwę nie negatywną (antypojedynkową) ale pozytywną (Obrony Czci). Ma za zadanie nietylko zwalczanie pojedynków, lecz takie zastąpienie ich stałemi sądami honorowymi dla Obrony Czci.

Do wybuchu wojny, lwowska Liga rozpatrzyła przeszło 250 spraw honorowych, w tem wiele spraw zgłoszonych przez ludzi nie należących do Ligi. Obecnie Liga zakłada koło w stolicy. Władze koła warszawskiego nie zostały dotychczas ukonstytuowane. Statut zatwierdzony już jest przez władze.

Prelegent, w głównych zarysach, referuje ważniejsze punkty statutu L. O. C. Ciekawym momentem statutu jest równouprawnienie kobiet w kwestjach honoru.

Do ligi może należeć każdy pełnoletni obywatel (obywatelka) o nieposzlakowanej uczciwości. Liga wyłania sąd honorowy na lat 3. Sąd ten rozpatruje wszelkie zatargi honorowe.

Pozatem Liga organizuje odczyty autiduelanckie.

Po zakończeniu referatu, liczni mówcy, biorący udział w dyskusji podkreślali doniosły fakt powstania autiduelanckiej *Ligi Obrony Czci* i stwierdzali, że obecnie, korporacjec hrześcijańskie, oparte o organizacje starszego społeczeństwa i bratnie organizacje akademickie, będą mogły w sposób bardziej intensywny podkreślić swą walkę z pojedynkiem, tym: „honorowym mordem". Odpowiadając na stawiane w dyskusji zagadnienia, prelegent wyraził swe zadowo-

lenie, że istnieją organizacje akademickie, zwalczające pojedynek. Po odśpiewaniu „Gaudeamus", zebrani rozeszli się do domów, pokrzepieni do dalszej, wytrwałej walki z szkodliwym zabytkiem barbarzyńskich czasów.

J. Sobolewski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Katolicki Kongres Kinematograficzny w Paryżu. W dniach od 6 do 8 listopada r. ub. włącznie w Paryżu odbywał się krajowy Katolicki Kongres Kinematograficzny, który jest jednym z licznych dowodów, że wśród katolików francuskich istnieje żywe zrozumienie, czem jest w dobie bieżącej kino, i że krzewi się obecnie pośród nich przeświadczenie o potrzebie opanowania tego cudownego zaiste wynalazku przez ideologję katolicką.

Na popołudniowem posiedzeniu kongresowem w dniu 6 listopada r. ub. pierwszy przemawiał ks. kanonik Simonin. Mówca ten rzucił myśl utworzenia „Federacji Kierowników Katolickich Sal Kinematograficznych". Organizacja ta, zdaniem projektodawcy, służyłaby trojakiemu celowi: po pierwsze śledziłaby ona zamierzenia instytucyj oficjalnych oraz powodowałaby tam dojście do głosu katolików; po drugie pomagałaby kierownikom owym, starając się o otrzymanie od wytwórców najlepszych filmów na najlepszych warunkach; po trzecie wreszcie powodowałaby zaprowadzenie kina w różnych stowarzyszeniach bądź, jako środka popularno-kształcącego, bądź też, jako środka rozrywkowego. Uczestnicy kongresu przyjęli ten plan, powierzając specjalnej komisji opracowanie statutu projektowanej federacji.

Drugą część tegoż posiedzenia poświęcono sprawozdaniom z prac dokonanych. Wśród sprawozdawców znaleźli się: ks. kanonik Brohée, który przedstawił, jakie zbawienne skutki przynosi w Belgji praca „Katolickiej Centrali Filmowej", ks. Larde, ks. Maufroy, ks. Leanu, którzy złożyli kolejno sprawę z działalności organizacyj tego rodzaju w diecezjach: Amiens, Lille, Rouen; i inni.

Wieczorne posiedzenie tego samego dnia po przemówieniu powitalnem przewodniczącego, p. Hébrard'a, wypełniła konferenja ks. kanonika Reymond'a. Osnowę jej stanowiło omówienie możliwości wychowawczych kinematografji oraz wpływu, jaki zdobyła Filmja*) we Francji, a na zakończenie mówca zwrócił się do obecnych przedstawicieli społeczeństwa katolickiego z wezwaniem, iżby z kina katolicy jaknajprędzej uczynili narzędzie, służące do szerzenia wzniosłych haseł nauki Chrystusowej. W trakcie konferencji ks. kanonik Reymond wykazał, co za niebezpieczeństwa płynąć mogą

*) Kinematografja.

z kinematografji dla religji, ojczyzny, porządku społecznego, o ile dostanie się ona pod wpływ czynników radykalnych, natomiast na przykładzie kilku pięknych filmów przedstawił, w jaki sposób narzędzie to może być użyte w sposób najlepszy.

Dnia 7 listopada r. ub. na posiedzeniu pod przewodnictwem ks. biskupa Chaptal'a p. Baudouin odczytała raport p. Morienval'a o tem, jak się przedstawia kwestja filmowa. „Nie powtarzajmy z kinem tegoż błędu, — oświadczał p. Morienval — który katolicy francuscy popełnili w stuleciu dziewiętnastem z prasą! Nie składajmy na innych trudu ukazywania publiczności na filmach naszych wiernych, naszych świętych, naszych bohaterów! Przeniknijmy kino naszemi ideałami głęboko, uczyńmy zeń środek przenikania naszych wpływów moralnych i religijnych! Umiejmy posiadać dostateczną ilość ekranów oraz aparatów projekcyjnych, by wywierać w świecie filmowym i przezeń prawdziwy wpływ".

Z kolei p. Boissard rozważył łącznie z obecnymi dwa wielkiej wagi zagadnienia, narzucające się katolikom: czy wytwarzać filmy czy też otwierać coraz liczniejsze katolickie sale kinematograficzne. Mówca przechylił się na stronę zagadnienia drugiego, nietylko, jako najlepszego środka w dostarczaniu szerokim masom publiczności filmów moralnych, lecz także, jako środka, ułatwiającego wpływanie na producentów, żeby wytwarzali filmy o prawdziwej wartości.

Tego samego zdania był i ks. kanonik Brohée. Według niego, tworzenie sal jest łatwiejsze, niźli produkowanie filmów, gdyż w drugim wypadku producenci katoliccy natknęliby się na trudności natury tak pieniężnej, jak praktycznej, co jest obce ich konkurentom, starającym się zadowolić częstokroć płaskie nawet gusta publiczności.

Ostatni mówca, ks. prałat Beaupin, z wielką kompetencją wyłożył zagadnienie to z międzynarodowego punktu widzenia, podając przy okazji mnóstwo interesujących szczegółów o działalności „Komisji Opieki nad Dzieckiem" tudzież „Komisji Współpracy Intelektualnej" przy „Lidze Narodów" na polu kinematografji; o działalności „Międzynarodowej Komisji Filmu Wychowawczego"; o „Międzynarodowym Katolickim Kongresie Kinematograficznym", odbytym w miesiącu kwietniu r. ub. w La Haye, w Holandji; o „Międzynarodowej Katolickiej Służbie Kinematograficznej" oraz o „Międzynarodowym Instytucie Kinematografji i Wychowania", powstałym w miesiącu listopadzie r. ub. w Rzymie.

W dniu 7 listopada r. ub. w kościele św. Magdaleny odbyła się uroczysta Msza św. kongresowa. Na nią to przybyło wielu wytwórców filmów, dyrektorów kinematografów, reżyserów, krytyków, artystów. Obecnością swoją zaszczycili ją: ks. kardynał Dubois, ks. biskup Herscher, ks. biskup Julien, ks. biskup Chaptal, ks. prałat Debont, ks. prałat Beaupin. Podniosłe kazanie po Ewangelji wygłosił ks. biskup Julien.

* * *

Francja katolicka zajęła się już sprawą tego ważnego czynnika w życiu współczesnem, jakim jest kino, nie potępia go bynajmniej, lecz stara się go natchnąć duchem katolickim, czas zatem byłoby zrobić to samo u nas

także. Co można tylko, to już się robi. Gdzie niegdzie po parafjach istnieją kinematografy oddawna, dziennik „Polak Katolik” poświęca nieco miejsca na omawianie bieżących programów kinowych celem wykazania ich wad oraz zmuszania dyrekcyj kin do wyświetlania filmów porządnych, ale, by mieć dostateczny wpływ na te sprawy, potrzebna nam jest koniecznie specjalna organizacja. J. M. Ch.

Młoda Polka № II. Zajmujący i pożyteczny miesięcznik dla młodzieży żeńskiej w artykule wstępnym omawia „Wielką rocznicę powstania Polski” a w dziale poezyj zamieszcza „Modlitwę” poety Radwana z prośbą, aby Polska krajem orląt pozostała. Wiele interesujących szczegółów zawierają echa „Kongresu Eucharystycznego w Częstochowie” oraz „Święta Druchen”. Żywo skreślone są opisy z obozów, kolonji letnich, kronika sportowa. W dziale przysposobienia rolniczego ryciny i wiadomości z lustracyj konkursów kukurydzianych wybijają się na pierwszy plan. Piękny wiersz Janusza Stępowskiego p. t. „Św. Franciszek i kwiaty”, udatny fragment sceniczny p. t. „Przyrzekam”, list Bronki, liczne fotografje ze Zjazdów i zlotów, urozmaicenia, figielki i zadania składają się na całość nr. Młodzież żeńska jak zwykle, tak i w tym nr. znajdzie odpowiednią strawę dla serca i umysłu. „Młodą Polkę” zamawiać należy w Sp. Akc. „Ostoja” Poznań. Pocztowa 15. Prenumerata kwartalna 60 gr.

Wiadomości z kraju i zagranicy.

W 50-tą rocznicę kapłaństwa Papieża Piusa XI. W dniu 25 grudnia r. ub. rozpoczęły się w Rzymie uroczystości jubileuszowe złotych godów kapłaństwa Papieża Piusa XI. Wziął w nich udział cały świat katolicki, by zaznaczyć swą łączność i jedność z opoką Piotrową, a równocześnie dać wyraz wielkiej czci i przywiązania, jakiem otacza w szczególności osobę Piusa XI.

Pięćdziesiąt lat dobiega od chwili, gdy Achilles Ratti, otrzymawszy święcenia kapłańskie, stanął w szeregach sług Bożych, nie przeczuwając zupełnie, że z pośród wielu wybrany jest, by był w przyszłości „Servus Servorum Dei” — Sługą Sług Bożych, w poczuciu wielkiej godności, włożonej na ułomne barki ludzkie, najniższy, ale w hierarchji kościelnej najwyższy, w pełność władzy królewskiej, kapłańskiej i pasterskiej wyposażony. Przechodząc kolejno przez wszystkie szczeble godności kapłańskiej, wieńczy wreszcie tiarą swe czoło i zasiada na tronie, którego nigdy nie obali żadna burza dziejowa, skoro tron ten jest fundamentem duchowej świątyni Kościoła widzialnego, a nad Kościołem i jego całością czuwa sam Chrystus.

Epoka dzisiejsza, pełna przełomów i kataklizmów dziejowych, domagała się wprost, by na Stolicy Piotrowej zasiadł mąż, którypy jaknajgodniej reprezentował tę siłę, która wprawdzie nie jest z tego świata, ale w świecie

musi rządzić. Bo z wyżyn Stolicy Piotrowej idą nietylko nakazy dla Kościoła świata całego i jego zwierzchników, ale promieniują też najwyższe postulaty moralne, wiążące wszelkie potęgi ziemskie. Od cezarów począwszy aż do czasów dzisiejszych papiestwo podejmuje walkę o prymat religji i prawa i nie waha się państwom wskazywać na obowiązek uznania i wprowadzenia w życie prawa Chrystusowego. „Wiedz, że jesteś ojcem książąt i królów, sternikiem świata, a na ziemi Namiestnikiem Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa", — mówi Kardynał-Diakon, wkładając tiarę na głowę Papieża w dniu koronacji, wyrażając w tych słowach misję i posłannictwo Głowy Kościoła.

Spełnienie tej misji nawet w normalnych warunkach nastręcza olbrzymie trudności, gdy się zważy, że powszechny Kościół ma swych wyznawców wśród wszystkich narodów świata, różnych rasą, tradycjami, językiem i obyczajem, nierzadko wzajemnie poważnionych. Czasy zaś powojenne, znamienne przewrotami politycznymi i społecznymi, czasy wybujałego nacjonalizmu i nienawiści narodów, oskarżających się wzajemnie o wywołanie wielkiej wojny światowej i jej dotkliwych skutków, stwarzają obecnie może najtrudniejszą z dziejów Kościoła sytuację dla Namiestnika Chrystusowego.

Ale Opatrzność Boża osadziła na Stolicy Piotrowej męża tak szerokiego umysłu i głębokiej wiedzy, a przytem wielkiego serca, że pontyfikat Piusa XI, choć przypadł na czasy najcięższe, zapisze się złotemi zgłoskami w dziejach Kościoła katolickiego. Achilles Ratti jest przedewszystkiem, człowiekiem głębokiej wiedzy. Ozdobiony trzema doktoratami rzymskich akademji, przez całe swe życie, czy to jako profesor zakładów teologicznych, czy jako prefekt bibljoteki ambrozjańskiej, a potem watykańskiej oddaje się studjom i z zapylonych foljałów wydobywa nietylko suche teksty, ale mądrość życia, dziejowem doświadczeniem stwierdzoną, wielki i szeroki pogląd na świat, który mu pozwala jako Papieżowi nietylko objąć sytuację i wniknąć w ducha czasu, ale też jak najtrafniejszą i najwłaściwszą drogą prowadzić politykę kościelną ku chwale Kościoła i dla dobra narodow. Wzburzonemu i pokłóconemu światu rzuca tedy w swej programowej encyklice hasło: „Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem", a równocześnie zaznacza najrozmaitszymi dokumentami swą działalność w dziedzinie pokoju międzynarodowego. Następnie zwraca się do wewnętrznego życia Kościoła, określa cel i zadania Akcji katolickiej, która ma przeciwstawić się laicyzmowi, a ogłaszając encykliką „Quas Primas" święto Chrystusa Króla, ma na celu przekształcenie świata w duchu Chrystusowym, jako jedyne lekarstwo na niedomagania społeczne i polityczne czasów dzisiejszych.

Wzrok Papieża sięga dalej; śladem swych wielkich poprzedników podejmuje z nadzwyczajną troskliwością i szczególnym zapałem dzieło misyjne; encyklika „Rerum Ecclesiae" z 28 lutego 1928 r. otwiera wprost nową erę w dziejach misji katolickich a Piusowi XI zyskuje tytuł Papieża misyjnego

Wzorowe urządzenie katolickiego przedsiębiorstwa fabrycznego w Belgji. Organ związku chrześcijańskich przemysłowców Belgji „De Christelijke Werkgewer" mający za zadanie wspierać w pierwszym

rzędzie akcję społeczną wśród pracodawców i robotników w myśl wskazówek papieskich ku obopólnej korzyści, ilustruje tę akcję na przykładzie fabryk de Beukellaar Freres S. A. w Antwerpji. Właściciel tego przedsiębiorstwa uważa sobie za obowiązek chrześcijański wypłacać robotnikowi prócz należnego zarobku, który temu robotnikowi przypada z tytułu umowy i który umożliwia mu utrzymanie rodziny, także jeszcze premję, wiążącą go osobiście z interesem fabryki. Oprócz tego istnieje t. zw. „Sekcja społeczna fabryk dde Beukellaar Freres", która roztacza opiekę nad pracą robotnika i nad całem jego życiem rodzinnem. Do dyrekcji owej sekcji należą: ksiądz, lekarz, prawnik, dyrektor fabryki, dwóch robotników, dwie robotnice i jeden urzędnik. Oprócz zwykłych dodatków rodzinnych robotnik otrzymuje gratyfikacje w wysokości 300 do 500 fr. z okazji pierwszej Komunji św. dziecka, małżeństwa lub śmierci kogoś z członków rodziny. Młodzi robotnicy, powołani do wojska, otrzymują w czasie służby wojskowej od 5 do 25 procent swego zarobku. W razie nieszczęśliwych wypadków, lub choroby wypłacana bywa cała pensja z potrąceniem 10 procent. Lekarz i środki lecznice są bezpłatne. Sieroty otrzymują dodatki rodzinne, a bezrobotni mają fundusz zapomogowy. Pod koniec każdego roku wszyscy robotnicy i urzędnicy uczestniczą w podziale zysków w wysokości, określonej przez radę fabryki i uzależnionej od wielkości ich pensji. Robotnicy, wynagradzani tygodniowo, otrzymują co roku sześciodniowy urlop płatny, a ci, którzy pobierają wynagrodzenie miesięczne, korzystają z dwutygodniowego urlopu płatnego.

Sprostowanie.

W numerze styczniowym pojawił się artykuł p. t. „U wrót Nowego Roku" mylnie podpisany nazwiskiem Zygmunta Gąsiorowskiego. Prostujemy, iż autorem artykułu jest **Ksiądz Dyonizy Kajetanowicz ze Lwowa.**

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo

W hołdzie Piusowi XI-mu.

Mija już lat jedenaście, gdy Namiestnik Chrystusowy, niestrudzony bojownik sprawiedliwości i pokoju pośród światowego huraganu walki i nienawiści, zawezwał do siebie skromnego prałata rzymskiego, który całe swe dotychczasowe życie poświęcił cichej pracy wśród pamiątek mądrości ludzkiej wieków poprzednich i na uczonych rozprawach z mężami nauki i rzekł mu głosem natchnionym: Idź na północ w imieniu Chrystusa—idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów! Jest tam naród skrzywdzony i rozdarty. Idź i bądź mu Mistrzem i Ojcem, albowiem przyszedł czas jego zmartwychwstania i naprawienia wiekowej zbrodni nad nim spełnionej!

Prałatem tym był Bibljotekarz Watykański, Achilles Ratti. Posłuszny rozkazowi uczony mąż porzuca swoje zacisze, ojczyznę jeszcze walczącą i matkę, staruszkę blisko dziewięćdziesięcioletnią i idzie na północ do swej nowej ojczyzny, na nieznane gościńce Opatrzności, której ufał zawsze bez żadnych obaw, ani zastrzeżeń. Pierwsze kroki swoje skierował do stóp Królowej Korony Polskiej na Jasnej Górze, jej się prezentując przedewszystkiem, bo nie było w Polsce prawowitej władzy państwowej i u Niej prosząc o błogosławieństwo na przyszłe swe poczynania.

Po przybyciu do stolicy ukazuje się na ulicach z monstrancją w ręku, w czasie uroczystej procesji Bożego Ciała, którą sam celebrował. „Przyszedłem do was — mówił później— niosąc w rękach moich Chrystusa". Fakt ten stał się nieomal symbolem w Jego do nas stosunku. Dokądkolwiek się zwrócił, niósł ze sobą Chrystusa, pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem—co wziął sobie później za hasło Swego najwyższego pontyfikatu, jako Papież, Pius XI-ty.

Spotkanie z Episkopatem polskim nastąpiło w krótkim czasie na konferencji dorocznej, której przewodniczył.

O tem tylko myślę, — powiedział do zebranych książąt Kościoła—abym był towarzyszem prac waszych i sługą waszym; jeżeli co mogę, jeżeli do czego jestem zdolny, jeżeli co mam, szczęśliwy jestem, że mogę wam ofiarować, dać, poświęcić.

Oby mi danem było uczynić coś dla was, owszem, cierpieć za wasze chrześcijaństwo, które pawstało z krwi męczeńskiej tylu ojców i synów.

Pragnienie Jego spełnionem zostało aż nadto dosłownie. Obok wielkich radości, jakich doznał wśród nas przebywając, cierpiał wiele, bardzo boleśnie i to od tych, do których przyszedł z sercem otwartem i gotowem do wszystkich poświęceń. Zanim jeszcze przybyły Wizytator Apostolski rozpoczął na szeroką skalę swe prace, bieg wypadków historycznych z zawrotną szybkością sprowadził przewroty polityczne epokowego znaczenia, a jednym ze skutków ich była wolna i niepodległa Rzeczpospolita Polska.

Stolica Święta, jakby czekając na ten moment dziejowy, w pierwszej zaraz chwili pośpieszyła aktem oficjalnym uznać ten wyrok Opatrzności, wznawiając po latach 130-tu przerwy Nuncjaturę Apostolską w Warszawie i mianując pierwszym Nuncjuszem w Polsce zmartwychwstałej Monsignora Achillesa Rattiego, nadając Mu jednocześnie godność arcybiskupa Lepantu.

Konsekracja biskupa—to uroczyste zaślubiny nowego dostojnika z kościołem.

Na ten, tak decydujący akt w Swem życiu, nowy Nuncjusz nie odjechał do Rzymu, ani rodzinnego Medjolanu, lecz całą duszą oddany nowej swej ojczyźnie, w Polsce i z rąk pol-

skich biskupów przyjął sakrę biskupią i nazywał odtąd sam siebie polskim biskupem, jak później nazwano go, nie bez pewnej dozy zazdrości „Polskim Papieżem" — „Il Papa Polacco", czemu on nie zaprzeczył nigdy.

Teraz już, niekrępowany władzami okupacyjnemi, a pozostając w najserdeczniejszych i na pełnem zaufaniu opartych stosunkach z prawowitą władzą Rzeczypospolitej, rozpoczął Nuncjusz Ratti wszechstronną akcję, zmierzającą do uporządkowania i ustalenia stosunków kościelnych w Polsce i do współpracy nad dobrem całej Rzeczypospolitej.

Rozpoczął od gruntownego poznania terenu swych prac, objeżdżając całą Polskę wszerz i wdłuż, odwiedzając stolice biskupie i ważniejsze ośrodki prowincjonalne, pielgrzymując do stóp Jasnogórskiej i Ostrobramskiej Pani i do grobów Patronów polskich. Studjował gruntownie język i literaturę polską, pragnąc się wczuć we wszystkie prądy i kierunki panujące i przeszłe. Mieszał się z tłumem wiernych, obchodząc kościoły warszawskie, ze wzruszeniem słuchając śpiewów wielkopostnych i biorąc udział lub celebrując nabożeństwa stołeczne, a nawet i na parafjach wiejskich wśród ludu, który mu imponował zawsze prostotą i szczerością swej wiary.

Dom Jego otwarty był zawsze dla każdego i stał się wkrótce ogniskiem myśli i gorliwości. Tysiące ludzi zachowuje do dziś dnia niezatarte wspomnienia choć kilku chwil, spędzonych na rozmowie z tym mężem bożym, tak pełnym głębokiej nauki i roztropności, a tak zarazem prostym, serdecznym i kochającym wszystkich. Nuncjatura promieniowała dokoła światłem mądrości i ciepłem miłości ojcowskiej.

Nuncjusz nie poprzestał na słowach życzliwości i miłości. Wyszedł na ulicę, do bezdomnych, opuszczonych i sierot, do chorych w szpitalach, ochronach i schroniskach przeróżnych, niosąc nietylko swój uśmiech i błogosławieństwo, ale i pełne ręce darów w naturze, których mu nie skąpiła Stolica święta, a i jego niezmordowana gorliwość wynajdywała jakby z pod ziemi. Trzeba go było widzieć, jak otoczony dziatwą ubogą, lub młodzieżą szkolną, wzruszał się do łez i cały stawał się ich ojcem i matką i wszystkiem.

Takie chwile przeżyte razem wiążą nazawsze.

Lecz nie tu był koniec tego braterstwa serc.

Przyszły dni grozy roku 1920, gdy wróg już się dobijał do bram stolicy i lada dzień mógł je skruszyć i wtargnąć na ulice miasta, gotując nowy potop krwi i zbrodni.

Przedstawiciele dyplomatyczni obcych państw opuścili Warszawę, szukając bezpieczniejszego schronienia. Nie uczynił tego jednak przedstawiciel Stolicy Apostolskiej. Nie pozwoliło mu na to jego bohaterskie serce, wbrew wszelkim głosom rozsądku. Jakżeby mógł opuścić tych, których prawdziwie umiłował, w chwili tak tragicznej? Powiedział przecież na wstępie, że gotów jest poświęcić im wszystko. I poświęcił—pozostał nieustraszony na stanowisku. Wyszedł do ludu, by go krzepić wiarą w niezwyciężoną moc Boga, chcąc dzielić wspólny los wszystkich, jako ich brat i współobywatel.

Tej ofiary Polska nie zapomni nigdy Piusowi, a i On nie zatrze w swej duszy nigdy wspomnień z owych dni tragicznych. Przetrwał na stanowisku, jakby prawdziwy syn tej ziemi, jako bohater obowiązku miłości.

I znowu potoczyły się dni pełne cichej pracy, z których każdy dodawał nową cegiełkę do mozolnej budowy życia kościelnego w Polsce.

Owocem tych prac była rekonstrukcja i uzupełnienie hierarchji kościelnej w Polsce, wznowienie dawniej przez rząd zaborczy skasowanych diecezyj: podlaskiej, kamienieckiej, mińskiej i ryskiej, erygowanie nowej diecezji łódzkiej i łomżyńskiej, przygotowanie do erekcji diecezyj górnośląskiej i gdańskiej, a w życiu państwowem, opracowanie i przygotowanie materjałów do konkordatu Rzeczypospolitej ze Stolicą Swiętą, zawartego później, gdy bezpośredni twórca stał się jego sygnatarjuszem, jako Papież Pius XI-ty.

Oprócz spraw polskich, na mocy mandatu Ojca ś-go, objechał Nuncjusz Ratti Litwę, Łotwę, Estonję i Finlandję, poznając wszędzie stosunki panujące i oficjalnie przygotowując grunt do najbliższych umów Stolicy ś-ej z nowemi republikami.

Serdeczną troską, pełną bolesnych przewidywań, zaciąży nad heroicznym Nuncjuszem mandat Delegata Apostolskiego nad terenami plebiscytowemi na Górnym Śląsku. Trudność sytuacji politycznej powiększał fakt, że Arcybiskup Wro-

cławski, w którego diecezji leżały kwestjonowane obszary, był Kardynałem, a jako Niemiec nie zdobył się na oddanie jurysdykcji delegatowi Apostolskiemu i bez porozumienia z nim, a w czasie jego bytności na Śląsku, wydał słynne rozporządzenie, zabraniające duchowieństwu wszelkiej akcji polityczno-narodowościowej, co godziło przedewszystkiem w kler polski, który był dla ludności polskiej wyrocznią we wszystkich sprawach. Czynniki wrogie Kościołowi wykorzystały ten moment, by opinję publiczną poruszyć przeciw Nuncjuszowi, prowokując smutnej pamięci interpelację sejmową i szereg nieuczciwych artykułów w prasie.

Polska katolicka nie zareagowała w należyty sposób i nie zdobyła się na należną ekspjację bardzo boleśnie w swych uczuciach dla narodu polskiego dotkniętego Nuncjusza.

Przebolał to w ciszy i chciał zapomnieć o wszystkiem, pozostając niezmiennym w swem sercu. To było większe jeszcze bohaterstwo niż w tamte pamiętne nazawsze dni.

Wypadki znowu poszły dalej w zawrotnem tempie.

Osierocona po śmierci świątobliwego Kardynała Ferrari stolica arcybiskupia w Medjolanie domagała się dla siebie na Pasterza Nuncjusza z Polski.

Papież nie mógł odmówić tego medjolańczykom.

Nuncjusz Ratti, żegnany niekłamanym żalem, opuścił, jako kardynał-nominat Polskę, w której tyle wielkich dni swego życia przeżył.

Nie zdążył jeszcze rozpocząć szerszej akcji na nowym swym posterunku, gdy wolą bożą powołany został na najwyższą godność Namiestnika Chrystusowego na ziemi, następcy ś-go Piotra na Watykańskim tronie, na którym zasiadł jako Papież Pius XI-ty.

I na tych wyżynach nie zapomniał i nie zapomina nigdy o Polsce, darząc ją i Polaków Swą szczególną życzliwością, czego już powielekroć dał nieomylne dowody.

Dziś, gdy cały świat katolicki chyli się do stóp Piusowych, by mu, z okazji pięćdziesięciolecia jego kapłaństwa, okazać swą cześć, podziw i przywiązanie,—Polska pośpieszyć winna pierwsza, by jak jeden mąż stanąć u boku tego, który był jej aniołem Pokoju i przyjął na siebie w krwawym chrzcie i ofierze obowiązku i poświęcenia jej prawdziwe obywatelstwo

i złożyć Mu nietylko serca wdzięczne, ale i czyn na Jego wskazaniach oparty.

Niech w każdym domu polskim wśród rodzinnych portretów i obrazów świętych zawiśnie wizerunek tego najbardziej wypróbowanego Przyjaciela i Ojca narodu, niech każde dziecko wymawia ze czcią i zrozumieniem imię Piusowe, a w sercach wszystkich, bez różnicy przekonań i poglądów, niech zapanuje jedno uczucie uwielbienia i wdzięczności, potwierdzone pamiętnym na całą przyszłość czynem. *Ks. A. Bogdański.*

APEL.

Hej, idźmy w górę, wzwyż,
wspinajmy się coraz wyżej,
ponad szarzyznę codzienną,
pełną błądzenia, upadków!..
Hej, pnijmy się pnijmy
coraz wyżej, coraz dalej,
bo już czas wielki!..
O, czas już porzucić materji niziny,
kędy błądzimy bez celu,
a conajrychlej trza zacząć się wznosić
ku górze kędyś —
na ducha wyżyny,
gdzie orły nigdy się podnieść nie mogą!...
O, czas już, czas już, czas
rozpocząc tę trudną wędrówkę!..
Czas wspinać się wzwyż
po stromej ścianie,
iżby się wedrzeć na wyże duchowe!...
Hej, idźmy społem na górne szczyty,
porzućmy ten niż doczesności,
kędy błąkamy się dotąd!...
Hej, wspinajmy się bez trwogi,
z wytrwałością, bez obawy,
gdyż tam nas czekają gody,
nie te podłe, marne, ziemskie,
ale z Bogiem obcowanie,
słodsze, niźli słodycze ziemskiego okręgu!...
O, nie wahajmy się ni chwili,
nie lękajmy się niczego:
nasze będzie zwycięstwo,
bo z nami tylko jest stale
dawca łask wszelkich, Chrystus Pan!... **J. M. Ch.**

RELIGJA I MORALNOŚC.

Boski Bohater.

Wielki Piątek — dnia 29 marca.

Dobiegały już swego kresu drogi boskiego Wędrowca i Pracownika na ziemi, Chrystus i jako Bóg wszechwiedzący i jako głęboki psycholog i działacz wiedział z pewnością matematyczną, że nieuniknioną już jest tragedja jego apostolstwa. Przygotowanym był zresztą na nią zupełnie, co więcej, oczekiwał jej z gorącem upragnieniem duszy i umiłowaniem serca.

Lat już trzydzieści trzy stąpał po ziemi żydowskiej. Przeszedł ją wszerz i wzdłuż, głosząc dobrą nowinę, czyniąc na każdy dzień dobrze, ciesząc i radując wszystkich. A przed wiekami jeszcze, jakby stęskniony już wtedy do bezpośredniego obcowania z tymi, którzy byli jego widomym obrazem na ziemi, postanowił to wszystko, przeżył w sobie i zachwycony wizją swej przyszłej epopei miłości, oczekiwał, mówiąc po ludzku, z radosną niecierpliwością momentu, gdy z bezbrzeżnego oceanu wieczności zstąpi na gościniec czasu i znajdzie się wśród tych, którzy byli jego najwyższem po Ojcu Niebieskim umiłowaniem.

Nie chodziło już tylko o ścisłe zadosyćuczynienie sprawiedliwości bożej za nierozum i nadużycie wolnej woli człowieka, bo to mógł spełnić jednym swoim uśmiechem, jako Nieskończony Bóg-człowiek, zresztą cała jego ziemska pielgrzymka była tylko wylaniem wezbranego miłością serca i jakoby jedną realną ekstazą bożego idealisty. Znał doskonale osłabioną przez grzech naturę człowieka, wiedział, ile w niej jest chorobliwej skłonności do zła, ile zaślepienia, a nawet przewrotności. Wiedział, na co się w swym entuzjazmie dla ludzkiej niedoli naraża. Ale On kochał tego człowieka takim, jakim niegdyś wyszedł z jego rąk twórczych i jakim miał powrócić później do jego Królestwa Niebieskiego, gdzie nań oczekiwało dostojne miejsce obok bożego tronu. Niedola i tragizm duszy człowieka poruszała go do głębi i pchała coraz

więcej na tę drogę „szaleństwa miłości". Nie chciał być tylko płatnikiem sprawiedliwości bożej, chciał jeszcze być Nauczycielem, Ojcem, Przyjacielem, Bratem i Organizatorem ukochanego ludu ziemskiego. Dlatego nie wstąpił odrazu do nieba z powrotem po jednym momencie pobytu swego na ziemi, dlatego wybrał żłóbek, a nie królewską kolebkę i dlatego pozostał całe lat trzydzieści trzy, ucząc, radując i organizując rzesze.

Mimo ubóstwa, mozołu, przepracowania, mimo niepojętności swych słuchaczy i natręctwa potrzebujących i cierpiących, mimo niesforności tłumów i nienawiści fałszywych mistrzów — dobrze mu było z nimi.

Zdawało się, że nie zmęczy się, ani wyczerpie nigdy. Nazewnątrz rzadko okazywał pełnię uczuć ludzkich, które w nim biły tętnem nigdy niemilknącem, kilkakrotnie pod wpływem wielkiego wzruszenia nie mógł powstrzymać łez, to znowu wybuchu świętego gniewu. Zawsze jednak opanowany zupełnie, pełen prostoty majestatycznej i przejasnego namaszczenia, szedł, płynął raczej z niezmąconym spokojem, czujny i wrażliwy na wszystko, ale bez żadnego niepowstrzymanego gestu, wybuchu, czy odruchu nieprzewidzianego. Lecz wewnątrz pełen był radości niepojętej wprost dla ludzi. Gdyby nie heroiczna siła woli, biegłby i krzyczał i całował wszystkich i cieszył się z nimi, jak dziecko, albo jak szalony. Ostatecznym owocem miłości w duszy każdej jest pokój i radość, a On żył miłością. Bez tej więc radości nie można pojąć duszy Chrystusa. Ile trzeba było mocy, by powstrzymać tę falę do najwyższego stopnia rozentuzjazmowanej duszy i by zbyt szerokiem otwarciem jej nie dać powodu do nadużycia tych niepojętych wprost dla ludzi przyziemnych szczytów duchowych. Tylko zdradzały go czasem oczy, nie umiejące milczeć i odbijające bezpośrednio wszystko co w nim pulsowało.

Te oczy Chrystusowe! Kto wejrzał w nie choć jeden raz—już od nich nigdy oderwać się nie mógł.

„A Jezus spojrzał nań..." Nie było wyższej mocy nad potęgę Jego spojrzenia... nie było skarbów, którychby nie rzucono dla nich... nie było opoki serca, któraby nie stajała, nie została skruszoną na proch... I szły za nim rzesze, jakby zmagnetyzowane i bogaci odchodzili od majętności swoich,

prostaczkowie porzucali swoje sieci, jawnogrzesznice stawały się pochodniami gorejącemi najczystszą miłością dobra.

Jemu jednak to wszystko nie wystarczało jeszcze. Ani szalony wir pracy, wysiłek wszystkich władz, ani umęczenie już prawie śmiertelne, ani nawet te wszystkie fale radości, które odeń szły na wszystkie strony i rozkołysanie morza dusz w promieniu ginącym na horyzoncie ziemi i czasu... to wszystko nie nasyciło jeszcze głodu Jego miłującej duszy. „Będziesz miłował... ze wszystkiego...!" — rzucił ten rozkaz wszystkim, którzy szli i mieli iść za nim. A to, co dotychczas zrobił i ofiarował jeszcze nie było wszystkiem... Jeszcze żył, jeszcze pulsowała w nim gorąca krew, jeszcze oddychał całą piersią, swobodny i nieograniczony w swych prawach, jako obywatel ojczystej ziemi. To miał jeszcze do oddania... Dopiero wtedy czułby się nasyconym i mógłby powiedzieć, że prawdziwie miłuje „ex toto", „ze wszystkiego". To też poprzez wszystkie radości każdego ofiarnego dnia przewijała się ustawiczna tęsknota za tym momentem najwyższej, ostatecznej ofiary, która stała mu się tak konieczną, jak kropla dżdżu dla wędrowca po upalnej pustyni, jak powietrze dla zamkniętego w dusznej norze więźnia, jak promień światła dla pracującego w czarnych czeluściach ziemi górnika... Miłość ma swoje prawa nieubłagane, a nie spocznie, dopóki nie dojdzie do szczytu napięcia i ofiary.

Czekał na ten dzień, jak na gody weselne, wpatrywał się weń, jak w jutrzenkę zbawienia, głoszącą najwyższe szczęście i najsilniejszy spazm radości i ekstazę miłości... I oto dobiegał już do upragnionej całą mocą swej duszy chwili, tej ofiary „ex toto".—Już był pożegnał swych towarzyszów i przyszłych współpracowników na Ostatniej Wieczerzy, już powierzył się im na zawsze, dając im moc sprawowania ofiary, która za chwilę miała się rozpocząć, już rzucił im ostatni testamentowy uniwersał: „potem poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie" — a teraz, skończywszy te wszystkie czynności Wodza, Nauczyciela i Prawodawcy, szedł, by dokonać ostatniego aktu, jako Najwyższy Kapłan-Ofiarnik i by zadosyćuczynić niepohamowanej potrzebie serca, miłującego ponad wszystko.

Ofiara się rozpoczęła. — Pierwszy jej etap omal, że nie

zniweczył wszystkich upojnych marzeń Jego duszy. By ofiara z ciała była pełną, dopuścił na siebie moment zwątpienia i zachwiania, pozwolił, by odstąpił od Niego cały zapał poprzedni, entuzjazm i żar miłości. Pod grozą tragedji stanęła Jego dusza sama, ogołocona ze wszystkich naturalnych uczuć miłości, gdzie rozum tylko i wola decydują twardo i nieubłaganie. — „Na co się zda krew przelana i ofiara ze wszystkiego, kiedy i tak będzie On zawsze znakiem, któremu sprzeciwiać się będą... In vanum... napróżno!"

Dopuścił jeszcze wszystkie uczucia broniącej się przeciw sercu natury, dążącej, ze swego prawa do życia, do spokoju i do wszelkiej sytości... Wzdrygnął się przed obrazem nieludzkiej zagłady tej natury, przed gwałtem brutalnym, który jej miał być zadany... A głos zwątpienia szeptał.. Dlaczego? wszak to napróżno?!

Poprzednie porywy i zachwyty dziś zniknęły bezpowrotnie. Dreszcz zimny, chłód rozumu i wstręt natury przejęły Go nawskroś i siłą ciągnęły wstecz od miejsca skazania, które w swej wszechmocy mógł skruszyć przez jedno oka mgnienie.

Była to chwila najgroźniejsza... próba ogniowa całego programu życia... Czy wyjdzie zeń zwycięsko? Kto go w tem wesprze...? „Ojcze, jeśli można, niechaj odejdzie odemnie ten kielich...!" — wyrwało się z głębi zmęczonej natury. Zmaganie rosło z każdą chwilą, niemoc własna rzuciła Go w proch ziemski, pot krwawy wystąpił na czoło i zmieszał się z ogrodowym pyłem... szarym, bezbarwnym i nieczułym... Obejrzał się dokoła... potrzebował tylko jednego słowa umocnienia od jakiej duszy przyjaznej. Matka była daleko, myśl o niej tylko wzmagała walkę: „Dlaczego chcesz ją osierocić tak boleśnie? Z pobliża dochodził tylko szmer śpiących uczniów.

Ach!... zerwał się z ziemi, na której leżał w konaniu walki — oni śpią i spać będą zawsze, mimo moich wskazań i nauk. — Ich obudzić mogą tylko krople krwi mojej ciepłej, spływającej w ich śnie na ich dusze, na oblicze, na ręce. To oni, których ukochał, z którymi tak trudno, ale tak dobrze było zawsze. Choćby cały świat później miał szydzić z Jego ofiary, ale tych trzeba obudzić, choćby ich garstka tylko później pozostała, choćby jeden jedyny. Dla nich... dla nieba!

Ożyła w tej myśli cała zmęczona dusza, jakiś prąd zelektryzował wszystkie opadłe już i wyczerpane mięśnie, przygasły wzrok, pustkę dawnego uczucia. Rozum w innem już świetle przedstawił racje ofiary, wola zapłonęła znowu jak żagiew nieodmiennem, ganitowem postanowieniem, uczucie wróciło znowu pełną falą i wypełniło spieczoną duszę i wyschłe serce. Chrystus stanął, jak dawniej, w całym majestacie swej miłości, jak król pustyni z rozwianą na jałowem tle bezwodnej, szkieletowej powierzchni, grzywą, gotowy... na wszystko... „ex toto".

A wtem u bramy ogrodu zajaśniały pochodnie, uczynił się zgiełk, tłum wtargnął w zacisze getsemańskie, a na czele kroczył zdrajca, który podszedłszy do Chrystusa, złożył pocałunek sprzedajny...

Wszystko już poszło szlakiem przewidzianym oddawna.

Pierwsze uderzenia brutalne spadły na jego głowę i twarz, a On je przyjął w milczeniu ust i radości serca, albowiem były one początkiem ofiary „ze wszystkiego". Miał jeszcze, mimo krwawej walki wewnętrznej, jaką przed chwilą zwycięsko stoczył, wiele sił fizycznych, miał jeszcze swój honor nieposzlakowany i aureolę chwały poprzednich dni, miał jeszcze na sobie szaty własne i wszystką jeszcze krew, oprócz tej, która kroplami zbiegła Mu wraz z potem w ogrodzie... Coraz więcej tych kropel padało od sznurów, któremi Go skrępowano, od zranień po kamieniach, na które Go w drodze do miasta spychano i rzucano. Ale cóż to znaczyło wobec wielkiego pragnienia Jego serca, by oddać wszystko?! Nastąpił potem sąd bluźnierczy i krzywoprzysięski, potem znęcanie się w więzieniu, zaparcie i nawrócenie Piotra, drugi sąd poranny, pośmiewisko Herodowe, targi o głowę Barabaszową i szantażowanie Piłata. Zdarto z Niego cześć, pluto w twarz, naigrawano się i znieważano w oczach wszystkich. Ale i to dla Niego było jeszcze niczem, jedynie tylko słabym wstępem do nasycenia pragnienia ofiary.

Zapadł wyrok... Teraz dopiero dusza Chrystusowa usłyszała potwierdzenie swych najserdeczniejszych marzeń i drgnęła z radości, jak ktoś, komu oznajmiono zbliżenie się chwili ukochanej.

Był naturalnym zupełnie w swoich głębokich przeżyciach. Miłość taka, jaką On miał, potężna, żywiołowa, najczystsza, bez cienia egoizmu, oddana bez skazy tym, których ukochała, mogła tylko, w swej psychicznej ewolucji doprowadzić do tego jakby zmagnetyzowania duszy ideą całkowitej ofiary.

Było to koniecznością wprost naturalną, spotęgowaną nadprzyrodzonym swym charakterem, poczuciem nieskończoności i boskością swego początku.

Gdy pierwsze razy ostrych biczów spadły na Jego odkryte plecy, krew trysnęła strumieniami, ciało wstrząsnęło się i skurczyło dreszczem bólu i śmierci. A On milczał, skupiony w swej duszy, jakby liczący tę krew, wyciekającą z żył, którą oddawał, wszystką, bez zastrzeżeń, na ofiarę im... których ukochał.

Miłość była silniejszą od wszelkich praw fizycznych, przemogła ból, kalectwo, śmiertelne rany i tryumfowała w swej radości niepojętej dla człowieka o ludzkiem tylko sercu.

Zdawało się, że każde ukłócie ciernia, każda wyrwana rana, strzępy ciała szarpane i bryzgi krwi, zamiast zabijać— wskrzeszały, zamiast udręczać — rozkoszowały, nie tą sadystyczną rozkoszą cierpienia dla cierpienia, ale rozkoszą cierpienia dla miłości, której już dusza objąć nie była w stanie.

Ciało omdlało i nawpół martwe usuwało się, zwisłe u słupa katowskiego, ale duch rósł, wzmagał się, przejaśniał i słoneczniał coraz potężniej.

A gdy Go wywiedziono na plac, okrytego szkarłatem brudnym, z królewską koroną cierniową na skroniach, sperlonych świeżą czerwienią krwi i kazano wziąć na zranione barki wielki, ciężki krzyż, przygotowany dla Niego—ukląkł, objął twarde drzewo obiema rękami, jak umiłowaną ludzkość, ucałował martwą, lśniącą biel swego ostatniego łoża na ziemi i hymn dziękczynienia, radości i tryumfu w duszy swej śpiewając, wziął słodki ciężar na ramiona i — poszedł na ostatnie gody.

Szedł, nie słysząc wrzasku tłumów, ani bluźnierstw, rzucanych Mu w twarz przez tych, którzy przedewszystkiem powołani byli do czci prawdziwego Boga i do wypełniania prawa miłości... jedna idea tryumfowała w jego duszy: oto zbliża się spełnienie jego najżywszych pragnień ofiary „ex toto". Byle

sił starczyło, byle nie uległ ograniczonym prawom natury i nie wyzionął ducha przed przybyciem na szczyt pierwszego ołtarza Nowego Zakonu na ziemi...

A drzewo krrzyża ciążyło bez litości, poszarpane ramiona uginały się bezwładnie, przejęte ostrym bólem od okropnego nacisku. —Pociemniało Mu w oczach — padł, oblany potem omdlenia. Ale natychmiast powstał, nietyle pod groźbą świszczących biczów, ile na tę myśl rozpaczną, że On musi wytrwać, musi dojść tam... do kresu. Zamajaczyły tuż przed Nim jakieś sylwetki. Spojrzał poprzez krew spływającą... Matka..! Ach, to było najboleśniejsze..! Ona cierpi... On nie chciał, żeby cierpiała, Onby jej drogę życia usłał różami i uśmiechem. Ale Ona Go rozumie tak dobrze i sama jest najbliższą jego ducha...

Zamienili jedno tylko spojrzenie, pełne najwyższej rozpaczy matki i niewymownego porozumienia we wspólnem bohaterstwie.

Poszedł dalej. Jeszcze raz upadł i trzeci, — ale duch przezwyciężył słabość śmiertelnie już umęczonego ciała. Musiał wytrwać, musiał dojść tam — i doszedł.

Zdjęto mu szaty, przywarłe do ran na całem ciele. Oddał je — a było to wszystko, co posiadał na własność. Tę szatę utkała Mu własna Matka. Już nie miał nic do oddania z rzeczy ziemskich.

Nagi.. wyciągnął ramiona na drzewie krzyża, podając oprawcom ręce i nogi. Była to jedyna chwila wytchnienia. Gwoździe zagłębiły się w dłonie i stopy, krew trysnęła znowu. On wiedział tylko to, że to już ostateczny tryumf Jego miłości.

Aż zawisł pomiędzy niebem i ziemią na czterech otwartych ranach w żywem jeszcze ciele...

Teraz dopiero spoczął... Już Mu nikt nie przeszkodzi, nikt nie dosięgnie z dołu — już wzniósł się ponad ziemię — ku niebu.

Radość, rozpierająca serce, nie pozwoliła mu zemdleć, mimo okropnego bólu... Zachował przytomność umysłu aż do ostatniej chwili. Schodził z tego świata, jak bohater z całą świadomością swego czynu.

Jeszcze Mu pozostało coś, bardzo drogiego, najdroższego na ziemi. Matka, która wiernie stała u Jego stóp, nie opusz-

czając Go ani na chwilę, wpatrzona bez ruchu wzrokiem magnetycznym, w Jego twarz, na której się odbijał na przemian to ból fizyczny, to nieopisana radość ducha... a już refleksy zbliżającej się śmierci poczęły grać coraz wyraźniej.

Matka... i tę odda im, ludziom. — Synu... oto Matka twoja bądź dla niej synem i opiekunem .. To już było wszystko. Na chwilę przemógł jeszcze ból fizyczny i wywołał falę cierpienia ducha. Wyrwał się wtedy jedyny jęk ze spieczonych warg: „Boże mój, Boże mój! czemuś mnie opuścił?!"—Ale to na chwilę tylko. Przyszła natychmiast świadomość spełnienia ofiary zupełnej, a że już była skończoną, że już nie miał nic, absolutnie nic i ostatnia kropla krwi ściekła powoli, jakby z namaszczeniem, z majestatem boskim, po Jego ciele.. zawołał z tryumfem na cały świat, na wszystkie wieki poprzednie i następne, wobec rzeszy świadków, którzy przekazali to na zawsze, z radością, która Go zabiła ostatecznie, bo była stwierdzeniem wszystkiego co pragnął: — „Wykonało się!..." Ojcze mój!... oto idę... com miał wypełnić, wypełniłem... w ręce twoje oddaję ducha mojego!...

A skłoniwszy głowę — wyzionął ducha... Boski Bohater: Błogosławiony, kto to rozumie i może czynić, jak On!

T. P.

Wstęp do Mszy Świętej.

Modlitwy u stóp ołtarza.

III.

1. Judica me. Po przyklęknięciu, lub pochyleniu się, o ile niema Przenajśw. Sakramentu na ołtarzu, kapłan czyni znak krzyża św., mówiąc: In nomine Patris etc. odmawia psalm: Judica me, Confiteor i kilka krótkich wezwań, a nakoniec dwie modlitwy: „Anfer a nobis" i „Oremus te", wstępując na stopnie ołtarza.

Aż do w. IX. Kościół nie określał wcale wstępnych modlitw do Mszy św. Pozostawione one były pobożności osobistej.

Często odmawiał je kapłan przywdziewając ubiory liturgiczne t. j. w zakrystji, lub też idąc do ołtarza. W innych kościołach odmawiane były w kaplicy na to wyznaczonej, lub na chórze.

Modlitwy te są więc względnie nie tak dawno w użyciu. Jednak w istocie swej były zawsze te same. Uczucie skruchy łączyło się z uczuciem ufności do Boga. Modlitwy te skupiają się około „Confiteor".

„In Nomine"…. Znak Krzyża św. musi mieć miejsce, samo przez się wyznaczone, na początku ofiary, która jest odnowieniem ofiary krzyżowej. Od najdawniejszych czasów robiono znak krzyża św. na początku ważniejszych czynności. Znak ten będzie powtarzany wiele razy podczas ofiary mszy św. ze słowami, lub bez słów, nad kapłanem, nad ministrantem, nad wiernymi, nad darami ofiarnemi przed i po konsekracji.

Modlitwy następujące po znaku krzyża św. mają jako cel przeproszenie Pana Boga za grzechy—to też kapłan staje u stóp ołtarza a wierni klęczą.

Wyznają się wszyscy grzesznikami, wszyscy niegodnymi, aby wykonać czynność tak świętą, lub nawet być jej obecnymi.

Introibo... Za czasów św. Ambrożego, antyfona ta wraz z psalmem, który po niej następuje, odmawiana była przez neofitów.

Kapłan przybliża się do ołtarza Boga, gdzie odprawiać będzie ofiarę, która go przemieni. Podobne uczucie powinien mieć każdy z obecnych.

Introibo ad altare Dei. Ad Deum qui laetificat iuventutem meam.]	Przystąpię do ołtarza Bożego, Do Boga, który uwesela młodość [moją.]

Ale kapłan jest tylko człowiekiem, grzesznikiem. Czuje swą niegodność i upakarza się, odmawiając psalm „Judica me" naprzemian z ministrantem, który zastępuje wszystkich obecnych.

Judica me, Deus, et discerne causam meam, de gente non sancta, ab homine iniquo et doloso erue me.	Bądź mi Sędzią, o Boże i rozpoznaj sprawę moją przeciw narodowi nieświętemu—od człowieka złego i chytrego wybaw mię.
Quia tu es, Deus, fortitudo mea: quare me repulisti? et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus?	Bo Ty jesteś, o Boże moc moja, czemużeś mię odrzucił? Czemu chodzę smutny, nękany od nieprzyjaciela?
Emitte lucem tuam, et veritatem tuam: ipsa me deduxerunt et adduxerunt in montem sanctum tuum et in tabernacula tua.	Wyślij światłość Twoją i prawdę Twoją: one mię powiodą i zawiodą na świętą górę Twoją i do przybytków Twoich.
Et introibo ad altare Dei: ad Deum qui laetificat juventutem meam.	I przystąpię do ołtarza Bożego: do Boga, Który uwesela młodość moją.
Confitebor tibi in cithara, Deus,	Będę Cię wychwalał na cytrze, Bo-

Deus meus: quare tristis es, anima mea et quare conturbas me?

Spera in Deo, quoniam adhuc Confitebor illi: salutare vultus mei et Deus meus.

Gloria Patri...

że, Boże mój: czemużeś smutna, duszo moja, i czemu mnie trapisz?

Miej nadzieję w Bogu, bo Go jeszcze wysławiać będę: On zbawienie moje i Bóg mój.

Chwała Ojcu...

Potem kapłan powtarza antyfonę.

Od XI w. począwszy, psalm ten (42) odmawiany jest w tem miejscu mszy św. w Kościele łacińskim.

Paweł III (1550) nakazuje kapłanom, aby odmawiali psalm ten głośno, albo pocichu zanim przystąpią do ołtarza. Trzeba zauważyć, że teraz jeszcze nie mówisię tego psalmu w wigilję Zesłania Ducha św. podczas mszy uroczystej, gdyż kapłan nie przychodzi wtedy z zakrystji.

Od czasu Piusa V-go jest on obowiązującym dla całego Kościoła łacińskiego.

Nie odmawia się go jednak we mszy żałobnej ani we mszach o Męce Pańskiej. Z pomiędzy wszystkich przyczyn podawanych na wytłomaczenie tego faktu, przyczvna historyczna wydaje się najpoważniejszą:

Msza żałobna i msza o Męce pańskiej są temi, które zachowały więcej niż inne pierwotną prostotę obrządku. „Judica me" powstałe w czasach późniejszych, nie zostało dołączone do tych nabożeństw tak pełnych jeszcze surowego uroku pierwotnej liturgji.

Co do dodatku dokologji „Gloria Patri etc", która towarzyszy psalmowi, pochodzi on z w. V-go.

Adjutorium nostrum:

Kapłan żegna się i mówi:

Adjutorium nostrum in nomine Domini. Qui fecit coelum et terram.

Wspomożenie wasze w Imieniu Pańskim Który stworzył niebo i ziemię.

„Adjutorium" powtarza się bardzo często w liturgji. Kościół rozpoczyna tą formułą większość swoich błogosławieństw. Chce przez to wyrazić i potwierdzić, jak bardzo potrzebujemy pomocy Bożej, aby wykonać to co ma nastąpić. Ponieważ błagamy o łaskę, a każda łaska dana nam jest przez krzyż Jezusa Chrystusa, kapłan czyni znak krzyża św.

Confiteor:

„Confiteor", czyli spowiedź powszechna odnajduje się we wszystkich starożytnych liturgjach. Formuła jednak bardzo się zmieniła. Dawniej pozostawiona była natchnieniu celebrującego.

W niektórych dawnych mszałach znajdujemy jako formułę werset „Confitemini Domino quoniam bonus, quoniam in saeculum misericordia ejus" z psalmu 117. Formuła ta pozostaje jeszcze w użyciu u Dominikanów, którzy tak jak Kartuzi i Karmelici, odmawiają Confiteor bardzo krótki, zbliżający się do formuły, używanej niegdyś w dawnem opactwie Cluny: „Confiteor Deo et omnibus sanctis ejus et vobis Pater quia pecavi in cogitatione, locutione et operatione, mea culpa: precor vos, orate pro me".

Stopniowo, powoli wprowadzać zaczęto imiona świętych do Confiteor. Formuły były tak różne, że w starym pontyfikale paryskim powiedziano jest, że Biskup odmawiać ma Confiteor wedle swego zwyczaju „secundum consuetudinem suam".

Formuła będąca dziś w użyciu pochodzi z w. XII-go nakazana zaś została w w. XVI-tym przez Piusa V-go.

Zrozumieć można łatwo postawę pokorną w czasie tej modlitwy.

Pierwsza część zawiera wyznanie win—druga błaganie.

Confiteor Deo omnipotenti, beatae Mariae semper Virgini, beato Michaeli Archangelo, beato Joanni Baptistae, sanctis Apostolis Petro et Paulo, omnibus Sanctis et vobis, fratres: quia pecavi nimis cogitatione, verbo et opere: mea culpa, me culpa, mea maxima culpa. Ideo precor beatam Mariam, semper Virginem, beatum Michaelem Archangelum, beatum Joannem Baptistam, sanctos Apostolos Petrum et Paulum, omnes Sanctos et Vos fratres, orare pro me ad Dominum Deum nostrum.

Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu, błogosławionej Marji, zawsze Dziewicy, błogosławionemu Michałowi Archaniołowi, błogosławionemu Janowi Chrzcicielowi, św. Apostołom Piotrowi i Pawłowi, wszystkim Św. i wam bracia, żem zgrzeszył bardzo myślą, mową i uczynkiem: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Błagam przeto błogosławioną Marję, zawsze Dziewicę, błogosławionego Michała Archanioła, błogosławionego Jana Chrzciciela, św. Apostołów Piotra i Pawła, wszystkich Świętych i was, bracia, abyście się modlili za mną do Pana Boga naszego.

Wierni po zaniesieniu do Boga prośby o przebaczenie, o które błagał kapłan temi słowami:

Misereatur tui omnipotens Deus et dimissis peccatis tuis perducat te ad vitam aeternam.

Niech się zmiłuje nad tobą Bóg wszechmogący, a odpuściwszy grzechy twoje, niechaj cię doprowadzi do żywota wiecznego.

z kolei odmawiają „Confiteor", zastępując wyrazy odnoszące się do braci słowami: „tibi, Pater" i „te Pater".

Kapłan powtórzy tę samą prośbę o przebaczenie dla braci potem doda:

Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum nostrorum, tribuat nobis omnipotens et misericors Dominus. Amen.

Przebaczenia, rozgrzeszenia i odpuszczenia grzechów naszych niech nam udzieli Pan wszechmocny i miłościwy. Amen.

Jastto jakby rozgrzeszenie ogólne, które daje kapłan wszystkim wiernym obecnym. Dlatego czyni przytem znak krzyża św.

Czy może być coś piękniejszego, jak ta spowiedź publiczna, ten wyścig pokory, a potem ta modlitwa za braci grzeszników!

Deus tu conversus...

Naprzemian kapłan i ministrant modlą się dalej:

Deus tu conversus vivificabis nos. Et plebs tua laetabitur in te. Ostende nobis, Domine, misericordiam tuam.

Et salutare tuum da nobis. Domine exaudi orationem meam Et clamor meus ad te veniat

Boże, zwróciwszy się ku nam, ożywisz nas. A lud Twój rozraduje się w Tobie Okaż nam, Panie, miłosierdzie Twoje.

A daj nam zbawienie Twoje. Panie, wysłuchaj modlitwę moją. A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie.

Celem tych słów z ps. X-go jest wzbudzenie w nas skruchy. Nie jest że pierwszą rzeczą, którą serce nasze powinno ofiarować Bogu, ten żal, żeśmy Go obrazili? Na znak żalu Kapłan i ministrant stoją pochyleni — wespół zamieniają wyrazy skruchy.

Po „Indulgentiam" zachowywano dawniej przepis, który się spotyka obecnie tylko we mszy biskupiej. W chwili tej podaje subdjakon Biskupowi manipularz. Aż do XIII-go w. i kapłani dopiero w tej chwili go nakładali.

Oto przyczyna: Ornaty znowu były (jak zaznaczyliśmy) znacznie obszerniejsze, niż dzisiaj. Okrywały całego kapłana. Kapłan wstępował do ołtarza bez podnoszenia rąk (w obrządku greckim zwyczaj ten jest dotąd zachowany). Po odmówieniu spowiedzi powszechnej kapłan podnosił trochę ornat i nakładał manipularz.

„Dominus vobiscum" mówi Kapłan, a wierni odpowiadają „et cum spiritu tuo". To pozdrowienie, które spotykamy w piśmie św. (Ruth II 4), ma miejsce tu wyznaczone. Dzieło najwznioślejsze ma się rozpocząć. Tak, Bóg niech będzie z wami— niech będzie z duchem twoim.

Powiedziawszy „oremus" jakby zapraszając do modlitwy natężonej kapłan, z rękoma złożonemi, wstępuje do ołtarza.

(d. c. n.) *D. Karol van Oost O. S. B.*

MATCE.

W duszy Twojej oparcie moja zawsze miewa,
serce bije goręcej, gdy się Twego dotknie.
Miłość Twoja umacnia i czarem owiewa
a w każdej chwili życia darzy mię stokrotnie...

Od jak dawna żyjemy w tak bliskim zespole?
Ileż uczuć wstrząsnęło razem nasze serca?
...Przed nocą dziecku krzyżyk znaczyłaś na czole
i krzyżyk do ślubnego zawiódł mię kobierca.

Potem drobiazg dziecięcy wspólnej prosił pracy
Każde dziecko witałaś radośnie gotowa
do największych utrudzeń, jedno mając w płacy;
do siebie szczebiotane pierwsze dzieci słowa...

Wspólne wojny przeżycia, w końcu rok ofiarny:
Żegnanie najstarszego synka do odlotu.
Ojciec w wojsku, a syn nasz, jak rycerzyk karny,
W szeregi inne wezwan, do niebios namiotu...

Równie ciężki dla Ciebie był moment i drugi,
gdy zasłabł młodszy synek.. Słyszałaś przez ściany,
a nie mogłaś dziecinie dać swojej usługi..
I wiedziałuś, że odszedł wnuk niepożegnany...

O Matko, moja Matko! W każdziutkiej godzinie
mego życia jest kropla Twojej krwi serdecznej.
Prośmy Boga, gdy życie to ziemskie przeminie,
by zezwolił osiągnąc wspólny żywot wieczny!

Z. Cz.

BOHATEROWIE WIARY.

Święty Hieronim.

Euzebjusz Hieronim urodził się w Stridonjum, obecnem Sdrigna w Styrji, na pograniczu Dalmacji i Panonji około r. 331. Zamożni i bogobojni rodzice wysłali go wczas na naukę do

najlepiej prowadzonych szkół Rzymu. Słuchał wykładów Donata, sławnego znawcy Wirgila i Terencjusza, uczniem też był Wiktoryna, którego głośne nawrócenie Augustyn opisuje ze zwykłem sobie wniknięciem w duszę i którego wiersze mierzyć się mogą z klasykami pogańskimi.

Jak Augustyn tak i Hieronim nie potrafił ominąc kilka głodnych chwil występnej rozkoszy, ale duszy przytem nie naraził na utratę wiary. Przyjąwszy chrzest koło trzydziestego roku życia (360 po Chrz.), wiarę swoją utwierdzał, na huragany pokus już nie wystawiał.

Dwa są środki, wiodące do wykształcenia: nauka pod kierownictwem światłych mężów i rozważanie jej w zaciszu czterech ścian skrytej pracowni, a dalej zwiedzanie i obracanie się wśród ludzi. Korzystawszy w wieku młodzieńczym z pierwszej drogi, wiodącej do wykształcenia, mężem będąc, Hieronim korzysta jeszcze z majątku rodziców, żeby podróżować, oglądać, porównywać i nagromadzone wiadomości stosować w życiu. Z gorączkowością sobie wrodzoną puszcza się poprzez prowincje półwyspu apenińskiego do Galji, czyli obecnej Francji, wraca na południe i zaledwie wypoczął, by na nowo wyruszyć lądem ku Bałkanom, zmierzyć je wzdłuż i wszerz, zatrzymać się w uczelni Apolinarego z Laodicei, wybitnego znawcy Pisma ś. na krótki czas i by wreszcie dać nura w głuchą pustynię Syryjską na północo-zachód od miasta Alepu.

Choć młody, zamożny i zdolny, Hieronim w tych kilku latach przypatrywania się światu uważnemu, potrafił zbrzydzić sobie świat i znaleźć w bezludziu straszliwem równowagę i spokój.

Pustynie i cały wschód powtarzały sobie z ust do ust szczegóły żywota niezwykłego, przejmującego pustelników. Wnet legenda pragnęła skupić te wieści na pewnych postaciach, które dla wygody orzeczono nazwami. I tak powstała klechda o ś. Pawle pustelniku. Hieronim na wstępie swego pobytu pustelniczego chwycił za pióro, by wysławiać cnoty, zdobiące pustelników, bo sam do nich już się zaliczał.

Nie dlatego jednak Hieronim wzbudził podziw współczesnych i potomnych. Głównem bowiem dziełem Hieronimowego pióra to tłumaczenie Pisma św. Przybywszy do Palesty-

ny zabrał się do nauki języków, w których było spisane Pismo ś.—do hebrajskiego i greckiego. Nic może nie przedstawia takich trudności, jak poznanie gruntowne obcych języków. Zwykle tylko zmuszeni obowiązkiem stanu, lub zawodu poddajemy się tej znojnej pracy. Hieronim podjął ją z wyższych pobudek, szukał w niej umartwienia i broni przeciwko bujnej wyobraźni, co przypominała mu wystawne bankiety i pyszne stroje rzymskiego świata. Niedługo trwało, a narzędzie męki stało się przedmiotem upodobania i przerodziło się w nową, szlachetną namiętność, studjum Pisma św.

Wschodnia umysłowość Hieronima zapaliła się do bujnych opisów proroków. Jego skłonność do wymowy płomiennej znalazła w pismach natchnionych najstosowniejszy grunt. Od roku 392 rzucił się z zapałem do poprawiania tłumaczeń łacińskich Pisma św. według Heksapli Origenesa. Kościół ówczesny staral się czekać na takiego męża, ze wszech stron nastawano na Hieronima, aby dokonał dzieła nad wyraz pożądanego. Stary Testament został przetłómaczony według oryginału hebrajskiego, Nowy Testament zaś według greckiego. Dodajmy do tego olbrzymiego i żmudnego przedsięwzięcia niezliczone objaśnienia poszczególnych ksiąg Pisma ś., traktaty etymologiczne, czyli podające rodowód słów, użytych tamże, rozprawy o geografji i archeologji biblijnej, a przyznamy, że Hieronima imię na równi można wymieniać z imionami Ewangelistów i Apostołów, którzy właśnie razem z Opatrznością Bożą tworzyli całość natchnionych ksiąg. Jest to jakby drugi Erdresz, co ludzkości odkrył piękno, zawartość i nieskalaną formę świętych ksiąg.

Co dla innegoby wystarczyło, żeby zapełnić życie i rozgłosić imię, to dla Hieronima było tylko połową zajęcia. Studja biblijne przeplatane były korespondencją rozległą. Ze wszech stron świata do niego zwracają się biskupi, uczeni, mężowie świętobliwi, by usłyszeć rady w rządach, w sporach dogmatycznych, w wątpliwościach życia wewnętrznego. I dziś widzimy, że wierni mają większe zaufanie i skuteczniejszej spodziewają się rady w zacisznych murach klasztorów, aniżeli w kancelarjach parafjalnych i kurjalnych. W stopniu wybitnym odnosi się to do Hieronima, męża uczonego, wyrywanego sobie w towarzystwie, co jeden z pierwszych dumną i złotem

oblaną porzucił Romę, by na piaskach pustynnych w cieniu palm czytać w Bożych księgach martwych i żywych. Arystokrata Marcelinus i orzeł z Hippony, Augustyn, Hieronimowej domagają się rady. Zamożny Hiszpan Lucjusz z głębi hiszpańskich dzierżaw prosi o jeden egzemplarz Hieronimowych ksiąg i śle sześciu pisarzy, biegłych piórem, by je pośpiesznie przepisali i jak klejnotu strzegąc przywieźli; słowem wszystkie stany: dziewice czyste, matrony dostojne, wierni chrześcijanie, biskupi zasłużeni, sam papież Damazy, uprzejmie domagają się światłego zdania i pobożnych modłów pustelnika świętego. Jak wielkość duszy nie zależy od miejsca zamieszkania, jak na wsi znajdziesz proboszcza wybitniejszego nad kardynałów, lekarza światlejszego nad wielkomiejskich chirurgów, myśliciela głębszego nad profesorów uniwersytetu, tak w pewnej chwili moralnym ośrodkiem Kościoła stała się chatą pustelna Hieronima. Bo prawdziwa wielkość nie potrzebuje purpury, ni togi, czy berła, świeci ona nawet w wytartej sukmanie, a przeciwnie niejedna miernota, co dorwała się wysokiego stolca, potrzebuje blichtru zewnętrznego, by zakryć próżnię i brzydotę.

Umysł, uwięziony w ludzkim mózgu, tak mało w nim znajduje miejsca, że tylko w jednym kierunku może dokonać czynów zadziwiających. Jak Ambroży szczególnie przysłużył się cezarom, tak Heronim zwłaszcza dziewicom i kobietom był pochodnią przyświecającą ich rozumowi i ich sercu: młodziutkie dziewice, mężatki w kwiecie wieku i sędziwe staruszki znalazły w nim zrozumienie i oparcie moralne. Wrażliwe ich dusze i delikatne cnoty, ich zapał do natchnionych ksiąg Pisma, ich upodobanie w cnocie czystości, którą sam tak krwawym zdobył znojem, potrzeba podniesienia rodzaju żeńskiego z upodlenia rzymskich czasów, to wszystko zdobyło przychylność męża o sercu napozór srogiem. Dziwnem zrządzeniem Opatrzności w zakresie wpływów mnicha uczonego znalazły się córki rodzin ubogich i dziedziczki magnackich fortun rzymskich patrycjuszy.

Hieronim był im ojcem za życia, a po śmierci poświęcał im wzruszające mowy pogrzebowe. Stał nad grobem tych pięknych postaci Marceli, Blesili, córki Pauli, potem Pauli Samej, Fabioli, dziewczynki rodu Fabjuszowego, Pauliny, żony

Pamniacha, tych wszystkich, co ubogie wśród bogactw, radosne wśród pustyni poznały wszystko, by zdobywać warowne stopnie doskonałości chrześcijańskiej.

Ile im oddał serca za życia, poznać można z tych mów pogrzebowych. Ujęte w kształty listów pocieszających, wysłanych do pozostałej rodziny, sławią różne ich rysy szlachetne. Czasem atoli płomień kaznodziei bierze górę nad smutnym, a ciasnym przedmiotem i wpadając w modłę oratorów rzymskich, niosą go czasem zdala hen ku wielkim zagadnieniom całego społeczeństwa chrześcijańskiego.

Kierownictwo dusz pobożnych niewiast było tylko rozrywką dla naszego świętego. Niewszędzie znajdował taki posłuch, podobne przywiązanie. Grasujące wówczas herezje Luoifera, Montana i Pelagjusza, Helwidjusza, Jowinjana, Wigilanciusza wyzywały Hieronima do walki. Wojna na słowa była stosownem polem popisu dla gwałtownego Dalmaty. Zatargi z uczniami Origenesa, waśń z Rufinem, ongiś przyjacielem, potem przeciwnikiem—to dalsze kłopoty Hieronima.

Mimo rozdrażnienia kłótni potrafił umysł Hieronima nagiąć się także do spokojnych sądów historyka. Euzebjusz znajduje w nim godnego spadkobiercę pióra kronikarskiego, dziwy pustyni doczekały się po nim świetnego opisu, a wreszcie, aby poganom wykazać, ile dzielnych ludzi zrodził Kościół wymienia wybitniejszych pisarzy kościelnych, biskupów i myślicieli. Sąd jego potomność przyjęła bez sprostowania.

Strzeżmy się jednak przed przypuszczeniem, że Hieronim przesiedział całe życie w swej Betlejemskiej chatce. Przeciwnie, ruchliwy jego temperament i żywy udział w publicznych sprawach Kościoła wywabiał go często na szeroki świat. Było to w roku 374, gdy zatrzymał się w Syrji. Dwa lata później przyjął święcenia kapłańskie, z których zresztą nigdy nie korzystał. Później zamieszkał w Jerozolimie w domu Rufina na górze oliwnej, dalej w Konstantynopolu, gdzie słuchał wykładów Grzegorza z Nasjauzu, w Rzymie, gdzie towarzyszył w roku 382 Paulinowi z Antiochji, a współpracował z papieżem Damazym aż do chwili jego pobożnego zgonu. Zniewagi ludzi zadraśniętych w miłości własnej zbrzydziły Hieronimowi pobyt w Rzymie w roku 387.

Dwieście lat przedtem doznał tego samego rodzaju przykrości w stolicy Tertuljan, mąż o podobnej duszy i prawie równych zasługach. Zgorszony brakiem miłości wśród wyznawców Chrystusa, Tertuljan wstąpił w szeregi heretyków Montanistów, Hieronim zaś u grobu Zbawiciela w Palestynie szukał ukojenia i zwyciężył burzę. Jeden umarł heretykiem, drugi świętym i doktorem Kościoła.

Wróciwszy więc na słońcem spaloną ziemię Małej Azji, wielki nasz kapłan odwiedził sławne klasztory Egiptu, słuchał w Aleksandrji wykładów o Piśmie św. uczonego Didyma, wrócił do Betlejem, gdzie uczył małe dzieci gramatyki łacińskiej. Tam spotyka go w r. 410 nominacja na hrabiego rzymskiego. Wobec naporu barbarzyńców z północy cofa się do swego schroniska, gdzie, uszedłszy miecza pogan, byłby o mało co zginął od sztyleta heretyckich pelegjan. Wreszcie w r. 420 oddaje Bogu ducha, po wielu mitręgach i znojach, wyprawach i przygodach, ten zdumiewający Hieronim, burzliwy, namiętny, osamotniony, szukający ludzi w pustelni, uciekający od nich w miastach, nigdzie nie mający rodziny ni majątku, obarczony pracą, podejmujący się jej, by zgnieść w sobie żądzę nieczystą, podobny do marynarza po zatopieniu okrętu, do pielgrzyma nagiego i pędzonego wiecznie, płaczący nad grobem swego ukochanego Zbawiciela w Jerozolimie, tulący do Jego Krzyża ciało wycieńczone postami, dusza tak gorąca i wielka, że trzeba jej było albo Rzymu, miasta tętniącego życiem nieopisanem, albo bezbrzeżnej pustyni.

Celem życia Hieronimowego była walka z ignorancją religijną, i dlatego tłumaczył Pismo św., jako źródło światła Bożego, i walka ze złem, dlatego kierował duszami, by je podnieść, uwolnić od wpływów szatana, a wprowadzić na podobne szczyty miłości Bożej i poświęcenia. Oto szczytne zamierzenia, dla których poświęcił dni twórczej pracy naukowej, podróże znojne i żywe słowo swych płomiennych piersi.

X. dr. St. Abt.

Myśli i wyznania Kontarda Ferrini'ego.

Uwagi wstępne.

Kontard Ferrini urodził się dnia 4 kwietnia 1859 r. w Medjolanie, gdzie ojciec jego był profesorem politechniki. Po ukończeniu nauk średnich i wyższych we Włoszech otrzymał stypendjum państwowe na wyjazd na dalsze studja do Berlina, dokąd udał się z końcem 1880 r. W dwa lata potem powrócił do ojczyzny i mając lat dwadzieścia cztery został mianowany profesorem prawa rzymskiego na uniwersytecie w Pawji. W okresie panoszenia się we Włoszech masonerji Ferrini nie uległ wpływowom otoczenia, lecz świecił wzorem cnót, będąc wiernym synem Kościoła katolickiego. Dzięki usilnej pracy osiągnął wysoki stopień doskonałości duchowej. Przepiękny żywot jego jest zaprzeczeniem twierdzenia, jakoby człowiek uczony nie mógł być dobrym katolikiem, jakoby nauka kłóciła się z wiarą. Pracując, jako profesor w Messynie i Modenie, Ferrini wydawał jednocześnie fundamentalne prace w swoim zakresie. W wolnych chwilach oddawał się alpinistyce. Śmierć jego nastąpiła dnia 17 października 1902 r. Obecny papież, Pius XI, na wieść o niej rzekł: „Dziś umarł święty". Od szeregu lat czynione są w Stolicy Apostolskiej starania, by świętobliwy ten mąż został wyniesiony na ołtarze.

* * *

Sztuka, nauka, natura wiodą do Boga.

W zetknięciu się z przyrodą czujemy bliskość Boga i podziwiamy Jego cuda; umysł nasz staje się zdolniejszym do pojęcia piękna i dobra, zyskuje siłę i godność, przewiduje swoje wzniosłe przeznaczenie.

Jak to miło odczuwać z samotnego górskiego szczytu podniosłe zbliżenie się do Boga i rozpatrywać w dzikiej przyrodzie wieczyście młody uśmiech jego!

Dla mnie wycieczki robią dużo dobrego nietylko dla ciała, ale i dla duszy, albowiem wzmacniają charakter, oraz podnoszą mię do innych, niż codzienne, myśli.

Te krajobrazy, te jodły, te śnieżnobiałe szczyty, zaczerwienione przy wschodzie słońca, ten łagodny blask księżyca, który igrał wśród cichej nocy i odbijał się w spokojnych wo-

dach jeziora, rozbudzały we mnie silne uczucie religijne uczucie, podniosłe oraz wstręt i obrzydzenie do tego, co grzeszne.

Kiedy rozmyślałem o... piękności oraz wielkości [Boga], serce moje tonie w zachwycie, podnoszą się moje uczucia i wydaje mi się czemś naturalnem oddanie się Jemu całkowicie.

Jakże piękne jest życie, kiedy dusza nasza jest w ręku Boga, kiedy spoczywamy w porządku, kiedy się rozpływamy w zachwycie dla tej idealnej piękności, która porwała serca nasze!

Nie mógłbym zrozumieć życia bez modlitwy, przebudzenia się rannego bez spotkania tego uśmiechu Boskiego, złożenia wieczorem głowy nie na piersi Chrystusowej.

Jak można żyć... [bez modlitwy], jest dla mnie tajemnicą, lecz tajemnicą jest samo serce ludzkie.

Życie [bez modlitwy] byłoby podobne do nocy ciemnej, pełne poniżenia i trudów, niepłodne pod straszliwem przekleństwem Boskiem, nie mogące przenieść prób, pozostawione na pastwę zmysłów, nie mające świętych radości ducha.

W dniu..., w którym zamilkłby pacierz na ustach moich, skończyłoby się dla mnie wszelkie życie moralne, skończyło by się pragnienie dobra, skończyłyby się wszelkie pociechy duszy mojej.

Błagam Pana, by modlitwa nie zamarła nigdy na ustach moich; niechaj pierwej wyjdzie dusza moja, niźli się tak upośledzi.

Zanik modlitwy znaczyłby, że mnie Pan Bóg opuścił.

Trzeba, żebyśmy przed Ukrzyżowanym błagali ze łzami o... wonność czystości, o popęd wewnętrzny do tej przepięknej cnoty.

[Dusza] wzmacnia się częstem przystępowaniem do Uczty Anielskiej.

Czemże są radości tego świata, zadowolenia zmysłowe w porównaniu z temi chwilami, [chwilami zjednoczenia z Bogiem przez Komunję św.].

Miłość dla widzialnego człowieka będzie miarą, którą mierzyć będziemy naszą miłość dla niewidzialnego Boga.

[Przez umiłowanie braci naszych] będziemy mogli Panu Jezusowi pokazać, że Go miłujemy, będziemy mogli rozlać bo-

gactwo Jego darów, będziemy mogli wypełniać wielkie apostolstwo.

[Miłując współbraci], udoskonalimy.. życie nasze, albowiem doskonałość jest w miłości.

Więcej jest wart akt miłości, aniżeli skarb Krezusa.

Pierwszem mojem pragnieniem będzie żądza dobra moralnego drugich i dlatego muszę być pokornym oraz miłym.

[Pokora] — to jedna jedyna droga, która człowieka doprowadzić może do nieskończoności, do Boga.

Pokora jest uznaniem własnej nędzy, jednak nie jest nią poddanie się rozpaczy, gdyż pozostajemy w dobrych rękach [Boga].

Pokora jest prawdą, więc jest też najwyższą godnością w życiu.

Będę miłował święte ubóstwo i starać się będę praktykować je w szacunku do ubogich, znosząc wesoło straty oraz inne niepowodzenia.

Wystrzegajmy się nadawania miana próżności dążeniu do rzeczy wyższych, bo to byłoby tchórzostwem.

Pogarda dla świata naturalną jest w duszy chrześcijanina, który widzi rzeczy w prawdzie, lecz byłoby błędem rozciągać tę pogardę i na światowców, są oni bowiem naszymi braćmi, są spadkobiercami tych samych nadziei oraz tych samych obietnic, wielkie zbawienie oczekuje ich także i mogą, o ile zechcą, być naczyniami wybranemi.

Biada nam, gdybyśmy nie mieli na uwadze, iż do tego doszła złość ludzka, że w nas, chrześcijanach, wyszukuje się najmniejszej plamy, powiększa się ją i przypisuje się nie nam nędznikom, ale temu prawu niepokalanemu, które wyznajemy, temu przeczystemu Kościołowi, do którego należymy.

Wesołość naszego serca jest prawem Bożem, wiarą w... obietnice [Boga], radością Jego przyjaźni, rozkoszą Jego dobroci i chwały.

Cierpienia są warunkiem wieczności.

•
• •

Notatki bibljograficzne.

Zyciorys Kontarda Ferrini'ego w książce ukazał się w języku polskim lat temu dwadzieścia. Autorką jego jest Marja Broel-Platerowa, nosi on zaś tytuł: „Contardo Ferrini, profesor prawa rzymskiego w uniwersytetach w Padwie, Pawji, Messynie, Medjolanie i in., członek wielu instytucyj naukowych i t. d., mąż głębokiej wiedzy i wielkiej świętości" (Wilno, 1916). Resztki nakładu tej pracy, liczącej dziewięćdziesiąt stron, są do nabycia po cenie 50 gr. w księgarni „Kronika Rodzinna" (Warszawa, Podwale 4). Krótki zarys biograficzny pióra ks. dr. Komorowskiego CR. zamieścił niedawno temu poznański „Przewodnik Katolicki" (Nr. 31, dnia 29 lipca 1928 r.). Artykuł ten jest zatytułowany: „Święty we fraku. Contardo Ferrini, nowa gwiazda na horyzoncie Kościoła".

J. M. Chudek.

Drobiazgi hagjologiczne.

Nowi błogosławieni.

Dekretem św. Kongregacji Obrzędów z dnia 16 maja 1928 r. przez zatwierdzenie czci, oddawanej od czasów niepamiętnych, błogosławionymi ogłoszonych zostało ośmiu opatów z zakonu o.o. Benedyktynów od Trójcy Przenajświętszej, którzy kierowali klasztorem w miejscowości Cara, we Włoszech. Imiona tych nowobeatyfikowanych są następujące: Symeon, Falkon, Maryn, Beninkasa, Piotr II, Balsam, Leonard i Leon II. Poprzednicy wymienionych opatów, mianowicie Alfernis, założyciel opactwa, Leon I, Piotr I, oraz Konstabl, beatyfikowani zostali w tenże sam sposób jeszcze w 1893 r.

Relikwje św. Ludwika.

W kościele parafjalnym w miejscowości Ecuelles, dekanatu Verdun-sur-le-Doubs, diecezji Autun przechowywany jest relikwjarz, zawierający relikwje św. Ludwika, króla Francji, na które składają się ramię lewe i cząstka czaszki o powierzchni ośmiu centymetrów kwadratowych. Relikwje te otrzymała dziedziczka Ecuelles'u, Béatrix de Palleau, dla serdecznej przyjaciółki swojej,

siostry Izabeli de Vignolles, przełożonej klasztoru w niedaleko odległem Molaise'ie. Podczas „wielkiej” rewolucji francuskiej po rozpędzeniu zakonnic skarb ten, tak drogi dla katolików, został przekazany proboszczowi z Ecuelles'u. Ponieważ przechowywanie relikwij u niego nie było bezpieczne, gdyż lada chwila mogły je zbeszcześcić zbrodnicze elementy rewolucyjne, w okresie terroru przechowywała je Anna Cuzeau. Gdy niebezpieczeństwo minęło, doczesne szczątki świętego władcy francuskiego przeniosła ona do kościoła. W 1872 r. ks. biskup diecezji Autun dokonał urzędowego rozpoznania relikwij, a skoro okazało się, że autentyczności ich kwestjonować nie można, pozwolił je czcić publicznie oraz umieścił je na ołtarzu po uroczystej procesji. Odtąd pielgrzymki do owej miejscowości wzmogły się bardzo. Ostatnia miała miejsce w dniu 25 sierpnia 1928 r.

Uroczystość ku czci św. Wiary.

Dnia 7 października 1928 r. w miejscowości Conques, diecezji Rodez, obchodzone były uroczystości z okazji pięćdziesięciolecia odkrycia relikwij św. Wiary, której cześć sięga aż pierwszych wieków chrześcijaństwa. Szczątki doczesne owej świętej odnalezione zostały w 1878 r. w grubym murze absydy bazyliki romańskiej w tem mieście. Zamurowania ich dokonali stróże świątyni, o.o. Cystersi, a uczynili to w stuleciu szesnastem z tego powodu, by relikwje uchronić od zniszczenia podczas wojen religijnych. Odkrycia dokonano przy restauracji bazyliki. Co się tyczy czci św. Wiary, to jest ona w tych okolicach Francji bardzo rozpowszechniona. Do Conques dążą liczni pielgrzymi, a oprócz nich turyści i archeologowie. Ci ostatni czynią to w tym celu, by obejrzeć starożytną statuę świętej, wykonaną ze złota oraz przyozdobioną emalją.

Patronka elektrotechników.

Elektrotechnicy, których liczba na całym świecie wzrasta w tempie bardzo szybkiem, nie posiadają jeszcze dotąd swojego patrona, z tego przeto względu „La Revue des Saintes” czyni im propozycję, ażeby za opiekunkę swoją obrali św. Barbarę, uznawaną za obronicielkę przed piorunami. „Przecież piorun — pisze to pismo — nie jest niczem innem, jak elektrycznością. Św. Brarbara zdaje się będzie najodpowiedniejszą na orędowniczkę oficjalną elektrotechników, wystawionych na pewne niebez-

pieczeństwo, tak, jak odpowiednią jest już na patronkę artylerzystów tudzież tych wszystkich, co są w tak niebezpiecznem położeniu".

Święci na filmie.

W Paryżu coraz częściej zaczynają ukazywać się obecnie na ekranie postacie osób, uznanych przez Kościół katolicki za święte bądź za błogosławione. Tak np. w miesiącu listopadzie 1927 r. wyświetlano „Życie św. Franciszka z Assyżu", w tym samym mniej więcej czasie urządzono pokaz „Męczeństwa św. Maksencjusza", potem znowu nastąpił „Deszcz róż" ze św. Teresą od Dzieciątka Jezus i „Quo vadis" ze św. Piotrem oraz św. Pawłem. „Objawienia Matki Boskiej w Lourdes" dały okazję do przedstawienia przeżyć bł. Marji Bernardety Soubirous. Szlachetny wysiłek, który ujawniają katolicy francuscy na polu kinematografji katolickiej, daje rękojmię, iż niezadługo zjawią się nowowyprodukowane filmy, bodajby nawet krótkie, o treści hagjologicznej. Obrazy tego rodzaju są bardzo pożądane zwłaszcza dla ekranów popularnych, które organizować trzeba koniecznie we wszystkich parafjach, by odciągnąć ludzi od kin złych.

— *jmch.* —

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Śluby cywilne.

Nad Polską zmartwychwstałą zawisła groza ślubów cywilnych i rozwodów. Żywioły radykalne i bezwyznaniowe zamierzają narzucić społeczeństwu polskiemu świeckie ustawodawstwo małżeńskie i rozwodowe, które pośrednio ma zadać cios śmiertelny rodzinie polskiej, tej najsilniejszej ostoi naszych tradycyj religijnych i narodowych.

Już w r. 1920 członkowie komisji kodyfikacyjnej większością głosów uchwalili następujące punkty projektu ustawy o ślubach cywilnych fakultatywnych i rozwodach: *) 1. Każde-

*) Dr. St. Gołąb, prof. Uniwers. Jagiel., członek Komisji Kodyfikac. Rz. P.: „Zasady prawa małżeńskiego". Z obrad sekcji prawa cywiln. Komisji Kodyfikacyjnej. Warszawa 1925.

mu wolno zawrzeć małżeństwo przed urzędnikiem stanu, lub przed swym duszpasterzem. 2. Do małżeństwa przed urzędnikiem stanu nie mogą być przeszkodami fakty lub stosunki natury wyznaniowej. 3. Formę zawarcia małżeństwa określi ustawa o księgach stanu cywilnego. 4. Każde małżeństwo może być wobec państwa rozwiedzionem.

Rzecz zrozumiała, że powyższy projekt Komisji Kodyfikacyjnej wywołał niezwykle energiczne protesty ze strony całego społeczeństwa polskiego. Na zjazdach katolickich oraz na zebraniach i wiecach Lig katolickich powzięto odpowiednie rezolucje w tej sprawie.

Episkopat polski w dniu 5 marca 1926 r. wystosował specjalną odezwę do rządu i narodu polskiego w obronie Sakramentu małżeństwa.

Odezwa ta głosi: „Niepokój wielki ogarnął duchowieństwo i szerokie koła naszego katolickiego społeczeństwa wskutek poważnych wieści, że przygotowywana kodyfikacja prawa małżeńskiego dla katolików, opiera się na poglądach, niezgodnych z zasadą Kościoła Świętego. Wobec tego zwracają się biskupi katoliccy wszystkich trzech obrządków, zebrani z całej Polski na naradę w sprawach kościelnych w Warszawie, do przedstawicieli Rządu i stronnictw poselskich o zabezpieczenie katolickim związkom ich charakteru sakramentalnego". Dalej XX. Biskupi stwierdzają. że świętość rodzinnego życia, religijne wychowanie dzieci są podstawą nietylko rodziny chrześcijańskiej, ale także trwałości i pomyślnego rozwoju życia narodowego i państwowego. Podstawa ta jednakże jest uwarunkowana uświęceniem związków katolickich przez Kościół i przez nierozerwalność ich węzła. Od tych zasad Kościół katolicki ustąpić nie może i nie ustąpi. Wreszcie z całą stanowczością XX. Biskupi, oświadczają: „My, Biskupi, będący stróżami przekazanej nam nauki i nakazów Chrystusowych, wymagać musimy i wymagamy, aby także wszyscy katolicy w tej sprawie sumienia mocno stali w obronie zasad Kościoła katolickiego i przeciwdziałali ustawowemu sankcjonowaniu tak zwanych ślubów i rozwodów cywilnych. Związek małżeński, zawarty przed urzędnikiem stanu cywilnego jest nieważny, bo sprzeciwia się prawu Bożemu".

Oto śmiały i zdecydowany głos episkopatu polskiego w obronie Sakramentu małżeństwa na ziemiach Polski odrodzonej. Głos ten jest wyrazem i echem nieomylnej nauki Kościoła i doktrynalnych wskazań Stolicy Apostolskiej.

* * *

Instytucja ślubów cywilnych w pierwszym rzędzie zawdzięcza swoje powstanie błędnym naukom pseudo-reformatorów, którzy, jak Luter i Kalwin, odmawiali małżeństwu charakteru Sakramentu, a do jej wprowadzenia w życie w wielu krajach przyczyniły się również zasady teorji o wszechwładzy państwa oraz system zupełnego odłączenia Kościoła od państwa.

Przez ślub cywilny należy rozumieć zawarcie związku małżeńskiego wedle ustaw państwowych wobec urzędnika państwowego. O zawarciu małżeństwa stanowi objaw woli oblubieńców i częstokroć wymagane jest nadto do skuteczności prawnej aktu wyraźne oświadczenie asystującego urzędnika, że małżeństwo prawnie zawarte zostało.

Państwo nie bierze tu pod uwagę przepisów prawa kościelnego, chociaż niektóre ustawodawstwa, jak niemieckie, wyraźnie zaznaczają, że nie mają zamiaru przeszkadzać dopełnieniu ślubnych obrzędów kościelnych. Ślub cywilny przeto jest instytucją prawa państwowego, opartą na teorji małżeństwa, jako czystego kontraktu, za pomocą której państwo wykonuje ustawodawstwo i sądownictwo małżeńskie, a także określa i ustanawia formę zawierania ślubu.

W ustawodawstwach obecnie w wielu państwach obowiązujących istnieją trzy rodzaje ślubów cywilnych: 1) Śluby cywilne obowiązkowe i obowiązujące bezwarunkowo i wyłącznie w obrębie państwa tak, że tylko małżeństwo w formie cywilnej zawarte powoduje odpowiednie skutki prawne.

2) Śluby cywilne dowolne, czyli fakultatywne, zachodzą wówczas, gdy państwo pozostawia do woli oblubieńców zawierać związki małżeńskie albo przed władzą państwową, albo przed duchownym swego wyznania, który występuje wówczas w charakterze urzędnika stanu cywilnego.

3) Śluby cywilne z konieczności istnieją tam, gdzie prawo państwowe uznaje wprawdzie, jako obowiązkową formę kościelną, ale dozwala na zawarcie związku w formie cywil-

nej, jeżeli forma kościelna nie może być dopełniona, albo dlatego, że zachodzi jakaś przeszkoda kościelna przez prawo państwowe nie uznana, albo z powodu, że strony nie należą do żadnego uznanego w państwie wyznania.

Po raz pierwszy pojawiły się śluby cywilne w Holandji i Zachodniej Fryzji na podstawie ustawy z r. 1580, którą rozporządzono, że związki małżeńskie mają być zawierane albo przed duchownym reformowanym, albo przed władzą cywilną. Ustawa ta była wymierzona przeciw katolikom, aby udaremnić zawieranie małżeństw przed duchownym katolickim. Żydom... w drodze wyjątku pozwolono zachować swoje prawo małżeńskie wyznaniowe.

Obecnie istnieją śluby cywilne obowiązkowe: w Belgji, Francji, Holandji, Niemczech, Portugalji, Szwajcarji, Włoszech, na Węgrzech i w Rosji Sowieckiej; śluby fakultatywne — w Anglji, Czechosłowacji, Danji, Norwegji i Szwecji.

Śluby wyłącznie kościelne mają: Finlandja, Szkocja, Grecja, Jugosławja, Bułgarja, Litwa i na większości swoich ziem Polska. W Hiszpanji dla katolików istnieją wyłącznie śluby kościelne, w Austrji ślub kościelny istnieje jako zasadniczy, dopuszczalne są śluby cywilne z konieczności. Nadmienić należy, że we Włoszech ślub kościelny może poprzedzić cywilny, ale nie posiada znaczenia prawnego dopóty, dopóki nowożeńcy nie powtórzą go wobec urzędnika stanu cywilnego. Rumunja wprowadziła ślub kościelny, jako obowiązkowy po dokonaniu ślubu cywilnego.

* * *

Wobec dążeń zmierzających do poddania instytucji małżeństwa ustawodawstwu i orzecznictwu państwowemu, zaznaczył Kościół niejednokrotnie bardzo stanowczo i wyraźnie, że skoro małżeństwo chrześcijańskie jest Sakramentem, przeto tak wydawanie norm prawnych, dotyczących istotnych warunków i form tej instytucji, jak również orzekanie w sprawach małżeńskich należą do wyłącznej kompetencji Kościoła. Władza świecka ma jedynie głos w sprawach, dotyczących skutków cywilnych małżeństw chrześcijańskich.

Stanowisko swe wobec ślubów cywilnych Kościół określił w sposób wyraźny, oświadczaiąc wielokrotnie, że są one ceremonją ściśle cywilną, która na polu kościelnym żadnych

skutków prawnych za sobą nie pociąga. Związki małżeńskie chrześcijan zawarte tylko wobec władzy cywilnej zasadniczo poczytuje jako kankubinaty. Papież Pius IX w alokucji Multis gravibusque z 17 grudnia 1860 r. nazywa je „legalnym konkubinatem ku ostatecznej zagładzie dusz"; w alokucji zaś z 27 września 1852 r. oświadcza: „Małżeństwo jest prawdziwe i właściwe jednym z siedmiu Sakramentów prawa ewangelicznego i dlatego pomiędzy chrześcijanami jakikolwiek inny związek między mężczyzną i niewiastą, niż sakramentalny zawarty nawet na podstawie jakiegokolwiek prawa cywilnego, nie czem innem jest, jak wstrętnym i zgubnym konkubinatem, tylekroć przez Kościół potępionym".

Podobnie brzmią i orzeczenia Leona XIII. Papież ten w swej encyklice o małżeństwie chrześcijańskiem „Arcanum divinae" z 10 lutego 1880 w mocnych słowach piętnuje i potępia te idee, które wpływają na wzmożenie się akcji wymierzonej przeciwko kompetencji Kościoła w sprawie małżeństw chrześcijan.

Nowy Kodeks prawa kanonicznego również stanowczo odrzuca instytucję ślubów cywilnych.

Gruntownie i wszechstronnie przedstawił stanowisko Kościoła w stosunku do ślubów cywilnych i rozwodów, episkopat polski we wspólnym liście pasterskim do duchowieństwa i wiernych, ogłoszonym w r. 1921. W liście tym XX. Biskupi przypominają wiernym, że małżeństwa cywilne między chrześcijanami wedle orzeczenia Kościoła nie są prawdziwemi małżeństwami, lecz są nieprawemi związkami—konkubinatami.

Wyrok ten stosuje się do wszelkiego rodzaju małżeństw cywilnych, a więc i do tak zwanych małżeństw cywilnych „z konieczności", bo małżeństwo cywilne „z konieczności" ma tyle uzasadnienia co zbrodnia „z konieczności".

Niema konieczności, w której wolnoby było popełnić zbrodnię; niema konieczności, w której wolno byłoby na pogardę prawa kościelnego zawrzeć małżeństwo czysto cywilne. Tylko w tym wypadku małżeństwo cywilne miałoby prawne uzasadnienie, gdyby między wiernymi choćby na chwilę oddzielić można było chrześcijanina od obywatela, szafarza sakramentu od twórcy kontraktu małżeńskiego, akt wiary, jakim jest zawarcie małżeństwa, od aktu obywatelskiego, kontrakt

małżeński od Sakramentu małżeństwa. Ponieważ jest to niemożliwe, ponieważ jeden i ten sam człowiek równocześnie i nierozdzielnie jest chrześcijaninem i obywatelem i, tworząc umowę małżeńską, przyjmuje i udziela temsamem Sakramentu, więc małżeństwo świeckie, choć skryte cieniem prawa, jest i zostanie między chrześcijanami bezprawiem.

Najwyżsi przedstawiciele i obrońcy Kościoła i życia religijnego w Polsce wraz z ogółem katolików nigdy nie dopuszczą, aby na ziemiach polskich dokonane i usankcjonowane zostało takie bezprawie.

* * *

Chcąc przystąpić do ustalenia podstaw, na jakich ustawodawstwo małżeńskie miałoby się opierać w Polsce, należy uwzględnić z jednej strony prawne zagadnienie, z drugiej interes Państwa i społeczeństwa. Ustawa powinna być jednolita na cały obszar Rzeczypospolitej. Nie wynika jednak z tego, ażeby ustawa taka koniecznie musiała zawierać jednolite przepisy dla wszystkich wyznań i religji, istniejących w Polsce.

Gdybyśmy podciągneli to wszystko pod jeden strychulec, należy się obawiać, żebyśmy nie stanęli w sprzeczności z wymaganiami życiowemi. Kościół katolicki tak, jak inne wyznania posiada odrębne ustawodawstwo małżeńskie.

Kościół zawarł przepisy odpowiednie w Kodeksie Prawa Kanonicznego, a wynikają one nietylko z prawa kanonicznego, lecz określone są zasadniczo przez samego Chrystusa Pana. Przepisy te co do istotnej swej treści pozostały niezmienione przez blisko 2000 lat istnienia Kościoła, niezależnie od prawodawstwa różnych państw i czasów i od nastrojów społeczeństw, narażając go nawet na odpadnięcie całego kraju (Anglja).

Przepisy prawa kanonicznego uwydatniają następujące zasady prawa małżeńskiego:

1. Małżeństwa katolickie (także mieszane, w których jedna strona jest katolicka) podlegają jurysdykcji Kościoła Katolickiego, nietylko jako sakrament, ale także, jako umowa.

2. Co do następstw czysto cywilnych, małżeństwa podlegają władzy cywilnej.

3. Małżeństwa takie są nierozerwalne, w pewnych wypadkach może nastąpić rozdział życia małżeńskiego (separacja).

Powyższe zasady powinny być obowiązującem prawem w Polsce. Wymaga tego Konstytucja i Konkordat. Konstytucja stanowi w art 114, że Kościół rz.-katolicki rzadzi się własnemi prawami. Konkordat zaś stwierdza w art. 1, że Kościół katolicki bez różnicy obrządków korzystać będzie w Rzeczpospolitej z pełnej wolności oraz, że Państwo zapewnia Kościołowi swobodne wykonywanie jego władzy duchownej i jego jurysdykcji.

Gdyby przeto Państwo w ustawodawstwie małżeńskiem chciało zaprowadzić postanowienia odrębne od postanowień Kościoła, w szczególności, gdyby przez wprowadzenie „ślubów cywilnych" usunęło je z pod jurysdykcji Kościoła, toby ograniczyło prawo Kościoła do tego, żeby się rządził własnemi prawami, ograniczyłoby swobodę wykonywania władzy duchownej i jurysdykcji i naruszyłoby wreszcie zupełną wolność Kościoła. Stanęłoby przez to w sprzeczności z własną Konstytucją i Konkordatem.

Zresztą nawet, gdyby Konstytucja ani Konkordat nie zawierały zgoła przytoczonych postanowień, jeszczeby Państwo nie mogło wprowadzać ślubów, ani tembardziej rozwodów cywilnych. Olbrzymią większość ludności naszego kraju stanowią katolicy; katolicki charakter religijny i sakramentalny małżeństwa, tudzież jego nierozerwalność, pochodzi nietylko z prawa kościelnego, ale wynika z prawa Bożego, którego nikt, ani Kościół, ani Państwo nie może i nie ma prawa zmienić.

W cytowanej we wstępie artykułu broszurze Dr. St. Gołąb, członek Komisji Kodyfikacyjnej, stwierdza: Bądź co bądź, choć plebiscytu nie było w tej sprawie (ustawodawstwa małżeńskiego), olbrzymia ilość ludzi w Polsce tkwi silnie w zasadach religji katolickiej, uznając nierozerwalność raz zawartego małżeństwa. Chcąc tedy kodyfikować, trzeba specjalnie dla prawa małżeńskiego uzbroić się w największą może dozę objektywności... aby w granicach możliwości usunąć tarcia, a nie wywoływać lub dawać, choćby najlżejszą podnietę do wywoływania zaostrzonej walki".

Nasze władze państwowe, ustawodawcze, i Komisja Kodyfikacyjna usuną bezwątpienia tarcia w tej sprawie i nie wywołają zaostrzonej walki i bezwzględnej opozycji ze strony olbrzymiej większości obywateli kraju, jeśli w dziedzinie reformy prawa małżeńskiego uwzględnią w całej rozciągłości zasady Kościoła katolickiego.

Ks. St. Mystkowski.

Na marginesie zagadnienia inkwizycji.

Kto nie słyszał o inkwizycji? Na całym świecie na łamach różnych dzienników radykalnych, liberalnych „brukowców" i t.p. raz poraz można spotkać o niej wzmianki. Niech tylko jaki gorliwszy katolik wystąpi z szerszą inicjatywą, zaraz odezwie się zgodny potępieńczy chór, zarzucający mu „czarną reakcję" i dążenie do wskrzeszenia tradycyj inkwizycyjnych. Pomimo tej popularności, czem naprawdę była Inkwizycja, co o niej, mówi historja, nic nie wie, nie tylko „szary" ogół, lecz nawet dziewięćdziesiąt procent pismaków, żerujących na niej.

Inquiro znaczy po łacinie wyszukuję. Miała Inkwizycja za zadanie wyszukiwanie i karanie występków przeciwko wierze. W pierwszych wiekach istnienia chrześcijaństwa przejawiała się pod postacią upomnień, w ostatecznym razie w usunięciu ze zgromadzenia wiernych. Za Konstantyna, gdy nastąpiła łączność Kościoła z państwem, kara kościelna zaczęła pociągać konsekwencje państwowe, jak np. wygnanie. Kodeks cesarza bizantyjskiego Justynjana głosi: „Co się czyni przeciw boskiej religji, to się obraca na szkodę wszystkich". Później gdy Kościół wśród dzikich barbarzyńców stał się ostoją porządku społecznego i kultury, wszelki zamach na niego był zbrodnią przeciw społeczeństwu. Na każde wrogie objawy reagowano ostro. Nawet król, posiadający wówczas władzę absolutną, mógł bardzo łatwo za swe wystąpienia zapłacić koroną. Przykładem tego niech będzie potężny władca cesarstwa niemieckiego Henryk IV, który był zagrożony detronizacją i musiał się ukorzyć w pokutniczym stroju przed papieżem.

W XII i XIII wieku zaczynają się szerzyć sekty Katarów („czystych") i Waldensów. Obydwie były niebezpieczne dla

ówczesnego społeczeństwa. Byli oni protoplastami komunistów. Katarzy napadali na sakrament małżeństwa, na rodzinę i zasadę własności. Waldensi rozpowszechniali błędne teorje o przysiędze i prawach władzy państwowej do wymierzania kar winnym. Skutki podobnych nauk zaczęły się objawiać w zepsuciu obyczajów i okrucieństwach względem katolików. Ówczesnej Europie zagrażał los teraźniejszej Rosji.

Władze państwowe wystąpiły bardzo energicznie przeciwko tym wywrotowcom. Król Aragonji i hr. Barcelony rozkazał w r. 1197 opuścić heretykom państwo przed dniem 23 marca 1198 roku. Po tym terminie mieli być pozbawieni majątków i karani śmiercią. Niepokoje, nieustanne mordy skrytobójcze nie ustawały. Wreszcie w roku 1207 legat papieski Piotr de Castelnau został zamordowany. Fakt ten wywołał ogromne oburzenie i powołał ówczesne rycerstwo pod broń. Na mord odpowiedziano krucjatą, w której siły zbrojne heretyków zostały złamane.

Jakkolwiek ponieśli klęskę, sprawa nie była jeszcze ostatecznie załatwioną, gdyż pokonani rozproszyli się po świecie i w ukryciu szerzyli dalej swą wywrotową religję. Ażeby skutecznie przeciwdziałać tej kreciej robocie, Kościół powołał do walki z nią Inkwizycję, uprzednio odpowiednio ją zreformowawszy. W skład jej wchodzili wybitni teolodzy, którzy mieli pouczać o błędności nowej nauki i oddzielać wiernych od „fałszywych proroków" i ich zgubnych wpływów.

Był to najosobliwszy w świecie trybunał. Przed rozpoczęciem swej działalności w jakiejś miejscowości ogłaszał „czas łaski" (miesiąc lub dwa), podczas którego odbywały się liczne przemówienia, poświęcone błędom herezji i każdy odstępca, odwoławszy swe błędy, wolny był od wszelkich represyj. Czas ten był również przeznaczony dla tych, którzy nie chcąc się wyrzec swych przekonań, regulowali swoje sprawy pieniężne i wynosili się do miejsc, w których nie działał inkwizytor. W jakimże prawodastwie znajdujemy podobną procedurę? Społeczeństwu ówczesnemu nie zależało na prześladowaniu lecz na uwolnieniu się od owych „dobroczyńców". Dopiero na zatwardziałych grzeszników, którzy gwałtem chcieli szerzyć swoje niebezpieczne zasady, spadała karząca ręka sprawiedliwości świeckiej. Podobnie, czyż można się dziwić, że obecne

rządy każą więzić latami opornych komunistów, którzy nie chcą się wynieść do swego „raju", sowieckiej Rosji i pracują potajemnie nad „uszczęśliwieniem" nas mordem i nędzą?

Inkwizytorami zostawali cystersi, franciszkanie i dominikanie. Zakonnicy ci, żyjący w zupełnem ubóstwie, dawali gwarancję, że nie dadzą się przekupić. Ich uczciwość stwierdza nawet Llorente, były ksiądz, główny oszczerca Inkwizycji, który, jako mający dostęp do wszelkich jej archiwów, napewno nie omieszkałby wytropić i ogłosić, gdyby coś podobnego się zdarzyło. Asesorami byli zazwyczaj biskupi i opaci miejscowych klasztorów. Sześciu lub dwunastu znanych miejscowych obywateli było ławnikami. Mieli oni prawo kontrolować świadków, ich zeznania i zakładać swoje veto. Oprócz tego, jako eksperci, byli powoływani prawnicy świeccy, niejednokrotnie w liczbie kilkudziesięciu. Zaiste trudnoby staranniej zagwarantować bezstronny wymiar sprawiedliwości. Już po rozpoczęciu się procesu oskarżony mógł zakwestjonować objektywność sędziów i ci natychmiast byli zastępowani przez innych. Każdy wyrok można było zaskarżyć w Rzymie i ewentualnie osiągnąć jego unieważnienie. Papieże bardzo skrupulatnie rozpatrywali wszelkie zażalenia, uwalniali często i nawet z tego powodu dochodziło do zatargów z rządami, niezadowolonemi z takiego obrotu sprawy.

Nieraz spotykamy zarzut, że nazwiska świadków były tajemnicą dla oskarżonego. Czyż możemy się dziwić owemu zarządzeniu, wszak i teraz niejeden nie ośmieliłby się oskarżyć osobę wpływową, mogącą się zemścić, a wtedy przecież były to czasy „Vendetty", mordujących się w zemście rodów. Zresztą same zarzuty były oskarżonemu wiadome i było uczynione wszystko, by uchronić go od niesprawiedliwych oskarżeń wrogów. Zeznania świadków były bardzo szczegółowo badane. Wartość moralną ich samych stwierdzali najbardziej znani obywatele pod przysięgą, a i sam oskarżony podawał listę wrogów i zeznania tych bezwzględnie nie mogły być brane pod uwagę. O sprawiedliwości Sądu można się przekonać, wertując ówczesne akta, gdzie znajdujemy protokóły sesji i zeznania świadków w całości. Takie procesy Jak Joanny d'Arc i mistrza zakonu Templarjuszów nie były obrazem normalnej, przeciętnej procedury, lecz karykaturą Inkwizycji. W pierwszym

wypadku zainscenizowane przez Anglików i w drugim przez rząd francuski.

Muszę wreszcie dotknąć najbardziej rozreklamowanego zarzutu, dotyczącego tortur. Ponieważ przeciwnicy Inkwizycji uważają go za największy atut w swem ręku, omówię go bardziej szczegółowo. Najpierw rozpatrzę sprawę tortur pod względem prawnym, następnie na tle ówczesnych obyczajów i wreszcie w stosunku do obecnych praktyk policyjnych.

W procesie karnym istnieją dwa systemy: skargowy i śledczy. Według pierwszego, skarżący musi dowieść winy podsądnego i obaj wobec sędziego są równi — zwycięża ten, kto przedstawi silniejsze argumenty. W procesie śledczym uważa się, że ponieważ interes państwa został naruszony, należy za wszelką cenę wykryć przestępcę. Interes jednostki ginie wobec państwa i oskarżony, jeżeli inne drogi nie doprowadzą do celu, może być zmuszony do zeznań zapomocą tortur. O ile je wytrzyma i nie przyzna się, jest niewinny.

Tortury zostały przejęte z prawodawstwa rzymskiego i dopiero w XVIII wieku zostały zniesione (oficjalnie!!!). We Francji zniósł je Ludwik XVI.

Kościół tolerował tortury w sądach świeckich, lecz klerowi zabronił obecności przy nich i udział w nich powodował niezdolność sprawowania obowiązków duchownych. W procesach inkwizycyjnych stosowano je jedynie jako „malum necessarium". Używać ich tylko mogła władza świecka, lecz tak, aby nie były powodem kalectwa, lub utraty zdrowia. Każde wyznanie zdobyte przy pomocy bólu, traciło swą wartość, o ile po 24 godzinach dobrowolnie nie było powtórzone przed Sądem. Inkwizytor, jako duchowny, nie mógł być obecny przy badaniu. Każdorazowe tortury wymagały pozwolenia biskupa, biskupi dosyć niechętnie wydawali Albigensów w ręce władzy świeckiej. I tak Abaillard chociaż powrotny heretyk był żywiony w opactwie w Clugny. We Francji, podczas dwóch wieków walki z Katarami, zaledwie trzy razy były stosowane tortury.

Jeśli podsądny wyrzekł się błędów, wówczas kończyło się na karze naznaczonej przez spowiednika. Oporni byli skazywani na kary pieniężne, chłostę, pręgierz, piętnowanie, więzienie państwowe lub konfiskatę dóbr na rzecz skarbu. Wyżej

wspomniany ex-ksiądz Llorente zarzuca inkwizycji hiszpańskiej, iż „straciła" 234.526 ludzi. Jednak sam przyznaje, że z tej liczby 9600 było spalonych pozornie (ich wizerunki, sami uciekli), a 206.546 było skazanych na pokuty kościelne (najmniejsza ofiarowanie świecy, największa—udział w wyprawie krzyżowej). Józef hr. Tyszkiewicz w pracy swej p. t. „Inkwizycja hiszpańska" pisze, że po porównaniu różnych ustępów czterotomowego dzieła, okazuje się iż Llorente może naprawdę zarzucić stracenie 216 ludzi, w ciągu trzech wieków, czyli mniej niż jednego przez rok.

Należy jeszcze pamiętać, że każdy skazany był powtórnie sądzony przez świeckie sądy. Oprócz tego wielką rolę odgrywały sprawy polityczne. Żydzi na rzecz Maurów spiskowali przeciw Hiszpanom. Na skutek kilkakrotnych zamachów stanu został wydany edykt królewski, na mocy którego nakazano opuścić kraj żydom w ciągu dwuch lat. Żydzi odpowiedzieli rozruchami i zamordowali legata papieskiego. To też edykt został wykonany. Jedni zostali zmuszeni do wyjazdu, drudzy przyjęli chrześcijaństwo. Ci ostatni jednak uczynili to pozornie i otóż przeciw tym ukrytym żydom użyto Inkwizycji, która popadła pod silne wpływy świeckie i stała się ich narzędziem. Papieże nieustannie interwenjowali przy wydawaniu wyroków. Leon X rzucił klątwę na zbyt gorliwych inkwizytorów. Inocenty VIII w ciągu roku skasował 200 wyroków, Aleksander VI w r. 1498—250 i t.d.

Król hiszpański czuł się obrażony owem nieustannem wtrącaniem się Ojca św. do sądownictwa i nawet od 1509 zagroził karą śmierci za ogłoszenie w Hiszpanji rozporządzeń Rzymu przeciw trybunałowi inkwizycyjnemu. Państwo kościelne stało się schronieniem uciekinierów.

Przyjrzawszy się Inkwizycji katolickiej, spójrzmy teraz na to, co się działo wówczas w innych krajach. Dojdziemy do przekonania, że tam działo się stokroć gorzej, nie było zgoła żadnych krępujących ograniczeń.

Luter twierdził, że w obronie papistów żadne prawo nie przemawia, ani boskie, ani ludzkie. Gdy u Jakóba Gruet'a znaleziony został list niekorzystny dla Kalwina, wówczas stosowano do nieszczęśliwego dwa razy dziennie tortury, aby zwalił winę na Franciszka Favre, którego Kalwin chciał się pozbyć.

Gruet błagał katów o śmierć, której się doczekał dopiero po miesiącu. Serwet w obecności Kalwina został spalony. W Genewie za publiczne wyznanie katolicyzmu groziła kara śmierci. W Anglji za czasów Elżbiety w latach 1583—1603 ginie 60.000 katolików. Po spisku prochowym, na każdego księdza, któryby postawił nogę na gruncie angielskim i nie wyrzekłby się wiary, na każdą osobę, którаby się nawróciła, lub kogoś nawrócić usiłowała, kodeks karny przewiduje potrójną karę: szubienicy, ćwiertowania i wyrzucenia wnętrzności.

A cóż wreszcie powiedzieć o okrutnej zasadzie protestanckiej: czyje państwo, tego religja. Jeśli księciem jest protestant, to i poddani są zmuszeni do wyznawania jego wiary. Dość powiedzieć, że miasto Oppenheim 10 razy zmieniło swą religję do 1648 roku.

Spójrzmy teraz na tortury z piedestału kultury XX wieku. Czyż obecnie one nie istnieją? Czem to sobie wytłumaczyć, że różni zbrodniarze wyśpiewują na śledztwie potulnie wszystko o swych morderstwach. To zagadnienie dla nikogo nie jest tajemnicą. Raz po raz w różnych krajach podczas rozpraw sądowych padają oskarżenia pod adresem policji, które „pro publico bono" pomija się milczeniem. W imię prawdy należy przyznać, że powyższe praktyki stosowane są ukradkiem. Jeśli chodzi o tortury jawne to można powiedzieć na obronę średnich wieków, że taki renesans i inne epoki niosące „wyzwolenie" człowiekowi nie były lepsze. Widziały wbijanie na pal, lanie roztopionego ołowiu i rozrywanie końmi (Rawaillac 1610) i inne wszelkiego rodzaju najbardziej fantastyczne w swem okrucieństwie morderstwa, a rewolucja francuska, roniąca krokodyle łzy nad ofiarami Inkwizycji, przelała rzeki krwi niewinnej. Fotel elektryczny jest właściwie ulepszonym sposobem palenia na stosie. Jakie męki zadaje, może się każdy przekonać w miniaturze, chwyciwszy za przewodnik o słabym napięciu.

Nie jeden jednak entuzjasta „postępu" przed wojną mógł się łudzić, że w ciągu XIX wieku dobroczynne światło kultury wygnało z dusz ludzkich zwierzęce okrucieństwo. Dziś tych złudzeń nie mamy. Istnieją bowiem na świecie naprawdę na wielką, nowoczesną skalę zorganizowane dwie rzeźnie, dwie gehenny ludzkości: Meksyk i Rosja. Weźmy statystyki ludzi pomordowanych w owych krajach i zestawmy nawet z najbar-

dziej przesadnie powiększoną liczbą ofiar „mrocznego średniowiecza". Cóż za upokarzający stosunek? Nie będę wspominał o naszym wschodnim sąsiedzie. Zbyt dobrze są znane losy owych miljonów ludzi, którzy przewinęli się przez więzienia czrezwyczajki. Stosunki, panujące w Meksyku, są mniej znane, i oto kilka przykładów wyjętych z tysięcy podobnych: Anakleto Gonnales Flores, Ramou Vargas Gonzales i Jorge Vargas Gonzales byli katowani, potem wieszani na dachu więzienia, lecz ponieważ jeszcze żyli, byli kłóci nożami, kopani po twarzy, wreszcie zastrzeleni. Manul Bouillas został przybity do krzyża. W mieście sąsiednim młodym katolikom zdzierano skórę z głowy i z palców. I cóż na owe zbrodnie mówią liberałowie, radykali, socjaliści, ów kwiat postępu, szermierze „wolności"? Stają wyraźnie po stronie katów, lub w najlepszym razie milczeniem dają znak aprobaty*).

Reasumując to wszystko, co wyżej powiedziałem, należy stwierdzić: W duszy człowieka istnieją ukryte żądze krwi i mordów. Ujawniają się one we wszystkich czasach. Widzimy je i w średniowieczu, gdzie się objawiały między innemi w torturach. Wtedy jednak miały potężny hamulec w wierze Chrystusowej, która kilka wieków przedtem wróciła wolność miljonom niewolników. Dziś nic nie powstrzymuje namiętności. Duch niewiary ogarnia narody. Nadchodzą czasy, w których praktyki Inkwizycji stają się sielanką. Wtedy jeśli popełniono sporadycznie występek, wina płynęła ze zbytniej gorliwości młodego społeczeństwa. Dziś popełnia się masowe rzezie w imię zaspokojenia krwiożerczych instynktów bestji ludzkiej.

Józef Lubicz.

Co sądzić o strajku?

II.

Panujący wszechpotężnie w wieku XIX liberalizm, wyzuty z zasad chrześcijańskich, głoszący hasła niczem nieskrępowanej swobody i wolności, hamował należyte uporządkowanie stosunków socjalnych.

Nędza beznadziejna, jaka opanowała masy pracowników najemnych, dyktowała im radykalne posunięcia — zwłaszcza

*) Niedawno gazety donosiły o straszliwym torturowaniu sprawcy zamachu na ministra meksykańskiego.

wobec tych przemian, jakie nastąpiły w produkcji w okresie wprowadzenia szeregu wynalazków technicznych. Bezrobocie i wyzysk mas pracujących ze strajku uczyniły narzędzie buntów, dzikich, bezprawnych walk o polepszenie warunków pracy. Mordy, pożary fabryk, niszczenie maszyn były niemal nieodłącznemi akcesorjami ruchów strajkowych.

Rzecz oczywista, że strajki takie, jako odruchy rozpaczy, kończyły się całkowitą klęską, zwłaszcza, iż nie znajdowały usprawiedliwienia w ówczesnym ustroju prawnym. Surowe zakazy prawne w niczem sytuacji nie naprawiały, przeciwnie drażniły one zrozpaczone masy, pozbawione należytej ochrony prawnej, sprowadzając w konsekwencji coraz bardziej namiętnością zapalone walki socjalne. Dopiero zniesienie zakazów zrzeszania się, a w związku z tem, na skutek rozwoju związków zawodowych, strajki wybuchowe i połączone z rozruchami stopniowo zanikały. Strajki przybierały łagodniejsze formy. Zamiast buntów, rozruchów, mamy planową akcję, kierowaną przez przywódców robotniczych. Zakazy strajków stopniowo zostają uchylane — a odpowiedzialność karna redukuje się do zwykłych przestępstw, które akcesoryjnie przy strajku niejednokrotnie mają miejsce. Strajki stawały się rzadsze, bo z jednej strony opór pracodawców zorganizowanych był większy z drugiej zaś strony i związki zawodowe liczyły się ze swoim stanem finansowym, który miarkował lekkomyślne decyzje. Rozumie się, że związki zawodowe, ulegające silnym wpływom socjalistycznym i anarchistycznym nie mogły opanować należycie mas, poruszonych do strajku mirażami lepszego jutra.

Przywódcy robotników, chcąc mieć wpływ na masy i zachować kierownictwo w swych rękach musieli niejednokrotnie ulec tym masom i formy strajków zaostrzać, stąd też, gdy strajki ogłoszono, przybierały one formy ostre, trwały czas dłuższy, obejmowały coraz większe rzesze robotnicze, rozlewały się po całym kraju—stając się nierzadko strajkami powszechnemi i generalnemi.

W miarę jednak wzrostu uświadomienia społecznego w masach, w miarę tężyzny wewnętrznej i rozwoju związków zawodowych, strajk stawał się coraz rzadszym środkiem walki o poprawę bytu robotników, ustępując miejsca polubo-

wnemu rozstrzyganiu spraw socjalnych i akcji rozjemczej (Anglja, Niemcy).

Utrzymane w niektórych krajach kary za strajk, podyktowane interesem ogólnym, dotyczą wyjątkowo ważnych działów życia gospodarczego i społecznego np. zakazy strajków w piekarniach, szpitalach, na pocztach, kolejach, w urzędach państwowych i t. d.

Przebieg strajku zależy od wielu czynników m. in. od płci osób strajkujących, od charakteru narodowego, od stopnia uświadomienia obywatelskiego i t. d.

Pod koniec wieku XIX i na początku XX-go liczba strajków wzrosła, zwłaszcza w Anglji po 1910 r. Przyczyną ich—drożyzna, wzrost skali wymagań życiowych pracowników, ponadto spotęgowana działalność socjalistyczna.

W pierwszych latach wojny europejskiej strajki ustały. Tłumaczyć to zjawisko należy poczuciem patrjotyzmu mas pracujących, rzadziej presją rządową. W miarę jednak trwania wojny, a w konsekwencji pogarszania się sytuacji gospodarczej państw walczących, osłabiania tężyzny moralnej strajki w następnych latach wojny wybuchają, po obu stronach frontów. Po wojnie fala strajkowa płynie szeroko poprzez całą Europę Spotykamy się nietylko ze strajkami ekonomicznemi, ale i z politycznemi.

Strajki polityczne organizowali socjaliści i komuniści, pragnąc na wzruszonych i zachwianych pozycjach ustroju kapitalistycznego zorganizować ustrój kolektywistyczny.

Strajki te przybierały formy bardzo ostre—rewolucyj socjalnych. Najobfitszym w strajki był rok 1921. W roku tym strajkowało 13.219.179 pracowników, stracono 274.894.879 dni pracy—w Polsce w tym czasie strajkowało 531.670 ludzi, stracono 8.429.720 dni pracy.

Następne lata notują cyfry stosunkowo mniejsze:

Rok	Ilość zakładów	Ilość strajkujących	Ilość straconych dni pracy
1925	532	148.527	1.284.553
1926	590	145.493	1.422.540
1927	602	232.504	2.429.070

*
* *

Jak się na strajk zapatrywały najważniejsze teorje ekonomiczne?

Liberalna ekonomja miała niemało trudności z tem zagadnieniem. Liberalizm hołdujący zasadom wolności nie mógł nie uznać prawa botników do strajku.

Wszak wolność zaniechania pracy jest wynikiem wolności pracy. Strajk jednak przeszkadza w pracy innym robotnikom, chcącym pracować, przeszkadza swobodnej produkcji, hamuje proces powiększania zysków. Strajk zatem przeszkadza swobodnemu rozwojowi stosunków gospodarczych, które mają tendencję do układania się harmonijnie. Skoro jednak jednostka ma prawo zaniechać swej pracy, musi to uczynić i zbiorowość. Z tych jednak założeń wolnościowych płyną następujące konsekwencje:

Strajkujący nie mogą pozbawić nikogo prawa pracy (nie mają prawa wywierać przymusu strajkowego) nie mogą spełniać żadnych czynności prawem zakazanych, obowiązani są do odszkodowania za wyrządzoną osobom trzecim szkodę.

W Anglji związki zawodowe odpowiedzialne były majątkowo za szkody i straty, wyrządzone przez strajk.

Socjalizm uważa strajk za formę rewolucyjną walki klasy robotniczej z panującym i bezradnym kapitalizmem, rozgrzesza tę akcję całkowicie.

Istota strajku polega na tem, że wyrządza on straty przeciwnikowi, a ponieważ jest walką, przeto i osoby trzecie, choć nie wmieszane do zatargu, również muszą cierpieć. O odszkodowaniu nie można tutaj mówić, gdyż strajk jest walką, jest, niezwykłym, wyjątkowym objawem życia społeczno gospodarczego.

Dobro klasy robotniczej jest „Suprema lex" przeto dobro ogólne musi wobec potrzeb mas pracujących ustąpić.

Szkoła chrześcijańsko—społeczna uznawała zawsze możność strajku.

Na tem miejscu pozwolę sobie przytoczyć znakomite uzasadnienie tej kwestji, dokonane przez chlubę naszej socjologji katolickiej, jaką jest ks. prof. Antoni Szymański, wice rektor Uniwersytetu Lubelskiego, Prezes Związku Senjorów Stow. Młodz. Akad. „Odrodzenie". Otóż w dziele X. prof. Szymań-

skiego (na podstawie którego kreślę niniejsze uwagi o strajku) p.t. „Polityka Społeczna” str. 214 czytamy o strajku co następuje: „prawo przyrodzone nakłada na człowieka obowiązek pracy, ale nie ściśle określonej. Robotnik ma prawo pracowania u tego lub innego pracodawcy oraz w takich lub innych warunkach, o ile się tej wolności nie wyzbył na skutek umowy. Pracodawca nie ma prawa żądania, o ile nie zawarł umowy, aby robotnik u niego pracował. Samo zaniechanie pracy jest chwilowem, przeto nie sprzeciwia się obowiązkowi pracowania na swe utrzymanie. Powtóre, cel zaprzestania pracy jest ex supposito godziwy.

Zło zaś, stąd wynikłe, nie jest zamierzonem, lecz przypadkowem, zarówno w stosunku do osób trzecich, jak i względem pracodawcy. Robotnik nie wykonywa czynności, zmierzającej bezpośrednio do krzywdzenia pracodawcy, nie posługuje się wobec niego przymusem fizycznym, lecz jedynie wskutek niezgłoszenia się z pracą lub wskutek wstrzymania się od pracy, sprawia, że przemysłowiec ponosi straty, bo nie może uruchomić swych warsztatów pracy. Otóż te straty, rozumują robotnicy, powinny go skłonić do zadośćuczynienia ich słusznym postulatom.

Również pośrednie straty osób trzecich, niezamierzone, nie są dostateczną przyczyną do zaniechania swego prawa.

Nie każdy strajk jest godziwy. Warunki godziwego strajku są następujące: 1) dotrzymanie zobowiązań kontraktowych, czego domaga się sprawiedliwość, 2) godziwość celu, 3) konieczności.

W dalszych swych wywodach X. prof. Szymański analizuje wymienione wyżej warunki godziwego strajku.

Co do dotrzymania zobowiązań kontraktowych, to należy ustalić tezę, iż strajk zaczęty przed wygaśnięciem umowy jest niesprawiedliwy, a zatem obowiązuje do naprawienia krzywdy. Jednak można usprawiedliwić i strajk zaczęty przed wygaśnięciem umowy, muszą tu być jednak przyczyny ważkie i opierające się na sprawiedliwości, np. w czasie trwania kontraktu zaszły tak istotne zmiany, że zawarta umowa nie odpowiada obecnym warunkom, że np. wskutek spadku waluty zarobek nie wystarcza na pokrycie koniecznych potrzeb, że

wykonanie umowy naraża na bezpośrednie niebezpieczeństwo grzechu i t. p.

Godziwym strajk jest wówczas, gdy ma na celu obronę przed niesprawiedliwością, lub wywalczenie sprawiedliwego prawa. Jedno i drugie powinno być następstwem akcji ugodowej, kontraktowej, lub interwencji rządu. Stąd też do strajku można się uciec dopiero wtedy, gdy wszelkie środki pokojowe podyktowane roztropnością, poczuciem porządku społecznego i miłością chrześcijańską zawiodą.

Strajk popierającey, wszczęty dla obrony praw innych robotników, wtenczas tylko musi być usprawiedliwiony, gdy strajk główny jest sprawiedliwy i gdy przegrana strajku głównego zmieniłaby zasadniczo warunki pracy innych robotników, albo gdy pracodawca, u którego robotnicy nie strajkują, podtrzymuje pracodawcę, przeciwko któremu użyto strajku, lub współdziała z nim w utrzymaniu pozycji, będącej przedmiotem strajku. Gdy tych okoliczności niema, robotnicy, popierający cudzy strajk, wyrządzają szkodę temu, kto nie zawinił i kto niema bezpośredniego, ani może nawet pośredniego wpływu na usunięcie niesprawiedliwości lub zadośćuczynienie postulatom.

A zatem nasze uświadomione po katolicku społeczeństwo, oceniając godziwość strajku na powyżej zaznaczone pytania musi sobie odpowiedzieć, po dokładniejszym zbadaniu konkretnych warunków strajku.

Do trafności sądu trzeba mieć duże poczucie rzeczywistości, objektywne dane o strajku i gruntowną wiedzę ekonomiczno-społeczną, na których nam katolikom, odsuwanym i dobrowolnie odsuwającym się od trudności życia, nieraz zbywa.

W związku z oceną godziwości strajku wyłania się inne zagadnienie, a mianowicie: czy przymus strajkowania musi być uzasadniony?

Powodzenie strajku zależy w dużej mierze od niedopuszczenia do pracy „łamistrajków".

Powstaje zatem konflikt między strajkujacemi a temi, którzy chcą dalej pracować względnie temi, których przedsiębiorca chce do pracy zaangażować. Strajkujący chcą wykorzystać prawo strajku a niestrajkujący uniemożliwiają im zrealizowanie tego prawa, przyczem niestrajkujący powołują się

na wolność pracy, którą podejmują na utrzymanie. Zachodzi tutaj konflikt dwóch równych praw, a zatem prawo mniej ważne ze względu na okoliczności, musi ustąpić w ażniejszemu. Tak np. obrona przed niesprawiedliwością jest ważniejsza, niż zyskanie zarobku niekoniecznego do egzystencji, ale odwrotnie, konieczność zarobku na utrzymanie siebie i swej rodziny jest ważniejsze niż polepszenie dobrobytu lub znośnych warunków pracy. Ustąpić winni ci, których prawo jest mniej ważne, jeśli ustąpić nie chcą, wtedy ci, których prawo jest ważniejsze są uprawnieni do obrony środkami dopuszczalnemi przez prawo i godziwemi.

Mamy zatem tutaj zjawisko społeczne, do którego oceny potrzeba u przywódców wysokiego wyrobienia moralnego, roztropności i znajomości rzeczy.

Zarysowane zagadnienie strajku wysuwa szereg postulatów pod adresem naszego społeczeństwa katolickiego, musimy: 1) szerzyć zainteresowanie dla zagadnień społecznych, 2) starać się o wpływy w życiu gospodarczym i społecznym, 3) popierać organizacje zawodowe chrześcijańskie i 4) wychowywać przywódców robotniczych.

Zainteresujmy się powstającym w W-wie i innych środowiskach Chrześcijańskim Uniwersytetom Robotniczym, poprzyjmy jego prace, w tym przekonaniu, że niewątpliwie z jego grona wyjdą przywódcy pracowników, służący zasadom sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej.

* * *

W następnym i ostatnim artykule omówię gospodarcze i moralne znaczenie strajków, poczem zreasumuję w paru tezach poprzednie wywody i wskażę na coraz bardziej zmniejszającą ostrze strajków akcję polubowną i rozjemczą.

Bogumił Budka.

Metody pracy w Chrześcijańskim Uniwersytecie Robotniczym.

W numerze poprzednim pisaliśmy o powstaniu tej ważnej placówki kulturalno-oświatowej w duchu katolicko-społecznym, jaką jest Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy.

Obecnie chcemy poświęcić kilka uwag metodom pracy na terenie Uniwersytetu.

W miejscowości, gdzie istnieją chrześcijańskie związki zawodowe, Stowarzyszenia robotników chrześcijańskich, lub jedne i drugie założenie Uniwersytetu jest bardzo łatwe, bowiem wyżej wymienione organizacje dostarczą słuchaczy i bardzo często lokalu, a nawet w pewnych wypadkach już istniejącą bibljotekę będzie można zużytkować do akcji Uniwersytetu. Działacze więc, organizujący Ch. U. R. z upoważnienia Zarządu Głównego winni mieć to na uwadze, aby nie rozpraszać niepotrzebnie sił, lecz korzystać z gotowych już placówek.

Musimy tu przeprowadzić rozróżnienie dwóch rzeczy: samego stowarzyszenia Ch. U. R.-u i instytucji kulturalno-oświatowych przez to stowarzyszenie prowadzonych. Różnice między nimi zachodzące są takie, jak między przyczyną a skutkiem, wychowawcą a wychowankami, budowniczym, a budynkiem.

Do Stowarzyszenia Ch. U. R-u, a zwłaszcza jego zarządu wchodzić winni nieliczni działacze (od 70 do 20 osób), kierujący akcją kulturalno-oświatową danej miejscowości, a wykłady, odczyty, akademje, obchody, wycieczki, ćwiczenia sportowe, kursy, organizowane przez Stowarzyszenie Ch. U. R-u są z reguły dostępne dla jaknajszerszych mas ludności, a zwłaszcza młodzieży i im więcej ludzi będzie w nich brało udział, tym szersza i skuteczniejsza będzie działalność Ch. U. R-u.

Oczywiście działalność tę należy odpowiednio zorganizować aby ludzie się nie rozpraszali i nie zniechęcali, ani nie nudziła ich jednostajność ciągle jednych i tych samych funkcyj.

Wykłady perjodyczne przedmiotów (Literatura, Historja, Etyka, Ekonomja, Doktryna chrześcijańsko-społeczna, Arytmetyka, Przyroda i t. d.) nie są jedyną funkcją Ch. U. R-u i należy się z góry liczyć z tem, że zwłaszcza na początku działalności wykłady perjodyczne nie będą się cieszyły zbyt dużą frekwencją, raczej akademje i wieczory dyskusyjne będzie darzyć robotnik większą sympatją.

Większe zainteresowanie wśród młodzieży obudzą t. zw. sekcje, polegające na ścisłej współpracy kierownika z kilkoma lub kilkunastoma członkami (8—12 osób) w celu przerobienia jakiegoś specjalnego zagadnienia (np. Encyklika Rerum Novarum) i nauczenia ich równocześnie, przemawiania na temat tego zagadnienia. Sekcje takie przybierać powinny, tam, gdzie to jest możliwe, charakter szerszy t. zw. kursów: ideowych, dla in-

struktorów, dla prelegentów i t.d. i kończyć się nawet rozdawaniem świadectw tym, którzy je ukończą z wynikami dostatecznymi. Świadectwa takie winny dawać pierwszeństwo przy obejmowaniu posad instruktorów, prelegentów kulturalno-oświatowych i t. d.

Największe zainteresowanie wśród młodzieży wywołują niewątpliwie sport i wycieczki. Temu działowi trzeba będzie poświęcić oddzielny artykuł.

Na razie tylko zaznaczymy, że sport i wycieczki służą dwóm celom: 1) wyrobieniu fizycznemu młodzieży 2) daniu tej młodzieży godziwej rozrywki. Młodzież potrzebuje czegoś, odpowiadającego jej zainteresowaniom i potrzebom młodego temperamentu. Wychować młodzież musimy środkami nowoczesnemi. Musimy wytworzyć sport bez rozpasania obyczajowego, sport służący celom katolicyzmu.

Założenie i prowadzenie w danej miejscowości Ch. U. Rob. nie jest tak trudne, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Oczywiście, trudniejsze znacznie jest tam, gdzie niema organizacyj, na których możnaby się oprzeć.

W takich miejscowościach trzeba zacząć od zorganizowania elity zapomocą sekcyj, umiejętnie popularyzować instytucję wśród mieszkańców zapomocą dorywczych imprez, jak odczyty, akademje, obchody, a potem wynająć stały lokal i zorganizować perjodyczne przedsięwzięcia.

Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy — to wielki egzamin dla naszej inteligencji prowincjonalnej: duchownej i świeckiej. Socjaliści i radykali takie egzaminy zdawają wyśmienicie. Zobaczymy, czy inteligencja katolicka zbudowana jest z gorszej, czy lepszej gliny.... *S. J. K.*

Idea morska w Polsce przedrozbiorowej.

W społeczeństwie naszem utarło się powszechne mniemanie, że byliśmy zawsze narodem nawskroś lądowym i że obcemi nam były wszelkie dążenia morskie. Jest to pogląd w wysokim stopniu błędny i przeczą jemu nasze dzieje, a w szczególności historja owych czasów, kiedy naród dojrzewał i zajmował mocarstwowe stanowisko w Europie. Przyczyn rozpowszechnienia tego błędnego miemania szukać należy w dwóch źródłach:

1) Nić tradycji łączy nas najsilniej z czasami, które sto sunkowo niedawno przeszły, t. j. z wiekami XVIII i XIX, wiekami upadku i niewoli,

2) Pęd ku morzu występuje najsilniej u narodów w okresie ich dojrzewania i rozkwitu, co u nas miało miejsce w stuleciach XIV — XVI.

Zanim jednakże przejrzymy, choć pobieżnie, historję naszą i wskażemy na cały łańcuch wypadków, stwierdzających dążenia ku morzu u naszych praojców, należy nam samym, ich potomkom, jasno sobie uwydatnić, dlaczego każdy naród ku morzu dąży i dlaczego właśnie owo dążenie występuje najsilniej w okresie dojrzewania i rozkwitu danego narodu?

Aby odpowiedzieć na te dwa pytania, przypomnijmy sobie przedewszystkiem, że żaden naród, rozwijający się normalnie, nie może się rozwijać bez pomocy inych narodów i dla osiągnięcia tego rozwoju musi z temi innemi narodami wejść w stosunki. Tylko bowiem przez zawiązanie takich stosunków może on łatwiej i szybciej się rozwinąć, zdobywając sobie wszystko to, czego mu brak, a co posiadają jego sąsiedzi. Do zawiązania stosunków tego rodzaju potrzebna jest zawsze wygodna, a pewna arterja komunikacyjna. Najpewniejszą i najwygodniejszą, bo zawsze otwartą, bezpłatną jest droga morska. Zrozumiała to ludzkość od zarania swych dziejów i od wieków też dążyła ku morzom.

Podają nam to w starożytności legendy o wyprawach Fenicjan, Greków i Indusów oraz fakty o utworzeniu rzymskiej potęgi na morzu; mówi o tem średniowiecze w podróżach Hanzeatów, Normanów i Wenecjan; wskzują na to dzieje nowożytne w odkryciach nowych holenderskich, hiszpańskich i portugalskich, a wreszcie czasy najnowsze w kolonizacji zamorskiej Anglików, Francuzów, Niemców i Włochów. Pęd ku morzu występuje u narodów różnych ras, wierzeń i upodobań, a cechą wspólną dla tych narodów jest to, że występuje on zawsze wtedy, kiedy dany naród dojrzewa i rozkwita.

Nieobcym był też pęd ku morzu i w Polsce. Historja jego da się podzielić na dwa okresy: pierwszy, kiedyśmy ku morzu dążyli, i drugi, kiedyśmy to morze osiągnęli. Początki pierwszego datują się od chwili wprowadzenia chrześcijaństwa,

t. j. od wieku X, a drugi rozpoczyna się od 1466 r., kiedy zwyciężony Zakon Krzyżacki musiał podpisać pokój Toruński.

W pierwszym okresie widzimy systematyczne parcie ku brzegom Bałtyku naszych pierwszych Piastów: Mieszka I, sięgającego po Szczecin, Bolesława Chrobrego, fundującego biskupstwo w Kołobrzegu, i Bolesława Krzywoustego, pana na wybrzeżu morskiem od Szczecina za Gdańsk. Mimo podział państwa, mimo zamieszki wewnętrzne, mimo napady tatarskie i litewskie, mamy wyprawę Leszka Białego, zakończoną tragicznie w Gąsawie, który chciał siłą zmusić swego krnąbrnego wielkorządcę pomorskiego do należnego posłuszeństwa, i widzimy zwiastuna scalającej się Polski Przemysława, wkładającego na swe skronie koronę królewską po objęciu z powrotem Pomorza. Pierwsza połowa XIV wieku daje nam rozpaczliwe walki Łokietkowe z zaborczym Zakonem Krzyżackim, który tradycyjną zdradą i przeniewierstwem odepchnął nas od Bałtyku. Zrozumienie ważności tego dostępu było już szeroko rozpowszechnione w narodzie, bo pieśń ówczesna ostrzegała Kazimierza Wielkiego, aby nie zawierał pokoju z Krzyżactwem, nim nie odzyska Gdańska. Naród polski rósł, potężniał i parł ku brzegom bałtyckim, jak lawina. Przeciwko trzymającym nas za gardło u morza Krzyżakom zawarto unję z Litwą i grunwaldzka wiktorja dała znać Europie o powstaniu na wschodnich rubieżach nowego olbrzyma. Olbrzym ten w trzynastoletnich krwawych zapasach obalił niemieckiego zaborcę swych dzierżaw nadmorskich i, po wspomnianym poprzednio pokoju Toruńskim, zasiadł z powrotem na bursztynowem wybrzeżu.

Rozpoczął się drugi okres posiadania Bałtyku. Początkowo ze zwykłą nam dobrodusznością popełniono cały szereg omyłek. Pozostawiono albowiem lenno pruskie na wschodzie, dano hojne przywileje niemieckiemu Gdańskowi, nie zainteresowano się bliżej wygasającą dynastją książąt szczecińskich, nie dążono do ścisłego zespolenia Prus Królewskich z macierzą. Lecz trwało to niedługo: wojna z Moskwą otworzyła Zygmuntowi Augustowi źrenice na potrzebę posiadania własnej marynarki wojennej, na konieczność okiełznania Gdańska, na nieodzowność wcielenia Prus Królewskich do korony. W 1562 r. zatrzepotała nad bałtyckiemi falami bandera polskiej marynarki

wojennej, *) do hardego Gdańska przybyła komisja Karnkowskiego, a ślady autonomiczne w Prusach Królewskich zmiotła Unja Lubelska. Jednocześnie polskie wybrzeże morskie rozciągnęło się przez shołdowaną Kurlandję i uzyskane Inflanty do zatoki Fińskiej. O utrzymanie tego nowego pasa nad morzem walczył niezmordowanie z Moskwą Stefan Batory, umiejący ukracać buntownicze podmuchy Gdańszczan. Naród w całej pełni oceniał znaczenie tego wybrzeża morskiego, powołując na tron szwedzkiego królewicza, Zygmunta Wazę, i domagając się w pacta'ch conventa'ach od każdego elekta, aby tworzył flotę wojenną na Bałtyku. Tego ostatniego żądano nieprzerwanie od Walezjusza do Jana Kazimierza. Wszystkie światlejsze umysły w Polsce ówczesnej biły na alarm o potrzebie morza. Pisała to Anna Jagiellonka, głosili o tem kanclerze Zamoyski i Ossoliński, wskazywał na to hetman Koniecpolski i arcybiskup Solikowski. Konieczność panowania na morzu wystąpiła w całej pełni podczas wojen szwedzkich za Zygmunta III. Do gruntownych przygotowań w tej dziedzinie przystąpił Władysław IV. Tworzył on port koło Wielkiej Wsi u trzonu dzisiejszego półwyspu Helskiego, sypał fortyfikacje nadmorskie, zaciągał marynarzy do swej marynarki królewskiej, przeznaczał część dochodów z ceł morskich na utrzymanie floty, powołał do życia pierwsze w Polsce ministerjum morskie, t. zw. Komisję Morską, która działała sporadycznie za Zygmunta Augusta i Zygmunta III. Lecz zachodziło już słońce potęgi polskiej—szerokie niwy ukraińskie nęciły urodzajem, żyłka przedsiębiorczości ginęła coraz bardziej, rozpoczynał się zastój umysłowy i polityczny. Wkrótce nadeszły wojny Potopu, a niebawem na wawelskim zamku koronował się Sas. Sprawy morskie w Polsce umilkły. Jeszcze, jako ostatnie wspomnienie, mignęła próba po I rozbiorze Prota Potockiego uruchomienia żeglugi polskiej na morzu Czarnem, lecz i to roztopiło się w chwilach upadku i utraty niepodległości.

inż. Witold Hubert.

---

*) Godło tej bandery—ręka z krzywym mieczem—jest obecnie umieszczone na t. zw. proporcach naszej marynarki wojennej, czyli flagach, wywieszanych na dziobach okrętów wojennych, posiadających artylerję średniego i wielkiego kalibru.

Z teki p. Boya—Żeleńskiego.

Prasa codzienna doniosła, że wreszcie czynniki wpływowe zdecydowały się zagrać w otwarte karty i ogłosić projekt prawa małżeńskiego, przygotowany przez komisję kodyfikacyjną. Że projekt ten będzie sprzeczny z prawem kanonicznym i zasadami Kościoła katolickiego, nie ulega już dziś, niestety, wątpliwości.

Nic więc dziwnego, że jeszcze przed ogłoszeniem projektu rozpoczęła się w prasie sanacyjnej i radykalnej kampanja przeciwko *zasadom* małżeństwa katolickiego, inspirowana przez tych. którzy oddawna w ciszy swych lóż i gabinetów szykują się do stopniowego i systematycznego niszczenia wszystkiego, co katolickie w Polsce.

Organ obrządku szkockiego, „Epoka" wystąpiła w kilku artykułach, zbrojnych w argumenty przebrzmiałe już nieco i przestarzałe zagranicą, a powtarzane z uporem „radosnej twórczości" przez naszych rodzimych „uczniów" i „terminatorów".

Na niższym jednak i to znacznie poziomie stoją drukowane w „Kurjerze Porannym" feljetony p. Boya-Żeleńskiego, na temat zagadnienia małżeństwa i ślubów cywilnych.

Po przeczytaniu ich, zdumienie musi ogarnąć, każdego nieuprzedzonego czytelnika, który słyszał o Boyu-Żeleńskim, jako o znanym tłumaczu pism autorów francuskich, między którymi przecież, oprócz „Żywotów pań swawolnych", znajdowały się również i dzieła poważne..., jako o autorze ciekawych dowcipnych i pisanych z dobrym smakiem krytyk teatralnych.

Niestety, zdarza się często, że lekarz nie potrafi uleczyć samego siebie, a krytyk skrytykować swoich własnych wystąpień pseudopublicystycznych. Prawdy te najdobitniej odzwierciedlają feljetony p. Żeleńskiego.

Tłumacz i krytyk teatralny zapragnął zostać prawodawcą i nieledwie reformatorem religijnym i skompromitował się setnie. Wywody jego zarówno w treści, jak i formie stoją doprawdy na poziomie trzeciorzędnego conferencier'a prowincjonalnego qui pro quo.

To też z prawdziwym niesmakiem przystępujemy z najcięższego obowiązku do omawiania tych feljetonów. Trzeba będzie potem przepłukać usta wodą kolońską i odczytać na głos kilka ustępów z Balzaka, lub Sienkiewicza...

A więc odwagi—pogrążmy się na chwilę z grząskiej topieli „argumentów“ p. Żeleńskiego.

Trudno z nich wyłowić coś istotnego, gdyż wszystkie one obracają się w dziedzinie rozmaitych insynuacyj i inwektywów przeciwko hierarchji kościelnej, a zwłaszcza konsystorzom (ecrasez l'infame, il restera toujours quelque chose) — oraz bardzo płaskich dowcipów. Zróbmy jednak próbę posegregowania ich na pewne dziedziny.

Pierwszy argument dotyczy adwokatów konsystorskich. P. Żeleński zarzuca im niski poziom moralności zawodowej, który przejawia się w tem, że dopuszczają się jakoby częstych szalbierstw, poszukując dowodów per fas et nefas. Na poparcie tego zarzutu przytacza urywki listów, oczywiście bez nazwisk autorów, które miał otrzymać w tej sprawie. I na tem się opierając, domaga się reformy prawa małżeńskiego.

Nie będziemy kwestjonowali autentyczności, tych listów, choć sprawdzić ich nie mamy sposobu. Na inną natomiast okoliczność zwrócimy uwagę, p. B. Ż. Szalbierstwo, oszustwo i krzywoprzysięstwo są, niestety, występkami popełnianymi często przez ludzi, zwłaszcza w postępowaniu sądowym, gdy interesy stron są poważnie zagrożone i jednostki o niskim poziomie moralnym pragną je ratować za wszelką cenę.

Czy sąd państwowy, lub konsystorz, zdolny jest wykryć i udowodnić wszelkie szalbierstwa i oszustwa, popełnione w postępowaniu przez ludzi złej woli?

Czy takie fakta nie zdarzają się stale od początku świata zarówno przed sądami duchownymi, jak i świeckimi? Czy sądy nie są wobec nich często bezsilne?

Niech p. Ż. przysłucha się kiedy uważnie zeznaniom świadków, składanym przed sądem pokoju, a wówczas przekona się, iłu świadków kłamie w ten sposób, że nikt im tego nie udowodni, przekona się, jak niezwykłej trzeba znajomości przedmiotu, przytomności umysłu i intuicji ze strony sędziów, żeby odróżnić prawdę od fałszu i zakwalifikować, które zeznania są wiarogodne, a które nie, jak bardzo często najlepsza znajomość prawa i najdłuższa praktyka są bezsilne wobec coraz bardziej perfidnych pomysłów.

Jakie p. Ż. ma dowody, że sędziowie świeccy są pod tym względem lepsi i pewniejsi od duchownych, że sądzenie spraw mał-

żeńskich przed sądami świeckiemi zapewniłoby lepszy wymiar sprawiedliwości.

Zupełnie przeciwnie. Twierdzę, że ilość nadużyć zwiększyłaby się przy małżeństwie świeckim poprostu dlatego, że więcej byłoby sposobności do nadużyć więcej t. zw. „kruczków".

Gdy dzisiaj strony stają przed konsystorzem i żądają unieważnienia, powoływać się mogą na brak formalnego ślubu (matrimonium non ratum), brak wieku żądanego przez prawo, przymus, błąd, co do tożsamości osoby, brak zdolności fizycznej, bigamję, śluby zakonne, lub wyższe święcenia, pokrewieństwo, lub powinowactwo, przestępstwo i niechrześcijańską religję jednej ze stron. To bodaj wszystko.

Otóż po zaprowadzeniu „ślubów cywilnych" te same powody do unieważnienia, służyć będą częściowo do unieważnienia, a częściowo do rozwodu (może z wyjątkiem ślubów zakonnych i święceń kapłańskich, który to powód zachodzi bardzo rzadko). Ale prócz nich jeszcze inne, między którymi główną rolę będzie odgrywać t. zw. złośliwe opuszczenie i cudzołóstwo jednej ze stron (istniejące już w obecnym kodeksie w części dotyczącej protestantów).

Jakież to wielkie pole do nadużyć. Wszak wiele osób, chcących się rozwieść będzie poprostu rozmyślnie dopuszczało się zdrady małżeńskiej lub „złośliwego opuszczenia" małżeńskiego, aby tylko uzyskać ozwód. Przepis taki będzie stanowił prawdziwą premję za szalbierstwo. To co dzisiaj dzieje się wyjątkowo (oszukańcze dowody), będzie wówczas na porządku dziennym.

Jak w świetle tej analizy wygląda teza p. B. Ż., że dla zmniejszenia istniejących nadużyć należy czemprędzej zaprowadzić śluby cywilne. Wszak nadużycia te przy małżeństwie cywilnem jeszcze bardziej się zwiększą! Otem mówi statystyka rozmaitych państw.

Jedno z dwojga. Albo p. B. Ż. nie zdaje sobie z tego sprawy, a wówczas można podziwiać jego nieinteligencję w dziedzinie przedmiotu, o którym tak szeroko pisze, albo też liczy na to, że feljetony jego będą czytywane tylko przez ludzi niekompetentnych i płytkich, lubujących się w pieprznych kawałach, i tłustych dowcipach.

Tym razem istotnie p. B. Ż. przeholował. Będąc „medecin malgré lui z wykształcenia, a literatem z powołania, chciał wi-

docznie zostać prawnikiem i został nim, ale—z nieprawdopodobnego zdarzenia!

Posłuchajmy kilku prawniczych ujęć p. B. Ż.:

„Młoda kobieta... (feljeton po b. odpowiednim tytułem: „Staśko z Dideretem, czyli flaki z olejem" w № 20 „Kurjera Porannego") zmienia religję i przeprowadza rozwód. Drugi mąż, korzystając z jej nieprawidłowej i nie chronionej prawem pozycji, wyzuwa ją z majątku, przeprowadza w sekrecie w konsystorzu katolickim unieważnienie małżeństwa (przyczem konsystorz nie zawiadomił jej ani o sprawie, ani o wyroku), poczem żeni się z inną, ograbiwszy tamtą ze wszystkiego, nawet z mieszkania. I nie ma wobec niej żadnych obowiązków; małżeństwo jego jest niebyłe.

Już w tym ustępie jest jeden nonsens z punktu widzenia prawnego: Oto drugi mąż nie mógł w żadnym wypadku ograbić tej pani, nawet gdyby bowiem został zwolniony przez sąd cywilny z płacenia jej alimentów — to w każdym razie nie mógłby niczego zatrzymać z jej osobistego majątku. A może p. B. Ż. nie wie o tem, że stosunki majątkowe między b. małżonkami po rozwiązaniu małżeństwa reguluje nie konsystorz, lecz sąd cywilny, a konsystorz tylko określa, po czyjej stronie jest wina?

Na pozór wydawałoby się, że nie wie, bo oto, co wypisuje w drugim feljetonie zatytułowanym wojowniczo: „kościelne bigamje":

„Pierwszą żonę po unieważnieniu małżeństwa mąż zostawił bez żadnego zaopatrzenia, pozbawił ją nawet mieszkania (ogromnie podobne do poprzedniego wypadku — przypisek red.). Kościół, uznając małżeństwo za niebyłe zwolnił go miłosiernie ze wszystkich obowiązków".

Jakby z sensu tego zdania wynikało, Kościół zwolnił go również z obowiązku zaopatrywania pierwszej żony, czyli według p. B. Ż. konsystorz miałby prawo ingerować w stosunki majątkowe, dotyczące już nie sakramentu, ale kontraktu. Ale cytujmy dalej:

„Pokrzywdzona żona wytoczyła proces przed sądem (domyślamy się, że cywilnym — p a.) otóż sąd wyrokiem swoim, skazującym męża na płacenie atimentów, stwierdził, że pierwsze małżeństwo jest legalne i ważne, a tem samem drugie, zawarte — najlegalniej z punktu kościelnego — w kościele katolickim, stało się wobec prawa konkubinatem. Gdyby sąd miał odwagę być konsekwentny, wytoczyłby temu mężowi proces o bigamję, księdzu zaś o to, że dał ślub człowiekowi legalnie żonatemu".

Gdyby p. B. Ż. przystępując do omawiania tych zagadnień zadał sobie trud chociażby pobieżnego przejrzenia naszego prawa małżeńskiego, dowiedziałby się zaraz:

1) że konsystorz nie może miłosiernie, czy nie miłosiernie

wydawać orzeczeń dotyczących stosunków majątkowych, gdyż te należą do sądów cywilnych i z reguły po każdym procesie konsystorskim odbywa się proces cywilny o uregulowanie stosunków majątkowych,

2) że wyrok skazujący na płacenie alimentów nie dowodzi jeszcze, że małżeństwo było legalnie zawarte, gdyż bardzo często na skutek unieważnienia małżeństwa jedna ze stron zostaje skazana na płacenie alimentów,

3) że sąd cywilny nie mógł wydać i napewno nie wydał orzeczenia w sprawie ważności małżeństwa zawartego w kościele katolickim, gdyż to należy do kompetencji właśnie sądów konsystorskich

4) że w wypadku bigamji prokurator obowiązany jest wszcząć sprawę z urzędu o stwierdzenie nieuczności byłego małżeństwa i o ukaranie strony winnej. Wypadek jednak, zacytowany przez p. B. Ż. nic z bigamją niema wspólnego.

Jest to poprostu kolizja prawna, sprzeczność zachodząca między częścią kodeksu małżeńskiego, dotyczącą katolików, a częścią, dotyczącą protestantów.

Poważny publicysta, piszący o tym zagadnieniu, zwróciłby uwagę na istnienie tej kolizji i konieczność jej usunięcia zapomocą znowelizowania odpowiedniej części kodeksu. P. Żeleński natomiast gmatwa tylko tę sprawę, której sam widocznie dobrze nie rozumie, ale gmatwanina ta nie jest pozbawiona pewnej tendencji. Istnieje plan w tym szaleństwie...

Czyżby p. Żeleński nie zdawał sobie sprawy, że całe jego „rozumowanie" w zastosowaniu do wyżej opisanego konkretnego wypadku da się odwrócić i zastosować przeciwko młodej damie, którą bierze w obronę. Wszak rzuca ona swojego pierwszego męża, któremu jest poślubiona według zasad małżeństwa katolickego, przechodzi na inne wyznanie i poślubia drugiego, aczkolwiek Kościół Katolicki nie unieważnił pierwszego węzła. Według własnych, aczkolwiek błędnych zasad rozumowania p. Żeleńskiego byłby to typowy przykład bigamji. Lecz, jeżeli tak—to to drugie małżeństwo słusznie zostało przez konsystorz unieważnione! Czemuż się więc gniewa o to „Boy-Mędrzec"?

A może według p. Żeleńskiego tylko małżeństwa, zawarte w kościele protestanckim, kalwińskim, czy prawosławnym są ważne i górują swoją wartością nad małżeństwami katolickiemi.

Jedno z dwojga: albo p. Ż. jest zwolennikiem wyżej wymienionej koncepcji, albo przewrócił się fatalnie na sliskim terenie własnego „rozumowania". Zacytujmy jego własne słowa:

„I kiedy się widzi to absolutne liczenie na bezkrytyczność, powiedzmy na... głupotę czytelnika; kiedy się widzi złą wiarę argumentów, zaparcie się elementarnej rzetelności i logiki, doprawdy ogarnia smutek i zniechęcenie".

Wierzymy... wierzymy... Smutek i zniechęcenie ogarnęły p. Żeleńskiego. Napisał w feljetonie, „że trochę sublimowanej" p.......... jest może najistotniejszym tworzywem idealnego pedagoga", puscił nowe wydanie „Flirtu z Melpomeną", wziął udział w wyborze Mis Polonji, a potem napisał jeszcze jeden feljeton o „konsystorskich dziewicach". Jego moralność stupięćdziesięcioprocentowego „liberała" i „wolnomyśliciela" wzdrygnęła się na widok potwornych praktyk konsystorskich.

Przypatrzmy się temu godnemu obliczu, opromienionemu szlachetnym oburzeniem przeciwko szalbierzom i podwójnym buchalterom. Czy wam nikogo nie przypomina?

Gdyby Molier żył w dzisiejszych czasach stworzyłby niewątpliwie nowe wcielenie Tartuffe'a, żerującego, tym razem na liberaliźmie i wolnomyślności.

O! bo w dzisiejszych czasach daleko większą można zrobić karjerę na walce z Kościołem, niż na jego obronie. Tylko rozpocząć, a posypią się zaraz nagrody i odznaczenia. Trzeba tylko mieć dobry węch i zręcznie ucharakteryzować swoją postać à la Wolter i encyklopedyści, à la cyrulik sewilski, — Figaro—Beaumarchais—według najświeższych i najbardziej nowoczesnych pojęć—z połowy XVIII-ego wieku...

* * *

Dwieście lat upłynęło od tego czasu, a p. Żeleński tkwi po uszy w trzęsawisku tych pojęć i metod przedpotopowych i ogłasza je dziś w Polsce, jako jakąś nadzwyczajną rewelację.

Ależ, panie, obudź się pan, nie narażaj się pan na śmieszność! Mamy za sobą cały wiek 19-ty. Wszak Quetelet już wymyślił statystykę. Mamy rezultaty liczbowe wyników, do jakich doprowadziło małżeństwo świeckie we Francji, w Anglji, w Stanach Zjednoczonych. Liczby te dotyczą w pierwszym rzędzie ciągle wzrastających rozwodów, następnie coraz liczniejszych objawów demoralizacji, a w końcu — katastrofalnej depo-

pulacji, której ofiarą padła Francja w rezultacie zastosowania w życiu doktrynek, których heroldem chce być p. Żeleński na gruncie polskim.

Ale to nie pójdzie tak łatwo. Nie wystarczy przetłumaczyć kilkadziesiąt dzieł literatury francuskiej i napisać kilka tysięcy mniej lub więcej frywolnych feljetonów, aby stać się od razu i socjologiem i prawnikiem i poważnym publicystą.

To też niech się nie łudzi p. Żeleński. Feljetony jego przeczyta z mniejszym, lub większym zadowoleniem ta kategorja czytelników, która należy do jego stałych wielbicieli, względnie wielbicielek — p. Żeleński już wie jaka.... lecz ludzie poważni przejdą nad nimi do porządku dziennego z uśmiechem politowania.

Wszak i sympatycznej naszej prymadonnie, Zuli Pogorzelskiej nieraz zdarzało się śpiewać o królu na deskach jakiegoś czarnego kota, czy qui pro quo, lecz mimo to nikomu nie przyszło na myśl nazwać ją badaczem myśli monarchistycznej w Polsce

* * *

W wywodach swoich używa p. Żeleński najordynarniejszej demagogji i drwin ze zdrowego rozsądku, zapomocą rozmaitych sofistycznych sztuczek.

Rozumuje np. w ten sposób: Katolicy popełniają najrozmaitsze nadużycia przy pomocy adwokatów konsystorskich, aby tylko pozbyć się niewygodnych więzów małżeńskich. Stąd rzekomo ma płynąć wniosek, iż Kościół powinien zmienić swoje ustawodawstwo małżeńskie i dostosować je od poziomu moralności przyjaciół i korespondentów p. Żeleńskiego.

Z tą sama słusznością możnaby np. żądać, aby państwo zniosło artykuły kodeksu karnego, nakładające karę na morderców, złodziei i fałszerzy, bo wszak istnieje wiele osób, dla których te przepisy są niewygodne. Dalejże więc — dostosować kodeks karny do poziomu moralności górnej części społeczeństwa!

Drugim argumentem p. Boya, którym chętnie szermuje jest kilka kolizji prawnych w obecnym prawie małżeńskim, którym zresztą p. Ż. nadaje charakter jakichś niezwykle groźnych i niebezpiecznych dla państwa konfliktów. Zgadzamy się, iż należy te kolizje usunąć. Ale p. Żeleński podaje, jako sposób ich usunięcia małżeństwo świeckie. I tu znówu występuje na jaw w całej swej okazałości jego niesłychana ignorancj .

Nie zdaje sobie widocznie sprawy, że system małżeństwa świeckiego nie tylko nie usunąłby tych konfliktów, ale by je do najwyższego stopnia zwiększył. Kościół ma bowiem swoje „non possumus", z których ustąpić nie może i nie ustąpi.

Wszak już raz za czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego obowiązywał u nas małżeński kodeks cywilny Napoleona. Lecz biskupi wówczas uznawali za ważne tylko małżeństwa zawarte w kościele, a wszelkie inne uważali za dowolne związki i konkubinaty. Jakie stąd wynikły w społeczeństwie kolizje i tragedje rodzinne — łatwo się domyślić aż wreszcie prawo małżeńskie zostało dostosowane do potrzeb katolików wierzących.

Cała opinja katolicka stała w tej walce jak jeden mąż po stronie episkopatu.

Czy p. Żeleński sądzi, że dzisiejsi katolicy ulepieni są z gorszej gliny i pozwolą tak łatwo na narzucenie sobie praw pogańskich, sprzecznych z zasadami ich religji! Zaiste, nie tędy droga do usuwania konfliktów między władzą świecką, a duchowną no i obywatelami wyznania katolickiego...

* * *

Pozostawiliśmy na koniec zarzut najcięższy. Oto p. Boy Żeleński tak przesiąkł widocznie atmosferą literatury francuskie XVIII wieku, że przejął w swoich pseudopublicystycznych wystąpieniach ówczesną zasadę taktyczną: „Ecracez, ecrasez l'infame, il restera toujours quelque chose!"

Stąd wypływa cały szereg nierzetelności, rozmaitych insynuacji, udogodnień i inwektywów, od których się roją wprost jego feljetony.

Do takich należy np. demagogiczny, gołosłowny i niczem nie udowodniony zarzut, jakoby konsystorz stosował w sprawach małżeńskich podwójną miarę, jedną dla biednych, drugą dla bogatych.

Niewątpliwie, zawsze bogatym łatwiej korzystać z życia niż biednym; i w urzędach i w sądach, wszędzie mają szereg ułatwień. Tak już, niestety, jest na świecie. W sądach np. mogą korzystać ze zdolnych adwokatów, wyszukiwać dowodów, choćby drogą uczciwą, lecz kosztowną (podróże, listy, fachowa porada) i t. d. Lecz wszak dzieje się to nietylko na terenie konsystorza.

Niech p. Żeleński uda się do sądów państwowych, a zobaczy to samo.

Stawianie zaś takich zarzutów konsystorzom jest szczytem demagogji i nieuczciwości w polemice. Wszak, jeśli chodzi o osądzenie sprawy, konsystorz nie może inaczej osądzić, jak tylko zgodnie z wyraźnymi przepisami kodeksu kanonicznego. Że przepisy te nie są zrozumiane przez klijentów, a zwłaszcza przez tych, kiórzy sprawę przegrali (zwykle jedna ze stron sprawę przegrywa, a druga wygrywa)—temu się nie dziwimy, objaw taki występuje i w sądach państwowych. Niech p. Boy opublikuje listy skazanych w ciągu jakiejś sesji klijentów jakiegoś sądu pokoju, a przekona się jakie będą skargi i niezadowolenia.

Przejdźmy teraz do uogólnień p. Żeleńskiego. W feljetonach swoich cytuje kilka nadużyć, popełnionych jakoby przez adwokatów konsystorskich. Jeżeli istotnie miały one miejsce—wszyscy przyłączą się do ich potępienia. Ale tu chodzi o co innego. Oto p. Żeleński w sposób perfidny uogólnia te zarzuty, łącząc je z zarzutami przeciwko duchowieństwu. Np. w ostatnim feljetonie pisze:

„Kamień grobowy odwalono Polska zaczęła żyć własnym życiem. Natychmiast kler wyciągnął rękę po nią niby po swoje prawe dziedzictwo...

A nieco dalej:

„Ta walka o władzę tłumaczy „podwójną buchalterję” konsystorza wobec tłumu a wobec uprzywilejowanych: tłum trzymać siłą, a możnych tego świata—ustępliwością. Stąd pobłażliwość dla jednych, nieprzejednanie dla drugich; stąd armja konsystorskich adwokatów, która się stała zorganizowaną instytucją fałszu i świętokradztwa. Stąd wynalazek nad wynalazki; — „konsystorskie dziewice”...

A więc uogólnienie. To co uczynił podobno (p. Żeleński żadnego faktu konkretnego z nazwiskami nie podał) jeden czy drugi adwokat, zwalane jest na barki całej palestrze, z której p. Żeleński robi coś w rodzaju zorganizowanej szajki przestępców. Nie dosyć na tem. Zarzuty przeciwko duchowieństwu i konsystorzom, są tak powiązane z zarzutami przeciwko adwokatom, że każdy przeciętny czytelnik je zidentyfikuje i powiąże z sobą, widząc głównych winowajców rzekomych nadużyć w hierarchji kościelnej.

Ecrasez ecrasez l'infame il restera toujours quelque chose...

A coby powiedział p. Żeleński, gdyby ktoś wysuwając pewne zarzuty przeciwko temu, lub owemu pisarzowi, czy kryty-

kowi teatralnemu, oświadczył, że wszyscy krytycy, pisarze, tłumacze są skończonymi szalbierzami, oszczercami i korsarzami przemysłu prasowego!

Niewątpliwie, byłoby to oszczerstwo, przesada, a przedewszystkiem uogólnianie poszczególnych wyjątków, branie części za całość...

* * *

Z uczuciem prawdziwej ulgi kończymy tę polemikę. Mamy wrażenie, jakbyśmy po przebyciu jakichś straszliwych bagnisk, owianych trującymi wyziewami, odetchnęli zdrową, normalną atmosferą.

Jeżeli z najcięższego obowiązku podjęliśmy ten wysiłek — to tylko dlatego, aby zdemaskować jedną z tych niesamowitych i ponurych masek, wędrujących bez celu tam i z powrotem po powierzchni życia polskiego — nakształt tych larw, opisywanych przez Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu", nakształt tych duchów potępionych, przedstawionych z tak straszliwą plastyką przez Dantego w jego „Piekle", które kręcą się stale w jakimś niesamowitym, gorączkowym ruchu wirowym i nigdy nie mogą znaleść spokoju...

Ludziom tym musimy pozrywać z twarzy ich maski, aby opinja publiczna ujrzała ich właściwe oblicza—tryglodytów moralnych, nienawidzących wszystkiego co katolickie, gotowych doprowadzić społeczeństwo do demoralizacji i upadku, byleby tylko zadowolnić swój szał nienawiści.

Musimy w nich uderzyć i pokonać ich, aby prawda nie została pohańbiona przez fałsz i obłudę, aby Chrystus zwyciężył i panował w polskim narodzie.

Ale, jako chrześcijanie, nie możemy się do nich, jako do ludzi, odnosić z nienawiścią i nawet twardo zwalczając ich przewrotne zasady, czujemy w sercu szczery żal, że marnują się takie indywidualności i talenty, że ludzie, którzyby mogli wiele dobrego zrobić w Polsce — zaprzęgli się w służbę Antychrysta i staczają się na coraz niższe szczeble upadku...

Stefan Kaczorowski.

Baczność katolicy!

Śluby małżeńskie: kościelne, czy świeckie?

Już od dłuższego czasu w Polsce jest aktualną kwestja unormowania w nowym kodeksie cywilnym prawa małżeńskiego.

W swoim czasie kwestja ta była przedmiotem gorącej dyskusji na łamach prasy polskiej. Dzisiaj znowu rozpoczyna się dyskusja z okazji procesu wileńskiego przeciwko kalwińskiemu pastorowi, który przy łączeniu par małżeńskich postępował wbrew wszelkim przepisom prawnym.

Z głosów prasy widać, że jest jeszcze wielu w Polsce ludzi, którzy nie orjentują się zupełnie w dziedzinie prawa małżeńskiego, a mimo to chcą wywierać nacisk na Sejm, aby wprowadził do nowego kodeksu cywilnego zasadę ślubów cywilnych i rozwodów.

Ponieważ kwestja ta nie została jeszcze ustalana przez Sejm i Senat, przeto należy przypomnieć wszystkim, że uchwawalenie powyższej zasady, wprowadzającej w Polsce śluby cywilne i rozwody, byłoby bezprawiem, pogwałceniem wolności sumienia 22 miljonów obywateli państwa Polskiego, Konstytucji i Konkordatu.

Należy również obudzić czujność społeczeństwa polskiego i katolickiego, aby nie pozwoliło się skrzywdzić w dziedzinie, od której zależy moralne zdrowie i przyszłość nasza,

Małżeństwo i rodzina, to jest wielka i święta rzecz. Wielka, bo od niej zależy przyszłość i istnienie narodów; święta! bo jest z ustanowienia Bożego i rządzi się prawami Bożemi. Małżeństwo ustanowił Pan Bóg stwarzając Adama i Ewę, z wolą, by się rozmnażali, „Stworzył Bóg mężczyznę i białogłowę... i rzekł: roście i mnożcie się i napełniajcie ziemię“ (Gen. I 27, 28), to jest więc pierwszy cel małżeństwa: rodzenie i wychowanie dzieci. Pozatem jest jeszcze drugorzędny cel, mianowicie, wzajemna pomoc, „Niedobrze być człowiekowi samemu i uczyńmy mu pomoc jemu podobną“, (Gen, 2, 18), oraz zaradzenie pożądliwości ciała (I Kor. 7, 9). Stąd widzimy, że małżeństwo jest związkiem świętym i religijnym.

Istotnemi własnościami (proprietates) małżeństwa są jedność i nierozerwalność, która wyklucza rozwiązanie węzła małżeńskiego (rozwód) z wyjątkiem śmierci. Jedna i druga

własność pochodzą z prawa naturalnego i pierwotnego ustanowienia małżeństwa (Gen. 2. 24; I Kor. 6. 16; Efez. 5, 28). dlatego też mają moc obowiązującą dla wszystkich ludzi.

W małżeństwie zaś chrześcijan te własności otrzymują specjalne wzmocnienie ze względu na Sakrament. (Kan. 1013, § 2). Z ważnego więc małżeństwa powstaje dozgonny i wyłączny węzeł małżeński (Kan. 1110). Rozwód więc jest przedewszystkiem niezgodny z prawem natury, bo prowadzi do rozbicia społeczeństwa małżeńskiego, na którym opiera się cały byt społeczny. Następnie czyni niemożliwem osiągnięcie zasadniczego celu małżeńskiego — rodzenia i wychowywania dzieci. Szczególniej utrudnia wychowanie dzieci, do którego potrzeba długiego czasu, stałego i zgodnego współżycia obu małżonków. Gdyby małżeństwa mogły się rozchodzić według swej woli, wtenczas nie możnaby mówić o miłości między małżonkami, która tak bardzo jest potrzebna w rodzinie, a specjalnie przy wychowaniu dzieci.

Rozwody byłyby również przyczyną łatwych i ciągłych sporów małżeńskich, a co najważniejsza prowadziłyby do upadku moralności, o czem aż nadto boleśnie świadczą fakty w dzisiejszej Francji i Stanach Zjednoczonych.

* * *

Zasada nierozerwalności małżeńskiej wynika nietylko z prawa naturalnego, ale jest również oparta na prawie pozytywnem Bożem. Czytamy w Ewangelji św. Mateusza r. 19 w. 3 i następne, że gdy przystąpili do Pana Jezusa faryzeusze i zapytali Go, czy wolno mężowi oddalić żonę dla jakiejkolwiek przyczyny? Chrystus na to odpowiedział: „Czy nie czytaliście, że który uczynił człowieka na początku, mężczyznę i niewiastę? i rzekł: Dlatego też człowiek opuścił ojca i matkę i złączy się z żoną swoją i staną się (oni) dwoje jednem ciałem. Zatem niema już dwojga, ale jedno ciało Co więc Bóg złączył niechaj człowiek nie rozłącza.

Rzekli mu faryzeusze: „Dlaczegóż więc Mojżesz nakazał dać list rozwodowy i oddalić (ją)? Na to Pan Jezus odrzekł: „Mojżesz ze względu na twarde serca wasze pozwolił wam oddalić żony wasze; z początku jednak nie było tak”. To samo czytamy u św. Marka rozdz. 10 w. 2—12, u św. Łukasza, 16, 18 i w listach św. Pawła (I Kor. 7,10 i II Rzym. 7,2 i 3).

Z powyższych cytat widać, że Pan Jezus chciał. ażeby w małżeństwie, które już ze swej natury jest czemś świętem, dla wiernych była dodana specjalna łaska, którąby naturalną miłość udoskonaliła i wzmocniła jedność i nierozerwalność, czyli podniósł małżeństwo do godności Sakramentu.

Święty Paweł w liście do Efezów w rozdz. 5 wiersz 32 tak się wyraża o małżeństwie: „Sakrament to wielki, a ja mówię w Chrystusie i w Kościele". A ponieważ między Chrystusem a Kościołem jest stosunek łaski nadprzyrodzonej, więc i między mężem i żoną jest stan łaski przez ślub. Bo trzeba pamiętać o tem, że sakramentalna jedność małżeńska jest symbolem jedności, czyli połączenia Kościoła z Chrystusem.

Stąd też czytamy w Kodeksie prawa kanonicznego te słowa: „Chrystus Pan wyniósł do godności Sakramentu samąż umowę małżeńską zawieraną między ochrzczonymi. Dlatego między ochrzczonymi nie może istnieć ważna umowa małżeńska, którąby temsamem nie była Sakramentem". (Kan. 1012).

Natomiast małżeństwo nieochrzczonych jest umową niesakramentalną, przez którą mężczyzna i niewiasta, prawnie zdolni, przekazują sobie wzajemnie w sposób należny, dozgonne prawo do ciała, celem, rodzenia dzieci. Podobnie mówi Kanon 1081 Kodeksu prawa kanonicznego.

Przytem pamiętać należy, że sakramentalność małżeństwa wśród chrześcijan zawartego jest dogmatem wiary katolickiej. (Trid. ses. 24, can. et matr.)

Kodeks prawa kanonicznego odróżnia następujące podziały małżestwa: a) Małżeństwo ochrzczonych prawnie zawarte, zowie się *prawne* czyli *ważne* (ratum). jeżeli jeszcze jest niespełnione przez zupełny akt płciowy (copula perfecta); *prawne* i *spełnione* (ratum et consumatum) jeżeli między małżonkami odbył się akt małżeński, do którego ze swej natury zamierza umowa małżeńska, a przez który małżonkowie stają się jednem ciałem" (Kan. 1015). Przez ślub więc małżeński powstaje małżeństwo ważne, a przez należyty stosunek płciowy małżeński staje się spełnionem.

Absolutna więc nierozerwalność małżeńska dotyczy się tylko małżeństwa *prawnego i spełnionego* (ratum et consummatum).

Małżeństwo wiernych, jeszcze niespełnione, może być zer-

wane przez dyspensę papieską, lub przez uroczystą profesję zakonną; a małżeństwo nieochrzczonych przez użycie przywileju Paulińskiego.

* * *

Zasady nierozerwalności małżeńskiej Kościół katolicki zawsze ściśle przestrzegał o czem świadczą liczne postanowienia soborów i synodów jak również dekrety papieskie Innocentego I, Leona I, Innocentego III, Leona XIII w Encyklice „Arcanum". Wymownie również świadczy o tem walka Stolicy Apostolskiej przeciwko różnym książętom i królom, którzy żądali rozwodu: Henryk VIII, król angielski, Filip August, król francuski i t. p.

Z tego cośmy dotychczas omówili wypływa jasny wniosek, że małżeństwo jest instytucją Boską, musi więc podlegać prawom ustanowionym przez Boga. „Małżeństwo ochrzczonych rządzi się prawem Boskiem i kościelnem nie naruszając kompetencji władzy świeckiej odnośnie do skutków czysto świeckich małżeństwa (Kan. 1016).

Małżeństwo ma trzy stosunki; do całej ludzkości, do Kościoła i do państwa, któremu daje nowych członków. Dlatego też małżeństwo podlega prawu przyrodzonemu, prawu kościelnemu i prawu świeckiemu. Prawu kościelnemu podlegają wszyscy chrześcijanie jak to wynika z kanonu 1016 nietylko katolicy. ale i akatolicy.

Prawo Kościoła nad małżeństwem ochrzczonych jest wyłącznem, wyklucza więc władzę świecką, której zostawia tylko skutki czysto cywilne małżeństwa. Wyłączność ta ma potwierdzenie jeszcze w tem, że, jak już wiemy, małżeństwo chrześcjan jest sakramentem, a sakramentami administruje Kościół a nie państwo. Z tej też racji do kościoła należą wszystkie sprawy małżeńskie chrześcjan: stanowienie lub znoszenie przeszkód (Kan. 1038), sądownictwo (Kan. 1960) i t. p.

Jeżeli zaś chodzi o skutki czysto cywilne, czyli świeckie, to prawo kanoniczne przyznaje państwu prawo co do małżeństwa chrześcijan, bo nad małżeństwami nieochrzczonych według zdania powszechnego pośród uczonych (doktorów), władza świecka ma zupełną władzę. Chociaż są i przeciwnicy powyższego twierdzenia.

Państwo więc nie ma prawa ustanawiać przeszkód małżeńskich, ani sądzić o ważności czy nieważności tych małżeństw, które z istoty swej podlegają kompetencji Kościoła; nie może i nie ma prawa dawać rozwodów, czy rozdziału od współczesnego pożycia (separatio).

Do państwa więc należą skutki jedynie cywilne dotyczące posagu, majątku, spadków, godności i przywilejów po rodzicach. W tych sprawach państwo rządzi się wyłącznie swoim własnem prawem; może więc te skutki ustanawiać, zmieniać zaprzeczać; w tym celu może nawet wymagać, aby małżeństwo zawarte wobec Kościoła, zostało zapisane w księgach państwowych.

Na zakończenie należy wyjaśnić co to jest małżeństwo cywilne i jakie jest stanowisko Kościoła wobec takich małżeństw. Otóż „małżeństwem cywilnem", nazywa się kontrakt zawarty wobec władzy świeckiej przy zachowaniu tylko przepisów rządu świeckiego ze względu na zdolność osób, przyrzeczenie i formę ślubu. Kodeks prawa kanonicznego gdy mówi o takim kontrakcie, to nie używa nawet wyrazu „matrimonium civile", lecz mówi poprostu: „actus mere civilis, actus tantum civilis". Kan. 1075 n. I).

Kościół takich małżeństw-kontraktów cywilnych nie uznaje za ważne, z powodu braku formy, potępia je i karze. Potępia bo a) władza świecka miesza się do kompetencji kościelnej, sakramentalnej i odziera małżeństwo ze świeżości i sakramentalności; b) państwo przez to czyni gwałt sumieniu wiernych i c) często dopuszcza do związków zakazanych prawem Boskiem i Kościelnem. Dlatego też Syllabus Piusa IX potępia 33 zdania, jakoby ślub cywilny wśród ochrzczonych był prawdziwem małżeństwem. Żyjacych zaś w małżeństwie cywilnem Kościół uważa za konkubinarjuszy.

Takie więc są podstawy prawa małżeńskiego wśród chrześcijan i tych podstaw nikt zmieniać nie może; tymbardziej w kraju praworządnym i katolickim jakim powinna być Polska!

Ks. Dr. A. Marchewka.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Klasztor P.P. Benedyktynek w Staniątkach.

II.

Potężny ogrom czasu, 7 wieków, przewaliło się nad murami klasztoru w Staniątkach, który był świadkiem całej niemal historji polskiej. Widział on potęgę i chwałę swej ojczyzny, gościł w swych murach jej władców, królów i królowe, świętych Patronów i Patronki; [*]) patrzał też na ból i cierpienia narodu, chwile poniżenia i klęski, i bolał razem z nimi, dzieląc zawsze jego dolę i niedolę. Dwa razy Tatarzy napadali na Staniątki za życia bł. Wizenny: pierwszy raz w 1241 r. jak to widzieliśmy, między bitwą pod Chmielnikiem a klęską pod Lignicą; drugi raz w 1260 r.: wtedy św. Ksieni z całym konwentem musiała uciekać i kryć się po lasach. Tatarzy klasztor zrabowali, ludność okoliczną wymordowali, wsie klasztorne popalili.

W XVII wieku, gdy Szwedzi zaleli „potopem" całą Polskę, nie pominęli Staniątek. Biedny lud wynędzniały krył się po lasach, zostawiwszy puste chaty drewniane, które wróg rozbierał na opał. Na klasztor napadali Szwedzi 9 razy, zrabowawszy go do szczętu 1656 r. Dobijając się raz do furty, nie mogąc jej wyważyć, kołowem oknem wcisnęli się do wnętrza, i S. Furtjankę kolbami zabili; ta umierając zawołała: „Witam Cię, św. Ojcze Benedykcie!" i skonała.—Owczesna ksieni, Katarzyna Lubieniecka, ze zgromadzeniem całem musiała uchodzić do Barcic, w okolicy Sącza, niektóre z zakonnic pomarły wtedy z niedostatku, inne ze strachu.

W czasie wojen za Władysława IV Kozacy zajechali raz z próżnemi wozami pod klasztor i zapełniając krzykiem i wrzawą całe podwórze, odgrażali się rabunkiem, jeśli zakonnice nie napełnią im wszystkich wozów żywnością. Gdy klasztor nie mógł nic zadość uczynić, Siostry rzuciły się do modlitwy, prosząc

*) Królowie polscy, bywając w pobliskich Niepołomicach, gdzie mieli letnią siedzibę, często odwiedzali klasztor, obdarzając go łaskami i przywilejami; kroniki wymieniają Konrada Mazowieckiego, Bolesława Wstydliwego i błog. Kingę, Jagiełłę i Jadwigę, Zbigniewa Oleśnickiego, Zygmunta Starego, Jana Sobieskiego; a w nowszch czasach: cesarza Józefa II, Franciszka I i cesarzową Karolinę, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, i t. d.

Matkę Najświętszą o ratunek. Kozacy cały dzień koło klasztoru chodzili, radzili; wkońcu, nic mu nie zrobiwszy, z próżnemi wozami wieczór odjechali.

Podczas rozbiorów Polski napływali do klasztoru Konfederaci, rozbitki wojsk polskich, prosząc o wsparcie i ratunek. Przybywali też oficerowie moskiewscy, domagając się żywienia wojska i rozmaitych opłat. Nakładano na zakonnice ciężkie kontrybucje, skonfiskowano większą część dóbr przy podziale Polski, słowem zapanował taki ucisk, że zgromadzenie ledwie w wielkim niedostatku wyżyć mogło.

Strasznym ciosem po rozbiorach była kasata zakonów. Raz po raz dochodziły wieści o skasowaniu nowego jakiegoś klasztoru w Galicji: zabrano już dobra Klaryskom w Starym Sączu, skasowano klasztor PP. Benedyktynek w Jarosławiu, skąd 10 zakonnic znalazło przytułek w Staniątkach. Wreszcie dano znać, że cesarz Józef II osobiście przybywa do Staniątek, zbadać stan rzeczy na miejscu (1787 r.).

„Powitany przez świeckich i duchownych dostojników oraz przez zgromadzenie zakonne, cesarz zwiedził najpierw konwikt, uczennice szkoły szlacheckiej (dziś powiedziałoby się „średniej“) wyrażały się poprawnie i dawały wogóle dobre odpowiedzi, co cesarza wprawiło w świetny humor. Gdy następnie zwiedził szkółkę dzieci wiejskich (szkołę powszechną), które również dobrze odpowiadały po niemiecku, był bardzo zadowolony, głaskał je z uśmiechem, a następnie wyjął 12 dukatów i dał prefekcie, aby je rozdzieliła między tę dziatwę i dodał: „że je uwalnia od nauki języka niemieckiego”. Na odjezdnem zaś powiedział: „Jakże jestem zadowolony, że mi tego klasztoru nie skasowano!” i przeznaczył nawet pewien fundusz na odnowienie go.

Ciężkie też były czasy wojen napoleońskich: przez Staniątki przeciągały wojska austrjackie i rosyjskie, walczące przeciw Francuzom. Przewożono tędy rannych i kaleki, którzy od klasztoru doznawali wsparcia i pomocy. Żołnierze wynędzniali błagali o żywność, odzienie, opatrunki. Wybuchła potem epidemja, która tak ludność zdziesiątkowała, że nie było komu roli uprawiać. Nastąpił głód i nędza, zwykłe skutki wojny, potem zaraza na bydło, a wreszcie powódź. Wśród tego trzeba było prawdziwie bohaterskiej odwagi i nieustraszonego serca, aby pod

tylu ciosami nie upaść, i nietylko zgromadzenie zakonne utrzymać, ale i lud okoliczny ratować od niedoli.

I znowu przesunął się szmat czasu nad klasztorem staniąteckim, wśród rozmaitych przemian politycznych i społecznych. Nadszedł rok 1846, okropny rok rzezi galicyjskiej. Wzburzone przez rząd austrjacki chłopstwo, zwłaszcza w Galicji zachodniej, napadało dwory i domy, popełniając krwawe mordy i najdziksze bezprawia. W dniu 24 lutego tegoż roku napadła zajadła zgraja na klasztor staniątecki z siekierami, cepami i widłami, pod pozorem, że szukają ukrytych powstańców Polaków, niepomni, że w klauzurowym żeńskim klasztorze nie mogli przebywać mężczyźni. Ksieni Czajkowska, nie chcąc wywoływać gorszych następstw, i bardziej lud drażnić, kazała mu otworzyć furtę. Rozjuszeni chłopi rozbiegli się po całym klasztorze; wpadli do piwnic, do refektarza, na zakonny korytarz, do chóru. Wreszcie wtargnęli do kościoła, gdzie zobaczyli przed wielkim ołtarzem modlących się dwóch OO. Jezuitów, spowiedników Sióstr; powiązali ich i rzucili na wóz; wpadli do mieszkań oficjalistów klasztornych, zrabowali i poniszczyli ich domy, klasztornego sędziego Jantę cepami i widłami na miejscu zabili, innych zaś poranili i pokaleczyli.

Tymczasem zakonnice i konwiktorki modliły się ze łzami w kaplicy M. B. Bolesnej, przed jej cudownym obrazem. I tam wpadła rozhukana tłuszcza. Wtedy Mistrzyni Nowicjatu, nieustraszona bohaterka, wziąwszy do ręki wielki krzyż, wystąpiła naprzód i stanowczym tonem zapytała herszta bandy: „Czego żądacie?"—A tłum chłopów zawołał: „Nie bójcie się dobrodziejki, my wam nic nie zrobimy; my tylko szukamy Polaków!" — „Jakich Polaków? co to są Polacy?"—zawołała, i zaczęła ciemnemu ludowi wykładać, że Polakami są oni sami i że klasztor klazurowy nie ma prawa żadnych mężczyzn trzymać w ukryciu. Tłum cofnął się, wypadł na podwórze gdzie obozował przez 4 dni i 4 noce, aż zdołano sprowadzić oddział wojska, wtedy buntownicy rozpierzchli się na wszystkie strony. Szkody, poczynione na folwarkach klasztornych były ogromne, tak że trzeba było się zapożyczyć dla uratowania istnienia.

Gdy następnie w tych stronach rozpoczął misje ludowe słynny ks. Antoniewicz T. J. i wykazał zbrodnie na niewinnych dokonane, a podniósłszy krzyż w górę przepraszał Boga, błaga-

jąc o przebaczenie dla winowajców, wtenczas szlochanie, łzy i jęki jak grzmot rozlegały się po kościele; wszystkie okoliczne dachy i drzewa pełne były ludzi, tworzących jakby drugie napowietrzne audytorjum. Od tego czasu uspokoili się zupełnie i dziś jest to znowu nasz poczciwy, pobożny ludek polski.

Najstraszniejsza jednak ze wszystkich chwil, jakie klasztor staniątecki przetrwał, były czasy ostatniej wojny, a mianowicie dnie od 8-go do 15-go grudnia 1914 roku, w czasie inwazji rosyjskiej i ośmiodniowego bombardowania klasztoru przez wojska austrjackie. Grozy tych dni żadne pióro opisać nie zdoła, a pojęcie o tem może mieć tylko ten, kto takie chwile przeżył. Ponieważ Moskale rozlokowali się we wszystkich budynkach wokoło klasztoru i w dziedzińcu klasztornym (w samym tylko klasztorze niebyli, bo im wstępu wzbroniła Ksieni, p. Kazimiera Hilarja Szczerbianka[1]), wojska austryjackie, chcąc ich stamtąd wypędzić, obrały za cel swych strzałów wieś Staniątki, a szczególnie klasztor i jego przyboczne zabudowania. Przez 8 dni z rzędu był on w krzyżowym ogniu dział austrackich i rosyjskich, obrzucany niejednokrotnie pociskami z moździeży ciężkiego kalibru; huk armat był tak straszny, że grozą przechodził pioruny; ziemia tak drżała, że klęczących w kościele ludzi z posadzką podrzucało do góry. Klasztor chwiał się poprostu od fundamentów; wypadały szyby, dachówki, waliły się mury, w proch rozlatywały się sprzęty, naczynia, obrazy, bezcenne pamiątki przeszłości. Co chwila słup ognia i dymu wydobywał się z pod sklepień, grożąc pożarem przy wybuchu szrapneli. Do tego rozpacz przerażonych ludzi, którzy w murach klasztoru szukali schronienia, ryk bydła płacz dzieci, brzęk walącego się szkła, rumowiska, woń siarki, ciemność od kurzu, pyłu i dymu—oto obraz burzy, która przez tydzień cały szalała nad klasztorem. Szczytem grozy był piątek 11-go grudnia, gdy pękający granat zabił dwóch OO. Jezuitów, spowiedników zakonnic, którzy się byli schronili do opróżnionego skrzydła klasztoru, gdyż oficerowie moskiewscy zajęli ich domek. Zranienie ciężkie kilku osób i zabicie jednej wiejskiej kobiety dopełnia miary okropności tych dni straszliwych.

Dzielna ksieni Staniątecka, jeszcze przed inwazją rosyj-

---

[1]) Bardzo ciekawy ustęp z Pamiętnika P. P. Ksieni przedrukowali W. OO. Jezuici w swym „Przeglądzie Powszechnym“, zeszyt 8—9, z 1916).

ską, wszystkie swoje zakonnice rozesłała, chroniąc je w bezpieczne miejsca, sama zaś z jedną tylko konwiktorką, S. Eufrozyną Montwiłłówną, z gospodynią zafurtową i gromadką poczciwych dziewcząt służebnych, pozostała na wyłomie; (z tych ostatnich dwie od szrapneli poranione zostały). Gdy wreszcie dnia 15 grudnia Moskale na całej linji cofać się poczęli, można było skonstatować cały ogrom zniszczenia: 41 pocisków większego kalibru padło na klasztor, samych zaś szyb wybito 1537. Oficerowie austryjaccy, którzy chcąc wypędzić Moskali tak strzelali na klasztor, oglądając później poczynione szkody, sami przyznali iż teraz widzą prawdziwość przysłowia: „Człowiek strzela, a Bóg kule nosi",—gdyż po tych pociskach, które na klasztor miotali, kamień na kamieniu nie powinienby był pozostać!

To cudowne ocalenie zawdzięczają Staniątki bez wątpienia Matce Boskiej Bolesnej, której cudownie słynący wizerunek przechowuje się w starożytnej kapliczce przybudowanej do kościoła: ani jedna szyba w niej nie pękła, pomimo że w pobliżu padł największy granat, i wszystkie okna,—jak wspomnieliśmy, wyleciały. Tu 700 lat temu błog. Wizenna wybłagała opiekę Marji przed tatarską nawałą; tu czasu napadu Szwedów, i podczas rzezi galicyjskiej chroniły się wylęknione zakonnice i konwiktorki; tu i teraz w 1914 r. przez cały czas bombardowania, Ksienia staniątecka wraz z ludem schroniła się do „fortecy" (jak nazywają w chwilach niebezpieczeństwa tę małą kapliczkę) i tam, leżąc na kolanach lub krzyżem, modliła się z nim głośno i śpiewała, błagając ze łzami o zmiłowanie Boże: to też „nie została zawiedziona".

Obraz Matki Boskiej jest prawdopodobnie dziełem włoskiego pendzla (wszak pierwsi Benedyktyni na Tyńcu byli Włochami), współczesny fundacji Staniątek. Malowany jest temperą na drzewie lipowem. Na tle złotem, wyrobionem w desenie, widnieje postać N.P. Bolesnej w otoczeniu czterech Aniołów, dźwigających insygnja Męki Pańskiej: krzyż, słup biczowania, drabinę i t. d. Twarz Matki Bożej, łzami zalana, i zaciśnięte boleśnie ręce są dość ciemne; suknia ciemno czerwona, płaszcz ciemno błękitny; około głowy białe zawicie, a pierś 7 ogromnych mieczy przeszywa. Obraz ten ma wiele podobieństwa z t. zw. „Smętną Dobrodziejką" w krużganku klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie; nic dziwnego, bo fundatorem tegoż był w 1240 r. Bole-

sław Wstydliwy, współczesny Klemensowi z Ruszczy: zatem oba obrazy mogły były wyjść z tej samej pracowni tynieckiej.

Pierwotnie M. B. Bolesna była umieszczona w wielkim ołtarzu; później dopiero, dla racji liturgicznych, zbudowano dla niej osobną kapliczkę; papieże nadali wielkie odpusty i ołtarz uprzywilejowali, wreszcie 21 września 1924 cudowny obraz został uroczyście ukoronowany przez delegowanego przez Stolicę Świętą Księcia Arcybiskupa krakowskiego Adama Sapiechę. Pokryty jest srebrną blachą i niezliczonemi wotami.

Kościół staniątecki zbudowany jest w stylu gotyckim o wysokiem sklepieniu. Malowidła na sklepieniu przedstawiają papieża Grzegorza IX, za którego pontyfikatu kościół stawiano, z modelem kościoła i kluczami Piotrowemi w ręku, a obok Anioł trzyma otwartą księgę z wypisanemi na niej pierwszemi słowami Reguły benedyktyńskiej: „Venite, filiae, audite me". Dalej na sklepieniu 8 błogosławieństw, na ścianach zaś portrety papieży z zakonu św. Benedykta, obrazy przedstawiające fundację klasztoru staniąteckiego, i t. d.

W wielkim ołtarzu zmieniają obrazy, wedle okresu liturgicznego; największą wartość ma Narodzenie Najśw. Panny, pendzla X. Bernardyna Lekszyckiego, Franciszkanina z XVII-go wieku, zwanego „polskim Fre Angelikiem" †1668 r.). U góry, w barokowej glorji, Trójca Przenajśw. rzeźbiona, otoczona mnóstwem Aniołów. Ołtarz zdobią 4 figury: św. Joachima i św. Anny, Zacharjasza i Elżbiety. Tabernakulum jest srebrne, pozłacane.

Boczne ołtarze poświęcone są: św. Benedyktowi, św. Wojciechowi, N. P. M. Różańcowej, Opatrzności Bożej, św. Józefowi, św. Antoniemu Padewskiemu i św. Janowi Nepomucenowi. Na szczególną uwagę zasługuje ołtarz P. Jezusa Ukrzyżowanego; zawiera on bowiem cudowny krucyfiks, który przemówił do błog. Wizenny i zachował odtąd rozchylone usta, jakby jeszcze miał przemówić.

Kościół staniątecki jest hojnie wzbogacony relikwiami świętych, niektóre znacznej wielkości i bardzo drogocenne. Pięknym jest też chór zakonny, ozdobiony mnóstwem symbolów i wyjątków z Reguły, lub z Psalmów. Pod chórem kaplica, gdzie zakonnice przystępują do Komunji św. ozdobiona symbolami, wy-

rażającemi tęsknotę duszy za Panem Jezusem i piękność dziewictwa.

Pod zakrystją jest grób św. Fundatorów: Klemensa z Ruszczy, małżonki jego Recławy, Wizenny i Dojutrka.

Konwikt klasztorny liczy około 70 uczennic. Od samego początku istnienia Staniątek chowały się tu młode panienki zamożniejszych rodzin i trudno zliczyć, ile przez 7 wieków wyszło stąd pokoleń dziewic i matron polskich, przodujących społeczeństwu pobożnością i cnotą. Obecnie konwikt staniątecki stosuje się do planu nauk wymaganego dla szkół średnich przez nasze władze szkolne i w niczem nie ustępuje innym tego rodzaju zakładom.

Wychowanie młodzieży zawsze należało do tradycji zakonu benedyktyńskiego: wszak Benedyktyni zwani byli „wychowawcami Europy". Ale najpierwszym i najdroższym ich obowiązkiem jest „Opus Dei",—„Officium divinum", czyli nieustanna chwalba Boża w chórze. Siedem razy dziennie, według zalecenia Psalmisty, rozbrzmiewa ona w zakonnych stallach, a o północy, gdy świat cały pogrążony we śnie, a liczni grzesznicy nurzają się w występku, rozbrzmiewa tutaj przy wtórze organów uroczyste Matutinum czyli Jutrznia.

Czcigodny ten przybytek modlitwy i pracy, placówka cywilizacyjna, najpierwszy i najdawniejszy klasztor PP. Benedyktynek w Polsce, zasługiwał, w roku jubileuszowym na bliższe zapoznanie się z nim czytelników.

Z ŻYCIA MŁODZIEZY KATOLICKIEJ.

Działalność „Odrodzenia" na terenie Poznańskim.

Już z samego charakteru naszej organizacji, katolicko-społecznej, wynika, że praca musi się dzielić na dwie części: pracę wewnętrzną, oraz pracę zewnętrzną, społeczną. Zanim przystąpimy do rozpatrzenia działalności naszej w tym roku akademickim, chcielibyśmy parę słów poświęcić sprawie naszego senjoratu.

Od dłuższego już czasu „Odrodzenie" Poznańskie myślało i debatowało nad tem, aby stworzyć koło senjorów, które by

pracowało na terenie starszego społeczeństwa, oraz współpracowało z Kołem Akademickim i wreszcie udało się nam to osiągnąć. W dniu 23 września 1928 r. odbył się w lokalu „Odrodzenia" pierwszy zjazd senjorów, na program którego złożyły się: Msza święta, obrady dotyczące ruchu odrodzeniowego w Poznaniu, i organizacji koła senjorów, oraz zakończenie zjazdu wspólną herbatką. Pod koniec obrad zostało wybrane prezydjum koła senjorów w skład którego weszli: Mg. J. Gutsche, jako prezes, Dr. Kucharek, jako v-prezes, oraz Mg. Krawczyński jako sekretarz. Należy zaznaczyć, iż nowo obrane prezydjum, b. żywo zajęło się pracą odrodzeniową i bardzo dużo pomogło kołu akademickiemu. A teraz przechodzimy do właściwej działalności koła Poznańskiego. Po walnem zebraniu, które odbyło się w pierwszej połowie października, zarząd zwołał zebranie członkowskie, na którym zostały wygłoszone dwa referaty p. t. „Wychowanie organizacyjne" i „Sprawozdanie z VII Tygodnia Społecznego w Lublinie". Następnie w dniu 21 października z. r. odbyła się uroczysta inauguracja roku pracy odrodzeniowej, której program obejmował, poza przemówieniami powitalnemi, sprawozdanie z rocznej działalności koła, oraz referat senjora Mg. J. Gutschego p. t. „Zagadnienie pracy w oświetleniu ideologji odrodzeniowej". Na Inauguracji tej zebrała się poważna liczba duchowieństwa, oraz społeczeństwa świeckiego, a między innemi zaszczycił inaugurację swą osobą duszpasterz uniwersytecki ksiądz prałat J. Prądzyński, który w swym przemówieniu podziwiał wartości ideowe ruchu odrodzeniowego. Wkrótce po inauguracji odbyło się zebranie dyskusyjne, z referatem jednego z kolegów p. t. „Nasza praca społeczna". Referent starał się przedstawić olbrzymie tereny potrzebujące pracy społecznej, i dowodził konieczności tej pracy. Następne zebranie dyskusyjne z referatem także jednego z kolegów p. t. „Kryzys parlamentaryzmu" odbyło się w listopadzie. Po referacie tym była ożywiona dyskusja, w czasie której dużo spraw uzgodniono i wyjaśniono. I wreszcie ostatnie zebranie dyskusyjne odbyło się w początkach grudnia, na którym wygłosił referat Ks. Dr. Kowalski p. t. „Zasady filozofji św. Tomasza, a życie katolickie akademika". Referat ten oraz dyskusja, jaka się po nim wywiązała dały członkom b. wiele rzeczy cennych i nowych, rozwiązały szereg zagadnień trudnych i wreszcie wyciągnęły praktyczne wnioski i wskazówki.

Wkrótce po tym zebraniu, odbyła się Rada Naczelna „Odrodzenia" w Wilnie, o której przebiegu obrad można znaleźć specjalny artykuł w pierwszym № Prądu ze stycznia b. r.

„Odrodzenie" Poznańskie posiada 5 sekcji: filozoficzną, narodową, społeczną, zagadnień kobiecych i kandydatów, które w pierwszym trymestrze pracowały normalnie, zajmując się i pogłębiając niektóre ważne zagadnienia jak np. sekcja filozoficzna zajmowała się dowodami na istnienie Boga, sekcja narodowa, zagadnieniami narodowemi, rozpatrywanemi na podstawie dzieł X. Dr. Szymańskiego i innych autorów. Sekcja społeczna rozpatrywała Encyklikę Rerum Novarum, oraz zajmowała się sprawami czysto gospodarczemi Polski i wreszcie sekcja kandydatów zajmowała się historją ruchu odrodzeniowego, oraz zapoznaniem się z ideologją naszą, aby po ukończonym kursie, kandydaci zostali przygotowani do wielkiej i pełnej poświęcenia pracy odrodzeniowej.

Pozatem „Odrodzenie" Poznańskie urządza w każdą niedzielę wspólne recytowane Msze św., które odprawia kapelan ks. Dr. St. Abt, aby w ten sposób, przez nauki jakie są w czasie każdej Mszy św. pogłębić i zrozumieć te prawdy naszej świętej wiary katolickiej.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się obraz naszej pracy wewnętrznej w Poznaniu.

Niebawem w drugim numerze postaramy się przedstawić drugą część naszej pracy, mianowicie pracę społeczną.

Marjan Bronowski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Gabryel Jehuda Ibn Ezra.— Chrześcijańskiego Żyda wspomnienia łzy i myśli. Warszawa 1928, Dom Książki polskiej, str. 256.

Mamy przed sobą pamiętnik wychrzczonego inteligenta żydowskiego, prawdopodobnie z czasów powstania Polski.

Treść książki jest następująca:

Autor od dziecka mając styczność z religją katolicką, jużto w rozmowach z osobami, z którymi go zetknęło życie, jużto w czynach katolików, pragnie porzucić dotychczasowe swe wyznanie i stać się katolikiem. Przyjąwszy chrzest nawraca rodziców swych i brata, a sam chce wstąpić do seminarjum duchownego. Gdy szykany złych ludzi stają temu na przeszkodzie, obiera zawód prawnika. żeni się z katoliczką i zakłada rodzinę. Dalszy ciąg książki wypełniają dzieje tułaczki jego, tułaczki przymusowej, gdyż wszędzie, gdzie stara się osiąść na stałe spotykają go szykany ze strony społeczeństwa chrześcijańskiego, wszędzie jest nienawidzonym, pomiatanym żydem.

Wobec faktu, że sprawa nawrócenia żydów jest dziś coraz szerzej omawiana, „Wspomnienia", jako domniemany głos żydów w tej sprawie zasługują na szczegółowszą wzmiankę.

Książka ta z natury swej musi być i jest tendencyjną. Autor przeprowadza tu myśl, że społeczeństwo katolickie zapomina o swoich zasadach wobec żydów wogóle a nawet wobec tych, którzy z pośród nich porzucili swe zasady żydowskie.

Nieszczęśliwi wychrzczeni wyjątkowo tylko spotykają się z miłością swoich nowych współwyznawców. Sprawa przedstawia się według autora „Wspomnień" bardzo smutnie i tragicznie.

Na myśl tę możemy się do pewnego stopnia zgodzić—ale bezwzględnie okropności, których opisy w książce znajdujemy, historja nie zna i mimo najbardziej wyczerpujących źródeł z pewnością nie pozna.

Oto n. p. przed oczami naszemi roztacza się obraz prawdziwej rzezi, która w Polsce, gdzieś, kiedyś miała miejsce, i wśród której padło mnóstwo żydów. „Spiętrzone stosy ich ciał" oglądamy, w zdemolowanej ręką żołnierzy polskich, synagodze.

Ogromnie charekterystyczne jest to, że ani słóweczkiem nie wspomniano o dacie, ani miejscu rzezi. Tego mamy sobie szukać sami. No, ale temu jeszcze możemy się nie dziwić, być może, że komuś po obcięciu brody (co, jak wiadomo, miało miejsce za czasów ciągłych przemarszów różnych wojsk) zrobiło się w oczach czerwono, a mury miasta zachwiały się przed zamglonym wzrokiem...

Nie! stanowczo trzeba zerwać z przesadą, lub może z naiwną wiarą w łatwowierność czytelników, która z pewnością dobrych skutków nie wywoła...

Drugą charakterystyczną cechą książki jest idealizowanie żydów. Autor przedstawia ich nam, jako nieszczęśliwe ofiary, niczem niewinne, wszędzie i zawsze cierpiące nędzę, pętnowane i nienawidzone; ale przedewszystkiem niczem nie winne. Nie tylko bowiem nie stanowią oni elementu rozkładowego w naszem państwie, nie podkopują autorytetu Kościoła, rodziny, nie podminowują etyki i moralności, ale są wogóle dalecy od jakichkolwiek nowoczesnych prądów wywrotowych, jakie się im przypisuje. Tak n. p. nie wywołali oni Rewolucji rosyjskiej, owszem, stanowili i stanowią w Rosji narówni z chrześcijanami ten odłam społeczeństwa, który jest prześladowany, nie prześladuje

Oto jak przemawia do autora „Wspomnień" również jak i on wychrzczony żyd rosyjski:

„Doktorze, Żydzi w ojczyźnie mojej zapełniali czeluście więzień jak ja i setki tysięcy innych i ginęli w męczarniach z resztą szlachetnych ludzi.

— A więc ogół jest źle poinformowany!

— Czy słyszałeś kiedy, doktorze, o Chazarach... którzy w ósmym wieku ery chrześcijańskiej przyjęli judaizm...

. Być może, że tacy „Żydzi" srożyli się wśród ofiar rewolucji".

„Być może" więc, że nawet Chazarowie nie maczali rąk w krwi miljonów; a kto? tego nam nie wyjaśniono.

Autor pragnie tę sprawę wyjaśnić z punktu widzenia Ewangelji, mówi bowiem tak:

„Czyż byłby inaczej głęboki znawca dusz, a także dusz żydowskich, Pan nasz, Jezus Chrystus, mógł wyrzec te znamienne słowa: „Oto prawdziwy Izraelczyk, w którym nie masz zdrady"!

Z tego wszystkiego zaś wniosek:

„A zatem prawdziwych Izraelczyków, ogólnie rzecz biorąc, nie było wśród pionierów terroru i mordów"... (str. 201).

Jest to sprzeczne z najoczywistszymi faktami, a tak zarazem dla nas niespodziewane, że skłonni jesteśmy przypuścić czy bodaj nie dla tej tylko myśli powstała książka cała...

Wreszcie należałoby zwrócić uwagę na to, że ani przez chwilę nie wiemy naprawdę, gdzie autor mieszkał, gdzie studjował, gdzie się nawrócił, nie mówiąc już o tem, że nie wiadomo gdzie i kto tak boleśnie go prześladował. Dziwny to, lub może zręczny sposób określania miejscowości, jako „miejsce mojego narodzenia“ „nawrócenia“ „miejsce zamieszkania mojego dziadka“, lub osób jako „starego majora”, „mojego przyjaciela“ itd. Autor, jak sam zaznacza nie wstydzi się swych przekonań, ani swego powodzenia, a przecież nawet nazwisko na okładce książki jest jakby pseudonimem, bo (znów według słów własnych autora) użyte zostało po raz pierwszy i jedyny. Trochę zdaje się strusi sposób maskowania się został zastosowany.

Przechodząc do oceny książki musimy powiedzieć, że, jakkolwiek pierwszem wrażeniem będzie przyznanie słuszności, co do niektórych myśli, jednakże, ujawniające się w dalszym ciągu książki, dowolna fantastyczna i przesadzona interpretacja prawdy historycznej i zupełny brak krytycyzmu wobec błędów, a co więcej moralnych szalbierstw żydów nie pozwolą nam umieścić książki na półkach bibljotek katolickich, ani dać jej w ręce szerszemu ogółowi.

Powinniśmy raczej ustrzedz społeczeństwo przed lekturą tej książki. Powtarzamy, że co innego jest okazać społeczeńswu żydowskiemu miłość chrześcijańską, a co innego w imię faryzeuszowskiej miłości zamykać oczy na prawdę.

Marjan Jan.

Wiadomości z kraju i zagranicy.

Z etapów ruchu chrześcijańsko-społecznego w Wilnie. W niedzielę dn. 6 go z. m. J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita R. Jałbrzykowski dokonał aktu poświęcenia domu i sali Związku Zawodowego żeńskiej służby domowej im. św. Zyty. Uroczystość ta jest wydarzeniem nieposledniej wagi z pośród bowiem kilkudziesięciu chrześcijańskich Związków Zawodowych jest to pierwszy Związek zawodowy,. należący do centrali, który zdobył się na tak wielki wysiłek, jakim jest nabycie własnego domu, którego koszt kupna i restauracji sięga stu tysięcy złotych Całą tę sumę wzięły na swoje barki zrzeszone sługi, płacąc znaczne udziały: po 50 złotych od osoby, w zamian za co mają prawo do zamieszkania i przytułku w razie braku pracy. Obecnie Związek liczy 700 członkiń i prowadzi następujące agendy: biuro pośrednictwa pracy, przytułek dla mniej zdolnych do pracy (starszych), szpitalik dla chorych i rekonwalescentów, hotelik dla bezrobotnych, ochronę prawną sług, jadłodajnię dla inteligencji i pralnię zwykłą i chemiczną.

Życie liturgiczne wśród akademickiej młodzieży wileńskiej. Z inicjatywy i staraniem zarządu Stow. Młodz. Akadem. „Odrodzenie” w Wilnie, przy ścisłem porozumieniu z akademicką Sodalicją żeńską i męską, odbyło się w czwartek dn. 17 bm. zebranie organizacyjne „Autonomicznej Sekcji Liturgicznej” przy „Odrodzeniu”. Wobec licznego audytorjum, złożonego z członków Akadem. Sodalicji Marjeńskiei żeńskiej i męskiej. Stowarzyszenia Młodź. Akadem. „Odrodzenie” i grona gości, wygłosił ks. dr, Antoni Zewosz odczyt o „Charakterze społecznym liturgji”. Mówca wykazał, że dzisiejsze życie religijne jest zanadto przesiąknięte indywidualizmem, sprzecznym z duchem Kościoła, którego wyrazem jest społeczny charakter liturgji. Dlatego potrzeba sięgnąć do źródła modlitwy społecznej, jakim jest liturgja.

Zebrani jednomyślnie zgodzili się na utworzenie „Autonomicznej Sekcji Liturgicznej” przy „Odrodzeniu”, którą kierować będzie prezydjum. złożone z trzech osób. Fachowe kierownictwo objął ks. dr. A. Zewosz.

Biezwłocznie potem odbyła się pierwsza próba recytacji Mszy św., oraz pierwsza recytacja Mszy św.—w niedzielę dn. 20-go z. m. w akademickim kościele św. Jana.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 163-44
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo

* * *

Święta Zmartwychwstania Pańskiego wywołują zawsze poważną refleksję w duszach wiernych. Nawet ci, którzy pozostali katolikami jedynie siłą tradycji, przechodzących z pokolenia na pokolenie, gdy usłyszą dzwony i śpiewy uroczystej procesji rezurekcyjnej i wczują się w tryumfalną nutę, śpiewaną na cześć Pana, który zwyciężył bezwład śmierci—uczują niewątpliwie w swoich sercach, choćby nawet zwykle zimnych i obojętnych, jakieś poruszenia Wiary, Nadziei i Miłości.

Tegoroczne święta obchodzimy w ważnym momencie dla religji i Kościoła. Przedewszystkiem mamy rok jubileuszowy, w którym oczy całego chrześcijaństwa kierują się z czcią i miłością ku Stolicy świętej, ku osobie tego, który steruje nawą łodzi Piotrowej. Następnie — czując się członkami tej wielkiej społeczności, jaką jest Kościół — nie możemy pozostać obojętni wobec zagadnień najbardziej go obchodzących.

To też napełnia nas wszystkich radością wspaniały akord, zawarty w Rzymie między Stolicą Apostolską, a katolickim narodem włoskim. Jest on bowiem jeszcze jednym dowodem siły i żywotności Kościoła, mówi nam jeszcze raz, że największe nawet prześladowania i przeszkody nie zniszczą jego nieugiętych sił, wypływających ze źródeł nadprzyrodzonych, że najgłębsze

nawet trudności nie zdołają osłabić jego energji twórczej, nadanej mu przez boskiego Założyciela i kiedyś zawsze po latach zatryumfuje nad prześladowcami i zapanuje nad niesprzyjającymi okolicznościami.

I niewątpliwie, o ile fakt zaboru Rzymu przez wojska włoskie w r. 1871 był dla współczesnych widomym znakiem nietylko końca władzy świeckiej Papieża, uznanej jeszcze w czasach Karola Wielkiego, lecz także zmniejszania się wpływów Kościoła na terenie ówczesnego życia publicznego i międzynarodowego—o tyle traktat lateranski będzie dla obecnego pokolenia wyraźnym dowodem potęgowania się autorytetu Stolicy Piotrowej, a co za tem idzie—wpływów Chrystyjanizmu.

Radować nas musi również i ta okoliczność, że zaprzyjaźniony z nami naród włoski powrócił na drogę zgody i jedności z najwyższym autorytetem moralnym świata, że prawa i instytucje publiczne Włoch zostaną uzgodnione w całej pełni z zasadami sprawiedliwości i moralności chrześcijańskiej, dając narodowi temu szerokie pole do prawdziwego rozwoju cywilizacyjnego.

Każdy fakt takiej miary jest odbiciem pewnych prądów i sił wewnętrznych, nurtujących w zbiorowej psychice społeczeństw i narodów.

Traktat lateranenski, uznanie suwerenności Stolicy św. przez tych, z których interesami, pojętemi w sposób materjalistyczny, suwerenność ta przez dziesiątki lat kolidowała, sygnalizuje ogromną zmianę dotychczasowych pojęć i zapatrywań antyreligijnych, owianych niszczącym duchem racjonalizmu i pozytywizmu.

Faktów podobnych jest więcej. Oto we Francji ulega złagodzeniu kurs polityki antyreligijnej. Oto w Anglji po zniesieniu ograniczeń prawnych katolików coraz mocniej i potężniej krzewi się piśmiennictwo katolickie, a religja znajduje coraz więcej wybitnych adeptów. Oto w Meksyku znajdują się raz po raz ludzie, którzy podnoszą miecz sprawiedliwego buntu przeciwko czerwonemu ciemięzcy...

Jedynie tylko Polska — Polonia semper fidelis... przeżywa ciężki kryzys pod względem religijnym i moralnym.

Wówczas, gdy inni podnoszą się z nizin upadku i poddają się znowu całkowicie, lub częściowo działaniu ożywczych pro-

mieni prawdziwej wiary, my narażeni jesteśmy na atak żywiołów wstecznych i barbarzyńskich, ludzi, którzy żyją pojęciami połowy XVIII wieku! i pragnęliby te pojęcia zaszczepić w całym społeczeństwie, cofając jego rozwój cywilizacyjny o dwa wieki wstecz...

* * *

Ani na chwilę nie wierzymy, by w ostatecznej walce miała zwyciężyć koncepcja wrogów Kościoła, by noc polarna, mroźna— śmierci i upadku miała zapanować nad polskim społeczeństwem.

Nadzieją naszą Chrystus Zmartwychwstały, który zwyciężył mroki śmierci i pokonał szatana.

Módlmy się do Niego w dzień Zmartwychwstania, aby zapanował nad polskim narodem, wziął go w opiekę w chwili obecnej, tak ciężkiej i trudnej, pocieszył wątpiących, wlał ogień żarliwości w zimnych i obojętnych, poruszył serca naszej inteligencji katolickiej, natchnął ją zapałem i energją do pracy od podstaw, połączył całą Polskę pracującą, wszystkie jej klasy i warstwy w jeden kościół wojujący, gotowy oddać swój trud ofiarny i swoją krew za religię i wiarę, za harmonijny rozwój cywilizacji narodu według szczytnych zasad Chrystyjanizmu.

* * *

Wszystkim Współpracownikom, Czytelnikom i Przyjaciołom, wszystkim ludziom dobrej woli, pracującym dla Sprawiedliwości i Miłości—składa Redakcja Pro Christo najserdeczniejsze życzenia. Niech Chrystus zmartwychwstanie w sercach i umysłach Narodu!

Chrystus w glorji Zmartwychwstania.

Ostatnie „Wykonało się" padło z ust i duszy Bohatera Miłości. Oddał wszystko, zadanie swoje wypełnił, dowiódł niezbicie, że kochał „ex toto", ze wszystkiej duszy, z całego serca.

„Wykonało się" — i oto jasna, świetlana, promienna dusza Chrystusowa wzniosła się ku nieskończonym wyżynom, jako słońce płomienne najczystszą miłością.

Nie było dotychczas w historji czasu i wieczności podobnego faktu, ani takiego triumfu Nieskończonego Dobra.

Sam akt stworzenia, jako odruch wprost naturalny tego

Dobra można tylko porównywać z tą chwilą całkowitej ofiary z miłości ku niewdzięcznemu stworzeniu.

Ofiara nie mierzy się wielkością samego aktu, ale stosunkiem jego do możności ofiarującego. Dlatego ofiara „ex toto” będzie zawsze ofiarą pełną i najwyższą, choćby to „wszystko” było drobnostką wobec wielkości innych.

Tutaj zaś, obok tej „pełności ludzkiej” Chrystusowej ofiary, była jeszcze nieskończoność boskiej ofiary i bezgraniczna nieproporcjonalność godności ofiarującego się i lichoty moralnej odkupionych.

Stało się jednak. Miłość zwyciężyła, wypełniła bezbrzeżność i bezdenność dzielącej przepaści i doprowadziła do ostatniej, najwyższej konsekwencji.

Nie na tem był jednak koniec wszystkiego. Skończył się krwawy dramat ofiary, zaczął się zasłużony triumf.

Triumfem tem było naprzód samopoczucie zwycięzcy, przeświadczenie wewnętrzne o wypełnieniu wszystkiego, o dokonanem bohaterstwie, krzyk radosny duszy wyzwolonej, przesłonecznienie całej istoty, przenikające ją nawskroś, promieniejące nazewnątrz dokoła, tworzące ze wszech stron nimb glorji, jako nieskalanej białości królewski płaszcz, spływający pełnemi fałdami aż hen, w nieskończoność.

Taką była dusza Chrystusa w pierwszym zaraz momencie, gdy opuściła całopalnie ofiarowane ciało i gdy wstąpiła do otchłani, by „pocieszać święte ojce”, czekające na Niego, by wejść w uroczystym pochodzie w otwarte już bramy niebios.

Triumf szedł dalej. Trzeba było oddać sprawiedliwość umęczonemu ciału, które było tak posłusznem, tak doskonałem narzędziem miłości duszy. Trzeba było również dowieść całemu światu i wszystkim wiekom zwycięstwa miłości nad nienawiścią, życia nad śmiercią, jasności nad ciemnią.

I poprzez skalne ściany grobowca przenika chwalebna dusza Zbawicielowa, wypełnia sobą, jak dawniej, bezwładne, zranione i owinięte w rytualne prześcieradła ciało — i staje się cud Zmartwychwstania.

Zadrżała ziemia, jak wówczas w chwili bogobójstwa, lecz jakżeż inaczej! Gdy wtedy był to protest bezgrzesznej i zawsze praworządnej natury przeciwko ohydzie zbrodni człowieka — teraz było to drgnienie radosne, zwiastujące wyrównanie

tej krzywdy, jakoby oklask serdeczny, jakoby śpiew triumfalnego „Hosanna” na chwałę Uwielbionego.

I stało się, gdy tylko tchnienie ducha dosięgło martwe szczątki Bohatera, ożywiły się one, jakby tknięte różdżką czarodziejską, przejaśniały całe, a blizny ran perlistym szkarłatem zakwitły na białym tle chust, jak ponsowe róże w całym przepychu swego pełnego rozkwitu i płomienne gwoździki z głębią swego wyrazu, tak skromne i proste, a tak przemawiające do szczerej, dziecięcej duszy.

Blizny te i rany to były najdroższem tropem po przebytej pracy i walce i po złożonej ofierze „ex toto". Szedł też od nich jakoby blask słoneczny i zapach balsamu, albowiem prawdziwie to był królewski rynsztunek i boska szata zwycięskiej, miłości.

Zbudziło się bezwładne ciało, drgnęło od stóp do głów, gdy moc życiowa wstąpiła weń z duszą, a zrzuciwszy chusty i powijaki podniosło się jakby na obłokach, w blasku i jasności, lekkie, przenikliwe, szybkie jak oka mgnienie, a mocne i nieśmiertelne już, żywiące na wieki.

Nie było już dlań przeszkód żadnych. Powłoka skalista grobu była dlań jako mgła miękka i rzadka. Bez wysiłku odrodzony, zmartwychwstały Chrystus przeniknął ją już nie krokiem, ale jakimś falistym ruchem płynącego obłoku, przesunął się obok zamarłych z bojaźni i strachu wartowników i rozpłynął się niewidzialny w promieniach wschodzącego słońca, sam jako jeden z nich, ten najjaśniejszy i najbardziej słoneczny.

I tak było przez dni czterdzieści, okazując się od czasu do czasu tym, których kochał i których utwierdzać musiał w wierze i zaufaniu, aż, zebrawszy wszystkich na górze świętej, przekazawszy im władzę na cały świat, rzuciwszy im rozkaz, by szli i nauczali i chrzcili i czynili dobrze wszystkim narodom, wzniósł ręce ku niebu i błogosławiąc uroczyście Orbi terrarum, począł podnosić się w oczach zgromadzonych ku obłokom, aż zniknął za niemi i usiadł na prawicy Boga Ojca, skąd króluje odtąd niepodzielnie i skąd przyjdzie kiedyś w chwałe i majestacie.

Chrystus w glorji i blasku.

Gdyby kto mógł przeniknąć Chrystusa, jak z tego tronu chwały i jasności rozważa, patrząc wstecz poza siebie, świe-

tlaną drogę swej miłości od żłobka, aż do Kalwarji, a rzuciwszy okiem przed siebie w nieskończoność szczęścia i radości — jakąż niewysłowioną błogość wyczytałby, że już tamto tak zaszczytnie i z królewską hojnością dokonanem zostało, a to nie skończy się już nigdy.

O, beatum scelus! błogosławiony upadku pierwszych rodziców ludzkości, który stałeś się okazją do takiego okazania nieskończonej miłości Boga, pomnażając, jeśli tak można rzec, tę miłość w zewnętrznem jej objawieniu i szczęściu w chwale boskiej Chrystusa Zmartwychwstałego.

Oto druga — ta bez końca już — część żywota bohaterów miłości, jakże różna od cierniowej, kalwaryjskiej drogi, którą oni iść muszą zazwyczaj, by dojść aż na Golgotę i by móc wyrzec z pełni serca i duszy: „Wykonało się".

„Ziarno, dopóki nie obumrze, nie wyda owocu". Należy przejść przez te wszystkie 14 stacyj Bożej Męki, by móc zmartwychwstać w chwale i wstąpić do nieba. jako słońce i słać stamtąd swe życiodajne promienie na zoraną poprzednio rolę.

Zazieleni się wtedy ruń boża i okryje kwiatem i owocem, a z nieba poprzez wieki iść będą błogosławieństwa, pełne mocy i żaru i jasności od niegasnących już nigdy, jako słońce ogromnych dusz bożych pracowników, już uwielbionych unieśmiertelnionych, radosnych, przejasnych, a miłujących stokroć i tysiąckroć więcej i czyniących dobrze nieustannie, albowiem i stamtąd sieją deszcz róż na umocnienie, na pociechę, na radość wszystkich.

Chrystus zmartwychwstał jest—w chwale jest — w radości jest i w blaskach — a w Nim jaśnieje, raduje się i panuje na wieki uwielbiona miłość „ex toto" — CHARITAS!

Ks. A. Bogdański.

DYSPUTY.

Pyt. W dawnych czasach spotykały się związki małżeńskie między bliskimi krewnymi (np. Abraham) — natura się nie mściła, zakazów Bożych nie było. Dlaczego dzisiaj Kościół robi trudności przy związkach małż., zawieranych między krewnymi? W jakim stopniu pokrewieństwa nie wolno zawierać związków

małż.? — Kiedy można za dyspensą? —co do niej uprawnia? Czy mógłbym zawrzeć małżeństwo z córką córki siostry mojego ojca? Czy mógłbym zawrzeć małżeństwo z córką córki rodzonej siostry matki mojej matki?

Odp. W dawnych czasach było to rzeczą nieuniknioną, gdyż wszyscy ludzie byli sobie dość bliskimi krewnymi z powodu niewielkiej jeszcze względnie liczby ludzi i bliskości pierwszego ogniwa rodzaju ludzkiego. Pozatem natura ludzka była jeszcze pełna sił i nie odczuwała tak bardzo ujemnych skutków małżeństw w bliskiem pokrewieństwie. Specjalnie zaś u Żydów, począwszy od Abrahama, który jest uważany za Patrjarchę narodu żydowskiego, był nawet nakaz naprzód tradycyjny, a później usankcjonowany prawem Mojżesza, zawierania związków małżeńskich wśród siebie i formalny zakaz małżeństw z osobami innej narodowości.

Prawo to było ogłoszone dla zachowania jedności i ciągłości narodu wybranego, dla uchronienia go od wynarodowienia, od wpływów obcych wierzeń religijnych i obyczajowości. Racja ta ustała z chwilą przyjścia na świat Mesjasza.

Z biegiem wieków, gdy natura ludzka osłabła, a nawet wyczerpała się w znacznym stopniu, małżeństwa w bliskiej rodzinie okazały się bardzo szkodliwemi fizycznie i duchowo. Ludzie karłowacieli, dochodzili do kretyństwa i utraty sił i zdolności. Jest to zresztą fakt zupełnie pewny, nietylko u ludzi, ale i u zwierząt nierozumnych.

Przeciwnie, t. zw. „krzyżowanie” wzmacniało zawsze gatunek zwierząt i dobre skutki sprowadzało na ludzi.

Poza tem małżeństwo w prostej linji (rodzice — dzieci — wnukowie) przez poczucie szacunku i pietyzmu winnego rodzicom, bezpośrednim i pośrednim, było zawsze uważane za przeciwne prawu naturalnemu.

Z tych wszystkich racyj wychodząc, kościół w Can. 1076 Kodeksu Prawa Kanonicznego zabrania nazawsze w § 1-ym związków małżeńskich w linji prostej i w § 2 w linji bocznej aż do trzeciego stopnia włącznie.

Małżeństwo, z temi przeszkodami zawarte bez odpowiedniej dyspensy, jest nieważne.

O dyspensę zwracać się trzeba do Biskupa Diecezjalnego przez swego ks. proboszcza. Powody zaś mogą być różne

i tem ważniejsze, im pokrewieństwo jest bliższe. § 1-szy przytem tego kanonu dyspensy nie dopuszcza. Wystarczającym powodem może być szczęśliwe dobranie dwojga osób, połączone nieraz ze wspolnemi sprawami majątkowemi, z obawą natrafienia wśród osób obcych na jednostkę nieodpowiednią i t.p.

W podanych dwu wypadkach konkretnych małżeństwo jest możliwe, gdyż stopień pokrewieństwa (wuj — siostrzenica) dopuszcza ważną dyspensę.

Pyt. Gdy przystępujemy do spowiedzi bez żalu za różne niedoskonałości, a nawet z chęcią popełniania ich po spowiedzi —czy spowiedź jest ważna? Przecież chodzi głównie o wyznanie grzechów ciężkich, o żal za grzechy wogóle, a nie za niedoskonałości.

Odp. Racja jest zupełnie słuszna. Według zasad teologji moralnej materją konieczną spowiedzi są tylko grzechy ciężkie i one muszą być na spowiedzi wyznane, jeżeli chcemy, by spowiedź była ważną. Niedoskonałości, a nawet wyraźne grzechy powszednie mogą być zmazane poza spowiedzią przez zwykły akt żalu, wiary, miłości, przez komunję ś-tą, pobożne przeżegnanie się wodą święconą i t. p. Ich więc wyznawanie na spowiedzi nie jest konieczne do ważności, choć bardzo pożyteczne, o ile penitent nie cierpi na skrupulatyzm.

Dlatego też i żal za niedoskonałości, a nawet przewidywanie trwania w nich potem i brak chęci poprawy z nich nie znosi ważności spowiedzi, gdyż nie są one zupełnem odwróceniem się od Pana Boga (choć możliwie powinniśmy się starać o doskonałość, wykluczającą nawet wszelkie niedoskonałości, a przynajmniej grzechy powszednie).

Wystarczy więc na spowiedzi wyznać i żałować za grzechy śmiertelne, z mocną wolą niewracania do nich już nigdy.

Gdyby jednak ktoś nie miał szczęśliwie żadnych grzechów ciężkich na sumieniu, a tylko powszednie i niedoskonałości i spowiadałby się z nich bez żalu (przynajmniej za jedno z nich) i bez chęci poprawy, owszem z wolą trwania w nich i nadal spowiedź taka byłaby nieważna i nawet świętokradzka.

Sami przecież wyczuwamy sytuację, jaka się wytwarza. Dzieje się wtedy tak, jak gdyby ktoś przyszedł do nas i powiedział z rozbrajającą szczerością: wiesz co, nabroiłem trochę przeciwko tobie, były to rzeczy niewielkie, ale uzbierało się

ich nieco. Nie przepraszam cię za to wcale, ani tego nie żałuję, że się tak stało, a nawet mogę cię zapewnić, że nadal to samo będę robił, ale swoją drogą nie gniewaj się za to na mnie i daruj mi to wszystko.

Każdy odpowiedziałby na to, że, choć niewiele sobie robi z tych „brojeń" nieszkodliwych, ale takie powiedzenie uważa za impertynencję. I obraziłby się zupełnie słusznie.

Niech sobie broi, jeśli już nie chce, czy nie może inaczej, ale niech się nie posuwa do takiego lekceważenia osoby obrażonej.

Co innego, gdy ktoś z ogólnej ludzkiej ułomności popełnia niedoskonałości i nie powstaje z nich, ale ocenia, że to nie jest dobrze, chciałby to przezwyciężyć, lecz idzie mu ciężko i wie, że prędko z tego nie wybrnie, a nawet trudno mu jest zdobyć się na samą chęć wybrnięcia z tego; a co innego, gdy ktoś uznając zło, choćby najmniejsze, nie myśli zupełnie nawet o chęci poprawy, lekceważąc sobie te drobnostki.

W pierwszym wypadku Pan Bóg „nie dziwi się" wcale, bo wie, z jakiej jesteśmy ulepieni gliny. W drugim, choć Go mniej obrażają same te drobnostki, obraża Go jednak ich lekceważenie, zwłaszcza w oficjalnym akcie spowiedzi, na którą składają się tylko takie maleństwa.

Pyt. Mamy II-gie przykazanie kościelne b. wyraźne, a do częstej Komunji Kościół tylko zachęca, choć Krew boska jest dużo skuteczniejsza od wysłuchanej mszy.

Czy jest niedopuszczalne, abym rano komunikowała w święta, zamiast jeździć na sumę z której się wraca o drugiej?

Zdrowie żadną miarą nie pozwala mi na dwukrotne odbycie tej podróży, ranny spacer jest mniej męczący od takiej długiej mszy, wikarego u nas niema, kazania nie słyszę (ani połowy tego co do mnie mówią!), w dzień powszedni mam zajęcie.

Odp. Przed konkretną odpowiedzią należy sobie niektóre rzeczy bliżej wyjaśnić i rozróżnić.

Przedewszystkiem więc obowiązek słuchania Mszy ś-tej w niedzielę i święta jest przykazaniem wyraźnem. Częsta Komunja ś-ta jest tylko radą, obowiązkowa bowiem jest tylko jedna Komunja w okresie wielkanocnym. Z tego względu przykazanie obowiązuje bardziej, niż rada.

Lecz — indywidualnie, rzec można, korzysta się więcej z Komunji ś-tej, niż tylko z obecności na Mszy. W Komunji bowiem łączymy się bezpośrednio z Bogiem, w czasie Mszy stoimy tylko wobec Niego. Najdoskonalszym wyjściem jest Komunja ś-ta w czasie Mszy, o ile komu na to zdrowie pozwala.

Z drugiej zaś strony przykazanie kościelne o obowiązku słuchania Mszy ś-tej jest prawem pozytywnem, nakazującem, do niego więc stosuje się zasada, że obowiązuje w warunkach normalnych, t. j. jeżeli do jego spełnienia niema żadnych większych przeszkód. Jedną zaś z przeszkód zwalniających z tego obowiązku jest choroba.

Mając więc do wyboru: albo przyjąć Komunję ś-tą rano, na co zdrowie, choć z pewnym wysiłkiem pozwala, albo z wielkim trudem i narażeniem zdrowia jechać do kościoła dla wysłuchania długiej sumy — można bez żadnego skrupułu poprzestać na Komunji ś-tej, a w porze letniej, gdy warunki atmosferyczne będą łagodniejsze i zdrowie silniejsze, wybrać się od czasu do czasu do kościoła na sumę.

* * *

Pyt. Czy ja mam obowiązek wytężyć wszystkie 100% sił i władz umysłowych, żeby zrozumieć swój własny pacierz? Bo zwykle sobie pobłażam i traktuje pacierz jak ciężki los i bezradnie trzymam się za anemiczną głowę, zamiast się wysilać aż do skutku.

Odp. „Aż do skutku"... jakiego skutku? Czy żeby głowa pękła, czy żeby dostać obłędu religijnego..? bo jedno i drugie możliwe, jeśli kto par force chce „zrozumieć" swój własny pacierz.

Jest to właśnie jeden z rodzajów skrupulatyzmu i niezdrowego mistycyzmu, gdy ktoś chce koniecznie mieć „odczucie" zrozumienia treści swego pacierza i będzie wysilał całą głowę, będzie powtarzał przez pięć godzin jedno wezwanie „Ojcze nasz", dopóki nie odczuje, że dusza się wypowiada w tych słowach. Czasami można wtedy rozbić głowę, albo dostać formalnej „ideé fixe" na tym punkcie, a wtedy nie pomoże i normalny pacierz.

Pacierz ustny jest bardzo czcigodny i zbawienny, sam Pan Jezus nauczył nas swojej Modlitwy Pańskiej. Jest on nawet konieczny, bo ustami jesteśmy też obowiązani chwalić dobrego Pana Boga.

Ale jest on tylko najniższym stopniem modlitwy. Wyższym jest stopień modlitwy myślnej i uczuciowej, bez słów, bez żadnych znaków zewnętrznych. Dobrze jest prosić Pana Boga o łaskę, ale doskonalej jest dziękować, przepraszać, chwalić, uwielbiać. A do tego nie potrzeba wielomóstwa. Wystarczy jedno „dziękuję", ale z całego serca powiedziane, wystarczy jedno „kocham", „wierzę", „oddaje się Tobie", „bądź wola Twoja" — choćby bez uczucia, byle z dobrą wolą wypowiedziane. Na to nie potrzeba ani czasu specjalnego, ani usposobienia, ani chwytania się za głowę. A poza tem uśmiech na ustach, jako odblask tej wiary, ufności dziecięcej i miłości w duszy — to najbardziej pochwalny hymn modlitewny i jako promień boży kojący i siejący życie i radość dokoła.

Nie męczyć się więc pacierzem ustnym bez końca. Pan Bóg nie potrzebuje wijących się z bólu derwiszów, ale promiennych, radosnych aniołów i dziecięcych, śmiejących się dusz, które mówią po swojemu „mama" i „tata", a resztę dopowiedzą spojrzeniem i uśmiechem bezcennym.

* * *

Pyt. Jaka jest rada na apatję?

Odp. O, na apatję jest dużo rad. Naprzód psychjatra i jego recepty z hydropatycznemi zabiegami, z elektryzacją, z kąpielami w „Miłowodach" i t. p.

Później rózgi i biczowanie codzienne (w znaczeniu przenośnem, broń Boże, dosłownem): wychłostać się uczciwie zawsze zrana i wieczorem, powiedzieć sobie słowa prawdy bez żadnych ogródek, poprosić przyjaciela, czy przyjaciółki, by nam w tem dopomogli, a z całych sił, wzmocniwszy je przedtem dobrym zastrzykiem gorliwości, świętego oburzenia i druzgocącego humoru o charakterze satyrycznym. Następnie znalezienie celu życia, choćby minimalnego, choćby trochę tylko wzniosłego, ale by była ta jedna chociaż maleńka gwiazdeczka jasna na naszym horyzoncie. Już ona będzie magnesem dla nas na każdy dzień. Wreszcie spokojne opanowanie programu działania i szczegółowego planu, rozłożonego na rok kwartał, miesiąc, tydzień, dzień, a nawet godzinę. To wszystko ładnie trzeba wypisać i od godziny do godziny sprawdzać, czy wypełniamy. Małe, najmniejsze rzeczy trzeba sobie tam wypisać, ale je spełnić doskonale. Oto cała tajemnica.

A jak, mimo to, będzie nas ten spleen duchowy męczył, powiedzmy zawsze szczerze o tem Panu Bogu, uderzmy się w piersi, obudźmy dobrą wolę i prośmy o łaskę, a nawet o grom z nieba. Resztę Pan Bóg przy naszej dobrej woli i choćby słabym wysiłku, sam w nas dokona napewno.

Amicus.

BOHATEROWIE WIARY.

Bł. Andrzej Bobola T. J.

I to bohater prawdy bożej, a taki nam bliski, nasz, sandomierzanin, wychowany w naszych szkołach, w naszych klasztorach Zakonu Jezuickiego zaprawiony do służby bożej naszej młodzieży wieku siedemnastego kierownik, apostoł naszych kresów wschodnich i męczennik za wiarę, w okrutny sposób, przypominający tortury w dzisiejszych czrezwyczajkach, zamordowany w r. 1657 przez tych, do których z imieniem Jezusa na ustach szedł, by im prawdziwą drogę wskazać do nieba.

Znany za życia pod zaszczytnym przydomkiem „Łowcy Dusz", a po śmierci związany z Narodem, jako jego Anioł-Pocieszyciel w nieukojonej w niewoli tęsknocie za wolnością, dzisiaj oczekujący na uroczyste uwielbienie tytułem świętego.

Znany jego żywot skądinąd. Prosty i „normalny" w swym biegu, a dlatego, że taki prosty i konsekwentny—ukoronowany glorją heroizmu, który był syntezą całego poprzedniego rozwoju duszy.

Ośrodkiem jego ducha stała się najwznioślejsza idea, po samym Chrystusie odziedziczona, apostolstwa prawdy, zbawiania dusz. Wielką i bożą jest idea niesienia ulgi współbliźnim w ich cierpieniach doczesnych, ocierania łez nieszczęśliwym i biednym, kojenia ran ciała i leczenia chorób, które są ścieżką, prowadzącą do jasnej wieczności—ale, jak dusza wyższą i cenniejszą jest od ułomnego ciała, tak jeszcze wyższą jest idea apostolstwa prawdy, prowadzenia, leczenia i umacniania dusz, otwierania im podwoi niebieskich i przejaśniania ich bożem światłem. Na to przyszedł Chrystus na ten świat, dlatego powołał swych apostołów, napełnił ich Duchem świętym

i rozesłał na cały świat, dając im rozkaz... „idźcie... nauczajcie..."!

By stać się apostołem prawdziwym, trzeba zrozumieć wartość nieśmiertelnej duszy ludzkiej i, jak zawsze we wszelkiem dziele, wymagającem osobistej i zupełnej ofiary, wartość nieskończoności.

To wszystko musiał zrozumieć Bobola jeszcze w zaciszu klasztornego nowicjata, musiał przygotować swą duszę rozmyślaniem, na którem rozgorzało mu serce, jak apostołów w wieczerniku i tam jeszcze zdecydować się na końcową ofiarę życia i stopniową ofiarę w codziennym trudzie i mozole apostolstwa. Gdy stamtąd wyszedł, widzimy, jak kroczy niezmordowanie przez wiele lat, przebiegając wzdłuż i wszerz naszą ziemię, łowiąc dusze, wpadając do samych ognisk wrogów prawdy Chrystusowej, porywając za sobą wszystko i wszystkich mocą swych przekonań, nieustraszonością i potęgą miłości.

Nietrudno nam będzie zrozumieć tego bohatera, bo cała jego apostolska działalność rozgrywała się tam, gdzie i dzisiaj za wymówienie imienia Boga grozi okrutna śmierć i gdzie wszelka akcja religijna uważana jest za zdradę stanu i karana bez sądu, na miejscu, wśród okoliczności, ścinających krew w żyłach człowieka.

Zapytajmy tych, którzy po mękach katorg i więzień, komisji śledczych i konaniach ucieczki powrócili do nas ze wschodu niedalekiego. Ci sami tam działają dzisiaj wrogowie Chrystusa i temi samemi środkami. Ktoby do nich poszedł dzisiaj ze słowem pokoju i miłości na ustach, z krzyżem w ręku, niepomny na te okropności, które każdego tam oczekują apostoła? Nazwalibyśmy takiego śmiałka —i słusznie—bohaterem i... wykreślilibyśmy go z listy żyjących.

A Bobola poszedł—otwarcie, śmiało, bez lęku, z jedynem pragnieniem, by nauczyć prawdy te biedne zbłąkane dusze, by mocą miłości złamać ich nienawiści, i choćby ofiarą swego życia, swą męką i bólem okupić zbawienie nieszczęsnych.

Ile dusz nawrócił i zbawił w ten sposób — Bóg tylko jeden o tem wie dzisiaj, bo nie było na miejscu kronikarza, jak przy dyplomatycznych zjazdach, by notował wszystkie szczegóły. On szedł, a raczej biegł, jak żagiew płonąca, z wyso-

ko podniesionym krzyżem Chrystusa w ręku, ogarniając wszystkich, krusząc opoki serc, siejąc promienie światła bożego na wsze strony, rozjaśniając dokoła zszarzałe w prochu ziemskim biedne dusze ludzkie... Dokoła niego wzniecał się pożar, wzrastał pomruk nienawistnego wroga, ale on szedł ku niemu, nie patrząc, że to wróg, właśnie dlatego pragnąc zbawienia jego duszy. Wznosiły się ręce, uzbrojone w bicze, noże i szable, już zaczynały uderzenia spadać na jego zbolałe od trudu i dźwigania codziennego krzyża barki, a on parł naprzód, nie zważając na nie, byle dalej, byle głębiej sieć bożą zapuścić, byle więcej dusz dla Boga złowić i uszczęśliwić je na wieki.

Czem dla niego było własne życie? czem niebezpieczeństwo, czem perspektywa tortur nieuniknionych? Co to wszystko znaczyło wobec jednej jeszcze duszy na wieki zbawionej i wobec tej wieczności, którą już przed sobą widział, dotykał niemal, wyczuwał swą duszą...! Byle dalej, byle dalej, jeszcze jeden rzut, jeszcze jedno wezwanie, rzucone w tłum o miłości wielkiego Boga, o Chrystusie, który człowieka tak bardzo kocha. Aż... chwyciły go mocne ręce oprawców, posypały się klątwy, uderzenia, śmiertelne razy... Nie czuł prawie tego, że obcinają mu ręce i nogi, że zdzierają skórę z całego ciała, wykłuwają oczy... porzucają martwy juz prawie kadłub na gnojowisko przydrożne. „Dla nich, o Ghryste, dla nich... byle moja ofiara otworzyła oczy ich dusz i obmyła na wieki. Oto spełniony trud żywota i wszystko Ci dałem, coś mi sam dał, Panie!"

Zapamiętanie, ekstaza bohaterstwa i oszołomienie prawdy i miłości.

Ale to wszystko już przedtem było przeżyte i dlatego było tak prostem, bez załamań, bez chwili wahania i trwogi, rzec można konsekwentnem i nieuniknionem.

Pójść dzisiaj tam również, na chłód i głód, na bicze i tortury, na pewną śmierć i z krzyżem w ręku, głosić mężnie miłość Chrystusową, by jednych umacniać na duchu, innych powstrzymać od rozpaczy, a tamtych kruszyć potęgą ofiary i bohaterstwa... Oto jedyna broń na nienawiść i opętanie szatańskie. Na nic się przydadzą zabiegi dyplomatyczne, ani mądrość wszystkich filozofów, ani może nawet skargi całego świata — tam trzeba potęgi łaski, trzeba krwi ofiarnej, mocy krzyża i boha-

terstwa miłości. Przed tą potęgą nie ostoi się nic na świecie. Ona skruszyła niezwyciężone zdawałoby się trony Cezarów, złamała żelazne ich legjony i zamknęła paszczęki dzikich zwierząt, zwyciężyła moc ognia i samą nienawiść tyranów.

Ona i dzisiaj i zawsze i wszędzie zwycięży.

T. P.

Siostra Anna od Pana Jezusa, Karmelitanka Bosa.

Postacie twórców nowych zakonów bądź też zgromadzeń zakonnych śmiało porównać można do potężnych wichrów. Wydostawszy się na wyżyny ducha sami, pozbawieni płaskiego egoizmu, ze swoich skarbów duchowych pragną oni udzielać bodaj cząsteczkę innym, zatem szerzą swe szczytne idee pośród dusz, tkwiących w bezruchu, porywają je za sobą z huraganową mocą do czynu, a dzięki temu z pomocą ich i ich następców odnawiają oblicze ziemi przez zwrócenie ponowne ludzkości ku Bogu.

Osobistością tego rodzaju w stuleciu szesnastem była św. Teresa z Avilo, reformatorka zakonów karmelitańskich. Szczytne jej ideały względnie szybko rozszerzyły po świecie duchowe jej córy, do Polski zaś przybyły one do Krakowa za sprawą świętobliwej wielce niewiasty, Konstancji z Mirowa Myszkowskiej. Ta właśnie gromadka była bardzo szczupła, ale na zwiększenie się jej długo czekać nie było potrzeba, wnet bowiem zgłoszeń z prośbą o przyjęcie w szeregi zakonu sióstr Karmelitanek Bosych posypało się mnóstwo. Jedną z pierwszych, która zapragnęła poświęcić się na służbę Bożą w klasztorze karmelitańskim, była siostra Anna od Pana Jezusa, przypominająca pod niektóremi względami św. Teresę z Avilo.

Jakie było nazwisko rodowe tej zakonnicy, dotychczasowi jej biografowie nie podają, zadawalniając się tylko zaznaczeniem iż na chrzcie św. otrzymała imię Jadwiga. By ustalić, jak się nazywali jej rodzice, trzebaby przedsięwziąć specjalne badania archiwalne, wszakże pozytywny ich wynik jest dość problematyczny. Co się tyczy stanu, z którego pochodziła, to był nim stan szlachecki. O. Florjan Jaroszewicz w swojej

„Matce świętych, Polsce” powiada, że świętobliwa ta Karmelitanka Bosa urodziła się w Górkach, pod Krakowem, jako córka „rodziców tak urodzeniem szlachetnem i doskonałością życia chrześcijańskiego sławnych”.

Dzieciństwo siostry Anny od Jezusa było rzeczywiście wielce obfitujące w dowody opieki Bożej nad nią, na co coprawda zasługiwała w zupełności przez swą pobożność. Rodzice jej mieszkali w pobliżu Wisły, zdarzyło się więc kiedyś, że przez nieostrożność poczęła ona tonąć, do katastrofy jednak nie doszło, bo oto w cudowny sposób uratowana została od śmierci za przyczyną Najwiętszej Marji Panny.

Fakt ten był w życiu młodej dziewczynki punktem zwrotnym. Wdzięczna Bogurodzicy za doznaną łaskę, chciała koniecznie okazać to w sposób widoczny, przeto zapragnęła ocalone życie poświęcić na chwałę Pana ponad pany. Niebezpieczny ów wypadek stał się dla przyszłej zakonnicy bodźcem do rozmyślań nad wybraniem drogi na przyszłość, w rezultacie czego zdecydowała się wstąpić do zakonu. Ażeby ugruntować oraz pogłębić w sobie iskrę powołania zakonnego, zwróciła się z całym zapałem do żywotów świętych Pańskich, do literatury ascetycznej i wogóle książek religijnych. Lektura taka wywołała zbawienny nader skutek, gdyż młoda dziewczynka osiągnęła wiarę już nie tylko uczuciową, ale również rozumową.

Kiedy powołanie do zakonu ostatecznie dojrzało w niej, z zamiarami swemi zwierzyła się rodzicom. Ci na wiadomość o pragnieniach córki swojej zdumieli się bez miary. Małą Jadwigę cechowała niezwykła żywość, wesołość, rzeźkość, nie chcieli tedy zrazu wierzyć w to, myśleli, iż to jeno jakiś chwilowy kaprys, lecz, gdy w rachubach swoich zawiedli się, starać się zaczęli, jak tylko mogli, wpływać na zmianę tej decyzji.

Niepowodzenie zmusiło dziewczynkę do uczynienia kroku podobnego do postępku św. Teresy z Avilo, kiedy była w tym samym mniej więcej wieku: oto uplanowała sobie ona ucieczkę z domu rodzicielskiego na puszczę, byleby tylko pragnienia swoje zrealizować. Wpłynąwszy na jedną ze sług matki, jakiegoś dnia, świtem razem z nią wymknęła się w przebraniu wieśniaczem z dworku rodziców i rozpoczęła wędrówkę w poszukiwaniu puszczy. Po całodniowym forsownym marszu przed nocą zaszła do jakiejś wieśniaczej chaty, prosząc o no-

cleg. Wieśniaczka udzieliła jej w swej izbie gościny, ale, skoro dowiedziała się, z kim ma do czynienia, nie omieszkała powiadomić niezwłocznie ojca niedoszłej pustelnicy, który w krótkim czasie zjawił się w miejscu jej pobytu i zabrał ją do domu łącznie z towarzyszką.

Pierwsza wyprawa skończyła się niefortunnie, mogło to więc podziałać źle na iskrę powołania zakonnego, gdyby było ono płytkie, powierzchowne, wszakże z młodą Jadwigą stało się inaczej. Pomimo niepomyślnych warunków, pomimo ciągłego odradzania jej tego kroku przez rodziców myśl o służbie Bogu na chwałą w zakonie nie zanikała, a przeciwnie: im więcej piętrzyło się przeszkód, tem stawała się silniejszą, mocniejszą. Nic nie zrażało młodej panienki, krzyże, udręki, przykrości znosiła cierpliwie, sprawę zaś wstąpienia do klasztoru zleciła Odkupicielowi i nie zawiodła się.

Umocniona na duchu przez boleść, podczas pewnego pobytu w Krakowie, dowiedziawszy się o osiedleniu się w tem miejscu sióstr Karmelitanek Bosych, wiodących w karmelach swoich surowy tryb życia, nawiązała z niemi bliższe stosunki, a w następstwie ich otrzymała zapewnienie, że do zakonu, gdzie dotąd polek jeszcze nie było, przyjętą być może w każdej chwili.

Teraz pozostawała do przezwyciężenia druga z kolei tama: rodzice. Szczere powołanie, które kazało młodej Jadwidze w zaraniu życia, w samym lat rozkwicie zamknąć się w murach klasztornych, powołanie wypróbowane tylekroć, nie budziło już żadnych wątpliwości, to też tak ojciec, jak matka, nie oponowali więcej, nie sprzeciwiali się zamiarowi, a obdarzyli nadto córkę błogosławieńswem.

Walki ze światem zostały ukończone, węzły z najbliższymi zerwane, młodziutka Jadwiga, jako siostra Anna od Pana Jezusa rozpoczęła próbę nowicjacką, wszakoż przeszkody zupełnie nie skończyły się. Z kolei opanowały ją trudności duchowe. Zakon karmelitański należy do bardzo surowych, obudziła się więc w niej wątpliwość, że surowość ta jest nie na ludzkie siły, słowem duch ciemności rozpoczął harce na dobre, zsyłając skrupuł po skrupule. Ten niebezpieczny wielce dla duszy stan pokonała młodociana nowicjuszka w bardzo prosty sposób: zajęła się poprostu bliźnimi, czas wypełniła czynieniem przy-

sług chorym, czy strapionym, wskutek czego na przesadne analizowanie osobistych przeżyć wewnętrznych, na upatrywanie w drobnych uczynkach niedokładności czasu już nie stawało. Oprócz tego stosowała umartwienia, przez nie niższe popędy cielesne trzymała na więzi, dzięki czemu postęp duchowy miał wszelkie dane do rozwoju.

Rozumiejąc dobrze, że nie można kochać jakiejś rzeczy bez znajomości jej, dla większego ukochania Owczarni Chrystusowej, Kościoła katolickiego, często chwilę czasu poświęcała na zapoznanie się z jego dziejami. Pełna podziwu dla historji kościelnej, tak wyraźnie wykazującej działanie Opatrzności Boskiej, bolała nad jedną zwłaszcza kwestją, nad tem mianowicie, iż tyle jest na świecie ludzi, co dali się uwieść herezjarchom i zerwali łączność z Nawą Piotrową. Odtąd to modlić się gorąco poczęła o spełnienie się życzenia Chrystusa Pana, ażeby był jeden pasterz i jedna owczarnia ; przez to stała się współpracowniczką duchową w wielkiem dziele misyjnem.

Przez szereg lat po wstąpieniu do zakonu była zwykłą siostrą, potem atoli ze względu na stateczność oraz szlachetność ducha poczęła być wybieraną na różne urzędy zakonne. Między innemi ona właśnie przyczyniła się do pewnego stopnia do wzniesienia w Lublinie aż dwuch karmelów. Pierwszy ufundowała Katarzyna Ligęzina i w nim to siostra Anna od Pana Jezusa rozpoczęła przyspasabianie do życia zakonnego nowych zastępów sióstr. Pod światłem jej kierownictwem klasztor stanął na bardzo wysokim stopniu rozwoju duchowego, cnoty kwitły w nim przewspaniale, w skromnych jednak murach nie można było pomieścić wszystkich zgłaszających się panien. Celem usunięcia tej bolączki świątobliwa zakonnica wszczęła niebawem starania o budowę drugiego karmelu, do czego funduszami swemi wydatnie przyczyniła się żona podskarbiego koronnego, Zofja Danielowiczowa. Kiedy drugi klasztor został zbudowany całkowicie, z woli władz zakonnych siostra Anna od Pana Jezusa została także jego przełożoną. Pobyt jej w grodzie lubelskim trwał wogóle bardzo długo, bo ponad lat dwadzieścia.

Po doprowadzeniu do rozkwitu obu karmelów, z których jeden zbudowany był pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny, czcigodna Karmelitanka Bosa powróciła na rozkaz przełożonych do Krakowa dla objęcia tam obo-

wiązków kierowniczych nad miejscowym klasztorem. Posłuszna zleceniu uporządkowała w karmelu krakowskim wszystkie sprawy, postarała się, iżby przed Przenajświętszym Sakramentem — trzeba tu zaznaczyć, że siostra Anna od Pana Jezusa była wielką, żarliwą czcicielką Eucharystji — zawsze płonęła wieczna lampka, spełniwszy zaś to wszystko, na następne trzechlecie ponownie osiadła w Lublinie, dokąd przybyła pomimo to, iż wtedy właśnie zaczął się pamiętny w dziejach Polski bunt Bohdana Chmielnickiego, którego bandy gęsto czyhały na podróżnych.

Długie lata wytrwałej pracy nad krzewieniem ideałów św. Teresy z Avilo, ciężkie choroby, nieprzyjemności ze strony ludzi podłych i zawistnych osłabiały siły pobożnej służebnicy Bożej, w duszy budziła się świadomość, że niewiele już dni pozostaje do końca życia. Wyjeżdżając do Budziszewa, przy pożegnaniu z współsiostrami zakonnemi oświadczyła, iż więcej się z niemi nie zobaczy, co istotnie rychło sprawdziło się. Po przybyciu do domu dobrych ludzi, zamierzających w dobrach swoich wznieść klasztor dla Sióstr Karmelitanek Bosych, „śmiertelnie zatem zapadła,—mówi jej żywotopisarz z doby saskiej, a gdy się wzmagała choroba, gotowała się pilnie na śmierć, umacniała duszę codziennem Ciała Chrystusowego pożywaniem. W wigilję śmierci, cale już na siłach ustając, ostatni raz Komunję św. przyjęła i Olejem św. na drogę wieczności opatrzona została, po którego przyjęciu, nieco pokrzepiona, na podziękowanie Panu Bogu za dobrodziejstwa i łaski sobie dane hymn „Te Deum laudamus" zaśpiewała. W niedzielę trzecią po Trzech Królach z okazji słów ewangelicznych tejże niedzieli często te słowa powtarzała: „Panie, jeżeli chcesz, możesz mię uzdrowić", a potem z niewymownem weselem serca mówiła: „Powiedział mi Pan: nie będziesz uzdrowiona". Przed samą zaś śmiercią na podobieństwo Chrystusa Pana, pięciu Ran Jego boleści bardzo ciężkie w rękach, w nogach i w sercu uczuła i z niezwyczajną cierpliwością znosiła i w nich umarła, te słowa mówiąc: „W ręce Twoje, Panie polecam ducha mego". Po nagrodę prac swoich aż do zgonu poszła r. P. 1649."

Jak widać z tego opisu pióra o. Jaroszewicza, była to mors in odore sanctitatis, która wzbudziła w osobach, znających siostrę Annę od Pana Jezusa, przekonanie, iż była ona naprawdę duszą świętą, wybraną.

Ciało zmarłej z Budziszewa przewiezione zostało do Lublina oraz złożone tam w podziemiach klasztoru św. Józefa, obecnie jednak znajduje się ono w podziemiach klasztoru Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny. Przeniesienia tego dokonano wkrótce po pogrzebie na skutek próśb fundatorki tego drugiego karmelu, podskarbiny Danielowiczowej.

Kiedy w trzy lata po zgonie siostry Anny od Pana Jezusa przybyła dobrodziejka ta do jej grobu, znalazła ciało—świadczy hagiograf staropolski w zbutwiałym habicie całe i nienaruszone, które własnemi rękoma podniósłszy, w nowy oblekła, ręce zaś owej pani któremi się dotykała ciała Anny, choć umyte, dziwnie pachniały. Nadto, gdy już do domu powróciła, rozszedł się zapach po jej pałacu, czemu się dziwowali wszyscy domowi... Skąd pobudzona nabożeństwem do tej sługi Boskiej, dla większej uczciwości trumnę cyprysową dla niej zrobić kazała, w której dotąd nieskazitelne spoczywa jej ciało"*)

Oprócz tego cudownego znaku świątobliwość niezwykła siostry Anny od Pana Jezusa potwierdzona została przez Stwórcę w inny sposób, mianowicie przez łaski za jej wstawiennictwem. „Wiele ludzi udawało się do Boga w chorobach i pożarach ogniowych—świadczy dawny żywotopisarz—przez zasługi i przyczynę tej sługi Boskiej i cudownie prawie są pocieszeni". Takie wypadki powodowały cześć prywatną świątobliwej Karmelitanki Bosej oraz pamięć o niej, dzisiaj jednakże została ona zapomniana prawie że zupełnie.

Józef Marjan Chudek.

---

*) Słowa te pisane były w połowie stulecia osiemnastego.

Legenda.

Hen! w głuchej grocie, podziemnej grocie,
Wśród głazów, krytych kobiercem mchów,
Stoi w błyszczącej zbroi i złocie
Śpiących rycerzy ognisty huf.

Patrzcie! — to dawne wszak wojsko nasze!
Wszak to husarski złocisty strój!
W dłoniach ich lśniące błyszczą pałasze,
Jakby w śmiertelny iść mieli bój!

Dzielnie walczyli ci wielcy męże,
Za kraj ofiarną przelali krew;
Groźne w ich ręku były oręże,
Straszny w ich ustach tryumfu śpiew.

Lecz kiedy istnieć Polska przestała,
W łapy popadłszy szatanom trzem,
Skryła ich w łonie odwieczna skała,
By tam kamiennym zasnęli snem.

Z orężem w dłoni, z wodzem na czele,
Stali tam, w groty zaszyci cień;
I spali lat już wiele, o! wiele,
Na przebudzenia czekając dzień.

A gdy wolności dzwon znów uderzy,
O zmartwychwstaniu Polski śląc wieść,
Z groty huf śpiących wyszedł rycerzy,
By Jej znów w bojach swą pomoc nieść!

Bronisław Wiszniewski

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Rozwiązanie kwestji rzymskiej.

Rozstrzygnięcie kwestji rzymskiej i uregulowanie za pomocą Konkordatu stanowiska Kościoła we Włoszech na podstawie zasad prawa kanonicznego niewątpliwie wywrze olbrzymi wpływ na wzmocnienie autorytetu Stolicy Apostolskiej we wszystkich krajach katolickich.

Układ Lateraneński, podpisany w dniu 11 lutego r. b. przez przedstawiciela Stolicy św. Kardynała Gasparriego i szefa rządu włoskiego, Mussoliniego, znosi osławioną włoską ustawę gwarancyjną z r. 1871, oraz uznaje całkowitą suwerenność władzy Papieża na terytorjum, należącem do „Città del Vaticano". Italja udziela częściowego odszkodowania za dawne prowincje papieskie i dobra, utracone przez instytucje kościelne, oraz reguluje stosunki pomiędzy Kościołem, a Państwem włoskiem. Ze swej strony Papież Pius XI stwierdza, że kwestja rzymska jest ostatecznie rozstrzygnięta i uznaje Królestwo Italji z jego obecną formą rządów i Konstytucją.

Znaczenie aktu lateraneńskiego nietyle ma swą epokową wagę w dziedzinie politycznej, ale przedewszystkiem z punktu widzenia życia religijnego Kościoła. Stolicy Apostolskiej nie chodziło o zwrócenie Państwa Kościelnego w jego dawnych granicach, jak to widać z faktu, że Papież Pius XI bez żadnych targów ze swej strony zrzekł się tych posiadłości na rzecz państwa i narodu zjednoczonych Włoch, z zachowaniem zasadniczem praw do terytorjów dawnego Państwa Kościelnego, nad któremi administrację w imieniu Stolicy Świętej sprawuje Rząd włoski. Punktem zasadniczym i istotnym tego aktu było zagwarantowanie Stolicy św. suwerenności nienaruszalnej w stosunku do Rządu włoskiego, zabezpieczenie aktem politycznym równości Papieża pod względem praw międzynarodowych z każdą władzą państwową, oraz zapewnienie prawne i historyczne niezależności Papieża i Jego rządów nad Kościołem od włoskiego i jakiegokolwiek innego rządu i narodu.

Całkowita niezależność od władzy świeckiej i władza suwerenna niezbędne są Papieżowi w wykonywaniu urzędu najwyższych Pasterzy narodów chrześcijańskich. Wobec państwowego ustroju społeczeństw, niezależnie od jego form politycz-

nych, każdemu człowiekowi przedstawia się alternatywa: posiadać władzę, lub jej być poddanym, panowanie lub poddaństwo. Papież w sprawowaniu swego posłannictwa wszechświatowego musi być całkowicie niezależnym. Ponieważ zaś byłoby to niemożliwe w warunkach poddaństwa, czy obywatelstwa, przeto Ojciec chrześcijaństwa musi być sam panującym. Innego wyjścia z cieśniny tego dylematu nie ma i być nie może.

Zdawałoby się, że właśnie rząd włoski po zaborze Państwa Kościelnego wynalazł owe „tertium" w ustawie gwarancyjnej z r. 1871, zabezpieczającej eksterytorjalność Watykanu oraz swobodę w komunikowaniu się Stolicy św. z duchowieństwem i Episkopatem całego świata. Pomijając już nawet prawa historyczne Papiestwa do Państwa Kościelnego, ale traktując kwestję rzymską merytorycznie, musimy uznać, że niedarmo Pius IX odrzucił proponowane przez zaborczy Rząd włoski gwarancje. W samym charakterze ich, jako aktu jednostronnego, określanego dowolnie przez władzę świecką, tkwił pierwiastek zależności. Ustawa o rękojmiach z 1871 r. obejmowała w 19 tytułach t. zw. Garanzie dell'independenza del Sommo Pontefice e del libero esercizio dell'autorità spirituale della Santa Sede, czyli gwarancje niezależności Najwyższego Pasterza, i swobodnego wykonywania władzy duchownej Stolicy Świętej.

Otóż ta „niezależność" i „swoboda wykonywania władzy duchownej" były w rzeczywistości zależne od „łaski" Rządu i parlamentu włoskiego. Kto się odważył targnąć na Ojcowiznę św. Piotra, mógł się odważyć podnieść rękę na Watykan oraz na prawa zagwarantowane Stolicy św. w akcie o rękojmiach. Zresztą, wykluczając nawet tę ostatnią ewentualność, niezliczone szykany, których Stolica Apostolska była przedmiotem ze strony władzy świeckiej we Włoszech oraz rozliczne dekrety i ustawy prześladowcze, wydane po r. 1871, dowodziły aż nadto dobitnie nietrwałości i fikcyjności gwarancyj politycznych, opartych na jednostronnych zobowiązaniach Rządu włoskiego.

Według ustawy gwarancyjnej (art. 1) osoba Papieża miała być świętą i nienaruszalną, a wszelkie znieważenie godności Papieża miało być karane przez Rząd włoski, jako crimen laesae Majestatis. Mimo to, po zaborze Rzymu, okrzyki: „Abbasso il Papa" precz z Papieżem, ohydne karykatury i niecne wycieczki pism liberalnych przeciw Papieżowi uchodziły bezkarnie.

Papież w wykonywaniu urzędu miał używać całkowitej swobody (art. 3); tymczasem encykliki swoje wielokrotnie musiał drukować w Genewie, skoro zaś ukazywały się w pismach włoskich (r. 1871 i 1873) zaraz je rząd konfiskował. Duchowieństwu katolickiemu rządy włoskie opanowane przez masonerję, dokuczały w przeróżny sposób, podczas, gdy predykantów protestanckich i księży lub zakonników apostatów brały w opiekę. W r. 1875 rozciągnięto obowiązek służby wojskowej na wszystkich duchownych do 35 roku życia. W następnych latach dokonano konfiskaty znacznej ilości dóbr kościelnych, ogłoszono ustawę o ślubach cywilnych i o usunięciu wykładów religji ze szkół i t. p.

Nadużyciom i przeciwkościelnej polityce własnych rządów liberalno masońskich położył ostatecznie kres przez podpisanie aktu Lateraneńskiego szef rządu faszystowskiego Benito Mussolini.

Ojciec św. Pius XI w mowie wygłoszonej do studentów katolickich w następujących słowach podniósł udział Mussoliniego w doniosłem dziele rozstrzygnięcia kwestji rzymskiej: „Musimy zaznaczyć, że i druga strona szlachetnie z nami współdziałała. I trzeba było człowieka, jak ten, którego Opatrzność dała nam spotkać—człowieka, który nie miał zakłopotań szkoły liberalnej, dla której wyznawców wszystkie prawa, dotyczące Kościoła, wszystkie rozprzężenia, a raczej rozporządzenia — były licznemi, nietykalnemi fetyszami, również czczonemi, jak i zdeformowanemi i brzydkiemi".

* * *

Zasadniczą zmianę stosunków pomiędzy Kwirynałem i Stolicą Apostolską przygotował i w pełnej mierze spowodował udział katolików w rządach państwa włoskiego od czasu wojny europejskiej. Rozwiązanie kwestji rzymskiej nie mogło być dokonane w czasie wszechwładnych rządów włoskiej kliki masońsko-liberalnej, gdy ogół katolików stał zdala od parlamentu i nie brał żywego udziału w życiu politycznem zjednoczonej Italji.

Pierwszy krok w tym kierunku uczyniła organizacja polityczna katolicka „Unio Sacra", która w grudniu 1915 r. i w styczniu 1916 r. przedstawiła rządowi włoskiemu umotywowane skargi Stolicy Św. w sprawie naruszenia przez władze wojskowe i administracyjne prawa eksterytorjalności Watykanu. Władze

rządowe włoskie natychmiast odpowiedziały na tę interpelację i zastosowały się ściśle do wymagań czynników kościelnych. Ta wymiana zdań odznaczała się obopólną chęcią nie pogłębiania konfliktu. Ta sama „Unio Sacra" wprowadziła podczas wojny do ministerstw kilka osobistości katolickich, których sama obecność wśród członków Rządu, wzmocniła wpływ katolicyzmu na sfery świeckie. Po wojnie, podczas wyborów do parlamentu w 1919 i 1921 roku, liczny zastęp posłów katolickich wszedł na Monte Citorio, co dotąd było zabronione katolikom, mieszkającym na obszarach dawnego Państwa Kościelnego. Odtąd bez współudziału katolików nie można już było stworzyć większości parlamentarnej we Włoszech.

Koronacja Ojca Św. Piusa XI, oraz Kongres Eucharystyczny w Rzymie w r. 1922, dały sposobność władzom rządowym włoskim zaznaczenia wobec przedstawicieli katolicyzmu chęci naprawienia stosunku do Kościoła i zbliżenia do Stolicy Apostolskiej. Również można było zauważyć zbliżenie z okazji podjęcia stosunków dyplomatycznych między Stolicą Św. i Francją. Wówczas cała prasa włoska rozpatrywała warunki, które umożliwiłyby wznowienie takich samych stosunków pomiędzy Kwirynałem i Stolicą Apostolską. Szukano rozwiązania kwestji rzymskiej tak ze stanowiska terytorjalnego, jak międzynarodowego, a samo poruszenie tej sprawy pozbawiło ustawę gwarancyjną włoską z r. 1871 charakteru prawa nienaruszalnego. Ze strony papiestwa konsekwentne stwierdzenie suwerenności Stolicy Św. szło w parze z wyrazami życzliwości dla Włoch powojennych. A potem przyszła dyktatura Mussoliniego, która zmieniła politykę wewnętrzną królestwa włoskiego i stosunek Rządu do Kościoła i Stolicy Św.

Rocznicę zwycięstwa faszyzmu święcono uroczystem nabożeństwem, w którem oficjalnie uczestniczył król w asystencji przedstawicieli Rządu. Obraz Chrystusa Ukrzyżowanego wrócił do szkół i sal sądowych. Faszyści zrywają wszelką łączność z masonerją, konfiskują wydawnictwa pornograficzne, zaprowadzają w szkołach elementarnych naukę religji, zwalniają duchowieństwo z najdotkliwszych obowiązków wojskowych, podnoszą pobory duchowieństwu. Mussolini oddaje Stolicy Św. bibljotekę pałacu Chigi. Komisarz królewski składa wizytę 11 marca 1923 r. kardynałowi wikarjuszowi w Rzymie. Za taką samą wi-

zytę z okazji jubileuszu kapłańskiego Leona XIII, książę Torloni musiał ustąpić z gabinetu Crispi'ego.

W lutym 1925 r. rząd włoski rozpoczął wstępne przygotowania w celu uregulowania całokształtu prawnych stosunków Państwa włoskiego do Kościoła. Specjalnie wyłoniona Komisja omawiała następujące sprawy: Stanowisko prawne zgromadzeń zakonnych w państwie, sprawę majątków kościelnych i uposażenia duchowieństwa, wreszcie sprawę exequatur i placet królewskiego, czyli kontroli państwa w stosunku do rozporządzeń władz duchowych i obsady urządzeń kościelnych.

Wszystkie powyższe fakty wyraźnie świadczyły o tem, że rząd włoski dąży w szybkim tempie do unormowania stosunku do Kościoła, a pośrednio przygotowywał grunt do rozwiązania kwestji rzymskiej.

Dzięki wzmożonym wpływom katolików włoskich na terenie akcji politycznej i społecznej dokonała się głęboka ewolucja w życiu wewnętrznem Włoch współczesnych oraz zmieniła się na lepsze atmosfera moralna i nastroje w stosunkach wzajemnych między władzami kościelnemi i świeckiemi we Włoszech. To wszystko umożliwiło i przyśpieszyło rozwiązanie kwestji rzymskiej, zgodnie z zasadami sprawiedliwości.

Jeden z francuskich dzienników umiarkowanych podniósł wątpliwość, że Papież, zrzekając się gwarancyj międzynarodowych przy rozwiązaniu kwestji rzymskiej, postradał tem samem swą niezależność i oddał się dobrowolnie na łaskę i niełaskę rządu włoskiego.

Osservatore Romano, odpierając ten zarzut, stwierdza, że układ lateraneński w całej pełni zabezpiecza prawa i prerogatywy Papieża, jako władcy suwerennego i Ojca Chrześcijaństwa. Gwarancje międzynarodowe, oparte zasadniczo na sile zbrojnej są tu zbyteczne.

Najskuteczniejszą rękojmią suwerennej władzy Stolicy Apostolskiej jest prawo odwieczne Boże, które jest źródłem wszelkich praw narodowych i międzynarodowych. Papież ufa, że naród włoski, nawskroś katolicki i religijny, po wydobyciu się z pod zgubnych wpływów radykalno-liberalnych i bezwyznaniowych, uszanuje niezależne stanowisko i prawa suwerenne Stolicy Św., oparte na tak silnym i trwałym fundamencie, jakim jest prawo Boże. *Ks. St. Mystkowski.*

Co sądzić o strajku?

III.

W kolejności rozważań zastanowić się musimy nad ekonomicznem znaczeniem strajków. Oświetlając to zagadnienie należy postawić szereg pytań wstępnych i na te pytania uzyskać możliwie starannie przemyślane odpowiedzi. Czy strajk się finansowo opłaca? Czy uszczerbki, jakie ponosi gospodarstwo społeczne, przemysłowcy i robotnicy, równoważą ich efekt, jakim jest w pierwszym rzędzie podwyżka zarobku? Bezpośrednio dostrzegalne straty przemysłowców są znaczne, pochodzą one stąd, że narzędzia pracy nie są w użyciu, że nie można na termin dopełnić zobowiązań, że zakład, objęty strajkiem, traci klijentelę i rynki zbytu, które przechodzą bądź w ręce konkurentów krajowych, bądź zagranicznych, że odzyskanie straconych rynków i ewentualnie zyskanie nowych pochłania znaczne wydatki, że zmniejsza ilość towaru przeznaczonego na sprzedaż, a w związku z tem i sumę preliminowanych zysków. Stosunkowo niejednokrotnie sporym plusem w budżecie przedsiębiorcy są pieniądze zaoszczędzone w niewydawaniu ich na zarobki robotnicze. Zaznaczone straty są wtedy dotkliwe, gdy strajk trwa przez dłuższy okres czasu i gdy wybuchł w momencie najbardziej niepożądanym dla przedsiębiorcy. Jeśli bowiem przedsiębiorca strajk sprowokował w tym celu, aby powstrzymać wzrost zapasów niesprzedanego towaru, lub aby uzyskać korzystniejsze dla produkcji warunki pracy w strajku, który według jego przewidywań robotnicy powinni przegrać, wówczas straty przemysłowca są minimalne. Straty przemysłowców na skutek strajku są ogólnie biorąc znaczne, nie skutkują jednak bankructwa objętych strajkiem przedsiębiorstw. Bezpośrednie straty robotników są duże, zwykle większe niż przemysłowców — zwłaszcza, gdy kasy związkowe są skąpo zaopatrzone w gotówkę a strajk jest długotrwały. Nędza wówczas roztacza swe władztwo: oszczędności skromne robotnicy tracą, wyprzedają nieraz niezbędne dla gospodarstwa domowego sprzęty, by zaspokoić głód i dotrwać do zwycięskiego końca strajku.

Statystyczne Biuro pracy w Stanach Zjednoczonych (jak to podaje w swej cennej pracy ks. dr. prof, A. Szymański) oblicza straty, poniesione wskutek strajków w okresie lat od 1881

do 1900 na 400 miljonów dolarów, w czem straty robotników wynoszą 276 miljonów (2/3), a przedsiębiorców 124 mil. (1/3). Powszechna Federacja Związków Zawodowych niemieckich obliczyła, że w okresie 1890—1918 związki, należące do tej Federacji, uczestniczyły w 35.307 strajkach i lokautach, że brało w nich udział 3.890.548 robotników, że dla 2.881.000 robotników zdołano ustalić koło 60 miljonów straconych dni pracy t.j. blisko 2 miljony dni na rok, że poza stratą zarobku, jaką te cyfry wyrażają, robotnicy wpłacili do kas strajkowych 142 miljony marek.

Według obliczeń L'Office du Travail we Francji w okresie od 1903 do 1912 roku suma strat dosięgała 62 miljonów franków, suma zysków 73. Wykazane zyski są niejednokrotnie pozorne, czasowe, wtedy mianowicie, gdy w pewnym czasie następuje cofnięcie wymuszonej podwyżki, lub gdy koszty utrzymania wzrosną, a zarobki nie zostaną podniesione. Bezpośrednie zyski finansowe strajków są najczęściej dość nikłe. Można jednak uzyskać pewną poprawę warunków pracy przez groźbę strajku — strajk bowiem kosztuje i przemysłowców, gdy zatem nie mają pewności zwycięstwa, ustępują wobec groźby strajku, dobrze przygotowanego przez rozumnych przywódców i zasobność kas związkowych. Najczęściej ten manerw taktyczny wysuwany jest w okresie odnawiania zbiorowych umów.

W czasach dawniejszych bezpośrednie korzyści strajku były niewątpliwie większe, gdy suma dóbr czy dochodu czystego, o których podział toczyła się walka, była znacznie większa. Obecnie na skutek akcji Zw. Zawodowych, strajków, wzrastających kosztów reform i ubezpieczeń społecznych, owa suma się kurczy. Teraz inna okoliczność: akcja porozumienia i należytego zorganizowania zainteresowanych stron posunęła się dosyć daleko, strony są coraz silniejsze liczebnie i finansowo, taktyka walki zainteresowanych szkoli. Zwycięstwo odniesie ten, kto walkę dłużej będzie zdolny prowadzić. Przedsiębiorcy, rzecz oczywista, przez dłuższy czas mogą tracić zyski i nie zarabiać, niż robotnicy, którzy na czas walki kurczyć muszą w szybkim kursie drobne oszczędności. Zwłaszcza w skomplikowanych i trudnych warunkach ekonomicznych strajk rzadko może liczyć na należyte powodzenie. Suponując dobrą znajomość sytuacji gospodarczej ze strony przemysłowców, należy przypuszczać, że jeśli pertraktacje poprzedzające strajk nie zapobiegły mu, to wypadnie stwierdzić,

że przemysłowiec jest na tyle silny, że strajk pomyślnie przetrwa, lub że nie jest w możności ustąpić ze swych warunków. W takich warunkach powodzenie strajku jest bardzo wątpliwe. Sądząc jednak z danych za lata 1925, 1926, 1927, należy stwierdzić, że w Polsce liczba strajków wygrywanych przez robotników nie staje się coraz mniejszą

Rok	Ogólna ilość strajków	Strajki całkowicie i częściowo wygrane	Strajki przegrane
1925	532	352	166
1926	583	395	175
1927	609	450	146

Rzecz charakterystyczna: żądania ekonomiczne strajków, dotyczące np. płacy są w znakomitej mierze uwzględniane, natomiast żądania zmiany, względnie zmniejszenia godzin pracy, tudzież żądania usunięcia kierowników przedsiębiorstw, przyjęcia robotników wydalonych, naogół w wyniku strajków nie są zaspakajane. Uwagi te piszę na podstawie cyfr, podanych w Roczniku Statystycznym za r. 1928. Nie przytaczam cyfr, by nie rozpraszać uwagi od rozważań natury ogólniejszej. Niezależnie od przeważnie ujemnych skutków strajk w konsekwencji zwrócił uwagę opinji publicznej i władz państwowych na nadużycia i braki społeczne, zainteresował zagadnieniem społecznem parlamenty oraz pobudził czynniki miarodajne i działaczy społecznych do akcji polepszania warunków ludziom pracy. Strajk okazał się znakomitym promotorem t. zw. zdobyczy społecznych np. przyczynił się do uznania przez przemysłowców prawa koalicji i konieczności pertraktowania ze związkami, do skrócenia dnia pracy i t. p. Oczywiście gdyby nie krótkowzroczny egoizm warstw posiadających, gdyby nie demagogja przywódców robotniczych, gdyby nie oportunizm i obojętność kierowników przedsiębiorstw, to ten sam skutek możnaby było osiągnąć mniejszemi ofiarami materjalnemi i moralnemi. Strajk, bez względu na wyniki, ujemnie oddziaływuje na duszę ludzką.

Każdemu strajkowi towarzyszą nieuzasadnione podejrzenia, niesłuszne posądzenia, zawiść, oszczerstwa, zawziętość, nienawiść.

Strajk stwarza atmosferę starć, burd, gwałtów, pijaństwa i innych wykroczeń—pozatem szlachetniejszym jednostkom a za

ich pośrednictwem i masom wskazuje na to, że polepszenia swej doli trzeba szukać w sile, nie zaś w ofierze społecznej i rządowej.

Takie nastroje wyzyskują czynniki radykalne i wywrotowe dla swych celów politycznych.

* * *

Skoro s rajki, jak to widzimy, dla gospodarstwa społecznego oraz dla stron sprowadzają wiele strat, zrozumiałem się staje pytanie, w jaki sposób strajkom zapobiedz, jak łagodzić zatargi zbiorowe. Oczywiście nie będę się rozwodził nad istnieniem rozbieżności w interesach stron. Życie gospodarcze tę rozbieżność na każdym niemal odcinku wykazuje.

Te sprzeczne interesy stron mogą i powinny być uzgodnione w granicach sprawiedliwości i dobra ogólnego, w imię solidarności zawodowej i narodowej.

Normalnym sposobem uzgodnienia interesów jest umowa, jaka wynika z biernej woli stron uregulowania kwestji spornych. Umowy zatem byłyby najbardziej pożądane—bowiem podstawami aktualnego ustroju są: wolność pracy, wolność wymiany usług i rzeczy, wolność przyjmowania zobowiązań w dziedzinie życia prywatnego.

Jeśli więc drogą porozumienia strony zdołają zażegnać strajk, rozwiązanie jest najlepsze. Rzeczą jest jasną, że dla władz publicznych zatargi pracy nie mogą być obojętne. Państwo musi tu reagować, aby uprzedzać zatargi, usuwać ich przyczyny przez rozumne ustawodawstwa, przez przestrzeganie zachowywania praw, przysługujących jednostkom i klasom, przez obronę uciśnionych i pokrzywdzonych.

Władze zatem powinny nakazać przedłożenie zatargu, którego strony nie mogły bezpośrednio załatwić, urzędowi pojednawczemu, przez co uzyskuje się pewną zwłokę, odprężenie sytuacji—słowem stwarza się warunki dogodniejsze dla logicznego myślenia i pomyślnego zażegnania nieporozumienia.

Jeśli zgoda, mimo nacisku władzy państwowej nie nastąpi, władza winna w drodze głosowania tajnego przekonać się, czy dalszy opór jest wolą przywódców, czy też wolą ogółu zainteresowanych.

Jeśli pojednanie nie doprowadzi do pożądanego rezultatu; wówczas zatarg należy przedstawić do arbitrażu.

Zadaniem komisji rozjemczej będzie wydanie wyroku umotywowanego. Na ogłoszeniu tego wyroku należy poprzestać, względnie zarządzić plebiscyt i tą drogą stwierdzić wolę zainteresowanych. Zasadniczo nie należy wyrokom urzędu pojednawczego i rozjemczego nadawać mocy obowiązującej poza wypadkami, w których strony zgóry dobrowolnie zgodzą się na wykonanie postanowienia—bowiem strajk jest zasadniczo godziwą i prawnie uznaną bronią w walce zawodowej.

Na to, aby władze publiczne mogły pozbawić swych obywateli praw, które im przysługują (a więc i prawa do godziwego strajku) muszą się złożyć przyczyny pierwszorzędnej wagi. Taką koniecznością będzie strajk, który niewątpliwie doprowadzi do rewolucji politycznej, do przegrania wojny, do utraty niepodległości państwowej, do ogłodzenia miast, żołnierzy lub robotników. Władze wtedy muszą ingerować i nakazać poddanie się wyrokowi rozjemczemu. Arbitraż obowiązkowy winien być zastosowany do urzędników państwowych oraz do pracowników zakładów użyteczności publicznej, wzamian jednak za pozbawienie tej kategorji pracowników prawa do strejku władze i czynniki zainteresowane winny stworzyć tej kategorji pracownikom dogodniejsze warunki pracy.

Instytucje ugodowe nie mogą być jednak tworzone jedynie od wypadku do wypadku— powinny istnieć stale i być tym terenem stałej wymiany myśli i poglądów przedstawicieli stron zainteresowanych. Instytucje te w dobrze udyscyplinowanem społeczeństwie powinny być zorganizowane wspólnie przez związki obu stron, jako takie odznaczałyby się doskonałą znajomością rzeczy i przyczyniłyby się niewątpliwie do zmniejszenia wzajemnej nieufności i podejrzliwości i do usunięcia wielu przyczyn zatargów.

Zreasumujmy nasze rozważania.

1. Strajk jest godziwą i prawnie uznaną bronią w walce zawodowej.

2. Dobro ogólne jest tym pierwszym sprawdzianem, który pozwala ocenić słuszność, lub bezprawie każdego zbiorowego zawieszenia pracy. Do tego sprawdzianu należy dodać poszanowanie sprawiedliwości i miłości bliźniego (art. 99 Kodeksu Społecznego).

3. Wobec konieczności zaspakajania potrzeb ogólnych pierwszorzędnej doniosłości usprawiedliwić należy zakaz strajku w stosunku do urzędników państwowych, oraz do pracowników użyteczności publicznej.

Tej kategorji pracownikom, którym się zabrania strajkowania, należy zapewnić dobrodziejstwa lub korzyści, jakie mogą wyniknąć ze strajku słusznego pod względem celu i środków.

4. Wybuchy strajków należy uprzedzać i zażegnywać akcją pojednawczą i rozjemczą. Instytucje pojednawcze winny być emanacją związków stron i terenem stałego kontaku zainteresowanych, nie tylko w wypadkach zbiorowych zatargów, ale i w innych wypadkach, związanych ze społeczną stroną życia przemysłowego.

5. Inteligencja katolicka winna zorganizować należytą opinję socjalną i atmosferę moralną, umożliwiającą sprawiedliwe rozstrzyganie zatargów zbiorowych.

6. Wychowani i wykształceni na katolickiej doktrynie społecznej przywódcy stron obu dadzą duże gwarancje pomyślniejszych rozstrzygnięć zatargów zbiorowych. Ten problem oczekuje na rozstrzygnięcie — nie wątpię, że po obydwóch stronach znajdą się ludzie dobrej woli — katolicy czynu społecznego. Wszyscy powinniśmy zapamiętać i zastosować wzniosłe i rozumne wskazania w tej materji Papieża Leona XIII, który w encyklice „Rerum Novarum" nawołuje do leczenia bolączek społecznych, mówiąc: „trzeba, by każdy zabrał się do swego zadania i to jak najrychlej, bo inaczej wskutek zwłoki w leczeniu choroba nieuleczalną się stanie.

Panujący niech pospieszą z ratunkiem przez ustawy i zarządzenia swoje.

Bogaci, pracodawcy, niech pamiętają o swoich obowiązkach. Robotnicy niech praw swoich dochodzą sposobem godziwym, gdy zaś—religja jedna może zło wykorzenić i wytępić doszczętnie, niechaj wszyscy pamiętają o tem, że najpierw trzeba wskrzesić obyczaje chrześcijańskie, ponieważ bez nich nie na wiele się zdadzą wynalazki roztropności czysto ludzkiej, choćby się wydawały bardzo stosowne". „Upragnionego ratunku dla społeczeństwa głównie wyczekiwać należy od miłości, szeroko rozlanej; mówimy o miłości chrześcijańskiej, cnocie streszczającej w sobie wszystkie przepisy ewangieliczne, zawsze gotowej

dla poświęceń dla cudzego dobra, najpierwszem lekarstwie na pychę i sobkostwo.

Opisał jej części składowe i znamiona boskie św. Paweł w słowach następujących: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, nie szuka swego, wszystko znosi, wszystko wytrwa". (I Kor. 13,4).

Bogumił Budka.

Walka o rząd dusz.

Rozwój socjalistycznego T. U. R.-u — Energja inteligencji radykalnej, a słabość i marazm katolickiej—Walka o program socjalny—Ch. U. R.

W dniu 2, 3 i 4 lutego odbyły się w Krakowie trzy zjazdy:

IV. Walny Zjazd Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego—T.U.R-u, który zgromadził około 100 delegatów, reprezentujących 47 miejscowości,

III. Kongres Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych, organizacji liczącej już dzisiaj kilkanaście tysięcy członków, którzy wysłali na kongres około 200 delegatów ze wszystkich stron kraju,

oraz II zjazd Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, której stan posiadania wynosi 126 organizacji i 4551 członków.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że te trzy socjalistyczne organizacje, działające pod firmę T. U. R-u w ścisłej łączności P. P. S. pracują bardzo intesywnie i z roku na rok coraz bardziej zwiększają zakres swoich wpływów.

A wpływy te są już dzisiaj poważne, przedewszystkiem w dwóch płaszczyznach: 1) Rozszerzenie i spopularyzowanie zapomocą szerokiej akcji kulturalno-oświatowej idei socjalistycznej i radykalnej w społeczeństwie, 2) zorganizowanie pod swoimi sztandarami młodziezy, jako przyszłości ruchu w następnym pokoleniu.

Sześcioletnia energiczna praca dała swoje wyniki. Kierownicy T. U. R-u mogą już dzisiaj poszczycić się dużymi rezultatami, zwłaszcza, że potrafili wykorzystać w całej pełni bierność i marazm naszej inteligencji katolickiej.

Ale powróćmy do zjazdów. Wypadły one imponująco. Uchwalono wysłać liczną delegację na II. międzynarodowy zlot młodzieży socjalistycznej w Wiedniu, wydano instrukcję w kierunku wciągnięcia młodzieży szkół zawodowych i słuchaczy kursów wieczorowych do T. U. R-u, przyjęto szereg rezolucji organizacyjnych, mających na celu rozszerzenie i umocnienie dotychczasowej akcji.

Wyniki Zjazdu młodzieży oraz ton, który na nim panował odzwierciedla najlepiej końcowe przemówienie przewodniczącego Dubois, które podajemy według № 34 „Robotnika":

„Wstępujemy już w masowość ruchu młodzieży robotniczej... Pokolenie poprzednie podważyło ustrój kapitalistyczny, nam przypada nowy ustrój zaprowadzić. Wierzę, że my będziemy tym pokoleniem wykończenia. Idziemy do pracy, walki i zwycięstwa".

Zjazd zakończył się „czerwonym sztandarem" okrzykami na cześć P. P. S. i rządu chłopsko- robotniczego...

Charakterystyczne są okoliczności, wśród których powstał T. U. R. Podaje je „Robotnik" (№ 33):

„Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego" jest w dosłownem znaczeniu wyraz u„naszą nadzieją i dumą" Socjalizmu Polskiego.

Powołała je do życia Rada Naczelna P. P. S. w grudniu 1922 r. z inicjatywy tow. Ignacego Daszyńskiego i jako odpowiedź... robotniczej na zamach reakcji na Zgromadzenie narodowe"...

Był to moment ciężki dla P. P. S., moment klęski i załamania, kiedy posłowie tego kierunku byli bici przez tłum za to, iż głosowali wspólnie z żydami, kiedy ulica zwróciła się przeciwko własnym demagogom i przywódcom...

A jednak, jak szybko zorganizowali się w grożącem niebezpieczeństwie, jak momentalnie znaleźli środki zaradcze. I w ciągu sześciu lat odbudowali, a nawet zwiększyli znacznie swoją potęgę, swój wpływ na masy — w znacznej mierze zapomocą T. U, R-u. Wprawdzie pomogła im wówczas bezprogramowość i niezdecydowanie naszego obozu nacjonalistycznego... Lecz mimo to, należy podziwiać niespożytą energję tych ludzi — tak nam obcych i wrogich. I nie tylko podziwiać, ale naśladować.

Czy inteligencja katolicka w Polsce ulepiona jest z gorszej gliny?

Pytanie to zadaje sobie wielu publicystów polskich. Oddajmy głos jednemu z nich. Ks. St. Mystkowski na łamach „Polski" (№ 16) w ten sposób ujmuje zagadnienie:

„Musimy raz wreszcie powiedzieć sobie prawdę w oczy: przespaliśmy sprawę robotniczą i ludową. Pozwoliliśmy radykałom i wywrotowcom wyrwać sobie z rąk rząd dusz robotniczych Spaliśmy twardym snem, gdy „zły człowiek" na urodzajną glebę umysłów i serc braci roboczej rzucał ziarna niewiary, buntu i waśni klasowej. Gdyśmy się przebudzili ze snu bierności i bezwładu, już na łamach ruchu ludowego bujnie krzewiły się i rozrosły kąkole, łopiany i chwast wszelki przewrotnej propagandy, wrogiej Kościołowi i Ojczyźnie".

Poczem z pod pióra autora wyrywa się gorzka skarga pod adresem ogółu polskiej inteligencji:

„Nieliczne grono zmęczonych nadmierną pracą kapłanów i jednostek świeckich resztkami sił pchają taczkę katolickiej pracy społecznej. Ogół zaś naszej inteligencji z założonemi rękoma i olimpijskim spokojem przypatruje się nadludzkim zmaganiom bohaterów idei chrześcijańsko-społecznej z olbrzymim zastępem zwolenników międzynarodówki socjalistycznej i masońskiej"

Mimowoli nasuwa się pytanie, jakie są przyczyny tej bierności i tego bezwładu.

Niewątpliwie jedna z nich tkwi w zbyt niskim jeszcze u nas stosunkowo poziomie cywilizacyjnym przeciętnego inteligenta oraz w pewnych zakorzenionych od wieków wadach narodowych. Ta kategorja przyczyn może być usunięta tylko zapomocą długiej i żmudnej pracy wychowawczej i cywilizacyjnej, trwającej dziesiątki, jeżeli nie setki lat. Samo sprecyzowanie i konkretne ujęcie tych przyczyn wymagałoby systematycznych studjów historyczno-socjologicznych.

Istnieje jednak druga kategorja przyczyn, łatwiejsza do określenia, a może i do usunięcia — oto luki i braki w programie akcji katolickiej w Polsce.

Człowiek inteligentny, z dobrą wolą, interesujący się zagadnieniami społecznymi zorjentuje się szybko, że koniecznością akcji katolickiej na naszym terenie, poprostu conditio sine qua non jej powodzenia jest praca wśród ludu i dla ludu. Jeżeli jednak będzie chciał przeprowadzić jakąś akcję na szerszą skalę na terenie robotniczym, czy wiejskim spotka się odrazu z ogromnymi trudnościami i to właśnie wśród sfer katolickich. Zaraz znajdą się ludzie, niedostrzegalni dotychczas na terenie warsztatów pracy społecznej, którzy nazwą jego działalność demagogją, a może nawet i komunizmem dlatego, że jako przedsiębiorcy i właściciele nie mogą pogodzić swoich interesów kapitalistycznych z pojęciem sprawiedliwości chrześcijańskiej — i to dodajmy ludzie z bardzo poważnych sfer katolickich. Co więcej. Znajdzie się zaraz stronnictwo polityczne od dwóch lat

posługujące się hasłami katolickimi, które potępi jego działalność, jako rzekomo klasową — z punktu widzenia bardzo wązko pojętych — „zasad narodowych“ a uczyni to dlatego, że w swoim programie społeczno-gospodarczym hołduje zasadom liberalizmu gospodarczego i nie może się wyzbyć pewnych przestarzałych już na zachodzie wśród ugrupowań katolickich pojęć kapitalistycznych.

W tych warunkach nie możemy się dziwić, że gdy w sferach kierujących myślą katolicką w Polsce, zagadnienie programu gospodarczo-socjalnego — z bardzo nielicznymi wyjątkami— nie jest ugruntowane i ustawione na odpowiedniej płaszczyźnie, gdy pewne ugrupowania uchodzące za katolickie, przeciwstawiają się w gruncie rzeczy duchowi i zasadom programu chrześcijańsko-społecznego—liczne rzesze inteligencji katolickiej mają jeszcze jedną podnietę, aby trzymać się na uboczu, zdala od realnych warsztatów pracy społecznej, a tylko jednostki bardziej ofiarne i zdecydowane zapracowują się po łokcie, zużywając bardzo szybko swoje siły w oczach obojętnego ogółu, przypatrującego się z „olimpijskim spokojem” tym wysiłkom.

Aby przedstawić zagadnienie wszechstronniej pozwolimy sobie oświetlić je jeszcze z jednego punktu widzenia i zacytujemy najcharakterystyczniejszy w naszym rozumieniu ustęp z artykułu p. Antoniego Chacińskiego, zamieszczonego w lutowym numerze „Prądu” pod tytułem: „Czego katolikom brak?” Oto, co pisze autor:

Ale mylą się ci, którzy uważają, że z programem li tylko uświadomienia religijnego potrafią dotrzeć, zwłaszcza do szerokich sfer ludowych i robotniczych, i wpływy na ich życie duchowe w ten sposób utrzymać.

To nie wystarczy. Trzeba się losem chłopa i robotnika całkowicie zająć, a nie tylko jego stroną religijną, czy moralną. Trzeba przedewszystkiem wniknąć w ich potrzeby ekonomiczne, poznać ich dążenia i umieć niemi tak pokierować, by były zgodne z duchem sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Tak pracując wspólnie z niemi, nad ich postępem gospodarczym, społecznym i kulturalnym, będzie się miało możność rozwinąć pracę nad ich stroną moralną i religijną. Dopóki chłop w „Wyzwoleniu“ a robotnik w socjaliźmie, będzie jedynie widział obrońcę swych praw, i nieraz bardzo słusznych, dopóty akcja religijno-moralna będzie miała do nich dostęp bardzo utrudniony, jeżeli nie zamknięty. Dopóki katolicy do tych sfer przemawiać będą językiem li tylko obowiązków wtedy, kiedy potrzeba się przeciwstawiać ich rozwydrzeniu zachłanności czy demagogji, a milczeć będą, kiedy właśnie w imię sprawiedliwości trzeba bardzo mocno uderzyć w egoizm czy

nadużycia sfer posiadających, nie trzeba się łudzić, by katolicy potrafili tam wpływy swoje utrzymać, albo je rozszerzać, przeciwnie utrwalać się będzie przekonanie, kolportowane w masach przez wrogów Kościoła, że katolicyzm, to parawan, za którym się skrywa egoizm, sobkostwo i bezwzględność kapitału. Socjalizm nie dlatego pociąga te sfery i zdobywa tak przemożne w Polsce wpływy, że te masy pociąga doktrynalną strona socjalizmu: one jej nie znają, nie rozumieją i nad nią się nie zastanawiają, ale dla tego, że socjalizm umiał się narzucić tym masom, jako rzecznik i obrońca ich praw, organizator ich dążeń i towarzysz ich niedoli. Zdajemy sobie sprawę, jak przedewszystkiem one same wyjdą na tej opiece, ale właśnie dlatego, że te sfery nie rozumieją i nie przewidują, obowiązkiem światłych i rozumnych sfer katolickich myśleć o tych rzeczach i ster kierownictwa wytrącić doktrynie fałszu i nienawiści. — Jeżeli jednak się pocieszamy, że przecież nie całkowicie np. warstwy robotnicze, znajdują się w szeregach socjalistycznycz, a przez to promieniowanie socjalizmu nie obejmuje całej sfery robotniczej, to niezaprzeczenie jest w tem zasługa ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce, który właśnie dlatego, że organizuje robotnika zawodowo i kulturalnie ma tem samem możność ochraniania i pielęgnowania jego uczuć religijnych i wychowania go w atmosferze katolickiego światopoglądu. Jakże jednak duch społeczny katolicyzmu jest mało rozumiany jeszcze w Polsce. Udział inteligencji w ruchu katolicko-społecznym jest słaby, co więcej, wielu zwalcza ten ruch na korzyść innych prędów i kierunków. A tymczasem konflikt kapitału i pracy ostatecznie rozwiązany będzie, albo przez katolicyzm społeczny, sprowadzając go z drogi zażartej walki na drogę rozumnej i zgodnej współpracy, albo też po swojemu przez komunizm, bo nawet nie socjalizm. I nic też dziwnego, że katolicki ruch społeczny nie jest w Polsce taką siłą, jaką być winien i jaką jest na Zachodzie.

Brak mu współdziałania w wyższej mierze inteligentnych sił katolickich, któreby mu pozwoliły skuteczniej się przeciwstawiać doktrynie zła i zniszczenia.

Czyż duch encykliki „Rerum Novarum" — to wspaniałe nastawienie społeczne, jakie rzucił światu katolickiemu genjalny Leon XIII, nie zbudzi śpiących i nie zastanowi myślących?"

* * *

Wierzymy, że duch ten Leonowy odezwie się jeszcze i zatargu sercami i sumieniami polskiej inteligencji. Może stanie się to nie od razu, ale stopniowo do tego dojdzie. Byleby tylko nie zapóźno, bo czasu dużo nie mamy...

Można jeszcze zorganizować w Polsce masy ludowe pod sztandarem katolicyzmu, ale do tego potrzebne są dwa warunki:

1. Sztandar ten musi być chrześcijańsko-społeczny, według zasad Encykliki Rerum Novarum z wszystkimi konsekwencjami w dziedzinie życia gospodarczego, gdyż proletarjat nie pójdzie za zwolennikami wyzysku kapitalistycznego i słusznie!

2. Trzeba znaleść sposoby skłonienia inteligencji katolickiej zarówno duchownej, jak i świeckiej do otrząśnięcia się z dotychczasowego marazmu i wzięcia czynnego udziału w akcji społecznej, na terenie realnych przejawów ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce; w Stowarzyszeniach Robotników Chrześcijańskich, w Chrześcijańskich Związkach Zawodowych — w Chrześcijańskim Uniwersytecie Robotniczym, zwłaszcza w tej ostatniej placówce, gdyż jest ona najodpowiedniejsza dla inteligencji.

Mówimy w tej chwili o działalności kulturalno-oświatowej w miastach, wśród mas robotniczych, wśród młodzieży robotniczej.

Został już zalegalizowany statut Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego — Ch. U. R-u, organizacji, która ma się czynnie i pozytywnie przeciwstawić akcji wywrotowej, która ma podjąć walkę z T.U.R-em o rząd dusz nad polskim proletarjatem.

Ch. U. R. istnieje nietylko na papierze. Funkcjonuje już w sześciu większych miejscowościach. Ale to za mało. Potrzeba olbrzymiego rozmachu w tej akcji, potrzeba udziału szerokich kół inteligencji katolickiej, potrzeba ofiarności i pracy na dużą skalę, aby odrobić zło, które szerzy się w Polsce i zapewnić idei katolicko-społecznej panowania wśród mas ludowych.

Wierzymy, że na to znajdą się w Polsce ludzie i środki.

Stefan Kaczorowski.

Średnie Wieki.

„Jesteśmy w Lozannie. Rzecz dzieje się w klasie p. profesora Grubisa. Ze trzydziestu siedzi nas tam chłopców lat dwunastu. Jestto lekcja historji. Mamy poranek czerwcowy, godzinę ósmą z rana. Okna są szeroko rozwarte, a z podwórza szkolnego wchodzi zapach lip...

Pan Grubis ma twarz delikatną, oko żywe i jasne, głowę oszronioną siwizną, a wymowę pełną przekonywającej siły.

Panuje milczenie.

Pan Grubis teraz przemawiać zaczyna: Dziś rozpoczynamy okres Wieków Średnich. Nie mówiąc wam nic jeszcze o faktach i wydarzeniach dziejowych, które zaznaczają początek tej epoki dziejów, chcę Wam dać ogólny pogląd na ten perjod hi-

storji, scharakteryzować przed oczyma Waszemi ducha ludzi ówczesnych i wywołać przed wzrokiem umysłu Waszego ogólny obraz i wygląd tego dziesięciowiecza.

Średnie Wieki całe ogniskują się wokoło Wiary, t. j. ich centrum. Kościół t. zn. Kościół katolicki—gdyż wówczas innego kościoła nie było—udziela natchnienia całej cywilizacji. Stąd idą Wyprawy Krzyżowe, Pokój Boży, wielkie katedry, szkoły biskupie, sztuki liturgiczne...

Wszystko to wam nieco wytłumaczę...

I oto pan Grubis określał te rzeczy nieznane, wywoływał ich obraz i nadawał najmniejszym szczegółom piętno czasu ludzi ówczesnych i miejsca gdzie powstawały. Cała klasa słuchała i słuchała pilnie, gdyż nauczyciel był prawdziwym wychowawcą i pedagogiem, więcej niż to jeszcze: był bowiem poetą. Dla uczni swoich był ojcem i objawicielem. Tego zaś dnia czuli wszyscy, że mówił o czemś, co całą duszą kochał.

...Oczywiście, prawił, Średnie Wieki nie były stanem doskonałym, tak zresztą jak i cała historja ludzkości. Oczywiście były tam wojny, nadużycia, głód nieraz, jednem słowem wszystko to, co pozwala zaślepionym partyjnikom wynajdywać tysiączne preteksty na ferowanie potępiających a prędko powziętych wyroków a zarazem uchylać się przed koniecznością czynienia rozróżnień. Lecz to co trwa niezłomnie poprzez ten długi czasokres, to co się niczemu wzruszyć nie daje,—to zmysł katolicki, to zmysł powszechności jednogłośnie wspólny wszystkim krajom i ludom chrześcijaństwa. Ogół ludzi oczekuje wówczas życia przyszłego, nieba, gdzie zacznie się dopiero szczęście, a dla nich ziemia jest tylko miejscem próby. To nam tłómaczy dlaczego Kościół mógł rozpostrzec swoją działalność i swój wpływ we wszystkich kierunkach i na wszystkie dziedziny życia. Dlatego będę Wam też mówił o mnichach, o tem co oni zdziałali, gdyż w Wiekach Średnich zakony i klasztory stanowią jedną z głównych podstaw życia.

I oto p. Grubis swem słowem wyczerpywał przed nami i życiem napełniał krużganki klasztorne dawnej Francji. Kreślił nam i objaśniał ich architekturę. Wywoływał cnoty, górną naukę, obfitą wiedzę, lub sztukę, które się w nich kryły. Opowiadał o liturgicznych wspomnieniach Wielkiego Tygodnia, o potężnych pielgrzymkach i o teatrze ludowym, na którym wysta-

wianc misterja i świętych cuda. Prowadził on swych słuchaczy do bazylik Rzymu, lub też na drogi prowadzące do Ziemi Świętej, na kościelne sobory w Toledo, lub na procesje solenne u Panny Marji w Chartres. I było to dla młodych wyobraźni niespodziewanem rozpostarciem barwnych szat kapłańskich, było cudowną wstęgą kroczących biskupów, było połyskiem pastorałów kunsztownych... Było to przepięknym widokiem długich naw gotyckich, wniknięciem przed tajniki ołtarza i doznaną słodyczą psalmodji.

Pod tem wzorzystem rozkiełkowaniem się życia chrześcijańskiego, ponad tą harmonją upojonych niem dusz, piętrzyły się nagle określenia. Nauczyciel dusz definjował nam nadprzyrodzone władztwo dusz Kościoła i potęgę Papieży w których się tego władztwa kryło podłoże... Jak wielkie freski jakieś występowały z kolei wówczas przed nami i chrzest barbarzyńskich ludów, ustrój i cywilizacja wiejskich osiedli, sam proces budowania świątyń i tych bajecznych katedr, głoszenie krucjat, majestatu pełne sceny pokutne Kanossy, burzliwe życie paryskiego uniwersytetu i cuda zdziałane przez świętych ...A przez okna sali, w jasności letniej, przypływał ku nam zgiełk i hałas nowożytnego miasta...

Pan Grubis mówił wśród wielkiej i skupionej ciszy. Oczy uczniów przywierały do jego ust a w sercach dawał się odczuwać głuchy ból wobec całej tej przeszłości startej w proch przez bieg dalszy historji!!"

Tak opowiada p. Robert Benoit Cherix, doktor filozofji, w swej pięknej książce „Arka Przymierza" (L'arche d'Aliance, Paris, Perrin) w której z wielkim artyzmem kreśli przed nami swój powrót do Kościoła. Urodził się bowiem protestantem w Szwajcarji i nawet został słuchaczem teologji protestanckiej w Lozannie. Ileż młodych katolików u nas nie umie ocenić tak, jak instynktownie oceniali w głębi duszy i serc protestanccy rówieśnicy Cherix'a, niezatarte piękno katolickie Wieków Średnich, ale być może nikt im tego nie umiał tak wytłómaczyć jak ów nauczyciel? *X. M.*

W sprawie mordu rytualnego.

Swego czasu zamieściło „Pro Christo" artykuł o mordzie rytualnym.[1]) Rzecz nadzwyczaj drażliwa, ale niemniej pociągająca — dla wielkiej tajemniczości. Wydać sąd stanowczy w tej materji jest rzeczą niełatwą, gdyż trudno o tekst hebrajski taki, któryby nie dopuścił innego tłumaczenia, jak tylko w sensie mordu rytualnego. Dlatego też uczeni katoliccy po dziś dzień nie są co do tego zgodnej myśli. Jednakże nie da się zaprzeczyć owa osobliwa mgła zagadkowości, przenikająca nie tylko sam ryt krwi, ale także liczne procesy na jego tle toczone. Pojawiła się też literatura, starająca się wyświetlać słuszność zarzutu żydom czynionego. Zwłaszcza żydzi nawróceni podawali niejednokrotniemniej, lub więcej wiarogodne dane o rytualnej zbrodni. Bądź co bądź, w wydawaniu ostatecznego sądu, trzeba naszym zdaniem być bardzo powściągliwym, szczególnie, gdy chodzi o wypadki jednostkowe. Żydzi sami zaś są właśnie na tym punkcie nadzwyczaj wrażliwi, co znowuż przemawiałoby za podtrzymaniem podniesionego zarzutu. Ilekroć bowiem ma miejsce wypadek, nasuwający przypuszczenie narodu rytualnego, cała Judea podnosi krzykliwy alarm w obronie swej niewinności. Przytem nie wysuwa jednakże—co należy podkreślić —pozytywnych dowodów tej swojej niewinności. Prawda, z wytoczonych rozpraw sądowych oskarżeni wychodzą prawie zawsze uwolnieni i niekarani, ale dzieje się to zazwyczaj wśród uderzających wprost okoliczności, nasuwających nowe przypuszczenie o działaniu tajnej ręki. Ci, co zwalczają domysły o mordzie rytualnym, bronią swego zdania sposobami najrozmaitszymi: raz zarzucają stronie przeciwnej, że oskarżenie swoje opiera jedynie na domysłach i nigdy nie badała bezpośrednio kwestji mordu rytualnego, to znowu posądzają ją o prostą złośliwość i o fanatyczny antysemityzm, który każe żydom przypisywać najhorrendalniejsze zbrodnie. Wreszcie wysuwano twierdzenie, które miało raz na zawsze oskarżycielom zydów zamknąć usta, mianowicie: że papieże zakazali nam robić przypuszczenia co do istnienia mordu rytualnego u żydów.

„Pro Christo" 1927, str. 224 nn. Wojciech Zajęty „Mord rytualny u żydów".

Odpowiadając na to ostatnie twierdzenie podał w roku 1913 ks. L. Rudnicki na łamach „Przeglądu Powszechnego”[2]) łącznie z aktualnemi podówczas uwagami o mordzie rytualnym sąd, jaki wyrobił sobie w tej materji pap. Benedykt XIV. Mianowicie w bulli z dn. 22 lutego 1755 roku omawia Benedykt sprawę kanonizacji dzieci, umęczonych za wiarę, w szczególności umęczonego przez żydów błog. Andrzeja z Rinn. Przy tej okazji przypomina Papież i przytacza inne podobne fakta, a nawiązując do procesu trydenckiego z drugiej połowy XV-go wieku, tak się wyraża: [3])

„W roku 1485 (błąd drukarski, ma być *1475*) *zabity był okrutnie przez żydów z nienawiści do wiary Chrystusowej, chłopczyna, mający niespełna 3 lata. Z tej nieludzkiej zbrodni powstało tyle niepokojów i tak wielkie zamieszanie, tylu i takimi sztukami starali się Żydzi wykręcić od zasłużonej kary i odwrócić od siebie usprawiedliwioną nienawiść chrześcijan, że Sykstus IV czuł się zmuszonym osobiście wmięszać się w tę sprawę, zakazując oddawania publicznej czci błog. Szymonowi, którą mu już oddawać poczęto, ażby się całkiem wyświetliło, że został zamordowany przez Żydów z nienawiści do wiary... Dopiero kiedy wszystko się wyświetliło i przytoczone dowody wykazały i śmierć samą i jej sprężyny i ustalonem zostało, że sprawcami mordu byli Żydzi, jak to widoczne z procesu, którego akta dotychczas się przechowują w tajnem archiwum w zamku św. Anioła, wydał Sykstus V w r. 1588 „breve” zezwalając na mszę św. i officum błog. Szymona w mieście i djecezji trydenckiej w dniu oznaczonym, oraz na odpust zupełną...* i t. d.” (Bullarium Benedicti pape XIV. Romae 1761. apud. Heron. Mainardi t. IV. str. 102. § 5. z bulli Beatus Andreas).

„Że zaś sąd swój w tej sprawie — pisze dalej od siebie X. L. Rudnicki — oparł papież nie na pobieżnem przeczytaniu jakiegoś pobożnego żywotu, ale na sumiennych badaniach, o tem świadczy nietylko jego cała działalność autorska, nacechowana wielką skrupulatnością i wytrawnym sądem, ale i przytoczona przez niego lileratura i badanie samych źródeł i te wskazów-

---

[2]) „Przegląd Powszechny” R. XXX, t. 120, str. 296 — 303.

[3]) Przytaczamy tekst dosłownie za „Przeglądem Powszechnym” t. 120, str. 301.

ki, jakie daje w tej samej bulli, jak się zabierać do badania historji męczeństwa takich dzieci".

„Nam wystarczy przytoczyć tylko te słowa papieskie, aby wykazać, że zupełnie mija się z prawdą twierdzenie, jakoby papieże zakazali nam robić przypuszczenia co do istnienia mordu rytualnego. Przypuszczali jego istnienie sami, byli o nim przekonani na podstawie bardzo sumiennych badań,[4]) a jeśli bronili Żydów, to tylko jako społeczności, która nie może odpowiadać za ohydne, zabobonne praktyki, utrzymywane w tajemnicy jakiejś sekty, zakazywali tylko niesumiennej naganki na nich".

W tym samym tomie 120 „Przeglądu Powszechnego"[5]) na str. 309 czytamy charakterystyczne zeznanie wychrzczonego żyda, Jana Feltro, którego w roku 1475 wezwano jako rzeczoznawcę w sprawie zamordowania przez żydów małego trydenckiego chłopczyka, Szymona. Świadek po złożeniu przysięgi oświadczył:

„W jakim celu potrzebują żydzi krwi chrześcijańskiej, nie wiem; wiem tylko od mojego ojca, że jego znajomi zabili temu lat 40 w Lanzhut w Niemczech dziecko chrześcijańskie; wiem także, że mój ojciec wlewał podczas świąt paschy do wina i do ciasta, z którego pieczono macę, trochę krwi, utoczonej z zamordowanego chłopczyka; ojciec mój popryskiwał przed rozpoczęciem biesiady świątecznej stół winem, zmieszanem z krwią chrześcijańską, przeklinając przy tej ceremonji gojów".

W „Liście" swym podaje T. J.-Choiński pozatem trochę literatury traktującej o zbrodni rytualnej żydów. M. in. pisze autor o broszurze ochrzczonego rabina Moldava, która ukazała się w języku mołdawskim w roku 1803 po tytułem „Koniec religji hebrajskiej". „Zdaniem b. rabina Moldava znają „misterjum krwi" tylko rabini, nauczyciele, uczeni i faryzeusze. Reszta

---

[4]) Żeby uniknąć nieporozumień, zaznaczamy że choć Benedykt XIV nie używa w bulli wzmiankowanej słowa „mord rytualny", jednak ma go na myśli mówiąc o zbrodni żydowskiej, dokonanej na chłopięciu, jak się technicznie wyraża, „in odium fidei", z nienawiści do wiary. Wspominając bowiem o motywach mordu, powołuje się na akta procesu w tajnem archiwum, które zawierają zeznania oskarżonych świadczące, że właśnie dokonano na Szymonie mordu rytualnego. Akta te w dość znacznych wyciągach ogłosiła Civilta Cattolica w rocznikach 1881 i 1882, i opatrzyła obszernym komentarzem. Tam też ciekawych czytelników odsyłamy. (Przypisek ks. Rudnickiego).

[5]) l. c.: Teodor Jeskie-Choiński „List z Warszawy", str. 308—312.

nie wie nic o znaczeniu tej tajemnicy. — Według Moldawa posługują się najprawowierniejsi z pośród chusydów krwią chrześcijańską z trzech przyczyn. Jedni dopuszczają się mordu rytualnego z nienawiści do chrześcijan, inni (magowie) posługują się krwią chrześcijańską jako środkiem leczniczym, trzeci w końcu (kabaliści mistycy) ze strachu przed karą boską. Są bowiem rabini, którzy nie wiedzą napewno, czy Chrystus był, lub nie był obiecanym przez Jehowę Mesjaszem. Jeżeli zaś był Mesjaszem, trzeba Go przebłagać, złączyć się z Nim przez spożytą krew Jego wyznawców. Krew ochrzczonego dziecka chrześcijańskiego, zmieszana z krwią żydowską, ma zastąpić chrzest". Świadectwo to, jak dużo innych, rzecz jasna, należy przyjąć nie bez pewnego krytycyzmu. Ale mimo to podobne głosy nie powinny być dla nas obojętnemi.

Na powyższe uwagi w 30 roczniku „Przeglądu Powszechnego" natrafiliśmy przypadkowo. Podajemy je tu w nawiązaniu do artykułu z marcowego numeru „Pro Christo" 1927, by uzupełnić artykuł ten zdaniami wychrzczonych żydów i sądem jednego z papieży, który według zapewnień ks. L. Rudnickiego w przytoczonym powyżej dukumencie miał właśnie na myśli żydowski mord rytualny.

A. F. Kowalkowski.

O chrześcijańskim ruchu zawodowym słów kilka.

W ruchu chrześcijańsko-społecznym jedno z czołowych miejsc zajmują Chrześcijańskie Związki Zawodowe, które w stosunkowo niedługim czasie, dzięki uczciwej i wytężonej pracy, zataczają w swej działalności coraz szersze kręgi i na terenie świata pracy uzyskały już całkowite prawo obywatelstwa.

Różne bowiem dotychczasowe doktryny społeczne, dążące do rozwiązania t. zw. kwestji socjalnej, wcielane w życie, zaogniały tylko stosunki między warstwą pracującą, a przemysłem, nie dając jednak rozwiązania tej sprawy, w płaszczyźnie realnej i społecznej, a raczej sprowadzały ją na drogę programów partji politycznych, propagujących barbarzyńską zasadę walki klas. Rozwój światowy stosunków ekonomicznych i w związku

z tem potrzeba unormowania zagadnień socjalnych, skłoniły papieża Leona XIII do zabrania głosu i rozwiązania tej kwestji na zasadach nauki Chrystusa. Wiekopomna Encyklika Rerum Novarum położyła podwaliny pod potężny gmach katolicyzmu społecznego, stanowiącego oblicze ideowe nowopowstałych robotniczych organizacyj zawodowych, o działalności których mamy tutaj pomówić.

Zacznę więc od struktury organizacyjnej.

Zawód zorganizowanej grupy ludzi stanowi kryterjum dla nazwy i klasyfikacji prawnych poszczególnego Związku. Inne bowiem przepisy obowiązują w górnictwie, kolejnictwie, rolnictwie, w przemyśle transportowym, inne znów w branżach metalowej, chemicznej, spożywczej i innej. Na czele związku stoi zarząd, wyłoniony przez walne zebranie. W miejscowościach, gdzie istnieje większa ilość związków, tworzy się zarząd okręgowy, złożony z delegatów wybranych przez poszczególne związki. Trzecim szczeblem organizacyjnym jest centrala chrzescijańskich związków zawodowych, na czele z zarządem głównym, wybranym przez kongres chrz. związków zawodowych.

Przejdę teraz do życia organizacyjnego i działalności związków.

Inicjatywa iześrodkowanie czynności organizacji spoczywa w ręku sekretarza, bądź instruktora związku. Działalność zaś możemy podzielić na trzy zasadnicze grupy: 1) obrona zawodowa, 2) prowadzenie akcyj cennikowych, 3) praca kulturalno-oświatowa. Pierwsza grupa wymaga od sekretarza bądź instruktora, tego duchowego kierownika, gruntownej znajomości obowiązujących przepisów z zakresu ustawodawstwa socjalnego, a więc o kasach chorych, ubezpieczeniach od wypadków, funduszu bezrobocia, urlopach, sądach pracy i wielu innych. Związek ma codziennie setki interesantów, którym musimy udzielić w tych sprawach porad, przyjąć zażalenia i natychmiast interwenjować, by wyrządzoną krzywdę naprawić. Działalność ta, stanowiąca konglomerat codziennego życia robotnika jest jedną z najbardziej żmudnych i wymagających dużego doświadczenia życiowego, czynności związku.

Przejdę teraz do omówienia następnej kategorji czynności: akcyj cennikowych. Zwalczając zasadę programu socjal-komunistycznego: „im gorzej się dzieje robotnikowi tem dla prowo-

dyrów lepiej", Związki Chrześcijańskie dążą wszelkiemi konstytucyjnie dozwolonemi środkami do poprawy bytu robotnika, żądając zgodnie z ideją chrześcijańskiej sprawiedliwości od robotnika sumiennej pracy, od przemysłowca słusznej zapłaty i odpowiednich warunków pracy. Prowadzimy masy robotnicze nie do walki z ustrojem, nie na barykady do zdobywania fabryk i grabienia cudzej własności, lecz, szerząc hasła współpracy wszystkich warstw narodu dla dobra ojczyzny, prowadzimy jednak bezwzględną walkę z wyzyskiem w życiu ekonomicznem Państwa. Wzajemne zrozumienie zadań kapitału i pracy, tych dwóch sił każdej społeczności, stanowiących podstawę potęgi gospodarczej Państwa, oparte na zasadach moralności chrześcijańskiej musi położyć kres demagogji i stworzyć typ obywatela-przemysłowca z jednej i obywatela-robotnika z drugiej strony. Wiemy o tem, iż życie również to samo nam wskazuje, że głodny, źle odziany i pozbawiony opieki człowiek chwyta się nieraz w chwilach zwątpienia wszystkiego. Lgną wtedy do niego demagogiczne hasła rewolucji, hasła do walki ze złym ustrojem a wizja złudnej fatamorgany zabija w nim hodowane z pokolenia na pokolenie poczucie polskości, moralności i patryotyzmu.

Celem więc naszym—poprawa bytu — zapewnienie opieki na starość, a przez to wyrwanie robotnika z rąk agentów czerwonej rewolucji. To jedyna realna i twórcza praca dla dobra Polski na terenie świata pracy. Lecz dla zrealizowania tego programu potrzebna jest praca całego społeczeństwa. Inteligencja nasza nie może zasklepiać się w ramach własnego „ja" lecz winna zakasać rękawy i podać dłonie braciom z fabryk, hut i kopalń do realizowania haseł chrześcijańskiej sprawiedliwości. Setki akcyj podwyżkowych, przeprowadzonych przez Chrześcijańskie Związki Zawodowe bez awantur, bez poruszania elementów politycznych, lecz jedynie opartych na platformie ekonomicznej, dały już rezultaty. Robotnicy widząc działalność Chrześcijańskich Związków niekiedy całemi grupami opuszczają szeregi czerwonych trybunów, idąc z nadzieją lepszej przyszłości pod sztandar wielkiej idei Chrystusa.

Trzecim zasadniczym punktem programu działalności Chrz. Związków Zaw. jest praca kulturalno - oświatowa. Mamy tu szerokie pole do działania. Urządzanie obchodów, odczytów,

organizowanie kursów dla analfabetów, kół sportowych i teatralnych, podnosi ogromnie poczucie obywatelskie i daje godziwą rozrywkę dla znękanych codzienną ciężką pracą członków organizacji. Na tym terenie pracy inteligencja nasza może wydajnie współdziałać, ale trzeba.... tylko chcieć. Tak jak karnie ramię przy ramieniu stajemy w szeregach armji, stańmy wszyscy solidarnie do pracy społecznej, a zaciśniętej mocno i bratersko dłoni inteligenta i robotnika żadna siła obca nam i wroga nie zdoła rozerwać.

Kazimierz Szmagier.

Dokumenty akcji antyreligijnej w parlamencie.

Trzecie czytanie w Komisji budżetowej.

Dnia 25 stycznia 1929 r. był rozpatrywany na komisji budżetowej Sejmu w trzecim czytaniu budżet Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Oddajemy głos socjalistycznemu „Robotnikowi", który w № 26 w ten sposób streszcza uchwały komisji:

„Na posiedzeniu popołudniowem przystąpiono do głosowania nad budżetem oświaty. Wniosku p. Kalinowskiego (Wyzw.) o skreślenie całego działu wyznań religijnych przewodniczący p. Byrka nie poddał pod głosowanie. Tow. Czapiński zażądał zaprotokułowania swego protestu, uważając zarządzenie przewodniczącego za niesłuszne i zastrzegając wniesienie tego wniosku na plenum.

Następnie był wniosek tow. Czapińskiego o skreślenie 1000 zł. z budżetu wyznania katolickiego. Tow. Czapiński uzasadnił go jako demonstrację przeciwko rozpolitykowaniu kleru i wskazówkę dla Rządu o konieczności przeprowadzenia rozdziału Kościoła od Państwa. Poddany pod głosowanie wniosek ten wobec równości głosów 13 na 13 nie uzyskał większości i upadł.

Członek kom. budżetowej pos. Grynbaum przy głosowaniu tem wstrzymał się. Na komisji żartowano więc, że pos. Grynbaum uratował kler katolicki od klęski.

Dalej przyjęto wniosek, mający wielkie i zasadnicze znaczenie. Wniosek ten zgłoszony przez tow. Czapińskiego i Du-

bois przeznacza 200 tys. zł. na wstępne wydatki na organizację Uniwersytetu Ukraińskiego we Lwowie.

Na wniosek tow. Dubois skreślono kwotę 40.000 zł. przeznaczoną na katolicki uniwersytet w Lublinie (14 głosami przeciw 13).

Następnie na wniosek tow. Dubois w dziale „opieka nad sztuką" wstawiono nową pozycję 100.000 zł. na teatr i muzykę robotniczą i chłopską.

Stwierdzić trzeba, że naogół dzień ten przyniósł szereg sukcesów naszym towarzyszom.

Wnioski o subsydja na rzecz szkolnictwa prywatnego niemieckiego i żydowskiego doznały wszędzie poparcia naszych towarzyszy."

„Oszczędność" budżetowa lewicy.

Tyle „Robotnik". Aby każdy mógł sobie uświadomić, w jak rażącej dysproporcji są „oszczędnościowe" wnioski lewicy, dotyczące instytucji katolickich w stosunku do jej rozrzutności w innych działach budżetu—cytujemy ustęp artykułu p.t. „Bez maski" zamieszczonego w Nr. 27 „Rzeczypospolitej"—pióra p. M. Grzegorczyka.

Autor, pisząc, o coraz intensywniejszej walce lewicy z religją i Kościołem na terenie komisji budżetowej Sejmu—dodaje:

„Nazywa się to w ich języku „walką z klerykalizmem", demonstracją przeciw rozpolitykowaniu kleru" i t. p. Jak zaś to wygląda w rzeczywistości, o tem świadczy samo porównanie skreślonej pozycji 40.000 zł. z innemi sumami, jakie do budżetu wstawiono. A zatem na katedrę specjalną ustawodastwa robotniczego—39.000 zł. czyli prawie tyle samo, na dwie katedry farmaceutyczne w Krakowie 140.000 zł. na założenie nieistniejącej jeszcze szkoły spółdzielczej 100.000, ba co więcej: na przygotowanie założenia nieistniejącego uniwersytetu ruskiego we Lwowie, do czego wpierw potrzeba osobnej ustawy sejmowej, ofiarowano szerokim gestem 110.000 zł. Pepiera się zatem rozwój istniejących uczelni wyższych (dla uniwersytetu wileńskiego przyznano 100.000 nawet nie na dalsze katedry, ale tylko na pokrycie kosztów związanych z jubileuszem 330-lecia), kreuje się nowe i to bez oglądania się na podstawy prawne, równocześnie zaś

robi się wszystko, aby istniejącej prywatnej wszechnicy katolickiej utrudnić byt. A zważyć należy i to jeszcze że istniejącej w Warszawie prywatnej uczelni wyższej wprost odmiennego kierunku, „Wolnej Wszechnicy Polskiej" na którą rząd preliminował także subsydjum 40.000 zł. pomocy tej nietylko nie odjęto, ale w drugiem czytaniu zwiększono ją do 75.000 zł. Jak to nazwać?

Zaraz po powzięciu tej „oszczędnościowej" uchwały (która nie przeszkodziła zresztą uchwaleniu szeregu grubo wyższych pozycji) lewica wszczęła wielką kampanję o utrzymanie półtoramiljonowej pożyczki — dotacji na instytucje naukowe i stroiła się w togi jedynych w Polsce obrońców kultury. W bardzo ożywionej wymianie zdań, jaka przytem zapanowała, przedstawiciel Rządu stwierdził, że i tak już pomoc Rządu dla nauki polskiej wyraża się w 5 miljonach, jakie na ten cel przeznaczyła ustawa inwestycyjna z wiosną 1928 r., przemawiający zaś imieniem umiarkowanych ludowców (P.S.L. „Piast") p. Rataj widział się zmuszony stwierdzić, iż w obradach komisyjnych panuje „atmosfera licytacji", prowadząca do traktowania wszystkiego pod kątem demagogji. Ale w tym wypadku wydatek, uchwalony przez lewicę, mimo wszyskie argumenty oszczędnościowe, został utrzymany.

Na każdym polu ręka lewicowej większości sejmowej w uchwaleniu wydatków jest bardzo szeroką i hojną. W budżecie Ministerstwa Reform Rolnych P.P.S. i Wyzwolenie proponowały ponad 60 milj. nowych wydatków (z czego coprawda tylko dziesiątą część uchwalono), w budżecie Ministerstwa Rolnictwa o 24 milj. zabiegało „stronnictwo Chłopskie", budżet zaś Minist. Oświaty wedle przeprowadzonych już uchwał przewyższa wydatki preliminowane początkowo o 40 milj. zł. Wszystko to wbrew ostrzeżeniom przedstawicieli rządowych, iż tak zwiększonemu budżetowi grozić będzie deficyt, wbrew tendencji stronnictw umiarkowanych, aby dla ulżenia ciężarów podatkowych ludności w niejednej pozycji na swych nadmiernie rozwiniętych wydatków budżetowych przeprowadzić racjonalne oszczędności. Ani cienia tego poczucia odpowiedzialności za ustalenie pewnych ram dla gospodarki państwowej nie sposób się dopatrzyć w uchwałach przeprowadzonych przez lewicę, natomiast z reguły rozpasanie tylko demagogji, czy to w fantastycznych sumach nowych wydat-

ków, czy w tak złośliwych, a drobnych tylko pozycji dotyczących skreśleniach, jak właśnie dotacji dla Lublina".

Posiedzenie plenarne Sejmu.

Dnia 6 lutego 1929 r. Sejm rozpatrywał na posiedzeniu plenarnem budżet Minist. Wyznań i Oświecenia Publicznego. Socjaliści i inne grupy lewicowe podtrzymywały swoje wnioski, skierowane przeciwko Kościołowi i religji, a zwłaszcza: 1) wniosek o skreślenie 147.000 z działu katolickiego budżetu wyznań, przeznaczone na korespondencje, 2) wniosek o skreślenie 40.000 zł. subsydjum na katolicki Uniwersytet w Lublinie i 3) wniosek demonstracyjny o skreślenie 1000 zł. z budżetu wyznania katolickiego.

Mówca socjalistyczny poseł Adam Próchnik oświadczył w swoim przemówieniu:

„W dziedzinie wyznań zgłaszamy wniosek o skreślenie 1000 zł. Czynimy to ze względów demonstracyjnych na znak protestu zarówno przeciwko konkordatowi, jak również przeciwko roli jaką duchowieństwo dzisiaj pod opieką p. Ministra odgrywa...

Musimy wreszcie zwrócić uwagę na okólnik wydany przez p. Ministra Bartla, który w myśl uchwały przy poprzednim budżecie powziętej, przez Sejm i Senat, powinien być zniesiony: widocznie Pan Minister przeląkł się żądania, które obie izby uchwaliły. Trzeba żelazem rozpalonem wreszcie to średniowiecze w Polsce wypalić. Tworzyło Polskę pokolenie, wychowane w niewoli, tu leży przyczyna wielu niedomagań naszego życia państwowego. Stworzy z Polski państwo nowoczesne państwo postępu, pokolenie, wychowane w duchu wolnej niezależnej demokratycznej myśli. To będzie najlepszą ostoją naszej niepodległości, to będzie siłą, zdolną do rozwiązania tych olbrzymich problemów, jakie dziś przed społeczeństwem polskim stoją".

Przeciw czerwonym demagogom.

Dn. 7 lutego przemawiał na plenum przedstawiciel Chrześcijańskiej Demokracji poseł Romuald Pułjan, z którego przemówienia podajemy główne ustępy:

„Zadaniem szkoły podług naszych pojęć jest nietylko wykształcenie intelektu, ale i wyrobienie charakteru. Szkoła ma wychowywać. Wychowania zaś dziecka czy młodzieńca na dobrego człowieka niema bez religji. Wolnomyślność bowiem jest pozbawniona tej jedności, która w wybitny sposób przejawia się zwłaszcza w katolicyzmie, wolnomyślność prowadzi do zupełnej anarchji w dziedzinie pojęć moralnych i religijnych. I tu należy szukać między innemi, przyczyn niepokojącego sta-

nu naszej młodzieży, narażonej zbyt wcześnie na detkrukcyjny wpływ nieodpowiedniej lektury i atmosfery dzisiejszego życia, zwłaszcza w miastach. Jeden ze znakomitych organizatorów szkolnictwa w zachodniej Europie, pomimo, że jest filizof wolnomyślny, powiedział: „bez religji w szkole nie sposób wyrobić głębszych przekonań etycznych, a bez nich niema mowy o postępie człowieka". Z nauczaniem zaś religji ściśle łączą się praktyki religijne, które są konsekwencją wprowadzenia w życie przepisów i zasad religji. Mówca występuje przeciwko wnioskowi posłów z lewicy skierowanemu przeciwko okólnikowi p. prof. Bartla. Okólnik ten regulujący praktykę ćwiczeń religijnych w stosunku do młodzieży szkolnej, jest zupełnie usprawiedliwiony i oparty zresztą na przepisach Konstytucji i Konkordatu. Interpelując w tej materji obecnego p. Ministra p. Czapiński jeden z reprezentantów t. zw. lewicy naszej, wygłosił na komisji budżetowej zdanie, że ćwiczenia religijne obniżają poziom umysłowy. Nie wiem, czy ten reprezentant P.P.S. przeprowadził w tej materji szczegółowe badania i czy mógł twierdzenie swoje poprzeć jakimiś dowodami. Doświadczenie jednak stwierdza, że praktyki religijne nie przeszkodziły wielu uczonym, między innemi Pasteur'owi, który dokonał epokowych odkryć bakterjologicznych.

Zresztą jeżeli chodzi o nauczanie religijne w szkole to mają tu coś do powiedzenia także rodzice. W pierwszym rzędzie rodzice mają obowiązek wychowania dzieci i przekazania im wiary, którą sami wyznają, a o której są przekonani, że jest prawdziwą Pogląd zaś rodziców w tej sprawie dostatecznie stwierdzają masowe protesty, przeciw uchwale ciał ustawodawczych, wzywających rząd do odwołania okólnika o praktykach religijnych młodzieży.

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami zorganizowanej na terenie parlamentu akcji, zmierzającej do pomniejszenia, a nawet zupełnego usunięcia wpływu Kościoła na życie społeczne. W naszem pojęciu i rozumieniu szerokiej opinji społeczeństwa katolickiego, jest to identyczne z otwartą walką religijną. Mam tu na myśli uchwałę Komisji budżetowej w sprawie skreślenia zasiłku w wysokości 40.000 zł., umieszczonego w preliminarzu budżetowym dla katolickiego uniwersytetu w Lublinie. Społeczeństwo katolickie upatruje w tej uchwale wyraźny już bez żadnych osłonek, atak na jedną z placówek nauki katolickiej i dążenie do odchrystyanizowania naszego społeczeństwa.

W komisji budżetowej powołali się—prawda—nie w sposób wyraźny, na pewne zarzuty, które były umieszczone w czasopiśmie „Epoka", a dotyczyły stosunków, panujących na uniwersytecie w Lublinie. Między innemi w Komisji Budżetowej był podniesiony zarzut, że wynik egzaminów ostatecznych na Uniwersytecie w Lublinie był poprostu fatalny. Otóż ja mam w danym wypadku informacje, z których wynika, że do egzaminu z ostatniego roku studjów zgłosiło się 15 osób, otrzymało zaś dyplom 12, czyli że ilość, otrzymanych dyplomów do ilości kandydatów wynosi 80%. Nie jest to znów tak źle, jeżeli 80% kandydatów zgłaszających się do egzaminu otrzymuje dyplomy, a egzaminy były przecież dokonywane przez Rządową Komisję Egza-

minacyjną. Proszę porównać ilość osób otrzymujących dyplomy w uczelniach rządowyzh. Też jest bardzo nikła ilość. Ciężkie warunki sprawiają, że młodzież nie może kończyć prędko studjów i nasze uniwersytety przynajmniej dotychczas wypuszczały bardzo mało młodzieży dyplomowanej ..

Jeżeli porównamy teraz ilość osób, która otrzymała dyplomy na Wolnej Wszechnicy Polskiej, dla której Komisja była łaskawa zwiększyć subsydja aż do 75.000 zł., to w sprawozdaniu z działalności tej instytucji w roku akademickim 1926/27 na str. 58 podano, że tylko 7 osób ze słuchaczów Wolnej Wszechnicy otrzymało dyplomy. Mnie się wydaje, że należy sprawiedliwie traktować te placówki naukowe i jeżeli panowie zwiększą subsydjum dla Wolnej Wszechnicy, to w takim razie w odpowiedni sposób należy zwiększyć i subsydjum dla uniwersytetu katolickiego w Lublinie. My jako Stronnictwo katolicko-społeczne tego rodzaju próbom opartym na nienawiści do Kościoła katolickiego i rażąco niesprawiedliwemu traktowaniu uniwersytetu katolickiego w porównaniu z innym zakładem naukowym, dla którego właśnie dotację podwyższono do 75.000 zł. energicznie się sprzeciwiamy.

Drugim dowodem, jeżeli chodzi o resort Ministerstwa Oświaty, nieliczącej się z konsekwencjami nienawiści do Kościoła, jest uchwała tejże komisji budżetowej, skreślającą przewidziany w załączniku a do umowy konkordatowej dział IV, wydatków na poeztę. To już jest wyraźne wejście na drogę zerwania konkordatu ze Stolicą Apostolską (głos: tak jest). I tu w odpowiedzi większości komisji pragnę zauważyć, że komisja zdaniem naszem nie słusznie staje na stanowisku, że zerwanie konkordatu uwolni państwo nasze od świadczeń materjalnych na rzecz Kościoła. Nawet w razie zerwania umowy ze stolicą Apostolską nie przestaną ciążyć na państwie obowiązki materjalne, wynikające z konfiskaty dóbr kościelnych przez państwa zaborcze, obecnie znajdujących się w posiadaniu naszego państwa. Skreślenie tych świadczeń byłoby rabunkiem, tembardziej ohydnym, że sankcjonowanym przez władze państwowe. Nie mogę pominąć tutaj faktu, który znajduje się też w sprzeczności z artykułami konkordatu. Chodzi mianowicie o uchwałę komisji administracyjnej w sprawie opłat za posługi religijne. W wymienionym już przedtem aneksie Konkordatu jest przewidziany sposób regulowania t. zw. jura stolae. Regulacja ta winna nastąpić na zasadzie specjalnej umowy z władzą kościelną. Tymczasem Komisja Administracyjna pominęła przepisaną drogę i uregulowała jednostronnie sprawę opłat za posługi religijne. Jest to jeszcze jeden dowód, że większość komisji stanęła otwarcie do walki z Kościołem, a przez to z religją katolicką w kraju. **Panowie chcecie rozpętać walkę z religją w Polsce. My tej walki się nie boimy, ale chcemy jej uniknąć ze względów na dobro Państwa. Gdybyśmy jednak byli zmuszeni ją przyjąć, mamy niepłonną nadzieję zwycięstwa, a ta nadzieja jest oparta na znanem przywiązaniu szerokich mas społeczeństwa polskiego do religji i zrozumieniu przez nie znaczenia Kościoła w życiu niepodległej Polski.**

W imieniu klubu Chrześcijańskiej Demokracji pozwalam sobie zgłosić rezolucję:

Sejm wzywa Rząd do wykonania Konkordatu, zawartego ze Stolicą Apostolską.

Następnie stawiam wniosek o wprowadzenie do budżetu skreślonych pozycji 147.000—wydatki na pocztę i 40.000 zł subsydjum dla katolickiego Uniwersytetu w Lublinie".

Przygotowywanie bolszewizmu.

Przemawiał również ks. poseł Marceli Nowakowski (Klub Narodowy), który, omawiając systematyczne ataki lewicy przeciw religji, zwrócił uwagę na łączność ich z akcją komunistyczną:

Dziś wypowiedziana otwarcie wojna przez Stronnictwa: P. P. S., Chłopskie i Wyzwolenie doprowadzi do zdziczenia obyczajów i do rozkładu moralnego. Tak tworzy się doktrynę bolszewicką w duszy, gdzie powstaje pustka moralna, a na zewnątrz zwyrodnienie użycia Już dziś gazety nam donoszą że jest rozkaz z Moskwy wydany tworzenia u nas jaczejek bezbożników... (Przerywania). Jak się z duszy Boga wyrzuci, to się przygotowuje bolszewizm. Nie rozgoryczenie dyktuje mi te słowa, ale wielka troska o przyszłość, nie jakiekolwiek względy materjalne, ale myśl, — że w odrodzonej ojczyźnie Pólacy w imię ukrytych międzynarodowych nakazów uznają za stosowne niszczyć siły żywotne narodu, który się dość nacierpiał.

Głosowanie na plenum Sejmu.

Na szczęście jednak tym razem usiłowania lewicy chybiły celu przynajmiej w najbardziej drastycznych przejawach.

W dniu 9 lutego odbyło się w Sejmie w drugiem czytaniu głosowanie nad budżetem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Na wniosek Klubu Ch. D., Klubu Narodowego i przedstawicieli Rządu cofnięto skreślenie zarówno pozycji 147.000 zł. na korespondecję, jak i 40.000 na Uniwersytet w Lublinie.

Wynik ten został potwierdzony przez głosowanie w 3 czytaniu w dn. 11 lutego.

Obecnie budżet znajduje się w Senacie, skąd powróci prawdopodobnie jeszcze raz do Sejmu. Wówczas los tych dwóch tak ważnych pozycji życia katolickiego w Polsce zostanie ostatecznie zdecydowany, na bieżący rok budżetowy 1929/30.

Sprawa opłat kościelnych.

W dniu 20 lutego doczekała się załatwienia na komisji oświatowej Sejmu sprawa wniosku posłów „Wyzwolenia" z dn.

24. IV. 1928 r. w przedmiocie opłat za spełnienia obrzędów religijnych. Wniosek ten złożony w formie projektu specjalnej ustawy, brzmiał jak następuje:

Art. 1.

„Opłaty akcydensów kościelnych dostosowane będą do stanu majątkowego opłacających i w tym względzie dzielą się parafjanie na 3 klasy.

Do pierwszej należą osoby posiadające majątek wartości powyżej 100.000 zł., lub dochód roczny conajmniej 12.000.

Do drugiej—osoby posiadające majątek wartości od 15.000 zł. do 100.000 zł., lub dochód roczny od 4,000 zł. do 12.000 zł.

Do trzeciej — posiadacze gospodarstw do 15 ha, lub innego majątku do 15.000 zł. lub posiadający dochód ponad 4.000 rocznie.

Art. 2.

Opłaty wynoszą:

Za spełnienie obrzędów religijnych w klasie.

	I. zł. gr.	II. zł. gr.	III. zł. gr.
Chrzest bezpłatnie			
Od każdej zapowiedzi . . .	2.—	1.—	—.50
Od ślubu	25.—	12.—	3.—
Od wywodu	3 —	1.—	—.50
Chowanie ciche bezpłatne . .			
Za pochowanie ze śpiewami osób ponad lat 15	50.—	20.—	6.—
Za pochowanie ze śpiewani osób do lat 15	25.—	10.—	3.
Kościelny 1/4 część taksy tych 2 ostatnich opłat			
Od wystawienia katafalku mniejszego	10.—	6.—	3.—
Od wystawienia katafalku większego.	15.—	10.—	5.—
Za eksportację	25.—	10.—	5.—
Od wilji śpiewanych . . .	30.—	20.—	6.—
Kościelnym trzecią część taksy 4-ch ostatnich opłat			
Za mszę czytaną	10.—	6.—	3.—

Za mszę śpiewaną	20.—	12.—	6.—
Za mowę pogrzebową w/g umowy .			
Za każdą świecę przy pochowaniu .	1.—	—.50	—.25
Za każdą lampę	1.—	—.50	—.25
Za dzwonienie jeden raz w 1 lub 2 dzwony	4.--	2.—	—.50
Za dzwonienie w jeden dzwon . .	2.—	1.—	—.50
Pokładne na fundusz cmentarny od osób ponad lat 15	20.—	10.—	5.—
Od osób do lat 15 . . .	10.—	5.—	2.—

Art. 3.

Osoby notoryczne ubogie i bezrobotni są wolni od opłat za eksportację, dzwonienie i od pokładnego.

Art. 4.

Nad ustanowione w art. 2 opłaty nie może duchowny żądać więcej, zostawia się jednak do woli duchownego kontentowanie się mniejszemi opłatami. Duchowny na żądanie powinien bezpłatnie wydać pokwitowanie od kwoty pobieranej.

Art. 5.

Od kartek do spowiedzi wielkanocnej żadne opłaty, ani żadne dobrowolne opłaty brane być nie powinny.

Art. 6.

W czasie zwyczajowego wizytowania parafjan żadnej składki ani ofiary pod nazwaniem kolendą, wymagać ani duchownym, ani kościelnym nie wolno.

Art. 7.

Wszelkie branie opłat ponad taksę, jako lichwa karane będzie. W ciągu roku wolno sądownie żądać od duchownych zwrotu tego, co nad taksę pobrane zostało".

Podczas dyskusji na komisji oświatowej zostało stwierdzone, że ustawa ta nie może być przedmiotem obrad Sejmu, jako wyraźnie sprzeczna z artykułami 114 i 115 konstytucji, które gwarantują Kościołowi katolickiemu i innym zresztą wyznaniom —

rządzenie się własnemi prawami oraz z Konkordatem, który zawiera analogiczne przepisy.

Na podstawie art. 1234 i 1507 Kodeksu Kanonicznego regulowanie opłat iura stolae, należy do władz kościelnych i tylko za ich zgodą może być dokonane ustawowo.

Podobne ustawy, jak projekt „Wyzwolenia" były wydane w swoim czasie przez osławionego prześladowcę Kościoła Józefa II w Austrji w r. 1874 oraz w b. Kongresówce carskim ukazem z r. 1861, opracowanym według projektu zruszczonego tatara Czerkaskiego. Obecnie Wyzwolenie pragnie powrócić do tych tradycji państw zaborczych.

Komisja oświatowa przeszła do porządku dziennego nad wnioskiem „Wyzwolenia" i zaniechała jego rozpatrywania wobec ustalenia faktu, że wniosek ten jest sprzeczny z prawem.

Uchwaliła natomiast rezolucję, wzywającą Rząd do podjęcia kroków celem uregulowania sprawy opłat na posługi religijne w porozumieniu ze Stolicą Apostolską.

Należy tu odróżnić dwie rzeczy: 1) potrzebę ustalenia opłat 2) konieczność załatwienia tej sprawy zgodnie z Konkordatem, w ten sposób, aby prawa Kościoła nie zostały w najmniejszym stopniu naruszone

Akcja przeciwko Ks. Arcybiskupowi Jałbrzykowskiemu.

W dniu 22 lutego komisja oświatowa Sejmu była widownią nowego ataku na przedstawiciela hierarchji kościelnej Oto poseł białoruski Karuzo referował wniosek swego Klubu—domagający się od Rządu, aby „położył kres działalności politycznej arcybiskupa Jałbrzykowskiego w Wilnie".

Jak się okazało w dyskusji, wniosek ten jest bezprzedmiotowy i Sejm się nim zajmować nie może, gdyż niema prawa wkraczać w wewnętrzne sprawy Kościoła. Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski był w swoim prawie, wydając list pasterski przeciwko t. zw. „białoruskiej chrześcijańskiej demokracji" ugrupowaniu podszywającemu się pod hasła chrześcijańskie, a głoszącemu zasady radykalno-socjalistyczne, jak np. walka klas oddzielenie Kościoła od Państwa, reformę rolną bez odszkodowania i t. d List ten był aktem natury religijnej, ostrzegającym wiernych przed niezdrowemi zasadami tej partji.

Zdawało się, że sprawa jest jasna i że komisja przejdzie nad tym wnioskiem do porządku dziennego bez żadnych komplikacji. Na przeszkodzie stanęło jednak stanowisko przedstawiciela B.B p. Okulicza, który zgłosił wniosek, poparty następnie przez lewicę i mniejszości, aby Komisja zwróciła się do Marszałka Sejmu o odesłanie wniosku do innej komisji, bardziej kompetentnej dla sprawy.

Wniosek ten został uchwalony wbrew głosom Ch. D., Kl. Nar. i N. P. R., które domagały się całkowitego odrzucenia wniosku białoruskiego.

To chwiejne stanowisko Klubu Bezpartyjnego Bloku W. z R., który od czasu do czasu staje wyraźnie po stronie wrogów Kościoła—komplikuje bardzo sytuację i wytwarza ciągły stan niepewności.

Ustawa Meksykańska.

Wreszcie na zakończenie podajemy inekstenso treść ustawy, wniesionej przez Wyzwolenie w dn. 30. marca 1928 r.

Sejm jeszcze nie wypowiedział się wobec projektu tej ustawy, przewyższającego wszystko, co dotychczas zostało przedsięwzięte przeciwko religji. Chodzi ni mniej ni więcej tylko o uniemożliwienie hierarchji kościelnej wykonywania praw, przysługujących Kościołowi i bronienia się przed atakami — o wytworzenie kruczków prawnych do prześladowania członków tej hierarchji.

Oto brzmienia ustawy, która wrazie przyjęcia przez parlament stałaby się początkiem ostrych walk religijnych w Polsce:

Art. 1.

„Związkom religijnym oraz duchownym, urzędnikom i sługom tychże związków nie wolno czynić użytku z przysługującej im władzy wyznaniowej w tym celu, aby członkom związku religijnego przeszkodzić w swobodnem wykonywaniu praw obywatelskich, w szczególności nakłaniać ich pod grozą kary i represji, przewidzianych w nauce i przepisach związku religijnego, by przysługujące im publiczne prawo wybierania i prawo głosowania wykonywali w pewnym oznaczonym kierunku.

Osoby wymienione, nie mogą też grozić temi karami, lub innemi represjami, ani też kar i represji tych stosować z tego powodu iż członkowie związku religijnego prawo obywatelskie, w szczególności także prawo wyborcze w pewnym kierunku wykonali, albo też go nie wykonali.

Art. 2.

Duchownym urzędnikom i sługom związków religijnych zakazuje się omawiania spraw politycznych, a w szczególności także spraw związanych z wyborami do Sejmu, Senatu i ciał samorządowych, w budynkach i na miejscach służbie religijnej poświęconych, oraz na zebraniach o charakterze religijnym gdziekolwiek odbywanych.

Art. 3.

Duchowni urzędnicy i słudzy związków religijnych, nie stosujący się do zakazów, w art. 1 i 2 niniejszej ustawy zawartych dopuszczają się przekroczenia, za które będą karani grzywną od 100 zł. do 1.500 zł., albo karą aresztu od tygodnia do 3-ch miesięcy.

Skazanie pociąga za sobą utratę biernego i czynnego prawa wyborczego do Sejmu i Senatu i ciał samorządowych przez okres czasu 5 lat, nadto skazany traci przez ten sam okres czasu prawo pobierania oposażenia z funduszów dostarczanych na ten cel związkom religijnym przez państwo.

Ściganie przestępstwa następuje z urzędu, albo też na wniosek zainteresowanej strony prywatnej.

Orzecznictwo o winie i karze podlega właściwości sądów.

Art. 4.

Wykonanie niniejszej ustawy powierza się Ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Ministrowi Sprawiedliwości.

Art. 5.

Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia".

Projekt ten jak widać idzie w dwóch kierunkach.

Przedewszystkiem zwraca się przeciwko kościołowi, jako instytucji, gdyż wyłącza niejako z Jego kompetencji te wszyst-

kie wypadki, w których zachodzi łączność między religją a polityką i ogranicza jego działalność do zakresu spraw wyłącznie indywidualnych, według zasady forsowanej przez wrogów Kościoła, że religja jest rzeczą prywatną, a nie ma nic wspólnego z zagadnieniami publicznemi.

Następnie zwraca się przeciwko duchowieństwu, jako warstwie obywateli i ogranicza jego wolność zdania w sprawach publicznych a właściwie uniemożliwia zabieranie głosu w sprawach publicznych i wywieranie wpływu na współobywateli. W ten sposób czyni z duchowieństwa obywateli drugiej kategorji i pozwala każdemu bezkarnie atakować Kościół i duchowieństwo, uniemożliwiając temu ostatniemu jakąkolwiek obronę.

Projekt ten jest oczywiście sprzeczny zarówno z Konstytucją jak i z konkordatem.

* * *

Podaliśmy oto tę wiązankę faktów i dokumentów antyreligijnych z ostatniej sesji parlamentarnej. Poszczególne dokumenty są, być może, nieco długie i rozwlekłe. Jest jednak rzeczą konieczną, aby zapoznała się z nimi nasza opinja publiczna, aby katolicy wiedzieli, jakie zagrażają im niebezpieczeństwa.

S. J. K.

DZIAŁ LITERACKO OPISOWY.

Adolf Rettè.*)

I.

„W tej burzy niewiary, która ogarnęła Francję, w czasie, w którym źli ludzie wysilają się na to, aby w duszy ludu do cna zniszczyć wszelki zmysł religii — mamy przynajmniej jedną pociechę, a jest nią — powrót do czystej, prostej chrześcijańskiej prawdy ludzi, których wybitny i potężny umysł, bądź dar wyobraźni dają prawo do zaliczenia ich do elity ducha francuskiego społeczeństwa.

---

*) Adolphe Retté „Du diable à Dieu" histoire d'une conversion, préface de Francois Coppée, trente-et-uniéme édition. Paris Librairie Leon Vanier, Editeur. A. Messein, Succr 19, Quai Saint Michel 19. 1909.

Przyszli historycy literatury naszej przy końcu dziewiętnastego wieku będą musieli stwierdzić, że np. wielki krytyk — Brunnetiére, tak możny djalektyk jak—Bourget; Huysman—ten przenikliwy romantyk i znakomity malarz modernistycznego społeczeństwa; Verlaine — rzadki i cenny artysta stylu i zarazem poeta subtelnie naiwny, że oni wszyscy pomimo swoich pobłądzeń byli katolikami, katolikami, którzy wszyscy wrócili do zaniedbanej, lub zapomnianej wiary. I oto jeszcze jeden intelektualista, poeta! — Tak, poeta, gdyż Adolf Retté jest poetą, który uczucia swoje i sny zamyka w pięknej i szlachetnej poezji. Tak. Jest to poeta prawdziwy, który w tej oto książce opowiada nam dzieje swego nawrócenia.– Wierzę, że czytelnicy podzielą wraz ze mną głębokie wrażenie, jakie na mnie wywarła ta książka.

Jakże z daleka powraca nieszczęśliwy poeta! Jakże długo błądził po mylnych i złych drogach myśli, zanim złamany bólem i zmęczeniem upadł u stóp Krzyża, którego, jak tonący, kurczowo się uchwycił! Ci nawróceni, o których przed chwilą wspomniałem—przez długie lata obojętnie przechodzili obok Bożego Krzyża. Niejeden, i ja jestem z ich liczby, mea culpa! — jakże gorzko żałują głupiej lekkomyślności i niebezpiecznego zuchwalstwa, z jakiem mówili nieraz o rzeczach Świętych. A ileż kartek dawnych swoich pism dziś potępiają i rumienią się za nie!

Ale tutaj—wina, a raczej nieszczęście, było jeszcze większe.

Wychowany bez wiary, doszedłszy do lat męskich, Adolf Retté stał się ateuszem i wojującym materjalistą. Towarzysz nieprzyjaciół wiary—brał udział w ich niecnych działaniach. Jakże więc doszedł do obrzydzenia swej przeszłości? do przemożnej potrzeby wierzenia w Boga i słuchania przykazań Bożych i kościelnych? Dowiecie się o tem z pokornej i odważnej jego spowiedzi.

Czytajcie! Postępujcie za nim tą bolesną drogą, która go prowadziła od fałszu ku prawdzie, od grzechu do stanu łaski, od bluźnierstwa—do modlitwy—wedle jego własnego silnego wyrażenia—od szatana do Boga!

Zejdźcie do przepaści tej duszy, do rozdartego jego serca!

Posłuchajcie tam tragicznej rozmowy pomiędzy złem a dobrem! Towarzyszcie mu w rozszalałej walce światła z ciemnością, pomiędzy pragnieniem śmierci, samobójstwa, nicości a wysiłkiem wzlotu ku wiecznemu życiu! Czytając, nieraz z prze-

rażeniem powiecie: „Nieszczęsny! ulegnie! Już jest zgubiony!" E nie! Wspomnijcie na opętanego, żyjącego w ciemnościach, z których nikt go wybawić nie mógł i nie umiał, aż przyszedł Chrystus, i tak, jak mocą swoją wypędził zeń czarta, tak i z tej umęczonej duszy wypędzi szatanów pychy, nieczystości i nienawiści. Czytajcie dalej te karty, pełne szczerości, drgające żalem, palące wiarą, nadzieją, miłością! Patrzcie!—Oto wczoraj—bluźnierca, dziś w kornej adoracji przed Krzyżem klęczy z czystą miłością dziecka—modli się do Najświętszej Panny!

Czyż nie jest to dowód nadnaturalny nieskończonego Miłosierdzia Bożego i przemożnej Łaski Bożej?

Ponieważ w moralnej swojej rozterce u mnie szukał ratunku, ponieważ odesłałem go poprostu do doskonałego, świętobliwego kapłana, który znakiem przebaczenia naznaczył pokornie schylone jego czoło i podobnie jak Jezus, który uciszył bałwany — sprowadził pokój do tej burzą targanej duszy — dlatego Adolf Retté prosił mnie o skreślenie słów kilka na wstępie do tej książki, której jednakowoż jakiekolwiek polecenie jest najzupełniej zbytecznem.

Książka ta zdobędzie bowiem wszystkie naprawdę chrześcijańskie i miłosierne serca. Te serca zaś zechcą ją poznać i rozprzestrzeniać dalej jej wpływ dobroczynny.

Co do mnie—to pozostaje mi ta słodka pewność, że zbawioną jest jedna dusza więcej, pozostaje mi radość — że prześladowana religja nasza liczy odtąd o jednego więcej obrońcę w osobie tego poety umocnionego pokutą i modlitwą, gotowego odważnie i wszelkiemi zdolnościami swemi, służyć wierze swojej!"

15 kwietnia 1907 r. *Franciszek Coppée.*

Oto są słowa przyjaciela! A teraz posłuchajmy jeszcze tego—co na wstępie sam Adolf Retté o sobie pisze:

„Za Łaską Bożą i wstawiennictwem Najświętszej Panny przywiedziony do prawdy autor tych kartek, nie ma na celu opowiadania dziejów swego życia.

Dla nadania jasności jego opowiadaniu — wystarczy zanotować to, że wychowany bez wiary, ofiara rodzinnych niesnasek, mając zaledwie lat dwanaście, pozostawionym został prawie zupełnie samemu sobie. Umieszczony w colegium w protestanckiem mieście—spełniał praktyki augsburgskiego wyznania. Te

jednakowoż nie miały nań wpływu. Zachował z nich jedynie bezładne i nieokreślone pojęcie o istnieniu Boga, oraz dużo niechęci dla doktryny, w której znajdował jedynie suche i surowe panowanie prawa ponad Królestwem Łaski.

Mając lat 19, autor oddał się literaturze, która przemożnie pociągała go od najwcześniejszej młodości. Pisał książki wierszem i prozą, w których erotyzm przeważnie łączył się z bluźnierstwem. Z całego serca żałuje tego dzisiaj. Dał się również porwać, utopić socjalizmowi. Poszedł drogą, którą kroczą ci, którzy opętani pychą wiedzy—wyobrażają sobie, że przygotowują przyjście nowej, we wszelkich jej pragnieniach zaspokojonej ludzkości, którąby się kąpała w złocie na ziemi, na której nie byłoby więcej ni Boga, ni Pana. Wyszedłszy z tej ułudy, wahał się pomiędzy pogaństwem z jego zmysłową uciechą i zatwardziałością uczuć odnośnie do innych, a rodzajem mglistego buddyzmu, który go doprowadził do zaprzeczenia istnienia realnego świata, do zajmowania się szarlatanerją, a wreszcie do pragnienia rozwiania się jak najprędzej w Nirwanie, w tej bezgwiezdnej nocy niebytu!

Nakoniec po powrotach do dawnej rozpusty, po najrozmaitszych doświadczeniach moralnych i materjalnych—prawdziwie cudem wyrwanym został z tej drogi wiecznego zatracenia. W tej chwili bowiem, w której zwątpił o wszystkiem, nawet w swój ukochany artyzm, w sztukę swoją, kiedy ostatecznie zmęczony i zniechęcony do samego siebie — myślał o śmierci — spiorunowała go Łaska!

Oto jest nawrócenia opowieść szczera, dokładna i drobiazgowa!—Autor skreślił ją w duchu pokuty, i z nadzieją, że przez to wypłaci się Niebu za swoje błędy i za swoje winy.

Oby Przenajświętsza Trójca i Dziewica Niepokalana, Ta Gwiazda poranna i jego Anioł Stróż z pomocą mu przyszli!"

Arbonne grudzień 1906 r. Amen.

Obydwa te dosłownie przytoczone wstępy, zachęcić powinny do przeczytania w całości i w oryginale francuskim książki, która, nawiasem mówiąc, doczekała się trzydziestego pierwszego wydania. Ponieważ jednak nie każdy z czytelników włada językiem francuskim, a także może niewielu będzie miało sposobność z tą książką się zetknąć — pozwalam sobie przeto pokrótce ją streścić.

Zanim zaczniemy mówić o przeżyciach Adolfa Rettè—zaznaczyć należy trzy właściwości cechujące go od dzieciństwa: pracowitość, wielkie ukochanie natury, a w szczególności losu, oraz zamiłowanie do samotnych dumań.

Zaraz w pierwszym rozdziale, autor przenosi czytelnika do Fontainebleau, do gospody, gdzie zebranym robotnikom z zapałem wyznawcy rewolucyjnych, najbardziej wolnomyślnych zasad — obiecuje przyjście złotego wieku, bez więzów, jakie narzuca Bóg i Kościół. Głosi walkę księżom, kapitalizmowi, wszelkiej tradycji, pod niebiosa natomiast wynosząc socjalizm. Przemowę tę nagradzają huczne oklaski zachwyconych słuchaczy.

Wśród tego audytorjum znalazło się jednak kilku słuchających, którzy zapragnęli dokładniejszego wyjaśnienia treści tej przemowy.

Robotnik jest przedewszystkiem człowiekiem praktycznym, zupełnie słusznie zatem zadaje mówcy następujące pytanie: „Boga niema, to rzecz przesądzona i pewna, ale skoro świat nie został przez nikogo stworzonym, pragniemy koniecznie wiedzieć w jaki sposób powstało wszystko. Nauka musi być tego świadoma. Powiedźcie nam przeto szczerze i jasno, co nauka, co wiedza o tem wszystkiem myśli i w co wierzyć każe?".

Na tego rodzaju obcesowe zapytanie wprost — Retté przygotowanym nie był. W gruncie rzeczy — prawa jego natura nie pozwoliła mu zamydlić oczu pytającym — sofizmatami, których znalazłby pod dostatkiem zaczerpniętych z dzieł różnych wolnomyślnych i niewierzących nieprzyjaciół Bożych. Ponieważ jednak w najtajniejszych głębinach duszy sam sobie przyznawał, że ilekroć narzuciło mu się pytanie: „skąd się wziął świat i wszelkie życie na niem?" tylekroć odpychał je i odsuwał z lękiem i niepokojem — przeto ze smutkiem pochyliwszy głowę — odrzekł: „nauka nie daje na to odpowiedzi".

Odpowiedź ta, rozumie się, że rozczarowała w autorytet i mądrość mówcy wierzących dotychczas słuchaczy — Zrazu przypuszczali, — że Retté tylko nie chce dać im odpowiedzi — że takiej wielkiej wagi wiadomości sam dla siebie zazdrośnie strzeże. — Gdy uparcie dalej milczy, z niechęcią odwrócili się od niego, szukając prawdy u innego mniej skrupulatnego filozofa, czy poety, jaki znalazł się na sali. — Retté zaś smutny opu-

szcza zebranie i idzie błądzić po swym ukochanym lesie w późną, a śliczną noc czerwcową.

Wtedy jeszcze wyraźniej zarysowały mu się w duszy wątpliwości, które mu i nadal spokoju nie dadzą i na które po trzech latach dopiero znajdzie odpowiedź. — W biednej jego głowie świtała myśl: „Może Bóg istnieje?"

Pomimo tego pierwszego obudzenia się sumienia, tak dalece owładnięty jest pychą, tyle razy jeszcze upadnie i zanurzy się w otchłani zmysłowości, że duch jego nie może wznieść się ku Bogu, ku nieśmiertelnemu Pięknu.

Na długo jeszcze przed swoim odczytem w Fontainebleau Retté przerzuca się od doktryny do doktryny; jednakże już wtedy z pewną, choć małą nieufnością zaczyna odnosić się do uczonych, i przestaje entuzjazmować się dla ruchu anarchistycznego, któremu z zapałem piórem i słowem uprzednio służył.

Zwraca się do kollektywizmu. Sprawa robotnicza wciąż go zajmuje. W Wielki Piątek jest wielkie zebranie w teatrze, na którem przemawiają Anatol France i Jaurès, Anatol France opiewa sztukę, schlebia proletarjatowi, wmawia w każdego rzemieślnika, że jest artystą — Retté jest oburzony tem schlebianiem ludowi dla politycznych celów, gdyż o te cele w rzeczy samej chodziło mówcy.

On sam postanawia wtedy służyć ludowi, ale go nie okłamywać. Dlatego to tak, a nie inaczej postąpił później po wzmiankowanym odczycie we Fontaineblau. Pomimo, że sam nie cierpi Kościoła—oburza się na to, że Wielki Piątek, dzień tak dla Chrześcijan i Katolików święty, wybrano na tego rodzaju dysputę — uważa, że jest to postępowanie wielce niesmaczne i nietaktowne. A przecież podziela idee Clemenceau, którego poznał, z którym na równi nienawidzi Kościoła; jest to okres jego życia, w którym może najwięcej bluźni.

Radykalizm jednak obrzydł mu prędzej, niżeli kollektywizm, gdyż poznał się na nieszczerości jego wyznawców. On sam żyje w tem przekonaniu, że celem jego życia jest zwalczanie Kościoła i poprawa materjalnego bytu ludu.

W chwili smutnej jego porażki na robotniczem zebraniu w Fontainebleau, ze socjalizmem związanym jest głównie przez miłość własną.

Usposobienie wewnętrzne w tym okresie jest bardzo kapryśne—warunki materjalne—opłakane. Zakochanym, a raczej związanym jest wolną miłością z „kobietą o oczach czarnych", która wciąż kłamała, a która tak opętała jego zmysły, że zerwać z nią nie ma siły — chociaż widzi i czuje tego zerwania potrzebę. Nie wierząc w Boga, zaczyna czcić jakieś siły pogańskie, czyniące człowieka zabawką. A jednak wciąż coś go pociąga do poznania Boskości. Chwilowo zajmuje się Kantem ale i tego porzuca, zwracając się ku panteizmowi. Zaczyna czcić drzewa, krzewy, kwiaty, Ta aberracja lepszą już była niżeli poprzednia orgja poganizmu.

Obecny panteizm nie dał mu ukojenia. Zwrócił się tedy do buddyzmu i do jego apostoła zachodu, do Szopenhauera. Ale wyznawanie jego doktryny wymagało ascezy, — a do tej nie był Retté zdolnym. Przerażała go wreszcie — nirwana!

Z kolei zamknął i księgi buddyjskie. — W duszy jego jest mieszanina wszelkich systemów — jest jeden wielki chaos!

Ogromne umiłowanie przyrody; pól, lasów, samotności — budzi w nim pragnienie zostania pustelnikiem.

(d. n.)

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Refleksje na temat młodych, starszych i świętości.

Mówi się ostatniemi czasy dość dużo o zezwierzęceniu współczesnego człowieka. Szczególnie grozi to młodzieży. Wszechwładny dziś pęd ku bezgranicznemu używaniu, dancingi, kabarety, alkohol, wyuzdana pornografja w formie niewinnych popularnych wydawnictw rozwielmożniły się nadobre i pchają młodzież, która łatwo poddaje się temu „duchowi czasu", w bezdroża owego duchowego chamstwa, jakiem jest cywilizowany człowiek z duszą dzikusa. Jedyną na to skuteczną bronią jest kult świętych, tych ludzi, którzy wbrew rozpanoszeniu się zła pokazali ludzkości, iż ona nie tylko powinna, ale *może* dążyć do

doskonałości. Dziś sugestji pieniądza i użycia należy przeciwstawić sugestję dobra moralnego.

Chcę się więc zastanowić, czego się młodzi mogą nauczyć od tych, którzy wiecznie młodymi byli, a w szczególności chciałbym się zatrzymać nad osobą Patrona młodzieży św. Stanisława Kostki.

W szarudze dnia codziennego, wśród łomotu maszyn, wrzasku syren samochodowych, w atmosferze gorączki złota i używania, przepojonej nawskroś dźwiękami jazzbandu, który nadaje ton dzisiejszemu życiu, nieraz zapominamy o istotnem zadaniu człowieka, o istocie człowieczeństwa. Walka o podbijanie przyrody celem zaspokojenia najbardziej wyrafinowanych potrzeb, walka o środki zaspakajania pochłania nas całkowicie i oto zapominamy o duszy, zapominamy o tem, iż bogactwo, ujarzmione siły przyrody, amerykanizacja życia, są jedynie środkiem do wielkiego celu wyzwolin wewnętrznych ducha z więzów materji, do doskonałości moralnej, a nie celem samym w sobie!

I tylko, gdy rozdzwonią się dzwony świąteczne, gdy przyjdzie rocznica Jednego z Tych Wielkich, co idąc do Boga szlakiem Dobra, Prawdy i Piękna chcieli i ludność prowadzić za sobą i „nas zjadaczy chleba zamienić w aniołów", oto zbieramy się razem, aby odetchnąć razem czystą i górną atmosferą widoków człowieczeństwa, by przyjrzeć się doskonałości, by wzbudzić w sobie tęsknicę za nią i wiarę w człowieka, by więc uczcić wielkość moralną. Szczególnie po wojnie wszechświatowej, która ludzkość, odurzoną ułudą prostolinijnego postępu, wyrżnęła pałką w łeb, wykazując, iż dorobek cywilizacji w ręku chama duchowego może być czemś strasznem, burzącem i poniżającem człowieka poniżej zwierzęcia! Wojna wszechświatowa wykazała, iż postęp i wartość człowieka mierzy się przedewszystkiem siłą moralną... Szczególnie wśród młodzieży, która w pewnych warunkach najłatwiej idzie na lep zła, ale która też swą młodzieńczą duszą najlepiej odczuwa niedosyt, brak wyższego tonu moralnego w życiu dzisiejszem, powstaje żywiołowy pęd ku rzeczom wyższym i naprzykład tylko tem można wytłumaczyć sobie tak szybki rozwój na terenie całej Polski Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej. Najpopularniejsi dziś są wśród młodzieży: św. Terenia, rozmodlona, już za życia będąca w zaświatach i marząca o zsyłaniu „deszczu róż", na tych, co cier-

pią na ziemi, i św. Stanisław Kostka, któremu jawem najrzeczywistszym był Bóg, a życie na ziemi snem, który prędko zczeźnie. Popularnym jest on dlatego, że zapatrzony w słowa Chrystusa: „Bądźcie doskonali jako i Ojciec wasz w niebiesiech doskonały jest", zbliżył się do pełni człowieczeństwa, do ideału Boga-Człowieka, do Chrystusa. Bije od Niego doskonałość, ale nie poto, aby tylko czcić ją, lecz by jej pożądać i by wcielać ją w życie. Ale myśli może nie jeden z nas, iż owe szczyty doskonałości są dostępne jedynie wybranym a dla nas śmiertelników pozostaje tylko podziwiać i czcić. Otóż kto tak rozumuje, ten fałszywie pojmuje doskonałość, bo ona polega nie na nadludzkich czynach, ani na ucieczce od życia i zabiciu w sobie chęci do niego!

Do doskonałości trzeba tylko mocnego „jako śmierć" umiłowania Dobra i ustawicznego, krzemiennego nastawienia woli do realizacji takowego, czyli nakazów Chrystusowych, bo to na jedno wychodzi! O ten, kto w maluczkim, szarym, codziennym czynie przełamie siebie i będzie wszystko, co robi dla ludzi, robić li tylko z poczucia obowiązku, ten, który w każdej chwili potrafi wziąść za pysk bestję, siedzącą wewnątrz nas, ten już zbliża się do doskonałości. Andrzej Rybicki ujął to wspaniale, kiedy mówił, iż doskonałość robi się przez radosną ofiarę. Nie o akty strzeliste tu chodzi, nie o bigoterję i sentymentalizm modlitewny, ale o to właśnie nastawienie do ciągłej, radosnej ofiary niższych motywów na rzecz wyższych. Czy gdy zarobkujemy, czy gdy pracujemy, czy gdy wreszcie bawimy się i odpoczywamy, baczmy, aby były szlachetne pobudki naszego postępowania i aby sumienie nic nam nie mogło zarzucić, a już maluczko a będziemy się zbliżać do doskonałości. Poczucie obowiązku wykształcone na etyce katolickiej i płynące z gorącego umiłowania Dobra, niech kieruje naszym najdrobniejszym czynem codziennym. Obowiązek doskonalenia się mają wszyscy, nie tylko wybrani, każdy człowiek, bo na każdym jest piętno podobieństwa Bożego! Szczególnie młodzież, gdy jeszcze ma rozmach i wielki poryw ku ideałom, winna pamiętać, iż:

„Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze
Młodzieńcem zdusi Centaury
Piekłu ofiarę wydrze
Do nieba pójdzie po laury".

A gdy się ze sobą łamiemy, gdy robimy dla Chrystusa ofiarę z naszych niskich namiętności lub „namiętnostek", zważmy, byśmy to robili radośnie i skromnie, bez przygnębienia, bez owego robienia ze siebie faryzejskiej ofiary. Bierzmy tu przykład ze Św. Stanisława Kostki, który z jakiemś mocarnem weselem duchowem, z uśmiechem anielskim wyzbywał się wszystkich uciech świata, wszystkiego, co mu wysokie stanowisko w społeczeństwie i fortuna dawały. Niechże więc ta radosna, oczyszczająca ofiara zła na rzecz Dobra, tak podobna do cudownego Misterjum Mszy św. , odbywa się w naszej duszy ciągle, w każdej chwili życia, nietylko co niedziela w kościele, lub podczas dorocznych rekolekcyj! A w tej naszej wędrówce duchowej ku szczytom doskonałości, gdy zabraknie nam sił duchowych, idźmy za przykładem św. Stanisława Kostki w Chrystusie, w Jego św. Sakramentach czerpać moc nadprzyrodzoną.

Jednak w tej pracy nad rzeźbieniem własnej duszy nie myślmy, że to już wszystko. Oto, by ukochać jakiś ideał, trzeba go znać, a dalej: jeżeli go już znamy i kochamy trzeba jeszcze zbiorowo urzeczywistniać w życiu społecznem. Do tego zaś żeby poznać ideał trzeba — pracy organizacyjnej, zbiorowej, bo prawda jest funkcją społeczną. I tu właśnie tkwi wielka doniosłość Kościoła Katolickiego, który wbrew indywidualizmom, uznającym, że co człowiek to prawda, stoi na straży wiernie tej samej jedynej Prawdy, Prawa Bożego.

Ale Kościół nauczając nie może wnikać we wszystkie dziedziny życia, nie może wejść wśród młodzież i poznać co tam nurtuje — nie jego to zresztą rzecz. Tu jest miejsce dla organizacji młodzieży, które mają dać nowym pokoleniom wykształcenie katolickie, wyrobić ów „dyszel" w głowie, któryby strzępy zebranych z różnych stron poglądów i zasad ujął w jeden stylowy konsekwentny system. To właśnie robi na terenie akademickim St. Mł. Ak. „Odrodzenie" a w całej Polsce Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej: i Stowarzyszenia Młodzieży Robotniczej „Odrodzenie". One narzucają zdrowe podstawy myśli katolickiej, one dają swym członkom katolickie ujęcie stosunku jednostki do państwa, państwa do religji i t. d., one to wyrabiają ów „zmysł katolicki", który w każdej kwestji, jaką przynosi życie, potrafi podyktować jasne, sprawiedliwe stanowisko bez mazgajstwa myślowego, wahania się i wątpienia, one więc uczą swych

członków podstaw etyki chrześcijańskiej i zastosowania jej w każdej dziedzinie życia. I ta robota, to nie robota wśród wybranych, ale obejmująca całą Polskę, jak długa i szeroka, pragnąca całą Polskę zrobić katolicką nie tylko z imienia ale i z czynu.

Nie wystarczy dziś katolicka młodzież akademicka. Trzeba narodu katolickiego.

Atoli wykształcenie katolickie to jeszcze nie wszystko. Oto, by jakakolwiek idea nie pozostała pustym frazesem musi mieć za sobą zorganizowane masy. Trzeba w robocie katolickiej zaakcentować mocno moment społeczny, moment zorganizowanej wolnej i katolickiej Polski. Jeżeli więc chcemy, ażeby idea katolickiej Polski, ta integralna, idea katolicka wcieliła się w czyn, to musimy stworzyć organizację najbardziej demokratyczną, idącą wszerz i wgłąb całego Narodu. Taką organizacją w założeniu swojem są Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, Stowarzyszenia Młodzieży Robotniczej „Odrodzenie", (Chrz. Zw. Mł. Pracującej Odrodzenie). To też one właśnie mają wielką dziejową misję budować Jutro Polski Chrystusowej, budować nietylko w pięknie rzeźbionych duszach jednostek, ale i w społeczeństwie, jako całości. I śmiało mogę powiedzieć, że tam po zapadłych wsiach i zaściankach, w głuszy prowincjonalnej, w robotniczych dzielnicach miast, w świetlicach S. M. P. wykuwa się Dusza przyszłych pokoleń. Narówni tam się maluczko spełnia tęsknota Krasińskiego: Przyjdzie nowych ludzi plemię jeszcze nie widziane, by pogodzić świata dzieje, z wolą Pana ponad pany!

Już się dużo ku temu zrobiło, czego najlepszym dowodem może być statystyka S.M.P., ale to jeszcze za mało, bo idea jest wielka, przechodząca siły ludzkie, a natura człowieka taka słaba... a tyle sił wywrotowych czyha na dzieło Chrystusowe i podkopuje naszą pracę. To też prężmy swe siły dalej! Róbmy, co możemy. Robota jest obliczona na wieki, a cel jej jest jeden: Oddać Naród Chrystusowi. W tem budowaniu Przyszłej Polski Chrystusowej winna wziąć udział młodzież i starsze społeczeństwo. Młodzież winna pamiętać, iż najlepszą propagandą każdej idei jest dobry czyn, dobry przykład, a przeto „w każdej chwili żywota niechaj jej na myśli stoją Ojczyzna, Nauka, Cnota".

Charaktery nieskazitelne, pracowite i ofiarne dla rzeczy pospolitej—oto tworzywo dla idei katolickiej. Zakłamanie się i fałszywość — to największy wróg. Dalej organizacja swoją mło-

dzież winna traktować nie jako zabawkę, ale jako trud, podjęty na całe życie, a zarazem jako pewne powołanie, namaszczenie na budowniczych Chrystusowej Polski, a do tych zaś, którzy nie weszli jeszcze do roboty niech woła słowami wieszcza: „Kto ma duszę niech wstanie, niech żyje, bo jest czas żywota dla ludzi silnych".

Społeczeństwo starsze zaś, jeśli nietylko żywi sentyment, ale naprawdę chce przyszłej, prawdziwie katolickiej Polski, musi pamiętać, iż taki żywiołowy ruch młodzieży, aby nie stać się słomianym zapałem, winien mieć trwałe fundamenty finansowe i ojcowską opiekę starszych. Niech więc starsi bacznie nadsłuchują, co nurtuje w młodej duszy polskiej, jakie są tam siły żywotne, a jakie zarodki zła. Niech z miłosną pieczołowitością, zarodki te usuwają, a dobrej woli dają ujście w konkretnej formie pracy, czy to w przysposobieniu wojskowem, wychowaniu fizycznem, czy też w fachowem kształceniu się rolniczem, lub innem. A to wszystko można wypełnić w Patronatach S. M. P. Tu właśnie odbywa się w jedności rodziny Chrystusowej obcowanie dwóch pokoleń, młodszego i starszego. Dopiero więc ze zgodnej współpracy starszego społeczeństwa z młodzieżą powstanie Polski Czyn Katolicki.

Na zakończenie jeszcze parę słów do młodzieży.

Oto pamiętajmy, że służba wielkim ideałom nie wymaga od nas chodzenia na koturnach powagi. Naodwrót! Właśnie świadomość posiadania pełni prawdy winna nas cieszyć, winna nas napełniać twórczą radością, ową „gaudium ex veritate". Młodzież z natury swojej jest największym wytwórcą radości, a tego nam taki szalony brak w życiu polskiem.

Tyle u nas niepotrzebnej, utrudniającej życie sztywności, tyle sztucznej, zjełczałej powagi! Niechże więc młodzież polska roznosi po wszystkich krańcach Polski śmiech huczny, parskający w oczy ohydnemu zmaterjalizowanemu życiu jazzbandowemu. Niech sobie żyje, zaraża starszych słoneczną wesołością. Niech ta zabawa jej będzie czysta i nieskalana, jak uśmiech św. Stanisława. Niechże więc młodzież polska, wesoła, ciągle się doskonaląca, ujęta w kadry zwartej organizacji idzie w polską przyszłość, a może przyjdzie chwila, kiedy się ziści najgłębsze marzenie nas wszystkich:

„Oddać Naród Chrystusowi". *H. Dembiński.*

Młodzież akademicka w walce z pojedynkiem.

Niewyraźne stanowisko młodzieży wszechpolskiej.

W niedzielę dnia 24 lutego b. r. odbyło się Walne Zebranie Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie obrad, w punkcie wolnych wniosków, p. Karol Pieńkowski, wice prezes „Odrodzenia", zgłosił imieniem organizacyj akademickich „Katolicka Młodzież Narodowa" i „Odrodzenie", wniosek, potępiający pojedynek jako sposób rozwiązania spraw honorowych, oraz dający możność sądowi koleżeńskiemu Uniwersytetu Warszawskiego, rozstrzygania spraw honorowych za obopólną zgodą stron zainteresowanych.

Wnioskodawcy byli przekonani, że wobec opuszczenia zebrania przez młodzież lewicową, niezbyt przychylną wszystkiemu co katolickie i pozostania na sali jedynie młodzieży narodowej—wniosek w sprawie potępienia pojedynku przejdzie przez aklamację. Jakież było ich zdziwienie, gdy natychmiast po złożeniu tego wniosku, zabrał głos p. Heinrich, jeden z przywódców Młodzieży Wszechpolskiej, proponując, odesłanie wniosku organizacyj katolickich bez dyskusji, do nieegzystującej dotąd komisji przy Naczelnym Komitecie Akademickim.

Sposób załatwienia tej sprawy, proponowany przez p. Heinricha, był niczem innem, jak faktycznem pogrzebaniem z tych czy innych powodów niemiłego dla Młodzieży Wszechpolskiej i Korporacyj Związkowych wniosku, którego otwarcie, nie chcieli, lub nie mogli zwalczać; obawiając się narażenia opinji katolickiej. Przypomnieć przy tem musimy, z obowiązku sprawozdawczego, losy podobnego wniosku, uchwalonego prawie dwa lata temu na Zjeździe Ogólnoakademickim w Poznaniu, odbytym na wiosnę 1927 r. Wykonanie tego wniosku powierzone było Naczelnemu Komitetowi Akademickiemu, który jednak nic dotychczas nie zrobił, by usunąć tę największą bolączkę moralną życia akademickiego.

Wnioskodawcy, ustosunkowali się negatywnie do propozycji p Heinricha z następujących przyczyn:

1) Naczelny Komitet Akademicki już ma obowiązek, dotychczas jak powyżej powiedzieliśmy niewypełniony, załatwienie tej sprawy, na mocy obowiązującej go wspomnianej uchwały zjazdu poznańskiego.

2) Wniosek złożony przez Organizacje Katolickie na walnem zebraniu Bratniej Pomocy S. U. W., w pierwszej swej części mówił, że młodzież uniwersytetu warszawskiego, a nie inna, w myśl nauki Kościoła Katolickiego, uznaje niedopuszczalność pojedynków; Naczelny Komitet Akademicki nie może więc decydować w jej imieniu, ponieważ sam, z natury swojej, reprezentuje formalnie całą młodzież akademicką, a zaś do reprezentowania młodzieży Uniwersytetu Warszawskiego są uprawnione także władze Bratniej Pomocy. Naczelny Komitet Akademicki nie może również zajmować się decydowaniem dopuszczalności czy też niedopuszczalności pojedynków, ponieważ sprawa ta została już dawno przez Kościół Katolicki rozstrzygnięta i z tą chwilą nie podlega dla katolików żadnej dyskusji.

3) Druga część wniosku dotyczyła uprawnień sądu koleżeńskiego Bratniej Pomocy S. U. W. do rozstrzygania spraw honorowych poddanych dobrowolnie i za obopólną zgodą stron pod jego rozstrzygnięcie. Rozstrzygnąć tę sprawę w myśl obowiązujących na terenie akademickim statutów, nikt poza walnem zebraniem Bratniej Pomocy nie może.

4) Naczelny Komitet Akademicki złożony w swej większości z członków Młodzieży Wszechpolskiej prowadzi tak jak i ta organizacja, politykę zwlekania i niedecydowania, gdy chodzi o sprawę pojedynku.

W imieniu wnioskodawców, zabrał głos przedstawiciel „Katolickiej Młodzieży Narodowej" p. Sobański, który przypomniawszy zebranym, bezapelacyjną naukę Kościoła, zabraniającą bezwzględnie czynnego czy nawet biernego udziału w pojedynku, przedstawił motywy, złożenia wniosku, oraz przyczyny dla których młodzież szczerze katolicka, nie może się zgodzić na odesłanie tego wniosku do dotychczas nieegzystującej komisji przy Naczelnym Komitecie Akademickim.

Stwierdziwszy dalej, że na sali jest obecna jedynie młodzież narodowa, (wobec uprzedniego jak zaznaczyliśmy opuszczenia zebrania przez młodzież lewicową) młodzież, która zawsze była i rzekomo jest całkowicie katolicką, wyraził mówca nadzieję, że zebrani swym głosowaniem napewno to potwierdzą. Na zakończenie mówca oświadczył, że głosowanie nad sprawą pojedynków, zdecyduje kto szczerze broni zasad katolickich, a kto się niemi posługuje jedynie dla tych, czy innych celów ubocznych.

Ostatni mówca w tej sprawie, reprezentujący w generalnej dyskusji pogląd Młodzieży Wszechpolskiej, p. Mikułowski, członek tej organizacji, w ostrej bardzo formie wystąpił przeciw wywodom p. Sobańskiego, broniąc wniosku p. Heinricha, przyczem oświadczył między innemi, że p. Sobański jest w błędzie gdy mówi, że cała młodzież narodowa jest katolicką, tak jest bowiem teoretycznie a nie praktycznie (?!!)

W rezultacie, wniosek p Heinricha, grzebiący sprawę przeszedł głosami Młodzieży Wszechpolskiej i korporacyj związkowych.

Fakt ten, oburzył całą katolicką młodzież stolicy, która zdecydowana jest podjętą raz walkę prowadzić do zwycięzkiego końca i zdobyć dla postulatów katolickich posłuch i uznanie wśród całej młodzieży akademickiej.

Głosowanie niedzielne na zebraniu Bratniej Pomocy S. U. W. da na przyszłość tę korzyść, że wyraźnie całemu społeczeństwu wskaże, które z pośród organizacyj akademickich szczerze służą sprawie katolickiej.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE

Żydzi a kinematografja. Ciekawe zagadnienie, dlaczego współczesna produkcja kinematograficzna jest taka szkodliwa dla dusz pod względem moralnym, staje się zupełnie zrozumiałem, gdy weźmie się pod uwagę współudział żydów tak w wytwórczości filmu, jak w ich eksploatowaniu.

Jak podają „Les Carnets de l'Aucam", przemysł filmowy amerykański w osiemdziesięciu pięciu procentach pozostaje w rękach żydowskich. Dyrektorem np. wytwórni „Universal Pictures Corporation", a równocześnie twórcą „Universal City" czyli dzielnicy filmowej w Los Angelos, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, jest Carl Laemmle, będący żydem.

Nielepiej przedstawia się w Ameryce sprawa z eksploatacją filmów. Przed kilku laty pewien właściciel szeregu kin pisał w „World'zie": „W ostatnim czasie brałem udział w zjeździe posiadaczy kinematografów w Nowym Jorku. Byłem ja tam jednym jedynym tylko chrześcijaninem, albowiem reszta składa się aż z pięciuset żydów".

Na podstawie tych dwuch danych z całą słusznością mówić można, że kinematografja amerykańska jest zażydzona niemal całkowicie. Podobnie zupełnie dzieje się w państwach zachodnioeuropejskich, a jak się rzecz przedstawia u nas, w Polsce?

Właśnie mam przed sobą „Polskę artystyczną" i czytam tam między innemi: „Kalisz. T. (eatr) świetlny „Oaza". Właśc. (iciel): Juda Rein... Łódź... T. (eatr) świetlny „Arkadja"... Właśc. (iciel) i kierownik: Samuel Kuperman... Warszawa... T. (eatr) świetlny Apollo... Właśc. (iciel): Moryc Lejman... T. (eatr) świetlny Centralny. Właśc. (iciel): Abram Bren... T. (eatr) świetlny Forum. Właśc. (iciele): Berek Machenbaum... Abram Frachtenberg... Salomon Karpenstein". Wybrałem tu cząstkę zaledwie informacyj i to cząstkę najcharakterystyczniejszych, ponadto jednak wielu żydów ukrywa się przecież pod imionami katolickiemi czyli jednem słowem lwia część kin w Polsce należy do żydostwa.

Znajdujący się jeszcze w powijakach polski przemysł kinematograficzny także znajduje się pod silnemi wpływami żydowskiemi, zatem kinematografja nasza dlatego oto jest zła.

Żyd—to człowiek wyzuty przeważnie z uczuć szlachetniejszych, bóstwem dla niego są pieniądze, ażeby więc je zdobyć, nie waha się on wyświetlać filmów, pobudzających najniższe instynkty ludzkie, nie waha się też produkować pornografji, a jaki to wywrze skutek na widza, fakt, że w ten sposób demoralizować się będą szerokie masy, lub nawet młodzież nieletnia, nie obchodzi go ani trochę, gdyż oślepia go żądza wzbogacenia się. Być może, iż wchodzą tu w grę czynniki innej natury,

rabini bowiem żydowscy dla szybszego osiągnięcia światowładczych celów nakazali podwładnym swoim umyślne demoralizowanie „gojów”.

Kino współczesne jest złe, obowiązkiem tedy katolików, którzy stanowią jakieś siedemdziesiąt pięć procent bywalców kinowych, jest domaganie się wyświetlania filmów dobrych, formalny zaś bojkot filmów złych. Płacąc za kino, mamy zupełne prawo żądania programów porządnych, sprawiających zadowolenie zarówno moralne, jak estetyczne, a nie powinniśmy w żadnym wypadku przyjmować tego, co podają nam, ośmieleni absurdalną wprost ustępliwością naszą, wrogowie Chrystusa Pana oraz Jego Kościoła. Gdy będziemy tak postępować, ci sami wytwórcy-żydzi zaczną w obawie utracenia lukratywnego źródła dochodowego produkować filmy takie właśnie, jakich żądamy, właściciele kin natomiast będą wyświetlać je jedynie.

Nasza gnuśność i trwanie przy tołstojowskiej zasadzie niesprzeciwiania się złemu może się zemścić na nas samych. musimy zabrać się przeto do pracy jaknajprędzej. Pracę nad uchrześcijanieniem oblicza ziemi musimy prowadzić na wszystkich polach, a zatem i w dziedzinie kinematografji, ponieważ jest ona czynnikiem nadzwyczaj ważnym w życiu współczesnem,

Stanisław Żelechowski.

Kto może pojąć, niechaj pojmuje... Także z misyj. Nikt pewno nie jest tak chciwym czytania, jak młodzież. Dlatego też właśnie powinna młodzież lepiej niż ktokolwiekbądź inny rozumieć, co to znaczy, pędzić życie bez książki, ani jednej jedynej książki, ni do modlitwy, ni do nauki ni do rozrywki! Takim zaś jest los prawie że wszystkich biednych murzynów w Afryce.

„Ojcze, daj nam Historję świętą, daj nam katechizm, ach, proszę, rozdaj pomiędzy nas książki, tak jak je rozdaje pomiędzy swoich uczniów protestancki nauczyciel. My także chcemy czytać i chcemy czytać z twoich książek”.

Misjonarzowi robi się smutno, bardzo smutno. Wprawdzie manuskrypty są już oddawna gotowe do druku, ale jak uskutecznić druk i gdzie? Drukować książki—kosztuje pieniądze, wiele pieniędzy, a pieniędzy właśnie mu brak...

Bóg znalazł radę! Zapukał do serca wielkodusznej młodej panienki z szlacheckiego domu. Z błyszczącego życia na książęcym dworze zawiódł ją do cichej celi zakonnej. Młodość swą, świetną przyszłość, talenty, bogactwa, całą siebie miała oddać na służbę misyj afrykańskich.

Marja Teresa Ledóchowska poszła za głosem Bożym.—Panie, otom ja, aby wykonać Wolę Twoją, taką odpowiedź dała swemu Stwórcy. Lecz sa-

ma nie mogła spełnić olbrzymiego zadania, jakie jej Bóg powierzył. Założyła przeto stowarzyszenie, co miało stać się jakoby ogromnym magazynem dla wszystkich misjonarzy afrykańskich. Potrzebowała pomocy i dlatego rzuciła w stronę świata dziewczęcego gorące wezwanie: Kto może pojąć niechaj pojmuje...! I podążyły!.. Najpierw nie wiele, potem coraz liczniej, tak że już w 1910 roku otrzymała Sodalicja św. Piotra Klawera ostateczne zatwierdzenie Stolicy apostolskiej. Olbrzymi magazyn dla Afryki był ugruntowany.

Nie namyśla się już teraz afrykański misjonarz, gdzie słać swe do druku gotowe manuskrypty. Wie dobrze, że w Bożym warsztacie Marji Teresy, w Sodalicji św. Piotra Klawera stoją u obracających się wartko maszyn duchowne córki tej prawdziwie wielkiej niewiasty, Polskiej. Nie spoczną one, nie dadzą sobie wytchnienia, aż dopóki murzyni nie będą mieli własnych katolickich książek. A koszta? Spokojnie z ufnością przechodzi misjonarz do porządku dziennego i nad tą poważną finansową kwestją. Toć wie, że tam za morzem, tam w Europie skrzętne ruszają się ręce, tam piszą na wszystkie strony misjonarki-pomocnice, że kapłani na misjach potrzebują pieniędzy na książki; córy Marji Teresy zachęcają do miłosiernych datków, wypraszają je sobie modlitwą. Może tedy spokojnie i ufnie oddawać się swej pracy apostolskiej, bo tam w Europie...

A jednak w olbrzymim afrykańskim magazynie Sodalicji św. Piotra Klawera, tyle jeszcze miejsc nie zajętych, tyle manuskryptów nie w druku, bo sił roboczych nie starczy. Czyż może nie woła właśnie ciebie Bóg do współpracy? O jeśli głos łaski cię wzywa, przybywaj prędko. Odpowiedz z Marją Teresą Ledóchowską: Panie, otom ja, aby wykonać wolę Twoją! Znajdziesz ciche wielkie szczęście tu na ziemi i śmiało ufać możesz, że tak jak Marja Teresa przejdziesz kiedyś z błogim uśmiechem do wiecznej Ojczyzny, by tam za życie w służbie dla drugich spędzone, za życie zapomnienia o sobie odebrać przebogatą nagrodę.

O bliższe szczegóły należy się zwracać do generalnej Kierowniczki Sodalicji św. Piotra Klawera w Rzymie, Roma (23) via dell'Olmata 16.

Ktoby zaś pragnął kupić katechizm dla biednego murzyńskiego dziecka, ten niechaj prześle ofiarę 2,50 zł. do najbliższej Filji Sodalicji Klawerjańskiej w Polsce, z zaznaczeniem „na afrykańską książkę!"

Adresy Filij: Kraków—ul. św. Marka 25, Warszawa—ul. Warecka 10 m. 5, Poznań—ul. R. Szymańskiego 6, Wilno—ul. Zamkowa 19.

Mgr. René Fontenelle. Sa Saintetè Pie XI. Paris, 1928 Nakładem Librairie Bloud et Gay. Str. 55+1 nlb.

Wydawana przez Librairie Bloud et Gay „Bibliotheque Catholique Illustrée" przyniosła ostatnio ciekawą niezwykle i ilustrowaną siedemdziesięciu pięciu ilustracjami biografję Ojca św. Piusa XI, napisaną przez mgr. René'go Fontenelle'a. Objętościowo jest ona niewielka, lecz przy godnej pochwały zwięzłości przynosi informacyj oraz danych bardzo wiele. Podział na rozdziały świetny. Dobrą jest zwłaszcza synteza dotychczasowego pontyfikatu obecnego Namiestnika Chrystusowego i sylwetka jego umysłowości. Rozdział piąty pracy traktuje o Polsce, a między ośmioma polskiemi zdjęciami przynosi też widok domku na Bielanach, pod Warszawą, w którym przyszły Ojciec św. Pius XI przygotowywał się do sakry biskupiej **J. M. Ch.**

Prąd, miesięcznik, marzec 1929 roku. Zasłużone to wydawnictwo, jeden z pierwszych perjodyków katolicko-społecznych w Polsce zostało wznowione w Lublinie pod redakcją ks. prof. Dr. Antoniego Szymańskiego. Adres: Lublin, Uniwersytet, P. K. O. № 4380. Jako wydawca, podpisany Antoni Chaciński.

„Prąd", pozostał nadal organem młodego i pulsującego życiem, Ruchu Odrodzeniowego i nie zrywając kontaktu z życiem młodzieży akademickiej—stanął w rzędzie katolickich miesięczników naukowych, takich, jak Przegląd Powszechny i Ateneum Kapłańskie.

Na numer marcowy wydawnictwa składają się rozprawy p. Bronisława Załuskiego, Dyrektora Gimn. OO. Marjanów na Bielanach na temat: „Katolickie szkolnictwo w katolickiej Polsce" i profesora Instytutu katolickiego w Paryżu p. Jaques Moritain —o jedności kultury chrześcijańskiej.

Dalej mamy sylwetkę postaci ś. p. ks. Rektora Radziszewskiego (Dr. Antoni Pastuszka) oraz streszczenie poglądów Kardynała Schultza na temat zagadnień społecznych.

Następuje ciekawy dział: z kraju i ze świata, który między innymi zawiera artykuł polemiczny w sprawie rozwodów i ślubów cywilnych, streszczenie ostatnich walk o pozycje katolickie w Sejmie, dyskuje w Międzynarodowym Związku Badań Społecznych w Malines, statystykę wyznaniową posłów niemieckich i t. d.

Dział z życia młodzieży akademickiej oraz recenzje i wzmianki kończą ten bogaty i interesujący numer.

„Prąd" winien znaleźć się w każdym domu, gdzie jest pielęgnowany intellekt katolicki... (*s. k.*)

Ks. Józef Lucas P.S.M. Z biegiem roku. Tłumaczyła z niemieckiego Włodzimiera Jarochowska. Wydawnictwa Księży Pallotynów Str. 131+5 nlb.

Ks. Józef Lucas z Kongregacji Zakonnej Księży Pallotynów — to niemiecki odpowiednik Pierre'a l'Ermite'a, brak mu jednakże owej francuskiej lekkości. Zawarte w zbiorze p. t. „Z biegiem roku" nowelki jego treści religijnej przedstawiają się trochę przyciężko (znać na nich umysłowość germańską), ale ciekawie. Mnie osobiście razi w niektórych przesadna antropomorfizacja Nieba oraz piekła mimo, że jest zgodna coprawda z przekonaniami ludowemi. Książkę tę czyta się z zaciekawieniem, lektura jej nie pozostaje bez pożytku, myśli bowiem głębszych i mniej znanych jest w niej sporo.

Pełne oświetlenie spraw alkoholizmu znajdujemy w **„Wykładach o alkoholizmie"**. Lwów 1929. Nakł. lwowskiego oddz. zw. ks. abstynentów, stron 140, 48 rycin — **Mikołaja Skiby.**

Autor w pierwszych rozdziałach książki zastanawia się nad istotą, pochodzeniem i działaniem alkoholu, poruszając następnie w szeregu wykładów wpływ alkoholu na moralność, przestępczość, długość życia, choroby itd. Zestawienie akcji przeciwalkoholowej i bardzo ważny dla wszystkich przegląd wydawnictw przeciwalkoholowych, kończą książkę.

Wartość, wyczerpującego w pewnym zakresie, dziełka podnoszą te, tak dziś przez wszystkich wymagane fakty w postaci gęsto przytaczanych wykresów, diagram i danych statystycznych.

Obok książki Mikołaja Skiby, polecenia godnym jest artykuł tegoż autora zamieszczony w **„Harcmistrzu"** (Organ Zw. Harc. Polsk. № 9 — 10 1928) p. t. **„Zakaz alkoholu w Ameryce i w Polsce"**. Znajdujemy tu dowód, któremu cały artykuł jest poświęcony, że prohibicja nie jest, jak głoszą na ogromną szkodę sprawy, środkiem chybionym w akcji przeciwalkoholowej, że owszem duże przynosi owoce.

Artykuł należy do wyjątkowo przejrzystych i mocnych i jest jedynym dotąd w swoim rodzaju w literaturze przeciwalkoholowej. Mamy nadzieję, że wkrótce sprawa ta doczeka się szerzej potraktowanego z różnych punktów widzenia dziełka, którego dziś bezsprzecznie domaga się w związku z ruchem prohibicyjnym w Polsce.

Wreszcie wspomnieć należy o książce **Dyr. Bronisława Duchowicza** p. t. **„Dlaczego i w jaki sposób szkoła powinna walczyć z alkoholizmem młodzieży i społeczeństwa?** Poznań 1928, ks. św. Wojciecha, str. 83. Autor, jeden z wybitnych naszych wychowawców młodzieży, daje nam bodaj najcenniejsze wskazówki w sprawie akcji przeciwalkoholowej, bo dotyczące tej akcji w murach szkolnych, tam, gdzie zdobywa młodzież naukę i wychowanie, służące potem za podstawę w całem życiu. Ze słów szanownego autora przebija ogromna znajomość młodych dusz i ogromna troska o ich dobro, dobro przyszłego naszego społeczeństwa.

Wykaz literatury przeciwalkoholowej, niezbyt niestety u nas bogatej, znajdzie czytelnik, jak już wspomnieliśmy w „Wykładach o alkoholizmie.

Marjan Jan.

O. M. Lekeux F. S. C. — **Płomień ofiarny** (Maggy Lekeux)— Poznań—Warszawa 1928, ks. św. Wojciecha, str. 247 (przekład autoryzowany J. Kosarzewskiej). — Brat opisuje dzieje duszy siostry swojej Maggy.

Mimo wysokich aspiracyj, żądzy nauki i sławy, mimo ogromnej inteligencji młoda dziewczyna z chwilą gdy ma wejść w życie czyni ze swych marzeń ofiarę i, by utrzymać rodziców i rodzeństwo, wybiera przykry dla siebie bardzo zawód nauczycielski. Na przód jako nauczycielka ludowa, potem jako nauczycielka w szkole klasztornej pracuje nad przyprowadzeniem zbłąkanych dusz Chrystusowi. Właściwie jednak pole dla ofiarowania się się zupełnego, dla ofiarowania się aż do wyniszczenia ciała, pogrzebania swych pragnień osobistych znajduje Maggy w Stowarzyszeniu Flamandów. W Leodjum, rodzimem jej mieście ludność robotnicza składa się w prze-

ważnej części z flamandzkich rodzin, pozostających w nędzy moralnej i materjalnej. Wspomagając nieszczęśliwych, pracując nad polepszeniem ich bytu, Maggy staje się prawdziwą apostołką wśród tych ubogich rzesz.

Jedyną siłą, wielką siłą, ogniem rozpalającym płomień ofiarny w jej duszy jest dla młodej dziewczyny Chrystus — jej Przyjaciel. Poświęcenie swe bohaterskie spełnia bez szemrania, bo On tak czynił i czynić kazał. Poświęceniem też stała się jej cudna, anielska śmierć — ofiarowała życie swoje Bogu za życie walczących na froncie braci. Ale umarło tylko ciało Maggy, duch jej żyje i żyć będzie wśród tych, dla których niosła w ofierze swe młode życie.

„Płomień ofiarny" należy do książek, które sie powinny znaleźć w rękach każdego. Będzie impulsem do pracy, jasnym przykładem, a dla tych, którzy nie mają szczęścia znać jeszcze prawdziwych wartości, doskonałem ich ukazaniem.

Głębokie myśli autora stanowią jeszcze jedną dodatnią cechę pracy nad życiem jego ukochanej siostry. **M. J.**

Ks. Alojzy Majewski P.S.M. Cztery lata wśród Murzynów. Warszawa, 1928. Nakł. Księży Pallotynów. Książka opisująca dzieje stacji misyjnej w Jaunde (Kamerun) pod koniec XIX i z początku XX wieku, pisana jest przedewszystkiem dla młodzieży w celu ukazania jej ogromnej potrzeby misjonarzy wśród afrykańskich pogan, w celu pobudzenia powołań misyjnych tak nielicznych u nas niestety. Wielebny autor ujął swe dzieło bardzo wszechstronnie, dając nam nietylko dane i opisy samej pracy misyjnej, ale i tło na którem ta praca się rozwija. Warunki bytu wiernych i misjonarzy, nawet przyroda Afryki znajdują wiele miejsca, poświęconego sobie w książce. A dalej życie szczepów pogańskich, ich zwyczaje i tyle innych tematów, a tak różnorodnych, że mogą zaciekawić wszystkich.

Dzieło kończy okrzyk, wezwanie do całego świata katolickiego, by przyjął do serca sprawę misyjną. Nie brak bowiem tych, których nawracać trzeba, nie brak żądnych światła prawdziwej wiary, natomiast uczuwa się naprawdę dotkliwy brak misjonarzy. Często księżom-misjonarzom nie starcza czasu na zaspokojenie najważniejszych potrzeb wiernych.

Na szczególną uwagę zasługuje forma zewnętrzna nakładu.— Kredowy papier, estetyczna oprawa i druk, wreszcie liczne, starannie dobrane i dostosowane do treści ilustracje, że „Cztery lata wśród Murzynów" z chęcią każdy do ręki weźmie i przeczyta.

M. J.

Na uwagę zasługuje broszura **Pierwszy obowiązek narodowy** Miejsce-Piastowe 1929. Wydawnictwo Książnicy-Michalineum str. 32. — **Ks. Henryka Weryńskiego**. Porusza tu autor niezmiernej wagi myśl, że wszelkie posunięcie się naprzód narodu jest uwarunkowane zaistnieniem wśród nas silnych, wyrobionych charakterów, że nim jakąkolwiek pracą dla dobra społeczeństwa się zajmiemy winniśmy przedtem urobić siebie.— Broszurze zarzucić jednak trzeba zbyt małą objętość, gdy porusza tak poważne sprawy, nie będąc bynajmniej popularną. Siła dowodzeń autora rozprasza się przez zbyt liczne cytaty poetów. Poezja, aczkolwiek daje nam

nieraz poważne myśli, jednak pozostaje zawsze poezją, więc sztuką i nie można mieszać jej z rozumowaniem spekulatywnem, wymagającem dużej ścisłości. **M. J.**

Prócz powyższych nadesłano do redakcji naszej następujące, godne polecenia wydawnictwa:

— **W Lisieux u św. Teresy**.—Warszawa, 1929. Księgarnia Kroniki Rodzinnej str. 30. cena 0,70 zł. — przez S. F. Czytelnik wraz z autorem zwiedza muzeum pamiątek po św. Teresie zebranych w Jej rodzinnym domu w Buissonets i w Lisieux.

— **Dla Polski** — Miejsce-Piastowe 1929. Nakł. Książ.-Michalineum str. 61. — **Włodzimierz Godziszewski** . Zbiorek pięknych modlitw za Polskę, ułożonych ku pokrzepieniu serc w walce o zdobycie dla Ojczyzny coraz wyższych wartości ducha.

— **Młody Narodowiec** — Miesięcznik. Bielsko-Biała № 1 (styczeń) R. I. Nowa placówka narodowa na południu Polski, która skupi, chcemy wierzyć, młodych, by ich uświadomić i prowadzić prostą drogą do hartu i wyrobienia wewnętrznego. **M.**

Siostra Aniołów i Ludzi- K. Klimowiczowa. Świetlana postać św. Teresy od Dzieciątka Jezus wciąż pociąga ku sobie coraz nowe pióra, pragnące opisywać i sławić jej przymioty i cnoty.

Świeżo p. Klimowiczowa poświęciła św. Teresie ostatnią swą pracę, która wyszła nakładem księgarni „Kroniki Rodzinnej" pod tytułem „Siostra Aniołów i Ludzi". Żywot świętej karmelitanki napisany jest z polotem i liczni czciciele św. Teresy czytać go będą z zajęciem i z pożytkiem duchowym.

„Ścieżki młodości wielkich mężów" (str. 326+359) przekład dziełka d-ra Konstantego Holla, uzupełnionego opracowaniem sylwetek 15-tu wielkich Polaków. Tłumaczenie i opracowanie dokonał Franciszek Kabe. Serja I i II. Nakł. autora Sandomierz 1929. Cena obu seryj 8 zł.

W urobieniu własnych wartości umysłu i serca potrzeba nam często wzorów i doświadczeń ludzi innych. Wykonawcą wartości konkretnego z życia wziętego przykładu, uznają wszyscy. Chodzi tylko o umiejętne korzystanie z bogatego skarbca, jakim są odpowiednio napisane biografje wielkich mężów. Książka, która leży przed nami, chce młodzieży, pragnącej iść „ścieżkami mężów wielkich" ułatwić jej górne wzloty i tęsknoty. Podaje życiorysy ludzi różnych; ludzi, nietylko oficjalnie ogłoszonych przez Kościół za świętych, ale i tych innych, co żyjąc cnotliwie na ziemi, przysporzyli społeczeństwu i ludzkości zasług i dobrodziejstw. Każdy odnajdzie w zespole ich wzór dla siebie najodpowiedniejszy, za którymby kroczył. Serdeczna troska o zdrowie moralne naszej młodzieży podyktowała autorowi-tłumaczowi napisanie tego dziełka. Wierzymy, że kryje się w niem gorące serce miłującego młodzież wychowawcy. Oby książka ta znalazła się w ręku tych, dla których ją napisano! S. G.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Ku czci Wielkiego Męża.

Szczęśliwa Francja, że ma swojego Focha...

Wybitni strategicy i wodzowie tej miary rzadko pojawiają się w dziejach ludzkości, ale jeszcze rzadziej zdarza się, aby genjusz militarny był połączony z taką wielkością charakteru, szlachetnością uczuć, olbrzymią i wprost niezgłębioną bezinteresownością i ofiarnością w wiernej służbie dla ojczyzny.

Z pośród wszystkich wybitnych ludzi wojny światowej Foch jaśnieje bezsprzecznie największym i najczystszym blaskiem. Genjusz narodu francuskiego zamieszkał w tym wspaniałym umyśle i wielkim sercu. To też przed trumną wielkiego męża pochyliły się w kornym hołdzie najdumniejsze czoła i sztandary. Naczelnicy potężnych państw, przedstawiciele wyzwolonych narodów pospieszyli, aby złożyć hołd temu, którego zwycięska szpada ocaliła Europę przed jarzmem teutońskim, który jest słusznie uważany za drogocenny klejnot całej ludzkości.

Non omnis moriar...

Ferdynand Foch umarł tylko fizycznie, a żyje nadal duchem... Wierny syn Kościoła, prawdziwy wzór rycerza chrześcijańskiego, godny następca Godfryda de Bouillon i Świętego Ludwika przeniesiony został tylko rozkazem Najwyższe-

*go Wodza Niebieskiego w szeregi Kościoła Tryumfującego, gdzie otrzyma przydział sobie odpowiedni. „Jak żył tak i umierał". „Uważam, iż wołają mnie przed tron Najwyższego Sędziego"—mówił przed śmiercią do spowiednika. A gdy ksiądz zaczął mu przedstawiać drogę wieczną, na którą wyszli polegli żołnierze, aby spotkać uwielbianego wodza, on wskazał krzyż i wyrzekł ostatnie słowo: „ciel—niebo".**)

Oto jego nagroda niebieska, ziemską otrzyma również, nietylko od obecnego, ale i od przyszłych pokoleń, wśród których pamięć Bohatera żyć będzie wiecznie, zapładniając szlachetne umysły do wielkich czynów.

Droga do sławy i zwycięstwa długa była i ciernista. Jedno uderzy każdego w karjerze Marszałka Francji, Polski i Anglji. Niczego nie zdobył protekcją, czy poparciem grup politycznych, czy szczęśliwym zbiegiem okoliczności—wszystko wypracował własną wolą i wysiłkiem. Tak jak Czarniecki mógłby powiedzieć: „ani z soli, ani z roli, tylko z tego, co mnie boli, wyrosłem". Kampanję 1914 r. rozpoczął jako jeden z wielu wybitnych generałów francuskich, a skończył w 1918, jako wódz 10 miljonów żelaznych zastępów „poilu" zwycięski bohater wielkiej wojny.

Poznał blaski i nędze demokracji. Pan życia i śmierci 10 miljonów uzbrojonych ludzi, stwierdził po zawarciu rozejmu, że zadanie swoje uważa za skończone i usunął się w cień bez żadnych protestów, aczkolwiek miał powody do niezadowolenia, gdyż traktat pokojowy w wielu punktach nie odpowiadał jego planom i poglądom.

Wielokrotnie jeszcze potem mógł sięgnąć po władzę, lecz bardziej podobała mu się rola Cyncynata, aniżeli Caesara „W cieniu jego zwycięskiej szpady mogła spokojnie Republika Francuska korzystać z owoców zwycięstwa, nie groził jej żaden przewrót, żaden rokosz, żaden zamach na jej suwerenność i na jej Konstytucję. Był to jeden z niewielu w dziejach wielkich wodzów, którego ambicją było służyć bezinteresownie Ojczyźnie i wspierać swą radą rząd ustanowiony prawami". **)

---

*) Z kazania ks. Marcelego Nowakowskiego, wygłoszonego w katedrze warszawskiej.

**) Patrz № 79 „Głosu Narodu", artykuł wstępny.

Żadna zawiść, ani zemsta osobista nie splamiła wielkiego charakteru Focha. Wszystko co przedsiębrał czynione było dla dobra Ojczyzny, a nie gwoli zaspokojenia ambicji osobistej. Ani cienia megalomanji, pychy egocentryzmu, lub mściwości, nienawiści, chęci pomniejszenia sławy, czy zasług innych.

Wódz ten nie ma w sobie niczego z Caliguli — natomiast wiele i to najlepszych właściwości Żółkiewskiego, Waszyngtona, Kościuszki...

Ferdynand Foch jest nietylko wielkim wodzem i obywatelem, ale wielkim człowiekiem w każdym czynie i geście, żarliwym, praktykującym i konsekwentnym katolikiem — zarówno wówczas, gdy w okresie największego prześladowania katolicyzmu we Francji, z całą odwagą głosił swe przekonania, narażając na szwank swoją karjerę, jak i potem, gdy, jako wódz armji i obywatel Republiki w całym swoim postępowaniu, czy w wojnie, czy w pokoju—wcielał konsekwentnie w życie zasady sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej i nie sprzeniewierzył się im nigdy.

Szczęśliwaś, Francjo, że możesz opłakiwać takiego Syna...

Zazdrościmy Ci szczerze, a jednocześnie odczuwamy wielką dumę, że pod rozkazami tego Męża walczyli także synowie naszej Ojczyzny, że był On także marszałkiem Polski, że imię Jego kojarzyć się będzie zawsze ze wskrzeszeniem Rzeczypospolitej i z wojną w r. 1920 o kulturę i chrześcijaństwo w Europie środkowej, podczas której okazywał nam żywą pomoc i współdziałanie.

Niestety, dzisiejsza Polska oficjalna nie była w dostatecznej mierze wyrazicielką hołdu i uczuć, które ożywiały Naród Polski podczas pogrzebu Wielkiego Francuza. Wszak często się dzieje, że sfery oficjalne nie odczuwają tętna żywej krwi, bijącej w sercu Narodu...

Nic to! Społeczeństwo polskie zdobędzie się jeszcze na to, aby samo, z własnej inicjatywy i własnym wysiłkiem uczcić wartości, które nie powinny zginąć dla naszego Narodu, lecz świecić przykładem młodemu pokoleniu, budzić w nim siłę moralną i te ideały, których marszałek Foch pozostanie zawsze wielkim przedstawicielem.

W godzinach ciszy.

I) „Mnie uczą drzewa"...

„Widziałem Boga, przechodzącego
w oddali, i stanąłem w zadumie".
(Lineusz).

Gdyby nie ta bezmyślność dni naszych, ileż zdrowych spostrzeżeń, potrzebnych doświadczeń, wielkich myśli i czynów mogłoby się zrodzić w każdym z nas! A tak giną najpiękniejsze z pięknych...

Rzućmy choć na jedną chwilkę skorupę ziemskich interesów, pozbądźmy się tego bielma z oczu, co zasłania nam wspaniałe widnokręgi nadprzyrodzoności. Spójrzmy naokoło siebie, spójrzmy naprawdę a z życiem, a z wiarą! Spójrzmy ku Bogu!..

Bóg z nami.—W każdym szczególe świata stworzonego dostrzeżemy Opatrzność Jego. Wszędzie ślady Jego Mądrości i Opieki.

Wejdź, bracie, na chwilę w siebie, wejdź a powiedz: Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tem, że każde, nawet to najmniejsze, stworzenie jest urzeczywistnieniem słowa Bożego? Nawet to szare ptaszę, co mile świergocząc, zda ci się być tak małem, jest przecież tworem tego samego Mistrza i Pana.

Jeden z katolickich myślicieli współczesnych, głęboko, a pięknie rozważając, to powiada: Nie wyobrażaj sobie stworzenia świata zbyt mechanicznie, jakoby za wymówieniem Boskiego słowa wszechświat zaroił się nagle różnorodnym zwierzem i wszelaką rośliną, których poszczególnych form barw, sposobu i celu życia Bóg przedtem nie obmyślił wcale. Nie, przeciwnie: Każdy dzióbek i nóżka, każde skrzydełko i trawka, każdy liść i kwiatek Bóg dobrze obmyślił i do przyszłych warunków zastosował.

I przywodzi tenże uczony taki wymowny obrazek przed oczy. Mogłoby każde zwierzątko, nawet to najlichsze, stanąć przed każdym z nas i słusznie powiedzieć, iż Miłościwy Stwórca je równie dokładnie i starannie stworzył i się niem zajmuje, jak człowiekiem. I wszystkie te kwiatki, które ty dumną a nierozważną depczesz nogą, mogłyby w szlachetnem oburzeniu unieść swe zgniecione główki i wyniośle spojrzeć ci w oczy ja-

ko równemu sobie; i ta nawet kropelka wody, co padając z nieba, nieproszona przylgnęła ci do ręki, nie ma potrzeby prosić o przebaczenie, bo pochodzi przecież z tego samego warsztatu, z którego i ty wywodzisz swój początek, marny pyle ziemski... A cóż dopiero mówić o ogromnych, gwiazdach i olbrzymich światach niebieskich? Cóż powiodzieć o jasnym księżycu i życiodajnem, wspaniałem słońcu, które już doprawdy nie miałyby powodu zwracać uwagi na ciebie, robaczku, co ledwie wychyla się ponad pył i brud uliczny—gdyby nie wyraźny rozkaz Boży, iż mają ci dobrowolnie służyć?...

Może teraz zrozumiemy św, Franciszka z Asyżu, który całą przyrodę tak przedziwną otaczał miłością? Nawet śmierć sroga i ogień rany wypalający były mu bratem! Zda się nam, że potężna postać wielkiego Świętego wróciła codopiero z raju, by przypomnieć miłość pierwszego człowieka.

A czasy nasze? Jakaś wyrachowana trzeźwość odsunęła nas daleko od tego pełnego poezji światopoglądu iście chrześcijańskiego. Gdy pytano raz św. Bernarda, skąd czerpie swą mądrość i wiedzę, odpowiedział z dziwną pokorą: „Mnie uczą drzewa“. Czy my to potrafimy zrozumieć?...

II) Nasza pobożność i modlitwa.

Zatraciliśmy dziś przedewszystkiem swój żywy, wewnętrzny kontakt z Bogiem. Brak nam tej prawdziwej pobożności, co stanowi istotę chrześcijańskiego życia i tej gorącej a pokornej modlitwy, co, przebijając obłoki, niebiosa ściąga ku ziemi.

Wykoszlawiło się wśród nas już samo pojęcie pobożności. Dziś ostatecznie rozumiemy przez nią pewne skrupulatne wykonanie praktyk religijnych, a nie to, żeby każdą myśl naszą i czyn, każdy smutek, czy radość przenikało uczucie bliskości Boga. Usunęliśmy pobożność z życia codziennego, milcząco to poszło i bez protestu. A na miejsce tej prawdziwej, a szczerej pobożności: wprowadziliśmy jakąś sztuczną namiastkę, która w oczach naszych urosła na rzekomo miarodajny drogowskaz życiowy i na... barometr cnót...

I mierzymy tedy wszystko wskaźnikiem tego barometru. Załatwiamy składnie, a dobrze wszelkie interesy doczesne, używamy, gdzie się da, wszelakiej przyjemności, dbamy, by serce

nie przeciążać ciężarem trosk i kłopotow—a wtedy dopiero, gdy już wszystko rzeczywiście uporządkowane, doskonale obmyślone, efektownie wykonane, wtedy—o ile jeszcze w dobrym pozostajemy nastroju—zaszczycamy Boga s vem dorywczem zwróceniem Doń swej duszy... I w dumnem zadowoleniu nazywamy to naszą pobożnością.

Zda się nam, iż uczyniliśmy aż nadto wiele, oddając się rano czy wieczorem pewnemu skupieniu.

Jakże jednak taki powierzchowny stosunek może odpowiadać naszej wierze chrześcijańskiej? Jakże takie obcesowe traktowanie pogodzić z nauką katolicką?..

Nie może przecież być wszystko w porządku, jeśli naszemu Stwórcy i Panu oddajemy ledwo chwil parę. Nie może to być kontakt stały a ścisły, jeżeli z celem i tęsknotą wszystkich stworzeń uważany za niegodne fatygi dłużej obcować.

Zapewne miał słuszność ten głos skargi, płynący z ust kaznodziei, iż większość chrześcijan nie wierzy dziś już w tę, że tak powiem, rentowność pobożności, wzgl. iż kroczą drogami, dalekiemi od ewangelicznego ideału.

Coraz głębiej zakorzenia się to przewrotnie błędne przekonanie, że w dzisiejszych czasach mamy bezwzględnie ważniejsze sprawy do załatwienia, niż praktykowanie pobożności; że mamy co innego do roboty, niż tak drogocenny czas przepędzać na... klepaniu pacierza.

Krok za krokiem oddalamy się od Boga. Najpierw pobożność usunięto z życia codziennego; potem wkrótce spostrzeżono, że to jeszcze za mało. Zamiast chwil kilka oddać Bogu, czyż nie lepiej okroić i te kilka minut i spędzić na czemś zyskowniejszem, i intratniejszem?...

Taki sąd o naszej pobożności może wyda ci się zbyt surowym?.. Ale spojrzyjno, bracie, na tych wszystkich ludzi, którzy cię otaczają. Jak oni się modlą? Zastanów się jednak przedewszystkiem nad sobą samym? Jak długo w ciągu całych 24 godzin jesteś myślą u Boga? Czy podczas dnia choć przelotnie myślisz o tem, że powodzenie twych zamiarów i starań zależy w pierwszym rzędzie od błogosławieństwa z nieba? A choćbyś miał myśli najmądrzejsze, plany najświetniejsze — choćbyś całą pilnością dokładał rąk do pracy — wszystko może zawieść, boć to takie ludzkie...

Ta myśl o wszechobecności Bożej winna nas tak głęboko przejmować, żebyśmy często wśród pracy czy spoczynku wyrywali się myślą ku Stwórcy i razem z Jakóbem wołali: „Zaprawdę, Pan jest na tem miejscu, a nie wiedzieliśmy tego".

Jakże czystem byłoby wówczas twe serce, jakże wzniosłe myśli towarzyszyłyby twym zajęciom codziennym! I nie zapomniałbyś nigdy o tem, że Bóg przebywa w twym pokoju, warsztacie czy fabryce, w biurze czy na polu; że On jest nietylko przy tobie i w tobie, ale równocześnie otacza wszystkich i wszystko.

I zrozumiałbyś wtedy wielkość Jego w kwiatach polnych, w cieniach drzew, w dalekich drogach gwiazd na niebie; zrozumiałbyś, że z pod oka Jego się nie usuniesz, choćbyś wzniósł się na najwyższe szczyty gór czy zstąpił w głębokie przepaście ziemi.

Taka oto pobożność znaczyć może więcej, niż mówienie pacierza. Nie jest ci już ona żadną zewnętrzną ceremonją czy praktyką, którą się wykonywa po tysiącznych sprawach innych— o ile czasu starczy; ale jest to owo żywe poczucie wiary i to stałe nastawienie duszy, które towarzyszy każdemu uderzeniu naszego serca w pracy zarówno, jak w odpoczynku, radości, czy smutku. Dusza się niejako wsłuchiwa w głos Pana; w pokornem oddaniu każdej chwili gotowa jest na Jego usługi. Usta wtedy też prosto a szczerze wymawiają słowa modlitwy, płynącej z przepojonego miłością serca...

Ludzie dziś — niestety, zatracili tę ustawiczną łączność z Bogiem, stąd też umysły współczesne tak są ubogie w wielkie myśli, stąd serca takie słabe, nieszczęśliwe, złamane... Dusze i ciało upadają z oschłości ziemskiej, bo nie pobierają rosy, ni dżdżu z nieba. Grzech i zmysłowość dręczą ludzkość, bo zaprzestała żyć łaskami Ducha. Od dziesiątków lat świat dąży do podniesienia i utrwalenia dobrobytu, — jakież są jednak skutki tych nieszczęśliwych starań?...

Przychodzą na myśl słowa wielkiego Ojca Kościoła, Makarego, który mówi: Jako ten, co wyrabiając chleb, zapomni kwasu, mimo trudu i pracy tylko masę niekształtną i do jedzenia niezdatną wypiecze; albo ten, co zaprawiając mięso zapomni dodać soli, wytworzy robactwo i wstrętne zapachy — tak złamana upadkiem natura ludzka, nie podniesie się w górę, je-

śli sił sobie nie sprosi z nieba, jeśli kwas ducha i sól bóstwa nie przeniknie jej istoty, jeśli Duch Święty jej nie dopomoże.

Być pobożnym znaczv: we dnie i w nocy wznosić duszę swą ku Bogu we wszystkich pracach i czynnościach.

Czesław Sierakowski.

DYSPUTY.

Pyt. Jaką rolę odgrywają w etyce katolickiej „kompromisy", które ukrywają prawdę, wyszukując rozmaite kręte drogi, któremi naiwnych i ufnych rozmyślnie wprowadzają w błąd, ukrywając prawdę, której sami w oczy spojrzeć nie chcą lub nie śmią — tchórzliwie od niej się odwracając. Czy tacy ludzie mogą się zaliczyć do uczciwych i honorowych i co robi ich sumienie?

Ponieważ w życiu spotyka się legjony takich co błyskotliwemi frazesami i natchnioną mową pociągają tysiące, a sami kroczą drogą fałszu, obłudy, wyzysku, kpiąc z owych naiwnie wierzących, czy obowiązkiem jest ich wykryć—czy też umywszy ręce, powiedzieć: „Contre larron larron et demie"?

Wobec tego, precz z katechizmem, niech ustąpi etyka, prawda, sumienie, niech żyje kłamstwo i oszuści, niech żyje szatan, jego wyznawcy i naśladowcy!!

Odp. Pytanie powyższe zawiera kilka pytań i kilka kwestyj, które trzeba rozpatrzyć osobno, dobrze oddzielając od siebie poruszone tematy.

Jest tutaj więc kwestja „kompromisów", tchórzostwa, oszustwa i denuncjacji.

Rozpatrzymy je kolejno.

Nasamprzód „kompromisy". Co to jest kompromis i czy jest kiedykolwiek dopuszczalny?

Podane w pytaniu wyjaśnienie kompromisu nie jest prawdziwe. To nie żaden kompromis, ale zwykłe oszustwo.

Kompromisem nazywamy pewnego rodzaju ustępstwo z jednego punktu na korzyść drugiego pod wpływem jakichś racyj wystarczających. Typowym kompromisem są nasze zwykłe targi w sklepach, gdzie dochodzi się do ustalenia ceny średniej mię-

dzy maximum sprzedającego i minimum kupującego. Kompromisy bywają w układach dyplomatyczno-parlamentarnych, które właściwie są również takiemi targami bez cen stałych i nienaruszalnych, tylko że na większą skalę i na innym terenie.

Tam, gdzie dwie strony układające się dążą do jednego celu ogólnego, lecz mają przytem swoje indywidualne, czy specjalne metody, czy nawet cele uboczne, tam musi zajść ustępstwo z jednej i drugiej strony od tych rzeczy drugorzędnych, by dojść do pomyślnego rozwiązania kwestji zasadniczej.

Odróżnić przytem trzeba zasady od praw i metod.

Zasady są nienaruszalne i frymarczyć niemi nie można.

Prawa i metody przeciwnie, zawsze są i powinny być giętkie i dostosowane do potrzeb życiowych.

Ta sama zasada inaczej realizowaną była w wiekach średnich, np. w stosunku do ludzi, którzy mieli zupełnie inne wymagania i w innym układzie polityczno-społecznym, aniżeli dzisiaj, przy tak szalonej zmianie położenia jednostki, jej obecnych możliwości, jej poziomu wewnętrznego i przy obecnych stosunkach społecznych, które są wynikiem wielu już ewolucyj i rewolucyj od tamtych bardzo już dalekich czasów.

Zasada pozostała ta sama, tylko jej przeprowadzenie i zastosowanie do konkretnych wypadków inne.

Różnica stosowania zasad może być nietylko w czasie, ale i w miejscu, środowisku, w różnych dziedzinach i t. p.

W tym zakresie kompromisy są możliwe, a nawet konieczne, bo w przeciwnym razie całe społeczeństwo, cała historja składałaby się z osobnych, ostrokanciastych figur, luźno, a nawet wrogo przeciwko sobie poustawianych, nie byłoby ciągłości, ani jedności wspólnej.

Czasami—i zresztą bardzo często—zachodzi potrzeba kompromisu w życiu tej samej jednostki, gdzie stronami są rozmaite prawa, kolidujące ze sobą w tym samym czasie.

I tutaj trzeba znowu zaznaczyć, że od zasad odstępować nie wolno, bo byłoby to zdradą i one kompromisowi podlegać nigdy nie powinny. Może być tylko kompromis między prawami.

Ileż wam codzienne życie przynosi na każdym kroku konfliktów rozmaitych praw! Wszystkie nieomal tragedje wewnętrzne ludzi są bolesnym skutkiem tej walki praw.

Walczą ze sobą prawa naturalne, odwieczne i prawa pozytywne, boskie i ludzkie, walczy natura z przepisem, jeden autorytet z drugim i t. d. i t. d.

Niema tak idealnego układu warunków naszego życia, gdziebyśmy nie natknęli się na tę tragedję.

A jednak pewnem jest — bo to jest zasadą — że jedynym celem każdego prawodawcy, czy to będzie Bóg, jako dawca natury, czy jako pozytywny prawodawca, czy człowiek jakikolwiek—jest dobro i tylko wyłącznie dobro tych, dla których te prawa zostały ustanowione.

Prawo, któreby nie miało, jako swego jedynego celu, dobra poddanych, jest nieważnem, nie jest żadnem prawem. Oczywiście, że prawodawca nie może przewidzieć nigdy tysiąca i miljona konkretnych wypadków, w których jego prawo będzie kolidowało z innem i w ten sposób sprowadzało nieszczęście na tego, któremu tak dobrze życzy.

Z ogólnej więc intencji prawodawcy dopuszczalny, a nawet konieczny jest kompromis. Prawodawca jest ojcem, a nie tyranem i okrutnikiem w stosunku do swoich poddanych.

Oczywiście, musi w takich kompromisnch być zachowana powaga, godna ważności sprawy, musi być przestrzegana uczciwość, szlachetność, rozumne uwzględnianie racyj, ale sam kompromis jest rzeczą nieuniknioną.

Formuły: „pereat mundus — fiat justitia”, i „dura lex, sed lex”, wzięte dosłownie, bez żadnych kompromisów, są samobójstwem ludzkości i zabiciem wszelkiej etyki, która nie na zewnętrznych przepisach się opiera, lecz na wewnętrznym głosie sumienia oświeconego.

Tam, gdzie istnieje więcej niż jeden człowiek, a w człowieku przynajmniej dwa prawa nim rządzące, tam musi być zawsze ustępstwo rozumne—a to nazywamy kompromisem.

* * *

„Ukrywanie prawdy, której się nie chce spojrzeć w twarz i wyszukiwanie krętych dróg, któremi naiwnych i ufnych *rozmyślnie* wprowadza się w błąd” — nie jest kompromisem, a tylko naprzód tchórzostwem życiowem, a następnie zwykłem szalbierstwem i oszustwem. Tacy ludzie, oczywiście, nie mogą być uważani za uczciwych i honorowych i tacy muszą napewno do-

znawać wyrzutów sumienia, które ich potępia, zanim potępi opinja, czy trybunał odpowiedni.

Nie mamy obowiązku, w zwykłych stosunkach towarzyskich (nie w momentach urzędowych, czy w stosunku do tych, którzy nad nami mają władzę i w zakresie tej władzy zadają nam pytania)—wyjawiania wszystkiej prawdy. Nie wolno nam tylko nigdy kłamać. To są dwie zupełnie różne rzeczy.

To też wprowadzanie innych w błąd—co jest istotą kłamstwa — a tem bardziej rozmyślne czynienie tego, jest zawsze etycznie złem, jest nikczemnością i musi być potępione przez każdego.

Są ludzie, którzy przejęci do głębi swemi zasadami, głoszą je wszystkim z całą szczerością i przekonaniem i pociągają tłumy, spełniając tem swoje posłannictwo, którego są świadomi.

Będąc przytem w życiu osobistem wiernymi tym zasadom, mogą w stosowaniu praw używać rozumnego kompromisu, a nawet muszą to czynić niejednokrotnie, bo spotykają się z ich kolizjami na każdym kroku.

Ci ludzie godni są wiary, mimo nawet pewnych słabości nieuniknionych w poszczególnych wypadkach życiowych.

Tacy jednak, którzy „błyskotliwemi frazesami i natchnioną mową pociągają tysiące, a sami kroczą drogą fałszu, obłudy i wyzysku, kpiąc sobie (a więc świadomi swej obłudy) z owych naiwnie wierzących"—to nie ludzie idei, ale oszuści, wyzyskiwacze i szkodnicy społeczni.

Takich publicznych przestępców wolno nam demaskować w opinji społecznej, a nawet, jeśli to możliwe i podlega przepisom obowiązującego prawa, zwrócić się do prokuratora, który jedynie może być oskarżycielem urzędowym, by wystąpił na drogę oficjalną, celem przeszkodzenia szerzeniu się zła. Tembardziej jest to obowiązkiem tych, którzy z racji swego powołania (rodzice, wychowawcy) winni czuwać nad dobrem społeczeństwa i walczyć ze złem i oni nie mają prawa przechodzić nad temi rzeczami do porządku dziennego i mówić sobie: „Contre laron — laron et demie!"

Z drugiej jednak strony nie trzeba też mieć zbytnio przewrażliwionego sumienia, która—to choroba nazywa się skrupulatyzmem — i uważać się powołanym, a nawet zobowiązanym do stałego urzędu prokuratorskiego, uważając, że jeżeli tak nie

postąpią, to zginie cały katechizm, etyka, prawda, sumienie, a triumfować będzie kłamstwo, oszustwo, szatan i jego wyznawcy.

Coby to było, gdyby społeczeństwo całe składało się z samych takich prokuratorów i inkwizytorów fanatycznych! Niemożliwem byłoby życie. Zaginęłaby wtedy dopiero wszelka prawda, szczerość, wiara i zaufanie, każdy byłby zamknięty w sobie jedynie i czekał z zaciśniętemi zębami, kiedy cała ta tragikomedja życia się wreszcie skończy.

Jak wszędzie i zawsze musi być i tutaj zachowana wszelka roztropność. A nawet tutaj w szczególny sposób, do tego stopnia, by raczej narazić się na zbytnią tolerancję, niż na odrobinę nieopatrznej gorliwości.

Bo sądzić ludzi tak nam jest łatwo i sądzimy ich zawsze, przeważnie z pozoru i tyle, tyle krzywd im przez to czynimy.

Nieraz bowiem to, co w naszych oczach jest złem, jest nawet zbrodnią, patrząc powierzchownie tylko na fakty, w rzeczy samej jest tylko wielkiem nieszczęściem człowieka. My widzimy zewnętrzne powody czynów ludzkich, a nie umiemy zgłębić wszystkich pobudek wewnętrznych, ani objąć wszystkich czynników, które wpływały na taki lub inny postępek człowieka. Tych czynników są tysiące, nieraz w bardzo dalekiej przeszłości, najczęściej bez żadnej naszej winy, jak wychowanie, środowisko, prądy społeczne, tragedje przeżyte i t. p. i t. p. — wszystko to nieraz składa się przez lata całe na jeden czyn, który nazywamy zbrodnią, a który w rzeczywistości jest tylko jedną z dalszych tragedyj nieszczęśliwego człowieka.

Pan Bóg nigdy nie sądzi człowieka z kodeksem w ręku, tylko patrzy w jego duszę i bada wolę. Dlatego też Pan Bóg rzadko, bardzo rzadko potępia, a ma jedynie serdeczne współczucie dla słabych, chorych i nieszczęśliwych ludzi i ma pomocną rękę dobrego Ojca i Przyjaciela.

Gdybyż ludzie, choć w małej cząstce, mogli być na tym punkcie Bogu podobni — ileżby goryczy uniknęło się w życiu i ile spłynęłoby na nas prawdziwej radości.

Bądźmy prawdziwym obrazem bożym!

* * *

Pyt. Materja nie mogła zostać stworzoną, albowiem z niczego nic nie powstaje.

Odp. Właśnie dlatego, że materja nie może sama z siebie powstać, bo nie ma w sobie konieczności istnienia, zmienia się, dzisiaj jest taka, jutro przechodzi w inną formę, lub zamiera zupełnie — A jednak jest.

To dowodzi, że musiała być stworzoną, t. j. że po za nią istnieje jakiś byt niematerjalny, konieczny, który ma w sobie pełnię istnienia, którego istotą jest istnienie, który nie może nie być, i jest źródłem wszystkiego, co jest, który jest Stwórcą z pełni swego bytu.

Pyt. Nie dusza w człowieku myśli, ale mózg: bo im większy mózg i im więcej zawiera fosforu, tem większa zdolność myślenia; długie myślenie pociąga za sobą znużenie mózgu; zaburzenia mózgowe są znowu przeszkodą w myśleniu.

Odp.—Mózg nie myśli, bo gdyby był samodzielnym, toby myślał i po śmierci człowieka i myśl ta wyraziłaby się w jakikolwiek sposób, bo przecież pod względem zewnętrznym, układem organów całego ciała, człowiek po śmierci się nie zmienia. Jednak tak nie jest, bo brakło jednego czynnika: duszy. Myśli więc dusza, a mózg jest tylko organem myślenia, tak jak płuca są organem oddychania, a żołądek—trawienia. Stąd też im ten organ jest doskonalszy, ma więcej składników odpowiadających swej istocie (fosfor)—tem działa sprawniej, t.j. myśli lepiej.

Długie, wyczerpujące działanie organu zużywa go i czyni niezdolnym do pracy—jak żołądek, któremu się daje wiele i niestrawnych rzeczy do przerobienia, w końcu odmawia posłuszeństwa i naodwrót, wszelkie zaburzenia żołądkowe odbierają człowiekowi apetyt,—tak również i mózg od ciągłego intensywnego myślenia zużywa się, dostaje anemji i niedyspozycja mózgu sprowadza trudności w myśleniu, a nawet może spowodować zupełny zanik prawidłowego myślenia, jak to widzimy u chorych umysłowo. Podobnie, jak pędzel artysty wiele się przyczynia do stworzenia arcydzieła obok talentu mistrza, a bez pędzla, albo pędzlem nieodpowiednim nawet najlepszy malarz niewiele zrobi i nie namaluje nic porządnego, choć on sam—jak dusza w człowieku — pozostaje niezmienionym.

Pan Bóg i aniołowie, którzy nie mają ciała, a więc i cielesnych organów duszy, nie męczą się myśleniem, a raczej pojmowaniem, ani nie chorują nigdy umysłowo — ale na to trzeba być czystym duchem. *Amicus.*

CHRYSTUS

(fragmenty z Ewangelji i rozmyślania).

Osiem błogosławieństw.

Błogosławieni ubodzy duchem,
Co od Mamony żyją zdaleka,
Bo ich Królestwo Niebieskie czeka!

Błogosławieni cisi i skromni,
Którzy z uśmiechem niosą trosk brzemię,
Albowiem oni posiądą ziemię!

Błogosławieni ci, którzy płaczą,
Którzy są smutni jak cisza jesieni,
Albowiem oni będą pocieszeni!

Błogosławieni ci, którzy łakną
Sprawiedliwości słonecznych promieni,
Albowiem oni będą nasyceni!

Błogosławieni ci miłosierni,
Którzy nad bliźnich płaczą ranami,
Bo miłosierdzia dostąpią sami!

Błogosławieni czystego serca!
Przed nimi święta, chwalebna droga,
Albowiem będą oglądać Boga!

Błogosławieni pokój czyniący,
Co bliźnich twarzą krzepią świetlaną,
Bo synów Bożych zyskają miano!

Błogosławieni prześladowani,
Cierpiący w imię sprawiedliwości,
Bo ich Królestwo Niebios ugości!

— — — — — — — — — —

Błogosławieni, o! błogosławieni,
Ci którzy padną od wrogów kamieni!
Niechaj im radość wspólna serca splata
Bo hojna w niebie czeka ich zapłata!

Bronisław Wiszniewski.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Atanazy, Biskup Aleksandryjski i Doktór Kościoła.

2 maja.

Było to w pełni czwartego wieku ery chrzescijańskiej. Kościół, po epokowym Medjolańskim edykcie cesarza Konstantyna Wielkiego, rozwijał się pomyślnie, zabliźniał rany po ostatnich prześladowaniach, organizował się, rósł i wzmacniał się każdego niemal dnia. Misjonarze jego głosili niezmordowanie naukę Chrystusową, nawracając do niej całe ludy i państwa i wnosząc jednocześnie radykalną zmianę w stosunki spo-społeczne na podstawie zasad ewangelicznych, szerząc kulturę i naukę.

Były to czasy wielkich organizatorów, apostołów i mężów nauki, w których miał niezadługo przodować nieśmiertelny Augustyn. Niewszystko jednak układało się pomyślnie.

Zaraz w pierwszych latach po uzyskanej wolności, Kościół został śmiertelnie raniony przez jednego ze swych kapłanów, głoszącego fałszywą naukę o Synu Bożym, niezgodną z nauką objawioną.

Kapłanem tym był Arjusz.

Mimo dalekich odległości Państwa Rzymskiego i niedoskonałych sposobów komunikacji, błędy Arjusza zaczęły nabierać rozgłosu i zyskiwać zwolenników.

Dzisiaj podobne teoretyczne poglądy jednego uczonego przeszłyby niepostrzeżenie do archiwów bibljotecznych. Podówczas jednak każdy był teologiem, zastanawiał się i roztrząsał tematy religijne. Religja była ściśle związana z życiem, wykształcenie religijne wszystkich było mniej więcej jednakowe, jednostki tylko pracowały naukowo, ogół zaś czuł się, i słusznie zresztą, upoważnionym do zabierania głosu w poszczególnych kwestjach filozoficzno-religijnych, które miały dla niego znaczenie życiowe, a które traktował narówni z każdą inną kwestją natury społecznej, czy politycznej. Rozbieżność więc zdań teologicznych powodowała różnice daleko sięgające w ustrój państwowy i układ warstw społecznych.

Kościół wraz z cesarzem Konstantynem zapobiegli autorytatywnie niebezpieczeństwu, poddając pod dyskusję i sąd naukę i osobę Arjusza na soborze Nicejskim i wydając wyrok potępiający.

Ambitny herezjarcha nie poddał się wyrokowi, lecz ufny w pomoc swych zwolenników, a nawet cesarzy rzymskich po śmierci Konstantyna, trwał dalej w błędzie i zyskiwał ciągle nowych adherentów.

Sprawa przybrała wagę kwestji państwowej. Katolicyzm i arjanizm zmagały się ze zmiennem szczęściem, zależnie przedewszystkiem od stanowiska władców Rzymu.

Chwilami zdawało się, że zginie Łódź Piotrowa. „Świat— jak w pewnym okresie walk zawołał św. Hieronim — ocknął się i z przerażeniem stwierdził, że jest arjańskim".

Po wielu latach burza uciszyła się, Kościół zwyciężył, lecz rany zadane były ciężkie i wstrząśnienia dla młodego organizmu szkodliwe bardzo.

Szkodliwe może, sądząc po ludzku, bo w planach Opatrzności, tak jak każde prześladowanie i walka, było ono zbawienne, albowiem hartowało duszę chrześcijańską, wyjaśniło i umocniło przekonanie w prawdzie i wyrabiało wodzów tak niezbędnych zawsze, a w szczególności w okresie budowy fundamentów pod wielką przyszłość dziejową Kościoła.

Jednym z bohaterów tego dramatu i jednym z najdzielniejszych obrońców prawdy katolickiej i wodzów ludu wierzącego był Atanazy, biskup Aleksandryjski.

Była to dusza nawskroś bojowa. I takich potrzebuje również Pan Bóg w swojem królestwie, lwów potężnych obok łagodnych jagniątek, mocarzów myśli obok prostaczków, monarchów i żebraków, działaczy społecznych o zakresie wszechświatowym i cichych stróżów domowego ogniska. Wszystko w tym przedziwnym ogrodzie bożym ma swoje miejsce, a razem z tego niezliczonego kwiecia wszelkich barw i odcieni, tworzy się przecudny kobierzec, wyściełający świątynię Pańską, migocący w blaskach słonecznego Boga tysiącem i miljonem tęcz ku radości niebu i ziemi.

Pierwszą areną jego walki był sobór Nicejski, na który jako djakon, towarzyszył swemu biskupowi i poprzednikowi na katedrze Aleksandryjskiej. Mocą i głębią swych argumen-

tów w czasie rozpraw soborowych pokonał wówczas na słowa Arjusza i jego adwokatów, ściągając tem na siebie ich zemstę do końca życia.

Z odkrytą przyłbicą prowadził dalej walkę z herezją, broniąc piórem i czynem nauki Kościoła, nie ustępując ani na krok ze swych szańców, nawet wtedy, gdy pod naporem przeważnej liczby wrogów i ich siły politycznej, musiał schodzić aż do katakumb.

W walce z Atanazym arjanie nie przebierali w środkach. Chcieli zabić świętego biskupa w oczach opinji, oskarżając go fałszywie o akty zbrodnicze. Atanazy nie okazał się w tych wypadkach milczącym barankiem, ale wiedząc, że chodzi tutaj o bożą sprawę, z całą prostotą, nie pozbawioną zresztą życiowej mądrości, obalił przed Trybunałami niecne oszczerstwa.

Po Konstantynie zmieniali się szybko cesarze, jego synowie, Konstans i Konstancjusz, później Juljan Apostata.

Pierwszy i ostatni, wyraźni zwolennicy Arjusza i wrogowie Kościoła, prowadzili jawnie walkę polityczno-religijną, która dosięgła i Atanazego.

Nie były to już podjazdy osobiste, ale prawdziwe bitwy na całym froncie, godzące przedewszystkiem w osobę nieulęknionego wodza.

Ale Atanazy był jakby stworzony do takiej walki. Stała mu się ona jakby potrzebą duszy, rósł i wzmacniał się na duchu, im walka stawała się trudniejsza.

Całe swe życie długie spędził w ten sposób na froncie. Lata całe przebywał na wygnaniu, tułając się po obcych stronach, przez pięć lat mieszkał w pobliżu swej stolicy biskupiej, ukryty w wyschłej pustynnej cysternie, przez cztery miesiące ukrywał się w grobie własnego ojca w pobliżu Aleksandrji i stamtąd kierował armją swoich wiernych, uciekał po lądach i wodach, sam nieraz zawracając w paszczękę goniących go wrogów i zręcznym manewrem myląc za sobą ślady... Co pewien czas prawnie, lub w ukryciu powracał do swej stolicy, by znowu z niej uchodzić. Nie rzucił jednak nigdy broni, nie poddawał się, nie dał za wygranę, ale trwał na stanowisku, w pierwszym szeregu walczących, zawsze nieustraszony, nigdy nieuchwytny, jak migocący ognik pojawiający się to-tu, to-tam, gdzie go się najmniej spodziewano i spra-

wujący nieustannie rząd dusz nad tymi, dla których stał się już wtedy uosobieniem niezłomnego bohaterstwa i wiary płonącej.

Mimo tak ciężkich warunków pracy, człowiek ten znalazł miejsce i czas, by naukę swą w obronie dogmatu Syna Bożego unieśmiertelnić w książkach, które mu później zjednały zaszczytny tytuł „Doktora Kościoła".

Biskup-wygnaniec i tułacz umarł jednak w swem własnem łóżku i we własnym domu w Aleksandrji. Na placu pozostał do końca i zwyciężył.

Cała postać tego bohatera prawdy tchnie jakąś niezwykłością. Niewiadomo, co w nim bardziej podziwiać: czy heroizm wiary i zaparcia się dla swoich owieczek, czy umiłowanie prawdy, czy nieludzką cierpliwość i łagodność w tylu przeciwnościach, czy hart tułaczego żywota, czy brawurę wprost śmiejącą się w oczy, gdy nań urządzano formalne łowy, jak na dzikiego zwierza? Człowiek ten mienił się w oczach, zwijał i skręcał, jak wąż, powstawał i niknął jak obłok, jak pióropusz pary, wychylał ze wszystkich stron swą zawsze pogodną twarz, by upewnić swe owieczki, że jest i że czuwa i by wrogom swoim dać znać, że nie przemogli go jeszcze. To jako mąż nauki, jako płomienny kaznodzieja, dobry pasterz i administrator, to jako rycerz w zbroję zakuty, bijący łuną swych puklerzy i tchnący mocą nieprzezwyciężoną, to poprostu jako pełen zawadjackiego humoru i szalony ryzykant na froncie walki — wszystko to w nim było sharmonizowane, bez żadnej przesady i nienaturalności, a wypływające wprost z ducha, pełnego wiary, ufności dziecięcej i gotowości na wszystko.

Nie miał nic do stracenia, bo w duchu poświęcił wszystko dla Boga i dusz ludzkich, a ciągłe niebezpieczeństwo i karkołomne warunki życia i pracy podniecały tylko jego zapał, rozmach i to „sans-gêne" rycerskie, dochodzące nieraz do naturalnego zresztą zawsze „szaleństwa" i do potoków prawdziwej, szczerej, serdecznej i beztroskiej radości.

Taki „zagończyk" boży, obiegający swój odcinek we dnie i w nocy, wszędzie obecny i nigdzie nie ustalony, stróż, mędrzec, żołnierz, ojciec, bohater, cały jak płomień niegasnący nigdy. *Ks. A. Bogdański.*

Ojciec św. Leon XIII.

I.

W dziejach Kościoła katolickiego z trzynastu papieży, co nosili imię Leona, miano Wielkiego otrzymał dotąd jeden Ojciec św. Leon I, właściwie jednak gdy weźmie się pod uwagę tak czyny i prace, jak żywot i walory etyczne, to przydomek taki możnaby było nadawać również ostatniemu imiennikowi jego: Ojcu św. Leonowi XIII. Życie tego drugiego Namiestnika Chrystusowego, zasiadającego na Stolicy Piotrowej w stuleciu bieżącem jeszcze, jest rzeczywiście niezwykłe, pełne działania Opatrzności Boskiej, widocznie kierującej przyszłego Ojca św. do najwyższej na świecie godności, widocznie prowadzącej go przez różne urzędy oraz stanowiska aż do władztwa dusz miljonowych rzesz katolików, różnej barwy skóry, różnej rasy, różnej narodowości, a mimo to jednakowo miłych Odkupicielowi i Jego ziemskiemu przedstawicielowi.

Ojciec św. Leon XIII—to potomek starożytnego bardzo rodu, który wydał nawet dwoje błogosławionych, mianowicie bł. Piotra Pecci'ego oraz bł. Małgorzatę Pecci. Ojciec wielkiego papieża, hrabia Ludwik Pecci, piastował funkcję pułkownika wojsk pewnego udzielnego księcia włoskiego, małżonką jego natomiast była Anna Prosperi Buzi, pochodząca w prostej linji od słynnego w historji średniowiecznej Cola'i di Rienzi. W pierwszem dziesięcioleciu wieku dziewiętnastego małżeństwo to posiadało już trzech synów i dwie córki, tymczasem dnia 2 marca 1810 r. i tak już liczna rodzina powiększyła się o jednego jeszcze członka, co w dwa dni potem ochrzczony został pod imieniem Wincentego Joachima, a co w przyszłości miał przyozdobić swe skronie tiarą papieską.

W dziecińswie swoim młodziutki hrabia Pecci nie zdradza żadnych specjalnych skłonności do stanu duchownego. Żywy, pełen temperamentu, posiadał zamiłowanie do życia światowego, do koni, matka więc przypuszczała, iż ożeni się, kapłanem zaś, zdaniem jej, miał zostać Jan Baptysta, syn starszy o osiem lat od Wincentego Joachima.

W 1818 r. obaj młodsi synowie hrabiostwa Pecci'ch oddani zostali na wychowanie do instytutu o.o. Jezuitów w Witerbo, gdzie przyszły papież wykazał wielkie zdolności w kierunku humanistycznym, zwłaszcza do języków starożytnych, przyczem, jako

dwunastoletni dopiero chłopiec, zasłynął swemi wierszami łacińskiemi. W ciągu lat sześciu, spędzonych pod okiem wychowawców jezuickich, rozwinęło się w Wincentym Joachimie powołanie do stanu duchownego, czego matka bynajmniej nie tłumiła, choć starszego syna swego, lękającego się służby wojskowej, powstrzymywała od kroku tego kategorycznie.

Gdy studja niższe w Witerbo dobiegły końca, hrabina Pecci myślała oddać obydwóch synów do kolegjum o.o. Jezuitów w Rzymie, na przeszkodzie wszakże ku temu stanęła w 1824 r. śmierć jej. Od miesiąca października 1825 r. najmłodszy hrabia Pecci wstąpił na rzymski Uniwersytet Gregorjański, pracując z oddaniem nad łaciną Po upływie trzech lat oddał się filozofji, w czem pomimo słabości organizmu czynił postępy wspaniałe, tak, że nauczycielowie uważali go za swoją chlubę. W 1832 r. studja w Uniwersytecie Gregorjańskim zostały ukończone, przyczem jakgdyby kropkę ich stanowiło uzyskanie przez dwudziestodwuletniego hrabiego Pecciego doktoratu z zakresu teologji.

Dotychczasowe wykształcenie przyszłego Namiestnika Chrystusowego miało kierunek humanistyczny i tak naprawdę było raczej teoretyczne, t. zn. do zastosowania w praktyce życia codziennego mało pożyteczne, teraz więc powziął zamiar wstąpienia do Colegium Nobilium, stanowiącego coś w rodzaju papieskiej szkoły dyplomatycznej, kędy przedstawiciele rodów arystokratycznych, pragnący zostać kapłanami, przygotowywali się do pracy w dyplomacji. Hrabia Pecci przez czas jakiś wahał się coprawda, nie był zdecydowany, czy przyjąć święcenia kapłańskie, nurtowała w nim bowiem obawa przed niepodołaniem obowiązkom, ale rychło otrząsnął się od tych skrupułów oraz zamiar wcielił w czyn. Colegium Nobilium było dla wielkiego papieża-prawodawcy pierwszą naprawdę szkołą prawniczą, tu dopiero prawo kanoniczne i cywilne zgłębił należycie oraz dokładnie. Zapadając coraz na zdrowiu, szczególny triumf święcił dnia 6-go maja 1835 r., kiedy to brał udział w wielkiej dyspucie w obecności pięciu kardynałów i szeregu przedstawicieli wyższego duchowieństwa.

W życiu prywatnem młody arystokrata z upodobaniem oddawał się lekturze autorów klasycznych, poezje lubiał czytać niepomiernie, kształcąc jednak oraz wzbogacając umysł, nie zapominał też o wzmocnieniu ciała. W czasie wakacyj z zapałem

oddawał się polowaniu, a ponadto, podobnie, jak obecny Ojciec św. Pius XI, lubił wielce alpinistykę, będąc zapewne tego samego zdania, co profesor Kontard Ferrini, tego mianowicie, że „w zetknięciu się z przyrodą czujemy bliskość Boga i podziwiamy Jego cuda".

W wieku lat dwadzieścia siedem hrabia Pecci, ciągle jeszcze człowiek półświecki, bo mający tylko wstępne święcenia kapłańskie, został mianowany prałatem domowym Jego Świętobliwości. Nominacja ta niebyła podówczas rzeczą nadzwyczajną, ponieważ za czasów pierwszego Państwa Kościelnego było to dość częste. Wyższe święcenia kapłańskie przyjął dopiero dnia 31 grudnia 1837 r., w sam zaś Nowy Rok 1838 r. odprawił Prymicje i to—szczegół godny podkreślenia — przy grobie św. Stanisława Kostki.

Jako kapłan, pełen sprężystości jakoteż energji, wkrótce potem ks. Pecci zamianowany został delegatem papieskim do niewielkiej prowincji kościelnej, Benewentu, by usunął tam panujące nieporządki. Urzędowanie jego przypadło na czasy bardzo ciężkie, w okresie okupacji francuskiej, wszakże czynił, co mógł, póki nie padł na łoże boleści, zmożony ciężką chorobą, wyjście z której poczytane może być wręcz za cud. Po powrocie do zdrowia w działalności jego poczyna zarysowywać się wyraźnie zainteresowanie się kwestjami natury ekonomicznej. Za pierwszy swój obowiązek uznał troskę o polepszenie położenia ekonomicznego szerokich mas. W tym oto celu wynalazł nowe źródła dla handlu, postarał się o budowę nowych dróg komunikacyjnych, wreszcie uzyskał w Rzymie zwolnienie ludności od podatków najuciążliwszych. Trzy lata takiej pełnej poświęcenia pracy wystarczyło całkowicie, ażeby dobrobyt ogólny wzmógł się w prowincji owej w stopniu bardzo znacznym.

Z Benewentu ks. Pecci przeniesiony został do Umbrji, największej prowincji Państwa Kościelnego; a stąd w 1843 r. wyjechał na stanowisko nuncjusza apostolskiego w Brukseli, otrzymawszy przedtem prekonizację na arcybiskupstwo Damietty in partibus infidelium. Pobyt dzielnego kapłana w stolicy Belgji znamionuje zwłaszcza troskliwość o katolickie szkolnictwo wyższe oraz o naukę wogóle, dowodem czego jest zaopiekowasie się katolickim uniwersytetem w Lowanjum.

Służba dyplomatyczna ks. arcybiskupa Pecci'ego trwała z górą dwa lata, następną natomiast placówką, wyznaczoną mu przez Namiestnika Chrystusowego, była stolica biskupia w Perudżji. Episkopat perudżijski trwał lat trzydzieści dwa. Przez ten spory szmat czasu świętobliwy duszpasterz wprowadził w swej diecezji cały szereg reform i ulepszeń, które były miniaturą jego późniejszych rządów na Stolicy Piotrowej. Szereg osób porywali wtedy w swe szeregi przywódcy organizacyj masońskich wprost albo masonizujących, światły przeto duszpasterz przez podniesienie poziomu ducha religijnego i przez uświadomienie katolickie wiernych przeciwstawiał się zakusom wrogów ze wszystkich sił. W seminarjum diecezjalnem swem w 1859 r. zaprowadził studjum filozofji św. Tomasza z Akwinu, czyniąc zeń podstawę wykształcenia przyszłych swoich kapłanów, których oprócz tego nakazywał należycie zapoznawać z literaturą klasyczną epoki rzymskiej.

Zapożyczając słów z terminologji muzycznej, rzec można, że rządy ks. arcybiskupa Pecci'ego w Perudżji były uwerturą jego pontyfikatu. Spostrzeżenie takie narzuci się każdemu, kto bliżej zapoznaje się z życiem Ojca św. Leona XIII. Z biografów jego porównanie tego rodzaju czyni Leroy Beaulieu, powiadając mianowicie: „Papież, jako biskup Rzymu, rozwinął to, co, jako arcybiskup Perudżji, zasiadając na wyniosłej stolicy Umbrji, czuł i myślał. Jego działalność, jako papieża, jest śmielsza i rozleglejsza, niż marzenia jego młodości i plany, jako dojrzałego męża... Podobne wrażenie wyniesiemy po zestawieniu jego listów pasterskich z encyklikami papieskiemi. I w jednych i w drugich są te same ideje podstawowe, te same cele, chce on bowiem wykazać, że Kościół jest matką i strażnicą tego, co wzniosłe, co piękne i prawe. Tu i tam widzimy jednakowo gotowość do poznania i zgłębienia naszych czasów i środków, służących do uleczenia ran współczesnych społeczeństw; to samo dążenie do wychowania księży, jednocześnie pobożnych i światłych, coby stanęli na wysokości swego zadania i wymagań dzisiejszych; spostrzegamy wreszcie tę samą zapobiegliwość w zwalczaniu błędów i w krzewieniu prawdy. Wprawdzie w listach biskupa nie odnajdujemy jeszcze tych rozległych horyzontów ani tego rzutu oka, którym obejmuje on świat cały,— być może — nie masz w tych listach, ani tej jasności, ani tej

głębokości, jaką widzimy w encyklikach papieża. Dodać i to trzeba, że biskup pisał po włosku, papież po łacinie; że w samem położeniu leży znaczna różnica, bo słowo papieża jest czemś nierównie większem, niż słowo biskupa. Wszystkie listy biskupie mają formę i treść właściwą kardynałowi[1]) Pecci, znakomitemu znawcy zarówno humaniorów, jak i wiedzy teologicznej; encykliki Leona XIII mają nadto niezwykłe rozwinięcie i namaszczenie. Do najcenniejszych prac kardynała Pecci zaliczamy: traktat o doczesnej władzy papieża (1860 r.) i drugi o błędach religijnych co do moralności, szerzących się w teorji i w praktyce wśród ludu (1864 r.). Następnie są dwa listy jego o Kościele w XIX wieku, o Kościele i cywilizacji (1877 r.—1878 r.). W ostatnim tym liście stoi kardynał już bardzo blisko swoich pism papieskich i niemało z niego ustępów, odnoszących się do socjalnych zagadnień, zaczerpnął on potem do swej encykliki: Novarum rerum"[2]).

(D. n.). *J. M. Chudek.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Na marginesie Encykliki „Graves de Communi".

Ojciec św. Leon XIII wydał kilka encyklik dotyczących bezpośrednio kwestji socjalnej.

W jednej z nich: „Quod Apostolici muneris" z dnia 28 grudnia 1876 r. wskazywał katolikom błędy, tkwiące w zasadach socjalizmu i wielkie niebezpieczeństwo, jakiem ten kierunek zagraża, zarówno dobrom doczesnym jak i moralności i religji.

W dniu 15 maja 1891 r. Stolica Apostolska wydała wiekopomną encyklikę „Rerum Novarum", która pozostanie może jeszcze przez długie lata najpełniejszym i najbardziej zdecydowanym wyrazem oficjalnych poglądów Kościoła na kwestję społeczną i związane z nią zagadnienia ekonomiczne.

---

[1]) Kreacja kardynalska miała miejsce dnia 19 grudnia 1853 r.

[2]) Cytat w wersji ks. Antoniego Szlagowskiego.

Wreszcie dnia 18 stycznia 1901 r. ukazała się Encyklika „Graves de Communi", poświęcona demokracji chrześcijańskiej i omówieniu zadań i właściwości, ruchu chrześcijańsko-społecznego. Encykliką tą bliżej się zajmiemy, gdyż jest ona mało znana wśród inteligencji katolickiej.

Na wstępie Ojciec św. wyraża radość i zadowolenie, że inicjatywa Jego, podjęta w encyklice „Rerum Novarum", znalazła oddźwięk w społeczeństwach katolickich. Katolicy nie tylko nabrali otuchy i siły „do przeprowadzenia dzieł zbożnie rozpoczętych", ale także w życiu praktycznym przyczynili się w dużym stopniu do zorganizowania takich instytucji, jak, „biura ludowe do udzielania ludziom nieoświeconym obrony prawnej, wiejskie kasy pożyczkowe, towarzystwa wzajemnej pomocy i zabezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, związki robotnicze, tudzież inne tym podobne spółki i pożyteczne instytucje".

Następnie Ojciec św. zajmuje się nazwą, czyli, inaczej mówiąc, szyldem, który powinien być wywieszony na sztandarze ruchu, realizującego katolicki program socjalny. Nazwę „socjalizmu chrześcijańskiego" uważa za nieodpowiednią i stwierdza, że słusznie została zarzucona. Wspomina nazwy używane w rozmaitych krajach, jak: „Chrześcijańska Akcja Ludowa", „Chrześcijańsko-socjalni" i „Demokracja Chrześcijańska". Do tej ostatniej nazwy przywiązuje szczególną wagę, analizując dokładnie zarzuty i wątpliwości, które są przeciw niej wysuwane. W końcu dochodzi do wniosku następującego:

„Działanie więc katolików, podjęte dla niesienia pomocy ludowi i jego podźwignięcia, zgadza się całkowicie z duchem Kościoła i odpowiada najzupełniej jego nieustannym przykładom. Czy zaś to, co wiedzie, do rzeczonego celu, nazywa się chrześcijańską akcją ludową, czy demokracją chrześcijańską, rzecz to małej wagi, byle udzielonych przez nas wskazówek przestrzegano z należytem posłuszeństwem i dokładnie".

Rozważania na temat nazwy, aczkolwiek bardzo ciekawe i charakterystyczne, nie są najważniejszą częścią Encykliki. Daleko ważniejsze są wskazania Ojca Chrześcijaństwa na temat właściwości, któremi winien odznaczać się ruch chrześcijańsko-społeczny, oraz nacisk, który kładzie w kilku miejscach Encykliki na obowiązek i konieczność prowadzenia akcji socjal-

nej przez katolików. Rozważmy najpierw zagadnienie pierwsze potem przejdziemy do drugiego.

Całkowite wyczerpanie tych zagadnień nie leżałoby w ramach niniejszego artykułu. Dlatego poruszymy tylko niektóre, uważane przez nas za najważniejsze.

Encyklika przeprowadza analizę zarzutów, skierowanych przeciwko nazwie: „chrześcijańska demokracja" i, polemizując niejako z temi zarzutami, ustala szereg zasad ruchu chrześcijańsko-społecznego, przyczem z wywodów tych widać, że encyklika uważa to określenie: „chrześcijańska demokracja" za najbardziej ułatwiające rozróżnienie i wyjaśnienie pewnych pojęć zasadniczych z nim związanych.

Przejdźmy do tych wyjaśnień:

1. Oto w rozumieniu Encykliki „demokracja chrześcijańska" „nic innego nie oznaczała, jedno dobroczynną akcję chrześcijańską dla ludu", a w każdym razie nie oznacza takiej, czy innej formy rządu. „Skoro bowiem przepisy prawa przyrodzonego i Ewangelji stoja z natury rzeczy wyżej od przypadkowych urządzeń ludzkich, przeto nie zależą od żadnej państwowej formy rządu i mogą jednak pogodzić się z każdą, byleby nie sprzeciwiała się uczciwości i sprawiedliwości".

Jednym słowem nie chodzi o demokrację w znaczeniu politycznym t. j. formę rządu, w której lud ma zagwarantowane takie, czy inne prawa w stosunku do władzy państwowej, lecz o demokrację chrześcijańską w znaczeniu religijnem, społecznem i gospodarczem.

Stąd wypływają pewne konsekwencje. Kościół uregulował zasadnicze ramy programu gospodarczo-społecznego, ale nie wypowiedział się zupełnie w sprawie ustroju państwowego, pozostawiając pod tym względem wolną rękę katolikom. Wynika stąd, że wolno katolikowi być monarchistą, lub republikaninem, zwolennikiem „sejmowładztwa", lub dyktatury, **ale natomiast konsekwentny katolik, posłuszny głosowi Stolicy Apostolskiej nie powinien wyznawać zasad socjalistycznych, lub liberalno-kapitalistycznych. W dziedzinie bowiem zagadnień gospodarczo-społecznych jest on związany orzeczeniami zawartemi w encyklikach.**

Weźmy teraz stronnictwo polityczne, zorganizowane na zasadach chrześcijańsko-społecznych, czy to będzie niemieckie

„Centrum", czy austryjackie „Christlich-Socialen", czy francuskie „Partie democrate populaire", czy Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji — ugrupowania te są związane ogólnemi zasadami religji i moralności chrześcijańskiej, oraz programem społecznym, zawartym w encyklikach. Nikt im jednak nie przeszkadza mieć własne poglądy zależnie od potrzeb państwa i narodu w rozmaitych dziedzinach zagadnień publicznych, byle by tylko te poglądy nie sprzeciwiały się wyżej zaznaczonym zasadom. Oczywiście za te poglądy czysto polityczne Stolica Apostolska nie bierze żadnej odpowiedzialności, tak samo, jak nie bierze odpowiedzialności za takie, czy inne posunięcia danego stronnictwa.

Weźmy przykład konkretny. Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji jest dajmy na to zwolennikiem republiki, nie monarchji. Otóż ten pogląd — według wyjaśnień zawartych w encyklice Graves de communi, tak jak my je pojmujemy — należy, że się tak wyrazimy, do pojęcia: „polskie stronnictwo", ale nie wchodzi już w zakres ściśle pojętego pojęcia „chrześcijańskiej demokracji". Natomiast pogląd dajmy na to, że wykład religji w szkolnictwie winien obowiązywać, że strejk słuszny, sprawiedliwy i roztropny może być prowadzony w obronie warstw pracujących przed wyzyskiem — należy do pojęcia: „chrześcijańskiej demokracji", członek niemieckiego „Centrum" będzie obowiązany do takiego samego poglądu, chociaż wolno mu być równocześnie monarchistą.

2. Następne zagadnienie, poruszone obszernie w Encyklice jest o tyle charakterystyczne, że dotychczas aktualne. Spotkać się z nim możemy w formie zarzutu po dziś dzień w sferach nacjonalistyczno liberalnych, które stale zarzucają ruchowi chrześcijańsko-społecznemu charakter klasowy t. j. troszczenie się wyłącznie o dobro klas niższych z pominięciem wyższych.

Krótko załatwia się Encyklika z powyższym zarzutem. Po stwierdzeniu, że „chrześcijańskie prawo miłości obejmuje „wszystkich ludzi, bez różnicy stanów" dodaje: „wszelkie popieranie interesów ludu oddziaływa z pewnością korzystnie i na inne stany tembardziej, że jak niżej wykażemy, i one wypada i trzeba wciągnąć do wspólnej pracy, aby cel został osiągnięty". W innym znowu miejscu czytamy:

„Przedewszystkiem należy starać się (w akcji socjalnej—przypisek red.) o życzliwą pomoc tych, którzy dla swego stanowiska, majątku, zdolności, wykształcenia mają w społeczeństwie większą powagę” ..

A o tych samych wielkich tego świata powiada Ojciec św. o kilka wierszy dalej:

„A chcielibyśmy, aby zważyli. że nie mają wyboru troszczyć się o los klas najniższych, lub tego zaniechać—lecz, że są do tego obowiązani... Jak zaś ważnym jest ten obowiązek, o tem rozstrzyga obfitość otrzymanych dóbr, za którą idzie koniecznie surowszy rachunek, jaki trzeba będzie zdać przed ich najwyższym Dawcą, Bogiem”.

Tak więc sprawa jest postawiona zupełnie wyraźnie. Ruch chrześcijańsko-społeczny nie może odrzucać od siebie ludzi z żadnych warstw społecznych, którzy przychodzą z czystym zamiarem pracy w jego szeregach, lecz równocześnie wielcy tego świata surowy zdadzą rachunek przed Bogiem, jeżeli nie pójdą z pomocą dziełu, sankcjonowanemu przez Namiestnika Chrystusowego, jeżeli obojętnie przyglądać się będą wysiłkom innych, słabszych może i mniej zdolnych.....

Pogląd ten należałoby bardzo mocno wrazić w pamięć polskiej inteligencji katolickiej.

3. Przechodzimy do trzeciego zagadnienia. Czytamy w Encyklice:

„Również należy wykluczyć przypuszczenie, że pod nazwą demokracji chrześcijańskiej kryje się dążność do zniesienia wszelkiego posłuszeństwa i prawowitej władzy. Tak prawo naturalne, jak chrześcijańskie nakazuje szanować przełożonych w państwie, każdego według jego godności i wypełniać słuszne ich rozkazy... A w żaden sposób nie można tego pogodzić z zasadami życia chrześcijańskiego, jeżeli ktoś nie chce słuchać tych, co na mocy swej władzy mają w Kościele pierwszeństwo...

Rzecz oczywista! Ruch chrześcijańsko-społeczny nie może być ruchem rewolucyjnym w stosunku do władzy świeckiej. Wyjątek stanowi chyba wypadek, w którym ta władza stosuje wobec katolików posunięcia bezprawne, rewolucyjne, sprzeczne z prawem naturalnym, zagraża ich życiu, mieniu, lub religji środkami gwałtownemi (np. Meksyk, Rosja Sowiecka). W tym wypadku katolicy mają prawo chwycić za karabin i podnieść sztandar słusznego buntu w obronie swojej religji, swoich świątyń, życia i mienia.

W normalnych natomiast warunkach obowiązuje ruch chrześcijańsko-społeczny lojalność wobec władzy państwowej i prowadzenie swojej działalności środkami pokojowymi i legalnymi.

Jeżeli zaś chodzi o stosunek ruchu chrześcijańsko-społecznego do władzy duchownej—to cechować go winny: całkowite posłuszeństwo i podporządkowanie się obowiązującym orzeczeniom Stolicy Apostolskiej i episkopatu, synowskie oddanie i jaknajdalej idąca życzliwość oraz współdziałanie i współpraca z hierarchją dla dobra Kościoła we wszystkich dostępnych dziedzinach. Stosunek ten, jak już podkreśliliśmy, nie krępuje zupełnie samodzielności ruchu w tych licznych i szerokich dziedzinach, życia praktycznego, które Kościół pozostawia swobodnej inicjatywie wiernych. W dziedzinie natomiast doktrynalnej, od której zależą oczywiście i posunięcia praktyczne—Kościół musi być nieprzejednany, jako szafarz Prawdy. W ostatnich kilkunastu latach mieliśmy we Francji dwa przykłady potępienia przez Stolicę Apostolską doktryn: lewicującego „Sillon'u" i nacjonalistycznej „L'Action Française". W obydwu wypadkach krok Kościoła był bardzo charakterystyczny: zakreślał poniekąd ramy katolickim doktrynom politycznym na prawo i na lewo.

* * *

Na zakończenie podajemy kilka zdań z Encykliki, które nietylko zachowały po dzień dzisiejszy pulsującą życiem aktualność dla całego chrześcijaństwa, lecz także mogą stanowić specjalną wartość pozytywną w dzisiejszej sytuacji społeczeństwa polskiego.

Oto urywek wezwania do duchowieństwa:

„Że wobec dzisiejszych stosunków jest rzeczą nader pożądaną iść między lud i rozwinąć pośród niego zbawienną działalność, zaznaczyliśmy to nie raz w naszych przemówieniach do kleru; częściej jeszcze w listach do Biskupów i innych członków stanu duchownego, także w ostatnich latach pochwaliliśmy miłosną troskę o lud i polecaliśmy ją jako szczególniejsze zadanie duchowieństwu tak świeckiemu, jak zakonnemu"...

A to dotyczy znowu wszystkich katolików.

„Więc sprawa woła, a woła głośno, że trzeba odważnych umysłów i sił zespolenia, gdyż zbyt szeroki zasiew nędzy przedstawia się oczom i straszne grozi niebezpieczeństwo przewrotów głównie skutkiem wzmagającego się wpływu socjalistów.

Chytrze wciskają się oni w łono społeczeństwa.... i kuszą liczniejsze z każdą chwilą gromady łaknących, które skutkiem niewoli dają się łatwo zmieniać i prowadzić na bezdroża. Chodzi zarówno o państwo i religję, bronić obojgu i poszanowanie im zapewnić- to święty obowiązek wszystkich uczciwych ludzi"...

Na samym końcu Encykliki przytacza Ojciec Chrześcijaństwa słowa św. Pawła do Rzymian: **„Proszę was tedy... Przemieńcie się w nowości umysłu waszego"...** Czy nie możnaby tego dosłownie zastosować do polskiej inteligencji katolickiej?!

Oby wczas zrozumiała...

Stefan Kaczorowski.

Walka z współczesnem pogaństwem.

U schyłku doby starożytnej Kościół, przetrwawszy długotrwałe prześladowania wyłania się jako potęga duchowa, przed którą korżą się potężni cezarowie rzymscy. Garną się wtedy do nauki Boskiego Mistrza, obok licznych adeptów, pociągniętych jej wzniosłością, także i różne „parszywe owce" żądne zysków i stanowisk. Niedawno jeszcze prześladowali chrześcijan, iż ci nie chcieli czcić cesarza jako Boga, teraz gdy władza świecka schyliła głowę przed Następcą Piotrowym i oni spieszą przyjąć chrzest byle tylko przypodobać się cesarzowi.

Mijały wieki, nieraz Kościół musiał walczyć z pozornymi katolikami, poganami z ducha. Zmieniały się czasy, przewrotna natura ludzka pozostała ta sama. Cesarzy rzymskich zastąpili różni Ludwikowie francuscy, Józefowie austryjaccy i podobnie jak ich poprzednicy, uznawali się za władców religji.

Przyszła wreszcie rewolucja francuska. Wylała rzeki krwi i odsłoniła maskę obłudy. Wypowiedziana została otwarta walka Kościołowi. Wiek XIX jest jednem pasmem zmagań się tych dwóch obozów. U nas jednak podziemne siły uważały się za zbyt słabe do otwartej walki i pozostawały w ukryciu. W wieku XX poczuli się już na siłach. W roku zeszłym masoni w Polsce wystąpili zupełnie otwarcie i to, co było dotąd dla wielu mytem, wylęgłym w bujnej fantazji różnych strachajłów, stało się rzeczywistością,

My, katolicy nie możemy pozostać bezczynni, musimy dać mocną odpowiedź na owe wraże zakusy. Powinno się zaprzestać tej nieustannej defenzywy. Wiecznie się broniąc, nigdy nie atakując nie urwiemy łba przewrotnej hydrze. Zawsze będziemy mieli w perspektywie straty, a nie zwycięstwo. Mamy

wiele do zdobycia. Przytłaczająca większość — to wrogowie chrześcijaństwa. Orężem skutecznym w tej walce może być tylko zwarta organizacja, która, zjednoczywszy swe siły, nietylko będzie się chronić przed zarazą, lecz ją niszczyć.

Walka jest trudna, prowadzona na wielu frontach przeciwko niebywałemu sprytowi i przebiegłości. Akcja katolicka musi stanąć na należytym stopniu techniki. Cóżbyśmy powiedzieli o tym, któryby w erze kulomiotów, armat szybkostrzelnych i t. p. bronił się łukiem lub procą. Wiedza ludzka, wynalazki, wszystko jest wykorzystywane przeciw Kościołowi. Głosi się, że człowiekowi inteligentnemu rozum nie pozwala wierzyć. Pseudonauka ogłasza przy pomocy olbrzymiej reklamy coraz to nowe teorje, które, chociaż wkrótce zostają obalone przez powagi naukowe i znikają jak efemerydy, jednak przez krótki czas swego istnienia zapadają głęboko w umysły różnych półinteligentów i mydłków społecznych.

Odpowiedzią na podobną akcję muszą być nietylko wyczerpujące dzieła naukowe, których oprócz garstki uczonych specjalistów nikt nie czyta. Prasa musi być tym organem, który dostarczy antidotum swym czytelnikom. Tu specjalnego znaczenia nabierają, cieszące się wielką poczytnością dodatki naukowe, istniejące przy szeregu dziennikach. Należy tylko baczyć, aby ogół, czerpiący z nich swą wiedzę zamiast prawdy, nie znajdował popularnie przedstawionych fałszerstw naukowych. Dość przejrzeć pewną ilość pism ilustrowanych, aby się przekonać, że są one odskocznią dla zwolenników teorji Darwina i t. p. Coraz znajdujemy piękny artykuł, który poucza o pochodzeniu człowieka. Z podanych ilustracji wyziera ohydna morda małpoluda, wylęgłego w bujnej fantazji autora.

Wogóle na prasę należy zwrócić baczniejszą uwagę. Każde pismo staje się placówką, skupiającą koło siebie ludzi podobnego kierunku i urabiającą opinję publiczną. Najlepszym przykładem mogą być „brukowce", żerujące na ciemnocie ludzkiej. Trzeba proletarjuszowi miejskiemu i wiejskiemu dostarczyć odpowiedniej lektury, któraby, stojąc na poziomie jego stanu umysłowego i upodobań, nie deprawowała go jednoczeście,

Zjazd duchowieństwa w Żyrardowie uznał, że „zła książka i zła gazeta to największy wróg ludzkości. One odbierają wiarę w Boga i wyszydzają największe i najświętsze tajemnice

wiary świętej. I kiedy w suplikacjach śpiewamy: od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie, należałoby w teraźniejszych czasach dodać i od złej książki i złej gazety zachowaj nas Panie".

Jak wielką rolę odgrywają agencje prasowe, dostarczające wiadomości dla dzienników, o tym mogliśmy się obecnie przekonać. Gdyby nie Katolicka Agencja Prasowa (K.A.P.) nie mielibyśmy należytych wiadomości o prześladowaniach w Meksyku. Należy jednak akcję rozszerzyć przez zwiększenie liczby jej przedstawicieli.

Niedoceniona jest obecnie dostatecznie sprawa kina. Co wieczór ulice miast i miasteczek toną w powodziach jaskrawych reklam przybytków dziesiątej muzy. Niestety, jednak rzesze ludzkie, szukając rozrywki, znajdują w kinach niejednokrotnie truciznę moralną i umysłową. Zwłaszcza nasuwają się poważne zastrzeżenia co do filmów wyświetlanych na przedmieściach, o treści przeważnie erotycznej, lub kryminalnej. Na ekranie przewijają się postacie wyuzdanych aktorek, lub „bohaterskich" bandytów, dokonywujących cudów waleczności i sprytu. Innym razem publiczność chłonie „fascynujące" sceny z życia dworskiego. Oto król trwoni na prawo i lewo pieniądze. Lud biedny jęczy i gotuje rewolucję, zakończoną ogólną rzezią ciemiężców. Naturalnie czasami ukaże się na którejś scenie postać przebiegłego jezuity, lub sylwetka okrutnego inkwizytora.

W rezultacie widz — analfabeta po powrocie do swej szarzyzny życiowej, w najlepszym wypadku odczuwa nienawiść do swego losu. Wszak on nawet przez cząstkę sekundy nie zazna rozkoszy życia w cudnych pałacach i słodkiem nieróbstwie.

A jednak kino może się stać czynnikiem prawdziwej oświaty. Przedziwny srebrny ekran może zapoznać „pospolitego zjadacza chleba" z cudami przyrody, techniki i sztuki. Dobry film historyczny staje się źródłem poznania danej epoki. Jeśli idzie o agitację komunistyczną, napewno skuteczniejszym od wszelkich ulotek, wieców i t. p. imprez będzie obraz przedstawiający dobrodziejstwa „raju" współczesnej Rosji. To też w akcji katolickiej o kinie zapominać nie wolno. Bierzmy przykład z bolszewików, którzy szerzą swe przekonania przez filmy.

Wyliczyłem już niektóre źródła, przez które szerzy się zaraza duchowa. Trzeba energicznie im położyć tamę, jeśli chce

się uratować Polskę od niewiary i stoczenia się na dno przepaści. Pozostaje jednak do omówienia jeszcze jedno niebezpieczeństwo—dla katolicyzmu najgroźniejsze: antyreligijny w swej większości Sejm.

U nas zainteresowanie sprawami publicznemi kraju jest nikłe. Nakład wszystkich dzienników polskich razem wziętych dorównywa zaledwie nakładowi jednego wielkiego dziennika francuskiego, a jest mniejszy od szeregu pism codziennych amerykańskich. Przy takim stanie rzeczy, głosami katolików, drogą jakiejś straszliwej nieświadomości są wybierani znani wrogowie Kościoła. Położenie jest rzeczywiście katastrofalne!

W przeszłym Sejmie w r. 1922, stronnictwa, stojące na gruncie katolickim: „Chrześcijańska Demokracja", „Związek ludowo-narodowy", „Piast", „N.P.R.", „Chrz. Narod." miały razem 281 mandatów. Stronnictwa radykalne: „P.P.S.", „Wyzwolenie" liczyły 89 posłów. Czyli, że pierwsze były prawie trzykrotnie liczniejsze. Teraz wyżej wzmiankowane partje umiarkowane mają tylko 83 m., podczas gdy „P. P. S.", „Wyzwolenie" i „Str. Chłopskie" mają aż 122, czyli dużą przewagę. To już nie porażka, to klęska. Co do Bezpartyjnego Bloku to ten zdał egzamin przy głosowaniu nad okólnikiem p. premjera Bartla, kiedy to wielu z posłów, należących do niego uznało za rzecz zbędną chodzenie młodzieży szkolnej do spowiedzi.

Narazie grupy antykatolickie Sejmu jeszcze się liczą z opinją kraju, gdyż jest w zatargu z rządem. Lecz co będzie później? Kilka miesięcy „radosnej twórczości" może wystarczyć zupełnie na oddzielenie Kościoła od państwa i wytworzenie sytuacji analogicznej do tej, jaka była we Francji przed wojną. Już obecnie sypią się wnioski lewicy o zerwanie konkordatu, o śluby cywilne, nadzór państwa nad dochodami kościelnemi i t. d.

Wobec powagi zagadnienia należy bezstronnie „sine ira et studio", zastanowić się nad przyczynami klęski wyborczej z 1928 r. Nie można wszystkiego kłaść na karb rządu i B. B. Mogło to zaważyć w poszczególnych wypadkach, lecz w żadnym razie nie mogło być przyczyną tak wielkiej porażki. Trzeba pamiętać że lista № 1 w Królestwie otrzymała 20%, na Pomorzu i Wielkopolsce tylko 10%, podczas gdy w Małopolsce Wschodniej 40%, na Kresach Wschodnich aż 50%. W takiej Warszawie najwięcej sympatyków znalazła na krańcach miasta. Czyli, że

odebrała ona głosy nie tylko listom katolicko-narodowym, lecz także i radykalnym. A jednak pierwsze wyszły zdziesiątkowane, a drugie wzmocnione. Co jest powodem tego stanu rzeczy? Moim zdaniem stosunek poszczególnych stronnictw do wyborców.

Niektóre stronnictwa narodowe idą do wyborów pod hasłem religji, potęgi państwowej pod względem politycznym i gospodarczym. Za mało natomiast poświęcają uwagi potrzebom poszczególnych stanów. Taki program ogólny możeby wystarczył w średniowieczu... Człowiek nowoczesny już nie da się „brać" na same ideały. Więcej go obchodzą cła na towary, lub ceny na zboże. Smutne, lecz prawdziwe. Zawsze się mieszkańca wsi skusi ziemią, robotnika większą dniówką, a inteligenta pensją.

Położenie ekonomiczne naszego kraju, podobnie jak i całej Eurowy, jest ciężkie. Przemysł coraz trudniej znajduje zbyt w kolonjach wobec konkurencji zaoceanicznej. W takiej sytuacji każda warstwa społeczna szuka obrony swych interesów w odpowiedniej organizacji. Zbyt wiele tą drogą zyskał proletarjat, żeby o tem zapomnieć. Widzi to inteligencja, która też stara się skupić. Coraz więcej na wybory zaczynają mieć wpływ sprawy ekonomiczne. Partje idące pod znakiem walki o poprawę bytu zyskują powodzenie. P.P.S. powiększyła ilość mandatów z 44 na 63, Chrześcijańska demokracja z 40 spadła na 15, Zw. Lud. Nar. i Chrześcijańsko Narodowa ze 120 spadły na 37. Cyfry te mówią same za siebie.

Jak rozumują przeciętni wyborcy zilustruję to na autentycznych zdarzeniach. Na wsi zeszłego roku małorolny gospodarz w ten sposób ujmował swoje credo polityczne: „Teraz głosuję na Stronnictwo Chłopskie, gdyż mam kawałek ziemi i muszę trzymać z chłopami, gdy sprzedam zagrodę, będę jako robotnik w mieście głosować na partje socjalistyczne.

Przykład logiki miejskiej: Majster krawiecki twierdzi, że na skutek uchwały cechowej głosuje na Klub Narodowy, a córce jako urzędniczce radzi głosować na listę rządową, jedynkę. Wypadki takie możnaby mnożyć w nieskończoność. Jednak ktoś może zarzucić, że tak postępują ludzie niewyrobieni umysłowo, niedorośli do wzniosłej idei parlamentaryzmu. Dobrze, a pod jakiemi hasłami poszli do wyborów ziemianie? Czy przypadkiem czynnikiem decydującym nie była reforma rolna. Okazuje się,

że klasa o blisko tysiącletniej tradycji historycznej kieruje się temi samemi wskaźnikami, co proletarjusz, świeżo upieczony na wolnego obywatela. Interesy klasowe w większości wypadków decydują w akcji wyborczej. Z tem trzeba się liczyć.

W czasach „postępu" ideały nie popłacają i nie mają zbyt wielu wyznawców. Chcąc choć w części zrealizować swój program, należy być w zgodzie z rzeczywistością. Pod tym względem ciekawe rezultaty osiągnął Mussolini we Włoszech. Zorganizował społeczeństwo w związki zawodowe, których przedstawiciele zasiadaią w parlamencie. Obok haseł politycznych, postawił twardo tezę dobrobytu materjalnego. Jakie korzyści z tego połączenia zasad programowych osiągnęła idea religji i patrjotyzmu, wszystkim wiadomo.

Wybory 1928 r. powinny nas pobudzić do zorganizowania zawodowo wsi i miasta. Należy wyrwać monopol na „obrońców ludu" socjalistom. Tak jak przed półwiekiem, niech społeczeństwo zaprzęgnie się do pracy u podstaw!

Jako katolikom niewolno nam szerzyć nienawiści klasowej. Głośmy zasadę organizacji pracy zawodowej w imię podniesienia wydajności pracy i obrony słusznych interesów przed zachłannością silniejszych warstw społecznych. Po kilkoletnich doświadczeniach ludzie będą woleli skromniejsze i łatwiejsze do zrealizowania cele, niż komunistyczne utopijne „gruszki na wierzbie". W ramach zasad katolickich niech każdy ma, co mu się należy. Robotnik i inteligent zabezpieczenie na czas choroby i starości, małorolny kawałek ziemi, wystarczający, jako warsztat pracy i t. d. Niech zabiją żywszem tętnem kółka rolnicze i stowarzyszenia rzemieślnicze, chrześcijańskie związki zawodowe i t. d.

Wielką rolę może tu odegrać młodzież wiejska i miejska. Kto miał sposobnośc obserwować Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej ten wie, jak wielki wpływ one wywierają na swych członków. Młodzieńcom zarobkującym otwierają perspektywy pracy społecznej. Dzięki nim nie jeden agitator komunistyczny, lub wysłannik sekty zamorskiej musiał zabierać swoje manatki. Z nich wyjdą przyszli przywódcy ruchu chrześcijańsko-ludowego.

Należy tylko baczyć, aby w stowarzyszeniach praca była przeplatana rozrywką. Ta zasada z dobrym skutkiem jest stosowana u socjalistów, którzy każdy wiec łączą z częścią kon-

certową. Nawet od wrogów można się czegoś nauczyć. Przeszłego roku miałem sposobność obserwowania lewicowych kół młodzieży wiejskiej w sandomierskim. Co tydzień w innej wsi urządzano zabawy, na które schodzili się nie tylko członkowie, lecz i liczni mieszkańcy okolicznych wiosek. Bilety były w cenie 50 groszy. Urządzenie imprez było bardzo tanie, a sprawiało ludziom niewybrednym wielką przyjemność. Z ogromnym zainteresowaniem odbywały się zawody sportowe: rzuty kulą, biegi i skoki (place specjalne uważane były za zbędne). Potem zabawa taneczna na świeżem powietrzu przy dźwiękach harmonji, bębna lub skrzypiec.

Mogę zapewnić sceptyków, że uczestnicy lepiej się czuli i bawili, niż dygnitarze na urzędowym balu w ratuszu. Stowarzyszenie musi być ośrodkiem, skupiającym członków nietylko dla wysłuchania, nużącego poważną treścią wykładu, lecz i dla kulturalnej rozrywki. Połączenie pożytku z przyjemnością pociągnie masy, usunie anemję z organizacji. Rozwój takich organizacji ma olbrzymie znaczenie pedagogiczne dla całego społeczeństwa.

Józef Lubicz.

Odświeżmy stare wspomnienia...

Nie jest naszym zamiarem pisać recenzję książki kapitana Fr. Mac Cullagh'a p. t. Prześladowanie Chrześcijaństwa przez bolszewizm rosyjski (tłumaczyła z angielskiego K. Iłłakowiczówna, Kraków 1924. Nakładem wydawnictwa ks.ks. Jezuitów) Książka ta bowiem ukazała się przeszło 5 lat temu i spotkała się już z pochlebną oceną na łamach prasy polskiej i zagranicznej.

Nie możemy się jednak powstrzymać, aby nie przypomnieć naszym czytelnikom o tej nadzwyczaj interesującej książce, malującej tak barwnie i plastycznie — tak ściśle rzeczowo i objektywnie prześladowanie prawosławia i katolicyzmu w Rosji Sowieckiej w latach 1922 i 1923 i interesujący specjalnie nas Polaków proces ks. arcyb. Cieplaka, ks. Budkiewicza i ich bohaterskich towarzyszy. Książka rzucająca tak jasny snop światła na stosunki w Rosji, tak ciekawa, że, czytając ją, trudno się wprost od niej oderwać. Stanowczo, powinien ją przeczytać od deski do deski każdy inteligentny katolik w Polsce, winna się znaleźć na półkach wszystkich nasżych bibljotek i czytelni.

Książka ta nasuwa uważnemu czytelnikowi szereg uwag i refleksyj, z których można wyciągnąć wnioski, niekoniecznie związane bezpośrednio z Rosją Sowiecką. To bowiem, co obserwujemy w Rosji może mieć miejsce w mniejszym lub większym stopniu i w innych krajach...

Niezmiernie charakterystyczne i pouczające są dzieje walki z Cerkwią rosyjską. Wyrok śmierci na Cerkiew został w Kremlu podpisany już w r. 1918, gdy tylko bolszewizm poczuł się mocno w swoich pozycjach. Różnica zdań dotyczyła tylko metod działalności. Gdy pewna część sztabu komunistycznego chciała odrazu zastosować w całej rozciągłości zasady ateistyczne i zabronić prawnie wszystkich zewnętrznych aktów kultu religijnego w myśl popularnego hasła „Bezbożnika": „Załatwiliśmy się z carem ziemskim; teraz zabierzemy się do carów niebieskich" — pozostała część, uważając Cierkiew za trupa, który sam się w proch rozpadnie i nie chcąc utrudniać sobie sytuacji na terenie zagranicznym, wolała ograniczyć się na razie do propagandy antyreligijnej w prasie i na zebraniach publicznych oraz do systematycznego ograniczania i krępowania kultu za pomocą szykan administracyjnych.

Walka bardziej zdecydowana rozgrywa się w latach 1922/23. Cerkiew nie zostaje zniesiona, lecz opanowana przez komunizm. Snać na czele Sowietów stoją ludzie orjentujący się dobrze w nastrojach mas i znający nieco historję Cerkwi za czasów carskich, jej ścisłą tradycyjną zależność od władzy państwowej, jej uległość w stosunku do władzy świeckiej. Cerkiew zniesiona dekretem sowieckim istniałaby nadal w innych tylko formach (tak samo, jak prawo własności) i stałaby się może na długie lata ośrodkiem, skupiającym opozycję antysowiecką, zwłaszcza, że sympatje mas, przedewszystkiem wiejskich byłyby w tym wypadku niewątpliwie po jej stronie. Cerkiew natomiast, której władza została opanowana przez kreatury Sowietów, staje się raczej narzędziem podatnym w ich ręku, tracąc przytem wszystkie swoje walory moralne i narażając się z czasem na całkowitą utratę miru wśród ludu, o co właśnie chodzi czerwonym przywódcom.

I dlatego w r. 1922 wydano tak bezlitosną walkę ówczesnemu zarządowi Cerkwi z patryarchą Tichonem na czele w momencie i na terenie najbardziej dogodnym dla napastnika. Bolszewicy odznaczają się niesłychaną umiejętnością wyzyskania na

swoją korzyść wewnętrznych klęsk Rosji. Tak stało się i w tym wypadku. Klęska głodu, panująca wówczas w Rosji, posłużyła im, jako pretekst do zadania Cerkwi stanowczego ciosu. Wiadomo przecież było z góry, że dekretowi, konfiskującemu rzekomo dla głodnych wszystkie przedmioty wartościowe, znajdujące się w domach modlitwy, a więc i naczynia poświęcone, patryarcha będzie się musiał przeciwstawić że względów kanonicznych (w kościele prawosławnym nie wolno osobom świeckim dotykać rzeczy poświęconych). Patryarcha Tichon postąpił w sposób najbardziej lojalny i ostrożny, ograniczył się tylko do zakazania duchowieństwu podpisywania protokułów, przekazywujących świeckim rzeczy poświęcane. Inaczej postąpić nie mógł. Zakaz ten jednak był dla czerwonych zbrodniarzy wystarczającym hasłem do wprowadzenia w życie dalszych części szatańskiego planu.

Konfiskata zostaje dokonana, a wszyscy duchowni, opierający się jej uwięzieni i skazani częściowo na śmierć, a częściowo na więzienie. Równocześnie ukazują się na widowni ci, którzy służą Sowietom za narzędzia do opanowania zarządu Cerkwi, którzy dla osobistej karjery zdradzili Cerkiew prawosławną, oddając ją pod panowanie Sowietów. Oto nazwiska najwybitniejszych zdrajców: Antonin, Leonidas, Krasnickij—twórcy „żywej cerkwi".

Dalsze wypadki toczą się już utartym torem. Patryarcha Tichon zostaje internowany poza Moskwę, zarząd nad Cerkwią przechodzi w ręce zdrajców, jednym słowem, jak pisze kapitan Fr. Mac Cullagh—„Cerkiew prawosławna... została opętana przez demona, który wstąpił do pałacu patryarchalnego, ogarnął swą władzą całą kościelną organizację, ujął tryby, które nią poruszają i w chwili obecnej z poza zasłony przybytku Świętego Świętych, głos tego ducha przemawia do wiernych. Jest to demon bolszewicki, Sobór cerkiewny, przezeń natchniony, który zasiadał w maju 1923 r. w cerkwi Spasa w Moskwie, oficjalnie udzielił swego błogosławieństwa bolszewizmowi, który w tej chwili posiada faktycznie sankcję kościelną". Nieco później sam patryarcha Tichon, odsunięty od władzy i przemęczony licznymi szykanami i sztuczkami oświadcza publicznie, że „przyjął w całości program sowiecki".

* * *

W tak niesławny sposób Cerkiew została pokonana i poszła w służbę czerwonego demona. Tylko tych kilkudziesięciu skazanych za opór przy konfiskacie naczyń kościelnych ratują częściowo jej opinję wobec historji.

Nie wahamy się przypominać tych faktów z przed 6 laty, sądzimy bowiem, że poza nielicznymi jednostkami, specjalnie interesującymi się tym zagadnieniem, niewielu ludzi w Polsce znalazło czas na analizę, metod walki, jakimi posługiwał się rząd sowiecki w walce o ujarzmienie Cerkwi. Sam fakt, że z wydawnictw, które ukazały się w tej sprawie na polskim rynku księgarskim, książka kap. Mac Cullagh'a, Anglika jest bodaj najdokładniejszym obrazem sytuacji—mówi sam za siebie.

Coś podobnego możnaby powiedzieć o słynnym procesie duchowieństwa katolickiego w Moskwie z ks. Arcybp. Cieplakiem i ks. prałatem Budkiewiczem na czele. Sama wiadomość o bestjalskim wyroku i o straceniu ks. Budkiewicza wywołała w Polsce odruch oburzenia, a nawet gdzie nie gdzie — manifestacje. Pozatem jednak „opinja katolicka" szybko się uspokoiła i przeszła nad faktem do porządku dziennego. Można powiedzieć, że większość polaków nie zdaje sobie po dziś dzień sprawy z międzynarodowego znaczenia tego procesu, który rzucił snop światła nietylko na stosunki w Rosji Sowieckiej, ale na znaczenie i siłę Kościoła Katolickiego, na niespożytą energję, wierność i niezachwianość jego wyznawców, którzy w obcym kraju i wśród wrogich żywiołów, zdobyli się na stanowisko bohaterskie, tak jaskrawo odbijające od Cerkwi Prawosławnej, która zachwiała się i ustąpiła pod ciosami Sowietów. Prawdziwa duma musi ogarnąć każdego katolika, gdy przeczyta ustęp książki Mac Cullagh'a, charakteryzujący stanowisko Kościoła Katolickiego w Rosji wobec antyreligijnego systemu Sowietów:

„W tym samym—pisze objektywny protestant angielski — czasie kiedy Cziczerin oświadczył arcybiskupowi genueńskiemu, że katolicyzm w Rosji używał takiej samej wolności, jak w Ameryce, arcybiskup Ropp, metropolita mohylowski, przebywał na wygnaniu. Bolszewicy najsamprzód uwięzili go, poczem wymienili na Karola Radka, wówczas uwięzionego w Niemczech. W tym samym czasie już się zaczęły były pierwsze szykany w stosunku do arcb. Cieplaka. Trudności piętrzyły się dokoła trzech dekretów sowieckich. Pierwszy to dekret według któ-

rego dwudziestu parafjan każdego kościoła miało podpisać kontrakt dzierżawy świątyni w celach kultu, czem uznawałoby się, że prawnym właścicielem majątku kościelnego jest rząd sowiecki, czy też państwo. Drugim dekretem był dekret, konfiskujący wszelkie naczynia i kosztowności kościelne na rzecz głodnych. Wreszcie trzecim dekretem był dekret zabraniający nauczania dzieci i młodzieży religji.

Arcybiskup Cieplak, człowiek o nieskazitelnej prawości sumienia, miał mocne przekonanie, że nie wolno mu ustąpić na żadnym z tych trzech punktów. Żądał więc od księży dalszego nauczania dzieci katechizmu, zwlekał z wydaniem naczyń kościelnych, jedynych kosztowności, jakie jego kościoły posiadały i nie pozwolił podpisywać kontraktów dzierżawy na budynki kościelne, dopóki nie przyjdzie na to przyzwolenie z Rzymu. Odpowiedź stamtąd zresztą na skutek trudności stosunków ze Stolicą św., przyszła dopiero po roku. Jest godnem uwagi, że mimo pięcioletnich wysiłków nie udało się bolszewikom przeciągnąć na swoją stronę ani jednego z wiernych, już nie mówiąc o księżach.

Ta porażka bolszewików była wynikiem nietylko karności, jaka panuje w Kościele Katolickim, lub przekonania, że arcybiskup rzuciłby klątwę na każdego, ktoby wszedł w układy z bolszewikami, ale—jeszcze bardziej szacunku, jakim gminy katolickie zwykły otaczać swoich kapłanów. Ci ostatni byli jedynemi kapłanami, z wyjątkiem prawosławnych, którzy przez cały okres terroru nie opuścili swych stanowisk. Wszyscy inni — Niemcy, Szwedzi, Anglicy, Szwajcarzy ect. wyjechali. Pozostali tylko katoliccy księża, chociaż, byłoby im bardzo łatwo opuścić swe parafje i uciec do Warszawy lub Rzymu. Nie tylko zaś pozostali w Petersburgu i Moskwie, ale w każdym miejscu, gdzie w Rosji były katolickie kościoły. Kiedy w styczniu 1920 r. znajdowałem się w Syberji, wśród warunków, które na innem miejscu opisywałem, spotkałem kościoły katolickie, fukcjonujące w każdym mieście wzdłuż kolei syberyjskiej. Akolita zapalał świece na ołtarzu o wczesnym poranku, a ksiądz odprawiał tę samą mszę, która odprawiona jest codziennie w Kordyljerach, na Tapiti, w Manilli, w głębi Chin, w bazylice św. Piotra, w Notre Dame de Paris, w Londynie, na owianych burzą morską Hybrydach, Nowym Jorku, a odprawiał ją z takim spokojem, jakgdyby fale rewolucji nie biły z rykiem o mury jego kościoła.

W tej punktualności i tym spokoju czuło się wielką siłę. Przejmujące wrażenie biło od dokładności tego systemu, tak mało zależnego od ludzkiej woli, jak bieg słońca, codziennie powstającego, po nocy”...

Tenże sam wybitny publicysta angielski w swojej najdokładniejszej i najbardziej szczegółowej monografji o procesie polskich księży—kreśli w sposób zupełnie objektywny, z małą dozą uczucia i raczej z flegmą właściwą swemu narodowi—następującą sylwetkę głównego bohatera procesu ś.p. ks. prałata Budkiewicza:

„Prałat Budkiewicz, jedyny z księży, którego stracono był typem uprzejmego i zręcznego księdza, jakiego spotyka się w Kościele rzymskim stale zarówno dzisiaj, jak za czasów kardynała Wolsey i wielkich opatów. Tacy księża są równie niezbędni Kościołowi, jak jednostki ascetyczne i kontemplacyjne, a niektórzy z pomiędzy nich — jak Ambroży medjolański, Antoni florencki i Grzegorz Wielki — byli nie tylko świętymi, ale doskonałymi organizatorami i wybitnymi dyplomatami. „Dary są różne ale duch jest jeden”. Wzrostu średniego i dobrej tuszy, prałat Budkiewicz najbardziej ze wszystkich obecnych w sądzie wyglądał na Anglika. Sądząc powierzchownie z cery i sposobu zachowania się, cieszyć się musiał doskonałym zdrowiem, z którem zawsze idzie w parze swoboda ruchów i łatwość wymowy. Faktycznie jednak cierpiał przy końcu życia na jakąś wewnętrzną chorobę, ktora nieraz przyprawiała go o dotkliwe bóle. Zapewne nabawił się jej był podczas strasznej zimy roku 1919 wskutek fatalnego odżywiania... Prałat miał jasne błyszczące oczy, pełną, rumianą twarz, doskonale zawsze ogoloną, cerę delikatną i bez zmarszczek jak cera dziecka, sympatyczny uśmiech i małe białe ręce. Ubrany był w dobrze skrojoną sutannę z fijoletową wypustką oznakę wyższej godności, maniery miał bardzo wykwintne i wyglądał na człowieka skrupulatnie czystego. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast, niż ten, jaki zachodził pomiędzy tym księdzem a brudnymi, długowłosymi bolszewikami, zasiadającymi w sądzie i obecnymi na sali, lub nawet tą częścią rosyjskiej arystokracji, która pozostała w Moskwie, a która swym zaniedbanym wyglądem daje świadectwo rozpaczy nad ruiną świata, do jakiego należała w przeszłości. Ks. Budkiewicz wyglądał na człowieka, którego świat

nietylko nie rozpadł się w gruzy, ale nawet nie zadrżał w posadach. Wydawał się być równie pewien swych zasad i równie mało skłonny do jakichkolwiek kompromisów z przejściowem szaleństwem otoczenia, jak gubernator angielski na Złotym Brzegu, któremuby zaproponowano, aby złożył hołd fetyszów i zaczął chodzić nago w opasce na biodrach.

Od pierwszego wejrzenia, jakie rzuciłem na ks. Budkiewicza, zrozumiałem, dlaczego doprowadzał bolszewików do takiej furji, że nic oprócz śmierci jego nie mogło ich zadowolić. Był on nietylko sam niewzruszony, ale (zdaniem bolszewików) jego stanowisko udzielało się innym. W sposobie zachowania się — jak na Słowianina — niezmiernie chłodny i skąpy w ruchy; mówiąc nie robił gestów i nie poruszał się zupełnie. Pomimo to, w rozmowach prywatnych wykazywał dużo humoru.

Okoliczności zmusiły go do panowania nad sobą, lecz w jakiś niewytłomaczony sposób wyczuwało się, że mógł był przeszyć bolszewickie teorje satyrą, ostrą jak szpada. Jest to prawdziwa ironja losu, że o „Leninizmie" piszą i mówią prawie wyłącznie cudzoziemcy, którzy nic o nim nie wiedzą, lub Rosjanie, których długi pobyt zagranicą pozbawił znajomości rzeczy. Ten zaś wybitny człowiek, znający nawskroś czerwoną Rosję, zrazu nie mógł się na ten temat wypowiedzieć, potem zaś zginął od kuli oficjalnego mordercy i nic objawić światu nie zdążył.

Głos jego brzmiał bardzo subtelną ironją, kiedy robił wzmianki — a czynił to kilkakrotnie w ciągu procesu — o wielkich i znakomitych zasadach wolności wyznania, które rząd bolszewicki ogłosił urbi et orbi w 1918 r. i zwracał uwagę na wewnętrzne sprzeczności, jakie zawierają się w dekretach sowieckich. Mógł był zresztą na ten ostatni fakt położyć znacznie większy nacisk, gdyż prawodawstwo bolszewickie jest jednym stekiem sprzeczności, a nawet zwykłe statystyki, ogłaszane przez różne urzędy sowieckie, zawierają błędy w dodawaniu, które jednak byłoby niebezpiecznie wytykać.

Możnaby przypuszczać, że tego rodzaju przedstawiciel Kościoła wygłaszać zwykł był pełne erudycji odczyty i subtelne kazania. Wbrew jednak spodziewaniu, kazania, jakie ks. Budkiewicz miewał co niedziela w kościele św. Katarzyny, bywały zawsze bardzo proste i traktowały specjalnie o miłosierdziu

chrześcijańskiem. Kiedy w czasie odczytów w sali przy kościele przerywano mu ze strony nie katolików ks. Budkiewicz zawsze traktował swych oponentów z całą łagodnością i wyrozumiałością... Ks. Budkiewicz, będąc człowiekiem pochodzenia szlacheckiego i wysokiego wykształcenia, pozostał dobrowolnie w Piotrogrodzie, nie chcąc opuścić biednych robotników i ich rodzin, podczas gdy różni polscy książęta, generałowie, piękne damy i „inteligencja" opuścili miasto, narówni z zagranicznymi dyplomatami i kupiectwem. W ciągu trzydziestu lat swej kapłańskiej pracy, przeważnie przebywał wśród ubogich, nie tylko ucząc religji i czyniąc miłosierdzie, lecz podnosząc swe owieczki narodowo i społecznie. Mówiąc o narodowości, mam na myśli narodowość polską, bo ks. Budkiewicz przez całe życie był szczerym i gorącym polakiem. W szkołach które zakładał w Piotrogrodzie, tysiące dzieci kształciły się na dobrych obywateli i katolików. Kierując się patrjotyzmem i w przekonaniu, że rosyjski system wychowania szerzy demoralizację, księża nie wychowywali dzieci polskich na Rosjan.

Ks. Budkiewicz starał się także o podniesienie społecznego, umysłowego i politycznego poziomu uboższych z pośród swych parafjan, a większość ich należała do warstw pracujących. Czynnie popierał tę wspaniałą instytucję, mającą na celu popularne nauczanie, Macierz Szkolną. Dzięki jego pracy powstała Chrześcijańska Demokracja wśród mas pracujących w Rosji i głęboko zapuściła korzenie. Był patronem i opiekunem wszystkich polskich stowarzyszeń dobroczynnych, jakie w ciągu dwudziestu lat w Rosji powstały. Jedno z nich, którem interesował się w szczególniejszy sposób, miało za zadanie wyławianie z ulic piotrogrodzkich żebraków polskiej narodowości i koncentrowania ich w specjalnym przytułku przy kościele, gdzie badano ich potrzeby i udzielano skutecznej pomocy.

Ks. Budkiewicz nie był ciasnym nacjonalistą, czego zresztą dowiódł wyraźnie przez swą kapłańską działalność. Zaraz po wybuchu rewolucji bolszewickiej, zaprowadził w Kościele św. Katarzyny kazania w języku rosyjskim. Kazania odbywały się raz w tygodniu i miały dać dowód nawróconym Rosjanom, że religja katolicka nie jest bynajmniej monopolizowana przez Polaków.

Ks. Budkiewicz urodził się w 1867 r., otrzymał święcenia w 1893 r., został proboszczem kościoła św. Katarzyny w 1906 r., prałatem w 1918 r. Był honorowym kanonikiem mohylowskim i członkiem Rady Administracyjnej diecezji mohylowskiej. Był jednym z najwybitniejszych katolików w Rosji i kierował parafją, która od dawnych lat była ośrodkiem katolickiego ruchu w tym kraju. W czasie wojny piastował godność wiceprzewodniczącego Polskiego Komitetu pomocy Ofiarom Wojny. Widzimy więc jak bogatem było żniwo jego życia. Niezadługo po zagarnięciu władzy, bolszewicy zmiarkowali, że ten grzeczny i dobrze wychowany ksiądz jest de facto prowodyrem całej opozycji — legalnej zresztą — jaką przeciwstawił nieprawdopodobnym dekretom sowieckim kler katolicki w Piotrogradzie. Wówczas zaczęto go tak prześladować, iż musiał jakiś czas ukrywać się w przebraniu świeckiem. Nastąpiła przerwa, która trwała aż do końca roku 1922, kiedy piotrogrodzcy bolszewicy postanowili za wszelką cenę zgubić ks Budkiewicza. Udało się im w zupełności doprowadzić te zamiary aż do krwawego końca, lecz nie daną im była satysfakcja oglądania strachu ani bladości skazanego, nawet w chwili, kiedy mu odczytano wyrok śmierci”...

Co za piękna biografja: krótka, objektywna i rzeczowa, dająca równocześnie i analizę i syntezę postaci. Uderzmy się w piersi. Czy znalazł się w Polsce publicysta, który podałby nam dokładniejszą sylwetkę tej postaci!

A przecież katolicyzm Polski może być dumny z ś. p. ks. Budkiewicza i winien czcić stale Jego bohaterską postać, jako wzór do naśladowania dla młodego pokolenia, jako żywy dowód szlachetności i tężyzny ideałów, które znalazły takiego męczennika.

Zaiste, wielki jest Kościół, który ma takich wyznawców. Jeśli czcimy słusznie w akademjach, pomnikach i publikacjach bohaterską postać ks. Skorupki, który zginął z krzyżem w ręku na polu chwały, zagrzewając wojska do walki z wrogiem Chrystusa i Narodu—z równą słusznością i uzasadnieniem winniśmy pamiętać o drugim kapłanie — bohaterze, który, znajdując się w samej paszczy czerwonego Molocha, nie zachwiał się ani na moment w swojej wierności i odwadze, lecz zginął ofiarnie na posterunku szczytnej pracy katolicko-społecznej i narodowej.

Pozbawiony był nawet pogrzebu chrześcijańskiego. Nad grobem jego nie zagrzmiały zaszczytne salwy plutonu honorowego, ani wojskowe fanfary, głoszące pośmiertny tryumf bohatera, zginął gdzieś w lochu ciemnym, zamordowany skrytobójczą kulą...

Tem większy jest wieniec jego zasługi wobec całego Chrześcijaństwa, a szczególnie katolicyzmu polskiego.

S. J. K.

Idea morska w Polsce odrodzonej.

Czasy wzmagającej się coraz silniej ekspansji morskiej, jakie rozpoczęły się w pierwszej połowie XVIII-go stulecia, zastały Polskę w okresie upadku, a potem niewoli. Naród, przygnieciony potrójnem jarzmem zaborców, musiał wytężać wszystkie siły na nieubłaganą walkę o wiarę, język i, wreszcie, ziemię. Zagadnienie morskie zasnuło się zupełnie mgłą.

Tymczasem w wieku XIX-ym zaczęła święcić swe pierwsze triumfy zasada tworzenia państw narodowych w postaci zjednoczenia się Niemiec, scalenia Włoch i wskrzeszenia Bułgarji, Serbji i Grecji. Świeżo powstałe, lub zmartwychwstałe państwa szybko stawały na arenie zapasów ekonomicznych. Olbrzymie znaczenie morza, tej najdogodniejszej i najtańszej arterji komunikacyjnej, występowało w tych zapasach w całej pełni. Rozpoczynał się w dziejach ludzkości nowy okres „oceaniczny", trwający dotychczas.

To znaczenie morza, stanowiącego nieodzowny czynnik w niezależności ekonomicznej, a co za tem idzie, i politycznej, nie mogło ujść uwagi tych nielicznych światlejszych umysłów w Polsce, jakie się zajmowały podówczas zagadnieniami politycznemi, dążąc jako do ostatecznego celu, do odzyskania niepodległości. Wśród tych ludzi na pierwszem miejscu postawić należy w końcu XIX-go stulecia: Jana Popławskiego, ucznia jego i następcę wśród prawicy, Romana Dmowskiego, a z przywódców lewicy Bolesława Limanowskiego. Niezależnie od różnic w przekonaniach politycznych, jakie dzieliły pierwszego i drugiego od trze-

ciego, wszyscy trzej głosili, iż podstawą niezależności jest zjednoczenie dzielnic rozbiorowych, i wszyscy trzej zwracali przedewszystkiem uwagę na zabór niemiecki, rozumiejąc pod nim nietylko Poznańskie i Śląsk, lecz również Pomorze, oraz część Prus Wschodnich.

W tym samym mniejwięcej czasie rozpoczął opracowywanie swych dzieł historycznych o dawnem polskiem zagadnieniu morskiem Adam Szelągowski. Prace jego: „Walka o Bałtyk" i „Wielka Wojna Pruska" budziły zainteresowanie w kołach naukowych i nasuwały refleksje.

Jednocześnie prawie powstała w Polsce nowa kwestja, ściśle związana z zagadnieniem morskiem, — wychodźctwo do Brazylji i Stanów Zjednoczonych. Przeważająca większość inteligentnego ogółu widziała w niem jedynie ogałacanie kraju z żywiołu polskiego, a rzadko komu przyszło do głowy, że owe rzesze emigrantów, przy zmienionych warunkach politycznych, mogłyby się stać nietylko rozsadnikami polskości w krajach zamorskich, lecz i pionierami w zdobywaniu odległych rynków zbytu dla naszego przemysłu i handlu.

Mimo jednakże tych przebłysków świadomych i mimowolnych idea morska była w zupełności obca dla szerokich mas inteligencji, nie mówiąc już o reszcie narodu. W takim też stanie zastała tę ideę w Polsce Wielka Wojna Światowa i wskrzeszenie Rzeczypospolitej.

Jak powszechnie wiadomo, rozwój idei morskiej, t. j. wyzyskanie morza pod względem komunikacyjnym (podróże) i eksploatacyjnym (rybołóstwo) zależy od trzech warunków:

1) położenia geograficznego danego kraju; innemi słowy, aby posiadał on granice morskie;

2) charakteru jego wybrzeża morskiego; mianowicie, aby to wybrzeże było z jednej strony dostępne do morza, posiadając dogodne porty, a z drugiej, aby było dobrze połączone siecią dróg z resztą kraju, który tworzy w tym wypadku tak nazywane „zaplecze" owego wybrzeża (niem. Hinterland);

3) ludności; rzecz jasna, iż liczna, przedsiębiorcza, rdzennie narodowa, a przytem zwiększająca się ludność zarówno na samem wybrzeżu, jak i w reszcie kraju pomaga rozwojowi spraw morskich, które potrzebują licznego, energicznego i narodowo usposobionego zespołu.

Odrodzona Rzeczpospolita odzyskała wąski pasek wybrzeża morskiego, nie posiadający, poza przyznanym jej połowicznie zniemczonym Gdańskiem, ani jednego portu we właściwem tego słowa znaczeniu, ale odzyskała Pomorze, najściślej zespolone geograficznie, etnograficznie i orograficznie z resztą macierzy i posiadła liczną, spragnioną niepodległości i zwiększającą się po pół miljona głów rocznie ludność.

Na pomoc rozwojowi idei morskiej wystąpiły dwa zdarzenia: wojna z bolszewikami 1918—21 r. i strajk górników w Anglji. w 1926 r. Pierwsze z tych zdarzeń, kiedy niepodległy byt odrodzonej Polski wisiał na włosku, unaocznił ludziom, że jedyną pewną arterją komunikacyjną dla dowozu zaopatrzenia wojennego, idącego od naszych sprzymierzeńców z Zachodu, i dla nadejścia możliwej pomocy jest droga morska, a nie kolejowa, wiodąca przez obce kraje i od tych krajów uzależniona. Drugie znów pokazało, że morzem najłatwiej i najtaniej przewozić nasz węgiel i zawojowywać w ten sposób rynki bałtyckie, skandynawskie, a nawet algieryjskie i egipskie, gdzie doniedawna panował niepodzielnie węgiel angielski. Od roku też 1926 datuje się w Polsce nowy, a stanowczy zwrot w dziedzinie zagadnień morskich.

Zagadnienie morskie składa się z trzech czynników:

1) wytwórczości danego kraju, która dostarcza przedmiotów na wywóz zamorski;

2) żeglugi, tworzącej linje okrętowe, któremi odbywa się wywóz;

3) kolonij zamorskich, będących rozsadnikami zbytu zarówno towarów wywożonych, jak i emigracji oraz rynkami podaży tych surowców, które są niezbędne dla wytwórczości kraju macierzystego.

W Polsce odrodzonej, po doświadczeniach wojny bolszewickiej i strajku angielskiego, rząd i społeczeństwo przystąpiły zgodnie do otoczenia opieką wszystkich trzech czynników, o których mowa powyżej.

Przedewszystkiem wzięto się do należytego wyzyskania przyznanego nam wybrzeża, budując nowy port w Gdyni, rozszerzając istniejący w Tczewie i przeprowadzając nowe linje kolejowe, łączące odzyskane Pomorze z resztą Polski, a głównie ze śląskim śpichlerzem węglowym. Z kolei rzeczy zainteresowano się Gdańskiem i umiejętną polityką wciągnięto go w orbitę gospo-

darczą polską. Następnie stosowaniem ulg kolejowych skierowano cały prawie nasz ruch zamorski, odbywający się dotychczas przez porty niemieckie Bremę, Hamburg i Szczecin, na nasze porty: Gdynię i Gdańsk.

W dziedzinie żeglugi przystąpiono do tworzenia marynarki wojennej i handlowej. Pobite Niemcy musiały wydać dywizjon torpedowców, zakupiono w Danji i Finlandji kanonierki i trawlery, a we Francji zamówiono konr-torpedowce i łodzie podwodne. Uruchomiono polską flotę handlową przez powstanie rządowego przedsiębiorstwa żeglugowego pod nazwą: „Żegluga Polska". W krótkim czasie powstały towarzystwa prywatne, jak Polsko-Brytyjskie i Polsko-Skandynawskie. Personelu fachowego jęły dostarczać szkoły w Toruniu (wojskowa) i w Tczewie (handlowa).

Sprawy kolonjalne rozłożono na daleką metę. Przedewszystkiem uporządkowano zagadnienia emigracyjne przez utworzenie specjalnego państwowego urzędu emigracyjnego, który zajął się odpowiedniem skierowywaniem emigracji, głównie do Brazylji, a ostatnio do Peru. W Peru rząd i towarzystwa prywatne zakupiły dochodzące do miljona hektarów obszary, przeznaczone wyłącznie dla polskich wychodźców. W ten sposób rzesze emigrantów będą pracowały w dużych skupieniach i na ziemi, stanowiącej własność polską.

Zrozumienie zagadnienia morskiego nie dało na siebie długo czekać. Wywóz morski, wynoszący parę procent zaledwie w ogólnym wywozie Rzeczypospolitej w 1924 r., dosięgnął w 1928 r. prawie 40%. Za węglem drzewo, cement, cukier i artykuły żywnościowe polskie zjawiły się na statkach pod polską banderą nietylko w portach bałtyckich, lecz nawet włoskich, francuskich i afrykańskich. Nowe ożywcze tchnienie, tchnienie wiatru od morza przeciągnęło nad odrodzonem państwem, wskazując mu drogę do dalszej potęgi i chwały.

Inż. Witold Hubert.

Ś. p. ks. dr. Karol Sonnenschein.

Nawiązując do naszego artykułu o przedwojennym ruchu społecznym w Niemczech (cf. Pro Christo, luty 1929), wypada nam obecnie zanotować śmierć jednego z czołowych działaczy społecznych katolickich Niemiec, ś. p. ks. dr. Karola Sonnen-

scheina. Pozwolimy sobie podać poniżej notatkę pośmiertną z wiedeńskiego tygodnika „Schönerc Zukunft", nr. 22 z 3 marca 1929 r. Czytamy tam na str. 467/8:

„Dnia 20.2.29 umarł w Berlinie wybitny katolicki duszpasterz i organizator, ks. dr. Karol Sonnenschein. Urodził się w roku 1876, jako dziecko nadreńskiej rodziny robotniczej. W roku 1900 otrzymał święcenia kapłańskie, poczem rozpoczął w Elberfeldzie swą praktykę duszpasterską. Niebawem brał żywy udział w pracy, jaką nad katolickiemi Niemcami roztaczał t. zw. Volksverein, a w roku 1906 widzimy ks. S. w München — Gladbach na stanowisku kierownika Sekretarjatu Społ. Pracy Stud. („Sekretariat sozialer Studienarbeit"), którego celem ostatecznym było stworzenie porozumienia między robotnikiem a akademikiem. Przed wojną zakładał ks. Sonnenschein przeszło 300 związków wakacyjnych, urządził pokaźną ilość kursów naukowych dla robotników, organizował mnóstwo wystaw i ponad 40 centrali Społecznej Pracy Stud. Organem jego wybitnej ruchliwości były „Soziale Studentenblätter". W czasie wojny, za pośrednictwem tego czasopisma jak i różnych ulotek, pozostawał ks. S. w ścisłej łączności z około 8000 akademików — zwolenników tego ruchu, będących na froncie. W roku 1918 zmarły objął Sekretarjat Społ. Pracy Stud. w Berlinie, pracując równocześnie całym wysiłkiem nad utworzeniem skutecznego, wpływowego duszpasterstwa wielkomiejskiego. Organizował parafje berlińskie, stworzył z czasopisma: „Berliner Kirchenblatt" wzorowy tygodnik katolicki, pod względem formy i skuteczności do dziś niedościgniony, ufundował wreszcie wspaniały, sprawny system opieki społecznej. Dziennie podobno czterdziestu przychodziło do ks. S. takich, co szukali pomocy, a dla każdego z nich miał gotową pomoc specjalną, osobistą, bez względu na stan i przekonanie biednego. Nie mniej znaczenia posiadała działalność ks. Sonnenscheina jako kaznodziei, jako mówcy porywającego i pisarza. Jego „Weltstadt betrachtungen", znane „Notizen", drukowane po raz pierwszy w Berliner Kirchenblatt, ukazały się w szeregu osobnych zeszytów i rozeszły się dotąd w 110.000 egzemplarzy. W tych to, może aż zbyt zwięzłych szkicach, o stylu prawie że telegraficznym, występuje jasno duch i myśl duszpasterskiej działalności ks. Sonnenscheina. Jako duszpasterz chciał on się przeciwstawić demonicznym trudnościom nowocze-

snego życia wielkomiejskiego, ale przeciwstawić się ze skutkiem, uznawał wszelkie środki nowoczesnej techniki i dzisiejszego systemu organizacyjnego, począwszy od kartoteki a skończywszy na lotnictwie, byle tylko dopiąć celu. A jednakże, skonstruowany przezeń aparat, tak dokładnie przemyślany ale i tak skomplikowany, nie przewyższał nigdy jego chrześcijańskiej osobistości. I to tylko pozwala nam zrozumieć ową głębię skuteczności jego poczynań, których nadludzkie wysilenia żądały ostatecznie ofiary jego cennego życia".

Świetne wspomnienie pośmiertne ku czci zmarłego działacza katolickiego napisał w numerze 23 „Shönere Zukunft" (z 10 marca 29) wydawca tego tygodnika, dr. Józef Eberle w artykule „Rosen auf einem Priestergrab. Zum Ableben des Studenten— und Grossstadtseelsorgers Dr. Carl Sonnenschein".

A. F. Kowalkowski.

Posiadający, a kwestja robotnicza.

Jedną z podstaw, na których powinna się, według socjologji chrześcijańskiej, wspierać, kwestja robotnicza, jest współpraca klas. „Przez nawoływanie stanów (robotników i przemysłowców) do wypełnienia obowiązków wzajemnych" przez stanowcze, a życiowo i naukowo uzasadnione twierdzenie, że „nie może istnieć kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału". Papież Leon XIII w „Rerum nowarum" stwierdza wielokrotnie, że warunkiem normalnych i owocnych stosunków pomiędzy pracą, a kapitałem jest współpraca ku pożytkowi ogólnemu. W zasadniczej z tem sprzeczności staje „nauka" socjalistyczna, opierająca swój byt na materjalistycznej walce klasowej. Wcześniej zabrawszy się do podboju warstwy robotniczej, socjalizm jest jeszcze na tym terenie dość silny. Lecz wystarczy, aby na krótki czas sam, bezpośrednio, lub przez zbliżone do siebie grupy, miał możność zailustrowania swych zasad w życiu społeczno-gospodarczem, aby wszędzie, przez swą pracę, zdziesiątkował własne szeregi. Przykłady mieliśmy i w Polsce. Żeby więc wyznawców socjalizmu gruntownie i bezapelacyjnie do własnej idei zrazić, wystarczyłoby zgodzić się nawet na krótkie, lecz powszechne, państwowe lub samorządowe kierownictwo socjalistów. Suche cyfry wskazują, że naj-

mniej socjalistów, w stosunku do ogółu ludności jest w Rosji. Lecz podobna lekcja poglądowa zbyt dużo kosztuje, by kraj kulturalny mógł sobie na nią bez obawy złych skutków pozwolić. Łatwy do przewidzenia wynik praktyczny urzeczywistnienia w życiu doktryny marksowskiej zmusił co lepsze żywioły do walki wszechstronnej z założeniami socjalizmu, występującego, czy to w postaci rewizjonizmu, czy komunizmu. Praktycy społeczni podjęli walkę z ideą walki klasowej na terenie pozytywnej pracy, zmierzającej do rozwiązywania kwestji socjalnej, której celem jest uwłaszczenie pracujących przy niezmniejszonej produkcji, a środkiem obrona robotnika przed wyzyskiem i współpraca klas. Przedmiotem kwestji robotniczej jest robotnik. O niego zaczęła się toczyć i nadal się toczy walka pomiędzy socjalizmem, a chrystjanizmem społecznym. Obóz współpracy klas coraz liczniejszych zyskuje wśród mas robotniczych zwolenników, a chrześcijańska myśl społeczna szerzy się i gruntuje. Praca zwalczająca barbarzyństwo duszy i umysłu niejednokrotnie zbawienny plon już wydała. Polska nie jest poza nawiasem tego zjawiska. U nas jest to zasługą młodego ruchu chrześcijańsko-demokratycznego, za którego przykładem ostatnio idzie cały obóz narodowy, deklarując, że „nietylko przedsiębiorca, ale także robotnik jest współwytwórcą i współdziałającym". To obowiązuje także i przy podziale dochodów, których wysokość w przyszłości nie będzie mogła, jak dotąd utrzymywać się w tajemnicy. Zadania są ogromne, a siły szczupłe. Wyzwolenie całkowite robotników nie będzie dziełem samych robotników i sprzymierzonej z nimi coraz liczniejszej inteligencji. Pomoc szersza jest niezbędna. Dotychczas można było zrobić tylko część zaledwie i w miarę sił organizować robotników, bronić przed wyzyskiem i nastawiać psychicznie do współpracy klas. Robotnik stoi z wyciągniętą do współpracy ręką, gdy posiadający trzymają swoje jeszcze w kieszeni. Sytuacja jest więc niepokojąca i szkodliwa, socjalistom tylko pomagająca. Druga strona także musi przystąpić do dzieła. Hasło współpracy klas musi się wypełnić treścią i obowiązywać nietylko robotników. Można było od nich zacząć, ale na nich skończyć — nie można. Są już dość liczne chrześcijańskie związki zawodowe robotnicze, ale i przez lunetę patrząc niesposób dostrzec choćby zaczątków chrześcijańskich organizacji posiadających. Istnieje polityka chrześcijańska, ale adeptami jej

są tylko robotnicy. Gdzie są —zapytać wypada—katolicy społeczni wśród przemysłowców, ziemian, kupców. lub bankierów? Gdzie zorganizowany ich czyn społeczny? gdzie wcielają oni głoszoną przez siebie współpracę z robotnikiem? Chrześcijańska akcja społeczna, to nie straż ogniowa, jak wielu mniema, przeciwko socjalistom, to znacznie coś więcej. Lecz i tego pośredniego nawet zadania obóz chrześcijański nie spełni, w całej pełni jeżeli nie znajdzie pomocy wśród lepiej sytuowanych materjalnie grup i jednostek. Jakież tedy istnieje rozwiązanie? Musi powstać szereg organizacji, katolików posiadających, którzyby chcieli i umieli prowadzić chrześcijańską politykę społeczną t. j. inicjować reformy, zwalczać wyzysk pracy, dać większą płacę, niż strajkiem wywalcza ją robotnik, aby w ten sposób realizować aksjomat chrześcijańskiej polityki ekonomicznej: współpracę klas i stwierdzać czynem, że jest ona nie hasłem przeciwsocjalistycznem, lecz pierwszorzędną zasadą życia społecznego. Dziś kapitał ustępuje. Czy nie lepiej byłoby więc, gdyby ustępstwa inicjował, a nie pod przymusem czynił im zadość? Wtedy osobiste rezultaty produkcyjne staną się pewniejsze, a produkcja narodowa skuteczniejszą będzie miała pieczę. Oczywiście robotnicy muszą współdziałać, żeby produkcyjność i rentowość kapitału nie uległa przez to zmniejszeniu. Posiadający powinni rozważyć słowa Leona XIII, że bynajmniej „nie pozostawiono im tego do woli, czy zająć się dolą warstw niższych, czy też o nią nie dbać, ale w tym względzie wiąże ich ściśle obowiązek. W społeczeństwie bowiem nie żyje nikt dla swojej tylko, lecz dla wspólnej wszystkim korzyści, tak dalece, że w czem jedni do dobra ogółu w odpowiedniej mierze przyczynić się nie mogą, w tem inni, których stać na to, tem hojniej przyczynić się muszą". Tego wymaga również interes własny klas posiadających, które nie mają żadnych praw do szczególnych przywilejów i wyróżnień, oprócz „możności skutecznego i bardziej ułatwionego służenia społeczeństwu",—zaś „ich prawa do kierownictwa sprawami społecznemi mierzy się wartością ich zasług". Chrystjanizm społeczny spełnia swe wielkie zadanie częstokroć wbrew woli patentowanych katolików.

Ale opór ten jest objawem nienormalnym i niemoralnym. Musi on więc być zlikwidowany, a im prędzej to nastąpi tem lepiej wyjdą na tem zainteresowani. W wysiłkach obozu chrze-

ścijańsko-społecznego ku rozwiązaniu zagadnienia społecznego wogóle, a stosunków wzajemnych pracy i kapitału w szczególności, posiadających zabraknąć nie powinno. *M. B.*

Sumienie i złoto w polityce.

Od kilku lat ludzkość jest świadkiem potwornych prześladowań religijnych w Meksyku. Zdawało się, że niema człowieka kulturalnego, któryby owych wypadków nie uważał za hańbę naszego wieku. Niestety, w ostatnich tygodniach dowiedzieliśmy się, że najpotężniejsze państwo na świecie, Stany Zjednoczone, poparły krwawych tyranów i ślą im amunicję, samoloty, a nawet pociągi pancerne. Naród, szczycący się umiłowaniem wolności, uważał za właściwe stanąć po stronie siepaczów Callesa. Wiecznie nienasycony „Wuj Sam", pomimo iż dusi się w nadmiarze złota i ma go tyle co reszta świata, postanowił jeszcze raz na wojennych dostawach zarobić. Chciwość zatryumfowała nad sumieniem. Powstanie dzięki interwencji zagranicznej dogorywa.

W wolnej Ameryce wiele się zmieniło od czasów wielkiego Franklina. Ideały wolnościowe zmieniono na brzęczącą, lub szeleszczącą monetę. Interes stał się bogiem, giełdy świątyniami, a bankierzy kapłanami.

Wobec wypadków meksykańskich stają we właściwem świetle ci nowocześni faryzeusze—rozmaite organizacje pseudoliberalne—które miały odwagę w 1919 r. państwu naszemu przesyłać protesty przeciw nieistniejącym pogromom. Dorobkiewicze przywdzieli togi katonów i zaczęli dawać lekcje humanitaryzmu i tolerancji. Usłyszeli wówczas wrzask kilku żydów, którym obcięto brody; dziś nie słyszą jęków tysięcy mordowanych w bestjalski sposób; podobnie jak nie chcieli nic wiedzieć o miljonach ofiar sadyzmu bolszewickiego.

Czyżby sądzili, że inna moralność obowiązuje narody, a inna jednostki. Wszak potępiają pojedyńcze zabójstwa, popierają zaś mordy masowe, o ile łączą się z nimi sute zarobki. Czyżby podobne postępowanie zgadzało się z pojęciem honoru „gentelmanów".

Szumne hasła patrjotyczne i humanitarne stają się tylko szyldem, pod którym czają się apetyty różnych królów naftowych, cynkowych i t. p. wampirów społecznych.

Nie wierzymy, aby ogół obywateli wielkiego narodu amerykańskiego hołdował takim zasadom. Fakt jednak, że największe wpływy posiadają właśnie tacy i że oni nadają ton polityce Stanów Zjednoczonych jest smutnym i znamiennym przejawem czasów dzisiejszych.

Józef Lubicz.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Adolf Retté.

II.

W samotnych przechadzkach po lesie czyta Dantego Boską Komedję. Czyta rozdział o czyścu, drugą pieśń, w której Dante i Virgili opuszczają piekło i zatrzymują się na brzegu tajemniczego morza u stóp Czyścowej Góry.

„Widziałem, mówi Dante, widziałem jasność, biegnącą z szybkością, której nie wyrówna lot żadnego ptaka. Gdy odwróciłem od niej moje oczy, ażeby spojrzeć na przewodnika mego i gdy je znów na nią zwróciłem, ujrzałem ją wyolbrzymioną i bardziej błyszczącą. A potem z obu stron owej światłości wyłaniać się poczęła jakowaś białość. Mistrz mój milczał, dopóki białość owa nie przybrała kształtu skrzydeł. Gdy rozpoznał przewoźnika łodzi, wykrzyknął: „zegnij, zegnij kolana, patrz, oto Anioł Boży! Złóż ręce—odtąd takich posłańców Boga widywać będziesz. Patrz, jak gardzi dziełami ludzkiemi! Ni wioseł ni żagli mu nie potrzeba, wystarczą mu skrzydła do przemierzania tych dalekich brzegów. Patrz, jak rozpościera je ku niebu, patrz, jak bije powietrze nieśmiertelnemi pióry. Im bardziej ten Boży Ptak do nas się zbliżał, tem bardziej zdawał się olśniewającym tak, że spuściłem wzrok niezdolny do wytrzymania tej wspaniałości. U steru łodzi stał wioślarz niebiański—promienny chwałą—a w łodzi z jakie sto dusz się mieściło. Wszystkie one, ra-

zem, zgodnie śpiewały psalm „In exodu Israel de Aegypto". A potem—Anioł uczynił znak Krzyża i wszystkie te dusze na brzeg się rzuciły. A on odszedł tak jak był przyszedł." Dante chciał tu przedstawić radość wiernych dusz, cieszących się tem, że w czyścu z win swych się oczyszczą i zasłużą na wieczne szczęście.

Obraz ten, olbrzymie wrażenie wywiera na naszym biednym niedowiarku-poecie. Jakieś niezmierne światło go oświeca. Dziwny niepokój owłada duszą. Pytanie: „A może Bóg istnieje" natrętnie powraca.

W rozmowie z przyjacielem, w zapatrywaniach swych przechylającym się ku katolicyzmowi, odnajduje swoje własne dręczące niepewności — ale zamiast skorzystać ze sposobności i wyjawić je tej przyjaznej duszy, zaczyna bluźnić i występować przeciw religji, wiedziony jakimś wewnętrznym przemożnym *przymusem*. Nie dość na tem, że utrwala przyjaciela w jego dawnych uprzedzeniach do Katolickiego Kościoła, ale jeszcze pisze bardzo zjadliwy i bluźnierczy artykuł przeciw Kościołowi.

Tejże samej nocy ma sen, a w nim wizję dantejskiego czyśca. W śnie tym znalazło się wszystko to, o czem czytał w nieśmiertelnej poezji Dantego. Morze szerokie, o błyszczących falach i góra czyścowa, której szczyt gubił się w tęczowej mgle —przez którą przenikały złote światła. Anioł rozwijający swoje skrzydła białe, łódź pełna dusz śpiewających psalm wyzwolenia. A dwaj poeci Dante i Virgili zwracali nań spojrzenia pełne nieskończonego smutku - podczas gdy rozbrzmiewały dźwięki muzyki, podobnej do szmeru wiatru pomiędzy drzewami. Serce biło mu przyspieszonem tętnem—parę chwil rozmyśla nad pięknością snu—wreszcie wielki wewnętrzny szloch rozpiera mu duszę. Jakby pod wpływem koniecznego, władczego nakazu, wyskakuje z łóżka, biegnie do biurka, porywa wczoraj napisany bluźnierczy artykuł i drze go w strzępy. Wreszcie powiada sobie: „wrócę do lasu i tam pośród świeżych leśnych powiewów, które tylekroć niosły mi osłodę, pośród okrytych kwieciem krzewów, zbadam duszę moją. Jeśli odkryję, że ona wierzyć pragnie—przysięgam—że bronić jej tego nie będę". W tejże chwili uczuwa spokój, wielka radość przepaja mu serce—i spokojnym usypia snem.

Szlachetne umiłowanie piękna i natury przygotowywało duszę na przyjęcie Łaski. Pod cieniem drzew ukochanego lasu—robi

rachunek sumienia dotychczasowych wierzeń swoich—słyszy *wewnętrzny* głos, że pozostaje mu tylko Bóg. Rozmyśla o Kościele, o jego trwałości, zaczyna rozumieć, że tylko nadprzyrodzony pierwiastek ożywia ten Kościół i zarazem pomimo tylu walk i prób prześladowań i zepsucia nawet niektórych jego ministrów czyni go niewzruszonym.

Oddycha z ogromną ulgą i poraz pierwszy od 15 roku życia z serca i ust wyrywa mu się modlitwa: „Boże! skoro istniejesz, przybądź mi z pomocą. Jestem człowiekiem dobrej woli, naucz mnie i oświeć!“ Od tej chwili już nigdy więcej nie przyszła nań wątpliwość odnośnie do tego, czy „Bóg istnieje?"

Uczuwa potrzebę i pragnienie poznania dobrze Katolickiej wiary, ale równocześnie panicznie lęka się rozmowy z jakimkolwiek księdzem.

W duszy zaczynają piętrzyć się trudności. Szatan podnosi głowę. W tej właśnie chwili wewnętrznych zmagań, ścieżką leśną przechodzi jakiś nieznany mu ksiądz. — Do uszu Rettego doleciały słowa jego głośnej modlitwy: „A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami”! Słowa te wymówione teraz właśnie, zdały mu się jakby objawieniem, objawieniem tego, że Bóg stał się człowiekiem, aby nas ratować, aby nas zbawić. Biegnie za księdzem — ale nie zdobywa się na rozmowę z nim — prosi go tylko o modlitwę.

Walka w duszy trwa dalej. Niestety, powraca do dawnych sideł i nałogów, do dawnych zmysłowych grzechów. Nie dziwmy się temu, wszak nie ma jeszcze pomocy Łaski, jaką daje Sakrament Pokuty i Sakrament Ołtarza.

Po tych nowych upadkach swoich, uczuwa jednak zawsze wielki niesmak.

Potroszę zaczyna jednak pracować nad sobą. Modli się i zaczyna nawet zwalczać niektóre pokusy. Łaska Boża tajemnie pracuje w tej duszy. Słowa Anielskiego pozdrowienia, zasłyszane w lesie na myśl mu wracają ciągle. Modli się. — Modli się o powodzenie spraw materjalnych i wysłuchanym zostaje. Jest jakby na pół nawrócony. Niema jednak odwagi wejść w mury Kościoła—Zdaje mu się, że wejście tam, takiego jak on grzesznika i bluźniercy, byłoby świętokradztwem. Opanowuje go melancholja i rozpacz. Wreszcie, wreszcie przychodzi chęć samobójstwa. Pisze wiersze o śmierci — wraca do Paryża, gdzie po-

nad wszelki wyraz czuje się nieszczęśliwym. Ach, biedna dusza!—Jakież w niej odbywają się zapasy!—Głos *wewnątrz* wciąż woła nań: „idź” do Kościoła, lub zginiesz”! Zabawą u kolegów probuje głos ten zagłuszyć. Pragnienie samobójstwa wciąż powraca. Nie mając swego ulubionego lasu błądzi po ogrodach Paryża. Pomimo tego okropnego stanu, pomimo tych uczuć rozpacznych, wciąż się modli — ale księży i konfesjonału ciągle się lęka. Wpływ kobiety „o oczach czarnych” jeszcze, niestety, trwa. Zmysły buntują się jeszcze. Zmysłowo jeszcze upada.

Politycznie związanym jest z Clemenceau, jednakowoż doktryny jego, oraz sposób, z jakim odnosi się do Kościoła, zaczynają go razić. — Uczuwa ciągłą konieczność myślenia o Bogu. Wciąż jednak lęka się wejść nawet do którego z Kościołów, aby go przez to nie sprofanować. Wreszcie decyduje się wejść. Tam jakaś *wewnętrzna siła każe* mu uklęknąć, ale *inna* siła nie pozwala na to, chce już uciec, aby pod tym wewnętrznym, przemożnym, *szatańskim* przymusem nie zacząć bluźnić. Ale znów *inna* siła go zatrzymuje. *Musi* pozostać. Schyla głowę przed ołtarzem i w duchu woła: „Boże! zlituj się nademną! choć jestem grzesznikiem, przyjdź mi z pomocą! i przyszło nań ukojenie.

Zwraca się do nawróconego przyjaciela swego, do Franciszka Copeé i częściowo zwierza mu się ze swej męki.

Te ciągłe tak wielkie walki wewnętrzne wpłynęły bardzo ujemnie na zdrowie biednego Retté. Dostaje silnych krwotoków i częstych, a silnych ataków sercowych. Bardzo zaniepokojony lekarz każe mu zamieszkać w willowej, podmiejskiej części Paryża, gdzie jest więcej zieleni i ogrodów. Retté jest przekonanym, że te fizyczne cierpienia dla dobra jego duszy są mu potrzebne. — A jednak; o, dziwna niekonsekwencjo jego biednych myśli! Znów pisze artykuł, tym razem przeciw cudom w Lourdes, w którym ubliża czci Najświętszej Panny!—Pisze dla tego, ponieważ artykuł ten już zdawna naprzód był mu zapłaconym!—Żałuje tego—modli się—powraca wreszcie do swego ukochanego lasu, wiedziony przeczuciem, że tu poza Paryżem odbędzie się jakiś zasadniczy przewrót w jego życiu. Wśród lasu, na górze, mało dostępnej, zarośniętej drzewami i plątaniną krzewów, wznosi się Oratorjum, mała kapliczka ze statuą Matki Boskiej Łaskawej, wzniesiona niegdyś przez jedną z okolicznych rodzin francuskich w podzięce za otrzymaną łaskę. (d. c. n.)

BIEDNYM.

Szedłem cicho pośród pól —
Hej! Którz zna tajemnice tej ciszy szemrzącej błękitem stykającego się nieba z szaro zielono porzniętą ziemią?
Szedłem —
tak, a zdało się, że duszy tak blisko do pustynnych prawie beznadziejnie pól —
czarowały mnie swą tajemniczą, a mało nieznaną dalą—
A bracia — murzyni?
O! tak chciałbym im nieść Chrystusa:
bo wiatr tam jeszcze pogańsko piaskiem sypie w oczy — a drzewa nie szumią tych naszych polskich, serdecznych kolend —
bo słońce nielitościwie żarem pali człowieka —
bo człowiek tam nie zna jeszcze Stwórcy swojego
Tak chciałbym im nieść Chrystusa, miłość —
serca uderzeniem, słowy, najmniejszem poruszeniem duszy—nieść miłość...:
— bo oni tacy biedni ..
a przecie i dla nich Bóg się narodził w Betlejemskiej tajemnicy swojej.. dla nich skonał...
O! nieść im krzyża zadatek! —
...a wokół była cisza...
bo któż zna tajemnice spokojnie wyciągniętych w dal pól—niosących moje myśli do biednych czarnych. .
— bo oni tacy biedni...
I żadne może serce nie uderzyło tej chwili dla nich, nikt o nich nie pomyślał tu — u swoich... —
A może —
— jakiś kwiatek pod moją stopą poświęcił swe życie Panu za nich...
— jakaś trawa rany ..
Boże! i to dość dla Ciebie, byle tylko ze szczerego serca —
...a oni tacy biedni...

Terezjusz Sot.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Działalność Społeczna „Odrodzenia“ na terenie poznańskim.

Młodzież nie spełnia obowiązków obywatela-akademika, jeżeli nie bierze czynnego udziału w pracy społecznej. Dziś nie można, a nawet nie wolno powiedzieć sobie, że obowiązkiem akademika są jedynie studja naukowe i dlatego wszelkie dygresje społeczne są uciążliwe, a nawet szkodliwe, że wszelka ofiara składana na ołtarzu dobra powszechnego — jakkolwiek jest pięknym i pożytecznym gestem, ale odciągającym młodzież od jej bezpośrednich żądań i obowiązków. Takie stanowisko jest fałszywe z punktu widzenia interesu własnego i niebezpieczne z punktu widzenia dobra społecznego. Przedewszystkiem praca społeczna nie jest ofiarą i nie może być traktowaną przez młodzież, jako ofiara. Bo nie jest ofiarą to, co rozszerza i pogłębia wiedzę naszą, co rozwija nasz zmysł rzeczywistości, co wprowadza nas w sferę realnego życia, w którego ogniu tylko urabia się i wychowuje typ nie zimnego intelektualisty, ale współczesny i realny typ człowieka i obywatela. A zdobywanie wiedzy nie wyczerpuje się tylko słuchaniem wykładów i studjowaniem podręczników, ale także zdolnością jednostki wzbogacenia swych wiadomości obserwacjami zaczerpniętemi bezpośrednio z życia. A pod tym względem zdolności nasze są jak najmniej rozwijane. Dla wielu z nas życie jest księgą niezrozumiałą, gdyż za mały teren tego życia pod obserwacje bierzemy i za mało procesami odbywającymi się w tym życiu — się interesujemy. Nie byłoby w Polsce tyle niezrozumienia dla zjawisk społecznych, tyle nieufności wzajemnej między warstwami, tyle egoizmu klasowego, które niejednokrotnie godzą w istotę bytu państwowości naszej, gdyby inteligencja polska naprawdę była zdolna i przygotowana do kierownictwa i prowadzenia tych szerokich mas, które na arenę życia politycznego wchodzą i historję dzisiejszej Polski tworzą. Tymczasem widać ogromny brak inteligencji wśród ludu i sfer robotniczych. A dzieje się to dlatego, że

dawne pokolenia młodzieży wskutek warunków politycznych miały ograniczony teren pracy społecznej i wskutek tego nie mogły wychować i wykształcić licznego zastępu działaczy społecznych. To też „Odrodzenie“ Stow. Młodz. Akad. już od samego początku swego istnienia zwróciło szczególną uwagę na pracę społeczną — oto co czytamy w Deklaracji ideowej § 5 p. d. „Bez przygotowania inteligencji rozwiązać kwestji społecznej nie podobna. Chcemy wychować kadry młodej inteligencji polskiej o żywem i głębokiem poczuciu społecznem, uprawiającej akcję społeczną z zapałem, z wiarą w zwycięstwo chrześcijańskiej koncepcji życia, zbrojnej w potęgę czynu moralnego i gruntowną wiedzę społeczno-ekonomiczną". We wszystkich środowiskach akademickich w Polsce istnieje „Odrodzenie" i we wszystkich też prowadzi pracę społeczną; a teraz przyjrzyjmy się, jak ta praca wygląda w środowisku poznańskim.

Od samego początku roku akad. praca społeczna ruszyła raźno naprzód, zabrano się do pracy wśród młodzieży polskiej, i przez udział w zebraniach zarządów S. M. P. bądź też przez wizytacje kół młodzieży, starano się wszędzie podkreślać ideę Chrystusową, i naprowadzać młodzież na tę drogę, która wiedzie do celu ostatecznego człowieka — do Boga. Referatów wygłoszono w różnych kołach S.M.P. jak na prowincji tak i w samym Poznaniu około 50 i to na najróżnorodniejsze tematy np. „Królestwo Chrystusowe", Polska obecna i związane z nią zadania młodzieży", „Zadania S.M.P", „Cele S.MP.", „Zagadnienie polskie w wojnie wszechświatowej — Zmartwychwstanie Polski", „Istota i skutki chorób zakaźnych", „Ku uczczeniu rocznicy zmartwychwstania Polski", „Św. Stanisław Kostka", „O Śląsku", „Naród polski w wojnie światowej", „Komunizm, a religja", „O gazach trujących" i wiele innych tematów mówiących o wychowaniu, grzeczności, uprzejmości i t. p. Po za wizytacjami i referatami kilka koleżanek i kolegów zajmowało się pisaniem artykułów do pism młodzieży jak np. „Jak wychowujemy się w organizacji". „Co nam daje radjo", „Św. Stanisław wzorem młodzieży polskiej“, „Na 10-lecie Polski“, „Polska w rzędzie innych narodów i dużo innych, oraz prowadzono różne pogadanki, lekcje śpiewu, udzielano rad i pomocy przy urządzaniu wieczornic; i przy wystawianiu sztuk teatralnych i t. p. Oprócz powyższych, utrzymywano bliski kontakt z władzami S. M. P.,

brano czynny udział w zlocie młodzieży w Poznaniu i starano się zawsze i wszędzie służyć radą i pomocą, tam gdzie tego zaszła potrzeba. Należy zaznaczyć, iż z młodzieżą łączą nas bardzo przyjazne stosunki i wszyscy odnoszą się do nas z całem zaufaniem.

Tak więc wyglądałaby nasza praca w b. ogólnych zarysach, być może, iż w tym roku nie jest ona tak prowadzona, jak w roku zeszłym, ale to spowodowała zmiana kierownika. Jednak w najbliższej przyszłości mamy nadzieję, iż wejdzie ona na normalne tory. *M. Bronowski.*

O właściwe metody pracy wśród młodzieży żeńskiej.

Od jednej z działaczek Ch. Z. Mł. Pracującej Odrodzenie otrzymaliśmy garść uwag i spostrzeżeń na temat powyższy, które z przyjemnością drukujemy, prosząc Szan. Czytelników, aby zainteresowali się tym tematem i nadesłali ewentualnie swoje uwagi (Red).

Przebrzmiały już dziś echa tak jeszcze do niedawna aktualnych i żywo nas obchodzących walk o równouprawnienie kobiety, walk w których ścierały się zaciekłe hasła nowe i piękne z zakorzenionemi głęboko przesądami. Dziś walczyć nie potrzebujemy, dziś dla kobiety każda nieomal dziedzina życia stała się dostępną. Istniejący do niedawna typ kobiety nie widzący nic i nikogo poza czterema ściany swego domu przedzierzgnął się dziś w kobietę obywatelkę, którą interesuje wszystko, która wie co to jest naród i społeczeństwo i zdaje sobie sprawę z ogromnej roli, jaką w społeczeństwie odgrywa. To też studja społeczne, które pozwalają na zrozumienie potrzeb naszego kraju, oświetlają problematy polityczne i społeczne i przyczyniają się do uświadomienia obowiązków względem społeczeństwa i narodu—winny odgrywać pierwszorzędną rolę w życiu współczesnej kobiety.

A jednak na aktualności i wadze nic nie straciły zagadnienia dotyczące zadań kobiety, jako żony i matki, boć przeznaczenie naturalne kobiety zmianie nie uległo —cel – założenie własnego ogniska rodzinnego — pozostał ten sam. I choć

wiemy, czem być winna kobieta w rodzinie i powtarzanie stało się już utartym szablonem i komunałem, to jednak w dobie dzisiejszej, dobie ataku wrogów wiary i Kościoła na wszystko co święte i nietykalne, wszystkie poczynania organizacyj wychowawczych, mających dobro przyszłych pokoleń na względzie winny pójść w kierunku należytego przygotowania swej członkini do roli małżonki i wychowawczyni.

Walczyć musimy z dawną metodą wychowania, którego celem było uczynienie z panny możliwie najładniejszego upiększenia społeczeństwa aż do chwili, kiedy znajdował się kandydat do jej ręki. Jeśli zaś chodzi o dziewczęta nie posiadające majątku — to te wogólę, dać sobie rady w życiu nie były w stanie. A dziś gdy horyzonty umysłowe uczyniliśmy bardziej rozległemi i mamy względnie jasne zrozumienie swych obowiązków, czy dużo jest dzisiaj kobiet zakładających własny dom z pamięcią o tem, że mają być w nim towarzyszkami pracy swych mężów, matkami i wychowawczyniami przyszłych pokoleń Narodu.

Czy nie mnożą się utyskiwania na „dzisiejszą kobietę" bezduszną, nieświadomą swoich zadań, ni celu i przeznaczeń życia, a nawet niemoralną? Lecz bądźmy sprawiedliwi! Chciejmy zrozumieć, że każda epoka posiada swoje cechy, a człowiek przeciętny przeżywa jej nastroje i skłonności, idzie z prądem fali i z prądem nowego porywającego życia. A wszak dzisiaj kryzys bolesny i głęboki przeżywa ogół naszej młodzieży, jad zgnilizny moralnej, sączący się od czasów wielkiej wojny w dusze młodego pokolenia, grozi zatratą religijności i obyczajów katolickich; a rodzice i wychowawcy stoją często bezradni wobec lawiny zepsucia, które wali się od wschodu i u nas w Polsce przy pomocy różnych komunistycznych i radykalnych haseł zatruwa serca i umysły młodzieży. Djagnoza przerażająca, bo po tylu latach tej śmiertelnej poprostu choroby dadzą się zauważyć zaledwie gdzieniegdzie przebłyski jaśniejsze.

A więc do pomocy rodzicom i wychowawcom staje senjorat Stow. Mł. Ak. Odrodzenie. Odpowiada czynem pozytywnym, gromadzi pod sztandarem katolicyzmu i etyki Chrystusowej młodzież pracującą i tworzy Chrz. Zw. Mł. prac. Odrodzenie, (koła męskie i żeńskie) — organizację akademicko-ro-

botniczą, chcąc przez taki braterski związek przekreślić niechęci i antagonizmy klasowe. Trudne i odpowiedzialne to zadanie bo chodzi tu zarówno o podstawy wychowania obyczajowego i etycznego jak i wychowanie w duchu patrjotycznym i narodowym.

A jeżeli możność dania wartościowego wykształcenia fachowego przechodzi zakres naszej usilności i kompetencji, to jednak jesteśmy w stanie dać możność jaknajlepszego zużytkowania upodobań i uzdolnień każdej członkini przez pracę w tej lub innej sekcji, przez tą lub inną formę działalności w organizacji.

Dzisiaj wobec trudnych warunków życiowych musimy się pogodzić z faktem, że kobieta z klasy robotniczej w wiekszości wypadków pracować zarobkowo musi. Prawda, praca zarobkowa odrywa kobietę od ogniska domowego. Lecz musimy pamiętać, że niedbałych żon i matek więcej znajdziemy wśród tych kobiet, które właśnie poza obowiązkami rodzinnemi i towarzyskiemi — innych nie uznają.

Wynika stąd, że biadanie nad pracą zarobkową kobiet nic nie pomoże. Trzeba natomiast wytworzyć typ organizacji społecznej, która dałaby młodej robotnicy uświadomienie pod względem religijnym, moralnym i społecznym, miłą atmosferę towarzyską i godziwą rozrywkę i przez swoje oddziaływanie wychowawcze uodporniła ją na niebezpieczeństwa życia współczesnego, czyhające na młodą dziewczynę na każdym kroku.

Typ takiej organizacji winien się wytworzyć w kołach żeńskich Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

W. M.

Z oślej łąki.

Ostry dzwonek w przedpokoju!

Podnoszę się z za stolika zawalonego książkami, przy którym spędzam długie godziny, w obecnym okresie przedegzaminacyjnym. Idę otworzyć, bo nikogo w domu niema.

„Servus Janusz"! — wykrzykuje niespodziewany gość — poczem całuje mnie symetrycznie w oba policzki. W wieku dziecinnym przyjaźniliśmy się trochę, potem z powodu ukształtowania się różnych poglądów na życie — linje naszych dróg duchowych rozeszły się pod rozwartym kątem.

„Mam do ciebie wielką prośbę"—mówi podnieconym głosem — „chciałem cię prosić"...

„Tymczasem zdejm palto, bo się zaziębisz, — przerywam mu perorę—„usiądź, a teraz służę ci"!

„Chciałem Cię prosić abyś przyjął zastępstwo honorowe w imieniu X, który został wyzwany przez Y i prosił mnie, będąc sam b. zdenerwowanym, abym cię o to prosił"!

Ciekawość mnie ponosi, więc nie odpowiadam mu odrazu słowami, o których wiem, że padną dziś z moich ust, w ostatecznej odpowiedzi na propozycję. „A o cóż poszło" — pytam.

Byli w barze Z — po pijanemu X uderzył Y w twarz. Y wyzwał.

* * *

Spotykałem X i Y często i prawie zawsze razem. Można ich było nazwać „braćmi sjamskimi". Jakiś czas kolegowali ze sobą w szkołach. Od tej pory datowała się ich gorąca przyprzyjaźń. Jeśli X wybierał się na bal, a nie miał fraka, to pożyczał od Y. Przyjaźń ta trwa już chyba lat dziesiątek!

* * *

Przerwał moje rozmyślania: „no i cóż, sądzę, że nie odmówisz". — „Ależ człowieku, przecież to serdeczni przyjaciele, jakżeż oni mogą ze sobą walczyć"? — No nie przeceniaj tego, toż to formalność, przyjdą na plac, parę razy pukną w niebo, pogodzą się, a potem będziemy „oblewać" rzecz u Bachusa".— „A więc pocóż ta komedja, czy nie byłoby daleko prościej aby X przeprosił Y i aby prosto poszli do „Bachusa". — „Oblewać zgodę". — „Kiedy ty, to niemasz żadnego poczucia honoru" — przerwał mi zirytowanym głosem — „stało się publicznie, więc dla zachowania dobrej opinji—pojedynek musi się odbyć —a już naszą rzeczą pokierować jego rezultatem".

„A więc stawiam rzecz jasno" — odpowiadam mu spokojnie — „będąc członkiem czterech organizacji katolickich, z których każda zwalcza pojedynek—przyjąć zastępstwa nie mogę".

* * *

Pojedynek jest hańbą dwudziestego wieku! Jest takim samym barbarzyńskim przeżytkiem, jak kurne chaty na Polesiu,

których się jednak ich zacofani mieszkańcy, trzymają „jak pijany płotu". Niestety, najbardziej, pod tym względem (pojedynku) zacofane jest wojsko!

Oto dwóch poważnych, wiekowych panów, obarczonych rodzinami, przymówiło sobie, przypuśćmy, pod wpływem alkoholu. Przypuśćmy dalej, jeden jest doktorem filozofji a drugi inżynierem dróg czy mostów. Następuje pojedynek. Dwóch poważnych ludzi, posiadających wyższe wykształcenie, staje na jakiejś polance leśnej i zaczyna się istna, hiszpańska walka kogutów. Z koguciem zacietrzewieniem zapaśnicy skaczą i wymachują floretami, dopóki jeden z nich nie osieroci swej rodziny. A zastępcy i lekarze grają wtedy rolę postronnych gapiów, flegmatycznie przyglądających się rytualnemu morderstwu „honorowemu".

To jest wypadek prawdziwego pojedynku „do ostatniej krwi". A drugi wypadek? Ten ostatni opisałem powyżej.

W takim pseudo-pojedynku, zastępcy i zapaśnicy grali rolę aktorów pociesznej parodji.

Niewiadomo co gorsze!

Mój ś. p. Ojciec, który był zapalonym myśliwym, wyzwany kiedyś na pojedynek, przez „duelanta—amatora" (i tacy są, znałem jegomościa który raz na rok, specjalnie wyjeżdżał do Warszawy, aby kogokolwiek wyzwać na pojedynek) — kazał mu zakomunikować swój warunek: „aby w chwili strzału podskoczył" bo mój Ojciec, jako prawidłowy myśliwy, miał zwyczaj strzelać „tylko w lot". Jest to niezła metoda. Kpiąc ze złego, można najłatwiej unicestwić. Obóz katolicki, w walce z tym przeżytkiem, powinien i satyry używać.

Uważam, że akcję zwalczania pojedynku należy przyśpieszyć drogą ustawy. To też z radością, zdrowszy odłam społeczeństwa powitał projekt P. P. S., która ma zgłosić wniosek o ustawowe najsroższe, zwalczanie pojedynków. Ugrupowania chrześcijańskie, które już nieraz dały dowód swego przywiązania do Kościoła, będą miały jeszcze raz sposobność do zadokumentowania swego stosunku do katolicyzmu, kiedy przyjdzie chwila głosowania nad tą ustawą.

Janusz Sobolewski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

O. Konstanty Marja Łukiewicz dominikanin — Rozmyślania o Matce Boskiej w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu. Warszawa 1928. Księgarnia Kroniki rodzinnej str. 301.

„Duch ludzki, jak może nigdy, pragnie otrząsnąć się z materji, szuka zatraconej drogi tam, skąd wyszedł i dokąd dąży..." pisze autor „Rozmyślań", rozpoczynając swe dzieło.

I książka jego powstaje, jako prawdziwy pokarm duchowy, jako potężny drogowskaz dla zbłąkanych i nieszczęśliwych. Kult Marji jest kultem, który utrzymuje się w duszach ludzkich pomimo największych burz i zmagań, pomimo największych gromów. Przez Marję idziemy do Boga najłatwiej i najprędzej, za Jej łaską szczęściem kończy się nieszczęśliwe życie, a wiary radością — chmurny czas niewiary.

„Rozmyślania" przybywają do nas w miesiąc Marji, w miesiąc wiosny przyrody, co u stóp Niepokalanej staje się wiosną naszej duszy. Umiejmy je tedy wykorzystać jaknajlepiej. Niech nas zagrzewają do pracy, niech będą bodźcem do spełniania służby Bożej, tego najistotniejszego zadania człowieka.

„Rozmyślania" oparte są na nauce św. Tomasza z Akwinu, zaczerpniętej z szeregu jego dzieł, których wykaz znajdujemy na początku książki. Wśród pism Doktora Anielskiego nie ma jednak specjalnie o Matce Boskiej traktujących. Jego nauka o Najświętszej Pannie przewija się pośród wszystkich traktatów, stanowiąc wszędzie nieodłączną część nauki o Bogu, samym tym faktem wskazując na rzeczywistą nierozłączność kultu Matki Bożej od kultu Jej Syna.

Poszczególne rozmyślania rozwijają się dokoła trzech najistotniejszych przymiotów Najświętszej Panny.

Marja — chwalebna, piękna, łaskawa. Oto jak święty Tomasz tłumaczy nam te trzy wyrazy w odniesieniu do Matki Boskiej.

„Chwalebna, bo jest przeznaczoną i przepowiedzianą, jako Matka Boga, a naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa; wszystkie niezwykłe przywileje Jej z tej godności pochodzą i na Niej spoczywają". Dlatego jest:

„Piękną, w blaskach niepokalaności i bezgrzeszności, pełną łask i cnót, śnieżnego dziewictwa, purpurowej miłości i pokory głębokiej — liśćmi wdzięcznych słów otoczona" a dla nas wygnańców Ewy prawdziwie:

„Łaskawa, bo wyrywająca ze szponów złego ducha, wiodąca przez pustynię tego świata ku rzekom Łaski Bożej, w których umyci i wzmocnieni i miłosierdziem Pańskiem wzmożeni, dochodzimy do bram wiekuistej Ojczyzny" *)

Jeśli się przyjrzymy któremukolwiek z pośród dwudziestu rozmyślań, spostrzegamy w nich również wybornie wykreślony plan. Oto najprzód

*) Sermo de Annuntiatione.

znajdujemy w nich istotę rozmyślania, rozum nasz zostaje oświecony nauką o Marji.

Dalej przeprowadza nas autor w dzisiejsze nasze życie i, patrząc na nie, wskazuje na łaski Najświętszej Panny, na przykład Jej życia. To przejście od abstrakcyjnego rozumowania do naszych codziennych spraw stanowi bodaj najistotniejszą wartość wychowawczą „Rozmyślań", bo sprawia, że Najświętsza, Najgodniejsza chwały—Matka Boża, staje się nam bliską, ukochaną—naszą Matką.

Oby „Rozmyślania o Matce Boskiej" jaknajszerzej rozeszły się w społeczeństwie naszem, oby spełniły to zadanie, które spełnić mogą.

Marjan Jan.

Dr. Paweł — Wilhelm Keppler biskup rotenburski. **Więcej radości** przekład autoryzowany ks. Adama Kuleszo. Poznań 1928 Ks. św. Wojciecha str. 250.

Odczucia potrzeby radości w człowieku nie potrzeba dowodzić. Z niepokojem szukając dokoła siebie, a potem coraz wyżej i dalej szczęścia, tem samem ukazuje swe pragnienie radości; boć szczęście i radość to nierozłączne towarzyszki. A dalej radość płodna jest w czyn. Z nią czyn staje się pełniejszym i wartościowszym, z nią niestety staje się jedynie możliwym. Tak! Radość w życiu jest nietylko potrzebą człowieka, ale i prawdziwą koniecznością dla całej jego istoty.

To też dzieło biskupa Kepplera, tak gruntownie omawiające radość w każdym objawie życia ludzkiego, przedstawia dla wszystkich ogromną wartość i jako takie zasługuje na najszersze rozpowszechnienie.

W licznych rozdziałach książki znajdujemy starannie omówione czynniki, które przyczyniły się i przyczyniają ciągle do zmierzchu pogody w społecznem życiu: — to nieodpowiedni kierunek w rozwoju literatury, sztuki, rozwoju całej kultury ducha, wreszcie zanik prawdziwej kultury ducha, na koszt kultury materjalnej, a przedewszystkiem zapomnienie o Bogu.

Dalej autor pokazuje nam wytkniętą prostą drogę do radości, wszystkie te czynniki, które składają się na osiągnięcie pogody duszy, wśród których góruje, jak zawsze i wszędzie — miłość chrześcijańska. Ci, co kochali Boga i bliźnich całem sercem i duszą — prawem przyczynowości posiedli prawdziwą, płodną w szczęście i czyn radość.

„Wiecej radości" aczkolwiek przedstawia jako dzieło zupełnie zamkniętą całość, ma jednak stanowić szereg rozmyślań również niejako ujętych w pewną całość swoistą, choć ściśle połączoną z resztą dzieła. Krotkie, za małemi wyjątkami, rozdziały, które nie zajmą więcej nad dziesięć minut czytania, nadają się doskonale dla tych, którzy nie mieliby może czasu na przeczytanie książki na jeden raz, którzy chcą skrzepić się codziennie choć kilku słowami zdrowej lektury.

I może lepiej nawet tak czytać tę prześliczną książkę. Niech łączy kroplami radość w każdy nasz dzień pracy, niech gruntuje pogodę duszy w codzienności, spełniając przez to najtrudniejsze, ale i najpiękniejsze zadanie.

Na uwagę zasługuje staranne i dokładne tłumaczenie dzieła, dokonane przez ks. Adama Kuleszę. **Marjan Jan.**

X. Ferdynand Machay — Honorni Orawiacy. Warszawa 1928, Księgarnia „Przeglądu Katolickiego" str. 126.

Przyjmujemy ten szkic powieściowy z wielką radością, bo stanowi on jakgdyby pierwszy promyk, zwiastujący nowy prąd w literaturze naszej. — Jest to próba przedstawienia życia ludu orawskiego, i próba trzeba przyznać udana. Zwykły to temat: jednakże podkreślenie miary tego ludu i rozwinięcie akcji z tym punktem wyjścia, czyni z książki jedną z takich, które winny znaleźć jaknajwięcej czytelników, i to tak wśród ludu, jak i inteligencji. Powieść wprowadza nareszcie do literatury naszej Boga i to nie tylko jako „siłę wyższą", niedostępną człowiekowi, ale jako Świadka i Kierownika codziennych przeżyć i czynów.

Dobry wpływ wywrzeć zaś może tembardziej, że przedstawia dużą wartość artystyczną. **M. J.**

Książeczka o małym Heniu. Oto niedawno obracał się wśród nas mały Henio, uczeń jednego z gimnazjów warszawskich. Rok jeszcze temu mogliśmy patrzeć na małego chłopczyka, spełniającego wszystkie swoje codzienne obowiązki, te proste obowiązki dnia, które najłatwiej w ludziach potrafią zatrzeć widok rzeczy wielkich, widok tych celów, które w każdym człowieku istnieją zawsze, wszczepione głęboko. A Henio, mały Henio, te właśnie swe obowiązki w życie dziecinne, życie, nieświadome jeszcze, umiał wprowadzać, wśród historji i geografji, wśród rozrywki i ulubionego sportu, umiał ciągle widzieć swoje cele, dążyć do nich pracą każdej chwileczki.

Dziś duszyczka Henia uleciała do Bożych stóp, ciałko drobne zamknęło przed oczyma naszemi wieko białej trumienki. Dziś Henio w grobie; ale działa dalej, działa szerzej i silniej może niż za życia swego.

Najprzód działa przykładem.—Każe naśladować siebie, daje wsparcie ukazując żywe piękno swej duszyczki; raduje każdego Polaka, każdego człowieka już tem samem, że żył, że istniał, tak pięknym będąc.

Nie! nie umarł mały Henio! Żyje nie tylko w Królestwie Boga, żyje teraz i żyć będzie zawsze w sercach naszych.

Książeczka **„Henio. Dzieje duszy polskiego chłopca"**. Warszawa. Księg. Kroniki Rodzinnej, str. 79, cena zł. 1.50. Jest cudnym obrazem przeczystej duszy dziecka, barwnie wymalowanym przez jego najbliższego, po ukochanej matce, przyjaciela, ks. prefekta gimnazjalnego, „jego księdza". Ze wzruszeniem czyta się kartki małej książeczki, z radością patrzy się na to piękno, które każdą chwilkę życia chłopca polskiego opromieniało. — Nowy „kwiateczek Boży" polską ziemię ozdobił.

Niech swego małego braciszka poznają wszystkie dzieci polskie, niech to dziecko poznają wszystkie matki i wszyscy ojcowie, bo godzien jest Henio naśladowania, godzien najwdzięczniejszej pamięci.

Marjan Jan.

Sprawa męczeństwa katolickiego Meksyku jest jedną z tych spraw, która tak dla istoty swej, jak i dla form, jakie przybrała wymaga już dzi-

siaj jaknajobszerniejszej literatury, którąby społeczeństwom państw chrześcijańskich dała możność zajęcia odpowiedniej postawy, wobec bezprzykładnych faktów.

To też potrafimy ocenić fakt ukazania się na półkach księgarskich książki **Andrzeja Bora** p. t. **Prześladowanie Kościoła katolickiego w Meksyku**. Warszawa 1928, Księg. Kroniki rodzinnej str. 118. Cena zł. 2. (Studja na dobie № 12). Zebranie wszystkich wiadomości o wybrykach Callesa i jego siepaczy, które pomimo ostrej cenzury władz meksykańskich dostały się do prasy, ciekawy i przejrzysty ich układ, wreszcie zwrócenie uwagi na pewną łączność pomiędzy stosunkami w Meksyku z przed jego bolszewickich czasów, a Polską obecną, czynią z książki Andrzeja Bora naprawdę wartościowe i aktualne studjum. **M. J.**

Popularnie napisana i wydana przez Księgarnię Kroniki Rodzinnej broszurka **Ks. E. Duplessy — Spowiedź, a wzgląd ludzki.** Warszawa 1928 str. 16, przekład z francuskiego Z. Rieffa (Pogadanki apologetyczne № 7) może się przyczynić do uświadomienia religijnego szerszych warstw, do wypełnienia tego braku, który dziś tak odczuwamy. **M. J.**

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński — Roczniki katolickie na rok pański 1929 rok VII. Poznań 1929. Nakładem autora, str. XXII+564.

Układ rozdziałów „Roczników” nie różni się niemal zupełnie od „Roczników” poprzednich, w szczególności zaś od Tomu VI na rok 1928 (porównaj „Pro Christo” rok IV № 9), spostrzegamy jednak pewne różnice w treści poszczególnych rozdziałów. Wychodząc bowiem ze słusznego założenia, że treść dzieła winna być zajmującą dla jaknajszerszych kół inteligencji, autor starał się uwzględnić w większym, niż dawniej stopniu, rozwój literatury i sztuki.

Obok dążenia do jaknajszerszego traktowania tematu, zadecydowała o tem uwaga, że często trafić do naszej inteligencji można jedynie przez wmieszanie w sprawy poważniejsze literatury pięknej.

To też w tegorocznych „Rocznikach” uderza odrazu ich wysoko postawiona literackość, znowu o wiele silniej zaznaczona niż w tomach poprzednich.

I przyznać trzeba, że dzieło na tem bynajmniej nie traci, owszem zyskuje tak w istocie swej, jak i zyska, spodziewać się należy, w rozpowszechnieniu.

A przecież to, by „Roczniki Katolickie” jaknajwięcej znalazły czytelników, powinno każdemu myślącemu Polakowi leżeć na sercu. Spełniają one bowiem—naprawdę wielkie zadanie.—Synteza działań i wypadków w świecie katolickim, jest możliwa właśnie tylko przy takiem ich zestawieniu obok siebie, przy takiem wciągnięciu ich w ramy jednej książki; jeśli dodamy do tego, że niosą nam bezwzględną prawdę, wyjaśniają to wszystko, co przedostaje się do nas nieraz zupełnie nieodpowiedniemi drogami, a przez to zmienia do niepoznania nim stanie się podaną nam wiadomo-

ścią—jeśli sobie te dwie cechy naszej katolickiej kroniki uświadomimy, to z pewnością wyrobimy sobie właściwe zdanie o „Rocznikach".

Objętość dzieła w porównaniu z zeszłym rokiem zmniejszyła się znacznie (około 130 stron druku). Obok drobniejszych przeszkód wpłynął na to głównie brak współpracy w tworzeniu dzieła. Gdy bowiem w zeszłym roku obok nazwiska szanownego autora, dostrzegaliśmy nazwiska ks. Korzonkiewicza, Pilcha, Posadzy'ego jako współpracowników—teraz do całości pisanej przez ks. Cieszyńskiego, przyłączył się jeden tylko stosunkowo krótki, rozdział ks. Jana Stepy.

W tem też należy doszukiwać się powodu tego faktu, że nie wszystkie sprawy godne zanotowania znalazły się wśród kart „Roczników". W pierwszym rzędzie odczuwamy brak omówienia w osobnym rozdziale ruchu katolickiego wśród młodzieży, tego poważnego przyczynku do wnioskowania o przyszłości na podstawie historji.

Obok jednak tych nieznacznych niedomówień poważniejszych zarzutów pod adresem „Roczników" tegorocznych mimo tak trudnych warunków ich powstania czynić nie można.

Oby więc przyszłe lata były „Rocznikom" przychylniejsze, oby mogły coraz bardziej wyczerpująco oświecać nas o życiu katolickiem narodów.

Te zaś wartościowe karty pracy dla dobra narodu i kościoła, które już są nam podane niech znajdą sobie nie tylko licznych czytelników, ale i gorących propagatorów, bo naprawdę zasługują na to.

Marjan Jan.

Warlemont. L'Aide Médicale aux Missions. Bruxeles. Arenne de Cortenberg 66. Sécretariat Général.

Mamy przed sobą roczne sprawozdanie z uroczystego posiedzenia i pracy Związku Lekarzy belgijskich dla misyj katolickich. Rzecz urządzana z rozmachem — przyciąga się do niej od razu wszystkie władze i wybitności, duchowne i świeckie. Chodzi wpierw o propagandę idei — ochotnicy zjawią się później, są jusz zresztą! Belgja wysyła własnych i obcych lekarzy, lekarki, pielęgniarzy i pielęgniarki na tereny swych kolonji. (Kongo). Lekarzom daje już 90 tys. fr. rocznej pensji. Są pewne formalności przed wyjazdem, ale o szczegółach objaśni — broszura. Zdaje się, że ruch misyjny polski wśród inteligencji dojrzewa -- dowodem udział profesorów uniwersyteckich w Tygodniach Misjologicznych jako prelegenci. Czy istnieje w Polsce Zw. Katol. Lekarzy oraz Zw. Kat. Pielęgniarek? Wtenczas nie byłoby trudno o kandydatów dla misyj—zaczynając od terenów, jakie wskaże Propaganda Fide w Rzymie, jeśli nasi polscy misjonarze jeszcze nie mają potrzeby osobnego lekarza. (Adr. S. Congregatio Propaganda Fide. Roma 48. Piazza di Spagna).

Pozatem trzebaby rzecz przedstawiać także Naszemu N. Episkopatowi.

K. B.

Kühn-Engel. Auf Gottes Saahfeld Ruanda—Mission. Trier 1928, Paulinus—Druckerei. 143 str.

Misjonarki MB. Afrykańskiej (t. zw. Siostry Białe, fundacji Kard. Lavigerie) opisują swe życie misjonarskie. Firma wydaje cały cykl podobnych dziełek pod nazwą: Unter der Äquatorsonne. Dziełka te tyczą się wyłącznie Zgrom. Ojców i Sióstr Białych, misjonujących Afrykę Środkową. Powyższy tom jest 4-ty z rzędu. Uważamy książki za cenne przyczynki do studjum krajów misyjnych. Jawi się myśl, żeby w takiż sposób zabrać się do tworzenia literatury misyjn. w polskiem, zaczynając od polskich terenów stacyj mis., wzgl. placówek, na których działają polscy misjonarze, albowiem za mało znamy i za mało mamy jeszcze styczności z temi sprawami, stającemi się nam jednakże coraz bliższemi. Czytamy o tem, jak tworzą się nowe tereny misyjne: Zgłasza się kapłan lub zakonnica (a dziś może i siły świeckie) do Kongregacji Propaganda Fide w Rzymie z chęcią objęcia terenu. Jednostka ta ma za sobą szereg pomocników, lub właśnie go tworzy. Gdyby i z Polski wyszły takie — dzieła misyjne! Chodzi tylko — o duszę prawdziwie apostolską i pionjerską, o ten pierwszy, śmiały, ufny w Opatrzność Bożą krok! Tak robią inne kraje!.. Nie mówimy słów tych na wiatr— albowiem już się głosy odzywają...

Literatura mis., jak Kühn-Engel, pomoże nam zorjentować się w stosunkach misjonarstwa. K. B.

L'Islam et les Missions Catholiques. Konferencje w Instytucie Katolickim w Paryżu 1926—1927. — Paris. Librairie Blou et Gay. 3 rue Garancieré. — 329 str. 10 wykładów wartościowych i wstęp. Między prelegentami są 2 osoby świeckie, jedna zakonnica i księża. Z przemowy wstępnej, szefa marynarki, gorącego patrjoty i dobrego katolika, wyjmujemy następujących uwag kilka o Islamie:

Islam-Elam zn. poświęcony Panu Bogu. Muzułmanin, mesleimoun, to samo, jako przymiotnik (gramat.). Islam staje się ważnem zagadnieniem dla misyj katolickich, gdyż zaczyna się modernizować i uprawiać propagandę. Dar el Islam, czyli domena Islamu, nie zna granic, za podstawową własność uważa terytorjum czterech pierwsz. Kalifów, następców Mahometa. Ziemie te pragnie wyznawca Islamu pozyskać z powrotem, choćby rewoltą i wojną. Historja Islamu składa się z ustawiczn. walk, krwawych intryg, powstań politycznych. Między sobą ma liczne sekty, które jednak wobec chrześcijan i wobec wszystkich innych wyznań i wierzeń tworzą zwarty front. Liczą na 230 mil. muzułm., osiadłych wszędzie, z wyjątkiem Australji i obu Ameryk. Mahomet, w 7 w. po Chrystusie, utworzył Islam z Chrześcijanizmu i Judaizmu, z wiarą w jednego Boga. Koran zawiera rewelacje Ałłacha wobec Mahometa (zn. uwielbionego). Islam jest jedynem wyznaniem, które szerzy nienawiść do innych wierzeń: Niewierzący, odrzucający islam, jest w oczach Przedwiecznego gorszym niż zwierzę. Chrześcijanie, żydzi, poganie... dostaną się do piekła. W pięciokrotnej modlitwie codziennej żywi mahometanin swe uczucie przeciwne duchowi miłości bliźniego.

Islam nie ma stanu kapłańskiego ni ofiary. Świątynie mają swych urzędników i stróżów, lektorów, teologów, kaznodziei. W miejsce stanu duchownego istnieją potężne dla propagandy i wpływu islamu bractwa religijne. Zakonnicy — marabuci, — czyli asceci islamscy, są misjonarzami fanatyzmu islamu. Członkowie bractw islamu nazywają się w Afryce: Kuan, w Azji—derwisze, w Indjach—fakirzy. Islamici instynktownie nienawidzą chrześcijaństwa, jako religji wyższej od siebie m o r a l n i e. Oficer arab, w wojsku francuskiem, wydaje się pozyskanym dla Francji i kościoła, gdy wraca do siebie, jest tem straszniejszym apostołem swego rasowego czy krajowego wierzenia. Podług islamu istnieją na świecie tylko dwie klasy ludzi, wierzący i niewierzący. Wierzących trzeba popierać, niewierzącymi—pogardzać i prześladować ich. Chrześcijanin w oczach islamu nie ma wartości jako człowiek.

Kończy prelegent wyrażeniem przekonania, że wpływ i przystęp do islamitów ma tylko ktoś, co imponuje im cnotą i szczerością życia wzniosłego, świadczącego najlepiej o posiadanej prawdzie. Przystęp do tych serc zawziętych może mieć tylko życzliwość, przychylność, miłość niczem zniechęcająca się i ofiarna (str. 1—24).

Rozumie się, że dzieła, jak wymieniona książka, nie potrzeba osobno polecać. Czas by był, by nasze katolickie dzienniki przerabiały tematy wielkich zagadnień misyj katol., do których należy także islam. Kiedy zacznie się ta prawdziwie katolicka robota prasy polskiej?

K. B.

Ks. Henryk Weryński. Pierwszy obowiązek narodowy. Wydawnictwo Książnicy - Michalineum. Miejsce—Piastowe, 1929. (In 8-o, str, 32). Cena 80 gr.

Kapitałem narodowym, który zadecyduje o naszej przyszłości jest przedewszystkiem nasza tężyzna duchowa. Bez wyrobienia charakterów nie można myśleć o jasnej przyszłości Ojczyzny.

Jak pojąć i wykonać ten pierwszy obowiązek narodowy, obowiązek kształcenia charakterów, wskazuje w swej książeczce ks. prof. Weryński stylem pięknym, opierając się na tem, co o wyrobieniu dusz w Polsce powiedzieli i napisali najlepsi i najtężsi Jej synowie. Stąd kartki te noszą na sobie znamię **małej ewangelji narodowej**, owianej duchem apostolskim i serdeczną troską o przyszłość.

Książeczka ta posłużyć może jako znakomity materjał do przemówień na rocznice i obchody narodowe, do kazań patrjotycznych i t. p. Również młodzież kształcąca się wiele skorzystać może z rad i wskazówek wytrawnego znawcy jej duszy i utalentowanego publicysty.

Tadeusz Birecki.

Sprostowanie.

W numerze poprzednim wkradły się pewne błędy drukarskie, z których kilka obecnie prostujemy:

Na str. 274 w 22 wierszu od góry opuszczono słowo: „klasy". Powinno być: „jako odpowiedź klasy robotniczej".

Na str. 282 w 9 wierszu u dołu zamiast: „zupełną" powinno być: „zupełny".

Na str. 296 w 8 wierszu od góry zamiast: „w r. 1874" powinno być: „w r. 1774".

Na str. 318 w 17 wierszu od góry zamiast: „dużc" powinno być: „duże".

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Króluj nam, Chryste!

„Bądź pozdrowiony, Królu!"—wołała na Kalwarji bezlitosna tłuszcza, roznamiętniona nienawiścią faryzeuszów.

„Ave, Rex!" — bijąc szyderczo pokłonami przed cierniem ukoronowanym Chrystusem, bluzgali przedtem w twarz Zbawiciela żołdacy rzymscy, radzi, że mogą mieć bezpłatne, a rzadkie widowisko, którego bohaterem był wzgardzony żyd, a więc w ich mniemaniu niegodzien żadnej litości, ani miana równego z nimi człowieka.

W tem szyderstwie jednak i naigrawaniu było stwierdzenie wielkiej prawdy o panowaniu Chrystusowem, tylko innem, jak sam powiedział: „Krolestwo moje nie jest z tego świata"—i dlatego tak boleśnie wyśmianem przez ludzi, którzy czy to w swem barbarzyństwie, czy w nienawiści „nie mogli i nie umieli pojąć tego, co z Boga jest".

W niespełna lat kilka, czy kilkanaście potem z serc pierwszych wyznawców popłynęła ku niebu z areny cyrkowej, pieśń pełna wiary i umiłowania: „Christus vincit — Christus regnat — Christus imperat—in aeternum!"

Było to pierwsze szczere i głębokie, publiczne uznanie Chrystusa-Króla wobec największej potęgi ówczesnego świata, która

w milczeniu wysłuchać musiała tej woli ludu, a potem, skruszona mocą, której chciała się przeciwstawić, ustąpiła sromotnie, pozostawiając po sobie tylko zgliszcza i resztki martwych pamiątek, już bez ducha, którego tam wtedy nie było, a na jej miejscu urbi et orbi zapanował w jasności i chwale... ten, Galilejczyk, Król nad Królami.

Królestwo Jego nie jest z tego świata — jak sam wyrzekł w głębokiej prostocie mądrości nieskończonej. Nie panuje nad miljonowemi armjami, nie rozporządza bankierską monetą, nie idzie drogami krętej dyplomacji—lecz jest władcą dusz, władcą sumień i serc.

Symbolem jego jest berło królewskie, ale obok niego, jako uosobienie całości—serce, promieniejące na wsze strony, jak ognisko płonące nieustannym żarem... „a czegóż chce, jedno, aby ten ogień w sercach wszystkich był zapalon i gorzał”. I mimo obojętności większości ogółu ludzkiego, raczej może nieświadomej „bo nie wiedzą, co czynią”, niż złej rozmyślnie, świat cały płonie prawdziwie przez wielkie serca, rozrzucone po nim we wszystkich kierunkach, nie brak ich nigdzie, choć nie reklamują siebie, ani nie wystawiają na widok publiczny. O dzięki nim szala wartości świata nie opada nisko, przechylona gwałtownie ciężarem nieprawości, ale stoi równo, a nawet przeważa na stronę dobrą, bo w oczach bożych każda najmniejsza, byle szczera i z całej duszy złożona ofiara, jest jako ów maleńki wdowi grosz, cięższy jednak swą wewnętrzną wagą od góry zła i ludzkiej ułomności.

Na taki grosz, na taki denar codziennej ofiary dla Chrystusa, za ludzkie brudne dusze, każdy, nawet dziecko nieletnie łatwo zdobyć się może. I to są skarby tego Chrystusowego banku królewskiego, których ani ogień nie trawi, ani rdza nie psuje, ani złodzieje wykopują.

Nie jest w naszej mocy pozostawać ciągle w ekstazie, zdobywać się na uczucia i poezję, na krasomówstwo i męczeństwo heroiczne. Niepowszednie to rzeczy i Bóg daje je komu sam zechce, a wkradać się gwałtem w tajemnice Jego szafarstwa nie jest naszym obowiązkiem, ani nawet potrzebą i przyzwoitością. Żyjmy życiem powszedniem, ale umiejmy zachować w szczegółach i w ogólnej ciszy życiowej zasady, ogłoszone, jako kodeks panujący przez tego Króla dusz i płacić ten drobny podatek co-

dziennej najmniejszej, ale serdecznej ofiary pracy i miłości uczynnej. Oto cała treść panowania Chrystusowego w naszych duszach. Tak skromna i nieskomplikowana, a jednak tak niezmiernie ważna, bo na tem tylko zbudowany być może ład i porządek i szczęście całego świata.

Królestwo Boże, o przyjście którego modlimy się codziennie przy cichym pacierzu, jest owem panowaniem Chrystusa w duszach naszych przez wierność w drobnych rzeczach i przez miłość ofiarną w czynie codziennym.

Serce Jezusa—symbol wszystkich uczuć człowieka, symbol całego człowieczeństwa, ale i Bóstwa zarazem — jest pierwowzorem, a jednocześnie źródłem mocy i gorącości ducha w tem życiu z Chrystusem dla ludzi.

Nie dość jednak w życiu osobistem, czy nawet we wspólnych manifestacjach religijno-społecznych wyrażać ten nasz głęboki stosunek do naszego Króla. Ludźmi jesteśmy i potrzebujemy widomego znaku naszej wspólnej przynależności do Chrystusowego Królestwa, potrzebujemy wizerunku naszego Monarchy, by patrząc na niego codziennie, coraz bardziej o nim pamiętać i jego duchem się przejmować.

Winien to być wizerunek, wystawiony na placu publicznym, by każdy, kto przechodzić będzie, uchylił przed nim czoła i uznał Go, tak jak my za swego Króla, a przynajmniej przygotował duszę na przyjęcie tej wiary i przekonania.

Wymaga tego nasza własna natura, ze swej istoty potrzebująca takiego uzewnętrznienia i wymaga również tego nasze przywiązanie synowskie do Króla i Ojca i nasza cześć dla Niego.

Myśl tę podjęto i zrealizowano już w wielu miejscach, stawiając bazyliki olbrzymie i pomniki Chrystusa-Króla na pierwszych w kraju i jego stolicy miejscach.

I u nas ta myśl oddawna żyje i wchodzi już na grunt urzeczywistnienia. Zdobądźmy się na decydujący wysiłek, teraz, w miesiącu Jego Sercu szczególnie poświęconym i wspólnym groszem wdowim wznieśmy ten pomnik narodowy i pomniki podobne na całym obszarze Rzeczypospolitej, by wszędzie, a przedewszystkiem w stolicy narodu, stało się wiadomem wszystkim swoim i obcym, że... Chrystus tutaj panuje, rządzi i rozkazuje na wieki.

Bohdan.

Wstęp do zagadnienia „Akcji Katolickiej".

Zagadnienie poważne i trudne. Wiele jeszcze na naszym gruncie nie wyjaśnione. To też nie mamy żadnych pretensji do rozstrzygania go, ani nawet dokładnego omówienia w ramach jednego artykułu. Raczej chcemy tylko dotknąć tego konglomeratu ważnych dla katolicyzmu kwestji i wywołać wymianę zdań ze strony osób kompetentnych.

Co to jest „akcja katolicka". W szerokiej opinji istnieje tendencja do umieszczania w ramach tego pojęcia wszelkiej działalności katolików, prowadzonej w duchu katolickim. W pojęciu tym byłaby „akcja katolicka" nowym tylko wyrażeniem, terminem, charakteryzującym dotychczasową treść. Otóż tak nie jest. Na podstawie Encykliki „Ubi arcano Dei" z dn. 24.XII. 1922 i licznych enuncjacji Ojca św. Piusa XI można dojść do przekonania, że jest to pojęcie nowe i odrębne, mające swoje własne cechy, jasno i wyraźnie się odcinające.

W tym rozumieniu **„akcja katolicka" jest to zorganizowane apostolstwo świeckich, pozostające w zależności od hierarchji Kościelnej, mające na celu odrodzenie społeczeństwa w Chrystusie.**

To **zorganizowane apostolstwo** jeszcze dokładniej charakteryzują słowa wypowiedziane w przemówieniu konsystorskim Ojca św. w dniu 23.V. 1923.:„ a ponieważ działalność zorganizowanych katolików, **o ile jest współudziałem laików we właściwej misji kościoła,** nie jest działalnością polityczną, ale religijną, nie jest kierowniczą w sferze teoretycznej, lecz wykonawczą w sferze praktycznej, przeto jest rzeczą konieczną, aby najrozmaitsze postaci tej działalności podlegały hierarchji kościelnej pod względem dyscypliny".

Chodzi więc tutaj nie o całokształt działalności świeckiej katolików, lecz o współudział świeckich „we właściwej misji Kościoła". Z tych słów, oraz z innych enuncjacji wynika, że akcji katolickiej nie można utożsamiać z działalnością katolików na polu ekonomiczno - społecznym, lub politycznym, ani nawet z działalnością organizacyj ściśle religijnych (bractw, sodalicji). Jest to odrębny typ organizacji, której koncepcja powstała nie tak dawno wśród kierowniczych sfer Kościoła. Zadaniem jej jest

wytworzenie ogólnej—w pewnym znaczeniu—reprezentacji katolików danego kraju w sferze religijno-moralnej ponad poszczególnemi dziedzinami społeczno-gospodarczemi i politycznemi i wskazywanie zasadniczych linji programowych, dotyczących religji i moralności we wszystkich dziedzinach działalności prywatnej i publicznej katolików, a więc także i w sferze gospodarczej oraz politycznej.

„Akcja katolicka" nie wyklucza wcale, ani nie umniejsza odrębnej działalności katolików na terenie politycznym i gospodarczym, nie powinna ona nawet narzucać im jednościzapatrywań polityczno-ekonomicznych, jeżeli istnieją między katolikami różnice, oczywiście w ramach zasad podstawowych religji i moralności, natomiast powinna nalegać na jedność i zgodę w momencie szczególnych niebezpieczeństw, grożących religji i Kościołowi.

Z drugiej strony katolicy, pracujący na odcinkach ściśle religijnych (bractwa, sodalicje...), politycznych i ekonomiczno-społecznych są obowiązani do współpracy i współdziałania z „akcją katolicką".

* * *

Tak nam się przedstawiają najogólniejsze zasady nowego typu organizacji katolików, wysuniętego przez sfery miarodajne Kościoła. Jeżeli się w czem pomyliliśmy, chętnie podporządkujemy się kompetentnym sprostowaniom. Przejdźmy jednak do dalszej części naszych dzisiejszych rozważań.

Sfery decydujące Kościoła, wyposażone w iskrę Bożą i głębokie doświadczenie tej jedynej instytucji świata, funkcjonującej nieprzerwanie przez dwa tysiące lat—dają od czasu do czasu ogólne wskazówki i nastawienia dla działalności katolików całego świata także w dziedzinie życia publicznego. Tak stało się i teraz. Widocznie Ojciec św., badając sytuację katolicyzmu w poszczególnych krajach cywilizowanych, a ze szczególną może uwagą sytuację starszych cór Kościoła: Italji, Francji, Anglji, Niemiec... doszedł do przekonania, że taki właśnie typ organizacji jest wskazany i potrzebny w dobie dzisiejszej, że, aby nastąpiło prawdziwe odrodzenie religijności i obyczajów chrześcijańskich potrzebne są organizacje o charakterze apostolskim, skupiające wszystkich katolików poszczególnych krajów na najogólniejszych zasadach, oczywiście poza

innemi organizacjami o charakterze ściśle religijnym (bractwa, sodalicje...), politycznym, czy ekonomicznym.

I otrzymaliśmy ogólne wskazówki co do tworzenia „akcji katolickiej", podkreślamy jeszcze raz—wskazówki natury ogólnej, najbardziej zasadnicze ramy, w których mieścić się winna organizacja. Sfery decydujące Kościoła mają bowiem zwyczaj, że w dziedzinie praktycznego zastosowania wskazań zawartych w encyklikach i innych enuncjacjach Kościoła pozostawiają szeroką swobodę warunkom i potrzebom poszczególnych krajów i narodowości.

W ramach tych ogólnych wskazań, które otrzymaliśmy znajduje się cała gama szerokich możliwości i nierozwiązanych zagadnień, które musimy sami rozwiązać w Polsce, zgodnie z potrzebami polskimi. W tej dziedzinie nasuwa się szereg pytań, dotychczas zupełnie nierozstrzygniętych, takich jak np. (wymienimy tylko niektóre): 1) struktura organizacyj, reprezentujących „akcję katolicką" 2) życiowy ich stosunek do organizacyj kulturalno-oświatowych na terenie robotniczym, ściśle inteligenckim, wogóle klasowym 3) formy i zakres współdziałania z chrześcijańskimi związkami zawodowymi 4) stosunek do organizacyj politycznych o charakterze katolickim i t. d.

Wiele tych zagadnień nie przedyskutowano jeszcze u nas należycie w kompetentnych i poważnych sferach katolickich. A czasu niema dużo. Musimy pamiętać, że katolicyzm w Polsce jest już w ogniu rozpoczynającej się walki o rodzinę, o rozdzielenie Kościoła od Państwa, o szkołę katolicką. Jesteśmy w tych warunkach, że musimy rozbudowywać nasze pozycje i przegrupowywać oddziały w czasie szturmu wroga.

Zaiste, w takich warunkach byłoby rzeczą niebezpieczną i nieroztropną naruszać cokolwiek z tego co już istnieje i funkcjonuje dla wątpliwych korzyści lepszej struktury organizacyjnej w przyszłości. Z drugiej zaś strony nie wolno nam pominąć żadnej sposobności, ani oszczędzić sobie żadnych wysiłków, aby wzmocnić ruch katolicki w kraju i uczynić nasze pozycje bardziej zwartymi i sprężystymi.

Sprawa nasuwa szereg pytań i zagadnień. Przyjdzie nam jeszcze nie raz do niej powrócić... *St. K — ski.*

DYSPUTY.

Pyt. Oto zwraca się do Ciebie ktoś z tych 90% „o zgiętym grzbiecie i mizernej duszy". Wierzy on, że Bóg jest i jest pięknem, potęgą, bezmiarem, mądrością i sprawiedliwością samą, ale ta wiara nie daje mu szczęścia, nie rozpala słońca w duszy. Przeciwnie — jest źródłem okrutnych, niewypowiedzianych udręczeń.

W przeciwieństwie do tych wzniosłych dusz, które poczuwają się do jednego grzechu w życiu, które znają tylko „wdzięczność i miłość"—jego dusza upada pod ciężarem win, które są *nie do naprawienia.*

Można żałować, płakać krwią — nie łzami, — nic już nie pomoże: co się stało, odmienić się nie da, jeśli ktoś z jego winy został potępiony—niema na to żadnego ratunku!

Świadomość win oraz jasne zrozumienie tego, że dusza jego jest mała, nikczemna, przewrotna, interesowna, brzydka, ślepa itd... niby brzemiona najcięższe przygniatają go do ziemi i nie pozwalają spojrzeć w niebo z ufnością.

To jasne, że Bóg w litości swojej toleruje go, może mu nawet przebaczył, ale jednak—brzydzi się nim, odwraca wzrok swój od jego brzydoty i podłości, czuje do niego wstręt, mówiąc po ludzku.

Wobec tego, że są rzeczy, których się nie da naprawić, może należałoby poprzestać na formalnem przebaczeniu i z rezygnacją poddać się losowi? Jednak co począć ze swoją duszą, nigdy nieukojoną, spragnioną i zgłodniałą Boga, która tak natarczywie, tak namiętnie i nieustępliwie domaga się bliższego stosunku z Panem, nawet – boję się powiedzieć — przyjaźni Bożej.

Ale czyż możliwa jest przyjaźń słońca z nietoperzem, orła z płazem, lilji najczystszej z plugawem zielskiem porastającem śmietniki? A tu, niestety, większa jest odległość, bo tu więcej niż słońce, a mniej, niż zielsko najlichsze.

Czy znalazłaby się droga wyjścia wobec tego, że i na przyszłość nie można w niczem sobie zaufać, za siebie ręczyć, coś gwarantować?

A jednak, pomimo wszystko — „wyciągnąłem ku Tobie ręce moje, bo dusza moja, jako ziemia bez wody ma się ku Tobie, Panie".

Odp. Jeżeli wiara w Boga „nie daje komu szczęścia i nie rozpala słońca w duszy"—to znak, że pojęcie Boga w tej wierzącej duszy jest niekompletne, albo jednostronne tylko.

Poruszane już było na tem miejscu i w niektórych artykułach „Pro Christo" (choć nie wszystkim się to podobało), jak to w historji, szczególnie ostątnich wieków, pod wpływem jednostronnego punktu wyjścia (np. wielkości majestatu Bożego i znikomości człowieka wobec nieskończonego Bytu), ludzie krańcowo i fałszywie urobili sobie pojęcie Boga i, konsekwentnie, urobili sobie zupełnie szkodliwie swój osobisty do Niego stosunek. Wystarczy wskazać na jansenizm i krzywdy, jakie on wyrządził ludzkości, albo na zbytni formalizm i legalizm na terenie etyki.

Wiemy i z naszych stosunków osobistych, jak zawsze zgubnem jest ujmowanie każdej rzeczy, czy sprawy z jednej tylko jej strony, np. władzy państwowej wyłącznie tylko, jako stróża praw, albo Kościoła—tylko jako trybunału sumień ludzkich, lub szkoły—wyłącznie jako instytucji, dającej wiedzę itp.

Pominięcie innych atrybutów tych instytucyj i reszty terenów ich działalności, stawia nas w niezupełnym, jeżeli nawet nie fałszywym zupełnie stosunku do nich.

Tak samo i z Bogiem. Bóg, jako z natury swojej Byt najpełniejszy, t.j. jako Dobro Najwyższe, bo każde dobro jest pełnią bytu w swoim zakresie, a Najwyższa Pełnia — Najwyższem Dobrem — może w nas sprawić jedynie odczucie tej pełni, czego logiczną i psychiczną jedyną konsekwencją winno być najwyższe zadowolenie, radość i entuzjazm.

Jeżeli więc tego naturalnego zupełnie skutku w duszy niema, to dowodzi, żeśmy w swojem pojęciu Boga nie ujęli Go takim, jakim On jest w swej istocie, a tylko wzieliśmy pod uwagę, część tej istoty, pewne tylko jej atrybuty, z pominięciem reszty.

Bóg jest potęgą, mogącą zdruzgotać wszystko — i dlatego ludzie, tylko tę potęgę widzący w Bogu, lękają Go się panicznie i niewolniczo; — ale jest zarazem Najwyższą Miłością,

która tej Wszechpotęgi może używać jedynie dla dobra wszystkich.

Bóg jest bezmiarem i nieskończonością i przed taką wielkością człowiek, w poczuciu swej znikomości, zostaje jakby zmiażdżony i starty na proch; — ale jest to nieskończoność dobroci i jasności, pociągającej ku sobie wszystko i radującej wszystko dokoła.

Bóg jest Mądrością, wobec której wyglądamy wszyscy jako niemowlęta nic nie rozumiejące; — ale jest też prostotą idealną, niewypowiedzianą, która rozbraja całkowicie i uśmiecha się po dziecięcemu poprzez najmędrsze oczy.

Bóg jest sprawiedliwością samą, przed której okiem i wagą nie ukryje się, ani ujdzie najmniejszy odruch stworzenia zły, czy najlepszy; — ale jest i miłosierdziem i wyrozumiałością ojcowską i roztropnością najwyższą, dlatego, że najsprawiedliwszą, która nietylko bierze sam zewnętrzny efekt ludzkiego czynu, ale rozważa najsubtelniej wszystkie wpływy wewnętrzne i zewnętrzne, nawet najbardziej dalekie i najsłabsze, które w ten, czy inny sposób, łącznie z naszą własną wolną wolą złożyły się, jako na swą wypadkową, na dany nasz czyn i według tej analizy najściślejszej kwalifikuje go i sankcjonuje, karząc tylko złą wolę, a mając litość i współczucie dla naszej słabości.

Bóg jest nietylko Pięknem nieskazitelnem, na tle którego nasze choćby najmniejsze prochy życiowe wydają się brzydotą i szpetnością, ale zarazem Pięknem, które winno w naszej duszy, najbardziej wrażliwej na wszelki artyzm (niekoniecznie wyszkolony) obudzić całą falę zachwytu i ekstazy i nieprzezwyciężonego pędu ku temu Słońcu Najcudniejszemu i najwyższej radości w promieniach jasnych tego Słońca,

Gdy się ma przed oczami i w pojęciu własnem tę wszechstronnie ujętą istotę Boga, wszystkie nasze uczucia ujemne bojaźni, trwogi, poczucie własnej nicości i brzydoty i wszystkie inne, niwelują się zupełnie, a z całej ich gamy szerokiej pozostaje jedno tylko wrażenie, gdy mimo naszą słabość stwierdzimy w sobie dobrą wolę: — że ten najpełniejszy Byt jest właśnie tem, czego spragniona jest dusza nasza, że On jeden może ją nasycić i uspokoić, że więc tam tylko jedynie

możliwem jest całe nasze i wyłączne szczęście i tam się rozpala prawdziwie słońce w naszej duszy.

Win nie do naprawienia niema—nie można więc upadać zupełnie pod ich ciężarem.

Wszystkie przewinienia i zbrodnie doczesne są tylko przemijające i w określonych ściśle rozmiarach. Jeżeli nie tutaj na ziemi, to tam w nieskończoności, zawsze będą wyrównane i naprawione o ile mamy dobrą wolę.

Jedyną winą nie do naprawienia jest przyczynienie się *wyłączne* do potępienia człowieka. Lecz taka wina nie istnieje nigdy, a przynajmniej *nigdy* nie możemy mieć przeświadczenia i pewności o niej. *O nikim* bowiem i *nigdy* nie możemy powiedzieć, że jest potępionym, choćby w naszych oczach umierał jako najbardziej zakamieniały zbrodniarz i w niezgodzie ze wszelkiemi prawami boskiemi i ludzkiemi, bo łaska boża jest wszechpotężna, a miłosierdzie boże nieskończone i Bóg do ostatka walczy o duszę, by ją obronić przed ostatecznem nieszczęściem, choćby ona sama opierała się temu ze wszystkich swoich sił. I choć dla oka ludzkiego już nic nie jest widocznem, w duszy umierającego i niedającego już znaku życia człowieka odbywają się cuda miłości bożej. Tylko ślepa i najbardziej zacięta *zła wola* człowieka może się oprzeć tym atakom miłosierdzia bożego. A w chwili ostatniej dusza człowieka chwyta się, jak tonący, wszelkiego choćby cienia nadziei i ratunku. Bóg zaś w tym momencie, dopóki szala życia nie przechyli się ostatecznie, zapomina niejako o swej sprawiedliwości, a rozwija bez zastrzeżeń żadnych jedynie nieskończone swoje miłosierdzie. I gdy ciało już sparaliżowane, nic nie może po sobie okazać, dusza w najintensywniejszym swoim akcie zwraca się do Boga i Bóg ją chwyta w swoje ramiona i ratuje z najgłębszej toni, już w momencie, gdy się staczała w przepaść bezdenną. (p. o tem w „Pro Christo” art. „Dobry Pan Bóg i umierający“).

Nie można więc nigdy powiedzieć, że ma się na sumieniu potępienie człowieka i rozpaczać o tem i łamać sobie życie. Byłoby to największym grzechem, bo zwątpieniem w dobroć i miłość bożą, która jest istotą istoty Boga.

Wszelki zaś człowiek, któryby twierdził napewno, sądząc po martwych przepisach prawa, że człowiek został potępiony,

nie zna Boga, albo Go zna fałszywie, albo jest kłamcą bezczelnym.

Świadomość win i swej nikczemności winno nas tylko upokarzać, t.j. obudzić poczucie naszej słabości, ale nigdy znowu nie przygniatać, ani oddalać od Boga. Byłoby to raczej oznaką pychy, która znieść nie może swej nikczemności, ani tego, że przed Bogiem staje w łachmanach, zamiast, jakby chciała w złocistej, godowej szacie.

Przeciwnie, im bardziej słabymi, a nawet złymi się czujemy, z tem większą ufnością i tem uporczywiej patrzyć winniśmy w twarz dobrego Boga, bo on najwięcej ma współczucia dla nieszczęśliwych i od Niego tylko pomocy spodziewać się możemy.

Prawdziwa skrucha i prawdziwa pokora występują zawsze i nieodłącznie z największą dziecięcą ufnością. Gdy ufności tej niema — niema pokory, ani skruchy, a jest pycha i egoizm.

A jakżeż można powiedzieć o Bogu, że nie przebacza, jeżeli Go grzesznik głęboko skruszony o to prosi? Nie byłby to Bóg, ale najokrutniejszy tyran.

A jeżeli przebacza, jakżeż można powiedzieć znowu, że nas tylko znosi i toleruje, ale ma do nas zawsze wstręt i odwraca się od nas z uczuciem conajmniej niesmaku? Czyż w Bogu możliwą jest kiedy dwoistość aktów, albo niezupełność postępowania?—Co Bóg czyni — czyni z przekonania i doskonale, t.j. wykańcza wszystko dokładnie. Jeżeli przebacza — przebacza bez cienia urazy, jeżeli daje łaskę — nie pozostawia nawet cienia nietylko wstrętu, ale nawet niechęci i niesmaku, ale kocha całą duszą, bo łaska jest miłością, a nawet nie przestaje kochać i wtedy, gdy człowiek zbrodniami skala swoją duszę — bo zawsze On jest Ojcem, a człowiek Jego dziecięciem, nieszczęśliwem wprawdzie w swojej słabości, czy nawet złości, ale właśnie dlatego tem bardziej ukochanem.

Cóż wobec tego pozostaje? Z rezygnacją poddać się losowi, poprzestając na „formalnem" przebaczeniu? Co znaczy „formalne" przebaczenie ze strony Boga? Bóg nie jest człowiekiem, który może ustami mówić; „przebaczam", a w duszy nienawidzieć świadomie i życzyć zła, ani trybunałem ziemskim, który z konieczności stosuje formułę prawa uniewinnia-

jącą, choć przekonany jest o całkowitej winie zwolnionego od odpowiedzialności.

Gdy Bóg mówi: „przebaczam" — powtórzmy jeszcze raz — przebacza całkowicie, z całem przekonaniem i *na zawsze*. A przebacza każdemu, nawet największemu zbrodniarzowi, skoro ten szczerze i z dobrą wolą do Niego się zwraca.

Nie poddawać się więc smutnemu losowi należy, ale cieszyć się i radować całą duszą, że z ust Boga usłyszało się bezapelacyjne orzeczenie: „Ja ciebie rozgrzeszam" — i rzucić się w tę nieskończoność miłości, której łaknie i pragnie nasza dusza, bo do tego stworzona została.

Słońce i nietoperz, orzeł i płaz, lilja i plugawe zielsko ze śmietnika — to tylko stopnie całej hierarchji bytów, bez żadnej z ich strony winy, że jedno jest królem, a drugie nędzarzem. W oczach Boga, jako Słońca, Orła, Lilji przeczystej — każdy byt jest przedewszystkiem bytem i to stanowi całą jego wartość. Zewnętrzna szata niewiele tu znaczy, a nawet wewnętrzna wartość, jeżeli w oczach Boga dla jednych wzbudza uznanie, to dla drugich współczucie, ale nigdy potępienie czy odrzucenie i wzgardę, chyba żeby była wina nieobżałowana.

Zresztą i słońce jest dla najmniejszego robaczka, który może i musi w nie patrzeć, a nawet nietoperz korzysta z jego odblasków, odbitych od księżycowej powierzchni, jeżeli nie może spojrzeć wprost w jego jarzące promienie.

Sobie zaufać nie możemy na przyszłość, ale „wszystko możemy w tym, który nas umacnia" i w Jego łasce potężnej, a szczodrej.

Żadnego poręczenia, żadnej gwarancji dać o sobie nie możemy, ale też tego Pan Bóg od nas nie wymaga, bo zna naszą nieudolność i słabość. Żąda tylko jednego: prostoty i dobrej woli—a to możemy mu dać w każdej chwili, choćby brakło nam już w następnej wytrwania wiernego.

Wyciągajmy więc ręce nasze ku Niemu i niech dusza nasza, jako ziemia spragniona rosy, pije z tego źródła strumienie przebaczenia, łaski, zapomnienia najlepszych nadziei i całe potoki ufnej, niezamąconej niczem dziecięcej radości — bo dobry jest Pan i na wieki miłosierdzie jego".

* * *

Pyt. Wola nasza nie działa sama przez się, lecz zawsze pod wpływem różnych pobudek—a więc nie jest wolna.

Odp. Istota wolności nie polega na tem, żeby wola, jakby puklerzem, odłączyła się od wszelkich na nią wpływów i czynników obcych. Byłoby to rzeczą niemożliwą, bo wszak żyjemy w środowisku wprost nieskończenie urozmaiconem, z którem łączą nas najściślejsze stosunki i wzajemne oddziaływania.

Istotą wolnej woli jest **akt wyboru** bez żadnego ograniczenia takiego lub innego wpływu, racji, czy nawet względnej konieczności zewnętrznej (wewnętrznej konieczności niema, bo zawsze możemy przynajmniej w duszy powiedzieć: „nie", choćby nas gwałtem do jakiego czynu zmuszono, na który nie chcemy się zgodzić).

A wpływy na naszą wolę zawsze będą działały, bo wola nie jest automatem, lecz *rozumnem* pożądaniem rzeczy. Pożąda dobra i jedynie dobra i tylko za dobrem, przynajmniej subjektywnie za dobra mianem, idzie. Każdy t. zw. „wpływ“ jest takiem dobrem dla woli i wśród nich dopiero wola nasza *wybiera* jedno, ku któremu ostatecznie się skłania. Lecz uwolnić się od wpływów, t. j. nie być wrażliwą na dobro nie może, bo dążenie do dobra jest właśnie jej istotą.

* * *

Pyt. Wolność woli jest tylko pozorną, gdyż z konieczności czynimy to zawsze, co uważamy za najlepsze.

Odp. Odpowiem naprzód pytaniem:—czy uważalibyśmy, że nóż jest zły, albo, że nie jest nożem, dlatego, że jak brzytwą wszystko ścina i kraje, bo jest jak brzytwa ostry i zahartowany?

Istotą woli jest dążenie do dobra. Im więc większe dobro, tem bardziej wola nasza *z istoty swojej* ku niemu dążyć powinna. Czyż więc jest to skrępowaniem woli, t.j. brakiem jej wolności, że idzie całą siłą, z konieczności, ku temu, co uważamy za najlepsze, ku najwyższemu dobru? Czy raczej nie jest to właśnie najwyższym aktem wolnej naszej woli?

Możność czynienia źle nie należy do istoty wolności woli, bo zło jest przeciwne dobru, które jest jedynym właściwym przedmiotem dążności woli. Jest to tylko słabością naszej woli. A zresztą, nawet skłaniając się dobrowolnie ku złemu, czyni-

my to jedynie dlatego, że subjektywnie widzimy tam dla siebie dobro, choć się w tem możemy fatalnie pomylić.

Wola nie może dążyć do zła i nie może nie dążyć do dobra.

Wolna wola, wybierając możliwe dobra przed sobą, wybierze zawsze, na mocy swej istoty, dobro większe (przynajmniej subjektywnie). Gdy więc będzie miała przed sobą to, co jest najlepszem, t.j. największe dobro, pójdzie za niem z istoty swojej, a więc nie pod przymusem zewnętrznym, tylko z konieczności swojej natury, t.j. wypełniając tem najwyższy akt swojej istoty, a nie zaprzeczając tem w najmniejszej nawet cząstce swej naturze i istotnie, tylko okazując właśnie całą swą pełnię.

* * *

Pyt. Statystyka kryminalna wykazuje, że ludzie, postawieni w tych samych warunkach, zachowują się zupełnie tak samo, a więc nie działają zupełnie samowolnie, lecz pod wpływem różnych okoliczności.

Odp. Oczywiście, że działają pod wpływem okoliczności, bo właśnie, jak to było wyżej wyjaśnione, okoliczności są temi różnorodnemi dobrami, wśród których wola nasza czyni swój wolny wybór.

Że ludzie postawieni w tych samych okolicznościach, działają jednakowo—nie dowodzi wcale braku wolności woli w człowieku, a tylko podobieństwa natury ludzkiej i podbieństwa ludzkiego rozumowania w ocenianiu dobra. To znaczy, że ludzie w ten sam sposób kwalifikują różne zjawiska i okoliczności i *dobrowolnie* idą w tym, lub innym kierunku, *wybierając* na podstawie tej samej oceny to co uważają jednakowo za większe dla siebie dobro.

Ale niezawsze tak bywa z konieczności—co właśnie potwierdza wolność naszego wyboru. Bo jednak tysiące ludzi głodnych przechodzi koło wystawy z chlebem, a może jeden z nich tylko rozbije tę wystawę; tysiące urzędników kasowych operuje codziennie miljonami, a słabe tylko i bardzo, Bogu dzięki, nieliczne wyjątki wpośród nich, dopuszczają się i to bardzo rzadko i raz może tylko w życiu defraudacji.

Fakt, że np. wszyscy ludzie w zimie kładą na siebie ciepłe ubranie, wcale nie dowodzi, że ci ludzie są pozbawieni

wolności woli, ale jedynie tego, że wszyscy zgodnie sądzą, że gdy jest zimno, należy się cieplej ubrać i *dobrowolnie* zupełnie takie ubranie, o ile je kto ma, na siebie kładą. Ale może się znaleźć mimo to taki oryginał, który wbrew wszystkim i posiadając cały skład własnych futer, będzie jednak w trzaskający mróz chodził po ulicy w letniej marynarce i trząsł się z zimna i szukał choroby. Ale takiego wyjątku wcale nie potrzeba dla stwierdzenia wolności woli tamtych wszystkich ludzi, ubranych odpowiednio. Owszem, takiego oryginała wzięlibyśmy pod ściślejszą obserwację i właśnie na podstawie tej oryginalności posądzalibyśmy go o brak świadomej wolnej woli ludzkiej.

Amicus.

TRIOLETY.

1.

Możesz stanąć i na czele,
ale świeć przykładem.
W rządzie, w wojsku, czy w kościele,
wszędzie możesz być na czele.
Biada wam, o gorszyciele,
wieść nas zgubnym śladem!
Gdy stanęliście na czele, —
świećcież nam przykładem!

2.

Są chorągiewki, którym się zdaje,
że każda z nich wiatrem kieruje,
że szczyt ich dachu—to Himalaje,
Mont-Blanc, Everest—(tak im się zdaje)
Niejedna dotąd w błędzie zostaje,
aż zrzuci ją wiatr lub zepsuje.
Lecz pozostałym dalej się zdaje,
że każda z nich wiatrem kieruje.

3.

Dziś czas czynów, a nie słów.
Grunt dziś treść—nie zwroty
Tylko sedno rzeczy mów:
dziś czas czynów—dość już słów!
Mniej języków,—więcej głów
i rąk do roboty! —
Dzisiaj czynów czas—nie słów,
grunt dziś treść—nie zwroty.

4.

Złoto w ogniu się oczyszcza,
a narody — w doświadczeniu.
Dawne formy i bożyszcza
wojna, czas i los oczyszcza,
stare wady w nas wyniszcza
i przetapia je w płomieniu.
Złoto w ogniu się oczyszcza
a narody w doświadczeniu.

5.

Miłość i Piękno — to perły życiowe,—
w Młodość je trzeba oprawić.
Znane od wieków, odwiecznie zaś nowe—
są to najrzadsze dwie perły życiowe.
Skarby to nieśmiertelne, duchowe:
niemi nie wolno się bawić.
Miłość i Piękno to perły życiowe,—
W młodość je trzeba oprawić.

6.

Szczęście nie zamorski kwiat:
to bławatek naszych niw —
i własnego serca szmat, —
Swojski, nie zamorski kwiat.
Tęsknisz doń, jak chłop do chat,
czekasz go—jak rolnik żniw...
Szczęście—nie zamorski kwiat:
to bławatek naszych niw.

Jan Tarwid.

BOHATEROWIE WIARY.

Św. Izydor, rolnik.

15 maja.

Był to człowiek o charakterze i sposobie życia typu wprost przeciwnego, niż Atanazy. Tamten był jako lew ryczący z rozwianą grzywą i wejrzeniem mocarza—ten jako skowronek szary i niepokaźny, wśród pól zielonych śpiewający swą prostą piosenkę dla Stwórcy, Atanazy — jako wielki królewski kwiat, cały w purpurze swej walki, męstwa, zapału i szalonej odwagi, Izydor—jako skromny fijołek, ukryty w cieniu, gdzieś w zapomnianym zakątku bożego ogrodu, na drobnej łodydze, bez blasku szkarłatu, jedynie swym łagodnym a mocnym zapachem zdradzający swą wartość wewnętrzną. Tamten był rycerzem, w którym krew pulsowała aż do stanu wrzenia doprowadzona gorącością bojów, z oczami, w których się przeglądała głębokość mądrości, moc nieugięta, to znowu przekorna, żołnierska wesołość—ten cichym najemnikiem rolnym, o szarem spojrzeniu, o ciężkim, spracowanym chodzie, zadumany w sobie, skupiony i jakby cały wewnątrz duszy zamknięty, nieznający nic więcej poza kilku morgami pola, które, jako sługa gospodarski, uprawiał z roku na rok, w pocie oblicza, tą samą zawsze metodą, w towarzystwie pary wołków, ptaków i kwiatów polnych i nieokrzesanych, jak on, ludzi pracy powszedniej.

Nad podziw wszelki wyrosł on w dalekiej Hiszpanji, koło Madrytu, na tle majestatu i blasku wieku XIII-go, tego wieku, któremu żaden jeszcze inny nie dorównał swą głębią, namaszczeniem, rozmachem, splendorem i olśniewającem światłem prawdy i miłości.

Był to wiek Tomasza z Akwinu, Franciszka z Assyżu, Bonawentury i Dominika, Innocentego III-go i tylu, tylu innych luminarzy prawdziwych i do dnia dzisiejszego niedościgłych w swej głębi, majestacie, żarliwości i prostocie.

Obok tych słońc gorejących zjawia się, jako gwiazdka maleńka, ale równie Bogu pełna, Izydor—rolnik, najemnik go-

spodarski, prostak, nie umiejący czytać, ale znający Boga i kochający Go ponad wszystko.

Jak się ta dusza wychowała i rozkwitła w takich warunkach życia — to już jest tajemnicą łaski. O Izydorze wiemy tylko, że pracował na cudzem, ale nigdy tego sobie nie obrzydził i nigdy rąk nie opuścił. Wiemy, że miał duszę rozmodloną, nie tą modlitwą bezmyślną, ale pełną treści, zachwytu i umiłowania dobrego Boga, prostą, a najgłębszą, stałą i nieustanną, która mu dodawała sił do pracy i pomnażała tę pracę dziesięciokrotnie, co symbolicznie jakby w legendach i opowieściach o nim wyrażonem zostało w tych aniołach bożych, którzy szli z nim krok w krok przy pługu, a nawet pracowali zań, gdy on się modlił pod krzyżem przydrożnym.

Trzy główne cechy podkreślić możemy w jego życiu: to rozmodlenie duszy mistyczne, pracowitość realną i owocną i wielkie oddanie się ludziom, jak on sam ubogim, z którymi dzielił zawsze wiernie kawałek swego czarnego chleba i dzban wody do picia.

To był cały święty — bez korony na głowie, bez togi na ramionach, bez zakonnego habitu nawet, w prostej siermiędze, z twardemi od ciężkiej pracy rękami, zakurzony pyłem polnym, zagłębiony w swej bruździe, gdy chodził na każdy dzień za parą nierozumnych wołków — ale zato ze słonecznym Bogiem w duszy, z prostotą dziecięcą, z sercem oddanem dla wszystkich i z rozradowaną nieustannie duszą. Jak skowronek szary i maluteńki, ale zawsze pod niebiosami, w blaskach oślepiających południowego słońca, nucący na każdy dzień swą koronkową, perlistą piosenkę żmudnej pracy—niezmordowany pracownik boży.

I to jest wszystka świętość. Taka ona prosta w swej wielkości i taka wielka w swej prostocie, taka szara, a taka promienna i jaśniejąca niebieskiemi blaskami, taka ukryta w swym zaścianku, cicha i nieznana, a tak wymowna, głęboka i pełna treści.

Nie każdy może być orłem—na to trzeba się urodzić na skalnych szczytach, tuż obok słońca i chodzić od zarania w zawody z wichrami, ale po szarej ziemi stąpać i szczebiotać, jak małe pisklę i zbierać drobne ziarenka piaskiem przysypane i rozmawiać ze słonkiem, które i w niziny najdalsze schodzi

i być na swojem miejscu promykiem uśmiechu bożego na każdy dzień —- to może każdy, choćby był ostatnim najemnikiem, prostaczkiem i sługą wszystkich.

Niema szczytów niedostępnych świętości, niema uprzywilejowanych wybrańców losu—a komu więcej dano, więcej też odeń wymaganem będzie.

Jedna jest tylko świętość—promienna boża radość życia zawsze i na każdem miejscu.

Ks. A. Bogdański.

Ojciec św. Leon XIII.

II.

Przejściem od episkopatu perudżijskiego do rządów papieskich był urząd kamerlinga Stolicy Apostolskiej, w zakres władzy którego wchodziły funkcje administracyjne, a więc finanse watykańskie, opiekowanie się armją papieską i tym podobne sprawy. Urząd ten ks. kardynał Pecci piastował krótko, albowiem dnia 18 lutego 1878 r. po śmierci Ojca św. Piusa IX otwarto konklawę dla obioru nowego Namiestnika Chrystusowego. Rezultatem jego był obiór dotychczasowego kamerlinga na papieża.

Zasiadłszy na Stolicy Apostolskiej, Ojciec św. Leon XIII liczył już lat sześćdziesiąt osiem, był przytem słabego zdrowia, a jednak do pracy zabrał się z młodzieńczym zapałem.

Druga połowa stulecia dziewiętnastego i początek wieku dwudziestego — to świt nowych czasów, okres znacznych przemian społecznych, oraz kulturalnych, które rzekomo, wedle określenia „ludzi małej wiary", zagrażać miały dalszemu bytowi Kościoła katolickiego, aż tu nagle na firmamencie dziejów zjawia się, jako „servus servorum Dei", papież, którego przepowiednia, przypisywana św. Malachiaszowi, zowie „lumen de Coelo", „światłością z Niebios". Czyliż to nie jest świadectwem Opatrzności Boskiej? Czyż nie dowodzi tej opieki nadziemskiej nad światem ten o głębokiej wiedzy Namiestnik Chrystusowy? Czyż to nie dowód wreszcie nieomylności papieża, zabierającego głos w sprawach wiary oraz moralności? Kontrargumentów, zbijających te dogmaty, przeciwnicy nauki Kościoła katolickiego przytoczyć nie mogą, bo fakty te są nadto znamienne.

Kamieniem węgielnym i podstawą wielkich dzieł Ojca św. Leona XIII są jego prawdziwie przez Ducha św. natchnione encykliki. O ile inni papieże ograniczali się do oznaczenia treści jakiego, wielkiego dokumentu, to ten Namiestnik Chrystusowy nie postępował tak nigdy. „Pomimo całej wprawy sekretarzów Leona XIII — pisał za jego życia jeszcze ks. Szlagowski— nie powierza napisania encykliki innemu pióru, prócz własnemu. Gdy papież położył swój podpis u spodu encykliki, nie ogłasza jej natychmiast, rękopis, zamknięty w szufladzie, przeleży zwykle wiele tygodni, zanim Ojciec św., przeczytawszy go na nowo z wielką uwagą, odeśle do drukarni". Treściowo encykliki są kwintesencją, doświadczenie całego życia wielkiego papieża, wszakże wpływ na przejrzystość i jasność ich miał niezawodnie pierwiastek wyższego natchnienia.

Przegląd encyklik leonowych jest niezwykle interesujący oraz daje dużo do myślenia. Zadziwia tu przedewszystkiem jakby celowa ich kolejność, rozwijająca kolejno wszelkie aktualne zagadnienia.

W pierwszej swej encyklice „Incrutabili" Ojciec św. Leon XIII zwrócił się do biskupów świata katolickiego z wezwaniem, ażeby zaopiekowali się filozofją, ona to bowiem wskazuje drogę do rozwoju innych nauk i wpływa na dobro ogólne.

Jaka filozofja jest najlepsza, poucza katolików wydana akurat pół wieku temu encyklika „Aeterni Patris". Ona to zaleca powrót do tomizmu, tego przecudownego systematu „doktora anielskiego", św. Tomasza z Akwinu. Zalecając opieranie się na filozofji tomistycznej, Namiestnik Chrystusowy w umysłach pokoleń nowoczesnych budował trwały fundament pod uświadomienie religijne. Skrajny spirytualizm z jednej strony, względnie skrajny materjalizm z drugiej strony w konsekwencji, prowadził do negacji katolicyzmu czystego, prowadził do katolicyzmu z „ale" jak go nazywają niektórzy, czyli poprostu do herezji. Przenoszenie radykalne ducha nad ciało, albo ciało nad ducha nie wiodło do wiary żywej a mocnej, czynił to zaś dopiero tomizm, który, uznając byt materjalny oraz byt duchowy, pierwszy uważał za niższy od drugiego, ale za współdziałające oba w harmonji.

Z encyklik o kwestjach społecznych wymienić w kolejności można: „Quod apostolici muneris", skierowaną przeciwko socjalizmowi i komunizmowi; „Arcanum Divinae", poświęconą sakra-

mentowi małżeństwa; „Auspicato concessum est", o Trzecim Zakonie św. Franciszka z Assyżu oraz jego roli; „Immortale Dei" o nowym duchu prawodastwa i jego błędach; „Humanus genus", o masonerji; „Libertas praestantissimum", o wolności; „Sapientiae christianae", o najważniejszych obowiązkach obywateli-chrześcijan; „Exeunte ami", o życiu chrześcijańskiem; wreszcie nieśmiertelny dokument o demokracji chrześcijańskiej, „Rerum Novarum".

Nie mówiąc już o encyklikach, skierowanych do poszczególnych narodów katolickich, nie wypada też pominąć encyklik takich, jak: „Diuturnum illud" o stosunku władzy duchownej do władzy świeckiej; „Supremi apostolatus" przeznaczającej miesiąc październik nabożeństwu różańcowemu: „Quamquam pluries", zaprowadzającej nabożeństwo do Przenajświętszej Rodziny; „Octobri mense adventante", o Różańcu; „Providentissimus Deus", o Piśmie św.

Jak widać z tego pobieżnego zestawienia, pisma encykliczne Ojca św. Leona XIII są bardzo liczne i bardzo różnorodne jednocześnie, poruszają kwestje przerozmaitsze, a wszystkie nie pobieżnie tylko, lecz głęboko oraz dość wyczerpująco. Podziwiać trzeba zaiste niestrudzoność tego Namiestnika Chrystusowego, który przy całym ogromie zajęć związanych z czynnościami pontyfikalnemi potrafił tyle pisać, a to przecie niewszystko jeszcze, nierzadko bowiem, jako urodzony poeta, kreślił po łacinie bądź też po włosku wiersze.

Twórczość poetycka Ojca św. Leona XIII, tego prawdziwego humanisty, była również różnoraka: liryczna, epicka, dydaktyczna; poważna, humorystyczna; religijna, świecka. Z utworów religijnych włoskich szczególny rozgłos zdobył sobie w świecie katolickim wiersz p. t. „Zdrowaś Maryjo!...", gdzie dostojny autor z dziecięcą prostotą zwraca się do Królowej Niebios:

„Gdy śmierć się zbliży, Matko, w tej godzinie
Nie wypuść Ty mnie z potężnej opieki,
Gdy Pan mię wezwie oraz życie minie,
Weź mnie do Siebie, do Nieba, na wieki" [3]).

W łacińskim znowu „Hymnie na cześć św. Konstancjusza, biskupa i męczennika", wspominając episkopat w Perudżji, zwraca się do owego świętego poprzednika swego na stolicy biskupiej:

---

[3]) Przekład anonima.

„Ty, który grodu twego pasterza,
Wspólnika mitry twej oraz znoju,
Światłem i łaską przez skał bezbrzeża
Wiodłeś w pokoju,
Dziś, gdy, sterując Nawą Piotrową,
Płynie wśród wzdętych fal oceanu
Z nadzieją w sercu, z wzniesioną głową
W Niebo, ku Panu.
Spraw: niech zwalczywszy burz huragany,
Leon-Zwycięsca ujrzy ląd nagle,
Niech zwinie w porcie okręt miotany
Spokojne żagle!" [4]).

To, o co prosił poeta w tiarze, spełniło się. Po dwudziestoletnim pontyfikacie dnia 1903 r., okrywszy Owczarnię Chrystusową chwałą swych czynów wielkich oraz wspaniałych, zasnął cicho w Panu, ale duch jego żyje do dziś dnia w jego dziełach, otwierających nową epokę.

* * *

Ktoby pragnął zapoznać się dokładniej z życiem Ojca św. Leona XIII, polecić mu możemy liczący trzysta dwadzieścia osiem stron tom p. t. „Leon XIII. Żywot i prace", opatrzony ilustracjami, a wydany w Warszawie w 1902 r. przez „Bibljotekę Dzieł Chrześcijańskich". Praca ta jest zbiorowa. Przedewszystkiem mieści ona w sobie stosześćdziesięcioczterostronicowy życiorys, napisany przez ks. Antoniego Szlagowskiego, obecnego biskupa sufragana warszawskiego, poczem następują: rozbiór encykliki „Aeterni Patris" przez ks. Idziego Radziszewskiego, późniejszego twórcę uniwersytetu Lubelskiego; rozbiór encykliki „Providentissimus Deus" przez ks. Aleksandra Zarembę jakoteż rozbiory encyklik: „Imortale Dei", „Libertas", „Rerum novarum" przez Aleksandra Rembowskiego. Żywot i dwa pierwsze rozbiory nie straciły aktualności swej dziś także, trzy ostatnie natomiast rozbiory stanowią właściwie pozycje bibljograficzne, są bowiem nieco przestarzałe w porównaniu z pracami nowszemi. Książkę omawianą nabywać można w Księgarni św. Wojciecha. Cena jej jest bajecznie niska, bo wynosi zaledwie 1 złp. 30 gr.

Z encyklik papieża tego zanotować należy wydany dopiero

---

[4]) Przekład ks. Alfonsa Bułakowskiego.

co w r. b. przez Księgarnię „Kroniki Rodzinnej” w Warszawie „List pasterski. Papież Leon XIII o masonerji”, gdzie mieści się encyklika „Humanus genus”. Cena tej broszurki 40 gr.

Ktoby pragnął bliższych informacyj bibljograficznych, służymy mu z chęcią.

J. M. Chudek.

CHRYSTUS

Pójdźcie do mnie!

Pójdźcie tu do mnie wy, co pracujecie!
Pójdźcie tu wszyscy, obciążeni srodze!
Pójdźcie z ufnością, jak do Ojca dziecię —
Ja was ochłodzę!

Pójdźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
Którzy stąpacie po ciernistej drodze!
Pójdźcie tu wszyscy złamani przez życie,—
Ja was ochłodzę!

Pójdźcie tu do mnie wy, zbłąkane owce,—
Wy pogrążeni w ciemności i trwodze!
Pójdźcie, porzućcie te błędne manowce,—
Ja was ochłodzę.

* * *

Pójdźcie, stroskane i płaczące rzesze,—
Ja was pocieszę!
Pójdźcie, co Prawdy dostać chcecie klucze,—
Ja was naucze!

Pójdźcie, upadli na duchu synowie,—
Ja was uzdrowię!
Pójdźcie tu, w śmierci żyjący obawie,—
A ja was zbawię!

Pójdźcie! Jam Wszechmoc—więc ja wszystko mogę!
Jam Miłość—Jam was ukochał ogromnie!
Jam Mądrość—wskażę wam zbawienną drogę!
Jam Prawda, Świętość,—więc pójdźcie tu do mnie!

Bronisław Wiszniewski.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Na froncie antyreligijnym.

Lewicowy projekt konstytucji. — Oddzielenie Kościoła od Państwa. — W jaki sposób lewica pogodziła liberalizm i etatyzm. — Pięść bez rękawiczki i w rękawiczce. — Plan prześladowań religijnych w Polsce.

Zgodnie z naszą zapowiedzią ogłaszamy dalszy ciąg dokumentów i faktów walki z religią i Kościołem, prowadzonej przez ugrupowania lewicowo-radykalne w parlamencie, prasie i we wszystkich dostępnych dziedzinach życia.

W dniu 4 marca 1929 r. złożyły: „Związek Parlamentarny Polskich Socjalistów (P.P.S.), „Klub Parlamentarny P. S. L. „Wyzwolenie" i „Klub Parlamentarny Stronnictwa Chłopskiego" do laski marszałkowskiej wnioski w sprawie zmiany Konstytucji z dn. 17 marca 1921 r. Wnioski te zawierają szereg przepisów dotyczących religji i Kościoła, którymi wypadnie nam się zająć, nietylko dlatego, że nie straciły nic na aktualności, gdyż będą jeszcze rozpatrywane podczas debaty Konstytucyjnej, o ile ta dojdzie do skutku, lecz również i ze względów zasadniczych. Nie może być dla nas obojętne, w jaki sposób wrogowie Kościoła wyobrażają sobie przepisy konstytucyjne, wprowadzające oddzielenie Kościoła od Państwa i oddające religję na łup ich namiętności.

Podamv poniżej odpowiednie artykuły Konstytucji z dn. 17. III. 1921, zestawiając je równocześnie ze zmianami, projektowanymi przez lewicę:

Według Konstytucji obowiązującej:

Art. 111.

Wszystkim obywatelom poręcza się wolność sumienia i wyznania. Żaden obywatel nie może być z powodu swego wyznania i przekonań religijnych ograniczony w prawach przysługujących innym obywatelom.

Wszyscy mieszkańcy Państwa Polskiego mają prawo wolnego wy-

Według projektu lewicy:

Art. 111.

Wszyscy mieszkańcy Rzeczypospolitej korzystają z pełnej swobody wyznania i sumienia. Niezakłócone wykonywanie obrzędów religji poręczone jest przez Konstytucję i znajduje się pod ochroną Państwa. Postanowienia te nie uchybiają w niczem ustawom.

znawania zarówno publicznie, jak i prywatnie swej wiary i wykonywania przepisów swej religji, lub obrządku, o ile to nie sprzeciwia się porządkowi publicznemu; lub obyczajności publicznej.

Art. 112.

Wolności wyznania nie wolno używać w sposób przeciwny ustawom. Nikt nie może uchylać się od spełnienia obowiązków publicznych z powodu swoich wierzeń religijnych. Nikt nie może być zmuszony do udziału w czynnościach, lub obrzędach religijnych, o ile nie podlega władzy rodzicielskiej, lub opiekuńczej.

Art. 113.

Każdy związek religijny, uznany przez Państwo, ma prawo urządzać zbiorowe i publiczne nabożeństwa, może samodzielnie prowadzić swe sprawy wewnętrzne, może posiadać i nabywać majątek ruchomy i nieruchomy, zarządzać nim i rozporządzać, pozostaje w posiadaniu i używaniu swoich fundacyj i funduszów, tudzież zakładów dla celów wyznaniowych, naukowych i dobroczynnych. Żaden związek religijny nie może jednak stawać w sprzeczności z ustawami Państwa.

Art. 114.

Wyznanie rzymsko-katolickie, będące religją przeważającej większości narodu, zajmuje w Państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań.

Kościół Rzymsko-Katolicki rządzi się własnemi prawami. Stosunek Państwa do Kościoła będzie określony na podstawie układu ze Stolicą Apostolską, który podlega ratyfikacji przez Sejm.

Art. 112.

1. Nikt nie jest obowiązany ujawniać swoich przekonań religijnych. Władze mogą zapytywać o przynależność do związku religijnego tylko w celach statystycznych.

2. Nikogo nie można zmuszać do wykonywania czynności kościelnych, albo do wzięcia udziału w uroczystościach i praktykach religijnych, lub do użycia religijnej formy przysięgi.

Art. 113.

Wszystkie związki religijne podlegają powszechnym ustawom. Każdy związek religijny samodzielnie załatwia swoje sprawy i zarządza niemi w granicach ustaw, obowiązujących dla wszystkich.

Art. 114.

Państwo i publiczne związki samorządowe nie mogą być obciążone wydatkami na cele wyznaniowe.

Art. 115.	**Art. 115.**
(Mówi o kościołach mniejszości religijnych)	Nauka jest niezależna i wolna od jakiejkolwiek kontroli związków religijnych.
Art. 120.	**Art. 120.**
W każdym zakładzie naukowym, którego program obejmuje kształcenie młodzieży poniżej lat 18, utrzymywanym w całości, lub części przez Państwo, lub ciała samorządowe, jest nauka religji dla wszystkich uczniów obowiązkowa, Kierownictwo i nadzór nauki religji w szkołach należy do właściwego związku religijnego z zastrzeżeniem naczelnego prawa nadzoru dla państwowych władz szkolnych.	... nauka przedmiotów religijnych oraz udział w uroczystościach i praktykach kościelnych pozostawia się uznaniu rodziców i opiekunów.

Prócz tego do art. 15, gdzie jest mowa o biernym prawie wyborczym, projekt lewicowy dodaje ustęp: „Duchowni wszystkich wyznań nie mogą być wybierani do Sejmu w tych okręgach, w których pełnią swe obowiązki duszpasterskie".

Powyższe zestawienie pozwala nam już zorjentować się w ogólnych zarysach, do czego dąży projekt lewicy. Przedewszystkiem więc stwierdzić należy, że skreślenie art. 114 w brzmieniu dotvchczasowym i zastąpienie go nową redakcją wprowadza faktycznie rozdzielenie Kościoła od Państwa, skreśla bowiem „naczelne stanowisko Kościoła Katolickiego" w Państwie oraz zasadę regulowania spraw kościelnych zapomocą dwustronnego układu ze Stolicą Apostolską.

Pierwsze skreślenie jest natury moralno-ideowej, drugie ma znaczenie zasadnicze, gdyż oddaje faktycznie Kościół na łaskę i niełaskę każdorazowego Rządu, czy większości parlamentarnej, spychając go do roli stowarzyszenia, podległego rządowi, jak każda inna organizacja polityczna, społeczna, sportowa i t. p., rządząca się własnym statutem w ramach obowiązujących ustaw, a nie potęga o charakterze międzvnarodowym, z którą trzeba się układać i zawierać traktaty.

Na uwagę zasługuje przytem metoda lewicy, którą możnaby nazwać ewolucyjną. Panowie ci bowiem nie proklamują w żadnym z projektowanych przez siebie artykułów samej

zasady rozdziału Kościoła od Państwa, wiedząc widocznie, że ta zasada byłaby niepopularna wśród szerokich mas. Wystarczy im usunąć z Konstytucji wszystko, co jest dla Kościoła gwarancją suwerenności i niezależności, resztę zamierzają wprowadzić stopniowo w życie w miarę, jak opinja mas będzie się przygotowywała i przystosowywała do ich bezbożnych zasad.

Inne posunięcia projektu są tylko konsekwentnym rozwinięciem tego naczelnego skreślenia. A więc artykuł 114 w lewicowym brzmieniu usuwa całkowicie budżet departamentu wyznań, pozostawiając przez to Kościół bez żadnych środków materjalnych, nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że większość, któraby uchwaliła taką konstytucję, niechciałaby nawet słyszeć o odszkodowaniach za zabrane przez Państwo posiadłości kościelne.

Projekty art. 115 i 116 usuwają naukę religji, jako przedmiot obowiązkowy w szkolnictwie i skreślają obowiązkowe praktyki religijne uczącej się młodzieży. Według zaś art. 112 nawet dzieci nie mogą być zmuszone przez swoich rodziców, czy opiekunów do spełnienia praktyk religijnych. Nie chodzi nam w danym wypadku o zagadnienie przymusu, lecz o przypieczętowanie skrajnego liberalizmu w dziedzinie religijnej ze strony tych samych, którzy np. w dziedzinie gospodarczej są bezwzględnymi wrogami zasad liberalnych.

Dalej, zestawienie art. 111 i 113 pouczy nas, że są dwa zagadnienia, które projekt lewicowy usuwa dyskretnie poza ramy Konstytucji, zamierzając je widocznie załatwić oddzielnymi ustawami. W art. 113 opuszczony jest ustęp, traktujący o prawie związków religijnych do nabywania i zarządzania majątkiem ruchomym i nieruchomym, fundacjami i t. d. Również zagadnienie wyznań uznanych i nieuznanych przez państwo jest starannie wyeliminowane poza nawias projektu, a warunek niesprzeciwiania się obrzędów religijnych „porządkowi publicznemu, lub obyczajności publicznej” skreślony w art. 111.

Możemy się tylko domyślać, jak zamierzają autorzy projektu załatwić te sprawy w oddzielnych ustawach. Zagadnienie pierwsze prawdopodobnie w kierunku etatystycznym, utrudniającym, a może nawet uniemożliwiającym Kościołowi nabywania fundacyj i zarząd funduszami, które mu jeszcze pozo-

staną. No a drugie zagadnienie... Oczywiście w kierunku jaknajbardziej liberalnym, szerokim, wielkodusznym... to widać wyraźnie, chociażby z projektu ustawy, o wolności sumienia i wyznania, wniesionego przez to samo dobrane towarzystwo w dn. 14 grudnia 1928 r., (podaliśmy jego streszczenie w numerze lutowym „Pro Christo",) który uznaje wprawdzie warunek niesprzeciwiania się porządkowi publicznemu i obyczajności publicznej, ale pozwala chodować wyznania, jak ulęgałki. Ma to swoją tendencję. Wiadomo przecież, że ilość wyznań i sekt jest w stosunku odwrotnym do rozwoju prawdziwej religji. Wiedzą o tem dobrze lewicowi augurowie i popierają sekty nie z sympatji dla nich samych, lecz, aby osłabić Religję Katolicką.

Nie sposób również pominąć charakterystycznego uzupełnienia do art. 15, zakazującego księdzu kandydować w okręgu, w którym pełni obowiązki duszpasterskie. Takie postawienie sprawy uniemożliwiałoby wogóle duchowieństwu kandydowanie do izb ustawodawczych. Co za świetne uzupełnienie do cytowanego przez nas w poprzednim numerze, wniesionego przez Wyzwolenie — projektu ustawy z dn. 30 marca 1928 r., który zakazuje, jak wiadomo, księżom i służbie kościelnej (organistom, kościelnym) pod groźbą kary akcji politycznej. W razie uchwalenia obydwu projektów duchowieństwo byłoby w Polsce warstwą społeczną drugiej klasy, pozbawioną normalnych praw obywatelskich i to w imię wspaniałych zasad nieskrępowanej niczem wolności sumienia... Zaiste, „sumienie" tych radykalnych demagogów, przygotowujących — jak dotąd bezkarnie — bolszewizm w Polsce — różni się zasadniczo od naszego sumienia katolickiego.

Nic nas nie łączy z tymi ludźmi, a wszystko dzieli. Nie ulega wątpliwości, że gdyby doszli oni do władzy w Polsce mielibyśmy rozdzielenie Kościoła od Państwa, pozbawienie go wszelkich środków materjalnych, zrobienie z duchowieństwa obywateli drugiej kategorji, a w końcu może nawet zamykanie kościołów i tłumienie siłą wszelkich przejawów zewnętrznych kultu, co doprowadziłoby prawdopodobnie do wojny domowej. Zdajemy sobie sprawę, że lewica jest wyraźnym i dzisiaj już jawnym wrogiem katolicyzmu w Polsce.

Wolimy jednak takiego wroga otwartego, który mówi z góry co zamierza czynić, aniżeli kąsanie milczkiem z miłym uśmiechem na ustach, które spotyka religję ze strony innych ugrupowań.

Oto w Nr. 11 tygodnika sanacyjnego „Przełom" organu „zjednoczenia wsi i miast" pojawił się artykuł p. Wacława Szyszkowskiego na temat prawa małżeńskiego, którego kilka ustępów zacytujemy:

Niema żadnej obawy, azeby unifikacja prawa małżeńskiego w Polsce mogła się odbić niekorzystnie na stosunkach Rzeczypospolitej ze Stolicą Apostolską. Francja, ta Francja, która tak ostro nieraz zadzierała z Papieżem— jeszcze przed III Republiką — i która przeprowadziła konsekwentny rozdział Kościoła od państwa, wyzyskiwała znakomicie, jako czynnik wpływu politycznego, opiekę nad katolicyzmem na wschodzie. Na tym przykładzie francuskim widzimy, iż niema związku pomiędzy potęgą katolickiego państwa a wykonaniem wszelkich życzeń Watykanu.

Nie chodzi autorowi uwag niniejszych o walkę z katolicyzmem. Chodzi jedynie o zwrócenie uwagi na konieczność unowocześnienia dziedzin stanu cywilnego, prawa małżeńskiego i familijnego. To, co na zachodzie stało się już dawno dokonanym faktem, przebrzmiałym sporem, o co byłoby conajmniej naiwnością kruszyć kopje, u nas—wyrasta do potęgi podstawowych zagadnień moralności chrześcijańskiej, argumenta popleczników Kościoła zaczynają się i kończą na przylepianiu swym przeciwnikom etykiety masońskiej, poważne dyskusje sprowadza się na płaszczyznę walki z szatanem.

A jednak, jeśli spojrzymy w głąb perspektywy historycznej, to można sobie przypomnieć, że nie są tak znowu dawne czasy, kiedy Kościół katolicki obejmował swą działalnością szkolnictwo i oświatę publiczną, szpitalnictwo i sferę dobroczynności. Zwycięska zasada sekularyzacji, usuwając z tych dziedzin Kościół, nie znosi go bynajmniej z powierzchni ziemi, nie zagraża jego istnieniu, nie podrywa jego autorytetu.

W chwili, kiedy polskie władze ustawodawcze zadecydują ostatecznie o zasadzie sekularyzacji, Kościół, opuszczając w ten sposób niewłaściwie do niego należące tereny świeckie, zdobyć będzie mógł tem większą powagę i uznanie w sferze duchownej i moralnej — dziedzinie życia religijnego".

P. Szyszkowski uzasadnia rzekomą potrzebę oddzielenia kościoła od Państwa w dziedzinie prawa małżeńskiego, a raczej innymi słowy się wyrażając — rozpoczęcia przez Państwo walki z Kościołem w tej dziedzinie. Jest jednak bardzo uprzejmy i zapewnia nas łaskawie, że to religji i Kościołowi nie zaszkodzi. Charakterystyczny typ żelaznej pięści, schowanej w miękką, jedwabną rękawiczkę.

*
* *

Dotychczas mówiliśmy o prawach i ustawach. Podajmy teraz kilka charakterystycznych przykładów z życia codziennego. W № 95 „Nowego Kurjera", chrześcijańsko-społecznego dziennika w Poznaniu, czytamy notatkę następującą.

Ludność Moniatycz w powiecie Hrubieszowskim, doprowadzona naigrawaniem kierownika szkoły p. Bednarza z świętości katolickich do ostateczności, zmuszona była aż do bojkotu tego wychowawcy. Rodzice dziatwy szkolnej oświadczyli, że nie mogą posyłać swych dzieci do szkoły, gdzie kierownik szkoły i wychowawca drwi z tego, co dla serca polskiego i katolickiego jest najświętsze i najwznioślejsze.

O tem, jaką wartość katolika przedstawia p. Bednarz, świadczyć może następujący fakt. Kiedy w Moniatyczach odbywała się uroczysta akademja ku czci św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży i gdy prelegent przed duszami młodzieży roztoczył piękny ideał życia dla Polski i Boga, p. Bednarz czynił prelagentowi wyrzuty: „Jak mogliście głosić odczyt o takim smarkaczu, jak Stanisław Kostka? Przecież to obniża autorytet nauczyciela..."

Innym razem na lekcji tłumaczył p. Bednarz dzieciom, że „na krzyżu niema Pana Jezusa, a tylko kawałek żelaza i głupimi są ci, co zdejmują czapkę, lub żegnają się przed krzyżem".

Inny jeszcze wypadek. Na kursach wieczorowych dla młodzieży pozaszkolnej p. Bednarz powiedział: „św. Staniław Kostka nie jest świętym, lecz tylko księża zrobili go świętym". Na jednej ze swoich lekcyj p. kierownik szkoły polskiej Bednarz uczył dzieci, że „w kielichu podczas mszy niema Pana Jezusa" i że „baby, gdy kapłan podnosi kielich, ryczą jak świnie".

Oto kilka kwiatków nauczyciela—„wychowawcy". A trzeba zaznaczyć, że nie są to fakty oderwane, jedyne. Rodzice niejednokrotnie zanosili z tego powodu skargi na takie nauczanie dzieci. Nikt jednak dotychczas nie reagował. Sam zaś p. Bednarz drwił sobie podobno z tego wszystkiego, twierdząc, że mu nic nie będzie, bo „p. inspektor jest po jego stronie". Dopiero ostatnio władze zainteresowały się osobą pana Bednarza.

Takiego „wychowawcę" władze szkolne winny bezwzględnie usunąć od tak szczytnego posłannictwa, jakiem jest nauczycielstwo.

Cóż pomoże zagwarantowane ustawowo nauczanie religji, skoro szkolnictwo nasze znajdzie się w rękach takich „wychowawców". A wiemy, że typów pozbawionych czci, wiary i moralności jest sporo w lewicowym związku nauczycielstwa szkół powszechnych. Szczęściem, że czuwają jeszcze organizacje katolickie, i że rodzice gdzie niegdzie protestują przeciwko systematycznemu zatruwaniu dusz dziecięcych, zmuszając czasami władze do interwencji. Takie protesty są jednak, niestety, tylko sporadycznymi wypadkami, podczas, gdy wybryki lewicowych Zołzikiewiczów, występujących w roli pedagogów z nieprawdopodobnego zdarzenia—zataczają coraz szersze kręgi.

Stanowczo, społeczeństwo katolickie musi w tej dziedzinie swoje wystąpienia bardziej zorganizować i usystematyzować.

Nie możemy również powstrzymać się od zacytowania faktów, podanych w № 98 „Głosu Lubelskiego". Organ ten, opisując stosunki, panujące w Tarnogórze pow. Krasnostawskiego, pisze:

„Już przez 3 lata wichrzą tam przywódcy sekty „Hodura" i żadnej interwencji jeszcze nie było. Władze wyższe patrzą na tę sprawę przez palce. Sekciarze zaś, co chcą, to robią. Chcąc zmusić wyznawców kościoła katolickiego na łono odszczepieństwa, dopuszczali się i dopuszczają takich ekscesów, jak wybijanie wyznawcom rzym.-katolickim okien, napędzanie przechodniów przemocą na modły do swego zboru, bicie kamieniami i pałkami. Są nawet wypadki ciężkiego pobicia. Jeśli idzie katolicki prefekt do szkoły hodurowcy gwiżdżą i wznoszą dzikie okrzyki. Wznoszone skargi do wszystkich instytucyj, pozostały głosem wołającego na puszczy.

Urząd gminny na czele z p. sekretarzem Kosowskim, całkowicie hodurowski, sprzyjał rozwijaniu się tego bolszewizmu. Dopiero ostatnio władze przekonały się, iż ci oswobodziciele ludu biednego z pod „jarzma rzym.-katolickiego" dopuścili się defraudacji na 6.000 zł. grosza publicznego i sprawą tą poważnie się zajęły. Sekciarz Stanisław Piekarz, patrząc na tolerancję władz, szczuł swoje owieczki, dając im pewne dyrektywy, by „położyć kres Kościołowi katolickiemu". Wystawiał rozmaite sztuczki po domach i remizach strażackich, by ośmieszyć papiestwo i duchowieństwo. Chcąc uchodzić jednak za „patrjotę", staje na czele swoich i przez siebie zorganizowanego „Strzelca", Straży Ogniowej i Koła Młodzieży Wiejskiej, wymierza cios w świetości religji katolickiej.

Doszło już dziś w Tarnogórze do tego stopnia, że gdy na ulicach miasta ukaże się kapłan katolicki z wiatykiem hodurowcy wszczynają gwizdy, krzyki... Obraz bolszewizmu! Ostatnio taki fakt miał miejsce w dn. 7 b. m. Nie jest to wypadek sporadyczny. Powtarza się to dość często. Ludność katolicka wobec tolerancji władz jest bezsilna".

W świetle tych oraz poprzednio cytowanych faktów, można już sobie odtworzyć w ogólnych zarysach plan, według którego „wolnomyślne" i „liberalne" żywioły zamierzają przeprowadzić prześladowanie religji katolickiej w Polsce.

Gdyby to było w raju sowieckim panowie ci poprostu wysłaliby czekistów do kościołów, a księżom wytoczyliby proces o zdradę socjalistycznej republiki rad. Ale w Polsce stosunki są bardziej skomplikowane.

Trzeba powoli i systematycznie tworzyć kadry antyreligijnych nauczycieli, urzędników, wojskowych, obsadzać swymi ludźmi punkty węzłowe kultury i władzy, równocześnie popierać wszelkimi siłami wszystkie, jakiekolwiek sekty, przeprowa-

dzić w parlamencie ustawowe oddzielenie Kościoła od państwa, oraz szereg ustaw kagańcowych i józefińskich wobec duchowieństwa, a w masach ludowych szerzyć systematycznie przeświadczenie, że Kościół jest twierdzą kapitalizmu, wyzysku, zręcznie wykrzystując bierność i obojętność inteligencji katolickiej dla spraw społecznych.

To się już robi od 10 lat. To już daje rezultaty... Jak na to ma odpowiedzieć polska inteligencja katolicka!?

S. J. K.

Powstanie i rozwój szkolnictwa handlowego w Polsce.

Handel — stan królestw wielu od losu kraju jednego zawisłym robi, on z człowieczeństwa całego, z państw wszystkich — towarzystwo jedne czyni".

STASZIC.

Powstanie i rozwój szkolnictwa handlowego w Polsce są ściśle związane z rozwojem szkolnictwa wogóle. Jeżeli chodzi o szkoły ściśle handlowe, to w Polsce, tak jak zresztą i w całej Europie, są one co do istnienia bardzo młode, a chociaż mają za sobą wiele pięknych kart, do niedawna jeszcze pozostawiały wiele do życzenia i wielu jeszcze zmianom uledz musiały.

Pierwotnie, mimo dość wielkiej oświaty, szkół handlowych nie było, nie było ich zresztą nigdzie zagranicą. Młodzież, szykująca się do stanu kupieckiego, uczyła się praktycznie, wyjeżdżała w tym celu zagranicę (co zresztą zawsze u nas było w modzie) i to przeważnie do miast hanzeatyckich. Praktyki tego rodzaju były we zwyczaju, nic też dziwnego że w czasach owych spotykało się wielkie ilości Polaków w większych przemysłowo-handlowych ośrodkach zagranicznych.

Wyszkolenie młodego adepta sztuk handlowych polegało na praktyce sklepowej odbytej jeszcze na miejscu, przy równoczesnem zapoznaniu się z podstawowemi wiadomościami z dziedziny handlu, arytmetyki handlowej, niekiedy nawet, lecz rzadziej, z umiejętnościami prowadzenia prymitywnych ksiąg handlowych.

Praktykę tę odbywali przeważnie synowie zamożnych ludzi, ludzi ze stanu kupieckiego, pozostających w stosunkach handlowych z zagranicą. W szkołach nie liczono się z rzeczywistemi potrzebami — nie dawano też nauki mogącej dać zastosowanie w bezpośredniem zetknięciu się z życiem, nic też dziwnego, że karjerę handlową każdy z młodych Polaków musiał rozpoczynać od strony praktycznej — wiedza teoretyczna przychodziła jednocześnie, w pojęciach współczesności, co zresztą przetrwało aż do naszych czaskw — teorja była czemś zbędnem, czemś, co nie było koniecznem, czemś nadprogramowem.

Aż do drugiej połowy w. XVIII w żadnem z państw europejskich nie przemyśliwano nad reorganizacją szkolnictwa, żadne z państw nie potrafiło stworzyć szkoły, spełniającej całkowicie zadanie nauczania, które odpowiadałoby wymogom społeczeństwa, wyrażając się ściślej — w całej Europie nie było podziału systematycznego szkół, a przedewszystkiem nie było szkół zawodowych.

Pierwsze kroki na tem polu przypadły zaszczytnie Polsce: powstała Komisja Edukacyjna — pierwsze ministerjum oświaty — która położyła wielkie zasługi w tym kierunku. Powstanie swe zawdzięcza nie tylko ludziom światłym i dobrej woli, ale i pokoleniom przeszłym, które dążyły do oświaty i przez oświatę chciały Polskę podnieść. Dość wspomnieć Jana Zamoyskipgo, Petryckiego Sebastjana, Kaspra Siemka i wielu innych.

Z chwilą powstania Komisji Edukacyjnej następuje wielki krok naprzód w dziedzinie szkolnictwa. Kasata zakonu Jezuitów stała się jednym z czynników materjalnych, pozwalających na urzeczywistnienie nowych idei szkolnictwa, a w konsekwencjach, mimo, iż była ciężką z wielu względów ofiarą,—przyczyniła się do odrodzenia ruchu oświatowego. Genjalni twórcy nowej reformy nie zapomnieli również o szkolnictwie handlowem. W ustawach dotyczących szkolnictwa zawodowego znajdujemy paragraf 27, który głosi, że: „Komisja Edukacyjna założy w m. st. Warszawie szkołę pryncypalną handlową, na wzór szkół zagranicznych, zdatnych i doskonałych w tej nauce z zagranicy profesorów sprowadzi".

Rozdział XXII, dotyczy szkół parafjalnych, a podkreślając obowiązkową praktyczność wykładów, mówi między innemi o na-

uce „rachunku, początku rozmiaru z wiadomościami miar, wag i monet" „handlu wewnętrznego w tej okolicy" i t. d.

Wskazówek i przepisów swych Komisja ściśle przestrzegała i baczyła, by w życie wchodziły. Ciekawe są również przepisy dawane w postaci nauk moralnych pedagogom i wychowawcom, a więc:

1. „Niech dzieci w dni wolne od szkół idą do różnych rzemieślników, niech się wywiadują nazwiska naczyń, materji, ich gatunku, miejsca, skąd sprowadzane bywają".

2. „Niech mają wiadomości o urodzajach krajowych, ich cenie, przyczynach tanności i drogości".

3. „Niech wchodzą do kramów kupieckich, gdzie rzeczy do odzieży, do sprzętu domowego sprzedają".

4. „Niech się wprawiają, żeby osobnych swoich wydatków czynili regestrzyk, zawsze ostrzegali środka między rozrzutnością i niebacznością na swoje pożytki, a między skąpstwem i łakomstwem".

5. „Niech obrzydzona im będzie lichwa, zdzierstwo, skryte niesprawiedliwości" i t. d.

I znów widzimy, że przepisy te wyraźnie podkreślają stronę praktyczną nauczania.

Przez szerzenie oświaty, przez szkoły, a głównie przez metody nauczania, zmienia się stopniowo stosunek stanu uprzywilejowanego do stanu „trzeciego", który w Polsce zawsze zresztą był nieliczny, — a co zatem idzie i do handlu.

Wielka idea handlu zaczyna się rozpowszechniać. Wiek XIX przynosi wielkie zmiany gospodarcze i społeczne: handel staje się koniecznością. Następuje nowy okres w historji narodów—walka o zwycięstwo gospodarcze. W walce tej staje się rzeczą oczywistą, że pierwszeństwo w niej będą miały narody bogate, o silnie rozwiniętym przemyśle i handlu, a zwycięstwo gospodarcze ich—przyśpieszy odpowiednie przygotowanie, a więc wiedza fachowa, ekonomiczno-handlowa.

Polska stanęła przed trudnem do rozwiązania zadaniem: przyspieszenia rozwoju handlu i pobudzenia do życia ducha i myśli ekonomiczno-społecznej.

Zadanie było trudne. Naród polski nigdy nie miał zamiłowania do handlu, a co zatem idzie i do nauk ekonomicznych. Nie dowodzi to jednak jeszcze bynajmniej, by Polce brakowało wybitnych umysłów na polu twórczem, ekonomicznem. Nie.

Pomimo, iż kwestje natury ekonomicznej nie istniały dla szerszego ogółu, były jednostki wyrastające ponad przeciętną miarę, a co dziwniejsze—ponad miarę nawet wielkich ekonomistów Zachodu. Teorje i poglądy ich, skrystalizowane później (i to znacznie) na Zachodzie — tworzyły nowe systemy i prawa życia ekonomicznego. Dość wspomnieć Supińskiego, Skarbka, Hieronima ks. Stroynowskiego, — twórcze pomysły Czackiego, marzącego o wpływach polskich na morzu Czarnem—i wielu, wielu innych nie mniej sławnych.

Ale to były wyjątki. Ogół pod tym względem był niedorozwinięty. Do tego niedorozwoju przyczyniła się w niemałej mierze struktura gospodarcza państwa, jego położenie geograficzne, jak też odrębność i specjalny charakter stosunków ekonomicznych. O szkołach handlowych w społeczeństwie, które najwidoczniej nie doceniało znaczenia handlu, w którem handel się nie rozwinął—trudno jest mówić.

Anglja, która od dawna miała wyrobioną pozycję gospodarczą, a której istotą był zawsze handel i przemysł, najpóźniej i to pod naporem groźnej konkurencji, zaczęła formować i wyodrębniać szkolnictwo fachowe, zawodowe. Polsce, wobec spóźnionej pory, pozostała jedna droga do wyjścia z ciężkiej sytuacji ekonomicznej.

Gdy zapytano Forda, w jaki sposób zdołał dojść do tak wielkiej produkcji i masowego zbytu swoich aut—odpowiedział, iż zauważył był, że ludzie wpierw mieli nogi nim drogi, stąd wyciągnął wniosek, że zarzuciwszy świat cały autami, zmusi społeczeństwo do szybkiego rozwoju dróg, a mając dobre drogi był pewien zwycięstwa. Tak się też i stało.

Polce pozostał mniejwięcej podobny środek w stosunku do handlu: należało zorganizować i podnieść jaknajwyżej szkolnictwo handlowe i dopiero tą drogą (jedyną zresztą) rozbudzić do życia uśpiony handel, rozwiązując w ten sposób zagadnienie ekonomiczne.

Była to żmudna droga — praca jednak w tym kierunku owocne dała rezultaty. Od pierwszych lat XIX stulecia, nauki handlowe są już uwzględniane na wszechnicach polskich. W Uniwersytecie Warszawskim katedra nauk p litycznych i administracyjnych obejmowała również i naukę o handlu, którą wykładali prof. Krysiński, Xawery Szaniawski, Fryderyk hr. Skarbek,

a od roku 1826, aż do zamknięcia uniwersytetu — St. Kunatt. Ten ostatni położył wielkie w szczególności zasługi, opracowując program kursu i rozszerzając dotychczasowy materjał.

(C. d. n.). *T. Baranowski.*

Inteligencja, demokracja, proletarjat.

Niewątpliwie żyjemy w czasach przełomowych. Pewne formy dotychczasowej organizacji społeczeństw przeżyły się, czy zużyły, a nikt nie wie dokładnie,jakie będą te formy nowe i czy całkowicie różne od obecnych, czy też tylko zmienione częściowo w przystosowaniu do ewolucji, jaka dokonała się w świecie w latach ostatnich.

Ewolucja w poglądach, ewolucja w pragnieniach, ewolucja w upodobaniach, ewolucja w życiu jednostek, ewolucja w życiu rodzin, ewolucja w życiu całych społeczeństw, narodów i państw. Ewolucja nie zakończona jeszcze, i co do której niewiadomo, czy będzie szła dalej drogą stopniowego rozwoju, czy też załamie się i przejdzie na tory rewolucyjne. W tym ostatnim kierunku czynione są energiczne wysiłki ze strony bolszewizmu, który—zdobywszy podstawę operacyjną na terenie Rosji — ani na chwilę nie ustaje w działalności propagandowej i agitacyjnej we wszystkich częściach świata.

Od natężenia i powodzenia tej wywrotowej propagandy w znacznym stopniu zależy dalszy rozwój wypadków światowych. Samo zaś powodzenie lub fiasco agitacji rewolucyjnej zależy głównie od inteligencji.

Nie lud, nie robotnik, nie włościanin bezrolny robi rewolucje i przewroty, ale niezadowolona lub wykolejona inteligencja, która na czele mas staje, niemi kieruje, ich „żywiołowy gniew ludu" wywołuje i pobudza — by na barkach wyprowadzonej z równowagi biedoty zdobyć lepsze dla siebie stanowiska. Przy tej okazji jeden, drugi sprytniejszy robociarz, czy chłop też coś tam skorzysta, ale reszta, szary tłum, jeszcze więcej wyzyskiwany jest przez „nowych panów", niż był poprzednio.

Wymownym przykładem pod każdym względem jest sowiecka Rosja. Mamy w niej przykład niedoli ludu przy istnie-

niu... dyktatury proletarjatu,—mamy w niej obraz przeprowadzenia rewolucji przez nieliczną stosunkowo lecz zwarcie zorganizowaną klikę, — mamy też w niej dowód słabości ruchów rewolucyjnych, jeżeli im nie patronuje i nie prowadzi ich odpowiednia kadra inteligencka. Ludowi w Rosji sowieckiej jest źle, burzy się, to tu, to tam następują wybuchy — ale brak tym wybuchom inteligentnego kierunku i dlatego, pomimo rozpaczliwego stanu olbrzymiej większości ludu rosyjskiego, niema tam rewolucji przeciwbolszewickiej, a zdarzają się tylko bunty, z któremi władza sowiecka prędko sobie daje radę.

I póki nie powstanie nowa inteligencja rosyjska, zdecydowana na ciężką walkę z bolszewizmem, póty władza sowiecka będzie niepodzielnie dzierżyła Rosję pod swem panowaniem. Rozumieją to doskonale prowodyrowie bolszewizmu i dlatego tak postępują z inteligencją rosyjską, jak postępują.

Oczywiście, nie specjalna troska o Rosję podyktowała mi uwagi powyższe, a jedynie konieczność zwrócenia uwagi naszej inteligencji, wśród której w czasach ostatnich z powodu trudności natury materjalnej zaczęły ujawniać się nastroje pesymistyczne.—Po co się kształcić, po co lata ślęczyć nad książką, po co zdobywać wyższą kulturę i oświatę, kiedy zwykły wyrobnik, robotnik, oficjalista czy rzemieślnik może zdobyć dla siebie lepsze warunki życia, niż przeciętny urzędnik lub przedstawiciel tak zwanego wolnego zawodu!

Z takiem zdaniem można się spotkać dziś bardzo często, a nie świadczy ono, by wielu przedstawicieli inteligencji rozumiało trafnie właściwą swoją rolę w społeczeństwie.

Przedewszystkiem pogląd na życie, oparty jedynie na patrzeniu nań pod kątem widzenia wygód życiowych, czy też mniejszej lub większej możności używania, jest poglądem bardzo prostackim i jeżeli wśród inteligencji zaczyna sobie zdobywać szermierzy czy wyznawców, to dowód że z inteligencją tej „inteligencji" jest niedobrze, albo i zupełnie źle. Materjalistyczny pogląd na życie przygłusza wszelkie wyższe ideały, a niema nic gorszego, jak istnienie w społeczeństwie inteligencji bez wyższych aspiracyj ponad sytość żołądka i wygodny beztroski byt. Z takiej inteligencji wychodzą przywódcy ruchów rewolucyjnych, taka inteligencja jest rzeczywistem nie-

bezpieczeństwem dla istotnego, ewolucyjnego, rozwoju państw i społeczeństw.

I jeżeli ci, co zrobili już przewrót, jak bolszewicy w Rosji, tępią wszelkie — idealniejsze poglądy zdradzające — inteligencję, to znowu ci, co świadomie lub nieświadomie dążą do rewolucji, żądają szkół świeckich dla młodzieży, wyeliminowania religji z życia publicznego, odjęcia małżeństwu charakteru sakramentalnego a uczynienia zeń czasowej umowy kontraktowej i t. d. i t. d. — znany jest zresztą dobrze wszystkim cały ten program antyreligijny pod hasłami rzekomego postępu lansowany.

Z tych spostrzeżeń widzimy, że na inteligencji polskiej spoczywa wielka odpowiedzialność za dalszy rozwój społeczny i państwowy Polski. A jeszcze większy na tej części inteligencji naszej, która jest katolicka, nie tylko z meldunku ale w pełni swej świadomości.

Walcząc o ideały religijne, o sprawiedliwość i miłość społeczną w duchu chrześcijańskim, walczymy nie tylko o swe dusze i dusze swych najbliższych — ale zarazem o słuszny ustrój społeczny, o lepszy byt tych warstw szerokich, w terminologji dzisiejszej proletarjatem nazywanej.

Kto występuje z hasłem dyktatury proletarjatu, czy jakiejkolwiek innej dyktatury — ten jest zdecydowanym przeciwnikiem demokracji! Kto występuje w imię doktryn materjalistycznego poglądu na świat—ten jest w gruncie rzeczy wrogiem proletarjatu, bo tylko przez ucisk proletarjatu może dojść do realizacji swych poziomych pragnień i ambicyj!

Jedynie w ramach doktryny chrześcijańskiej jest miejsce na pełny rozwoj idei demokratyzmu, — jedynie rzeczywiste wcielenie w życie zasad Chrystusowych może dać i zapewnić lepszy los warstwom pracującym narodu!

Polska inteligencja katolicka ma wielką misję do spełnienia! W rękach tej inteligencji przyszłość Polski i narodu polskiego!

A. L. Szymański.

Z fragmentów historycznych.

Jak doszło do spalenia ksiąg w Chinach.

Wielki Cin Szy-Chuan-di, pierwszy cesarz Chin, był postacią nadzwyczajną w dziejach nietylko Dalekiego Wschodu, ale i świata całego. Podziw budzi genjusz jego polityczny i wola nieugięta, przeraża nieubłagana stanowczość. Przychodzą na pamięć słynni despoci reformatorzy Europy: Filip Drugi, Henryk Ósmy, Piotr Pierwszy; chiński władca nie ustępuje im potęgą, a przewyższa czystością idei — dla dobra państwa gotów był nieraz ustąpić osobistych korzyści, czego tamci nie umieli.

Starczyło mu lat dziesięciu (230—221 przed Chr. P.), żeby z sześciu królestw chińskich, które od wielu wieków szarpały się wzajemnie, uczynić jednolite, potężne mocarstwo. Jeszcze lat jedenaście, a i wewnątrz kraju dokonała się gruntowna a mądra przebudowa.

Zdziałał, że odtąd rządy wychodziły z jednego źródła, że miejsce książąt zajęli gubernatorowie cesarscy, znikli wasale pograniczni i państwo bezpośrednio zetknęło się z sąsiadami obcymi. Rolnicy otrzymali ziemię na własność. Wielkie, wygodne drogi pobiegły od stolicy do północnych, wschodnich i południowych granic, a wielka rzeka Błękitna otrzymała nowe koryto, skierowane na południe i wschód. Wewnętrzne mury i twierdze zostały zniesione, a zato wielki mur chiński uzupełniony i przeciągnięty bez przerwy od rzeki Liao w dzisiejszej Mandżurji południowej do kresów Mongolji. Bo z tej strony grozili niebezpieczni hunnowie. Pobił ich cesarz chiński. A na podboje wysyłał armje złożone ze skazańców i wysiedleńców i nawet rozbójnictwo wyzyskał w tym celu. Pośrodku kraju, na górze, pod Kai-fong, stanął śpichlerz cesarski, który w żywność zaopatrywał armje. Cesarz często objeżdżał osobiście swe ziemie, żeby poznać, gdzie są jeszcze braki, a nawet często, potajemnie, z kilku żołnierzami, przebrany chodził wśród ludu. Ażeby umożliwić dogodniejszy przejazd po całem państwie, przepisał jeden wymiar dla osi. Jednakie miary zaprowadził wszędzie. Od nazwy jego udziału cały kraj nazwano u nas Chinami.

Lecz nie to wszystko, imię Szy-Chuan-di utrwaliło w pamięci potomnych. A co takiego? Uwierzyć trudno — genjalny ten monarcha kazał spalić doszczętnie księgi w całym kraju! Stąd na głowę cesarza spadło przekleństwo całego świata uczonego w Chinach i pisarze późniejsi przedstawiają go w barwach czarniejszych.

A było to tak.

W roku 213-m przed Chrystusem Panem, po 33-ch latach panowania, wróciwszy z podróży na północne kresy państwa, cesarz Cin Szy-Chuan-di wydał wielką ucztę w nowootworzonym w pośrodku stolicy pałacu Sien-jen i zaprosił na nią najwyższych swych urzędników oraz siedemdziesięciu najznakomitszych uczonych chińskich. Gdy nadeszła chwila toastów, powstał dostojnik Dżon-cin-czen i rzekł: „Niedawno jeszcze posiadłości Chińskie sięgały ledwie długości tysiąca li (pół mili). Dzięki nadprzyrodzonemu twojemu, Cesarzu, gienjuszowi i promiennej twej mądrości całe wielkie państwo cieszy się dziś pokojem. Barbarzyńcy zostali odparci. Wszystko, naco świeci słońce i księżyc, uznaje twą władzę. Dzięki temu, żeś dawne księstwa zamienił na prefektury, ustały wojny domowe i wszyscy żyją w pokoju. Niechże to szczęście trwa po wszystkie czasy! Od czasów najdawniejszych nie było władcy, któryby tobie dorównał w majestacie i potędze..." Pochwała mile połechtała cesarza.

Lecz stary Czuan-ju-jue, nadęty gderacz z dawnej szkoły konfucjańskiej, podniósł wątpliwość, czy dzieło Szy-chuan-di może być trwałem, wobec tego, że cesarz zaniedbuje czci przodków? Czy nie czeka je los taki, jak hrabstwa Dzin i Ci, które upadły na zawsze?

Wtedy zerwał się minister Li-sy, prawa ręka cesarza i zawołał gorąco: „Cesarzu, dokonałeś dzieł wielkich i trwałych, ale w ciasnych głowach pismaków nie mogą się one pomieścić! Dlaczegobyś koniecznie miał kroczyć śladami poprzednich dynastji? Nie byłyż to czasy walk o lenna, epoka rządzenia wędrownych polityków? Obecnie ulega ci kraj cały, prawa wychodzą z jednych ust zawsze, lud wszystek pracuje spokojnie, urzędnicy spełniają swe zadanie. Jedynie ci uczeni krzywią się na stan rzeczy obecny i grzebią w przeszłości, wynajdując zarzuty, ażeby potępić teraźniejszość i lud wyprowadzić z równo-

wagi... Ludzie ci uważają siebie za coś wyższego, ponieważ myślą inaczej niż ty. Oni to sieją wśród ludu złe usposobienie. Jeżeli ich nie poskromisz, stanowisko twoje wreszcie będzie zachwiane wobec tej stałej a głuchej opozycji. Dla własnego dobra powściągnij ich! Jestem za tem, żeby wszystkie dokumenty historyczne, z wyjątkiem dotyczących królestwa Cin, spalić. Proszę, ażeby wyjąwszy akademików, każdego kto posiada książkę, mianowicie Ody lub Kroniki, zmuszono do oddania ich władzom, a te żeby je spaliły. Niech po upływie miesiąca, kto nie posłucha, zostanie piętnowany i skazany na ciężkie roboty dożywotnie. Kto będzie rozprawiał nad treścią Od lub Kronik, na śmierć go skazać, a trup wystawić na rynek publiczny. Kto na podstawie tych tekstów potępiać zechce ustrój obecny, należy go zgładzić wraz z całą rodziną. Urzędnicy, którzy tego nie dopilnują, poniosą takie same kary. Wyjęte z pod wyroku będą tylko dzieła lekarskie, farmacyjne, wróżbiarskie, rolnicze i ogrodnicze. A nadto kto zechce studjować naukę administracji, niech się uda do szkoły rządowej!...“

Cesarz zaaprobował propozycję ministra Li-sy, a tak otrzymała ona moc prawa obowiązującego w całem cesarstwie. Owocem okrutnego prawa było wytępienie całej starożytnej literatury chińskiej. Wszystko co napisano o dziejach dawnych, wszelkie upowiadania, wszelka filozofja, wszystko to strawiły płomienie. Próbowano ukrywać księgi w ziemi, zamurowywano je, ale i to nie uchroniło ich od zagłady. Ocalały tylko dzieła astronomiczne, matematyczne, rolnicze, lekarskie, przyrodnicze i cudem jakimś — księga rytualna I-dzin; może dlatego, że służyła do wróżenia. Tak tedy cały klasyczny system wykształcenia przepadł w krótkim czasie, a miejsce jego zajął system realny.

Główny akt spalenia odbył się w samej stolicy, mieście Sien-jan.

Można sobie wystawić, jaka rozpacz i wściekłość ogarnęły uczonych na widok płomieni, ogarniających owoce tysiącletniej pracy umysłu ludzkiego! Wielu z nich nie mogło powstrzymać się od głośnego protestu. Schwytano ich, w liczbie 460, doniesiono cesarzowi, a ten rozkazał krótko: „Zakopać ich!” I zakopano żywcem.

Ukochany syn cesarski, łagodny i mądry Fu-su, rzucił się do stóp ojca, prosząc o cofnięcie wyroku.

„Ha, to i ty, synu, nie pojmujesz mych myśli! zawołał cesarz. Idź z przed oczu moich!" Wyprawiono go zaraz, na północne kresy, na walki z hunnami. I odtąd cesarz nie oglądał syna.

A przeciez Szy-chuan-di nie miał bynajmniej do ksiąg nienawiści. Nie uznawał ich — jak kalif Omar — za niepotrzebne. Nawet sam projektodawca okrutnego prawa, sam Li-sy, minister, przysłużył się piśmiennictwu, sporządzając słynny wykaz. Nie, ale sprzykrzyło się cesarzowi być codziennie porównywanym z takiemi skamieniałościami literackiemi, jak Jao i Szun z przed lat dwóch tysięcy.

L. J. M.

Słów kilka o „Polskim Związku Myśli Wolnej".

W tradycji niedowiarstwa leży strojenie się w piórka obrońców i oswobodzicieli ludzkości. Stara to recepta, lecz zawsze jeszcze jara i skuteczna. Niespożyta jest głupota ludzka, zawsze znajdą się naiwni, którzy pójdą na lep górnolotnych frazesów, szumnych haseł i staną się żerem dla sprytnych szalbierzy. Francja i Rosja na własnej skórze doświadczyły dobrodziejstw owych przewrotnych doktryn. Wyniki dokonanych już eksperymentów nie przemawiają do rozumu naszych domorosłych mędrków i „filozofów". Jest nadzieja, że, jak dobrze pójdzie, „Polska" namacalnie się przekona o „dobroczynnem" działaniu „humanitarnych" teoryjek.

Nad urzeczywistnieniem „raju" na ziemi, nad „uszczęśliwieniem" ludzkości nową „szczęsną" erą, pracuje u nas t. zw. „Polski Związek Myśli Wolnej". Warto się przypatrzeć ideałom, które przyświecają tej „zbożnej" pracy. Ułatwi nam znakomicie to zadanie bliższe zaznajomienie się z deklaracją, którą składają nowowstępujący członkowe tego sławetnego zgromadzenia.

Członek stwierdza podpisem, że, uswiadamia sobie etyczne i społeczne obowiązki, jakie na członków P.Z.M.W. nakłada fakt należenia do niego".

„Zobowiązuje się z zadaniami Związku czynnie współdziałać". Posłuszeństwo musi być nietylko w stosunku do uchwał Walnych Zebrań, lecz i do postanowień Zarządu Głównego. Widać także troskę o dobór członków. Deklarację nowowstępującego muszą poprzeć swemi podpisami dwaj członkowie wprowadzający. Zarząd, jeśli posiada jakieś informacje o nowym adepcie, może odrzucić jego ofertę bez podania motywów.

Na blankiecie deklaracji jest wydrukowany wyciąg ze statutu, omawiający „wzniosłe" cele, do których Związek dąży. Na pierwszy plan idzie hasło zniesienia różnic wyznaniowych, narodowych, społecznych i politycznych. Być może, że przy bliższych studjach wyszłoby na jaw jakie kuzynostwo z komunizmem. Zostawmy jednak to zagadnienie fachowcom. Przyjrzyjmy się lepiej stosunkowi do religji. Pod tym względem program obfity:

> „P. Z. M. W. dąży do tego, by z życia ludzkiego ustąpiły przesądy kościelnictwa", gdyż „nie dają się pogodzić ani z postępem materjalnej kultury; pogłębieniem duchowego poznania, ani ze społecznem współdziałaniem wszystkich bez różnicy obywateli państwa i członków ludzkości".

Okazuje się, że t. zw. „Kościelnictwo", które podłożyło podwaliny pod rozwój kultury europejskiej jest teraz nagle przeszkodą na drodze postępu i, że je co prędzej należy usunąć. Na czem polega „społeczne współdziałanie" statut nie wyjaśnia. Można się domyślać tylko: żydy i „szabesgoje" będą rządzić, a „kościelnicy" (katolicy) słuchać". Jednem słowem czeka nas „idylla".

> „P. Z. M. W. zwalcza klerykalizm, wszelkich wyznań, wyjaławiający i usypiający ducha ludzkiego za pomocą nabożeństw, ceremonji kościelnych.

Ktoby to przypuszczał że nabożeństwa są takie niebezpieczne? Czyto Msza Święta działa tak złośliwie? Czy może słuchanie kazań, nawołujących do uczciwości, sprawiedliwości, braterstwa... Ale idźmy dalej.

P. Z. M. W., obok innych, licznych żądań, domaga się:

> „Usunięcia nauki religji ze szkół państwowych, miejskich i subsydjowanych przez państwo, uzależnienia obowiązku uczęszczania na wykłady religji w szkołach prywatnych od woli rodziców".

Czyli, że w szkołach państwowych i miejskich pod żadnym pozorem nie wolno religji wykładać. Jak jednąk rozczulająco są „dobrzy" że pozwalają uczyć religji w szkołach prywatnych. W porównaniu z koncepcjami Nerona i Callesa kolosalny postęp. Wówczas przecież w podziemiach tylko potajemnie można było uczyć się katechizmu. Nie martwmy się jednak to są dopiero pierwsze żądania, gdyby je osiągnęli, postawią nowe i sprowadzą instruktorów z Meksyku, albo z Sowietów. To zależy, którzy będą zdolniejsi i większe będą mieli doświadczenie.

P. Z. M. W. żąda: zniesienia wszystkich praw i prerogatyw przysługujących kościołom i ich kapłanom". „usunięcia osób duchownych od zajęć zarobkowych, zwłaszcza od publicznego wychowania".

Jak widzimy, wielka troska o młode pokolenie. Zamiast do kościoła na rekolekcje to pewnieby chętniej młodzież wysłali do kabaretu. Całe szczęcie, że nie wszystkie głosy idą pod niebiosy. Miejmy nadzieje, że te nie pójdą.

P. Z. M. W. żąda: „państwowego nadzoru nad źródłami dochodów i ofiar oraz nad majątkiem gmin wyznaniowych".

Pewnie już mają gotową listę komisarzy, którzyby te sprawy uregulowali, a duchownych wysłali na Sołowieckie wyspy, na mroźne i głodne wywczasy. Jak widzimy, apetyciki są dość duże, amatorów nie brak.

A jacy usłużni. Chętni za pośrednictwem P.M.Z.W. mogą się starać o wystąpienie z danego wyznania i o zapisanie się do ksiąg stanu cywilnego bezwyznaniowych.

Szczególną troską otaczają gorliwi opiekuuowie Kościół Katolicki. Jeden punkt statutu omawia kwestję zniesienia praw przysługujących wyznaniu panującemu. Zarząd P. Z. M. W. liczy głównie na członków aryjskich, kiedy wzmianki o chrzcie, lub Kościele są na pierwszych miejscach, a o obrzezaniu, lub Gminie Wyznaniowej skromnie w nawiasach.

Czyżby Żydzi lepiej się znali na farbowanych lisach i na plewy brać się nie dawali?

Takie to już czasy nastały. Widocznie masonerja czuje się dość silną w Polsce, jeżeli zdecydowała się na cyniczne zdekonspirowanie zapomocą jawnych organizacji, które odgrywają rolę jej przedpokoju... *Józef Lubicz*

Na marginesie filmu o św. Joannie d'Arc.

W jednym z kinoteatrów stolicy wyświetlano niedawno film o Dziewicy Orleańskiej francuskiej wytwórni Nepas, reżyserji p. Marco Gastyne.

Artystka kreująca trudną i odpowiedzialną rolę św. Joanny p. Simona Genevois stanęła całkowicie na wysokości zarówno wdziękiem dziewczęcym i urodą, jak i dużym zasobem kultury artystycznej. Inne role znalazły również poprawnych odtwórców. Cały wysiłek, podjęty z dużym nakładem sił i środków, dałby niewątpliwie rezultaty doskonałe — gdyby nie wadliwa koncepcja reżysera.

Filmy o świętych, lub błogosławionych, których czyny owiane są mistyką i heroizmem nadprzyrodzonym powinni reżyserować ludzie wierzący, a przynajmniej artyści bezstronni i kulturalni, pełni głębokiego pietyzmu, jeżeli już nie dla religji jako takiej — to przynajmniej dla przeżyć psychologicznych i faktów religijnych, które mają odtwarzać na ekranie.

Tych niezbędnych kwalifikacji zabrakło całkowicie reżyserowi p. M. Gastyne i jego szefom braciom Natan, właścicielom wytwórni Nepas.

Na całym dziele zaciążyła fatalnie maniera pseudo-realistyczna, a raczej materjalistyczna. Wszelkie czynniki mistyczno-psychologiczne, niezbędne poprostu do zrozumienia pobudek czynów głównej bohaterki obrazu i do konkretnego powiązania ze sobą poszczególnych faktów są wyeliminowane bez litości z jakąś dziwną starannością, albo przedstawione w sposób wprost groteskowy, oburzający dla uczuć religijnych katolika. Tak np. cały czynnik objawienia, który odgrywa w życiu Joanny rolę decydującą, zredukowany jest do krótkiej sceny, nie związanej zupełnie psychologicznie ze scenami poprzedniemi, w której występują w roli postaci nadprzyrodzonych jakieś dwie artystki, ubiorem swoim i zachowaniem bardziej odpowiednie do kreowania dajmy na to nocy karnawałowej w Wenecji, czy czegoś w tym rodzaju. Gdyby ktoś nie znał historji Joanny, a chciałby się czegoś z ekranu dowiedzieć, byłby przedewszystkiem zdumiony, w jaki sposób z sympatycznej, lecz prostej i zwykłej dziewczyny wiejskiej wyrosła nagle bohaterka najprzedziwniejszego eposu religijno-patryjotycznego. Cały proces psychologicznego przetwarzania z pasterki w bohaterkę jest pominięty.

Nie wszystkie części filmu jednakże potraktowane jednakowo. Bitwa np. pod Orleanem jest wspaniała. Z nadzwyczajną plastyką i precyzją maluje reżyser małoduszność i złą wolę sądu inkwizycyjnego w Rouen i postać haniebnej pamięci biskupa Cauchon. Brak natomiast właściwie zakończenia. Kalwin angielski Bernard Schaw dał na końcu swojego dramatu apoteozę Joanny wobec Kościoła i historji. Reżyser francuski, p. de Gastyne był zdania, że sprawa Dziewicy Orleańskiej skończyła się na stosie w Rouen.

Mimowoli w umyśle każdego objektywnego widza musi powstać przypuszczenie, że taka koncepcja filmu nie była pozbawiona tendencji, że reżyserja nie kierowała się wyłącznie względami artystycznymi, lecz odgrywały tutaj również rolę zaznaczone w sposób nietolerancyjny i niekulturalny poglądy ateistyczne reżysera, a może i szefów firmy pp. Natanów.

Jest to niewątpliwie skandal z punktu widzenia artystycznego i kulturalnego. Jakie stąd można wyciągnąć wnioski. Po pierwsze: mamy jeszcze jeden dowód, jak życie kulturalne Francji jest po dziś dzień mącone i poniewierane przez ciasnych sekciarzy, którzy głoszą na zewnątrz hasła wolnomyślności, tolerancji i liberalizmu, a psychiką swoją mało co się różnią od barbarzyńskich obrazoburców, niszczących dzieła sztuki dla zaspokojenia swoich namiętności. Obyśmy w Polsce nie znaleźli się z czasem na łasce lub nie łasce takiego typu ludzi.

Po drugie: widzimy na tym przykładzie, jak potrzebne i konieczne jest wytworzenie katolickiej kinematografji, aby wreszcie katolicy mogli się uniezależnić od filmo-wytwórni ateistycznych. *(s. k.)*

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Żelazna konsekwencja.

(obrazek z życia).

Spotkałem niedawno jedną z moich parafjanek... bardzo zaniepokojoną.

„Jedną z moich parafjanek",—jest to prosty i utarty sposób wyrażania się, gdyż ona nie przekroczy nigdy progu kościoła,

by wysłuchać Mszy św., wyjąwszy, gdy chodzi o towarzyszenie do ślubu lub uroczystości narodowe, kiedy to cała elita miejska uważa sobie za obowiązek być i... w kościele. Zresztą bez kościoła obywa się zupełnie i czuje, że jej z tem dość dobrze, bo nie zna krępujących jej swawolę i chęci używania więzów.

Dobre to dla innych.... biedoty.... prostaków, ale ona, osoba inteligentna, od tego może i powinna być wolną. Mimo to, że jest moją parafjanką, nie goszczę w jej domu, chyba jakaś akcja miłosierdzia, czy narodowa daje sposobność do spotykania się i rozmowy.

* * *

Tego właśnie wieczoru zastałem ją „podminowaną i ogromnie rozstrojoną". To jej wyrażenia.

Dopiero co skończyła czytanie znanych dzienników. Dowiedziała się z nich, że dwie wille w pobliżu jej domu zostały poprzedniej nocy ograbione. Zamaskowany bandyta napadł w nocy na dom znajomej pani i, po obudzeniu jej, poprosił o wydanie wszystkich pieniędzy, a gdy zauważył wahanie, przyłożył rewolwer do skroni właścicielki i kazał oddać z kasy wszystkie pieniądze i biżuterję, wartości 50 tysięcy franków.

W ostatnim tygodniu znowu pewna rodzina, wracając nocą samochodem z letniska do miasta, napotkała w drodze przeszkodę. Wpoprzek szosy od jednego drzewa do drugiego był przeciągnięty drut żelazny. Ojciec, który powoził, i dwie córeczki zostały w sposób okrutny pomordowani, reszty dopełnili bandyci, ukryci z bronią za drzewami.

* * *

Oto, co zasmucało i rozstrajało moją parafjankę.

— Rozumie ksiądz... te zbrodnie nie ustawają. Może nadchodzi dzień, kiedy i na mnie kolejka...

— W rzeczywistości, tak!...

— I ksiądz to może tak powiedzieć... spokojnie!.. Ja mogę być zarżniętą, ograbioną, zamordowaną... Toć to okropne!...

— A czyż pani chce, bym skakał, czy też płakał?...

— Ale przecież to takie ohydne i straszne!...

— A przytem takie logiczne....

— To są wyrażenia wasze, księży i teologów!...

— Nie, moja pani, to są wyrażenia wzięte z życia i to współczesnego. Wszystkie te zbrodnie, których liczba zwiększa

się z dniem każdym to plon, to owoc przeklęty, który się panoszy, odkąd zaczęto siać jego nasienie...

* * *

Moja parafjanka, zniecierpliwiona takiem dowodzeniem, rzuca gazetę na ziemię i z tonem oburzenia odzywa się:

— Przecież ja niczego nie posiałam!...

— Przepraszam, czy pani pozwoli, że wypowiem jasno i całkowicie myśl moją?

— No proszę...

— Otóż, myślę obecnie na głos... Uważam, że pani przedewszystkiem sieje złe przykłady!...

— Kto.... ja?...

— No, tak, pani... nie chodząc w niedziele i święta do Kościoła na Mszę św., nie odprawiając spowiedzi wielkanocnej, prenumerując dzienniki wrogie wierze i Kościołowi, które służba i oficjaliści czytają podczas długich wieczorów w kuchni....

— Ależ, księże, to się tyczy mnie samej, to są sprawy moje, osobiste. To jest rzecz prywatna między mną i Bogiem, jeśli On istnieje...

* * *

Pole walki zaczyna przybierać coraz wyraźniejsze kształty, poprawiam się tedy w wygodnym fotelu:

— Moja pani, zaczynam, żadna sprawa nie jest nigdy sprawą wyłącznie osobistą. Pani stanowi cząstkę całości, którą nazywają społeczeństwem. Jesteśmy wszyscy w ścisłej solidarności, tu niema wyjątków. Jeśli pani sama nie wierzy w Boga, nie wierzy w życie przyszłe, dlaczego pani wymaga od służby, by ona w to wierzyła?...

— Moja służba? Niech wierzy w co chce,—to mnie mało obchodzi...

— A jeśli, według przykładu pani, nie wierzy w nic?...

— To i cóż z tego?...

— Oni wtedy powiedzą: dlaczego pani jest taka bogata, a my biedni? Dlaczego my jesteśmy sługami, a nie panami?

* * *

Moja „parafjanka” już trochę podniecona zrobiła ruch ręką, by się ochłodzić.

— A to mi dopiero pytania? wtrąciła po chwili.

— Lecz przyzna pani są one za poważne, by przejść było można nad nimi do porządku dziennego. Te pytania stawiane są obecnie wszędzie, w całym kraju, a więc i pomiędzy służbą pani. To, co nazywa się socjalizmem... komunizmem... czy bolszewizmem, wzięło z tych pytań początek. Jest już w naszym kraju dziesiątki tysięcy takich, którzy za pieniądze krwawo zapracowane przez obywateli i składane do skarbu państwa, przygotowują pokolenie ateuszów i bezbożników i ci, ci ostatni dopiero dzieło do końca doprowadzą.

— Zdaje mi się, że to już minęło, wszak ludzie rozumieją, że...

— O! jeszcze to nie minęło... Ludzi obecnie broni ta odrobina wiary, którą posiadają, ta wiara, której pani już niema, i panią broni, są jednak tysiące pośród społeczeństwa takich, co niezmordowanie pracują nad jej wyniszczeniem. Oni urządzają kolonje wakacyjne, organizują młodzież, oni w zaraniu życia wyrywają z młodziutkich serc to, co zaszczepili rodzice... Kiedy wszystko będzie w ich rękach, wtedy przyjdzie i na panią kolej!

— Przyznam się, że w tem dowodzeniu nie widzę łączności...

— Jeśli tak, to muszę tę łączność wykazać dobitniej. Moje dowodzenie jest jasne jak słońce. Proszę tylko uważać: jeśli niema Boga, niema życia wiecznego, niema więc i żadnej sankcji po śmierci, tam u góry; dobro i zło, cnota i zbrodnia – to tylko proste słowa, używane do wprowadzania w błąd i trzymania w karbach jedynie prostaków i słabych; ludzie inteligentni, wykształceni i im podobni powiedzieć mogą: my używajmy i weselmy się, ile tylko się da... I dlaczegożby nie? By używać, trzeba pieniędzy... a ja ich nie posiadam... Ale to przecież rzecz tak łatwa! Wystarczy kupić rewolwer, kilka wytrychów, elektryczną lampkę... Potem jednej pięknej nocy wejść przez okno i napaść na panią, jak napadnięto na jej znajomych.

„Łaskawa pani, proszę mi wybaczyć, że ją niepokoję nawet podczas słodkiego snu, ale potrzeba mnie do tego zmusza. W tej chwili muszę posiadać 100 tysięcy franków. Czy zechce mi więc pani oddać natychmiast, bez żadnych wymawiań i tłumaczeń, klucze od kasy, biżuterję, drogie kamienie i inne kosztowności? Ostrzegam przytem, że jeśli napotkam na najmniejszy sprzeciw lub wołanie o pomoc, to, mimo całego szacunku, jaki żywię dla pani, nie mogę nie skorzystać z tego rewolweru, który pani widzi u mnie”.

Tak w przeciągu pięciu minut człowiek „inteligentny", ale biedny, staje się „szczęśliwym", bo ma już pieniądze na używanie i wesele, ile się da... I obecnie powtarzam: i dlaczegożby nie?... Jeśli Bóg nie istnieje? ani życia niema poza grobem, ani sądu i kary... toć przed karą ludzką wymknąć się można?

* * *

Nastąpiło dość długie milczenie.

— Więc, według księdza... zaczęła pani domu.

— O, nie, pani, to nie według mnie. To jest według najprostszej logiki wszystkich wieków, to jest zwykła konsekwencja złej zasady. Trzeba więc: albo wprowadzić Boga i Jego przykazania do szkoły, urzędów i życia publicznego, i to wprowadzić nie przez jakąś ukrytą, boczną furtkę, ale przez główne drzwi, którymi wchodzę i wychodzę, a ukazując Go wszystkim klasom społecznym: oto Ten, który ma słowo żywota... Oto prawda przedwieczna i kamień węgielny wszelkiego budowania społecznego... albo, i to zupełnie konsekwentnie, zaaprobować prawo zbrodni, wrócić do czasów jaskiniowych, kiedy to siła brutalna decydowała o wszystkiem... lecz dzisiaj już z pewnym blichtrem współczesnej cywilizacji: rewolwerem, gazami, autem, samolotem i t. d....

* * *

W tym czasie wszedł do pokoju służący, przyzwoicie ubrany i z wymarzoną uprzejmością, w milczeniu podał swej pani na tacy kilka listów i gazety wieczorowe.

„Moja parafjanka" rozerwała opaskę, spójrzała na gazetę i natychmiast mi ją podała. Był to dziennik ze środy 24 lipca. Na naczelnem miejscu spostrzegłem następującą treść dziennika:

Zamaskowany osobnik, z rewolwerem w ręku, okradł wagon pocztowy i uciekł bezkarnie.

Trochę wyżej: Pan, jadący samochodem, na drodze do Wersalu wpadł w ręce 2 osiemnastoletnich opryszków i okupił życie wydaniem wszystkich pieniędzy, jakie posiadał.

A poniżej: Pewien bandyta wpadł do sklepu w Marsylji i, pod grozą rewolweru, zabrał całodzienny obrót.

Zamordowawszy ostrym narzędziem swą młodą przyjaciółkę, pewien młody robotnik wyskoczył przez okno i dotąd nie został ujęty.

A jako uwieńczenie: w Bordeaux chłopiec 10-letni, bawiąc się z towarzyszami, w chwili rozdrażnienia chwyta rewolwer i przykładając go do skroni kładzie trupem 11-letniego kolegę...

* * *

Dziecko dziesięcioletnie... i już zbrodniarzem... powtórzyła moja parafjanka zupełnie z równowagi wytrącona.

Podniosłem się i już na progu odezwałem się jeszcze na pożegnanie:

— Mogę się z panią założyć, że w tej sprawie...

— Że co znowu...?

— Mogę się założyć, że ani jeden z tych kulturalnych zbrodniarzy nie był na Mszy św. w ostatnią niedzielę...!

— Ma ksiądz wszelkie widoki wygrania!

A więc... Niech pani już sama resztę sobie dopowie!

Tłumaczył z La Croix
O. Aleksander, Paulin.

Adolf Retté.

III.

Przychodzi znów pokusa, zniechęcenia i samobójstwa.

Po powrocie zwraca się wreszcie do przyjaciela swego p. S. głęboko wierzącego katolika, który obiecuje modlić się za niego i komunję św. na jego ofiarować intencję. W formie djalogu pomiędzy aniołem, szatanem a nim samym, przedstawia Retté tę szaloną walkę w duszy jego o jego duszę. Dowodzenia szatana, zmuszające go do rozpaczy, do samobójstwa, obiecującego mu, że w piekle nawet mniej cierpieć będzie, niżeli tu na ziemi. Djalog ten jest zarazem jakby publicznem wyznaniem jego najcięższych przewinień.

Może na skutek modłów przyjaciela doznaje odrobiny ulgi. Zrywa z kobietą o „czarnych oczach“, odczuwa wielkie wyrzuty sumienia za dotychczasowe bluźniercze i zmysłowe życie. Ale potem przychodzi, zamiast pokory i wiary dobrego łotra w Boże miłosierdzie, przekonanie, że Bóg go opuścił, że grzechy jego są tak wielkie, że niema dla niego przebaczenia. W taki sposób szatan kusi i najbardziej skutecznie na potępienie wiedzie wiele, wiele dusz. Pomimo tej rozpaczy jednak się modli. Po

jednej z takich straszliwych walk—a ileż ich było!—powróciwszy z lasu do domu, próbuje zasnąć —nie może—grzechy jego przerażają go. Powraca szalona pokusa samobójstwa. Postanawia nazajutrz się zastrzelić. Szatański wewnętrzny głos doradza mu, aby nie czekając jutra dziś jeszcze się powiesił. Przeokropna straszliwa walka trwa. Rękoma kurczowo trzyma się oparcia łóżka, aby nie pójść tam, gdzie wie, że leży mocny schowany sznur. Wreszcie opuszcza ręce i idzie i nagle jasność olśniewająca czyni mu się w duszy i w myśli. Na żywot swój wieczny przysięga nam, że usłyszał, tak usłyszał niebiański głos: *„Bóg jest tu!“*

Spiorunowany Łaską pada na kolana, a w tejże chwili w głębi własnej duszy ujrzał Chrystusa na krzyżu, który uśmiechał się doń z dobrocią nieskończoną. Bezmiar pokoju wstępu.e mu do serca, uczuwa, jak moce złe odstępują od niego. Jest przekonanym o tem, że modlitwa na górze u stóp Matki Bożej tę Łaskę mu wyjednała. Postanawia z brzaskiem dnia pospieszyć do Niej z podzięką. I w rzeczy samej, ledwie weszło słońce, spieszy na górę, przebywa ją niepostrzeżenie prędko, bez zmęczenia; klęka, płacze, dziękuje i mówi: „Matko, dokończ Twego dzieła, nie opieram się więcej i pewien jestem, że mi wskażesz, co mam uczynić, aby wrócić do Kościoła!“ Po zejściu z góry pisze zaraz list do Franciszka Coppée. Szatan umilkł. Zdrowie fizyczne momentalnie wróciło. Ani krwotoki, ani ataki sercowe nie ponowiły się więcej.

Wraca do Paryża. Tam modli się w kościele Saint Germain. Modli się o dobrego spowiednika. Fr. Coppée daje mu list do ks. wikarego ze Saint Sulpice. Z listem tym Rettée idzie do kościoła, tam modli się, rozmyśla; opanowuje go uczucie wstydu i lęku przed wyznaniem na spowiedzi win swoich. Jest to nowa pokusa, ale czuje, że nie powinien jej uledz, wierzy, że Bóg, który tutaj go zaprowadził, nie opuści go i nadal. Po chwili jednak przychodzi nowe doświadczenie: Straszliwy smutek, jakby letarg duszy, jakaś zupełna noc bez światła, uczucie najzupełniejszego osamotnienia w zupełnych ciemnościach. Jest to może najcięższe z doświadczeń, jakie przechodzi dusza żałująca. Wychodzi z kościoła i bez celu krąży po ulicy. Zachodzi do innego kościoła. Próbuje się modlić — nie może. Dusza jego jest jakby umarła. Jak lunatyk wraca do

Saint Sulpice. Tam jakiegoś nieznajomego księdza prosi o modlitwę.

Powoli w duszy zaczyna mu się ta noc przejaśniać, powstaje pewność, że spowiednikowi powie wszystko.

Odzyskuje pełną władzę umysłu, zmysłów i czynów. Idzie do wskazanego przez Coppée księdza. Ten zacny a mądry człowiek pyta go z wielką prostotą o to, jaką drogą i dlaczego z niewiary chce wrócić do wiary, pyta go o główne jego przeżycia, wreszcie z wielką dobrocią zapewnia go, że choć wiele grzeszył, skoro szczerze żałuje—przez tyle przeszedł cierpienia, Kościół z pomocą mu przyjdzie. Każe mu mieć nadzieję, modlić się, a nazajutrz powrócić doń o tej samej porze. Po tej rozmowie wróciwszy do domu Reteé spokojnie zasypia. Nazajutrz modli się, uczy się znaku krzyża, religji, wiara się zakorzenia. Przychodzi spokój i równowaga. Lęk przed spowiedzią, na której przecież tyle złego ma do wyznania, znika zupełnie. Przeciwnie, pragnie jaknajprędzej zrzucić ciężar grzechów.

Szatan wciąż milczy, nie próbuje już kusić duszy rozbrojonej nietylko modlitwą, ale i pokorą.

W dniu spowiedzi — ukryty w mało odwiedzanej części parku, czyta Ewangelję i powtarza prośbę dobrego łotra na Krzyżu: „Panie, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do Królestwa Twego“. Zaś w czasie spowiedzi, gdy wyznawał swoje winy, miał przeświadczenie, że Chrystus jest przy nim. Zdawało mu się, że pieszczotliwą i wszechmocną dłonią wyrywa grzechy z jego duszy, rzuca je pod swoje stopy i na proch je ściera. A równocześnie biedny Retté uczuwa, jak dusza jego, cała zgnieciona, spłaszczona niejako ciężarem win, podnosi się zwolna, rozpływa się w morzu miłości i wdzięczności. Serce jego śpiewa: „Allelluja“.

Nazajutrz — raniutko czyta Ewangelję i śpieszy do kościoła. Przepełnia go bezmiar miłości i pragnienia przyjęcia Pana. Uczucia jego nie mają nic z uczuć ziemskich. „O święta Eucharystjo — woła,—jakiegoż pożałowania godni są, którzy Cię nie znają! Wiem, że jesteś źródłem wszelkiego Dobra, źródłem nadziei i energji w dniach smutku i zniechęcenia, z którego biedna dusza czerpie moc i radość! Daj to Boże, abym nigdy nie zapomniał o tem.

Zachowaj mnie godnym zbliżania się zawsze do świętego Stołu Twojego, w uczuciach tych samych, w jakich się znajdowałem dzisiaj, w dniu mojej Pierwszej Komunji Świętej!"

Po tym szczęśliwym, błogosławionym dniu tej Pierwszej a tak późnej Komunji Świętej, dobre usposobienie jego trwa dalej.

„Och, gdybyż wszyscy, którzy błądzą niepewni i wykolejeni, targani wątpliwościami, mogli poznać ten spokój wewnętrzny, jaki się zyskuje, gdy się z miłością rzuci w ramiona Boga i Kościoła! Och, gdybyż stargali oplątającą ich sieć pychy—poznaliby radość, jaką daje upokorzenie się przed Zbawcą!"

Komunikuje często. Raniutko, codziennie jest na Mszy św. w katedrze Notre Dame. „Poznałem tam — mówi—zachwycenia takie cudowne, tak bardzo czułem się tam oderwanym od samego siebie, tak bardzo na szczyty wiary uniesionym, że wspomnienie tych rannych nabożeństw wciąż pamięć moją rozświeca!"

Modli się do Matki Boskiej. — Na Jej cześć wiersze układa. Codziennie czyta parę rozdziałów z Ewangelji i Naśladowania. Wreszcie postanawia opisać swoje przeżycia. — W tym celu powraca na wieś, do swego ukochanego lasu. Spieszy na górę, do tyle pamiętnej i drogiej mu teraz kapliczki Matki Bożej Łaskawej i tam samorzutnie wyrywa mu się z serca i z ust litanja ku czci Najświętszej Panny o litość dla tych, którzy po trudach i walkach wrócili do wiary, litanja za nawróconych, którą zeszedłszy z góry piórem utrwala.

Zaś kiedy wypełni swe postanowie—kiedy zacznie i ukończy opis przeżyć swoich, upadków, walk i zwycięstwa, wtedy na ostatniej karcie jego książki znajdziemy te słowa: „Oto doszedłem do końca zadania. Skończone już dzieło wynagrodzenia i pokuty. Obyż Pan przyjął te kartki, w które ufam, że włożyłem całą moją wdzięczność za dobrodziejstwa, któremi raczył obsypać biednego, żałującego grzesznika. Jeżeli pomiędzy osobami, które je czytać będą, znajdzie się taka, której przyniosły moralne dobro—błagam ją o serdeczną modlitwę na moją intencję".[1])

---

[1]) W polskim języku wyszedł przekład „Du diable à Dieu": Retté Adolf. Z przepaści ku wyżynom. Warszawa, 1909. (Przyp. red.).

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Stowarzyszenie Młodzieży Akademickiej „Juventus Christiana".

Organizacja ta założona w roku 1924, rozwija się, ze statutowego założenia wychodząc, wyłącznie na terenie wyższych uczelni stolicy. Założycielami było grono młodzieży do dziś dnia stojącej na naczelnych stanowiskach stowarzyszenia, przedewszystkiem zaś obecny rektor kościoła akademickiego (św. Anny) ks. Edward Szwejnic.

W ciągu kilku lat swego istniena organizacja wykazuje znaczny wzrost liczebny. Całość jej rozbija się na mniejsze jednostki—koła, których jest dziś dwanaście. Koło składa się (maksymalnie) z dwudziestu osób. Zbierają sie one co pewien czas (zwykle co tydzień) na kilkugodzinne zebrania dyskusyjne, prócz nich odbywają co pewien czas zebrania z programem towarzyskim. Cała organizacja miewa również dwa powyższe rodzaje zebrań, jednak nie więcej jak kilka razy w roku.

Na czele „Juventus" stoi Zarząd Główny, złożony z członków, wybranych przez Walne Zebranie; oraz Rada Naczelna, do której wchodzą prezesowie i doradcy wszystkich kół.

Wystarczy nam tyle szczegółów organizacyjnych; bardziej godnem uwagi jest życie wewnętrzne organizacji, które już zresztą zostało poruszone, cele, wreszcie środki, za pomocą których członkowie stowarzyszenia pragną swój cel osiągnąć.

Ten zaś postawiony jest i uogólniony w jednem zdaniu: „Nauczyć się wcielać ideały chrześcijańskie w życie indywidualne, społeczne i narodowe".

Prawodawcy organizacji tak formując jej cel, jasno zdawali sobie sprawę z tego, że gwarancję wypełnienia go dadzą tylko jednostki, które wzbijają się na wyżyny wyrobienia duchowego, a więc, które potrafią urobić swój charakter na modłę prawdziwych chrześcijan.

Gdy rozwijamy dalej nić tego rozumowania, dojdziemy bezsprzecznie i do tego, co dziś stało się naczelnym środkiem w drodze do wypełnienia zadań.

„Jeśli chcesz iść wzwyż poznaj prawdę, poznaj więc Boga-Chrystusa i dąż, do upodobnienia się do Niego".

Dewizę tę spełnia organizacja, wprowadzając, jako podstawowy punkt zebrań kół komentowanie ksiąg Nowego Testamentu. Odbywa się to w ten sposób, że jeden z członków opracowuje komentarz pisma świętego, wysuwając szereg zagadnień, zawartych w interpretowanym urywku. Na podstawie komentarza rozwija się dyskusja, prowadzona zwykle z wielkiem ożywieniem.

Zaznaczyć należy, że na zebraniu obecna jest zwykle osoba duchowna, która wyjaśnia zasadnicze kwestje, oraz prostuje błędy, które mogłyby się w dyskusji ujawnić.

Drugą część zebrania stanowi omówienie w krótkich referatach zagadnień, dotyczących dzisiejszego życia „indywidualnego, społecznego i narodowego".

Jak widzimy zebranie koła stanowi więc jakgdyby odbicie życia członka organizacji, takiego życia, jakie ma się stać jego udziałem w imię celu.

Najprzód, mając przed oczyma przykład Boskiego Mistrza, przesiąka Jego zasadami, by je później módz wprowadzić w sferę zagadnień wśród których się obraca. Oto tak przedstawia się w krótkich rysach życie i praca wewnątrz organizacji. Na zewnątrz „Juventus Christiana" występowała i występuje dotychczas rzadko jako całość, działając więcej przez swe jednostki, wśród których znajdziemy znane również osobistości na terenie życia akademickiego.

„Juventus" jest organizacją ogromnie żywotną, a powołanie jej do życia, wydaje się być choć częściowem rozstrzygnięciem palącej kwestji, jaką jest konieczność stworzenia inteligencji katolickiej mocnej duchem, inteligencji, która potrafi nieść wszędzie przed sobą prawdziwe światło—światło wiary.

T. K.

Modlitwa do Dzieciątka Jezus.

(Otrzymaliśmy poniższy wierszyk, który umieszczamy ze względu na perełki szczerego uczucia w nim zawarte.)

Red.

Uwielbiam Cię pokornie, Dziecię w żłobku śpiące
Owinięte w pieluszki — całe z zimna drżące.
Uśmiechnięta Dziecina, wyciąga rączki swe
I do mnie grzesznej mówi: „Oddaj mi serce swe“.
O, Święta Dziecino, chcę zawsze z Tobą być,
W Twój głos się wsłuchiwać, Twemi cnotami żyć.
Tyś Pan całego świata, Tyś Królów Święty Król!
Poniosłeś za me grzechy, okrutnej męki ból!
Korzę się w proch przed Tobą Najświętsza Dziecino,
Z serca mego łzy żalu i skruchy wciąż płyną.
Postanawiam o Jezu, już więcej nie grzeszyć
I ciągłemi ofiarami Twoje serce cieszyć.
Przepraszam Cię dziecino za mych grzechów morze,
Przebacz mi, Wszechmogący o łaskawy Boże!
Miłuję Cię gorąco, duszą moją całą,
Lecz czem jest ludzka miłość, jedną kroplą małą,
W porównaniu z miłością Aniołów, co w Niebie
Przy Twoim tronie stojąc, wiecznie wielbią Ciebie.
Przed Tobą Święte Dziecię, padam na kolana,
Bo jestem żołnierzykiem Twoim—mego Pana.

H. PLATTÓWNA
ucz. kl. V.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Eucharystja a apostolstwo misyjne. Jednem z najulubieńszych mych rozważań nad rozwojem sprawy misyjnej, to temat: Komunji św. dla misyj. W najgłębszem przekonaniu i skupieniu duszą wyczuwamy, że apostolstwo misyjne jest owocem Eucharystji **czczonej**, Komunji św. **przyjętej** na intencje misyj, a choćby nawet jedynie z ogólnej intencji, jaką jest miłość. Przyjęliśmy Komunję św. z miłości, bo ona nas pociągała, a z miłości tej wyrósł, o! **wybuchł** jak ogień gwałtowny, przemożny, niezwyciężony duch apostolstwa. Duch taki nie **widzi** przeszkód, nie boi się ich, czuje się silnym i wytrwać pragnie, a ufa w miłości, że Bóg Eucharystyczny przyjdzie ze swą mocą i wypełni braki naszej nicości. Byle dusza nasza **pragnęła** i odczuwała to, co O. Charles nazwał w swym artykule: Les Missions et l'Eucharistie:*) Un appétit spirituel. Nie będzie go w duszy, pochłoniętej przez światowe wiry, które jej przesłaniają **żywą, czynną, ufną, wiarą**...

Dziwnym zbiegiem okoliczności, wzmógł się po świecie duch apostolstwa po ukazaniu się Listu Piusa X 1905 o codziennej i rychłej Komunji św. Liczba powołań duchownych wzrosła. Wzrosło i utwierdziło się umiłowanie cnoty czystości i dało nam zastępy młodzieży katolickiej, uduchowionej, na którą dziś patrzymy z radością. Wybiły się, w nieśmiałem ukryciu żyjące, **silne charaktery** ludzi dojrzałych, z przekonaniem i skupieniem dążąch dziś do Stołu Pańskiego.

I rozeszła się fala błogosławieństw Najśw. Sakramentu wzdłuż i wszerz. Jeśli chcemy, by akcja misyjna u nas się wzmogła, to skłońmy młodzież do Komunji św. za misje. Zapowiada ją A U C A M (= Akad. K. Mis. belg.) swym członkom, zbierając ich na nabożeństwa wieczorne przed wystawionym Najśw. Sakramentem i na wspólne eucharystyczno-misyjne rekolekcje. Z tych radości wewnętrznych, jakie dają **takie** chwile — **wierzymy** jako **katolicy** w przejasną siłę wartości wewnętrznych, łask Bożych—ileż wyrośnie zapału i zrozumienia dla spraw Bożych—dla misyj Kościoła! Ojciec Charles w swem rozważaniu umie **wdrożyć** przekonanie, co to znaczy Komunja św. za misje: Jesteśmy członkami mistycznego Ciała Chrystusa Pana. Każde jednoczenie się z Nim przez Sakrament Ołtarza wznawia współżycie organiczne, i nietylko w nas i dla radości Pana Naszego, lecz także dla spotęgowania życia i wydajności całego Kościoła. Rozumiemy więc, ile tym sposobem może uczynić dla misyj człowiek choćby nie mający nic innego do dania, ni nauki, ni zdrowia, ni funduszy. Ale też **nie może** dać więcej, nad Komunję św., którą zasila działanie Kościoła. Co za cudowna **jedność** w życiu katolika z całem społeczeństwem ludzkiem, którą nazywamy Obcowaniem Świętych!

Encykliki Misyjne Benedykta XV Maximum illud i Piusa XI Rerum Ecclesiae trafiły już na grunt dobrze przygotowany orzeczeniem Piusa X.

---

*) Najusilniej zalecamy kołom misyjnym młodzieży wydawnictwo Akad. K. Mis. belgijsk. Les Dossiers de l'Action Missionnaire. Louvain 8 rue des Récollets. O U C A M. Są to zaczątki Encyklopedji Misyjnej.

I dodaje O. Charles: obowiązki chrześcijanina noszą znamię czasu i okoliczności w kościele, który jest misyjnym, który nie doszedł jeszcze do pełnego rozwoju, skoro mamy jeszcze tylu pogan na świecie, nie wystarcza uważać Eucharystji jako nabożeństwa osobistego, ni wyłącznie pokarmu dla duszy własnej; trzeba Ją przyjmować jako zasilenie dla całego Kościoła, który się powiększa, rośnie przyrostem chrześcijan, zjednanych mu przez łaskę Komunijną Albowiem wszyscy ludzie są odkupieni Krwią Chrystusową i przynależą do niego. Wszyscy mają tworzyć i wzmacniać życie Kościoła ze Zbawicielem, tworząc z Nim jeden organizm, który ze swemi 305 miljonami katolików w ogólnej liczbie 1 421 000 miljonów ludzi na świecie wygląda na utwór mały, nierozwinięty jeszcze do pełni życia. Jeśli bodaj jeden z członków odmówi swemu organizmowi pomocy, to on nie rozrośnie się jak należy, jeśli zaś wszyscy będziemy go zasilali, to wyjdzie wnet z lat dziecięcych i wstąpi w wiek dojrzały. Dopóki misja Kościoła nie została ukończoną, — a spełnioną została do dziś dopiero w szóstej części, — to wszyscy, którzy korzystają z Sakramentu Ołtarza dla **siebie**, obowiązani są oddawać przez intencje części Boskiego Zasiłku dla spraw wspólnych Kościoła. Bo takie jest zadanie Komunji św. Umacnianie istniejących już członków i rozwijanie nowych.

Zdaje się, że niema dziś wznioślejszego, piękniejszego obrazu nad człowieka dojrzałego, spieszącego po pomoc duchową do stóp Ołtarzy — po pomoc dla siebie i dla drugich, „aby wszystkim lepiej było” — człowieka, który czuje swe powodzenie między braćmi, jest w pełni sił rozkwitu, i dobrze mu na świecie. Idzie do Boga Eucharystycznego, bo **wierzy**, da świadectwo prawdzie w morzu obojętności i perfidji, — idzie, bo — **kocha** — i kocha bardziej od duszy własnej, tych, którym w sercu pusto i nie żarzy się płomień Prawdy Chrystusowej, Prawdy Odwiecznej, bo czuje, ze swego współżycia z Ciałem Mistycznem Chrystusa, co to znaczy żyć zdala od Niego — patrzeć na **szczęście wieczne** drugich i nie móc w niem uczestniczyć!!

Częsta codzienna Komunja św. dla pracownika misyjnego jest niezbędną. Z niej weźmie zapał i roznieci go po kraju, a z kraju rozejdzie się po świesie — gdzie czekają na naszą pamięc zarówno misjonarze, jak i poganie. I możemy kroczyć w cichości serca odważnie naprzód, bo Pan nasz rzekł: Uciszcie się, jestem z wami.

Kazimiera Berkanówna.

Działalność wydawnicza Komitetu Głównego Akcji Katolickiej w Warszawie. Książka i pismo czyli — wyrażając się ogólniej—prasa w społeczeństwie współczesnem odgrywają rolę jakgdyby wielkiego wichru, który decyduje, w którą mianowicie stronę zwróci się szary tłum, owe niezliczone masy. Jeśli gdzieś przewagę oraz wpływ zyskuje prasa zła, — to dowód, że dana społeczność skłania się ku kierunkom, wrogo odnoszącym się do katolicyzmu; by zaś takie niepożądane zjawisko usunąć, czynniki katolickie muszą wytężyć wszystkie siły, aby prasie złej przeciwstawić prasę dobrą. Czem jest dobra książka i dobre pismo, o tem wie — zdaje się – każdy dobry katolik. Bł. Jan Bosco, zahaczy-

wszy gdzieś w pracy swej o tę kwestję, wołał z uniesieniem: „Ile dusz uratowały dobre książki, ile zachowały od błędów, ile zachęcały do dobrego!" a znów dnia 19 marca 1885 r. pisał: „Nie waham się nazwać rozszerzania dobrych książek środkiem Boskim".

Rozumiejąc rolę prasy w życiu obecnem, Komitet Główny Akcji Katolickiej w Warszawie nie poprzestaje na organizowaniu Lig Katolickich, na dostarczaniu im prelegentów, ale ponadto rozwija działalność na polu wydawniczem. Zajęcie się wydawaniem książek i broszur ma w danym wypadku charakter nieco odmienny aniżeli to dzieje się w każdej przeciętnej firmie wydawniczej, tu bowiem decydującym czynnikiem jest aktualność.

Wydawnictwa Komitetu Głównego Akcji Katolickiej rozpadają się na dwa cykle: „Bibljotetę Akcji Katolickiej" tudzież „Bibljoteczkę Popularną".

„Bibljoteka Akcji Katolickiej" po szeregu wydawnictw, dających materjał dla organizatorów Lig Katolickich, przeszła do wydawania rzeczy okolicznościowych, związanych z jakiemiś jubileuszami. W r. z. z owej pierwszej serji wydana została książka p. t. „Zasady Akcji Katolickiej we Włoszech", która stanowi pewnego rodzaju wzór oraz przewodnik dla działaczy naszej Akcji Katolickiej; która wykazuje, jakie organizacja ta może mieć rozgałęzienia i tereny pracy. Kiedy w r. z. mijało półwiecze śmierci Ojca św. Piusa IX, Komitet Główny Akcji Katolickiej opublikował z polotem poetyckim skreśloną broszurę Jana Arta p. t. „Pius IX. Wspomnienie o wielkim papieżu i przyjacielu Polski z okazji 50-lecia skonu", a w r. b. z okazji trzechlecia śmierci ks. Dezyderego Józefa Mercier'a ogłoszono jego „Listy pasterskie" („O Polsce", „O społecznaj akcji katolików", Wielki przykład powszechnego braterstwa", „Patrjotyzm", „Hart ducha") poprzedzone rozprawą ks. dr. Piotra Chojnackieeo p. t. „Kardynał D. J. Mercier, jako filozof i organizator", a zakończone zbiorem zdań p. t. „Opinje współczesnych wielkich ludzi o kardynale Mercierze". Między temi dwoma tomikami wydano jeszcze referat ks. dr. prof. Wilhelma Michalskiego p. t. „Konieczność wykształcenia teologicznego".

O ile „Bibljoteka Akcji Katolickiej" przeznaczona jest dla kierowników parafjalnych tego ruchu u nas, o tyle „Bibljoteczka Popularna" wydawana jest dla poszczególnych członków Lig Katolickich, których poziom umysłowy częstokroć jest bardzo niski. Tu dotąd ogłoszono trzy rzeczy: „W obronie rodziny"; „Rozwody w obliczu prawa" mecenasa Stanisława Janczewskiego; „Na marginesie procesu płockiego" (Sekta marjawitów) S. K. Wydawnictwa te, mające na celu uświadomić szerokie masy o palących zagadnieniach doby bieżącej, przedstawiają się rzeczywiście bardzo dobrze i z tego względu zasługują na jaknajwiększe rozpowszechnienie.

Działalność wydawnicza Komitetu Głównego Akcji Katolickiej ma dobrze pomyślany plan, rozwija się po należycie wykreślonej linji i dlatego jest ona pożyteczna ze wszech miar.

J. M. Chudek.

Ksiądz Alfred Hoppe, były Proboszcz. „Chrystus życiem mojem". Rozmyślania dla zakonnic. Warszawa i Wimperk, Wydawnictwo J, Stejbrenera.

Nieznany tłumacz przysporzył polskiej literaturze ascetycznej powyższe dzieło. Zagranicą rozeszło się ono już w tysiącach egzemplarzy, jest używane w bardzo licznych domach zakonnych i polecane przez zastępy kapłanów, znawców — potrzeb duchownych, dusz Bogu poświęconych i literatury ascetycznej, mającej za zadanie potrzebom tym czynić zadość.

Ksiądz Alfred Hoppe autor tego kapitalnego dzieła puszczając je w świat oddaje nieocenioną przysługę służebnicom bożym, którym tę mozolną swą pracę poświęca, a przez to przyczynia się niepomiernie do większej chwały bożej, postępu duchowego całych rzesz pszczółek Pańskich, ssących nektar nadprzyrodzony z tak obfitych plastrów miodu podtrzymującego życie wewnętrzne.

Wystarczy wziąć do rąk który z tomów rozmyślań „Chrystus życiem mojem", aby się przekonać jak wielkim znawcą i przyjacielem osób Bogu poświęconych jest autor i że nie oszczędził trudów, by przyjaźń w Panu okazać najodpowiedniejszym czynem dostarczenia im strawy duchownej w bardzo sutej mierze.

Istotnie, wczuwając się w pobudki autora, wyłuszczone pokrótce w przedmowie do „Rozmyślań", możemy uświadomić sobie, że Kościół Boży liczy setki tysięcy owych „Mart" ewangelicznych „co się troszczą i frasują około bardzo wiela" dla obsłużenia Chrystusa mistycznego, pomnych na Jego zapewnienie „Pókiście uczynili jednemu z tych braci Moich najmniejszych, Mnieście uczynili!" (Mat. XXV, 40) i chociaż pragnęłyby się znaleźć w roli Marji co „siedząc u stóp Mistrza słuchała", niestety powołanie ich do życia czynnego przedewszystkiem żąda od nich ofiary i to największej, wyrzeczenia się Jezusa dla Jezusa, miłych i tak w życiu wewnętrznem koniecznych chwil pozostawania sam na sam z Panem. „Jako jeleń pragnie do źródeł wodnych, tak dusza moja pragnie do Ciebie Boże!" (Ps. 141) — twarda jednak rzeczywistość powołanie do życia czynnego w zakonie — „Kto chce za Mną iść, niech sam siebie zaprze, weźmie krzyż swój a naśladuje Mnie!" (Mat. XVI, 24) i jeszcze — „Jeśli kto nie zaprze się duszy swojej dla Mnie, nie jest Mnie godzien!" (ibd. 25) — zmusza częstokroć redukować, opóźniać, dorywczo odprawiać codzienne ćwiczenia duchowne, przez Reguły polecone, albo też wskutek wyczerpania fizycznego, nadrabiając tylko nerwami, — imać się kurczowo pługa sprawy Królestwa Bożego i pchać go wciąż naprzód, nie oglądając się wstecz, w takich przeto warunkach dać do codziennego podręcznego użycia książkę — przyjaciela co pocieszy, zrozumie, uleczy, pouczy, pchnie zastrzyk pokoju — jakiego świat nie daje — roznieci wesele w Panu, to prawdziwe dobrodziejstwo, to perła, za jaką gonią te dusze, która im się w poczuciu wdzięczności za poświęcenie należy, a mało kto to rozumie, o to się troszczy, jeszcze mniej kto dać to jest w stanie. Dzieł ascetycznych nigdy nie było zadużo, nie zawsze też ilość lub jakość ich odpowiada potrzebom, to też praca Czcigodnego Autora Ks. Hoppégo jest naprawdę darem królewskim, upominkiem z serca wyjętym, jest dziełem, które z wdzięcznością powitać należy.

Ksiądz Hoppe doskonały znawca warunków życia i prac zakonnych nie skąpi swych trudów i wiedzy pisząc „Rozmyślania" dla zakonnic, wydaje sześć tomów, zawierających sześćset rozmyślań, udostępnia metodę, usu-

wa niepokoje natury formalnej co do sposobu odprawiania modlitwy myślnej, ośmiela do wygody odpowiedniej i pożytecznej w zachowaniu się w czasie rozmyślania, ilustruje treść odpowiedniemi reprodukcjami artystów malarzy religijnych, słowem rozwija pedagogikę zakonną i przyczynia się do pielęgnowania ducha bożego, pragnie, by od czasu do czasu siostry doznały pociech „Taboru" i by mogły odetchnąć duchowo i doznać choć chwilowo tego „Panie, dobrze nam tu być!" (Mat. XVII. 4.).

Myśl przewodnia całości dzieła—**Chrystus.**

Część tomu pierwszego maluje na tle Starego Testamentu Mesjasza w figurach i proroctwach, przypominając przez to pokrótce najdonioślejsze etapy Planów Opatrzności w Dziele Odkupienia.

W polskim przekładzie mamy dotąd tylko pierwsze trzy tomy, z tych jednak możemy wnioskować jaka będzie treść dalszych trzech, na którą się złoży rozwinięcie męki Pana Jezusa, życie chwalebne i życie mistyczne w Kościele Jego świętym.

W każdem ludzkiem dziele można znaleść braki, bezwątpienia, krytycy znajdą je i w dziele Ks. Hoppe'go, lecz nie wiele one ujmą wartości jego rzeczywistej.

Oby to dzieło tak się rozpowszechniło w Polsce wśród tylu zakonnic i świeckich katolików pracujących u nas z podobnem zaparciem, jak w ojczyźnie autora, coby było, możemy twierdzić największą dlań pociechą, a ciche modły za niego tych co te tomy będą miały w ręku, dobrze zasłużoną nagrodą.

Ks. Aleksander Bołtuć M. I. C.

Młodzież Bielańska u stóp Ojca św. W dniu 23 marca b.r. Ojciec św. przyjął na audjencji pielgrzymkę młodzieży i nauczycieli Gimnazium XX. Marjanów na Bielanach. Młodzież w szeregach, ze sztandarami na czele prowadzona przez generała Zakonu X. Dr. Buczysa, Ks. Kazimierza Bronikowskiego, Ks.Ks. Marjanów domu Rzymskiego, oraz Ks. Dr. M. Węglewicza o godz. 12-30 stawiła się w Watykanie. Całą Bielańską grupę wyłączono z pośród oczekujących na audjencję licznych pielgrzymów i przeprowadzono do osobnej sali gdzie w towarzystwie oficerów gwardji papieskiej, oczekiwano na Ojca św. Po audjencjach prywatnych około godziny drugiej, Ojciec św. bardzo zmęczony ale radosny i uśmiechnięty wszedł do sali w towarzystwie Monsign. Caccia Dominioni i przybocznych szambelanów. Po powitaniu Ojca św. przez grono księży, Ojciec św. stanął przed sztandarami bielańskiemi przypatrując się im z upodobaniem. Poczem pobłogosławił je i przypiął do drzewcy wstęgi papieskie; przyjął piękny adres malowany przez Wł. Gallara, byłego wychowańca Zakładu i obszedł kolejno młodzież podając rękę do ucałowania i zamieniając kilka miłych i wesołych słów związanych z rozwojem Bielan. Dłuższy moment zatrzymał się przed obrazem Feliksa Jabłczyńskiego, przedstawiającym Wielki Ołtarz w Katedrze Warszawskiej. Wreszcie stanąwszy w pośród sali wyraził swe zadowolenie, dziękując za myśl i formę tej myśli z jaką się tu zetknął. Zachęcił młodzież by zawsze była wierną swym pięknym sztandarom. Nakoniec udzielił błogosławieństwa dla całego Zakładu, zarówno przełożonym i młodzieży, jak i rodzinom z zakładem związanych. Poczem przeszedł do następnych sal.

Po audjencji fotograf papieski Felici zdjął grupę bielańską w jednym z krużganków watykańskich. Dopełnieniem tych chwil podniosłych, była Msza św. papieska w bazylice św. Piotra dla młodzieży francuskiej, do której dołączono i grupę Bielańczyków, nadsyłając z Watykanu bilety.

Ojciec św. zwrócił uwagę na polskie okrzyki młodzieży bielańskiej, dziękując gestem, uśmiechem i błogosławieństwem rozentuzjazmowanej gromadce.

Dodać należy, że za czasów swej nuncjatury w Polsce, Ojciec św. Pius XI, bywał częstym gościem na Bielanach, tam też odprawił swe rekolekcje przed sakrą biskupią w r. 1919, zamieszkując dawny domek królów polskich, fundowany przez Władysława IV.

Borivoj Benetka: Sankta Venceslao, patreno de ceha nacio. Livivo, martira morto, kaj gloro. Praha, 1929. Nakładem Komitato por Festoj de Miljara Jubileo de Sta Venceslao. Str. 32. Cena 1 zł.

Jeden z wybitnych dostojników Kościoła katolickiego wyraził się, że esperanto może oddać katolicyznowi usługi nieocenione i rzeczywiście nie pomylił się, bo sztuczny tęn język wybornie nadaje się do propagandy. By np. zaznajomić świat katolicki z postacią św. Wacława, którego śmierci tysiąclecie święci Czechosłowacja w r. b., komitet jubileuszowy wydał broszurę o patronie narodu czechosłowackiego właśnie w esperanto, napisana przez Borzywoja Benetkę. Książeczka owa rozdzielona jest na cztery części. Przedewszystkiem autor daje „Przedsłowie", poczem następują: „Bibljografja o św. Wacławie", „Życie św. Wacława", „Cześć św. Wacława". Całość cechuje zwięzłość przy obfitości materjału i to czerpanego z najlepszych źródeł.

Ponieważ podobnego wydawnictwa w języku polskim niema, zwracamy uwagę zainteresowanych na publikację w esperanto. Kto języka tego nie zna, może przy dobrych chęciach przyswoić go sobie w bardzo krótkim przeciągu czasu, a trud ten na marne nie pójdzie. **J. M. Ch.**

O. Maurycy Rzecznik: Krótka historja cudownego obrazu Matki Boskiej Sokalskiej. Sokal, 1928. Nakładem Klasztoru o.o. Bernardynów. Str. 24. Cena 30 gr.

Na rzecz odbudowy kościoła i klasztoru o. o. Bernardynów w Sokalu wydana została drobna rozmiarami broszurka o. Maurycego Rzecznika zaznajamiająca czytelnika pokrótce z dziejami słynącego cudami wizerunku Matki Boskiej Sokalskiej. Szkic ten większej jakiejś wartości nie posiada, w żadne dociekania ikonograficzne nie wdaje się, bo nie o to, coprawda chodziło autorowi, ale mimo to dla czcicieli Bogurodzicy rzecz ta będzie lekturą ciekawą i miłą, chociażby tylko ze względu na gorące uczucie miłości ku Królowej Niebios, z jakiem została ona skreślona. Na str. 3 pomieszczona została reprodukcja cudownego obrazu, a na str. 4 pieśń do Matki Bokiej Sokalskiej.

Tytułem uzupełnienia nie zawadzi dodać, iż kopję owego wizerunku, także wsławioną łaskami posiada kościół św. Anny w Warszawie.

J. M. Ch.

Kazimierz Marjan Morawski: Na marginesie polemiki z „Boy'em". Warszawa, 1929. Str. 24. Cena 30 gr.

W związku z osławionemi „Dziewicami konsystorskiemi" Boy'a-Żeleńskiego, któremi już w drugiem wydaniu odurza szerokie sfery Księgarnia Robotnicza, Kazimierz Marjan Morawski skreślił trzy drobne artykuły, jakie zrazu ukazały się w pismach, a potem zostały razem wydane w osobnej broszurce. Polemiczne te drobiazgi, pisane dorywczo pod pierwszem wrażeniem, nie wyczerpują wszystkich zagadnień, nasuwających się w danym wypadku na myśl, jednak mimo to przynoszą one wiązankę spostrzeżeń trafnych oraz wyjaśniających sprawę w stopniu wystarczającym.

Pióro autora zbiorku cechuje prawdziwe zacięcie polemiczne, szkoda jedynie, że styl jego, styl erudyty pierwszej miary, jest nieco przyciężki, skutkiem czego miejscami wpływa on niekorzystnie dla jasności formułowanego zdania, czy sądu.

„Na marginesie polemiki z „Boy'em"—to rzecz, której przeczytanie polecić można inteligencji polskiei jaknajgoręcej. **J. M. Ch.**

Pierre l'Ermite. Jak zabiłam moje dziecko? Warszawa 1929. Nakładem domu prasy katolickiej, str. 279.

Autor powieści pod tytułem: „La Femme aux yeux fermés" (dzieło nagrodzone przez Akademję Francuską) i „La Femme aux yeux ouvertes" daje nam nowe studjum psychologiczne z życia wykwintnego świata stolicy Francji.

Zajmująca treść jest jakgdyby spowiedzią matki, która, zrozumiawszy swoje błędy, opisuje dzieje syna swego, młodego, ogromnie bogatego człowieka; wychowaniu, które mu dala, brak bodaj jednej, ale najtrudniejszej podstawy — woli.

To też mimo, że rokuje ogromne nadzieje na przyszłość, nie robi właściwie nic, rozpoczęte prace jego rwą się w połowie. Młody człowiek kończy tragicznie.

Jak zaznaczyliśmy, powieść jest nadzwyczajnie subtelnem studjum psychologicznem i wykazuje dowodnie braki w wychowaniu młodych ludzi z bogatych sfer.

Jakkolwiek jednak z takiej właśnie sfery pochodzi Dominik Yholdy i wskazówki wychowawcze do niego się przedewszystkiem odnoszą, można je także w pewnym stopniu uogólnić na szersze warstwy młodzieży.

Każdy czytelnik z pewnością odniesie to wrażenie, że nie tyle idzie o bogactwa bohatera powieści, ile o sposób jego odnoszenia się do życia.

Przekład polski W. Weysenhoffa dobry, choć tu i owdzie niestety rażą ucho gallicyzmy, jak to spostrzegamy na wstępie już w samym tytule (powinno być „Jak zabiłam swoje dziecko" nie zaś moje). **M. J.**

Pamiątka Jubileuszu 700 rocznicy śmierci św. Franciszka z Asyżu 1226—1926. — Kraków 1929. Nakładem Rady Głównej III Zakonu św. Franciszka w Polsce. Str. 252.

Księga składa się z następujących części:

Część pierwsza jest przygotowawczą, obok Encykliki Ojca św. i listów pasterskich, znajdujemy tu żywot św. Franciszka, wreszcie ogólny rzut oka na obchody roku jubileuszowego. Część druga omawia szczegółowo te

obchody w poszczególnych miastach polskich, trzecia, najdłuższa zawiera referaty o św. Franciszku wygłoszone w czasie uroczystości jubileuszowych wreszcie czwarta — jest poezją franciszkańską.

Dzieło ma ogromne znaczenie kronikarskie. Wydane jest bardzo starannie, poszczególne artykuły dobrane z widoczną troską o wartość księgi; wśród ich autorów spotykamy nazwiska ks. Lukiewicza, pp. K. H. Roztworowskiego, Marjana Zdziechowskiego i innych.

Dla czcicieli św. Franciszka księga jubileuszowa stanowić będzie pomnikową pamiątkę ich pracy, a bodaj, że i oręż do walki, jako znak widoczny zwycięstw św. Biedaczka. **M. J.**

Obok „kwiateczków Bożych" — bibljoteczki dla dzieci wydawanej przez Księg. św. Wojciecha, ukazuje się ostatnio druga taka bibljoteczka p. t. **„Młodzi ulubieńcy Jezusa"** — Kraków 1929. Nakładem Wydawnictwa Ks. Jezuitów wydano dotychczas pierwsze trzy tomiki:

Anielski Młodzieniaszek — Aleksander Besti (wolny przekł. z włoskiego), str. 76.

Jezusowa lilijka—mała Lucia (wolny przekł. z francuskiego), str. 74.

Ziemski Aniołek—Lirietto (wolny przekł. z franc.), str. 69.

Książeczki powyższe polecamy gorąco uwadze rodziców dbałych o dobro duchowe swych dzieci; pomogą one spełnić to ogromnie ważne zadanie, polegające na wszczepieniu wiary w serca dziecinne od kolebki. **M. J.**

Notatki bibljograficzne.

Prócz powyższych, nadesłano do redakcji następujące godne polecenia wydawnictwa:

Ks. Tadeusz Radkowski. Na pograniczu Arabji. Warszawa 1929. Dom Prasy Katolickiej. Opowiadania z podróży, stronic 62.

Brońmy się. — Chyrów 1929. Wydawnictwo Zw. O. Chyrowiaków str. 29. Popularna broszura w sprawie ślubów cywilnych.

Nasz Przyjaciel — tygodnik społeczno-polityczny dla miast i wsi. Wilno, ulica św. Anny 10. Wydawnictwo popularne.

Brzask — miesięcznik wileńskiego związku młodzieży polskiej. Wilno, Metropolitalna 1.

Pismo choć przedewszystkiem o znaczeniu prowincjonalnem, stanowi jednak dla nas dowód, że praca wśród młodzieży postępuje. M.

Numer majowy **„Rycerza Niepokalanej"** przynosi szereg artykułów poświęconych przeważnie czci Niepokalanej Dziewicy, jak: „Milicja Niepokalanej", „W cichy, powszedni dzień na Jasnej Górze" (wrażenia), „Jak Ojciec św. Pius XI czci Niepokalaną", „Marszałek Foch jako czciciel Niepokalanej"— a wplatane są w te opowiadania krótkie, dobrze zbudowane, wierszyki. Wolnomyślicielom naszym przydać się może uważne odczytanie artykuliku p. t. „Ku uwadze polskich Vaugnan'ów". Obfita „Kronika" ze świata katolickiego i z Polski, liczne drobne wiadomości jako „Iskierki" i podziękowania Niepokalanej za łaski: oto całość numeru majowego „Rycerza Niepokalanej", umilonego jeszcze licznemi udatnemi rycinami. Cena egz. o 32 stronach w okładce: 15 groszy, pren. roczna zł. 1,50; dla bezrobotnych i b. ubogich: darmo. Adres: Adm. „Rycerza Niepokalanej", OO. Franciszkanie, Niepokalanów, p. Teresin Soch.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Nasza ankieta.

„Akcja katolicka" a działalność katolików w Polsce.

Redakcja „Wiary i Czynu—Pro Christo", dążąc do wywołania żywej wymiany zdań na temat ważnych i żywotnych zagadnień, interesujących ogół katolików w Polsce, w trosce o wyjaśnienie i skonkretyzowanie problematów, które odegrają wybitną rolę w teraźniejszym i przyszłym naszym życiu zbiorowym i skierują wysiłki polskiej inteligencji katolickiej w tym, lub innym kierunku działalności — ogłasza w dniu dzisiejszym na łamach swego pisma

Ankietę na temat:

„Akcja katolicka" a działalność katolików w Polsce.

Temat ten rozbijamy na następujące zagadnienia:

1. Na czem polega „Akcja katolicka".

2. Dotychczasowe poczynania „Akcji katolickiej" w Polsce.

3. Czy ten typ działalności można zrealizować w konkretnych warunkach polskich natychmiast, czy też etapami i jakimi.

4. Jak winna wyglądać struktura organizacyjna „Akcji katolickiej” w Polsce.

5. Jakim być winien a) stosunek „Akcji katolickiej” do istniejących u nas katolickich organizacji kulturalno-oświatowych jak np. Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, Stow. Młodzieży Polskiej, „Odrodzenie” akademickie, robotnicze i t. d.

b) Stosunek „Akcji katolickiej” do Chrześcijańskich Związków Zawodowych.

c) Stosunek „Akcji katolickiej” do organizacyj ruchu politycznego o charakterze katolickim.

Nie potrzebujemy uzasadniać ważności wyżej wymienionych zagadnień dla naszego życia katolickiego. Potrzeba ich omówienia i wyjaśnienia jest oczywista. **Zwracamy się więc do wszystkich katolików w Polsce, a w pierwszym rzędzie do Czcigodnego Duchowieństwa oraz działaczy i publicystów katolickich, jak również do Szanownych naszych Czytelników, a zwłaszcza tych, którzy już nieraz zasilali nas swoimi pracami — z gorącą prośbą, aby wypowiedzieli się na łamach naszego pisma na wyżej podane tematy** *i przyczynili się do wyjaśnienia i spopularyzowania tych trudnych, a tak ważnych zagadnień.*

Odpowiedzi, uwzględniające, o ile możności wszystkie podanych punktów, prosimy składać, względnie przesyłać do **Redakcji „Wiara i Czyn — Pro Christo” Warszawa, Moniuszki 3a.**

Do dzieła! Niech myśl katolicka pracuje żywo i intensywnie. Niech ścierają się, krzeszą i krystalizują poglądy i ujęcia. Niech konsekwencją myśli i słów będą czyny na terenie realnych warsztatów życia codziennego!

REDAKCJA.

Akcja Katolicka.

Dziwnie nowocześnie brzmi ten wyraz „akcja katolicka” Jakby się Kościół Katolicki dopiero ze snu przebudził, przetarł oczy, zobaczył, że to już w pełni wiek XX-ty, że wszystko dokoła niego wre i kipi życiem i zaczął sam działać, porwa-

ny ogólnym prądem. Choć może w tem pierwszem wrażeniu znalazłoby się trochę prawdy, trzeba jednak przyznać już z góry, że w samem pojęciu i założeniu Kościoła leży jak najbardziej intensywna akcja. Kościół jest społecznością zorganizowaną i to zorganizowaną, powiedzmy, najświetniej i najsolidniej—czego dowodem choćby próba czasu, który już tyle potęg skruszył i rzucił w odmęt niepamięci, a Kościoła jednak nie tknął ani jednym swym zębem, owszem wzmocnił go tylko w swoim biegu i rozwinął w potężne drzewo, osłaniające gałęziami swojemi cały świat nam znany.

Społeczeństwo to ma swoje wyraźne cele, hierarchicznie ze sobą połączone, swoje środki, źródła życia, swych kierowników w nieprzerwanej linji idących poprzez burze i nawałności, od pierwszego swego Założyciela i pierwszych budowniczych. Wszystko jest w tej społeczności co jest źródłem i warunkiem życia—a życie to czyn, czyn—to akcja.

Z woli Założyciela swego Kościół winien być zawsze czynnym, aktywnym, idącym naprzód—"idąc na cały świat..." cały, nietylko lokalnie, ale i w czasie, aż do skończenia świata—„a oto ja z wami będę aż do skończenia świata". Chrystusowym współpracownikom i ich następcom kazał orać, siać, pracować, dobrze czynić, walczyć wreszcie i wojować, jeśli zajdzie potrzeba, byle nie złem i zdradą, nakazał być pasterzami, przewodnikami w winnicy swojej, czynnymi zawsze na posterunku.

Nie znosił Chrystus bierności i sennego bezczynu: „Szymonie, spisz?!.. Nie mógłżeś ze mną czuwać..."

Takimi też w myśl swego Mistrza i zapatrzeń w Jego boski wzór byli apostołowie i wszyscy którzy za nim poszli przez tyle wieków, „w pracach rozlicznych, w ciemnicach obficiej, w razach nad miarę, w śmierciach częstokroć". (II Kor. 11 : 23).

Cała historja Kościoła od katakumb poprzez drogi w lasach i puszczach wycinane, poprzez nieznane lądy i morza misyjne, w cichych ustroniach wsi i pustelni i na szumnych ulicach stolic, na katedrach uczonych i wśród tłumów ludowych, w szeregach nawet rycerskich dawnego średniowiecza, czy w okopach nad Marną albo pod Radzyminem, we wszelkich sytuacjach, na wszystkich miejscach Kościół występował

zawsze, jako element czynny, może nawet czasami w niektórych jednostkach zbyt agresywny, potępiając wszelką bierność, bezład i kwietyzm. Były może nierówne fale tej aktywności Kościoła, lub niewszędzie jednakowo ta fala podnosiła się i biegła naprzód. Przychodziły momenty głębszej ciszy, jakby zmęczenia, czy naturalnego cofnięcia się dla nabrania rozpędu do dalszego skoku, były chwile lokalnego bezwładu, czy dolce far niente.. I może dlatego właśnie tak nas uderza sam dźwięk wyrazu, „akcja katolicka" i wywołuje obraz zbudzonego ze snu robotnika, czy może dziecka.

W pierwszych wiekach swojego istnienia, a nawet jeszcze głęboko w średniowieczu, aż po czasy nowożytne, Kościół był wszystkiem dla świata, apostołem prawdy, wychowawcą, nauczycielem czytania i pisania, budowniczym, rolnikiem i rządcą państw—i to była w całem swem właściwem znaczeniu akcja katolicka. Religja i jej zasady, przenikające wszystkie gałęzie i kierunki życia ludzkiego. Kościół i lud nietylko się modlił, ale i pracował razem, oddychał i żył razem. Nie było separacji między różańcem, nabożeństwem niedzielnem i życiem prywatnem, społecznem, czy państwowem. Wszystko (przynajmniej w ogólnej zasadzie) skupiało się koło Boga, którego przestawicielem na ziemi był Kościół.

Później (do historji należy zbadanie i analiza objektywna przyczyn zarówno ze strony Kościoła i jego działaczy, jak również ze strony społeczeństwa) rozdzieliły się fale ludzkości. Jedna z nich poszła drogą samodzielnej laicyzacji, druga coraz bardziej zwężała się i zamykała w ciasne koryto liturgji i ćwiczeń pobożnych na terenie świątyń, coraz mniej i coraz słabiej przez bractwa łączące życie religijne z prywatnem życiem jednostki i publicznem życiem społeczeństw i państw. W końcu doszło do warunków dzisiejszych, gdzie w najlepszym razie pamięta się o nabożeństwie niedzielnem, resztę życia prowadząc bez żadnej bliższej łączności z Bogiem, Kościołem i religją. Wyjątkowe tylko jednostki jedność tę jeszcze umiały z własnej woli zachować.

Akcja katolicka nie może więc być dzisiaj rzeczą zupełnie nową, czemś, czego jeszcze nigdy nie było w historji, ani też nie może być pojmowaną ciasno, jako coś wyłącznie religijnego, na wzór dotychczasowych bractw i stowarzyszeń pobożnych.

Owszem, nie wykluczając rzeczy, należących do kultu religijnego, jako ze wszech miar potrzebnych i koniecznych, tak ze względu na obowiązek oddawania w ten sposób czci Bogu, jak i dla ułatwienia zbawienia ludziom, byle to czynić ze zrozumieniem celów i ducha i w odpowiedniej proporcji do innych obowiązków życia katolickiego. Te zresztą rzeczy wypływają wprost z naszego bezpośredniego stosunku do Boga i należą właściwie do zupełnie odrębnej kategorji, bo do obowiązków porządku nadnaturalnego i służyć mogą raczej jako źródła energji duchowej dla właściwej akcji katolickiej.

Ta akcja winna obejmować wszystkie przejawy naturalnego życia jednostki i całych społeczeństw.

A więc przedewszystkiem życie osobiste i rodzinne—oparte na zasadach i duchu katolickim, jak najszerzej i najbardziej współcześnie zastosowanych. Zasady i duch pozostają zawsze te same, odwieczne, jak jedną i wieczną jest prawda, i nietknięte. Ale potrzeby życia zmieniają się co chwila i na tem właśnie polega „swoboda synów bożych", o której mówi Chrystus, by kierując się nieodmiennemi zasadami i przez to pozostając zawsze „synami bożymi", umieć niemi przeniknąć wszystko, co dobrego postęp życia przynosi, nie zasklepiając się w stwardniałe skorupy form tradycyjnych i zachowując tę ewangeliczną „swobodę". Nie można nigdy narażać katolicyzmu na zrównanie w pojęciu ogółu z czemś zgrzybiałem, zawsze zastarem i zacofanem. „Odnowić wszystko" — tylko „w Chrystusie" — według hasła Apostoła Pawła — oto hasło katolicyzmu, a w szczególności hasło prawdziwej akcji katolickiej.

To samo w życiu publicznem, społecznem katolików. Akcja katolicka winna objąć wszystkie jego przejawy i potrzeby. Wszystko, co wypływa z natury i normalnych potrzeb społeczeństwa jest dobrem i wszystko to może i powinno się stać terenem akcji katolickiej. Znowu nie w tem znaczeniu, by temu nadać formę religijną, by zasklepić w przestarzałej tradycji,—ale, by chwytając każdą potrzebę i każdy odruch społeczny wprost w locie, póki jeszcze tętni i drży życiem, tchnąć w nie ducha katolickiego i umocnić na niewzruszonym fundamencie zasady (nie formuły!) katolickiej.

Przy dzisiejszym przeroście życia organizacyjnego i niezliczonych ustosunkowaniach społecznych pole do działania jest

przeogromne. Bodajby tylko starczyło robotników, a przedewszystkiem kierowników roztropnych, światłych, o szerokiej duszy i głęboko, a radośnie miłujących społeczność ludzką.

Orzeczenia papieskie zdają się wykluczać z zakresu ścisłej akcji katolickiej organizacje nawskroś i wyłącznie zawodowe, a wykluczają zupełnie wyraźnie wszelką akcję polityczną.

Nie w tem jednak znaczeniu tereny te są wykluczone jakoby nie miały pozostawać pod wpływem zasad katolickich – byłoby to prawdziwą katastrofą. Wykluczone są jedynie formalnie, by nie narazić wzniosłej idei samej akcji na gwałtowne zwykle, pełne nieraz namiętnej nienawiści i doprowadzające do nieuleczalnych rozłamów, walki klasowe i narodowościowe. Tych rzeczy nie można nazwać ściśle katolickiemi, czyli powszechnemi, bo z natury swojej są indywidualnemi, o ściśle wykreślonych granicach.

Akcja katolicka winna wywierać tam swój wpływ pośredni, by w myśl zasad powszechności ogólnego dobra i jedności najwyższych celów, doprowadzać stopniowo do systematycznego łagodzenia przeciwieństw i do wytworzenia z czasem nawet na tych najdrażliwszych stycznych życia społecznego—jedności, a przynajmniej zasadniczego uzgodnienia kierunku i współdziałania.

W akcji tak szeroko zakreślonej i pojętej każdy winien być żołnierzem i każdy, odpowiednio uzdolniony, wodzem i kierownikiem, hierarchicznie, jak w każdej armji, zjednoczony z równymi, niższymi i wyższymi sobie. W dotychczasowem dolce far niente sprawami katolickiemi zajmowało się z urzędu duchowieństwo katolickie..

Dzisiaj ono nie wystarcza, nie może i nie powinno wystarczyć. Ono winno być dobrym duchem; może nawet, z natury swojej, kamieniem węgielnym akcji, ale nie wszystkiem, nie jedynym elementem czynnym, pozostawiając miljonowe masy w sytuacji biernego odbiorcy, lub, co najwyżej, ślepego wykonawcy rozkazów, jak najpiękniejszy skład lasek, choćby one były dębowe i mocne i przebogato ozdobione ręką artysty.

Muszą to być ludzie żywi, a więc zorganizowani, a wiec mający wśród siebie wodzów niższych i wyższych stopni, od dziesiętników począwszy, aż do szefów sztabów i ministrów odpowiednich resortów.

Żywa musi być ta masa, świadoma swoich celów i zadań, czująca, myśląca i działająca z wiedzą i wolą, i umiejętnością. Fizycznie niemożliwą jest rzeczą, a taktycznie wprost niedopuszczalną, by wyłączną siłą dynamiczną i kierowniczą było tylko samo duchowieństwo. Rzeczy pozostałyby postaremu, ażby je zupełnie fala czasu zakryła i zepchnęła na dno oceanu życia, obok szkieletów zatopionych poprzednio okrętów i pochłoniętych przez głębie ruin kwitnącej niegdyś Atlantydy.

Program apostolstwa świeckich, rzucony jeszcze przez prawdziwie bożego Pasterza Piusa X-go, a teraz z naciskiem podkreślony przez godnego kontynuatora i głównego promotora idei akcji katolickiej, Piusa XI-go, należy do samej istoty całej akcji i jest jej decydującym warunkiem.

Bodajby ziarno, rzucone ręką Namiestnika Boskiego Siewcy, wydało jak najprędzej jak najobfitsze owoce, albowiem, jak mówi Paweł: „czas już jest, byśmy powstali ze snu"!

Ks. A. Bogdański.

Uwagi na temat metampsychozy.

Wśród mnóstwa dziwacznych myśli, jakie się lęgną w głowach dzisiejszej „inteligencji" można się spotkać i z powyższem zdaniem. Dlaczegożby nie? Wszystko dobre co daje możność wybić się ponad szary, pospolity tłum, pokazać się wyższym ponad warstwę społeczną, do której się należy. Kto ma pustkę w głowie, usiłuje wyróżnić się strojem, kto ma w głowie jakieś okruchy wiedzy, udaje filozofa. A ponieważ ogół ludzi trzyma się wiary, więc on usiłuje okazać się niewierzącym.

Wśród pokaźnego śmietnika niedorzecznych pomysłów ludzkich leży grat stary, potłuczony, rdzą zgryziony — nauka o przesiedlaniu się dusz.

Ten i ów z niedowarzonych wprawdzie ale zato zdecydowanie antykościelnych filozofów sięga czasem i po ten grat stary, licząc na to, że jego dawnością i egzotycznością zaimponuje ludziom.

Sprawdźmy, co wart jest ten osobliwszy zabytek.

Dusza ludzka po śmierci—powiada ta nauka—odradza się w innem ciele, a potem w innem jeszcze i tak z ciała do ciała

wędruje bez początku. Tak nauczali filozofowie indyjscy i wierzenia tego trzyma się ogół w Indjach.

Owszem, uzasadniają nawet to swe przekonanie. Niepodobna mówią, żeby Bóg był tak dalece niesprawiedliwy, stronny i okrutny, iżby jednym ludziom dawał dużo, innym mało swych darów, iżby kazał cierpieć bez winy dziecku, które się rodzi słabowitem, bydlęciu stękającemu pod ciężką noszą; iżby skazywał wszystkich na męki konania... Za co to? przecież ani niemowlę ani zwierzę na kary sobie nie zasłużyło. Często zbrodniarze i niegodziwcy cieszą się godnościami, władzą, bogactwem, używaniem; gdy tymczasem cnotliwych najczęściej zwykłe dotyka przeciwność wszelka. Gdy przyznamy transmigrację (przesiedlanie się dusz), wszelka trudność znika, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, i zagadka wnet się rozwiązuje. Ten wielki winowajca doszedł do szczytu potęgi? Nic dziwnego—widocznie w poprzednich swych żywotach musiał być cnotliwym, za to teraz otrzymuje nagrodę. Tamten, człowiek przezacny, jęczy pod ciężarem niepowodzeń i nędzy? widać w dawnych swych bytach dopuścił się zbrodni i teraz cierpi za nie. To samo dotyczy niemowląt i zwierząt—cierpią za grzechy dawnych swych istnień.

Co, czy nie jasne? Dla przeciętnego „filozofa" wystarcza zupełnie. A przytem zwalnia od wymagań nauki katolickiej, nie zmusza do pokuty, nie grozi piekłem...

Ale co warta cała ta nauka, gdy się ją zbliska roztrząśnie?

Najpierw, nie jest ona tak bardzo stara, gdyż starsze od niej księgi indyjskie głoszą coś właśnie przeciwnego. Jeden z ostatnich hymnów księgi Atharva-Veda zawiera w sobie taką modlitwę: „Zaprowadź nas do nieba, gdzie przyjaciele nasi, wolni od niedomagań cielesnych, wolni od wszelkiej słabości i ułomności, cieszą się stanem błogosławionych..." Nauka o reinkarnacji zrodziła się dopiero w piątym lub szóstym wieku przed erą naszą, w Egipcie, Grecji i Indjach jednocześnie prawie, gdy skąpe wprawdzie, ale proste i prawdziwe wierzenia pierwotne uległy zniekształceniu w skażonych umysłach. W Indjach chwycił się jej Budda i wcielił w swoją rozpaczliwą teorję.

Pomimo to, dziś jeszcze praktyka ludów indyjskich, oparta na instynkcie naturalnym, przeciwną całkiem idzie drogą: gdy umrze ktoś z rodziny, najbliżsi modłami i obrzędami usiłują

wynagrodzić za grzechy jego i zapewnić mu wieczny spoczynek w świecie zagrobowym.

Jakaż to okropna, beznadziejna nauka: wędrować z ciała do ciała i cierpieć w nich bez końca, bez kresu! Dusza się wzdryga na taki widok. Więc myślano nad tem i wymyślono wyjście: celem człowieka—głoszą filozofowie indyjscy jest złączyć się nierozerwalnie duszą z Bramą, z Bóstwem. Jak i kiedy osiągnie to człowiek? Gdy zdobędzie prawdziwą wiedzę, czyli poznanie samego siebie. A wiedza ta na tem polega, żeby dojść do przeświadczenia, że dusza nasza nie ma sama w sobie ani czucia, ani świadomości, ani woli; że te władze wytwarza w nas pewien organ wewnętrzny, rodzaj subtelnego ciała, które towarzyszy duszy podczas jej wędrówek i służy jej niejako za okładkę. Wtedy dopiero poznamy samych siebie i kres położymy łańcuchowi ciągłych odrodzeń — nastąpi ostatecznie wyzwolenie. Wtedy dopiero dusza porzuci nietylko swe ciało materjalne, grube, ale i owo ciało subtelne zatraci wszelkie czucie, świadomość, pragnienie. „W takiem to zniweczeniu wszelkiej myśli powiada Sankhya-pravdchandbhaschya we śnie głębokim, w wyzwoleniu wielkiem, ziszcza się zjednoczenie z Bramą". To ma być ostateczny cel człowieka rodża-joga, czyli nirwana.

I żeby tę smutną „szczęśliwość" osiągnąć, mamy się wyzuć ze wszystkiego, co nam mówią zmysły, zdrowy rozum, przeświadczenie całej ludzkości, cała filozofja naturalna i objawienie Boże!

Przecież oko dane nam jest dla widzenia, ucho do słyszenia, noga do stąpania, ręce do posługi, rozum zaś do poznawania, serce do miłowania, wola do obierania dobra i unikania zła. Taka jest natura człowieka. A jaki cel, kres jego? Rozwój i rozkwit pełny tej natury: dla umysłu — pełnia wiedzy, dla serca—pełnia miłości, dla woli—pełnia dobra, dla zmysłów—pełnia nieskażonego zaspokojenia. Co zdoła zadośćuczynić tym wymaganiom? Nic, tylko posiadanie Tego, kto jest samem dobrem, samem pięknem, szczęściem samem, Tego, kto nas stworzył dla Siebie, zna więc nas i mocen jest zaspokoić bezbrzeżne pożądania nasze. Takiem jedynie może być i musi zjednoczenie nasze z Bogiem.

Dusza ludzka posiada takie właściwe sobie, wyższe władze, że ludzkie jedynie ożywić może ciało, tworząc z nim ca-

łość człowieka; nie nadaje się do zwierzęcego ani roślinnego; a tak upaść musi cała teorja przesiedlania wraz z objaśnianiem nierówności na świecie.

Że są na świecie ludzie nierówno udarowani, stąd nikt nie ma prawa oskarżać Boga o niesprawiedliwość. Daje On z wolnej swej woli i prawo ma dać, ile komu zechce. Gdy hojny bogacz rzuca jałmużny ubogim i da jednemu złoty, drugiemu dwadzieścia, któż mu zarzuci, że pokrzywdził pierwszego; dobra wola jego obdarzyć niektórych hojniej.

Że wiele istot cierpi, nie Bóg temu winien. Pierwszy człowiek, gdy wyszedł z rąk Bożych, nie podlegał żadnej słabości na duszy i na ciele, i mieszkał w szczęśliwości rajskiej; ta według planu Bożego miała pozostać udziałem jego i ludzkości całej. Lecz żeby była pełną, musiał się do niej sam człowiek przyczynić, tak żeby sobie mógł ją w części przypisać. Stąd mądrość i dobroć Boża próbie go poddała. Nie przebył próby, upadł i wraz ze sobą pogrążył w nędzy całe swe potomstwo, ludzkość całą. Wspomnienie czasów pierwotnego szczęścia przechowują wszystkie ludy: rzymianie i grecy prawili o wieku złotym, co minął bezpowrotnie, indyjskie pieśni opiewają czasy rajskie Kiredayngam zwane.

Nie Bóg, lecz grzech sprawił nędzę na świecie. Bywało i bywa dziś często, że za winy rodziców cierpi ich potomstwo Oto ojciec rodziny odziedziczył majątki po przodkach, powinno więc starczyć obficie dla niego i dla dzieci, ale niestety, uprawia on namiętnie hazard; i wkrótce nadchodzi okrutny dzień ruiny majątkowej, płaczu i rozpaczy. Inny, z szanownej pochodzący rodziny, oddaje się rozpuście; i staje się z niego nędzarz wrzodami okryty. Ten się rozpił, tamten z cudzemi pieniędzmi uciekł za granicę, zostawiając za sobą pomstę i przekleństwo. Dzieci karciarza skazane są na ciężką pracę, dzieci rozpustnika na wrzody, pijaka na niedomagania, oszusta na hańbę.

Potrzebaż w tem zagadnieniu uciekać się do wcieleń dawniejszych, gdy w sposób naturalny rzecz się prosto tłómaczy?

Mamy tu odbicie upadku pierwszego rodzica.

A gdy w życiu rodzinnem ojciec z matką w niezgodzie, gdy każde na swoją rękę grzech uprawia, gdy się kłócą ze sobą, gdy piją, gdy kradną, — nie dziw, że dziecko na takich

wykształcone wzorach, złą pójdzie drogą i źle skończy. Dziecko zaś zacnych, bogobojnych, troskliwych roozicców nabędzie wstrętu do grzechu i zamiłowania do cnoty.

Czyż i to nie jest także źródłem nierówności wśród ludzi?

Gdyby chciał Bóg już tu na ziemi spuścić kary na złych, a dobrych stale nagradzać pomyślnością doczesną, musiałby raz poraz łamać prawa przyrody przez siebie wydane. Gdy wieś cała, naprzykład, zasługuje na karę, a karą ma być pożar, musiałby płomień ominąć cudownie dom jedynego we wsi zacnego człowieka, choć dom ten przylega do innych. Nadmiar deszczu, wszędzie dokoła niweczący zasiewy, musiałby tylko jego pole oszczędzić; podczas zabójczych upałów obłok specjalny musiałby je osłaniać. I tak na każdym kroku mnożyłyby się cudy. Na coby wtedy zeszedł naturalny porządek świata? Chaosby zapanował...

Nie, przy ludzkich namiętnościach: wobec chciwości, żądzy używania i ambicji, które trawią serce człowieka, niepodobna, by równość panowała na świecie. To też musieli ludzie sami nad sobą postawić wodzów, monarchów, by rządzili nimi i w karbach ich trzymali. Ci z ramienia swego wyznaczają niższych, od siebie zależnych rządców i sędziów, ci mniejszych pomocników. I tak wzmogła się nierówność, utworzyła się hierarchja społeczna. Wytworzyły się warstwy i klasy społeczne, pracodawcy i pracownicy, bogatsi i ubożsi. I nie mogło być inaczej. Oto racjonalne wytłómaczenie nierówności wśród ludzi.

Lecz Bóg nie rzucił człowieka na pastwę ślepego losu, nie zostawił go w własnej jego nędzy: dla każdego ma jakiś plan miłosierny, o każdym pamięta, każdemu przeznaczył miejsce, zajęcie, rodzaj życia, stopień cnoty, koniec i zapłatę w wieczności. A wszystko to podporządkował celowi głównemu—zbawieniu. Więc gdy sprawiedliwemu cierpieć każe, to żeby go udoskonalić w cnocie, postawić za wzór innym, dać mu szczęśliwe rozwiązanie i zapłatę wiekuistą w końcu. Taką drogą prowadził Józefa w Egipcie, Hijoba, Tobjasza i każdego ze świętych. Co nasza ciemnota i niewdzięczność śmie zarzucać Bogu jako niesprawiedliwe traktowanie, to objawy jego miłosierdzia i miłości. A gdy grzesznik zamiast kary, ma tu za życia bogactwa, zaszczyty i rozkosze, to przez to odbiera zapłatę za

niewiele dobrego, które uczynił na ziemi; ale po śmierci zostaje mu już sama tylko męka za grzechy.

A i pomyślność doczesna złych ludzi, to także pewien rodzaj kary, gdyż wciąga grzesznika w cały szereg nowych przestępstw i odwodzi od Boga; podczas gdy przeciwności oddają człowiekowi przysługę nadzwyczajną: dają mu poznać marność dóbr przejściowych i zmuszają zbliżyć się do Boga. I kiedyś w końcu, przychodzi chwila, że człowiek taki przejrzy duchowo i błogosławić będzie dawne swe cierpienia.

A bywa i tak, że niejeden cierpi nie za winy własne, ani za winy ojców, ale „żeby się na nim okazały wielkie sprawy Boże", jak ów ślepiec od urodzenia z Ewangelji, który doznał na sobie dziwów miłosierdzia Bożego.

Tak się ma sprawa z człowiekiem. Ale za cóż cierpią zwierzęta, pozbawione rozumu i do złości i grzechu niezdolne? Dlatego, że gdy król traci panowanie i ziemie swoje, upadają z nim razem słudzy i niewolnicy. Zwierzęta istnieją dla człowieka, on je opanowuje i rozporządza niemi; rzecz naturalna, że biorą one udział w jego doli i niedoli.

W planie zresztą ustroju świata leży, w planie Bożym, ażeby trudy i cierpienia zwierząt wchodziły w układ życia na korzyść całości. Nie doszlibyśmy nigdy do dzisiejszego stanu kultury zewnętrznej, nie poświęciwszy w tym celu owcy, wołu, konia, psa i szeregu innych zwierząt domowych i dzikich.

Indyjski filozof tak roi sobie; jeżeli ród ludzki istnieje i liczy tyle i takich a nie innych osobników, to dlatego pewna ilość dusz w poprzednich wcieleniach w taki się sposób prowadziła a nie w inny; jeżeli istnieje w tylu gatunkach, a każdy gatunek w tylu osobnikach; jeżeli roślin jest tyle i właśnie takich; jeżeli gwiazdy na niebie są w takiej ilości i jakości, to wszystko dla tej samej przyczyny: że odpowiednia ilość dusz taki żywot wiodła, że zasłużyły sobie na wcielenie w te istoty Więc nie to—powiadają—żeby obfite deszcze spowodowały w danym roku bujne żniwo, a kiedyindziej brak ich sprowadził nieurodzaj. Ciasne tylko umysły, ich zdaniem, poprzestają na takiem wyjaśnieniu. Przyczyna jest ta, że w tym roku większa, w innym mniejsza liczba dusz zarobiła sobie na wejście w kłosy zbożowe

Słyszycie, zwolennicy metampsychozy? Oto rozumowanie transmigracjonisty. Zgadzacie się na nie? Nie będzie ono w sprzeczności z waszą wysoką wiedzą pozytywną. Zapewne powiecie sobie w duchu: gdyby religja katolicka żądała wiary w podobne twierdzenie, natychmiastbyśmy zaopanowali; lecz że tego żąda jej przeciwniczka, zgadzamy się; i choćby tylko dla przekory...

Stokroć prostsza, rozumniejsza i dobrotliwsza jest nauka nasza. Stwarzając świat, wszelki twór uczynił Bóg uczestnikiem doskonałości swoich w większym lub mniejszym stopniu. Bóg jest światłością i życiem—stworzył ciała niebieskie, między niemi słońce, które nam świeci i życie na ziemi roznieca. Bóg rządzi światem—zechciał też by na ziemi byli władcy i kierownicy społeczeństw. Bóg zna samego siebie i przez to rodzi, niejako, Syna, równego sobie, od wieków. Podobnież na ziemi z ustanowienia Jego rodzice dają życie dzieciom, wychowują je i kształcą. Bóg jest przez istotę swą, istnieniem, życiem, poznaniem, rozumieniem i wolnością—dał też stworzeniom potrochu z tego wszystkiego: tworom nieożywionym—byt, roślinom—istnienie i życie; zwierzętom—istnienie, życie i czucie, człowiekowi—istnienie, życie, czucie i rozum wraz z wolnością i nieśmiertelnością duszy; wreszcie aniołów udekorował bytem czysto duchowym, niezależnym od materji, wysoce uposażonym, szczęśliwym.

A wszystkie te twory według stopnia swego służą i pomagają sobie wzajemnie.

Więc muszą wśród nich być różnice, sam Bóg chciał tego. Ale wszystkie razem tworzą jedną piękną, wspaniałą całość, arcydzieło twórcze. Jakże to prosta i wspaniała nauka, a jak niedorzeczne, to co utrzymują wyznawcy przesiedlenia. Według nich jeżeli istnieje dla nas jedno słońce, to dlatego, że jedna dusza zasłużyła sobie na jego stworzenie! A gdyby dusz kilkanaście położyły takie same zasługi, mielibyśmy słońc kilkanaście?!

Dla nich działalność wszelka jest złem jaknajwiększem.

Dlaczego? spytamy zdziwieni. Bo pociąga za sobą odrodzenie się w nowych bytach, niewiadomo dokąd. A przecież życie i działanie to cenny dla nas dar Boży, to dobrodziej-

stwo, bo przez nie możemy i winy zagładzić i szczęście sobie wieczne wysłużyć.

Niedorzeczności sypią się u nich jedna za drugą. Rzekłbyś, że to nie ludzie dorośli, mędrcami się zowiący, ale dzieci rozumowanie snują dla zabawy.

Dusza moja mówią, istniała od wieków, zanim weszła w to ciało moje, w którem obecnie cierpi. Jaką mocą weszła? Na skutek jej uczynków doszło do tego smutnego przeznaczenia. A zatem połączenie duszy z ciałem to coś smutnego, przeciwnego naturze! Dzieło natury jest przeciwne naturze! Kamień puszczony w powietrze, wzbiwszy się w górę, spada natychmiast, balon na uwięzi wzlatuje zaraz, gdy przetniemy sznury krępujące. W naturze zaś duszy leży ożywiać ciało. Gdyby dusza istniała odwiecznie, musiałoby odwiecznie istnieć i jej ciało. Otóż tak nie jest, gdyż widzimy przecież codziennie, jak się to zjednoczenie rozpoczyna. Nie, dusza zaczyna istnieć z chwilą gdy ciału życie nadaje, i w tym celu Bóg ją stwarza.

Gdyby każde życie późniejsze musiało być zasłużone życiem poprzedniem, to żywotów musiałaby być ilość nieskończona, a przecież liczba nieskończona w naturze to absurd. Musiało kiedyś być pierwsze życie, początek życia, a ten pewnik jest ciosem dla nauki o przesiedleniu.

Czem ptak w klatce, czem żeglarz na łodzi, czem ubranie na człowieku, tem jest dusza w ciele — plecie wam myśliciel indyjski. Może to sobie brzmieć poetycznie, ale urąga zasadom zdrowej filozofji. Toć między duszą a ciałem zachodzi związek naturalny i osobowy. Czynność chodzenia, biegania, siadania i t. p. właściwe są ciału mojemu. Trawienie i wzrost są to właściwości mojego życia wegetacyjnego. Widzenie moje, słyszenie, dotyk i. t. p. właściwe są memu życiu zmysłowemu. Myślenie, pojmowanie, sądzenie, wybieranie — należy do mego życia umysłowego, do duszy mojej. A przecież nikt nie mówi: moje ciało przyszło, moje ciało zjadło, urosło, moja dusza rozumie; lecz ja przyszedłem, zjadłem, urosłem rozumiem. Nikt z ludzi nie mówi inaczej. Czego to dowodzi? Że między duszą a ciałem zachodzi związek ścisły, wewnętrzny, jakiego niema między ptakiem a klatką, żeglarzem a łodzią. Zachodzi związek osobowy.

Jeżeli dusza jest czemś, co istnieje samodzielnie i nie potrzebuje ciała to dlaczego filozofowie indyjscy, każą jej dla odniesienia nagrody lub kary wstępować koniecznie w jakieś ciało?

Gdy dusza z chwilą śmierci opuści swe ciało, to ono natychmiast staje się trupem i w krótkim czasie zatraca zupełnie kształty, staje się czem nieforemnem, czem co nie ma nazwy w żadnym języku na świecie. Jasne, że materja utraciła tu swą formę. Dusza jest formą ciała. Ona mu nadaje kształty, piękność, życie.

Lecz skoro związek ten jest tak dalece ścisły, to dusza powinnaby trwać z ciałem na wieki? Tak też uczy nas wiara: nastanie dzień, gdy dusze nowu przyobleką się w ciała, ale ciała zmienione, subtelne i trwałe... i tak zostaną na wieki. Jak Chrystus zmartwychwstały.

Żeby dusza moja wejść mogła w inne ciało — to rzecz niemożliwa. Za swe uczynki dobre czy złe, dokonane w tem ciele, w niem też pospołu odnosić musi nagrodę, lub karę, nie z jakiemś innem.

Miałżeby człowiek, zanim człowiekiem został, być przedtem zwierzęciem, rośliną lub minerałem? Jeżeli jestem tem, to dlatego, że rodzice moi przekazali mi takie a nie inne własności ciała i duszy, temperament, skłonności, zdolności, charakter; że w tych a nie w innych warunkach przyszedłem na świat; wychowałem się i wykształciłem. Gdybym się narodził na drugiej półkuli, parę tysięcy lat temu, z innego narodu, innych rodziców, w innych warunkach społecznych, był innej płci jakbym wyglądał i jakie byłyby moje koleje? Wyobrazić sobie trudno, ale to pewna, że nie byłbym tym osobnikiem, którym jestem w rzeczywistości, ale jakimś innym, jaki nigdy nie istniał, ani istnieć nie będzie.

Bo człowiek może być tylko tem, czem jest, albo nie być wcale. Jedno z dwojga, nic pośredniego niema. Każdy z nas jest jakby wytworem, wynikiem, skrótem, streszczeniem pokoleń poprzednich, wypadkową całej uprzedniej kultury.

Jakże okropna, jak czarna beznadziejna jest ta nauka o przesiedleniu dusz. Ani do cnoty nie zachęca, ani nadzieją na lepszą przyszłość nie pociesza w strapieniach.

Czy kto żyć będzie dobrze, czy źle, zawsze nowy go byt czeka i nowe udręczenia, bo każdy w każdym bycie spełnia jakieś obowiązki, a za nie nowy byt mu się należy. Człowiek cnotliwy w nagrodę za dobre czyny odrodzi się w jakimś bogaczu, ten za swe jałmużny, za hojność, wcieli się jeszcze w kogoś po śmierci, i tak bez końca. Zbójca zostanie, naprzykład tygrysem, a ten za mordowanie słabych zwierząt innym znów drapieżnikiem... I dokąd tego?

Cnota oddala człowieka od końca ostatecznego, tak dobrze, jak i grzech.

A między nami a rodziną naszą powstaje wieczysta zapora. Nikt z nas nie ujrzy po śmierci ojca swego, matki, męża, żony, dzieci... Natura nasza wzdryga się na taką naukę i protestuje.

Nauka tak rozpaczliwa nie może pochodzić od Boga, to wytwór jakiegoś ograniczonego, bezsilnego umysłu.

Filozofowie indyjscy odczuli braki swych wywodów i próbowali podeprzeć je innemi pomysłami.

Człowiek może sam, twierdzą, położyć kres opłakanym wędrówkom swej duszy. Byłżeby na to sposób tak potężny? Jest, mówią, niech pozna systemy nasze, niech w rozmyślaniach długich dojdzie do zrozumienia, że jego dusza, jego „ja", jest całkiem nie to co jego ciało materjalne, grube, nie to nawet co ciało subtelne, w którem tkwi dusza. Gdy posiądzie tę wielką prawdę, nie będzie już dla niego odrodzenia. Po śmierci połączy się z Bramą w jedno Wielkie Wszystko i cieszyć się będzie szczęściem w głębokim śnie, którego już nigdy nie przerwie wcielenie.

Więc taki łatwy środek na tak okropną niedolę! Ale któż pozna systemy filozoficzne indyjskie, kto je zna poza Indjami? Bo też filozofja, odpowiadają, nie była nigdy dla tłumu ignorantów i głupców, jakich pełna jest ziemia!

I na tem nie koniec jeszcze. Jak może dusza, która jest formą ciała, zmieniać swą naturę, wstępując w różne twory? Musiałaby zmienić naturę: dusza ludzka, wstępując po śmierci w konia, musiałaby się stać końską, wstępując w mrówkę — mrówczą.

Toć od dziesiątków lat toczy się spór wśród uczonych o to, czy jeden gatunek może zmienić się w inny, i to tylko najbliższy, najmniej odmienny; i spór ten zostaje nierozstrzygnięty. Wiadomo tylko napewno, że od lat tysięcy gatunki trzymają się bez zmiany: takie same ziarna zbożowe, te same zwierzęta zaschłe znaleziono w prastarych grobowcach egipskich, jakie dziś widzimy. Gdyby dusza zmieniała naturę, to w bardzo niedługim czasie zginąłby wszelki ślad jedności gatunku, rodzaju, rodziny. Zresztą—jedno z dwojga: albo dusza przy odradzaniu zmienia swą naturę, albo nie zmienia. Jeżeli zmienia, to już nie jest tą samą, tylko inną duszą. Jeżeli nie zmienia, to nie jest zdolna ożywić ciało odmiennego gatunku, do którego nie jest przystosowana, stać się jego formą.

Bo trzeba wiedzieć—usiłują ratować się transmigracjoniści,—że dusza jest rozciągła, że rozpościera się wszędzie. Inaczej, jakżeby mogła raz tak się zwiększyć, żeby wypełnić ciało słonia, kiedyindziej skurczyć się do rozmiarów mrówki?—Ależ, jak można z istoty czysto duchowej czynić coś materjalnego, nawzór powietrza, światła, eteru? Jak można z istoty z natury swej prostej, czynić rozciągłą, a więc złożoną z części; z jedynej czynić dwie: jedną rozumną, drugą nierozumną; ze skończonej, ograniczonej—nieskończoną w pewnej mierze.

Dusza mieści się w ciele, ale nie tak jak my, naprzykład, w tym pokoju. Jest ona cała w całem ciele i cała w każdej jego części. Formę, sposób bytowania, ruch, życie nadaje ona całemu ciału, nie części jego tylko, ani dwu ciałom. Nie siedzi w samem tylko sercu, albo w mózgu tylko. Co dzieje się z moją ręką, lub nogą, to czuję ja cały. Jest bowiem prosta, nie składa się z części, nie może rozdzielić się między części ciała. Jest cała w każdej części ze wszystkiemi swemi władzami, tylko że nie wszędzie wszystkie wykonywać może, ale te jedynie, do których w danem miejscu ciała posiada odpowiedni narząd: w oczach widzi, przez uszy słyszy, w mózgu wyobraża sobie zjawiska zewnętrzne.

Przypisując duszy, z jednej strony, rozciągłość na świat cały, z drugiej strony pozbawiają duszę świadomości. Świadomość przenoszą na ów „organ wewnętrzny", który jej stale towarzyszy, aż do chwili wyzwolenia. Ale czyż to nie na jedno ostatecznie wynosi?

Próbują nawet fakty przytaczać na poparcie swej nauki. Maleńka rybka, naprz. wykluwszy się z ziarna ikry, natychmiast puszcza w ruch płetwy i pływa. Skąd jej ta umiejętność? To wspomnienie z dawnych jej bytów. Ale w pierwszym swym bycie skąd się tej sztuki nauczyła? My tę przedziwną, niewytłomaczoną umiejętność przypisujemy instynktowi, a ten domaga się uznania Boga, który mądrze wszystkiemu z góry zaradził. To bardziej zgodne z przekonaniem powszechnem ludzkości, to bardziej odpowiada mądrości Stwórcy. Bez wrodzonego instynktu istoty ożywione poumierałyby na samym progu życia, i świat od tysięcy lat stałby się jednym wielkim grobem.

Skoro tak, to skąd powstała ta dziwaczna nauka o przesiedlaniu się dusz po śmierci?

Bardzo być może, iż jakiś starodawny prawodawca, chcąc lud swój odstraszyć od zbrodni, wyrzekł: gdy to uczynisz, dusza twoja po śmierci wejdzie w taką a taką bestję. Podobnie dziś matka niejedna odwodzi dziecię od złego uczynku, grożąc, że je dziad porwie, lub że się zamieni w zwierzątko. Ten sposób wychowawczy trafiania do „umysłów niewyrobionych", zrozumiał widać ktoś z mędrców literalnie i zrobił z tego całą „naukę o wędrówce dusz po ciałach".

Istotnie, czytamy w prawie Manu, księdze 12-ej: „Zabójca bramina wchodzi w ciało psa, wieprza, osła, wielbłąda i t. d.

Brama pijak zostanie robakiem, owadem, ptakiem co pożera odpady i t. d.

A naszym „filozofom" wydaje się, iż mądrością przewyższyli całą społeczność ludzką, wyznając takie teorje. *L. J. M.*

W MROKACH GOTYKU...

Gotyku półmrok głęboki schodzi na nawy...
W cieniu filarów kornie rozmodlone twarze!
Znicz tli się w presbiterjum —blado-złotawy,
A słońca blask skrada się przez barwne witraże!

Ciszę zmąci czasem szloch, modlitewny szept, jęk...
Przy Mszy świętej uroczyste słowo kapłana, —
Pielgrzyma krok, brzęk kluczy kościelnych, dzwonka dźwięk!...
Boga Utajonego lud wielbi od rana!

Moc święta, wiekuista, żywa spływa z tumu!
Znika tu blichtr, pycha, nędza, ból, pokusa...
Anielskie ukojenia blaski biją z tłumu, —

Gdy się kłoniąc ku liljowej bieli obrusa,
Królowi Wieków z hołdem serca i rozumu,
W duszę bierze ukrytego w Hostji biel Chrystusa!

Włodzimierz Ogończyk Godziszewski.

BOHATEROWIE WIARY.

Św. Bonawentura.

14 lipca.

Na pełnym gwiazd horyzoncie XIII-go wieku, obok słońca Tomasza z Akwinu, Franciszka z Assyżu, Dominika, Alberta Wielkiego, Ludwika IX-go i całej plejady „nieśmiertelnych", niezaćmionym wcale tą jasnością blaskiem świeci gwiazda „Doktora Serafickiego", Ś-go Bonawentury.

Był włochem. Etrurja była jego ojczyzną. Z Franciszkiem z Assyżu Opatrzność zetknęła go już w dzieciństwie, gdy przez niego podniósł się z śmiertelnej niemocy. Nie wiedział pewno „Biedaczyna z Assyżu", że z objęć śmierci uratował przyszłego swego następcę w rządach nad wielotysięczną rodziną seraficką i jednego z największych synów Kościoła i swej Ojczyzny.

Praca i niezwykłe zdolności Bonawentury, rozwijane pod kierunkiem takiego mistrza, jakim był Aleksander z Ales, szybko zawiodły młodego teologa na szczyty ówczesnej nauki i zadecydowały o kierunku jego życia. Już wtedy, studjując na uniwersytecie Paryskim, był obleczony w ubogi habit franciszkański.

Franciszek z Assyżu naogół nie był przychylny pracy naukowej swych synów, obawiając się, że ona przeszkodzi im w prostocie ducha, którą za wszelką cenę chciał w nich utrzymać, jako probierz i fundament swego kierunku. To też nieliczni z nich oblekli togi uczonych, ale przyznać trzeba, nosili je z godnością i chlubą dla swego pokutnego habitu i bez uszczerbku dla ducha. Takim był wspomniany Magister, Aleksander Haleski, Antoni z Padwy, później Scott, słynny do dzisiaj jako „Doctor Subtilis", takim też, może pod tym względem pełniejszym i jeszcze głębszym, okazał się Bonawentura.

Powaga uczonego i niezwykła siła, jaka biła z jego osoby, połączona z jakąś niewymowną dobrocią i prostotą, sprawiły, że mając niespełna lat 35, został obrany na Przełożonego Generalnego Zakonu Braci Mniejszych i spełniał te obowiązki przez lat ośmnaście.

Roczniki Zakonu i Historja Kościoła opowiadają ze szczegółami, z jaką godnością i pożytkiem dla wszystkich ten najwyższy urząd wśród swojej braci sprawował.

Grzegorz X-ty, Papież kreował go biskupem Albaneńskim i Kardynałem. Ostatnim terenem jego pracy był sobór Lugduński, który jemu głównie zawdzięcza swój obfity dorobek. W czasie prac soborowych, strudzony robotnik w Winnicy Pańskiej, odszedł na wieczny spoczynek w r. 1274, mając lat 53.

Jest to niewątpliwie nowy typ w młodej jeszcze podówczas rodzinie franciszkańskiej, nietyle odmienny, ile raczej samodzielny i stwarzający prawzór dla wszystkich, którzy po nim mieli pójść drogą nauki kontemplacyjnej, na podłożu ideałów assyskich. Co więcej, umiał Bonawentura w tym swoim prawzorze pogodzić pracę uczonego z ideałem czynnego Generała Zakonu w dość dla tej nowej armji burzliwym okresie kształtowania się podstaw prawno-organizacyjnych po pierwszej fali entuzjazmu i ewangelicznej prostoty, która starczyła za wszystkie przepisy, reguły i konstytucje.

Generał Zakonu, liczącego tysiące członków ze wszystkich narodowości i stanów, bezpośrednio prawie po chwalebnem zejściu serafickiego fundatora, gdy postać jego stała jeszcze żywo przed oczami współczesnych, gdy jeszcze drżały serca od wzruszenia, jakie on w nich obudził wzniecając dokoła siebie istny pożar dusz, gdy każdy był przekonany, iż temu Serafinowi nikt już nie dorówna i nikt nie będzie godnym, ani mocnym na tyle, ani świętym dostatecznie, by jego zbawcze dzieło dalej prowadzić — musiał to być mąż wybrany, pełen odwagi, a przedewszystkiem dziecięcej wiary i święty już za życia. Takie też o nim świadectwo wydał Najświętobliwszy z Mędrców, Tomasz z Akwinu, gdy dowiedziawszy się, iż Bonawentura pisze żywot Franciszka z Assyżu, wyrzekł te znamienne słowa: „dopuśćmy, by święty o świętym pisał".

Jakżeż łatwo wyczuwają się dusze bratnie!

Wzruszająca była przyjaźń tych dwu świętych. Jakkolwiek, jako uczeni, różnili się ujęciem zasadniczem kwestyj, Tomasz bowiem był aniołem szkoły intellektualistycznej, Bonawentura zaś raczej woluntarystycznej, Tomasz był cherubinem, Bonawentura Serafinem — to jednak ta sama prawda i miłość zjednywała ich w bratniej przyjaźni do ostatniego tchnienia.

Jako Generał najliczniejszego Zakonu, Bonawentura nie mógł poświęcić się żadnej specjalnej pracy misyjnej, czy kaznodziejskiej, zmuszony koncentrować w swojej osobie wszechstronną działalność tej olbrzymiej armji na wszystkich jej frontach, poświęcić się jej sprawom wewnętrznym, być głową i sercem wszystkich zastępów. Od niego szły wszystkie wskazówki i wytyczne, on umacniał, obdzielał, wyznaczał wszystkie placówki, dzieląc roztropnie obowiązki i zadania do spełnienia, on wypatrywał drogi przyszłe i ze swej centralnej siedziby przygotowywał je systematycznie i planowo, by w odpowiednim momencie rzucić i tam karne zastępy swych pracowników. On musiał i umiał podtrzymać ducha karności, zapału, entuzjazmu i radosnej ofiarności swojem natchnionem obliczem, swą promienną duszą, ściągając ku sobie zmęczonych i zachwianych i ożywiając ich swojem tchnieniem, to znowu zjawiając się sam na zagrożonych lub bardzo ważnych odcinkach rozległego frontu.

Roztropność, rozwaga i spokój, decyzja zawsze pewna, stałość i prostolinijność, a przytem kojąca i umacniająca zawsze

dobroć, gorącość ducha i przedewszystkiem promienna radość w prostocie najidealniejszej — uczyniły zeń prawdziwą opokę Zakonu i jakby jego drugiego założyciela, który zapoczątkowane i jak rozszalałe radosną swobodą rwące wody po podniesieniu od wieków zamkniętych tam, rozkołysane wewnętrznym entuzjazmem dzieło, w mocne i prawidłowe ujął łożysko, nadając całemu nurtowi spokojny, a głęboki bieg, który mu zapewnił trwałość wieczystą bez obawy rozlewów szerokich, grożących zawsze wyschnięciem, gdyby przyszły dni skwaru letniego i suszy.

Jako mądry i dobry włodarz najdoskonalej odbił na sobie obraz Boga, najmiłościwszego Wielkorządcy całego świata.

Głębię tego prawdziwego ojcostwa, mądrości i miłości niewyczerpanej, znalazł Bonawentura w modlitwie kontemplacyjnej i ciągłem rozważaniu prawdy, jako mistyk i uczony teolog.

Umysł i wola człowieka, intelekt i serce, dwie najwyższe i od siebie uzależnione władze duszy ludzkiej, bezustannie dążą do posiadania swego przedmiotu, którym jest prawda dobro.

O ile w tem dążeniu nie są sprowadzone z drogi wyobraźnią konkretną i z nią związanemi uczuciami, które z natury swojej winny być tylko służebnicami umysłu i woli, dochodzą do szczytów poznania i ekstazy woli, znajdując w tem najwyższą, najczystszą i najszlachetniejszą radość duszy.

Im wyższa w człowieku władza, tem jej działanie większą sprawia mu radość i sprowadza świadomość wyższego szczęścia. To też w życiu błogosławionem, gdzie umysł posiada Najwyższą Prawdę, kontemplując ją twarzą w twarz, wola Najwyższe Dobro, miłując je ponad wszystko i ze wszystkich sił, bez najmniejszego podziału, ani roztargnienia bo przedmiot nieskończony wypełnia całkowicie wszystką możność obydwu władz i absorbuje je najkompletniej—trwa wieczna, nigdy nieustająca, ani zmiejszająca się ekstaza intellektu i miłości i niczem niezamąconego ani niedopełnionego szczęścia — Visio beatyfica — błogosławione widzenie Cherubinów i ekstaza miłości Serafinów — oto realne i najwyższe możliwości i istotne przeznaczenie umysłu i woli każdego człowieka, choćby był najbardziej maluczkim prostaczkiem.

Filozofja bez tajemnic, teologja bez rozumowania — bo oparta na jasnem widzeniu, pełnej rzeczywistości — oto szczyt z takim trudem zdobywany przez człowieka okruchów prawdy we wszystkich dziedzinach nauki ziemskiej.

To też każdy najmniejszy krok naprzód na tej drodze uczyniony, zdobycie każdej okruszyny światła jest dla człowieka jakby nowym haustem szczęścia, który raz zakosztowany może obudzić pragnienie niczem nieugaszone, formalną namiętność nauki, która zagłusza wszystkie inne niższe ludzkie pragnienia i dążności.

Człowiek, któremu raz zaświtała możliwość zdobycia prawdy i który jeden raz zakosztował rozkoszy jej posiadania, zapomina często o świecie całym, o swoich własnych najbardziej prymitywnych potrzebach i żyje w świecie idei i myśli, szczęśliwy i pogodny, zdala od zgiełku, hałasu i wyziewów przyziemnych zakurzonego gościńca ludzkości.

Gdy zaś w tem szukaniu prawdy zajaśnieje oblicze Boga, który odchyli rąbek swej słonecznej nieskończoności, gdy obudzi się w duszy, wślad za poznaniem, nadnaturalna miłość rzeczy bożych, gdy idąc krok w krok za temi błyskami umysł i serce zagłębia się coraz dalej w mistycznej kontemplacji i intellektualnem rozważaniu — jest to już przedsionek nieba i początek błogosławionej wizji.

Tak powstała Suma Teologiczna i mistyka spekulatywna.

Bonawentura takim był uczonym—wizjonerem, obok ścisłości logicznej pełen gorąca i żaru miłości, co streszcza się w jego przydomku historycznym: — „Doctor Seraphicus". Wystarczyło mu na to pięćdziesiąt trzy lata żywota ziemskiego, by dojrzeć do bezpośredniego oglądania Boga, już nie we fragmentach mistycznej kontemplacji i syllogistycznem rozumowaniu, ale twarzą w twarz, w pełni jasności całej prawdy i w ogniu najczystszej i najintensywniejszej miłości.

Gdzie dzisiaj są ludzie takiej prawdy i takiej miłości?

Ks. A. B.

O. Stefan Kucharski.

W tymże samym kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny w Lublinie, w którym spoczywa zachowane w dobrym stanie ciało siostry Anny od Pana Jezusa, Karmelitanki Bosej, od lat już trzystu bez mała leżą również doczesne szczątki o. Stefana od św. Teresy Kucharskiego, Karmelity Bosego. W dziejach czci pośmiertnej obu tych świętobliwych postaci zakonu karmelitańskiego, żyjącego Duchem św. Teresy od Jezusa, istnieje pewien punkt styczny, albowiem, wedle słów o. Florjana Jaroszewicza, Reformaty, „kiedy fundatorka tego klasztoru[1]) po długim czasie nawiedzała w grobie ciało wielebnej matki Anny á Jesu, pierwszej z narodu polskiego Karmelitanki Bosej, już od pięciu lat zmarłej[2]), znalazła tak jej ciało, jako i ojca Stefana, nieskazitelne, przy niewymownej niebieskiej wonności, które, zaraz z prochu i pleśni otarłszy i w habity nowe przybrawszy, w trumnach cyprysowych złożyć kazała, jako przybytki Ducha św. woniejące czystością".

Wsławiony przez Stwórcę tym niezwykłym znakiem po śmierci, o. Stefan wsławił się za swego życia niezwykłą świętobliwością; cechowały go wielkie cnoty, wskutek czego o. Jaroszewicz nie zawahał się pomieścić go w rzędzie tych, którzy przez czyny swe w świecie ducha zdobyli dla Polski chlubne miano „sanctorum mater", „matka świętych".

Czcigodny ten Karmelita Bosy urodził się w 1595 r. w Oleszycach, w Przemyskiem. Był on synem Stanisława oraz Barbary z Piekarskich, a na Chrzcie św. otrzymał imię Hieronim. Rodzice jego należeli do rodu szlacheckiego, pieczętowali się mianowicie herbem Rola, co się zaś tyczy ich walorów moralnych, to o. Jaroszewicz, wślad za pierwszymi biografami o. Stefana, przestawia ich, jako ludzi „zacnością domu i pobożnością sławnych". Określenie to u cytowanego żywotopisarza jest coprawda zdawkowym epitetem, ale mniejsza o to, dość na tem, że była to rodzina katolicka, trwająca wiernie przy Kościele, acz apostazja odeń należała podówczas wręcz do pewnego rodzaju mody.

Lata dziecięce małego Hieronima wypełniło zmaganie się organizmu o egzystencję, był on bowiem dzieckiem słabowitem,

chorowitem, cierpiącem na anemję, rozwiniętą bardzo silnie, co o. Jaroszewicz, starając się przedstawić jaknajzrozumialej, oraz jaknajplastyczniej oddaje takim oto naiwnym bądź co bądź zwrotem: „Mając trzy, albo cztery lata, tak był schorzał, że gdy dziecię ku słońcu postawiono, wszystkie żyłki mógł w nim przeliczyć".

Pod względem rozwoju duchowego chorowity chłopczyna znacznie przewyższał swoich swawolnych rówieśników. Nieśmiały, skromny, zawsze poważny, zachowywał się ponad wiek rozsądnie, a specjalny pociąg czuł do kontemplacji. Nie rozumiejąc w tak młodym wieku, jak to myślą można unosić się ku Bogu, wzlatał ku niemu duchem przez odmawianie modlitw. Drugiem ulubionem zajęciem jego już wtedy było rozczytywanie się w „Żywotach świętych Starego i Nowego Zakonu na każdy dzień przez cały rok"... o. Piotra Skargi, Jezuity[3]). Bywało nieraz, iż z księgą ową zaszywał się gdzieś w ustronnym zakątku lub też pomiędzy snopami i tam dopiero wprost pochłaniał myśli tego arcydzieła w swym rodzaju całemi godzinami. Życiorysy wielkich pustelników interesowały go najwięcej. Pod ich właśnie wpływem zrodziło się w nim zrozumienie potrzeby ekspijacji jednostki za winy całego społeczeństwa, które nie wie, co czyni. Będąc otwartym oraz nie mającym żadnych przed rodzicami sekretów, zwierzył się im z tem, czego rezultatem był fakt, że poczęto mówić między sobą: „Pewnie to dziecię będzie czyniło tak, jako przeczyta w żywotach świętych". Celem niedopuszczenia do tego dzieło o. Skargi ukrywano nader skrzętnie, wszakże wzniosłej myśli z umysłu młodego entuzjasty wyrwać nie zdołano.

Po przygotowaniu z nauk wstępnych kilkunastoletni Hieronim zaczął uczęszczać do sławnej Akademji Krakowskiej. Tu powołanie do stanu duchownego stopniowo stawało się coraz dojrzalszem. Rodzice, zwłaszcza matka, osoba pobożna wielce, ostatecznie pogodzili się, w marzeniach swoich widzieli go kanonikiem, prałatem, wogóle dostojnikiem kościelnym, tymczasem on myślał o poświęceniu się na służbę Bożą w zakonie. Zakony widywał w Krakowie rozmaite, boć niedarmo gród podwawelski nazywano „polskim Rzymem", dwa jednak podobały się mu najwięcej: o. o. Reformaci i o. o. Karmelici Bosi. Magnesem tych szczególniejszych sympatyj do owych zakonni-

ków było to, co innych do nich zraża: surowy tryb życia. Idąc w ich ślady, jął umartwiać się, tego atoli zabraniano mu kategorycznie.

Skoro doszedł do wieku pełnoletniego, matka oddała go na dwór króla Zygmunta III Wazy, opanowana dla odmiany myślą o świeckiej karjerze swego Hieronima. Rozgardjasz dworski nie nastroił młodego szlachcica przychylnie do dworaków, obcowanie z nimi było dlań twardą koniecznością, razu pewnego tedy, jako człowiek dorosły całkiem, zdecydował się rozporządzić sam własną osobą, jakoteż pokryjomu uciekł do klasztoru o.o. Karmelitów Bosych. Ten moment, tak przełomowy w jego życiu, obfitował w ciężkie nadzwyczaj zmagania się z samym sobą. Uciekać od świata, od kochającej matki, narażać ją na boleść i rozpacz—były to rzeczy przykre nad wyraz, żal było rzucać tych wszystkich, oraz to wszystko co się ukochało uczuciem najgorętszem i najtrwalszem, bo uczuciem dziecięcem, a jednak, jak jeleń do źródła, pobożny młodzian rwał się do szczęścia prawdziwego, jedynego, największego: obcowania z Panem wszechrzeczy jeszcze tu na świecie przez służenie Mu na chwałę. Walka była ciężka, boć na taki krok człowiekowi odrazu trudno się zdobyć, „gdy zaś na furtjana zadzwonił,—opowiada ze swoistą mu plastyką o. Jaroszewicz—tak wielki go strach ogarnął, że mu się zdało; jakoby kości w nim trzeszczały, aż nie wiedział, co miał mówić, i tylko rzekł furtjanowi: „Proszę o ojca prowincjała", który nim przyszedł, pokusy straszne na młodziana tak natarły, że już ledwie od furty nie odszedł".

Pasowania wewnętrzne o. Stefana od św. Teresy—takie imię nosił młody Hieronim w zakonie od chwili obłóczyn, które odbyły się w dniu pamiętnej ucieczki—zakończyły się zwycięstwem, odtąd natomiast w życiu jego zaczyna się okres, pod niektóremi względami przypominający koleje żywota św. Aleksego, tak pięknie w słowach prostych opowiedziane w średniowiecznej legendzie polskiej. Przybrany w habit, z samych resztek zszyty, szedł on po kweście na miasto, a między innemi wstępował do własnej matki, która podobnie, jak jej sługi, wręczała mu jałmużnę, lecz zaraz uciekała odeń jaknajdalej. Potomek szlachetnego rodu, dziedzic zasobnych dóbr dobrowolnie zmienił się w jałmużnika, w pokutnika, co stał się przed-

miotem pośmiewiska oraz naigrawań gawiedzi ulicznej, wszakże ta pogarda, na jaką się natknął, radością wypełniała serce jego, ponieważ rozumiał, że Boski Oblubieniec wynagrodzi to stokrotnie. „Tak młody człowiek, taki bogaty, którego ludzie wszyscy kochali, bo był na wejrzenie, jak anioł, tak się uniżył i tak sobą wzgardził, matkę i pokrewnych zacnych opuścił"—powtarzali ze zdumieniem znajomi, w niejednem zaś sercu postępek o. Stefana wywoływał nawrócenie

Ciężkie były dla młodego zakonnika czasy nowicjackie, wielkiego trzeba było zaparcia się, by odeprzeć pokusy, myśli różne, ale wkońcu został kapłanem, złożył śluby zakonne, poczem dodany został do pomocy magistrowi nowicjatu krakowskiego, który sam tak niedawno przecie odbywał. Na tem stanowisku, nauczywszy się wprzód samemu panować nad sobą, udzielał z ochotą rad zbawiennych młodym nowicjuszom, ustawicznie też ćwiczył się w cnotach, starając się działać z miłości ku Zbawcy wśród bliźnich. Nie mógł o. Stefan zasklepiać się w samym sobie,—takie postępowanie cechą jest jeno małodusznych egoistów—lecz duch gorący pchał go w niewstrzymanym pędzie do czynu, do działania. Praca dla bliźnich — to było celem wysiłków świątobliwego Karmelity Bosego, stopniowo zdobywał urzędy coraz wyższe w zakonie, jakiem zaś zaufaniem darzono go powszechnie, najlepiej dowodzi to, iż rady jego w pewnych sprawach zasięgał nawet król Władysław IV Waza, jak i brat jego, król Jan Kazimierz.

Co specjalnie w biografji o. Stefana zasługuje na podkreślenie, to jego łagodność względem ludzi, o których świat mówi, mając na względzie ich podłość, że „z piekła nie wyjrzą". Przekonany święcie, iż sąd o nich należy do Boga jedynie, nie potępiał ich, gdyż pamiętał, że Chrystus nie potępił nawet jawnogrzesznicy, a starał się modlitwami na ich intencję oraz łagodnością skłonić ich do porzucenia drogi występku. „Według sprawiedliwości Boskiej, trzeba, żeby był potępiony, — rzekł kiedyś o pewnym szlachcicu, co na sumieniu miał kilka zbrodni—ale ufam miłosierdziu Boskiemu, że go może zbawić". To nastąpiło rzeczywiście, bo zbrodniarz opamiętał się i za zbrodnie swoje odpokutował przykładnie.

Obok tej właśnie zalety odznaczał się o. Stefan niepowszednią odwagą cywilną. Prawdę w oczy mówił każdemu,

nie bacząc bynajmniej, jakie ów ktoś zajmuje stanowisko w drabinie społecznej. O tem pojęcie najlepsze dać może taki bodajby przykład: jako spowiednik jakiejś bogatej posiadaczki latyfundjów, niejednokrotnie upominał się za ciemiężonymi włościanami, choć przez to ściągał na się nienawiść owej możnowładczyni. „Więcej się to Panu Bogu podoba, kiedy będziesz powinności swojej dosyć czyniła, niż, z nabożeństwa jałmużny dając i klasztory fundując"—oto dewiza, którą tej właśnie ciemiężycielce włościaństwa kazał realizować przez całe życie.

Ostatek żywota spędził o. Stefan w Lublinie, lub jego okolicy. Tu znowu uciec się wypada do słów o. Jaroszewicza, on bowiem w malowaniu ostatnich momentów życia naszych świętobliwych rodaków jest poprostu niedościgniony. „Po długich pracach i chorobach, cierpliwie wytrzymanych, przyszedł ojcu Stefanowi czas do otrzymania zapłaty wiecznej, — brzmi opis wymienionego autora - który przeczuwając ustawicznie, powtarzał owe słowa z psalmu: Do domu Pańskiego pójdziemy i niezadługo". Zastawano go często płaczącego i patrzącego na krucyfiks, który zawsze miał przed oczyma, i tak był w krucyfiks wlepiony, że w kilka pacierzy nie poczuł, choć kto wszedł albo co mówił do niego, a wzdychając, natenczas mówił: „Nie wchodź w sąd z sługą Twoim, Panie!..." A gdy już kilkoniedzielnej ojca Sfefana choroby czwarty piątek nastał, wszystek sobie przytomny, Najświętszy Wijatyk i Olej św. przyjął, a gdy mu Nnajświętszy Sakrament przyniesiono, rzekł: „Panie, pobłogosław mi, albowiem droga moja daleko jest do Ciebie samego". A wlepiwszy oczy w krucyfiks, w wielkiem uspokojeniu i cichości ducha swego Stwórcy swojemu oddał. Że zaś w Lublinie przy klasztorze swoich sióstr zakonnych umarł (bo jeszcze ojcowie Karmelici Bosi nie mieli tam klasztoru), więc, jako spowiednika i ojca ich duchownego, pochowane było ciało w grobie panien Karmelitanek Bosych klasztoru Niepokalanego Poczęcia".

Wedle świadectwa o. Jaroszewicza o. Stefan poświęcał się również pracy pisarskiej: „Mądrości nadprzyrodzonej ojca Stefana dowodem są księgi i pisma jego, pełne rzeczy tajemnych i wysokich w rzeczach duchowych, które on, straciwszy wzrok, dyktował; a jest tych książek, albo traktatów dwadzieścia i sześć". Dr. Karol Estreicher wymienia ich z tytułów

dwadzieścia siedem, z czego siedem w języku łacińskim, zaś dwadzieścia w języku polskim. Czy rzeczy te były drukowane, trudno orzec, bo znakomity ten nasz bibljograf wykaz swój zaopatrzył w komentarz, brzmiący: „Dzieła te nieznane w bibljografji". Wśród prac o. Stefana znajdują się takie np.: „Collationes sive Conferentiae Spirituales cum Religiosis habitae", „Exercitia spiritualia pro decem diebus", „Principia quaedam seu Veritates, ex quibus facile dignoscuntur unguae antichristi, quibus laceratur perfectio Evangelica a frigescente plurimum Spiritualium Charitate", „Anatomia albo rozebranie na Części człowieka wnętrznego i powierzchownego", „Jeruzalem, Miasto Króla Wielkiego", „O trojakim pożytku, który z Męki Pańskiej brać mamy", „Recepta Duchowna na poskromienie affektów serdecznych ku krwi", „Saba od Wschodu słońca, jako w nas Chrystus wchodzi".

Po śmierci o. Stefana miało się wydarzyć kilka łask za jego przyczyną, zdaje się jednak, że nie są one zapisane. Czysta jego dusza napewno obcuje na łonie Boga, który go wsławił szczególniejszemi dowodami, gdy przeto nie jest on świętym, czczonym na ołtarzach świątyń, czcijmy go przez naśladowanie jego cnót wspaniałych.

Józef Marjan Chudek.

***) Notki do „O. Stefana Kucharskiego".**

[1]) Zofja z Tęczyna Danielowiczowa, małżonka podskarbiego koronnego.

[2]) Siostra Anna zmarła w 1649 r., nawiedzenie zatem zwłok jej przez podskarbinę Danielowiczową miało miało miejsce w 1654 r., tymczasem o. Jaroszewicz przenosi je na 1652 r. Ta ostatnia data jest mylną, o. Stefan bowiem umarł dopiero w 1653 r. Zestawienie powyższe świadczy najwymowniej, z jakim krytycyzmem odnosić się należy do pracy owego żywotopisarza z czasów saskich i jak wiele dzieło to co do swej chronologji zawiera sprzeczności oraz pozostawia do życzenia.

[3]) Dzieło to w r. b. święcić może trzystapięćdziesięciolecie swego istnienia w postaci druku, gdyż wyszło w Wilnie w 1579 r.

Barkarola.

(„Consolation" Nr. 6. Edur muz. Fr. Liszta).

Na lazurowej morza równinie
Lekko, marząco łódź się kołysze,
I w dal błękitną po falach płynie,
W srebrzystej nocy wiosennej ciszę.

Cisza na niebie — cisza na morzu —
Niebo gwieździstą olśnione drogą;
Muzykę jakąś słyszę w przestworzu...
Tak mi na sercu dobrze i błogo!...

Ach! kocham ludzi — kocham świat cały!
Wszystkich i wszystko wziąłbym w ramiona!
Chciałbym tryumfu śpiewać hejnały! —
Tak moja dusza dziś rorzewniona...

Lekko, marząco łódź się kołysze —
W brylantach spływa jaśń księżycowa...
Muzykę jakąś daleką słyszę...
Na pierś mi senna chyli się głowa...

— — — — — — — — — —

Za moje szczęściem drgające łono,
Za ten wód bezmiar w blasków kolorze,
I za tę błogość cichą, wyśnioną,
Rozlaną w duszy — dzięki Ci, Boże!...

Bronisław Wiszniewski.

SPOŁECZENSTWO I WYCHOWANIE.

Państwo i jego zadania.

(Referat wygłoszony na zebraniu Sekcji Społecznej „Odrodzenia" w Poznaniu).

Punkt ciężkości niniejszych uwag bezwątpienia spoczywać powinien na omówieniu zadań państwa, zwłaszcza z punktu widzenia doktryny chrześcijańsko-społecznej, nie od rzeczy jednak będzie zastanowić się nad pojęciem państwa, czyli temi podstawowemi elementami, które je tworzą.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że pogląd jakoby pojęcie państwa i pojęcie społeczeństwa należało traktować odrębnie, nie jest uzasadniony. Państwo jest najwyższą i najlepszą formą uspołecznienia, dając społeczeństwu niezbędne warunki trwałego rozwoju: ono przeciwstawia się anarchji, a tem samem daje rękojmię bezpieczeństwa powszechnego. W chwilach wojen i rewolucyj najlepiej przejawia się ta prawda, „iż najgorsze państwo jest lepszem, aniżeli brak państwa wogóle, niżeli stan anarchiczny." [1])

Zasadniczym elementem, który wyróżnia państwo od innych ugrupowań socjalnych jest władza zwierzchnicza, której wszystkie inne władze muszą podlegać. „Trzy są zasadnicze elementy w pojęciu państwa: terytorjum, ludność i władza najwyższa (w znaczeniu siły rzeczywistej). [2])

Dla jaśniejszego postawienia kwestji, pokrótce omówię poszczególne elementy.

Terytorjum państwowe, rozpatrywane jako składnik pojęcia państwa, użyte tu jest w podwójnem znaczeniu: po pierwsze, wszystkie osoby, przebywające na danem terytorjum, podlegają władzy państwowej; po drugie, władza państwowa jest jedna, t. zn. że na danem terytorjum państwowem nie może istnieć jednocześnie inna niezależna władza.

Drugi istotny składnik państwa, mianowicie ludność, różnicuje się w państwie współczesnem na dwie odrębne grupy, t. j. grupę rządzącą i rządzoną. W historycznym rozwoju wy-

---

[1]) Prof. Peretiatkowicz: „Państwo współczesne" rozdz. I.

[2]) Tamże.

padków zaznaczył się proces coraz większego rozszerzania się praw grupy rządzonej kosztem grupy rządzącej. My, jako rządzeni obywatele, posiadamy obecnie trzy kategorje praw: 1) prawa wolnościowe, 2) prawa obywatelskie i 3) prawa polityczne. Prawa wolnościowe gwarantują niemieszanie się państwa w sferę życia prywatnego obywateli. Prawa obywatelskie umożliwiają obywatelom korzystanie z opieki państwowej w wypadku zagrożenia ich praw przez pewne jednostki. Prawa polityczne wreszcie zapewniają obywatelom udział we władzy państwowej.

Władza państwowa, trzeci istotny składnik państwa, charakteryzuje się tem, że posiada niezależną i najwyższą siłę faktyczną, potrzebną do realizowania prawa.

Biorąc wszystko powyższe pod uwagę, zapytajmy: co to właściwie jest państwo? „Państwo określić można jako trwały związek ludzi na pewnej przestrzeni ziemi stale osiedlonych, pod władzą najwyższą“. [1])

Jeśli chodzi o zagadnienie zadań państwa, to interesować mnie będą konkretne postulaty doktryny chrześcijańsko-społecznej, stawiane państwu i odnoszące się przedewszystkiem do dziedziny życia społecznego. Zanim jednak przystąpię do rozbioru szczegółowego powyższego zagadnienia, chciałbym przedtem jak najogólniej omówić pewne zagadnienia podstawowe, na których, jak na fundamencie, ma się opierać doktryna chrześcijańsko-społeczna.

Nasuwa się przedewszystkiem pytanie, czy zadania państwowe mają mieć koniecznie taki charakter, aby harmonizowały z indywidualnemi celami jednostki i ułatwiały ich realizację, czy też wprost przeciwnie: mają te zadania być odmienne, niż zadania jednostki i czy ta jednostka ma obowiązek je realizować? Jest to jedno z najbardziej spornych zagadnień w nauce, sięgające już czasów starożytnych, bo zapoczątkowane przez Platona i Arystotelesa. Miarodajne tu są dwa przeciwne poglądy: indywidualistyczny i supraindywidualistyczny. Według pierwszego poglądu „prawo i państwo pozostaje na usługach jednostek, przyczem przedewszystkiem służy ich dobrobytowi, „powszechnej szczęśliwości“, a dopiero dalszem jego zadaniem i dalszym skutkiem jest umożliwienie kulturalnego rozwoju jednostki. [1]) Innemi

---

[1]) Prof. Peretiatkowicz: „Państwo współczesne”, rozdz. I.

słowy „prawo i państwo to tylko środki" [2]) służące w ostatecznej instancji celom indywidualnym. Według poglądu supraindywidualistycznego państwo jest celem samym w sobie, jest organiczną jednością, której członkami są poszczególni obywatele, mający za najwyższy obowiązek zrzec się indywidualności oraz swych celów osobistych na rzecz owej zbiorowej jedności. Pogląd pierwszy każe państwu zwrócić uwagę na wewnętrzne stosunki, na zagadnienia socjalne, gospodarcze, kulturalne, których rozwiązanie jest celem egzystencji państwa. Pogląd drugi punkt ciężkości zadań państwowych przenosi nazewnątrz państwa, stawia postulat potęgi państwa i jego hegemonji w stosunku do innych państw i rozpatruje sprawy wewnętrzne, jednostkowe o tyle, o ile to odpowiada samoistnym celom państwowym. Pierwszy kierunek reprezentowany jest przez liberalizm i demokrację, drugi—przez konserwatyzm.

Nie wdając się narazie w ocenę powyższych sprzecznych kierunków, chciałbym jeszcze zastanowić się nad innem zagadnieniem, a mianowicie: czy zakres zadań państwowych ma być szeroki, czy też powinien ograniczać się do minimum? I to zagadnienie należy do najbardziej spornych. Mamy tu przeciwieństwo poglądów liberalnych i socjalistycznych. Faktem znamiennym jest, że obydwa te zwalczające się prądy są w gruncie rzeczy podobne co do celów (obydwa są indywidualistyczne) a różnią się tylko skrajnie co do metody. Znaczy to, że rozwój indywidualności jest celem obydwu kierunków, lecz podczas, gdy liberalizm jednostkę chce pozostawić samą sobie, to socjalizm przyjmuje wydatną pomoc państwa, wyznaczając mu specjalne obowiązki.

Liberalny kierunek odznacza się tedy tą najistotniejszą cechą, że ogranicza zakres działalności państwowej do minimum, warunkując od realizacji tego postulatu najlepsze urządzenie ustroju społecznego. Do tego wyniku liberalizm doszedł następującą drogą. Przyjmuje on istnienie praw naturalnych, niezależnych od woli ludzkiej i realizujących „porządek naturalny" lepszy, niż jakikolwiek inny sztuczny ustrój. Następnie przywiązuje kierunek ten zasadniczą wagę do wysiłku indywidual-

---

[1]) Prof. Radbruch: „Wstęp do prawoznawstwa" str. 17.
[2]) Tamże str. 18.

nego, jako jedynego czynnika ewolucji społecznej, nieskrępowanego żadnemi względami moralnemi, ani zewnętrzną interwencją państwową. To zasada „laisser faire, laisser passer", czyli wolnej konkurencji. Koniecznym warunkiem tedy, aby obydwa powyższe czynniki, t. j. prawa naturalne i wysiłek indywidualny, zrealizowały ów najlepszy „naturalny porządek" jest ograniczenie interwencji państwowej do minimum. Jeśli chodzi o ocenę kierunku liberalnego, to podkreślić należy, iż jest to kierunek w zastosowaniu praktycznem niemoralny (interes osobisty nie uznaje względów etycznych) zwłaszcza, iż stworzony został celowo dla usprawiedliwienia istniejącego porządku społecznego z wszystkiemi jego niesprawiedliwościami. Bliżej tej ostatniej tezy rozpatrywać tutaj nie można[1])

Socjalizm, zdając sobie sprawę z powyższego, wykazuje, iż wolna konkurencja powoduje zbytnie upośledzenie pewnych warstw społecznych, mianowicie pracujących. W miejsce wolnej konkurencji stawia „uspołecznienie środków produkcji", a przeprowadzenie tej idei wymaga szerokiej interwencji państwowej.

Dotychczas nic jeszcze nie mówiliśmy, jak na powyższe obydwa zagadnienia odpowiada doktryna chrześcijańsko-społeczna? Charakterystycznem jest, iż nie wpada ona w skrajności, lecz stara się zająć miejsce mniej więcej pośrednie i to w obydwu wypadkach. Nie jest tedy ona ani supraindywidualistyczną, ani indywidualistyczną, lecz łączy w sobie i harmonizuje cechy obydwu poglądów. Katolicyzm, przyznając w przeciwieństwie do protestantyzmu bezwględny, supraindywidualistyczny autorytet Kościołowi, gotów jest państwu „wykazującemu dobrą wolę, dać udział w tym autorytecie, jako zwierzchności przez Boga ustanowionej" [2]). Lecz państwo nie ma prawa zabierać jednostce wszystkich jej sił na swe wyłączne usługi, lecz musi pozostawić jej pewną sferę wolności, aby mogła zaspokoić swe najważniejsze cele indywidualne.

Jeśli chodzi o drugie zagadnienie, to doktryna chrześcijańsko-społeczna w zasadzie przyjmuje w przeciwieństwie do liberalizmu pewien zakres zadań państwowych, lecz jednocześnie

[1]) Patrz: Gide, „Zasady ekonomji pol.", ust. „Szkoła liberalna" str. 28.
[2]) Radbruch: „Wstęp do prawoznawstwa" str. 26.

zakres ten ogranicza sferą życia społecznego, w którą ingerować państwu nie wolno. W encyklice „Rerum novarum" konstatuje przedewszystkiem Leon XIII, iż państwo jest uprawnione do pomocy. Na jakich tytułach to uprawnienie państwa się opiera? Encyklika podaje trzy podstawowe kryterja: 1) „na podstawie urzędu swojego winna władza mieć staranie o dobro publiczne[1]); 2) passywne, czyli bierne zachowanie się państwa powoduje niesprawiedliwy rozdział dochodu społecznego między klasę bogatych i biednych; jedynie państwo jest powołane do realizowania postulatu sprawiedliwości t. zw. rozdzielającej, która każdemu oddaje to, co się mu należy i co się mu oddać powinno; 3) społeczeństwo ma główne zadanie dążyć do cnoty, lecz przytem konieczne jest „dostarczenie dostatecznych dóbr cielesnych i zewnętrznych, jak mówi św. Tomasz: „których używanie jest potrzebne do wykonywania cnoty" [2]). Najbardziej skuteczną w tym względzie jest praca robotników, którą papież nazywa „źródłem jedynem, z którego wypływa bogactwo państwa". Robotnik tedy bardzo dużo daje państwu, słusznem jest przeto, aby ono wynagrodziło go zato troską o żywność dla niego i mieszkanie. Na podstawie tych trzech kryterjów, mianowicie: prawnego, moralnego i społecznego opiera papież tezę, iż państwo powinno dbać przez ustawy i zlecenia o dobro publiczne i prywatne.

Następnie encyklika stwierdza jednak, iż pomoc państwa jest ograniczona. Ograniczenie to idzie w dwu kierunkach: 1) jednostka a także rodzina ma pewną nienaruszalną sferę wolności, ograniczoną tylko względami dobra powszechnego i dobra innych jednostek; 2) zakres zadań państwowych kończy się u granic konieczności zaradzenia nadużyciom lub usunięcia niebezpieczeństwa. W szczególności państwo powinno brać w opiekę klasę robotników. Ujmując syntetycznie powyższe zagadnienie należy stwierdzić, że doktryna chrześcijańsko - społeczna, stojąc pośrodku między liberalizmem i socjalizmem, w czem tkwi cała jej siła i wartość praktyczna, należy do kierunków realnych. Życie bowiem narodów nie poszło nigdzie ani za doktryną liberalną, ani socjalistyczną wyłącznie, lecz potoczyło się po wypadkowej tych kierunków, czyli zgodnie

[1]) Enc. „Rer. nov." rozdz. II.
[2]) Tamże.

z najistotniejszem założeniem kierunku chrześcijańsko-społecznego.[1])

Nasuwa się obecnie pytanie, jakie konkretne postulaty przed państwem postawić należy? Chodzić tu będzie zasadniczo o zadania w dziedzinie społecznej. Pierwszym i podstawowym postulatem powinno być realizowanie przez państwo zasady sprawiedliwości, czyli tem samem udzielenie pomocy krzywdzonej klasie pracującej. Encyklika Leona XIII podaje, jako podstawowy środek realizacji tej zasady, ustawodawstwo społeczne. Ma w tej dziedzinie państwo szerokie pole działalności, mianowicie: 1) ochronę własności osobistej, 2) usuwanie przyczyn wywołujących strejki, 3) zabezpieczenie robotnikom święcenia świąt i niedziel, aby mogli dbać o swe dobra duchowe, 4) wyznaczenie odpowiedniej długości dnia pracy zależnie od warunków wykonywania danej pracy, jak również od płci i wieku.

Bezwątpienia encyklika powyższa nie wyczerpuje zagadnienia wszystkich środków, za pomocą których państwo ma roztoczyć opiekę nad robotnikiem, ani praca niniejsza nie ma zamiaru ich wszystkich wyczerpać. Wspomnę tu tylko jeszcze, jako o ważnym środku, o inspekcji pracy.[1]) Polega ona na wyznaczeniu specjalnych urzędników przez państwo, czyli t. zw. inspektorów pracy, poświęconych wyłącznie kwestji robotniczej. Główne zasady inspekcji są następujące: 1) „pilnowanie ścisłego stosowania praw i regulaminów, dotyczących opieki nad pracownikami" (traktat wers. art. 427);[2]) 2) czuwanie nad zachowaniem bezpieczeństwa pracy, czyli ochrona przed wypadkami przy pracy; 3) inicjatywa w dziedzinie ustawodawstwa społecznego; 4) udzielanie bezstronnych rad stronom.

Obok powyższego postulatu państwo powinno realizować zasadę miłości. Powinno tedy popierać, lecz nie nakazywać, dobroczynnośc publiczną i prywatną, zakładać instytucje przytułkowe dla sierot, starców, chorych etc.

Na zakończenie wspomnieć mi jeszcze wypada, iż z ducha encykliki „Rerum novarum" wynika, że państwo nie mogłoby

---

[1]) Patrz ust. p. t.: „Funkcje państwa" w „Państwie współczesnem" prof. Peretiatkowicza.

[1]) Patrz „Polityka społeczna" X. Dr. Szymańskiego § 29 str. 283.

[2]) Tamże str. 284.

zrealizować swych zadań bez współdziałania Kościoła. Państwo bowiem rozporządza tylko środkami prawnemi, t.j. nakazem i zakazem. Środki prawne mogą jednak pozostać martwą literą, jeśli nie znajdą uznania i poszanowania u obywateli. Osiągnąć to można jednak przez pracę nad podniesieniem poziomu etycznego szerokich warstw. Lecz tu zaczyna się ta niezbędna dla utrzymania porządku prawnego praca Kościoła.

E. Myczka (Poznań).

Na froncie walki o religję i moralność.

Nowy kurs antyreligijny w Rosji Sowieckiej — Uczniowie prof. Spasowskiego — Faszyzm a katolicyzm — Błędy integralnego nacjonalizmu — Wypad'i lwowskie i ich znaczenie.

W miesiącach poprzednich wzmożona została akcja antyreligijna w Rosji Sowieckiej. W dniu 8 kwietnia r. b. wyszedł dekret o „religijnych stowarzyszeniach", który znacznie posuwa naprzód i w wielu szczegółach wykańcza i uzupełnia dotychczasowe, antyreligijne ustawodawstwo Sowietów.

Przejdźmy odrazu do meritum sprawy i zacytujmy ciekawą korespondencję na ten temat protestancko-liberalnej „Vossische Zeitung" w tłomaczeniu i streszczeniu „Głosu Narodu":

„Dekret ten zarządza—pisze krakowski organ chrz.-społeczny—ogólną rejestrację wszystkich „związków religijnych" (kościołów, gmin, sekt i t. p.); który z nich w oznaczonym czasie nie zgłosi się do rejestracji, będzie temsamem uznany za nieistniejący... Postanowienie to jest wzięte żywcem z ustawodawstwa meksykańskiego, stworzonego przez Callesa.

Ponadto! Dekret z 8 kwietnia b. r. nie uznaje „kościołów", ani „wyznań". Zna tylko pojedyncze „stowarzyszenia religijne", a więc — parafje, gminy wyznaniowe i t. p. Wykonanie tego postanowienia pójdzie śladem carskich ustaw antykatolickich, które próbowały przeciąć związek parafji z biskupem, diecezyj ze Stolicą Apost. Tym razem jednak cierpieć będzie schizmatycka cerkiew na równi z katolicyzmem.

I jeszcze następujące szykany... Wzbronione są wszelkie publiczne obrzędy religijne pod gołem niebem, prócz procesyj

dookoła kościoła odbywanych, — w budowlach publicznych, prócz zaopatrywania umierających w szpitalu i asysty na pogrzebie... Wzbronione są wszelkie darowizny na rzecz kościołów; ewentualne dary są odrazu uważane za „własność publiczną”... W wypadku „likwidacji” jakiegoś domu kultu państwo zabiera wszystkie przedmioty z platyny, srebra, złota, brokatu i drogich kamieni, wszystkie przedmioty o wartości historycznej lub artystycznej, dalej dzwony, meble, dywany i lichtarze; gminie religijnej zostają tylko: ikony, ornaty, nakrycia, świece, oliwa, drzewo i węgiel... Przytaczamy dosłownie z „Vossische Zeitung”, której sprawozdanie nie nosi żadnych cech ironji.

Wszystkie przedmioty, służące bezpośrednio, czy pośrednio kultowi, stanowią „własność publiczną”, którą się tylko wydzierżawia „stowarzyszeniu religijnemu” do użytkowania. Dla zawierania takich kontraktów ze „stowarzyszeniami religijnemi” tworzą się w gminach z pośród obywateli komitety złożone z 20 najmniej członków (wszystko jedno, jakiej religji). „Typowym— pisze „Vossische Zeitung” — dla ducha tego dekretu jest postanowienie tyczące się ubezpieczenia od ognia. Na jego podstawie „stowarzyszenie religijne” jest obowiązane pokrywać koszta ubezpieczenia domu kultu. Jeśli jednak świątynia spłonie, to sumę ubezpieczeniową otrzymuje ów komitet od zawierania i pilnowania kontraktów, a nie gmina religijna. Komitet ten może tę świątynię odbudować, ale może także sumę ubezpieczeniową obrócić dowolnie na inne kulturalne cele, a więc np. na urządzenie antyreligijnej wystawy. Gmina religijna ma wówczas prawo wybudować nową świątynię”.

„Vossische Zeitung” widzi w tem zarządzeniu przejaw systemu. „Od dłuższego czasu—pisze— sypią się ukazy i ustawy: w szkołach, sierocińcach, zakładach wychowawczych, nie tylko nie wolno cierpieć areligijnego stanowiska nauczycieli i nauczycielek, ale należy przestrzegać jawnie antyreligijnego stanowiska i wychowania. Urządza się antyreligijne kursy propagandowe i antyreligijne wystawy z wykładami w dawnych klasztorach na temat „oszukiwania ludu przez duchownych” i t. p. Świeżo minione święta wielkenocne dały — jeśli się nie mylimy— impuls do wielkiej akcji za oddzieleniem dni spoczynku od dni świątecznych. Aż dotąd uznawało pań-

stwo dni świąteczne za dni spoczynku. Z okazji świąt wielkanocnych tego roku rozpętała prasa silną agitację, żeby w czasie świąt pracować, a „dni spoczynku" przenieść na inne terminy. To się udało tylko w sporadycznych wypadkach (w każdym razie w ponad 100 zakładach przemysłowych) i nie jest jeszcze prawem. W niedługim czasie jednak może się stać prawem... Również cały szereg szkół postanowił prowadzić normalnie lekcje nauki w dnie świąt wielkanocnych".

Tak wygląda ostatnie ustawodawstwo sowieckie i jego niektóre konsekwencje w życiu praktycznym.

Nie wszystkie kraje, w których masonerja i żywioły „bezwyznaniowe" mają wpływ na rządy, mogą sobie dzisiaj pozwolić na luksus tak konsekwentnych z punktu widzenia „bezwyznaniowości" i tak daleko idących ustaw, jak Sowiety, ustaw dodajmy — wyprzedzających pod wieloma względami normalny bieg życia. Maluczko, a najbardziej antyreligijny komisarz ludowy nie będzie mógł już wynaleść żadnych przepisów ze swojego punktu widzenia lepszych i doskonalszych.

W Polsce narazie mamy tylko projekty ustaw antyreligijnych, wcale zresztą nie tak skrajnych, jak w Rosji Sowieckiej, skrzętnie od kilku lat przygotowywane i gromadzone. O ile jednak w Rosji Sowieckiej ustawa wyprzedziła życie i jest niewątpliwie znacznie gorsza od stanu faktycznego w jakiejś zapadłej wsi rosyjskiej, o tyle w Polsce dzieje się, niestety, przeciwnie. Ustawy mamy jeszcze po większej części katolickie, a realne przejawy życia społecznego poszły już w wielu dziedzinach w kierunku antyreligijnym.

Nie tak dawno dowiedzieliśmy się z prasy codziennej, że istnieje w Warszawie przy kursach nauczycielskich im. W. Nałkowskiego, przekształconych na t. zw. Pedagogjum, „koło uczniów prof. Spasowskiego". Koło to odbyło w grudniu r. z. zjazd, na którym przemawiający referenci szerzyli w sposób wyraźny i zdecydowany propagandę antyreligijną i socjalistyczną. Jeden z referentów wywodził naprzykład, że „religja jest na usługach klas posiadających..., że gmatwa pojęcia dziecka, opóźnia rozwój krytycyzmu, nakoniec zupełnie widocznie wchodzi w kolizję z innymi przedmiotami nauczania. Jedynie racjonalnem więc byłoby usunięcie nauki religji ze szkoły".

Jest to fakt pojedyńczy, ale typowy i bardzo charakterystyczny. Trudno przypuścić, aby był jedynym i wyjątkowym. Przeciwnie, cały szereg faktów, danych i spostrzeżeń wskazuje na to, że propaganda antyreligijna wśród nauczycielstwa, zwłaszcza szkół ludowych—przybiera coraz bardziej zastraszające rozmiary. W tych warunkach nie na wiele się przydadzą ustawy i okólniki ministerjalne, jeżeli wykonawcami ich będą „uczniowie prof. Spasowskiego". Oto jest dziedzina, w której obowiązkiem katolików jest nietylko bronić prawnego stanu posiadania, lecz przejść do natarcia i dostosować stosunki faktyczne do stanu prawnego t. j. zreorganizować, ewentualnie wzmóc na sile katolickie organizacje nauczycielskie i podjąć codzienną, systematyczną walkę z niepoczytalnymi elementami, które chcą w dusze młodego pokolenia zaszczepiać miazmaty fałszu, nienawiści i anarchji.

* * *

Przechodzimy do innego zagadnienia. Nie mamy, niestety, pod ręką tekstu mów Mussoliniego, wygłoszonych w parlamencie włoskim przy okazji ratyfikacji traktatu laterańskiego. Nie były one jednak—jak się zdaje—ogłoszone w prasie polskiej in ekstenso. Nawet te pisma, które zwykle zamieszczają obszerne cytaty z przemówień Mussoliniego, jak np. „Gazeta Warszawska", tym razem załatwiły się krótko z exposé włoskiego dyktatora.

Trudno określić, co skłoniło Mussoliniego do wypowiedzenia swoich poglądów w takiej formie i w takim momencie. Może był skrępowany nastrojami i wolą swojego otoczenia, lub wielkiej rady faszystowskiej, jeżeli się liczy w tym stopniu z tymi czynnikami. A może tylko chciał pewne rzeczy wyjaśnić i skrystalizować, aby nie było niedomówień i niejasności.

Jeśli tak, to dobrze się stało. Poco się łudzić niepotrzebnie. Prędzej, czy później konsekwentni katolicy muszą zdać sobie sprawę, że integralny nacjonalizm (a faszyzm jest pur sang nacjonalizmem — najdoskonalszą jego formą) — opiera się na innych źródłach filozoficznych i kryterjach moralnych, aniżeli Kościół katolicki i dlatego w pewnych ważnych zagadnieniach staje w sprzeczności z nauką Kościoła. Najjaskrawiej ta sprzeczność zarysowała się we Francji w sprawie „L'Action Française". Obecnie mamy świeży przykład we Włoszech'

mniej jaskrawy, daj Boże, epizod tylko, który minie bez wstrząsów i większych trudności.

W przemówieniu Mussoliniego trzy zwłaszcza kontrowersje zarysowały się najdobitniej: 1) pogląd historjozoficzny na Kościół, jako na sektę żydowską, która wzrosła dzięki opiece starożytnej Romy, 2) zasada supremacji państwa nad Kościołem, 3) nieograniczone prawo państwa do kierowania wychowaniem młodzieży.

Kościół musiał zareagować na tezy Mussoliniego. Na pierwszą mowę Il. Duce odpowiedział Ojciec św. w przemówieniu wygłoszonem do wychowanków kolegjum Jezuickiego, w którem podkreślił zasadę bronioną zawsze przez Kościół, że wychowanie młodzieży jest prawem i obowiązkiem rodziny i Kościoła, a państwo może je tylko uzupełniać.

Po drugiej mowie Mussoliniego ogłoszony został list Ojca św., który podajemy częściowo in extenso, a częściowo w streszczeniu katowickiej „Polonji":

„Nasze oczekiwania — pisze Ojciec Chrześcijaństwa—boleśnie zostały zawiedzione. Nie byliśmy bowiem bynajmniej na to przygotowani, by usłyszeć heretyckie i jeszcze gorsze mowy, wystosowane przeciwko wewnętrznej istocie katolicyzmu. Próbowano coprawda szkodę znowu naprawić, ale — zdaje się — bez skutku".

W sprawie powstania Kościoła katolickiego, Papież zwraca uwagę na powszechność chrześcijaństwa jeszcze przed wysłaniem apostołów św. Piotra i Pawła, jako na fakt, dokonany już w pierwszych zaczątkach Kościoła św. i przed rozpoczęciem misji Apostołów św.

Szerzenie idei chrześcijańskiej w całym świecie szybciej się odbywało, aniżeli rozwój imperjum Rzymskiego, i prędzej zdobyło sobie siłę mocarstwową. Pius XI wskazuje następnie na to, ze dla uzasadnienia historycznego stanu rzeczy strona przeciwna zacytowała szereg ustępów z książki, która od roku 1912 znajduje się na indeksie kościelnym.

Papież nie może tego uznać, by to było szlachetne i szczęśliwe pociągnięcie, poruszać w chwili zawarcia ugody możliwość przyszłych nieporozumień. Przechodząc następnie do omówienia stosunku między Kościołem św. a państwem, stwierdza w liście, że Kościół św. nigdy niczego innego nie żądał

i też dziś nie żąda od państwa, jak tylko tego, by państwo dopuściło go do współpracy dla ogólnego dobra i na sprawiedliwych zasadach.

W sprawie wychowania młodzieży oświadcza Pius XI: państwo nie potrzebuje się niczego obawiać w dziedzinie wychowania młodzieży, wykonywanej przez Kościół św. Jeszcze więcej, jak państwo, nie potrzebuje się obawiać owoców religijnego wychowania, świat nauki. Katolickie zakłady wychowawcze i naukowe instytuty nie wymagają specjalnej obrony.

W końcu Ojciec św., wspominając o idei pokoju, stwierdza, że pokój uzyskać można jedynie na podstawie obopólnego zaufania, współpracy wszystkich ludzi dobrej woli oraz pomocy Bożej".

Możemy być dumni, że jesteśmy wyznawcami Kościoła, który nigdy nie pochylił i nie pochyli głowy przed fałszem i herezją, a zasad powierzonych mu przez Chrystusa Pana nigdy nie poświęci żadnym względom chwilowych korzyści oportunistycznych. StolicaApostolska nie ustąpi przez błędami nacjonalizmu włoskiego, tak jak nie ugięła się przed żadnymi innymi niebezpieczeństwami w ciągu wieków i będzie miała za sobą zwartą i jednolitą opinję katolików całego świata.

* * *

Nie możemy nie poświęcić kilka słów ostatnim wypadkom lwowskim. Przebieg ich jest powszechnie znany i żywo w całym kraju komentowany. Zastanówmy się więc nad ich znaczeniem.

Wypadki te pewne rzeczy zdemaskowały i pewne rzeczy podkreśliły. Zdemaskowały przedewszystkiem jeszcze raz bezprzykładny w swoim cynizmie i bezeczności kierunek kształtowania się psychiki młodego pokolenia wśród żydów. To młode pokolenie, kształcące się w szkołach państwowych polskich, o języku wykładowym polskim, przystosowywujące się do nowych warunków życia w pozorach zewnętrznej asymilacji językowo-kulturalnej kształtuje w sobie i wyrabia ciemny typ zdecydowanego wroga religji, narodowości i państwowości polskiej. Co wyrośnie z tego pokolenia młodych żydów i żydówek, jeżeli już teraz roją się od nich szeregi komunistyczne, jeżeli w pewnych wypadkach, jak się okazało, nie potrafią już nawet ukryć barbarzyńskiej nienawiści do religji katolickiej

i jej obrzędów. Jakich twardych i skutecznych środków będziemy musieli w przyszłości wobec nich użyć, aby zmusić ich do poszanowania naszej św. wiary i praw narodowych!

A z drugiej strony przypatrzmy się, jak zareagowała na wypadki lwowskie nasza prasa sanacyjno-radykalna. Co za rozwydrzenie słowa, steki kłamstw i matactw, aby tylko przekręcić fakty, aby usprawiedliwić żydów, a potępić Polaków w opinji kraju, a może i zagranicy. Nie chodzi nam już o pp. Wasserzugów, czy innych Heckerów. Okazało się, że polski dziennikarz obozu radykalnego, nie znajduje już w swoim umyśle i sercu, ani słowa potępienia dla żydów, znieważających Najświętszy Sakrament. Co za ohyda, co za głębia upadku moralnego! Polska radykalja odsłoniła jeszcze raz swoje potworne oblicze tryglodytów moralnych, ziejących nienawiścią do wszystkiego, co katolickie...

Ale wypadki te miały i swoją dobrą stronę. Jest nią wykazana potęga i moc uczuć katolickich wśród młodzieży akademickiej. Nie chodzi tutaj o rozbijanie sklepów żydowskich, czy demolowanie lokali — to są epizody drugorzędnego znaczenia, o które będą się spierać zawodowi adwokaci w sądach... Chodzi o stokroć ważniejszy przejaw siły i energji.

Polska młodzież katolicka stanęła murem w obronie znieważonych świętości religijnych i wobec całego kraju oraz zagranicy zamanifestowała swoją zdecydowaną wolę twardego odparcia wszelkich zamachów na nasze wierzenia i obrzędy religijne. I odczuliśmy wszyscy w tym momencie, że świeży powiew, od kilku lat nie odczuwany przeszedł przez organizm naszego społeczeństwa, budząc z uśpienia słabych i leniwych. Tak, jakby śpiący olbrzym z bajki poruszył się i drgnął...

Czy wstanie?... *St. K-ski.*

Powstanie i rozwój szkolnictwa handlowego w Polsce

II.

W Uniwersytecie Wileńskim naukę o handlu wykładał Jan Znosko (1817), dzierżąc katedrę ekonomji politycznej. Wykład swój podzielił na: 1) ek. polit. ściśle wziętą, 2) naukę o do-

chodzie publicznym, 3) naukę o handlu w/g dzieła Jana Jerzego Büscha. [1]) Po nim następuje prof. Jan Waszkiewicz, autor dzieła „Nauka o handlu", ujętego w formę ścisłego i zwięzłego wykładu, — dalej „Historja banków" i „Nauka ekonomji dla płci pięknej".

W okresie tym rozwija się dość liczna literatura handlowa, poświęcona wszelkim przejawom życia handlowego i naukom z nim związanych. Dają się słyszeć coraz liczniejsze głosy o potrzebie założenia instytutu handlowego. Jeden z nich, apelując do społeczeństwa, proponuje „ustanowienie w Warszawie Głównej Szkoły Handlowej" na wzór podobnej w Paryżu.

W roku 1817 powstaje samorzutnie Zgromadzenie Kupców, o charakterze korporacji zawodowej—oraz Izby Handlowe. W parę miesięcy później—powstała Giełda.

Szkolnictwo zawodowe się rozwija. Powstaje Szkoła Leśna, Agronomiczna, liczne szkoły rzemieślniczo-niedzielne, a w roku 1820 zradza się projekt założenia politechniki polskiej w Warszawie, jednej z najpierwszych w Europie, —z wydziałem handlowym. Od roku 1829 rozwój „Instytutu politechnicznego" był zapewniony.

Wydział handlowy, posiadający specjalny statut, zapewnia słuchaczom w artykułach od 6 do 12 nauki ar. handlowej, księgowości, korespondencji, geografji handlowej, towaroznawstwa, wreszcie art. 12 dotyczy t. zw. „Kantoru praktycznego", mającego na celu dać młodzieży naukę praktyczną pod osobistem kierownictwem profesorów.

Wskutek niezrozumienia zupełnego przez społeczeństwo doniosłego znaczenia nauk politechnicznych, frekwencja w „Instytucie" była niewielka, niemniej — nieliczne jednostki, które z niego wyszły, w czasach późniejszych wielkie zasługi dla Kraju położyły. Wydział handlowy w roku 1829/30 liczył tylko jednego słuchacza, a był nim Leopold Kroneneberg, organizator późniejszy wielu instytucyj gospodarczych, oraz założyciel „Szkoły Handlowej Prywatnej". (1875).

Dalszy rozwój szkolnictwa utrudnił rok 1830/31. Szkolnictwo wyższe upadło. Dopiero po przerwie blisko 15-letniej, w lipcu 1845 r., Bank Polskj występuje z projektem założenia

---

[1]) Por. „Rozwój szk. handl. w Polsce" W. Byszewski str. 29.

w Warszawie szkoły handlowej. Projekt ten, za zezwoleniem rządu urzeczywistniony został dopiero w r. 1855 w formie nieco zmienionej, mianowicie otworzono Szkołę Niedzielno-Handlową dla pracowników handlowych. Gdy jednak szkoła ta okazała się niewystarczalną, staraniem Zgromadzenia Kupców uruchomione zostały kursa handlowe wieczorne. O potrzebie ich świadczy chociażby fakt wielkiej ilości uczniów, których liczba w ciągu 50 lat zbliżała się do 30 tysięcy.

Dalszy rozwój szkolnictwa zawodowego stawał się coraz trudniejszym, gdyż stale rozbijał się o celową i metodyczną politykę zaborców, dążących nietylko do wynarodowienia ale i zatuszowania i zgłuszenia wszelkich odrębności w dążnościach ekonomiczno-gospodarczych.

Prowadzona w ten sposób walka z żywotnością narodu mogącego dać upust rozradzającym się siłom w kierunku handl.-' gospodarczego życia, narodu, który stając się silnym, zacząłby zagrażać isniejącemu stanowi rzeczy wojną ekonomiczną,--powtarzam, prowadzona w ten sposób walka, przetrwała aż do dni ostatnich niewoli.

„Szkoła Handlowa prywatna" L. Kronenberga przetrwała zaledwie 25 lat, gdyż już w 1900 roku, z przyczyn natury politycznej przez Apuchtina została zamknięta. O utworzeniu nowej narazie nie mogło być mowy, to też wychowankowie zamkniętej, postanowili skierować wszystkie swe siły w kieruku uprzemysłowienia kraju i podniesienia handlu. Powstało koło b. wychowańców szkoły,

Po roku 1905, gdy sytuacja w kraju nieco się zmieniła, dzięki inicjatywie jednego z b. Kronenberczyków, A. Zielińskiego, powstały „Kursy Handlowe" jego imienia, które później miały się przekształcić w „W. S. H. w Warszawie".

Przez cały czas niewoli prym w rozwoju szkolnictwa handlowego wiodło bezsprzecznie, dla zrozumiałych zresztą łatwo przyczyn, b. Królestwo Kongresowe. W czasach późniejszych przyczynił się do tego w niemałej mierze fakt, że wszystkie szkoły handlowe były poddane opiece liberalniejszego ministerstwa przemysłu i handlu.

Pod zaborem pruskim, na wzór niemieckich szkół, rozwijają się specjalnie handlowe szkoły uzupełniające, ponadto istnieją szkoły handlowe realne, oraz wyższe realne.

Cała Galicja posiadała te same typy szkół, co kraje austrjackie, więc: 1) szkołę uzupełniającą; 2) szkołę dwuklasową; 3) wyższą szkołę t. zw. akademję handlową; 4) kursy abiturjentów i 5) liczne kursa jednoroczne dla kobiet.

Jak widzimy z tego wszystkiego, były to wszędzie szkoły dorównujące poziomem zaledwie szkołom średnim, a co gorsze, nie mogące dać materjału nauczycielskiego do dalszego rozwoju rozkwitającej nauki.

Z chwilą uzyskania niepodległości Polska, stanęła przed nowem, wielkiem i trudnem zadaniem stworzenia takiej szkoły, która w możliwie najkrótszym czasie dałaby społeczeństwu szereg ludzi wykwalifikowanych, zdolnych, wychowanych w atmosferze niezależnej, — szkoły, dającej im wszystko to, co będzie dla nich niezbędnem, by zadośćuczynić wszystkim potrzebom i wymaganiom polskiego życia gospodarczego, o tak swoistych i specyficznych cechach, których zrozumienia nie rozwiązałaby żadna ze szkół wyższych zagranicą.

Braki naszego ekonomicznego wykształcenia okazały się ogromne. Wykszałcenie prawne nie rozwiązało należycie zagadnienia ekonomiczno-handlowego, czego najlepszym dowodem jest chociażby fakt podkreślany przez L. W. Biegeleisena, że wśród wielkiej ilości c k. urzędników w Galicji, z wyższem wykształceniem prawniczem, nie było ludzi wyróżniających się w umiejętnościach społeczno-gospodarczych, gdyż ekonomja społeczna, a zwłaszcza polityka ekonomiczna, wykładane na uniwersytetach austrjackich, były zawsze mniej lub więcej traktowane po macoszemu i to traktowane celowo.

Polska Odrodzona przystąpiła odrazu do naprawy szkód dziejowych. Szkoła A. Zielińskiego, po całym szeregu ciężkiej, lecz niemniej owocnej pracy, w warunkach mało sprzyjających pomyślnemu rozwojowi, przetrwawszy okres uciemiężenia, pnąc się po szczeblach do możliwie najwyższego poziomu, — doczekała się zrównania ze szkołami typu akademickiego i w ten sposób przejęła na swoje barki odpowiedzialność rozwiązania problematu wyższej uczelni handlowej w Polsce.

Powstało również „Wyższe Studjum Handlowe" w Krakowie, wzorujące się już na typie polskiej wyższej uczelni handlowej, jaką się stała „W.S.H." w Warszawie.

Jeżeli chodzi o statystyczny przegląd naszego szkolnictwa handlowego, to składało się ono w r. 1925 (w/g danych przez prof W. Byszewskiego) z : uruchomionych 15 nowych szkół handlowych, trzech gimnazjów handlowych starego typu, 15 szkół handlowo-przemysłowych żeńskich, 83 kursów handl. prywatnych i 133 klas handlowych przy ogólnokształcących szkołach dokształcających.

Rzeczą niezmiernie ciekawą i charakterystyczną jest to, że na 1134 nauczycieli, zaledwie 7% posiada wyższe wykształcenie handlowe, 38% wyższe niehandlowe, reszta zaś — bez studjów wyższych.

Na tem zasadniczo należałoby zamknąć ten krótki rzut oka na powstanie i rozwój szkolnictwa handlowego w Polsce. Słów jeszcze parę o tem, czego wyższe szkoły handlowe u nas mogą i muszą wymagać od swoich wychowanków?

A więc przewszystkiem i tylko: szerzenia jaknajlepszej opinji wśród społeczeństwa, które nierozumie jeszcze i niedocenia doniosłego znaczenia i zadania Szkoły.

Czas najwyższy widzieć handel oczyma Staszica i tak go zrozumieć, jak on był go pojął. *Tadeusz Baranowski.*

Istotne oblicze teozofji.

Jak pisze w jednym ze swoich artykułów Teresa Lubińska, autorka kilku cennych książek katolickich, u „nas, w Polsce pokutuje, zwłaszcza śród kobiet przekonanie, że można być katoliczką-teozofką". Miemanie to jest dość szeroko rozpowszechnione, a właściwem źródłem jego i właściwemi kolporterami jego są „apostołowie" teozofji z niezmordowaną w wygłaszaniu odczytów propagandowych Wandą Dynowską na czele. Wedle ich zapowiedzi, doktryna owa ma być znajomością rzeczy Boskich, tymczasem przed niedawnym czasem wyszło szydło z worka: oto okazuje się, że jest to całkiem coś innego.

Dnia 6 stycznia 1929 r. na łamach warszawskiej „Epoki" wślad za paryskim „Intransigeant'em" ukazał się wywiad z „nowym Mesjaszem", Jiddu Krishnamurti'm. Z interwiewu tego

łatwo jest odtworzyć sobie sylwetkę duchową tego filaru teozofji współczesnej. Jest to mianowicie typowa natura wschodnia, marzyciel wielki, żyjący w sferach wyobraźni, ale mniejsza o to, bo tu obchodzi nas inna kwestja. Kiedy czyniąca wywiad z nim dziennikarka zapytała go, jakie to są cele doktryny teozoficznej, Krishnamurti odrzekł: „Uwolnienie życia ze wszystkich krępujących więzów. Dokonać tego można po wyczerpaniu miary wszelkich doświadczeń, tem samem wyswobodziwszy się z ich jarzma. Osiąga człowiek wtedy pełnię życia, jednoczy się z życiem wszechświata, wkracza na zawsze w Królestwo Szczęścia".

Odpowiedź ta jest bardzo mętna, niewyraźna, ma wszelkie pozory odpowiedzi dyplomatycznej, o co więc chodzi właściwie „nowemu Mesjaszowi", trudno z niej zgadnąć. Jest to naprawdę zagadka, czy jakiś logogryf, ale na szczęście w sukurs przychodzi tu inne dzieło Krishnamurti'ego, tym razem patetyczny poemat p. t. „Szukanie".

Poetycki utwór ten ukazał się przed niedawnym czasem w przekładzie polskim, „osławionej" Heleny Potulickiej, opowiada w nim zaś autor o swoich poszukiwaniach ideału. Tam Krishnamurti mówi z egzaltacją:

„Jak góral wspina się po zboczach,
za każdym krokiem zrzucając ciężary,
i ja się wdzierałem na szczyty,
precz odrzucając wszystko, co znikome".

Wśród szeregu egzaltowanych eksklamacyj od czasu do czasu zjawiają się wyznania, które dają poznać istotę teozofji. Jakie to mianowicie więzy ma „nowy Mesjasz" na myśli, z czego się wyzwolił on sam i z czego wyzwolić się każe zwolennikom swego systematu, świadczy ustęp poniższy:

Przesądom twoim nie masz granic,
dawnym i nowym, jeszcze nieznanym.
Wyzwól się z ciasnoty tradycji, zwyczaju,
z ciasnoty uczuć, myśli,
z czci i uwielbienia,
z ciasnoty religji, narodu, rodziny...,
z ciasnoty miłości, przyjaźni,
z Boga twojego ciasnoty
i ciasnej drogi wiodącej ku Niemu...
z ciasnoty nauk, praw".

Ojczyznę ten pseudoreformator uznaje za rzecz szkodliwą, zagradzającą rzekomo drogę do szczęścia, a ponadto zdobywa się na zaprzeczenie istnienia Boga, Stwórcy wszechrzeczy, zwracając się do człowieka:

„W tobie jedynie jest Bóg, i niema innych bogów.
Tyś Bogiem".

Rojenia Krishnamurti'ego, będące powtarzaniem zaśniedziałych błędów, przypominają zupełnie doktrynę bolszewicką, a zatem teozofja — to poprostu bolszewizm filozoficzny, który toruje drogę bolszewizmowi społecznemu. Teozofja — to rodzony brat bolszewizmu. Szerzenie teozofji na ziemiach polskich przedstawia się bardzo podejrzanie, bo grozi niebezpieczeństwem dla państwa. Taki stan musi ulec zmianie niezwłocznie.

Osoby, szerzące tę mdłą doktrynę, jeśli cierpią na histerję, należy posłać na kurację do szpitali, jeśli są przy zdrowych zmysłach, a czynią to w pewnym określonym celu, pozbawić trzeba prawa wygłaszania odczytów i wydawania wydawnictw propagandowych, jako szkodzących bezpieczeństwu państwa, wszyscy zaś katolicy polscy raz na zawsze zrozumieć powinni, że katolikiem i teozofem jednocześnie być nie można z tego względu, iż teozofja szerzy jawnie całkowity ateizm.

W pamięci odtąd mieć stale musimy słowa Ojca św. Benedykta XV, który w wydanym przez siebie dekrecie ogłasza: „Zwrócić należy uwagę, że teozofja jest śmiertelnym wrogiem chrześcijaństwa, a specjalnie katolicyzmu, choć niby głosi tolerancję dla wszystkich religij". Taki oto jest sąd Stolicy Apostolskiej o systemacie teozoficznym i przyjąć go musi obowiązkowo każdy członek Kościoła katolickiego.

Stanisław Żelechowski.

Precz z polityką!

Polacy nienawidzą polityki pasjami... Może właśnie dlatego są jednym z najbardziej rozpolitykowanych społeczeństw na świecie.

Przeciętny obywatel Rzeczypospolitej, zaproszony na zebranie, dajmy na to, towarzystwa wioślarskiego, czy łyżwiarskiego, lub związku racjonalnej hodowli opasów, zastanawia

się długo nad tem, czy warto zająć się polityką, następnie, do jakiej grupy politycznej wstąpić: do prawicy, lewicy, centrum, czy demokracji postępowej, a następnie po powzięciu decyzji, bierze udział w burzliwym zebraniu członkowskiem, podczas którego niema wcale mowy o wioślarstwie, lub opasach, natomiast wygłasza się płomienne przemówienia na temat traktatów locarnenskich, oraz ustosunkowania prawego centrum tramtramdracji do lewicy bebecede.

Taki objaw na zachodzie nazwanoby politykomanją i powiedzianoby: Hic Abdera!

Ten że sam nasz przeciętny obywatel z uniwersyteckim wykształceniem, gdy podczas wyborów do Sejmu i Senatu zaproponują mu współudział w tem, czy w innem ugrupowaniu politycznem—machnie ręką, lub potraktuje swego interlokutora en canaille, a już w żadnym wypadku nie zada sobie trudu zapoznania się z programami, poszczególnych list, głosować nie będzie wcale, albo też przypadkowo według ostatniej fanaberji, potem tylko po wyborach będzie wyrzekał strasznie i wymyślał na wszystko: na drożyzny, na rząd, Sejm, na Senat i t. d.

Polityka i politykomanja — to dwie różne rzeczy.

Całą swoją energję wyładował na politykomję, na poziome intrygi i personalno-grupkowe animozje, więc nie starczyło już jej wówczas, gdy naprawdę trzeba było dla dobra kraju zastanowić się poważnie, jakiemu kierunkowi należy udzielić poparcia.

Taki objaw na zachodzie nazwanoby indyferentyzmem politycznym i pokiwanoby smutnie głowami.

Coś podobnego było w starożytnej Abderze. Gdy wynikła kłótnia „o cień osła", całe miasto podzieliło się na zwalczające się, nawet krwawo „stronnictwa" — natomiast, gdy chodziło o ważne sprawy municypalne, abderyci załatwiali je po abderycku...

Zaiste, difficile ect satiram non scribere...

* * *

Z ponad całego narodu polskiego najbardziej nienawidzą i lękają się polityki dobrzy chrześcijanie i katolicy, a zwłaszcza ta najlepsza inteligencja katolicka, sam kwiat i rdzeń na-

rodu. Może nie o wszystkich można tak powiedzieć, ale w każdym razie, o olbrzymiej większości.

Polityka jest trudna, wymaga wysiłku umysłowego. Trzeba się namyślać, zastanawiać, badać, czyj program jest lepszy, kto ma słuszność w danej konkretnej sprawie, ważnej dla życia polskiego, — nie tylko „in thesi", lecz także „in hipothesi" – a jeżeli się należy, przepraszam za wyrażenie, do stronnictwa — to trzeba płacić składki, bywać na zebraniach, czasem z tym, lub owym się wykłócić—jednym słowem to wymaga ofiar, wysiłku, energji i poświęcenia.

Czy nie wygodniej zasiąść w głębokim, wyściełanym fotelu, zagrać w bridżyka, zjeść kolacyjkę, panie dobrodzieju, potem porozmawiać o rzeczach miłych, sympatycznych, bezspornych, podrzemać sobie, przeczytać coś lekkiego, a od czasu do czasu nagderać, nawymyślać (dobrze robi na wątrobę), że to wogóle stosunki u nas w kraju... niętęgo... że ta polityka – to do luftu.

* * *

W jednej z komedyj, zdaje się, Zabłockiego występuje pewna niewiasta, która, dowiedziawszy się, że satyra stołeczna zajmuje się jej osobą, chciała ją (satyrę) zastrzelić z krucicy.

Podobne wrażenie robią niektórzy — skądinąd nawet poważni—działacze, którym się zdaje, że głównym zadaniem ich pracy jest wyplenienie wszelkiej myśli i działalności politycznej z terenu ich działania.

Usiłowania te, które możnaby porównać do polowania z bronią palną na... politykę byłyby nadzwyczaj zabawne, gdyby nie prowadziły do smutnych następstw, oczywiście dla inicjatorów.

Powstaje w ten sposób sytuacja paradoksalna, że ludzie ci zamiast pracować w danej organizacji apolitycznej metodami jej właściwemi psują i łamią jej działalność swemi nerwowymi posunięciami.

Chciałbym być dobrze zrozumianym. Nie chodzi mi o to, aby np. organizacje naukowe, religijne, czy społeczne zajmowały się polityką, wchodząc niewłaściwie w kompetencję stronnictw. Broń Boże. To byłaby właśnie politykomanja, którą scharakteryzowaliśmy na początku. Chodzi o coś biegunowo przeciwnego, a mianowicie, aby zbytnia nadwraźli-

wość antypolityczna, dochodząca czasami do histerji, nie zatruwała życia danej organizacji apolitycznej i nie przeradzała się w coś paradoksalnego—w politykomanję antypolityczną.

Nie zapominajmy bowiem, że politykomanja, czyli t. zw. inaczej „politykerstwo" ma swoją stronę pozytywną i negatywną. Pozytywna—jest czemś w rodzaju histerycznej, wynaturzony, miłości do polityki i polega na wprowadzaniu fikcyjnych, czy faktycznych antagonizmów partyjnych, tam, gdzie one są nie na miejscu, dajmy na to do... Bratniej Pomocy Uniwersytetu Warszawskiego... Negatywna zaś—jest znowu histeryczną nienawiścią do polityki i partji politycznych, objawiającą się w ciągłym nerwowym, a dochodzącym do histerji szukaniu i węszeniu polityki i partyjności, tam, gdzie one się nie znajdują. W rezultacie swoim konkretnym obydwa przejawy stanowią właściwie dwie strony jednego i tego samego medalu i są ogromnie niebezpieczne dla życia każdej organizacji, nawet politycznej.

Takie wypadki widziałem na własne oczy. Zarząd pewnej organizacji zaprzestał wszelkiej działalności społecznej dlatego tylko, że podobna działalność społeczna, nic zresztą wspólnego z polityką w ścisłym znaczeniu nie mająca, była również prowadzona przez jedno ze stronnictw politycznych. Zarząd ten — dodajmy — przez dłuższy czas wcale nie pracował—gdyż zajęty był wyszukiwaniem i odpieraniem rzekomego i istniejącego tylko w wyobraźni histerycznych jego członków — niebezpieczeństwa opanowania organizacji przez dane stronnictwo. Hic Abdera!

* * *

Ależ nie, nie! Nie zamierzam wcale namawiać Was — Szanowni Czytelnicy — ani do abecedecji, ani do tramtramdracji, ani do żadnej innej partji, zastrzegam się wyraźnie. Wyzbądźcie się tych podejrzeń i przeczytajcie spokojnie resztę artykułu.

* * *

Znałem pewnego jegomościa, który miał specjalny rodzaj zboczenia umysłowego — nie uznawał pogody i wogóle się nią nie zajmował, a zachowywał się tak, jakby nie istniała. Oczywiście pogoda skutkiem tego nie zmieniła się ani na jotę, ponieważ zaś mój znajomy wychodził na deszcz bez parasola,

na mróż bez palta, odczuł wkrótce dotkliwie na własnej skórze skutki nieliczenia się z temperaturą i zmianami atmosferycznymi. Jednym słowem gość ów nie zajmował się wcale pogodą, ale pogoda nim zajmować się nie przestała.

Polityka—wiadomo—„mala bestia", „bète noire", coś wstrętnego, budzącego obrzydzenie w poczciwych ludziskach. Najlepiej więc nią się nie zajmować. Precz z polityką!

Ba — tylko w tem sęk, czy ona t. j. niby polityka nami przestanie się wówczas zajmować. Bo, jeżeli nie... to może być kawał. Wiadomo, rozmaicie bywało i we Francji, i w Meksyku i w Sowietach.

Może się zdarzyć, że my t. j. niby inteligencja katolicka zdrzemniemy się na wygodnych, wyścielanych fotelikach, gwarząc sobie o rzeczach bardzo miłych i sympatycznych, a tu tymczasem przyjdzie bliska przyjaciółka polityki — Rzeczywistość z twarzą Combesa, a może nawet i Callesa i wstrząśnie brutalnie za ramię... Takie przebudzenie byłoby smutne i niesławne! *S. J. K.*

Moja brzoza.

Kiedy na niebie rozbłyśnie słońce
I żarem promieni pali,
W letniej niedzieli ranki gorące
Idę się modlić w cichej oddali,
Idę się modlić pod moją brzozę...

Leśne gwoździki drżą u stóp drzewa
W mojego Kościołka progu,
Nad moją głową skowronek śpiewa
Na chwałę Panu i Bogu...

U stóp mych pola i barwne kwiaty,
Aż wzrok się do nich wyrywa.
Płyną dziękczynne modły w zaświaty:
Jestem chwilami szczęśliwa.

Dobrze jest modlić się w tej ustroni
Pod brzozą o białej korze...
I głowę tylko nisko się kłoni
W hołdzie i wielkiej pokorze.

Modlitw, to długich świadek jedyny
O szczęście ludzi, o ciszę...
Wiotka gałązka białej brzeziny
Nad głową schyloną kołysze.

Szczęścia, pokoju proszę dla ludzi,
Dla tych co smutni i moi.
Bóg się prośbami memi nie znudzi,
A brzoza — łzy me ukoi.

Mar. Witkowska

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Poeta państwowości polskiej rzecznikiem świętości rodziny i małżeństwa.

U źródeł każdego wielkiego talentu znajdziemy intuicję podwójną: intuicyjne dopełnienie w ujęciu potrzeb chwili współczesnej i wnikliwe przeczucie najważniejszych problematów niedalekiej przyszłości.

Artysta każdy bowiem, nietylko bierze tworzywo ze swej epoki, syntetyzując jej ducha i dążenia w dziele sztuki, lecz w szacie piękna przekazuje je potomności. Z czujnego podłoża jego psychiki wyłania się też, nawet niezawsze w pełni uświadomiona, projekcja przyszłych zagadnień: stąd nazwa wieszczów dla tych, którzy w błyskawicy natchnienia odchylili rąbka zasłony.

Prawda to stara, stwierdzona dziejami piękna we wszystkich dziedzinach, nigdzie jednak może nie zaznacza się tak dobitnie jak w historji ducha i umysłowości narodu naszego po rozbiorach.

Cały długi okres od ostatnich dziesiątków 18-go wieku do wojny wszechświatowej jest tego wybitnym dowodem. Poezja wieszcza dźwigała zwyciężone pokolenie popowstaniowe ideą posłannictwa Polski i nawoływaniem do odrodzenia w duchu ponad bolesną rzeczywistość, odsłaniała też gdzieś, w mglistej dali, w nieokreśleniu przestrzeni i czasu wizję zmartwychwstałej ojczyzny, lecz były to „jutrzenki" i „przedświty" tylko. Bliższym „zbawienia słońca" i tętna politycznie powstającej ojczyzny był Wyspiański.

Niedostrzegalna dla oka wśród społeczeństwa lat 90-tych w ówczesnej Galicji zieleniła się ruń wypadków, z których wykłosić się miało złote żniwo naszej niepodległości.

Wyspiański wyczuł to kiełkowanie podziemne i na łanie poezji naszej wyoruje pierwszą skibę dla „państwa polskiego". Prosi o nie w modlitwie u żłóbka Chrystusowego, a choć przeciwstawiając się mesjanistycznej koncepcji życia, woła w pełni poczucia siły:

Zwyciężę na *tej ziemi*
Z tej ziemi „państwo" wskrzeszę

dodaje zaraz w zrozumieniu zależności od Boga:

„Synami my Twojemi
Błogosław czyn i rzeszę.

Realnie ujętemu państwu polskiemu wskazuje poeta niemniej realnie obowiązki. Roztoczyć ma czujną opiekę nad narodem, strzegąc przedewszystkiem czystości obyczajów i z nią najściślej związanej świętości i nietykalności małżeństwa i rodziny. Przepiękny obraz kojarzący wizję najświętszej z rodzin na ziemi z ujęciem istoty chrześcijańskiego małżeństwa dał nam poeta w inscenizacji, służącej za tło modlitwy u żłobka w „Wyzwoleniu".

Oto dziecię w kolebce
Matka nad niem schylona
Około niej anieli?
Dom że to mój? mnie żona?
Któż te słowa mnie szepce:
Ta z tobą dolę podzieli.
Koniec memu błąkaniu
Koniec mojej udręce
W czyjemże to szeptaniu:
Z tą ślubem sprzęgniesz ręce...

Rodzina i dom jako świętość społeczna doczekały się w niewielu utworach świata tak prostej a ciepłej apotezy.

„Koniec mojej udręce" — „koniec memu błąkaniu" — dlaczego? bo „ślubem sprzęgnięte ręce" z tą, która odtąd podzieli wszelką jego dolę.

Zjawia się też zaraz Hestja, kapłanka domowego ogniska i jej to, która strzeże „ogniska ołtarza" daje poeta w rękę pochodnię, symbol wolnej odrodzonej duszy.

Zarzuci kto może, że to poezja tylko — czyż obrazem i symbolem żyć można i działać?

Wyspiański uderza w sam rdzeń sprawy, czyniąc to nowe, z krwi i łez pokoleń zmartwychwstające państwo odpowiedzialnem za moralność społeczeństwa i stróżem czystości obyczajów. Pierwszy postulat zmierzający ku realizacji tego zadania, to cenzura narodowa. „Powinna być cenzura narodowa" powiada Wyspiański: cenzura na książki, kina, wido-

wiska, obrazy, cenzura chroniąca od zepsucia i gangreny deprawacji młodzież — a druga brzmi nie mniej stanowczo: „nie powinniśmy pozwolić marnować... naszych dziewcząt... a to tylko może zrobić polski rząd”, „obcy ten, który kradnie krew narodu”, a więc walka wypowiedziana uprawnionej nieobyczajności, a „obcym” jest każdy, który krzywdzi społeczeństwo a w szczególności dziewczęta, przyszłe żony i matki.

Nie w „Wyzwoleniu” tylko podkreśla Wyspiański znaczenie rodziny i małżeństwa, choć nigdzie tak dobitnie. W „Akropolis” wkłada w usta Sii (żony Jakóba brata Ezawowego) z Rachelą następujące znamienne słowa:

Dzieci mu dałam (Jakubowi)
Cześć ci zachował dla mnie samej
Bom mać jego narodu.

(Akropolis akt III str. 15).

Temi słowy druzgoce nadzieje siostry, wierzącej w potęgę swej miłości dla Jakóba.

Cześć dla kobiety wogóle, a w szczególności dla kobiety-matki, o to upominają się coraz częściej na łamach pism katolickich, (artykuł ks. Podoleńskiego: „O poszanowaniu kobiety” „Przegląd powszechny”, marzec 1929) lecz na to, by rodzina zajaśniała znów w blasku dawnych cnót, trzeba współdziałania, trzeba aby niewiasta dawnym obyczajem była przedewszystkiem kapłanką domowego ogniska, mężczyzna zaś, ojciec mąż czy brat niech pamięta:

Wziąć topór oburącz
I siąść stróżem u proga. (Wyzwolenie)

Dziś, gdy prądy wyrotowe podważają niszczącą falą najświętszą ostoję rodziny: nienaruszalność węzła małżeńskiego, a kiedy całe katolicko myślące i żyjące społeczeństwo zrzesza się i szereguje, aby przeciwstawić swą akcję zalewowi zepsucia, dobrze jest przypomnieć sobie, że ci, którzy intuicją i talentem przodowali w narodzie, wyczuli na lata naprzód, grożące niebezpieczeństwo i swoistą bronią t. j. pięknem słowa i obrazu walczyli o nietykalność najświętszych podstaw i podwalin bytu narodowego i społecznego zdrowia.

Celina Stoińska.

Głos Świętego Proboszcza z Ars.

Słynne były katechizmowe nauki proboszcza z Ars, słynne jego kazania, pełne jakiejś tajemniczej wnikliwości. Rozmaite poczyniono z nich wydania. Dajemy tutaj tłumaczenie kilka fragmentów.

1. Pycha jest to niesprawiedliwe mniemanie o nas samych, takie odczucie siebie, które usposabia nas do myślenia, iż jesteśmy tem czem w rzeczywistości nie jesteśmy.

Pyszny sam o sobie źle mówi, by go bardziej chwalono.

Im bardziej się on uniża i poniża, tem więcej, tem bardziej stara się on wysoko w górę wynosić swoje nędzne nic.

Opowiada o tem co zrobił i o tem czego nie zrobił. Swą wyobraźnię karmi pochlebnemi słowy, które wyrzeczono o nim i wszelkimi możliwymi środkami stara się podnieść się w cenie. Nigdy bowiem nie jest syt pochwał. Oto patrzcie moje dzieci: gdy tylko, choćby maluczko nawet pokażecie niezadowolenie człowiekowi pewnemu siebie, a wnet on się gniewa, dąsa i oskarża was o nieuctwo i brak względów, o niesprawiedliwość względem siebie...

Dzieci moje! jesteśmy w rzeczywistości tem, czem jesteśmy w oczach Boga i nic więcej. Czyż to nie jasne, czyż to nie sama oczywistość, iż jesteśmy niczem, iż nic nie potrafimy iż nie możemy nic i że bardzo jesteśmy nędzni?

Czyż można z przed swych oczu wypuszczać swe grzechy i nie upakarzać się ciągle.

Gdybyśmy dokładnie a dorze zastanawiali się nad tem, czem jesteśmy naprawdę, pokora byłaby nam łatwą i szatan pychy nie miałby wstępu do naszego serca.

Patrzcie: oto dziś naprzykład jest się pełnym zdrowia, a jutro być może śmierć przyjdzie nas skosić, sprątnąć nas z pola, tak jak wy kosicie zboże, i zbieracie siano z łąk waszych...

Chwała tego świata, młodość, zaszczyty, bogactwa, jakże to wszystko prędko mija.

A więc tak: myślmy, iż przyjdzie dzień, w którym zostaniemy zmieleni na proch i że dzień ten bynajmniej nie jest oddalony.

Dobrzy chrześcijanie, dzieci moje, wiedzą o tem dobrze; to też nie troszczą się oni o swoje ciało, pogardzają dobrami tego świata i baczą tylko na duszę swą, by ją coraz ściślej z Bogiem połączyć.

Czyż doprawdy możemy być oddani pysze wobec przykładów upokorzenia się i uniżenia się i poniżenia, które Pan Jezus nam zostawił i których nam co dnia jeszcze udziela? Pan Jezus na świat ten przyszedł, wcielił się, urodził się jako biedny i ubogi. Na to, by żyć ubogim. Umarł na krzyżu, na na narzędziu kaźni między dwoma złoczyńcami..

Ustanowił On Sakrament, podziwu godny, niesłychany, nadzwyczajny, w którym On nam się udziela pod eucharystyczną osłoną.

W tym Sakramencie poddaje on się najbardziej dotkliwym upokorzeniom, upokorzeniom do prawdy zadziwiającym. Ciągle bowiem przestając na naszych ołtarzach, w tabernakulum, jest On opuszczony, zapoznawany przez ludzi niewdzięcznych, a jednakowoż ciągle kocha On nas dalej i pozostaje tu nadal dla naszej miłości.

O dziatki moje! popatrzcież na Chrystusa Pana. Wzrok wasz skierujcie na Jego krzyż, do którego przybiły Go nasze grzechy. Patrzcie: oto woła On nas i powiada do nas—przyjdźcie do mnie i uczcie się odemnie, żem ja słodki i pokornego serca! Jakżeż święci dobrze pojęli to zaproszenie, moje miłe dzieci! To też wszyscy oni szukali poniżenia i cierpień. Idąc więc za ich przykładem, nie obawiajmy się, aby nas poniżano, i aby nami gardzono.

Dziatki moje! Bóg nie żąda od nas rzeczy nadzwyczajnych, lecz chce, byśmy byli słodkimi, pokornymi i skromnymi. W ten sposób będziemy mu zawsze mili.

2. Łakomstwo bogactw, skąpstwo, jest to miłość wyprowadzona z należnego ładu, jest to rozkiełznana miłość względem dóbr tego świata.

A jakaż jest większa przeszkoda w prowadzeniu życia chrześcijańskiego, tego życia, przez które możemy uniknąć piekła i niebo osiągnąć?

Jest to przywiązanie do tych dóbr fałszywych, do tych omamiających, zdradzieckich bogactw, a także do przyjemności zmysłów. Ten kto dał się tak usidlić ponęcie dóbr tego

świata, pochylony jest nad ziemią i nie myśli już jak tylko o ziemi. W niebo on już nie patrzy. Szczęście jego już nie tam jest.

Patrzcie z jaką łapczywością zbiera on zasoby!

Z jakim niepokojem, i z jaką żądzą je gromadzi i zachowuje! Jak się żali i trapi, gdy w nich jaką stratę poniesie! Po środku swych bogactw, nie cieszy się on niemi ani ich nie używa. Jest on jakgdyby pogrążony w jakiejś rzece, w obfitym nurcie wody a jednak umiera z pragnienia. Złoto jego stało się dlań czemś świętem i nietykalnem, robi zeń swego bożka i cześć mu oddaje...

O dziatki moje! jakże dzisiaj wielu ludzi wróciło do pogaństwa właśnie w ten sposób. Jakże wielu takich, co bardziej myślą o zbieraniu fortuny niż o służeniu Panu Bogu? Ludzie kradną, popełniają fałszerstwa, wytaczają swym bliźnim procesy, nie szanują nawet praw pańskich. Pracuje się nawet w niedziele i święta i wszystko się wydaje dobrem dla naszych dłoni opanowanych żądzą i pełnych gwałtownych chęci! ..

Dobrzy chrześcijanie, dzieci moje, nie myślą o swem ciele, które ma zgnić, ani o bogactwach, które złodzieje unieść mogą.

Myślą oni o swej duszy, która jest nieśmiertelna.

Podczas gdy są na ziemi, nie zajmują się niczem innem, jeno swą duszą. To też patrzajcie, jak reguralnie uczęszczają oni na służbę bożą do Kościoła, jak chętnie tam przebywają i z jakiem przejęciem! Jak umieją oni uświęcać niedzielę, jak są skupieni podczas mszy świętej, a przytem, jacy szczęśliwi.

Widząc, jak jesteśmy obojętni na własne nasze zbawienie, jak bardzo zajęci zbieraniem grudek błota, czyżby niepowiedziano, że chyba nigdy nie mamy umrzeć? Zaprawdę jesteśmy podobni do ludzi, którzyby podczas lata robili bogate zapasy owoców, melonów, arbuzów i t. p. jakby na długą drogę. Lecz coby z tego wszystkiego pozostało po mrozach jednej zimy? Nic.

Podobnie skąpcowi, złemu bogaczowi, cóż się z tych wszystkich jego dóbr zostaje, gdy go śmierć pochwyci. Prześcieradło śmiertelne, cztery deski i rozpacz, iż złota swego ze sobą zabrać nie może.

Dobry chrześcijanin, to chciwiec niebieskiego dobra, mało daje baczenia dobrom tej ziemi. On myśli tylko od tem, jak przyozdobić swą duszę i jak zbierać, to co ma trwać wiecznie i wiecznie go zadawalniać. Święci nie byli przywiązani do bogactw, tak jak my jesteśmy. Lecz byli oni przywiązani do tego, co ma ich napawać radością przez wieczność całą. Ziemia cała nie może pomieścić jednej nieśmiertelnej duszy, podobnie jak szczypta mąki, dana do ust głodnemu, nasycić go nie może.

Naśladujmy świętych i dobrych chrześcijan i ponad wszystko ubiegajmy się o dobro wieczne.

Prostota tych słów promienieje dziwnym urokiem. Widzi się w duchu starą, prostą, drewnianą kazalnicę przechowywaną jeszcze w Ars, z której św. proboszcz wygłaszał swe nauki. Zdają się one mówić o rzeczach bardzo znanach, a jednak czynią to jak człowiek, który widział w nieprzebranym morzu światła, które ogłasza, a które z taką miłością chciałby wpoić do duszy każdego.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Z ruchu odrodzeniowego.

Katolicka Młodzież Narodowa połączyła się z „Odrodzeniem".

Podczas Zielonych Świątek obradowała w Warszawie Rada Naczelna „Odrodzenia" akademickiego, która ostatecznie ustaliła i zaakceptowała warunki połączenia się „Katolickiej Młodzieży Narodowej" z „Odrodzeniem."

Organizacja „Katolickiej Młodzieży Narodowej" powstała, jak wiadomo, pod koniec roku 1926-go, założona przez kilku b. członków „Odrodzenia" i funkcjonowała tylko na terenie Warszawy, mało różniąc się swoją ideologją i zakresem dążeń i aspiracyj od koła Warszawskiego „Odrodzenia".

Połączenie się takich dwóch organizacyj, podobnych ideowo i psychicznie, które daje „Odrodzeniu" kilkudzie-

sięciu wyrobionych, nowych współpracowników, powitać należy, jako dodatni objaw zcalania się ruchu katolickiego na terenie akademickim oraz życzyć inicjatorom tego połączenia, aby dzieło ich wytrzymało próbę życia i doprowadziło do pozytywnych wyników i rezultatów.

Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej „Odrodzenie“.

To skrzydło ruchu odrodzeńczego na terenie robotniczym założone przez kilku senjorów ruchu rozwija się planowo i systematycznie, rokując coraz większe nadzieje na przyszłość.

W ciągu roku 1928 i 1929 powstało ogółem 16 kół Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej, a mianowicie: w Warszawie, Łodzi, Zawierciu, Pabjanicach, Zduńskiej Woli, Zgierzu i Pruszkowie.

W maju r. b. został zarejestrowany statut Związku, którego terenem działalności jest cała Polska, a siedzibą władz centralnych Warszawa.

W dniach 29 i 30 czerwca odbywał się w Warszawie pierwszy Walny Zjazd Związku, na który przybyli delegaci wszystkich kół oraz tworzących się dopiero ośrodków. Ze względu na warunki techniczne naszego pisma, które musi mieć materjał wcześniej przygotowany, szczegóły powyższego Zjazdu podamy dopiero w numerze sierpniowym.

Numer „Prądu“ poświęcony Ojcu św.

Podwójny numer „Prądu“ za maj i czerwiec poświęcony został w całości Ojcu św. Piusowi XI-mu i Jego działalności.

Na wstępie znajduje się portret Ojca Chrześcijaństwa, poczem na drugiej stronicy następuje dedykacja następująca:

Temu, którego nieustraszona wiara, z obietnic Chrystusowych moc nieomylną czerpiąca przyświeca światu całemu, który wychowany u grobu św. Ambrożego i św. Karola dla Polski rzucił naukę, aby natchnąć duchem Chrystutowym pierwociny jej wolności, a który w Polsce zaliczony w poczet książąt Kościoła, i na Stolicy Piotrowej zachował jej swe gorące, ojcowskie serce — Piusowi XI. Ojcu Chrześcijaństwa, miłośnikowi młodych, orędownikowi

pokoju, budowniczemu jedności Kościoła i szerzycielowi go wśród pogan, odnowicielowi akcji katolickiej w hołdzie miłości, posłuszeństwa i oddania na 50-lecie kapłaństwa składa wiązankę swych myśli i uczuć młoda inteligencja katolicka w Polsce.

Na bogatą i interesującą treść numeru składają się artykuły ks. Arcybiskupa Teodorowicza, ks. prof. Szymańskiego, ks. J. Piwowarczyka, O. J. Woronieckiego, K. Pieńkowskiego, J. Pawlaka, J. Trzebińskiej, Ks. A. Marchewki, Ks. J. Jarzębowskiego i innych. Numer podzielony jest wyraźnie na trzy części, z których pierwsza zajmuje sie sylwetką postaci Ojca św., druga traktuje o Jego działalności, że wymieniamy tylko tytuły tematów: przewodnie ideje pontyfikatu, pax Christi in regno Christi, idea misyjna, zjednoczenie Kościołów, konkordaty, Cita Vaticano, faszyzm, Action Française, uniwerysytety katolickie, akcja liturgiczna — wreszcie trzecia zajmuje się pobytem Papieża w Polsce i Jego stosunkiem do Polski i Polaków.

Piękne wydawnictwo, zdaje się jedyne w swoim rodzaju, przynosi prawdziwy zaszczyt redakcji miesięcznika „Odrodzeniowego". *(s. k.)*

Ogólno-akademicka pielgrzymka do Częstochowy.

W dniu 5 maja r. b. odbyła się pierwsza ogólno-polska Pielgrzymka młodzieży akademickiej na Jasną Górę. Piękna inicjatywa zorganizowania takiej pielgrzymki wyszła ze Stowarzyszenia Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie", znanego ze swych lubelskich „Kursów Społecznych" i swej działalności na terenie akademickim. Celem zaś tej pielgrzymki było zebranie się u Stóp Niepokalanej Dziewicy „z gorącem wyznaniem Wiary św., oraz z pokorną prośbą, aby zajaśniała zorza Światła Bożego, natchnienia twórczego, wierności chrześcijańskiej w naszem odrodzonem życiu akademickiem, w naszych uczelniach, w naszych pracach i sercach", jak mówi ulotka wydana przed Pielgrzymką, a podpisana przez szereg katolickich organizacyj akademickich, mianowicie: Juventus Christiana, Katolicką Mło-

dzież Narodową, Sodalicje, Koło Księży Teologów i Zjednoczenie P.A. Korporacyj Chrześcijańskich. Z drugiej strony, ponieważ dzień 5 maja jest dniem Imienin Ojca św. Piusa XI, młodzież akademicka chciała w dniu tym w 50 roku Kapłaństwa Jego Świętobliwości złożyć dla Niego swoje modlitwy i swoje Komunje św. u Stóp Królowej Korony Polskiej.

Uczestnicy Pielgrzymki w liczbie około 500 osób z Lublina, Lwowa, Krakowa, Poznania i Warszawy przybyli do Częstochowy 5 maja, w niedzielę, między godz. 5 a 8 rano, poczem po krótkim wypoczynku w klasztorze udali się ze sztandarami „Odrodzenia", Sodalicyj akademickich warszawskich i Juventutis Christianae na czele do kaplicy, gdzie uroczystą Mszę św. przed Cudownym Obrazem odprawił J.M. ks. rektor prałat Gerstman ze Lwowa. Podczas Mszy św. odpowiednie części liturgji po gregorjańsku odśpiewano pod kierownictwem jednego z O'O. Dominikanów, oraz przewodnictwem lwowskiego środowiska „Odrodzenia". Wszyscy uczestnicy przystąpili do Komunji św. Po Mszy św. podniosłe kazanie o znaczeniu i celach Pielgrzymki wygłosił vice-rektor uniwersytetu lubelskiego O. Jacek Woroniecki.

O godz. 12 po wspólnem śniadanu v.-przeor O.O. Paulinów oprowadził pielgrzymów po klasztorze, pokazując bezcenny niemal skarbiec, piękny refektarz, bibljotekę i udzielając wiele cennych objaśnień.

Następnie po obiedzie od godz. 2-ej poszczególne środowiska poczęły się rozjeżdżać.

Poza młodzieżą akademicką przybyli do Częstochowy wraz z nią z Lublina ks. prof. Szymański, O. J. Woroniecki i ks. dyr. Korniłowicz, ze Lwowa ks. prałat Gerstman, z Poznania ks. Krawczyk i z Warszawy ks. dr. Jan Mauersberger.

Pielgrzymka, której ogólna organizacja spoczywała w rękach Lubelskiego Koła St. Mł. Ak. „Odrodzenie" pozostawiła u wszystkich uczestników bardzo podniosłe i niezatarte wspomnienia. *R. T.*

Zjazd katolickich organizacyj słowiańskich.

„Wszyscy, którzy z jednego chleba pożywamy, jednem ciałem wielu jesteśmy". Te słowa św. Pawła obrazują doskonale, że religja jedynie może być podstawą prawdziwej jedności ludzi. Wszelkie zbliżenie międzynarodowe jałowe będzie i bezpłodne, jeśli nie dokona się w promieniach Chrystusowej idei. Niemasz braterstwa ludów bez uznania ojcostwa Bożego, nie może być mowy o jedności ducha między narodami, jeśli one nie uznają jednego ojca duchowego w osobie namiestnika Chrystusowego. Dlatego wielką nadzieją napełniają nas wszelkie zbliżenia międzynarodowe, o opokę Piotrową oparte. Daleki jest jeszcze taki jednolity front ogólnoludzki. Również niewyraźnie rysuje się porozumienie europejskie.

Walnym krokiem jednak do tych dalszych etapów byłoby porozumienie szczepowe. Mam tu na myśli współżycie narodów słowiańskich. Współżycie takie musi mieć wspólną wielką łączącą ideę. Ideą taką jest katolickie apostolstwo wśród narodów słowiańskich. Idea to dawna, św. Cyryla i Metodego sięgająca, odnowiona w sprawie unji. Sprawa Unji Kościołów szczególnie leży na sercu Ojcowi św. Piusowi XI. Do przeprowadzenia jej przedewszystkiem narody słowiańskie a w pierwszym rzędzie Polska jest powołana, która może najdoskonalej dokonywała unij narodowych, na misji religijnej zarazem opartych.

Pod tymi hasłami zorganizowało stow. młodzieży akademickiej „Odrodzenie" wszechsłowiański zjazd katolickich studentów w Krakowie w dniach 12 — 14 kwietnia r. b. Myśl urządzenia tego kongresu powstała w roku zeszłym w czasie obrad „Pax Romana" w Anglji, a przygotowana była przez żywą współpracę studentów Słowian już w latach poprzednich, a przedewszystkiem przez serdeczne przyjęcie Słowian przez „Odrodzenie" w Polsce w r. 1927, gdyśmy zorganizowali kongres „Pax Romana" w Warszawie.

Na zjazd do Krakowa przybyli przedstawiciele młodzieży czeskiej, słowackiej, chorwackiej, słoweńskiej i ukraińskiej. Przemówienia powitalne wygłosili ks. biskup Rospond, prof. Kallenbach, ks. prof. Michalski i przedstawiciele społeczeństwa krakowskiego. Delegaci przemawiali w swoich językach, bę-

dąc naogół doskonale rozumieni przez pobratymców. Przewodnictwo objął prezes koła lubelskiego „Odrodzenia", p. St. Orlikowski, b. prezes „Pax Romana", wice przewodniczącemi zostali p. Matulay z Bratysławy i p. dr. Stele z Lublany. Sam dorobek umysłowy zjazdu był znaczny. Dziekan wydz. filozoficznego uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Semkowicz, mówił o podstawach współpracy słowiańskiej: religijnej i społecznej, ks. Kneblewski — o konieczności współdziałania katolickich słowiańskich organizacyj akademickich, p. Matulay (słowak) zrobił przegląd ruchu katolickiego słowiańskiej młodzieży akademickiej, dr. Dembiński senjor krakowskiego Odrodzenia, wygłosił referat p. t. „Rola narodów słowiańskich w rozwoju cywilizacji chrześcijańskiej". Każdy z tych odczytów miał odpowiednie koreferaty. Wślad za tem poszły rozważania praktyczne. Dr. Stele z Lublany omawiał współpracę umysłową katolickich organizacyj akademickich. Dokonać się ona winna drogą wymiany studentów, profesorów i wydawnictw poszczególnych krajów. P. Kruszyński z Warszawy poruszał sprawę międzysłowiańskich tygodni społecznych. Prezes komisji zagranicznej Odrodzenia, p. Milewski, przedstawiał konieczność i sposoby wspólnego działania katolickich studentów Słowian na terenie międzynarodowym. Ze względu na specjalną doniosłość roli Słowian w apostolstwie Unji dr. Durcański z Lublany domagał się utworzenia specjalnej podkomisji w sekcji misyjnej „Pax Romana"

Owoce zjazdu były nadspodziewane. Pięknie zapoczątkowane w Krakowie porozumienie postanowiono prowadzić w dalszym ciągu przez doroczne zjazdy słowiańskie, które odtąd dla większego zapoznania się wzajemnego mają się odbywać łącznie z kongresami narodowemi katolickich organizacyj poszczególnych krajów. Dla przygotowywania programu zjazdów, dla wymiany wydawnictw i informacyj utworzono stały sekretarjat z siedzibą w Krakowie, na czele którego stanął dr. H. Dembiński. Pozostałe rezolucje wzywają stowarzyszenia poszczególnych krajów do wyzyskania specjalnych wartości słowiańskich w szerzeniu głębokiej kultury katolickiej, do wytężonej działalności misyjnej pod kierunkiem hierarchji kościelnej, szczególnie w kierunku Unji, do walki z bolszewizmem rosyjskim, zagrażającym narodom słowiańskim. O reali-

zacji tych poczynań i postępach współpracy słowiańskiej informować będzie biuletyn sekretarjatu. Najbliższy kongres odbędzie się w r. 1930 w Lublanie, w Jugosławji.

Dyskusja poważna i rzeczowa toczyła się w nastroju zupełnej harmonji. Atmosfera prawdziwie rodzinna panowała również i na przyjęciach u państwa Konopków, u p. hr. Róży Raczyńskiej, znanej z wszechsłowiańskich sympatyj i w lokalu „Odrodzenia" krakowskiego. Postanowiono zamanifestować solidarność słowiańską w duchu katolickim przez gromadny zlot młodzieży akademickiej w lecie roku bieżącego w Pradze, gdzie uroczyście święcić się będzie tysiąclecie św. Wacława, króla czeskiego. Wycieczkę z Polski prowadzić będzie J. E. kardynał prymas Hłond.

Obok Odrodzenia w pracach zjazdu wzięły udział inne organizacje jak sodalicje marjańskie, Iuventus Christiana, Katolicka Młodzież Narodowa i Koła Misyjne, dając dowód, że zawsze wtedy gdy chodzi o jakieś konkretne dzieło, katolików akademików stać na zgodną współpracę.

W ten sposób zarysowały się linje braterskiego porozumienia młodych inteligencyj słowiańskich na gruncie prawdziwej wiary. Dałby Bóg, aby dało ono wielkie owoce, o jakich marzył już nasz wieszcz, Adam Mickiewicz, wielki apostoł zjednoczenia słowiańszczyzny.

Radosnym jest dla nas fakt, że inicjatywę i główną rolę w tej działalności przyjęła na siebie młodzież polska, młodzież największego katolickiego narodu słowiańskiego, pioniera chrześcijańskiej i zachodniej kultury na Wschodzie Europy. *J. S.*

Wiadomości z kraju i zagranicy.

Przemówienie J. E. Ks. Biskupa Szlagowskiego. Na posiedzeniu komitetu budowy pomnika Chrystusa-Króla (Serca Jezusowego) z którego sprawozdanie podajemy poniżej, obecni zwrócili się z prośbą do J. E. ks. Biskupa Szlagowskiego, aby zechciał objąć przewodnictwo w Komitecie. W odpowiedzi J. E. wygłosił przemówienie następujące:

> „Dziękuję za wybór dla mnie tak zaszczytny, staję bowiem na czele Komitetu, który podejmuje doniosłe dziejowe zadanie, aby w stolicy wznieść posąg Chrystusowi Królowi, Jego Przenajświętszemu Sercu. Będzie to hołd dziękczynny całego narodu za odrodzenie Polski,

oraz za ocalenie odrodzonej Polski podczas nawały bolszewickiej, gdy stolica nasza i kraj cały w największem pozostawał niebezpieczeństwie.

Będzie to uroczyste wobec wszech narodów świata stwierdzenie, że Polska nowoczesna jest tą samą Polską, co Polska starodawna, że odrodziła się według odwiecznych wzorów swoich, jako Polska katolicka, wierząca, pobożna. Posiada bowiem te same ideały religijne i narodowe, a do narodowych ideałów zalicza wiarę swą katolicką, która tak wrosła w krew i kość narodu, że jej bezekrwie nie wyrwiesz, mówi nasz Skarga.

A jak Rzeczpospolita Królewska w osobie Jana Kazimierza obrała Marję Matkę Bożą na Królową Korony Polskiej, tak nowoczesna Rzeczpospolita demokratyczna głosem Warszawy obiera Chrystusa Boga na Króla swego.

Posąg Chrystusa w stolicy wzniesiony wyrażać będzie wiarę Polski całej, ale i jej nadzieje na przyszłość, bo jak J. Em. Kardynał Gasparri napisał w imieniu Ojca Świętego, że w tym zamierzonym przez nas pomniku Przenajświętszego Serca Chrystusa Króla Polska uzyska nową rękojmię opieki Bożej nad sobą, która ją wieść będzie ku wszelakiemu dobru, a odwodzić odezłego. Co daj Panie Boże!"

Czujemy się w obowiązku podkreślić, iż inicjatywa budowy pomnika była dziełem b. Dyrektora naszego wydawnictwa ks. Marjana Wiśniewskiego. To też z wielką radością witamy fakt podjęcia tej inicjatywy przez osoby tak wybitne, co daje poniekąd gwarancję rychłego jej zrealizowania.

Komitet Budowy Pomnika Najśw. Serca Jezusowego w Warszawie. W dniu 6 maja w sali malinowej Ratusza odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne Komitetu Budowy Pomnika Najśw. Serca Chrystusa Króla w Warszawie, które zagaił JE. Ks. Biskup A. Szlagowski, sufragan warszawski, dziękując w serdecznych słowach Prezydentowi m. stoł. Warszawy, p. Z. Słomińskiemu, za przydzielenie placu Zbawiciela na pomnik, tak dawno przez ogół upragniony, poczem prosił P. Prezydenta o przyjęcie przewodnictwa zebrania.

Po krótkiem przemówieniu P. Prez. Słomiński przeprowadził przez aklamację wybory Zarządu Komitetu, w skład którego z liczby 81 członków weszło 26 osób z JE. Ks. Biskupem Szlagowskim jako prezesem na czele.

Honorowy protektorat nad Komitem raczyli przyjąć JJEE. Ks. Nuncjusz Apostolski Arcybiskup Fr. Marmaggi, Ks. Biskup Dr. St. Gall, Prez. Z. Słomiński i Marja hr. Zamojska z Kurnik.

Ks Biskup Szlagowski, dziękując za wybór, podkreślił w przemówieniu swojem, iż wzniesienie w stolicy posągu Chrystusowi Królowi, Jego Przenajśw Sercu, będzie hołdem dziękczynnym całego narodu za odrodzenie Polski, oraz za ocalenie odrodzonej Ojczyzny przed nawałą bolszewicką, gdy stolica i kraj cały pozostawały w największem niebezpieczeństwie. Będzie to uroczyste wobec wszech narodów świata stwierdzenie, że Polska nowoczesna jest tą samą Polską, co Polska starodawna, że odrodziła się według odwiecznych wzorów swoich, jako Polska katolicka, wierząca, pobożna. Posiada bowiem te same ideały religijne i narodowe,

a do narodowych ideałów zalicza wiarę swą katolicką, która tak wrosła w krew i kość narodu, że jej beze krwi nie wyrwiesz—jak powiedział nasz Skarga. A jak Rzeczpospolita królewska w osobie Jana Kazimierza obrała Matkę Bożą na Królowę Korony Polskiej, tak nowoczesna Rzeczpospolita demokratyczna głosem Warszawy obiera Chrystusa Boga na Króla swego.

Z kolei zabrał głos Prowincjał OO. Marjanów, ks Jakowski, który złożył sprawozdanie kasowe z dotychczasowych wpływów i ofiar na rzecz budowy pomnika. Mówca podniósł współdziałanie prasy w zamierzonem, a tak wzniosłem dziele, która chętnie umieszcza artykuły, tyczące się budowy, oraz zaapelował do łaskawej jej dalszej pomocy w tym względzie.

Na zakończenie ks. prał. Kępiński odczytał wysłaną przez Komitet Budowy do Ojca św. depeszę z prośbą o błogosławieństwo dla jego poczynań, na którą z Watykanu nadeszła telegraficzna odpowiedź treści następującej:

„Ojciec św., witając pomnik Serca Jezusowego, jako nowy dowód opieki Bożej nad katolicką Polską, przesyła z całego serca upragnione błogosławieństwo. (—) Kardynał Gasparri”.

Odezwa Komitetu budowy pomnika bohaterowi narodowemu ś. p. ks. Ignacemu Skorupce.

„Dług za wpisy szkolne—spłacam swem życiem, za wpojoną miłość Ojczyzny — płacę miłością serca”. (Z testamentu ś. p. ks. Ignacego Skorupki).

Śp. ks Ignacy Skorupka w obronie ukochanej Ojczyzny i stolicy, w której ujrzał światło dzienne, złożył dobrowolnie swe życie. Poszedł na front bojowy cichy i pokorny, nie dla chwały, rozgłosu, ni sławy, lecz dlatego, że wzywał Go obowiązek, że ciągnęło Go ofiarne serce, że dusza Jego rwała się tam, gdzie grzmiały armaty, pękały szrapnele, gdzie jęki rannych braci wołały: Warszawo, zbudź się!

Stanął na czele młodzieży szkolnej, którą tak bardzo umiłował Był im pochodnią, rozświetlającą ciemności, był tej młodzieży gwiazdą przewodnią, w którą wpatrzeni szli naprzód. Silniejszy po trzykroć wróg odpierał ataki tego wojska, z dzieci złożonego, tylko Jego ciągłe „naprzód” grożącą porażkę zamieniło w tryumf.

Szedł bez broni z krzyżem tylko w ręku, jakby On wołał do Polski: Patrzcie, zwycięstwo po naszej stronie, bo z nami Bóg! Tarczą mu była stuła, a pieśnią bojową: „Serdeczna Matko”! Do walki o odparcie wschodniego najeźdźcy, o utrwalenie dopiero co odzyskanej niepodległości swej umiłowanej ojczyzny pociągnął wszystkich, nietylko tam pod Ossowem, ale i w stolicy i w Polsce całej.

I pozwolił Bóg zwyciężyć — Warszawa ocalała — Polska nie znalazła się w jarzmie straszliwej niewoli, ale On padł ugodzony kulą barbarzyńcy. Młodzież w obronie ciała ukochanego kapelana z bohaterskim porywem natarła na wroga i pędziła go przed sobą precz od wrót Warszawy.

* * *

15 sierpnia 1930 roku, w dziesiątą rocznicę śmierci śp. ks. Ignacego Skorupki, winien stanąć pomnik w stolicy, jako spłacenie choćby części długu, zaciągniętego wobec bohatera-kapłana, który swe młode życie złożył w ofiarnem poświęceniu, aby mógł się spełnić „Cud nad Wisłą”.

Zwracamy się niniejszem z gorącą prośbą do wszystkich Polaków o ofiary na ten cel wzniosły, by uczcić gorącą miłość i poświęcenie się dla Ojczyzny jednego z największych patrjotów ostatniej doby.

Za Komitet: (—) hr. Wł. Sołtan, Wacł. Nowakowski, ks. prof. St Żelazowski, gen. K. Jacyna, dr. T. Rakowski.

Ofiary prosimy składać w P. K. O. na konto Nr. 18.650 i do redakcji pism

Uroczysty obchód 38-ej rocznicy Encykliki „Rerum Novarum". W maju r. b. odbył się w Częstochowie uroczysty obchód 38 ej rocznicy encykliki „Rerum Novarum" Papieża Leona XIII.

Obchód zorganizowany przez Stowarzyszenie „Ognisko Robotnicze", wypadł wręcz imponująco dzięki udziałowi olbrzymiej liczby uczestników, jaka zgromadziła się tak na nabożeństwie rano, jak i po południu na akademji, przyczem na wszystkich uroczystościach obecni byli liczni przedstawiciele duchowieństwa, władz miejskich w osobach wice-prezydenta dr. S. Nowaka, ławników J. Więcławskiego i D. Braksatora, Ligi katolickiej z prezesem dr L. Wasilewskim na czele i in.

Nabożeństwo uroczyste o g. 10-ej w katedrze odprawił ks. prał. Wróbblewski, poczem podniosłe kazanie wygłosił ks. prob. Niedźwiecki z Rakowa. W nabożeństwie wzięły udział liczne organizacje chrześcijańskie z 20 przeszło sztandarami, wszystkie chrześcijańskie związki zawodowe z zarządami, cechy, Ligi katolickie żeńskie i męskie, Stowarz. Młodzieży Pol. żeńskiej i męskiej i t. d.

Po poł. o g. 6-ej w sali katedralnej przy ul. Piotrkowskiej 13 odbyła się uroczysta akademja. Na pięknie udekorowanej scenie wśród zieleni i flag o barwach narodowych i papieskich widniał efektownie oświetlony portret Ojca św. Leona XIII. Obszerna sala przepełniona była publicznością, rekrutującą się przeważnie z braci robotniczej. Dłuższe przemówienie wstępne wygłosił ks Patron J. Patrzyk, w pięknych słowach charakteryzując postać Papieża Leona XIII i Jego encyklikę, a następnie wykazując, iż celem akademji jest złożenie skromnego hołdu Wielkiemu Papieżowi w imieniu Stowarzyszenia „Ognisko Robotnicze", które wyrosło z ducha encykliki „Rerum Novarum".

Z kolei zabrał głos poseł J. Puchałka z Krakowa, który wygłosił obszerny referat, wyjaśniający rzeczowo znaczenie i zasady encykliki „Rerum Novarum" dla ludności pracującej. Po tym cennym referacie zebrani hucznemi oklaskami przyjęli odczytane przez prof. Sołdrowskiego rezolucje następującej treści:

„Wobec tego, że encyklikę „Rerum Novarum" należy uważać za nakaz Stolicy Apostolskiej, wydany wszystkim wiernym katolikom, wzywamy wszystkich mieszkańców miasta, by posłuszni temu nakazowi, łączyli się w organizacjach, które wzrosły na programie społecznym Leona XIII, a więc chrześcijańsko społecznych organizacjach kulturalno-oświatowych, zawodowych, politycznych i spółdzielczych, oraz, by tego rodzaju organizacjom udzielali jaknajskuteczniejszego poparcia. W głębokiem przekonaniu, że rozwój Państwa opierać się winien na zdrowej moralnie i fizycznie rodzinie, jako na granitowym fundamencie, będziemy, idąc za wskazaniami Leona XIII, popierali wszelkie wysiłki, zmierzające do wzmocnienia węzłów rodzinnych. Z tego też powodu domagamy się takiego ustawodawstwa państwowego. które pojmując małżeństwo w duchu nauki Kościoła Katolickiego, zapewniłoby trwałość i nierozerwalność węzła małżeńskiego.

Zwracamy się z apelem do posłów i senatorów, uznających program Leona XIII za obowiązujący, by na terenie parlamentu i kraju pracowali w duchu tego programu i nie ustawali w obronie uzasadnionych praw i postulatów warstwy robotniczej, urzędniczej, rękodzieła i ludu włościańskiego.

Wyrażamy ostre potępienie tym ugrupowaniom politycznym i społecznym w Polsce, które w drodze wywrotu i rokoszu zamierzają wpływać na rozwój stosunków w naszym kraju, a, wprowadzając rozbicie i anarchję w społeczeństwie, utrudniają odbudowę państwa, uniemożliwiając przez to rozwiązanie zagadnień społecznych".

W końcu nastąpiły produkcje muzykalno-wokalne i deklamacje, które uświetniły podniosłą uroczystość.

Katolicka prasa niemiecka o mowie Mussolini'ego i odpowiedzi Ojca św. Prasa zagraniczna w dalszym ciągu zajmuje się mową Mussolini'ego o traktacie laterańskim i odpowiedzią Ojca św.

Katolickie dzienniki niemieckie („Augsburger Postzeitung" № 116 z 22 bm.), podkreślając, że za przyjęciem traktatu padło 357 głosów przeciwko 2 (na ogólną liczbę 400), a za ustawami o małżeństwie i o zarządzie dóbr kościelnych 359 przeciwko 0, stwierdzają istnienie w parlamencie włoskim niewielkiej opozycji, mającej jakoby od pewnego czasu pewien wpływ na Mussolini'ego.

Jakkolwiekby się oceniało te dysonanse, wprowadzone przez pewne ustępy mowy Mussolini'ego, traktat laterański pozostaje faktem, z którym należy się liczyć. Obok układu, konkordatu i postanowień wykonawczych jest jeszcze wielka dziedzina podstawowych idei. Nie są one przedmiotem ustawodawstwa lub zawierania traktatów, lecz teologicznego i filozoficznego poznania. Dlatego może się wydawać, że Papież i Mussolini podjęli niejako wymianę zdań, która—zdaniem prasy—rozwinie się dalej. Mussolini zajął się publiczno-prawną i włosko-państwową stroną zagadnienia, by dojść stąd do koncepcji prawa w duchu faszystowskim. Papież, natomiast wziął za punkt wyjścia prawo naturalne i prawo Boskie i przeszedł do życia praktycznego, ograniczając się tylko do dziedziny wychowania. Już ta różnorodność podstawowych założeń czyni zrozumiałem nieporozumienie stron.

Gdy Papież mówił o obowiązku oraz prawie rodziny i Kościoła do wychowywania młodzieży i o roli państwa pod tym względem, państwa, które zajmuje tu dopiero trzecie miejsce gdy, mając na myśli faszystowskie organizacje młodzieży Balilla, pytał, co stałoby się, gdyby we wszystkich państwach postawiono za ideał wychowaniu gotowość do walki zbrojnej, to – zdaniem wspomnianego dziennika — myślał o zakazie katolickich stowarzyszeń młodzieży i przypomniał sobie zapewne wywody Mussolini'ego wypowiedziane przed kilku tygodniami na stadjonie.

Rozumie się samo przez się, że ani Papież ani Mussolini nie mają zamiaru wywoływania niepotrzebnie konfliktu. Kto zatem oczekiwałby wielkich, widocznych zatargów, ten łatwo się może zawieść w swoich wyrachowaniach. Znaczenie tego, co się obecnie dzieje we Włoszech, przekracza granice stosunków wewnętrzno-włoskich. Żywe, zupełnie usprawiedliwione zainteresowanie ze strony zagranicy w żadnym razie nie oznacza mieszania się w wewnętrzne sprawy włoskie. Jest to bowiem sprawa, która obchodzi cały świat chrześcijański. A jeżeli wymiana zdań rozwinie się dalej, to znaczenie tego faktu będzie równie wielkie dla całego świata, jak i dla Włoch.

Zjazd polskich i niemieckich katolików w Berlinie. W dniach od 21 do 24 maja rb. odbył się w Berlinie zjazd polskich i niemieckich katolików. Ze strony polskiej przybyli m. in. księża prałaci Maśliński i Gawlina, o. Rostworowski T. J., księżna Drucka-Lubecka, hr. Marja Sobańska, prof. Marjan Zdziechowski, prof. Leon Klecki, red. Stanisław Sopicki (Głos Narodu), senjor „Odrodzenia" i in.; ze strony niemieckiej księża prała i Banaś i Lichtenberg, jako reprezentanci delegatury biskupiej, księża profesorowie Keller(uniwersytet fryburski), Brunner (Berlin), Hoffnann (Wrocław), oo. Muckermann i Noppel T. J., oraz o. Stratmann O. P. i in.

Życzenia zjazdowi przesłali m. in. Ks. Kardynał Prymas Dr. Hlond Ks. Nuncjusz Pacelli i ks. prał. Kaas.

Pierwszy referat wygłosił prof. dr. Schäfer z Berlina o historycznych reminiscencjach polsko-niemieckich na tle katolicyzmu. Ks. prałat Maśliński w świetnie opracowanym referacie wykazał położenie katolicyzmu w Polsce. Referat ten, który wywarł na niemieckich słuchaczach nadzwyczaj głębokie wrażenie, otwierając im nieznane dotąd horyzonty, zostanie w prasie niemieckiej opublikowany. Położenie katolicyzmu w Niemczech przedstawił o. Konstanty Noppel T. J. z Monachjum.

Dnia 23-go maja dr. Henryk Dębiński z Krakowa, senjor „Odrodzenia" wygłosił referat n. t.: „Kwestja polsko-niemiecka", w którym w spokojnej formie wykazał słuszność stanowiska polskiego w sprawie granic, Pomorza, mniejszości itp. Korreferentem był dr. R. Kuenzer, radca tajny legacyjny z Berlina

W sprawie duszpasterstwa niemieckiego w Polsce, podniesionej przez ks. prałata Lichtenberga, wykazał ks. prałat Gawlina, że pogłoski o krzywdzeniu niemieckich katolików na terenie duszpasterstwa w Polsce nie zgadzają się z prawdą. Pozatem ks. prał. Gawlina na podstawie dokumentów wykazał nieżyczliwe stanowisko katolickiej prasy niemieckiej wobec Episkopatu, duchowieństwa oraz katolicyzmu polskiego, domagając się rewizji katolickiej opinji niemieckiej.

O Fryderyk Muckermann T. J. wypowiedział się za ściślejszą współpracą polsko niemiecką na terenie katolicyzmu i prosił polskich uczestników o dostarczanie dzieł polskich w tłómaczeniu niemieckiem oraz o szerzenie ideologji poetów polskich, a przedewszystkiem Mickiewicza, w katolickiej prasie niemieckiej, która dotychczas za mało uwagi poświęca polskiemu życiu kulturalnemu.

Delegacja polska złożyła wizytę Ks. Nuncjuszowi Pacelli'emu i p. posłowi Knollowi.

Do zarządu wybrano ze strony polskiej: O. Rostworowskiego, prof. M. Zdziechowskiego, ze strony niemieckiej zaś: ks. prałata Lichtenberga i O. Stratmanna.

Do powstałej neutralnej komisji prasowej weszli: ze strony polskiej O. Roztworowski, ks. Gawlina oraz dr. Dembiński, ze strony niemieckiej. O. Muckermann T. J. i radca Kuenzer.

Błogosławieństwo papieskie dla katolickiej prasy w Polsce. W dniu 25 bm. — jak już donosiliśmy — Ojciec św. przyjął na godzinnej audjencji prywatnej JEm. Ks. Kardynała Kakowskiego. Pod koniec audjencji JEminencja przedstawił Papieżowi towarzyszących mu kapłanów, ks.ks. prałatów Roczkowskiego i Mystkowskiego, oraz ks. prof. dr. Z. Kozubskiego i p. W. Rago.

Ks. prof. Kozubski prosił Ojca św. o błogosławieństwo dla profesorów i słuchaczy Wydziału teologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, ks. Mystkowski zaś o błogosławieństwo dla prasy katolickiej i dla Katolickiej Agencji Prasowej w Polsce. Ojciec św. raczył udzielić swego błogosławieństwa i w krótkiej rozmowie szczegółowo dopytywał się o stan i rozwój prasy i Akcji katolickiej w Warszawie.

Audjencje Pius XI zakończył staropolskiem pozdrowieniem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!", wygłoszonem po polsku.

Ojciec św. o pracy. Przyjmując przed kilku dniami pielgrzymkę robotników i robotnic francuskich, liczącą około 2.000 osób, Ojciec św. w bardzo serdecznem przemówieniu powiedział m. in.:

„Ale mamy jeszcze inny powód cieszyć się widokiem tej wspaniałej pielgrzymki, zebranej przed Naszemi oczyma. Oto, że reprezentujecie tu Francję pracy — pracy, jaką wy pojmujecie i wykonujecie. Widok pracy zawsze napełniał Nasze serce bardzo miłemi wrażeniami. Odczuwaliśmy te wrażenia, gdy przed kilku dniami trzy tysiące robotników metalurgicznych z bezpośredniego sąsiedztwa Rzymu przybyło do Nas w pielgrzymce, i podobnie, gdy w czasie roku świętego tyle grup i pielgrzymek robotników, w tysiącach i dziesiątkach tysięcy, przybywało szukać w Rzymie uświęcenia dusz.

Tak, praca zawsze dostarcza Nam szlachetnego widoku i za każdym razem, gdy ją obserwujemy, nie możemy nie dawać wyrazu swego szczególnego upodobania do niej i do pracowników.

Jeżeli jednak zjawia się przed nami praca taka, jaką wy rozumiecie i praktykujecie, praca rozumiana i praktykowana w najczystszym i najgłębszym duchu chrześcijaństwa, wówczas zaprawdę serce Nasze wypełnia obfitość radości. Wówczas nie możemy powstrzymać się od słów: „Cześć pracy, która usprawiedliwia życie i która dostarcza mu środków utrzymania, pracy, która daje duszy zadowolenie i najszlachetniejsze radości! Cześć pracy, będącej równocześnie przez Boga ustanowioną ekspiacją za grzechy ludzkości oraz zbiorową i syntetyczną praktyką cnót najwyższych! Cześć

pracy, która uszlachetnia życie ludzkie i, jeszcze bardziej, życie chrześcijańskie! Cześć pracy, uczczonej, wywyższonej i uwielbionej przez Boskiego Zbawcę, przez Syna Bożego, który poświęcił pracy prawie całe swoje życie i który uczynił z niej jeden z najpotężniejszych środków naszego Odkupienia powszechnego! Cześć pracy!"

Kościół, ta wielka matka wszystkich, ta nieporównana mistrzyni ludzi której wspaniałą manifestację wobec całej ludzkości sławi się dzisiaj, ten, Kościół uczy nas oceniać sprawiedliwie pracę i czynić z niej środek podniesienia moralnego i uświęcenia.

Pracujcie więc drodzy Synowie i drogie Córki, lecz bez żadnej wątpliwości i bez żadnej bojaźni; ufajcie tej Matce, tej Mistrzyni, tej Wychowawczyni, którą jest Kościół. On zabroni duszom waszym przyłączenia się do tej strasznej filozofji, która kwestje społeczne, te kwestje tak bardzo ludzkie, chciałaby rozwiązać w sposób tak nieludzki, t. j przez twardą i ostrą konkurencję, przez okrutną walkę o życie, przez brutalną selekcję, przez jeszcze brutalniejsze usuwanie słabych przez silnych Nie, podobne doktryny nigdy nie znajdą tu najmniejszego pobłażania, ani też te, które jednostkę chciałyby unicestwić w zbiorowości, podczas gdy wszystko powinno służyć podniesieniu każdej duszy, podczas, gdy Zbawca nasz pragnął zbawić wszystkie dusze, dając za każdą z nich swoją Krew, ofiarując i przygotowując wszystkie skarby życia duchowego".

Zażydzenie handlu polskiego w cyfrach. Strukturę ekonomiczną ludności polskiej ilustrują interesujące dane statystyczne Głównego Urzędu Statystycznego oparte na spisie ludności z roku 1921. Dotyczą one 13-tu województw z wyłączeniem województw poznańskiego, śląskiego, pomorskiego i ziemi wileńskiej.

Okazuje się więc, że na 100 osób utrzymywało się w Polsce z rolnictwa 64.3 ogółu ludności, a 5.7 żydów; z przemysłu i rzemiosła 14.9 ogółu ludności i 34.1 żydów; z handlu 9 5 i 41.2 żydów, z innych zawodów 11.3 ogółu ludności, a 19 żydów.

Opanowanie handlu, przemysłu i rzemiosła przez żydów występuje jeszcze plastyczniej w zestawieniu cyfr bezwzględnych w poszczególnych gałęziach życia gospodarczego. Na terenie tedy wymienionych 13 tu województw utrzymuje się z rolnictwa 14,706.054 osób, w tej liczbie 1554.569 żydów, czyli 1 procent. Z przemysłu i rzemiosła żyje 2.999.837 osób, w czem 924.235 żydów stanowiący h tu 38 procent Z handlu utrzymuje się ogółem 1.460.380 osób, z czego 1,113.889 żydów, czyli 76 3 proc., z zawodów wolnych 2,686.779 osób, z tego 515.453 żydów, a więc 19 procent.

Cyfry te są niesłychanie wymowne, o ile idzie o przemysł, a zwłaszcza o handel, który w olbrzymiej większości jest w rękach żydowskich Żydzi unikają zawodu rolniczego, wobec faktu, że praca tam jest ciężka i mniej rentowna, garną się natomiast masowo do handlu i przemysłu dających zarobki łatwe i wysokie. Ponadto ludność polska utrzymująca się z handlu — w większości jest zajęta jako siły pomocnicze u samodzielnych przedsiębiorców i procent tych ostatnich wypada znowu rażąco na niekorzyść elementu polskiego. Na 100 bowiem ludzi zawodowo czynnych a utrzymujących się z handlu, było u ogółu ludności 38 osób, u żydów 77.

Kupiectwo żydowskie znajduje wreszcie silne oparcie w całej sieci spółdzielni kredytowych zorganizowanych—jak podaje żydowski „Przegląd Spółdzielczy"—w dwu związkach rewizyjnych, a mianowicie w „Żydowskim Związku Towarzystw Spółdzielczych w Polsce" z siedzibą w Warszawie i w „Powszechnym Związku na wzajemnej pomocy opartych spółdzielni we Lwowie". W najbliższym czasie, bo jeszcze w ciągu bieżącego miesiąca ma rozpocząć działalność wielki żydowski bank spółdzielczy we Lwowie jako centralna instytucja finansowa dla spółdzielni kupieckich wchodzących w skład lwowskiego związku rewizyjnego. „Tworzymy instytucję finansową—pisze w tym samym żydowskim „Przeglądzie" poseł Rosmarin—mającą być zaczątkiem wielkiej akcji w kierunku wzmocnienia żydowskiego życia spółdzielczego w Polsce. Zdecydowani jesteśmy na podjęcie wszelkich kroków, aby instytucji naszej zapewnić zdrową przyszłość".

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Nie ulega wątpliwości, że katolicyzm w Polsce znajduje się w okresie przełomowym i najbliższe już lata zadecydują o jego położeniu i znaczeniu na terenie państwa i społeczeństwa polskiego na długi może okres czasu.

Zagadnienie, postawione w ten sposób, wymaga kilku słów wyjaśnienia. Wiemy o tem, że zarówno wśród potężnych i wyposażonych w rozległe wpływy w kraju ugrupowań lewicowych, jak i wśród bardzo wpływowych sfer, zbliżonych do obecnego systemu rządów, kiełkuje już od dłuższego czasu myśl przebudowy podstaw prawnych Rzeczypospolitej według wzorów państwa świeckiego. Jedni głoszą to, jako swój program, akcentując go w sposób radykalny i jaskrawy, drudzy są bardziej ostrożni i umiarkowani w swoich projektach i wystąpieniach zewnętrznych, nie zmienia to jednak faktu, że jedni i drudzy razem tworzą obóz antyreligijny, który konsoliduje się coraz bardziej i mobilizuje, wyczekując tylko wygodnego momentu do decydującego ataku na najważniejsze twierdze katolicyzmu: rodzinę, szkołę i konkordat.

Moment taki nastąpiłby niewątpliwie, gdyby np. podczas następnych wyborów do ciał ustawodawczych żywioły lewicowo-radykalne i liberalno—masońskie, które w danym wypadku musimy w naszym rozumowaniu sprowadzić do jednego mianownika, wyszły z walki wyborczej jeszcze bardziej wzmocnione, niż do-

tychczas i rozporządzały w parlamencie zdecydowaną większością. Wówczas mogłoby się zdarzyć, że nawet najważniejszy postulat naszej polityki zagranicznej: unikanie wstrząsów i konfliktów na terenie międzynarodowym—nie powstrzymałby zapędów gorętszych zwolenników zerwania konkordatu ze Stolicą Apostolską, nie mówiąc już o ustawodawstwie małżeńskim, którego projekt akatolicki leży już prawdopodobnie zupełnie gotowy w Komisji Kodyfikacyjnej i nawet w tej kadencji stać się może tematem obrad parlamentu.

Jeżeli zaś już w obecnym Sejmie — według zdania poważnych działaczy katolickich — jest możliwe uchwalenie projektu ustawy, przewidującej śluby cywilne — jakie możliwości staną przed Sejmem następnym, jeżeli żywioły antyreligijne wejdą do niego wzmocnione, co za pole do popisu otworzy się przed p.p. Czapińskimi, Putkami i innymi tutti quanti, gdy barbarzyńskie ich projekty, o których pisaliśmy w poprzednich numerach „Pro Christo", będą zastosowane w ustawach państwowych!

A zważmy, że poza dziedziną prawną istnieje dziedzina życia praktycznego, która wypełnia materjalnie treść formalną ustaw. Otóż możliwości i konjunktury życia praktycznego przedstawiają się jeszcze gorzej. W poprzednim numerze pisaliśmy o radykalno-ateistycznej agitacji szerzonej wśród nauczycielstwa szkół powszechnych przez t. zw. „Koło uczniów prof. Spasowskiego". Nie będziemy cytować dalszych faktów, zaznaczymy tylko, że natężenie i zakres agitacji komunistycznej wśród młodzieży robotniczej stale wzrasta, co łączy się z ogólnym nastrojem demoralizacji, panującym wśród niektórych sfer młodego pokolenia, dalej, że działalność T. U. R-u i organizacji do niego zbliżonych, które wprawdzie są organizacjami socjalistycznymi, ale robota ich jest wodą na młyn komunistyczny—w ostatnich latach również wydatnie się wzmogła, co wykażemy cyframi w następnym numerze „Pro Christo".

Fakty te nie są tajemnicą dla wielu katolików w Polsce, którzy już od dłuższego czasu myślą z niepokojem o teraźniejszości, a z prawdziwym przerażeniem o przyszłości, zastanawiając się nad środkami zaradczymi.

* * *

Sytuacja jest niewątpliwie poważna. Nie wolno jednak oddawać się pesymizmowi, ani rozkładać bezradnie rąk. Za-

den z zasadniczych bastjonów katolicyzmu nie wpadł jeszcze w ręce wroga i dalibóg nie wpadnie bez długiej i zaciętej walki o każdą piędź ziemi. Na razie widzimy tylko rozwijające się szyki nieprzyjaciela, gotującego się do ataku na nasze pozycje. Widok ten nie powinien osłabiać w nas serca i odbierać ducha. Katolik nie może być tchórzem i niedołęgą! Nie wolno mu kompromitować sztandaru przy którym stoi!

Przeciwnie, analiza stanu faktycznego winna wzbudzić naszą energję i gotowość do walki, które u wielu katolików są w stanie uśpienia. Nie zamykajmy oczu na fakt, że sytuacja może uledz zawsze zmianie na lepsze, a to zależy w dużym stopniu od nas, inteligencji katolickiej.

Że tak jest — na to mamy dowody. W r. 1927 funkcjonował w Warszawie jeden oddział Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego, w r. b. mamy już w rozmaitych miastach dziewięć oddziałów tej pożytecznej instytucji, która, przeciwstawiając się szkodliwej działalności T.U.R-u, prowadzi systematyczną akcję kulturalno-oświatową wśród robotnika polskiego. Gdyby w poszczególnych miejscowościach znalazła się większa ilość inteligencji katolickiej, gotowej z Ch.U.R-em współpracować—liczyłby on obecnie nie 9, a kilkadziesiąt oddziałów, rozsianych po całej Polsce i stanowiłby poważnego konkurenta T.U.R-u w walce o duszę robotnika polskiego.

Weźmy drugi fakt. W tym samym numerze „Pro Christo" w dziale: „z życia młodzieży katolickiej" znajdziemy sprawozdanie z pierwszego zjazdu delegatów Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie". Organizacja ta, założona została w r. 1927 z inicjatywy kilku senjorów „Odrodzenia", a już w r. b. na wymienionym zjeździe reprezentowanych było około 20 kół, rozsianych po takich centrach robotniczych, jak Warszawa, Łódź, Zawiercie, Zduńska Wola, Radom, Pruszków i t. d. W ciągu dwóch lat kilku ludzi zdołało stworzyć zawiązek silnego katolickiego ruchu wśród młodzieży robotniczej na terenach najbardziej zagrożonych przez socjalizm i komunizm bez środków finansowych, bez pomocy ze strony społeczeństwa katolickiego.

Pomyślmy, jakie rezultaty osiągnęłaby ta organizacja, gdyby znalazły się dla niej odpowiednie środki i pomoc w odpowiednim zakresie!

Fakty te dowodzą, że mimo niesłychanych wysiłków zorganizowanych ugrupowań antyreligijnych (a pamiętajmy, że wszystkie swoje rezultaty osiągnęły one długą i uciążliwą pracą) — społeczeństwo polskie, a w szczególności jego warstwy pracujące można *jeszcze* zorganizować pod sztandarami katolicyzmu i poprowadzić do wielkich czynów w imię Chrystusa i Ojczyzny. Tylko, że jak powiedział Wyspiański:

„panowie mogliby mieć,
tylko oni nie chcą chcieć!"

Trzeba zdobyć się na wolę i energię czynu. Trzeba wyzbyć się psychologji hr. Henryka z „Okopów św. Trójcy", a imać się bardziej nowoczesnych i skutecznych metod pracy.

Pamiętajmy, że Polska nie będzie katolicką bez zorganizowania mas ludowych pod sztandarami katolickimi. Pamiętajmy, że chłop i robotnik chcą dwóch rzeczy naraz: 1) religji katolickiej 2) obrony praw zawodowych i polepszenia bytu materjalnego. Tragedją ludu polskiego jest fakt, że ci którzy pracują rzekomo nad polepszeniem jego bytu, czynią to metodami pogańskimi i są wrogami religji i Kościoła.

Tylko ideologja katolicko-społeczna oparta o wiekopomną Encyklikę Rerum Novarum rozwiązuje zagadnienie w sposób wykończony, ona bowiem daje ludowi religję, a równocześnie właściwe metody pracy nad polepszeniem bytu materjalnego, zgodnie z zasadami katolickimi. I dlatego lud polski garnie się chętnie pod sztandary chrześcijańsko-społeczne, czego dowodem chociażby szybki wzrost Ch. U. R-u i Ch. Zw. Mł. Prac. Odrodzenie i *garnął by się znacznie chętniej i liczniej, gdyby znajdował pod nimi większą, niż dotychczas liczbę inteligencji katolickiej, chcącej pracować społecznie.*

Niech więc pamięta ta część inteligencji katolickiej, którą do tej pory cechuje obojętność wobec zagadnień pracy społecznej — że ręka polskiego ludu do niej wyciągnięta, nie może długo wisieć w powietrzu! Jeszcze kilka lat obojętności i bezczynności ze strony inteligencji, a powstaną ciężkie konsekwencje, za które odpowiedzialność spadnie na barki współczesnego pokolenia.

Stefan Kaczorowski.

Msza wiernych.

III.

Nazwa ta dana jest części Mszy św. od ofiarowania aż do końca.

Jest to właściwa ofiara.

Trzy rzeczy się składają na doskonałość ofiary właściwej: ofiarowanie czyli przygotowanie do aktu ofiarnego przedstawieniem darów chleba i wina. Działanie, czyli akt ofiarny, który wyniszcza ofiarę i daje w niej udział przez komunję. Nakoniec dziękczynienie, które ją zakańcza.

Przypomnijmy, że ofiara św. ofiarowana jest Panu Bogu nietylko przez samego kapłana, ale i przez wszystkich obecnych. Jest to ofiara całego zgromadzenia wiernych. Akt wspólny powinien streszczać uczucia wszystkich, ale trzeba też, aby wszyscy, którzy biorą w nim udział z nim się łączyli, jednocząc się ze swym przedstawicielem widzialnym-kapłanem i ze swym przedstawicielem niewidzialnym—Chrystusem.

Niema prawdziwej ofiary bez uczestnictwa w przedmiocie ofiarowanym.

Stąd racja bytu komunji w czasie mszy św. Tu jest jej właściwe, jedyne miejsce. Jednoczymy się z Chrystusem wyniszczonym, z Chrystusem—ofiarą.*)

§ I. Ofiarowanie.

„Credo", lub też gdy nie jest odmawiane, Ewangelja — skończona.

Kapłan odwraca się i mówi „Dominus vobiscum". Chwila staje się uroczystą.

Kapłan mówi głośno: „Oremus".

Czy jest to wspomnienie nieistniejącej już modlitwy? Czy też wezwanie, aby zdwoić gorącość ducha? Możemy robić

---

*) Dawniej tylko chrześcijanie mogli być obecni na mszy św. Przed ofiarowaniem odprawiano katechumenów. Nie należąc jeszcze do Ciała Chrystusowego, do jedynego, prawdziwego Kapłana, nie mogli składać ofiary z Nim i z wiernymi. I dziś jeszcze nieochrzczeni nie powinniby pozostawać w kościele począwszy od tej chwili.

tylko przypuszczenie odnośnie do milczenia, które następuje po „Oremus".

Już podczas Credo djakon poszedł przynieść bursę zawierającą korporał i rozłożył go na ołtarzu.

Powiedziawszy „oremus" kapłan odmawia pocichu antyfonę oznaczoną w mszale nazwą „ofiarowania".

Żeby dobrze zrozumieć przyczyny tego ofiarowania przypomnijmy krótko ceremonję ofiary.

Była to chwila, gdy wierni przedstawiali kapłanowi dary przeznaczone, albo na ofiarę, albo do jego osobistego użytku.

Część tych darów oddzielano na ofiarę.

Chleby nie konsekrowane były pobłogosławione i rozdane przez kapłana, lub djakona zaraz po komunji tym wszystkim, którzy nie mogli przyjąć Eucharystji św. Posyłano je też nieobecnym. Ten chleb święcony znakiem był jedności dla chrześcijan. Wzajemnie darowywano go sobie. Czy nie stąd powstał zwyczaj dzielenia się opłatkiem w wigilję Bożego Narodzenia?

Aż do XI w. chleb i wino były w ten sposób ofiarowywane przez wiernych. Można jednak też uważać za ofiarę jałmużnę, na intencję mszy św. daną księdzu, który ją odprawia.

Ślady tych ofiar istnieją jeszcze w niektórych ceremonjach liturgicznych, konsekracji biskupów, wyświęcaniu opatów, ordynacji kapłanów, poświęceniu dziewic i polegają na ofiarowaniu świecy podanej celebrującemu.

W czasie ceremonji ofiarowania śpiewano antyfonę i odpowiadający jej psalm.

Co do melodji ofiarowanie stanowi część najbogatszą śpiewu gregorjańskiego. Głębsze i więcej mistyczne niż introit i graduał, ofiarowanie przygotowuje duszę do skupienia, w którem ją zastać powinna tajemnica przedziwna mająca się odnowić.

Gdy kapłan powiedział „oremus", subdjakon w czasie mszy uroczystej odchodzi, aby włożyć na ramiona długi welon nazwany humerałem, bierze kielich z pateną i hostją i wstępuje prosto do ołtarza—za nim idzie akolita z winem.

Wczasie mszy cichej kapłan tylko kielich odkrywa.

Djakon bierze z pod welona subdjakona kielich z pateną i podaje tę ostatnią z hostją kapłanowi.

Hostja leży na patenie lub talerzu z drogocennego metalu. Dawniej patena była o wiele większą i mogła objąć kilka małych chlebów.

Celebrujący bierze patenę z rąk djakona i podnosi ją do wysokości oczu.

Jest to ofiarowanie chleba czyli hostji. Zdaje się mówić Bogu: oto jest ofiara przygotowana, zechciej wejrzeć na nią łaskawie.

„Suscipe, sancte Pater omnipotens, aeterne Deus, hanc immaculatam Hostiam, quam ego indignus famulus tuus offero tibi Deo meo, vivo et vero, pro innumerabilibus peccatis et offensionibus et negligentiis meis, et pro omnibus circumstantibus, sed et pro omnibus fidelibus christianis vivis atque defunctis: ut mihi et illis proficiat ad salutem in vitam aeternam. Amen.

Przyjmij, Święty Ojcze wszechmogący, wieczny Boże, tę niepokalaną Hostję, którą ja, niegodny sługa Twój, ofiaruję Tobie, Bogu mojemu, żywemu i prawdziwemu za niezliczone grzechy, przewinienia i niedbalstwa moje i za wszystkich obecnych, a także wszystkich wiernych chrześcijan żywych i umarłych: aby tak mnie, jak i im posłużyła ku zbawieniu wiecznemu. Amen.

Dawniej całe ofiarowanie odbywało się w milczeniu.

Modlitwa w czasie ofiarowania hostji zwrócona jest do Ojca niebieskiego.—Ofiara jest hołdem stworzenia. Dzieło zaś stworzenia jako „przynależność“*) przypisywane jest w szczególny sposób Bogu Ojcu tak, jak wszystkie dzieła wszechmocy Bożej.

Jezus Chrystus, żyjąc na ziemi, ofiarował samego siebie Ojcu.

Kapłan przejęty jest niegodnością swoją przed tym Bogiem, którego jest przedstawicielem. Obowiązkiem jego modlić się naprzód za siebie i prosić o oczyszczenie z winy wszelkiej; modlić się następnie za obecnych a nakoniec za Kościół cały, Kościół wojujący i Kościół cierpiący. W ten sposób wszyscy udział mieć będą w mocy tej ofiary, ponieważ Chrystus śmierć poniósł za wszystkich.

---

*) T. j. przyznanie jednej z osób atrybutu doskonałości, czy czynności właściwej wszystkim trzem osobom.

Nie jest to wspaniała modlitwa?

Dojdźmy do tego aby ją odmawiać razem z kapłanem — uczujemy odrazu jak modlitwa nasza staje się szeroką i nie ogranicza się do pobożności egoistycznej i osobistej.

Kapłan składa hostję na ołtarzu, czyniąc pateną znak krzyża.

Tymczasem djakon wlewa wino do kielicha poczem subdjakon dodaje kilka kropli wody, którą kapłan błogosławi.

Co oznacza to zmieszanie wina z wodą? Jest to jeden z najstarszych obrządków ofiary świętej. Niektórzy widzą w tem naśladowanie Jezusa Chrystusa, który konsekrował przy Ostatniej Wieczerzy kielich wina, w którym wedle zwyczaju żydowskiego znajdowało się trochę wody. Jest też i inna przyczyna.

Wino i woda wyobrażają krew i wodę, które wytrysły z przebitego włócznią boku Chrystusa. Ale przyczyna najgłębsza jest wyrażona w modlitwie, którą kapłan odmawia, błogosławiąc wodą:

„Deus, qui humanae substantiae dignitatem mirabiliter condidisti, et mirabilius reformasti: da nobis per hujus aquae et vini mysterium, ejus divinitatis esse consortes qui humanitatis nostrae fieri dignatus est particeps, Jesus Christus, Filius tuus Dominus noster, Qui tecum vivit et regnat in unitate Spiritus Sancti Deus per omnia saecula saeculorum Amen.

Boże, któryś cudownie godność natury ludzkiej stworzył, a jeszcze cudowniej naprawił, daj nam przez tajemnicę wody i wina, abyśmy się stali uczestnikami Bóstwa Jego, który raczył stać się uczestnikiem człowieczeństwa naszego—Jezus Chrystus, Syn Twój, Panie Nasz, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha św. Bóg: na wieki wieków. Amen.

Zmieszanie wina i wody w ofierze, którą kapłan składa, wyobraża tajemnicę zjednoczenia osobistego Przedwiecznego Słowa z człowieczeństwem świętem. Wino wyobraża naturę Boską, woda—naturę ludzką. Z tej pierwszej tajemnicy, najgłębszej, wypływa druga tajemnica zjednoczenia naszego z Synem Bożym.

Była to myśl droga czcigodnemu kardynałowi Mercier. „My jesteśmy” mówił „tą małą kroplą wody, którą kapłan

wlewa do kielicha". Rzeczywiście, ta kropla wody, która utonie w nieskończoności Bóstwa Chrystusowego -— to my. On jest winną macicą -— myśmy winoroślami. On jednocześnie sokiem, który daje życie. On jest rzeczywiście głową, my rzeczywiście członkami tego wielkiego ciała, którem jest Kościół sw., w którym żyje tylko ten, w którym żyje i mieszka łaska Chrystusa.

Otóż, jak Chrystus we mszy św. czyni się hostją ofiary, tak wierni, nieodłączni od Niego, ofiarują się w Nim i przez Niego Bogu, Ojcu Jego i Ojcu swojemu.

Ponieważ wino przedstawia Chrystusa, poświęcać go nie trzeba — woda tylko przedstawiająca Jego człowieczeństwo i nasze człowieczeństwo poświęcenia potrzebuje.

Błogosławiąc wodę, kapłan wskazuje, że człowieczeństwo wezwane jest do życia wyższego, do życia nadprzyrodzonego.

W czasie mszy żałobnej nie błogosławi się wody, gdyż Kościół nie posiada rzeczywistej władzy nad duszami w czyścu pozostającemi; dlatego też nie może już ich błogosławić.

W czasie mszy uroczystej subdjakonowi przysługuje zaszczyt wlewania wody do kielicha — przywilej ten datuje się ledwie od XIV w. Do tego czasu, jak i dotąd jeszcze u Kartuzów, było to obowiązkiem djakona.

Gdy kielich przygotowany, djakon podaje go celebrującemu i mówi z nim razem modlitwę następującą:

„Offerimus tibi, Domine Calicem salutaris, tuam deprecantes clementiam: ut in conspectu Divinae Majestatis Tuae, pro nostra et totius mundi salute cum odore suavitatis ascendat. Amen.

Ofiarujemy Ci, Panie, kielich zbawienia, litości Twojej błagając: niechaj przed oblicze Boskiego Majestatu Twego za nasze i całego świata zbawienie z wonnym wstąpi zapachem. Amen.

Djakon ruchem uprzedzającym, z uszanowaniem podtrzymuje kielich i modli się z kapłanem. Przyczyna tego leży w tem, że dawniej dla komunji pod dwoma postaciami potrzebne były kielichy ciężkie, mające czasem do 30 i 40 funtów. Z drugiej strony djakon miał zaszczyt podawania Krwi Przenajświętszej w czasie komunji wiernym.

Dlatego też w formule użyta jest liczba mnoga.

Ku krzyżowi wznoszą celebrujący i djakon kielich i oczy.

Ponieważ pierwsza ofiara spełniona została na krzyżu, ważnem jest mieć jego wizerunek przed oczami. *)

Odstawiając kielich na ołtarz, kapłan czyni znak krzyża nad korporałem, tak jak to czynił nad hostją i przykrywa kielich palką (mały kwadrat płótna zabezpieczający płyn). Podczas mszy uroczystej djakon daje patenę subdjakonowi, który okrywa ją humerałem i zstępuje ze stopni ołtarza.

Aż do VI wieku patena, tak jak i kielich były przedmiotem ciągłego użytku w całej mszy św. Potem chleb był składany na korporale, patena stawała się w ten sposób niepotrzebną przez wielką część św. ofiary.

Z drugiej strony patena, będąc naczyniem św. musiała być otoczona szczególną troskliwością. Akolita był pierwotnie obowiązany trzymać ją poprzez welon, gdyż nie mógł dotykać naczyń świętych — potem było to funkcją subdjakona w tej chwili niezajętego.

W czasie mszy żałobnych pozostawiano patenę na ołtarzu. Dawniej wierni nie mogli uczestniczyć w komunji św. w czasie mszy żałobnej — stąd tylko jedna hostja była konsekrowana i wystarczała patena mała a nie wielka, mogąca obejmować chleb eucharystyczny na komunję dla wszystkich.

Nic więc nie przeszkadzało, aby mała patena pozostawała na ołtarzu.

W czasie mszy cichej kapłan podsuwa patenę pod korporał i puryfikaterz.

Po ofiarowaniu wina kapłan się nachyla i streszcza w pokornej modlitwie usposobienie, w którem powinien się znajdować wraz z ludem, aby ofiara przyjęta była przez Boga.

---

*) Dlatego powinien być zawsze krzyż na ołtarzu. Pius X i Benedykt XIV nacisk kładli na to, aby krzyż nie był tak mały, iżby wierni mogl go nie dostrzegać.—I zbyt często widzi się na tabernakulum mały krzyżyk, a za nim stojącą wielką statuę. Jest w tem podwójny błąd. Tabernakulumi nie powinno służyć za podstawę do czegokolwiek. Co zaś do statuy, stoi ona na to, aby pociągać oczy. Naturalnie tam się one kierują, a idea krzyża ośrodek całej ekonomji chrześcijańskiej — znika. Wybierajmy inne miejsca dla nabożeństwa z pewnością chwalebnego, ale zajmującego miejsce drugorzędne w stosunku do nabożeństwa wielkiego i świętego w najwyższym stopniu.

„In spiritu humilitatis et in animo contrito suscipiamur a te Domine: et sic fiat Sacrificium nostrum in conspectu tuo hodie, ut placeat tibi, Domine Deus".

W duchu pokory i z sercem skruszonym niech będziemy przez Ciebie przyjęci, Panie, a niech taka będzie dzisiaj ofiara nasza przed obliczem Twojem, aby się Tobie, Panie Boże, podobała.

Potem wyciągając i wznosząc ręce dodaje:

„Veni Sanctificator omnipotens, aeterne Deus et benedic hoc Sacrificium tuo sancto Nomini praeparatum".

Przyjdź, Duchu św., wszechmogący, wieczny Boże: i pobłogosław tę ofiarę, przeznaczoną na chwałę św. Imienia Twego.

Jest to modlitwa jedna z najdawniejszych.

Jest to wezwanie Ducha św, z prośbą, by poświęcił dary.

Mówiąc słowo „benedic" celebrujący błogosławi dary.

Błogosławić znaczy dobrze życzyć, prosić o łaskę. A wszelka łaska, wszelkie dobrodziejstwo przychodzi nam przez Chrystusa i przez krzyż, stąd naturalnie znak krzyża towarzyszy w liturgji słowom błogosławieństwa. D. c. n.

O. Karol van Oost O. S. B.

O istocie kapłaństwa.

Kapłaństwo może być przyrównane do wysokiej góry stającej przed nami w całym swym niemym majestacie. U podnóża jej widzimy ciemne lasy, nieco wyżej jasnozielone łąki, na ich zaś tl sześciany szałasów; jeszcze dalej dostrzegamy pojedyncze najeżone sosny, wspinające się po jej zboczu. Im wyżej, tem stają się one karłowatsze, aż wreszcie całkiem zanikają, dopiero wówczas rozpoczyna się ostry dziewiczy urok górski. Srebrzysta biel miękkiego śniegowego kobierca okala dzikie wierzchołki i grzebienie. Wszystko widzimy tam wyraźnie; gdy zaś pogoda dopisuje, niektóre szczyty wydają się nam tak bliskie, jakbyśmy mogli ich się dotknąć. W zachwyceniu napawamy swój wzrok tym widokiem, pragnąc go utrwalić w swej wyobraźni, ale niestety! Z każdym krokiem wspinania się na górę widok się zmienia. Tu znika jeden wierzchołek, tam niespodzianie wyrasta drugi; tu ukazuje się wąwóz, ówdzie wydłuża się w nieskończoność na pozór zupełnie małe pole śniegowe. Coraz to nowe,

częściowo całkiem różne obrazy zmieniają się do tego stopnia, iżbyśmy się zmartwili, gdyby nas zapytano, który z tych krajobrazów górskich uważamy za najpiękniejszy, najlepszy. Podobnie dzieje się z kapłaństwem. Istnieje o niem niezliczona ilość przekonań i poglądów na nie. Właściwie tyle jest poglądów, ilu ludzi, zwłasza że każdy człowiek wciąż zmienia swe poglądy.

Pozwolę tu sobie zestawić krańcowe typy tych różnych poglądów. Jeden z nich ujmuje kapłaństwo tylko pod względem jego użyteczności zewnętrznej. Podług niego kapłan ma działać nietylko z ambony i w szkole, lecz również na wiecach, powinien być dobrym dzielnym mówcą, wprawnym politykiem. Winien znać się na gospodarstwie i być gotowym do udzielania porad prawnych i wszelkich innych. Proboszcz wielkomiejski— to mądry organizator, w którego kancelarji zbiegają się wszelkie nici, najrozmaitszych przejawow życia społecznego, który wszystko wie, we wszystkiem uczęstniczy, a więc na wszystko może wpływać; na wsi zaś proboszcz z zakasanemi rękawami zajęty przy pługu, w polu i oborze jest prawie ich ideałem.

Pogląd z drugiej strony patrzy na kapłana tylko ze względu na życie przyszłe. Wieczności nieskończonej w uroczystym spokoju oddaje się kapłan służbie Bożej. Od zetknięcia się ze światem i doczesnością tacy ludzie starają się możliwie go ochronić, uważając je za pewnego rodzaju splamienie, zanieczyszczenie. Nawet tam, gdzie świat pociąga dobrem i okazuje wartości, woleliby, by kapłan się nie poświęcał. Niektórzy patrzą tak, być może, wskutek swej wielkiej pobożności. Tak naprzykad pisał do mnie pewien student, obecnie aspirujący do kapłaństwa, o swych poglądach na kapłana Wraz z Chrystusem widzi siebie zawieszonym na krzyżu między niebem a ziemią. Najmniejszej piędzi ziemi już nie uważa za swą własność. Wszelką miłość ludzką, którаby próbowała przeniknąć w jego serce, łagodnie lecz stanowczo od siebie oddala, jak uczynił to Jezus w chwili skonania, polecając jedną drugiej dwie najmilsze sobie osoby, Marję i Jana. W osamotnieniu zupełnem i mrocznej nocy cierpień wisi tak spragniony i złamany bólem. Naprawdę wstrząsająca wizja! Ponieważ jednak jest ona tak bardzo czarna i tak wyłącznie negatywna, nie może dłużej się utrzymać u młodzieńca pragnącego rozwoju. Co dziwniejsze, również koła mniej religijne skłonniejsze są do tego ujemnego obrazu kapłaństwa. Jakgdyby spra-

wiało im przyjemność, że niektórzy ludzie za nich się poświęcają w zupełnem zapomnieniu o sobie. Ich zdaniem, kapłan winien i tam się poświęcać, gdzie inni synowie ludzcy mogą sobie nieco pozwolić. Oczywiście ten ich pogląd jest bardzo sentymentalny. Patrzą na kapłana, lub zakonnika, jak na muzyka, grającego gorliwie wśród nocy księżycowej. W pierwszym ze swych utworów podróżnych Nietzsche obrazuje „powołanego", jak samotnego wędrownika, wciąż w nocy idącego, aż zatrzymuje go niezwykle słodki śpiew jakiegoś ptaka. Tak mile dźwięczy on wśród nocy. „Co chcesz, o ptaku miły, że muszę stać i słuchać? Czemu pociągasz mię swym głosem?" Ptak mu odpowiada, że wabi nie jego lecz swoją samkę. „Co cię obchodzi moja pieśń, gdy musisz ciągle iść i nigdy, nigdy cicho stać! Co winien mu mój śpiew? I czemu jeszcze stoi ten biedny wędrownik?..." Jest rzeczywiście dziwnem, czemu niektórzy ludzie niewierzący wolą ten ujemny obraz kapłana. Jakgdyby sami śmielej mogli używać wygód zyciowych, mając to tanie usprawiedliwienie, że inni za nich poświęcają się, modlą i pokutują. Jak niegdyś królowie lekkich obyczajów budowali klasztory, by prowadzić dalej życie rozwiązłe, pocieszając się myślą, że ktoś inny przebłaga za nich Boga. Jakgdyby takie przebłaganie było możliwe!

Który z tych dwóch poglądów jest słuszny? Lub raczej, ponieważ oba te poglądy są krańcowe, ile z jednego a ile z drugiego zawiera właściwy pogląd na kapłaństwo?

Spróbujmy odpowiedzieć słowami Pisma świętego. W I liście do Koryntjan (rozdz. 7, w. 25) św. Paweł mówi o panieństwie. Ponieważ jednak panieństwo ma dla niego znaczenie tylko ze względu na Boga, bo znacznie ułatwia królestwo Boże, jego słowa mają zastosowanie również do zachowującego celibat kapłaństwa. Wiersz 32 tego listu powiada: „Kto bez żony jest, stara się o to, co Pańskiego jest, jakoby się podobał Bogu. A który z żoną jest, stara się o to, co do świata należy, jakoby się podobał żonie, i rozdzielon jest". Nie będziemy rozważali, czy św. Paweł mówi tu o przeciętnem usposobieniu małżonków, czy przypuszcza, że w małżeństwie tak musi być zawsze. Co do mnie, uważam bezwzględnie, że słuszne jest pierwsze. Bo również małżonkowie, jak powiedziano to dalej o pannach, powinni być święci na duszy i ciele. Również ich ciała są przy-

bytkami Ducha świętego, których nie wolno zanieczyszczać. I oni nie powinni oddawać się pracy wyłącznie światowej z zapomnieniem o Bogu. Rzeczywiście, znam wielu małżonków bardzo religijnych, znacznie więcej od tych, którzy, zostając w celibacie i mając dużo czasu i sił dla służenia Bogu, oddają się uciechom i próżności. Sama wolność od trosk i kłopotów nie tworzy gorliwości w służbie Bożej. Przeto w słowach św. Pawła, pomimo gorących wywodów listu do Efezów, niema wcale wyroku na małżeństwo, jako takie. Rzeczą wszakże cenną i trwałą w rozumowaniu św. Pawła jest, według mnie, nie to małostkowe porównanie i ujęcie obu możliwości, lecz fakt, że św. Paweł oba te stany jeden drugiemu tak bardzo przeciwstawia: dziewictwo i małżeństwo. „Starać się o to, co Pańskiego jest, jakoby się podobać Bogu". „Podobać się" znaczy zadowolić, rozradować Pana, stając do jego usług, czcząc go i poddając się jego woli. Z drugiej strony: „Starać się o to, co do świata należy, jakoby się podobać żonie". Na podstawie tylko tych słów św. Pawła, gdybym nie miał nic innego, czybym mógł uważać dziewictwo i kapłaństwo za coś czysto negatywnego, za samo beztroskie wyrzeczenie się miłowania i odbierania miłości? Czy raczej z tego przeciwstawienia św. Pawła nie jest jasne, że również tu, w kapłaństwie ma się na względzie miłość i troskę, tylko że ta troska wypływa z innego źródła mocy, lub przynajmniej że się ją inaczej układa i zaspakaja.

O tak, obaj, kapłan dziewiczy narówni z małżonkiem troszczy się i kocha. Zupełnie słusznie można powiedzieć: Całe królestwo miłości duchownej i wspólnoty stoi otworem dla kapłana. Poeci lubią opiewać przyjaźń i małżeństwo, jakiem szczęściem jest to zostawanie we dwoje, ta wspólnota „Gdzie w pracy twórczej twe ręce się poruszą, tam dłuższy czas zostaje ślad promienny. Ty kroczysz dzielnie, tyś pełen młodych sił, jakgdyby pączki pękały ci na drodze. Moje zaś serce jest jak pieśń promienna, pełne zachwytu w ciągu twej podróży". Czy wszystkim wiadomo, że prawy kapłan w całej pełni uczestniczy w tem szczęściu wspólnoty duchownej? Wszak jego dusza namiętnie dąży do ideału. Czystość, świętość i doskonałość dźwiękami tęsknoty rozbrzmiewają w jego sercu. Wciąż słyszy ich wołanie, jakgdyby czekała go daleka ojczyzna, ma w nią utkwiony jaśniejący swój wzrok. Inni duszpasterze, nieodzowni wspólnicy

podróży, pobudzają się wzajemnie do tych szczytów, tych cennych wrażeń podróżnych, tak przedziwnie! Trzeba tu również w głębszem znaczeniu zastosować: „Ty kroczysz dzielnie, tyś pełen młodych sił, jakgdyby pączki pękały ci na drodze. Moje zaś serce, dziewicze serce kapłana, jako pieśń promienna pełne jest zachwytu w ciągu twej podróży", Święcie iść, kroczyć tak promienną drogą! Zaglądając do swej przeszłości, dostrzegam, że właśnie najpiękniejszem i zarazem najlepszem było takie kroczenie w cichem świetle idealnej przyjaźni kapłańskiej. Myślę nawet, że przyjaźń lub małżeństwo nic nie są warte, że prędko się rozpadają, jeśli dużo, bardzo dużo nie mają tej wspólnoty duchownej, otwartej również dla kapłana.

Lub gdy zważymy inne dziedziny królestwa miłości i małżeństwa, nietylko wzajemny stosunek małżonków, lecz również względ na dziecko. Jakież to szczęście odczuwa ojciec, gdy jego dziecię czepia się swemi drobnemi rączętami jego pomocniczej ręki, spoczywając w niej jak w muszli obszernej, gdy tajnie młoda krew wita twoją i grzeje się przy niej. Wiesz zaś, że ta krew jest ci bliska, jest twoja. Wszak dziecko jest częścią ojca, jego przedłużeniem, uzupełnieniem jego bytu. Zupełnie wyraźnie ojciec może dostrzec, jak w dziecku jego udział, zjednoczony z udziałem matki, dąży do wyższego nowego bytu. Ktoś przeto powiedział, zdaje się był to Freiligrath, że ojcostwo jest czynnikiem zupełnego rozwoju osobowości ludzkiej. Tylko przez dzieci możemy stać się łącznikami przeszłości z przyszłością, ogniwami wielkiego łańcucha ludzkości, bez dzieci zaś będziemy tylko przerwanym jego pierścieniem. Bardzo słusznie! Lecz ostatecznie, czyż my kapłani również nie jesteśmy ojcami? Już św. Paweł w I liście do Koryntjan, rozdz. 4, wspomina o niewymownem szczęściu ojcowskiem: „Nie wielu macie ojców, lecz w Chrystusie Jezusie przez Ewangelję jam was urodził", lub znowu w liście do Filemona: „Proszę cię za synem moim (niewolnikiem Onezymem), którego zrodziłem w więzieniu mojem", czyli ochrzciłem. Jego poczucie, że jest wychowawcą staje się tak wielkie, że widocznie załamuje się w niem pojęcie ojcostwa. Lecz na tem nie koniec. Św. Paweł chce czegoś mocniejszego, używa więc zupełnie mimowolnie obrazów wziętych z macierzyństwa, bo szczęście matczyne jest znacznie większe od szczęścia ojcowskiego. W rozdziale 4 listu do Galatów woła: „Dziatki moje, które znowu bo-

lejąc rodzę!" W I do Tessalończyków, rozdz. 2: Staliśmy się malutkimi w pośrodku was, jako gdyby matka ogrzewała syny swoje. Tak was pragnąc, chcielismy chętnie dać wam nietylko Ewangelję Bożą, ale też dusze nasze; żeście się nam stali najmilszymi". Ojcostwo i macierzyństwo są podług mnie radością nad wszelką radość, szczęściem nad wszelkie szczęście. Prawe życie kapłańskie ma zawsze tego poddostatkiem.

Lecz te dziedziny miłości nietylko otwarte są dla kapłana, że może z nich korzystać. O nie, on musi to czynić, musi spełniać tę możność miłowania. Choćby więc kapłan bez miłości uważał, że wystarcza czysto urzędnicze spełnianie swych obowiązków, w rzeczywistości jednak to nie wystarcza, uchybia bowiem jego zadaniu, jego ideałowi. W dowód tego warto tu przytoczyć obok Pisma Św. również pewien szczegół z obrzędów. Mianowicie podczas konsekracji na biskupa konsekrowanemu wkłada się pierścień zupełnie tak samo jak podczas ślubu narzeczonemu obrączkę, powierzając mu narzeczoną. Przytem biskup konsekrujący powiada: „Przyjm ten pierścień oznakę wierności, ażebyś ozdobiony wiernością niezachwianą strzegł Oblubienicy Bożej czyli Kościoła!" Zupełnie więc podobnie do słów kapłana podczas zamiany obrączek ślubnych. Jakgdyby tu również tajny ślub się odbywał. Bo naprawdę, konsekracja jest ślubem, zawarciem małżeństwa! Gdy sobie przypomnimy, już Stary Zakon, potem zaś św. Paweł obrazują stosunek Chrystusa do Kościoła jak narzeczeństwo, jak zaślubiny. Rozdział 5 listu do Efezów powiada: „Mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła. Jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkiem". Lecz i odwrotnie: „Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i samego siebie wydał zań". Małżeństwo jest więc tylko słabym odblaskiem tego pierwowzoru, tego zjednoczenia się Chrystusa z Kościołem. Małżeństwo nawet najbardziej idealne pozostaje daleko od tego zjednoczenia. Biskup jest widzialnym zastępcą Chrystusa, Oblubieńca, kapłan zaś—to jego współpracownik", jak się mówi w ceremonji święceń. Czy wszyscy wiedzą, czemu kapłan ma pałać miłością oblubieńca do Kościoła i dusz? Dlatego, że te dusze są rzeczywiście mu zaręczone i zaślubione, że więc powinien poświęcać się za nie i z miłości o nie się troszczyć, jak się troszczy małżonek o swoją rodzinę.

Przeto sam Pan Jezus tylko o jedno zapytuje św. Piotra przed przekazaniem mu urzędu pasterskiego: „Szymonie, miłujesz mię?" Czy umiesz miłować? Bo miłować, umieć miłować jest wielkim warunkiem wstępnym do stanu kapłańskiego. Wszystkie inne łaski i moce zbawienne, otrzymywane przez kapłana, są właściwie tylko niezbędnym orężem dla zostania narzędziem miłości w rękach Bożych. Rozumiemy to: Bóg jest miłością. Do jego istoty należy przebaczanie łaskawe, udzielanie. Powinni więc wszyscy, pragnący zbliżyć się do Niego, zwłaszcza odznaczać się miłością. Zdolność miłowania, udzielania się jest miarą, jak wysoko człowiek stoi, jak blisko jest Boga. Ojciec i matka są tylko ziemskiemi organami, narzędziami, stworzonemi przez Boga dla udzielania tej miłości. „Bóg nie może być wszędzie, więc stworzył matkę", mówią arabowie. Ściślej: Bóg nie jest wszędzie dostrzegalny, chce jednak być widzialny zwłaszcza w swem miłowaniu, więc stworzył matkę, by przez nią widzialnie móc miłować. Przeto również najzagorzalszy bezbożnik leżał niegdyś jako dziecię w Bożych ramionach. Kapłan jest podobnem narzędziem miłości Bożej dzięki nabytej podczas święceń szczególnej łasce dożywotniej, tylko w dziedzinie innej, czysto duchownej, nadprzyrodzonej. „Reliquit nos tanquam vicarios sui amoris, pozostawił nas jakby zastępcami swojej miłości", by przez nas ludzi miłować. Króciej niż w tych słowach św. Ambrożego nie można wyrazić całej głębi istoty kapłaństwa. Ojcowie, matki, kapłani są czystemi przejrzystemi źródłami, z których wytryska wielka woda ożywcza świata, miłość Boża, ten strumień życiodajny pojący ludzkość spragnioną.

Stąd wypływa rozwiązanie trudności, o których zaznaczyłem na wstępie. Kapłaństwo nie jest ani tylko doczesnością, ani wyłącznie duchowością, lecz zarazem jednem i drugiem. Jest doczesne, jak wszelka miłość i troska są doczesne, ma za podstawę rzeczywistość i do niej zmierza. Tak samo jak w małżeństwie, a nieraz może nawet jeszcze bardziej musimy również my kapłani dzielić z ludźmi radość szczęścia i gorycz boleści. Bo ludzie są to nasi ukochani. Kochaj więc bardzo, ile zapragniesz, ja zaś będę z tobą współzawodniczył! Użyję całej swej dumy kapłańskiej, by ci nie ustąpić, by na równi z tobą kochać mocno i stale!

Z drugiej strony, oczywiście, życie kapłańskie jest również duchowne. Bo głębiej rozważając, widzimy, że nie jest ono miłością czysto ludzką, lecz Bożą, Bożym strumieniem miłości, dla którego czynię z siebie naczynie i sito, gdy zaś dzielnie z nim współpracuję, staje się zdolny obudzić poczucie Boga w innych duszach. Przytem w przeciwieństwie do małżeństwa działanie tego strumienia miłości Bożej nie jest ograniczone nakreślonym zgóry żadnym kierunkiem.

Miejcie pieczę tylko o Panu, mówi św. Paweł. Tylko to podkreśla. Gdyby bowiem człowiek nie wyłącznie myślał o Panu, gdyby chciał nakreślić granice dla miłości Bożej, to musiałaby miłość iść tylko tam, a nie dalej, człowiek zaś, jak mówi św. Paweł, byłby podzielony. Tak daleko sięga miłość kapłana. Bóg bowiem przebywa nietylko w jednostce, kobiecie, lub dziecku, lecz również w ogóle ludzi i pragnie pomocy. Miłość więc kapłana powinna sięgać dalej, właściwie tak daleko, jak żyją ludzie, jak żyje potrzeba. Lecz przez to samo miłość kapłana staje się wolną, nawet lotną, tak dziwnie lotną i niestałą, przynajmniej pozornie. Bóg bowiem, ten Zbawca mistyczny, pragnący w duszach wzrastać, tak głośno woła o pomoc. To tu, to ówdzie, nieraz daleko wśród pogan, niewierzących, błędnowierców, ubogich i robotników głośniej i bardziej niż wśród rodaków, najbliższych krewnych, lub przyjaciół. Powinien więc kapłan dla tych dalekich nie być skrępowanym, nie powinien nigdzie osiadać na stałe, bo nie wie, dokąd go boski strumień miłości zaprowadzi. Wiemy, że takiemu zadaniu małżeństwo nie odpowiada, że krępuje, wkładając konkretne stałe obowiązki miłości w małem kole. Małżonek nie może tak dowolnie poświęcać się dla innych, ma wpierw obowiązek myśleć o utrzymaniu swej żony i dzieci. Kapłan również nie powinien zanadto się zagnieżdżać w poszczególnych duszach, by zawsze być gotowym na wołanie Boże, wymagające od kapłana w jego miłości pewnego trzymania się zdala. Nigdy zaś nie wolno stawać między Bogiem a duszą. Czy również mogę przywiązać się do duszy, gdy Bóg, być może, pragnie mieć mnie tylko chwilowem swem narzędziem? Kapłan więc w życiu ziemskiem nigdy nie spoczywa, jest stałym, często bezdomnym wędrownikiem. Bo wszak naprawdę często zadaniem jest kapłana być słońcem miłości, które na skraju ludnego spragnionego miłości świata wciąż

świeci i świeci, a nigdy ciepła z powrotem nie odbiera. Zdaje się, jakgdyby mroczna zimna przestrzeń wchłaniała w siebie nieruchomo wszelkie światło i wszelkie ciepło. Ileż zawodu, niewdzięczności, nienawiści i oszczerstw jest często ostatnią kapłana zasługą i nagrodą! Kapłan przytem nie ma możności w takim zawodzie swoich starań schronić się w kole swej rodziny, oprzeć się na czemś pewnem, choć w świecie zbudowanem, na miłości osób do niego przywiązanych. Może więc kapłan rzeczywiście czuć się przybitym do krzyża w zupełnem opuszczeniu... Nie przeczę bynajmniej, że kapłan nieraz staje się ofiarą. Za dużo jednak sprawiłyby szczęścia radości kapłańskie, gdyby nie towarzyszyły im cierpienia i nie pomogły szczęścia znosić. Mieć na względzie tylko wzniosłe posłannictwo Boże, wyrzekać się stanowczo wartości doczesnych, by Bóg przeze mnie mógł wszystkich miłować i w tej miłości do reszty mię zużytkować jako swe narzędzie,—czyż nie będę radośnie się starać o takie wyrzeczenie?

Są jednak dusze, w których samo oglądanie nędzy tego świata budzi tak wielką miłość nieskrępowaną, że się przekonali, iż nie jest ona jakimś małym, celowo wzniesionym budynkiem miłości, ani też marnym strumykiem miłości czysto ludzkiej. Szeroko więc otwarli swe ramiona dla tej fali Bożej. Morze zaś mieni się na słońcu wspaniałe, nieprzejrzane, dalekie. Przyjdź, o morze miłości, porwij mię w swe wodne ramiona, unieś mię w dal do owych tysięcy ludzi bezdomnych, nie mających nikogo, kogo mogliby nazwać swym przyjacielem i bratem, a cóż dopiero ojcem! Na samą myśl o tem znika we mnie wszelka ociężałość, budzi się gorąca miłość ojcowska. I ktoby wówczas się ważył wprowadzać mię w błąd, wabić z powrotem do przystani, do małego ciepłego gniazdka szczęścia? O nie, zostawcie nas! Jesteśmy zaślubieni tysiąckrotnie, wiecznie, niezmiennie obszarom boskim! — Pragnijmy szczerze, pokornie się modlić, by nas kapłanów Bóg zawsze utrzymywał w tej świętej woli.

Ks. A. Stonner, Wiedeń.

Chrystus — Bierzcie i spożywajcie — to jest Ciało Moje!

Berzcie i jedźcie—to jest Ciało Moje!
To jest Chlęb Życia,—a w śmierci godzinie
Wiatyk na drogę na Sąd Ostateczny.

Bierzcie i pijcie—bo to jest krew Moja!
Kto ją pić będzie—na wieki nie zginie,
Bo w swojem łonie żywot nosi wieczny.

Krew ta wylana za was dzisiaj będzie, —
Z niej na was łaska i pociecha spłynie,
Ona wam będzie światłem i ostoją.

Ja zaś przez wieki będę z wami wszędzie,
Skrycie obecny w tym chlebie i winie, —
Czyńcie to zawsze na pamiątkę Moją!...

Bronisław Wiszniewski.

DYSPUTY.

Pyt. Jak rozumieć stosunek Boga „jako dobrego ojca" względem grzesznika, jeżeli bezustanne błagania Boga o łaski dla tego... i przez tego grzesznika są przez tego dobrego Boga odrzucane. Prawda że ów grzesznik jest największym grzesznikiem, lecz ów grzesznik pragnie się „nawrócić i żyć"... Przecież dla... wszechmogącego i tak dobrego Boga, który tyle wycierpiał i umarł dla grzesznika, jest łatwem rzec słowo, ażeby ów trędowaty został natychmiast uleczony, a jednak to się nie dzieje... Grzesznik bezustannie woła: Jezusie, zmiłuj się, zmiłuj, a Jezus zdaje się nie słyszy... Nawet błagania Najświętszej Matki, która nikogo nie... opuszcza a i nikiem nie gardzi, o wstawiennictwo się do Syna Swego — są bezskuteczne... Jak zniewolić, że tak powiem, dobrego Jezusa, ażeby raczył udzielić łaski swojej służenia Jemu? Alboż odrzucenie prósb owego grzesznika przez Chrystusa Pana należy rozumieć jako niechybną zgubę i odrzucenie tego grzesznika? Jeżeli tak, to gdzie ta prawda, że Chrystus Pan chce, ażeby grzesznik nawrócił się i żył?

Jakże to jest: Chrystus Pan chce życia grzesznika i w tym celu tyle wycierpiał dla grzesznika i tak haniebnie umarł na krzyżu, a łaski Swojej służenia Jemu, dać nie chce? Prawda, ta łaska, o którą grzesznik błaga winna być pod postacią materjalną, ależ ten sam Chrystus Pan dał sakramenta pod postaciami materji: jak naprzykład Swoje Ciało najświętsze i Swoją Krew ukrył pod postaciami chleba i wina. A może dlatego Chrystus Pan nie chce wysłuchać błagań owego grzesznika, że w nim jest brak wiary? To dlaczego Chrystus Pan nie da temu grzesznikowi łaski żywej wiary... przecie ów grzesznik chce wierzyć... chce służyć szczerze temu Chrystusowi z całego serca!?! A może dlatego prośby owego grzesznika nie są wysłuchane, że jest największym grzesznikiem? To jaka z tego konsekwencja dla tego biednego największego w świecie grzesznika? Czy ma wiedzieć, że jest odrzuconym od Jego miłosierdzia Boskiego? A wówczas rozpacz i potępienie dla niego w udziale? I pocóż w takim razie ten Chrystus tyle cierpiał, poco tak haniebnie i sromotnie umarł na krzyżu, jeżeliby choć jedna dusza miała zginąć z braku środków..., a raczej z braku łaski służenia Jemu... Nie, ja w to nie chcę wierzyć, ażeby Ten Chrystus Pan, który tyle wycierpiał dla grzeszników i który tak pragnie, ażeby grzesznik nawrócił się i żył, nie chciał i mojej... prośby wysłuchać... To chyba dla tego mnie nie wysłuchiwa, że ja nie umiem prosić... a więc jak prosić? Niech i ja otrzymam łaskę służenia Jemu, bo gdzież pójdę i komu służyć będę, jeżeli On mię odrzuci.

Odp. Pewną, najpewniejszą jest rzeczą, że Bóg jest dobry, nawet najlepszy. W przeciwnym bowiem razie nie byłby Bogiem.

Niema również najmniejszej wątpliwości, że Bóg chce, by każdy się nawrócił i żył, choćby był największym grzesznikiem na świecie.

Niema takiej zbrodni, którejby Bóg nie przebaczył i takiego zbrodniarza, któregoby nie chciał zbawić. Wszak i Judasza Chrystus-Bóg ratował już po dokonaniu przez niego największej zbrodni, bo zdrady samego Boga i wydania Go na śmierć w ręce Jego wrogów

Mamy tysiączne przykłady historyczne na potwierdzenie tej prawdy, której pewność filozoficzna i nadnaturalna, z Objawienia nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Jedynym warunkiem ze strony grzesznika jest szczera skrucha, dobra wola i wysiłek, na jaki go stać, by iść ku dobremu. Jedno słowo łotra na krzyżu wystarczyło, by go tego samego jeszcze dnia zbawić; jedno uderzenie się w piersi celnika i skruszony akt: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!" wystarczył, by go usprawiedliwić w tej samej chwili przed Bogiem.

Dobry łotr usłyszał od Chrystusa zapewnienie: „dziś jeszcze ze mną będziesz w raju". Podobnie i dzisiaj w imieniu Boga nad skruszonym grzesznikiem wymawia kapłan sakramentalne słowa: „Ja ciebie rozgrzeszam z grzechów twoich"—tak, jak kiedyś Chrystus powiedział do grzesznej niewiasty: „Odpuszczają ci się wszystkie grzechy — idź w pokoju!"

Ktokolwiek więc, choćby był największym złoczyńcą, może sobie szczerze przyznać, że zrywa z życiem poprzedniem i pragnie odtąd żyć dobrze, wyspowiada się szczerze i otrzyma rozgrzeszenie— może być pewny—bo Bóg w swych obietnicach nikogo nie zawodzi—że wszystko zostało mu darowane i że jest znowu w łasce bożej. Może tego nie odczuwać, bo uczucie nie zależy od nas i niezawsze możemy je w sobie wywołać. Ale Pan Bóg nie patrzy na uczucia, a tylko na wolę, nie żąda od nas łez skruchy i bólu serca, ale oczekuje tylko prostego aktu woli: „chcę — pragnę", choćby serce pozostało suchem i nie drgnęło nawet żadnem żywszem uczuciem.

Na tym punkcie najczęściej zdarzają się u ludzi wątpliwości w szczerość swego nawrócenia, w skuteczność modlitwy, w wystarczającą wiarę... Gdy niema uczucia nie jest to jeszcze dowodem, że niema wiary, lub że modlitwa jest niedoskonałą. Decyduje tutaj wewnętrzny akt woli, którego pewność możemy mieć zawsze.

Jedno jeszcze może budzić w nas nieuzasadnioną obawę, że nie przyjął Bóg naszego nawrócenia—gdy po zwróceniu się do Boga nie wiedzie nam się w naszych sprawach doczesnych, jakby nad nami nie było błogosławieństwa Bożego.

Wątpliwość ta jest skutkiem tego błędnego mniemania, że błogosławieństwo boże winno iść zawsze w parze z powodzeniem doczesnem.

Owszem bywa tak bardzo często, ale niekoniecznie i niezawsze. Pan Bóg jest dobry mądrze, jak matka, ale nie taka,

która daje dziecku do ręki wszystko, co mu się podoba, żeby je zadowolnić i nóż błyszczący i truciznę pachnącą nawet. My jesteśmy, jak niemowlęta z naszą ludzką kalkulacją, owianą zazwyczaj wpływami bardzo ziemskiemi i na krótką obliczonemi metę. Pan Bóg zaś daleko widzi i dobrze widzi i dobrze wie, co dla nas jest prawdziwem dobrem, a co blichtrem, lub przeszkodą. A blichtru ani tandety żadnej nie popiera, ani nie dopuszcza. Pan Bóg wie, że istotnem naszem dobrem jest zbawienie duszy, a tu na ziemi łaska. I to przeprowadza, że tak powiem, par force, że aż nieraz krzyczeć trzeba, bo często zaboli. Ale to tak, jakby matka wyjmowała drzazgę z ręki dziecka, choć to dziecko płacze w niebogłosy i nie pozwoli dotknąć nawet zbolałego miejsca, albo jakby trzymała całą siłą choćby za włosy, gdy dziecko chce urwać kwiatek nad brzegiem przepaści i aż wierzga nogami na znak protestu przeciwko twardości matczynego serca.

Dobrą jest Pan Bóg matką, ale i mądrą i mocną.

Powodzenie, które nieraz służy lichym moralnie ludziom jest tylko tą nagrodą doczesną za to, co kiedykolwiek dobrego zrobili. Bo przecież i najgorszy człowiek czasami na coś dobrego się zdobędzie. A Pan Bóg nic bez nagrody nie zostawia. Zamało jest, by mogło być nagrodzone w wieczności, więc reguluje Pan Bóg ten rachunek tutaj na ziemi. Ale nie pozostawi nigdy nic niezałatwionego! O dobrem pamięta zawsze. Zapomina i to na wieki o tem, co człowiek złego zrobi, jeżeli tego żałuje i choćby jednem szczerem westchnieniem poprosi o przebaczenie.

Pozostaje bardzo często, po darowaniu kary wiecznej, do wyrównania jeszcze tak zwana kara doczesna, zadosyćuczynienie za drobne przewinienia, czy za niedoskonałość aktu skruchy. Otóż, zamiast zostawiać to na później, jak nas uczy wiara, że takiem miejscem zadosyćuczynienia doczesnej karze po śmierci jest czyściec, Pan Bóg najczęściej już usprawiedliwionym daje sposobność wyrównania tego długu tu na ziemi, przez cierpliwe znoszenie przeciwności życiowych. I to jest tajemnica tak często spotykanego niepowodzenia w życiu ludzi dobrych i nawet najlepszych. I to jest bardzo mądra i pełna miłości kalkulacja.

Znakiem więc widomym usprawiedliwienia naszego jest

tylko rozgrzeszenie sakramentalne i świadomość, że chcemy, by było dobrze i czynimy w tym kierunku pewne wysiłki. Nawet uczucie pokoju wewnętrznego, jak żadne wogóle uczucie, nie jest tutaj rzeczą istotną. Ma człowiek na to rozum, żeby sobie trzeźwo zdał z tego sprawę, że jest na dobrej drodze. A w wątpliwościach, które bardzo często, szczególnie u nawróconych, są objawem chorobliwego skrupulatyzmu, powinien pomóc doświadczony spowiednik i wiara w dobrego Boga.

Wiara też nie jest uczuciem, tylko aktem rozumu i woli, przyznającym za prawdę to, co Pan Bóg objawił, choćbyśmy tego nie rozumieli, albo nie czuli żadnego do tego pociągu. Rozum ludzki, z natury swojej ograniczony, nigdy nie ogarnie tego, co jest nieskończonem. Jeżeli więc mamy fakt Objawienia Bożego, t. j. rewelacji o tych rzeczach nieskończonych, uczynionej przez samego Boga — co się zawsze da stwierdzić historycznie—wtedy, nie mogąc nawet tego zrozumieć, przyjmujemy za prawdę, bo tak powiedział Bóg. To jest akt wiary, czysty akt umysłu i woli. Albo, wiedząc, że Bóg jest najlepszy i najmędrszy i najpotężniejszy, że więc chce dla nas tylko tego, co najlepsze, a wie najlepiej, co niem jest i mocen jest zawsze to przeprowadzić—przyjmujemy z wdzięcznością i spokojem, a choćby z cichą rezygnacją to, co na nas zsyła Opatrzność, gdyśmy już wszystko, co w naszej mocy jest, uczynili, choćbyśmy nawet nie rozumieli, dlaczego tak, a nie według naszych pragnień, czy wyliczeń się dzieje—o, to jest wiara, praktyczna i żywa.

Żeby taką wiarę mieć, trzeba tylko aktu umysłu i woli, aktu zgody i dobrej woli. Aby się na to zdobyć, należy się tylko zastanowić nad motywami takiej wiary i najprościej w świecie prosić o nią Pana Boga, jak nas nauczył Pan Jezus: „Panie, przymnóż nam wiary!"

Prosić zaś, modlić się — to też najprostsza w świecie rzecz. Każde dziecko potrafi przemówić do swojej matki, zarzucić jej rączki na szyję i powiedzieć cichutko do ucha, jak ono ją bardzo kocha, albo uśmiechnąć się do niej na podziękowanie, albo spojrzeć jej prościutko w oczy i, całując serdecznie poprosić grzecznie, ale bez napierania się o coś dobrego, albo w rękę pocałować i przeprosić za to, że się nie było grzecznym.

Tak samo zupełnie z Panem Bogiem. Prosto i szczerze, jak z matką. To jest modlitwa.

I taka modlitwa zawsze jest przez Boga przyjętą i wysłuchaną. Wysłuchana nie w tem znaczeniu, że zaraz Pan Bóg nam da to, o co prosimy. Bo i mądra matka — jak to już wspomnieliśmy — nie da dziecku noża, ani trucizny do ręki, choć o to bardzo ją prosi, ani nawet nie pozwoli na tak pożyteczną rzecz, jak pójście do ogrodu na zabawę, ani tak wzniosłą, jak odwiedzenie kościoła, jeżeli w tej chwili trzeba robić co innego. Ale da dziecku napewno jeszcze coś lepszego.

Tak samo i Pan Bóg. Jeżeli nie spełnia odrazu naszych, nawet bardzo serdecznych i napozór, jak nam się przynajmniej zdaje, pożytecznych i godziwych próśb, to dlatego tylko, że wie, iż w tej chwili albo nie jest jeszcze na to pora, albo widzi, że nie byłoby to z pożytkiem dla zbawienia naszej duszy, albo — co zawsze się zdarza napewno — ma dla nas jeszcze coś bardziej dobrego i to nam daje.

Jak wrażliwe i trochę uparte dzieci, niezawsze, prawie nigdy, nie rozumiemy tej mądrej dobroci bożej i dąsamy się na taką „oryginalną" miłość, albo trwożymy się, że nas Pan Bóg nie wysłuchuje.

Bądźmy spokojni! Słyszy Pan Bóg zawsze najcichszy nawet szelest serca naszego, niedosłyszalny nawet szept naszej duszy i wysłuchuje najmniejszej nawet prośby najmniejszego z maluczkich. Tylko mądrze i przewidująco. Okażmy w tem naszą dziecięcą wiarę i prośmy znowu Pana Boga: „Panie, naucz nas tak się modlić".

I uprzytomnijmy sobie raz jeszcze tę prawdę: niema w oczach Bożych żadnego grzesznika, któryby nie został usprawiedliwiony, gdy tego pragnie i zwraca się z tem do Boga, jak umie, w całej prostocie swego serca.

Bóg zawsze i dla wszystkich jest Ojcem!

* * *

Pyt. Jak i co czynić należy, ażeby upoić się prawdziwie Jezusem? Jezus jest Prawdą, Jezus jest Miłością. Lecz, jak posiąść tę Prawdę, jak się nasycić tą Miłością?

Odp. Bardzo prosto! Przyjść i powiedzieć Mistrzowi i Przyjacielowi: „Oto jestem". I najprościej w świecie żyć w swoim kąciku i czynić wszystko, co do nas należy, praco-

wać, modlić się, jeść, spać, bawić się i odpoczywać, gdy na to czas przyjdzie—tylko zawsze z pamięcią, że to wszystko jest służbą Chrystusową i zawsze w ciągłej z Nim rozmowie duszy o wszystkich naszych i innych sprawach.

Gdzie się da, czynić dobrze innym, te najmniejsze, najdrobniejsze, codzienne przysługi. Jeżeli można i ma się ku temu wszystkie dane, działać na szerszą skalę, według możności i warunków życia. Jeżeli znajdzie się na to czas, pójść przed ciche tabernaculum i tam — bez książki — wypowiedzieć wszystko i „upoić się", albo do gęstego lasu, lub w góry przed wschodem słońca, posłuchać, jak cały świat budzi się, jakby słychać było przelot aniołów stróżów i jak wszystko szepcze śwój pacierz i śpiewa coraz śmielej, coraz mocniej swą pieśń dla Stwórcy, aż gdy na niebo, jak na wysoką estradę, wkroczy w całym swym majestacie promienne, wielkie słońce, zagra mu cała orkiestra dokoła potężnym hymnem bez nut, a tak cudnym, jakiego żaden człowiek wyśpiewać nigdy nie potrafi. Wtedy się widzi, a nawet czuje Prawdę i Miłość.

A gdy się spójrzy w duszę Chrystusa i przeniknie jej myśli i to żywiołowe jej umiłowanie „ex toto"—ze wszystkiego — czy można potem pozostać nieczułym?!

* * *

Pyt. Cuda niezawsze dają się rozpoznać, albowiem szatan, jako duch, posiada większą moc, niż człowiek, może zatem czynić rzeczy dla nas dziwne i niezrozumiałe, które mogą nam się wydawać cudami.

Odp. Zupełna racja. Niełatwo jest rozpoznać prawdziwy cud. I szatan, który jest aniołem upadłym, ale w swoim upadku zachował nietkniętą naturę anioła, a więc jest istotą wyższą od człowieka, a więc jest mądrzejszym i potężniejszym od niego, zna lepiej tajemnice natury i większą nad nią ma władzę, — może rzeczywiście czynić rzeczy dla nas dziwne i niezrozumiałe, które mogą mieć pozór cudów. Dlatego też Kościół tak jest nadzwyczaj ostrożny w uznaniu jakiegokolwiek cudu i tylko po długich i skrupulatnych badaniach, zmuszony tylko wprost oczywistością faktu ogłasza coś za rzeczywiste wydarzenie cudowne.

Co więcej, nietylko szatan może sprawić coś dziwnego, ale i sama przyroda ma dla nas bardzo jeszcze wiele tajem-

nic. Wiele z tych rzeczy, które dawniej uznawano za cudowne, choćby np. latanie w powietrzu, albo przyciąganie magnesu, genjusz ludzki zrealizował w sposób naturalny, albo odkrył, na jakich to się zasadach odbywa.

Lecz są rzeczy, których ani szatan nie dokona nigdy, ani żadne nieznane prawo natury nie zaprzeczy. Są to zjawiska, które pod każdym względem przewyższają normalne siły natury według już niewątpliwie znanych jej praw i do wywołania których konieczną jest interwencja siły twórczej.

Takiem np. zjawiskiem jest powołanie do życia człowieka, którego śmierć została stwierdzoną bez żadnej wątpliwości, gdy już np. nastąpił rozkład ciała.

Prawo śmierci jest jednem z najbardziej zasadniczych praw natury i nie będzie napewno nigdy takiego prawa tej samej natury, dotychczas nieodkrytego, któreby zaprzeczało temu prawu. Człowiek składa się z ciała i duszy. Ciało jest materją, a więc składa się z cząstek. To, co się składa z cząstek nie ma w sobie samodzielnej racji bytu. Prędzej, czy później, choćby to trwało miljony lat, musi nastąpić rozkład tych cząstek i to nazywamy śmiercią. Tchnienie nowego życia w rozkładające się już cząstki przewyższa wszelką moc natury, czy duchów choćby bardzo doskonałych. Tu trzeba stworzenia nowego życia, a to może uczynić tylko Pan Bóg bezpośrednio, lub pośrednio przez jaką osobę, która do Niego zwraca się z prośbą o to (cuda świętych), lub na pewnych uprzywilejowanych miejscach (miejsca cudowne) i t. d.

Mogą być również takie wypadki, gdzie zastosowany środek jest zupełnie nieproporcjonalny do skutku, albo nawet powinien skutek wprost przeciwny wywołać.

Np. pomazanie zwykłem ulicznem błotem oczu ślepego od urodzenia może, z natury swojej tylko zaszkodzić i tak już zmarnowanym oczom. Jeżeli zaś skutkiem takiego zabiegu było przewidzenie nieszczęśliwego ślepca, cud jest widoczny.

Lub, gdy chorego w ostatniem stadjum gruźlicy, gdy już płuca są w całkowitym rozkładzie i gorączka lada chwila zabije człowieka, zanurzają bez zachowania żadnych ostrożności do zimnej, jak lód, wody w źródle bijącem (Lourdes), i chory, zamiast stężeć w rękach, wychodzi z tej śmiertelnej kąpieli całkowicie zdrowym. — Trudno tu nie uznać cudu.

Lub wreszcie, gdy zjawisko, które w najlepszych warunkach potrzebowałoby długiego procesu, dokonywa się nagle, w jednej chwili, bez żadnego nerwowego wpływu—np. w wypadkach chirurgicznych, złamaniach kości, owrzodzeniach, lub w powyższym przykładzie rozkładu płuc — i ten skutek trwa już bez zmiany — i tutaj trudno nie uznać cudu.

Trzeba być bardzo krytycznym, trzeba metodycznie wszystko, choćby najdziwniejsze, z zasady uznać za zjawisko naturalne. Ale, gdy na podstawie zupełnie pewnych praw stwierdzimy, że siłami naturalnemi znanemi, czy nieznanemi nie wytłómaczymy tego zjawiska bez interwencji siły nadprzyrodzonej, pochodzącej od Boga—nie można pozostawać zaślepionym i upartym, jak to czynią niektórzy, ale logicznym i dobrej woli człowiekiem—i uznać cud.

* * *

Pyt. Sprzeciwia się to w każdym bądź razie ludzkiemu rozumowi i uwłacza godności człowieka, jeżeli ma wierzyć w jakieś tajemnice, których zrozumieć nie może. Na cóż więc te tajemnice w Objawieniu Bożem?

Odp. Mimochodem już dałem na to odpowiedź w jednym z punktów pierwszego pytania w tych dysputach — postaram się tutaj lepiej jeszcze to wyjaśnić.

Istotnie, zdawałoby się, że człowiek mógłby wiedzieć o wszystkiem i to się bardzo człowiekowi uśmiecha... uśmiechało mu się to już w Raju, według opowiadania biblijnego. Ale właśnie dlatego, że ma tak genjalny umysł, człowiek powinien zrozumieć, że mogą być tajemnice, których on swoim rozumem nie przeniknie nigdy, jeśli mu ktoś wyższy nie dopomoże.

Wiemy przecież z własnego doświadczenia, choćby z wizyty na cmentarzu, że jesteśmy skończonemi istotami, ograniczonemi w doczesnem istnieniu, a więc i w działaniu, bo działanie jest tylko skutkiem i objawem istnienia, a skutek, ani objaw nie może przewyższać swej przyczyny i swego źródła.

Mamy duszę nieśmiertelną, której władzą jest umysł, a przedmiotem umysłu — prawda. Ale umysł, tak jak każda władza duszy, działa za pomocą organów cielesnych, które są materjalne, a więc z natury swojej skończone i ograniczone. Nawet później dusza po wyzwoleniu się od ciała, choć poj-

muje wszystko daleko doskonalej, zawsze jednak pozostaje bytem wtórnym, t.j. takim, który swoje istnienie wziął nie od siebie, nie ma w sobie wystarczającej racji bytu, tylko zaczerpnął ją od bytu wyższego, od tego, który sam przez się istnieje i jest przez to Nieskończonością. A więc i wtedy nawet pojmowanie duszy nie może przewyższyć jej natury i nie jest w stanie ogarnąć Nieskończoności. A nieskończoność istnieje — bo gdyby jej nie było, nie byłoby i nas.

Dlatego też muszą istnieć tajemnice dla umysłu ludzkiego. Ale to wcale nie uwłacza jego godności, bo jest najzupełniej zgodne z naturą człowieka, a więc nie hańbi, ani nie pomniejsza jego wysokiej wartości. A czy nawet wśród rzeczy skończonych, w przyrodzie niema już tajemnic dla umysłu ludzkiego? Cóż dopiero w nieskończoności! Tam ujrzymy Boga twarzą w twarz, nieskończoność nam się ukaże — ale zobaczymy ją za pomocą t. zw. światła chwały „lumen gloriae" danego nam przez Boga, jako daru nadnaturalnego. I to będzie nasz wieczny zachwyt.

Cieszmy się tem już naprzód i czekajmy cierpliwie.

Amicus.

NASZA SIŁA.

Wre otchłań życia głęboka,
Jak morze od burzy tchnień:
Niezłomna Piotra Opoka
Nietknięta wznosi się zeń.
Wciąż ryczą groźne odmęty,
Nadciąga za wałem wał:
Wciąż stoi Kościół nasz święty
I będzie stał.

Zbyteczną mu przemoc oręża,
Gdyż z Nieba oręż mu dan:
Szatańska moc nie zwycięża,
Gdy broni Zastępów Pan;
A choć już w Skałę Piotrową
Grom często za gromem bił,
Jej strzeże Chrystusa słowo,
Ta siła sił.

Wre otchłań życia szeroka,
Bezbrzeżną zatapia dal:
Góruje Piotra Opoka,
Cała promienna, z naa fal;
Nikt sił jej wiecznych nie zmierzył,
Bo Chrystus powiedział nam:
„Was jam Piotrowi powierzył,
Aż wrócę sam".

Ada Koneczna.
(„Kwiaty i promienie".)
z rękopisów ogłosił J. M. Ch.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Pozytywność w wychowaniu.

Nie trzeba, sądzę, wyłamywać drzwi otwartych i dowodzić nieobliczalnych wprost skutków dla rodziny i społeczeństwa zastosowania takich, lub innych metod wychowawczych w stosunku do dzieci i do młodzieży.

Sumienni rodzice i wychowawcy mogliby niejedno powiedzieć na temat szalonych wprost trudności na tem polu i o śmiertelnych trwogach, które przychodzą na nich, gdy się staje przed koniecznością decyzji w krytycznych i nierozwiązalnie powikłanych momentach życia dziecka, czy dorastającego młodego człowieka.

Są ludzie, którzy nie zadają sobie wielkiego trudu w takich razach i pozostawiają losowi rozwiązanie problemu, albo, wpadając w drugą ostateczność przecinają węzeł gordyjski jednem cięciem rozkazu bezapelacyjnego, bardzo często druzgocząc w ten sposób bezpowrotnie najpiękniejsze nawet dusze i najlepsze na przyszłość rokujące nadzieje.

Dwa są najczęściej spotykane w praktyce wychowania zasadnicze błędy—nie mówiąc o karygodnem zaniedbaniu i wyzbyciu się troski o los wychowania — a mianowicie: nienaturalność i sztuczność w wychowaniu i negatywny jego kierunek, w zbytniem stosowaniu zakazów wszelkiego rodzaju bez jednoczesnego

wskazania właściwej drogi, lub bez podstawienia czegoś pozytywnego na miejsce zakazanej rzeczy.

Dwie również winny być fundamentalne zasady prawdziwego wychowania: naturalność i pozytywność.

Konieczność ich jest aż nadto widoczna.

Człowiek nie może być korrektorem Pana Boga, ale jego współpracownikiem. Natura, dana dziecku przez Boga za pośrednictwem rodziców, nie może być złą, bo z ręki Bożej nic złego wyjść nigdy nie może. Jest tylko na skutek tragicznych przejść ludzkości chorą, zranioną i słabą, ale musi służyć zawsze za jedyny punkt wyjścia w dalszym swym rozwoju, czyli w wychowaniu, a jej nieśmiertelne istotne prawa i wymagania służą za bezwzględne kryterjum prawdziwości i rzetelności stosowanych metod. To, co łamie i niszczy naturę — jest z gruntu przez to samo już złem. To, co ją rozwija i uszlachetnia — jest dobrem.

Rozwijającem zaś jedynie jest to, co jest, t.j. dobro pozytywne, a wszelka negacja jest z samej swej istoty brakiem, próżnią i elementem ujemnym, a więc czemś wstrzymującem, jeżeli nie destrukcyjnem wprost i cofającem wszelki słuszny rozwój.

Stąd konieczność naturalności i pozytywności w wychowaniu. Zajmijmy się tem ostatniem.

Pozytywność w wychowaniu streszcza się w lapidarnej zasadzie: minimum zakazów — maximum wskazówek dodatnich. Prawda, potrzebne, a nawet czasami konieczne są zakazy wobec otaczającego nas zła, które i w każdej duszy kiełkuje. Lecz nietyle tu są potrzebne nożyce, ile raczej odpowiednia podpórka, bandaż ochronno-leczniczy i wszelkiego rodzaju druty i sznurki, po których, jak młode pędy powoju, w odpowiednim kierunku dałoby się poprowadzić wszystkie naturalne, a skłonne zazwyczaj do obierania drogi najmniejszego oporu siły żywotne rosnącego dopiero człowieka.

Każda z tych sił w człowieku, popularnie nazywanych skłonnościami, jest prawdziwym skarbem, jest jednym z tych talentów, użyczonych każdemu z nas przez Króla-Boga.

Pozostawione same sobie, siłą inercji stoczą się po śliskiej pochylni życia aż na samo dno, jeżeli nie rozbiją się po drodze na szczątki. Otoczone samemi zakazami, zawisną w powietrzu, czekając również, na mocy prawa bezwładności, na odpowiedni moment, by przez niedopatrzoną szczelinę runąć w przepaść.

A podtrzymane troskliwą ręką, otoczone ciepłem tchnieniem kochającego serca, lekko pchane umiejętnemi posunięciami i ciągnione magnesem prawdy, dobra i ideału nieustannie ku górze—rozwiną swój bieg młodzieńczy, rozgorzeją w blaskach coraz bliższego słońca, umocnią się i stwardnieją w swym locie, nabiorą pędu, którego już nic nie powstrzyma i staną się tem, czem były i są w intencji Stwórcy: motorami życia i źródłem słonecznej radości.

W różny sposób tę metodę należy stosować w latach dziecięcych i młodzieńczych, w stosunku do chłopców i do dziewcząt,—ale istota metody pozostaje zawsze tą samą: przez umiłowanie prawdy i dobra, a nie przez bojaźń i nienawiść.

Pierwszym i bezwględnym warunkiem ze strony wychowawców w tej metodzie jest: pozyskanie sobie całkowitego zaufania i miłości wychowanków. Autorytet, oparty na szacunku i miłości jest zawsze nieodparty, bez uciekania się do represji, gróźb i do wykorzystywania swego uprzywilejowanego stanowiska, jako władzy domowej, czy szkolnej.

Dziecko małe już musi ten szacunek i miłość czuć w stosunku do swej matki i ojca. Tem bardziej, że w tym okresie wychowanie polega na poleceniach i rozkazach, którym dziecko musi wierzyć, bo jeszcze nie jest w stanie zrozumieć pobudek i racyj tych wskazań. „Magister dixit"—to winno być dla nich słowem magicznem i rozstrzygającem wszelkie wątpliwości. Lecz by miało ono ten skutek—trzeba już od początku swem postępowaniem ogólnem i szczególnie w stosunku do dziecka zasłużyć sobie na tę ślepą wiarę i zaufanie bezwzględne. Tego mogą oczekiwać tylko rodzice i wychowawcy, których osobiste życie jest bez zarzutu i bez obłudy wobec dzieci. Szczerość życia bez podwójnej miary dla siebie i otoczenia jest podwaliną i źródłem takiego stosunku.

Później, w miarę rozwoju duszy dziecka i władz duszy: rozumu i woli trzeba w metodach wychowawczych iść równolegle z tą ewolucją, dostosowując się do niej umiejętnie i wyczuwając wprost, czego temu małemu, czy może już większemu człowiekowi w obecnej chwili potrzeba.

Na pierwszy plan występuje tutaj potrzeba rozumu. Rozumność jest istotą człowieka. Nic więc dziwnego, że budzący się młody człowiek, niedawno jeszcze spowity w naiwność swego dzieciństwa, a teraz coraz bardziej swej godności ludzkiej świa-

domy, wymaga przedewszystkiem poszanowania tego istotnego swego przymiotu i najwyższego skarbu: rozumu.

Dotychczas, jak młode drzewko, nie mające dostatecznie umocnionego pnia potrzebował obok siebie drążka, do którego był przymocowany, a który służył mu za jedyną podporę i pion życia. Tym drążkiem były rozkazy i polecenia, autorytet osobisty rodziców.

Teraz sytuacja się zmieniła. Drzewko urosło i wzmocniło się. Już nie szuka podpory nazewnątrz. Już nawet koroną swoją przerosło drążek pomocniczy. Rozbudzony i świadomy rozum młodego człowieka już się nie opiera na rozkazach i poleceniach. Szuka samodzielności racji wewnętrznej każdego czynu i każdej woli, którą mu się chce narzucić.

Z tym faktem naturalnym trzeba się liczyć i to od pierwszego momentu przebudzenia się duszy dziecka, by przez nieopatrzne tłumienie tych pierwszych odruchów rozumu nie zbuntować go na całe życie przeciw wszelkiemu autorytetowi.

Od tej chwili osobisty autorytet, który trzeba ciągle podtrzymywać wzorem własnego życia, należy popierać podaniem motywów każdej nowej wskazówki, żądania, czy polecenia i solidarnością własnego sądu o wszystkich kwestjach, jakie się nasuną w toku rozmowy, czy w kolei życia.

Trzeba teraz po raz drugi zdobyć szacunek dziecka, by ono skłoniło głowę przed umysłowością swego wychowawcy. Trzeba być chodzącą encyklopedją, by umieć odpowiedzieć na wszystkie pytania i to nie powierzchownie, bo w razie stwierdzenia banalności odpowiedzi już się przyćmiewa blask autorytetu. Albo mieć trzeba przytem głęboką pokorę i zawsze tę kardynalną szczerość w mowie i postępowaniu, by z prostotą i powagą przyznać się przed pytającym, że człowiek, choćby był wychowawcą, nie zawsze zna wszystko i umie wszystko wyjaśnić.

Najtrudniejsze są pierwsze miesiące tego egzaminu wychowawcy przed wychowankiem. Po przekonaniu się o poważnem traktowaniu każdej sprawy, o szczerości i poszanowaniu rozbudzonego człowieka, autorytet dawny zostaje potwierdzony i już takim zostanie do końca, choćby kiedyś dawny pupil przerósł swego wychowawcę w dyplomach i genjuszu osobistym.

W tym okresie przedewszystkiem ma zastosowanie pozytywność wychowania. Nigdy nie należy wtedy przedstawiać rze-

czy negatywnie. Nie mówić: „nie kłam". Lecz: „mów zawsze prawdę". Nie powtarzać zakazów, by nie czyniono złego, lecz na każdym kroku podkreślać obowiązek czynienia dobrze.

Nauczyć i przyzwyczaić trzeba dziecko do kierowania się zawsze rozumem, do posłuszeństwa racjom i motywom czynu. Wtedy nie będzie już potrzeba podnosić głos i żądać wbrew woli spełnienia rozkazu. Wystarczy spokojne wyjaśnienie motywów, a nawet, gdy zajdzie potrzeba kary, gdy się w krótkich, wstępnych słowach przedstawi racje wyroku i egzekucji, kara wyjątkowo wtedy potrzebna i stosowana, swój zbawienny skutek sprowadzi zawsze.

W tym okresie zachodzi już potrzeba różniczkowania specjalnych odcieni w motywacji w stosunku do chłopców i do dziewcząt, odpowiednio do ich natury.

Chłopiec, bardziej ambitny, wrażliwy jest na poczucie własnej godności i na honor osobisty. Racja honoru jest dla niego z naturalnych pobudek najsilniejszą i najbardziej decydującą.

Dziewczynka bardziej wrażliwą jest na wszelkiego rodzaju uczucie, a szczególnie na poczucie wstydliwości osobistej.

Znajomość tych psychicznych właściwości i różnic we wrażliwościach chłopców i dziewcząt znakomicie ułatwia dobranie się do ich dusz i odpowiednie niemi pokierowanie.

Oczywiście w całokształtcie wychowania należy brać pod uwagę tysiączne jeszcze okoliczności i zasady mniej lub bardziej ważne. Wszystkie one jednak wypływać muszą, jako dopełnienie, z tej zasady naczelnej naturalności wychowania i pozytywności, a przedewszystkiem, w wieku młodzieńczym, z poszanowania godności człowieka rozumnego w najmniejszym nawet naszym wychowanku.

Wychowanie człowieka— to dalszy ciąg twórczego aktu Boga, który tchnął nieśmiertelną duszę w cielesną ludzką powłokę. Jest to więc z natury swojej dzieło prawdy i miłości, rozświetlające i rozpłomieniające iskrę Bożą, by się stała pełnem południowem słońcem.

Ale trzeba samemu być słońcem, trzeba mieć jego głębię i żar i jasność, i trzeba samemu pogrążonym być na każdy dzień w nieskończonem słońcu Bożem i kąpać się w jego promieniach, by z kolei innym świecić jasno i rozpłomieniać dusze, by życie naprawdę stało się pełnią radości, jaką z woli Bożej właściwie być winno.

Ks. A. Bogdański.

U patryarchy misjonarzy.

Prasa zagraniczna, a za nią lwowska „Nowa Zorja", przyniosła niedawno temu niezwykle interesujący wywiad z patryarchą misjonarzy z Kongregacji św. Ducha, ks. biskupem Aleksandrem Le Roy, urodzonym we francuskiej Normandji, która wydała wielu odważnych wilków morskich, piratów i świętych.

Na pytanie, czy jest wikarjuszem generalnym owej kongregacji zakonnej, sędziwy kapłan odrzekł:

— Tak, to prawda, że ja właśnie jestem wikarjuszem generalnym jednego z tych towarzystw złoczyńców, co nazywają się kongregacjami, oraz potrzebują aż specjalnego pozwolenia parlamentu francuskiego, by mogły istnieć... Nie mogę tylko zrozumieć, czem moja skromna osoba mogła zainteresować przedstawiciela opinji publicznej.

W odpowiedzi na to dziennikarz, czyniący wywiad, wyraził swój podziw dla zasłużonego misjonarza i organizatora kwitnących misyj, twórcy bogatych osiedli murzyńskich, sławnego geografa oraz etnologa, który teraz tak skromnie kryje się w swojej małej celce, gdzie siedzi między krzyżem ze słoniowej kości a globusem i zapytał go o miejsce urodzenia oraz okoliczności, w jakich budziło się w nim powołanie do pracy misyjnej.

— Urodziłem się w miejscowości Arvanche, w Normandji. Skończywszy studja miałem wrażenie, iż Francja obejdzie się beze mnie, a że posiadałem wiarę w Boga, ochotę do przygód, miłość ku czarnym murzynom, tudzież przywiązanie do prostego trybu życia, z tych oto przyczyn postanowiłem wybrać sobie stan misjonarza.

— Czy przypadkiem nie wpłynęła na to lektura „Pawła i Wirginji", „Chaty wuja Toma"?...

— Być może. W 1877 r., zatem 52 lata temu, siadłem na okręt, odpływający do Zanzybaru, w Afryce, kędy kongregacja nasza pracowała już jakieś 15 lat. W Zanzybarze było wtedy największe targowisko niewolników. Rok rocznie sprzedawano tam tych nieszczęśliwych około 60.000. My, misjonarze staraliśmy się przedostawać do nich, ażeby ich pocieszyć, zbieraliśmy niewolników, chorych i porzuconych, których

właściciele byliby w przeciwnym razie powrzucali do morza, ponieważ dla nich był to towar „bez wartości". Gdy ceny niewolników nie były wyśrubowane zanadto, nierzadko wykupywaliśmy nieszczęśliwców. Myśmy urządzili tam też wielki sierociniec z dziatwy niewolniczej w wielkim domu nad samym brzegiem morza. Kiedy nasze sieroty podrastały, braliśmy po 50 chłopców oraz po 50 dziewcząt i łączyliśmy ich w małżeństwa. Urządziwszy im uroczystości weselne, prowadziliśmy ich potem do wiosek, gdzie stały przygotowone dla nich domy. Oprócz tego dawaliśmy im także narzędzia rolnicze, nasiona, dobre rady, nadewszystko zaś błogosławieństwo: „Rośnijcie i rozmnażajcie się, drogie dziatki!". Stąd właśnie wywodzić należy tak wielką w Somalisie w dobie bieżącej liczbę osiedli chrześcijańskich, które cieszą się nadzwyczajnym dobrobytem. Zasiew naszej działalności rozprzestrzenił się nietylko do Mozambiku, ale również w głąb kontynentu afrykańskiego. Teraz w głębi Afryki pracują Ojcowie biali, a my, Kongregacja św. Ducha, jedynie na wybrzeżu morskiem, jakoteż w górach.

— Czy to prawda, że to ojciec odkrył Kilimandżaro?

— Nie. Ten bogaty kraj przyciągał do siebie przedtem, jeszcze rozmaitych poprzedników. W 1885 r. przybyli tu na 5 wielkich okrętach wojennych Niemcy oraz oświadczyli sułtanowi Zanzybaru, iż Kilimandżaro biorą dla siebie. Oni rzekli doń poprostu: „Ten kwitnący kraj podoba się naszemu cesarzowi", na taki natomiast argument nie ma odpowiedzi. Co do nas, to my mamy tę oto chlubę, że byliśmy pierwszymi Francuzami, którzy zdołali wejść na szczyt Kilimandżaro, czyli góry Wodnej, jak ten wierzchołek nazywają tubylcy.

Nastąpiło to w 1890 r. Ks. biskup Le Roy z dwoma innymi misjonarzami wszedł wówczas pierwszy na szczyt Kilimandżaro pośród przeróżnych przygód, jakie on tak lubiał, i zatknął tam w śniegu mały drewniany krzyż.

Poświęciwszy Afryce wschodniej swoje serce oraz swoją młodość, musiał ją jednak z nakazu władzy duchownej opuścić i rozpocząć pracę na innem wybrzeżu, już jako biskup. W 1896 r. mianowany został generalnym superjorem Kongregacji św. Ducha.

„Na tem stanowisku pozostawałem ja przez lat 30 i na tem kończy się moja historja".

Ileż to pokory mieści się w tych kilku słowach!

Kongregacja św. Ducha ma 42 domy oraz zasobną armję misjonarzy, a mianowicie 1050 kapłanów, 600 braci i 150 zakonnic, w Afryce na Haitti, w Kanadzie, w Ameryce. Ta wielka gromada, rozsypana po wszelakich kontynentach, czerpie swe siły z dalekiego centrum w Europie. Prócz tego członkowie kongregacji owej kierują 30 diecezjami, wikarjatami i prefekturami apostolskiemi: jest to całe królestwo duchowe na olbrzymich terytorjach. Wszystko to podlega sędziwemu ks. biskupowi Le Roy, na którym jak z podziwem stwierdził czyniący z nim wywiad dziennikarz, nie znać wcale ciężaru 75 lat życia ani półwiecza ciężkiej pracy apostolskiej na misjach ani trudów uciążliwych podróży, zwłaszcza w czasie wielkiej wojny europejskiej oraz bezpośrednio po niej. Ks. biskup opowiedział ponadto, że w ciągu ostatniegc okresu wojennego zniszczone były w Afryce całkowicie podległe mu bogate misje, a misjonarze przez 4 lata byli odcięci zupełnie od świata kulturalnego i żyli tak samo, jak tamtejsi murzyni. Pomimo wszystko zarówno w Gabunie, gdzie dostojny misjonarz był biskupem przez 30 lat, jak i w Kamerunie, osiągnięto wielkie rezultaty, specjalnie po wyjściu Niemców, choć ci ostatni przedstawili murzynom Francuzów w takiem kiepskiem świetle, że tubylcy przed przybyszami francuskimi (urzędnikami oraz misjonarzami) uciekli w lasy. Wobec takiego stanu rzeczy kapłani misyjni musieli dopiero specjalnie nakłaniać oszukanych przez szowinistów niemieckich do powrotu, co kosztowało niemało trudów. Udało się to znakomicie, znowu zapanował dawny ład, liczba zaś chrześcijan z 30.000 wzrosła do 125.000. Francuzi wysłali tam nawet jedną misję, złożoną z zakonnic.

W tem miejscu ks. biskup Le Rov, uśmiechając się znacząco, zapytał dziennikarza:

— Może i pan lubi podróżować? Jeśli tak, mógłbym tam zarezerwować dla pana miejsce.

Za chwilę, spoważniawszy, dodał:

— Bez żadnej zarozumiałości mogę stwierdzić, iż my także coś zrobiliśmy dla ludzkości. Kiedy ja mówię: my, to mam na myśli innych, gdyż ja swoje zadanie skończyłem.

Wielki misjonarz zamilkł i zwrócił wzrok na jedyny kwiatek, co przyozdabiał jego stół, dziennikarz tedy pożegnał siedzącego między krzyżem a globusem, które naprawdę są symbolem jego życia i wyszedł. *J. M. Ch.*

Sport a wychowanie chrześcijańskie młodego pokolenia.

I.

W ostatnich kilku latach powojennych jesteśmy świadkami wprost żywiołowego ruchu sportowego na ziemiach polskich. Szeregi sportowców rosną z dnia na dzień. Pod znaki sportowe zaciągają się najszersze warstwy społeczne. Zagadnienie sportu urasta do ważnego problemu społecznego.

Nie można być obojętnym w stosunku do ruchu, który pochłania tyle energji społecznej. Można sportu niedoceniać, można sport przeceniać — trudno jest jednak przejść do porządku dziennego nad jego istnieniem i rozwojem. Dla każdego, kto się interesuje życiem społecznem Polski, tendencje ruchu sportowego nie mogą być obojętne — i nie są obojętne — świadczą o tem liczne publikacje naukowe, perjodyki fachowe i prasa codzienna.

Znani jesteśmy z wysuwania poglądów biegunowo oddalonych. W dyskusji nad rolą sportów nierzadko z poglądami sprzecznemi spotkać się możemy. Entuzjaści sportu głoszą, iż w życie wkracza nowy ideał — nowa religja (la religion nouvelle) — szerząca kult siły i piękna fizycznego. Okres wybujałego kultu, intelektu i sentymentów zakończył się bezpowrotnie. Ideałem czasów dzisiejszych nie jest „trzcina myśląca" (typ intelektualisty), ani też poeta o bladym licu, smętnem spojrzeniu, szukający natchnienia w samotnych wędrówkach po błoniach, oświetlonych zimnym blaskiem miesiąca.

Dzisiejszy ideał — to sportsmen — rekordzista — człowiek niezwykłej żywotności, inicjatywy, odwagi — niekiedy lekkomyślnej — człowiek ruchu.

Reprezentanci poglądu przeciwnego stwierdzają, że współczesnej cywilizacji grozi kryzys ze strony sportowców. Żywiołowy ruch sportowy jest przejawem wojującego barbarzyństwa.

Książki naukowe nie mają zbytu, poezja piękna w upadku, intelekt młodych zaniedbany — zamiłowania do głębszych studjów naukowych rzadko spotykane. Wszystkich porywa boisko, masy roznamiętnia walka bokserów.

Zanik uczuć szlachetnych, brak subtelności w współżyciu ludzkiem — oto owoce ruchu sportowego. Trzeba więc trąbić na alarm, jeśli się nie chce dopuścić do obniżenia kultury ludzkiej.

Obydwa poglądy są skrajne. Mojem skromnem zadaniem będzie sprostowanie tych poglądów przez oświetlenie korzystnego wpływu sportów na fizjologiczny ustrój człowieka, przez podkreślenie narodowego i społecznego znaczenia sportów oraz przez uwypuklenie roli sportów w wychowaniu etycznem człowieka.

Jeśli bowiem stwierdzimy, że sporty umiejętnie i racjonalnie uprawiane, mają dodatni wpływ na harmonijny rozwój ustroju ludzkiego, że kultywowanie sportów posiada doniosłe znaczenie narodowe i społeczne, jeśli, co najważniejsza, ustalimy, że sport jest potężnym czynnikiem wychowania etycznego — wówczas, dzisiaj jeszcze liczne, skrajne poglądy na sport, będą musiały uledz należytej korekturze. Rozważania posuwać się będą następującemi etapami:

1. Co to jest sport? 2. Wpływ sportów na fizjologiczny rozwój człowieka. 3. Narodowe i społeczne zadanie sportów. 4. Rola sportu w wychowaniu etycznem człowieka. 5. O czem należy pamiętać przy uprawianiu sportów.

* * *

Niezależnie od postawionych wyżej zagadnień, być może, iż w przyszłości na łamach „Pro Christo” wyodrębnię i inne zagadnienia, wiążące się ze sportem i poświęcę im więcej miejsca.

Byłyby to następujące zagadnienia: Kościoł a sport, sport a moralność, sport jako szkoła woli, sport jako czynnik wychowania społecznego, sport a umysł, przyszłość ras ludzkich a sport, sport — wojna — pokój, sport życie rodzinne, sport a kobieta, sport a świętowanie świąt i niedziel, sport jako nowy ideał życia.

* * *

Poświęcimy nieco uwagi genezie słowa „sport."

Powszechne jest mniemanie, iż wyraz „sport" jest pochodzenia angielskiego. Istotnie, na ląd europejski wyraz ten przedostał się w końcu XIX wieku z wysp brytyjskich, lecz nie poraz pierwszy przybył, tylko powrócił, skąd przyszedł. Przejdźmy za tym wyrazem długą drogę przebytą.

Gdy w czasach rzymskich przystępowano do założenia nowego grodu, budowano go na przestrzeni ograniczonej rowem.

Szlak tego rowu nakreślał pług, prowadzony przez założycieli miasta, podczas uroczystej ceremonji. Przekraczać świętej granicy (rowu) nie wolno było nikomu, pragnąc jednak ułatwić komunikację z miastem, założyciel w pewnych miejscach pług podnosił tak, by lemiesz przestał ranić ziemię i brózda doznała przerwy. Wejścia te i wyjścia, późniejsze bramy, otrzymały nazwę „porta" (od „portare"), czynność zaś wydalania się poza obręb grodu powołała do życia czasowniki: deportare, transportare.

Starożytni rzadko opuszczali swój gród — gdy jednak taki moment następował, pozostali z drżeniem serca oczekiwali, czy działanie obywateli, których aktywność doprowadziła do desportu i transportu przyniesie ojczystemu miastu sławę i zwycięstwo, czy też smutek i klęskę.

Legjony Juljusza Cezara słowo „desport" zaniosły do Galji. Już na samym początku wieków średnich używane jest powszechnie, w królestwie Karlomana, do oznaczenia gier ruchowych, chodzenia, skakania, jazdy konnej, wszelkich ćwiczeń, do zawodów i turniejów przysposabiających, odbywających się zazwyczaj poza murami miejskiemi.

Przejąwszy kulturę galijską, najeźdźcy — Normanowie przejęli i „desport" i, po bitwie przy Hastings, obdarzyli niem mieszkańców wysp brytyjskich.

Już w XIV wieku poeta Chaucer używa zwrotu tego, mówiąc o pewnym młodzieńcu, że „chodził bawić się w polu, dla swego desportu".

Po obu stronach kanału La Manche wyrazu tego używać zaczęto jednak później, już nietylko w stosunku do ćwiczeń cielesnych, lecz i dla oznaczenia wszelkiego rodzaju rozrywki, gry, czy to połączonej z ruchem fizycznym, czy to posiadającej

charakter czysto umysłowej zabawy: gry słów, zagadki i t. p. Należy przy sposobności ustalić, iż w owym czasie i ćwiczenia fizyczne w większej były modzie i w większym szacunku we Francji, niż w Anglji. Anglja wtedy wprowadzała do siebie gry, popularne po tej stronie kanału, zachowując słownictwo francuskie.

W wieku XVI sir Robert Dallington twierdzi, że „w palanta (paume) we Francji grają więcej, niż w całej reszcie krajów chrześcijańskich", że „we Francji jest więcej zwolenników palanta, niż pijaków w Anglji" — co zdaje się uważał za przykład frapujący wyobraźnię. „Zresztą — kończy, zamiłowanie to do ćwiczeń jest zaraźliwe, i Anglja zdążyła już za wiele tych „głupstw absurdalnych" gościnnie przyjąć."

Czasy się zmieniają. Trzy stulecia przeszły i z Anglji przepłynęły do Francji zpowrotem i dawny palant, lawn-tenisem zwany, i wszystkie dawne „desporty", pod nazwą krótką i z angielska brzmiącą: „sport".

I tak samo przez pewien czas z ubolewaniem stwierdzano rozszerzenie się zarazy, zbyt pochopne naśladowanie Anglików, w rzeczach „obcych kulturze francuskiej".

A minął jeszcze dalszy dziesiątek lat i sport wszedł tryumfalnie przez wszystkie „bramy" rzymskim pługiem zaoszczędzone, do grodów, gdzie go ongi desportowanego, zapomniano i przyjęto, jako angielskiego przybysza.

I zda się, że znów poza bramy miast zaczęli wychodzić młodzieńcy żądni czynu, spragnieni przestrzeni i ruchu—i znowu pozostali nieraz z biciem serca oczekiwać poczęli wieści o powodzeniu — czy klęsce... sportsmenów. Historja się powtarza. Przystąpić już jednak pora do zdefinjowania sportu. Każda definicja jest trudna — i definicja sportu do łatwych nie należy.

Chociaż uprawiamy sami sport, chociaż duchem sportowym jesteśmy przejęci — to jednak na definicję sportu zdobyć się nie możemy. Idealnej definicji sportu niema. Przytoczę ich szereg, aby czytelnik mógł się łatwiej zorjentować—i ewentualnie z pośród licznych definicji wybrał tę, która najbardziej przemawia do przekonania. Może stanowisko w tej sprawie zaznaczę na końcu rozważań.

Paul Adam w znakomitym dziele „La morale de sporte" pisze: „Sportem nazywamy wszelką akcję, koordynującą szereg jednolitych i przemyślanych czynów, dążących do pomnożenia zręczności, odwagi i sił człowieka".

Poeta Kolmar rzuca lapidarnie „Sport jest środkiem pokonywania siebie i innych".

Paul Souchon i Jacques May w obszernem dziele o literaturze sportowej (Monde Nouveau z 1924 r.) wyrażają się również lakonicznie: „Sport jest walką i grą".

Baron Piotr Coubertin, odnowiciel igrzysk olimpijskich, we wstępie do „Wykładów o pedagogice sportowej" (Lozanna 1917) traktuje zagadnienie obszerniej:

„Sport jest kultem umyślnym i stałym, intensywnych ćwiczeń fizycznych, opartym o dążenie do postępu i mogącym posuwać się aż do ryzyka. Występuje więc pięć cech: inicjatywa, wytrwałość, natężenie, żądza postępu, pogarda dla ewentualnego niebezpieczeństwa. Te cechy są istotnemi i podstawowemi. Wypływają z nich 3 konsekwencje:

1) sportowość nie leży w naturze ludzkiej, jest w bezwzględnej sprzeczności z dążeniem do najmniejszego wysiłku, panującym w świecie zwierzęcym. Nie wystarcza więc dostarczyć mu ułatwień materjalnych, by sport się rozwijał czy zachowywał. Potrzebuje pobudek, wytworzonych przez namiętności, lub wychowanie. Badania historyczne powinny wyświetlić, jakie są nauki, doświadczenia w tym kierunku;

2) każde ćwiczenie fizyczne musi posiadać charakter sportowy, lecz i może go być pozbawione. Można bawić się w serso sportowo i niesportowo uprawiać wioślarkę. Nieracjonalne jest więc rozróżnianie pewnych rodzajów ćwiczeń, zakwalifikowanych jako sporty, i innych, którymby miana tego odmówiono;

3) sport, wymagając wywarcia przymusu na sobie, zimnej krwi, zmysłu obserwacyjnego, leży w sferze psychologji, nie mniej, niż w sferze fizjologji i może wpływać na intelekt, charakter, sumienie. Jest więc czynnikiem postępu moralnego i socjalnego".

Georges Hebert, twórca „metody naturalnej" wychowania fizycznego, tak się wyraża na łamach pisma „Education physique":

„Nazywam sportem wszelkiego rodzaju ćwiczenia, lub działalność fizyczną, których celem jest uzyskanie rezultatu i których wykonanie polega przedewszystkiem na idei walki z żywiołem określonym: czasem, przestrzenią, przeszkodą, trudnością materjalną, niebezpieczeństwem, zwierzęciem, przeciwnikiem, wreszcie samym sobą".

Nader ciekawą definicję sportu podaje znakomity powieściopisarz Marceli Prévost, krytykując w „Revue de France" z 15 grudnia 1922 r. określenie słowników encyklopedycznych Littré i Larousse'a. (Littré: „Sport: wszelkie ćwiczenia na powietrzu, jak naprzykład wyścigi konne, wiosłowanie, myśliwstwo, rybołóstwo, szermierka i t. d., Larousse: „Uprawianie metodyczne ćwiczeń fizycznych nietylko w celu ulepszenia ciała ludzkiego, lecz i kształcenia umysłu").

„Zachowawszy w definicji Larousse'a — pisze Marceli Prévost — przedewszystkiem, że sport jest ćwiczeniem metodycznem, dalej, że dąży do rozwoju ciała, wreszcie, że nie jest bez związku z intelektem i że na umysł wpływa dobroczynnie, postarajmy się skoordynować, sprecyzować to wszystko. Ćwiczenie metodyczne, zgoda, lecz przymiotnik jest niewystarczający. Nie oddaje myśli, niezręcznie wyrażonej przez Littré'go w jego „na powietrzu": myśli o zdrowotności.

Czy nie uważacie, że należałoby powiedzieć: ćwiczenie metodyczne i higjeniczne?

Dalej, ćwiczenie? Jakiego rodzaju ćwiczenie? Fizyczne, odpowiada to jedno z obu określeń, które o tem pomyślało: to jest zupełnie niewystarczające, mojem zdaniem. Czy jest sportem płókanie gardła? Jest jednak ćwiczeniem fizycznem. Dowód „per absurdum", iż lepiej jest sprecyzować i rzec: ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego. Możnaby powiedzieć: mięśni ciała ludzkiego. Ale czy nie napotkanoby na sprzeciwy: nietylko mięśnie wchodzą w grę w sporcie. Cały system nerwowy jest zatrudniony. Zaproponujemy więc i ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego. Lecz w jakim celu uprawiane? Tu uwydatnia się nieudolność obu słowników. Zaznaczyliśmy mgliste pojęcie ulepszenia rozwoju. Dlaczego nie wyszczególnić, czego ciało chce od sportu? Więcej siły, niezawodnie; więcej zręczności również; lecz nie wahajmy się dodać: więcej piękna. Jest to jedna z charaktery-

styk sportu współczesnego, który powraca w ten sposób do jednej z koncepcyj zasadniczych gimnastyki starogreckiej.

Definicja nasza postępuje naprzód! Ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego, dążące do pomnożenia jego siły, zręczności i piękna.

Proponowano do przymiotnika „metodyczne" dodać „umyślne". Nie przyłączam się. Młody rekrut — wieśniak, któremu każą się gimnastykować, zajmuje się sportem wybitnie nie z umyślnej chęci, ale się nim zajmuje. Co jest niezaprzeczone, to to, że wynikiem praktyk sportowych jest wychowanie woli, i że jest to nawet jednym z celów sportu.

Powiedzmy więc: sport: ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego, dążące do pomnożenia jego siły, zręczności i piękna oraz rozwoju energji i woli. Czy należy się tem zadowolić? O nie. Oznaczałoby to odmowę odznaczenia związku pomiędzy sportem a umysłem, na który definicja Larousse'a dość niezgrabnie zwraca uwagę. Związek ten istnieje. Rozdzielić sport i myśl, to nietylko popełnić błąd taktyczny, lecz wejść w sprzeczność z samą logiką języka.

Słowo „sport" bowiem równie jak słowo „flirt"—nie wywyszło z drugiej strony La Manche. Naodwrót, „sport" powstał z dawnego słowa „desport" — które oznaczało zabawę.

Myśl, że w sporcie znajduje wypoczynek umysł, jest zasadnicza i powinna być wyrażona w określeniu ścisłem i kompletnem.

Oto dlaczego, w końcu — definicja następująca mogłaby przedstawiać przynajmniej szkic tego, czego wymagamy:

Sport: *„ćwiczenie metodyczne i higjeniczne ciała ludzkiego, dążące do pomnożenia jego siły, zręczności i piękna oraz rozwoju energji i woli, przy jednoczesnem dostarczeniu wypoczynku umysłowi."*

Drugi znany literat i krytyk, Marceli Boulenger, w „Echo de Paris" z dnia 28 grudnia 1922 r., stwierdzając wprawdzie, iż „Marcel Prevost zawsze wszystko rozumie i mówi o sporcie z takąż jasnością i znajomością rzeczy, jak dwudziestoletni atleta" — definicji wyżej podanej nie uznaje za dostatecznie dokładną.

„Należałoby zaznaczyć, że gdzie niema właściwego sportu najwyżej może być zaprawa. Gimnastyka szwedzka jest zaprawą do sportu, lecz nie sportem.

Walka jest jedną z cech zasadniczych sportu: walka z przeciwnikiem, z koniem, z maszyną, z żywiołem, jak w żeglarstwie i lotnictwie, lub też z przestrzenią i czasem, jak przy ustanawianiu rekordu. Pozatem, przymiotnik „metodyczne" wydaje się bladym, gdy chodzi o podkreślenie znaczenia kapitalnego, wprost pierwszorzędnego regulaminu w sporcie. Jeśli walka, jeśli wysiłek nie są poddane przyjętym przepisom — niema pozytywnie sportu.

Nie można powiedzieć, by polowanie na dzikie zwierzęta, albo alpinizm posiadały ściśle charakter sportu; są to wspaniałe przedsięwzięcia, wielkie wysiłki mięśniowe, lecz staną się dokładnie sportem dopiero, jeśli wolno będzie zabić tygrysa w pewien tylko sposób, z wyłączeniem innych, lub też wcześniej od innego myśliwego, wydostać sie na szczyt, po zgóry wyznaczonej drodze i szybciej od innego alpinisty. Wreszcie są zwierzęta, sport zwierząt. Jak nie zaliczyć wyścigów konnych do sportu, albo cudownych wyścigów chartów, tak doskonale unormowanych?

Coby pomyślano, z tą chwilą, o określeniu następującem: *Całość wysiłków mięśniowych spowodowanych wysiłkiem woli i wykonanych przez ludzi lub pewne zwierzęta, poaczas walki, poddanej przepisom przyjętym, w celu pomnożenia siły, zręczności i piękna ludzkiego, lub zwierzęcego oraz dostarczenia wypoczynku umysłowi.*

Podałem definicje obu wybitnych literatów, zarazem będących czynnemi sportowcami, aby oświetlić bardzo jasnem światłem problem sportu.

Sport jest środkiem — w zależności od tego, jak z tego środka korzystać będziemy, jakie będzie nasze do niego nastawienie ideowe, takie on wyda owoce, sport bowiem umiejętnie uprawiany i właściwie traktowany podniesie nietylko naszą sprawność fizyczną, nietylko dobroczynnie podziała na zdrowie i na umysł, który odświeży — ale i zaznaczy się niewątpliwie dodatnio na naszym charakterze.

Bogumił Budka.

Nowy wabik na naiwnych.

Walka otwarta, którą wrogowie Kościoła katolickiego prowadzą obecnie w tempie coraz gwałtowniejszem, nie jest, zdaje się, odosobnioną, bo czynniki też same lub do nich zbliżone równocześnie wiodą walkę ukrytą, podziemną, mającą na celu rozsadzenie katolicyzmu od wewnątrz.

Jedną z macek tego potwornego polipa, który chce wyssać z Kościoła katolickiego soki żywotne, jego moc i siłę, jest teozofja. W dobie bieżącej nie ulega najmniejszej wątpliwości, ponieważ jest to rzeczą wyjaśnioną na podstawie dokumentów, że rojenia teozoficzne, które, według zapowiedzi z przed paru lat, wyszłej z ust urzędowej i przysięgłej apostołki-teozofki, miały służyć do „pogłębiania katolicyzmu" w Polsce, — wielkiej naprawdę trzeba bezczelności, aby publicznie rzucać takie oświadczenia—w istocie są tylko wabikiem, a placówki teozofów ekspozyturą masonerji, która za zadanie ma podważenie w katolikach uznania dla autorytetu, co jest pierwszym etapem odstępstwa.

Rękę masońską także wyśledzić można w działalności sekt, które, miast iść gdzieś między Buszmenów, Hotentotów, Kiwarosów, Samojedów czy innych pogan,—tych przecie jest z górą miljon—dziwnie uparły się i chcą nawracać Polaków. Że masoni mają tutaj spory udział, dość przypomnieć głośną przed paru laty sprawę, gdzie zdemaskowane zostało subsydjowanie sekty badaczy Pisma św. przez masońskie loże szwajcarskie.

Do teozofji zaciągać się niejeden inteligent polski nie chce, tembardziej niema odwagi przyłączać się do sekciarzy, albowiem katolicyzm tak wszedł u nas w jaźń narodu, że rozstanie się z mianem katolika oraz z katolickiemi ceremonjami zewnętrznemi jest dla niejednego czemś nie do przeżycia *), więc zawodowi burzyciele Kościoła katolickiego wymyślili coś nowego:—jak doszły nas wieści—„liberalny Kościół katolicki".

---

*) Jako przykład, pozwolę sobie tu przytoczyć taki fakt, że jedna z mych sąsiadek dla wyjścia za mąż za drugiego przeszła na wyznanie ewangelicko-reformowane, tymczasem, choć od ślubu w kirsze przeszło już lat parę, regularnie co niedziela widuję ją na Mszy św. w kościele. Trudno — słowo daję—o większe pomieszanie pojęć.

Co to za potworek jest z tego noworodka, trudno narazie osądzić dokładnie, dotąd bowiem cicho jeszcze wszędzie o tem, ale są pewne fakty, które dużo dają do myślenia.

Od niejakiego czasu na łamach warszawskiej „Epoki", pozostającej na usługach masońskiego Wielkiego Wschodu ukazują się artykuły o zagadnieniach religijnych, podpisane literą „L.", a zaopatrywane przez redakcję w dopisek, że elaborat ów nadesłano jej ze sfer „katolicyzmu oświeconego". Laik weźmie to za pracę „katolicką", tak bowiem głosi informacja redakcyjna, w rzeczy samej jednak artykuły tamte z katolicyzmem mają tyle wspólnego, co Talmud z Ewangelją. Wywody tajemniczego „L"'a przesiąknięte są takim duchem indyferentyzmu, takiem traktowaniem najważniejszych zagadnień katolicyzmu jakby piątego koła u wozu, iż katolik, który bodaj trochę zna katechizm, — wśród inteligentów takich trzeba szukać ze świecą — oburzyć się musi po przeczytaniu „epokowych" enuncjacyj, jakiem prawem wilk-libertyn bez wdziania nawet na siebie owczej skóry śmie udawać owcę-katolika. Toć odeń radykalnym liberalizmem zalatuje aż na milę, a nauka Kościoła katolickiego, jej najistotniejsza treść obchodzi go akurat tyle co zeszłoroczny śnieg.

„Liberalny katolicyzm" jest snać obliczony na to, ażeby tych, którym przykro wyrzec się miana katolików, oderwać od Owczarni Chrystusowej przez podszycie się pod miano katolicyzmu (na przymiotniki określające z zasady niemal nikt nie zwraca uwagi) Pomyślane to jest z prawdziwie żydowską chytrością, wobec czego na ten nowy wabik w te nowe sidła wpaść może wielu naiwnych katolików, zwłaszcza inteligentów, należy więc przestrzec ich przed tem już teraz, gdy ów ruch stawia dopiero pierwsze kroki.

Czy „liberalny katolicyzm" jest narazie tylko ideą, wysnutą przez kilku mędrków, czy też stoi poza nim jaka organizacja religijna? W sprawie tej nic pewnego powiedzieć nie mogę, lecz dziwnej wymowy nabiera w obliczu tego fakt, iż w drukarni Władysława Łazarskiego w Warszawie w roku bieżącym wydrukowana została „Liturgja Liberalnego Kościoła Katolickiego w Polsce", licząca aż sto siedemdziesiąt dwie strony. Czy wydawnictwo to ma jakikolwiek związek z artykułami z „Epoki"? Bóg raczy wiedzieć o tem, kto wie wszakże, czy nie szykuje się taka placówka w najbliższej przyszłości.

Jak jest, tak jest. Czekajmy cierpliwie, a może okaże się to niezadługo, przytem zaś nie zapominajmy szykować naszych sił, aby w razie uderzenia i natarcia z tamtej strony móc odeprzeć atak momentalnie! Przerażać się tem, nie przerażajmy, czuwajmy jedynie, a bądźmy gotowi! Gdy będziem przygotowani, nie straszny nam będzie wróg.

Warszawski „Głos Ewangelicki", „pismo tygodniowe, poświęcone sprawom Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce" z dnia 7-go lipca r. b. zamieścił artykuł „Ew."'a „Pol."'a p. t. „O świeży powiew ducha religijnego w Polsce", gdzie autor, wspominając o artykułach z „Epoki", wylewa łzy krokodyle nad tem, że „te szlachetne (!) i nader mądre (!!) i spokojne (szkoda, iż niema więcej określeń) wywody trafiają tylko do czytelników „Epoki", którzy już nie potrzebują być przekonywani o konieczności wolności sumienia, nie trafiają zaś do szerszych mas... W takich warunkach najszlachetniejsze (!?!) wysiłki autora artykułów „Epoki" nie zdadzą się na nic". Dałby Bóg, żeby się tak stało, ale—powtarzam—czuwajmy, bo a nuż indyferentne swe poglądy „liberalni katolicy" poczną szczepić w masach przez broszury!

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga.

W stosunkach handlowych podszywanie się pod nazwę innego jakiegoś towarzystwa jest karane i to surowo, dlaczego natomiast nie są karani ci, co podszywają się z bezczelnością pod katolicyzm? Dlaczego to wolno im stroić się w cudze piórka? Czy nie należałoby im tego zabronić? Rozsądek mówi, że tak i to jaknajprędzej. *Stanisław Żelechowski.*

Ostrzeżenie.

Wpadła mi w tych dniach w ręce książka Sophus'a Michaëlis, p. t. „1812—Wieczny Sen", powieść (mająca stempel bibljoteki jednej ze szkół prowincjonalnych żeńskich).

Przejrzałem jej treść, napisaną z wielkim rozmachem, fantazją i napięciem dramatycznem, ilustrującem losy nieszczęśliwej wyprawy Napoleona I do Rosji, a chociaż opowieść tę nie można uważać za całkiem odpowiednią dla uczącej się młodzieży, to jednak wypada przyznać, że napisana jest z dużym talentem.

Niestety, zalety wymienionego utworu psuje przedmowa, której autorem jest p. Alfred Iwieński, narzucający czytelnikowi swoją chorobliwą ideologię. Jest nią jakieś półtrzeźwe majaczenie o „pięknym majestacie katastrof", o „sakramencie śmierci", o „lubieżnym", iście sadystycznym „zapachu krwi ludzkiej". P. Iwieński, z rodzajem fanatycznej dumy ignoranta w rzeczach wiary, bredzi o wszechświecie, jako „grze przypadku", o śmierci, jako przejściu ze świadomości w bezświadomość i wzdycha do prastarej epoki królów babilońskich i faraonów egipskich, która była kultem śmierci... I dlatego-to legendowego bohatera w trójgraniastym kapeluszu nazywa „cudem i objawieniem świata, bogiem wojny i... ludzi"!

Po wyładowaniu jednak z siebie fałszywego patosu, autor przedmowy wpada w iście sadystyczną pasję, skierowaną do polskiej kobiety, którą nazywa „białą djablicą", naszem narodowem przekleństwem, złowrogiem szatanem.

Nawet takie czcigodne imiona autorek, jak Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i Elizy Orzeszkowej oraz bohaterek powieści naszych czołowych pisarzy, jak Marynia Połaniecka, Madzia, nastręczają p. Iwieńskiemu pretekst do oskarżania, o „zatruwanie dusz polskich mdłą moralnością, łzawym sentymentem" i t. p. Nic też dziwnego, że autor przedmowy wzdycha do swego ideału „kobiety polskiej, z instynktami samicy, z wiecznym uśmiechem na wargach, oddanej niepodzielnie swej kobiecej pasji i żądzy"...!

Przedmowę do „Wiecznego Snu" napisał p. Alfred Iwieński w styczniu 1913 r., nie przewidując widocznie, że niedługo potem ziści się jego marzenie o ideale kobiety, tylko nie wśród narodu polskiego, lecz w sąsiedniej Rosji bolszewickiej, rozumie się i tam jedynie wśród zwyrodniałych wyjątków, z liczby członkiń czrezwyczajek.

A teraz po zaznajomieniu czytelnika z treścią tej niemoralnej i tak mało normalnej przedmowy do „Wiecznego Snu", godzi się zapytać, czy kierowniczka szkoły żeńskiej świadomie zaopatrzył a księgozbiór szkolny w tak niepedagogiczną i poniewierającą godność Polki książkę? Chyba nie, bo byłoby to zjawiskiem całkiem niezrozumiałem. Inna rzecz, że ponosi ona całkowitą odpowiedzialność za tak bezkrytyczne, czy bezwiedne, propagowanie wśród swych wychowanic tak skandalicznej interpretacji utworu belletrystycznego.

Z tego więc powodu nie będzie rzeczą zbyteczną zwrócić uwagę katolickich czytelników, jak doniosłe znaczenie posiadają niedawno zapoczątkowane dnie propagandy dobrej prasy, którą rozpoczęły w Krakowie Sodalicje Marjańskie łącznie z młodzieżą akademicką w m. marcu r. b., a w Warszawie w połowie ub. m. czerwca. Jak mi wiadomo, zachęcone powodzeniem tej imprezy, Sodalicje Marj. i młodzież większych miast naszego kraju również czynią przygotowania w tym kierunku.

L. M. Starzyński.

Ofiary brakowe.

Znaną jest legenda o prostaku, do którego nie doszło jeszcze światło wiary świętej, że chcąc uczcić nieznanego mu Stwórcę, którego odczuwał w roztaczającej się przed nim księdze przyrody, wykopał rów i przeskakiwał przez niego; gdy skok był udatny wykrzykiwał: „To tobie Panie na chwałę", a gdy skok się nie udał, „To dla mnie"! wołał.

Ta legenda zawsze mi się przypomina, gdy patrzę na krzyże przydrożne i figury „ozdobione" wybrakowanemi i zniszczonemi figurami świętych.

Tamten prostak wyrozumował sobie, że co lepsze, to — Bogu, i ofiarowywał to co udatnie mu wyszło, tu na odwrót; tak jakby mówiono: „Naści Tobie Panie Boże, co mi przydać się nie może".

I jest że to ofiara? A toż gdyby równemu sobie ktoś dał w prezencie skorupę, toby jej nie przyjął; i ktoby nawet śmiał czemś podobnem się ośmieszać. I czyż może to być miłem Bogu?

No ale jest w tem i druga strona medalu, która poniekąd usprawiedliwia takich ofiarników: znajdują się oni też w niemałym kłopocie, gdy im się figurka stłucze; nie chcąc wtedy znieważać świętości przez wyrzucenie do śmietnika, bowiem ogień tego nie strawi, przez poszanowanie tego, wynoszą z domu pod figurę lub krzyż i zbywają się kłopotu. Bo i cóż zrobić, obraz zniszczony można w ogniu spalić, a tego ogień się nie ima, zaś wyrzucić — profanacja.

Otóż, jabym dał taką radę: Każdy prawie, ma kogoś na cmentarzu w mogile; zanieść tedy na grób; naturalnie nie dla przyozdobienia, ale zakopać w ziemię. Byłoby to najwłaściwszem rzecz poświęconą — w poświęconej ziemi zagrzebać. A dla ozdabiania krzyży i figur, świeże kwiaty i lampki, dawać na ofiarę.

Jan Nawrocki.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Kapłan-Społecznik.
Ś. p. ks senator Jan Albrecht.

Kościół katolicki i społeczeństwo polskie, jak również ruch chrześcijańsko-społeczny poniosły stratę niepowetowaną. W dniu 6 lipca zmarł ks. senator Jan Albrecht, szambelan Jego Świątobliwości, kawaler orderu, „Pro Eclesia et Pontifice" główny patron Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich i generalny sekretarz do spraw społecznych przy kurji Arcybiskupiej w Warszawie.

Ś. p. ks. Jan Albrecht urodził się w r. 1872, średnie studja ukończył w Piotrkowie, a seminarjum duchowne w Warszawie. Dla pogłębienia swej wiedzy społecznej odbył pozatem szereg studjów podczas swoich podróży w Niemczech, Szwajcarji, Holandji, Austrji i Włoszech.

Pracę swą duszpasterską prowadził głównie w Łodzi do r. 1919, a następnie w Warszawie. W Łodzi był proboszczem parafji św. Józefa, a w Warszawie — rektorem kościoła Św. Marcina (Poaugustjańskim) i honorowym kanonikiem katedralnym.

Pracę społeczną Zmarły rozpoczął w r. 1904, zakładając w nadzwyczaj trudnych i uciążliwych warunkach, pierwsze Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w Łodzi. Świeżo powstałym placówkom groziły z jednej strony represje i wszelkie utrudnienia ze strony władz zaborczych, tak, że praca częściowo musiała być prowadzona konspiracyjnie, z drugiej zaś strony socjaliści, strzegąc zazdrośnie dotychczasowego swego monopolu na warstwy robotnicze, przeszkadzali na każdym kroku poczynaniom chrześcijańsko-społecznym, nie cofa-

jąc się często przed użyciem gwałtu, któremu trzeba było nieraz siłą się przeciwstawiać.

Mimo tak ciężkich i trudnych warunków ś. p. ks. Jan Albrecht pokonał powoli wszystkie stojące mu na drodze przeszkody i doprowadził do tego, że praca przez Niego zapoczątkowana rozwinęła się świetnie na terenie Łodzi, szeregi robotnicze, zgrupowane pod sztandarami chrześcijańsko-społecznymi doszły wkrótce do dziesiątków tysięcy, został wzniesiony dom ludowy i powstało szereg pożytecznych dla robotników instytucji i urządzeń. Pc dziś dzień ruch chrześcijańsko-społeczny w Łodzi, a zwłaszcza jego część kulturalno-oświatowa: Stow. Rob. Chrześcijańskich —rozwija się i postępuje naprzód na podstawach ufundowanych przez ś.p. ks. Albrechta.

W r. 1919 ś.p. ks. Jan Albrecht przechodzi do Warszawy, jako znany już i ceniony w szerokich kołach społeczeństwa działacz chrześcijańsko-społeczny i obejmuje kierownictwo nad stowarzyszeniami Robotników Chrześcijańskich na terenie Archidjecezji. Praca jego idzie w kilku kierunkach. Był inicjatorem, założycielem i prezesem rady spółdzielni mieszkaniowej „Zgoda", która wybudowała kilka domów na Żoliborzu i uwolniła od klęski mieszkaniowej kilkadziesiąt rodzin robotniczych i pracowniczych, prezesem rady nadzorczej kasy robotniczo-rzemieślniczej, prezesem katolickiego towarzystwa grzebania zmarłych, wydawcą i kierownikiem tygodnika „Pracownik Polski", prezesem katolickiego t-wa wydawniczego. Wspólnie z zarządami Stow. Rob. Chrześcijańskich, którym zawsze ofiarowywał najwięcej swej pracy i inicjatywy, organizował kolonje letnie dla dzieci i dorosłych, kursa przygotowawczo-techniczne, świetlice robotnicze i inne przedsięwzięcia, mające na celu polepszenienie doli materjalnej i wychowanie w zasadach Chrystusowych warstw pracujących. Czynnie i wydatnie współpracował również z Chrześcijańskiemi Związkami Zawodowemi. Był członkiem założycielem i członkiem Zarządu Głównego Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego. W ostatnich latach założył kilka Stow. Mł. Polskiej i Koło studjów chrześcijańsko-społecznych Warszawie.

Pracował również na terenie politycznym. Jeden z pierwszych i najwybitniejszych członków Chrześcijańskiej Demokracji, wybrany dwukrotnie do Senatu: w r. 1922 z listy woj.

łódzkiego, a w r. 1928 z listy państwowej Ch. D. i Piasta № 25, przy każdej nadarzającej się okazji bronił wytrwale religji i Kościoła oraz słusznych postulatów społecznych. Ostatnio był referentem budżetu opieki społecznej. Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, w którego władzach naczelnych stale uczestniczył, powierzało Mu nieraz najtrudniejsze misje i zadania, wymagające wybitnego charakteru, poświęcenia i energji.

Zaiste, trudno byłoby wyliczyć i zmieścić w ramach jednego artykułu wszystkie prace i przedsięwzięcia, które prowadził, lub im przewodniczył — tak rozległa i szeroka była Jego działalność, tak wielka pracowitość i energja!

Nieraz miałem zaszczyt spotykać się ze ś. p. ks. senatorem Albrechtem i współpracować z Nim, zwłaszcza w ostatnich latach Jego działalności. Po dziś dzień stoi mi w pamięci pewne zebranie Chrześc. Zw. Młodz. Pracującej „Odrodzenie", na którym ks. Senator opowiadał nam początki swojej działalności społecznej i specjalnie podreślił pewien wypadek jaskrawej niesprawiedliwości i niesumienności ze strony pewnego przedsiębiorcy wobec robotników, którego był w swoim czasie świadkiem w Łodzi.

Wypadek ten wywarł głębokie wrażenie na młodym, szlachetnym sercu, chętnym do walki o sprawiedliwość w myśl słów Chrystusa: Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości... i stał się przełomowym faktem w Jego życiu. Odtąd zaczął studjować pilnie Encyklikę Rerum Novarum i inne wskazania Kościoła i nauki katolickiej, dotyczące stosunku pracy do kapitału. Wkrótce potem wstąpił do Seminarjum, został księdzem i całe swe pracowite życie poświęcił—rozszerzając niejako zakres swojego duszpasterstwa—akcji społecznej, działalności nad podniesieniem moralnym i materjalnym warstw pracujących.

Ś. p. Ks. Senator jest prawdziwym wzorem ciężkiej i bezinteresownej pracy społecznej, zwłaszcza dla dzisiejszego pokolenia inteligencji katolickiej, które odznacza się obojętnością wobec zagadnień socjalnych i bardzo wygodnym, a jednostronnym pojmowaniem i komentowaniem tego pojęcia, które Ojcowie Kościoła określali mianem: Charitas. To też na palcach można policzyć ludzi dzisiejszego pokolenia, którzyby tyle po-

święcenia i energji włożyli w rzetelną pracę społeczną. co ś. p. ks. Senator Albrecht!

Praca społeczna wśród mas robotniczych trudna jest i uciążliwa, wymaga wielkiego samozaparcia i poświęcenia na każdym kroku, wysiłku zarówno moralnego, jak i fizycznego, a przedewszystkiem ukochania bliźnich, zrozumienia ich potrzeb i dążeń, wielkiego i szerokiego poglądu na społeczeństwo, jego warstwy, ich cele i zadania.

Ś. p. ks. Jan Albrecht był działaczem społecznym z Bożej woli i łaski, prawdziwym artystą w tej dziedzinie, obdarzanym iskrą Bożą, szczytnym powołaniem duszpasterskim i społecznym zarazem.

Poglądy Jego ideowe, wprost i konsekwentnie wypływające z zasad Wiary Katolickiej, pogłębiane i rozszerzane studjami, które prowadził całe życie, jasne były i niewzruszane. Gdy ś. p. ks. Jan Albrecht wstąpił na mównicę, słowa Jego były proste, nacechowane powagą i godnością i choć nie starał się nigdy specjalnie o żadne efekty krasnomówcze — przemówienia Jego i wykłady odznaczały się taką mocą i energją wewnętrzną, tak głębokim i ugruntowanym przekonaniem, że bardzo często nawet zdeklarowani przeciwnicy nie mogli im się oprzeć i musieli przyznać słuszność.

Na specjalne podkreślenie zasługuje Jego miłość i ofiarność wobec warstw pracujących, oparte na głębokim i realnie pojętym patrjotyźmie. Ś. p. ks. Senator zdawał sobie dokładnie sprawę, że Naród nie jest pojęciem abstrakcyjnym, przeznaczonym do odmieniania przez rozmaite przypadki i liczby, lecz żywym organizmem, złożonym z warstw społecznych, że między tymi warstwami winna panować harmonja i współdziałanie, oparte na sprawiedliwych stosunkach gospodarczo-społecznych, i wreszcie że pierwszym obowiązkiem inteligencji katolickiej jest praca dla warstw ludowych i wśród warst ludowych dla ich podniesienia moralnego i materjalnego, aby nie wpadły w sidła komunizmu i socjalizmu i nie zostały stracone dla Narodu. Zdawał sobie z tego jasno i dokładnie sprawę od zarania swojej działalności i poglądy te starał się rozszerzać całe życie wśród jaknajliczniejszych kół inteligencji, był jednym z pierwszych pionierów tych poglądów i jeżeli pod niec życia smutek czasem ogarniał Jego serce, głęboko

odczuwające potrzeby Ojczyzny i jej warstw— a wiedzą o tem ci, co z Nim pracowali —to działo się dlatego, że zbyt mały odsetek naszej inteligencji okazywał zrozumienie dla tych potrzeb i chęć pracy nad ich zaspokojeniem. Mimo wszakże licznych trudności, a nawet kłód rzucanych pod nogi przez przeciwników, duch Jego mocny i silny nigdy nie zachwiał się, nigdy nie zrezygnował z pracy nad realizowaniem idei. Pracę tę: planową i systematyczną, codzienną i żmudną—prowadził do ostatnich dni swego owocnego życia.

Ś. p. ks. Jan Albrecht był demokratą chrześcijańskim czystej krwi —nietylko dlatego, że należał do grona założycieli i najwybitniejszych członków „Chrześcijańskiej Demokracji" zgodnie ze wskazaniami Encykliki Rerum Novarum i Graves de communi, lecz w pierwszym rzędzie dlatego, że pracował dla ludu i wśród ludu i miał dla niego zawsze dużo serca i zrozumienia. Każdy robotnik mógł zawsze zwrócić się do ks. sanatora w każdej sprawie i jeżeli tylko był człowiekiem dobrej woli, spotykało go ojcowskie, serdeczne przyjęcie, sprawiedliwe potraktowanie, a w miarę możności natychmiastowa pomoc w jego potrzebach i życzeniach. Wiedzą o tem szerokie koła robotników, zgrupowanych pod sztandarami chrześcijańsko-społecznemi przedewszystkiem w Łodzi i Warszawie, gdzie najwięcej pracował i działał To też nic dziwnego, że śmierć Jego wywołała tak żywy odruch żalu wśród mas robotniczych, które straciły w Nim długoletniego opiekuna i kierownika, że pogrzeb Jego był wielką manifestacją, w której wzięły udział delegacje robotnicze z Warszawy, Łodzi, Częstochowy, Zagłębia, Radomia, Białegostoku i innych najodleglejszych części kraju, że nad otwartą mogiłą przemawiali ze łzami w oczach, oprócz duchowieństwa, świeccy przedstawiciele całego ruchu chrześcijańsko-społecznego: Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich, Chrześcijańskich Związków Zawodowych, Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, Chrześc. Uniwersytetu Robotniczego, młodzieży chrześcijańsko-społecznej itd.

Zaiste, nietylko ruch chrześcijańsko-społeczny, ale całe społeczeństwo polskie poniosło stratę poważną i niepowetowaną. Bóg powołał ś. p. ks. Jana Albrechta przed Swoje Oblicze,pozostały jednak po Nim dzieła, które tu na ziemi wykonał, szerząc każdego dnia Królestwo Chrystusowe i pracując

ofiarnie dla bliźnich. Pozostała po śmierci ,po Nim ta „siła", o której pisze Słowacki w „Testamencie", że Jemu samemu ona „na nic, jedno czoło zdobi", lecz na pokolenie współczesne musi wywrzeć swój wpływ, pobudzając w nim jednostki lepsze i aktywniejsze do pójścia w ślady, do dalszego prowadzenia wielkiego dzieła „instaurare omnia in Christo".

Stefan Kaczorowski.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

„Święty Boże"!

— Więc ta stodoła jest tutaj kościołem, zdziwił się Romek Niebędzki, gdy powóz wjechał na obszerny plac, po którym przechadzało się chłopstwo odświętnie ubrane.

Starszy nieco jego towarzysz nie odrzekł nic, zamyślony widocznie.

Weszli przez proste wrota do obszernego budynku, w którym w głębi widać było jaskrawo przystrojony ołtarz i małe wzniesienie, służące pewnie za ambonę. Na krokwiach, na których rozpościerał się słomiany dach, naprzeciw ołtarza widać było coś w rodzaju chóru. Stała tam nieduża fisharmonja i krzesło dla organisty. Kilka ławek pośrodku tej szopy-kościoła i krzycząco barwne chorągwie dopełniały urządzenia wnętrza.

W chwilę po wejściu chłopców rozległ się dzwonek, a prawie równocześnie z góry odezwały się fałszywe tony organków.

Msza przerywana była śpiewem z chóru i organisty, śpiewem, który brzmiał tak jakoś okropnie, że chwilami słuchanie stawało się wprost niemożliwem.

Przeszło już pół godziny i godzina, a do końca jeszcze było daleko. Romek zaczął się wreszcie niecierpliwić i szepnął do towarzysza:—Wychodźmy już, ciasno tu, duszno i końca doczekać się nie można.

— Zaraz po mszy św., nie czekając na suplikacje, odjedziemy—ten odrzekł.

Zaczęli przepychać się ku wyjściu.

Wreszcie ofiara się skończyła i lud cały padł na kolana, by wznieść ostatnie prośby do Stwórcy.

Proboszcz staruszek ukląkł u stóp ołtarza i zaintonował słabym drżącym głosem: Święty Boże, Święty Mocny, Święty, a Nieśmiertelny... Chór zmieszanych głosów podchwycił tę pieśń, tak prostą, a tak do duszy każdego przemawiającą.

Lud przed chwilą leniwy, apatyczny, rzekłbyś martwy, rozbudził się jakby. Buchnęła pieśń namiętnie, żywiołowo, a wiernie zarazem. Uderzył głos potężną falą, zalewając cały kościół, rwąc się gdzieś daleko poza jego ściany, dążąc wprost do stóp Bożego tronu. Z pierwszym tonem pieśni przyklękli i chłopcy, dołączając swe głosy, do głosów wszystkich. I nie widzieli już wtedy drewnianych, grubo ciosanych belek, ani brzydkich, jaskrawych chorągwi, nie było im ciasno, ani duszno; myśleli wtenczas, że tak czuć, jak w tej chwili, tak wznosić się, odrywać od ziemi jakże wielką jest rozkoszą dla człowieka, dla jego nieśmiertelnej duszy.

Wkrótce przebrzmiał śpiew, towarzysze wyszli z kościoła, skierowując się do czekającego na nich powozu. Ale jeszcze wrażenie nie znikło.

Wreszcie Romek przetarł czoło i powiedział: — I tu, w tym nędznym, małym kościołku można znaleść prawdziwe szczęście, a szczęście wielkie i zaznać wielkiej radości. — Nietylko ciasnoty i zaduchu — uśmiechnął się starszy towarzysz. *Ł. R.*

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

Pierwszy Zjazd Delegatów Chrześ. Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

W dniach 29 i 30 czerwca r. b. odbył się w stolicy pierwszy Zjazd delegatów Ch. Z. M. P. „Odrodzenie".

Od kilku lat wśród seniorów „Odrodzenia" kiełkowała myśl przerzucenia ruchu odrodzeniowego na teren młodzieży fizycznie pracującej. Inicjatorom ruchu odrodzeniowego chodziło o to, aby młodzież robotniczą zaciągnąć pod sztandary katolickie, zmobilizować ją do pracy w myśl ideałów chrześcijańsko-społecznych, zahartować do walki z zakusami socjalizmu i komunizmu. W miarę upływu czasu myśli seniorów „Odrodzenia" skrystalizowały się w czynach: przed dwoma laty z inicjatywy kilku seniorów zorga-

nizowane zostały dwa koła młodzieży pracującej „Odrodzenie” w Warszawie: jedno męskie i jedno żeńskie. Rzucone hasło organizowania młodzieży robotniczej na podstawach katolicko-społecznych znalazło silny odzew w kraju. W ciągu 2-ch lat powstało około 20 kół „Odrodzenia” w Łodzi, Zawierciu, Pruszkowie, Zduńskiej Woli, Radomiu, Pabjanicach, Zgierzu oraz w szeregu innych miejscowości Rzeczypospolitej.

I Zjazd Delegatów zgromadził licznych przedstawicieli z prowincji. Najsilniej reprezentowana była młodzież robotnicza Łodzi, tego środowiska najbardziej atakowanego przez socjalizm i komunizm. Zjazd rozpoczął się Mszą św., podczas której wielu uczestników zjazdu przystąpiło do Stołu Pańskiego. Mszę św., odprawił ks.prałat Kaczyński dyr. Kat. Aj. Prasowej w kościele św. Marcina poczem wygłosił podniosłe przemówienie o działalności katolickiej wśród młodzieży robotniczej. Po Mszy św. nastąpiło otwarcie Zjazdu w sali przy ul. Rymarskiej 2/4, którego dokonał prezes Rady Nadzorczej Ch Z. M. P. „Odrodzenie”‘ p. Antoni Chaciński, poczem wybrano prezydjum, do którego weszli: p. Antoni Chaciński (przewodniczący), W. Markowska (Warszawa), Z. Pawlak (Łódz), Zubrylin (Łódź), Jabłoński (Zawiercie), Kwasiborski (Pruszków), p. Bogumił Budka (Warszawa) — sekretarz Zjazdu i Wolański (Warszawa). Przemówienia powitalne wygłosili: p. Jerzy Siwecki (St. Młodz. Ak. „Odrodzenie”), St Iłowiecki (Korpor. chrześ.), p. Lisiewicz (Stow. Rob. Chrześ) Depesze i listy z życzeniami odczytał sekretarz Zjazdu. Po zamknięciu inauguracyjnej części Zjazdu rozpoczęły się obrady.

Na zjeździe wygłoszone zostały cztery referaty: p. *A. Chacińskiego „Czem jest i do czego dąży Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”, St. Kaczorowskiego: „Metody pracy w kołach Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”*, *p. B Budki: „Sport a wychowanie chrześcijańskie młodego pokolenia” i p. Ferstera „Działalność sportowa Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”.* Referaty stały na wysokim poziomie ideowym i wzbudziły poważne zainteresowanie wśród delegatów. W czasie obrad Zjazdu zjawili się przedstawiciele bratnich organizacji z Jugosławji w towarzystwie ks. red. W. Kneblewskiego i red. M. Przyjemskiego, owacyjnie witani przez przewodniczącego i uczestników Zjazdu. Gości Jugosłowian przedstawił Zjazdowi ks. W. Kneblewski, poczem sekretarz „Prosvetnej Zwezdy” — p. Vinko Zor wygłosił gorące przemówienie, akcentując momenty wspólności

rasowej, religijnej i ideowej młodzieży słoweńskiej z polską młodzieżą „Odrodzenia”.

Wieczorem w pierwszym dniu obrad odbyła się herbatka towarzyska, na której byli obecni przedstawiciele senjorów „Odrodzenia”, serdecznie witani przez uczestników Zjazdu. W czasie herbatki wygłoszono szereg przemówień, w których podniesiono doniosłość braterskiej współpracy młodej inteligencji katolickiej z młodzieżą robotniczą oraz podkreślono, że największym wrogiem cywilizacji chrześcijańskiej jest socjalizm i komunizm. W dniu drugim uczestnicy Zjazdu byli obecni na zawodach sportowych, zorganizowanych przez Warszawski Klub Sportowy „Odrodzenia” i mogli stwierdzić jego wysoką klasę sportową.

Na Zjeździe dokonano wyborów do Centralnego Komitetu Wykonawczego naczelnej władzy Ch. Z. M. P. „Odrodzenie”. *Do C. K. W. weszli: pp. A. Chaciński (prezes), St. Kaczorowski (wiceprezes), Ks. prałat Kaczyński, W. Markowska, L. Lewiński, radny St. Spasiński, Ferster, J. Cyrański, Z. Elmrich, H. Piechotkówna, ławnik Adamski, F. Kwasiborski, i J. Jabłoński.*

Do Centralnej Komisji Rewizyjnej weszli: radny Kosmaczewski, radny Pawlak i p. Budka.

Zjazd uchwalił wysłać depesze hołdownicze do Ojca Św., Prezydenta Rzeczypospolitej, ks. Prymasa kardynała Hlonda, ks. Kardynała Kakowskiego oraz depeszę do Ignacego Paderewskiego z okazji dziesięciolecia Traktatu Wersalskiego. Przesłano również depeszę do Zarządu Głównego Zw. Senjorów „Odrodzenia” i do Komitetu Wykonawczego Stow. kat. Młod. „Odrodzenie” we Lwowie.

Obok szeregu rezolucji wewnętrzno-organizacyjnych Zjazd powziął następujące rezolucje zewnętrzne:

Rezolucje Zjazdu:

1. Pierwszy Zjazd delegatów Ch. Z. M. P. „Odrodzenie” podkreśla zasadę, iż pomyślność narodu i dobrobyt jego warstw pracujących osiągnięte być mogą *tylko w oparciu o zasady katolickie, w myśl szczytnych haseł, wysuniętych w wiekopomnej encyklice „Rerum Novarum”* i innych wskazaniach Kościoła Katolickiego.

2. Pierwszy Zjazd delegatów Ch. Z. M. P. „Odrodzenie” *przeciwstawia się z całą energją w imieniu szerokich rzesz mło-*

dzieży robotniczej zgubnemu programowi antyreligijnemu masonerji i pokrewnych jej duchem organizacji oraz stwierdza, że polska młodzież pracująca nie ustanie w walce o katolicki charakter państwa, rodziny, szkoły i innych instytucji życia publicznego.

3. Zjazd protestuje z największem oburzeniem przeciwko haniebnej profanacji, której dopuściła się młodzież żydowska wobec procesji Bożego Ciała we Lwowie, podkreślając w ten sposób solidarność młodzieży robotniczej i akademickiej w obronie ideałów religijnych i narodowych.

4. *Zjazd proklamuje solidarność i współpracę młodzieży pracującej fizycznie z młodzieżą pracującą umysłową w celu systematycznego prowadzenia pracy społecznej, realizowania zasad sprawiedliwości chrześcijańkiej, wzajemnej pomocy moralnej i materjalnej oraz czynnego życiowego przeciwstawienia się groźnej dla kraju propagandzie socjalistyczno-komunistycznej i wywrotowej oraz wzywa szerokie rzesze młodzieży i pokrewne organizacje* do współpracy pod sztandarami Ch. Z. M. P. „Odrodzenie".

5. *Zjazd śle braterskie pozdrowienia robotnikom zrzeszonym w organizacjach chrześcijańsko-społecznych* i zapewnia ich, iż w walce o realizację sprawiedliwości ideowej i społecznej wiernie towarzyszyć im będzie.

6. Zjazd wzywa wszystkie koła Ch. Z. M. P. „Odrodzenie" do jaknajściślejszego kontaktu *z Chrześcijańskim Uniwersytetem Robotniczym.*

7. *Zjazd przesyła wyrazy uznania twórcom i przywódcom ruchu chrześcijańsko-społecznego za ich trud i pracę w kierunku wychowania mas pracujących w miłości dla Kościoła i Narodu.*

* * *

Szybki rozrost organizacji na terenie b. kongresówki, powstawanie coraz to nowych kół, liczny przyjazd delegatów na Zjazd nawet z bardzo odległych miejscowości, poważny, a równocześnie pełen głębokiego entuzjazmu nastrój, panujący na zjeździe — wszystko to napawa nadzieją, że powstała nie tak dawno gałęź ruchu odrodzeniowego na terenie młodzieży robotniczej rozwinie się w krótkim czasie w ruch silny i potężny, umiejący przeciwstawiać się skutecznie groźnemu zalewowi socjal-komunizmu.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Ks. Dr. Józef Lubelski: Etyka Katolicka. Podręcznik dla szkół średnich. Wydanie drugie. Tarnów: Nakładem Autora. 1929 r.

Jest to, rzec można, popularny skrót Teologji Moralnej fundamentalnej i specjalnej, omawia bowiem wszystkie zagadnienia z zakresu tej nauki.

Doskonały podręcznik szkolny dla uczniów klas wyższych, odpowiednio przygotowanych w latach poprzednich studjów nauki religji do scalenia zdobytych wiadomości katechizmowych i wyciągnięcia najpraktyczniejszych wskazań życiowych na wyjście w świat, oraz urobienia światopoglądu, zdolnego regulować najrozmaitsze przeżycia młodej duszy i dać do ręki młodzieży broń przeciwko fałszywym nowoczesnym teorjom z dziedziny etyki o przeróżnych zabarwieniach.

Budowa omawianego podręcznika jest doskonale dostosowana do metod szkolnych, dając przez to nie tylko wiadomości ale też i ułatwienie przyswojenia ich przez ćwiczenia, podane w końcu każdej lekcji.

Przejrzystość materjału Autor ułatwił podkreślając ważniejsze działy i myśli tłustym drukiem i podziałem na punkty. Dobrem też uzupełnieniem podręcznika jest podana na końcu literatura do nauki Etyki i wiadomości pokrewnych.

Szkoda, że szczupłość rozmiarów podręcznika nie pozwoliły Autorowi rozwinąć niektórych kwestyi obszerniej. Mogłoby to być tylko polecone uczniom do przyczytania prywatnego, by nie potrzebowali szperać po innych dziełach lub nie mając zachęty całkiem to zlekceważyli. Do takich kwestyj odniósłbym tak doniosłą w naszych czasach sprawę: „Walki klas?" Obszerniejsze wiadomości o Socjaliźmie, jego szkic historyczny i odmiany aż do anarchizmu; uzasadnienie nierozerwalności małżeństwa; zagadnienie powołania nie pomijając zakonnego, tak arcyspołecznego czynnika. Chyba przeoczył Autor mówiąc o popędzie płciowym—onanizm, który jest istną plagą, często wypływającą z nieświadomości młodzieży o jego złości moralnej i o zgubnych skutkach umysłowo-fizycznych, oraz o środkach zaradczych.

Niezbyt obciążyłaby podręcznik krótka wzmianka o praktykach religijnych i niektórych bractwach, tak przez Kościół polecanych. Przykłady biblijne i historyczne bardzoby się przyczyniły do ożywienia poszczególnych lekcyi.

Należy życzyć Autorowi i Jego pracy, by ci, którym On ją dedykuje ocenili Jego troskliwość o ich życiową etykę katolicką i przez to sprawili Mu najwyższą radość duchową, zaś Księża Prefekci i Katecheci wprowadzając ten podręcznik w szkołach złożyli uznanie pracy metodycznej i przyczynili się do jej rozpowszechnienia. **Ks. Al. Bołtuć, M. I. C.**

Kosów, dnia 27-VI. 1929 r.

Lhande S.J. Le Christ dans la Banlieue. Plon. Paris, 8 rue Garancière. — 15 fr. — 244 str. i plan miasta Paryża z przedmieściami. — 105! wydanie.

W. O. Lhande zebrał materjały o ruchu religijnym na Krańcach Paryża w środowiskach robotniczych — t. zw. śmieciarzy-gałganiarzy — „chiffonniers"—i podał wpierw w artykułach „Etudes", a później w wydaniu książkowem. Mowa w nich o przezacnych kapłanach, zakonnikach i apostołach świeckich, i o duszach nędzarzy życiowych, które czekają na serdeczną opiekę społeczną i wdzięczni są za nią.. Na początek, niektórzy z nich darzą kapłana kamykiem w twarz... Kamyk ten, raniąc, staje się kamieniem węgielnym przyszłej kaplicy wśród tych bezdomnych i nieszczęśliwych... Nie znają nawet swej niedoli moralnej! Patrząc na fotografje ich, zauważamy wszędzie humor, wesołość, w rysach twarzy, a pewną grację w osobie fizycznej. Jak to u Francuzów, umieją pokryć swą biedę płaszczykiem elegancji i temperamentu. Pracują i walczą, a ksiądz dobry jest im bardzo pożądany. Sami budują mu kaplice i dom. Chcą mieć własną parafję — notre paroisse á nous!

Warszawa i każde wielkie miasto Polski ma podobne „Przedmieścia". Gdybyż i u nas zrobił się ruch z bogatych parafij w śródmieściu ku tym stacjom prawdziwie misyjnym! Nietylko młodzi, wykwintni kapelanowie, wikarzy, lecz i starsi księża porzucają swe wygodne pielesze, by iść do wydziedziczonych i żyć jako jeden z nich. Myślę, że arcybiskup paryski ma dużo zbudowania ze strony swego kleru... Nie wybiera, lecz proponuje placówki przedmiejskie, a zdecydowanych żegna, jako najmilszych misjonarzy, Życie ich—cudne jest. Zdzierają się szybko — zarzucając własne -- czując. że tyle ich, co miłości.

Pojęli prawdę życia.. radość życia! **K. B.**

Lhande, L'Evangile par. dessus les toits. Radio-Sermons, 1927—Le Bon Pasteur, Radio-Carême 1928. Edit. Spes. Paris. 17 rue Soufflot. — Coby powiedział św. Franciszek z Asyżu mówiący do ptaków i ryb swym językiem miłości Pana Boga, gdyby dziś stanął przed mikrofonem? Z pewnością korzystałby z niego, by śpiewać przed nim, na falach eteru, swe gorące pieśni duszy o dobroci, o ubóstwie, o cnocie wszelkiej, wyrosłej z pnia Caritas.

Zastepuje Świętego dziś gorliwy Apostoł Paryski: W. O. Lhande i schodzi do stacji radjowej, umieszczonej w Paryżu w podziemiach, by głosić swe pogadanki kazaniowe, zaczynając i kończąc wielkim, głośnym znakiem Krzyża Świętego.

Gdybyż to u nas!.. I ma O. Lh. więcej słuchaczy niż Asyski Franciszek i łowi swemi konferencjami więcej dusz ludzkich, niż nauki w kościołach... bo słuchają go i ci, co do kościoła iść nie mogą lub—nie chcą...

O zainteresowaniu się radjem religijnem świadczą komunikaty sprawozdawcze prasy i to nietylko prasy katolickiej,.

U nas? Może już nie wszystkie stacje mają w programie wykłady religijne — a mogłyby dawać kursa apologetyczne na tych samych prawach, jak — kurs języków, gry w szachy... Na tych **samych** prawach?! Zestawienie — niegodziwe! Chyba na — wyższych!?.

Nie **dadzą** ich nam — jeśli ich nie przypomniemy — jeśli z nich nie skorzystamy..

O. Lh. wypowiedział (i drukował) 2 serje kazań w radjo: 1927 — od 2 stycznia i post 1928. „Jamais orateur catholique n'aura eu un pareil auditoire!” Mówca katolicki nie miał dotąd podobnego audytorjum!...

Obudził się — przeciwnik! przygotowano zatem mównicę radjową — w Londynie.. dokąd O. Lh. miał zamiar udawać się samolotem.

Konferencje mają formę pogadanek. Spróbowano z kazaniami, ale wrócono do tamtych. Głoszą je w niedziele w południe. Ale to może drobiazg mniej znaczny.

Inteligencja, robotnicy nasi — wszyscy członkowie Kościoła, dopraszamy się wiedzy religijnej — metodycznej, pogłębionej, na poziomie innych dziedzin naszego wykształcenia. Da je uniwersytet ze swą katedrą teologji, udostępnioną dla laików, da ją także — radjo dobroczynne i złoczynne — trochę to—od nas zależy. Odkrywając ludziom tajemnice przyrody, jakiem jest radjo, miał P. Bóg w planie—to pierwsze i czeka, byśmy tę Jego świętą wolę — pełnili..

Może przyjść i tutaj godzina — oporu! Czemu nie korzystać — póki czas? **K. Berkanówna.**

G. Goyau. Mére Javonhey: Apotre des Noirs. Paris, Plon, 8 rue Garanciere, 12 fr.

Król Filip Francuski nazwał tę dzielną misjonarkę swoich kolonij—wielkim człowiekiem! Zmarła 1848 r. i była założycielką Zgromadzenia SS. Józefitek w Cluny. Czasem mówimy o wybitnej kobiecie, że ma umysł męski. Zdaje się jednak że to nie jest słuszne. Jeśli kobieta wypracuje w sobie—**człowieka**, tak samo, jak mężczyzna — i stanie na platformie sprawiedliwości—to jest tylko sobą. Czasem nie przypuszczamy, ile w nas energij złożonych, bo albo ich nie używamy, albo też uniemożliwiono nam ruchy.

Matka Javonhey zaznała tego drugiego pod dostatkiem. Miała oparcie u władz państwowych, które parła do pracy katolickiej, w czasach jaknajbardziej tej ostatniej nieprzychylnej... Ale to był—wielki człowiek i dlatego z męstwem przeprowadzała idee Boże na ziemi. Trudności chowała sobie zazdrośnie do zanadrza, by apostolstwo swoje wspierać cierpieniem, i nadal realizowała idee Boże na ziemi. Murzyni, nie słuchający „Białych“, ją czcili jak Matkę i na nią głos dali przy urzędowych wyborach — co było zgoła rzeczą niepraktykowaną—równouprawnienia nie znano wówczas!.. M. Javonhey pchnęła sprawę misyjną o kilkadziesiąt lat naprzód!

K. B.

Wydawnictwa bibljoteki „Młodzieży Misyjnej“. Dział literatury misyjnej wzbogaciły ostatnio niewielkie mimo to ciekawe, książeczki wydawnictwa Bibljoteki Młodzieży Misyjnej”. Dotychczas wyszły cztery tomiki z których każdy stanowi oddzielną całość.

Czytelnik dowie się i o poświęceniu bohaterskiem misjonarza O. rebeufa,—„**Przysięga Wodza Huronów**“ gdzie na tle dzikiej i tajemniczej głębi puszczy Ameryki Północnej, zarysowuje się przed oczami siła ducha

apostolskiego, pracującego nad uszlachetnieniem i zbawieniem dzikich plemion Indjan.

Dowie się i o tem, jakie były początki chrześcijaństwa w Japonji;—powieść historyczna „Książę z Kin-Sin“, której bohaterem jest młody, japoński książę Sikatora, młodzieniec co chętnie się wyrzeka korony królewskiej, dla skarbu Chrystusowej wiary.

Piękną też powieścią jest książka p. t. „**Bracia Koreańscy**“—jest to powieść z misji w Korei. Przedstawia nam w interesujący sposób zaprowadzenie wiary Chrystusowej w odległej krainie wschodu. Nie może się tam dostać żaden misjonarz,—wśród koreańczyków są jednak duchy szukające prawdy. Mulutki katechizm znajdujący się tam przypadkowo sprawia, że młody mandaryn udaje się do Pekinu, jako towarzysz przy poselstwie. Tam potajemnie przyjmuje chrzest od Franciszkanów, a po powrocie do ojczyzny zakłada gminę chrześcijańską.

Książeczka p. t. „**Światłość niećmy**“ jest przeznaczona na obchody misyjne. Zawiera zbiór odczytów, pięknych poezyj i śpiewów. Z tych przebija jedna myśl.—Wśród bliźnich swoich, czy tu, czy na dalekich misjach, światłość nauki Chrystusowej niećmy!

Książeczki te, zarówno ze względu na zaciekawiającą treść, jak i na rodzaj powinna posiadać każda katolicka rodzina.

Cena każdego tomiku wynosi: 1 zł. 50 gr., niektóre są tańsze.

P. R.

Franciszek Kabe: **Karol Antoniewicz, wielki apostoł na ziemiach polskich. (1807 — 1852).** Sandomierz, 1928. Nakładem autora. Str. 34. Cena 1 zł.

Nowa sylwetka ks. Karola Antoniewicza pióra Franciszka Kabe'go nie jest owocem jakichś najnowszych poszukiwań, nie przynosi o nim wiadomości nieznanych, ale ukazanie się jej nie jest bynajmniej zbyteczne, ponieważ postać tego misjonarza ludu polskiego i poskromiciela rzezi galicyjskiej godzi się stawiać przed oczy młodzieży naszej jaknajczęściej. Autor w prostych słowach opowiada o życiu ks. Antoniewicza, cytując jego poezje, na wstępie tylko zaraz popełnia pewien błąd.

„Niemal pięćdziesiąt lat — pisze tam — upłynęło od śmierci wielkiego apostoła Małopolski, Wielkopolski i Śląska, zanim literatura polska doczekała się obszerniejszego i źródłowego życiorysu jednego z największych kaznodziejów i kapłanów na ziemiach polskich", tymczasem biografia taka ukazała się już w osiem lat po śmierci ks. Antoniewicza. Nią właśnie było „Wspomnienie o życiu i pismach ks. Karola Antoniewicza" ks Ignacego Polkowskiego, wydane w Warszawie w 1861 r.

Usterka ta — to nic dziwnego, ponieważ obszerna książka wymienionego autora jest rzadkością. J. M. Ch.

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

W numerze lipcowym „Pro Christo" rozpisaliśmy ankietę na temat: *„Akcja katolicka" a działalność katolików w Polsce"* i zwróciliśmy się do wszystkich katolików w Polsce, a w pierwszym rzędzie do Czcigodnego Duchowieństwa oraz działaczy i publicystów katolickich, jak również do Szanownych naszych Czytelników, a zwłaszcza tych, którzy już nieraz zasilali łamy naszego pisma swoimi pracami — z gorącą prośbą, aby wypowiedzieli się na łamach „Pro Christo" na temat powyższy.

Inicjatywa nasza nie poszła na marne. Pomijając bowiem poprzednie nasze artykuły w sprawie „Akcji katolickiej", otrzymaliśmy już kilka odpowiedzi na ankietę, z których część drukujemy w niniejszym numerze, wyrażając nadzieję, że pierwsze odpowiedzi zachęcą poszczególne jednostki do wypowiedzenia się na temat tych ważnych dla życia katolickiego zagadnień.

Ramy „Akcji katolickiej" są zakreślone przez Stolicę Apostolską (Encyklika: Ubi arcano Dei, list do kardynała Bertrama i t. d.). Tem nie mniej jednakże ramy te są tak szerokie, a potrzeby życia polskiego tak różnorodne i oryginalne, że samo już zakreślenie konkretnego planu działalności i ustalenie jej typu i charakteru w poszczególnych warsztatach pracy stanowi zadanie bardzo poważne, ułatwiające w dużym stopniu organizację życia katolickiego.

Ankieta nasza może ułatwić i przyśpieszyć spełnienie tego zadania przez jasne i konkretne wypowiedzenie się jednostek, obeznanych z poszczególnymi warsztatami pracy katolickiej i odczuwających potrzeby tych warsztatów, które przecież z „Akcją katolicką" w ten, czy w inny sposób będą związane, dalej przez wypośrodkowanie opinji rozmaitych sfer w tych, czy innych dziedzinach.

Dlatego też jeszcze raz apelujemy do wszystkich, dla których nie jest obojętne poruszone przez nas zagadnienie, aby nie załowali czasu i trudu i rzucili swe zdanie na szalę, pamiętając, że przecież konsekwencją myśli i słów, będą z czasem czyny na realnych terenach życia.

Podajemy jeszcze raz spis zagadnień, na które rozbiliśmy nasz temat:

1. Na czem polega „Akcja katolicka".

2. Dotychczasowe poczynania „Akcji katolickiej" w Polsce.

3. Czy ten typ działalności można zrealizować w konkretnych warunkach polskich natychmiast, czy też etapami i jakimi.

4. Jak winna wyglądać struktura organizacyjna „Akcji katolickiej" w Polsce.

5. Jakim być winien:

a) stosunek „Akcji katolickiej" do istniejących u nas katolickich organizacyj kulturalno-oświatowych, jak np. Stow. Rob. Chrześcijańskich, Stow. Młodzieży Polskiej, „Odrodzenie" akademickie, robotnicze i t. d.;

b) stosunek „Akcji katolickiej" do Chrześcijańskich Związków Zawodowych;

c) stosunek „Akcji katolickiej" do organizacyj ruchu politycznego o charakterze katolickim.

Szemat i porządek tego podziału nie powinien nikogo krępować, podajemy go bowiem tylko dla ułatwienia, odpowiedzi traktujące zagadnienie w innym porządku, czy z innego punktu widzenia będą również uwzględniane.

Wszelkie odpowiedzi prosimy wysyłać do Redakcji „Pro Christo", Warszawa, Moniuszki 3a.

Czem jest „Akcja katolicka" i jaki jest jej stosunek do innych organizacyj o charakterze katolickim.

W związku z naszą ankietą, otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Spiesząc z odpowiedzią na zorganizowaną przez miesięcznik „Pro Christo" ankietę w sprawie „Akcji katolickiej", pozwalam sobie zabrać głos w dwóch kwestjach, które najbardziej mnie zawsze interesowały, mianowicie: **czem jest „Akcja katolicka" i jaki jest jej stosunek do innych organizacji o charakterze katolickim.**

Zgodnie z Encykliką Piusa XI „Ubi arcano Dei" z r 1922 oraz listem z dn. 13.XI. 1928 r. do kard. Bertrama, zadaniem akcji katolickiej jest praca apostolska osób świeckich wśród współobywateli katolików. Zadanie to winno być spełniane drogą dążenia do doskonałości osobistej i udzielania tej doskonałości bliźnim przez odpowiednie oddziaływanie na nich. W ten sposób „akcja katolicką" jest to praca wychowawczo-religijno-moralna nad sobą i innymi, jest to urabianie siebie i innych, jest to tworzenie dobrych katolików „przez wdrażanie do świętości życia i zachowywanie obowiązków chrześcijańskich" (list do kard. Bertrama), a przez to tworzenie dobrych obywateli państwa, dobrych członków rodziny i społeczeństwa. To jest właściwe zadanie „Akcji katolickiej", zadanie niewątpliwie bardzo wielkie i bardzo doniosłe, ale jednocześnie ograniczone co do zakresu swego działania, który to zakres działania stanowi przedewszystkiem praca misyjna, apostolstwo, urabianie i doskonalenie dusz. Wprawdzie w liście do kard. Bertrama Ojciec św. Pius XI pisze, że akcję katolicką możnaby nazwać społeczną, gdyż ma ona za zadanie szerzyć Królestwo Chrystusowe, oraz że zdobywa ona dla społeczeństwa — poza dobrem najwyższem — dobra, które wchodzą w zakres państwowej organizacji społeczeństwa i nazywają się politycznemi. W gruncie rzeczy jednak o tego rodzaju wynikach „Akcji katolickiej" można mówić tylko jako o czemś pośredniem, jako o następstwie doskonalenia i podnoszenia stanu moralno-religijnego obywateli:

Natomiast nie stanowią one bezpośredniego celu „Akcji katolickiej", który w tym punkcie różni się dobitnie do wszelkiego rodzaju organizacji społecznych — gospodarczych, zawodowych, kulturalno-oświatowych i politycznych, często hołdujących w swem założeniu wielkiej idei, ale w działalności swej mających przedewszystkiem na widoku cele realne.

Różnica ta pomiędzy Akcją katolicką a organizacjami społecznemi o charakterze katolickim określa stosunek Akcji katolickiej do tych organizacji. Mając odmienny cel i sposób działania, Akcja katolicka nie jest w stanie zastąpić tych organizacji, realizujących w mniejszym lub większym stopniu myśl katolicką w życiu społecznem i państwowem i będących nieodzownym czynnikiem równowagi w ogólnym układzie stosunków społecznych i politycznych.

Skoro zaś działalności tych organizacji Akcja katolicka zastąpić nie może, musi im pozostawić swobodę działania we własnym zakresie, traktując przytem te organizacje, jako pokrewne sobie ideowo, choć odrębne i przez fakt tego pokrewieństwa ideowego wymagające solidarnego z niemi współdziałania.

Stąd słuszne zasadniczo jest stanowisko, zajęte w liście do kard. Bertrama, że Akcja katolicka, nie zamykając członkom dostępu *do wszystkich dziedzin spraw publicznych*, zarówno sama korzysta z pożytków, jakie sobie zdobyły stowarzyszenia religijne i gospodarcze, jak również *popiera* te stowarzyszenia i *pomaga* im.

Ze stanowiska tego wynika obowiązek współpracy z organizacjami społecznemi o charakterze katolickim, obowiązek jaknajżyczliwszego ustosunkowania się do nich i pomagania im w ich działalności.

Natomiast nie podobna sobie wyobrazić dążenia Akcji katolickiej do ich likwidowania, do sadowienia się na ich miejsce i zastąpienia ich we właściwej im działalności. gdyż byłoby to sprzeczne z podstawowem zadaniem Akcji katolickiej, a mianowicie jej apostolstwem, co więcej byłoby to zupełnem zniekształceniem jej idei. mogącem przynieść niepowetowaną szkodę samej akcji, jak i organizacjom pokrewnym jej ideowo.

Dotyczy to zarówno istniejących u nas katolickich organizacji kulturalno-oświatowych, jak i chrześcijańskich zwią-

zków zawodowych. Każda z tych organizacji pełni swoją rolę w ogólnym układzie sił społecznych. Każda z nich jest potrzebna dla tych samych celów, dla których jest potrzebna i Akcja katolicka. Ale jednocześnie każda z nich spełnia swoje zadanie inaczej, odmiennie od organizacji innego gatunku i odmiennie od Akcji katolickiej. Stąd, jak powiedziałem, wynika niemożliwość zastąpienia jakiejkolwiek organizacji przez Akcję katolicką i rzeczywista, realna szkoda w wypadku, gdyby wskutek Akcji katolickiej działalność którejkolwiek z tych organizacji miała osłabnąć.

Osobnego omówienia wymaga stosunek Akcji katolickiej do stronnictw politycznych. Akcja katolicka w zasadzie odżegnywa się od polityki. Według słów listu do kard. Bertrama, Akcja katolicka winna się trzymać zdala od stronnictw politycznych, choćby one składały się z katolików. Wynika to również z zasadniczych celów i sposobu działania Akcji katolickiej. Dążąc do udoskonalenia wewnętrznego swych członków i pragnąc ich w ten sposób uczynić najlepszymi obywatelami państwa i najpożyteczniejszymi członkami społeczeństwa, Akcja katolicka nie może brać na swe barki zadań i celów stronnictw politycznych i łączyć się z nimi organizacyjnie, ani tembardziej narzucać swym członkom tych, lub innych przekonań politycznych. Mimo to jednak nie ulega żadnej wątpliwości, że działalność Akcji katolickiej będzie musiała w pewnych momentach i punktach stykać się z działalnością stronnictw politycznych, stojących na gruncie katolickim, mianowicie tam, gdzie będzie chodziło o obronę katolicyzmu, jego dogmatów i urządzeń społecznych, o religję katolicką opartych. Tam i Akcji katolickiej wypadnie nieraz walczyć o dobra, „które wchodzą w zakres państwowej organizacji społeczeństwa i nazywają się politycznemi”. A wtedy na zagrożonych placówkach Akcja katolicka i stronnictwa, szczerze na gruncie katolickim stojące, walczyć będą razem.

Stanisław Janczewski.

Duch „Akcji katolickiej“.

Każda akcja na szerszą zakreślona skalę wymaga bardzo wielu warunków do swego urzeczywistnienia. Obok szeroko i śmiało rzuconych planów, dostosowanych do głównego celu dzie-

ła, obok środków materjalnych, bez których dzisiaj najwznioślejsze idee nic zrobić nie mogą, obok ludzi ofiarnych, entuzjastów, a praktycznych, najważniejszym, decydującym o wartości i losach każdego dzieła jest jego duch.

Duch dzieła, jak wogóle każdy duch, jest to coś bardzo wewnętrznego, niezlokalizowanego nigdzie, a przenikającego wszystko; jest to coś, czego się nie widzi, a co się wyczuwa wszędzie i w pisanych statutach i w działających ludziach i w każdym akcie i posunięciu dzieła; coś wreszcie, co nadaje cały charakter wszystkiemu i po czem odróżni się odrazu każdy gest dzieła od takich samych zewnętrznie gestów dzieł innych.

Jest to atmosfera dzieła, barwa wewnętrzna, ton dominujący, sposób dotknięcia, ujmowanie każdego problemu i rozstrzyganie wszystkich zagadnień. Jest to, ostatecznie, ta siła i stopień jej napięcia, która porusza wszystkimi i wszystkiem w obrębie samej organizacji, jest jej motorem i źródłem wszelkiej energji.

Akcja katolicka w wieku XX-ym musi być przeniknięta naprzód prawdziwym duchem katolickim, by można ją było nazwać katolicką bez zastrzeżeń, a następnie winna być nawskroś nowoczesną w najlepszym tego słowa znaczeniu, by mogła być czemś decydującem w wieku XX-ym, t.j. była dostosowana do słusznych i rozumnych wymagań umysłowści swojej epoki, do jej zgodnych z duchem katolickim i współczesnym rozwojem cywilizacyjnym zapatrywań na rozumienie i stosowanie w życiu odwiecznych prawd i zasad.

Prawda jest jedną zawsze i zawsze niezmienną, lecz każda epoka bierze ją głębiej, lub bardziej powierzchownie i ze zmianą warunków życia społecznego i każdej jednostki, inaczej, to znaczy w innym stopniu i w inny sposób, wprowadza ją w to życie i reguluje wszystkie jego odcienie.

Ta sama prawda i zasada, np. o życiu wiecznem, inaczej była przedstawiana i stosowana w wieku surowego średniowiecza, inaczej w okresie renesansu, a jeszcze inaczej dzisiaj, gdy wybujały krytycyzm, przewrażliwienie estetyczne i indywidualizm prawie-że przechodzący w chorobliwą manję w inny sposób zupełnie reagują na treść i na formę tej rzeczywistości.

Co to znaczy duch katolicki dzieła?

Katolicki, to znaczy powszechny, to znaczy, ściślej biorąc, kościelny, w rozumieniu nie ciasnego ekskluzywizmu, wyłączności, uprzywilejowania kastowego, ale według Pawłowego: „Grekom i Żydom jestem powinny", dla wszystkich, najszersze obejmujący kręgi, z rozmachem, bo „z całej duszy". Katolicki—to znaczy dalej „Chrystusowy", a więc nie ściągający gromy na ludzi dobrej woli i inaczej myślących. O tych już Mistrz powiedział: „Nie wiecie, *czyjego ducha* jesteście!" Ale oparty na ideologji „dobrego pasterza" i niewiasty, szukającej drachmy zgubionej i ojca marnotrawnego syna i dobrze czyniącego przez całe życie Jezusa z Nazaretu. Chrystusowy — to znaczy „in re", ale subtelny „in modo", pełen godności, a zarazem wielkiej prostoty, serdecznej swobody i uśmiechu szczerego. To wreszcie pełen ofiarnej miłości, bo „po tem tylko uznany będzie za Chrystusowy, jeśli w nim miłość będzie wzajemna jednych ku drugim".

Jeżeli ma dać odczuć wszystkim swój autorytet — bo i Chrystus mówił „jako władzę mający"—to nie autorytet prawa i stanowiska, ale prawdy i czynu dobrego, bo to była moc z Chrystusa bijąca, która się władzą wydała tym, którzy Go słuchali,

Duch katolicki—to wszystko co głębokie, jędrne, rozumne, nadnaturalne, a zarazem jasne, proste, słoneczne, szczere i serdeczne, mocne i radosne, z niezłomnem przekonaniem, a jednocześnie z godną nieskończonego boskiego miłosierdzia wyrozumiałością.

To nie sekta wybranych, ale, wielka rodzina całego świata, nie wielcy i mali, patrycjusze i plebeje, ale bracia w Chrystusie. Duch katolicki — to spełnienie błagalnego śpiewu pierwszych chrześcijan: „Regnum Christi veniat! Amen. Deo gratias!" — „Przyjdź Królestwo Twoje" — Królestwo miłości i pokoju, pracy i wytrwania, zgody i jedności, równości i braterstwa, mądrości i prostoty i wszystkich błogosławieństw z Chrystusowego kazania na górze.

Duch nowoczesny—nie w znaczeniu dzisiejszego zdenerwowania, lekceważenia wszystkiego i wszystkich, „rozchełstania" duszy i zgiełkliwości ulicznej, ale uznanie godności każdej jednostki — bo to jest punkt wyjścia nowoczesnej filo-

zofji życia, zgodnej z Chrystusowem wyznaniem: „nie nazywam was sługami, ale przyjaciołmi moimi“ i z Pawłowem: „jesteście świątynią Ducha Świętego“ i z kościelnym poglądem na każdego człowieka, w którym jest obraz boży i charakter nigdy niezatarty synów bożych, gdy dusza obmytą zostanie wodą Chrztu Świętego.

Nowoczesny — a więc nie stosujący ogólnego szablonu i formułki, może nieraz czcigodnej, ale martwej, odpowiedniej do muzeum, ale nie do życia—lecz szanujący odrębność grup i jednostek, z tem, co jest ich słuszną właściwością; szeroki, jak najszerszy, obejmujący wszystko i wszystkich.

A jeśli nie szablonowy — to oparty na racji rozumu, nie racjonalistyczny, ale racjonalny, nie modernistyczny, ale „moderne”, najnowszy.

Nowoczesny—to znaczy dalej — pozbawiony tego balastu przeżytych już i nieaktualnych dodatków i oryginalności poprzednich epok, bardzo może pięknych na swe czasy, bardzo „pobożnych", ale dzisiaj czasami śmiesznych, niepoważnych, a nawet odpychających, słusznie, czy niesłusznie, przez wykwintnego człowieka XX wieku.

W poglądach nowoczesnych na różne przejawy życia, winien ten duch umieć odróżnić to, co jest blichtrem i krzykiem chorej duszy od rzetelnej prawdy, bo i tam ona jest w swych okruchach przynajmniej, a nie potępiać wszystkiego i bez wyjątku w czambuł, dlatego tylko, że ma na sobie markę swojego wieku.

Nie być inkwizytorem, lub staruszkiem, żyjącym i rozkochanym tylko w przeszłości, ale jędrnym, trzeźwym, a uczciwym i poważnym wychowawcą z wiecznie młodzieńczą i pełną życia duszą.

W przeciwnym razie każda akcja, choćby najszlachetniejsza, ale ubrana w togę surowego biczownika, lub kauzyperdy, biegającego wszędzie z miarą i wagą, by wszystko było „według kodeksu" — pociągnąć może, a nawet zachwyci na chwilę pobożne „grenouilles du benitier", ale dzisiejszego katolika, szczególnie mężczyzny, a tembardziej indyferenta, lub obcego wyznania tylko odepchnie i odrzuci raz na zawsze.

Nowe czasy — nowi ludzie — nowe metody — nowy duch, choć tą samą owiany wiarą i miłością.

Na nic się nie zdadzą szumne hasła, obchody, manifestacje, programy, zjazdy i biura, manifesty i wezwania do sumień, jeżeli w tem wszystkiem nie będzie ducha, który przemówi językiem zrozumiałym dla każdego i nie poruszy tego, co jest w nim żywe, tętniące i pragnące ujścia w żywiołowym czynie, który jest dzisiaj koniecznością dziejową.

Przeoczyć ten moment—to byłoby grzechem bardzo ciężkim w historji Królestwa Bożego na ziemi.

Ks. A. Bogdański.

Dobrodziejstwa Jubileuszu.

Na uroczystość 3-ch Króli—w święto tak ukochane przez Kościół Wschodni, a tak popularne w Kościele Łacińskim, — Ojciec święty, Pius XI obdarzył świat cały darem więcej niż królewskim, iście Boskim, ponieważ ma zlać obficie na dusze nasze bogactwa Miłosierdzia Bożego, — t. j. dał nam Jubileusz (Odpust) Nadzwyczajny na rok 1929.

Jubileusz ten nosi nazwę nadzwyczajnego: — zwykle bowiem jubileusz Roku Świętego jest tylko dla Rzymu, a dopiero w roku następnym ogłasza się go wiernym,—ten zaś jubileusz obecny jednocześnie pozyskać można w Rzymie i na całej kuli ziemskiej;—jubileusz Roku Świętego zawiesza wszelkie inne odpusty na to, aby zniewolić wiernych do korzystania z tak wielkiego doobrodziejstwa,—obecny jubileusz zachowuje wszystkie odpusty, a nawet dodaje nowe: (jak 7 lat i 7 kwadragien za każdorazowe Nawiedzenie Najśw. Sakramentu, — oraz odpust zupełny za powtórzenie tego przez tydzień cały).

Wszystkie wogóle odpusty mają tę wspólną cechę, że są nieprzebranem dobrodziejstwem dla życia duchowego, same bowiem ich ujęcie i zrozumienie budzi ducha wiary i dopomaga do postępu w świętości,—*„ad vitam sanctius instituendam"*, jak głosi dokument papieski.

Cel jubileuszu, to odnowienie życia duchowego w wiernych, w kapłanach,—w całem społeczeństwie; — warunki jubileuszu zmuszają do powtarzania i pomnażania najważniejszych aktów życia duchowego;—owoce zaś jubileuszu są najcenniejszemi dobrami życia duchowego.

. . . .

To jest główną podstawą programu, który w tej, lub innej formie ma rozwinąć w nas ideał ewangeliczny. Jest on równie wspaniały i potężny—jak łatwy w praktyce i pełen nadziei radosnej; ma on rozszerzyć wiarę i poddać obyczaje pod prawa przez Zbawiciela zakreślone.

„Ut laeta fidei incrementa in populo foveantur moresque ad evangelicam legem rite componantur". (Const. Pii P. XI, 6 januarii 1929).

Ale tym razem Pius XI zwraca się do duszpasterzy w sposób szczególny i bardziej naglący;—ponieważ On sam obchodzi teraz 50-tą rocznicę swego kapłańskiego wyświęcenia, nawołuje więc wszystkich obdarzonych tą samą godnością i władzą, do podniesienia swego życia do poziomu Sakramentu, który wyrył na ich duszach wieczysty charakter Chrystusa, — zachęca ich do dostosowania swego postępowania do tej godności; jednem słowem, — wzywa do codziennego postępu w świętości swego stanu:—*„religiosius in dies sanctiusque conforment."*

To odnowienie życia duchowego u osób poszczególnych i w całem społeczeństwie zakończy się dopiero błogosławionem królowaniem naszego Zbawiciela. Podczas gdy Pius X przyjął za godło to „Królestwo Chrystusowe" jako sposób odnowienia wszystkiego: *„instaurare omnia in Christo"*, — a Benedykt XV w czasie wielkiej wojny szukał przedewszystkiem — „Pokoju Chrystusowego",—Pius XI złączył oba motta, aby z nich swoje godło ułożyć: „Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem". Ten to jest cel najwyższy, ku któremu dąży Ojciec św.:—„pokój prawdziwy i pokój doskonały Zbawiciela: *„pacis Christi absolutam perfectamque in Regno Christi iustaurationem"*.

A więc w trojakim celu udzielony jest nam jubileusz:

1. *Dla rozszerzenia i rozkrzewienia Wiary sw.*, — co powinno wzmocnić w duszach pobożnych miłość Prawdy Objawionej, przedsmak nadprzyrodzoności nieodłączny od wiary,— i gorliwość apostolską, aby objawiać światu ten dar drogocenny i niewypowiedziany, którego Jezus Chrystus jest Sprawcą i Wykonawcą.

2. *Dla zreformowania obyczajów* tak, aby instytucje, zwyczaje, postępowanie, wreszcie życie codzienne były według przepisów Ewangelji.

3. *Specjalnie zaś dla uświątobliwienia duchowieństwa*, — aby kapłan, któremu Sakrament nadał charakter Chrystusa,— powiedzmy nawet Jego oblicze, rysy, Jego postać, — stał się i pozostał godnym świętych Tajemnic, których jest Dyspensatorem,— godnym Tego: „Świętego Świętych",— którego jest głosem i narzędziem.

Powtarzamy raz jeszcze: wszystko to jest streszczeniem i ideałem życia duchowego.

WARUNKI JUBILEUSZOWE

przynaglają nas do odnowienia i pomnażania głównych aktów życia duchowego, szczególnie tych, do których przywiązaną jest wartość *zadosyćuczynienia*, — *czyli*: *modlitwa, post i jałmużna.*

Zadośćuczynić Bogu za przewinienia nasze, — to wyrzec się tego, co jest naszą własnością, aby to oddać Panu. Trzy zaś są dobra powszechne, o które ludzkość dba najbardziej: Są to: *bogactwa zewnętrzne*, — a tu przystajemy na wyrzeczenie się ich przez *jałmużnę; zadowolenie ciała*,—a tu je uświęcamy przez *post;* wreszcie—*dobra duszy*, — a tych nie potrzebujemy się wyrzekać, tylko je Bogu poddać mamy przez *modlitwę.*

Z drugiej strony,—te 3 główne akty zabezpieczają nas na przyszłość, przygotowując nas do walki z 3-ma potęgami zła, czyli z trzema bardzo wielkiemi pożądliwościami, które panują nad światem; — jałmużna uczy nas ubóstwa, zwalcza *pożądliwość oczu* i przywiązanie do dóbr przemijających; — post, ten obrońca czystości, potrafi pokonać *pożądliwość ciała*, — a modlitwa, od której nieodłączną jest pokora i posłuszeństwo, zwalczy *pychę żywota.*

Do tych trzech spraw skierowane są wszystkie przepisy jubileuszowe .... o odwiedzaniu kościołów, o modlitwie na intencje Ojca św., o odbyciu spowiedzi i Komunji św. w tymże duchu; o poście dwudniowym w czasie dowolnym, o jałmużnie na cele misyjne.

Z dopełnienia tych warunków wypływają te same wskazówki, czyli jest to streszczenie całego życia duchowego, —

a więc wielki obowiązek ofiary i pokuty, oderwanie się od rzeczy ziemskich, uczęszczanie do Sakramentów św. — złączenie się z Bogiem przez modlitwę.

OWOCE JUBILEUSZU.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy szczególną łaskę, jaką Ojciec św. obdarza kapłanów aż do dnia 31 grudnia b. r.—czyli *osobisty przywilej*, na mocy którego mogą oni przez sprawowanie Mszy św. zastosować *codzień odpust zupełny* dla *jednej* duszy czyścowej.

Wszystkim zaś wiernym płci obojga, na całym świecie, udzielony jest odpust zupełny, czyli zgładzenie grzechów: *„plenissimam peccatorum omnium indulgentiam"*.

Odpust, nawet zupełny, odpuszcza *tylko karę* za grzechy popełnione, ale wobec obowiązującej spowiedzi i wymaganego stanu łaski, wskazuje również na *odpuszczenie wszystkich grzechów.*

W 1925 r. Ojciec święty jeszcze wyraźniej wytłómaczył tę cudowną ekonomję przy przepisach jubileuszowych. Oto jest ustęp główny, z którego asceci i teologowie wiele mogą skorzystać:

„Wszyscy ci, którzy z prawdziwą skruchą wypełnią zbawienne przepisy Stolicy Apostolskiej podczas wielkiego jubileuszu, wynagradzają całkowicie i otrzymują pełnię darów i zasług przez grzech utraconych; — uwolnieni z okrutnej niewoli szatańskiej, odzyskują *wolność, którą ich Chrystus* jako *wolnych obdarzył*, i, na mocy zasług przeobfitych Jezusa Chrystusa, Błogosławionej Maryi-Dziewicy i Wszystkich świętych, — zostają wyzwoleni ze wszystkich kar, któremi musieliby zapłacić za grzechy".

Owoce te, wspólne wszelkim jubileuszom powszechnym lub specjalnym, zawierają 4 punkty, które kolejno rozpatrzymy:

1. *Wskrzeszenie łaski i zasług przez grzech utraconych.* Sobór Trydencki twierdził to również, lecz jakby mimochodem, nie wchodząc w to bliżej: „Ludziom usprawiedliwionym,—bądź to, że łaskę zawsze zachowali,—bądź to, że utraconą łaskę odzyskali, trzeba przytoczyć słowa Apostoła: „Bóg nie jest niesprawiedliwym do takiego stopnia, aby zapomnieć dobre nasze uczynki." (Conc. Trid. sess. VI cap. 15.).

A więc według Soboru Trydenckiego—przywraca się łaska utracona, — a przecie nie byłaby całkiem odzyskaną, i nie ożyłaby w całem tego słowa znaczeniu, gdyby nie ożywiła jednocześnie tych zasług które były jej własnością i „te dzieła które Sędzia sprawiedliwy nie byłby zdolnym zapomnieć".— A więc musimy wierzyć w odżycie zasług, jak również łaski i darów".

Pomimo całej pewności tego twierdzenia, —brakło mu jeszcze wyraźnego orzeczenia nieomylnego Sędziego. Posiadamy je teraz,—i, chociaż Ojciec Święty nie wypowiada się całkowicie, ale tłómaczy tę doktrynę z taką stanowczością, że byłoby to wielką śmiałością z naszej strony, gdybyśmy się od niej uchylać lub o niej powątpiewać chcieli. Jest to określenie stanowcze, — a to wielką usługę oddało teologji.

W istocie Pan Bóg nie potrzebuje zwracać nam tego, cośmy dobrowolnie utracili, — podobało Mu się jednak przyjąć te nasze dzieła w tej wartości, jaką niegdyś miały. Niszczy On i zmazuje całkowicie grzechy nasze przez łaskę usprawiedliwiającą;—co do naszych dzieł zbożnych, nie są one zniweczone, — tylko ich skutki chwilowo zawieszone, a skoro przeszkoda usuniętą zostanie, wrócą one, jak woda, chwilowo przez zaporę zatrzymana, wartko płynie naprzód. Główną tego rację mamy streszczoną w tych kilku słowach św. Tomasza: *„Bóg przyjmie wszystkie dobre uczynki, tak jak były one niegdyś spełnione", „et semper Deus illa opera proul facta fuerant acceptabit".* (S. Thom. III p. q. 8 g., a 5).

Nie wchodząc w dyskusję teologiczną *co do stopnia*, w jakim ożyją nasze zasługi, dokumet papieski zapewnia nas, że o ile wszystkie przepisane warunki są wypełnione, wszystko może być odzyskanem w całości: *„ea integro reparant"*.

2. *Uwolnienie z niewoli szatana.*

Ponieważ Jubileusz zastosowuje do nas owoce Męki Chrystusowej, a więc tem samem znosi tę niewolę, którą Męka Pańska już w zasadzie zniweczyła. Chcemy tu powtórzyć ten piękny ustęp O. Monsabré:

„Chrystus rozproszył cienie śmierci, wśród których ludzkość spoczywała, przewrócił ołtarze, na których pod rozmaitemi nazwami i figurami szatan był czczony przez świat pogański; — zmusił do milczenia kłamliwe jego wyrocznie i uzbroił

odrodzonego człowieka przeciw jego pokusom i ponętom. Wprawdzie od najdawniejszych czasów, szatan założył swe królestwo wśród nieszczęsnych ludów Dalekiego Wschodu, ale jest również prawdą, że mógł on stać się Panem li-tylko przez nikczemne i potworne przyzwolenie tych, których zwyciężył". Dzięki łaskom, obiecanym przez Jubileusz, posiadamy lekarstwo i tarczę, aby pozostać niezwalczonymi wobec napaści Uzbrojonej Siły.

2. *Uwolnienie od wszystkich kar za grzechy nam należnych.* W początkach rozgrzeszenie dotyczyło specjalnie *umniejszenia* kary kanonicznej. Kościół św. czerpał z zadośćuczynienia Męczenników w połączeniu z zasługami Zbawiciela, na to, aby zapłacić Panu Bogu za karę, którą trzeba było wycierpieć według SS. Kanonów. Gdy zaś Kościół św. zezwolił na *odpust zupełny*, to chciał, aby to było *zapłatą całkowitą*, która stanowiłaby uregulowanie całego długu wobec sprawiedliwości Bożej, tak jak to nam tłómaczy Leon X, potępiając „tezy" Lutra i Kodeks Prawa kanonicznego.

Jubileusz jest odpustem zupełnem, amnestią powszechną, umorzeniem całości długu, nietylko z punktu widzenia prawnego, ale przed samym Bogiem, i to z całą serją przywilejów jak dla absolucji w kwestjach cenzury, lub w wypadkach podlegających zastrzeżeniom.

Jest więc rzeczą naglącą dla życia duchowego skorzystanie z tych dni świętych, prawdziwych dni zbawienia, aby usunąć wszelkie ku temu przeszkody, pamiętając zarazem, że amnestja nie będzie kompletną, jeżeli usposobienie nasze nie stanie na poziomie dobrodziejstwa Bożego.

4. *Z powodu zasług przeobfitych Zbawiciela, Błogosławionej Marji-Dziewicy i Świętych Pańskich.*

Zrozumienie Jubileuszu musi iść w parze z doktryną katolicką o Skarbcu Duchowym i Obcowaniu Świętych. Tak jak to nas poucza Klemens VI, Leon X i Pius VI,—Skarbiec to zbiór bogactw nadprzyrodzonych, sformowany z zasług Zbawcy naszego, Jego Dostojnej Matki i Świętych—od pierwszego do ostatniego z Wybranych.

Z drugiej strony: ponieważ Kościół św. jest Ciałem Mistycznem, którego członki żyją tem samem życiem co i Głowa Jego, Pan Jezus Chrystus,—zatem zrozumiemy łatwo, że mają

one wspólne sprawy, wspólne dobra i że pomagają sobie nawzajem. Ta pomoc duchowa może przysługiwać wszystkim członkom, byleby tylko była udzielana przez Tego, który stoi u steru tego organizmu, czyli przez Namiestnika Chrystusowego. Papież więc może rozdzielać te niebiańskie walory, ofiarować jako zapłatę za grzechy nasze przed Bogiem, — zapłatę *całkowitą* i dla *wszystkich tych*, którzy przyniosą usposobienie odpowiednie, — gdyż Skarb jest nieprzebrany, nieskończony!...

To też, łącząc się z radością naszego wspólnego Ojca, obchodząc rocznicę tę, która dla wszystkich wiernych jest świętem rodzinnem, świętem serca, możemy ziścić dla naszego osobistego życia to przepiękne Jego motto:

„*Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem*"!

Chrystus nad Jeruzalem płaczący.

O Jeruzalem! O Jeruzalem!
O zatwardziały, niewdzięczny grodzie!
Ty śpisz, spowity ciemnym nocy szalem,
W lubej pogrążon ciszy i pogodzie,
Otoczon cedrów gajami i palem!...
Ty śpisz, spokojny, cichy, Jeruzalem!...
Śpisz, i nie myślisz, jakie jutro czeka
Twe grzeszne córy i występne syny;
Boś nie poznało ty Boga-Człowieka,
Boś nie poznało dnia ani godziny!
I miast wdzięczności za dar łaski złoty,
Chcesz Zbawcy swemu wskazać krzyż Golgoty!
Jam zstąpił z niebios, i człowieka postać
Przybrałem, z jego ułomnością całą, —
By tylko ciebie z mocy zła wydostać,
I cnót wszelakich ozdobić cię chwałą,
By kosztem własnych i cierpień i zgonu
Prowadzić ciebie do Bożego Tronu!
Jam wziął na siebie i mękę Golgoty,
I wszystkie męki i cierpienia świata,
Wszystkie pragnienia ludzkie i tęsknoty...
I poddam bok mój krwawej włóczni kata,
I poddam głowę pod bolesne ciernie, —
Bom rzeszę ludzką ukochał niezmiernie...
Ja—Bóg i Człowiek—umieram dla ciebie,
By ci do niebios bram przywrócić prawo,

Sam ci się daję i w winie i w chlebie,
A ty—pogardzasz Mą ofiarą krwawą,
I gdy mnie płynie łza cierpienia z powiek,
Wołasz z szyderstwem: -- Patrzcie, oto Człowiek! —
Więc bądź przeklęty! Trwaj w swem zaślepieniu,
Aż cię twych wrogów otoczą tysiące,
Aż nie zostanie kamień na kamieniu
Z bezbożnych świątyń, lecz zgliszcza dymiące!
Lecz choć przeklinam,—serce drga mi żalem,
I dziś nad Tobą płaczę, Jeruzalem!...

Bronisław Wiszniewski.

DYSPUTY.

Pyt. Czy można być szczęśliwym—gdy się cierpi, mocnym — gdy sił zaczyna braknąć z wyczerpania i radosnym — gdy łzy do oczu się cisną?

Amicus ciągle pisze o „uśmiechu". Czy człowiek „z uśmiechem na ustach" nie jest dzisiaj sprzecznością i niemożliwością psychiczną?

Dlaczego ludzie są tak bardzo smutni?

Odp. Tak, są to pozorne sprzeczności i niemożliwości psychiczne, jeżeli przyjmiemy za zasadę, że w człowieku jest tylko jeden element i jedno życie—to zewnętrzne i ograniczone warunkami materjalnemi. Ale już starzy pogańscy filozofowie rzymscy mówili o dwóch istotach w człowieku, Ś-ty Paweł Apostoł wyraźnie to zaznaczył i każdy z nas czuje w sobie podwójnego człowieka, tego, który „do wyższych rzeczy jest stworzony" i tego, który pełza po ziemi i zabawia się, biedak, jak umie i może, żeby sobie jakoś to życie urozmaicić.

Nie jest więc zasadniczo niemożliwością taka dwuosobowość, podwójne życie i przeciwne nieraz sobie stany i uczucia.

A gdy się weźmie pod uwagę, że ci dwaj ludzie w człowieku, powiedzmy wyraźniej, według Ś-go Pawła: ziemski i niebieski, doczesny i nadnaturalny operują nieraz wprost odmiennemi zasadami i perspektywami i w odmienny sposób reagują na różne przejawy życia, jest to nietylko możliwością, ale nawet koniecznością psychiczną, że gdy jeden się cieszy to drugi nieraz płacze, albo odwrotnie.

Pytanie obecne bierze za punkt wyjścia człowieka „ziemskiego” i oczekuje wyjaśnienia tego faktu, jak to być może, że gdy człowiekowi jest strasznie ciężko w życiu, wszystko mu się nie wiedzie, każdy go prześladuje, gdy cierpi bardzo na każdym kroku, mimo najlepszą swą wolę i najlepszą służbę dla bliźnich, gdy już jest umęczony i wyczerpany do ostatka pracą i walką dla dobra innych, czy może jednocześnie czuć się szczęśliwym, czy może mieć radość i uśmiechać się, czy może się jeszcze zdobyć na wysiłek.

Odpowiedź na to pytanie jest krótka i bezapelacyjna: może—bo są tacy ludzie. Jest to faktem rzeczywistym, a fakt jest najlepszym dowodem. Jeżeli coś jest,—to znaczy, że jest możliwem, bo gdyby nie było możliwem, toby nie istniało nigdy, „Ab esse—ad posse valet argumentum”.

A jak się to dzieje?

Bardzo prosto i nieskomplikowanie, ale tylko wtedy, jeżeli w całej pełni żyje ten drugi człowiek, niebieski, nadprzyrodzony. Człowiek nadprzyrodzony, nadnaturalny, nie jest wcale przeciwieństwem człowieka naturalnego. Dlatego przezornie użyłem powyżej terminu: „ziemski i doczesny”, a nie „naturalny”.

Nadprzyrodzoność nie burzy nigdy, ani nie zapiera się i nie zaprzecza natury, ale ją suponuje i na niej się opiera.

Tylko tam jest prawdziwe i głębokie życie nadnaturalne, gdzie jest bogata i w pełni rozwinięta natura. Nadprzyrodzoność jest przedłużeniem natury, jest cudownym gmachem, zbudowanym na granitowym fundamencie natury.

Człowiek więc nadprzyrodzony, niebieski, nie jest jakąś karykaturą, zniekształceniem człowieka zwykłego, naturalnego, ani życie nadnaturalne nie jest jakąś drogą niezwykłą, wymagającą zawsze pewnej oryginalności, odosobnienia, wyrzeczeń i ucieczki od tego wszystkiego, co ziemskie i doczesne, a samo w sobie dobre.

Przeciwnie, jest tem normalnem, codziennem życiem każdego człowieka, na każdem stanowisku, odpowiednio do jej sytucji społecznej i w warunkach, odpowiadających tej sytuacji.

Tylko przejęte duchem nadprzyrodzonem, owiane tchnieniem nieskończoności, co nietylko, że nie hamuje życia natu

ralnego, ale przeciwnie, daje mu swobodę, równowagę i rozmach beztroski, a radosny.

I taki człowiek dopiero jest normalnym, bo jest pełnym i żyjącym w całej rzeczywistości, nietylko w jego części i to minimalnej.

Przyjmujemy tutaj za pewnik istnienie nieskończoności. Człowiek nadnaturalny żyje nią i dlatego nazywam go „normalnym", bo ustosunkowuje się do tych dwu koncentrycznie obok siebie istniejących rzeczywistości: czasu i wieczności i dopiero w świetle tej całości wszystko przedstawia mu się tak, jakiem jest naprawdę.

Człowiek doczesny operuje tylko jedną kategorją czasu i wszystko ocenia na tem tylko tle, czyli że mu brak do właściwej oceny całej nieskończoności. Małej bagatelki tylko! A to może zmienić zasadniczo nasz sąd na niekorzyść biednego doczesnego człowieka, który w ten sposób jest w nieprawdzie, albo w niecałkowitej prawdzie, a więc jest nienormalnym.

Przejdźmy wreszcie do samego tematu.

Dużo rzeczy człowieka tutaj na ziemi smuci, z wielu powodów człowiek cierpi i bardzo często opuszczają go siły fizyczne i duchowe. Tego nie potrzebujemy dowodzić.

Dlaczego jednak mimo to, niektórzy ludzie są szczęśliw- i cieszą się i radują i uśmiechają i zdobywają się na nowe sii ły, choć ich tam już nie było nic?

Składa się na to kilka przyczyn.

Naprzód ci ludzie mają swego Przyjaciela i to takiego, którego im może każdy pozazdrościć, bo lepszego nigdy nie znajdą: — Najlepszego Boga.

To jest pierwszy warunek. Bez tego ani rusz. Jak się jest niewolnikiem Boga i drży się przed Nim na każdym kroku — to już wszystko stracone. To największe nieszczęście w życiu, którego niczem się nie da naprawić.

Przeciwnie, kto z Bogiem żyje jak z przyjacielem, kto w Nim ma swego Powiernika, z którym jest po imieniu, któremu się z uśmiechem mówi „dzień dobry" i „dobranoc" i kłania Mu się przyjaźnie przed kościołem i mówi Mu się wszystko, ale absolutnie wszystko, co nas obchodzi, nietylko rzeczy „religijne", ale i najbardziej „cywilne", o sobie i o innych, o wszystkich swoich planach i sprawach, o tem nawet, że Mu

się niema nic do powiedzenia, albo, że wszystko w nas przeciwko Niemu się buntuje, o swoich bohaterstwach i wszystkich „grzeszkach", a zawsze prosto w oczy patrzeć, z dziecięcą prostotą i zaufaniem — a wtedy, choćby nas wszyscy ludzie opuścili i wszystką wiarę w ludzi wydarli, nie będzie się czuło samym, zawsze z tym Przyjacielem pójdzie się naprzód, choćby na wygnanie i.. zawsze z uśmiechem, choćby łzy z oczu leciały strumieniem.

Drugi warunek—to świadomość nieskończoności i zżycie się z nią. Ale tej nieskończoności jasnej, przejasnej i słonecznej z tym najlepszym Przyjacielem — Bogiem.

Choćby się miało wtedy sto lat życia w trudzie ciężkim i cierpieniu, nieskończoność, zawsze żywa i obecna w duszy wszystko pokryje, jak puklerzem, bo wszystko wobec niej będzie tylko momentem, jak błyskawica przelotnym, a ciągłem będzie tylko to słońce przejasne i radosne, świecące nieustannie na naszym horyzoncie i w nas samych.

Ludzie, którzy myślą tylko kategorją doczesności i widzą wszędzie jakiś kres i granice, nie zdają sobie sprawy, nie mają pojęcia, jakim to cudem piękności jest nieskończoność i wszystko na jej tle rozjaśnione. Męczą się i duszą, trzepoczą, jak ptaszki w klatce złotej, ale okratowanej ze wszystkich stron; brak im tchu i powietrza, brak słońca i swobody, są więźniami, skrępowanymi w lochach podziemnych.

A gdy się raz spojrzy prosto i śmiało w tę rzeczywistą przejasną nieskończoność, a gdy nasz wzrok zgubi się gdzieś tam hen, w zaświatach, gdy się wciągnie pełną piersią tego balsamicznego powietrza i czuje się, że wciągać je można bez końca, gdy się zatonie w słońcu--a, wtedy można znowu iść, choćby na wygnanie — i zawsze z uśmiechem i zawsze z nowemi siłami.

Trzecim warunkiem jest—umieć kochać i czynić dobrze, ale kochać wszystkich, choć w różnym stopniu i czynić dobrze wszystkim bez zastrzeżeń, i ile się da.

Umieć kochać, to też nie żadna sztuka, zwłaszcza, gdy się ma jeszcze kogo, kto nawzajem kocha również, ale nawet i wtedy, gdy się niema takiej, „bratniej duszy", iść do wszystkich, nawet najgorszych z całem sercem które nie wyklucza, a nawet żąda roztropności— z tą jedyną myślą, zresztą

zupełnie słuszną, bo to jest jedynym celem i racją współżycia społecznego—by czynić wszystkim dobrze według możności, choćby tylko uśmiechając się do nich (co jest największym dobrym uczynkiem!), z tego czyniąc sobie zadanie życia, choćby nas nie rozumieli choćby wyśmiali, jako „niepraktycznych idealistów i entuzjastów", choćby nawet nadużyli niejednokrotnie tego naszego idealizmu a wtedy znowu można iść choćby na wygnanie i zawsze z uśmiechem i radością, mimo łez w oczach i buntu w duszy. Bo najgłębszem źródłem radości dla człowieka na ziemi jest świadomość, że sie uczyniło dobrze jednemu z tych maluczkich.

A poza tem jeszcze trochę filozofji, o tem, że jutro, choćby ono miało być dopiero po tamtej stronie życia, będzie napewno lepiej i trochę wiary w to, że wszystko jest w ręku Boga, który jest najmędrszym—a więc najlepiej wie, co nam potrzeba, najlepszym — a więc najwięcej nas kocha, najlepiej nam życzy, więcej nas kocha, niż my sami siebie i chciałby nam nieba przychylić, a ponieważ jest wszchmocnym, więc zrobi to napewno.

I wtedy znowu, czyniąc wszystko, co w naszej jest mocy można iść choćby na wygnanie ze spokojem i radością w duszy.

Oto cała tajemnica i cały klucz do filozofji radości życia.

A że dzisiaj ludzie tak są bardzo smutni, to dlatego, że wiele na nich naraz spadło nieszczęść, a tej filozofji nie znają i boją się, albo nie umieją spokojnie spojrzyć przed siebie i ponad siebie.

Dlatego też, kto umie rzucić choć jeden promyczek radości i rozradować choćby na chwilę i choćby jedną najmniejszą duszę ludzką—ten jest największym dobroczyńcą ludzkości.

*

* *

Pyt.: Księga Jozue każe w sposób cudowny stanąć słońcu podczas gdy wiemy z astronomji, że słońce zawsze stoi, a jego ruch pozorny tłómaczy się tylko obrotem ziemi koło swojej osi.

Odp. Pismo Święte nie jest podręcznikiem naukowym, a w swych księgach historycznych, do których zalicza się księga Jozue, nie podaje nam teorji naukowych ex professo i nie żąda wiary w swą nieomylność, a tylko odtwarza wier-

nie poglądy, panujące w tej epoce i na tem polega cała ich wartość historyczna i prawda.

Jozue powiedział swoje słynne: „Sta, sol", „Stój słońce!", bo tak był przekonany, wraz ze wszystkimi ludźmi sobie współczesnymi i następnymi, aż do naszego Kopernika w wieku XV-tym, że ziemia jest centrum świata i stoi, a słońce dokoła niej „chodzi".

Dzisiejsza astronomja, na szczęście, może na tym punkcie poprawić nie Pismo Swięte, ale poglądy Jozuego i jego współczesnych.

* * *

Pyt. W czynnościach zwierząt objawia się rozum. Dlaczego więc nie przypisujemy im niematerjalnej duszy.

Odp. Trochę trzeba poprawić główną przesłankę. W czynnościach zwierząt nietyle przejawia się rozumu, ile genjalny nieraz instynkt i celowość wrodzona, albo zdumiewająca tresura. Zaobserwować możemy u zwierząt naprawdę genjalny wprost sposób wykonywania niektórych czynności, którychby człowiek nigdy nie dokonał, a przynajmniej nie tak zręcznie, dokładnie i subtelnie. Weźmy choćby budownictwo zwierząt i ptaków tak planowo i po mistrzowsku wykonane, bez znajomości wyższej matematyki, a jednak z jej wybitnem zastosowaniem. Albo ich znajomość anatomji innych zwierząt, które im są potrzebne do odżywiania. Zadziwiają nas „mądre" psy, konie liczące i t.p.

Wszystko to jest zachwycające i podziwu godne, ale... bezmyślne. Bo wszystko to jest wykonywane szablonowo i jakby pod naciskiem jakiejś ślepej konieczności, bez uznawania np. zmiany warunków, co właśnie byłoby dowodem rozumu.

Ta sama pszczoła, która tak genjalnie zbudowała komórki woskowe z najściślejszem wyliczeniem rozmiarów, rozwartości kątów i t. p. gdy przyjdzie czas składania do komórki miodu i przedziurawimy jej dno komórki, nie zalepi otworu, ale będzie bezmyślnie składała miód, który zawsze przecieknie. Rozumna istota takby nie postąpiła nigdy.

Tresowanych koni i psów przewyższają jeszcze dzisiejsze automaty, a nikt im przecież nie przypisze duszy niematerjalnej. Zresztą gdyby te zwierzęta miały rozum, toby on musiał się przejawiać w każdej dziedzinie ich życia, a nietylko w tych wyćwiczonych okolicznościach.

* * *

Pyt. Pan Bóg jest nadto wielki, by się chciał troszczyć o to, jak się człowiek zachowa wobec Niego. On sam w sobie posiada najwyższe szczęście. Zupełnie zatem nie dba o cześć z naszej strony.

Odp. Zupełna racja. Pan Bóg nie potrzebuje do własnego szczęścia absolutnie żadnego z naszej strony znaku czci. Sam sobie, mówiąc teologicznie i filozoficznie, najzupełniej wystarcza, bo jest w istocie swojej pełnią bytu i najwyższem i nieskończonem Dobrem, a więc ma pełnię szczęścia, która już nie potrzebuje żadnego dodatku, ani której nic i nikt nie jest w stanie umniejszyć.

Ale objektywnie rzecz biorąc, Bogu, jako najwyższej i pierwszej Przyczynie wszechrzeczy, należy się od każdego istniejącego bytu najwyższa cześć, nietylko wewnętrzna, ale i zewnętrzna, bo byty te nietylko są duchami, ale i materją, nietylko cześć jednostkowa, indywidualna, ale i zbiorowa, publiczna, bo podobnie, jak każda jednostka tak i zespół podobnych sobie i wszystkich razem bytów, ma swój początek i koniec w Bogu, a więc Bóg jest ich Panem najwyższym, w najbardziej dodatniem tego słowa znaczeniu.

Tego domaga się rozum, a Bóg jako Mądrość najwyższa nie może tego zlekceważyć, ale w swej logice musi tego żądać, tylko nie dla własnej próżności, ani dla swego szczęścia, ale dla porządku i konsekwencji rozumnej, jak również poprostu w celach wychowawczych.

Z drugiej strony sam człowiek rozumny doskonale zdaje sobie sprawę ze swego stosunku do Boga i nie moze nic wyciągnąć z tych ostatecznych konsekwencji. Tak, że, nawet, choćby Bóg tego nie żądał, sam człowiek musiałby uznać konieczność oddawania Mu czci na wszelki sposób.

To była podstawa przykazań boskich w tej materji i wszystkich przykazań i przepisów kościelnych, czy odpowiednich władz w innych grupach religijnych, które normują w bliższy, konkretny sposób szczegóły tego prawa naturalnego i nakazu rozumu i serca.

* * *

Pyt. Czy Kościół Katolicki zabrania czytania Biblji?

Odp. Nigdy w świecie. Tylko, ponieważ Biblja jest w wielu miejscach bardzo trudna do zrozumienia, szczególnie w swych księgach prorokich, lub opisujących czasy starożytne, gdy panowały zwyczaje i poglądy dla naszej epoki zupełnie niezrozumiałe i nieraz conajmniej dziwne; ponieważ następnie dawne tłómaczenie polskie X. wujka, jest często w swej starej polszczyźnie niezrozumiałe, a tłómaczenia nowożytnych, żywych języków niezawsze oddają wiernie znaczenie tekstów w językach martwych, któremi była pisana Biblja—dlatego też Kościół nie pozwala czytać tekstów Biblji, których brzmienie w językach nowożytnych nie zostało zaaprobowane przez władze kościelne, i które nie mają obok siebie podanego objaśnienia uczonych biblistów.

By zgłębić brzmienie i znaczenie poszczególnych ksiąg i tekstów Pisma Świętego, należy odbyć głębokie studja historyczne, archeologiczne, lingwistyczne i teologiczne. Na to ogół społeczeństwa nie zdobędzie się nigdy, a bez tego przygotowania może sobie niejedną rzecz fałszywie wytłumaczyć. Dlatego tyle ostrożności Kościół zaprowadza, by to, co jest źródłem najwyższej Prawdy, nie stało się okazją do zgorszenia i do przewrotnych nauk.

Ale Kościół zawsze poleca czytanie tych kart mądrości, szczególnie tak jasnych, budujących i pełnych prawdy życia, jakiemi są cztery Ewangelje.

* * *

Pyt. Czy Biblja jest słowem Bożem, czy dziełem ludzkiem?

Odp. I tem i tem. W ten sposób, że Pan Bóg dawał natchnienie pisarzom świętym do napisania i to do napisania takich lub innych rzeczy. I dlatego Pismo Święte, którego pierwszym co do treści autorem jest Pan Bóg, jest nieomylne. Sposób jednak przedstawiania tych rzeczy pozostał w zależności od ludzi piszących. Każdy według swych indywidualnych zdolności, przygotowania literackiego i wykształcenia oddawał tę treść przez Boga natchnioną.

Dlatego też Biblję możemy nazwać pod tym względem dziełem ludzkiem i dlatego tyle w niej jest odrębnych cech

zewnętrznych stylu i sposobów ujmowania rzeczy, ilu autorów było poszczególnych ksiąg.

Bóg jest autorem i stróżem treści,—ludzie twórcami formy.

* * *

Pyt. Jaki sens ma cześć świętych i relikwji.

Odp. Kościół uznaje za świętych tylko takich ludzi, którzy swem życiem dowiedli heroiczności cnót w warunkach, których wymagała ich sytuacja społeczna. Byli to więc ludzie prawdziwie wielcy, nie tyle swem stanowiskiem — bo mamy wśród nich i kmiotków i żebraków — ale wielkością swego charakteru, który urobili własną nad sobą pracą przy pomocy łaski Bożej.

Są więc dla nas wzorami i niejako wodzami duchowymi i mistrzami życia.

Poza tem będąc teraz w chwale niebieskiej, w bezpośredniej styczności z Bogiem, mogą nam swojem wstawiennictwem wyjednać wiele rzeczy, o które prosimy w modlitwie.

Podobnie więc, jak czcimy swych bohaterów narodowych, swych wielkich ministrów i wodzów, wreszcie naszych opiekunów i dobrodziejów—na tej samej podstawie czcimy i świętych.

Podobnie również, jak otaczamy czcią portrety i wszystkie pamiątki po wielkich ludziach, lub drogich nam osobach i budujemy nieraz dla nich specjalne muzea — tak również oddajemy cześć obrazom i relikwjom świętych, czcząc w nich samych świętych, a pośrednio Boga, którego byli w ludzkiej możności doskonałem dobiciem.

Amicus.

T R I O L E T Y.

1.

Siej miłości złote zboże
tam, gdzie kąkol nienawiści,
ktora wiedzie na bezdroże,
depcząc dobrych uczuć złoże.
Tylko czyste serce zmoże
zło—i ziarno z plew oczyści.
Pleń miłości złote zboże
tam, gdzie kąkol nienawiści.

2.

W krytycznej chwili rób co można,
czyń to, co do ciebie należy.
Lecz działaj mądrze i zostrożna
i rób, co w danej chwili można,—
byleby praca była zbożna.
a my w niej uczciwi i szczerzy
W najgorszej chwili rób co można,
czyń to, co do ciebie należy.

3.

Albo innych ucz rozumu,
albo razem z nimi cierp.
Oświeć choć jednostki z tłumu,
niszcząc kąkol nierozumu,—
lub wśród pustych kłosów szumu
czekaj, aż was zetnie sierp.
Słowem, innych ucz rozumu,
albo razem z nimi cierp.—

4.

Nic bez bólu się nie rodzi,
nikt bez cierpień nie umiera.
Ani w nas, ani w narodzie
nic bez męki się nie rodzi.
Z płaczem człek na świat przychodzi,
z jękiem w zaświat się wybiera.
Nic bez bólu się nie rodzi,
nikt bez cierpień nie umiera.

5.

Z samych wątpliwości
nie stworzysz wierzenia.
Korni, sercem prości
są bez wątpliwości.
Z tysiąca sprzeczności
nie sklecisz twierdzenia.
Z samych wątpliwości
nie stworzysz wierzenia.

6.

Wieczność można wysnuć z chwili,
a świat odbić w kropli wody.
Dusza się jak pąk rozchyli
w jakiejś krótkiej wzniosłej chwili,
gdy ją wielka treść zasili,
jak blask kroplę w czas pogody.
Wieczność można wysnuć z chwili,
a świat odbić w kropli wody.

Jan Tarwid.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Na 10-lecie śmierci ś.p. ks. Leona Kulwiecia.

Dn. 21-go maja r. b. upłynęło 10-lecie od czasu śmierci ś. p. ks. Leona Kulwiecia. Poniżej przytaczamy w obszernych wyjątkach artykuł, charakteryzujący zasługi i działalność zmarłego, pióra jednego z Jego przyjaciół, Dyr. B. Załuskiego, który ukazał się w r. 1919 w tygodniku „Sprawa".

Ś. p. X. Leon Kulwieć, syn powstańca-sybiraka z 1863 r., urodził się w r. 1879 w Jagielniszkach, ziemi Suwalskiej, w zacisznym dworku litewskim, z zacnych i bogobojnych rodziców, Wincentego i Leonji z Pawłowskich. Od lat młodocianych okazywał poważnie myślący umysł, wrażliwe na potrzeby bliźnich serce i wielkie ukochanie Sprawy Bożej, nacechowane gorącą a głęboką pobożnością i prostotą. To też po ukończeniu gimnazjum w Suwałkach, wstępuje w roku 1897 do seminarjum duchownego w Kownie, gdzie dla zalet charakteru i umysłu zwraca uwagę przełożonych i zostaje wysłany w r. 1901 na wyższe studja do akademji Duchownej w Petersburgu.

Po ukończeniu Akademji ze stopniem magistra św. Teologji, otrzymuje święcenia kapłańskie w Petersburgu w roku 1904 z rąk ówczesnego metropolity mohylewskiego X. Szembeka, i pierwsze dwa lata pracuje jako wikarjusz na Żmudzi. Ponieważ jednak okazywał zawsze szczególne zamiłowanie do pracy nauczycielskiej i wychowawczej wśród młodzieży, więc mianowano go w r. 1907 prefektem gimnazjum i szkoły realnej w Libawie.

Była to pierwsza placówka X. Kulwiecia wśród młodzieży, objęta w czasach wyjątkowo trudnych, porewolucyjnych, pełnych powszechnego fermentu oraz anarchji pojęć społecznych i moralnych. Trudności te zwiększała jeszcze różnorodność narodowościowa młodzieży katolickiej w Libawie, na którą składali się Polacy, Litwini i Łotysze. To też początkowo młodzież dopuszczała się na lekcjach różnych nietaktów i urządzała nawet demonstracje, manifestując wrogie stanowisko wobec Kościoła i religji. Miłość i spokój, jakie X. Kulwieć posiadał, wskazały mu drogę jak najdalej idącej wyrozumiałości i zupełnego poświęcenia, gdyż znajdował, że młodzież ta bardziej zasługuje na współczucie i przyjacielskie traktowanie, niż na potępienie.

Prześladowania rosyjskich władz szkolnych, ich system szpiegowsko-policyjny, skierowany przeciw przejawom najszlachetniejszych uczuć narodowych i pracy ideowej, budziły w młodzieży rozgoryczenie, podejrzliwość i nienawiść do wszelkiej zwierzchności, pchały ją w objęcia tych, co z tym systemem walczyli, co prowadzili robotę podziemną przeciw rządowi, a więc do socjalistów i rewolucjonistów. W parze z tem szła niewiara, tem łatwiej, że zdawna młodzież libawska była pod względem religijnym zaniedbana.

X Kulwieć, szanując każde szlachetne przedsięwzięcie młodzieży, wczuwając się w jej troski, aspiracje, dopomagając w jej zamierzeniach i współdziałając nawet w pracy ukrytej przed nienawistnemi władzami rosyjskiemi, zyskiwał stopniowo zaufanie, szacunek i miłość.

We wszelkiej pracy X. Kulwiecia przebijała zawsze drobiazgowa planowość, ład, systematyczność i konsekwencja w działaniu. Od przedsięwzięcia raz spokojnie i dobrze obmyślonego nigdy nie odstępował mimo największych trudności,

i nie dał się też łatwo pozyskać do nowych, choćby najponętniejszych, projektów, o ileby pierwszemu stały na przeszkodzie i dopóki go jeszcze nie przeprowadził.

To była najwybitniejsza i najcharakterystyczniejsza cecha w działaniu X. Kulwiecia. Ona sprzyjała temu, że każde jego przedsięwzięcie, niejednokrotnie drobne, niepozorne, wydawało trwałe, a w skutkach doniosłe owoce.

W Libawie skupiał młodzież najpierw pod hasłami narodowemi, rozwijał w niej uczucie miłości ku Ojczyźnie, potem wysunął ideały etyczne, a kiedy młodzież poznała i ukochała wzniosłość cnót—czystości, prawdy, dobra i piękna moralnego, kiedy odczuła wprost entuzjazm i gotowość apostolskiego działania, zespolił hasła patrjotyczne i ideały etyczne z głębszem życiem religijnem i pracował już stale pod sztandarem filareckim. Sztandar ten dobrze jest znany tym, co brali udział w życiu zbiorowem młodzieży polskiej na Litwie — w Wilnie, w Kownie, w Dynaburgu i Libawie, tym, którzy potem, będąc na studjach wyższych w Petersburgu, szczególnie skupili się w „Odrodzeniu", znany im też dobrze osobiście lub ze słyszenia X. Kulwieć.

Ale i młodzież z Królestwa poznała X. Kulwiecia, zanim jeszcze przybył na stałe do Warszawy. Maturzyści szkół polskich udawali się bowiem do Libawy, by tam zdobywać maturę rządową. X. Kulwieć służył im wtedy najtroskliwszą opieką, poparciem, gościnnością, a przedewszystkiem sercem tak przyjacielskiem, tak pełnem pociągającej prostoty, że tych przygodnych znajomych często zyskiwał na zawsze i wywierał wpływ na kierunek całego ich życia. Dla niektórych z nich minął lat dziesiątek, przeplatanych studjami zagranicą, służbą wojskową w różnych szeregach i tułaczką po frontach, troskami rodzinnemi, a przecież węzły zadzierzgnięte z X. Prefektem nie osłabły, lecz stały się silniejszemi. Studenci, nauczyciele, młodzi lekarze, oficerowie legjonowi, jako dawni jego uczniowie, korzystali ze sposobności, by go po długiem niewidzeniu nietylko odwiedzić, ale by uczynić zadość potrzebie serca, zwierzyć się po przyjacielsku z zamiarów, trosk, opowiedzieć o swych pracach, doznać rady, pociechy. Przy tej sposobności radzi też otwierali serce w sakramencie pokuty, oczyszczając z ułomności i upadków swe dusze, by po-

krzepieni słowem przebaczenia i pociechy iść dalej drogą obowiązku i sumienia. I kto wie, czy właśnie ta moc sakramentu, administrowanego z tak głęboką miłością i świętobliwością, nie wywierała tego doniosłego wpływu, z przyczyn którego sama młodzież nie umiała sobie zdać sprawy?

Wytężona praca w Libawie nadwątliła zdrowie X. Kulwiecia, wskutek czego wyjechał w r. 1910 na kurację do Szwajcarji.

W tym czasie we Fryburgu odradzał się prześladowany po r. 1863 i wygasający zakon XX. Marjanów. X. Kulwieć, usilnie dbający zawsze o własne uświęcenie, wstępuje tam w r. 1911 w szeregi pierwszych nowicjuszów odradzajacego się Zgromadzenia i spędza rok czasu w nowicjacie, uczęszczając jednocześnie na uniwersytet dla pogłębienia swej wiedzy, zwłaszcza w zakresie psychologji i pedagogiki.

Po złożeniu ślubów zakonnych w r. 1912 wraca z Fryburga do kraju i na stałe pozostaje w Warszawie. Początkowo zamieszkał jako kapelan przytułku dla starców na ul. Młynarskiej, a jednocześnie pracował jako prefekt gimnazjum Rychłowskiego. W czasie zaś wojny od r. 1915 został rektorem kościoła Dzieciątka Jezus na ulicy Moniuszki oraz prefektem i wychowawcą w gimnazjum im. Zamoyskiego.

Zaraz po przybyciu do Warszawy X. Kulwieć starał się zbliżyć do młodzieży, pracującej już w kierunku odrodzeniowym, na fundamencie zasad Chrystusowych, a więc grupującej się przy miesięczniku „Prąd".

X. Kulwieć miał dla tej pracy głębokie uznanie, a dla jej kierowników i uczestników serdeczną przyjaźń. Praca „prądowa" była bardzo znamienną w tym czasie, kształciła ludzi po katolicku ,głęboko uświadomionych, znających zasady wiary i ich konsekwencje w życiu społecznem i obyczajowem, nadto znających doskonale współczesne prądy religijno-filozoficzne, nurtujące na Zachodzie. Środowisko to wyrabiało ludzi wysoko moralnie wyrobionych, katolików praktykujących, noszących jednakże piętno wybitnie religijno-intelektualne. X. Kulwieć cenił to, ale widział, że można iść już dalej ku bliższemu obcowaniu z Bogiem. Zbierał tedy u siebie na Młynarskiej najbardziej wyrobioną duchowo młodzież na konferencyjki religijne, przez które zbliżał uczestników do głęb-

szego poznania mistycznego życia Chrystusa, wznosił ich serca do głębszej czci i miłości, obudzał pragnienie częstego przyjmowania Chrystusa Pana w Komunji Świętej.

Wpływ X. Kulwiecia był głęboki, silny, choć nie oparty na żadnym z tych darów, co u świata są w cenie, co pociągają tłumy. Nie posiadał bowiem ani porywającej wymowy, ani powabnej, swobodnej wesołości, ani pociągającej wylanej serdeczności. A jednak wywarł wpływ tak nieprzemijający, że niejeden zda się złotousty mówca, nawet o głębszym umyśle, zapewne mu nie dorówna.

Cóż więc jednało serca młodzieży, czem zyskiwał jej zaufanie? Głęboką miłością, prostotą w obejściu, wielką mocą ducha, połączoną ze świętobliwością życia. Wpływ jego był stały, przenikał do młodych serc cicho, niepostrzeżenie, by w nich budować przybytki cnót z miłości ku Bogu.

Młodzież żywiła dla X. Kulwiecia głęboki szacunek, cześć nawet, oparte nie na przemijających poruszeniach serca, ale na spokojnem przekonaniu o jego prawości i świętobliwości, gdyż widziała harmonję życia i głoszonych prawd, a nie spostrzegła nigdy rozdźwięku między jego czynami i nauką. Miłość bliźnich a szczególnie młodzieży przejawiała się u X. Kulwiecia w czynach zawsze i wszędzie, bez względu na usposobienie, na stan zdrowia, niezależnie od jakichkolwiek sympatyj, bez względu na trudy, niebezpieczeństwa lub wyraźną niewdzięczność.

Pracowitość była także znamienną jego cechą. Wstawał zwykle o godz. 5 rano, po odprawionej medytacji i Mszy św. spędzał czas od godz. 8 do godz. 2 lub 3 w gimnazjum, a resztę dnia poświęcał spowiedziom, konferencjom, zebraniom, wizytacjom różnych burs, kółek młodzieży, przyjmowaniu i odwiedzaniu swoich uczniów.

Młodzież gromadził u siebie nietylko na liczniejsze tygodniowe zebrania Sodalicji Uczniowskiej i Akademickiej, ale prócz tego poświęcał stale godzinną konferencję w tygodniu tym, co pragnęli poznać drogę powołania swego.

Niemal codziennie odwiedzali go obecni lub dawni uczniowie, szukając rady, pociechy, pomocy, zachęty. I znajdowali je. X. Kulwieć każdego ze swoich uczniów choć raz w roku musiał odwiedzić we własnem mieszkaniu.

W wypadkach choroby odwiedzał ich w domu, w szpitalach; w czasie grasujących epidemji, zwłaszcza tyfusu, pomimo największego zajęcia, często sam chory, spieszył do swej ukochanej młodzieży z pociechą, modlitwą i opieką troskliwą. Chorym posyłał lekarzy, lekarstwa, zasiłki na odżywianie, wyjednywał wypoczynek na wsi, dla niezamożnych troszczył się o odzienie, o dach nad głową, o zapłacenie wpisu. I najczęściej czynił to z niezwykłą delikatnością, przez osoby trzecie, tak, że domyślano się tylko, że on był tym opiekuńczym aniołem.

To też wyznawano mu swoje zamiary, skłonności, afekty i słabości we wszelkich wypadkach — nietylko, gdy Bóg do służby kapłańskiej wołał, lecz i wtedy, gdy serce ziemska wybranka posiąść miała. X. prefekt dawał błogosławieństwo na dalszą drogę życia do wybranych zawodów, błogosławił przy wdziewaniu sukni kapłańskiej, błogosławił związki małżeńskie, udzielał ostatnich Sakramentów św. na drogę wieczności.

I nie narzekał nigdy X. Kulwieć na młodzież, nie mówił o trudnych czasach, unicestwiających dobre poczynania. Przeciwnie, gdy w r. 1915 objąwszy kierownictwo i opiekę letniska dla młodzieży w Otwocku, widział szlachetny entuzjazm serc młodych, pałających pragnieniem poświęcenia dla Ojczyzny, by wolność jej przywrócić, pisał w swoich notatkach ze znamiennym zapałem o tej piękności i szlachetności dusz polskiej młodzieży, które go pobudzają, by utrwalić, by rozwinąć te skarby dla społeczeństwa i Boga przez zbliżenie młodzieży do Chrystusa i Marji—wtedy to, wyraźnie zaznacza, postanowił założyć Sodalicję Marjańską.

Już potrzech latach istnienia Sodalicji Uczniowskiej, a dwa niespełna Akademickiej i to w czasach tak nienormalnych.— z owoców można było poznać pracę X. Kulwiecia. Wprawdzie szemu ogółowi nie mogła być wówczas jeszcze znana praca tych kilkunastu dziesiątków uczniów i paru dziesiątków studentów, co przedewszystkiem do urobienia własnego zmierzają. Ale w tych, co ich poznali, budzili uznanie, szacunek i radość.

Ci, co wyraźnie przyznają się do wpływów X. Kulwiecia i z wdzięcznością go wspominaja, siedzą nietylko na ławach szkolnych i uniwersyteckich, ale widzieć ich można wyróżnionych w szeregach walczących wojsk polskich, niektórzy po-

legli nawet już zaszczytnie w boju, innych ze zdobytemi już stopniami naukowemi widzimy na stanowiskach społecznych, paru kroczy drogą naukową. — A do chwili ostatniej byli ze swym prefektem w kontakcie. — Już po śmierci nadszedł spóźniony list pełen serdeczności od b. ucznia, lekarza-legjonisty, do „Kochanego X. Leona", inny z frontu lwowskiego nadesłał wieniec na trumnę ukochanego prefekta, uwiadomiony o śmierci przez swoich rodziców. — „Ryngraf" który obudził taką cześć dla Wychowawcy jego autorów, wyznaje na ostatnich stronicach, kim był ś. p. X. Moderator dla Sodalicji.

Kim był wogóle dla młodzieży? Młodzież o tem świadczy! Jeden ze studentów, nawet nie uczeń X. Kulwiecia, ale korzystający z nauk jego i duchowego kierownictwa, pisał do mnie z b. zaboru pruskiego: „Wiadomość o śmierci X. Kulwiecia głęboko mnie dotknęła, taka to była idealna postać kapłana-obywatela! Działał cicho, spokojnie w murach swego kościoła, prócz młodzieży, nikomu prawie nieznany, a jednak Bóg jeden wie, czem on był dla nas!

Plon, który za łaską Bożą wyda ziarno ewangeliczne, ręką jego w serce młodych rzucone, najlepiej zaświadczy o zasłudze. Naturalnie, że pracy przezeń rozpoczętej porzucać nam nie wolno i nie porzucimy! Ale jak smutno pomyśleć,że jego inicjatywy nie stało!—Niewiele mówił, zachęcał niewiele; a jednak było w nim coś, co nas pod jego sztandar ściągało, wskazywało drogę obowiązku i prawdy. — Niech mu tam Bog wysokie miejsce wyznaczy!"

Nietylko ku czci ś.p. X. Leona te słowa świeżych wspomnień rzucam, bo on prócz chwały Bożej i szczęścia bliźnich, zwłaszcza młodzieży, niczego więcej nie pragnął. Lecz, by zwrócić uwagę tych, co tę pracę uznają, a nawet jej owoce podziwiają, by przyszli z pomocą, aby placówkę po ś.p. X. Kulwieciu utrzymać i rozwinąć. Uświadomieni katolicy świeccy, pracujący zwłaszcza na polu wychowawczem, niechaj się zbliżą do młodzieży sodalicyjnej, niech jej dopomogą przez udział w kołach samokształceniowych, w odczytach, w dyskusjach, niech zachęcają otaczającą ich młodzież do poznania sodalicji, niech wskazują drogę pracy naukowej w swoich specjalnościach tym sodalisom, którzy okazują pokrewne zamiłowania.

Miejscem, ogniskującem pracę X. Kulwiecia, był kościołek Dzieciątka Jezus na ulicy Moniuszki. On go dopiero ożywił i uczynił najmilszem ustroniem dla dusz młodzieży. Przejęty czcią i miłością ku Bogu i Kościołowi, dbał, by wszelkie nabożeństwa odbywały się z największą okazałością, zwłaszcza podczas większych uroczystości kościelnych, narodowych i poświęconych dla młodzieży. Kościołek był wtedy zdobiony z największą starannością w kwiaty, rzęsiście oświetlony, najpiękniejsze aparaty kościelne widniały na ołtarzu i przyodziewały kapłana, a o ile mógł urządzał wtedy nabożeństwa z asystą kleru, lub zapraszał do celebry wyższych dostojników Kościoła. Młodzież zaś brała w tych przygotowaniach i w samem nabożeństwie żywy, czynny i radosny udział. Ubierała ołtarze, stroiła kościołek, gotowała żłobek i grób Chrystusa Pana, usługiwała do Mszy św., brała udział w procesjach, wykonywała śpiewy chóralne, akompanjowała na skrzypcach. Znane były wszystkim miesięczne adoracje Najświętszego Sakramentu, zaprowadzone dla ogółu młodzieży męskiej, na których zaproszeni kapłani lub sam X. Kulwieć miewali odpowiednie konferencje.

I młodzież to wszystko podnosiło, uszlachetniało, czyniło wierną, wytrwałą, odważną w przekonaniach, dawało jej radosną łatwość w manifestowaniu swoich uczuć wśród kolegów i obcych, a nacechowane to było prostotą i szczerością niemal dziecięcą u młodzieży całkiem dojrzałej.—Jakież to było rzewne i wzruszające, gdy w kościołku Dzieciątka Jezus J. E. X. biskup Szelążek umywał nogi dwunastu najstarszym sodalisom w roli apostołów, w wielki czwartek r. b. Można być pewnym, że wniknęli oni wtedy w całą głębię tej boskiej tajemnicy miłości i pokory Chrystusowej. A przecież nawet wysoce uświadomiona młodzież katolicka, praktykująca, czysta moralnie, publicznie stająca w obronie Kościoła, przed laty 10—15 czułaby się w komży lub np. przy ceremonji umywania nóg niemal jak pod pręgierzem. Toż ja sam tak czułem, i dopiero w kilka lat po ukończeniu studjów zrozumiałem i odczułem to, co dano tej młodzieży zrozumieć.—I zazdrościłem jej!

Zaprawdę, X. Kulwieć nie był formalistą lub tylko pietystą, gdy tak zbliżał młodzież do Kościoła, do ołtarza, do ceremonij kościelnych, ale działał jako głęboki psycholog - wychowawca.

Na parę miesięcy przed śmiercią zapragnął tę pracę rozwinąć, by promieniami nauki Chrystusowej i pięknością kultu najdalsze i najzimniejsze serca młodzieży zapalić, pociągnąć. Dlatego starał się by Warszawa mogła posiąść Kościół wyłącznie dla młodzieży.

Gdyby nabożeństwa, nauki, spowiedzie, rekolekcje, święcenie uroczystości kościelnych, narodowych, szkolnych, korporacyjnych, a nawet osobistych, odbywały się w kościele własnym młodzieży, możnaby uczynić wszystko, aby młodzież skupić, aby ją podnosić, wychowywać i uświęcać. Posługi parafjalne, chrzty, pogrzeby, spowiedzi innych wiernych temu przeszkadzają. X. Kulwieć marzył o takiem urządzeniu kościoła, gdzie jego rektor czy kapelan, miałby na względzie takie zorganizowanie kościoła, by odpowiadał wszelkim potrzebom duszy, serca, umysłu, i wygody młodzieży. Kościół powinienby być piękny, posiadać doskonały chór i piękną muzykę, zorganizowaną z pośród młodzieży, świecić czystością, porządkiem, punktualnością, nabożeństwa odbywałyby się z najliczniejszym czynnym udziałem młodzieży; nauki, konferencje, rekolekcje dla wszystkich uczelni tamby się odbywały. Codziennie w oznaczonych godzinach, jaknajlepiej dobranych, spowiednik oczekiwałby na młodzież. Wszelkie uroczystości byłyby obchodzone z największą okazałością tylko w kościele młodzieży. Przy kościele winnaby być sala na zebrania towarzystw religijnych młodzieży, jak konferencje św. Wincentego á Paulo, Sodalicja Marjańska, Związek ministrantów, uczniów, chóry kościelne, czytelnia pism katolickich, bibljoteka*).

Takiego charakteru nie mógł posiadać kościołek Dzieciątka Jezus, który jest prywatną własnością i był przeznaczony początkowo do użytku kolonji litewskiej. Młodzież mogła tylko w większej mierze korzystać z niego, gdy X. Kulwieć był jego rektorem, obsługując kolonję litewską. Znając język litewski, choć Litwinem nie był, służył chętnie opieką religijną dla Litwinów, ale czuł, że to pochłania mu zbyt wiele czasu i jest przeszkodą w pracy nad młodzieżą. Dlatego pragnął uzyskać jakiś Kościół, lub nawet którą z cerkwi, lub gmachów, mogących być odpowiednio przerobionymi, by wreszcie ziścić to pragnienie serca i zaspokoić ich ważną potrzebę.

---

*) Myśl ta została potem częściowo zrealizowana przez wytworzenie parafji akademickich.

Będąc już ciężko chorym, jeszcze zapytywał o rezultaty swych zabiegów, czynionych u różnych władz o cerkiew w Alejach Ujazdowskich, którą pragnął na ten cel posiąść.

Gdyby nasze społeczeństwo, pragnące dla religji katolickiej zapewnić tytuł panującej przez uchwałę sejmową, zrozumiało, ile doniosłości mieści w sobie myśl ś. p. X. Kulwiecia dla zapanowania ducha Chrystusowego w życiu publicznem i prywatnem, skwapliwie, jak najrychlejby ją urzeczywistniło.

To jest granitowy fundament pod naszą duchową i narodową przyszłość. A uczynićby to należało spiesznie, bo nigdy tak sprzyjających warunków dla pracy religijnej wśród młodzieży nie było, jak dziś. Obyśmy śię nie spóźnili! — Mamy wszelako nadzieję, że nasi dostojnicy Kościoła, oraz księża prefekci dołożą wszelkich starań, by Kościół Młodzieży zaistniał w niedalekiej przyszłości. Znajdą się też zapewne katolicy świeccy, którzy szczodrą dłonią nie poskąpią środków materjalnych na ten cel wielkiej wagi.

Urzeczywistnienie tak pięknej inicjatywy X. Kulwiecia byłoby też jego uczczeniem.

Ś. p. X. Kulwieć jako kapłan był najgorliwszym sługą Kościoła i zmarł jako żołnierz Chrystusowy, jak pasterz dobry, który daje duszę za owce swoje.

Ciężką pracą strudzony, oczekiwał wypoczynku wielkanocnego, lecz na życzenie Nuncjusza Apostolskiego, m-gra Rattiego*), udaje się do Mstyczowa w Kieleckie, by tam ratować zbłąkanego kapłana i parafję zagrożoną schyzmą. Przyjął tę misję ochotnie, pracując tam z największem poświęceniem, administrując Sakramenta święte wśród grasującego tyfusu, jeżdżąc po kilka razy dziennie do zakaźnych chorych. Powrócił do Warszawy w przeddzień rozpoczęcia lekcyj, pracował jeszcze przez dwa tygodnie bardzo czynnie, nie podejrzewając, iż nosi w sobie zarodek śmierci.

Dnia 3-go maja po odprawionej Mszy św. i uroczystości przyjęcia kilkunastu nowych członków do Sodalicji Marjańskiej, miał przepiękną naukę o miłości Ojczyzny, poczem udał się na stoki cytadeli, by wziąć udział ze swymi uczniami w pochodzie narodowym. Wzruszony wspaniałą uroczystością

---

*) Autor pisał artykuł wówczas, gdy obecny Ojciec św. był jeszcze Nuncjuszem.

powrócił do domu, lecz natychmiast wskutek wyczerpania położył się do łóżka z oznakami poważnej choroby. Mimo, że lekarze nie poznawali w pierwszych dniach przyczyny niemocy, czuł, że już więcej nie wstanie. Już na trzeci dzień poprosił o ostatnie Sakramenta święte. Rzeczywiście niebezpieczeństwo zawisło poważnie; lekarze skonstantowali tyfus. Tegoż jeszcze dnia, 13 maja, odwieziono go do szpitala św. Stanisława na Woli. Tam zmarł dnia 21-go t. m.

W czasie choroby okazywał mimo wielkich cierpień, spokój, słodycz i wielką troskę o drugich. Gdy choroba była jeszcze nierozpoznana, zaniepokojonej odwiedzającej młodzieży pozwalał w rzadkich wypadkach zaledwie stanąć zdala na progu, powiedział kilka serdecznych słów i kazał odchodzić, by się nie zarażono.

Wyrwała go śmieć z pośród nas w chwili męskiej dojrzałości, bo liczącego lat 39, kiedy był szerszą pracę poczynał.

Młodzież i bliżej go znający wyrazili swą miłość i cześć licznym udziałem w nabożeństwach za jego duszę celebrowanych, dnia 24 maja w kościołku Dzieciątka Jezus przez J. E. X. biskupa Szelążka, z wspomnieniem pośmiertnem X. Pyzowskiego imieniem X.X. prefektów, w kaplicy gimnazjum im. Zamoyskiego przez X. prefekta Śmigielskiego, z przemówieniem X. d-ra Lutosławskiego i przy zwłokach w kaplicy szpitala św. Stanisława, przez J. E. X. biskupa Matulewicza, z przemówieniem X. d-ra Mauersbergera i X. d-ra Wojtkiewicza.

Zwłoki, odprowadzone przez parotysięczny kondukt, przeważnie młodzieży i liczne duchowieństwo, spoczęły w katakumbach kościoła X.X. Marjanów na Bielanach, żegnane ostatniemi słowy p. Władysława Lewandowicza imieniem młodzieży i kolegów-nauczycieli.

Pamięć zasługi i przykładu ś. p. X. Leona Kulwiecia żyć będzie w sercach młodzieży i wielu mu blizkich, w naśladowaniu go i czynnem współdziałaniu w urzeczywistnieniu jego zbożnych zamiarów.

Cześć pamięci kapłana-obywatela!

Bronisław Załuski.

Co to jest socjalistyczne Tow. Uniw. Robotniczego i do czego dąży.

Przed wojną wszechświatową P. P. S. zawdzięczała swą popularność wśród robotników hasłom głoszącym walkę ze znienawidzonym caratem i z wyzyskiem klas posiadających. Niepodległość Polski postawiła ją w nowem położeniu. Przewrót polityczny był jednocześnie przewrotem ekonomicznym. Postulaty proletarjatu w granicach możliwości i sprawiedliwości zostały częściowo zaspokojone. Despotyzm wschodniego satrapy został zastąpiony przez rządy skrajnie demokratyczne. Osiągnięto poważne świadczenia socjalne. Walka klas stała się zwykłą demagogją, obliczoną na niskie instynkty i głupotę tłumu. Nic też dziwnego, że bardziej ideowe jednostki zaczęły się odsuwać od socjalizmu.

W niedawno wydanem „Sprawozdaniu z działalności T.U.R." sami przyznają, że „troską pracującej Polski, było, iż młode pokolenie robotnicze, które taką rolę odegrało w okresie rewolucyjnej walki o wyzwolenie polityczne Polski, zdawało się obojętnie traktować codzienną pracę socjalistyczną w okresie przebudowy ustroju niepodległego państwa". „Smutek napełniał serca starszych bojowników".

Rychło przywódcy Polskiej Partji Socjalistycznej spostrzegli, że zbyt często organizowane strajki, kończące się krwawemi bójkami pochody, demagogiczne wiece nie wystarczą, że na tym koniku niedaleko zajadą. Jeśli się chciało uniknąć klęski, należało wprowadzić nowe ożywcze prądy, w strupieszałą i zasklepioną politykę partyjną. Za cel postanowiono sobie wychować nowe pokolenie robotnicze, któreby wyznawało poglądy socjalistyczne z przekonania, a nie dla materjalnych korzyści. Rzucono hasło zdobycia nowych sił i zwolenników przez szerzenie oświaty ujętej w duchu teorji Marxa. Odtąd dorywcze przemówienia agitacyjne miały być zastąpione przez systematycznie wygłaszane wykłady. Dla urzeczywistnienia tego wielkiego programu stworzono Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Na liście założycieli figurują nazwiska 15 asów P.P.S.: Limanowskiego, Daszyńskiego, Czapińskiego, Struga, Hołówki, Niedziałkowskiego, Praussa i t. d.

Nowozałożoną placówkę otoczono specjalnie czułą opieką. Organizacja stanowi szczyt techniki partyjnej i z tych względów musimy jej się bliżej przyjrzeć. Przewodnikiem dla nas będzie wyżej wzmiankowane „Sprawozdanie z działalności T.U.R.", ogłoszone drukiem przed kilku miesiącami.

W dniu pierwszego września 1928 roku istniało 199 oddziałów. Podało liczbę członków 112 oddziałów, które liczyły razem 4837 osób. W tej liczbie było 77,3% mężczyzn i 22,7% kobiet; 69,7% pracujących fizycznie i 30,3% umysłowo. W ciągu 2 lat 110 oddziałów urządziło 1243 odczytów, 55 akademji, założono 3 szkoły robotnicze, 28 kół samokształceniowych, 40 kursów dokształcających, 15 kursów praktycznych, oddział w Łodzi prowadził żeńskie seminarjum, istniało 37 orkiestr i zespołów muzycznych, 41 chórów, 56 zespołów teatralnych, zorganizowano 218 widowisk scenicznych, wycieczek 97, kół sportowych było 51, prawie przy każdym oddziale istniała bibljoteka i czytelnią pism, oprócz tego jest 10 bibljotek wędrownych.

T.U.R. dąży do zaspokojenia u swych członków całokształtu ich zainteresowań i zamiłowań. Kładzie się wielki nacisk na imprezy rozrywkowe, które mają wynagrodzić słuchanie nudnych i przewlekłych wywodów czerwonych prelegentów oraz przyciągnąć zastępy nowych adeptów. Oprócz zabaw tanecznych, organizowane są liczne wycieczki po kraju i zagranice. Między innemi zwiedzono Karpaty, Pomorze, Finlandję, Łotwę, Słowaczyznę, Wiedeń. W lecie urządzane są kolonje letnie, dzięki którym za opłatą 15 zł. można spędzić dziesięć dni na wsi. Prawie każdy oddział daje przedstawienia teatralne. Zorganizowano także kurs dla aktorów, w Warszawie istnieje „Ateneum" gdzie cztery razy w tygodniu odbywają się stałe przedstawienia.

P. P. S. pragnie na wszystkiem położyć swą rękę. Każda najdrobniejsza rzecz, z którą się styka robotnik winna być oplombowana przez prowodyrów partyjnych. Nauka, rozrywka, wszystko musi na sobie nosić socjalistyczną pieczęć. Ze szczególną nienawiścią odnoszą się do organizacji apolitycznych, obawiając się ażeby poszczególne jednostki nie zobojętniały na rewolucyjne hasła, ażeby nie zainteresowały się sprawami pobocznemi, nie mającemi związku z polityką.

Baczną uwagę zwrócono na sporty. „Sprawozdanie z działalności T. U. R." w ten sposób ujmuje tę kwestję: „Spostrzec można, że ruch sportowy, kryje w sobie niebezpieczeństwo, żądza rewalizacji, podnieta czynów sprawia, że robotnik sportowiec, zwłaszcza młodociany obojętnieje często na to, co sportem, czy nawet gałęzią sportu nie jest. Niebezpieczeństwu można zaradzić, gdy robotnika zwiąże się działalnością oświatowo-wychowawczą, gdy organizacyjnie jest on nietylko do uprawniania sportu obowiązany, lecz i do udziału w imprezach kulturalno-oświatowych. Dlatego to, nie chcąc tracić możności ideowego oddziaływania na grupy sportowe Komitet Centralny czuwał nad tem, by przy organizacjach naszych istniały wszędzie sekcje sportowe". Przytoczony urywek najlepiej wykazuje, jak „czułą" opieką otacza T. U. R. swych członków. Nie tu jest jednak szczyt jego troskliwości.

Nie zadowolniono się pieczą nad dorosłymi i młodzieżą. Zainteresowali się i dziećmi. Niezmiernie bolało to „opiekunów ludu", że któryś z tych najmłodszych mógłby ujść czerwonemu molochowi i jeszczeby się nie zaraził nienawiścią klasową. Szczególnie zazdrosny był T.U.R. o Harcerstwo. W połowie 1927 roku powołano do życia. „Czerwone Harcerstwo", którego celem jest poprzez życie skautowe wychowywać kadry najmłodszego pokolenia robotniczego, początkowo na przyszłe kadry Organiz. Młodz. T.U.R., następnie na bojowników socjalizmu". Dotychczas istnieje 30 ośrodków Czerw. Harc., dalszy rozwój powstrzymała odmowa legalizacji przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które jakoś nie czuje zaufania do tego naśladownictwa bolszewickich „Pionierów".

Potężną bronią w rękach T.U.R. jest doskonale zorganizowana propaganda. Raz do roku ma miejsce t. zw. „Dzień Młodzieży". Celem „Dnia" jest zainteresowanie biernej masy robotniczej sprawą organizacji. Agitacja „Dnia" służy jako wstęp do „tygodnia werbunkowego" mającego zwiększyć liczebność organizacji. Komitet Centralny T.U.R-u wydał na „Dzień" 3 odezwy (120.000 egz.), 3 afisze (6.000), 3 specjalne „Głosy Młodzieży Robotniczej" (12.000), wzory ulotek organizacyjnych i dyspozycje przemówień. Wynikiem „Dnia Młodzieży" 10.X 1926 było powstanie 17 nowych Organ. Młodz. T.U.R., wynikiem 2.X 27 powstanie trzech nowych organizacji, wynikiem

7.X 28 powstanie 10 nowych organizacji. „Dzień" poprzedzała akcja przygotowawcza: zgromadzenia, wiece. W wigilję „Dnia" urządzono capstrzyk wieczorny w dzielnicach robotniczych z pochodniami i z muzyką. Program „Dnia": pobudka odegrana przed udekorowanemi lokalami, wiece, pochody, akademje, zawody sportowe, zabawy ludowe. Większe organizacje uruchomiały specjalne kjoski zaopatrzone w wydawnictwa T.U.R-u i udzielające informacji.

Na wszelakiego rodzaju atrakcje, agitacje i t. p. czerpano fundusze ze składek członkowskich i subwencyj państwowych, które pobierano tytułem zapomogi na akcję „oświatową" (?).

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej dało w 1927 i 1928 r. 24.140 zł. Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. w 1927 i 1928 r. 18.000 zł. Min. Spr. Zagr. (na wycieczkę zagraniczną) 1927 i 28 r. dało 3.000 zł. Min. Spr. Wewn. (na kurs samorządowy) w 1927 r. dało 2.000 zł. Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego w 1928 r. 7.000 zł. Loterja Państwowa w 1928 r. 3.500 zł. Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w 1928 r. 1 500 zł. Magistrat m. Białegostoku w 1928 1.500 zł. Razem stanowi to około 70 tys. zł. Jak widzimy, nasi socjaliści mają olbrzymie zdolności do wydobywania pieniędzy i wszędzie trafią.

Z punktu widzenia ideologji chrześcijańskiej T.U.R. jest placówką szczególnie niebezpieczną.

Pierwszy zjazd Organ. Młodz. T. U. R. między innemi uchwalił także rezolucję, domagającą się usunięcia kleru wszystkich wyznań ze szkół.

W odczytach gorliwie są uwzględniane wszelkiego rodzaju napaści na Kościół. Wiele miejsca poświęca się potępionym przez naukę katolicką teorjom pseudonaukowym. Dla ilustracji przytoczę kilka tytułów wygłoszonych odczytów: „Kościół a szkoła", „Dzieje fanatyzmu", „Zamach kleru na kościół" (!), „Z dziejów krzywdy kobiet", „Stworzenie świata", „Powstanie pierwszego człowieka", „Jak rządzą socjaliści w Finlandji", „Praca socjalistów w Wiedniu". Jako środek propagandy wykorzystano także teatr, grano: „Śmierć Okrzei", „Kusiciele ludu", „Montwił", „Sąd nad socjalizmem", „Obwiepol" i t. d.

Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego jest mimo szumnej nazwy ekspozyturą P.P.S. Sami prowodyrzy otwarcie przy-

znają, że uważają Polską Partję Socjalistyczną za ideową przewodniczkę, pod jej sztandarami pragną służyć, a teraz do tej służby się przygotowują i w miarę sił biorą czynny udział w życiu politycznem. W ostatnim rozłamie T.U.R. opowiedział się przeciwko B. B. S. i stał się najpewniejszą ostoją swych partyjnych mistrzów na wiecach i w bójkach ulicznych.

* * *

Powyżej przytoczone dane uwidoczniają powagę położenia. Wszyscy chyba zdają sobie sprawę z tego, jak wiele zła może wyrządzić taka organizacja, działająca sprężyście wśród mas proletarjatu na całym obszarze Rzeczypospolitej. Po kilkunastu latach będziemy mieli do czynienia z pokoleniem robotniczem, wychowanem przez T.U.R. w nienawiści do religji i do ideałów narodowych. Każdy rok pomnaża zastępy czcicieli Marxa. Czerwona międzynarodówka rośnie w siły.

Dalsza bezczynność jest zbrodnią wobec Boga i Ojczyzny. Nie wystarczy uchwalić na wiecu groźną rezolucję, zaśpiewać Rotę i rozejść się w spokoju ducha do domów.

Wywrotowa działalność T.U.R-u może być sparaliżowaną jedynie przez planową i systematyczną pracę sprawnie działającej organizacji. Do spełnienia tego zadania jest przedewszystkiem najbardziej powołany niedawno powstały **Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy.** Dotychczas prowadzi on działalność w Warszawie, w Wilnie, w Grodnie, w Łomży, w Częstochowie, w Bielsku, w Włocławku i w Pruszkowie. W szeregu miejscowościach powstają nowe ośrodki.

Od społeczeństwa zależy, czy Ch. U. R. obejmie siecią swych oddziałów cały kraj. Każdy winien w miarę swych sił i zdolności, pośpieszyć mu z pomocą, a chrystjanizm zyska potężną broń w walce z wywrotowemi siłami. Adres Sekretarjatu Generalnego Ch. U. R-u: Warszawa, Żórawia 9 m. 14.

Zygmunt Prószyński.

Sport a wychowanie chrześcijańskie młodego pokolenia?

II.

W biegu naszych rozważań o sporcie musimy się zastanowić nad wpływem sportów na ustrój ludzki. Ustalone jest w biologji prawo, stwierdzające, że narządy, których praca jest większa, powiększają się powoli w miarę zwiększonych wymagań. U osób, pracujących fizycznie rozwijają się przedewszystkeim te mięśnie, które przy wykonywaniu danej pracy są czynne, rozwój ich jest więc zależny od rodzaju tej pracy. Najczęściej rozwój mięśni nie jest równomierny i harmonijny, gdyż przy zawodowej ciężkiej pracy nie wszystkie mięśnie są jednakowo obarczone, ćwiczenia sportowe, które są także pracą fizyczną, lecz pracą dobrowolnie podjętą i wykonaną, pracą, która winna być jednak wypoczynkiem, dać radość ruchu, sprężystości i rytmu, różnią się przedewszystkiem od zawodowej fizycznej pracy tem, że ich celem powinno być harmonijne wykształcenie fizyczne człowieka. Nietylko poszczególne grupy mięśni, obarczonych pracą, lecz wszystkie mięśnie powinny być w wyniku ćwiczeń sportowych poruszane i zyskać na prężności.

Praktyka potwierdza nasze wywody, ciekawe były spostrzeżenia uczynione przy badaniu atletów — otóż okazało się, że atleci, rekrutujący się z zawodów pracujących ciężko (kowale, rzeźnicy) mieli wprawdzie mięśnie bardzo silnie rozwinięte, ale rozwój ich nie był równomierny i ludzie ci nie osiągali najlepszych wyników—natomiast ci z pośród atletów, którzy ćwiczyli poprzednio głównie lekką atletykę, wykazywali wprawdzie mniej imponujący rozwój muskulatury, ale mięśnie ich były bardziej harmonijnie rozwinięte, budowa bardziej lekka i zwinna i oni to osiągali najlepsze wyniki.

Jeśli za punkt wyjścia przyjmiemy harmonijny rozwój ustroju ludzkiego, wówczas wśród sportów odróżnić będziemy mogli te, które się bardziej do tego punktu wyjściowego zbliżają od innych sportów, których działanie na ustrój jest bardziej jednostronne. Jeśli chodzi o równomierny rozwój ustroju idealnemi sportami są: tenis, wioślarstwo, pływanie, lekka atletyka.

Rzuty kulą, oszczepem i dyskiem, skoki wzwyż i wdal, wreszcie biegi ćwiczą i rozwijają wszystkie mięśnie równomiernie. Inne sporty jak np. piłka nożna, kolarstwo mają już wpływ bardziej jednostronny na mięśnie, gdyż 1° są to sporty ciężkie, stawiające duże wymagania dla ustroju, 2° rozwijają one jednostronnie, choć nie jedynie muskulaturę kończyn dolnych.

Jeśli mówimy o celowości sportu, jako wyniku harmonijnego rozwoju fizycznego, rozróżniać winniśmy dwie grupy sportów, takich, jak wioślarstwo, lekka atletyka, tenis, pływanie, które się do tego celu bardziej zbliżają, od innych sportów, bardziej jednostronnie działającvch, jak np. kolarstwo i piłka nożna. O tych różnicach musimy pamiętać, gdy będziemy wybierali ćwiczenia sportowe.

Działanie ćwiczeń sportowych na ustrój ludzki nie ogranicza się jedynie do silniejszego rozwoju muskulatury. Każdy sport, bez względu na to, czy to będzie sport lżejszy (np. lekka atletyka), czy też sport cięższy (np. piłka nożna) połączony jest z mniej, lub więcej wytężoną pracą mięśniową. Przy pracy tej zapotrzebowanie krwi przez czynne mięśnie wzrasta wielokrotnie.

Zapotrzebowanie to, wywołane rozszerzeniem naczyń pracujących mięśni, pokryte jest przez równoczesne zwężanie się naczyń w obrębie nerwów trzewnych i następujący z tego powodu większy dopływ krwi do obwodu. Przy pracy mięśniowej krew zostaje przeładowana szkodliwemi produktami, równocześnie wzrasta zapotrzebowanie tlenu, co sprowadza w rezultacie pewien minus, który serce musi przekreślić, pompując o tyle krwi więcej do naczyń, o ile więcej tkanki zużywają tlenu. Z tego wynika, że stopień rozwoju i rodzaj czynności mięśni, oraz ich wymagania w stosunku do krążenia, działają w znacznym stopniu i na pracę serca, wywołując decydujący wpływ na jego masę. Badania naukowe ustaliły, że między ssakami zwierząta żyjące dziko mają znacznie cięższe serce od zwierząt tychże gatunków, lecz oswojonych, najcięższe serce wśród ssaków ma sarna, zwierzę najbardziej płochliwe i ruchliwe, zaś wśród kręgowców najcięższe serca mają ptaki, a między niemi te, które najszybciej pływają i najlepiej śpiewają.

Schiffer i inni autorowie stwierdzili, że najcięższe serca posiadają atleci i ludzie z zawodów pracujących ciężko fizycz-

nie, jak np. kowale, lżejsze zaś serca posiadają ludzie, nie wykonywujący pracy fizycznej. Praca mięśniowa w bardzo znacznym stopniu wpływa na ożywienie przemiany materji, wzmożenie procesów spalania w całym ustroju. Efekt pracy mięśniowej człowieka naogół znacznie jest mniejszy od zużytej energji i nie odpowiada ilości tlenu spalonego, przy samym procesie pracy. Na wielkość efektywną pracy wpływa cały szereg czynników. W pierwszej linji działa tu zmęczenie, z powodu którego dla odciążenia czynnych mięśni wciągnięte zostały do pracy mięśnie dalsze, majace charakter pomocniczy, co wzmaga zużycie tlenu. Efekt pracy zwiększa się przez wprawę, przez odpowiednią dyscyplinę ruchów, czyli przez umiejętność wykonania maximum pracy przy minimum czynności mięśniowej. Jest to ogół czynników, które się określa nazwą treningu.

W miarę wzrostu treningu zmniejsza się siła zużyta na wykonanie tej samej pracy. Stąd też widzimy, jak ważnym jest dla sportowców trening—tylko bowiem dobry trening przy minimum wysiłku i bez szkody dla ustroju pozwala osiągnąć najlepsze wyniki.

Pokarmami, których spalanie jest głównym źródłem energji, materjałem palnym ustroju, są tłuszcze i węglowodany. Przy średnio wytężonej pracy ustrój zdaje się nie zużywać większej ilości białka—jednakże, jeśli praca jest bardziej uciążliwa, jeśli dochodzi do znacznego przyspieszenia oddechu, lub nawet podwyższenia ciepłoty ciała, wtedy zostaje wzmożoną i przemiana białkowa. W szczególności ma to miejsce u osobników osłabionych, chorych lub niedostatecznie odżywionych. W tych wypadkach węglowodany i tłuszcze dla produkcji ciepła, nie wystarczają i zostają zużyte większe ilości białka.

Ostatnie spostrzeżenie — ma doniosłe znaczenie praktyczne. Mówi ono o tem, że przy prowadzeniu ćwiczeń fizycznych należy pamiętać nie tylko o stanie odżywienia, ale i o sposobie odżywienia ćwiczących.

Szkodliwym nonsensem i bezmyślnością są forsowne ćwiczenia ludzi, nie mogących się odżywiać dostatecznie, nietylko pod względem ilościowym, ale i jakościowym, gdyż wtedy zamiast wzmożenia sił fizycznych, większego rozwoju, otrzymuje

się wynik wprost przeciwny, to jest osłabienie i podupadnięcie sił fizycznych, oraz wyniszczenie ustroju.

Wiedzieć i pamiętać o tem powinni przedewszystkiem ci, którzy prowadzą ćwiczenia fizyczne wśród sfer uboższych, ćwiczenia fizyczne umiejętnie uprawiane pod nadzorem specjalisty lekarza i dobrego trenera dodatnio wpływają na ustrój ludzki—ćwiczenia te oddziaływują korzystnie na rozwój klatki piersiowej, na narząd oddechowy. Pod wpływem ćwiczeń oddechowych zwiększa się pojemność i ruchomość płuc, co przeciwdziała rozwojowi chorób płucnych, a w szczególności gruźlicy. Cwiczenia fizyczne oddziaływują korzystnie na przewód pokarmowy, działając pobudzająco na czynności ruchowe i wydzielnicze jelit, przezeń przyczyniają się do lepszego trawienia i wykorzystania spożytych pokarmów.

Działanie sportów na ustrój ludzki jest złożone i różnorodne. Wzmożenie tężyzny ustroju przez wpływ korzystny na budowę klatki piersiowej, rozwój muskulatury, pobudzenia przemiany materji, wyrobienie większej odporności i zręczności fizycznej, są bezwzględnie niezmiernie korzystnemi czynnikami fizycznego rozwoju, ale stają się niemi tylko przy rozumnem uprawianiu sportów i ćwiczeń fizycznych pod kierunkiem wykwalifikowanego, rozumiejącego cel i znaczenie sportu trenera oraz pod kontrolą odpowiednio przygotowanego lekarza. W przeciwnym razie mogą wystąpić i zapanować nad korzystnym wpływem ćwiczeń sportowych wszystkie nietylko niekorzystne, ale nawet szkodliwe ich oddziaływania.

Przedewszystkiem musimy silnie zaakcentować, iż złudzeniem jest, że sport może być zawsze wytchnieniem po męczącej pracy zawodowej. W pewnych wypadkach przy niezbyt męczącej pracy i oględnem ćwiczeniu jest tak istotnie, jednakże nie jest tak zawsze. Tam, gdzie do zmęczenia, wywołanego intensywną pracą zawodową umysłową czy fizyczną dołączy się zmęczenie, płynące z uprawiania intensywnych ćwiczeń fizycznych, tam nie może być mowy o korzystnem działaniu sportu.

O tem powinna pamiętać nasza młodzież szkolna, intensywnie ćwicząca, bądź przygotowująca się do udziału w zawodach sportowych.

Odpoczynek, sen, dostateczne ilościowo i jakościowo pożywienie to konieczne warunki do zrealizowania poprzedzające przystąpienie do ćwiczeń sportowych — jeśli nie zostaną wypełnione — wówczas występują objawy, będące wyrazem osłabienia ustroju lub przetrenowania, określane ogólnie pod nazwą nerwowości, neurastenji.

Zmodyfikowane i złagodzone być winny i zawody sportowe przez wprowadzenie do ćwiczeń sportowych jedynych racjonalnych norm fizjologicznych, te bowiem normy oznaczają i regulują maksymalny wysiłek i określają cel, do którego ćwiczący, w stosunku do swoich możności, swojego wieku i swoich sił dążyć powinien.

Normy fizjologiczne i dobry trening powinny uchylić wszystkie szkodliwe strony sportu, a wydobyć dla pożytku ćwiczącej jednostki wszystkie cechy korzystne. Zwrócenie baczniejszej uwagi na te rzeczy staje się obecnie koniecznością, szczególniej ważną dla olbrzymich mas młodziezy, wśród których zamiłowanie sportu rozpowszechnia się coraz bardziej.

Zagadnienie jest tem ważniejsze, że z rozpowszechnieniem i demokratyzacją sportu, szkodliwości, które za sobą pociąga, stają się również powszechne i zagrażając sile i zdrowiu narodu, mijają się całkowicie z celem sportu.

Mając na uwadze powyższe wywody powinniśmy się starać o podniesienie w naszym kraju kultury sportu. Mamy ku temu i odpowiedni materjał ludzki i kadry przygotowanych specjalistów, oddanych sprawie. Jeśli bowiem kultura sportu będzie u nas wysoka, wówczas nie dojdzie do patologicznego działania sportu na ustrój ludzki, przeciwnie sport wtedy przyczyni się do harmonijnego rozwoju ustroju ludzkiego, i ponadto stanie się ważkim czynnikiem postępu moralnego naszego społeczeństwa. *)

Mg. Bogumił Budka.

---

*) Pisząc niniejszą część artykułu, korzystałem z następujących prac:
Dr. E. Reicherówny „Znaczenie i granice sportu".
Dr. Jan Szewczykowski „Wskazówki lekarskie w sporcie".

O zakładach-internatach w szkolnictwie żeńskiem.

Kwestja wychowania dziewcząt i szkoły żeńskiej jest dziś na porządku dziennym całego szeregu zjazdów, artykułów i szczegółowych opracowań. Ogólnie rozumiemy potrzebę reorganizacji, chociaż znaczne są różnice tak w ujmowaniu zadań wychowania i celu szkoły średniej, jak i środków najskuteczniej prowadzących do realizacji danych zamierzeń.

Sprawa nauczania wysuwa się na pierwszy plan i tu, jak się to jasno uwydatniło na zjeździe Z.N.S.W. w dniu 4 kwietnia b. r. zdania są podzielone; jedni chcieliby dla szkoły średniej żeńskiej zupełnego zrównania z programem szkół męskich z główną myślą przygotowania przez szkołę do uniwersytetu; drudzy, w łączności z przedstawicielami zrzeszenia rodzicielskiego pragnęliby dla ogółu dziewcząt większego uwzględnienia przyszłych zadań żony, matki i gospodyni.

Sprawa *wychowania,* mimo nacisku kładzionego na nią sporadycznie, zdawałaby się być kwestją wtórną a jednak dopełnić braki naukowe można i po opuszczeniu szkoły, lecz ciężko, bardzo ciężko i boleśnie niewychowanych w szkole, wychowuje później życie.

Rozumiano to już w XVI wieku. Wielki nauczyciel i wychowawca narodu, Modrzewski, uważał, że celem szkoły jest przedewszystkiem dawać młodzieży poznanie prawdziwe zła i dobra, uwzględniając przytem gruntowną wiedzę i systematyczną pracę, wysuwał więc na czoło zagadnień zadanie *wychowawcze* szkoły.

Tak dziś ujmują pracę nad młodzieżą żeńską nieliczne i niedocenione należycie zakłady-internaty, położone na wsi, zdala od gwaru wielkomiejskiego a jednak dość blisko aby dał się utrzymać ciągły, żywy kontakt z pulsującem życiem umysłowem społeczeństwa i sfer naukowych.

Zakłady te, z natury warunków swoich znakomicie odpowiadają podwójnemu wychowawczo-naukowemu zadaniu szkoły i należałoby więcej poświęcić im uwagi.

Bardzo aktualny w dobie dzisiejszej postulat dążenia do fizycznego rozwoju młodzieży rozwiązuje cały szereg zakładów-

internatów znakomicie. Po większej części powstają one na wsi lub conajmniej poza centrum miasta, wśród pól i łąk, nieraz w pobliżu lasów.

W Niemczech tak bardzo zdają sobie sprawę z konieczności tego rodzaju placówek, że od wielu lat wprowadzono pobyt uczenic w tak zwanych: „Sandheim'ach" t. j. osiedlach, do których szkoła przenosi się częściowo (np. kilka klas) lub w całości na pewien okres czasu w ciągu roku szkolnego aby dziewczętom zapewnić pracę na szerszych przestrzeniach, w pełni słońca z możliwie wielkiem uwzględnieniem zabaw na dworze, wycieczek i ćwiczenia się w sportach.

U nas w przeszłym roku wysłała szkoła p. Plater-Zyberkówny uczenice VII klasy na kilkotygodniowy pobyt do dworu wiejskiego pod Warszawą, być może że i inne szkoły pod tym względem zainicjowały jakąś akcję.

Zakłady-internaty prowadzone przez zgromadzenia zakonne np. Zakonnic Najświętszego Serca Jezusowego, S. S. Niepokalanek i inne zapewniają wszystkim swym uczenicom na rok cały zespół doskonałych warunków hygjenicznych. Ciasnota miejskich pomieszczeń, choćby wzorowo-urządzonych, nie krępuje dziewcząt: duże, jasne sale, wielkie koryta ze i balkony, ogrody, place sportowe, szerokie przestrzenie wokoło wpływają dodatnio nietylko na zdrowie ale także na psychikę. Bezpośrednie i ciągłe stykanie się z przyrodą, to jeden z najznakomitszych środków wychowawczych. Gdy uczenica za lat szkolnych nauczy się doświadczalnie cenić świeże powietrze, moc życiodajną słońca, podnietę wszelkiego rodzaju dostarczaną przez obserwowanie życia wśród owadów, ptaków, kwiatów, zbóż i drzew, to później, nawet wśród mało podatnych warunków ciężkiego bytu w mieście potrafi zaoszczędzić trochę grosza by zapownić sobie i swoim kilkutygodniowe lub kilkogodzinne (zależnie od okoliczności) wytchnienie na wsi. Nie wyda na strój, kino lub farsę lecz dzieciom rozjaśni życie wycieczką w las lub przejażdżką czółnem.

Jak nieocenionym jest pobyt na wsi dla pokierowania naukami przyrodniczemi, tego dowodzić nie potrzeba. Z trudem i nakładem czasu organizowane wycieczki w mieście, tu, same z siebie są częścią składową programu szkolnego. Na wiosnę prawie każda lekcja odbywa się na dworze: sad, ogród warzywny stoją otworem, stawy lub rzeka w pobliżu; roślinność i świat

zwierzęcy otaczają uczenicę, zapraszają do obserwacji i współżycia.

To współżycie z przyrodą, łatwość urządzania zabaw na dworze, w zimie (saneczkowania, ślizgawki) w lecie siatkówki, tennisa, harmonizuje z ogólną atmosferą ciszy i spokoju zdala od rozgwaru wielkomiejskiego, jego denerwujących i częstokroć nadwątlających zdrowie rozrywek. Zamiast kina, cudna panorama wsi polskiej, zamiast dancing'u, tężyzną tchnące ćwiczeuia fizyczne, zamiast przedługiego czuwania wieczorem, wczesny spoczynek krzepiący ducha i ciało. Głodne ciągłych wrażeń pokolenie współczesne pociąga w zawrotny wir własnych zainteresowań i młodzież, życie w internacie chroni ją od tego nadmiaru z dużą korzyścią dla pracy naukowej i wyrobienia własnego charakteru.

I oto druga, niezaprzeczona zaleta naszych zakładów-internatów, szczególniej o ile kierownictwo spoczywa w rękach osób oddających się pracy wychowawczej z zamiłowania i wyższego powołania. Ciągłe współżycie wychowawczyń z uczenicami ułatwia pracę nad ich charakterem. Między zainteresowanemi stronami wytwarza się stosunek oparty na wzajemnem zaufaniu i prostocie: szkoła zastępuje dom rodzinny i to nie jakikilwiek ale najlepszego typu, gdzie ojciec i matka dbają nietylko o naukę i zdrowie ale przedewszystkiem o dobro duszy dziecka.

Najlepszem podłożem do owocnej pracy nad charakterem wychowanek jest wspólnota duchowych i umysłowych celów i zamiłowań.

Współżycie zewnętrzne nie wystarcza, choć i ono ogromnie zbliża i ułatwia poznanie uczenicy, przedstawiającej się nieraz zupełnie inaczej w czasie gier, lub posiłku, niż przy lekcji w szkole, trzeba zatem aby z dziedziny przeżyć młodzieży liczne prowadziły drogi do serca i dusz wychowawców, żeby świat wewnętrzny dziecka znajdował oddźwięk w kierowniku, któryby po linji zainteresowań, marzeń i pragnień ucznia docierał powoli a dyskretnie do najgłębszych wartości jeszcze nieświadomie drzemiących i czekających przebudzenia. Czemże bowiem być powinna wychowawczyni? Ona wskazywać powołana drogi i ścieżki, w cień usuwać się musi, by dziecię nie traciło poczucia swobody i niezależności wewnętrznej: ciągle czujna, nieustannie będąc drogowskazem, jak te anioły stróże, znikać po-

winna z przed oczu, nie żądając nic dla siebie, z wszelkiego zadowolenia miłości czy serca własnego czyniąc ofiarę dla dobra wychowanki. Ideał to wysoki, realizowany jednak często w cichych murach internatów klasztornych, skąd niejednookrotnie i często nawet wychodzą dziewczęta dojrzałe do pracy nad sobą i nad drugiemi. Czego zaś nauka tylko dać nie może—przysposobi ona do obrania zawodu; wychowanie da wskazówki *jak* do niego brać się należy. Nie *co* się robi ale *jak* się pracuje wnosi prawdziwe i trwałe wartości w życie społeczna.

Praca nad charakterem zresztą, oddaje też pierwszorzędne usługi przy nauce w szkole. Opanowanie rozproszenia, skupienie uwagi, wytrwała i konsekwentna praca, niezrażanie się trudnościami przedmiotu, wiara w skuteczność wiernego wysiłku oto niektóre tylko z dodatnich skutków wyrobienia charakteru. Prawość i szczerość wobec wychowawczyń usuną także z życia szkoły wszelkie „ściągania" na mniejszą lub większą skalę, stawiając uczciwość w pierwszym rzędzie wymagań dla etyki dziewczęcej.

Z drugiej strony mogą uczenice w dużej mierze liczyć na pozaszkolną pomoc wychowawczyń - nauczycielek. Ułatwienia, objaśnienia, dopełnienia wszystko to mają dziewczęta na miejscu i podane w formie zawsze życzliwej, najczęściej bezinteresownej.

Współżycie znów z innemi uczenicami, nie ograniczone do lekcyj w szkole, ale rozciągające się na cały dzień od spoczynku do posiłków i zabaw, to doskonałe zaprawienie do życia w rodzinie i społeczeństwie, gdzie tyle różnych ściera się temperamentów i wielkiej potrzeba równowagi, by w zgodzie bytować ze wszystkiemi.

Poza kontaktem bezpośredniejszym z przyrodą w internatach zakładanych na wsi, poza korzyściami wypływającemi dla wyrobienia charakteru z współżycia z wychowawczyniami ideowo oddanemi młodzieży ma życie w internatach doniosłe znaczenie i pod wieloma innemi względami. Tak naprzykład duże ułatwienia napotykają uczenice o wybitniejszych zdolnościach artystycznych. Trudno jest naogół zachodzić do szkoły poza godzinami lekcyj, sale i pracownie zamknięte, nauczycieli niema, trzeba ograniczyć się do pracy, dziś zresztą już nie obowiązującej, w ramach godzin szkolnych. Niejedne wybitne zdolności czy to do muzyki czy rysunku wskutek braku podniety i zachę-

ty nie rozwiną się należycie. W internacie ma uczenica w dzień świąteczny wstęp otwarty do pracowni, wskazówki może też otrzymać dodatkowo, to też korzysta z każdej chwili wolnej, by pracować w ulubionej przez nią dziedzinie. Oprócz tego, następują w internatach częstsze niż po innych szkołach przedstawienia teatralne, żywe obrazy, akademje artystyczne i t. d. wszelkie widowiska, kina dostępne młodzieży w mieście. Uczenice pod kierownictwem wychowawczyń organizują i przygotowują je samodzielnie. Wyrabia się przez to smak artystyczny, sprężystość i celowość w pracy niemniej, niż poczucie odpowiedzialności. Naogół przedstawienia te i akademje stoją na bardzo wysokim poziomie tak pod względem gry amatorskiej i deklamacji, jak co do dekoracyj, programów malowanych, śpiewu i akompanjamentu.

Wśród kierowniczek bowiem znajdują się często wybitne jednostki, artystki nieposlednej miary, które, porzuciwszy świat i wszelką chwałę ziemską dla Boga, ze zdwojoną gorliwością wiedzę swą i ukochanie piękna oddają na usługi uczenic.

Ponieważ zakłady-internaty dla szkół średnich u nas prowadzone są przeważnie jeśli nie wyłącznie przez zgromadzenia zakonne, trzebaby jeszcze poświęcić parę uwag wychowaniu religijnemu młodzieży żeńskiej, pozostającej pod ich kierownictwem. Jest to też sprawa pierwszorzędnej wagi w łączności z rozwijającem się u nas życiem liturgicznem i pogłębieniem wiedzy religijnej a będzie przedmiotem następnego artykułu.

Celina Stoińska.

O „Dziele św. Katarzyny z Aleksandrji".

Wiek ubiegły obok swoich licznych niezaprzeczonych zasług w dziedzinie postępu zewnętrznego ma także swoje wady i błędy, w rzędzie których znajduje się też lekkomyślne oraz nierozsądne rozdzielenie nauki i wiary. Zdaniem pseudouczonych tamtoczesnych, posiadających, niestety, kontynuatorów również w czasach obecnych, pomiędzy dziedziną nauki a dziedziną wiary leży przepaść nie do przebycia, mają to być, wedle ich mniemania, rzeczy nawzajem wykluczające się, rezultatem czego jest czasem świadome, czasem znów mimowolne atakowanie oraz ośmieszanie Kościoła katolickiego.

Gdyby owi pseudouczeni głosili swoje pseudouczone teorje w działach, do których mało kto zagląda, byłoby jeszcze pół biedy; gorzej jednak jest, gdy wywody swoje przedstawiają z katedr uniwersyteckich rzeszom słuchaczy, którzy z kolei, otrzymawszy stanowiska, szerzą je dalej. Odbywanie przez młodzież katolicką studjów gimnazjalnych, a następnie uniwersyteckich, stanowi wielkie niebezpieczeństwo dla słabo jeszcze rozumowo ugruntowanej wiary wszczepionej przez matki.

Z jednej strony prąd osłabiający ten wielki skarb idzie od nauczycieli historji, którzy w zbyt jaskrawych barwach przedstawiają czyny niektórych członków duchowieństwa z okresu feodalizmu, czy też papieży z doby Renesansu; następnie niektórzy przyrodnicy szerzą ciągle dawno już złożoną do lamusa rupieci teorję materjalistyczną o pochodzeniu człowieka; a czasami, „jak Filip z Konopi", wyskoczy z zarzutami przeciwko katolicyzmowi nauczyciel jakiegoś innego przedmiotu. Przypominam sobie, że, gdy jeszcze byłem w gimnazjum, łacinnik cuda w Lourdes począł tłumaczyć autosugiestją.

Na uniwersytetach jest jeszcze gorzej. Nierzadko np. zdarzają się tacy, co ex cathedra głoszą jakąś mętną, nieokreśloną bliżej etykę niezależną, choć zasadniczo mają obowiązek prowadzić jeno lektoraty językowe.

Bolejąc nad spustoszeniem, jakie w młodem pokoleniu czyni takie właśnie nauczanie zarówno średnie, jak wyższe, na Zachodzie stworzono przed laty kilkudziesięciu „Dzieło św. Katarzyny z Aleksandrji", „którego głównym i ostatecznym celem jest uzyskanie od Miłosierdzia Bożego tej łaski,—jak głoszą dokumenty Stolicy Apostolskiej — aby wiara znowu była złączona z wiedzą w nauczaniu". Podstawą działalności tego stowarzyszenia jest codzienna modlitwa na tę właśnie intencję. Do modlitwy takiej zobowiązani są wszyscy członkowie, kapłani odprawiają Msze św., ponadto członkowie zobowiązują się „nie korzystać z książek, zabronionych przez Kościół święty, zarówno w lekturze osobistej, jak i w celu nauczania".

Sekretarjat główny „Dzieła św. Katarzyny z Aleksandrji" mieści się w Paryżu przy rue Jacob 45, w Polsce zaś bliższych informacyj udziela p. Natalja Hekker, zamieszkała we Włocławku przy ulicy Orlej 9. W języku polskim niedawno temu wydana została dwukartkowa ulotka o tej instytucji, na nią więc

zwracamy uwagę wszystkich zainteresowanych, stamtąd bowiem dowiedzieć się można o tej organizacji, o obowiązkach członków, a w końcu o odpustach dla należących do niej.

Przez Stolicę Apostolską, jako arcybractwo powszechne, dzieło to zostało erygowane na mocy breve „Ad mentes", wydanego dnia 30 października 1912 r. przez Ojca św. Piusa X.

jmch.

Czem jest „Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej Odrodzenie" i do czego dąży.

Cel założenia organziacji.

Gdy przed 10 laty kilku działaczy przystępowało do założenia Ruchu Odrodzeniowego na terenie akademickim, zasadniczą myślą którą się kierowali, była ideja zaszczepienia i rozszerzenia zasad katolickich wśród inteligentnej, kształcącej się młodzieży t. j. na terenie względnie najbardziej podatnym do pracy ideowej. Zadanie to zostało w znacznej mierze spełnione. W chwili obecnej idea katolicyzmu społecznego wśród młodej inteligencji polskiej nie jest czemś nowym i nieznanym, jak było przed 10 laty, a mnożą się raz po raz objawy, wskazujące na duży sentyment i zrozumienie dla tej idei wśród młodzieży.

Jest rzeczą zrozumiałą, że na tem nie mogła zakończyć się ekspansja Ruchu Odrodzeniowego. Od samego początku tego ruchu kiełkowała wśród jego twórców i kierowników myśl wytworzenia placówek odrodzeniowych także wśród młodzieży robotniczej, aby wszystkie warstwy młodego pokolenia zespoliły się do pracy pod sztandarem Chrystusowym, aby Odrodzenie stało się ruchem jaknajbardziej wszechstronnym i faktycznie wszechstanowym i w ten sposób ułatwiło sobie działalność we wszystkich dziedzinach życia.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że teren młodzieży robotniczej jest trudny i wymagający dużej pracy, jeszcze większego poświęcenia i wypracowania nowych metod działalności. Czuliśmy jednak równocześnie, że ograniczanie ekspansji Ruchu Odrodze-

niowego tylko do inteligencji byłobv małodusznością i grzechem przeciwko idei katolickiej i społeczeństwu polskiemu, byłoby więzieniem ruchu w zbyt wąskich dla niego ramach, które prędzej, czy później musiałyby pęknąć pod naporem zwycięskiej fali życia.

Młodzież pracująca fizycznie jest w znacznej swej większości tradycyjnie przywiązana do religji i Kościoła Katolickiego, zagrażają jej jednak pod tym względem rozliczne niebezpieczeństwa, z których największym jest działalność organizacyj socjalistycznych i komunistycznych, zdążająca do zaszczepienia pośród niej i ugruntowania materjalistycznego poglądu na życie i odebrania jej zdrowia moralnego. Działalność ta w ostatnich latach stała się niebezpieczeństwem bijącym w oczy.

Nie wszystkie organizacje katolickie, pracujące wśród młodzieży robotniczej, czy wiejskiej zdołają przeciwstawić się w dostatecznej mierze akcji takiego np. „Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych", potężnej organizacji socjalistycznej, wyposażonej we wszystkie środki współczesne—na to potrzeba organizacji o charakterze prawdziwie społecznym, która potrafiłaby przemówić do przekonania współczesnej młodzieży pracującej językiem dla niej zrozumiałym i zastosować w pracy nad jej urobieniem skuteczne metody dnia dzisiejszego, która umiała by tę młodzież wychowvwać i przygotowywać ją do walki o postulaty sprawiedliwości społecznej w ramach zasad katolickich.

Zadanie to musiało być podjęte przez „Odrodzenie", jako drugi etap jego działalności, jako wcielenie w życie chrześcijańskiej idei demokratycznej, której wyrazem prawdziwie realnym i życiowym jest wytworzenie braterskiego związku młodzieży pracującej fizycznie z młodzieżą pracującą umysłowo pod sztandarem Chrystusowym, aby wspólnym wysiłkiem i pracą zniszczyć chiński mur wzajemych uprzedzeń i niechęci klasowych,—jak mówi Mickiewicz—cały Naród wziąć w ramiona, „uszczęśliwić .. i nim cały świat zadziwić", a według słów poety-myśliciela i społecznika Krasińskiego:

„Wylać Ducha na miljony!
Ciałom wszystkim rozdać chleba —
Duszom wszystkim — myśli z nieba!
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół

Iść przez drugich podnoszenie—
Tak Bóg czyni we Wszechświecie!
Bo cel światów — szlachetnienie!"

* * *

Ci sami senjorowie Odrodzenia, którzy byli u początków tego ruchu w r. 1919 — podjęli w r. 1927 pracę nad założeniem organizacji, będącej wyrazem działalności Ruchu Odrodzeniowego wśród młodzieży pracującej fizycznie. Usiłowania te natrafiły na grunt podatny i zespoliły się z analogicznemi dążeniami światlejszych i bardziej wartościowych jednostek z pośród młoży pracującej fizycznie. W ten sposób został powołany do życia Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

Rozwój organizacji.

Na początku r. 1927 z inicjatywy senjorów „Odrodzenia", przy pomocy Sekretarjatu Okręgowego Chrześc. Związków Zawodowych odbyło się w lokalu tychże związków przy ul. Rymarskiej 2 w Warszawie szereg wieczorów dyskusyjnych na temat ideologji chrześcijańsko-społecznej, socjalizmu i komunizmu, stosunku Kościoła Kat. do robotnika i t. d. Wieczory te ściągnęły sporo młodzieży pracującej i umożliwiły wytworzenie dwóch kół: męskiego i żeńskiego.

Został opracowany prowizoryczny Statut, a na czele stanęła tymczasowa władza centralna t. zw. Rada Nadzorcza, której podlegały Zarządy obydwu kół. Skład pierwszej Rady Nadzorczej był następujący: prezes — St. Kaczorowski, viceprezesi — W. Markowska i K. Szmagier, sekretarz — J. Tokarska, członkowie — St. Spasiński, J. Kosmaczewski, K. Łukasiewicz, Lejewski; liczba jej członków zwiększyła się stopniowo przez dokooptowanie nast. kol. kol: L. Lewiński, W. Stępkowski, St. Wilkoszewska, B. Budka, W. Ferster, St. Iłowiecki, W. Tarnowski. We wrześniu 1928 prezesurę Rady Nadzorczej objął Kol. A. Chaciński.

W maju 1928 r. odbyła się w Warszawie uroczysta inauguracja działalności Chrz. Zw. Mł. Pracującej „Odrodzenie", na którą złożyły się: nabożeństwo w kościele św. Marcina przy ul. Piwnej 11, pochód przez miasto ze sztandarami i or-

kiestrą, złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza i uroczysta akademja w sali odczytowej przy ul. Kredytowej 14.

Uroczystość powyższa wywarła b. dodatnie wrażenie na zaproszonych na nią działaczach chrześcijańsko-społecznych z prowincji, zachęcając ich do tworzenia oddziałów organizacji u siebie. Przykład Warszawy zrobił swoje, z rekordową szybkością zaczynają powstawać Koła Ch. Zw. Mł. Prac. „Odrodzenie" w rozmaitych miejscowościach, a więc w czerwcu i lipcu 1928 powstają koła Odrodzenia w Łodzi i Zawierciu, w lutym 1929 — w Zduńskiej Woli, w marcu — w Pruszkowie, pozątem tworzą się zawiązki kół w Radomiu, Pabjanicach, Zgierzu i innych miejscowościach.

Dn. 14 maja 1929 r. został zarejestrowany pod № 774 w rejestrze Komisarjatu Rządu m. st. Warszawy Statut Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej Odrodzenie. Siedzibą organizacji jest Warszawa a terenem działalności Rzeczpospolita Polska. Na czele jej stoi Centralny Komitet Wykonawczy, wybierany przez Zjazd Delegatów. Organizacja jest osobą prawną z wszystkiemi przysługującymy jej według ustaw normalnymi prawami.

I Zjazd Delegatów.

W dniach 29 i 30.VI.1929 r. odbył się w Warszawie I Zjazd Delegatów, który zgromadził 45 delegatów, reprezentujących 18 kół (Warszawa, Łódź, Zawiercie, Zduńska Wola, Pruszków etc. etc.). Zjazd rozpoczął się uroczystym nabożeństwem w kościele przy ul. Piwnej 11, podczas którego część uczestników Zjazdu przystąpiła do Stołu Pańskiego.

Dwudniowe obrady były ważnym etapem w dziejach ruchu, owocem ich bowiem było ustalenie metod pracy na najbliższe kilka lat i przyjęcie szeregu ważnych regulaminów i instrukcyj organizacyjnych.

Zjazd uchwalił rezolucje, manifestujące i wyjaśniające bliżej tendencje ideowe ruchu oraz wybrałCe ntralny Komitet Wykonawczy w składzie następującym: prezes—A. Chaciński, vice-prezes — St. Kaczorowski, członkowie z Warszawy — ks. prałat Z. Kaczyński, W. Markowska, St. Spasiński, L. Lewiński, W. Ferster, z Łodzi — Wł. Adamski, H. Piechotkówna, J. Cyrań-

ski, Z. Elmrich, z Zawiercia, — J. Jabłoński, z Pruszkowa — F. Kwasiborski, — jak również Centralną Komisię Rewizyjną, do której weszli kol. kol. Kosmaczewski, Pawlak, Budka. *Siedziba Centralnego Komitetu Wykonawczego mieści się przy ul. Żórawiej 9 m. 14 w Warszawie.*

Obecny stan organizacji.

Liczba kół funkcjonujących normalnie wynosi 16, pozatem 12 kół jest w fazie organizowania się.

Warszawa a) I koło męskie — Rymarska 2. Sprawozdanie z działalności z ostatniego roku obejmuje liczby następujące: Ilość członków—172, zebrań członkowskich—2, zarządu—24, wieczorów dyskusyjnych—28, zebrań „sekcji prelegentów" 12, bibljoteka liczy 234 książki w ciagu roku 30 czytelników przeczytało 312 książek. *Klub Sportowy koła* powstał w r. 1928 z inicjatywy kol. kol. Ferstera, Lewińskiego, Turkowskiego i tworzy stopniowo, w miarę rozwoju sekcje: lekkoatletyczną, piłki nożnej, gier ruchomych (siatkówka, koszykówka), bokserską i kolarską pozatem rozmaite sekcje gier towarzyskich. Chrztem ogniowym Klubu był drużynowy bieg naprzełaj o puhar Domu Ludowego im. Leona XIII dn. 28.X.1928, w którym wzięło udział przeszło 300 zawodników i 20 organizacyj sportowych. W biegu tym „Odrodzenie" zajęło drużynowo 3-cie miejsce i odtąd bierze udział we wszystkich poważniejszych zawodach lekkoatletycznych Stolicy. Zawody sekcji piłki nożnej dały rezultaty następujące: Odrodzenie — Meteor -- 3:0 (na korzyść Odrodzenia), Odrodzenie — Hagibor — 6:2 (na korzyść Odrodzenia), Odrodzenie — Ymca — 5:0 (na korzyść Ymki) i Odrodzenie — Czarni 3:2 (na korzyść Czarnych). W ostatnim roku działalności sekcja lekkoatletyczna liczyła 72 członków, piłki nożnej — 38, bokserska — 13, kolarska — 3, szachowo — warcabowa — 17. Sekcje te odbyły ogółem 16 zebrań i rozegrały 17 zawodów i rozgrywek.

b.) I *koło żeńskie — Żórawia 9 m. 14.* Liczy 36 koleżanek. Działalność w ostatnim roku była prowadzona w sekcjach: 1) Sekcja religijno-wychowawcza pod kierownictwem ks. Tenderendy odbyła 8 zebrań i urządziła rekolekcje dla członkiń koła 2) sekcja robót ręcznych pod kier. kol. Kotarskiej 3) sekcja sportowa — drużyna gier ruchomych 4) sekcja kulturalno-oświato-

wa zorganizowała 14 wieczorów dyskusyjnych 5) sekcja zabaw towarzyskich urządziła 5 wieczorków tanecznych, z których jeden był połączony z częścią koncertową i przedstawieniem. Chór śpiewaczy, jak również sekcja dramatyczna były wspólnemi przedsięwzięciami koła męskiego i żeńskiego. Sekcją dramatyczną kierowały kol. kol. Kotarska i Mazurkiewiczówna. Wystawiła ona sztukę Fredry: „Gwałtu, co się dzieje". Koło żeńskie zostało założone na początku r. 1927 z inicjatywy kol. kol. W. Markowskiej, J. Tokarskiej i Ogulewiczówny.

Pozatem znajdują się w Warszawie w fazie organizacji 2 koła męskie: na Marymoncie i Pelcowiźnie.

Łódź. W lipcu 1929 ukonstytuował się na podstawie uchwały Zjazdu Delegatów i Centralnego Komitetu Wykonawczego—tymczasowy Wojewódzki Komitet Wykonawczy w składzie następującym: prezes — Wł. Adamski, viceprezes — J. Cyrański, sekretarz — H. Piechotkówna, skarbnik — Z. Elmrych. Ilość kół i członków na terenie Łodzi jest następująca:

Teren działalności kół	Ilość członków		Razem
	koła żeńskiego	koła męskiego	
Śródmieście — Przejazd 34	35	47	82
Zarzew — Skierniewicka 11	50	30	80
Widzew — przy kościele św. Kazimierza	10	32	42
Dąbrówka — Rzgowska 84	24	27	51
Razem kół 8	119	136	255

W ciągu ostatniego roku wyżej wymienione koła urządzily: 30 wieczorów dyskusyjnych, 11 uroczystych akademji, 8 wycieczek rozrywkowych i 7 kulturalno-oświatowych, 33 zebrań ogólnych, 49 zebrań zarządów. Pracują w kołach następujące sekcje: 1 lekkoatletyczna, 1 gimnastyczna, 2 piłki nożnej, 2 siatkówki i koszykówki, 2 kolarskie, 3 ping-pongowe, 1 robót ręcznych, 4 dramatyczne i 3 muzyczne.

Pozatem na terenie woj. łódzkiego funkcjonują normalnie 2 koła (męskie i żeńskie), w Zduńskiej Woli oraz kilka kół znajduje się w stanie organizowania — w Pabjanicach, Zgierzu i innych miejscowościach.

Zawiercie ma 2 koła: męskie i żeńskie, mieszczące się w lokalu przy *ul. Nowofabrycznej 7*. W ostatnim roku działalności obydwa koła liczyły razem 103 członków i członkiń, odbyły 35 zebrań członkowskich i 32 zebrania zarządu, urządziły 2 zabawy ludowe w parku miejscowym, brały udział w 5 kwestach ulicznych na cele społeczne, urządziły wycieczkę na zjazd Eucharystyczny do Częstochowy, wycieczkę krajoznawczą do Krakowa i Wieliczki przy pomocy krakowskiego koła Zw. Senjorów „Odrodzenie", kilka majówek i zabaw tanecznych, kilkanaście wieczorów dyskusyjnych. Funkcjonują następujące sekcje: ogólna, sceniczna, muzyczna, chóralna, gospodarcza i gimnastyczno-sportowa. Bibljoteka kół liczy 60 tomów, sekcja sceniczna urządziła 3 przedstawienia, zorganizowała zespół taneczny w kostjumach krakowskich, urządziła scenę i kulisy. Sekcja muzyczna posiada 18 instrumentów smyczkowych. Obrót roczny obydwu kół wynosił razem 3.885 zł. 80 groszy.

Pruszków 2 koła (męskie i żeńskie), liczące razem 52 członków i członkiń urządziły w ciągu półrocza swego istnienia 2 uroczyste akademje, 2 wycieczki, 6 wieczorów dyskusyjnych, 2 wieczornice towarzyskie, 7 zebrań członkowskich, 16 posiedzeń zarządu. Bibljoteka liczy przeszło 400 tomów. Pracują sekcje: muzyczna, dramatyczna, chóralna i 2 sportowe (męska i żeńska) i komisje: kulturalno-oświatowa, rozrywkowa i zdobnicza. Koła posiadają boisko sportowe, przyrządy gimnastyczne i gry towarzyskie. Lokal organizacji mieści się *przy ul. Bolesława Prusa 44*.

* * *

W ten sposób przedstawia się w najogólniejszych tylko zarysach dotychczasowy dorobek Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

Metoda pracy

Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej „Odrodzenie" jest organizacją ideowo-wychowawczą.

Organizacja nie dąży do skupienia pod swemi sztandarami jaknajwiększych mas, lecz raczej — do wytworzenia elity, złożonej z młodzieży pracującej, w ten sposób można lepiej i skuteczniej oddziaływać na teren młodzieży pracującej.

Program pracy kół przyjęty na I Zjeździe Delegatów jest dosyć wszechstronnym i obejmuje zarówno działalność religijną (wspólne nabożeństwa, obchody, akademje, nauki rekolekcyjne) i kulturalno-oświatową (akademje, odczyty, wieczory dyskusyjne, sekcje ideowo-naukowe, biblioteka, sekcja dramatyczna, chór etc.), jak i towarzyską (wieczorki, zabawy, wycieczki) oraz sportową. Chodzi o to, aby młody pracownik i robotnik, względnie młoda pracownica i robotnica znaleźli całkowite zaspokojenie swoich potrzeb ideowych, kulturalnych i sportowych, jednem słowem potrzeb społecznych i mogli rozwinąć zarówno swoją psychikę, jak intellekt i organizm fizyczny na chwałę Boga i pożytek Ojczyzny. Oczywiście nie we wszystkich kołach wprowadzać można odrazu tak rozległy program. W każdym razie dbać należy o to, aby sport i działalność towarzyska nie odsuwały na drugi plan pracy ideowo-wychowawczej.

Dla ilustracji podajemy cykl wieczorów dyskusyjnych w I kole męskim w Warszawie w sezonie jesienno - zimowym r. 1928 i 29.

Cykl wieczorów dyskusyjnych.

Na czem polega kryzys dzisiejszej cywilizacji—ref. p. Tadeusz Błażejewicz.

Uświadomienie polityczne, a wychowanie obywatelskie—ref. poseł Józef Chaciński.

Rodzina, śluby cywilne, a małżeństwo katolickie—ref. mec. Stanisław Janczewski.

Szkoła świecka, a wychowanie młodzieży—ref. poseł Franciszek Zieliński.

Co to jest bolszewizm i do czego dąży — ref. red. Henryk Glass.

Kościół katolicki, jako opoka cywilizacji chrześcijańskiej—ref. ks. prał. Dr. Stanisław Mystkowski.

Kto i w jaki sposób walczy w Polsce z religją i kościołem —ref. ks. prof. dr. Zygmunt Choromański.

Dobre obyczaje jako warunek tężyzny duchowej jednostki i Narodu—ref. p. Tadeusz Błażejewicz.

Znaczenie prasy dobrej i złej—ref. red. Adam Szymański.

Chrystus Pan w życiu jednostki, społeczeństwa i Narodu—ref. ks. red. Jan Szmigielski.

Znaczenie praktyk religijnych w życiu człowieka — ref. ks. prof. Antoni Bogdański.

Na czem polega kwestja społeczna w ustroju kapitalistycznym—ref. poseł Wacław Bitner.

Socjalizm, ruch Chrześcijańsko-społeczny, a kwestja robotnicza — ref. red. Stefan Kaczorowski.

Organizacje kulturalne i zawodowe w życiu człowieka pracy—ref. radny Stanisław Spasiński.

Sport a wychowanie chrześcijańskie młodego pokolenia — ref. mg. Bogumił Budka.

Robotnik a walka o katolicki charakter Państwa Polskiego ref. mg. Antoni Chaciński.

Główne założenia ideowe.

Nowa organizacja opiera się — rzecz zrozumiała — na ustalonych zasadach Ruchu Odrodzeniowego t. j. na ideologji chrześcijańsko-społecznej**). Zalegalizowany w dn. 14 maja 1929 r. Statut organizacji przedstawia jej zadania w sposób następujący:

„Stowarzyszenie ma na celu:

a) Odrodzenie moralne młodzieży polskiej;

b) Wykształcenie i wychowanie jej w duchu zasad Chrystusowych i społecznych wskazań Kościoła katolickiego;

c) Wychowanie w duchu katolickich zasad narodowych;

d) Braterski związek młodzieży pracującej umysłowo z młodzieżą pracującą fizycznie;

e) Wychowanie fizyczne".

Jeżeli będziemy chcieli streścić w kilku słowach najwybitniejsze cechy charakterystyczne organizacji, które ją nietylko

---

**) Patrz: Encyklika Rerum Novarum, Deklaracja ideowa St. Mł. Ak. „Odrodzenie", maj 1925, Zagadnienie społeczne ks. Dr. A. Szymańskiego etc. etc.

odróżniają od innych organizacyj katolickich, lecz także nadają jej specjalne cechy indywidualne w ramach Ruchu Odrodzeniowego — to powiemy: 1) *że Ch.Z.M.P. Odrodzenie jest i pragnie być awangardą idei katolickiej w sferze najbardziej narażonej na niebezpieczeństwo socjalistyczno-komunistyczne—t.j. w sferze młodzieży pracującej fizycznie,* 2) *że zadaniem jego jest wytworzenie w tej sferze elity młodzieży czującej, myślącej i działającej według zasad idei chrześcijańsko-społecznej,* która całe życie pracować będzie dla Chrystusa, Narodu i sprawiedliwości społecznej. 3) *że struktura związku jest zwarta* i centralistyczna, oparta na dużych kompetencjach władz naczelnych i na karności organizacyjnej, 4) *że metoda pracy jest demokratyczna w znaczeniu społecznym*—jedną z najważniejszych cech organizacji jest faktyczna wszechstanowość, oparta na całkowitej i systematycznej współpracy młodzieży pracującej fizycznie z młodzieżą pracującą umysłowo.

Deklaracja ideowa organizacji ujęta jest w dziesięć punktów, zatwierdzonych przez I Zjazd Delegatów z dn. 30.VI. 1929 pod tytułem: 10 przykazań dla członków Ch. Zw. Mł. Pracującej „Odrodzenie".

Dziesięć przykazań dla członków Chrześc. Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie".

1. Przy religji Chrystusowej i Kościele Katolickim wiernie i odważnie stój, przykładem uczciwości i wypełniania swych obowiązków innym świeć!

2. Ojczyźnie swojej, Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej wiernie i ofiarnie służ i pracuj nad tem, aby wszystkie urządzenia życia publicznego były zgodne z zasadami katolickiemi!

3. O sprawiedliwość społeczną, moralne i materjalne podniesienie warstw pracujących w Polsce, rozważnie i zdecydowanie walcz w myśl zasad wiekopomnej encykliki „Rerum Novarum" i innych wskazań Kościoła Katolickiego!

4. Bądź ofiarnym wobec ruchu chrześcijańsko-społecznego moralnie i materjalnie. Pamiętaj, że pracujesz nie dla zadowolenia własnej próżności i ambicyjki, lecz dla ruchu „Odrodzeniowego", a przez to dla dobra Narodu i jego warstw pracujących, dla zrealizowania w nim zasad Chrystusowych.

5. Bądź karnym i posłusznym wobec władz organizacji oraz osób, które te władze reprezentują. Przeciwstawiaj się bezwzględnie wszelkiej anarchji i złej woli, skierowanej przeciwko karności organizacyjnej. Pamiętaj, że Państwo Polskie upadło w wieku XVIII głównie wskutek braku karności i spoistości wewnętrznej w ówczesnym społeczeństwie Polskim.

6. W organizacji wytrwale i systematycznie pracuj. Gdy będziesz sumiennie wykonywał w codziennym żmudnym wysiłku program prac odrodzeniowych, wyrobisz równocześnie własny charakter, uświadomisz się społecznie i wykształcisz swój umysł, serce i wolę.

7. Pamiętaj że sport i zabawa nie jest celem, lecz środkiem organizacji. Sport nasz jest sportem chrześcijańsko-społecznym. Zajmuj się nim, aby zwiększyć sprawność ciała i orzeźwić ducha dla tem lepszego i wytrwalszego kształcenia swego charakteru.

8. Pierwszym twoim obowiązkiem jest znać ideologję ruchu, abyś zawsze i wszędzie mógł odeprzeć ataki przeciwników. Pamiętaj, że bibljoteka nie jest szafą w której leżą książki, lecz szafą, z której się bierze książki i czyta, a sekcje kulturalno-oświatowe są warsztatem pracy, wychowującym działaczy społecznych.

9. Ideologji „odrodzeniowej" i organizacji zawsze i wszędzie dzielnie i odważnie przed atakami przeciwników broń! Pamiętaj, że członek „Odrodzenia" nie może być tchórzem, ani niedołęgą. W walce z przeciwnikami stosuj zawsze metody chrześcijańskie.

10. Pamiętaj, że największym przeciwnikiem ruchu, wrogiem Narodu i warstw pracujących jest socjalizm i komunizm. Z nimi trzeba stale walczyć, uświadamiając najszersze masy młodzieży w duchu zasad chrześcijańsko-społecznych.

Możliwości rozwojowe.

Działalność Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej Odrodzenie jest w pełnym toku i rokuje jaknajlepsze nadzieje na przyszłość.

Cele i metody organizacji odpowiadają potrzebom terenu, w którym działa. W ciągu $2^1/_2$ lat swej działalności wyrobiła już sobie ona podstawę istnienia i rozwoju, z jednego koła rozwinęła się w dwadzieścia kilka kół, pracujących w najbardziej

zagrożonych przez komunizm i socjalizm ośrodkach robotniczych. Możliwości rozwojowe organizacji są bardzo poważne, zależą jednakże — rzecz zrozumiała — od warunków, w których będzie pracować i środków materjalnych.

Na czele organizacji stoją działacze Senjoratu „Odrodzenia", ruchu znanego w szerokich sferach katolickich, którzy oddani są jej całkowicie i nie dopuszczą do zmarnowania placówki, tak dobre rokującej nadzieje.

Stajemy przed społeczeństwem w pełni zrozumienia czekających nas trudnych do spełnienia zadań i ciążących na nas obowiązków. W dalszej pracy, którą będziemy prowadzili, krzepić nas i zasilać będzie wiara w pomoc Bożą, w żywotność i siłę moralną społeczeństwa polskiego i jego młodego pokolenia i głębokie przekonanie, że prędzej czy później idea, o którą walczymy, zapanować musi w życiu naszego Narodu.

Z kraju.

Dlaczego? „Rzeczpospolita" pisze o zjeździe Polaków z zagranicy: Niestety — bliższe z za jego kulis wiadomości nie uprawniają bynajmniej do pięknych i przychylnych konkluzji. Skupiając w sobie po raz pierwszy Polaków ze wszystkich stron świata, dając im możność szczerego wypowiedzenia swoich żalów i organizując stałą Radę (której zadaniem winno być właśnie, aby takich żalów na przyszłość nie było), Zjazd — a raczej ci, co go zorganizowali, wszystko raczej czynili, aby w przyszłości nie bylo lepiej niż dotąd, ale chyba jeszcze gorzej.

Zaczęło się już od samego aktu otwarcia. Wstawiony w skład komitetu organizacyjnego jako jego prezes p. Marszalek Senata Szymański, słynny już na całą Polskę ze swoich politycznych nietaktów, a znany także z wyraźnych wobec katolicyzmu przekonań, nie potrafił się opanować nawet w chwili tak doniosłej, nawet w obliczu tak historycznego momentu, jakim był pierwszy Sejm Polaków na obczyźnie, zebrany na niepodległej polskiej ziemi. Mówiąc o nieobecności delegatów polskich z Litwy i Sowietów p. Marszałek (a raczej p. przewodniczący Senatu, gdyż od marszałkowskiego tytułu p. Szymański teraz dobrowolnie się uchyla) uważał za stosowne powiedzieć także, że „wskutek swoich racji" nie przybyli na Zjazd delegaci polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Stanach Ziednoczonych, a nawiązując do bolszewików dodał:

„Rzecz dziwna, że tak z jednej strony zeszedł się tu bolszewizm, a z drugiej fanatyzm"...

Z przerażeniem słuchała tego niesłychanego ataku przedstawiciela polskiej władzy ustawodawczej, skierowanego pod adresem najpoważniejszej naszej organizacji katolickiej na obczyźnie, cała sala. I dopiero wyjaśnienie, kim jest i jak ze słowem mówionem potrafi się obchodzić p. Szymański, uspokoiło nieco rozgoryczonych delegatów.

Potem jednak przyszło posiedzenie końcowe, odbywane według recepty „nie dyskutować i nie głosowac, a tylko bić oklaski i na wszystko się godzić". I na tem to posiedzeniu przy wyborach do stałej Rady Organizacyjnej Polaków z zagranicy p. Szymański, mimo swego niezwykłego nietaktu, został wybrany „honorowo", natomiast zaś... przepadła kandydatura J. E. ks. Prymasa Polski Hlonda.

Wprawdzie komisja kulturalno-oświatowa, uchwalając szereg rezolucji — w których podnosiła dotychczasowe zaniedbania naszego Rządu w dziedzinie opieki duszpasterskiej nad rodakami na obczyźnie i prosiła go, aby na przyszłość bardziej niż dotąd szedł na rękę syzyfowi nad polepszeniem tych stosunków pracy naszego Episkopatu—dodała także rezolucję, proponującą przyznanie jednego miejsca w Radzie Organizacyjnej ks. Prymasowi Hlondowi. Rezolucja ta — podyktowana zarówno tem, że już od uchwały zjazdu Biskupów w Krakowie w r. 1921 ks. Prymas Polski ma sobie powierzoną naczelną opiekę nad akcją duszpasterską na całej emigracji, że akcję tę bardzo energicznie prowadzi i że z tego tytułu pozyskał sobie najgłębszą wdzięczność wszystkich ośrodków polskich na obczyźnie — została odczytana na plenarnem posiedzeniu końcowem przez zasłużonego w obronie polskości b. posła do Sejmu pruskiego p. Baczewskiego, a Zjazd przyjął ją gromkiemi oklaskami. Nad rezolucjami nie było dyskusji ani głosowań, wszystkie przyjmowano przez aklamację. I oto bezpośrednio po przyjęciu tej rezolucji okazało się przy wyborach Rady, że... komisja główna jej „nie przyjęła". Komisja główna narzuciła swoją koncepcję Rady i tak zorganizowała zebranie końcowe, aby nikt na niem nic nie miał do gadania — poza milczącem potakiwaniem Ks. Prymasa „komisja główna" nie chciała mieć w Radzie!

Tak to odbywał się pierwszy Zjazd Polaków z obczyzny w wolnej Polsce. „Zorganizowano" go — trzeba to już przyznać — całkiem według dzisiejszych obyczajów.

Dlaczego tak postąpiono? Nikt nawet nie uważał za stosowne tłumaczyć. Pozwolono sobie zlekceważyć najwyższego dostojnika w Polsce, pozwolono sobie znieważyć uczucia całej Polski katolickiej. Dlaczego? X.

K. H. Roztworowski o współczesnej literaturze polskiej. Znakomity dramatopisarz i poeta, Karol Hubert Roztworowski wygłosił w Poznaniu odczyt o środkach uzdrowieuia literatury polskiej. Według realizacji zamieszczonej w № 30 „Tęczy", Roztworowski tak ujął to złożone zagadnienie:

„Współczesne pokolenie polskie dlatego zerwało piękne tradycje porozumienia ze swymi piasrzami. ponieważ dzisiejsza twórczość literacka jest mu duchowo obca.

Dziesięć lat pracy nad organizowaniem życia na zgliszczach trzech niszczycielskich egoizmów zaborczych — pochłonęło najżywotniejszą polską energję twórczą. Nie był zainteresowany w tym wyścigu prozaicznej pracy żywioł mniejszości żydowskich, mieszkających w Polsce — ale, korzystając z chwilowego opuszczenia terenu pracy twórczej, zaanektował go, wypełnił swemi o sztuce pojęciami i obwarował obronnemi okopami sprytu, zdolności komercjalnych i niewątpliwych — choć nam obcych i drażniących zdolności. Zluzowana z zajęć aktualnych twórczość polska, wracając na właściwe swe pole działania — musiała pracować albo w myśl narzuconych dyrektyw i kanonów estetycznych, albo ważyć się na zupełne osamotnienie, przemilczenie, a często drwiny chwilowych dyktatorów.

Dla czytelnika to powszechne zluzowanie literatury, tworzonej przez ten odłam mieszkańców Polski, zamiłowanie w ekstrawagancjach, piruetach stylistycznych i pojęciowych, nerwowa transplantacja jednodniowych, nieraz absurdalnych recept estetycznych z rynków międzynarodowych — była wręcz obca, zniechęciła go i odsunęła od książki.

Nie odmawiając wartości i zalet twórczości żydowskiej, jedyne wyjście z tego nieporozumienia widzi Roztworowski w odseparowaniu literatury żydowskiej i polskiej w osobne łożyska W przeciwnym razie ten konglomerat odmiennych dyspozycyj twórczych doprowadzi do tego, że literatura w Polsce zawiśnie w próżni",

Praktyczna realizacja wniosków Roztworowskiego — dodaje od siebie „Tęcza" — jest dosyć trudna. Powiedzie się jednak, jeżeli wprowadzenie ich w czyn oprze się o wzmożoną pracę, talent i uparte dążenie do samodzielności pisarzy polskich. (Gazeta Warsz.)

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Dyskusja w sprawie „Akcji Katolickiej", która toczy się wśród katolików w Polsce uzyskała ostatnio dokument pierwszorzędnej wagi w postaci listu papieskiego sekretarza stanu Kardynała Gasparri'ego do J. Em. Ks. Kardynała, Prymasa Hlonda. Waga tego listu jest tem większa, iż jest on niewątpliwie oficjalnym wyrazem poglądów Stolicy Apostolskiej, a przeto tezy w nim zawarte są obowiązujące dla katolików.

Na wstępie Ks. Kardynał Gasparri zaznacza: *„Z wielką radością swego serca patrzy Ojciec św. na rozwój akcji katolickiej w djecezjach Polski... Ufa Ojciec sw., że chwalebne tradycje i zasługi dziejowe katolickiej Polski, która niegdyś była przedmurzem kultury rzymskiej i Wiary Chrześcijańskiej przeciw groźnym napadom pogańskiego barbarzyństwa, zepsucia muzułmańskiego i odszczepieństwa schyzmy, nietylko się dalej snuć będą nieprzerwanym pasmem, ale się ustawicznie będą pomnażały w zgodnej pracy nad religijnem i obywatelskim odradzaniem narodu, co Ojciec św. przy niejednej uroczystej sposobności określił, jako „udział świeckich w hierarchicznem apostolstwie Kościoła"*.

„Akcja ta — początkami swemi sięga samych apostołów, którzy do chętnej współpracy nad szerzeniem drogocennych

skarbów nauki chrześcijańskiej powoływali i dojrzałych mężów i niewiasty bogobojne, dzielną młodzież i wszystkie stany społeczne, a nawet niewolników i wyzwoleńców, uważając wszystkich za wyzwolonych i uszlachetnionych w Chrystusie". Na ustęp ten zwracamy specjalną uwagę, wskazuje on bowiem, że akcja katolicka winna być jaknajbardziej wszechstronna i faktycznie wszechstanowa, obejmować nietylko warstwy inteligentne, lecz także robotnika i chłopa. Wynika stąd, że metody jej działalności należy dostosować do poziomów i potrzeb poszczególnych warstw. Podkreślenie tego uważamy za bardzo ważne na gruncie polskim... Czytamy dalej w liście następujące ujęcie: „...*akcja katolicka w swej istocie, ze względu na swój cel jest akcją ściśle religijną. Dotyczy ona katolików bez różnicy płci, kultury i stanowiska społecznego, a chociaż ujmuje ich w organizacje, mające swe odrębne cele bezpośrednie, zastosowane do szczególnych warunków członków, to jednak łączy ich prace dla wspólnych interesów i to we wszystkich dziedzinach, zarówno religijnej, jak i obywatelskiej, w rodzinie i szkole, w życiu prywatnem i publicznem*".

Powtarzamy raz jeszcze: „*a chociaż ujmuje ich w organizacje... to jednak łączy ich prace dla wspólnych interesów i to we wszystkich dziedzinach*". Jest więc akcja katolicka organizacją, ale nie taką, jak szereg innych organizacyj katolickich, lecz organizacją specjalną, której zadaniem jest wytworzenie pewnego rodzaju syntezy życia katolickiego w danym kraju, która będzie działać za pomocą pierwiastków wspólnych wszystkim katolikom bez względu na ich przekonania polityczne, interesy klasowe, zainteresowania życiowe i t. d. Nie jest więc jej zadaniem pochłonięcie, czy osłabienie istniejących już na naszym gruncie organizacyj katolickich, aby stać się jedyną i wyłączną, lecz raczej zajęcie specjalnego stanowiska ponad istniejącymi zrzeszeniami katolickiemi w celu łączenia ich prac „dla wspólnych interesów i to we wszystkich dziedzinach".

Myśl ta znajduje potwierdzenie i uzupełnienie w dalszych słowach listu: „*Z tego względu więc akcja katolicka korzystać będzie przedewszystkiem z pracy innych katolickich dzieł i instytucji, osobliwie tych stowarzyszeń i organizacji, które sposobią się do głębszego życia chrześcijańskiego. Nadewszystko*

zaś obejmuje ona katolickie organizacje młodzieży, która z łatwością i zapałem podejmuje się czynnego apostolstwa, ale wprzód powinna przejąć dobrą szkołę życia wewnętrznego, z którego wszystkie zewnętrzne czyny czerpią swą treść i skuteczność nadprzyrodzoną.

Ta specjalna zachęta do objęcia przez akcję katolicką organizacji młodzieży, która się łączy zresztą z podkreśleniem w innej części listu „dwuch anielskich wzorów młodzieży: św. Kazimierza i św. Stanisława Kostki" jest bardzo charakterystyczna i wskazuje, że Stolica Apostolska zwróciła specjalną uwagę na potrzebę zorganizowania młodzieży polskiej pod sztandarami Chrystusowymi i wychowania jej według zasad katolickich Oczywiście, jak wynika z innych części listu, chodzi tutaj—nietylko o młodzież inteligentną lecz również o młodzież warstw pracujących fizycznie, która jest u nas w Polsce szczególnie zaniedbana i narażona na wpływy pogaństwa.

List Ks. Kard. Gasparri'ego jest dużym krokiem naprzód w kierunku wyjaśnienia stosunku akcji katolickiej do polityki. Przytaczamy cały, ważny ustęp, dotyczący tego zagadnienia.

Wreszcie z akcji katolickiej wynosić będą katolicy najwznioślejsze natchnienie i najskuteczniejszą podnietę do udziału w życiu publicznem w zakresie obowiązkowej współpracy obywateli katolików dla dobra ogólnego i dla pomyślności społeczeństwa.

Wszelako akcja katolicka zgodnie ze swą naturą i powyższemi celami nie tworzy, jako taka, żadnego stronnictwa i nie służy ani prywatnym interesom, ani specjalnym celom politycznym. Trzymać się ona będzie poza i ponad stronnictwami politycznemi i poza ich, choćby słusznemi walkami, pozostawiając w tym względzie jednostkom swobodę osobistych sympatji i postępowania, oczywiście, w ramach nauki katolickiej i pod warunkiem należytego ustosunkowania interesów podrzędnych i prywatnych do ogólnych i najwyższych.

Sprawa jest postawiona zupełnie jasno i dobitnie. Z tych słów widzimy, że ci z katolików, którzy, niestety, w dość poważnej u nas liczbie nie interesuje się zupełnie zagadnieniami publicznymi i chcieliby znaleść w akcji katolickiej antidotum przeciwko podkreślonym u nas w opinji publicznej obowiązkom życia społecznego — nie znajdą w oficjalnym stanowisku Sto-

licy Apostolskiej potwierdzenia swoich wygodnych, małodusznych poglądów. Przeciwnie, list mówi wyraźnie o „obowiązkowej współpracy obywateli katolików dla dobra ogólnego i dla pomyślności społeczeństwa“ i jako jedno z zadań akcji katolickiej stawia „najwznioślejsze natchnienie i najskuteczniejszą podnietę do udziału w życiu publicznem w zakresie obowiązkowej współpracy“...

Należy więc odróżnić dwie rzeczy: 1) Obowiązek katolików do brania udziału w pracy obywatelskiej i publicznej, z ktorego akcja katolicka wcale nie zwalnia, lecz przeciwnie wychowywać ma w ten sposób swoich członków, iżby zrozumieli konieczność spełnienia tego obowiązku. Ma to specjalne znaczenie na terenie polskim wobec grożącej nam walki o małżeństwo i szkołę katolicką oraz zachowanie praw Kościoła. 2) Bezpartyjność samej akcji katolickiej, jako organizacji jednoczącej wszystkich katolików bez względu na różnicę poglądów politycznych i kierowany przez hierarchję duchowną, która ze względu na swoją rolę w społeczeństwie musi być bezstroną politycznie i niezależna od poszczególnych fluktuacji i posunięć życia codziennego. Chodzi tutaj o to, aby nie akcja katolicka służyła danej partji, lecz przeciwnie, aby wszystkie stronnictwa o charakterze katolickim były na usługach szeroko pojętej akcji katolickiej.

Rzecz oczywista, list, podaje tylko ogólne nastawienia, pozostawiając Episkopatowi polskiemu, duchowieństwu i współdziałającym z hierarchją katolikom świeckim rozwiązanie szeregu zagadnień życiowych, które będą się stopniowo wyłaniały przy wznoszeniu szyków akcji katolickiej w Polsce.

Akcja katolicka a polityka.

Pod tym tytułem zamieszczamy odpowiedź na naszą ankietę na temat akcji katolickiej pióra p. Hieronima Tarnowskiego. Zaznaczamy, iż Redakcja Pro Christo postanowiła zamieszczać odpowiedzi na ankietę in extenso, traktując je wszystkie, jako materjał do dyskusji i nie biorąc oczywiście odpowiedzialności za poszczególne poglądy autorów.

Pragnę odpowiedzieć na pytanie, czy katolicy w Polsce powinni prowadzić akcję o celach politycznych i jaką — oraz czy powinni dążyć do stworzenia katolickiej partji politycznej. Zacznę od tego drugiego.

Jestem przeciwny tworzeniu partyi politycznej katolickiej, a to z następujących powodów:

Po pierwsze, dla powodu zasadniczego. Integralną cechą charakterystyczną katolicyzmu jest jego uniwersalizm. W stosunkach międzynarodowych Kościół katolicki, jakkolwiek najbliższe mu są oczywiście Państwa katolickie, to przecież nie wiąże sprawy katolicyzmu z interesami *politycznymi* jednego lub kilku Państw, nie identyfikuje jej z nimi, lecz stale i ściśle przestrzega swego stanowiska uniwersalnego, nad-narodowego i swej niezależności od gry politycznej, międzynarodowej. Uważam, że podobnież katolicyzm w Polsce musi zachować swoje stanowisko ponadpartyjne, uniwersalne, niezależne od polityki partyjnej—co więcej, że związanie sprawy katolicyzmu w Polsce z jedną partją polityczną byłoby obniżeniem i zacieśnieniem katolicyzmu, byłoby rzeczą przeciwną samejże koncepcji, samej naturze akcji katolickiej.

Powtóre, dla następujących powodów praktycznych:

a) Partja polityczna katolicka w swojej taktyce na terenie parlamentarnym musiałaby oczywiście wchodzić w chwilowe porozumienia, czy sojusze z innemi partjami odnośnie do różnych bieżących spraw. W tem kryje się niebezpieczeństwo bardzo wielkie. Weźmy przykład: Przypuśćmy, że w jakiejś sprawie do-

tyczącej robotników fabrycznych tworzyłaby ona chwilowo wspólny front z N. P. R. Ponieważ jednak interesa ekonomiczne robotnika fabrycznego są wprost przeciwne interesom drobnego rolnika — przeto katolicka partja polityczna stanęłaby w przeciwności z temi ostatniemi. Wyzwolenie zaś i Stronnictwo Chłopskie przedstawiłyby sprawę w ten sposób, że już nie *Partja katolicka* ale *Kościół katolicki* jest wrogi interesom chłopa i zyskałyby bardzo wdzięczny atut dla swojej propagandy antyreligijnej. Prócz tego, ponieważ żadna partja polityczna nie może być nieomylną, przeto nie ulega kwestji, że partja katolicka w sprawach czysto politycznych, czy ekonomicznych popełniałaby nieraz pomyłki. A bezwzględnym pewnikiem jest, że każda pomyłka partji politycznej, firmującej 'katolicyzm w Polsce,' byłaby wyzyskana przez wrogów kościoła jako broń zaczepna przeciw katolicyzmowi, jako takiemu.

b) Katolicka partja polityczna, jeżeliby miała istotnie i godnie swemu celowi służyć, musiałaby składać się — przynajmniej o ileby chodziło o osoby grające rolę w stronnictwie — z ludzi absolutnie wolnych od jakichkolwiek celów osobistych i od jakiejkolwiek przymieszki partyjnictwa. Czy zaś dużo takich ludzi jest w Polsce, zwłaszcza między politykami? A do kierownictwa partją trzeba polityków zawodowych. Gdyby zaś partja polityczna katolicka dopuszczała do swego grona polityków zawodowych bez względu na ich charakter, to w takim razie groziłoby jej niebezpieczeństwo, że jej cel zostanie spaczony. Ludzie bowiem mający mało skrupułów łatwiej od innych wybijają się na stanowiska kierownicze. A wtedy bardzo łatwo stać by się mogło, że mimo najlepszej wiary i woli większości członków partji katolickiej, „leaderzy" jej reprezentacji parlamentarnej mieliby za istotny cel swoje interesa osobiste, lub uboczne względy polityczne, a sprawy katolicyzmu używaliby jedynie jako płaszczyka.

Z powyższych trzech powodów przeciwny jestem tworzeniu katolickiej partji politycznej.

A przecież my katolicy mamy absolutny obowiązek wpływania na politykę Państwa, starania się, by szła ona po linji światopoglądu katolickiego, bronienia Kościoła przed uchwalaniem przez Izby ustawodawcze ustaw mu wrogich. Dlatego obowiązkiem naszym jest mojem zdaniem prowadzić *akcję o ce-*

lach politycznych, nie mającą jednak charakteru roboty polityczno-partyjnej.' Akcję tą nazwałbym Publiczną Akcją Katolicką — wyobrażam ją zaś sobie w sposób następujący:

a) Co do organizacji.

Publiczna akcja katolicka powinna być armją obronną katolicyzmu. Istotę zaś armji stanowi różnorodność rodzajów broni i zakresu działania każdego z nich w ramach jednej wspólnej organizacji, jednego ogólnego planu działania pod kierownictwem jednego Sztabu Generalnego i jednego Naczelnego Dowództwa.

Czy dotychczasowa akcja katolicka na polu publicznem a więc w pierwszym rzędzie działalność prasowa katolicka posiada te charakterystyczne cechy armji? Niestety nie. Mamy naprzykład sporą ilość katolickich perjodyków, przeznaczonych dla tych samych warstw społecznych i idących po identycznej niemal wytycznej—a jednak każdy z tych miesięczników, dwutygodników i tygodników idzie luzem. Wskutek tego każdy cierpi na brak środków finansowych, szczupła ilość czytelników i wszystkie wynikajace z tego konsekwencje. Przy sprawnej organizacji akcji prasowej publikacje o tymsamym charakterze, rodzaju i zakresie działania zostałyby sfuzjonowane w jedno wydawnictwo. To wydawnictwo miałoby prenumeraty wszystkich sfuzjonowanych wydawnictw, a opłacałoby tylko jedną redakcję i administrację. W skutek tej oszczędności wydawnictwo to mogłoby podnieść swoją jakość, powiększyć nakład i rozmiar, a w rezultacie i wpływ swój bardzo znacznie rozszerzyć i stanąć silnie finansowo. Między publikacjami zaś o różnym charakterze i zakresie działania powinna istnieć ścisła łączność i planowa, skoordynowana współpraca, której dzisiaj trudno się dopatrzeć.

Ta więc dotychczasowa działalność katolicka na polu publicznem nie ma charakteru armji, lecz jest prowadzona, żeby się tak wyrazić, *po partyzancku*. Naprzeciw nas zaś stoi *armja* wrogów Krzyża, doskonale zorganizowana, działająca sprawnie i celowo we wszystkich dziedzinach życia, od areny parlamentarnej poprzez szkołę, prasę, literaturę aż do kiną i mody. To też doszliśmy do tego absurdalnego stanu rzeczy, że w kraju o ogromnej większości katolików, Sejm kasuje rozporządzenie ministerjalne zaprowadzające obowiązek praktyk religijnych

w szkołach, że grożą nam śluby cywilne i rozwody, że wreszcie zaczyna się w Polsce głośno mówić o rozdziale Kościoła od Państwa. Jedno z dwojga: albo naprzeciw armji wrogów Krzyża stanie *armja* Jego obrońców, silnie zorganizowana, jednolicie, celowo działająca i planowo a sprężyście prowadzona — albo dawne „Przedmurze Chrześcijaństwa" nie będzie Państwem katolickiem.

W jaki sposób możnaby nadać publicznej akcji katolickiej charakter i sprawność armji a nie partyzantki?

Kopułą łączącą w sobie wszystkie bez wyjątku kierunki obywatelskiej działalności katolickiej, oraz Sztabem Generalnym i Naczelnem Dowództwem owej „publicznej akcji katolickiej" o celach polityczno-państwowych, powinna być Liga Katolicka— tak jak Fédération Nationale Catholique we Francji—z centralą w stolicy i z filjami djecezjalnemi i parafjalnemi. Do Ligi Katolickiej musiałyby zatem należeć obowiązkowo, jako poszczególne oddziały owej Armji Krzyża, wszystkie bez wyjątku Stowarzyszenia katolickie, czyto czysto dewocyjne, jak Sodalicje i Bractwa, czy takie, jak Stowarzyszenie Pisarzy Katolickich i Towarzystwo „Dobra Prasa" w Płocku, czy charytatywne, jak Św. Wincenty á Paulo, czy robotnicze, jak „Przyjaźnie" „Katoliccy Terminatorzy" Ojca Kuznowicza, Stowarzyszenie Sług im. Św. Zyty, czy „Matki Chrześcijańskie", „Niewiasty Katolickie"—oraz oczywiście wszystkie rodzaje prasy katolickiej.

Każda z tych „jednostek taktycznych" akcji katolickiej pracowałaby oczywiście tak jak dotąd w swoim zakresie działania i z jaknajszerszą w tym zakresie autonomją—ale działalność każdej z nich powinnaby być celową cząstką ogólnego i jednolitego planu „strategicznego", owej publicznej akcji katolickiej i powinna zadanie swoje odnośnie do tego planu spełniać. Ten zaś plan strategiczny publicznej akcji katolickiej wypracowywałaby i nad jego wykonaniem czuwałaby centrala Ligi Katolickiej.

Na to zaś, by działalność tej ostatniej odpowiadała zawsze i we wszystkiem dezyderatom Episkopatu, oraz na to, by Liga Katolicka miała należny autorytet wobec „jednostek taktycznych" publicznej akcji katolickiej — uważałbym za bardzo pożądane (o ile jakieś ważne powody nie sprzeciwiałyby się temu) by w centrali Ligi Katolickiej zasiadał stale, wyposażony w szero-

kie prawa upełnomocniony delegat każdorazowego Prymasa Polski, jako Głowy Kościoła Katolickiego w Polsce. Centrala Ligi Katolickiej mogłaby oczywiście porozumiewać się od wypadku do wypadku z istniejącemi partjami politycznemi, stojącemi na platformie Katolicyzmu.

Jestem przekonany, że w ten sposób możnaby stworzyć organizację Publicznej Pracy Katolickiej bez porównania liczniejszą i mającą o wiele więcej warunków po temu, by była silnie zorganizowaną, sprawną i planowo działającą, niżby nią być mogła katolicka partja polityczna.

b) Jak wyobrażam sobie—jaknajpobieżniej oczywiście, siłą rzeczy — kierunki działania tak zorganizowanej publicznej akcji katolickiej na arenie naszego życia narodowego i państwowego?

1) Piewszą przesłanką i nieodzownym warunkiem powodzenia wszelkiej publicznej akcji katolickiej, jest wpojenie w nasze społeczeństwo przekonania, że, jak obowiązkiem każdego dobrego Polaka jest przekładać interes Państwa ponad partyjny punkt widzenia — tak też obowiązkiem każdego prawdziwego katolika jest: w jego życiu publicznem, o ile chodzi o sprawę i o prawa katolicyzmu, uważać swoją przynależność do Kościoła katolickiego i wynikający z niej obowiązek bronienia religji, za obowiązujące w wyższym stopniu, niż solidarność i dyscyplinę klubową, czy partyjną i obowiązki z nich wynikające.

Gdyby wszyscy katolicy zasiadający w Sejmie i Senacie byli przejęci tem przeświadczeniem, to nie zostałaby uchwalona rezolucja przeciwko okólnikowi Pana Ministra Bartla w sprawie praktyk religijnych w szkołach, to ze spokojem moglibyśmy oczekiwać głosowania nad „reformą prawa małżeńskiego". Jeżeli to przekonanie przejdzie w krew katolickiej większości naszego społeczeństwa, to jakże łatwą będzie obrona religji na terenie parlamentarnym. Wtedy, jeżeli grozić nam będzie jakaś wroga ustawa, to na wezwanie Episkopatu, czy Ligi Katolickiej jako centrali akcji katolickiej, nie jedna katolicka partja polityczna, ale — jak to odpowiada uniwersalnemu charakterowi katolicyzmu — wszyscy prawdziwi katolicy z wszystkich stronnictw politycznych dawać będą odpór zakusom wrogów.

2) Drugi nieodzowny fundament publicznej akcji katolickiej u nas jest następujący: Ogromna większość naszych katolików stoi z braku uświadomienia na stanowisku socjalistycznego

aksjomatu, że religja, to rzecz czysto osobista i prywatna. To też u nas katolicy wierzący i skrupulatnie praktykujący nie wahają się abonować prasę areligijną, jeżeli nie antyreligijną, oddawać głos na członka stronnictw wrogich Kościołowi — i uważają, że czyniąc to w niczem nie uwłaczają obowiązkom katolika. Jeżeli Polska ma być Państwem katolickiem, to katolicy w Polsce muszą zrozumieć, że katolicyzm, to nie jest jedynie stosunek jednostki ludzkiej do Stwórcy, lecz że zawiera on organiczną koncepcję życia tak jednostki, jak rodziny, narodu, Państwa, świata całego, że wszelkie stronnictwa, choćby nawet nie jawnie antyreligijne,—których podstawą jest światopogląd monistyczny i materjalistyczny, są duchowi katolicyzmu przeciwne i że żaden Katolik do stronnictw takich należeć, ani ich w jakikolwiek sposób popierać nie może.

Jeżeli powyższe dwa przeświadczenia przenikną do świadomości i sumienia katolików w Polsce, to możemy być spokojni, że polityka Państwa Polskiego nie będzie mogła pójść po linji wrogiej Kościołowi katolickiemu.

3) Za bardzo skuteczny środek publicznej akcji katolickiej uważam oddziaływanie bezpośrednie tak na społeczeństwo, jak na Izby Ustawodawcze i na Rząd przez silną katolicką opinję publiczną. Na ten sposób kładzie duży nacisk Fédération Nationale Catholique, która według swego Statutu „jest obcą wszelkim partjom politycznym i wszelkiej polityce partyjnej, przyjmuje członków wszelkich stronnictw politycznych, byle nie sprzeciwiały się temu względy natury religijnej, lub moralnej". Fédération Nationale Catholique zaleca swoim członkom pracę publiczną i obywatelską, polegającą na budzeniu sumienia narodowego i katolickiej opinji publicznej, a jako środki po temu wskazuje, „artykuły prasowe, wiece, referaty i odczyty, broszury, ulotki, afisze, petycje i protesty, mające być posyłane członkom Rządu i Izb parlamentarnych, oraz ogłaszane w prasie". A jeden z Biskupów francuskich w liście do Fédération National Catholique wskazuje na to, że wrogowie Chrześcijaństwa, socjaliści i komuniści gdy chodzi o przeprowadzenie ich postulatów, zasypują ministerstwa i posłów petycjami, protestami, deputacjami, urządzają pochody demonstracyjne na ulicach— i zwykle cel swój osiągają. I zapytuje: „dlaczego my Katolicy

nie mielibyśmy w tem ich naśladować, oczywiście w granicach naszej etyki?"

To iest mojem zdaniem najtrafniejsze ujęcie, jaką powinna być działalność publiczna i obywatelska katolików w Polsce: budzenie sumienia narodowego, wytwarzanie katolickiej opinji publicznej i dawanie im możności wypowiedzenia się wobec kraju i Rządu. W czasach demokratycznych żaden Rząd, jakiby nie był, nie może nie liczyć się z opinją ogromnej większości kraju — o ile ta opinja będzie istotnie opinja publiczną, jeżeli da wyraz swemu przekonaniu nie w prywatnych rozmowach u znajomych, ale publicznie jawnie, odważnie ale spokojnie, po męsku.

A tego rodzaju akcji u nas brak zupełny. Ile od czasu jak grozi nam dopuszczalność ślubów cywilnych i rozwodów, ile odbyło się po wszystkich parafjach Polski wieców, wyjaśniających, czem byłyby one dla religji, czem dla dobra Państwa? Ile odbyło się wieców protestacyjnych przeciw ich wprowadzeniu, przeciw zniesieniu okólnika Pana Ministra Bartla w sprawie praktyk religijnych w szkołach? Ile na około 20 miljonów Katolików w Polsce, ile zebrano podpisów na listach protestujących przeciwko tym faktom? Gdyby takich podpisów zebrano choć trzy miljony, da li Bóg, nie groziłyby nam dziś śluby cywilne i rozwody! Nostra culpa, nostra maxima culpa! A czyż odpowiedzią na każdy pochód socjalistyczny na 1-go Maja podczas którego widnieją napisy „Żądamy szkoły laicznej", „Żądamy rozdziału Kościoła od Państwa" — nie powinien być bezpośrednio po nim dziesięćkroć liczniejszy pochód demonstracyjny katolicki z hasłami: „Żądamy dotrzymania Konkordatu", „Żądamy nierozerwalności małżeństwa", „Żądamy religijnego wychowania", „Żądamy walki z pornografją" etc?

Jestem przekonany, że konsekwentne, ciągłe dawanie wyrazu katolickiej opinji i katolickim postulatom nie tylko może, ale musi wywrzeć na wytyczne postępowania Państwa wpływ ogromny, dużo większy, niżby wywierać mogła katolicka partja polityczna. Bo żadna partja polityczna nie będzie miała i nie może mieć tego wpływu na Izby Ustawodawcze i na Rząd, co wspólny i równoczesny głos wszystkich Katolików w Polsce. Taki głos musi mieć i będzie miał posłuch.

Ale na to, by głos ten mógł się w odpowiedni sposób odezwać i wywrzeć należyty skutek, trzeba stworzyć warunki

po temu. Dlatego reasumując, można za najważniejsze zadania publicznej akcji katolickiej, zamiast tworzenia partji politycznej katolickiej uważać zadania następujące:

1) Zorganizować istniejące stowarzyszenia katolickie i prasę katolicką według jednolitego planu publicznej akcji katolickiej pod egidą Ligi Katolickiej, która ma obmyślać i kierować tą akcją publiczną katolicką, skupiając w niej Katolików należących do wszelkich partyj politycznych, o ile nie będą się temu sprzeciwiały odnośne do każdego z nich względy natury religijnej i moralnej.

2) Zasadniczemi kierunkami publicznej działalności Katolików powinny być: budzenie sumienia narodowego i katolickiej opinji publicznej, wpajanie w katolików przeświadczenia, że obowiązek solidarności katolickiej w życiu publicznem i obrony wiary przewyższają wszelkie względy na solidarność i dyscyplinę partyjną; konsekwentne ciągłe wpływanie na społeczeństwo, na Izby Ustawodawcze i na Rząd przez publiczne affirmowanie praw i postulatów Katolicyzmu wszelkiemi dozwolonemi przez naszą etykę i przez prawa państwowe środkami: od żywego słowa i prasy aż do masowego wypowiadania się Katolików przez petycje, protesty i pochody demonstracyjne.

Hieronim Tarnowski.

Ratujmy powołania.

„Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało".

Jedną z potrzeb niezwykle u nas pilnych, a bardzo ważnych dla Kościoła jest sprawa ratowania powołań duchownych, zorganizowania pomocy dla niezamożnych aspirantów do stanu duchownego. Spotykamy ich prawie wszędzie. Wobec podniesienia poziomu naukowego Seminarjów Teologicznych wstąpienie do nich dla większości aspirantów ze wsi, kończących zwykle szkoły powszechne, jest zbyt utrudnione. Seminarja niższe i zakłady zgromadzeń zakonnych nie wszędzie istnieją. Gimnazja państwowe przeważnie są niedostępne z powodu braku wakansów i zbyt częstego przerośnięcia tych chłopców. Zresztą nawet najbardziej umiarkowane opłaty nauk i utrzymania w tych zakładach dla większości z nich są niemożliwe. Wobec czego wielu aspi-

rantów po kilku nieudanych próbach kształcenia się prywatnie rezygnuje wreszcie ze swych pięknych zamiarów z wielką stratą dla Kościoła. Strata ta jest tem boleśniejsza, gdy się zważy, że w wieku dwudziestym po Chrystusie przeszło miljard osób jeszcze nie zna prawdziwego Boga, że w wielu krajach religja straszliwie upada i odczuwa się wielki brak powołań duchownych, że w odrodzonej naszej Ojczyźnie w porównaniu ze stanem przedwojennym liczba księży prawie wcale się nie zwiększyła, choć wzrosły tereny pracy apostolskiej i choć straszliwie się wzmogły agitacje i prądy przeciwreligijne, szerzące wszędzie nienawiść, zepsucie i niewiarę; że nasz udział w akcji misyjnej jest bardzo znikomy, choć coraz większe otwierają się przed nami jej tereny i choć częściowo winniśmy zastąpić w tej pracy również inne narody walczące we własnym kraju z brakiem duchowieństwa i t. d.

Niestety, powołaniom chłopców niezamożnych zbyt mało udzielamy uwagi, jakgdyby potrzeba pracowników na niwie Chrystusowej, o których Chrystus zalecił się modlić, wcale nas nie wzruszała... Co zaś najgorsza, niezamożnych aspirantów do stanu duchownego zbyt często posądzamy o brak czystości intencji, o to, że dążą do kapłaństwa z pobudek czysto ziemskich. Wprawdzie zdarzają się i tacy, wszakże, Bogu dzięki, są to tylko nieliczne wyjątki, znaczna zaś ich większość, choć może niezawsze sobie uświadamia całą świętość stanu kapłańskiego, ma jednak dobrą wolę, przy której intencję można podnieść, oczyścić i uświęcić. Zresztą pomoc naszą dla tych chłopców możemy a nawet powinniśmy uzależnić od tego, czy się zgodzą zostać kapłanami zakonnymi, lub w jaki inny sposób zobowiązać ich do ubóstwa. Wszak ubóstwo nietylko duchowe, lecz rzeczywiste, jest nieodzownym warunkiem owocności pracy kapłańkiej, jak to Chrystus wyraźnie zaznacza podług wszystkich ewangelistów, mówiących o rozesłaniu uczniów i apostołów:

„Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych: ani mieszka w drodze, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski..." (Mat. 10,9).

„Nie bierzcie nic w drodze, ani laski, ani torby, ani chleba, ani pieniędzy: ani po dwie suknie miejcie... Nie noścież mieszka, ani torby, ani butów..." (Łuk. 9,3—10,4).

„I rozkazał im, aby nic na drogę nie brali: jedno tylko laskę: ani torby, ani chleba, ani pieniędzy w trzosie...”

(Mar. 6,8).

Kapłan ubogi, bezinteresowny to prawdziwy apostoł Chrystusowy. Ubóstwo zaś dla księży z ludu jest łatwiejsze, nie zwiększa innych ciężarów stanu kapłańskiego. Wiem z doświadczenia, że większość niezamożnych aspirantów chętnieby się zgodziła przed przyjęciem święceń kapłańskich obok czystości ślubować również ubóstwo, gdyby Stolica Apostolska przychyliła się do wprowadzenia dla nich tego ślubu.

Z drugiej strony uczucie religijne w sercu każdego człowieka kryje się najgłębiej. Wpływać na nie i odpowiednio urabiać dusze mogą tylko osoby najbardziej zaufane. Dla pozyskania zaś zaufania ludu, tworzącego olbrzymią większość wiernych w każdej parafji wiejskiej potrzebni również są księża z ludu. Zdaje się, że tylko z tego względu Jezus Chrystus powołał pierwszych apostołów z ludzi zupełnie prostych z wyjątkiem jednego z klasy urzędniczej, celnika Mateusza, nie zaś z inteligencji, choć z pewnością nie brakowało w niej również gorliwych naśladowców Chrystusa, inteligentniejszych a więc zdolniejszych krzewicieli Jego nauki, i choć wówczas nie było tak wielkiego podziału społeczeństwa na klasy i takiej nienawiści klasowej jak obecnie. Każde powołanie do wyłącznej służby Bożej jest skarbem olbrzymim, naszym więc obowiązkiem jest niem się zaopiekować, by nie zmarniało, skierować je tam, gdzie przyniesie największy pożytek dla sprawy Bożej.

W wielu innych krajach dla ratowania powołań duchownych już dawno powstały specjalne Dzieła. Zwłaszcza pięknie rozwija się założone w 1871 r. „L'Oeuvre de Notre-Dame des Vocations”, które już wydało 2500 kapłanów, 3 biskupów i 1 arcybiskupa. Dzieło to składa się z Alumnatów i Stowarzyszenia.

Alumnaty mają na celu wychowanie i kształcenie aspirantów do stanu duchownego, pochodzących z rodzin niezamożnych. Zupełną wolność otrzymują potem ci uczniowie w dowolnym obiorze dla siebie stanu misjonarza, zakonnika lub kapłana świeckiego.

Regulamin Alumnatów odpowiada duchowi dawnych szkół biskupich i klasztornych, decyzjom Soboru Trydenckiego i Benedykta XIV, oraz przepisom Encykliki Piusa IX z dn. 6.XII.

1849 r. Główne z tych przepisów są następujące: ścisłe przestrzeganie warunków przyjęcia, przyjmowanie narazie tylko na próbę, przyjmowanie ostateczne tylko po surowej próbie, niewielka liczba uczniów dla utrzymania ducha rodzinnego, opieka ścisła i ojcowska, życie rodzinne ubogie i twarde, pewna praca ręczna, niespędzanie w domu wakacyj.

Wychowanie religijne uczniów polega na codziennych wykładach, stosownie do wieku chłopców, Pisma św. żywotów świętych, ważniejszych wydarzeń z dziejów Kościoła, udziale w nabożeństwach i t. p. Wierność Papieżowi, przywiązanie do Kościoła, gorliwość o Królestwo Chrystusowe i zbawienie dusz, żywa pobożność, moralność bez skazy, szczerość i prostota, grzeczność w obcowaniu i wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny Marji Królowej Kościoła: oto w ogólnych zarysach duch wychowania chłopców. Przełożony używa swej władzy dla wczesnego wyrobienia stałych nawyknień do posłuszeństwa.

Niezależne od programów uniwersyteckich Alumnaty dzielą się na Gramatyczne (kurs trzyletni) i Humanistyczne (kurs dwuletni). Jedne i drugie Alumnaty są różnemi zakładami. Żadnego ucznia nie przeprowadza się z jednego Alumnatu do drugiego bez poważnego egzaminu, stwierdzającego, że uczeń osiągnął poziom klasy szóstej gimnazjów świeckich. Po ukończeniu humanistyki uczniowie podług własnego wyboru wstępują do Seminarjum Wyższego, do Misyj lub do Zakonu.

Warunki przyjęcia: Jedne dotyczą chłopców, drugie rodziców lub opiekunów.

Dla chłopców: Prawne urodzenie; wiek od jedenastu do czternastu lat; organizm zdrowy i wytrzymały; charakter stały i łagodny; pobożność, życie przykładne; szczera chęć zostania kapłanem; wykształcenie w zakresie wyższej szkoły powszechnej stwierdzone wstępnym egzaminem; wybitniejsza zdolność; gotowość poddania się wszystkim regułom Alumnatów i wstąpienie do tego Alumnatu, który wskażą mu przełożeni.

Dla rodziców lub opiekunów: Dobra opinja społeczna; brak środków dla kształcenia syna w Seminarjum Niższem; przyrzeczenie niesprzeciwiania się obiorowi przez syna stanu duchownego świeckiego, zakonnego lub misyjnego; wyrażenie zgody na regulamin Alumnatów zwłaszcza na zakaz spędzania w domu wakacyj; zezwolenie przełożonym wybierania dla chłopca Alum-

natu; zasilanie Alumnatów możliwemi datkami w gotówce i naturze od siebie i od dobroczyńców, których im się uda pozyskać

Wymagane papiery do podania o przyjęcie: 1) Metryka urodzenia, 2) Świadectwo ks. proboszcza, przełożonych i nauczycieli chłopca o jego sprawowaniu, charakterze, zdolnościach ogólnych i szczególnych, zwłaszcza o dostrzeżonych oznakach jego powołania do stanu duchownego, 3) Własnoręczne pismo chłopca wyrażające to pragnienie i zawierające przyrzeczenie poddania się regułom Alumnatów, 4) Świadectwo lekarskie o dobrym stanie zdrowia, 5) Zobowiązanie pisemne rodziców, lub opiekunów poddania się regułom Alumnatów, jak również opłacania corocznie ks. dyrektorowi Dzieła pewnej określonej sumy pieniędzy stosownie do swej zamożności. Dzieło ma prawo żądać od rodziców lub opiekunów chłopca, w razie niedotrzymania przez nich swych zobowiązań, zwrotu kosztów utrzymania chłopca od dnia jego wstąpienia do chwili wystąpienia.

Stowarzyszenie tejże nazwy ma na celu popieranie powołań duchownych przez okazywanie Alumnatom pomocy modlitwą i ofiarami połączonemi z umartwieniem, Alumnaty bowiem czerpią środki utrzymania głównie z ofiarności wiernych i tylko w bardzo małym stopniu z tego, co biedni rodzice mogą dostarczać swym uczniom.

Dla uczestnictwa w Stowarzyszeniu, zgodnie z reskryptem Piusa IX z dn. 10.6.1875 r., wystarcza wpisać się na listę Założycieli, Protektorów lub Dobroczyńców.

1. Założyciele dzielą się na: a) dożywotnich, opłacających Alumnatom dożywotnią składkę roczną 500 franków i b) zwyczajnych, którzy sami lub wspólnie z innymi wykształcą na kapłana jednego przybranego chłopca, za którego płacą rocznie 500 franków.

Protektorzy opłacają corocznie prywatnie lub zbiorowo 50 franków.

Dobroczyńcy są dwojakiego rodzaju: a) Zelatorzy i Zelatorki, którzy, stojąc na czele dwunastu członków (na pamiątkę dwunastu apostołów), wpłacają corocznie 12 franków, oraz b) Członkowie zwyczajni, których składka może się wahać od 10 do 1 franka rocznie.

Stowarzyszenie to zostało wzbogacone następującemi odpu-

stami, których mogą dostąpić wszyscy stowarzyszeni i które całkowicie mogą być ofiarowane za dusze w czyścu:

Indultem z dn. 10/6.1875 r.: a) Odpust zupełny w dniu przyjęcia, b) Odpust zupełny w godzinę śmierci, c) Odpust zupełny w święta Bożego Narodzenia, Zesłania Ducha św. i Niepokalanego Poczęcia N. M. P., d) Odpust zupełny raz na miesiąc w dniu dowolnie obranym z warunkiem odmawiania codziennie na intencję Alumnatów jednego Zdrowaś Marja i regularnego opłacania choćby najniższcj składki 1 franka rocznie.

Brewem z dn. 6/8.1896 r.: Odpust zupełny w święta Wniebowzięcia N. M. P. każdego z dwunasttu apostołów, św. Augustyna i św. Moniki.

Ponadto członkowie Stowarzyszenia uczestniczą w zasługach wszystkich dobrych uczynków kapłanów wykształconych przez Alumnaty: we mszach św., kazaniach, egzekwjach i t. d. Msza św. co tydzień, komunja św. i modlitwy codziennie są ofiarowywane przez wychowawców i uczniów Alumnatów za wszystkich dobroczyńców żywych i umarłych.

Dziełem kierują ks. Assompcjoniści. Jego dyrektorem jest obecnie l'abbé Maximin Vion, 9, rue Montessuy, Paris—VIIe.

Dzieło to jest dla nas przykładem, jak mamy ratować powołania, jak możemy powiększyć liczbę apostołów; jest zarazem pobudką do starań o to i rękojmią ich powodzenia. Polecamy więc gorąco sprawę ratowania powołań, aby trafiła do umysłów i serc wszystkich chrześcijan-katolików, wszystkich stowarzyszeń religijnych zwłaszcza Dzieł Rozkrzewienia Wiary. Prośmy nasze Władze Diecezjalne, by raczyły zorganizować w każdej diecezji Dzieło pomocy biednym aspirantom. Prośmy Zgromadzenia Zakonne, zwłaszcza misyjne, by łaskawie podjęły się organizacji i kierownictwa samych Alumnatów, nim zaś to nastąpi, by organizowały podobną pomoc przy zakładach już istniejących, by żaden aspirant ze względu na brak środków nie został pominięty. Zaopiekujmy się tymi aspirantami. Budźmy, rozwijajmy, i uświęcajmy ich powołania; dodawajmy im otuchy i hartu do pokonania wszystkich trudności materjalnych; starajmy się zwłaszcza sami lub wspólnie z innymi, o usunięcie tych trudności. Przybierajmy sobie tych chłopców za synów, stawmy im największe wymagania, lecz pomagajmy im, ratujmy ich powołania! „Żniwo wprawdzie wielkie..." Zaiste wielkie. Bo

spójrzmy choćby na wschodniego naszego sąsiada, bratni naród rosyjski, gdzie za widocznem zrządzeniem Opatrzności rozproszeni przed wojną Polacy w każdem większem mieście pobudowali kościoły, które wprawdzie obecnie przeważnie są zamknięte, wszakże w zmienionych warunkach stać się mogą ogniskami pojednania z Kościołem całej olbrzymiej Rosji. Bo pamiętajmy, że mała Holandja liczy misjonarzy przeszło 4000, my zaś zaledwo koło 300!... „Ale robotników mało..." Tak, mało ich u nas, mało we Francji, Stanach Zjednoczonych i tylu innych krajach... „Proścież tedy Pana żniwa, by wysłał robotników na żniwo swoje". Prośmy, módlmy się o nich, lecz przedewszystkiem dopomóżmy już powołanym przez Boga na to żniwo, bo inaczej te słowa Zbawiciela staną się dla nas wyrzutem, żeśmy powołania apostolskie widzieli lecz pozwolili, im się zmarnować, czego Boże nie dopuść.

Organizacja pomocy niezamożnym aspirantom winna być szybka, zdecydowana. To też gorąco prosimy wszystkie pisma katolickie o poparcie tej sprawy, wszystkich zaś ludzi dobrej woli o energiczne zajęcie się nią, o tworzenie w każdej diecezji i w każdem większem mieście ognisk tej akcji.

Próbę zorganizowania „Dzieła Matki Boskiej Powołań", na wzór francuskiego, w ostatnim czasie czyniono w Wilnie przy ul. Zarzecznej 28 m. 3. Podań od biednych aspirantów mamy dużo i wciąż przybywają świeże. Lecz starania nasze nie mają widoków powodzenia, bo jako ludzie świeccy nie moglibyśmy stanąć na czele tego Dzieła i praktycznie, owocnie niem kierować. Przedkładamy przeto projekt nasz łaskawej uwadze Wielebnego Duchowieństwa, gorąco prosząc o ujęcie w swe ręce całej inicjatywy Dzieła, my zaś, ludzie świeccy, zrzeszeni w kołach Stowarzyszenia, dołożymy wszelkich starań, by to Dzieło mogło pomyślnie się rozwijać ku większej chwale Bożej i prawdziwemu szczęściu ludzkości. Posiadanym materjałem chętnie służymy, zwłaszcza zaś polecamy łaskawej opiece naszych biednych, zgadzających się na wszelkie warunki aspirantów, którym sami, niestety, nie możemy skutecznie dopomóc.

A. Zgierski.

Pod białe znamię.

U promiennych tęcz podwoi
Biały zastęp duchów stoi
Pośród srebrnych palm
I, podnosząc znamię białe,
Na Chrystusa wieczną chwałę
Cudny śpiewa psalm:

„Dalej, bracia, ramię w ramię
Do tych wyżyn, pod to znamię
Z promienistych stron!
My, w Chrystusie odrodzeni,
Bądźmyż duchem zjednoczeni,
Jako z Ojcem On!

Dość boleści, krwi powodzi!
Nowe światło dziejom wschodzi,
Wszechpotężny cud:
Jeden Chrystus, jedna wiara,
Jedna miłość i ofiara,
Jeden święty trud.

Ziścić czas po latach znoju
Chrystusową myśl pokoju,
Krzyż do serc swych wnieść,
Wiekowieczne spory skończyć,
Wszechnarody w jedno złączyć,
Oddać prawdzie cześć!

Chryste, tyś jest siła, władza,
Moc, co ducha w nas odradza,
Połącz w jedno nas,
By Hosanna biły dzwony
Na Twój Kościół zjednoczony
W zbożny szczęścia czas!

Dalej, bracia, ramię w ramię
Do tych wyżyn pod to znamię
Na podniebny próg!
Moce piekła nie rozdzielą,
Gdy anielskich znamion bielą
Lud Swój złączy Bóg".

Ada Koneczna.
(„Kwiaty i promienie").
Z rękopisu ogłosił J. M. Ch.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Władysław, Król.

Jest on nam dość bliski krwią, gdyż był synem polskiej królewny, która wyszła zamąż za węgierskiego króla Belę I-go. Po ojcu ciężar królowania objął Władysław, a było to w drugiej połowie wieku XI-go, w pełni średniowiecza.

W dzisiejszych pojęciach trudno sobie pogodzić króla z całą obowiązującą dworską etykietą, a tem bardziej z polityczną dyplomacją, z wyobrażeniem świętego człowieka. Choć pojęcie świętości nie kłóci się nigdy z żadnem powołaniem i stanem, bo jej istotą jest nadprzyrodzoność zwykłych, normalnych ludzkich obowiązków.

Na szczęście dawni królowie w innych zupełnie żyli zewnętrznych warunkach swego stanu i z tej strony nie mieli żadnej trudności do własnego uświęcenia. Byli jednak zwykłymi ludźmi z tą samą naturą, którą każdy z nas dzisiaj posiada i tutaj było najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla osobistej doskonałości. O, bo królowanie, wszelka władza i panowanie nad innymi, choć bardzo są miłe ludzkiemu se... — bo przecież człowiek stworzony został na króla świata, a wrodzona konieczność wolności osobistej pcha go bezwzględnie ku najwyższym szczytom wszelkiej niezależności, to znaczy do panowania nad innymi — lecz kryje się w tem, jak w zdradliwej przynęcie ostry haczyk nadużycia władzy, na który słabsze charaktery chwytają się odrazu.

Królem być nie jest rzeczą trudną, biorąc to w najogólniejszem znaczeniu wszelkiego panowania, nietylko „fachowej", koronowanej godności królewskiej — bo nawet przedostatni obywatel każdego kraiku panuje nad tym ostatnim, który sam jeden tylko nie ma władzy, wobec miljonów reszty,—a zresztą każdy człowiek panuje nad swoim światem żywym, czy martwym, każdy nad swoją miotłą, czy kosturem.

Ale dobry król jest rzadkością muzealną.

Być wielkim w swoich rządach publicznych, w kierowaniu swem choćby minjaturowem królestwem, też nie jest bardzo trudnem — wszak najwięcej wśród ludzi — jak nam do-

wiódł swojego czasu mędrzec — Stańczyk — jest lekarzy, a dodajmy dzisiaj, jeszcze więcej jest polityków i „umiejących na tem stanowisku” odpowiednio postępować. Lecz być wielkim w swem życiu osobistem, prywatnem, codziennem, nietylko w czasie manifestacji niedzielnej, czy pałacowej — to dopiero prawdziwe królowanie i rzecz niesłychanie rzadka i dlatego wielka wyjątkowo. To nazwać można bohaterstwem, w naszych warunkach życia, choć — przyznajmy — powinno być najniższą normą naszego postępowania.

Władysław, jako król, prowadził szczęśliwe wojny, zawsze obronne, z najeźdźczemi plemionami Kumanów i Tatarów, przyłączył dobrowolnie Dalmację i Kroację do korony węgierskiej, budował klasztory i świątynie, erygował i uposażał biskupstwa w swem młodem chrześcijańskiem państwie, nie żałował grosza na cele publiczne dla wspólnego dobra.

To wszystko czynili i inni królowie, może nawet więcej, gdy mieli bardziej sprzyjające warunki zewnętrzne.

Nie w tem też leży jego osobista zasługa, choć w historji swego narodu ma zaszczytnie zapisaną kartę.

Wielkość jego prawdziwa była w osobistem współżyciu z poddanymi w swych prywatnych sprawach.

Król — szczególnie według ówczesnych średniowiecznych pojęć — musiał być nadczłowiekiem i być zawsze otoczonym wielkością i splendorem swego majestatu. Nieograniczona żadnym parlamentem władza królewska, suwerenna, niezależna od nikogo i wykonywana bez żadnych pactów conwentów, czyniła ze średniowiecznego króla minjaturowego bożka na ziemi, według powiedzenia Psalmisty: „Oto rzekłem — bogami jesteście”.

Jakże łatwo w takich warunkach o nadużycie tego wyjątkowego stanowiska przez niedociągnięcia swego charakteru, jak łatwo o krzywdzenie bliźnich swem postępowaniem i stosunkie osobistym, wobec wszelkiej bezbronności tłumu poddanych.

Jak zaś z drugiej strony łatwo o czynienie dobrze dokoła siebie, uszczęśliwianie wszystkich, na których padł wzrok królewski, promieniowanie na wsze strony czarem dobroci i słoneczną, życiodajną pogodą!

Wszystko tutaj zależnem było od wartości osobistej każ-

dego króla, jak zresztą i dzisiaj we wszelkiem panowaniu, choćby domowem tylko. Tutaj się poznaje dopiero człowieka i jego własne oblicze.

Tutaj Władysław był świętym. Nikt nigdy nie odczuł, że jest jego władcą, a oni niewolnikami, nikt nie zadrżał przed jego majestatem, ani nie czuł się skrępowanym w jego obecności.

To człowieczeństwo Władysława, jego humanitaryzm, jakbyśmy nazwali dzisiaj, sprawiło, że był naprawdę królem, bo posiadał rząd dusz, oddanych mu ofiarnie i dobrowolnie z całym entuzjazmem kochających dzieci.

Łaska monarsza zawsze jest łaską i choć poddany czuje się zaszczyconym, to jednak upokarza go ona w jego ludzkiej godności. Podać tę łaskę tak, by nikt tego upokorzenia nie wyczuł, a uważał się za szczęśliwego w pełni, jak w rodzinie, zjednoczonej prawdziwą miłością i wzajemnym szacunkiem — to tajemnica świętości królewskiej.

Pogodzić majestat z prostotą, hojność monarszą z ojcowską szczodrobliwością i—co najtrudniejsze—moc rządów prawnych z najwyższą dobrocią, by z jednej strony nie być autokratą brutalnym i zimnym legistą, a z drugiej nie okazać się nigdy słabym i bezwolnym — i to potrafi tylko mistrz i człowiek opanowany całkowicie i żyjący w swerze najwyższych idei i wolny od więzów codziennych błachostek i ciasnoty egoistycznej, lub stanowej w ujmowaniu każdej sprawy.

A wszystko to, gdy jest owiane i przeniknięte duchem nadprzyrodzonym, który dopiero daje tę idealną równość i głębię charakteru, niezamącony pokój w najtrudniejszych okolicznościach życia własnego i państwowego i jest źródłem niezawodnem ducha najwyższego poświęcenia, bohaterskiej ofiarności, radosnej, nieprzymuszonej, promieniującej i uśmiechniętej zawsze — wtedy królewskość człowieka jest pełna. Być królem w swojem domowem państewku — powtórzmy — jest łatwo, ale być dobrym królem!... Ilu ich jest pośród nas?

Ks. A. Bogdański.

O. Sebastjan Wolicki.

Kiedy pierwszy biograf ks. Karola Antoniewicza, Jezuity, ks. Ignacy Polkowski, rozpoczynał pierwszy obszerniejszy życiorys jego, na samym początku pisał: „Tęskno byłoby i pusto na świecie, gdyby z życiem człowieka kończyła się i pamięć o nim; gdyby z śmiercią mężów, pochwały godnych, grzebano najdroższe o nich wspomnienia i najświetniejsze czyny, któremi uświęcili krótką życia pielgrzymkę. Tęskno byłoby, powtarzam—gdyby z życia ludzi czynu i woli nie można wyprowadzić korzystnej dla siebie nauki, przyswajając ich piękne cnoty, ich poświęcenie się dla dobra braci. Dzięki Bogu, nie tak się dzieje. Ludzie wielcy zasługą a bogaci cnotą, nie umierają nigdy, a przynajmniej dotąd, dopóki po nich stanie pamiątek, pięknych, jak życie ich, i świetnych, jak cnoty, któremi jaśnieli"[1]). Po przeczytaniu tych słów dobrego katolika doby bieżącej opanowują smutne bardzo refleksje. Może tak oto działo się naprawdę przed laty bezmała siedemdziesięciu, właśnie w czasach ks. Polkowskiego, ale dziś—trzeba to stwierdzić—tak się nie dzieje, niestety. Pozostały po naszych świętobliwych rodakach przerozmaitsze pamiątki, pozostały ich groby chwalebne, nie pozostała tylko pamięć o nich. Inteligent współczesny potrafi całemi godzinami rozwodzić się nad intymnemi nawet szczegółami życia przerozmaitszych „gwiazd" filmowych, wygada, wyrecytuje, jak pacierz, a może i lepiej, wiek Clara'y Bow czy Emila Jannings'a oraz kopy i mendla innych aktorów ekranu,—można to coprawda wyczytać w prasie—lecz, gdy go się zapyta, kto to taki był np. o. Stanisław od Jezusa i Marji Papczyński, bądź o. Rafał Chyliński, on, katolik „prawdziwy", gdyż co niedziela jest w kościele na „leniuszku", zrobi „przyjemny wyraz twarzy, skrzywi się niemiłosiernie oraz uda, że nie słyszy, ponieważ odpowiedzi prawidłowej nie wydobyłoby się zeń w żadnym wypadku.

Jeśli chodzi o konkretny przykład zapomnienia o człowieku, po którym pozostały pamiątki, to wymienić tu można postać o. Sebastjana Wolickiego, Reformaty, a to z tego względu

---

[1]) Ks. Ignacy Polkowski: Wspomnienie o życiu i pismach ks. Karola Antoniewicza. Warszawa, 1861. Str. 1.

iż prasa krakowska o zabarwieniu sensacyjnem, przypominając ją jakoteż wydobywając z mroków zapomnienia, powypisywała banialuki, świadczące o jej powierzchowności, które wymagają koniecznie sprostowania.

O. Wolicki urodził się w 1644 r. w ziemi wieluńskiej niedaleko Sieradza, jako syn rodziców stanu szlacheckiego. Na chrzcie św. otrzymał imię Jakóba. Z lat dzieciństwa oraz młodości wiadomości o nim przechowały się nad wyraz skąpe, tak, że ostatecznie wiadomo o nim, iż po ukończeniu szkól krajowych przebywał czas jakiś we Wrocławiu i że z kolei, idąc śladem swych przodków-szlachty, spłacał Ojczyźnie daninę krwi w czasie wojen za panowania króla Jana Kazimierza.

Jako młodzieniec dwudziestosiedmioletni, w 1671 r. wstąpił do zakonu o.o. Reformatów, by tam po zaznaniu udręk w czas wojennego zamętu, jak tylu innych, szukać spokoju oraz zjednoczenia z Bogiem. Jego współbrat zakonny, o. Florjan Jaroszewicz, w żywocie jego, przeznaczonym do czytania na dzień 18 maja, powiada, iż „od początku zakonnego życia gorącym duchem jął się obserwacji zakonnej i ostrości życia, że mało sobie miał w tem równych i do samej starości nic sobie nie folgował, tak, że to młodszym nietylko do zbudowania było, ale i do podziwienia" [1]).

W życiu o. Sebastjana nie można zaobserwować rzeczy nadzwyczajnych, jak np. w żywocie takiej oto Gemmy Galgani, Bóg Wszechmogący nie obdarzył go misją specjalną oraz nie wyposażył w moc czynienia rzeczy niezwykłych, ale pomimo to świętobliwy ten Reformata jest postacią niepowszednią, a wielkość jego polega na sumiennem, skrupulatnem wypełnieniu szarego obowiązku codziennego. Tę właśnie akuratność i to panowanie nad sobą w rzeczach małych przełożeni potrafili ocenić, w następstwie czego już w czternastym roku pobytu w zakonie, a w ósmym dopiero kapłaństwa, z woli prowincjała mianowany został magistrem nowicjuszów, zatem w jego ręce złożona została przyszłość całej polskiej prowincji reformackiej.

---

[1]) Ks. Florjan Jaroszewicz: Matka świętych, Polska... Część II. Poznań, 1893. Str. 183.

Oprócz kierowania nowicjatem był O. Sebastjan wynoszony na inne również stanowiska zakonne, mianowicie w ciągu lat dwudziestu dwuch wybierany był na gwardjana różnych klasztorów O.O. Reformatorów w Polsce, przyczem parokrotnie przewodniczył współbraciom w Krakowie. Jako przełożony starał się na podwładnych wpływ wywierać łagodnością oraz dawaniem dobrego wzoru. Gdy niekiedy musiał udzielać nagany, nie czynił tego publicznie, nie ranił ambicji winowajcy przez zaznajamianie ogółu z jego błędami, boć takie strofowanie z pokorą znieść mogą tylko nieliczne jednostki; gdzie zaś takiego upokorzenia bohaterskiego braknie, tam napominanie publiczne wywołać może skutek wręcz odwrotny.

Co do bliższych szczegółów o jego życiu, to godzi się zaznaczyć, iż, wedle słów o. Jaroszewicza, „ciało swoje wielkiemi umartwieniami trapił, oprócz zwyczajnych w zakonie postów siedm kwadragezym w rok na wzór św. patrjarchy Franciszka pościł; na lat kilkadziesiąt przed śmiercią mięsa i ryb nie jadał, leguminami [3]) tylko się żywiąc, habitem połatanym, wytartym i podlejszym od innych ciało pokrywał w lecie i w zimie nawet w najcięższe mrozy sukienki zimowej na się nie wdział" [4]),—jakżesz to musi razić dzisiejszego wygodnisia! — a jednak dożył wieku bardzo poważnego, choć wiele bólów sprawiała mu rana postrzałowa boku, pozostałość udziału w wojnie. Na boleści o. Sebastjan był ogromnie wytrzymały, panował nad nerwami zawsze. Nawet w starości podczas wypalania ran bądź wyrywania zębów zachowywał taki spokój, że raz medyk jakiś zawołał o nim: „Nie z ciała, ale z żelaza musi być złożony".

Po złotych godach ślubów zakonnych zwolniony został od obowiązków przełożeńskich, odtąd natomiast poświęcił się cichej kontemplacji oraz znoszeniu z poddaniem się woli Bożej cierpień. Jeden jeszcze rys podkreślić trzeba w życiu czcigodnego kapłana tego: zadowolenie ze swego losu, które jest prawdziwem szczęściem ziemskiem człowieka. „Myślę często, — mawiał—czegoby mi się nie dostało albo coby mi przykro było, ale dotąd nic wymyślić nie mogę".

---

[3]) Warzywami i jarzynami.

[4]) Ks. Jaroszewicz. Str. 184.

Niedawno temu Aleksander Błażejowski, autor romansów kryminalnych, zabrawszy głos o o. Sebastjanie, zrobił z niego kwestarza. Na jakich podstawach to uczynił, trudno osądzić zdaje się wszakże, iż jest to jedno echo ustnej tradycji krakowskiej. „Sebastjak Wolicki, jako skromny braciszek zakonny (z jakiej racji?), zajmował się kwestarstwem. Jeździł rzemiennym dyszlem po okolicznych wsiach i dworach i przywoził wozy, naładowane żywnością dla głodnych w Krakowie. Był cichy i skromny, znosił z iście klasztorną pokorą wszelkie złe humory możnych i zawsze potrafił wydobyć coś dla swoich biedaków. Nazywali go Aniołem Nędzarzy. Niestety, zdrowie Sebastjanowi Wolickiemu nie dopisało. Jednego dnia, gdy kwestował w czasie śniegu, i wichru, zaziębił się, wrócił do klasztoru i tam zgasł tak cicho, jako cichem było jego życie“ [5]).

Piękna to zaiste charakterystyka o. Sebastjana, napozór zgodna z jego życiem, ale ja osobiście mam wrażenie, iż jest w niej za wiele fantazji, którą w imię prawdy trzeba sprostować koniecznie. W chwili zgonu świętobliwy Reformata liczył lat osiemdziesiąt dziewięć, już sam wiek przeczy temu jakoby chodził po kweście, a najbardziej wymownym jest fakt, że o kwestarstwie o. Sebastjana nie wspomina ani słówka o. Jaroszewicz, tak skrzętny zapisywacz, tradycyj swego zakonu, u którego znaleźć można coś wręcz odwrotnego. O starości czcigodnego kapłana hagjograf ów wyraża się: „W celi sobie siedział, z samym Bogiem chętnie się bawiąc“ [6]), a przedtem zaznaczył wyraźnie: „Choć był przełożonym, nigdy się nie starał pieczołowicie o potrzeby braci swoich, Bóg zaś je opatrował obficie, a gdy mu powiedziano, że niemasz wcale nic do pożywienie, szedł do chóru i umawiał się z ufnością z Panem Bogiem: „Ojcze nasz, oto tu synowie Twoi chwalą Cię we dnie i w nocy, opatrz ich, bo ja nie mam“, a gdy on się umawiał, dzwoniono u furty i przynoszono co było potrzeba“ [7]). Wniosek z tego wszystkiego wypływa jasny dla każdego.

---

[5]) Aleksander Błażejowski: Kwestarz-widmo. (Kurjer Literacko-Naukowy. № 13. Dnia 31 marca 1929 r. Str. X).

[6]) Ks. Jareszewicz. Str. 185.

[7]) Ks. Jaroszewicz. Str. 184.

Śmierć o. Sebastjana nastąpiła w 1733 r., w śmiertelnej natomiast chorobie „nawiedzali go różni prałaci i panowie, którym był znajomy, a dla świętego życia bardzo od nich szanowany, prosząc go o błogosławieństwo, które im z miłością dawał, co także i braciom swoim wyświadczył“ [8]). Ciało jego pochowano wedle reguły zakonnej bez trumny, pod głowę jedynie podkładając mu kamień, a „na pogrzeb jego zebrał się wielki tłum ludzi, a małe dziatki znosiły wiele kwiatków i obsypali ciało męża Bożego na marach leżące” [9]).

Opierając się na podaniach krakowskich, Błażejowski opowiada dalej fakt, który w konsekwencji pociągnąć miał za sobą przekonanie o świętości o. Sebastjana. „Po śmierci Wolickiego — opowiada on — zapanowała nagle w Krakowie klęska głodu. Ulica Rogacka (dzisiejsza Reformacka) wypełniona była nędzarzami, którzy błagalnie wyciągali ręce do bram klasztornych o kęs chleba. Niestety śpichlerze zakonne były puste. Gdy dzień rozpraszał ciemności, często znajdowano przed bramą klasztorną tych, którym śmierć przerwała mękę głodu. W tym straszliwym czasie nadjechały nagle przed klasztor wozy, naładowane żywnością. Przysłał je magnat Wielopolski. Zdziwienie i wdzięczność klasztoru były ogromne, zwłaszcza, że Reformaci nie wysyłali zupełnie kwestarza do dworu możnego pana. W dwa dni po tym szczęśliwym wypadku Wielopolski odwiedził klasztor o. o. Reformatorów, gdzie spoczywali w podziemiach jego antenaci. Ojciec gwardjan radośnie powitał możnego pana i dziękował serdecznie za przysłane prowianty.

— A był u mnie wasz braciszek i ze łzami w oczach przedstawił mi głód Krakowa — oświadczył Wielopolski. — Nie mogłem oprzeć się jego prośbie. Przemawiał do mnie, jak sam apostoł...

Zdumienie ojca gwardjana było jeszcze większe. Z klauzury klasztoru nikt nie oddalał się, aby odwiedzić Wielopolskiego. Dlatego też, chcąc przekonać się, który braciszek był na kweście, ojciec gwardjan prosił przy wieczornej modlitwie Wielopolskiego, aby wskazał mu kwestarza. Ojcowie i bracia

---

[8]) Ks. Jaroszewicz. Str. 186.

[9]) Ks. Jaroszewicz. Str. 186.

zebrali się w rząd. Wielopolski dokładnie przyjrzał się wszystkim, lecz nie znalazł tego brata, który tak wzruszył jego serce. Dopiero wieczorem, gdy Wielopolski wraz z ojcem gwardjanem udali się do podziemi, by zapalić świece przed trumnami, magnat stanął nagle jakby rażony piorunem.

— Ojcze gwardjanie, toż to ten sam braciszek był u mnie po kweście — mówił Wielopolski, szczękając z przerażenia zębami, i wskazał na zwłoki brata Wolickiego.

— Ależ to niemożliwe, brat Wolicki zmarł przecież przed kilku miesiącami — tłumaczył gwardjan.

Wiadomość o cudownym wypadku przedostała się wkrótce poza mury klasztorne. Do podziemi o. o. Reformatorów zaczęły schodzić się tłumy, by wymodlić sobie łaskę u Anioła Nędzarzy. I nagle nastąpiło kilka cudownych uzdrowień" [10].

Podanie to samo w sobie jest owiane pewnym sentymentem, tylko nie wspomina o tem wcale o. Jaroszewicz, co zdaje się być rzeczą dającą wiele do myślenia. Nie myślę tu kwestjonować jego autentyczności, od myśli takiej jestem daleki, pozwolę sobie jedynie zauważyć, iż analogiczne opowieści znaleźć można w żywotach innych wybrańców Bożych. Parę lat temu opowiadano mi legendę z Radomskiego o bł. Ładysławie z Gielniowa, który miał chodzić po śmierci i żebrać o wsparcie dla swoich żyjących jeszcze rodziców; podobny zaś fakt opowiedziałem w obszernym życiorysie czcigodnego sługi Bożego Rafała Chylińskiego, Franciszkanina [11]. Czy można tu przypuścić nieświadome przeniesienie motywu z życia jednostek innych? Wykluczone to nie jest, na co wskazywałoby milczenie na ten temat o. Jaroszewicza, ale czyż można też twierdzić coś podobnego kategorycznie?

Jak doszło do pierwszych łask za przyczyną o. Sebastjana, mniejsza o to, być może jednak, iż bezpośrednią przyczyną tego było zachowywanie się w całości ciała jego. Wspomina już o tem żywotopisarz ówczesnych czasów stanisławowskich, całe jest również dziś mimo dwuchsetlecia od śmierci. Współbracia zakonni już cztery razy zmieniali habity, które butwiały oraz rozpadały się na strzępy, a zwłokom nie działo się nic.

[10]) Błażejowski. Str. X.

[11]) J. M. Chudek: Żywot czcigodnego sługi Bożego Rafała Chylińskiego, Franciszkanina. Łagiewniki, 1927. Str. 65—67.

Po przytoczonem podaniu Błażejowski pisze: „Wtedy ówczesny przeor zakonu spisał te dziwne sprawy w kronikach klasztornych, zebrał podpisy świadków i wysłał pismo do Rzymu. Ojciec święty kazał przeprowadzić długi i staranny proces, który zakończył się beatyfikowaniem Sebastjana Wolickiego" [19]). Dziwna to zaiste ignoracja. Autor ów zwiedzał podziemie, gdzie leży świętobliwy Reformata, widział, że trumna z ciałem jego nie jest bynajmniej wyróżniona specjalnie i mimo wszystko zdobywa się na takie ryzykowne twierdzenie. O. Sebastjan błogosławionym nie jest. Gdyby nim był, szczątki jego spoczywałyby na ołtarzu w którymś z kościołów, doznawałyby jako relikwje, czci, lecz o to długo jeszcze trzeba starać się w św. Kongregacji Obrzędów, a właściwie trzeba myśleć, by te starania jaknajprędzej rozpocząć

Józef Marjan Chudek.

PRZYDROŻNY KRZYŻ.

Przy drodze, którą codzień z konieczności chodzę;
stoi w polu samotny, opuszczony krzyż.
Wichry i czas go zębem swym dotknęły srodze,
lecz jeszcze swe ramiona podnosi wzwyż.

Chrystus na nim zawisły minę ma stroskaną,
jakby smutny, przez ludzi opuszczony człek,
twarz nędzą ludzką, bliźnich cierpieniem zoraną,
włos szary, jakby troski przyprószył go śnieg.

A jeno oczy Jego dziwnym blaskiem płoną,
który serce człowiecze prześwietla na wskroś
i siłę mają taką, jakąś utajoną...
że klękaj i o win swych przebaczenie proś!

Lecz nie bój się. Nie straszne są Jego spojrzenia.
Człowiecze, chociaż boskie, nie Mściciel to Bóg!
To Pan, co zawsze skory do win przebaczenia,
co dobrotliwą ręką karci winy sług.

Codzień tamtędy chodzę, by Cię ujrzeć Chryste
i w Twojem człowieczeństwie czuć tę boską moc,
ujrzeć źródło miłości i prawdy przeczyste,
co rozjaśnia niewiary, zła i zbrodni noc.

Codzień tamtędy chodzę. Przed Tobą się korzę,
żem w zaślepieniu nie znał Twoich praw i dróg!
I teraz, gdy Cię widzę Człowiecze i Boże,
Dopiero wiem gdzie mieszka i wiem kim jest Bóg!

EDMUND ŁUKASIEWICZ.

---

[19]) Błażejowski. Str. X.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Starzy i młodzi.

Człowiek nie rodzi się dojrzałym duchowo i fizycznie, ani nie zawsze pozostaje do końca życia w pełni swych sił i czynnej akcji. Musi, niestety, przechodzić normalnie przez różne etapy i okresy życia, od niemowlęctwa; przez dzieciństwo, przez młodość do zupełnego rozwoju, a później skłaniać się ku schyłkowi w starości.

Z tych wszystkich życiowych etapów okres dojrzałości stanowi centrum i właściwe życie człowieka. Wszystko przed nim—to przygotowanie, a po nim—likwidacja życia.

Teologowie, opierając się na tej przesłance, że w niebie wszystko będzie w stopniu i w stanie doskonałym, wnioskują — nie bez słuszności — że każdy z nas (bo dla wszystkich nas jest tam miejsce)—po zmartwychwstaniu i ponownem połączeniu duszy z ciałem będzie w wieku dojrzałym, bez względu na to, czy umarł jako niemowlę, czy jako zgrzybiały starzec.

Niemowlęctwo i niedołężna starość, dzieciństwo słabe i jednostronność młodości, są albo niedorozwojem, albo upadkiem człowieka, a więc stanem niedoskonałym, gdzie albo fizyczna strona, albo duchowa, albo obydwie razem nie domagają, są chore i słabe, potrzebują opieki i pomocy, co się nie zgadza z pojęciem normalnej, samodzielnej natury ludzkiej. W niebie braków być nie może i wszystko musi być na najwyższym stopniu swej możliwej doskonałości. Nie będzie tam więc dzieci, wyrostków, starców, chorych i kalek—a będą tylko ludzie pełni energji, sił, zdrowia, o rozwiniętych władzach rozumu i woli, zmysłów opanowanych i uczuć.

Taką jest nasza perspektywa na przyszłość, bardzo pocieszająca i osładzająca wiele przykrości, wypływających z niedomagań różnych etapów życia.

Nie zapominając o tej miłej perspektywie, musimy jednak dzisiaj, dopóki jeszcze żyjemy na świecie, liczyć się z teraźniejszą rzeczywistością i brać pod uwagę wszystkie nasze słabości, ułomności i potrzeby różnych etapów życiowych, by je wyrozu-

mieć należycie, uwzględnić ich wymagania i prawa i uniknąć w ten sposób wielu nieraz bardzo bolesnych konfliktów.

Każdy bowiem z tych okresów ma swoje dobre i swoje słabe strony, swe talenty i braki, — najczęściej wprost przeciwnie: co w młodości jest wybujałem — w starości zanika zwykle, zato starość ma wiele cennych rzeczy, których młodości brak.

Wspólnie połączone i odpowiednio sharmonizowane, dopełniają się wzajemnie, pozostawione są same sobie, lub naprzeciw siebie, muszą być zawsze w rozterce i walce.

Tyczy się to prawie wyłącznie tylko okresu młodości — przed wiekiem pełnej (nietylko prawnej) dojrzałości i starości, gdy siły fizyczne upadną, a działa jeszcze rozum, bogaty w doświadczenie życiowe.

Niemowlęctwo i dzieciństwo są pod autorytetem i nie przedstawiają niebezpieczeństwa konfliktów. Wiek dojrzały jest samodzielny zupełnie, uszanowany przez starość i tę starość szanujący.

Rozdźwięki i rozgrywki bywają normalnie tylko między młodymi i starymi, którym trudno się zrozumieć wzajemnie i uzgodnić poglądy i postępowanie życiowe, a głównie przez brak uznania praw i potrzeb, należnych i wypływających z każdego wieku.

Widzimy młodych ludzi, z lekceważeniem odzywających się o osobach starszych i ich przestarzałych teorjach. Widzimy też ludzi starszych, potępiających w czambuł młodzież dzisiejszą i z rozpaczą patrzących w przyszłość narodu.

Ich formułą są słowa rosyjskiego poety: „tak, byli ludzie za naszych czasów — nie tacy, jak plemię dzisiejsze — bohaterowie, nie jak wy..."

Jeśli tak zawsze bywało, to przedewszystkiem dzisiaj, gdyśmy w ciągu lat kilkunastu przeżyli całe wieki — to zjawisko jest niemal powszechnem.

Niema zgody między starymi i młodymi, a młody mędrzec i starzec o duszy młodzieńczej należą do wyjątków. Czyżby nie było na to ratunku i czybyśmy musieli czekać aż na wymarcie starego pokolenia, by wreszcie ujrzeć upragnioną jedność.

Ludzie jednej epoki, choćby ona trwała lat tysiąc, łatwo się zrozumieją, ale na pograniczu dwu epok, w latach przeło-

mowych, gdy ścierają się dwa światy, jeden broniący do upadłego swej poprzedniej własności i drugi, prący naprzód z całym entuzjazmem, walczący metodami nowoczesnemi z pewnością ostatecznego zwycięstwa — w takich latach porozumienie możliwe jest tylko — powiedzmy sobie to szczerze — przy heroicznej ofierze. Ale bywały już nieraz ofiary heroiczne, bywali bohaterowie — mogą więc być jeszcze i dzisiaj. Sytuacja jest trudna, ale nie bez wyjścia.

Muszą więc naprzód zrozumieć młodzi, że starości należy się cześć i szacunek, przez to samo, że jest starością, że jest koroną życia, że ma za sobą lata znoju, twórczości i żmudnej pracy, której owoce dzisiaj spożywamy.

Całować trzeba ze czcią, jak świętą relikwję, spracowaną i drżącą już może dłoń starca i uchylać czoła przed siwym włosem, pokrywającym zoraną bruzdami minionych trosk starczą głowę weteranów przeszłości, choćby najskromniejszy był zakres ich działania.

Szacunek wobec dokonanej walki życia, jakąkolwiekby ona była dotąd — to pierwsze przykazanie dla młodych wobec odchodzącego pokolenia.

To jeszcze nie wszystko, bo dopiero część „platoniczna" stosunku młodych do starych.

Mimo rozpierającej młodość energji, która, przynajmniej w subjektywnem poczuciu, wystarczyćby mogła do podtrzymania, ba, nawet do wyrzucenia w powietrze całego świata: „naprzód, naprzód, bryło świata — na nowe cię pchniemy tory"— mimo tego prawdziwego skarbu młodości, musi jednak każdy młody człowiek przyznać w chwili spokojnej i uczciwej refleksji, że oprócz siły pędnej i motoru, potrzebny jest rozważny i roztropny motorniczy, że nie wystarczy sama moc i rozmach, że jednak koniecznym jest rozum kierowniczy. W przeciwnym bowiem razie te wszystkie cudowne wprost siły rwące do życia, jak energja elektryczna, nieumiejętnie zastosowana, mogą się stać — nie przez złą wolę, ale przez zwykłą nieopatrzność — siłą druzgocącą i niszczącą cały dorobek lat poprzednich i same zbiorniki energji.

Obok siły musi wystąpić rozum. Tego zaś za wiele młodość nie posiada. Psychologja stwierdza, że najwięcej nadziei i śmiałości mają młodzi, oraz... pijani i głupi. Bardzo to ży-

ciowe spostrzeżenie. Przed młodością wszystko jest przyszłe, niepodzielnie więc wśród niej panuje nadzieja lepszych dni i ona jest głównym motorem wszystkiego u młodych.

Jednocześnie zaś nie mając jeszcze skrzydeł opalonych, nie zetknąwszy się ze wszystkiemi, a przynajmniej z wieloma trudnościami życia i czując żywiołową siłę i moc w sobie, młodość niezawsze należycie ocenia wagę tych trudności, niedocenia je i bagatelizuje, dopóki twarda rzeczywistość, czasami zapóźno, nie otworzy jej oczu na prawdę życia.

To samo psychologja mówi o pijanych, dla których nie istnieją nawet latarnie na ulicach, bo według nich one winny ustąpić z drogi przed człowiekiem i o ludziach niespełnych rozumu, którzy widzą tylko część rzeczywistości, albo wogóle żyją w świecie fantastycznym—stąd znane przysłowie, że „nadzieja jest matką... głupich".

Nawiasem mówiąc towarzystwo to, niezbyt dla młodości zaszczytne, jest przez psychologów zarejestrowane z nią razem tylko przypadkowo, dzięki podobieństwu na tym tylko jedynym punkcie nieobliczalności. Na tem zaczyna się i kończy cała pararela.

Ale, jeżeli tak jest, jeżeli stwierdzonem zostało i teoretycznie i zresztą, niestety, praktycznie to niebezpieczeństwo młodości, należy się z niem liczyć i uczciwy młody człowiek, niezaślepiony blaskiem swej młodości, będzie je brał zawsze pod uwagę i będzie szukał wyrównania tego dotkliwego braku swego wieku.

Gdzie znaleźć to wyrównanie?

Teorję znajdzie każdy łatwo w poważnych studjach i odpowiedniej lekturze. Praktykę we własnej obserwacji świata i jego zjawisk, a przedewszystkiem w obcowaniu i dobrej radzie tych, którzy już więcej życia przeżyli i dobrze nam życzą: — w mądrości życiowej ojca, dziada czy serdecznego przyjaciela.

Prawda, że ludzie poprzedniej epoki (która się zakończyła w r. 1918—20) często jeszcze myślą jej kategorjami, trudno im się otrząsnąć z dawnych wyliczeń i kalkulacji i wczuć w nowe warunki życia, ale to dotyczy przeważnie tylko metod działania, które zmieniły się zasadniczo na niejednym punkcie, zasady jednak życia i ogólne wytyczne postępowania pozostały te same.

Nie sprzeczając się więc o wartość nowych kierunków, ani

o nowoczesne, powojenne szaleństwa ludzkie — bo to jest zbyt przykrem i zupełnie niezrozumiałem dla ludzi przedwojennych— warto, by młodzież po dobrą radę, szczególnie w momentach ważnych szła do ludzi siwizną okrytych i uczyła się u nich mądrości życia, dopełniając w sobie to, czego młodości nie dostaje.

Nie będzie to dla niej ujmą, a tylko dowodem dojrzałości, która bezstronnie i poważnie zapatruje się na wszystko, a w pierszym rzędzie na własne wartości i braki.

Jedna jest jeszcze wielka misja i wielkie zadanie młodości w stosunku do starszych.

Młodość — podkreślamy — to siła, rozmach życiowy i radość. Starość zaś — to zanik sił, zniechęcenie, zmatowanie, często bezwład, wynikający z rozczarowań poprzednich i wiele nieraz smutku po tych co już odeszli, po tem co już przeszło, zostawiwszy tylko wspomnienia. — Życie wspomień, gdy się godzinami całemi, w samotności i opuszczeniu, ze spuszczoną głową odtwarza wszystko minione, nie mając już nic przed sobą, coby budziło żywszą nadzieję, poza bliższą już wiecznością— i czyniąc dokoła siebie straszliwą pustkę. — Jak po żniwach na zżętem ściernisku, gdzie jeno gęsi wyskubują pozostałe resztki i ptactwo polne gromadami zlatuje się, szukając żeru. Szczęliwie, gdy plon był obfity i wypełnił wszystkie śpichlerze. Ale, gdy się nie udał, a może z własnej winy. W najlepszym nawet wypadku dla samych oczu i uszu smutno i tęskno, gdy tam, niedawno jeszcze falowało przepyszną barwą chlebodajne zboże, szumiąc na wietrze dojrzałym kłosem, dzisiaj łodygi tylko sterczą, jak bielejące piszczele na dawnem polu bitwy, a wiatr jesienny szumi, ale już jakoś inaczej...

W takich momentach, poza wiarą w Boga i w słoneczną nieśmiertelność, jedyną pociechą może być tylko widok jasnych pogodnych uśmiechniętych młodzieńczych twarzy, z oczami pełnemi życia i umiłowania, przez które wyziera dusza, kochająca to wszystko i tak samo, co się dawniej kochało, choć może odmiennemi chodząca drogami. Odrodzenie powtórne w nowem pokoleniu, które — jak oni dawniej — ujmując dzisiaj w krzepką dłoń ster łodzi życiowej, ciesząc się i radując tych, przez których to życie ku nim zstąpiło.

W tym momencie wystepuje jeden z najważniejszych obowiązków społecznych i rodzinnych młodości: — by być mocą i radością starszych. Jak to zrobić — to już rzecz konkretnych okoliczności, by nim okazać, że się miłuje to, co było treścią ich długiego życia, nie dając im odczuć ich niedołęstwa, szanując i czcząc ich pracę i wiek, nie raniąc w subtelnym instynkcie ich tradycyj nowoczesnemi rzeczami i otaczając ich dokoła jakby wieńcem wawrzynowym zwycięstwa, pełnym słońca, barw i radości.

Trudniej jest starym pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy. Dawne nawyknienia, długoletnie przodowanie we wszystkiem i autorytatywne rządy domem, gdy nowe pokolenie jeszcze nie wyszło z lat dziecinnych, na długo utrwalają w duszy poczucie władzy i panowania, rolę wyroczni we wszystkich sprawach, niecierpiącej sprzeciwu. Przykro jest zresztą zawsze każdemu człowiekowi, jakiekolwiekby zajmował stanowisko w domu, czy w społeczeństwie, rozstawać się ze swem berłem i koroną, choćby najskromniejszą i powiedzieć sobie otwarcie, „iam viximus" — jużeśmy przeżyli życie. A świat idzie, a raczej pędzi swoim torem. Nowe potrzeby, nowe metody, nowe poglądy wyrastają każdego dnia i już się ich nie chwyta w lot, tak, jak to dawniej bywało.

I lata idą. Ten niedawny „drobiazg" dziś już jest podstawą społeczeństwa i już nowy „drobiazg" obok nich kroczy— już dochodzi do lat dojrzałych, tem bardziej, że dojrzewanie przynajmniej w subjektywnem znaczeniu jest w okresie, który przeżywamy obecnie, przyśpieszone w niektórych wypadkach nawet o całe lat pięć. Dzisiaj prawie że niema przejściowego wieku z lat dziecinnych do dojrzałości, z gąsienniczki, pomijając okres poczwarki,, wyfruwa odrazu samodzielny motyl.

I ta młódź, która nie widziała nigdy dawnego, przedwojennego życia, pełnego tradycji, a od kolebki huczały jej nad głową pękające granaty, albo wirował w oczach rozhukany świat lat ostatnich, oprócz zasady samej uczciwości, celowości i t. p. podstaw etycznych, nie zrozumie nigdy dawnych metod, bo one są już prawdziwym archaizmem na tle współczesnem, ani nawet nieraz dawnych poglądów na konkretne sprawy, bo dziś już one inne mają oświetlenie.

Musimy się z tym faktem liczyć i zrozumieć to proste zjawisko, że tam, gdzie zmieniły się przesłanki, inną też musi być i konkluzja.

Zadaniem więc starych w stosunku do młodych winno być pielęgnowanie w nich zasady, która się nigdy nie zmienia, nie poruszając jednak konkretnych przejawów współczesnego życia. Podtrzymywać korzeń drzewa życia, by on był zawsze zdrów i nienaruszony — a wtedy i pień i korona i kwiaty i owoce, choć będą zmieniały formę i barwę i zapach i smak, zależnie od tego, co je otaczać będzie i jakie im będzie świecić słońce, pozostaną zawsze nowe na nowem codziennem tle.

W ten sposób zapanować może ta cudna harmonja, która jest pełnią życia: wzajemne dopełnienie dwu krańców: młodości i wieku starszego

Siwa głowa pozostanie nadal ogniskiem prawdy i mądrości odwiecznej, a młodość bujna stanie się jej ramieniem, podporą, radością i uśmiechem, idąc wciąż zawsze naprzód z całym rozmachem potęgi życia, pnąc się coraz wyżej ku słońcu, w coraz to nowsze biegnąc światy — ale zawsze, jak na kotwicy, i na fundamencie granitowym dziadowej i ojcowskiej mądrości oparta, z wiarą w przyrzeczenie Mistrza: „a prawda was oswobodzi”. *Ks. A. Bogdański.*

O moralność i patrjotyzm w życiu publicznem.

Odkąd zaczęło się zatruwanie naszego życia publicznego. — „Kara na P. P. S.”—Konsekwencja popełnionych wspólnie występków przeciwko państwu i narodowi. –Walka o Kasy Chorych i jej pobudki.—Walki potępieńców.—Atmosfera nienawiści i spychania w dół.—Czy można formy walki złagodzić? — Pod jakimi warunkami.

Nie można powiedzieć, aby moralność naszego życia publicznego stała dzisiaj wysoko, a atmosfera w nim panowała zdrowa i czysta. Temat jest przykry... trzeba go jednak poruszyć w piśmie katolickim.

Zatruwanie atmosfery naszego życia publicznego zaczęło się od zarania naszej niepodległości i nie było czemś nowym,

oderwanym od życia lecz prostą konsekwencją dziejów poprzednich lat, ciężkiego okresu niewoli, rewolucji 1905 roku i innych wydarzeń. W momencie, kiedy 30 miljonowy naród po stukilkudziecięcioletniej niewoli, odzyskał wreszcie byt niepodległy i uwalniany stopniowo od wrogiej okupacji, poczuł się znów panem na własnym terytorjum, gdy wszyscy myśleli o czekającym ich olbrzymim wysiłku budowy własnego państwa i każdemu zdrowo myślącemu obywatelowi-patrjocie narzucała się poprostu myśl wytworzenia rządu, reprezentującego dążenia i potrzeby całego społeczeństwa, wszystkich jego ugrupowań, rządu jaknajbardziej „koalicyjnego", szerokiego, międzypartyjnego, który usuwając na bok i łagodząc wszelkie animozje partyjne, zaprzągłby wszystkich do jednej zgodnej pracy—w tym momencie ci, w których ręku znajdował się ster, powołali do życia gabinet socjalistyczny Moraczewskiego, pierwszy rząd niepodległej Rzeczypospolitej

Nie znajdzie się chyba nikt w Polsce, któryby twierdził, że rząd Moraczewskiego był wyrazem dążeń i potrzeb ówczesnego społeczeństwa. Fakt, że rząd ten ustąpił pod naporem powszechnej niechęci 90% narodu bezpośrednio po stłumnieniu nieudolnego zamachu, zorganizowanego przeciwko niemu—mówi chyba sam za siebie. Przez sam jednak fakt istnienia i prowokowaniu swymi jednostronnymi zarządzeniami większości narodu—rozpalił on do czerwoności namiętności polityczne i przygotował grunt pod przyszłe, niejednokrotnie fatalne wydarzenia.

Naród polski nie dał się zamknąć w zaraniu swojej niepodległości w wąskie ramy dotkryny socjalistycznej. Sama jednak próba tego zamknięcia kosztowała nas bardzo drogo. Stała się ona genezą rozpętania w Polsce walk partyjnych w zaraniu jej niepodległości. Odpowiedzialność będzie wyraźnie ustalona na kartach historji..

Odkąd temperatura tarć politycznych idzie stale w górę, coraz więcej gromadzi się wzajemnych nieporozumień, kłótni, zarzutów, insynuacyj, oszczerstw i miotanych na siebie gromów. Wszelkie usiłowania ludzi dobrej woli, zmierzające raz po raz do wytworzenia jakich takich form madus vivendi napotykają na nieprzezwyciężone przeszkody, atmosfera staje się coraz bardziej duszna, napełniona miazmatami rozterki i nienawiści, z krótką przerwą rządów jedności narodowej podczas odpierania ofenzywy

bolszewickiej — aż wreszcie następuje mówiąc językiem cenzuralnym przewrót majowy i powstaje system rządzenia, którego zasadniczą cechą i nieledwie zadaniem jest systematyczne gnębienie i wyniszczanie jednych organizacji politycznych przez drugie.

* * *

„Kara na P. P. S."—pod tym tytułem ukazał się już dawniej artykuł w „Głosie Narodu", tak charakterystyczny i ciekawy, że cytujemy go w całości:

„Sprawę Liebermana łagodzi brak wogóle jakichkolwiek u niego przekonań. Przeżarty pozą i fałszywym patosem nie ma ani społecznych, ani politycznych przekonań. Nie podejrzewam go zupełnie o jakiekolwiek uczucia dla państwa polskiego"... Tak wygląda w oświetleniu p. Jędrzeja Moraczewskiego gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie PPS.—poseł Lieberman. Towarzysze z „frakcji" demaskują bezlitośnie jedną wielkość pepesowską za drugą. Arystydesi i Katoni, bohaterzy, który przez lata całe codziennie mieli przelewać krew za Polskę, patrjoci surowi i nieugięci—są teraz przez Moraczewskiego, Malinowskiego i redaktorów „Przedświtu" ściągani bez ceremonji ze szczudeł i okazywani publicznie na wystawie karłów i komedjantów. Odniesione rany? Podobno p. Lieberman ma jedną na ręce—z czyraka. Patrjotyzm? Czyż to nie Zaremba i Kwapiński naradzali się w czasie bitwy pod Warszawą nad urządzeniem rewolucji? A Żuławski i Stańczyk czyż to nie przebrani bolszewicy? Odwaga, bezinteresowność? Jeden z przywódców PPS. dostał ataku nerwowego, gdy zaczęto w nim szukać tych cnót obywatelskich. O pomniejszych zarzutach i drugorzędnych figurach PPS., prześwietlanych dziś aparatem analitycznym „Przedświtu" już nie wspominamy. Gdy się skończą te rewelacje, trzeba będzie rzucić w ogień broszury Plutarcha o żywotach „wielkich towarzyszów" i napisać prawdę tak sensacyjną, jak zuchwałą była dotychczasowa o nich mistyfikacja.

Naturalnie zarzuty spotykają się z protestami. P. Lieberman pisze o p. Moraczewskim, że „cechuje go niemal chorobliwa manja szkalowania", że „pióro, którem wypisuje przeciw różnym osobom swoje paszkwile, umaczane jest najczęściej w błocie". Wybornie, p. Lieberman, ale przyjmując nawet, że wszystko, co Pan w swym artykule wypisuje o charakterze i przeszłości Moraczewskiego, odpowiada ścisłej prawdzie, czytelnik nie może powstrzymać się od niewinnego pytania: „Czemuż w takim razie Pańska partja tak długo, bo aż do roku 1927, obdarzała p. Moraczewskiego najwyższemi godnościami, czemu go wysyłała do gabinetu, stawiała na czele swoich władz? Jak mogliście tolerować przez zgórą 20 lat człowieka, który „na barkach klasy robotniczej, bez ryzyka piął się w górę i który w roku 1915 publicznie na zebraniu miał oświadczyć, że „dobrą politykę robi się tylko oszustwem"? Wiedzieliście to wszystko, a mimo to był towarzysz Jędrzej przez lata całe waszą dumą, waszym Arystydesem, waszym wodzem... Nie, p. Lieberman, tak prędko nie załatwi się Pan teraz z „obłędnym świętoszkiem"—jak Pan nazywa w ostatnim „Robotniku" pana Moraczewskiego".

Chorobliwa „manja szkalowania"! Nareszcie odczuwają socjaliści na sobie i na swojej partji skutki tych ohydnych metod szkalowania, insunuowania i podejrzewania, jakie stosowali przez dziesięć lat wobec swych przeciwników. Nie było kampanji osobistej przeciw wybitnym osobom z obozu umiarkowanego, w której socjaliści nie graliby roli „wybitnej". Nie było plotki, którejby nie wyolbrzymili i nie zniekształcili. Byli przy pracy, gdy chodziło o to, by wyszczuć z rządów i z kraju najczystszą sławę Polski. Ignacego Paderewskiego, Ich ofiarą padł Linde, dopiero po śmierci zrehabilitowany, a co pisała prasa PPS. o Dmowskim, o Dowborze, o Hallerach, o księdzu Adamskim, ks. Lutosławskim, o St. Grabskim, o Rozwadowskim, Zagórskim! Każdy z nich był jakimś potworem moralnym, do każdego z tych nazwisk przyczepiła jakąś złośliwą plotkę, każdego pomogła „zlikwidować" Któż to jak nie władza partyjna PPS. po przewrocie majowym zażądała — zgodnie z artykułem pana Moraczewskiego w „Robotniku"—zaaresztowania, postawienia przed sądem wszystkich niemal byłych ministrów „prawicowych" i piastowych? Czyż i p. Lieberman nie uczestniczył w tej wstrętnej hecy, szargającej w błocie honor ludzi zasłużonych? Trzeba było trzech lat rządów pomajowych, by stało się jasnem, że można stawiać wszystkie zarzuty, ale udownić nie można żadnego, mimo że się ma dzisiaj dostęp do najtajniejszych aktów. Ktoby dzisiaj potrafił powtórzyć choćby jeden konkretny zarzut przeciw Witosowi, Kiernikowi, a przecież dwaj ci politycy byli ścigani jak wściekłe psy przez socjalistyczną prasę. Trzeba było silnych nerwów by wytrzymać tę nagonkę.

PPS. tak zatruła atmosferę polityczną Polski zabójczemi bakterjami kalumnji, że praca publiczna stała się dla obywateli prawdziwą męczarnią. Ta to atmosfera przygotowała zamach majowy. Przeszedł on w momencie, gdy dzięki propagandzie socjalistycznej wszyscy wybitni politycy niesocjalistyczni uzyskali opinię „złodzieji". Z zapałem przyłączyła się następnie PPS. do sanacji „moralnej" i nieustawała w wiwatach na cześć przewrotu. Pisaliśmy wówczas, w pierwszych dniach po maju, że spotkamy się z ówczesnemi zwycięzcami pod Filippi. Dziś spotykamy już PPS. na tem sławnem polu odwetu. PPS. trząsąc się z obawy nowego zamachu otrzymuje cięgi zasłużone od swoich własnych towarzyszów i od sojuszników. A to przecież dopiero początek. Kara przyszła szczególnie bolesna bo ze strony bliskiej. Nie triumfujemy z tego powodu, ale i nie współczujemy. Kara jest potrzebną za siedem lat orgji kalumnjatorskich i za zdradę demokracji".

Tak pisał „Głos Narodu" 20 kwietnia 1929 roku, kiedy jeszcze ministrem Pracy i Opieki Społecznej nie był p. Prystor, kiedy jeszcze Kasy Chorych znajdowały się w rękach P. P. S.... Jak słusznymi i pełnymi przewidywania wydają się dzisiaj te słowa!

Porządek moralny ma to do siebie, że deptać po nim bezkarnie można tylko do czasu, w pewnym momencie bowiem skutki popełnionych występków poczynają się mścić na sprawcach, bardzo często w sposób przez nich najmniej przewidywany. Tak się stało

z dotychczasowymi sprzymierzeńcami i twórcami zamachu majowego. Przez pewien czas łączyły ich wspólne namiętności i nienawiści, nie był to jednak, jak się okazało, trwały węzeł przyjaźni.

Można powiedzieć, że te same namiętności, które ich złączyły, przyczyniły się następnie do ich rozdzielenia. P. P. S. wobec każdego rządu stosować zwykła w zasadzie wygodną metodę opozycyjną, przynajmniej na zewnątrz.

Taką metodę poniekąd musi stosować ze względu na swój stosunek demagogiczny wobec mas robotniczych i ustawiczne licytowanie się na tym terenie z komunistami. Równocześnie jednak P.P.S. korzystało z poparcia niejednego rządu, zapomocą oddanych sobie ludzi na stanowiskach ministerjalnych. Tak było i w pierwszych latach rządów sanacyjnych, kiedy w nagrodę za czynną pomoc P.P.S. podczas zamachu majowego (strajk kolejowy i poparcie w prasie oraz zapomocą bojówek), dawni towarzysze pracy z grup sanacyjnych patrzyli przez palce na „wybryki opozycyjne" prasy socjalistycznej i klubów parlamentarnych P.P.S. Taki stan rzeczy nie mógł się jednak długo utrzymać i obecnie dawni sojusznicy stali się zaciętymi wrogami. P.P.S. otrzymała od nich cios najboleśniejszy, gdyż w jej łonie został zorganizowany rozłam a powstała w drodze rozłamu t. zw. frakcja rewolucyjna używa w walce ze swą macierzą socjalistyczną, tych metod, których się dawniej od niej nauczyła, obecnie zaś w oczach całego kraju „grupa pułkowników", wyposażona w środki publiczno-prawne wydziera P.P.S. kasy chorych, jedną z najsilniejszych i najkorzystniejszych domen i źródeł wpływów tej partji cenę polityki szantaży i „opozycji", uprawianej przez tę partję w stosunku do szeregu gabinetów poprzednich. Tak więc jesteśmy świadkami wzajemnej walki ugrupowań obozu lewicowo-radykalnego, który w r. 1905 tworzył jedną zwartą całość, a w r. 1926 dokonał wspólnie zamachu stanu, sięgając zbrojną ręką po władzę w Rzeczypospolitej i likwidując faktycznie stan prawny, ustalony przez ustawę konstytucyjną z 17. III. 1923.

* * *

Jeśliby pod uderzeniami „rządu pułkowników" zachwiały się istotnie szeregi P.P.S. i partja ta utraciła znaczną część swoich wpływów, byłby to bodaj jedyny względnie dodatni skutek obecnego systemu rządów, nie wynagradzający oczywiście krajowi

szeregu skutków ujemnych, których opisywanie nie jest tematem dzisiejszego artykułu.

Musimy pamiętać, że walka, która się toczy między sanacją a P.P.S. którą w danym wypadku całkowicie odróżniamy i eliminujemy od stanowiska opozycyjnego ugrupowań prawicy i centrum—nie jest podjęta w imię wyższych ideałów moralnych i państwowotwórczych. Chodzi tu o rzeczy zupełnie prozaiczne: o usadowienie się mocniej na siodle rządowym, o opanowanie instytucji samorządowych swoimi ludźmi i dla swoich ludzi. Istotę tej walki charakteryzuje „Gazeta Warszawska" w sposób ostry, lecz nie pozbawiony słuszności, pisząc:

„W popularnem malarstwie religijnem znane są obrazy, przedstawiające walki potępieńców, spychających się nawzajem i spychanych przez szatanów na dno... piekła.

Obraz podobny ciśnie się przed oczy wyobraźni obserwatora obecnej fazy walk politycznych w Polsce. Ludzie, którzy przez dziesiątki lat razem robili politykę, którzy od tego czasu ani się nie poprawili, ani nie pogorszyli, którzy znali dobrze nawzajem swoje słabe strony, nagle w potępieńczym szale rzucają się na siebie i wszelkimi sposobami spychają się wzajem na dno".

A zaraz potem dodaje:

„Istnieje grupa potępieńców, która wszelkiemi siłami na samo dno piekła chce zepchnąć — Sejm. Niedawno napiętnowaliśmy niegodziwą odezwę Ligi mocarstwowej, obecnie przytaczamy nielepszą monarchistów, wydaną „w rocznicę Konstytucji 3-go maja". Czytamy znów, że „Sejmy, Sejmiki i Rady Miejskie potworzyły niszczące Naród Polski prawa". że na przewodników stronnictw sejmowych wybijają się próżniacy, aferzyści, bezczelni złodzieje grosza publicznego, obrońcy sutenerów i zdrajców ojczyzny", że wogóle Sejm jest „siedliskiem korupcji i zdrady".

Na miły Bóg — co to za robota? Komu zależy na tem, aby splugawić w Polsce wszystko i wszystkich? To tak działają w Polsce monarchiści, którzy są gdzieindziej stronnictwem umiarkowanem, konserwatywnem, stronnictwem ładu i dobrych obyczajów? Czy sądzą, że w ten sposób utorują drogę monarchji?

Nie, to nie jest droga do umiarkowanej monarchji, lecz do anarchji, a potem do — bolszewizmu!

Nie mamy żadnego powodu bronić ani obecnego, ani poprzedniego Sejmu. Wiemy że parlamentaryzm polski wymaga naprawy przez zmianę ordynacji wyborczej. Nie mniej jednak twierdzimy, że Sejmy polskie nie były i nie są siedliskiem korupcji i zdrady. Nie nasz człowiek, ale długoletni przyjaciel Piłsudskiego, senator Motz, znający doskonale stosunki europejskie i patrzący na Polskę przez ich pryzmaty, nie wahał się w Senacie dobitnie zaprotestować przeciw nagonce na Polski Sejm.

Cieszycie się, że ta nagonka znajduje posłuch wśród szerokich mas? Niestety, tak jest. Ale czy wiecie, co te masy myślą o was, wrogach Sejmu?

Powiadają sobie poprostu: „Tacy dobrzy jedni, jak i drudzy". A wniosek? Lepiej o nim nie mówić.

Więc uciszcie się, potępieńcy! Wiadomo, którym z was należy się honorowe miejsce na dnie piekła, na które chcecie zepchnąć Sejm. I nicbyśmy nie mieli przeciw temu, żybyście się tam wcześniej znaleźli, gdyby nie obawa, że razem z sobą i Sejmem posiągnięcie tam naród i państwo. Bo ku temu idziecie, nieszczęśni potępieńcy, jeśli sądzicie, że unikniecie piekła, gdy innych będziecie spychać — na dno! Złudna nadzieja! Sprawiedliwość dziejowa umieści każdego we właściwym dla niego kręgu. Miejsce na dnie jest zarezerwowane. Zatem pozostawcie naród i państwo w spokoju".

Smutne refleksje opanują każdego szczerego patrjotę, gdy zastanowi się głębiej nad obecną sytuacją wewnętrzną państwa W każdym społeczeństwie kulturalnym muszą być pewne autorytety życia publicznego: ludzie i instytucje, do których warstwy społeczne, wyższe i niższe mają przynajmniej w pewnym stopniu zaufanie i szacunek. Społeczeństwu, w którym wszelkie autorytety są podważane, grozi anarchja, walka wszystkich przeciwko wszystkim i upadek.

Kto i co jest w chwili obecnej autorytetem w Polsce z punktu widzenia poglądów przeciętnego chłopa, robotnika, czy inteligenta. Zastanówmy się. Czy przywódcy „sanacji moralnej", czy przywódcy ugrupowań jej przeciwnych, czy może zohydzany systematycznie Sejm i Senat, lub instytucje samorządowe?

— Lepiej wstrzymać się od odpowiedzi!

* * *

Pół biedy byłoby jeszcze, gdyby tylko ugrupowania obozu radykalno-lewicowego były z sobą w stanie zażartej walki o władzę, a z drugiej strony mógł się im przeciwstawić zwarty i jednolity front ugrupowań katolickich i „umiarkowanych". Wiemy jednak, że tak nie jest, że między organizacjami prawicy i centrum dochodzi bardzo często do ostrych scysji, a nawet walk, prowadzonych często, przynajmniej z jednej strony, wcale nie metodami chrześcijańskiemi.

I trzeba stwierdzić objektywnie, że inicjatywa w tych walkach w łonie „obozu umiarkowanego" znajduje się w rękach ugrupowania nacjonalistycznego, które, dążąc do zrealizowania pewnego rodzaju monopolu, pragnie za wszelką cenę poderwać siłę organizacyjną i opinię innych ugrupowań, spełniając wobec nich podobną rolę, jak „sanacja" wobec P. P. S.

Rzecz zrozumiała, iż taki stan rzeczy prowadzi do ogólnego zakłócenia porządku społecznego, do walki wszystkich przeciwko wszystkim.

* * *

W ostatnich czasach jedno z pism wystąpiło z projektem pewnego rodzaju rozejmu między walczącymi i skłóconymi grupami, proponując, aby w imię „mocarstwowego rozwoju demokratycznej Polski" obie strony t. j. rząd i opozycja — stępiły „ostrość wzajemnego nastawienia". Należy zanotować fakt charakterystyczny, że wystąpienie to spotkało się naogół z dużą niechęcią, zwłaszcza ze strony prasy nacjonalistycznej. Rzucano nawet gromy na inicjatorów, zarzucając im nieczystość pobudek.

Fakt ten wskazuje, że ogólna atmosfera nie jest wcale nastawiona w kierunku zmniejszenia się istniejących tarć.

Nam chodzi jednak o co innego, a mianowicie, czy, merytorycznie biorąc, słuszną jest rzeczą wysuwanie zasady stępienia ostrości wzajemnego nastawienia w chwili obecnej i czy zrealizowanie tej zasady byłoby możliwe w dobie obecnej.

W imię zasad chrześcijańskich i zdrowego patrjotyzmu chętnie odpowiadamy twierdząco na obydwa pytania. Nie możemy jednak powstrzymać się od uwagi, że realizacja tych zasad nie jest tak łatwa, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Chodzi o to, kto ma dać pierwszy inicjatywę do zgody, pierwszy wyciągnąć rękę do swoich przeciwników, pierwszy ogłosić rozejm i „Treuga Dei". Wszak nie może tego uczynić żadne z ugrupowań prawicy, czy centrum, prześladowanych przez obecny system, gdyż taka inicjatywa z tej strony byłaby przyjęta, jako akt poddania się i wywieszenia białej chorągwi, a zresztą nie są oni stroną zaczepną i nie od nich zależy zaprzestanie walki.

Sprawiedliwość i logika faktów wymaga, aby pierwsi dali inicjatywę ci, którzy najbardziej przeciwko jedności i zgodzie społecznej nagrzeszyli, którzy, już nie mówiąc o ich sposobie dojścia do władzy, zwalczali parlament jako instytucję, usuwali swoich przeciwników z armji i z administracji, używali niegodnych środków w akcji wyborczej, oni powinni dać pierwsi dowód dobrej woli t. j. przedewszystkiem zaprzestać natychmiast metod dotyczasowych i od tego zacząć łagodzenie zaognionych stosunków.

Pierwsi winni dać inicjatywę ci, którzy, znajdując się u steru rządu, w pierwszym rzędzie mają obowiązek dbać o interes państwa, a reprezentując jego autorytet wobec kraju, mają prawo dawać inicjatywę wszelkim pożytecznym dla państwa poczynaniom w myśl zasady: Caveant consules...

Czy zaprzestaną dotychczasowych metod i czy dadzą inicjatywę do złagodzenia tarć politycznych—Bóg jeden wie tylko. Jeżeli jednak nie uczynią tego, a moment bodaj ku temu ostatni, lub może nawet już nieco spóźniony—wówczas długie jeszcze walki i spory wewnętrzne będą opóźniać i utrudniać rozwój mocarstwowy Polski—a po czasie ctworzy się nowa karta historji, smutna i tragiczna z napisem: **„kara na sanację”.**

S. J. K.

Wielkie przeoczenie.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu miała być zobrazowaniem dziesięcioletniego dorobku naszego na wszystkich polach, tymczasem skończyło się na tem tylko, że „miała być“. Jeśli się weźmie taką np. Wystawę Rządową, to daje ona obraz mniej więcej dokładny tego, co zrobił nasz rząd, nieźle także spisały się przemysł, handel, organizacje społeczne, czy nawet dobroczynne, ale zaspali sprawę katolicy. W danym wypadku nie mamy na myśli organizowania wystawy kościelnej, to bowiem możeby trochę ubliżało godności Kościoła katolickiego, sprowadzając go do rzędu wystawcy — instytucji, bądź wystawcy — firmy, jeden wszakże dział pracy katolików polskich powinien znaleźć się na wystawie koniecznie. Działem tym jest współpraca misyjna.

Akcja na rzecz misji rozwinęła się w Polsce na dobre dopiero po odzyskaniu niepodległości, ponieważ zaborcy krępowali oraz tamowali jej rozwój, zmuszając nawet do konspirowania się, wobec tego należało nasze najświeższe zdobycze pokazać swoim i obcym tembardziej, że praca misyjna jest obecnie, jak gdyby kamieniem probierczym idealizmu oraz żarliwości wiary poszczególnych narodów. Do tego, niestety, nie doszło. Komu przypisać winę za to wielkie przeoczenie, trudno osądzić, — nie chcemy tu rzucać bezpodstawnych oskarżeń —

spowodował to więc zapewne brak centrali całego ruchu misyjnego na Polskę i chodzenie każdej organizacji śladem kiplingowskiego kota własnemi drogami. O ile nam wiadomo, Związek Misyjny Polek za staraniem p. Kazimiery Berkanówny uzyskał od dyrekcji Powszechnej Wystawy Krajowej bezpłatne stoisko, za co dyrekcji tej należy się prawdziwe uznanie, jednak ostatecznie organizacja owa z tego nie skorzystała, jeno urządziła krótkotrwałą wystawę na mieście. Czem wytłumaczyć tę nagłą dezercję? Skąd takie nierycerskie wycofanie się z przyznanego stanowiska? Ze swej strony na podstawie informacyj z dobrze poinformowanych źródeł możemy stwierdzić z całą pewnością, iż dyrekcja wystawowa nie jest winna ani trochę. Może tak Związek Misyjny Polek udzieli w tej sprawie wyjaśnienia dokładniejszego.

By nie gadać za wiele, rzec trzeba, że popełniliśmy wielkie przeoczenie. Z pracy naszych misjonarzy znalazło się tylko parę fotografij placówek polskich o. o. Oblatów w Kanadzie, umieszczonych w pawilonie Polonja zagranicą. Tylko tyle, a powinien być cały pawilon.

Należycie postąpili Hiszpanie na swojej trwającej teraz Wystawie Międzynarodowej w Barcelonie. Tam wzniesiony został specjalny Pałac Misyjny o przestrzeni pięciu tysięcy metrów kwadratowych, jak głosi leżący przed nami wspaniale wydany prospekt. Budowla ta — sądzimy z podobizny — pod względem architektonicznym przedstawia się imponująco. Do urządzenia wystawy w niej przyłożył rękę, kto mógł. Paryski „La Croix" z dnia 5 września r. b. pisze między innemi: „Król hiszpański, który bardzo interesuje się kongresem misyjnym i manifestacjami, związanemi z nim, dał upoważnienie na wystawienie na wystawie misyjnej sławnego krzyża „Chrystusa św. Franciszka Ksawerego", przechowywanego troskliwie w kaplicy królewskiej w pałacu w Madrycie. Krucyfiks ten pupularnie nazywamy „Christo del cangrejo" (Chrystus kraba) będzie przeniesiony do Barcelony przez infułata don Fernanda".

Sto lat temu Joachim Lelewel wykazywał podobieństwa między Polską a Hiszpanją. Dzisiaj rzecz ma się odwrotnie: należałoby raczej wykazywać różnice.

J. M. Ch.

Siostry Katechistki Misjonarki Marji Niepokalanej.

Prasa codzienna podała krótką wiadomość, że do Polski sprowadzić się mają niebawem siostry Katechistki, Misjonarki Marji Niepokalanej, wobec czego nie od rzeczy będzie podanie o nich bodaj paru szczegółów informacyjnych.

Siostry Katechistki są członkiniami Towarzystwa Córek św. Franciszka Salezego, ufundowanego dnia 15 października 1872 r. przez ks. Kanonika Chaumont, którego proces beatyfikacyjny został już rozpoczęty, oraz przez Karolinę Colchen Cavie. Konstytucje jego przez Stolicę Apostolską zatwierdzone zostały ostatecznie dnia 26 kwietnia 1911 r. Pierwszy wyjazd sióstr Katechistek na misje nastąpił dnia 12 października 1889 r., a więc czterdzieści lat temu. Zakonnice wyruszyły z Marsylji do Nagpore, w Hindustanie, na zaproszenie tamtejszego biskupa.

Obecnie siostry Katechistki posiadają siedemnaście domów w Indjach (sześć w Nagporze, dziewięć w Kumbakoman, dwa w Bangalorze) i jeden na Madagaskarze (w Imerimandroso). Wogóle tworzą one dzieła, któreby pozwoliły im zbliżyć się do kobiety pogańskiej we wszystkich stadjach jej życia, a więc żłobki, sierocińce, pracownie, szkoły, lecznice, szpitale, schroniska dla trędowatych oraz dla wszelkiego rodzaju nędzy. Na misjach zakonnice ponadto nawiedzają w czasie długich wycieczek chorych i chrzczą tych, którym grozi śmierć. Biskupi misyjni domagają się coraz więcej takich właśnie pracownic misyjnych, co świadczy najlepiej, jak są pożyteczne.

Podstawą pracy apostolskiej sióstr Katechistek ma być doskonałość osobista oraz głębokie życie wewnętrzne, oparte na wskazówkach z pism św. Franciszka Salezego.

jmch.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Wergiliusz jako poeta mesjaniczny.

Maro, Maro, vates gentilium,
Da Christo testimonium!

Tak śpiewało średniowiecze w jednym z owych „Mysterji” na Boże Narodzenie napisanych, w których łączyła się dziecięca pobożność minionych wieków ze zdumiewającą nieraz głębią myśli i uczuć. Zwracają się w te słowa do Publjusza Wergiliusza Marona, nie miano na myśli autora „Eneidy” ani „Georgik”, lecz twórcę słynnej IV Eklogi, p. t. „*Pollio*”.

Jest ona najbardziej znaną ze wszystkich Bukolik mantuańskiego wieszcza, a budzi najwięcej zagadek i problemów. Poświęcone Pollionowi, za jego konsulatu w r. 40, odbiega prawie zupełnie od nastroju i charakteru sielanki*); poeta wzywa na początku Muzy sycylijskie do wyższej, górniejszej pieśni:

„Sicilides Musae, poullo maiora canamus”.

Dawne proroctwa się sprawdzają i nowy wiek teraz nastanie; za konsulatu Polliona narodzi się cudowne dziecię, które będzie ozdobą swych czasów, z bogami się zrówna i zapanuje nad światem uspokojonym przez ojca swojego zasługi; kwiaty słać się będą przed jego kolebką, dęby miód sączyć, zwierzęta dzikie przestaną być groźnemi. Ale jeszcze na razie zgubne dziedzictwo przeszłych pokoleń zakłócać będzie błogość tych czasów. Gdy jednak owo pacholę wyrośnie na męża, znikną pozostałości dawnych żelaznych czasów, i zapanuje wiek złoty, w którym ziemia bez znoju i pracy wszystkiego ludziom dostarczy. Apostrofą do spodziewanego *puer*, aby przyszedł na świat i uśmiechem swoim rozjaśnił rodziców oblicze, kończy się ta pieśń pełna tajemnic i rojeń proroczych.

Oto krótkie streszczenie IV-ej Eklogi.

Uczony Dom Gueranger, benedyktyn, komentując officium II-ej niedzieli Adwentu w swoim „Roku liturgicznym”**) zestawia

---

*) Cf. prof. K. Morawskiego „Vergilius i Horatius”, str. 58.

**) T. I-y, str. 158, wydanie polskie zaczęło wychodzić niedawno, obecnie drukuje się III-ci tom, staraniem X. Świetlickiego i X. H. Nowackiego.

ten utwór pogańskiego wieszcza z lekcjami I-go Nokturnu, wziętemi z Izajasza, rozdz. XI:

„Będzie mieszkał wilk z jagnięciem, a pard z koźlęciem legać będzie; cielę i lew i owca pospołu mieszkać będą, a dziecię małe pędzić je będzie. Cielę i niedźwiedź będą się paść; społem legać będą szczenięta ich, a lew jako wół plewy będzie jadał. I będzie igrało dzieciątko od piersi nad dziurą żmijową, a odchowałe dziecię do jamy bazyliszkowej wpuści rękę swoją. Nie będą szkodzić ani zabijać po wszystkiej Górze świętej mojej: bo napełniona jest ziemia znajomości Pańskiej, jako wody morskie pokrywające".

„Radujmy się, ciągnie dalej opat z Solesmes, z cudownej zapowiedzi Proroka co do błogiej szczęśliwości i zgody, które zapanują na Górze świętej. Od tylu stuleci świat wzdychał za pokojem, — oto nadchodzi! Grzech zrodził niezgodę i zamęt, łaska wniesie ukojenie. Chrystus-Dziecię stanie się zadatkiem przymierza Bożego z ludzkością.

„Prorocy Izraela przepowiadali Go, Sybilla o Nim prorokowała, a w dumnym Rzymie, jeszcze spowitym w gęste mroki pogaństwa, największy z wieszczów łacińskich, echo starożytnych tradycji, zanucił ową sławną pieśń, w której śpiewa:

„Ostatnia era, oznajmiona wyrocznią Kumejską, już nadchodzi. Nowe potomstwo zstępuje z wyżyn niebiańskich. Trzody lękać się już nie będą lwów srogich. Zginie pospołu i wąż złośliwy i moc szkodliwa roślinom trującym odjętą będzie:

Ultima Cumae i venit iam carminis aetas...
Iam nova progenies caelo demittitur alta...
...Aec magnos metuunt armenta leones...
Occidet et serpens, et fallax herba veneni
Occidet..."

Krytyka wolnomyślna usiłuje zburzyć „legendę mesjaniczną" Wergiliusza, starając się dowieść, że IV-ta Ekloga jest utworem allegorycznym, zbliżonym do poezji grecko-żydowskich i wróżb Sybillińskich; że poeta musiał znać Księgi hebrajskie, któremi ówczesny Rzym z ciekawością się zajmował, bo „baśnie wschodnie" zaczynały być modnemi w stolicy. Lecz, że mówiąc o cudownem dziecięciu myślał poprostu o synu konsula Polliona, albo o oczekiwanym wówczas potomku Augusta.

„Lecz jakiż ród czy dom, pyta nieodżałowany prof. Kazi-

mierz Morawski*), mógł wtedy sobie rościć prawo i żywić nadzieję, iż z niego wyjdzie zbawca ludzkości?—Poeta zwrócił się do Polliona, stąd poszło, że syn tegoż, mało zresztą znaczący Asinius Gallus, według świadectwa Asconiusa Pedianiusa twierdził, następnie iż to jego urodziny witał Wergilius w sposób tak uroczysty. Ale te przechwałki nas nie przekonają; poeta nigdy nie nazywa Polliona ojcem spodziewanego dziecka, a znaczenie i ród konsula nie były przecież do tego stopnia wielkiemi, żeby aż uprawniały poetę do wyrażeń tak pochlebnych, do nadziei tak górnych".

Ta więc hipoteza upadła. A może mowa o potomku Augusta? — Oktawian był adoptowanym synem przyjętego w poczet bogów Juljusza Cezara; sam Wergiliusz w I-ej Eklodze nie poskąpił mu tytułu deus. „W jesieni r. 40 przed Chr., mówi dalej K. Morcwski, przyszło między Oktawianem a Antonjuszem do traktatu w Brundisium, który się wydawał zapowiedzią długotrwałego pokoju i błogości. Antonjusz, owdowiały po Tulwji, pojął wtedy za żonę wdowę Oktawję, siostrę Oktawjana. Ten ostatni, który zawsze hasła pokojowe wygłaszał, wydawał się głównym sprawcą układu, uwieńczonego błogosławionym skutkiem".

Czyż na nim i na jego domu, na rodzie Julijskim, oparły się promienie Wergiljusza i jego współczesnych nadzieje?

Oktawjan pojął był za żonę Scribonię, która w r. 40 spodziewała się potomstwa. Ale Scribonia powiła niebawem córkę, osławioną później Julję, nie zaś upragnionego syna. Czyż Wergiljusz, śpiewając in incertum sexus eventum, a zawiódłszy się tak bardzo w swych szumnych nadziejach, byłby włączył ten chybiony utwór do zbioru swoich Bukolik?

„Przeczytałem prawie wszystkie komentarze do IV-ej Eklogi, pisze uczony Firmin Didot, w swoim komentarzu do Bukolik, usiłując dociec, o jakiem to tajemniczem dziecięciu myslał Wergiljusz. Ale dołożywszy wiele starań i straciwszy wiele czasu, znalazłem się nakoniec w tej samej co na początku niepewności".

Toby się napewno i nam przydarzyło. Dlatego wolimy iść za taką powagą jak August Nicoles**), który twierdzi, że poeta

*) loco cit, p. 60—61.

**) „Etudes philosophiques sur le Christianisme", t. II, p. 173 itd.

opiera się w tym utworze na starodawnem podaniu o przyjściu obiecanego Zbawcy. Przywodzi na dowód wyrocznię Sybilli Kumejskiej, o której i Cyceron wspomina**), mówiąc że oczekiwano króla, władcę powszechnego, którego trzeba będzie uznać „si salvi esse vellemus". Wszyscy komentatorzy Wergiljusza zgadzają się na to, że on właśnie te tradycje odwieczne zastosował do swego bohatera, lecz nie zgadzają się z tem, kim ów bohater jest. Sama przesadność hiperboliczna wyrażeń poety nie da się zastosować do narodzin zwykłego śmiertelnika, nawet wysokiego rodu. Proszę zauważyć: wszystko co mówi, wychodzi poza granice imperium rzymskiego, a nawet wydarzeń często ludzkich, obejmując świat w swojej powszechności: „Terras", — „toto mundo", — „orbem" itd. Narodziny zagadkowego dziecięcia poruszają w szczególności samo Niebo, i wskazują na powszechne odrodzenie całego stworzenia; a, — co warto podkreślić, bo to wprost niesłychane na owe czasy, — odnowienie to ma się dokonać bez walki i przemocy, jedynie słodyczą, pokojem i mocą Bożą,—czyli właśnie w ten sposób, jakiego niebawem miał użyć boski nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus.

Wergiljusz powraca kilkakrotnie do tej okoliczności, że narodzenie tego dziecięcia, syna Dziewicy, rozpocznie erę nową:

„Incipient *magni* procedere *menses"*...
„*Talia saecla"*, suis dixerunt (Tarcae) „currite fusis..."
„Adspice, *venturo* laetantur ut omnia *saeclo!"*

Wiek żelazny skończy się, a wiek złoty powróci na ziemię:

„... Ferrea primum
Desinet, ac toto surget gens aurea mundo".

Jeżeli jeszcze pozostaną niektóre skutki naszych nieprawości:

„...Si qua manent sceleris vestigia nostri,
Irrita perpetua solvent formidine terras",

cała ziemia odetchnie, uwolniona od tego lęku, który ją od tak dawna przytłaczał.

Ten, przez którego spełnią się te dziwy, zrodzi się z łona Bóstwa; wzniesie się ponad wszystkich mieszkańców nieba, i rządzić będzie uspokojonym światem przez władzę ojcowską:

**) „De Divinatione", lib. II. cap. 54.

„Ille deum vitam accipiet divisque videbit
Permixtes hereas, et ipse videbitur illis;
Pacatumque regat patriis virtutibus orbem".

Tu następuje wspaniały opis tego świata uspokojonego, rządzonego przez Syna Bożego, opis który przypomina z jednej strony znany każdemu gimnaziście ustęp o „Złotym Wieku" Owidjusza:

„Aurea prima sata est aetas..."

a z drugiej przytoczony na początku XI rozdział Izajasza.

Tu się nasuwa uwaga: nie ulega wątpliwości, że pisma proroków hebrajskich miały decydujący wpływ na IV-tą Eklogę. Wedle Flawjusza Józefa Żydowina*) bowiem Herod Wielki przybył do rzymu w. r. 40, czyli właśnie wtedy, kiedy utwór ten powstał, i zamieszkał w pałacu przyjaciela swego Polliona, dobrze znanego Wergiljuszowi, Polliona którego imię widnieje w nagłówku Eklogi. Jakże wątpić, że tak bliski stosunek z królem żydowskim tak bardzo zajętym oczekiwaniem bliskiego Mesjasza, musiał się odbić na utworze rzymskiego wieszcza, dał mu ten specjalny koloryt i tę cechę aktualności, która nas w nim uderza i od innych sielanek go odróżnia?

„Przybywaj, o drogi potomku niebios, wielki synu Jowisza", woła w natchnieniu Łabędź Mantuański, — „oto czas przepowiedziany się zbliża. Przyjdź objąć wielkie zaszczyty, jakie ci się należą. Spójrz: oto wszechświat na twój widok chwieje się w posadach, krańce ziemi i drogi morskie i niebo wysokie wzruszają się; wszystko drży z radości na widok nowej ery, która się otwiera:

„Aggredere, o magnes, aderit iam tempus, honores,
Cara deum soboles, magnum Jovis incrementum.
Adspice convexo nutantem pondere mundum,
Verasque tractusque maris coelumque profundum;
Adspice venturo lactantur ut omnia seclo". **)

---

*) Antiquitates, l. XVI. cap. 25, l. XV. cap. 13.

**) Ostatnie te 3 wiersze uderzają podobieństwem do słów Aggeusza proroka (II. 7-8.): „Jeszcze jedna mała chwila jest, a ja poruszę niebo i ziemię, i morze i suchą. I poruszę wszystkie narody: a przyjdzie pożądany wszem narodom, mówi Pan zastępów".

Wobec tego trudno nie przyznać słuszności Augustowi Nicolas, który mówi:

„Wszystkie te wspaniałe wyrażenia poety, które w zastosowaniu do śmiertelnego człowieka byłyby śmieszną emfazą, jakby zbroją olbrzyma nałożoną na barki słabego dziecka, — stają się proste zrozumiałe, doskonale dostosowane, skoro się je zastosuje do Jezusa Chrystusa, Przedziwnego, Boga mocnego, Ojca przyszłego wieku, jak go nazywa Izajasz IX. 6. — On to spełnił wszystkie dawne przepowiednie; mocą z nieba odrodził ziemię, zastąpił przesądy ciemnego pogaństwa religią ufności i miłości, zmył niepewność grzesznej ludzkości, i oswobodziwszy ją z jarzma bojaźni, nauczył modlić się słowy: *„Ojcze nasz"*.

Zamiast się ze współczesną krytyką dopatrywać w tej mesjanicznej eklodze wpływów egipskich, orfejskich, etruskich, wpływów Platona i Pitagorasa, zawołajmy ze św. Augustynem: „Do kogóż innego, jeśli nie do Chrystusa, mogły być zwrócone te słowa?"

Nikogo zatem nie powinno zadziwić, że na Soborze Nicejskim w 325 r. Konstantyn Wielki nie zawahał się oprzeć swoich dowodów boskości chrześcijaństwa między innemi i na autorytecie twórcy IV-ej Eklogi. Dante zaś, biorąc go za przewodnika w wędrówce swej po krainach zaświata, był tylko wyrazicielem ogólnie rozpowszechnionej opinji, że Wergiljusz jest poetą mesjanicznym, i „przyświeca wnukom swoim pochodnią, którą sam nie jest oświetlony". (Purgatoreo).

Wergiljusz umarł 21-go września roku 19 przed Chr. w 51-ym roku życia. Nie było mu danem oglądać własnemi oczyma tego Mesjasza, którego opiewał:

„O mihi tum longae mancat pars ultima vitae,
Spiritus et quantum sat erit tua dicere fata...
Parve puer..."

Dopiero w lat 19 po jego zgonie miała się urzeczywistnić w stajence Betleemskiej radosna przepowiednia Izajasza: „Puer natus est nobis et Filius datus est nobis". Pogaństwo wschodnie, w osobie Trzech Króli, złożyło u stóp Bożej Dzieciny złoto kadzidło i mirę; Zachód, reprezentowany przez największego wieszcza światowego Rzymu, ofiarował Nowonarodzonemu IV-tą Eklogę.

Stara legenda*) opowiada, że gdy św. Paweł, wylądował w Italji niedaleko Neapolu, pokazano mu na Pauzylipie grób Wirgiljusza (dziś jeszcze można oglądać tam kamień grobowy, ocieniony starem drzewem laurowem, z którego turyści zrywają po listku na pamiątkę). Wielki Apostoł miał zalać się łzami wołając: „O największy z poetów, jak wielkim byłbym cię uczynił (przez Chrzest św.) gdybym cię był zastał żywego!"

Ad Maronis mausoleum
Ductus, fudit super eum.
Piae rorem lacrimae
„Quem te, inquit, reddidissem,
Si te vivum invenissem,
Poetarum maxime.

S. R.

Dzwony.

W okolicy zwano go Czarnym Urbanem.

Był to barczysty silny chłop, średniego wzrostu, lat trzydziestu paru, o smagłej i pociągłej twarzy, o dużych wyrazistych piwnych oczach ciągle niespokojnie poruszających się i tak czarnej kędzierzawej czuprynie, że patrząc na niego zdawało się — to koczujący cygan z zapalczywym wyrazem spojrzenia.

Urban pędził żywot zdeklarowanego hulaki.

W pobliżu miasteczka pracował jako strycharz w polowej cegielni, wodząc rej między towarzyszami pracy, którzy widzieli w nim przewodnika nocnej włóczęgi i zawadyjakę częstych awantur w okolicy lub miejscowej karczmie.

Mijały dnie. Urban nasyciwszy się przyjaciółmi kieliszka zostawał sam. Ogarniała go wówczas nieprzeparta chęć samotności. W pracy stawał się małomówny, opryskliwy, wyznaczoną robotę wykonywał niechętnie i oczekiwał dzwonka skończonych zajęć, by później siedząc w kącie karczmy pić do późnej nocy, póki zupełnie pijanego nie wyrzucono go za drzwi. Wówczas taczając się siadał na przydrożnym kamieniu lub pod drzewem, coś mówił do siebie, aż zasnął. Tak napół trzeźwego zastawał go niejeden letni poranek, kiedy idący do pracy strycharze za-

*) Przytoczona przez L. H. Morstina: „W kraju Latynów".

uważywszy go mówili między sobą: „Urbana znowóż coś napadło, że ludzi unika i pije". Niezdającego sobie jeszcze sprawy o co chodzi i co do niego mówią zabierali Urbana do cegielni. Zmęczony po nieprzespanej nocy nie mógł normalnie pracować, tylko groźba wydalenia zmuszała go do wysiłku, by dorównać innym.

Nadeszła pora fajerantowa. Towarzysze kieliszka ciągnęli go do miasteczka, lecz nie chciał, chciał zostać sam, by zgnębić gniotącą go apatję przeżytych dni, ból jego duszy, której nie rozumiał, lecz czuł, dlatego, że go coś cisło moralnie. Nie pomagały samotne przechadzki i ucieczka od ludzi, do których jednak musiał wrócić, nie znalazłszy spokoju i zadowolenia, by nanowo rzucić się w wir pijatyki i nocnej włóczęgi.

Urban był sam. Nie miał bratniej duszy, która by jemu szczerze współczuła, jemu człowiekowi bez celu, chylącemu się z każdym dniem w otchłań przepaści.

* * *

Na drodze było pusto. Leżący opodal cmentarz malował szare tło smutku rysujących się z poza murów strzelisto wysuniętych krzyży, tworząc odbicie naprzeciw rozpostartych łąk, nad któremi zrzadka owianemi kłębami wznosiła się mgła. Zdala czerniała zwężająca się wstęga otaczającego lasu, którego tło wycinało nierówną granicę błękitu nieba gęsto posianego gwiazdami. Dokoła panowała cisza. Tylko od czasu do czasu dał się odczuć łagodny powiew wiatru lekko kołyszącego liśćmi przydrożnych drzew ciągnących się długim obustronnym szpalerem, gdzieś ginącym w oddali zapadającej nocy. Samotny Urban kroczył powoli drogą wiodącą w stronę cmentarza, coś mówił do siebie, gestykulował, to rzucił raptem wyrazy przekleństwa jakby złorzecząc komuś, aż doszedłszy do cmentarnej bramy po niejakimś czasie zniknął.

Budził się letni poranek. Zamglona tarcza słoneczna rozsiewała leniwie ciepłe promienie, ogrzewając ziemską powłokę, której tło stawało się coraz jaśniejsze, zwiastując tem samem nowy dzień życia. Tylko wnętrze cmentarza owiane śpiącą martwotą rozściełało obraz tu i owdzie porozrzucanych grobów, wśród krzyżujących się alej do miejsc wiecznego spoczynku.

Słońce wzbijało się coraz wyżej nasycając powietrze ożywczym tchnieniem ciepła dodającego naturze cząstkę życia w szarej pustce cmentarza pogrążonego w nieprzerwanej ciszy,

gdy uderzył dzwon pobliskiego kościoła, niosąc echem poprzez fale atmosfery rytmiczne dźwięki ginące hen w przestrzeni, na odgłos których zbudził się i śpiący Urban.

Zdziwionym wzrokiem rozejrzał się dokoła, po chwili wstał, usiadł na ławeczce przy grobie i wsparłszy głowę na dłoniach myślał:

„Naostatek przyszło mi tu nocować między zmarłemi, a przecież mam własny kąt między ludźmi, lecz po co do nich pójdę, by patrzyli się na mnie, mnie wyrzuconego z roboty? Czy potoż by nie poznali mnie ci z któremi piłem razem? Nie, to jest podłość, to nędzna obłuda ludzka", buntował się rozgoryczony Urban przeciwko sobie i światu, a odgłos dzwonu kościelnego donośnie snuł monotonję melodji, ze skargą jego duszy przed tron Najwyższego i kołysaniem swoim niósł myśli coraz dalej do minionych chwil dzieciństwa, kiedy przy boku matki swawolny i beztroski, skarżył się jej, skarcony za lada błache przewinienie między rówieśnikami, a dziś....

„Urban co ty tu robisz na cmentarzu, pochowałeś kogo czy co, że tak siedzisz?"

Urban podniósł głowę, spojrzał na przybysza i nic nie odpowiedział, tylko machnął beznadziejnie ręką i wrócił do pierwotnej pozycji.

„Co ci jest, czemu nie idziesz do roboty?"

„Nie idę—odezwał się Urban — bo mnie wyrzucili, a mam się prosić, nie chcę, wolę zmarnieć, zginąć, lecz do nich nie pójdę".

„Urban nie martw się, będzie dobrze. Jesteś zdrów, silny, nic nie robisz teraz, chodź pomożesz mi lepiej grób kopać—mówił grabarz".

Urban wziął łopatę i niepewnym krokiem szedł do miejsca, gdzie mieli kopać. Naznaczony grób pogłębiał się stopniowo, a oni wyrzucali łopaty ziemi w milczeniu, wreszcie pierwszy odezwał się Urban:

„Masz rację żeś mi dał łopatę, wykopię przynajmniej grób dla siebie, bo co mi dziś pozostaje, chyba tylko ta ziemia jedna, zakończył".

„Chłopie co ci jest, co się z tobą stało, żeś taki markotny na wszystko? Wiem, za wódkę wyrzucili cię z cegielni i przez to powiesić się chcesz? Niemasz ty chyba Boga w sercu, że tak mówisz, sameś sobie winien, lecz tu nie trzeba rozpaczać

tylko rzucić to wszystko do djabła, wziąć się za robotę i jakoś pójdzie—zachęcał dobrotliwie grabarz". I kopali dalej.

„Gotowe!" powiedział grabarz wychodząc z wykopanego dołu. Pójdziemy teraz do chałupy. Matka coś zjeść przyszykuje, a ja wpadnę na plebanję — ciągnął grabarz, otrzepując zapiaszcone ubranie i po chwili wyszli z cmentarza.

Siwy ksiądz staruszek spojrzał na wchodzącego grabarza i zapytał: „Cóż, wykopaliście grób".

„Tak, proszę księdza proboszcza, tylko proszę dobrodzieja, ksiądz go zna, Czarnego Urbana, jego wczoraj wyrzucili z roboty i dzisiaj rano zastałem go na cmentarzu, jak medytował by się powiesić. Nie dałem mu. Namówiłem, kopaliśmy razem grób ten stalowany i zabrałem go do chałupy. Może ksiądz dobrodziej mu coś poradzi, niema z czego żyć. Nie będzie się tłukł po ludziach i będzie co z niego, dowodził tonem prostym grabarz".

„To zobaczymy jeszcze, tylko przyprowadź go jutro" odpowiedział starowina wychodząc.

Następnego dnia Urban z grabarzem udali się do księdza. Po drodze jakiś nieswój, szedł nieśmiałym krokiem, jakby się bał czegoś. Ksiądz był w zakrystji i widząc zmieszanego Urbana jakby dla zachęty odezwał się:

„To wy Urbanie kopaliście razem grób? Słyszałem, że nie macie roboty, otóż znajdzie się u mnie robota w ogrodzie przy plebanji. Pokaże wam co macie robić i będziecie mieli zajęcie.

Rozległe wnętrze ogrodu wśród ciszy zapadającej szarówki dnia mieniło się w różnorodnych barwach kwiatów i roślin między czeredą owocowych drzew łaczyło się w jedną malowniczą całość z obieloną w głębi plebanją. Zadzwoniono na Anioł Pański. Urban oderwał się od roboty. Zdjął czapkę i słuchał biegnąc myślą, jakto wczoraj jeszcze siedział na cmentarzu między grobami, jak chciał sobie życie odebrać, a dziś wśród ciszy, wśród kwiatów dokoła zdaje się innym być, nawet głos tego dzwonu wydawał się łagodniejszym, że chciałoby się żyć długo, wiecznie.

* * *

W kilka lat później ktoś jadący drogą, prowadzącą do wsi w stronę kościoła, zauważył stojącą na uboczu zagrodę wiejską, w której pośród bawiących się dzieci krzątało się dwoje ludzi. Był to Urban z rodziną na swojej chudobie. *J. Zamulewicz.*

Z RUCHU ODRODZENIOWEGO.

Chrystus.

Wśród gwaru miasta, ulicą tłumną,
Gdzie wszędzie zbytku napotkasz ślady,
Gdzię szatan wznosi swą głowę dumną —
Szedł Chrystus cichy, smutny i blady.
W spelunkach jaskiń czyha rozpusta,
Tam czarne zbrodnie społem się gnieżdżą.
Umalowane śmieją się usta,
Pijane głosy bezwstydnie wrzeszczą...
Umalowane śmieją się usta,
Wyzywające mówią coś oczy...
O, jakże droga ta ciężka, pusta
Już ze stóp świętych krew żywa broczy...
Rzęsistem światłem nęcą wystawy,
W kawiarniach modnych grają jazdbandy.
Chrystus wciąż idzie — za Nim ślad krwawy
Już płaszcz Mu z ramion spada wytarty..
Ulicą ciemną, w łachman odziana
Sunie się postać w głodu męczarniach.
To nędzarz, brat tych, co tam, w kawiarniach,
Pieniądz swój pławią w morzu szampana...
Na giełdzie życia idą afery
Ciemne jak czeluść samego piekła,
Na ustach ludzi brzmi śmiech nieszczery —
O, jakże droga ta jest rozwlekła...
Z chciwością pieniądz chwytają dłonie,
Nieraz go biedak z pod serca wyjmie —
Potem się perlą Chrystusa skronie...
Kto strudzonego w dom Go swój przyjmie?...
Długa i krwawa droga Żywota...
Siność śmiertelna pokryła wargi,
A w oczach Zbawcy smutku golgota,
Choć z ust nie słychać żałosnej skargi.
Ludzie niewdzięczni! Spójrzcie!... Krwią broczy!...
Czyż serce wasze z bólu nie pęka?!...
Macież wy śmiałość spojrzeć w te oczy,
W te oczy słodkie, w których łka męka?!...
Kto Go nakarmi?! Kto Go napoi?
Kto spać ułoży śród polne maki?...
Kto ból serdecznem słowem ukoi,
Kto Go przebłaga — czy będzie taki?...

Halina Litwinowiczówna.

VIII Tydzień Społeczny „Odrodzenia“ w Lublinie.

Tygodnie Społeczne „Odrodzenia“ w Lublinie są już dzisiaj instytucją stałą, która wyrobiła sobie odpowiednią opinję wśród inteligencji katolickiej, zarówno duchownej, jak i świeckiej. Jest to kuźnica myśli katolicko - społecznej w Polsce. Rok rocznie w końcu sierpnia zjeżdża się w gościnnych murach Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie kilkaset młodych katolików (mężczyzn i kobiet), którzy w ciągu całego tygodnia w głębokiej atmosferze stałych i systematycznych praktyk religijnych (Komunja św., msza św. Gregorjańska) kształcą swój umysł pod kierownictwem wytrawnych profesorów i działaczy. To też jeszcze raz należy podkreślić wybitną zasługę tych założycieli Ruchu Odrodzeniowego, którzy ośm lat temu zapoczątkowali tygodnie społeczne, oraz władz i poszczególnych profesorów Uniwersytetu Katolickiego, jak również tych przedstawicieli społeczeństwa lubelskiego, którzy stale udzielają tygodniom swej pomocy moralnej czy materjalnej.

Zagadnienia poruszone na VIII Tygodniu Społecznym dzielimy na pięć wyraźnie odcinających się działów: 1) zagadnienia religijno-filozoficzne, 2) zag. akcji katolickiej, 3) społeczno-gospodarcze. 4) naród, państwo i nacjonalizm, 5) sprawy organizacyjne Ruchu Odrodzeniowego.

Na pierwszą kategorję złożyły się wykłady J. M. ks. prof. J. Kruszyńskiego, Rektora Uniwersytetu Lubelsk. — Chrystus Król Powszechny, ks. dr. J. Pastuszki — Uniwersalizm i objektywizm u podstaw myśli katolickiej i ks. Dr. K. Kowalewskiego — Wpływ filozofji tomistycznej na współczesne odrodzenie katolickie. Roztoczyły one przed słuchaczami bogaty obraz fundamentalnych zasad filozofji katolickiej, opartych na odrodzonej i dostosowanej do czasów dzisiejszych doktrynie św. Tomasza z Akwinu i były niewątpliwie dla wielu poważną zachętą do studjów naukowych w tym kierunku. Uzupełnieniem wykładów w dziedzinie filozofji katolickiej były codzienne konferencje religijne wieczorem w kaplicy uniwersyteckiej.

Referat o Akcji Katolickiej wygłosił ks. Prałat Stanisław Adamski z Poznania, rzucając snop światła na to zagadnienie,

tak surowe jeszcze na gruncie polskim i pod wieloma względami nie wyjaśnione. Prelegent, przedstawiając właściwości, które winny cechować akcję katolicką, porównywał ją do armji stałej Kościoła, armji regularnej. Poza akcją katolicką mogą istnieć i powinny istnieć organizacje katolików, mające specjalne swoje zadania, lecz będzie to już nie armja regularna, lecz jakby pospolite ruszenie, czy też partyzantka. Ogromna dyskusja, która rozwinęła się nad referatem, świadczyła o wielkiem zainteresowaniu wśród uczestników kursu dla tego zagadnienia. Wśród poglądów, które w niej wyrażono, następujące wydają mi się najważniejsze: 1) Akcja katolicka musi być w ten sposób zorganizowana, aby utrzymując w się ramach wskazań Kościoła, nie krępowała jednakże swobodnej inicjatywy i ekspansji poszczególnych organizacji katolickich, zadaniem jej bowiem jest wzmóc działalność i rozrost tych organizacyj za pomocą apostolstwa i życia religijnego, a nie zniwelować je lub pochłonąć. 2) Akcja katolicka jest apolityczna i apartyjna, tem nie mniej wszakże wobec grożącego w Polsce zamachu na instytucje życia katolickiego, stanowić ona winna na gruncie naszym najistotniejszy i najgłębszy ośrodek, przygotowujący obronę katolicyzmu przed zakusami wrogów, w ten, czy w inny sposób zorganizowany i związany z życiem publicznym kraju. Podczas dyskusji podkreślano kilkakrotnie, że „Odrodzenie“ z natury swoich celów i zadań jest akcją katolicką.

Zagadnień społeczno - gospodarczych dotyczyły referaty: Dr. Karola Górskiego — Sprawiedliwość i miłość w życiu społecznem, Dr. Ignacego Czumy — Korporacyjna budowa społeczeństwa Ks. Dr. Antoniego Szymańskiego — Etatyzm a wolność gospodarcza i Dr. Adama Heydla—Dążności etatystyczne w Polsce współczesnej. Należy wyrazić żal, że nie doszły do skutku zapowiedziane przez program kursu referaty: Znaczenie i godność pracy zawodowej w nauce chrześcijańskiej i Organizacja mas, czy wychowanie elity. Mamy jednak nadzieję, że tematy te tak ciekawe i ważne dla życia społecznego Polski — znajdą się w programie tygodnia następnego. Zagadnienie etatyzmu wywołało dość żywą dyskusję, podczas której starły się poglądy liberalne, reprezentowane przez prof. Heydla z panującą na kursie doktryną chrześcijańsko - społeczną, której teoretyczne uzasadnienie dał w swoim referacie ks. prof. Szymański. Pod-

kreślano w dyskusji, że ideałem polityki gospodarczej nie jest ani skrajny liberalizm, który prowadzi do wyzysku pod względem socjalnym, ani etatyzm, krępujący inicjatywę prywatną, lecz system chrześcijańsko-społeczny, uwzględniający zarówno zasady wolności, jak i sprawiedliwości.

Przechodzimy do czwartego działu, na który się złożyły wykłady O. Dr. J. Wonieckiego—Naród, państwo i państwo narodowe w świetle nauki chrześcijańskiej i obowiązki oraz prawa państwa narodowego wobec mniejszości narodowościowych. Uzupełnieniem tego tematu były referaty: red. St. Sopickiego—Pacyfizm a katolicy i p. P. Skwarczyńskiego—Ustawodawstwo mniejszościowe w Polsce. Wreszcie tematy traktujące o innych zagadnieniach, choć z działem tym związane: p. Tadeusza Błażejewicza, honorowego prezesa Senjoratu—Wpływ psychiki polskiej na rozwój dziejowy Polski i p. Dr. Morawskiego — Posłannictwo dziejowe Polski.

Najbardziej ożywioną dyskusję wywołało zagadnienie narodu, państwa i nacjonalizmu. O. Jacek Woroniecki w wywodach swoich stanął na stanowisku państwa narodowego, potępiając jednakże w sposób zdecydowany wszelkie wybryki szowinizmu, sprzeczne z etyką chrześcijańską. Dyskusja, poza ciekawemi bardzo momentami, w których omawiano z punktu widzenia czysto teoretycznego stosunek narodu do państwa—dała wyraźne podkreślenie stanowiska narodowego „Odrodzenia" przy równoczesnym przeciwstawieniu się zasadom integralnego nacjonalizmu, takiego, jakim pojmuje go potępiona przez Rzym — „L'Action Franaaisé" t. j. nacjonalizmu pogańskiego. Jest faktem nadzwyczaj charakterystycznym i trochę zabawnym że pewien dziennikarz miejscowy, współpracownik sanacyjnej „Ziemi Lubelskiej", przysłuchawszy się niektórym urywkom dyskusji, uważał za stosowne na łamach swego pisma wziąć w obronę nacjonalizm przed uniwersalizmem katolickim, reprezentowanym przez O. J. Wonieckiego. Poczciwiec, nawet nie przypuszcza, jaką rolę wziął na siebie i kto jeszcze przed kilkoma laty prowadził z Odrodzeniem homeryczne boje o nacjonalizm pogański..

Pod koniec kursu prezes „Odrodzenia" akademickiego K. Malko wygłosił referat p. t.: W obliczu 10-lecia, w którym zobrazował działalność „Odrodzenia" w latach ostatnich i oma-

wiał plany pracy na przyszłość w związku ze zbliżającym się Kongresem Ruchu Odrodzeniowego.

Referat ten był punktem wyjścia do obrad organizacyjnych, które toczyły się dwa dni po zakończeniu kursu w gronie Senjorów „Odrodzenia" i przedstawicieli poszczególnych środowisk akademickich. Załatwiono szereg spraw, związanych z Kongresem, który odbędzie się 17 listopada r. b. w Warszawie.

Na tygodniu społecznym było obecne liczne grono dostojników Kościoła i działaczy katolickich. Wymienimy w pierwszym rzędzie Ich Ekscelencje Księży Biskupów Fulmana, Jełowickiego i Kubinę, którzy błogosławili pracom „Odrodzenia", raczyli przebywać z uczestnikami kursu dłużej, niż zwykle zagrzewając ich do gorliwości swoimi przemówieniami. Słowa ich ważkie i gorące zapadły głęboko w dusze uczestników tygodnia.

Po raz pierwszy byli na kursie przedstawiciele katolickiej młodzieży słowiańskiej, a mianowicie delegaci Ustredie Katolickeho Studentstva z Pragi, podejmowani serdecznie przez kierownictwo tygodnia, brali żywy udział w jego pracach i obradach. Przybyli również na kilka dni do Lublina trzej studenci francuscy i jedna francuska z Union pour la France pod przewodnictwem ks. Guinchard.

Ostatni tydzień społeczny zaznaczył się również tem, że po raz pierwszy wzięli w nim udział przedstawiciele Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie", którzy w liczbie kilkunastu przybyli na kurs i brali czynny udział w pracach tygodnia. W ten sposób była obecna w Lublinie cała rodzina Odrodzeniowa: senjorzy, akademicy i młodzież pracująca—zjednoczeni pod jednym wspólnym sztandarem katolicyzmu społecznego.

Nietylko Polska, ale już i zagranica interesuje się tygodniami społecznymi w Lublinie. Spełniły one jak dotychczas poważne zadanie, wychowując szereg roczników młodzieży w duchu zasad katolickich. Zadanie to nie skończone. Tygodnie społeczne w Lublinie trwać będą — daj Boże — długie lata i staną się z czasem chlubną kartą w życiu Polski katolickiej.

(*s. k.*).

Wycieczka na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania.

W dn. 13, 14 i 15 września zwiedzała Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu wycieczka, zorganizowana przez Centralny Komitet Wykonawczy Chrześcijańskiego Związku Młodzieży Pracującej „Odrodzenie", w której wzięło udział kilkadziesiąt osób z kół Warszawskiego i Pruszkowskiego „Odrodzenia", jak również ze Stow. Rob. Chrześcijańskich i Chrz. Zw. Zawodowych z Warszawy, Góry Kalwarji i Grodziska.

Wycieczka zwiedziła poszczególne pawilony P. W. K., zatrzymując się dłużej na eksponatach, dotyczących oświaty robotniczej. Dokonano również szeregu zdjęć fotograficznych, zwiedzano zabytki m. Poznania i udano się wspólnie na przedstawienie do Teatru Polskiego i Opery.

W miłym, koleżeńskim nastroju wycieczka powróciła do Warszawy w dn. 15 września rano, aby uczestnicy mogli udać się do pracy.

Kierownictwo nad techniczno-organizacyjną stroną wycieczki sprawował sekretarz C. K. W. kol. Fr. Kwasiborski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Ks. profesor Paweł Styger: **Rotunda świętych Feliksa i Adaukta na Wawelu.** Mauzoleum z pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce. Warszawa, 1929, Nakładem Wydawnictwa Domu Prasy Katolickiej. Str. 24 Cena 1 zł.

Odkopana w 1917 r. rotunda na Wawelu budziła w ciągu dziesiątka z okładem lat najrozmaitsze domysły, mające na celu wyjaśnienie, jakim to mianowicie celom służyła po wybudowaniu przed wiekami. Jedni mieli ją za świątynię pogańską, drudzy za baptyserjum, inni jeszcze za pierwszą katedrę krakowską, a więc opinje były sprzeczne, zagadkę tę przeto postanowił rozwiązać jeszcze raz ksiądz profesor Paweł Styger. Zdaniem jego, mamy tutaj do czynienia z rotundą grobową, jaką na wzór zagranicy wznieśli sobie jacyś wielmoże.

Rzecz ta napisana jest z sumiennością prawdziwego uczonego, przytoczony został obfity materjał, na podstawie którego autor wyciąga wnioski, wskutek czego czytelnik pozostaje przez czas czytania pod silną jego sugestją, i na wywody jego niesposób nie zgodzić się. Sąd ostateczny o tej pracy należy do specjalistów, od siebie tylko dodać muszę, że z zainteresowaniem przeczyta broszurę tę każdy inteligent, którego ciekawią kwestje z zakresu archeologji czy sztuki.

J. M. Ch.

S. Kamieński: **Jak bolszewicy uszczęśliwili Rosję!** Płock—Warszawa, 1929, („Dobra Prasa", serja „B", № 9). Str. 16. Cena 25 gr.

Jak wszystkie inne prace S. Kamieńskiego, tak i ta posiada pierwszorzędne walory propagandowe, a że jest oparta na autentycznych źródłach bolszewickich, wykazujących mimowoli ruinę gospodarczą państwa bolszewików, zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie zwłaszcza w sferach robotniczych. Sposób wykładu w broszurce jest świetny, jedno wypływa z drugiego, uszeregowanie faktów pomyślane głęboko, wskutek czego autorowi, tak doskonałemu popularyzatorowi, należy się za to prawdziwe uznanie.

J. M. Ch.

Józef Stanisław Pietrzak: **Wielki narodowy bohater, o. Marek Jandowicz, Karmelita, duchowy wódz Konfederacji Barskiej.** Wydanie drugie. Kraków, 1928. Str. 20. Cena 1 złp.

Józef Stanisław Pietrzak, będąc w posiadaniu nieznanych dokumentów o słynnym o. Marku Jandowiczu, opracował obszerniejszą pracę o tym Karmelicie trzewiczkowym, która podobno znajduje się obecnie pod prasą, przedtem jednak rezultaty swych badań podał w osobnej broszurce, prostującej niektóre nieścisłości historyczne. Przedewszystkiem autor na podstawie ścisłych badań ustalił prawdziwe brzmienie nazwiska świętobliwego zakonnika, jakie dotychczas podawano błędnie.

Opowiadając o życiu o. Marka, Pietrzak podkreśla jego patrjotyzm, a między innemi na str. 12 oraz na str. 13 przytacza jego modlitwę za Polskę. Krótka ta sylwetka skreślona jest z uczuciem, czyta się ją więc z zaciekawieniem, dzięki któremu zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Zewnętrznie wydawnictwo owe prezentuje się bez zarzutu: papier, okładka, ilustracja z portretem dobre, szkoda wszakże, iż cena jest trochę przywysoka.

Na okładce autor wymienia szereg prac „ogłoszonych drukiem i do druku przygotowanych", gdzie zapowiada ukazanie się rozprawy p. t. „Rycerskość polska a chamstwo dzisiejszych czasów".

J. M. Ch.

A. Weryha: **Walka z masonerją.** Warszawa, 1929. Str. 40.

Jako motto swej pracy, autor „Walki z masonerją" wziął słowa św. Joanny d'Arc: „Trzeba walczyć, by Bóg dał zwycięstwo". Wychodząc z tego założenia, rzuca on hasło walki z wolnomularstwem, przyczem ma ona być inna, niż dotychczas, inną zupełnie. Teraz „bronimy się—zauważa.— Ale na tem poprzestać nie możemy, zasadniczem prawem boju jest natarcie—atak. Nie możemy tkwić w Okopach św. Trójcy, musimy wyjść do walki, przejść do natarcia. Tylko w natarciu otrzymuje się zwycięstwo". Ta teza posłużyła za punkt wyjścia, kreśli więc autor plan, jak to natarcie zorganizować. Z tego względu „Walka z masonerją" śmiało nazwana być może przewodnikiem walki z masonerją, walki, która sprowadzić się nie da do czterech punktów: 1) chrześcijańskiej organizacji społeczeństwa celem koncentracji sił katolickich, 2) popierania działaczy katolickich wraz ze stabilizacją ich warunków bytu, 3) poznania wroga samemu oraz zaznajomienia z nim innych, 4) natarcia na ekspozytury masońskie i na jednostki, które należy usuwać z placówek społecznych oraz państwowych, jako indywidua szkodliwe. Tak się przedstawia schemat zmagań z polipem masońskim, według pomysłu tego publicysty, są to jednak środki czysto ludzkie, które same przez się zwycięstwa dać nie są w stanie. Walcząc z masońdtwem, katolik powinien zwracać się o pomoc do Boga, powinien modlić się na tę intencję, to bowiem czynić nakazuje Ojciec św. Leon XIII w encyklice swej pt. „Humanus genus", mianowicie w jej zakończeniu.

Myśli, wyrażone przez publicystę, mimo pewnych niedociągnięć są trafne, plan przeprowadzony konsekwentnie, mający pozory możności zrealizowania go, wobec czego cała nasza inteligencja winna zapoznać się z nim oraz wziąć udział w jego realizacji. Uczynić to należy jaknajprędzej, bo zwłoka jest naszą klęską. Niechaj elita rozpocznie pracę naprawdę, a szersze sfery poprą ją natychmiast! Rozchodzi się jeno o to, ażeby zacząć, a po ruszeniu dzieło potoczy się łatwiej. Plan jest, obecnie wypada go wykonać, ale przy tem wszystkiem trzeba kierować się przedewszystkiem miłością chrześcijańską.

S. Z.

Z kraju i zagranicy.

Stolica Apostolska w obronie Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Katolicki obóz francuski miał i ma wybitnych myślicieli i pisarzy, na polu jednak akcji społeczno - katolickiej i organizacji nowoczesnej szerokich mas stoi daleko w tyle poza innemi krajami.

Rezultatem takiego stanu rzeczy było zjawisko, iż politycznie próbuje go „urabiać" i reprezentować nacjonalizm typu „l'Action francaise", traktujący katolicyzm utylitarnie i wyzyskujący go tylko dla swoich celów politycznych; robotnik zaś francuski niemal całkowicie jest zorganizowany w t. zw. C.G.T. (Confederation General du Travaille) t. j. organizacji klasowej — socjalistycznej. Katolicy francuscy jeszcze do niedawna uważali, że kwestję społeczną należy rozwijać przez filantropję, a Boże broń nie organizować pracowników dla obrony ich interesów w związki zawodowe, bo to pachnie socjalizmem. Pogląd ten jednak próby życia nie wytrzymuje i budzi się przeciwko niemu reakcja we francuskim obozie katolickim. Oto niedawno wystąpił znany francuski działacz społeczny, ks. Thellier de Poncheville, zarzucając swoim rodakom katolickim obojętność w stosunku do kwestji społecznej, zwłaszcza do Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Związki te we Francji muszą walczyć nietylko z nadużyciami kapitalizmu, lub z socjalizmem i komunizmem, ale także i z katolickiemi sferami posiadającemi o prawo do egzystencji. Te właśnie sfery wystąpiły ze skargą do Rzymu na Chrześcijańskie Związki Zawodowe. Mianowicie, pewna grupa przemysłowców katolickich z Roubaix Tourcoigne wysłała do Rzymu prośbę, w której skarżą się na rzekome tendencje marksistowskie i „socjalizm państwowy" chrześcijańskich związków zawodowych. Zresztą i nacjonaliści francuscy, pod których wpływami pozostają sfery posiadające katolickie, gromią na szpaltach „l'Action Francaise" chrześcijański ruch zawodowy, zarzucając mu tendencje socjalistyczne.

Cóż Stolica Apostolska odpowiedziała na te zarzuty?

W „Acta Apostolicae Sedis" opublikowany został ważny dokument Kongregacji Koncyljum w formie listu do biskupa Lienard z Lille.

Po drobiazgowej ankiecie kongregacja wyjaśniła, że powyższe zarzuty są zupełnie bezpodstawne. W tej opinji pontyfikalnej, ujętej w siedem artykułów, Kościół stwierdza swoją kompetencję w podobnych sprawach ze względu na moralną ich stronę i uznaje prawowitość, a nawet niezbędność stowarzyszeń syndykalnych. Syndykaty robotnicze, odrębne od syndykatów pracodawców, nie zagrażają pokojowi społecznemu. Przeciwnie, stwierdza Stol. Apostolska — należy popierać i otaczać opieką tego rodzaju syndykaty w których robotnicy chrześcijańscy mogliby naprawdę występować w obronie swych słusznych interesów ekonomicznych i doczesnych.

Dalej Kongregacja Koncyljum stwierdza, że z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej filantropijna działalność ludzka nie wystarcza. Jest rzeczą również konieczną, by poważanie, należne syndykatom chrześcijańskim, było jeżeli nie większe, to przynajmniej równe temu traktowaniu, jakie się stosuje do syndykatów religijnych i rewolucyjnych.

Wreszcie Stolica Apostolska zachęca duchowieństwo, aby się poświęciło sprawom chrześcijańskiego syndykalizmu.

Tak więc spór wyrosły na gruncie francuskim spowodował zasadnicze wyjaśnienie stosunku Stolicy Świętej, do chrześcijańskiego ruchu zawodowego wogóle.

Papież Pius XI staje obok Leona XIII jako opiekun i szczery przyjaciel mas pracujących, jako rzecznik ich potrzeb.

Ten głos Stolicy Piotrowej ma i dla naszych polskich stosunków olbrzymie znaczenie. Wskazuje on ruchowi chrześcijańsko - społecznemu w Polsce jego drogi i zadania, a zarazem pozwala na przyszłość zdecydowanie i mocno opierać się wszelkim zakusom, zmierzającym do złamania go, lub sprowadzenia na bezdroża. („Rzeczpospolita").

PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

O czystość idei katolickiej.

Minęły te czasy, kiedy pod panowaniem prądów pozytywistycznych religja katolicka i Kościół znajdowały się na szarym końcu sentymentów i zainteresowań społeczeństwa, kiedy przeciętny inteligent wstydził się wogóle przyznać, że jest katolikiem, a poruszanie zagadnień religijnych w miejscach publicznych uważałby za grubą nieprzyzwoitość.

Trudno wprawdzie twierdzić z całą pewnością, że poziom indywidualnego życia religijnego podniósł się w sposób zdecydowany w naszym społeczeństwie. Przeciwko takiemu twierdzeniu możnaby wytoczyć cały szereg argumentów, jak upadek poziomu życia moralnego etc. Jedno wszakże powiedzieć można z całą pewnością. Oto przenikanie religji, a przynajmniej zasad i haseł religijnych na teren życia społecznego, publicznego poczyniło w ostatnim dziesięcioleciu ogromne postępy. Oczywiście nie zamykamy oczu na fakt, że równocześnie dokonuje się również zjawisko przeciwne: tężenie i konsolidowanie się obozu wyraźnie antyreligijnego. Można jednak powiedzieć, że zasady i hasła religijne zyskują coraz większy poklask w opinji publicznej, coraz mocniej stabilizują się w niej i uzyskują prawo obywatelstwa.

Duża w tem zasługa organizacji i działaczy katolicko-społecznych. Nie możemy zapominać, że takie Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w okresie swojej intensywnej działalności, a potem także Chrześcijańskie Związki Zawodowe w dużej mierze wywalczyły prawo obywatelstwa dla idei katolickiej wśród mas robotniczych. I jeżeli obecnie można iść śmiało do tych mas z programem chrześcijańskim, wyraźnie przeciwstawiać się zgubnym doktrynom i hasłom socjal-komunistycznym i być przez nie zrozumianym — to zasługa kilkunastoletniej pracy wyżej wymienionych organizacyj, które dzień za dniem zaszczepiały w te masy ideje, zaczerpnięte z Encykliki Rerum Novarum i innych enuncjacji Kościoła

A rola, jaką odegrało „Odrodzenie" wsród inteligencji akademickiej. Przed 10 laty nie było na tym terenie żadnej organizacji katolickiej, roszczącej sobie pretensje do wysuwania haseł społecznych i organizowania młodej inteligencji pod sztandarami swojej ideologji. Dziś poszczególne organizacje, pracujące wśród młodej inteligencji akademickiej ubiegają się nieraz o zaszczyt reprezentowania idei katolickiej. Nawet młodzież nacjonalistyczna, idąc za ogólnym prądem i pragnąc utrzymać swoje wpływy wśród akademików, zmienia i koryguje raz poraz swoje deklaracje ideowe, pragnąc pogodzić ich zasadnicze tezy z zasadami karolickimi. Duża to zasługa katolickiego ruchu Odrodzenia i wielka satysfakcja dla działaczy i członków tej organizacji.

Tak więc w ciągu ostatniego 10-lecia religja przestała być u nas zagadnieniem tylko prywatnym, kwestją aktualną w kościele, w zakrystji i na zebraniu bractwa parafjalnego. Promienie jej ożywcze zaczęły przenikać w coraz szersze warstwy społeczeństwa. Coraz więcej ludzi dochodzi do przekonania, że tylko program katolicki zdoła zreformować i postawić na właściwej płaszczyźnie życie społeczne, gospodarcze, a nawet polityczne kraju, że religja jest zagadnieniem par exellence publicznym, w którym zainteresowany jest cały naród polski, a nietylko poszczególne jednostki.

Jest to niewątpliwie ewolucja bardzo dodatnia. Dzięki niej będzie rzeczą możliwą, a przynajmniej bardziej ułatwioną wprowadzenie w życie proklamowanych przez Kościół zasad „Akcji

Katolickiej" i wytworzenie w Polsce jedności i współdziałania wszystkich katolików w sprawach katolickich.

* * *

Czy nie jest objawem bardzo charakterystycznym, że pewni działacze, którzy jeszcze nie tak dawno stali całkowicie i bez zastrzeżeń na gruncie poglądów Maurrasa i Valois, po potępieniu przez Papieża „L'Action Francaise" ogłosili szereg deklaracji, mających stwierdzić ich lojalność wobec naszej religji, albo, że wybitny przywódca wojującego pozytywizmu z przed laty 20, nie zwalcza już teraz zupełnie religji, pisując piękne artykuły na łamach narodowego miesięcznika, albo, że, bardzo wpływowe w naszym państwie sfery, zbliżone raczej swoim sposobem myślenia do materjalistycznych koncepcji liberalizmu, kokietują zupełnie wyraźnie Kościół, nawet wówczas, gdy im się zdarza prowadzić politykę antykościelną.

Są to objawy bardzo znamienne dla czasów dzisiejszych. Nie nazwalibyśmy ich jednak dodatnimi bez żadnych zastrzeżeń. Niewątpliwie medal ma dwie strony...

Chodzi nam o czystość idei katolickiej, o to, aby ona nie została zamącona żadnymi nieszlachetnymi domieszkami, czy to pogańskiego nacjonalizmu, czy liberalizmu, aby nikt nie mógł traktować religji, jako środka do osiągnięcia celów, nic, albo bardzo mało mających wspólnego z tą religją.

Musimy bardzo o tę czystość dbać i walczyć o nią na każdym kroku, wszelkie zaś próby jej zamącenia wytykać i krytykować z całą energją. Obowiązani jesteśmy to czynić, aby nie zmarnować tych walorów, które katolicyzm w Polsce zdołał osiągnąć w ostatnim dziesięcioleciu dzięki wysiłkowi ludzi dobrej woli.

Katolicyzm w Polsce czeka ostra i zdecydowana walka o zasadę: „instaurare omnia in Christo", o to, jakie zasady mają panować w rodzinie, szkole i innych instytucjach życia publicznego. Mobilizując się do tej walki, musimy pamiętać, że osiągniemy zwycięstwo tylko wówczas, gdy szeregi katolickie będą armją karną i wyćwiczoną, jednolitą co do celów, zadań i metod.

Lepiej nie robić sobie zbyt wielkich złudzeń i nadziei co do tych, którzy wahają się stale między liberalizmem a katolicyzmem, albo między „etyką narodową" a etyką katolicką, ani-

żeli potem, tworząc z nimi pospolite ruszenie, narazić się na ich odstępstwo w chwili decydującej.

Walka o charakter publiczny katolicyzmu dała jak dotąd pomyślne rezultaty. Nie zaprzestając jej, musimy większą, niż dotychczas uwagę zwrócić na konieczność utrzymania czystości idei katolickiej w Polsce. *St. K-ski.*

Jak Pan Jezus wyglądał?

Nieraz czytać można opisy Jego oblicza, postawy, rysów i zewnętrznego charakteru. Bądź to na podstawie wizyj, snów, widzeń, zachwytów, bądź też tradycji chrześcijańskiego malarstwa; bądź w inny jakikolwiek sposób. Trafia się, że pisma podają czasem rzekomo odpisy jakichś starodawnych jakoby autentycznych żródeł rzymskich, w których ziemski wygląd Pana Jezusa byłby opisany dokładnie.

Miesięcznik „La Palestine", wychodzący w Jerozolimie, jako organ łacińskiego patryjarchatu i Dzieła Zachowania Wiary w Ziemi Świętej, organ również Rycerskiego Zakonu Kawalerów Świętego Grobu Pańskiego tak samo się tą sprawą zajął niezbyt dawno temu.

I oto, jakie nasamprzód mądre wyraża przestrogi, do których i my pewne myśli dodajemy.

Portret, podobiznę Jezusa, mówią tam, spisał nam Paweł św., gdy wołał w słowach pełnych ognia i świętego zapału: „Dilexit me et tradidit se ipsum pro me: ukochał mnie i wydał się sam za mnie na śmierć". Mamy tu obraz miłości Jezusowej, lecz o rysach jego nic, a jednak św. Paweł spotkał się z Jezusem Zmartwychwstałym na drodze do Damaszku... i zaniewidział od blasku. Słyszał głos jego tylko:„ Szawle, Szawle, czemuż mnie prześladujusz?" „*Mnie*" — to jest Kościół. Kto więc Kościół ogląda, Jezusa ogląda. Bo czyż nie powiedział On Apostołom: „Kto Was słucha, M n i e słucha? A Kościół oglądać można tylko duchem w dziejach jego i w łaskach jego, w świętości jego i w nauce jego, w liturgji jego naprzykład i to w bardzo doskonałym stopniu, w liturgji wschodniej i zachodniej.

Święty Paweł był też zachwycony aż do trzeciego nieba, Może widział tam i ludzkość Jezusa? Lecz sam pisze: „Nie godzi się o tem mówić. Ani ucho nie słyszało, ani oko nie widziało... co Bóg gotuje wybranym swoim".

Już w IV-tym wieku, gdy zabrzmiały hymny wolności Kościoła, gdy tłumnie rozrastały się świątynie i nawracali się poganie rzymscy—co swych bożków mogli oglądać, może byli i tacy co czuli i chcieli, jak Apostoł Filip. Filip zwrócił się do Pana Jezusa i rzekł Mu: „Panie, pokaż nam Ojca i to nam wystarczy". A Jezus na to: „Kto Mnie ogląda Filipie i Ojca mego ogląda". Tak też i oni nowi chrześcijanie mówili może: „Pokażcie nam Jezusa, prawdziwy obraz rysów jego świętych, a ucieszymy się, bo wszak Cesarza znamy z posągów współczesnych i wszystkich widzieliśmy imperatorów, którym się kłanialiśmy, a podobizny ich pozostaną na długo w marmurze lub bronzie. A gdzież portret Jezusa? Wszak Chrystus nasz nie tak dawno chodził po ziemi".

Na to odpowiada biskup z Cezarei Palestyńskiej, Euzebjusz, ojciec historji kościelnej, zwracając się do siostry Wielkiego Konstantyna, która go nagabywała o podobiznę Chrystusową: „Musimy się zadowolnić tem, co powiedział św. Paweł, że nie znamy już Chrystusa wedle ciała". To znaczy, że duchem Go tylko znamy i w duchu poznawać musimy. (List włączony do aktów drugiego Nicejskiego Soboru).

Jak poznać Chrystusa duchem? Przez Wiarę w to, czego nas Apostołowie przez Kościół uczą, bo oto co mówi Pismo święte: „Na początku przed wszelkiem stworzeniem i zanim cośkolwiek istniało, było Słowo i Słowo było z Bogiem i Słowo Bogiem było... i Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jakoby Syna Jedynego, który od Ojca przyszedł, pełnego łaski i prawdy". (Apostoł św. Jan). A zatem Przedwieczny Bóg On i człowiek w czasie... Jakże to wyobrazić dla oczu? Tylko Wiara to poznaje. A św. Paweł tak mówi: „Chrystus Jezus, równy Bogu, tejże samej co i On natury, stał się podobny ludziom, wziął (na się) naturę naszą i ludzkości naszej istotę". I znów też same tajemnice wiary: dwie Chrystusowe natury. Jakiż pędzel, jakie opisy mogłyby to wyrazić? Czytamy zaś u proroka Barucha „Był widzian na ziemi i żył pośród ludzi i z ni-

mi". Tak też i historja mówi, bo coś mówić o Jezusie musi, lecz jakże Go opisze?

Czyż więc niema świadectw współczesnych historyków starożytności, którzyby nam odpis rysopisu Chrystusowego zostawili?

Oto Jozef Flawjusz, Żydowin, co nam dzieje oblężenia i zburzenia Jerozolimy przez Rzymian zostawił, a więc spełnienie się dosłowne tego proroctwa Jezusowego, które Jemu samemu łzy z oczu wyciskało. Zostawił nam również i dzieło p. t. „Starożytności Żydowskie". A o Jezusie cóż mówi? „W tym czasie żył Jezus, człowiek mądry, jeśli tylko wypada nam nazwać go człowiekiem. Gdyż uczynił on rzeczy zadziwiające i był mistrzem tych, którzy chętnie i z radością prawdę przyjmują". Ta zwięzła notatka Flawjusza Józefa wywołała niezliczone polemiki. „Wtręt*) chrześcijan", mówiono, „tekst zepsuty, nieautentyczny", a zatem wtręt zrobiony ręką chrześcijanina w czasach, kiedy przepisywano książki odręcznie? „Niema tej notatki w takich, a takich to starożytnych odpisach dodawano jeszcze". I tak dalej. Lecz oto krytyka historyczna, coraz ściślejsza, coraz częściej niespodzianki pierwotnej krytyce sprawia. Kilka lat temu zaledwie żyd niemiecki, uczony, wydał studjum o tej notatce, gdzie stara się dowieść, że jest ona autentyczną, prawdziwie ręką samego Józefa pisaną. Lecz miałaby stanowić późniejszy ostrożny dodatek Józefa jako wygnańca z Palestyny, człowieka o charakterze słabym i zmiennym, a chciwym poparcia i sławy. Gdy jedni mu jej odmawiali, szedł do innych. Odepchnięty od Żydów, starał się przypodobać się i Grekom. Trafił również i w chrześcijańskie środowiska pierwszego wieku (w którym żył sam) i dla nich ten frazes ostrożny w nowem wydaniu swej pracy dopisał. Tak mówi nowy komentator. To jednak tylko teorja dotychczas. Faktem jest, że mniemanie o autentyczności słynnego ustępu Flawiusza powraca znów do aktualności naukowej.**) Bądź jednak co bądź, rysopisu Jezusowego domniemany Flawiusz nie podaje.

A Tacyt co mówi? On co Neronowe prześladowanie streścił, co pierwszy sprawę chrześcijan do powszechnego dzie-

---

*) Wtręt — dodatek późnieiszy do tekstu dzieła.

**) Patrz o tem Schweizerische Kirchenzeitung, Lucerna 1923.

jopisarstwa wciągnął? „Sprawca Chrześcijańskiego imienia, Chrystus, wycierpiał mękę za panowania Tyberjusza z rozkazu Poncjusza Piłata". To są jego słowa. I nic znów o rysach.

W końcu pierwszego wieku, Plinjusz Młodszy, elegancki publicysta rzymskiego świata, został prokonsulem Bitynji w Azji Mniejszej i tam sprawy chrześcijan o jego oparły się niejednokrotnie trybunał. Pisze więc do cesarza Trajana „Sprawiedliwego", aby mu rzecz wyłożyć i aby rady, względnie rozkazu zasięgnąć. „Chrześcijanie (ci) powiada, w tym słynnym piśmie, które on sam w wydaniu swych listów umieścił, zgromadzają się w pewne dnie, aby śpiewać wspólny hymn ku czci Chrystusa, jako do Boga jakiegoś". I znów nic o osobie Syna Bożego. Tyle najdawniejsze pomniki.

Lecz przechowała się w pismach Świętego Jana Damasceńskiego tradycja opisująca wygląd Chrystusa. Święty Doktór Kościoła żył na Wschodzie w VII-ym wieku i oto co powiada,*) dając nam opis któregoś ze starych obrazów przedstawiających Pana Jezusa.

„Na pośrodku głowy, pisze on, której proporcja i rozległość prawdziwie są wspaniałe, rozchodzi się uwłosienie brunatne, prawie że czarne, koloru dojrzałych orzechów leśnych (na Wschodzie). Rozdzielone pośrodku, spada ono na prawo i na lewo, skrywając uszy, aż do brody, gdzie się z brodą łączy. Brwi są czarne, oczy żywe i przejmujące, pełne jakiejś światłości. Wpijają się one z dziwną mieszaniną słodyczy i wielkiej powagi. Nos prosty i długi, niezbyt jest otwarty na nozdrzach. Wierzchnia warga pokryta jest lekkim wąsem, który nie schodzi poniżej jej, a pozwala dostrzec wdzięku i harmonji pełen zarys ust samych".

Jest to więc tradycyjny, mniejwięcej, typ oddawany zwykle w malarstwie chrześcijańskiem, z mniejszą lub większą udatnością. Lecz istnieje jeszcze jeden dokument tak zw. list Publiusza Lentulusa, o którym wiele pisano.

„Jest to, powiada on, rzekomo o Chrystusie Panu człowiek o postaci wysokiej, szlachetnego wdzięku, o twarzy czcigodnej; ktokolwiek nań patrzy może Go zarazem kochać i się

---

*) Dodajmy że Euzebjasz był wrogiem świętych obrazów, Św. Damascen zaś ich obrońcą.

Go bać. Włosy Jego spadają w lokach kędzierzawych o bardzo ciemnym kolorze i świecących; spływają one wolno na ramiona i są rozdzielone na pośrodku głowy według zwyczaju Nazareńczyków. Czoło jego jest przestrzenne i bardzo jasne. Twarz jego bez bruzd i plam, jest wdzięczną i mało ciemną. Nos jego i usta są bardzo regularne. Broda jego jest silna i rozdzielona na dwoje. Oczy jego są szaro-błękitne i jasne. Gdy się on gniewa jest straszny; gdy nawołuje jest On słodki i miły; wesoły choć powagę zachowuje. Nigdy nie widziano, by się śmiał, lecz widziano go często, jak płakał. Trzyma się bardzo prosto. Ręce jego i dłonie miłe są ku wejrzeniu. Mówi mało i to ze skromnością. Jest on największym z synów ludzkich".

Przytaczając te ustępy, miesięcznik „La Palestine". dodaje: „Być może że autorowie Velum Abgarowego (Króla Edessy), artyści możaik Rawenackich i autorzy Listów przypisanych Publiuszowi Lentulusowi i Św. Janowi Damasceńskiemu natchnienie swe czerpali z wizerunków pańskich, które w II-gim i III-cim wieku pojawiają się wśród malowideł katakumbowych. — Być może, że jest to typ idealny, jaki łącząc stopę możliwą piękna osiągalnego ze znajomością słodyczy Chrystusowej, urobili sobie dawni Chrześcijanie, podobnie jak Grecy swój typ piękna cielesnego ludzkiej postaci i kształtów ludzkich, choć inny zupełnie, też sobie byli wypracowali. Tak więc, raz jeszcze, powracając do pierwszych zdań naszych, wyczucie z wiary i obcowanie z łaską Chrystusową stworzyło. widomy typ Pana Jezusa, gotowy dla pędzla chrześcijańskiego.

Starochrześcijańskie malowidła katakumbowe nie zawsze mają ustaloną datę. Przesuwa się ona często jeszcze według toku badań i zdobywania nowych probierzy historycznych. Pisał o tem profesor teologicznego wydziału Uniwersytetu Warszawskiego, Szwajcar, ks. Paweł Stygier, młody a słynny już archeolog.

W katakumbach Chrystus Pan był najpierw wyobrażany symbolicznie, jako Orfeusz, łagodzący zwierzęta swą lutnią, lub Apollin, dawca natchnienia. Oba te typy łączyły się, poprzez baśnie mitologiczne greckie, z wyobrażeniem chrześcijańskich wierzeń co do życia przyszłego, bo wszak Orfeusz i Apollo

byli też przewodnikami dusz i dawcami pozagrobowej szczęśliwości, wedle mitów i pewnych greckich religji wtajemniczonych. A Chrześcijanie brali te wyobrażenia i na swe przerabiali symbole, co miało tę zaletę, że wszystko dla poganina, któryby wszedł do katakumb, pozostawałoby tajne i zasłonięte. Wtedy więc Chrystus występował bez brody, jako młodzieniec, lub w postaci pasterza. Było to jakby zarazem wysłowieniem Bóstwa Chrystusowego, tej wiecznej młodości, tego wieczystego, nigdy nieprzemijającego, nieumniejszającego się życia, które i dla nas stanęło w Nim otworem. „Z pełności jego wszyscyśmy wzięli" wedle słów natchnionych.

A te wody życia wiecznego, o których marzyli starożytni pod mianem „źródła odmładzającego", Chrystus Pan wskazał sam skąd one płyną mówiąc: „Ktoby jadł z chleba tego, którego Ja dam, nie umrze na wieki, a ktoby pił z wody którą mu wskażę nie będzie już pragnął". Bo tryskać ona w nim będzie źródłem „aż do życia wiecznego".

To też i Leonardo da Vinci, gdy malował Chrystusa przy Ostatniej Wieczerzy, namalował Go pod postacią młodzieńca bez brody. Bo tam łamał się chleb życia, oraz ta tajemnicza zawsze żywa ryba, o której pisze w swym nagrobku starochrześcijanin Aberciusz, lub o której wspomina znana płyta grobowa z Autun we Francji. Ryba, którą jako wzrokowi podpadający ideogram Chrystusa wzięty z greckiej mowy, malowali chrześcijanie dawnego Rzymu w swych katakumbach, jak o tem pamiętamy z „Quo Vadis" lub z „Fabjoli".

Wizerunek Chrystusa Pana z „Ostatniej wieczerzy" Leonarda da Vinci przypomina nam raczej typ malowideł przedstawiających Świętego Jana Apostoła, umiłowanego ucznia Jezusa. Tak jest, głębokie ma to znaczenie. Bo wszak Uczeń ten spoczywał na piersi Chrystusowej; wszak on najgłębiej, najwybitniej oddał w swej Ewangelji, i w swej Apokalipsie, tajniki Boskiej Liturgji, to jest Eucharystji; Chrystus wówczas bierze naszą postać, a my jego „abyśmy byli jedno, jak Ojciec i On jedno są". I ten jest portret Pana Jezusa, *dusza uświęcona.* „My Jego spożywamy, mawiali Ojcowie greccy, a On nas w siebie obraca". Gdy chcemy więc wiedzieć jak Pan Jezus wyglądał, szukajmy świętego. W jego rysach odnajdziemy błysk Jezusowej światłości. Szukajmy też w nas-

* * *

Pismo „La Palestine" rzecz swą kończy w ten sposób. Nadarmo szukano wizerunków oblicza Chrystusowego. Stało się tak zapewne nie bez głębszej, tajemniczej racji chcianej od Boga. Lecz wiemy, że człowieczeństwo Jezusowe, jest arcydziełem rąk Boskich. Nie sposób wystawić sobie coś bardziej doskonałego, coś bardziej harmonijnego. Oddaje ono w naturze stworzonej wszystko, co tylko można oddać z nieskończonej doskonałości Stwórcy. Dusza Jezusa, to cud światłości, mądrości, wiedzy i świętości. Przewyższa ona w sposób dla wszystkich nieogarniony najgłębsze umysły i wszystkie dusze najświętsze*). Ciało Jezusowe, to świątynia, wszechmiernie dobrana do tego ducha, który ją zamieszkuje. Posiada wszystko co potrzeba, by być instrumentem, narzędziem, niesłychanie, cudownie wprost wiernym, dla wielkiej duszy, która niem porusza. Proporcje ciała tego, powiemy również są niesłychanie piękne, rysy i kształty o idealnej czystości, skąd wypływa całokształt pełen mocy i wdzięku, pełen szlachetności i piękna boskiego. Psalm 44 mówi, zwracając się proroczo do Chrystusa: „Tyś jest najpiękniejszem z dzieci człowieczych. Idź, postępuj ze zwycięstwa w zwycięstwo i panuj". A dusze chrześcijańskie, oraz oblubienica z Pieśni nad Pieśniami wołają ku Niemu: „Mój Ukochany wybrany jest wśród dziesięciu tysięcy, cała osoba Jego pełna jest wdzięczności". Gdy chcemy więc czasem wiedzieć jak Pan Jezus wyglądał, zamknijmy oczy a podnieśmy serce. Zobaczymy go przy sądzie! Lecz możemy w każdej rzeczy odbicie Jego piękna widzieć jeśli czystą jest dusza nasza.

Od czasu rozprzestrzenienia się kultu Św. Teresy od Dzieciątka Jezus, rozpowszechniły się również wizerunki umęczonego oblicza Chrystusowego, wykonane przez jej siostrę. Stanowią one studjum zrobione wedle słynnego Całunu z Turynu, o którym chyba kiedyindziej, a który wedle pewnych

*) Ostatnio wyraził się bardzo trafnie Ojciec św. Pius XI, mówiąc o „nieskończonej genjalności Boskiego Mistrza" w mowie wygłoszonej o wiel. S. Teresie Małgorzacie od Naisł. Serca Jezusowego. (Patrz „Głos Karmelu" z czerwca 1929 r. str. 176).

badań nawet fotochemicznych byłby mógł być uważany za odbicie ciała Chrystusowego, gdyby historycy się temu nie sprzeciwiali.

* * *

Dodam jeszcze, że istnieje we wschodniej katolickiej liturgji Święto przeniesienia z Edessy do Konstantynopola „nie ludzką ręką malowanego Obrazu Pana naszego Jezusa Chrystusa, inaczej Świetą Chustą zwanego– w roku 908 za panowania Romana Porfirogenety, cesarza. I tegoż dnia świętego męczennika Djomeda..." jak się „ *Miesíacosłow*" słowiański, rodzaj martyrologium, wyraża. Święto przypada po Wniebowzięciu Najśw Panny, a interesować nas może tutaj przez jakieś utęsknienie dawnych Chrześcijan za ziemskiem Obliczem Pana Jezusa, któremu wyraz daje i przez głębokie hymny modlitewne, tak zwane *„tropary"* i *„kondaki"*, które Kościół na to święto śpiewa i które z okazji cudotwórczego obrazu skłaniają nas do szukania prawdziwego Oblicza Chrystusowego w nas samych, w tajemnicach wiary głęboko przeżytych. Oto tropar.:

„Przeczystemu, najświętszemu Twojemu obrazowi kłaniamy się, o Boże dobry, prosząc o przebaczenie za sprzeniewierzenia nasze, o Chryste Boże. Albowiem Tyś z własnej woli raczył miłościwie w ciele wzejść na krzyż, aby wyzwolić nas którycheś stworzył od niewolnictwa wrażego. To też dziękczynienie śpiewamy Tobie: Tyś wszystko radością napełnił, któryś przyszedł świat zbawić".

I dalej „Kondak".:

„O niczem niewysłowione Słowo Ojca, widząc w tobie Obraz zwycięski niewypowiedzianego i prawdziwie boskiego Twego miłościwego ku ludziom wejrzenia, Obraz, którego nikt oddać nie potrafi, i patrząc na ten obraz zwycięski od Boga namalowany twego rzeczywistego Wcielenia, cześć mu oddajemy całując go".

A wreszcie na zakończenie czyli „odpust".

„Niewysłowionem spojrzeniem przed, z własnej woli, podjętemi cierpieniami i męką raczył miłościwie wyobrazić i zdziałać najświętszy nie ludzką ręką malowany obraz swego przeczystego i bożego w ludzkie rysy wcielonego Oblicza na chuście świętej — Chrystus prawdziwy Bóg nasz, który przez mo-

dlitwy przeczystej swej Matki, świętego Djomeda męczennika i wszystkich świętych (niech) zmiłuje się nad nami i odratuje i zbawi nas, bo dobry jest i pełen ku ludziom miłości".

Formuły liturgiczne słowiańskie z powodu bardzo wielkiej prężności, tak krótko zbierają w jedno tak wiele różnych myśli, prawd i uczuć; tak silnie są syntetyczne i tak głęboko wchodzą w życie wewnętrzne i w najwyższe tajemnice i zasady wiary jednym rzutem wyrazu, że trudno przychodzi je tłómaczyć nie rozbijając ich zwięzłych skrótów na kilka odmienych myśli. Tak jest np. z kondakiem zwróconym do Słowa Przedwiecznego. Jest tam mowa o Chrystusie człowieku, o ludzkiej jego naturze jako o niewysłowionym obrazie miłości Bożej ku ludziom — tego wejrzenia — o jakiem mówi tekst i które przyrównuje, być może do wejrzenia Pana Jezusa które, wedle podania, stało się źródłem odbicia jego twarzy na świętej Chuście. Jest też mowa i o tem odbiciu, o obrazie na świętej Chuście, który nam rysy Boga-człowieka przedstawia tak prawdziwie, materjalnie jak prawdziwem było wcielenie się Słowa, Syna Bożego

Zachodzi tu więc niejaka gra słów co do wyrazów „obraz" i „spojrzenie". Ale patrząc na obraz na Chuście i całując go całą duszą się z tego ciesząc i radując, gdyż niesie on zwycięstwo nad złem, wnikamy jednocześnie w tajniki życia bożego i bożej myśli, miłości, mądrości. Zwrócić należy na to uwagę jak Kościół w tem wschodniem swem nabożeństwie usilnie baczy aby patrząc na obraz święty, wierny nie myślał, że namalował to człowiek, by przedstawić człowieka tylko. Każe nam się zastanawiać nad skutkami spoczęcia naszego wzroku na świętem wyobrażeniu, t. j. nad podniesieniem duszy do wnikania i zatapiania się w tajniki niewysłowionego oblicza bożego, które się w Chrystusie człowieku ukrywa i którego nikt nie namaluje. — Każe przed tem obliczem stawać, to jest przed mądrością i miłością Bożą, której Chrystus Pan był wyrazem i ku którym przez Chrystusa Pana dążymy. Te same myśli, któreśmy podali powyżej, mówiąc o tem, gdzie portretu Pana Jezusa szukać należy: w duszy.

Ciekawem było by stwierdzić ile w tej czci, tak pojętej, oddawanej świętym i cudotwórczym obrazom Chrystusa Pana

na Wschodzie, tak zwanym obrazom „nie ludzką malowanym ręką" — jest pierwiastków Czci Najsłodszego Serca Jezusowego wraz ze czcią Mądrości Bożej Przedwiecznej połączoną. Bo wszak o to nam chodzi, chcąc znaleźć portret Pana Jezusów,—wniknąć w jego duszę ludzką, w jego serce, aby przez nie dojść do Boga. A wyraz starocerkiewny słowiański, o Bogu, o Chrystusie „czełowiekoljubec", kochający człowieka, miłośnik ludzi, o tak dziwnie napomyka nietylko biblijne „upodobanie moje między synami ludzkimi" ale słynne powiedzenie z objawień w Paray le Monial „oto to serce co tyle ukochało ludzi". *A. B. R.*

Ś.Ś. Aniołów Stróżów.

2 października.

Wprawdzie nie należą oni do rodzaju ludzkiego, ale tak są jednak zżyci z nami i tak ich akcja zespolona jest z losem naszym, że niepodobna pominąć ich, gdy się mówi o tych wszystkich promieniach jasnych, które szły i idą ku nam z tego słońca przecudnego, jakiem jest Pan Bóg, nieskończenie dobry i nieskończenie kochający.

Nie tu miejsce na głębokie filozoficzno-teologiczne wywody o istnieniu Aniołów i ich naturze. Rozum nie sprzeciwia się możliwości istnienia dobrych duchów, owszem, rozważając t.zw. tablicę ontologiczną bytów, domaga się logicznie tego ogniwa między człowiekiem, a Bogiem. Mamy bowiem byty, o których możemy powiedzieć tylko, że są, np. wszelkiego rodzaju minerały, zimne i bezwładne, bez najmniejszego śladu życia na sobie.

Są inne, jak rośliny, które już żyją, bo mogą się poruszać, choć jeszcze nie samodzielnie. Ruch zaś jest ostatniem echem życia i istotnym jego znakiem.

Są jeszcze inne byty, które są, poruszają się, a więc żyją i czują jeszcze w dodatku —to wszelkiego rodzaju istoty żyjące, począwszy od najprostszej i najskromniejszej ameby, od pierwotniaków, aż do najwyższych szczebli zwierząt ssących.

Nad tem wszystkiem, jako król całego widzialnego świata, panuje człowiek, który jest, żyje, czuje i myśli rozumnie. Rozum i wola, operujące w człowieku pojęciami i pragnieniami niematerjalnemi, dowodzą samym faktem swej działalności, że jest w nas

jakaś substancja niematerjalna, a więc duch, którego są władzami. Przez tego ducha, przez swoją duszę człowiek wynosi się o całą nieskończoność ponad wszystek świat materjalny, tak cudny i pięknie zachwycająco, lecz kruchy w swym składzie organicznym i, jako składający się z oddzielnych najsubtelniejszych cząsteczek, skazany na rozkład nieunikniony i na skończenie.

Przez duszę własną człowiek przechodzi do innego zupełnie królestwa bytów, ale ciałem tkwi jeszcze w świecie materjalnym, jest cudem artyzmu bożego, łączącym ściśle dwa odmienne, choć nigdy sobie nie przeciwne światy.

Ponad człowiekiem istnieje tylko Bóg, jako byt nieskończony, niezależny, początek i koniec wszystkiego, byt pierwszy i ostateczny, najwyższy, najlepszy i najpiękniejszy.

Zawielki to jednak przeskok od człowieka do Boga. Rozum ludzki, przywykły do logiki abstrakcyjnej i widzący tę logikę na każdym kroku, ucieleśnioną we wszystkich tworach wszechświata, domaga się istnienia jeszcze jednego pośredniego ogniwa. Według dotychczas skonstatowanej zasady konstrukcji świata, ponad człowiekiem, który jest na pół duchem i na pół materją, winna się znajdować, nie dochodząc do Boga jeszcze jedna kategorja istot, które byłyby czystym duchem, a więc bytami doskonalszymi od człowieka, ale duchem pochodnym, zależnym w swym początku od Przyczyny Pierwszej, którą jest Bóg, a więc istotami niższemi od Boga.

Takiemi czystemi duchami, lecz zależnemi w swem istnieniu od Najwyższego Ducha jako Pierwszego Bytu—są Aniołowie.

Teraz dopiero tablica ontologiczna bytów zostaje wypełniona całkowicie i harmonijnie i niema w niej żadnej luki, ani pustego miejsca z wielką niewiadomą.

Wniosek ten, którego domaga się filozoficzny rozum człowieka, został na wielu miejscach potwierdzony autorytetem Boga w Objawieniu i stał się w ten sposób artykułem naszej wiary.

Stwierdzają to jeszcze historyczne fakty ukazywania się Aniołów, jak Rafaela, Michała i Gabryjela, mniej lub więcej wiarogodne objawienia prywatne i wreszcie nasze własne doświadczenie, bo niema prawie człowieka, któryby w życiu swojem nie czuł obok siebie jakiejś niewidzialnej ręki serdecznego przyjaciela, który nas niejednokrotnie już wspomagał w trudnych momentach, skarbiąc sobie naszą wdzięczność i zaufanie.

Anioł — to czysty duch, a więc rozum i wola, utwierdzone w dobrem u dobrych Aniołów, lub w złem u złych, bez żadnej domieszki materji, bez śladu zmienności i jakiegokolwiek braku w pełni swej natury. Każdy z nich stanowi w sobie oddzielny, zamknięty „gatunek" Aniołów, albowiem w niebie „ani żenią się, ani wychodzą zamąż", niema więc tam rodów anielskich, ani pokrewieństwa krwi.

I tam jest hierarchja, dopuszczalna według normy doskonałości na tym stopniu bytów. Jest dziewięć t. zw. chórów „anielskich", o których wspomina S-ty Paweł, z Serafinami i Cherubinami na czele, jako uosobieniem najwyższego wśród istot stworzonych poznania i miłości.

Pismo Święte mówiąc—zresztą mimochodem tylko—o działalności Aniołów, przedstawia w sposób obrazowy, jak czczą i kochają dobrego Boga i jak opiekują się światem, a w specjalny sposób ludźmi na świecie żyjącymi.

Niema w tem znowu nic dziwnego, ani nie sprzeciwia się to rozumowi. Owszem rozum teoretycznie nawet domaga się takiej funkcji Aniołów.

W ogólnej ekonomji świata byty wyższe zawsze występują jako opiekunowie niższych gatunków, wyższym stopniem swego poznania kierując niemi i swemi bardziej rozległemi wpływami broniąc ich i roztaczając nad niemi opiekę.

Taki również stosunek Anioła do człowieka jest wprost postulatem rozumu, gdy się wyjdzie z założenia, że cały wszechświat jest jedną wielką rodziną bożą. Starszy brat winien być zawsze dla młodszego rodzeństwa mistrzem, opiekunem i obrońcą, zwłaszcza, jeżeli jest wielka między niemi różnica wieku, czy doskonałości.

Anioł jest starszym bratem człowieka. Nie można więc pojąć, ani sobie wyobrazić, by widząc tyle ludzkich potrzeb i taką ułomność człowieka, a mając jako duch czysty doskonalsze zrozumienie, a raczej pojęcie wszystkiego, większą swobodę ruchów i bez porównania wyższą moc działania, pozostawał tylko biernym świadkiem walki człowieka z trudnościami życiowemi, jego szamotania się i męki, jego błędów i fałszywych posunięć.

Bóg sam nie zniósłby takiego „nieetycznego" stosunku w swej rodzinie.

Naturalnym wynikiem tego jest wiara nasza w fakt istnie-

nia Aniołów-Stróżów, jako naszych współpracowników, przyjaciół najbliższych i opiekunów.

Księgi objawienia mówią nietylko a aniołach-stróżach każdego człowieka, ale i o aniołach miast i narodów całych.

Jest to jeden ze szczegółów najradośniejszego i najcudniejszego dogmatu naszej wiary o Świętych Obcowaniu, a dla człowieka logicznego i wierzącego jedno więcej źródło głębokiej radości.

Bo jakże się z tego nie cieszyć? Najbliższe otoczenie nasze niezawsze w nas wzbudza entuzjazm i zachwyt. Dzisiaj szczególnie, choćby się było w najweselszej kompanji, zawsze jednak, niestety, każdy ogląda się na strony, jakby był na czatach na linji bojowej, naprzeciw okopów nieprzyjacielskich. Sytuacja taka, poza zrozumiałem zdenerwowaniem i zmęczeniem duchowem, nie da nam nigdy prawdziwej satysfakcji wewnętrznej i nie sprowadzi tego spontanicznego, naturalnego wylewu duszy, którego potrzebę tak żywo każdy odczuwa i łaknie.

Człowiek jest sam, sam jeden, biedny i opuszczony, a rzadko się dziś spotka szczęśliwca, który znalazł bratnią duszę i bezpiecznie powierzył jej siebie całego. Połowiczne oddanie niewiele sytuację poprawi. Musimy mieć takiego kogoś, któryby był całkowicie „naszym", na śmierć i życie, na każde zawołanie, niezawodnym, najbliższym, mądrym i bardzo dobrym i bardzo kochającym. W przeciwnym razie ciężkiem, bardzo ciężkiem będzie nasze życie, w samotności i odosobnieniu, a więc wbrew naturze, która jest z istoty swojej społeczną.

Tą istotą najbliższą, prawdziwą „bratnią duszą" jest dla każdego z nas jego własny Anioł-Stróż. Towarzysz życia od kolebki, od pierwszej bodaj chwili poczęcia, idzie z nami wiernie poprzez wszystkie miejsca i czasy naszej pielgrzymki doczesnej, nie opuszczając nas ani na jedną chwilę w radościach naszych i w naszych smutkach, w zwątpieniu i upojeniach, przy modlitwie, pracy i odpoczynku, ciesząc się, gdy czynimy dobrze, walcząc z nami przez głos sumienia, gdy zamierzamy popełnić zło, a gdy się już ono stało, używając wszelkich swych wpływów wewnętrznych, by złagodzić jego skutki, a nas doprowadzić do skruchy i powrotu z niebezpiecznej drogi. Zna on nawskroś naturę naszą, wszystkie jej skarby, wszystkie tęsknoty i wszystkie ułomności. Nie dziwi się niczemu, ani niczem nie gorszy. Współ-

czuje tylko, leczy, koi, pociesza, umacnia, nie zrażając się naszem zapomnieniem i niewdzięcznością, jednego tylko pragnąc,—byśmy zawsze czuli się szczęśliwymi według bożej woli i, mimo błędów i słabości, doszli do słonecznego kresu.

Gdybyśmy mogli spojrzeć w jego twarz, ileżbyśmy — mówiąc po ludzku wyczytali w niej troski, błysków nadziei, radości, to znowu niepokojącego oczekiwania, smutku, czy nawet rozpaczy, ale nigdy beznadziejnej — bo on zna cuda łaski, na które patrzy od wieków, zna moc miłości bożej i zna głębie natury naszej, mimo wszystko, oddanej Bogu tam gdzieś, hen aż w najskrytszych swych tajnikach, które choć w ostatniem ziemskiem westchnieniu poruszą się wspomnieniem najlepszego ojca i drgną, jak na myśl o dawno utraconej matce.

Dziwne to towarzystwo — anioła dobrego z człowiekiem — dwuch braci tak nierównych sobie całym systemem myślenia i pragnień, a tak sobie podobnych i tak nierozerwalnie złączonych na zawsze.

Jednego tylko potrzeba z naszej strony:—byśmy się odważyli spojrzyć poza siebie i popatrzyć w promieniującą nieziemskim uśmiechem twarz naszego anielskiego brata... Ileż w tem spotkaniu oczów dwojga boskich dzieci, pełnych wzajemnego zaufania i zrozumienia, mieści się głębi i radości! Choćby się było słabym na każdym kroku—byle bez złej woli, — choćbyśmy nic naszemu niebieskiemu towarzyszowi okazać nie mogli oprócz zapylonych, a nawet zaszarganych łachmanów dawnej szaty godowej—nic to! On się temu nie zdziwi, ani tem nie obrazi. Cieszyć się tylko będzie i radować z nami, żeśmy już z nim pakt braterstwa zawarli. Reszta przy dobrej woli naszej i jego pomocy przyjdzie już bez wielkich wstrząsów i tragedyj.

Od tej chwili połowa ciężaru życia spada nam z bark, bo się już nie idzie samotnie, w ciemności i z zawianemi piaskiem oczami, ale w jasności, wsparci na ramieniu najwierniejszego druha, umocnieni jego spokojnem, a pełnem niezwyciężonej mocy spojrzeniem i słonecznym uśmiechem z nieba, rozgrzeszeni w słabości, ukojeni w smutku i rozkołysani, jak poszumem stepowej trawy, cichą radością ducha, od niego bijącą.

Zmieni się wtedy cała atmosfera nas otaczająca, zgiełk i łoskot życiowego gościńca przycichnie gdzieś daleko, choćbyśmy kroczyli samym środkiem drogi. Otoczy nas atmosfera z innego

świata, ciszy pełnej treści, równowagi pełnej mocy twórczej, jasności miękkiej, radości niekrzykliwej, wejdziemy w realny i jędrny, nie fantazyjny, ckliwy, słodkawy i sztuczny, ale prawdziwy, mocny, twórczy i promieniejący radością nadnaturalizm i mistycyzm, w świat duchów, w krainę nieskończoności przejasnej. Rozmawiać wtedy będziemy z nim, aniołem naszym, jak rozmawiamy z domownikami własnymi i chodzić będziemy nieustannie w jasności promienia bożego. *Ks. A. Bogdański.*

DYSPUTY.

Pyt. Co sądzić o pragnieniu cierpienia?

Odp. Bardzo prosta jest na to odpowiedź. Ten, kto pragnie cierpieć albo jest bardzo naiwny i niedoświadczony duchowo, albo pyszny, albo... na bardzo już wysokim szczeblu uduchowienia. W każdym bądź razie jest to eksperyment, wychodzący daleko ponad miarę zwykłego, normalnego życia i bardzo niebezpieczny w swoich skutkach, nikomu go więc radzić nie można.

Wiele pod tym względem zawinili różni autorowie ascetycznych książek i książeczek i życiorysów świętych, przedstawiając pragnienie cierpienia u świętych i samo ich cierpienie w barwach nienaturalnych, bez wyjaśnienia psychicznego podłoża takich stanów, jak również niepotrzebnie zupełnie i niezgodnie z rzeczywistością ucząc ludzi, że cierpienie jest istotą życia duchowego.

Ładnieby w takiem oświetleniu wyglądał nasz dobry Pan Bóg, który „w nagrodę" dla tych, których kocha, zsyłałby im codziennie krzyże i przykrości i kazałby im się z tego cieszyć „z miłości ku niemu", albo nawet samym wyszukiwać sobie cierpienie dla okazania mu tej miłości. Byłby to najpospolitszy sadyzm duchowy, wyrafinowane okrucieństwo i straszna niewola.

Nie, tego nigdy Pan Bóg od człowieka wymagać nie będzie i nie może nawet. Toć Chrystus wołał ku sobie wszystkich, by szli do niego, a głównie cierpiący „by się ochłodzili"; na drugiem miejscu wołał, że kto zbliży się i pójdzie za Nim, „znajdzie źródła obfite wody żywej", że chce, aby wszyscy

jego uczniowie „życie mieli i obficiej mieli", że chce, by wszyscy pokój mieli i mogli się zawsze cieszyć i radować, co tak dobitnie i z naciskiem powtórzył za nim jak zgodne, doczesne echo, ś-ty Paweł Apostoł: „radujcie się, powtóre mówię, radujcie się!" dlaczego? „Pan blisko jest!" Im kto bliżej Boga, tem więcej cieszyć się i radować powinien, a nie szukać smutku i cierpienia.

Radość zaś z samego cierpienia, jako cierpienia — jest anormalnością. Można się cieszyć, że swojem cierpieniem odkupujemy np. pokój innych—ale to będzie radość z cudzego szczęścia, radość z naszego dobrego uczynku, ale nigdy radość z samego cierpienia.

A czcić Boga przez zadawanie sobie umyślne cierpienia, lub przez wyszukiwanie go na każdym kroku—to już graniczy z przewrotnością duchową, lub z grubą nieświadomością. Cóż-to za Moloch prawdziwy taki Pan Bóg, żądny krwi niewiniątek dla własnej tylko przyjemności!?

Pan Bóg pragnie *jedynie* (podkreślić należy jeszcze raz, że **jedynie**), naszego szczęścia. Po to nas stworzył, w tym celu oddał nam do rozporządzenia cały świat i przygotował wiecznie szczęśliwe niebo. Nigdy, przenigdy nie powstała w umyśle bożym idea cierpienia człowieka.

Skąd przyszło cierpienie? Możnaby o tem pisać całe tomy i wielu już mędrców złamało sobie na tem głowę. Jedno jest pewnem: Bóg nie chciał cierpienia, przyszło ono tylko jako skutek zrujnowanego moralnego porządku przez nadużycie wolnej woli istot rozumnych, których, Pan Bóg nie mógł od tego powstrzymać, bo sam dał im, jako istotną cechę ich natury, tę właśnie wolną wolę.

W każdym bądź razie cierpienie jest prawdziwą anormalją, a życie duchowe jest najwyższą logiką. Te dwie więc rzeczy nie mogą nigdy iść ze sobą w parze. Pragnienie więc cierpienia jest albo chorobą, albo nieświadomością.

Wiele stąd płynie konsekwencji praktycznych dla życia duchowego, a jedną z nich jest: co wybrać, gdy mam przed sobą jednocześnie prowadzące do tego samego celu dwie drogi: cierpienia i radości, dwa środki: trudniejszy i łatwiejszy, dozwoloną przyjemność i jej wyrzeczenie się (dlatego tylko, by cierpieć!).

Oczywiście—wybrać należy radość i to co łatwiejsze i to, co nam może osłodzić choć w części nasze ciężkie życie.

Tego chce Pan Bóg, bo On chce, by nam zawsze było lekko i dobrze, tego domaga się rozum, bo on idzie zawsze za tem, co dodatnie, c to wreszcie woła i krzyczy cała natura, bo łaknie i pragnie prawdziwego szczęścia i ulgi.

Bardzo też ryzykownie powiedział ś-ty Jan od krzyża, gdy radził, by z dwóch rzeczy zawsze wybierać bardziej przykrą.

Ryzykowne, bo Pan Bóg nie chce w normalnych warunkach naszego życia, byśmy cierpieli i utrudniali sobie życie— a więc niezawsze pewna jest przy takim wyborze łaska; dlatego również, że perspektywa tego rodzaju zniechęca nieraz najbardziej heroiczne jednostki, bo jednak natura zawsze buntuje się przeciw cierpieniu i muszą nieubłaganie po chwilach podniesienia ducha przyjść momenty depresji i dlatego wreszcie, że to grozi na dalszą metę pewnem zaślepieniem, a nawet pychą duchową.

Najlepszą, najbardziej ludzką i bożą radę dał „le doux Saint François de Sales", gdy powiedział: niczego nie odrzucać, za wszystko dziękować i ze wszystkiego się cieszyć. Zostawmy Panu Bogu troskę o wymiar naszego doczesnego cierpienia. On najlepiej zna możność naszą i najlepiej nam życzy, bo nas więcej kocha, niż my sami siebie i napewno ani nam nie doda za wiele, ani nam nic nie ujmie. Narzucać się z tem Panu Bogu jest pewnego rodzaju nieprzyzwoitością duchową, a nawet niejaką obrazą, bo Mu się każe być tem, czem nie jest i nie chce być za żadną cenę: — okrutnikiem, męczącym tych, których najwięcej kocha.

„Dość ma dzień na utrapieniu swojem"—powiedział Pan Jezus i bardzo mądrze. Znieśmy tylko z rezygnacją chociaż, jeżeli już nie z podziękowaniem i radością, to, co u nas bez specjalnego szukania i pragnienia przychodzi — to już będzie wielki heroizm i wielkie udoskonalenie. A czyśmy już to osiągnęli?...

Cierpienie więc dla samego cierpienia jest sadyzmem duchowym, a upatrywanie w tem szczytu doskonałości jest bardzo bolesną omyłką i niezrozumieniem istoty doskonałości.

Można, owszem, pragnąć nieraz większego cierpienia, ale nie dla niego samego, nie dla „przypodobania się” Panu Bogu, a z innych, zupełnie racjonalnych i prawdziwie bohaterskich i świętych celów, przedewszystkiem zaś dla zadośćuczynienia za siebie, jako pokutę, lub za innych, by dla nich uzyskać łaskę nawrócenia, lub zmniejszenia cierpień tych, których kochamy.

To czynić nam wolno zawsze i taką ofiarę Bóg przyjmie i doda łaski do jej spełnienia. Tak też pragnienie cierpienia ujmowali święci i tem się kierowali przy wyborze rzeczy bardziej przykrych.

Kto kocha Boga i bliźniego, ten nie zostanie nigdy obojętnym na upadek innych i grożące duszom niebezpieczeństwo.

Zapytajmy prawdziwych duszpasterzy, ilu modlitwami i ofiarami wyprosili i okupili sobie u Boga łaskę dla swych owieczek. Zapytajmy kochających matek, żon, sióstr i tylu ukrytych dusz apostolskich, co czynią dla nawrócenia zbłąkanych? — Później, na sądzie ostatecznym, gdy wszystko przed oczami naszemi się odkryje, ujrzymy te cudne łaski, spowodowane bezgranicznem poświęceniem nieznanych dotąd bohaterskich dusz. Wtedy zrozumiemy potęgę miłości.

Zrozumiemy również i to, o czem już we wrześniowych dysputach była mowa, że można cierpieć z radością. Lecz wtedy nie samego cierpienia pragniemy, jako celu, ale tylko jako środka do wyższego dobra i świadomość osiągania tego dobra daje nam tę wielką radość duszy, a nie świadomość samego cierpienia.

Ideałem apostolskiej ofiary w dobie obecnej winna być ofiara pracy. Nie marnować sił, nawet fizycznych, w dręczeniu siebie wszelkiego rodzaju umartwieniami — ale oddać je wszystkie żmudnej, codziennej pracy, na jaką nas stać — oto prawdziwa pokuta i ofiara. Praca czeka, woła, prosi, by ją podjąć—a niema rąk i ofiarnych pracowników. Nie wolno nam więc marnować sił w inny sposób, gdy one z wyraźnej woli bożej tam są potrzebne. Nie marzyć poetyczno - histerycznie o szczytach cierpienia, ale pracować, pracować i pracować...

A gdy kto pewien będzie, że Bóg powołuje go do życia ekspijacyjnego w zakresie ściśle kontemplacyjnym—szczęść mu Boże, na tej drodze—ale, niech będzie jej pewien, tymczasem zaś niech pracuje, ile mu sił starczy.

* * *

Pyt. Ćwiczyłam się w pokorze i teraz jestem bez ambicji. Czy warto podjąć walkę z tą nową wadą, czy dać jej spokój? To, bądź-co-bądź, tarcza przeciwko pysze.

Odp. Kto się ćwiczył w pokorze, ten zniesie pokornie, gdy mu powiem, że nie mogła to być prawdziwa pokora, skoro doprowadziła do utraty ambicji. Albo—co jest pewniejsze, pojęcie utraty ambicji nie jest tu właściwe. A następnie—nie potrzeba walczyć z wadą, bo to droga długa i przykra, a raczej rozwijać w sobie cnotę odpowiednią, w danem wypadku szlachetne poczucie własnej godności i honoru.

Pokora jest prawdą i mocą. Nie jest zaś obłudą i kłamstwem przez pobożne wmawianie w siebie, że się jest niczem, gdy się od Boga ma wiele, ani że się winno być podnóżkiem wszystkich, gdy warunki życia pozwalają na czynienie czegoś więcej. Ani też nie jest słabością i „ślamazarstwem", by pozwolić każdemu robić z nami co mu się podoba i wchodzić nam na czubek głowy, bo na to się ma rozum i instynkt samozachowawczy, by być zawsze na swojem miejscu i być zawsze czynnym.

Bardzo często na tym punkcie spotykamy się u dusz, dążących do doskonałości z fatalnym błędem, że im człowiek jest doskonalszy, tem bardziej powinien być biernym.

Przeciwnie, im się ma duszę bogatszą i bardziej urobioną, więcej światła rozumu, wiary i siły woli — tem więcej należy to w czyn zamieniać, tem trzeba więcej z siebie dawać, a nie pozwalać na skubanie i deptanie, jak kwiatek lub trawka przydrożna.

I kwiatek i trawka mają przedewszystkiem radować oczy ludzkie i to jest ich rola czynna w ekonomji świata, a dopiero gdy siła wyższa je do ziemi przybije lub skosi zawcześnie, albo zerwie, wtedy tylko zaczyna się ich rola bierna.

Doskonałość — to życie, a nie martwota i śmierć. Pokora — to „Magnificat" duszy, która śpiewa, iż „odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody" (a więc nie poniżać!), a to dlatego, że „uczynił mi wielkie rzeczy" (przyznanie własnej godności i wartości ideałów bożych), ale to zrobił „On", „który możny jest" (odniesienie wszystkiego do Boga, zgodnie z rzeczywistością). Pokora—to szczere i proste przy-

znanie wszystkich skarbów swojej duszy, nie chowanie ich pod koszem i wszystkich braków, nie obłudne ich tłómaczenie, przyznanie własnej w tem pracy, a raczej współpracy i odniesienie wszystkiego do Boga, jako do Pierwszej Przyczyny i szerokie wykorzystanie tych wszystkich darów bożych, choćby z największym splendorem i rozgłosem, jeżeli tak będzie trzeba, zawsze jednak z pamięcią, że to od Boga. Wszystko od Boga przyjąć i wszystko oddać Jemu i ludziom — oto prawdziwa pokora, jaką była u najpokorniejszej Bożej Matki, bez obłudy i fałszywej skromności, nie chowając do kufra boskiej szaty, ale przywdziewając ją na każdy dzień, ciesząc tem innych, pamiętając jednak, że to ojcowska szczodrobliwość nam ją sprawiła i mówiąc wszędzie:—„patrzcie, jakiego mam dobrego ojca!"

Zatracenie ambicji jest wtedy, gdy, niepomni na swoją godność ludzką, jako synów bożych, pozwalamy nadużywać siebie do rzeczy niezgodnych z tą wielkością lub ubliżać sobie bez dania do tego powodu wystarczającego.

Mimo całej naszej gotowości do służenia innym, nigdy nie wolno nam dla miłości bliźniego popełnić nieetycznego czynu, ani też bez racji dać się mieszać z błotem. Przykłady świętych, na których niepotrzebnie się powołujemy, nie były bezmyślne i oznaką bierności, czy niechlujstwa duchowego. Było tam zawsze głębokie podłoże psychiczne i wyższe racje (nie dla samej rozkoszy, że się czuli pogardzonymi).

Bronić swego honoru i swej godności zawsze możemy, a nawet powinniśmy w zwykłych warunkach naszego życia.

Lecz to nie znaczy, by na grubijaństwo odpowiadać grubijaństwem. Grzeczność, takt i powaga, połączone z mocą i promieniującą równowagą duchową zawsze znajdą odpowiednie wyjście, zgodne z miłością bliźniego i poczuciem własnej godności.

Jeszcze raz podkreślić należy: pokora — to prawda, siła i radość—a wszystko, co jest tylko zewnętrznym blichtrem, biernością, brakiem należnej ambicji, ukrytym smutkiem — to nie pokora, choćby się w najlichsze szaty ubrała.

Bądźmy zawsze sobą. *Amicus.*

Requiem.

Schodzisz samotny z tego padołu
I snem wieczystym cicho już śpisz!...
Do wilgotnego złożą Cię dołu,
Ziemią przysypią... postawią krzyż...

Schodzisz samotny z tego padołu,
Głuchy dźwięk dzwonów do snu Ci gra...
A dusza Twoja, w gronie aniołów,
Mknie z nocy życia do niebios dnia...

Na Twoim grobie brzozy zielone
Zapłaczą echem rodzinnych pól...
Ach! czyż zdołają wypłakać one
Życia ludzkiego nędzę i ból!...

Ptaszek Ci piosnkę smętną zanuci,
A woń Cię uśpi fijołków i bzu;
Nikt Ci spokoju tu nie zakłóci,
Ani wiecznego nie przerwie snu!...

Lecz nikt się również modlić nie będzie,
Ani nie złoży na grobie róż!
Zbyt wiele nieszczęść i trosk jest wszędzie,
By myśleć o tych, co zmarli już...

I tak szczęśliwym zwać Cię należy,
Żeś już opuścił nędzny ten świat....
O! kiedyż dla mnie kres ten nadbieży?
Ileż mam jeszcze tułać się lat?...

Bronisław Wiszniewski.

BOHATEROWIE WIARY.

Teresa Izabela Morsztynówna.

Panowanie króla Jana III Sobieskiego oraz lata panowania króla Augusta II Sasa — to okres, w którym w narodzie polskim dawna cnotliwość, zacność i pobożność, acz jeszcze nieznacznie, poczyna chylić się ku upadkowi. Fala tych niepożądanych objawów płynęła do kraju naszego z zagranicy, zwłaszcza z Francji, gdzie podówczas władał roi soleil, ten, co butnie oświadczył: „L'état c'est moi": król Ludwik XIV. Prądowi temu — rzecz oczywista — ulegali najpierw ci, którzy z krajami zagranicznemi utrzymywać musieli stosunki z racji swego urzędu, a więc wszyscy wyżsi przedstawiciele sfer rządowych z dworem królewskim na czele. Warstwy niższe, zajęte zmaganiami o chleb powszedni, trwały przy Kościele katolickim, przestrzegając bacznie przykazań dekalogu, ze szlachtą zamożniejszą jednak sprawa przedstawiała się gorzej. Propagowane przed wiekami z okładem przez Mikołaja Reja, nagłowickiego pana, smakoszostwo i dogadzanie podniebieniu odżyło w całej pełni, choć „apostoła"—teoretyka w rodzaju autora „Żywota człowie-

ka poczciwego" nie stało; o prohibicji antyalkoholowej nie myślano jeszcze, więc podstarzałemi napojami wyskokowemi nie pogardzano; a że pracą oraz wysiłkiem fizycznym nie grzeszono, owa nieproporcjonalność między spożyciem a zużyciem energji powodowała skierowanie jej w innym kierunku, kierunku złym, oraz rozbudzenie pożądań zmysłowych. Zaczęło się to niestety od najwyższego szczebla w hierarchji społecznej. Trudno powiedzieć, by jad zepsucia opanował całą elitę społeczeństwa, coś podobnego bowiem głosić byłoby niesprawiedliwością wobec owych kroci zacnych i pobożnych mężów oraz niewiast, co żyli w tym czasie, wszakże bardzo znaczna część wyższych sfer, nie wiedząc może nawet o tem, weszła na taką samą drogę, jak Ludwikowy dwór w Wersalu. Dobrze nie było wówczas, lecz mimo to z warstwy tej wyszedł prześliczny kwiat niewinności oraz dziecięcego czaru, Teresa Izabela Morsztynówna, wyszedł i rozkwitł nie w cieplarnianej atmosferze murów zakonnych, ale w świecie.

Rodzicami świętobliwego dziewczęcia, urodzonego w 1680 r., byli: Stanisław z Raciborska Morsztyn, wojewoda sandomierski oraz senator, i Konstancja Oborska. O ich walorach moralnych trudno powiedzieć coś konkretnego. Wprawdzie o. Florjan Jaroszewicz, Reformata, darzy ich mianem „pobożnością katolicką sławni", jednak jakoś trochę zbyt hojnie szafuje tem określeniem, wobec czego przyjąć trzeba to świadectwo z całem zastrzeżeniem. Dotychczasowi biografowie, którzy nawzajem się uzupełniają, jednogłośnie podnoszą z lat dziecięcych Teresy jej zamiłowanie do nauki, jakiego rodzice, chociaż to jeszcze nie było w modzie, nie tłumili, jeno pozwalali mu się rozwijać przez sprowadzenie do domu specjalnych nauczycieli, przedewszystkiem duchownych. W ten sposób „w różnych naukach, godnemu imieniu przyzwoitych, — opowiada o. Jaroszewicz — była wyćwiczona". Podobno w krótkim czasie zdołała ona przyswoić sobie kilka języków, między niemi zaś łacinę, którą opanowała do tego stopnia, iż mogła w tym języku swobodnie rozmawiać.

Te szczegóły o zdolnościach lingwistycznych kilkunastoletniej wojewodzianki mogą imponować, mogą niejednego wprowadzić w zdumienie, tymczasem nie to stanowi jej wielkość. Sławę swoją zawdzięcza Teresa prawdziwie świętobliwemu życiu. Krótki jej żywot — to ustawiczne posuwanie się naprzód po drodze życia wewnętrznego. Nie starała się ona bynajmniej wdzierać się na wyże doskonałości duchowej gwałtownie, wspinać się tam jednym gigantycznym wysiłkiem, tylko codzień choć trochę, choć troszeczkę starała się stać lepszą, doskonalszą, ufna, że i te drobne wysiłki doprowadzą ją prędzej czy później do Boskiego Oblubieńca. „Ciągle naprzód" -- oto dewiza, jaką miała ustawicznie przed oczyma. Przejęta miłością Boga, na

Jego chwałę co dnia ofiarowywała drobne ofiary oraz poświęcenia, w czem podobna jest znacznie do swojej wielkiej współimienniczki, św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

Szczególnym rysem charakteru pobożnej wojewodzianki była skromność. Do jakiego stopnia rozwinięta była w jej duszy ta cnota, wiele mówi o tem pewien fakt z ostatnich lat jej anielskiego życia. Opowieść o nim zamieścił też o. Jaroszewicz: „Przez cudnie piękną urodę, wdzięczną wymowę, biegłość różnych języków, roztropność w akcjach, skromność w gestach, uczciwość w obyczajach tak wszystkim była przyjemna, że nietylko równych sobie kawalerów oczy i serca pociągała, ale pewny monarcha, słysząc o jej wybornych przymiotach, pragnął cieszyć się jej widzeniem i mocno się o to starał; ale wstydliwa panienka Teresa, bojąc się przynajmniej złego poruszenia stąd, żadną miarą nie chciała mu się dać widzieć". Dyskrecja i kurtuazja zasłużonego hagjografa doszła w tym fragmencie bodaj do zenitu. „Pewny monarcha", tak dyskretnie przemilczany, jest to poprostu król August II. Dlaczego go o. Jaroszewicz nie wymienił, możnaby na ten temat fantazjować oraz przypuszczać mnóstwo. Godna również podziwu jest kurtuazja, z jaką się odzywa: „Pragnął cieszyć się jej widzeniem". Inna relacja bez przemilczenia głosi, że monarcha ów chciał ją mieć w gronie pięknych dam swego dworu. Z zaproszenia królewskiego rodzice ucieszyli się coniemiara, ponieważ było to poniekąd zadatkiem łaskawości króla, jednak Teresa pomimo młodego wieku czuła doskonale, że grozi tam jej duszy ogromne niebezpieczeństwo. Zawsze posłuszna rodzicom, w danym wypadku, pomnąc o tem, że stworzoną jest do wyższych rzeczy, oparła się oraz z całą ufnością wyznała, aby jej tam nie zawożono, gdyż nie chce się podobać nikomu z ludzi, jedynie samemu Panu Jezusowi. Obdarzona pięknością cielesną rozumiała, iż uroda nie jest czemś do pokazu, do prezentowania, posiadanie jej bowiem — to nie zasługa osobista.

Rodzice Teresy nie chcieli tak łatwo spełnić życzenia jej, nieco obawiali się niełaski monarszej, aż ostatecznie uznali, że jednak córka ich ma rację. Dzięki temu, widząc, iż wyświadczanie przysług bliźnim, sprawia jej największą przyjemność, dopomagali jej prowadzić akcję charytatywną, której ona poświęciła się całą duszą. Wiele natenczas było w kraju nędzy, znalazła tedy teren do działania, a w wynajdywaniu źródeł zasiłków dla swych ukochanych biedaków była rzeczywiście niedościgniona. Kiedy zbliżały się np. jej imieniny, uprosiła rodziców, iżby nie urządzali z tej racji balu dla znajomych, z którego byłoby bez wątpienia więcej obrazy Boskiej, aniżeli chwały, lecz żeby na to miejsce urządzili poczęstunek dla ubogich. Jak pragnęła, tak też się stało.

Były to już ostatnie miesiące nieskalanego żywota świątobliwej wojewodzianki. Raz, wedle słów żywotopisa następnego pokolenia, „wstała rano doskonale zdrowa..., aż oto w kilka dni potem zachorzała". Choroba trwała niedługo i oto w samą uroczystość Wniobowzięcia Najświętszej Marji Panny, dnia 15 sierpnia 1698 r., dusza pobożnej osiemnastoletniej dopiero dzieweczki przeniosła się na łono Boże. Śmierć w dniu Matki Boskiej Zielnej, w którym przecie zmarł św. Jacek oraz św. Stanisław Kostka, może być śmiało poczytana za jakieś specjalne uprzywilejowanie Teresy przez Bogarodzicę.

Podług świadectwa o. Jaroszewicza, „ojciec jej, pan nietylko w życiu pobożny, w radach wielce mądry, ale w różnych naukach wyborny, na pociechę matki jej, a swojej małżonki, nieutulonej w żalu, wydał do druku książkę dziwnie pięknym wierszem pod tytułem: „Żale rodziców po zmarłej córce jedynej, w której cnoty Teresy, jako je najlepiej znał tak obszernie opisał". Tak oto brzmi jego relacja, skonfrontowana wszakże z rzeczywistością wykazuje szereg błędów. Czy o. Jaroszewicz miał pod ręką w trakcie pisania egzemplarz tego utworu wierszowanego wojewody Morsztyna? Zdaje mi się, że napewno nie, a tylko posiłkował się pamięcią. Bibljografja narodowa zna istotnie wiersz o Teresie, nosi on jednak tytuł odmienny. Karol Estreicher w tomie XXII, wydanym w Krakowie w 1908 r., „Bibljografji polskiej" przytacza go w brzmieniu następującem: „Plankty żałobne po zmarłey światu, a niebu żyjącey, Jaśnie Wielmożney Jey Mci Pannie Teresyey Morsztynownie Woiewodziance Mazowieckiey[1]) w sámę uroczystość Wniebowźięćia Matki Bozey roku 1698 dnia 15 miesiącá Sierpniá Sákrámentami Świętemi uzbroionéy z doczesnego páadołu płaczu, w kwiećie niewinnego pánieństwá. Do szczęśliwey wieczności przenieśioney, w górnym Syonie z Matką Bożeą tryumfującey, która okropną śmierci potyczką nieustraszona heroiná laurem niebieskiey korony z gwiazd y lilij herbowych ozdobnie uwieńczona. Oraz iasnoświetną rozlicznych cnót y przymiotów szatą na wieczne wesele przyodźiana, Máiestatowi Bożęmu lilią panieńskiey czystości, tudziesz biały na Krzcie Świętym powźięty páludáment, przed thron Najwiętszy złożyła. Z tym wszystkim dla ulgi serdecznego żalu, Jáśnie WW. JJ. MM. rodziców niemniey, dla wiecznej w potomne czásy pamiątki, światv głoszone. Y na widok, przez życzliwego typográfa, przy deponowaniu ciała Jey w kośćiele WW. OO. Reformatów Franciszka Świętego w Sędomirzu. W tymże roku y miesiącu rythmem poetyckim reprezentowane". Nie

[1]) Biografowie zgodnie nazywają ją wojewodzianką sandomierską, skąd więc ta nazwa, to pytanie. O Jaroszewicz powiada, że ojciec jej był na „dwuch senatorskich krzesłach". Być może, iż tu należy szukać rozwiązania zagadki, a to da się zrobić dopiero po dłuższych szperaniach w bibljotekach.

ulega wątpliwości, że utwór, wspomniany, przez o. Jaroszewicza, a ten o takim barakowym tytule jest to jeden i ten sam. Teraz jeszcze jeszcze jedna uwaga. Z karty tytułowej już widać, iż wiersz napisany został stylem mocno napuszonym. Czyżby więc posądzać o taki utwór wojewodę Morsztyna, człowieka bądź co bądź statecznego oraz poważnego? Niewątpliwie i tu wspomniany autor pomylił się znowu dlatego, ze nie miał utworu o jakim pisał przed oczyma. Na odwrocie karty tytułowej znajduje się czterowiersz, podpisany przez Stanisława Schedela, studenta szkoły poetyki. On zapewne jest również autorem całości, a ów barok skrajny, używany przezeń, łatwo wytłumaczyć, no i wybaczyć mu.

Ciało Teresy po śmierci złożone zostało w Kościele św. Józeta w Sandomierzu, podówczas własności oo. Reformatów. Gdy trumnę otworzono w 1716 r,, znaleziono zwłoki nieskażone. Otwarcia tego dokonano na prośbę rodziców, którzy wznosili wtedy w tej świątyni nagrobek córki. W 1734 r. także podziwiano nieskażoność jej ciała, kiedy zaś pierwsza trumna rozsypała się, zwłoki ciągle całe, na rozkaz o. Stefana Horodyńskiego, ówczesnego prowincjała reformackiego na Polskę, dnia 9 stycznia 1742 r. przełożono do nowej trumny. Przed laty dwudziestu siedmiu ks. Józef Rokoszny pisał: „Ciało ośmnastoletniej panienki, chociaż od dwustu już lat leży w grobach kościelnych, nie rozsypało się jednak w proch, nie uległo zepsuciu; owszem znać doskonale twarz, oczy nos, usta, ręce i włosy. To jest tem dziwniejsze, że tuż obok widzimy zwłoki ludzi, daleko później zmarłych, a zostały z nich tylko czaszka i kilka grubszych kości z rąk i nóg".

Jeśli chodzi o literaturę o Teresie, to pod dniem 22 listopada o. Jaroszewicz zamieszcza „Żywot świątobliwej panny Teresy Izabeli Morsztynównej, wojewodzianki Sandomierskiej". Zawierają go wszystkie wydania „Matki świętych, Polski": krakowskie z 1767 r., piekarskie z 1850 r., poznańskie z 1893 r. W wydanych w Warszawie w 1902 r. „Świętych Pamiątkach Sandomierza" ks. Rokoszny zamieścił rozdział p. t. „Ciało Morsztynówny." Krakowski „Kalendarz „Róż św. Teresy" od Dzieciątka Jezus na rok Pański 1928", wydany w 1927 r. przyniósł artykuł niżej podpisany zatytułowany: „Świątobliwe imienniczki św. Teresy w Polsce", gdzie znalazł się ustęp także o pobożnej wojewodziance. Od roku zgórą w jednem z wydawnictw warszawskich leży gotowy do druku żywocik Teresy przeznaczony dla dziatwy, leży i czeka zmiłowania wydawcy, który się podjął go wydać.

Życie świętobliwej dzieweczki, acz krótkie, — to piękny wzór do naśladowania dla dziewcząt naszych czasów, trzeba je więc z niem zapoznać koniecznie, bo bezsprzecznie odniosą z tego korzyść niemałą. *Józef Marjan Chudek.*

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Śmierć Woltera

Część. I. Ostatni pobyt w Paryżu i ostatni triumf.

Już w 1878 roku ostatni zwolennicy wolterjanizmu obchodzili, 100-letnią rocznicę śmierci swego „patrjarchy” bez żadnej okazałości, przy zupełnem zobojętnieniu ogółu; tembardziej więc w 1894 r., ponieważ urok „wielkiego filozofa” zmniejszał się z dniem każdym, nie ośmielili się wezwać ogółu do święcenia drugiego stuletniego jubileuszu jego urodzin. Od tej chwili zapomniany Wolter ukrył się jeszcze bardziej w mrokach i cieniu.

W czasach, kiedy obchodzenie różnych jubileuszów, nawet ludzi miernie krajowi zasłużonych, przekracza niemal granice umiaru, a zasługi prawdziwe czy urojone rozdmuchuje się do niebywałych granic, czyż namacalnie nie widać, jak zatonęła w niepamięci 150-letnia rocznica śmierci Woltera, tego boga niewierzących, która to rocznica przypadała 30 maja roku zeszłego?

Sama nawet prasa antyreligijna i masońska nie uczyniła o tem najmniejszej wzmianki. Czciciele porzucają ołtarz wolterjanizmu, bożek został obalony, kult wygasł całkowicie.

* * *

Nie będzie jednak bez korzyści jeśli wrócimy do tej smutnej historji, uwypuklając w niej to zwłaszcza, co towarzyszyło ostatnim chwilom największego wroga chrystjanizmu, człowieka, o którym wielu twierdziło, że był uosobieniem całego wieku.

Studjum obecne jest oparte na współczesnych autentycznych dokumentach, zawartych w manuskrypcie niedawno odnalezionym, a w całości umieszczonym w znakomitem dziele Fryderyka Lachèvre, „Wolter umierający”. Jest tam cała serja zeznań naocznych świadków i opis różnych okoliczności, datujących sie od chwili śmierci filozofa.

Jednym z najpoważniejszych świadków jest kapłan, który zwyciężając różne przeszkody, dotarł do Woltera i starał się go wyspowiadać. Jest nim ksiądz Gaultier, który w swoich pamiętnikach z dnia 2 czerwca 1778 r. (śmierć, jak powiedzia-

no wyżej, nastąpiła 30 maja) bardzo dokładnie przytacza różne szczegóły ze spotkania swego z Wolterem i te podaje do wiadomości arcybiskupa paryskiego Krzysztofa de Baumont.

Niemniej poważnym świadkiem jest Wagnière, sekretarz Woltera, który mu towarzyszył w ostatniej podróży do Paryża, i zostawił bardzo szczegółowy jej opis.

Prócz tego posiadamy manuskrypt, wyżej wspomniany, pod tytułem: „Śmierć Woltera". Są w nim wyniki dochodzenia, rozpoczętego dnia 1-go czerwca 1778 roku (na drugi dzień po śmierci) i przesłanego w dniu 1 grudnia tegoż roku do biskupa, który to dochodzenie nakazał, a którego nazwisko niestety wyrażone jest tylko literą A.

W tem dochodzeniu jasno uwydatnia się fakt, że autor manuskryptu miał stosunki bliższe i dalsze z księdzem Gaultier i z innymi naocznymi świadkami jak z ks. Tersac, proboszczem parafji świętego Sulpicjusza, w której umarł filozof; z chirurgiem Try i jego uczniem Brizardem, którzy codziennie Woltera odwiedzali, wreszcie z pielęgniarkami Roger i Bardy, które były obecne ciągle przy łożu jego w czasie choroby, a zwłaszcza podczas ostatnich chwil życia. Bardy była nawet żoną kucharza filozofa.

Wszystkie te świadectwa, uzupełnione jeszcze słowami przybocznego lekarza Tronchin'a i wzajemnie się potwierdzające stanowią taką siłę przekonywującą, że o ich osłabienie lub tembardziej zbicie nikt dotychczas pokusić się nie miał odwagi.

* * *

Wolter, wyjechawszy z Ferney 5-go lutego 1778 r. ze swym sekretarzem Wagnièrem i kucharzem Bardym, przybył do Paryża 10 lutego przed południem, już bowiem od lat 30 nie mieszkał stale w Paryżu. Encyklopedyści widzieli w tej podróży swego szefa środek do odzyskania wpływu, jaki już od pewnego czasu poczynali tracić. Ażeby skłonić filozofa do powrotu do stolicy, pisze Wagnière, zaczęto go przekonywać, że król, królowa, książę d'Artois i cały dwór gorąco pragną go zobaczyć; w tym celu zaczęły napływać do Ferney mniemane listy z Paryża i Wersalu, pełne największych dla Woltera pochlebstw. Listy te miały pochodzić nie tylko od bardzo wybitnych osób, ale nawet od samego króla. Do tych

kłamstw siostrzenica Woltera, pani Denis, wielbicielka filozofa i jej przyjaciele pan de Villette i pan de Villevieille, dołączyli inny jeszcze argument: jego utwór tragiczny „Irena", bardzo mierny płód osiemdziesięcioletniego starca, którv autor uważał za swe najlepsze dzieło straciłby zupełnie znaczenie i wartość, mówili, jeśliby sam filozof nie przybył do stolicy i nie kierował aktorami przy jego odegraniu. Te przekonywania odniosły w końcu skutek i Wolter zgodził się na wyjazd.

Przybywszy do Paryża, starzec udał się na róg ulicy des Theotins (która obecnie nosi nazwę filozofa) i ulicy de Beaune i zamieszkał u przyjaciela swego markiza de Villette zdeklarowanego niedowiarka, którego życie było wiernem odbiciem jego bezwyznaniowych przekonań. Wiadomość, że filozof przybył do Paryża, wywołała na dworze królewskim wielkie zdziwienie; dowiedziawszy się o tem, Wolter uczuł się głęboko dotkniętym w swej pysze, tembardziej, że podobne upokorzenie spotkało go już nie po raz pierwszy. W lipcu bowiem 1777 r. cesarz Józef II. brat królowej francuskiej Marji Antoniny, ulegając namowom Marji Teresy przedsiewziął podróż do Francji pod przybranem imieniem księcia de Falkenstein: przejeżdzając wszakże niedaleko Ferney, gdzie mieszkał Wolter, wcale się tam nie zatrzymał, mimo że filozof do tej wizyty się przygotował, a jego wielki przyjaciel Frydervk II pruski zawczasu mu tego zaszczytu winszował.

Paryż cały jednak był ogromnie zaciekawiony przyjazdem filozofa, a dom markiza de Villete'a był oblegany przez rozmaite osoby, pragnące złożyć wizytę Wolterowi. Między innymi wysłannicy akademji francuskiej: książę de Beauvau Marmontel i Saint-Lambert wraz z dwunastu członkami tejże byli u starca z uroczystą wizytą i serdecznem powinszowaniem. Znakomity Franklin bawiący naonczas w Paryżu, przyprowadził do Woltera swego wnuka, prosząc dla niego o błogosławieństwo (!!). Stary filozof, wyciągnąwszy nad klęczącym małym kwakerem ręce pobłogosławił go mówiąc: „Bóg i wolność". Damy z wysokich sfer społeczeństwa, cisnąc się w tłumie odwiedzających, nie wstydziły się całować ręki filozofa. Do aktorów, przybyłych doń w komplecie Wolter odezwał się: „Chcę żyć tylko przez was i dla was jedynie".

* * *

Sceniczne opracowanie tragedji „Irena" zajęło mu bardzo wiele czasu. Ponieważ aktor Lekain, na którym Wolter opierał całe powodzenie swej sztuki, umarł na dwa dni przed jego przybyciem, filozof poprosił o współudział utalentowaną aktorkę de Vestris, którą zobowiązał się osobiście w grze wyćwiczyć. Gdy przy deklamacji aktorka nie umiała oddać, jak należy, jego uczuć, starzec przejęty tem do głębi, zaczął sam deklamować z takim wysiłkiem, że pękło mu w piersiach naczynie krwionośne. Krew buchnęła ustami tak silnie, że przerażone otoczenie wezwało natychmiast doktora Tronchina, który oznajmił że starcowi grozi poważne niebezpieczeństwo.

Według słów Wagnier'a, sprawa przedstawia się nieco inaczej: mianowicie, gdy dnia 25 lutego pisał on pod dyktandem Woltera leżącego na łóżku, nagle starzec wśród silnego kaszlu dostał gwałtownego wybuchu krwi, czem zawezwany natychmiast lekarz Tronchin mocno się zaniepokoił. Sekretarz przytem dodaje: „Wolter niechcąc, jak sam się wyraził, by ciało jego po śmierci było rzucone na śmietnisko, polecił mi napisać do ks. Gaultier, aby przyszedł doń na rozmowę. W obawie, by żądanie księdza nie było poczytane Wolterowi za objaw słabości ducha, udawałem przed filozofem, że list wysłany, lecz, że księdza nie można było odnaleźć. Wtedy starzec tak się wyraził do obecnych: „Będziecie przynajmniej świadkami, panowie, że chciałem spełnić to, co tutaj nazywają obowiązkiem". Gdy ks. Gaultier wrócił z prowincji do Paryża, jako kapelan szpitala dla nieuleczalnych, stosunki między nim a Wolterem zostały nawiązane. Kapłan ten, ożywiony gorącem pragnieniem nawrócenia filozofa, na pierwszą wieść o jego chorobie napisał do niego list następującej treści: (według relacji od arcybiskupa list nosi datę 20 lutego) „Wiele osób podziwia Pana i ja z głębi serca pragnę być jednym z wielu, co całkowicie od Pana zależy; jest jeszcze czas na to. Powiem Panu nadto coś więcej, jeśli Pan mi pozwoli na rozmowę z sobą. Choć jestem jednym z najbardziej niegodnych sług Kościoła, to jednak nie powiem Panu nic takiego, coby było niegodnem mego urzędu i coby nie miało Panu sprawić wielkiej radości. Jakkolwiek nie śmiem sobie obiecywać tego szczęścia, to jednak nie zapomnę o Panu przy spra-

wowaniu Ofiary Mszy świętej i z największą gorliwością, na jaką tylko zdobyć się mogę, prosić będę sprawiedliwego i miłosiernego Boga o zbawienie nieśmiertelnej duszy Pana, która może już wkrótce stanie przed sądem Jego, by zdać sprawę ze wszystkich swych czynów.

Proszę mi darować śmiałość, z jaką odważyłem się pisać do Pana, gdyż kieruje mną jedynie pragnienie wyświadczenia Mu największej usługi; mogę zaś uczynić to z pomocą Tego, który wybiera niekiedy narzędzie najsłabsze dla dokonania rzeczy największych. Jakże się będę czuł szczęśliwy, jeśli odpowiedź Pańska będzie zgodna z uczuciami, jakie żywię w sercu dla Niego i t. d. Podpisano: ks. Gaultier (u p. Guibert'a rzeźbiarza królewskiego, ulica de Sève, blisko Bulwarów). Paryż 20 lutego 1778 r.

O tym liście z dnia 20 lutego mówi Wagnière tak: „W tym czasie pewien ex-jezuita, nazwiskiem ks. Gaultier napisał doń list, ofiarowując swe posługi duchowne, jeśli się nadarzy sposobność. Wolter podziękował mu również listownie. Ksiądz przyszedł go odwiedzić i zostawił swój adres. Po wyjściu księdza zapytałem mego drogiego mistrza, czy był zadowolony z tej wizyty. Odpowiedział mi, że to poczciwy głupiec".

Jak naprawdę wyraził się Wolter — trudno twierdzić; w każdym razie na list księdza natychmiast odpowiedział: „List księdza, według mego zdania, jest listem uczciwego człowieka i to mi wystarcza, abym się zdecydował na przyjęcie zaszczytnej dla mnie wizyty Księdza w dniu i godzinie, przez Niego wyznaczonej. Ja Księdzu powiem to samo, com powiedział dając błogosławieństwo wnukowi sławnego i mądrego Franklina, człowieka, otoczonego czcią największą w Ameryce. Wypowiedziałem wtedy tylko te słowa: Bóg i wolność. W podniosłej tej chwili wszyscy obecni płakali ze wzruszenia. Myślę, że i Ksiądz jest tegoż zdania. Mam 84 lata niebawem stanę przed Bogiem, Stwórcą wszechrzeczy. Jeśli Ksiądz ma mi cokolwiek do zakomunikowania będę sobie uważał za obowiązek i zaszczyt przyjąć Go u siebie, pomimo cierpień które mnie dręczą. Mam honor pozostać dla Księdza i t. d. podpisano: Wolter 20 lutego 1778 roku.

Po takiej odpowiedzi Ksiądz Gaultier przybywa i wprowadzony do salonu, zastaje filozofa wśród licznego i doboro-

wego towarzystwa. Wolter podszedł do księdza, wziął go za rękę i, przepraszając towarzystwo, że je opuszcza, zaprowadził go do swego gabinetu. Na zapytanie Woltera gość odpowiedział, że nie jest przysłany ani przez arcybiskupa, ani przez proboszcza od św. Sulpicjusza, że przybył tu jedynie ze względu na dobro duszy filozofa; przytem dodał: „Ksiądz Lattaignant, przyjaciel Pana dopiero co odbył spowiedź z całego życia, co mu zapewniło spokój sumienia; i ja i on życzymy Panu tegoż samego szczęścia. W tej sprawie służyłem mu za narzędzie Boga i obecnie czułbym się bardzo szczęśliwy, gdybym i panu mógł służyć pomocą". W toku rozmowy Wolter oddawał pochwały Jezuitom, swym dawnym nauczycielom szczególniej zaś O. Parée, podziękował ks. Gaultier za wizytę i zaproponował mu nawet osobistą interwencję w celu wynagrodzenia jego zasług, na co ksiądz odpowiedział, że jedyną zapłatą, o której marzy, jest nawrócenie duszy starca do Boga. Po takiej rozmowie ksiądz wyszedł, otrzymawszy pozwolenie odwiedzenia filozofa jeszcze raz.

Ponieważ plucie krwią nie ustawało, wzbudzając lęk o życie Woltera, więc proboszcz od św. Sulpicjusza ks. Tersac, uważał, za swój obowiązek nawiedzić chorego i został przez niego przyjęty. Podczas tej wizyty proboszczowi zdawało się, że przekonał Woltera, iż nieodzownym wstępem do przyjęcia Sakramentów św., ma być publiczne odwołanie błędów i zgorszeń, jakie w ciągu życia uczynił. Kiedy jednak ks. Tersac pokazał Wolterowi szemat odwołania, aprobowany przez arcybiskupa, filozof odpowiedział: „Jestem z szematu zadowolony i uważam go za dobry, są jednakże pewne usterki w stylu, a to już do mnie należy. Proszę mi to zostawić, w przeciągu 24 godzin uskutecznię moje poprawki". Jak się następnie okazało, Wolter mówił to wykrętnie, chcąc jedynie zyskać na czasie.

* * *

Nie forma jednak, lecz sam fakt odwoływania, niepokoił, filozofa. Szczególniej mieszał mu szyki proboszcz od św. Sulpicjusza, działający według wskazówek Arcybiskupa; ksiądz Gaultier bowiem, mniej przezorny, więcej dostosowywał się do Woltera i jego otoczenia. Z tego więc względu i Wolter i jego siostrzenica, pani Denis, zwracali się listownie do ks. Gaul-

tier w dniach 26 i 27 lutego z prośbą, by raczył nawiedzić chorego w hotelu de Villette. Pani Denis przyjęła księdza sama, opowiedziała o wizycie proboszcza ks. Tersac, i o tem, że namawiał chorego do wyspowiadania się, lecz—dorzuciła—„chory ma zaufanie tylko do księdza i dla tego odpowiedział proboszczowi, że może się wyspowiadać tylko u niego".

Toteż w trzy dni po tej wizycie ks. Gaultier był dopuszczony znowu do chorego, który powitał gościa temi słowy: „chcę się przed księdzem wyspowiadać, zanim przyjdzie śmierć". Po wymianie słów wzajemnego zaufania, Wolter czyni znak krzyża świętego i rozpoczyna Confiteor. Lecz kapłan go powstrzymuje mówiąc, że przedewszystkiem należy spełnić obowiązek, czyli uczynić publiczne i własnoręcznie podpisane odwołanie zgorszeń, jakie penitent dał w ciągu życia.

Filozof wzywa na on czas swego sekretarza, prosi go o papier, poleca mu, by go zostawił samego z „ks. Gaultier jego przyjacielem", wreszcie pisze i podpisuje własnoręcznie odwołanie tej treści:

„Ja, niżej podpisany, oświadczam, że, mając 84 lata, od czterech dni mam silne krwotoki i wskutek tego nie mogę się dowlec do kościoła. Ks. proboszcz od św. Sulpiciusza zechciał do swych pięknych czynów dołączyć i ten, że raczył mi, przysłać ks. Gaultier, kapłana, przed którym się wyspowiadałem, i, jeśli wolą Bożą jest, bym umarł, chcę umrzeć w wierze katolickiej, w której się urodziłem. Mam nadzieję w miłosierdziu Bożem, że ono raczy mi darować wszystkie moje błędy i, jeślim kiedy dał zgorszenie Kościołowi, to za nie i Boga i Kościół proszę o przebaczenie. Podpisano: Wolter, 2 marca 1778 r., w domu markiza de Villette, mojego przyjaciela, w obecności księdza Mignot, mojego siostrzeńca, i markiza de Villevieille, mego przyjaciela. Podpisano: Mignot, Villeville."

W istocie, na prośbę Woltera, ks. Gaultier zawołał księdza Mignot i markiza de Villevieille, których przedtem poprosił o wyjście; ci przeczytawszy deklarację własnoręcznie ją podpisali. Ks. Gaultier po przeczytaniu onej zwrócił uwagę choremu, że deklaracja wydaje mu się niewystarczającą a nawet dwuznaczną i że musi ją przedłożyć Arcybiskupowi.

D'Alembert, Diderot i Marmontel których, ksiądz Gaultier spotkał przy wyjściu, ostentacyjnie okazali mu swe nie-

zadowolenie z powodu jego wizyty u filozofa. Skutków tego niezadowolenia ksiądz miał doświadczyć niebawem.

Od pierwszego spojrzenia arcybiskup de Beaumont przeniknął podstęp owego odwołania, poczem udzielił ks. Gaultier szczegółowych wskazówek, jak winien w danej sprawie postępować, wobec tego, że ma do czynienia z człowiekiem dalekim od prostoty i szczerości.

* * *

Ostrożności te okazały się zbędne. Gdy nazajutrz ksiądz Gaultier przyszedł dokończyć swej pracy nad chorym, zastał drzwi hotelu de Villette zamknięte i choć kilkakrotnie próbował dostać się wewnątrz, za każdym razem był przez szwajcara grubiańsko odsunięty tak, że nawet nie mógł zostawić swej karty wizytowej. Na list, adresowany do Woltera, ks. Gaultier otrzymał dwunastego dnia krótką, obejmującą cztery wiersze, odpowiedź, że filozof będzie miał przyjemność go przyjąć, gdy stan jego zdrowia się poprawi.

Tymczasem choć zdrowie widocznie się poprawiało i drzwi dla wszystkich były otwarte, kapłanowi wstęp był wzbroniony. Ks. Gaultier w bardzo serdecznym i uprzejmym liście przypomina Wolterowi jego obietnicę, ale list pozostaje bez odpowiedzi, a filozof, odzyskując wraz ze zdrowiem swój ordynarny cynizm, szydzi przy stole: „Podróż moja do Paryża udała się doskonale, zostałem wygwizdany w teatrze, a — wyspowiadany w domu."

Pamiętniki de Bachaumont'a przytaczają pewien szczegół z czasu choroby filozofa. Gdy Wolter oznajmił lekarzowi Lorry, przyjacielowi markiza de Villette, i jeszcze drugiemu niedowiarkowi, że się wyspowiadał, na twarzy tego ostatniego przemknął uśmiech politowania, co widząc filozof rzekł: „Więc pan uważa mnie za tak wielkiego bezbożnika?" Na to zręcznie odpowiedział Lorry: „Pan się lęka, by o tem wiedziano, a przecież to stanowi Pana sławę".

Zresztą, dodał Wolter, nie chcę, aby moje ciało rzucono na śmietnisko. Wszystko jest mi wstrętne te klechy męczą mnie; jestem jednak w ich rękach i muszę wydostać się stamtąd.

Wiadomo zresztą, że Wolter lękał się zawsze tego, by, jak się wyrażał—ciało jego nie zostało po śmierci wyrzucone na śmietnik; ten lęk był też przyczyną jego świętokradzkiej

Komunji św. Wielkanocnej, którą, jak wiadomo, dał publiczne zgorszenie w Ferney 1769 r.

W jakiś czas potem p. Linguet umieścił w „Annales" odwołanie Woltera, a markiz de Villette w „Courrier de l'Europe" odwołanie tegoż odwołania. Ostatecznie La Louptière ułożył złośliwy epigramat ku uciesze całego Paryża, który bawił się kosztem wszystkich, biorących udział w tej sprawie.

Epigramat ów brzmi:

„Wolter i Lataignant, obaj usposobienia miłego,
Złożyli swe wyznania u spowiednika jednego.
Mogło to być u Gaultier'a, czy u Gardillego.
Dość że Gaultier lepiej nadawał się do tego
Obaj we czci jednacy, lecz dla względów namacalnych
Odpowiedniejszy był o wiele kapelan nieuleczalnych."

Tymczasem Wolter bardziej niż kiedykolwiek żądnym był pochlebstw; świadomi tego jego zwolennicy postanowili dostarczyć mistrzowi wawrzynów tryumfu teatralnego w dniu 30 marca, kiedy to już po raz szósty wystawiano w teatrze jego „Irenę".

Wolter udał się tam w towarzystwie pani de Villette i pani Denis. Skoro ujrzano go w loży, ze wszystkich stron rozległy się entuzjastyczne oklaski. Aktorzy przerywają akcję na scenie, a jeden z nich z wieńcem w ręku schodzi z estrady, zbliża się do starca i przy pomocy pani Denis wieńczy jego skroń. Wolter, przejęty do głębi, wznosi ręce do góry i woła: „Uznanie to śmierć mi przyśpieszy!"

W tejże chwili kurtyna, spuszczona podczas ceremonji wieńczenia, podnosi się i oczom wszystkich ukazuje się w głębi estrady biust filozofa, otoczony aktorami i aktorkami. Jedna z nich, Pani Vestris, powstaje i powtarza tęż samą ceremonję z biustem, jaka dopiero co dokonała się z Wolterem. Wczasie tego jeden z aktorów wygłasza płytką poezję na cześć bohatera dnia.

Nazajutrz cały ten „tryumf" został wyśmiany w uszczypliwych wierszykach i podobiznach satyrycznych.

Wolter miał wrócić za dwa dni do Ferney, lecz Akademja Francuska mianowała go dyrektorem Towarzystwa. Godność tę filozof przyjął, a tem samem zobowiązał się do pozostania w Paryżu jeszcze trzy miesiące,

W kilka dni potem, dnia 7 kwietnia, Wolter został członkiem loży masońskiej „Neuf-Soeurs” o czem świadczy „wyciąg z tablicy ogłoszeń Czcigodnej Loży Noeuf-Soeurs, Wielkiego Wschodu Paryża, dnia siódmego, czwartego miesiąca, roku prawdziwego światła 5778”, a ogłoszony w korespondencji jego przyjaciela Grimm'a". Po przeczytaniu znaków, słów i dotknięć. Brat (mason) de Voltaire zajął miejsce w Wielkim Wschodzie obok Czcigodnego. Jeden z braci Kolonny de Melpomese włożył na jego głowę wieniec z wawrzynu, który Wolter pospiesznie zdjął. Czcigodny przepasał go fartuchem Brata Helwecjusza, który wdowa po tym sławnym filozofie złożyła do loży Neuf-Soeurs, podobnie jak i inne masońskie insygnia używane przez niego. Brat Wolter przed otrzymaniem fartucha chciał go pocałować, a gdy otrzymywał kobiece rękawiczki, powiedział do Brata markiza de Villette: „Ponieważ one są symbolem uczciwego, tkliwego i zasłużonego przywiązania więc proszę je oddać „Pięknej i Dobrej" (Markiza de Villette).

Ostatnie chwile życia tego człowieka, zarówno czynnego jak szkodliwego, zajął projekt następujący:

Wolter nie mógł przeboleć niepowodzenia „Ireny” na scenie. Chcąc poruszyć opinję publiczną i zjednać ją dla siebie, umyślił wciągnąć do swego rydwanu Akademję francuską, skłaniając ją, by w nowem wydaniu używała jego osobistej ortografji, polegającej na uproszczeniu pisowni, czyli na pisaniu słów tak, jak brzmią w mowie, (pisownia fonetyczna).

Było to wielkiem i trudnem przedsięwzięciem, tembardziej, jeśli się zważy, że człowiek, który się tego podejmował, miał już 84 lata. Wolter więc przygotowuje swe plany, przejmuje się niemi, wkłada w nie całą duszę, całe dnie poświęca na konferencje ze swymi kolegami z Akademji, by im dokładnie wyłożyć swoje projekty. Poza rozumowemi dowodami silne płuca są w takich razach niezbędne; chcąc zatem mieć silniejszy głos, uciekł się filozof do niewinnego fortelu z kawą i wypił potajemnie 18 filiżanek takowej, a podnieciwszy się w ten sposób, udał się do Komitetu przygotowawczego. Całą pracę podzielił Wolter według alfabetu, sam wziął literę A, a inne dwadzieścia cztery podzielił między kolegów. Było to jednak przyczyną szczególniejszego rozdrażnienia filozofa, gdyż wielu z nich przez wyraźny sprzeciw lub niechęć do współ-

pracy bardzo boleśnie go dotknęło. Krew burzyła się w nim, głowa rozpalała się, sen całkowicie zniknął. Aby mu go przywrócić, podano starcowi małą buteleczkę likieru, którą Wolter wypił odrazu, zamiast rozdzielić na 3 lub 4 dawki: stąd wynikło straszne wzburzenie nerwów, które usiłowano uspokoić, dając mu do przyjęcia opjum. Srodki te pogorszyły jeszcze bardziej stan chorego i gdy przybył lekarz Tronchin, którego w pośpiechu wezwano, Wolter odezwał się doń: „Na ten raz nie Pana mi potrzeba, proszę mi przywołać lekarza warjatów!".

W liście, napisanym w kilka dni po śmierci filozofa, Tronchin oznajmia, że był to „najokropniejszy stan rozpaczy i szaleństwa".

Zawezwany Try, sławny chirurg z ulicy du Bac, powierzył opiekę nad chorym żonie Roger'a, a do zwykłej posługi przeznaczył swego ucznia Brizard'a. Po kilku dniach, cierpienia stawały się coraz okropniejsze i zapowiadały straszny koniec.

Tłumaczył z francuskiego.
O. Aleksander Paulin.

(dok. nast.)

O przyjaźni.

Różne związki łączą ludzi pomiędzy sobą, ale jest jeden związek najszczytniejszy, najcenniejszy, najpożądańszy, lecz i najrzadszy, a tym jest przyjaźń. Choć o przyjaźni i przyjaciołach dużo i często się mówi, jednak spotkać przyjaźń prawdziwą jest rzeczą dość trudną, tembardziej, że pod nazwę przyjaźni ppdszywają się często inne cechy charakteru ludzkiego, zupełnie odmienne dążności, które pod pozorem przyjaźni kryją w sobie obłudę, pochlebstwo, wyzysk, a często zdradę i najzwyczajniejsze oszustwo.

Młodzież naogół jest skłonna do zawierania stosunków koleżeństwa, przyjaźni i ona najbardziej narażoną jest na ciężkie zawody pod tym względem. By nie paść ofiarą przyjaźni fałszywej, trzeba zdawać sobie dobrze sprawę ze samej idei przyjaźni, z jej cech nieodzownych, być świadomym, z kim przyjaźń prawdziwa jest możliwa, a z kim niebezpieczna i zgubna.

Cóż tedy jest przyjaźń? — Jest to odmiana miłości, jest to miłość szczególna, wyjątkowa. Bóg sam, który według wyrażenia św. Jana Ap. jest *Miłością*, stwarzając człowieka na obraz i podobieństwo swoje, dał mu skłonność i zdolność do miłowania. Ta skłonność jest wrodzoną i bez niej człowiek byłby nienormalnym. Miłujemy zawsze coś lub kogoś i stąd mamy różne odmiany miłości: miłość Boga, miłość własną, miłość rodzicielską, synowską, małżeńską, miłość koleżeńską, przyjacielską, miłość nauki, sztuki, rozkoszy, bliźniego, Ojczyzny i t. d.

Istota przyjaźń polega na miłości, lecz tutaj ta zachodzi między niemi różnica, że kiedy podmiot miłujący jest czynny, to przedmiot miłowany może byc najzupełniej biernym i żadną miłością nie odwzajemniać się, czy to świadomie, jeżeli chodzi o osobę, lub wzajemność będzie niemożliwą, jeżeli miłujemy przedmiot nierozumny lub ideę; natomiast w przyjaźni wzajemna miłość jest rzeczą nieodzowną, jest warunkiem, bez którego miłości przyjacielskiej być nie może.

O miłości mówią, że jest ślepą. Jest w tem część prawdy, a zachodzi to wtenczas, gdy jest mowa o miłości zmysłowej, cielesnej, która może stać się prawdziwą chorobą duszy i ciała. Nic podobnego nie może być w przyjaźni, niema tam miejsca na zaślepienie, bo „cnota — to najwyższy rozum", jak mówi Arystoteles, „a przyjaźń, jest cnotą, albo czemś, co z cnotą zawsze chodzi w parze". I obserwacja życiowa to potwierdza, że bez cnoty przyjaźń jest wątpliwa, pozorna i tam upada, gdzie cnota ustępuje.

Miłość przyjacielska jest bezinteresowną; przyjaźń oparta na stosunku wzajemnej korzyści, zysku, przyjemności, rozkoszy nie godną jest nazwy przyjaźni. Nie jest przyjaźnią przelotna wzajemna sympatja, chwilowa wymiana wzajemnych usług w podróży, towarzystwie. Podstawą prawdziwej przyjaźni jest wzajemna życzliwość, ale nie byle jaka, lecz stała, trwała, na cnocie oparta i ujawniająca się w mniej lub więcej częstej wymianie myśli, uczuć i usług wzajemnych.

„Na każdy czas miłuje, kto jest przyjacielem (ks. Przyp. XVII, 17)".

„Przyjaźń, która może ustać, nigdy prawdziwą nie była (św. Ambr.)".

„Amicitia in malo esse non potest (św. Aug.)".

Ważną jest rzeczą znać cechy, któremi przyjaźń prawdziwa różni się od fałszywej. Cechy te określono wierszem: „amicus cernitur *amore, more, ore, re*". Przyjaźń więc za cechę pierwszą ma miłość, powinna przeto posiadać wszystkie przymioty miłości, dlatego ma być cierpliwą, wolną od zazdrości, nie szukającą swego, lecz wszystko w przyjacielu znoszącą, prócz trwania w złem; w życzliwości swej niezachwianą i jedno tylko mającą na celu, aby u przyjaciół było jedno serce, jedna dusza, jeden Bóg. Taka przyjaźń na miłości wzajemnej oparta nie ukryje się, ona da znać o sobie tą promienistością, która takowej przyjaźni jest właściwą.

Przyjaźń zmierza ku temu, aby zaprzyjaźnione osoby coraz ściślej duchowo jednoczyć, a do ścisłego zjednoczenia nadają się tylko rzeczy, lub osoby mniej więcej do siebie podobne; przyjaźń przeto prawdziwa bywa tylko tam, gdzie zachodzi pewna zgodność charakterów, dążeń, idei. Ostateczności, stykające się nieraz w miłości zmysłowej, w przyjaźni prawie nigdy się nie stykają. Przyjaźń zawiązuje się i rządzi aforyzmem: „Similis simili gaudet". Wniosek więc z tego jasny, że prawdziwa przyjaźń nie może istnieć między szlachetnym, a nieuczciwym, rozumnym, a półgłówkiem, pobożnym, a bezbożnym. Potwierdzenie tego znajdujemy u św. Pawła, który mówi: „co za uczestnictwo sprawiedliwości z nieprawością, albo co za towarzystwo światłości z ciemnością... albo co za część wiernemu z niewiernym (II kor. VI, 14 - 15)". Gdy więc zachodzi między zaprzyjaźnionymi wielka niezgodność w charakterach, upodobaniach, poglądach,, dążnościach, oraz gdy wartość moralna jednego nie odpowiada wartości drugiego, tedy ze wszelką pewnością można orzec, że taka przyjaźń jest wątpliwą, pozorną, a nigdy prawdziwą, Poznaje się więc przyjaźń *more* t. j. w obyczajach.

Prawdziwa przyjaźń jest stosunkiem wzajemnej życzliwości, przeto objawiać się powinna *ore* t. j. w słowach życzliwych względem tego, z kim się zaprzyjaźniło. Czytamy w Piśmie św.: „kto ciska kamieniem na ptaki, spędzi je, taki który łaje przyjacielowi, rozrywa przyjaźń (Eklezjastyk XXII, 25)". Wprawdzie nie każdy, kto nam przygania, jest nam nieżyczliwym, jak również nie każdy, kto nas chwali, jest nam oddanym, to jednak przyjaźń prawdziwą łatwo można poznać ze sposobu, w jaki ona przejawia się w słowach. Prawdziwa przyjaźń i najostrzejszej

naganie potrafi nadać cechę serdecznej życzliwości, bo będzie połączona z delikatnością serca, natomiast obłuda i w najlepiej obmyślanych pochwałach pod naszym adresem zdradzi swoją powierzchowność uczucia, przesadę i afektację, jeżeli tylko nie będziemy mieli umysłu, przyćmionego wybujałą miłością własną. Owszem krytyka od przyjaciela jest najpożądańszą, bo wolną od zazdrości, której źródłem jest życzliwość ku nam. Jednak trzeba być uważnym i roztropnym, by jakąś porywczością, wyrokiem, słowem gminnem, czy uszczypliwym przyjaźni na szwank nie narazić, trzeba zawsze się liczyć z miłością własną przyjaciela.

Nakoniec przyjaciel poznaje się w czynie — in *re*. Jest to cecha może najważniejsza i najpewniejsza. Gdzie niema wzajemnej pomocy w potrzebie i uczynności, gdzie niema ofiary i poświęcenia, tam przyjaźń jest złudzeniem, po którem następuje bolesne oprzytomnienie; przyjaźń bez usług przyjacielskich trwa do czasu tylko, lecz w końcu prędzej czy później musi być zerwaną. Mówi Pismo św.: „Nie zapamiętywaj w myśli swej przyjaciela swego, ani go przepomnij w bogactwach swoich (Eklezj. XXXVII, 6)"; „utrać pieniędzy dla brata i przyjaciela (Tamże XXIX, 13)". Nie małej potrzeba roztropności, aby odróżnić przyjaciół prawdziwych od fałszywych, miłujących nie osobę przyjaciela, lecz jego np. bogactwo, stół wykwintny, wspólne zabawy grzeszne uciechy. Tacy udają przyjaźń, dopóki to jest dla nich dogodnem i korzystnem, natomiast gdy się zażąda od nich jakiej ofiary czy pomocy, — przyjaciel się ulatnia, a niekiedy staje się i wrogiem, płacąc złem za dobre. Przed takimi przestrzega nas Pismo św.: „Jeśli nabywasz przyjaciela, przez doświadczenie go nabywaj, a nie łatwo mu wierz. Bo jest przyjaciel według czasu swego, a nie wytrwa w dzień utrapienia. I jest przyjaciel, który się obraca do nieprzyjaźni, i jest przyjaciel, który nienawiść i swar i hańbę objawi. A jest przyjaciel towarzysz stołu, i nie zatraca czasu potrzeby. Przyjaciel jeśli wytrwa statecznie, będzie także jako rówieśnik, a między domowniki twemi bezpiecznie sobie poczynać będzie (Eklezj. VI 7 — 11)"

Przyjaźń prawdziwa jest rzeczą nieocenionej wartości, jest to bardzo wielki dar Nieba, jest to przedmiot godny największego pożądania. Jakże często czujemy się samotni: niema,

ktoby nas wyrozumiał, pocieszył, dodał otuchy w trudnościach i niepowodzeniach życiowych; nie mamy z kim podzielić swoich myśli, pragnień, idei i dążeń! Jakże często sprawdzają się słowa Pisma św.: „Vae soli“ — biada samemu! W takich okolicznościach postawieni, zrozumiemy dopiero doniosłość cytowanej powyżej księgi Eklezjastyka: „Wiernemu przyjacielowi nie masz porównania i nie masz godnej wagi złota i srebra przeciw dobroci wiary jego. Wierny przyjaciel lekarstwo żywota i nieśmiertelności, a którzy się boją Pana, znajdą go. Wierny przyjaciel jest obrona mocna, a kto go znalazł, skarb znalazł (VI, 15 — 17)". Kasjodor, pisarz kościelny (┼ 575) mówi: „Bez przyjaciół wszelka praca umysłowa byłaby nudą, wszelkie zajęcie — utrapieniem, cała ziemia — obczyzną, całe życie męczarnią; życie nieosłodzone przyjaźnią, nie wiele więcej byłoby warte od śmierci“. Św. Ambroży woła: „Jakaż to osłoda w życiu, gdy mamy przed kim swe serce otworzyć, komu sekret powierzyć, gdy mamy kogoś życzliwego, kto nam w szczęściu winszuje, w smutkach współczuje, w prześladowaniach radą pomaga.

A jeśli droga życiowa nie da nam spotkać prawdziwego przyjaciela, nie smućmy się i nie rozpaczajmy, bo człowiek wierzący, katolik konsekwentny nigdy nie jest zupełnie sam, jest z nim Zbawiciel jego, który mówi: „Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeśli czynić będziecie, co ja wam rozkazuję (Jan XV, 14)“. Wtedy czynimy to co on rozkazuje, gdy trwamy w łasce poświęcającej, kiedy gotowi jesteśmy codzień przyjąć Go w komunji św., a wtedy Boski Przyjaciel da nam wszelką pomoc i oparcie w walkach życiowych, On wzmocni i zapali, byśmy nigdy nie zeszli z drogi ideału.

Ks. J. Matulewicz.

Kilka wrażeń z Powsz. Wystawy Krajowej w Poznaniu.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie"!
(Kochanowski).

Zaiste, słowa poety przypominają nam się na każdym kroku przy zwiedzaniu naszej wspaniałej Wystawy w Poznaniu!..

Wystawa ta odkryła światu i nam samym Polskę! Nie wiedzieliśmy, że umiemy pracować twórczo na tak zwaną miarę europejską! Wpajano nam pojęcia, którym po części nawet uwierzyliśmy, że jesteśmy w każdym kierunku, jako słowianie, daleko poza linją twórczości szczepów romańsko - germańskich. Dzieje się dotąd z nami to samo, czem sami grzeszymy, wraz z całą Europą, wobec ludów innych ras, uważając siebie niesłusznie za wyższych od tamtych.

Dziś, patrząc na ten niezwykły pokaz pracy, polskiej, jaki nam daje Powszechna Wystawa Krajowa, stajemy zdumieni!.. A więcej od nas zdumiewają się obcy, chociaż właśnie oni lepiej, niż my sami, poznają się na naszych wartościach, bo to, co my mamy jeszcze przed sobą, oni już przeszli, i, chcąc zachować swoje miejsce w zjednoczeniu państw europejskich, *właśnie dlatego* kryli i jeszcze kryją, pod swoją firmą, prace Polaków, dokonywane dla nich zagranicą.

Cześć wyraźmy wystawcom naszym! Każdy z nich dał bowiem to, co miał najlepszego, i dał sercem otwartem! Cześć im za trud mozolny, precyzyjny, twórczy, podjęty w imię idei! Wy właśnie, nieznani Pracownicy, jesteście istotnymi twórcami Polski, do jakiejkolwiek dziedziny twórczości należycie!.. *Wy* to budujecie przyszłość Polski swemi specjalnościami, w które wkładacie swe zamiłowania i zapał twórczy!..

Niema bodaj zakresu pracy polskiej, któryby na Wystawie nie posiadał przeglądu statystycznego. I dlatego właśnie, w odróżnieniu od Wystawy Barcelońskiej, — na oko może okazalszej od naszej, nasz wysiłek narodowy ma raczej charakter naukowy i muzealny, z pewnością wartoby umieścić statystyczne te skarby w jakiejś centrali i rozwozić, wraz z wykładami, po całej Polsce!.. Wpierw jednak należałoby obowiązkowo zarządzić spisanie kompletne zawartości każdego pawilonu dla zbiorowego ilustrowanego katalogu Wystawy. Szkodaby było, by te śliczne zasoby wiedzy o Polsce miały się rozejść bez poprzedniego upamiętnienia ich na zawsze! Niema bowiem większej uczelni polskiej nad Poznańską Wystawę! Orzekł ktoś, że z takiemi materjałami możnaby pisać prace naukowe dla najwyższych egzaminów. Tym, którzy tej uczelni polskiej nie zwiedzili, a zwiedzić nie mogli, żal będzie kiedyś niedopełnienia swej obywatelskiej powinności!..

Już dziś odczuwamy, z pewnością brak Wystawy z chwilą, gdy 30 września o 6 popoł. zamknęli ją na zawsze! Poznań stracił swą nadzwyczajną siłę atrakcyjną, jaką ściągał do siebie tego lata ludzi z całego świata i może wróci do swych dawnych nastrojów, w pomniejszonych ramach!.. Teraz ma on tę wielką zasługę, że dał krajowi grunt dla dzieła *całej* Polski, łącząc w ten sposób wszystkie dzielnice w jedną wielką, zgodną, szczęśliwą rodzinę, prześcigającą się przez swych członków w talentach, twórczości i pracowitości. Dokazaliśmy z pomocą Bożą, prawie cudu—cudu pracy—i chcielibyśmy teraz, by taka atmosfera ustaliła się na zawsze, bo nam z nią dobrze!..

Pojęliśmy bowiem, że tylko praca twórcza ma znaczenie na przyszłość, gdyż każda inna z ledwością otrzymuje tylko to, *co jest*, nic nie dając! A tworzyć nam dużo! i z wiarą w siebie za tyle prawdy, jaką teraz mamy jeszcze przed oczyma! Już nie pozwalajmy poniżać się niżej tej objawionej, poznanej prawdy!..

Mamy przed sobą jeszcze dużo pracy i to daje nam przekonanie i radość, że w tym wyścigu pracy i zadań rączość nasza nie ustanie, lecz się wzmoże i utrwali, gdyż jedna czynność tworzy drugą, niosąc mechanicznie rozwój i powodzenie. W takim tempie twórczości samo się dzieje, iż przybywa nam energji i rozmachu i zdolności. Błogosławiona ta wielka, wysilna praca ludzka, która każdego członka społeczeństwa *zniewala* do dzieła i na wszystko *czas* niesie, odsuwając zarazem poza nawias praw do poważania tych ludzi niegodnych, którzy w tak ważnych chwilach nie poczuwają się do właściwej sobie twórczości!..

— Chodziłam na Wystawę *uczyć się o Polsce*, którą zawsze jeszcze za mało znamy. Przyjrzałam się szczególnie sprawom Polaków zagranicą i kresów wschodnich Polski. Dwie te dziedziny łączą się ze sobą: Gdyby kresy przyciągnęły naszą ludność do siebie, toby ona nie potrzebowała co roku powiększać o 150 tys. naszej emigracji, złożonej już i tak z 7—10 miljonowego tłumu, rozproszonego dla chleba po całym Bożym świecie. Gdzie nas niema?.. Po 2 tysiące w Turcji, i w Afryce, nawet w Australji tysiąc. Rząd Polski skierowuje emigrację masową do Parany w Ameryce Południowej, a jednostkowo—grupową do Angoli w Południowo-zach. Afryce — gdzie spodziewa się uzyskać 10% obszaru kolonij niemieckich, przedwojennych, na terenach Angoli, Toga, Kamerunu i wschodnio-południowej Afryki.

Mało znanym jest światu fakt, że Kamerun, wówczas jeszcze przez nikogo nie zajęty, skolonizowali koło 1880, dwaj polscy inżynierowie: Stefan Rogoziński i Leopold Janikowski, emigranci z r. 1863. „Gdy nie można było utrzymać samodzielności Kamerunu, oddali Polacy najlepsze porty i najdroższe okolice w ręce Anglji". —jak pisze ks. Panaś w swym bardzo ciekawym artykule p.t.: Polacy w pracy misyjnej i kolonjalnej, drukowanym 1928 w kilku pismach w Polsce. (Po bliższe informacje odsyłamy do Sz. Autora: Lwów. Kościół św. Mikołaja).

Wogóle, dzieje Polaków w pracach kolonij świata są bardzo ciekawe, tembardziej że nieznane, a nawet zapoznane i dokonywane na dobro obcych bezimiennie. (Najczęściej). Dzieje tych pionjerów kultury, jak i historja naszych polskich misjonarzy godne są uwagi w studjach naszej młodzieży akademickiej.

Nie zaliczam do terenów emigracyjnych wolnego miasta Gdańska, jak to czasem się czyta, gdyż pozostaje prawnie pod patronatem Polski, z którą mu jest dobrze. Z zaciekawieniem spostrzegamy udział Gdańska w dziale gospodarczym naszej Wystawy, a natomiast brak udziału w sekcji naukowej, w której nie podał swej Politechniki, i w sekcji religijnej, w której, jak wiadomo, oddany jest Gdańsk przez najwyższe władze kościelne pod jurysdykcję Nuncjusza Papieskiego w Polsce...

Ksiądz biskup gdański nie bywa na obradach Episkopatu w Polsce, a towarzystwa swej djecezji notuje, dla statystyk i dla współpracy, nie w Polsce, lecz w Niemczech.

Polacy zagranicą mają to do siebie, że łączą się lepiej niż w kraju, i uwydatniają wśród obcych bardziej swoje dodatnie przymioty. Z tej racji niewątpliwie oddziałują na swe nowe otoczenie. Wpływ ten wzmoże się jeszcze, gdy rodacy nasi stosownie do swych próśb, wyrażonych na Zjeździe Emigracji w Warszawie w r.b. otrzymają wystarczającą opiekę duchową z Polski. Jak czytamy w komunikatach Katolickiej Agencji Prasowej w Warszawie przygotowuje się w Polsce Seminarjum dla duchowieństwa wśród Polaków zagranicą. Nawet ludzie skądinąd dla tej idei nieprzychylni, stwierdzają, że właśnie kapłan polski przyczynia się najbardziej do utrzymania rodaków tych w ideałach, o jakie państwu szlachetnie chodzi.

Wszelkie sprawozdania Wystawy unaoczniają nam fakt, że najbardziej zaniedbaną dzielnicą Polski są kresy wschodnie. Nie-

podobna przypuścić, by wspólny wysiłek nas wszystkich nie zdołał ukształtować sprawy tej w każdym kierunku na lepsze. Idzie więc z owych stron nieme wołanie, by jednakże kierować najpilniejszą uwagę, serca całe, w te odsunięte niejako od całkowitej gospodarki polskiej ziemice, aby czuły się z nami bardziej jednością i były na tyle szczęśliwe, co inne dzielnice naszej ojczyzny.

Przy tej sposobności z łatwością stwierdzamy, że zawsze jeszcze za mało znamy się ze sobą—dzieci jednej Matki. Nie znamy języków mówionych przez mieszkańców naszej ziemi, chociaż nic tak nie zbliża narodów do siebie praktycznie, jak znajomość języków. Francuskie wykłady poznańskiego radja łączą nas z Francją. Może być, mamy nadzieję, że doczekamy się w radjo z czasem także nauki języków słowiańskich.

Poznańska Wystawa, powodująca istną wędrówkę narodów, nietylko słowiańskich, zaznajomiła nas z ludami Europy i poza Europy i własnego kraju i powyższe braki właśnie wykryła. Wystawa najbardziej pozyskała nam Słowian. Z pewnością wzmoże się teraz między nami współpraca nietylko gospodarcza i naukowa, ale i religijna, mianowicie dla akcji Unji Kościelnej, która śladem zagranicy obejmuje w Polsce już nietylko, jak dawniej, sprawy przyjęcia obrządku wschodniego dla przechodzących z prawosławia na katolicyzm, ale wogóle sprawy wszystkich innowierców-monoteistów, jakich w Polsce mamy, a więc, prócz prawosławnych: jeszcze protestantów, żydów i muzułmanów. Na tem miejscu zwracamy uwagę łaskawych czytelników na Towarzystwo i pismo: Unja, Kraków Karmelicka 21, zajmujących się Polakami-katolikami obrządku wschodniego.

Robiłam wzmianki o stosunkach Unji w Polsce na Pierwszej Polskiej Mapie Statystycznej Misyjnej Szkolnej, gotowej do druku w początku lipca 1929, a przeznaczonej dla Wystawy w dziale Wychowania Religijnego. (Po informacje w celu nabycia Mapy prosimy się zgłaszać do p. Kryzana: Poznań, Matejki 53).

Unji oraz Bliższemu i Dalszemu Wschodowi pragnie przysłużyć się także Instytut Wschodni w Warszawie Miodowa 7, dla Nauk i Kultur Wschodu. Instytut ten ofiaruje bezpłatną naukę misjonarzowi polskiemu. Dotąd jest zbyt mało znanym, a mógłby jednak tem być w Europie dla Wschodu, czem jest dla Afryki: Międzynarodowy Instytut dla języków i dla Kultur afrykańskich

w Londynie (Craven Street 22). Instytut ten, dla swej grupy katolickiej, doprasza się członków z Polski. (Zgłoszenie: RP. Dubois SJ. Roma. Borgo SSpiri o 5).

Nie zauważyłam na Wystawie ni Instytutu Wschodniego z Warszawy, ni Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu, ani Uniwersytetów Ludowych ks. Ludwiczaka. W sekcji Historycznej Ministerstwa Wojny (Wojskowe) nie widziałem między innymi obrazami naszych bohaterów wizerunku ks. Skorupki.

Nawiasem mówiąc, sądząc także podług eksponatów naszej Wystawy, odczuć można u nas pewien brak wykazów z życia wyznaniowego w Polsce, zaradzić mu może Biuro Statystyczne Katolickie — które niedługo pewnie powstanie oraz osobne urzędy statystyczne dla innych wyznań, jakie zresztą może już istnieją. Niezmiernie ciekawe pod względem religijnym w Polsce informacje podaje książka Piotrowicza: „Z Zagadnień wyznaniowych w Polsce", wyszła codopiero w Wilnie. (Bibljoteka: Zródło Mocy. Drukarnia Lux, Wilno, Portowa 7). Dziełko to traktuje sprawę ze strony historycznej i prawnej w Polsce.

Ponieważ jest mowa o kwestjach religijnych, wspomnę, że w dziale Sztuki Wystawy zauważyłam stosunkowo skromny odsetek dzieł z tej dziedziny, któreby mogły być przydatne dla naszych kościołów i zastąpić u nas wytwórczość zagraniczną. Niedostatek ten wypływa może i z braku współpracy między czynnikami zainteresowanymi, co stwierdzamy zresztą także na innych polach akcji społecznej, — współpracy, którąby jednak przyspieszyła rozwój i w tej naszej twórczości artystycznej, mającej wyrastać tak samo z pnia jaknajbardziej polskiego. Studjujemy taką dążność u obcych i podług niej orjentujemy się, coby w tym względzie zrobić należało i można, gdyż talenty są! Zresztą — może już i takie usiłowania przyoblekły się i w Polsce gdzieniegdzie już w czyn. chociaż niema o tem obfitszych wiadomości—niechże tedy styczność z zagranicą wyjawi nam nasze własne poczynania i pchnie ludzi u nas do śmielszej, wydajniejszej twórczości! (Adres takiej Instytucji w Belgji: Association Pelgrim, Anvers, Placae de Meir 42). W pawilonie Ziemianek zwrócono nam uwagę na firmę: Ars, Warszawa, Marszałkowska 149 Biuro Ziemianek, która ma na celu wprowadzanie motywów polskich do sztuki stosowanej.

Mamy więc polepszyć się w każdym kierunku, szczególnie tam, gdzie wierzchnią warstwę myśli, pracy i zapatrywań zakrywa nam sobą zawsze jeszcze idea zagraniczna. Poznań z pewnością zyskał dla swej polszczyzny przez Wystawę Krajową. Kto śledzi rozwój naszego miasta, ten spostrzega, że naogół poprawiło ono sobie język, na tyle, że często już nie widać w Poznańczyku naleciałości dzielnicowych.

Zwolna przywykamy zwać siebie w radjo po polsku w audycjach międzynarodowych — miasta—nazwiska—programy—tak, jak to gdzieidziej czynią już Czechosłowacja i Niemcy.

Skoro rozwiniemy w sobie nasze własne, istotne pierwiastki i pokazywać je będziemy światu już nie raz na 50 lat, ale na stałe, w międzynarodowej akcji społecznej, to może wreszcie przestaną do nas przychodzić wybitne gazety z Południowej Afryki z adresem: Poznań — Germany, (jak to dziś jeszcze ma miejsce, i nie spyta nas już nauczycielka w Wurzburgu, czy „Posen" należy właściwie do Polski czy do Niemiec!... i nie zadziwi się Anglik, gdy zobaczy u nas... koleje.

Chwile, jakie dała Polsce i światu Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu 1929, nie zatrą się!.. W dniu zamknięcia tego potężnego Pokazu Polski, podziękujmy za nasz dorobek Temu, Który dał „rosę z nieba" na nasze znikome, ludzkie wysiłki! „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Tobie niech będzie chwała"...

Kazimiera Berkanówna.

Z powodu niedawnych walk o Nowy Prajer Buk w Anglji.

„*Antypapizm*" w Anglji jeszcze nie zamarł. Zrywa się on od czasu do czasu, lecz jego echo jednak głuchnie coraz bardziej. W czasie wojny światowej Ruiduard Kipling popełnił jakiś wiersz w którym gwałtownie obrażał Papieża, i wyszła nawet wrzawa z tego powodu. Tenże sam jednak Kipling zawsze, choć nieraz nieznacznie, w swych powieściach religijnie nastrojony, jak każden zresztą dobry Anglik, pisze w swem opowiadaniu „*Kim*", gdzie mówi o pewnym anglikańskim kapelanie wojskowym w Indjach, którego dość karykaturalnie zresztą

przedstawia, jak to również jest we zwyczaju w Anglji od czasu Walter Scotta, te znamienne słowa:

„*W przekonaniu Bennetta* (owego anglikańskiego clergymana właśnie) *między nim a rzymsko-katolickim kapłanem irlandzkiego pułku, leżała nieprzebyta przepaść, ale godnem była uwagi, że ilekroć kościół anglikański miał* (w jego osobie rozumie się, choć autor wyraźnie tego nie mówi, stawiając tu obszerny myślnik ideowy) *do rozwiązania jakiś problemat ogólnoludzki, odwoływał się zawsze chętnie do Rzymskiego Kościoła o pomoc*". Rzymski Kościół to ów irlandzki kapelan w konkretnym wypadku, ale i tutaj pozostawione nam jest wolne miejsce do rozmyślania.

Otóż napisane jest to zdanie z dziwną sprawnością obserwacji i z ciepłym humorem, godnym Anglika. Oczywiście, dla Kiplinga „*Kościół Anglikański*" i „*Kościół Rzymski*" to dwa wyrażenia, oznaczające poprostu odnośnych kapelanów. Ale, nie mniej godnem jest uwagi, że te wyrażenia doskonale mogą się stosować wprost, bez ogródek, a nie jako personalne omówienia. A wówczas będziemy właśnie stali na terenie nowego anglikańskiego *Prayer Booku.**) Chodzi nam tu tylko o zdanie sprawy z ruchu, który ta kwestja wywołała obecnie w Anglji a w którem odnajduje się właśnie i ten głuchawy już nieco „*antypapizm*", o którym tylko co wspominałem i to zwrócenie się chętne, Anglikańskiego Kościoła do Rzymskiego w ogólno-ludzkiej sprawie. Modlitwa bowiem i religja wogóle, to najbardziej ogólno ludzkie sprawy.

Tak, Kościół Anglikański, zaniepokojony w sumieniu tych ludzi którzy od niego odeszli i wciąż odchodzą (przecie jeno na angielskim froncie we Francji 40.000 ludzi przeszło na katolicyzm, jak mi mówiono w Paryżu na początku 1919 roku!) a również i tych, którzy by chcieli zostać, a zamało znajdują pokarmu, przeszukawszy i rosyjskie, (bez praktycznego skutku) i wschodnie prawosławie (z lepszym kościelnym skutkiem), zwraca się obecnie do Rzymskiego Kościoła, choć imienia jego nie wymawia. Przywraca bowiem, jeśli nie Mszę (której przywrócić nie ma władzy, choć mógł ją zatracić, z której to smutnej możliwości skorzystał), to przynajmniej formuły, modlitwy,

---

*) Modlitewnik kościoła anglikańskiego.

oznaki i myśli, które część jej stanowią. Jakieśmy to już poprzednio wyrazili, tu idzie o pojęcie Eucharystji, rzeczywistej obecności Chrystusa Pana na ołtarzu, transubstancjacji, ofiary.

Choć bardzo mglista jeszcze reforma ta jest przedstawioną przez najwyższe władze anglikańskie i przeszła już na zebraniu kościelnem, zanim miała być popotwierdzona przez parlament.

Niewierzący Barres oświadczył kiedyś, że siłą zakonnicy katolickiej to całkiem oczywiście Eucharystja. Okazuje się obecnie w Anglji, że siłą, która dusze angielskie porusza, to pragnienie Eucharystji.

W *Atlantydzie* Piotra Benoit, jeden z aktorów powieści, anglikański pastor Spardek, gorszy się, że można nie wierzyć w obecność Pana Jezusa w Eucharystji i cytuje stary Prayer Book na swą obronę. Ale nietylko tak było w modnym romansie. Wielu Anglików wierzyło w rzeczywiste kapłaństwo swych duszpasterzy i w ich moc konsekracyjną. Dziś stają się oni większością i, choć kapłaństwa tego wedle rzymskiej ekspertyzy niema, a więc niema i konsekracji, a jednak nowy Prayer Book wiarę tę bardziej jasno jeszcze chce określić. Stąd i wokoło tego — wszystkie polemiki.

Zdać by się komu mogło, że Anglja jest rzeczywiście, jak to piszą, archaicznym krajem, kiedy na meetingach i na łamach dzienników, dziś w XX wieku, publicznie polemizują o takiej abstrakcyjnej, zdawałoby się może nie jednemu, zawiłej w jego oczach i dla jego przyziemnych pragnień, zbytecznej, teologicznej kwestji. Tak mogło być przecie dawniej! powie ten światowiec, który ruchu świata nie widzi. Ostatecznie za Elżbiety! ale dziś?... Zdziwi się.

A właśnie tem, wykazuje Anglja swój dziwny instynkt żywotności, swój zmysł realizmu, bo w tem zagadnieniu kryje się cała głębia życia dawnego, dzisiejszego i po wsze czasy, aż do żywota wiecznego. Katolicy urządzają wszechnarodowe Kongresy Eucharystyczne — Anglja zaś Eucharystji szuka! I to znak czasu, znak obfitych czasów na żniwo.

Br. Kreuza.

Walka o szkołę katolicką.

Prawodawstwo a życie.—Poglądy p. Szczawińskiej. — Moralność „wyzwolona” w seminarjach nauczycielskich. — Przykład sowietów. — Polityka ministra Czerwińskiego. — Odebranie praw gimnazjum w Staniątkach.—„Ostrożnie i z cicha”.—Środki obrony.— Wezwanie Ojca św.

W jednym z naszych poprzednich artykułów zaznaczyliśmy, że jeżeli chodzi o walkę z religją i Kościołem w Polsce, rzeczywistość polska wyprzedziła, niestety, znacznie wszelkie projekty prawodawcze; zdanie to potwierdził w ostatnich tygodniach cały szereg faktów, bijących wprost w oczy.

Mamy tu na myśli w pierwszym rzędzie nasze szkolnictwo. Zdawałoby się na pozór, że ustawy i instrukcje ministerjalne zapewniają na razie w tej dziedzinie minimum potrzeb katolickich. Jest to jednak złudzenie optyczne. Poza papierowemi przepisami ukrywa się zupełnie inna rzeczywistość.

Przejdźmy do faktów. Oto „Głos Lubelski” podał niedawno następującą wiadomość:

„W dniu 17 b.m. w Konopnicy pod Lublinem odbywała się konferencja rejonowa nauczycielstwa szkół powszechnych. W konferencji wziął również udział miejscowy proboszcz ks. Gintowt-Dziewałtowski i inspektor szkolny na powiat lubelski p. Kaczorowski. Z ramienia kuratorjum przybyła niejaka p. Szczawińska.

Po omówieniu spraw ściśle szkolnych i zawodowych przystąpiono do sprawy oświaty pozaszkolnej. I tu zdarzył się fakt, który odkrył oblicze polskich władz szkolnych. Oficjalna delegatka kuratorjum p. Szczawińska. wygłosiła na temat oświaty pozaszkolnej referat, który wśród obecnych wywołał ogólną konsternację. Uderzyła przedewszystkiem w popularne i znane na gruncie lubelszczyzny i całej Polski katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. Walka z temi katolickiemi organizacjami młodzieży polskiej ma być jednym z najgłówniejszych czynów nauczycielstwa w krzewieniu oświaty pozaszkolnej.

Jako argument do zwalczania tych organizacyj oficjalna delegatka kuratorjum uważa to, że organizacje te znajdują się pod wpływem Kościoła Katolickiego, że młodzież prowadzi się w duchu katolickim, że młodzieży wciska się paciorki do ręki i zachęca do przystępowania do sakramentów św., że są to organizacje księżowskie i pańskie, że młodzież w Stowarzyszeniach prowadzi się osobno żeńską i osobno męską, że nad młodzieżą czuwają patronaty.

A konkluzją tych wywodów było: zakładać Koła Młodzieży Wiejskiej (znane ze swego radykalizmu) i zamiast książek do nabożeństwa, zamiast prasy katolickiej, dać młodzieży pismo „Wici” organ młodzieży prawie, że komunizującej”.

W ten sposób p. Szczawińska wyjaśnia sobie przepisy ustaw i okólnik min. Bartla i tłumaczy je na język życia codziennego w Konopnicy pod Lublinem.

Zobaczymy teraz, co się dzieje w Warszawie w seminarjach nauczycielskich, z których mają wyjść przyszli nauczyciele i pedagodzy. Pisze o tem „Gazeta Warszawska” w № 251, podając następującą wiązankę faktów:

„Ciekawe to fakty i same za siebie mówiące. Między nimi na pierwszem miejscu stoją metody wychowawcze instytucii „Nasz dom", która wychowuje w swej bursie młodzież seminarjów nauczycielskich warszawskich. „Nasz dom" stosuje ściśle wychowanie metodą głoszoną przez p. Orynga o „wychowaniu antyreligijnem". Opiera się ono tam na ciągłem wiecowaniu, a w myśl tezy o wyzwolonej moralności tępi się w dzieciach instynkt wstydliwości (np. chłopiec i dziewczynka kąpane są w jednej wannie).

Propagowane są idee walki klasowej, cechy charakteru narodowego są starannie niwelowane...

Dbałość o wychowanie młodzieży, gotującej się do stanu nauczycielskiego, jest jak widać, zupełnie niedostateczna.

Natomiast wchodzi obecnie w modę wysyłanie dyrektorów szkół na przeszkolenie do Moskwy. Niedawno jeździła tam dyrektorka jednego z państwowych gimnazjów żeńskich. Po powrocie zaś wygłosiła „objektywny " odczyt dla nauczycielstwa o szkolnictwie bolszewickiem.

Nie mniej ciekawą rzeczą jest, że referentem harcerstwa w ministerstwie W. R. i O. P. został p. Sieroszewski, ten sam, który oświadczył swego czasu publicznie, że wstydzi się takiego państwa, w którem komuniści są prześladowani.

Charakterystyczną jest też sprawa seminarjum nauczycielskiego w Radzyminie. Po usunięciu byłej dyrektorki, która prowadziła tę instytucję przez 10 lat, mianowano nauczycielkę szkoły ćwiczeń z kursów Spasowskiego. Kierowniczka ta odrazu otoczyła specjalnem protektoratem, zapoczątkowaną przez komunizującego nauczyciela Z. „jaczejkę szkolną" wśród uczenic w której propaguje się ideał kobiety, wyzwolonej z więzów ciasnej moralności „mieszczańskiej" i więzów rodzinnych.

Tenże nauczyciel Z wygłaszając odczyt w seminarjum na 11 listopada wykrzykiwał: „robią bohatera z księdza Skorupki, co to za jakiś ksiądz Skorupka, rodzima kanalja!" W innych okolicznościach wygłaszał p. Z. zdania z rodzaju: „Lenin to Chrystus".

Nauczyciel ten był wprawdzie usunięty na żądanie rodziców, ale mememorjał, który przedłożył kuratorjum spowodował usunięcie długoletniej dyrektorki".

To są wypadki z życia praktycznego, ktoś mógłby powiedzieć—odosobnione i ukryte przed oczyma władz wyższych. Niestety, takiemu poglądowi zaprzecza druga serja faktów. Okazuje się, że wyższe władze państwowe, a w pierwszym rzędzie mintsterstwo oświaty zainicjowało w ostatnich czasach kurs wyraźnie i zdecydowanie godzący w interesy religji i Kościoła.

Katolicka Agencja Prasowa w swoim komunikacie oświetla te posunięcia w sposób następujący:

„Od dłuższego już czasu jesteśmy świadkami wzmożonej akcji antykatolickiej ze strony pewnych organów władz państwowych. Dotychczasowa krecia robota przeciwko Kościołowi zaczyna przejawiać się coraz więcej i na zewnątrz.

Władze szkolne oficjalnie już prześladują szkolnictwo katolickie. Pozbawiając praw państwowych gimnazja PP. Benedyktynek w Przemyślu, PP. Urszulanek we Lwowie, SS. Boromeuszek w Jarosławiu, obniżając kategorję gimnazjum katolickiemu w Lublinie, przedstawiając w ujemnem świetle inne szkoły katolickie w państwie, dąży się systematycznie i celowo do zniszczenia szkolnictwa katolickiego. Nie zwraca się na to uwagi, że niszcząc te szkoły, zwłaszcza na kresach położone, niszczy się i samą polskość. Niektóre szkoły mają za sobą dziesiątki lat pracy wychowawczej, w ciężkich czasach zaborczych, będąc bastjonami kultury polskiej i katolickiej...

Aczkolwiek władze usiłują nadać zarządzeniom, zwracającym się swem ostrzem przeciwko Kościołowi, pozory prawne, to jednak jesteśmy w posia-

daniu dokumentów, które w sposób dowodowy stwierdzają jedyny motyw tych aktów: nienawiść sekciarską do Kościoła katolickiego.

Za władzami szkolnemi podąża nasza administracja państwowa. Nieprzyjazny stosunek do Kościoła wojewodów Białostockiego, Kirsta i Nowogródzkiego, Beczkowicza, znany jest nie od dzisiaj. Na ziemiach wschodnich, gdzie kościoły katolickie są niejednokrotnie jedynemi ogniskami kultury polskiej, gdyż nie wszędzie są szkoły polskie, tam Kościół katolicki spotyka się z największemi szykanami i utrudnieniami.

Gdy się to wszystko zestawi z faktem niewykonywania Konkordatu, to będziemy mieli prawdziwy obraz obecnego położenia Kościoła katolickiego w Polsce. Nie potrzeba dowodzić, na jak wielkie niebezpieczeństwa i szkody naraża się zarówno Kościół, jak i państwo, gdyby polityka pewnych osób, którym zależy na walce z Kościołem, miała się utrwalić".

Z tego zestawienia widać, że specjalnie pojętnym adeptem ...liberalnej teorji o szkolnictwie okazał się p. minister „Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego", Czerwiński. Szeroka opinja publiczna mało znała program i poglądy p. Czerwińskiego w chwili podpisania przez Prezydenta Rzeczypospolitej dekretu nominacyjnego na ministra. W kilka miesięcy później dowiedzieliśmy się na podstawie faktów, że nowy dygnitarz jest zwolennikiem odbierania praw państwowych szkołom zakonnym... Po PP. Benedyktynkach w Przemyślu, PP. Urszulankach we Lwowie, SS. Boromeuszkach w Jarosławiu przyszła kolej na szkołę PP. Benedyktynek w Staniątkach.

O zasłużonym tym zakładzie umieściliśmy niedawno w „Pro Christo" obszerny artykuł, podający historję jego założenia i w ogólnych zarysach 700-letniego istnienia. Staniątki bowiem, jako zakład i szkoła, jako ośrodek religji, kultury katolickiej i cichej mrówczej pracy jest instytucją znacznie starszą od Wszechnicy Jagiellońskiej, bodaj najstarszą w kraju. Jak donosi „Głos Lubelski": „w Polsce Odrodzonej kuratorjum krakowskie, widząc w staniąteckiej szkole znakomite warunki i organizację, postanowiło wytworzyć ze szkoły gimnazjum żeńskie specjalne, gdzieby uczennice, oprócz wiedzy szkół średnich, otrzymywały także wiedzę właściwą niewieścim obowiązkom w przyszłości". Zamiar został urzeczywistniony i kuratorjum było do tego stopnia zadowolone, że zamierzało właśnie nadać gimnazjum prawa kategorji A, gdy w tem zupełnie nieoczekiwanie, nadeszło rozrozporządzenie ministerstwa, odbierające prawa tej oryginalnej i jedynej w swoim rodzaju uczelni na ziemiach polskich...

W chwili obecnej program p. ministra Czerwińskiego jest już znany szerokiej opinji publicznej. To też nie ulega wątpliwości, że podczas zbliżającej się sesji budżetowej sejmu niejedno jeszcze o Ministerstwie Oświaty posłyszymy. Sądzimy zwłaszcza, że posłowie i senatorowie ugrupowań katolickich i do katolicyzmu zbliżonych postarają się przy sposobności wyjaśnić zawiłe arkana niektórych posunięć tego ministerstwa i czy to przy sposobności rozpatrywania jego budżetu, czy też przy okazji głosowania nad votum zaufania, czy nieufności...

ujawnić całkiem wyraźnie i zdecydowanie swoje stanowisko wobec kursu polityki wyznaniowo-oświatowej, który zainicjował p. minister Czerwiński.

Metody, wyżej ujawnionej walki z religją, charakteryzuje „Rzeczpospolita” w № 260, jak następuje:

„Ostrożnie i zcicha” — to znaczy: chyłkiem i krecią metodą — walka z Kościołem prowadzi się bez wytchnienia, gdzie tylko można i jak można. Ten tutaj, ówdzie inny... Ten lokalnie w tej dziedzinie tamten również lokalnie w innej... O ile zaś chodzi o całość państwa, zawsze się znajdzie sposób gry bodaj na zwłokę i we władzach centralnych, jeśli już czego przeforsować nie można, to można przynajmniej to czy tamto przewlekać — do czasu, zanim nie przyjdzie pora działania już zupełnie otwartego i bezwzględnego.

Jakie wyniki daje ta metoda, choćby tylko na przestrzeni paru tygodni, podaliśmy w numerze wczorajszym. Jest to zreszą cząstka tylko całości. Na terenie lwowskiego kuratorjum szkolnego ruguje się szkolnictwo katolickie krok po kroku. To samo zaczyna się już w kuratorjum lubelskiem, gdzie się to szkolnictwo upośledza. Z innych kuratorjów nie mamy jeszcze tak ciężkich zażaleń, ale chyba tylko widocznie dlatego, że tam nie stanęli jeszcze na czele „swoi ludzie”. W każdym razie w Warszawie bez żadnych przeszkód uprawiają swoją robotę „spasowiacy”...

To szkolnictwo. A administracja polityczna? Prawda — w woj. krakowskiem skarżył się słynny ze swojej afery z dzwonami w Choczni (no i ze swojej antykościelnej pracy na terenie Sejmu) pos. Putek, iż wicewojewoda całkowicie stanął po stronie „klerykalizmu” a przeciw niemu. Ale w woj. lubelskiem jeden siarosta (hrubieszowski) inspiruje ataki prasowe przeciw jednemu z wyższych dostojników kościelnych w lokalnem piśmie i dopiero z okazji procesu redakcja dla ratowania swej skóry musi tę brzydką rzecz zdekonspirować. Starosta zaś drugi (biłgorajski) od roku prowadzi walkę z proboszczem, któremu nie daje dostępu do plebanji, zajętej na szkołę. Rok temu interwenjował ks. Biskup lubelski u Wojewody — bez skutku. Przed pół rokiem w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia — po to, aby po 6 miesiącach dowiedzieć się, że „sprawa jest dotąd jeszcze badana przez miejscowe odnośne władze administracyjne”, Potem zaś przychodzi skandal i „miejscowe odnośne władze administracyjne” wyłamują drzwi do proboszczowego mieszkania w nieobecności właściciela, rzeczy wyrzucają — i proboszcz zmuszony jest zamieszkać w sąsiedniej parafji, a ludność pozbawiona zostaje opieki duszpasterskiej. To dzieje się w jednem województwie, w dwóch zaś sąsiednich (poleskiem i nowogródzkiem) stosunek samych wojewodów do Kościoła jest już dostatecznie znany ze swej wrogości. Znów możnaby powiedzieć, że przecież w innych województwach dzieje się lepiej i skarg niema. Ale to właśnie..

W obecnej sytuacji naszej coraz bardziej panoszy się wszechwładztwo jednostek, z których każda czyni, co jej się podoba. Nieuznawanie prawa kontroli Sejmu nad Rządem przechodzi drogą hierarchji w powszechną zasadę nieuznawania żadnej odpowiedzialności”.

W takich warunkach obowiązkiem wszystkich katolików jest podjąć odpowiednie środki obrony. Nie wystarczy tutaj urabianie opinji publicznej za pomocą prasy, czy też protesty podejmowane na zgromadzeniach publicznych. Doświadczenie wykazuje, że tego rodzaju przejawy woli zbiorowej są często lekceważone przez niektórych dygnitarzy, bardzo zaufanych w trwałość swoich stanowisk i potęgę grupy, która dała im władzę.

Obrona nasza musi się oprzeć na podstawach pozytywnych. Katolicy w Polsce winni wreszcie uzyskać odpowiedni wpływ na rządy w kraju, należny im zarówno ze względu na ich liczbę, jak i zasługi wobec Ojczyzny. Dopóki wpływy masonerji i innych obcych agentur „kosmopolitycznych" będą przeważały — na nic nie zdadzą się protesty i artykuły dziennikarskie, chyba do uświadomienia sobie przykrej prawdy, że katolicki stan posiadania kurczy się i maleje w instytucjach życia państwowego.

Jeden zaś jest tylko sposób uzyskania należnych wpływów politycznych: trzeba zorganizować inteligencję pod sztandarami katolicyzmu społecznego i pchnąć ją do pracy pozytywnej wśród warstw ludowych. Jeżeli tego nie zrobimy w latach najbliższych — wrogowie religji i Kościoła, pasożytujący na ciemnocie i nieuświadomieniu katolickiego proletarjatu i korzystający z bierności i indyferentyzmu inteligencji katolickiej — będą święcić coraz większe triumfy.

Musimy podjąć ten wysiłek. Niech bodźcem dla nas będą słowa Ojca św., wygłoszone niedawno do polskiej pielgrzymki w Watykanie: — „...muszę ostrzec Was, jak ongiś Chrystus ostrzegał Apostołów, mówiąc do nich: „Czuwajcie i módlcie się". Czuwajcie, gdyż grożą Wam niebezpieczeństwa i zasadzki podstępne. Wróg wszelkiego dobra, którego Chrystus Pan nazwał bramami piekielnemi, nie śpi, ale czuwa i działa wśród Was. Mam tu na myśli przedewszystkiem sektę masońską, która szerzy swe przewrotne zasady i zgubne wpływy również i w Polsce, usiłując w szczególny sposób zniszczyć Waszą świętą i cenną spuściznę duchową i religijną, która stanowi moc i chlubę Waszą. Dlatego też, powtarzam, czuwajcie, gdyż wróg nie śpi, a więc i Wam nie wolno zasypiać"... *S. J. K.*

Nadprodukcja inteligencji, czy pseudointeligencji?

Różne cudeńka dzieją się w tej naszej biednej, skołatanej ojczyźnie. W czasach inflacji byliśmy krajem miljonerów. Najmizerniejszy urzędniczyna otrzymywał pensje w cyfrach o astronomicznej wielkości. Zwykła wiejska kura znosiła codzień jajko wartości kilkuset tysięcy (naturalnie marek). Przyszedł Grabski i pożal się Boże, krocie okazały się groszami, miljonerzy nawet nie dziadami, lecz dziadakami.

Ostatecznie jednak ten „cios" można było przeboleć. Wiadomo, że co Polska, to nie Eldorado. Nasi poczciwi kmiot-

kowie zresztą odrazu sceptycznie się odnosili do tych miljonów i nazywali je pogardliwie „melonami" (jeden „melon", dwa „melony" i t. d.). Teraz jednak los zgotował nam srozższą niespodziankę. Domorośli filozofowie i statyści odkryli, ni mniej ni więcej, tylko nadprodukcję... inteligencji. Gdyby chamstwa, niktby się nie zdziwil, tego towaru nigdy i nigdzie nie brak, nawet na eksport. Ale inteligencji?

Gdzież ta inteligencja? Gdzież ten nadmiar?

Wyjdzie książka naukowa, oprócz autora i jego przyjaciół, którzy otrzymali egzemplarze darmowe, nikt jej nie czyta. Cały nakład leży na półkach księgarskich.

Odczytów wogóle oduczono się organizować. Nawet p. Starża-Dzierzbicki, Blok i s-ka uciekli, spakowawszy swoje duchy, medja i t. p. atrakcje.

Poważnym sztukom teatralnym przysłuchują się zazwyczaj (z urzędu) krzesła i recenzenci pism stołecznych. Na koncerty chodzą przeważnie żydy. Literatura i sztuka obniżyły swój lot podniebny. Wszędzie nadmiar miernot, brak talentów.

To samo w życiu społecznem. Rej wodzą w organizacjach półinteligenci, osobnicy bez wyższej kultury duchowej, służący nie idei, lecz własnej ambicji. Brak szerszej inicjatywy, brak odpowiednich ludzi.

W dziedzinie gospodarczej zastój. Elektryfikacje kraju mają przeprowadzić Niemcy i Amerykanie, gazyfikacje Francuzi i Belgowie. Bogactwa naturalne eksploatują cudzoziemcy. Dotychczas nie zdołaliśmy rozwiązać kwestji mieszkaniowej, znów pewno z pomocą będzie musiała przyjść zagranica, znów jakiś amerykański geszefciarz napcha sobie kieszenie.

Nie wolno nam wszystkiego składać na brak kapitałów. Gdybyśmy ekonomicznie byli bardziej zorganizowani, to przy tak bogato wyposażonym przez przyrodę kraju, jak Polska, z łatwością zdobylibyśmy potrzebne sumy na inwestycje. Francja bardziej była zniszczona przez wojnę, bardziej obdłużona, a jednak znów jest bankierem Europy. Cała kwestja sprowadza się do tego, że tam byli ludzie odpowiedni, a u nas ich niema.

Stagnacja, panująca w życiu intellektualnem i gospodarczem kraju jest objawem nie nadmiaru, lecz przerażającego

braku prawdziwej inteligencji. Nie jest nią bowiem ta pseudointeligencka hołota, elegancko ubrana, która zapełnia kina, kabarety, dancingi i t. d. Tego towaru rzeczywiście mamy poddostatkiem.

Modny krawat, czy krótko obcięte włosy to jeszcze nie dyplom na inteligencję. Przesylabizowanie nie świadczy już o dojrzałości umysłowej danego osobnika. W dawnych czasach, gdy czytanie było uważane za tajemniczą sztukę, trudną do opanowania, wystarczyło umieć czytać, aby zdobyć szacunek u rodaków. Strój nawet odróżniał ludzi oświeconych od pospólstwa. Dziś, gdy jest wprowadzone powszechne nauczanie, a woźny często z większym wdziękiem potrafi nosić garnitur, niż profesor uniwersytetu, inteligencja winna odróżniać się od motłochu ulicznego przedewszystkiem głębszą kulturą ducha i umysłu. Na niej ciąży obowiązek wniesienia nowych, ożywczych prądów w to morze chamstwa, które nas zalewa.

Walka o byt nie może zasłaniać szerszych horyzontów i ograniczać istnienie człowieka do bezmyślnej istoty, troszczącej się jedynie o stroje i pełny żłób. Inteligent winien czuć się rozumną cząstką wielkiej społeczności ludzkiej, dążącej ku światłości, wiedzy i postępu.

Wszyscy wprawdzie nie mogą być wielkimi uczonymi, lub wynalazcami, lecz każdy może interesować się zagadnieniami naukowemi, każdy może co pewien czas przeczytać poważniejszą książkę, lub wysłuchać pouczającego wykładu. Chodzi tutaj o przeciętny poziom sfery decydującej o typie ludzkiem i jego wartości.

Doprawdy czasby wyjść z tego gnuśnego nieróbstwa i marazmu. Za dużo mamy ludzi, których nic nie obchodzi i nie zajmuje. Żyją zdala od przybytków wiedzy, od ognisk pracy społecznej. Jak woły robocze chodzą w kieracie codziennego życia; za leniwi na to, by oderwać myśl od trosk przyziemnych, wznieść się ponad poziom brukowej gazety i choć przez chwilę poszybować myślą po tej drodze, po której kroczy ludzkość ku jaśniejszemu jutru poprzez poświęcenie i ofiary swych najlepszych synów. *Józef Lubicz.*

Walka.

I

Mózg się wysila na różne koncepcje,
By zadowolnić ludzką ciekawość,
Gmatwa się we wnioskach.
Recepcje
Coraz nowe.
By uczynić zadość.

II

Umysł ludzki bardzo jest ciekawy,
Choć rozwiązane ma już zadanie,
Nowego ciągle szuka
I obawy.
W bok odsuwa.
Wszystko jak było zostanie.

III

Nienasycony, znalazł drogę, bada,
Eksperyment wskazał mu wektory,
W tem, obawa!
Może nie wypada?
Nadzieją się krzepi,
Szuka do tej pory.

IV

Wreszcie zmęczony, swą myśl odsuwa,
Ustępuje po czasie niechętny,
Zostawia wszystko czasowi.
Wysnuwa się....
Jedna chwila!
I zwalcza chaos mętny.

Jerzy Zamulewicz.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Maus. Le XX siècle — siècle des Missions. AUCAM Louvain 8 rue des Récollets. — 1928.

Les Grands Problèmes Missionnaires. St. André. Lophem les Bruges. — 1928.

Obie broszury objaśniają nam papieski program pracy misyjnej, przedstawiając materjały i zadania apostolstwa misyjnego najnowszej doby. Idzie zew z Rzymu ku społeczności katolickiej, by zajęła się wykształconymi poganami na ziemiach pogan i studentami innych ras, którzy przebywają na razie w Europie i w Ameryce (St. Zj.)

Młodzież ta zaniesie do swoich pojęcia o wierze katolickiej. Dobrze, jeśli z pomocą łaski Bożej potrafi poznać i pokochać prawdy, nie widząc ich niestety w praktyce naszego nie — katolickiego, europejskiego życia... Mają nawiązać się stosunki kulturalne między obu inteligencjami — korespondencja, wymiana pism i różnych pomocy, niekoniecznie wpierw religijnych, chociaż ten cel musi tkwić w oku...

Drugi punkt nowoczesnej pracy misyjn. to ten, że pragniemy poznać sprawy mis. takiemi, jakiemi są, a nie wyłącznie przez pryzmat sensacji i sentymentu. Czas więc na studjum w 4 kierunkach — krajów, ludów, religji i języków. Kilka tysięcy lat przygotowywaliśmy się do tej idei, która wreszcie przebiła się przez trudności, nieśmiałość, aby decydująco wzmóc propagandę mis.

Rola katolika zmienia się z urzędu jałmużnika i ofiary modlitwy na powinność współpracownika. Myśl tę rozwija umiejętnie W O. Charles. S.J. w swej Encyklopedji Misyjnej, którą wydaje p. t. Les Dossiers de l'Action Missionnaire (8 rue des Récollets. Louvain). W dziale Oeuvres de Propagande pisze: Do modlitwy za misje trzeba dodać informacje o misjach. Miłosierdzie życzy ich sobie. La Charité désire être informée. Pragniemy wiedzieć dokładnie, na co służy nasza jałmużna, jak odpowiada (O. Ch. pisze czy — si) istotnej potrzebie, czy spodziewany jest skutek, jaki użytek przynosi pomoc, jaką dajemy. Jestto zmiana formy dawniejszej jałmużny. Koniecznością jest objaśniać obszernie i otwarcie publiczność chrześcijańską o przeznaczeniu jej darów. Dziś wszyscy cenią bilans, nawet wtenczas, gdy jest deficyt. Protestanci francuzcy posługują sie nawet tym deficytem, by pobudzać do składek. (Str. 2 nr. 103 — część 7). Rozumiemy więc, że chodzi wyraźnie o współudział, a nietylko o „jałmużnę odręki—pour se débarrasser d'un solliciteur insistant.—(O Charles) społeczeństwo, które, zyskując wgląd w sprawy, bez krępowania działalności misjonarza, (najistotniejsze jego zadanie i tak nie da ująć się w liczby!) zyska przekonanie, gdzie i jaka potrzebna jest jego stała pomoc.

Broszury wymienione podają gotowe materjały dla naszych dzienników. Pozatem pragniemy dodać, że Bulletin des Missions. St. André itd. wydaje co 2 miesiące luźne artykuły w tym duchu dla prasy katolickiej. Zwracamy na nie szczególną uwagę czytelników. **K. B.**

Ks. Mieszkis. (Czerski). Rewolucja. Warszawa Dom Książki Polskiej i autor: Mielnik nad Bugiem.

Studjum o Rosji bolszewickiej i refleksje na tem tle dla Polski. Oryginalne, silne, przekonywujące. Rzeczy takie winny dostawać się do pism codziennych: wstrząsnęłyby naszą przyziemną apatją, która gubi się w brudach materjalistycznych i nie pozwala realizować się idei. Tak nam ciężko do niej dobrnąć, a jednak między „dziś" a „wieki" jaknajkrótsza przestrzeń

i zapora jest bardzo leciutka. Autor kocha Polskę i w natchnieniu iście sawonarolskiem wypowiada swoje zamysły. Odnosimy wrażenie, że u steru prasy za mało jest ludzi typu ks. M., a jednak dała nam ich Opatrzność na to, by budowali nam mocną przyszłość, jako silny głos sumienia i konsekwentna ręka realizatora. Ks. M. uderza prawdą i leczy miłością i w tem jest jego nieprzeparta siła i — godność. Chociaż jako placówkę pracy przydzielono mu maleńką parafijkę nad Bugiem, to wpływ jego sięga nawet poza granice Polski. Jego „Wojna" tłomaczona jest na niemiecki i ma ukazać się w francuskim i angielskim. **K. B.**

Pułkownik Adolf Małyszko, „Walka gazowa" — nakładem Domu Prasy Katolickiej. Warszawa.

Bardzo na czasie broszurka. Temat tak mało dotychczas poruszany w prasie, doznał systematycznego i w miarę warunków gruntownego ujęcia. Autor w myśl swych szczerych intencji, pragnie obudzić w społeczeństwie zainteresowanie i zrozumienie w walce z gazami trującemi. Daje wykład naszych niedomagań na tem polu, kreśli jakiemi drogami winniśmy dążyć, aby zapobiedz klęsce w wojnie z gazami trującemi. Bogata w treść broszurka.

W pierwszej części autor zapoznaje nas z zastosowaniem gazów w czasie wojny, w drugiej zaś o zastosowaniu gazów trujących w czasie pokoju.

L. W.

Stanisław Żyżkowski (Eszet). Kryształowe Kwiaty. Warszawa 1929.

Śliczuie wydane wierszyki przez Stanisława Żyżkowskiego chwytają czytelnika za serce nietylko swym stylem, ale więcej jeszcze pociągającym i budującym tekstem. Są to rzeczy poświęcone Matce Przenajświętszej, Odkupicielowi Świata i Ojczyźnie. Każdego czytelnika umysł, po przeczytaniu tych utworów zwraca się ku wyżynom niebiańskim. Impresje, zawarte w tym tomiku są owocem kornej myśli, ulatującej w chwilach wzniesienia serca ku Bogu.—U każdego więc powinno znaleść się najnowsze wydanie Stanisława Żyżkowskiego p. t. Kryształowe Kwiaty. **L. W.**

Nakładem XX. Salezjanów ukazały się następujące książki:

Nowe czytania o Najświętszem Sercu Pana Jezusa. Napisał Ks. Alojzy Dyghera — tłum. Ks. A. Kotarski, Salezjanin.

Nowe to dziełko przyswojone polskiej literaturze ascetycznej będzie przychylnie przyjęte przez ludzi dobrej woli, kochających Boskie Serce Jezusowe, a nawet przez tych, którzy są obojętni albo nieświadomi swego celu. Jestto naprawdę cenna rzecz nadająca się nietylko na nabożeństwa czerwcowe, ale nawet do rozmyślań i nawiedzeń. Jestto książka związana z życiem czynnem i praktycznem, dostosowana do dzisiejszych czasów, gdzie nietylko potrzeba prowadzić życie duchowne takie codzienne bierne, ale bardziej czynne. Zasługuje jeszcze na wyróżnienie to, że jest ściśle i zwięźle napisana pod względem treści i myśli, a ujęta jest cała nauka doskonałości chrześcijańskiej w sposób bardzo subtelny.

Żywot Małgorzaty Bosko, nap. Ks. J. Lemoyne.

Nową perłą w literaturze biograficznej jest świeżo wydany Żywot Świątobliwej Małgorzaty Bosko. Świątobliwa ta niewiasta jest typem matki dwudziestego wieku, która wśród powodzi rozigranych zmysłów i niewiary potrafiła wychować po chrześcijańsku swe dzieci. Dusza ta pełna prostoty i cichego bohaterstwa powinna być świetlanym przykładem dla naszych matek. Jej życiorys powinien trafić do każdej katolickiej, a nawet niekatolickiej rodziny.

Pastuszek Alpejski.

Wiek dwudziesty to wiek „Małych Świętych".

Świętą też jest i dusza „Pastuszka Alpejskiego" którego życiorys skreślił błogosławiony Ks. Jan Bosko. Żywocik Franciszka Besucco winien trafić nietylko do zakładów naukowych, ale i pod strzechy do rąk dziatwy wiejskiej, wśród której być może niejedno rozbudzi powołanie i na ścieżkę świętości wprowadzi. **Kl. F. C.**

Perrin. Pauline Jaricot. 1799—1862 Gigord. Paris. 15 rue Cassette. 368 str. Mamy przed sobą życiorys założycielki Dzieła Rozkrzewienia Wiary, które dziś jest papieskiem i stanowi największą podporę misyj katolickich. Jak wszelkie wielkie sprawy, tak i Dz. RW. wzięło początek z ukrytego działania jednostki. Nie może być początku bez tego kogoś jednego! Grupy, jako takie, nie tworzą, lecz chyba rozbudowują, jeśli trwają w duchu założyciela. Na Paulinę padły dziwne krzyże życiowe. Czytajmy tę biografję, by rozumieć chwilowe własne dzieje. Pan Bóg zsyła krzyże? O, nie! Pan Bóg pozwala na złość ludzką wobec nas, bo nie można przypuścić, by jej chciał. To niemożliwe. Cierpiała więc Paulina od ludzi, którzy zawiedli jej zaufanie i na jej pracy zbudowali własne stanowisko, zacierąjac ślady po fundatorce. Oby Pan Bóg sprawił, że ludzie idei w Polsce znaleźli powierników dla przeprowadzenia zamiarów Bożych z nami! Idea nie może żyć bez realizatorów w większej grupie. Jednostki, istotnie bohaterskie, jak Paulina, niestety nie mogą być regułą dla Akcji Katolickiej, chociaż i to pewna, że potrzeba dziś cnoty ponad zwykłą miarę! skoro zwykła nie zmienia oblicza ziemi!.. **K. B.**

Guilcher. Un Ami des Noirs. Augustin Planque. Lyon. 150 Cours Gambette. Institut Missions Africaines. 12 fr. — 297 p. Z pod pióra znanego historyka swego Afrykańskiego Misyjnego Instytutu w Lugdunie, mieście pracowicie działającem dla misyj wogóle, wyszło dzieło o pierwszym przełożonym generalnym tejże instytucji. Ks. Planque był Belgijczykiem i przyjąwszy do duszy zamiary fundatora Ks. Brisillac, zmarłego prawie nagle na żółtą febrę w Afryce, uratował Zgromadzenie od upadku. Podniósł go silną, pewną, pracowitą dłonią, najcięższe, najprzykrzejsze prace zostawiając zawsze dla siebie, m. in. zbieranie jałmużn na utrzymanie domu, misjonarzy i w ostatnim czasie także na utrzymanie zakładu żeńskiego, które założył pod wezwaniem Królowej Apostołów, Wiemy od Czcig. Autora Biografji, że w zgromadzeniu Żeńskiem

są też Polki. Książki, jak powyższe, czyta się zawsze, jak najlepsze powieści. Mam wrażenie, że nasza literatura ogólna zyskałaby na wartości, gdyby nam dawała więcej życiorysów wybitnych jednostek, bo przez nie przemawia zawsze prawda, której nic nie pokona. **K. B.**

L'Idisto Katolika. Rerno per la linguo hepanta Ido. Miesięcznik Thaon — les — Vosges (Francja), Rocznie 10 fr.

Język międzynarodowy Ido, rywalizujący z Esperantem, a mający być ponoć znacznie od niego łatwiejszym, znalazł wielu sympatyków wśród katolików francuskich, którzy już trzynasty rok wydają miesięcznik „L'Idisto Katolika", będący organem oficjalnym. U. (niono) K. (atolik) I. (dista) (Katolickiej Unji Idystycznej). Aprobaty swej pismu temu udzielili biskupi diecezyj: Luxembourg i Bayeux, błogosławieństwa zaś biskup diecezji Saint-Dié. Miesięcznik przynosi zawsze na wstępie rozdział katechizmu, artykuły dogmatyczne, artykuły o życiu katolickiem, utwory literatury pięknej wierszem oraz prozą, wreszcie artykuliki o samem Ido. Redaktorem „L'Idisto Katolika" jest ks. kan. J. Guignon z Meaux, we Francji. On też jest tłumaczem tragedji „Esther". J. Racin'a na ów język międzynarodowy. Wogóle katolicka literatura idystyczna jest względnie obfita. „Biblioteka Katolik Idista" zawiera dwadzieścia siedem tomików, między innemi prace o Teresie Neumann z Konnersreuth oraz o prześladowaniu katolicyzmu w Meksyku. Płodnym pisarzem idystycznym jest też ks. prof. J. Houillon z Saint-Dié. Wobec takiego postępu Ida we Francji katolickiej dobrzeby było, ażeby zainteresowały się tym językiem także bodaj jednostki z pośród katolików polskich. **J. M. Ch.**

X. Mateusz Jeż. Wiadomość o Dziele Misyjnem Papieskiem św. Piotra Apostoła dla wychowania i wykształcenia duchowieństwa z pośród tubylców w krajach misyjnych pogańskich. Kraków, 1928. Nakładem Dzieła św. Piotra Apostoła. Str. 34.

Czem jest ta broszurka, jaką zawiera w sobie treść, mówi dostatecznie barokowy jej tytuł. Właściwą autorką tej pracy jest zmarła przed dwoma blisko laty Stanisława Muśnicka, gorliwa propagatorka tego dzieła papieskiego. Przez przeoczenie zapewne zecerni na karcie tytułowej przed nazwiskiem rzekomego autora nie dodano słówka: „wydał". Bądź co bądź zmarłej działaczce, osobie niepowszedniej świętobliwości (ponoć zbiera ktoś materjały do jej żywotu), dzieje się krzywda. Po śmierci możnaby już chyba było pisać na jej pracach pełne nazwisko. Artykuł nieboszczki jeszcze za jej życia drukowany był w „Kalendarzu „Róż św. Teresy" od Dzieciątka-Jezus na rok Pański 1928, poświęconym czci św. Teresy od Dzieciątka-Jezus", wydanym w Krakowie w 1927 r. pod redakcją ks. Mateusza Jeża. Stamtąd został przedrukowany dosłownie po drobnej zmianie w jednej tabelce statystycznej. Podpis autorki: „S. M." w kalendarzu w broszurze przekształcił się na „M. S.". Zawiniła tu snać korekta, która na przyszłość powinna być lepsza.

Jako drobiazg propagandowy, książeczka posiada swą wartość, dzięki czemu polecić ją należy przyjaciołom misyj. **J. M. Ch.**

Kalendarz św. Piotra Klawera.

Wszystkim Przyjaciołom Misyj polecamy gorąco wyszły z druku Kalendarz św. Piotra Klawera i Kalendarzyk Misyjny dla dzieci i młodzieży na rok 1930—w cenie: 1 zł. za kalendarz, 20 groszy za kalendarzyk.

Kalendarz ten, bogato ilustrowany, zawiera wiele ciekawych wiadomości i opowiadań z afrykańskich Misyj, wyjętych w większej części z listów Misjonarzy i Sióstr Misyjnych, pracujących w Afryce nad zbawieniem murzynów. Piękny obraz św. Augustyna, Doktora Kościoła, stanowi—z okazji 1500 letniego jubileuszu tego wielkiego afrykańskiego świętego — dodatek do kalendarza.

Pośpieszmy go nabyć we Filjach Sodalicji Klawerjańskiej: Warszawa, ul. Warecka 10 m. 5. — Kraków, ul. św. Marka 25. -- Poznań, ul. R. Szymańskiego 6. — Wilno, ul. Zamkowa 19.

„Przyjaciel Młodzieży" № 10 — październikowy zajmuje się następującemi zagadnieniami:

Przygotowania na „Święto Młodzieży", projekt konkursów przysposobienia rolniczego w 1930 r., kursy rolnicze im. Stanisława Staszica oraz szereg wiadomości technicznych z dziedziny uprawy kukurydzy, lustracje konkursów itd. W artykule p. t.: „Cudze jabłka" omawiane jest poszanowanie cudzej własności dojrzewającej w naszych sadach w jesiennych miesiącach. W dziale wychowania fizycznego otrzymają czytelnicy wiadomości z zawodów międzyzwiązkowych Poznań — Śląsk oraz bieżącą kronikę sportową. Szereg artykułów poświęconych jest kwestjom wychowawczym, religijnym i misyjnym. Kilka wierszy nadesłanych przez czytelników oraz obszerny dział informacyj organizacyjnych zamieszczonych w dziale p. t.: „Kącik dla naszych druhów". Numer ozdobiony licznemi kliszami z życia Stowarzyszeń oraz aktualności

Przedpłata kwartalna „Przyjaciela Młodzieży" wynosi 60 gr. Zamówienia przyjmuje Sp. Akc. „OSTOJA", Poznań, — Pocztowa 15. P. K. O. 202,768.

„Młoda Polka" nr. 8. Miesięcznik dla żeńskich Stowarzyszeń w artykule wstępnym nawiązując do „Cudu nad Wisłą" omawia „Ideał miłości ojczyzny" i podaje wspomnienie o bohaterskiej śmierci ks. Skorupki. W „Legendzie" i „Najobfitszem źródle" poruszono tematy religijne. Wśród spraw aktualnych prym dzierżą wrażenia z P.W.K., szczególnie opisy Pawilonu Ziemianek i Włościanek i Hut Szkła, bogato ilustrowane. Życie, praca, ruch w Stowarzyszeniach zajęły dużo miejsca. Również „Piękno ziemi ojczystej" zobrazowane szeregiem pięknych rycin, znalazło pomieszczenie. W dziale rozrywek „Korowód: Lato, lato" zaopatrzony w nuty i nowoczesne objaśnienia, nadaje się do produkcji na wycieczkach. Z zajęć praktycznych omówiono zdobnictwo mieszkań i uprawę kukurydzy oraz groźne choroby wyniszczające tę roślinę.

Przedpłata kwartalna „Młodej Polki" wynosi zaledwie 60 gr. Zamówienia przyjmuje Sp. Akc. „Ostoja", Poznań ul. Pocztowa 15. P.K O. 202.768.

PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo...

Dla dobra sprawy

Katolicyzm w Polsce przeżywa obecnie chwilę osobliwą, której należy poświęcić wiele bacznej uwagi. Z pewnych faktów musimy już zawczasu wyciągnąć wnioski.

Stosunek obecnego regimu do religji i Kościoła jest w wysokim stopniu niezadawalniający. Wprawdzie wśród czynników najbardziej wpływowych i obecnie miarodajnych nie widać wyraźnych i zdecydowanych tendencyj do zaprowadzenia systemu walki Państwa z Kościołem, czynniki te jednak równocześnie nie wykazują żadnej woli i energ,i w kierunku wykonania Konkordatu i pokrzyżowania antyreligijnych planów sekty masońskiej, występującej coraz agresywniej i uzyskującej coraz większe wpływy na bieg spraw państwowych w zakresie stosunku Kościoła do Państwa. Dowodem tego jest chociażby polityka ministerstwa wyznań i oświaty i cały szereg faktów, rzucających snop światła na ustosunkowanie poszczególnych urzędów do Kościoła i hierarchji, faktów, o których pisaliśmy w numerze poprzednim.

Taki stan rzeczy, jaki jest obecnie, już zmuszałby konsekwentnych katolików do podjęcia odpowiednich środków za-

radczych w celu zabezpieczenia praw swojej religji. Tymczasem okazuje się na podstawie szeregu objawów, że ewolucja stosunków idzie raczej ku gorszemu, że może nastąpić moment, w którym polityka obecnego systemu rządzącego w stosunku do religji i Kościoła będzie się wydawała arcykatolicką w porównaniu z tem, co może nastąpić.

Obecny regime nie jest wieczny. Błędy, które popełnił w rozmaitych dziedzinach polityki państwowej oraz powszechny nastrój walki wszystkich przeciwko wszystkim i ogromnej niepewności stosunków politycznych, który wywołał swemi zupełnie niechrześcijańskimi metodami działalności, zmobilizowały przeciwko niemu znaczną część społeczeństwa. I nie ulega wątpliwości, że prędzej, czy później załamie się on i ustąpi miejsca innemu systemowi. Pytanie, jaki to będzie system, nie jest, zaiste, obojętne dla nas, katolików.

Musimy pamiętać że istnieje już obóz, który szykuje się do objęcia spadku po sanacji. Jest to obóz socjalistów i radykalnych stronnictw ludowych, posiadających zdeklarowany i wyraźny program w dziedzinie religji, któremu na imię: śluby cywilne, zdechrystjanizowanie szkolnictwa i zerwanie konkordatu. Wiele przemawia za tem, że obóz ten przy dalszym zradykalizowaniu społeczeństwa w tej lub innej formie i zakresie może dojść z czasem do wpływów na organy państwowe i podjąć energiczną próbę zrealizowania swego programu.

Lewica radykalna działa planowo i systematycznie. Plan jej polega na stałym zniechęcaniu mas pracujących do religji i Kościoła przy wykorzystywaniu wszelkich podatnych sposobności. Cel tego planu jest jasny. Chodzi o poderwanie silnych jeszcze dotychczas tradycji religijnych wśród ludu, aby potem w chwili sposobnej i odpowiedniej można było bez większych trudności i wstrząsów zmienić prawa kardynalne Rzeczypospolitej w kierunku antykatolickim. W tej dziedzinie zrobiła lewica i współpracująca z nią masonerja duże postępy.

Skutecznie przeciwstawić się tej działalności może tylko zorganizowana akcja inteligencji katolickiej w kierunku organizowania i uświadamiania i to nietylko na polu kulturalno-oświatowym, ale i na tym terenie, na którym walka jest prowadzona—t. j. na terenie politycznym.

W poprzednim numerze pisaliśmy o postępach inteligencji katolickiej, nadmieniając, iż przyczynił się do tego w dużym stopniu Ruch Odrodzeniowy, który swoją dziesięcioletnią pracą podważył dotychczasowy marazm i obojętność religijną i wykształcił zastępy uświadomionych katolików. Musimy jednak pamiętać, że postępy te są naszym udziałem prawie jedynie i wyłącznie w dziedzinie czysto religijnej i kulturalno-oświatowej. Cała zaś olbrzymia dziedzina życia gospodarczo-politycznego jest przez katolików prawie że nietknięta i stała się w dużym stopniu domeną wpływów radykalno-lewicowych.

Cała struktura życia gospodarczo-politycznego w dzisiejszym ustroju demokratycznym opiera się na organizowaniu mas przez grupy inteligencji. Inteligencja staje na czele mas ludowych i przy jej pomocy realizuje swoje ideały w życiu państwowym. Dotychczas zrozumiały tę metodę i ją wykorzystały żywioły radykalno-masońskie. Ten stan rzeczy grozi ciężkiemi konsekwencjami dla katolicyzmu.

Musimy więc zerwać z indyfedentyzmem politycznym polskiej inteligencji katolickiej, musimy znaleźć właściwe metody i sposoby, któreby ją obudziły z dotychczasowego uśpienia, wzbudziły w niej zainteresowanie dla zagadnień życia gospodarczo-politycznego i wlały w jej osłabione serca wielkie i szlachetne ambicje — pójścia na czele prawdziwego postępu swojego kraju i władania życiem w celu odnowienia wszystkiego w Chrystusie.

Czy jednym z takich sposobów nie byłoby wytworzenie w Polsce partji katolickiej? Idea ta kiełkuje już oddawna w umysłach wielu Polaków, dotychczas jednak z wielu względów nie mogła się doczekać zrealizowania. Podstawy do wytworzenia stronnictwa katolickiego w Polsce znalazłyby się niewątpliwie. Idea taka wzbudziłaby oddźwięk we wszystkich warstwach narodu, a przedewszystkiem zmobilizowałaby siły katolickie w całym kraju i skłoniłaby tych katolików, którzy w dotychczasowych stronnictwach nie dostrzegają — słusznie, czy niesłusznie—pełni podstaw i metod katolickich—do współudziału i współpracy na szerszych podstawach, a w całe społeczeństwo katolickie wlała ożywczy prąd energji i siły. Rzecz jasna, iż inicjatywa tego rodzaju mogłaby wyjść tylko od czynników bezstronnych i kompetentnych, które wiedziały do kogo

zaapelować i gdzie się zwrócić, a nie popełniłyby błędu jednostronnego forytowania ludzi, lub grup, nic, albo bardżo mało mających z katolicyzmem wspólnego. Pierwszym warunkiem powodzenia takiej akcji jest dbałość o czystość idei katolickiej!

Zachodzi pytanie, czy obecny moment nadaje się do takiej inicjatywy. Pod tym względem mogą być zdania najrozmaitsze. Musimy jednak pamiętać, że czasu dużo niema. Wróg nie śpi i szykuje się do walnej rozprawy z katolicyzmem.... Lepiej podjąć inicjatywę w momencie względnego jeszcze spokoju, aniżeli szykować zastępy do walki w ogniu huraganowym nieprzyjaciela... *St. K-ski.*

Dobry Bóg przy umierających.

Straszną nam się wydaje zawsze nieunikniona dla nikogo chwila śmierci. Dla człowieka przywiązanego całem sercem do doczesnych błysków życia, upajającego się choć chwilowo jego „chaszyszem", odurzającym na krótki zresztą przeciąg czasu, okropną jest myśl sama porzucenia kiedyś tego wszystkiego i przejścia za próg „wielkiej niewiadomej", jaką jest wieczność.

Nawet u ludzi bardzo uduchownionych taka myśl wywołuje niepokój i trwogę, tak bowiem bardzo instyktem swoim przywiązany jest człowiek do życia.

To też—nawiasem mówiąc—każdy samobójca, poza tem, że brak mu aktualnej wiary, jest przedewszystkiem człowiekiem chorym umysłowo, anormalnym, w którym instynkt samozachowawczy działa w odwrotnym kierunku, uciekając od życia, gdy tymczasem całą swą mocą winien się tego życia trzymać i nikomu, nawet gwałtem, nie pozwolić wyrwać go sobie.

Poza tą bojaźnią instynktowną przed śmiercią, zupełnie są bezpodstawne wszelkie na tym punkcie obawy dla tego, kto zna dobrego Boga i ma świadomość swej dobrej woli, choćby, obciążonej tysiącznemi ułomnościami ludzkiemi.

Chwila śmierci—to jakby przejście z ciemnej i dusznej lepianki na jasny, boży świat, zalany potokiem słonecznych blasków, rzucnie się w rozwarte ramiona najlepszego, najradośniejszego Boga.

Odpoczynek i wieczna, niezamącona niczem radość, w atmosferze nienaruszonej pogody i pewności przewyższającej nieskończenie świat choćby najbardziej fantastycznych bajek dziecięcych o dobrych wróżkach i królowej śniegu.

Prawda, że „na którą stronę drzewo upadnie, tam też pozostaje na wieki"—jak mówi Ekklezjastes (11:3). Wiara nas uczy, że oprócz jasnego nieba jest jeszcze wieczne piekło i czyściec, choć czasowy, ale jednak straszny.

Na osłabienie niezawsze uzasadnionej trwogi przed tragiczną wiecznością nie potrzeba uciekać się aż do teorji o reinkanacji, o tym czyśćcu może jeszcze w rezultacie straszniejszym, niż ten czyściec boży. Poco trwożyć się i obawiać tego, co jest tylko wyjątkiem w ekonomji bożej, ostatecznością sprawiedliwości bożej, gdy już miłosierdzie i wszechpotężna łaska boża nie mogą przemódz złej i przewrotnej woli wolnej człowieka, zakamieniałego do ostatka w swej nienawiści do Boga!

Zasadą i celem nieustannego działania bożej Opatrzności nad nami jest zbawienie każdego z nas i nie opuści Bóg, bądźmy tego pewni, najmniejszego środka, by ten cel zrealizować. Reszta zależy od naszej dobrej woli. A w momencie śmierci, w obliczu sądu bożego, już tylko prawdziwy szatan w ludzkiem ciele na nią się nie zdobędzie przez głuchą nienawiść do Najwyższej Miłości. (Por. Pro Christo, Sierpień, 1928, art. „Trwoga przed Bogiem", wyjaśnienie tekstu: „Wielu wezwanych, a mało wybranych".)

Mimo wszystko, jednak; choćbyśmy uspokoili się co do własnego wiecznego losu, pozostaje nam niepokój dręczący o los tych, których kochamy, a którzy może nie żyją tak, by iść prosto do nieba i może umierają, lub umarli już bez żadnego znaku ostatecznego pojednania się z Bogiem.

Pocieszmy się jednak. Bóg więcej kocha te dusze, niż my to możemy naszem ciasnem i słabem sercem. Nie bójmy się! Ten przemądry i najlepszy Łowca dusz złowi i tę zmęczoną błądzeniem owieczką w swe dobroczynne sieci i da jej miejsce na swem ramieniu, by ją przenieść, jako Dobry Pasterz, w bezpieczne miejsce, do swej owczarni słonecznej.

Możemy przyjąć jako pewnik, że jeżeli dobry Bóg jest zawsze najlepszym dla nas Ojcem przez całe nasze życie, to tym Ojcem okazuje się przedewszystkiem w ostatnim dla nas

momencie na ziemi i to nietylko względem tych, którzy umierają jako sprawiedliwi i święci, ale i przedewszystkiem dla tych, którzy nawet w tej tragicznej chwili o Nim zapominają i pozostają w swem szaleństwie grzechu do ostatka.

Sprawiedliwym udziela w obfitości łaski ostatecznego wytrwania, umacnia ich w ostatnich walkach doczesnych, pociesza i uspokaja ich obawy i trwogi, daje moc rezygnacji świętej na myśl o opuszczeniu wszystkiego i wszystkich, co dla nich dotychczas było najdroższem na ziemi i wlewa w ich dusze uczucie słodkiego pokoju, ufności bezbrzeżnej i cichej radości, która jest już początkiem nieba.

Widzimy nieraz ze zdumieniem, jak pod wpływem tej łaski ostatecznej, dusze, które żyły w nieustannej trwodze przed surowością sprawiedliwości bożej, które nie mogły poprzednio nawet pomyśleć o śmierci bez instynktownego wprost i nieprzezwyciężalnego przerażenia, teraz na progu wieczności odzyskują, a raczej znajdują dopiero pokój, pogodę, oddanie się dziecięce, a nawet radość, która była dla nich wprost niemożliwą do pojęcia. Nigdy one nie śmiały nawet marzyć przedtem, że można tak radośnie i łatwo zasypiać na ręku najlepszego Ojca. To wszystko sprawia ostateczna łaska dobrej śmierci.

Nie niepokójmy się więc naprzód, co z nami się stanie, gdy będziemy już na łożu śmiertelnem. Tutaj możemy w całej pełni zastosować radę kochającego nas Mistrza i Przyjaciela: „Nie troszczcie się o dzień jutrzejszy, albowiem jutro samo o sobie troszczyć się będzie. Dosyć ci ma każdy dzień swego własnego utrapienie (Mat. 6 : 34). Uświęcajmy według naszej możności to, co jest dzisiaj, a przyszłość całą zdajmy z całą dziecięcą ufnością w ręce Boga Przyjaciela.

Każda obawa o naszą ostatnią chwilę jest conajmiej zbyteczną, jeżeli nie szkodliwą. Owocem jej może być tylko utrata spokoju i równowagi wewnętrznej. Racja tego jest bardzo prosta. Dzisiaj bowiem nie mamy jeszcze tej łaski ostatecznej dobrej śmierci, wytrwania do końca, pokoju i rezygnacji, którą będziemy mieli, gdy się zbliży naprawdę moment naszego przyjścia do Boga. Nie możemy, więc, nie jesteśmy w stanie teraz widzieć ani czuć tak, jak widzieć, myśleć i czuć będziemy wtedy. A łaskę tę mieć będziemy napewno, nie wolno

nam ani na jedną chwilę w to wątpić rozumnie, Nasz Ojciec niebieski nie odmawia jej nigdy nikomu, nie odmówi więc jej i nam. On sam stanie przy łożu naszem, by szczególnie wtedy okazać swoją dobroć i miłosierdzie, by nas podtrzymać, obronić, pocieszyć, rozwiać wszystkie nasze wątpliwości i obawy i dowieść, jak one są bezpodstawnemi same w sobie i wprost krzywdzącemi jego miłość. Doświadczymy wtedy sami, jak łatwo jest z całego serca powiedzieć: „Ojcze, w ręce twoje oddaję ducha mojego!" (Łuk. 23 : 46). Jakkolwiek będzie, możemy być pewni, że w tym momencie, decydującym o naszej wieczności, więcej niż kiedykolwiek indziej, Bóg najobficiej odpowie swoją łaską na wszystkie potrzeby nasze i że sprawdzi się na nas słodkie zapewnienie Pawłowe: „Wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić was nad to, co możecie, ale z pokuszeniem uczyni też wyjście, abyście znosić mogli". (I Kor. 10 : 13), abyście z tej walki wyszli zwycięzcami, z koroną chwały na skroniach waszych.

Ktokolwiek ma choć cień miłości Boga w sercu, choć pragnienie słabe tej miłości, nawet, gdy jego życie poprzednie nie było wolne od wielu kroków fałszywych i nędzy moralnej, dla tego śmierć nie może nigdy być czemś okropnem: ona jest tylko początkiem lepszego i szczęśliwszego żywota. Idziemy do Ojca nieskończenie miłosiernego, który „jest współczujący i dobry, leniwy ku gniewowi i bogaty w łagodności, łaskawy dla grzesznika", do Ojca wreszcie, który stokrotnie i tysiąckrotnie wynagradza nam za wszystko najmniejsze nawet, cośmy kiedykolwiek w życiu dla Niego uczynili.

* * *

Jeżeli dobry Bóg jest tak niewypowiedzianie dobrym dla umierającego sprawiedliwego, to jeszcze bardziej dobrym i miłosiernym jest dla grzesznika, który niezadługo stanie przed Jego obliczem. W tym człowieku, który umiera i przed którym już otwierają się czeluście piekła, Bóg widzi własnego syna w obliczu najstraszliwszej katastrofy... Cóżbyśmy zrobili na Jego miejscu.? — Syn nasz ginie — grozi mu nieszczęście, na świadomość którego krew ścina się w żyłach. — Choćby ten syn był naszem marnotrawnem dzieckiem, czyż nie obudzi się w nas przynajmniej instynkt rodzicielski, by nawet własnem życiem bronić jego bezpieczeństwa...?

I Bóg uprzytamnia sobie, że On stworzył tego nieszczęśliwego, że jest jego Ojcem. Pomimo błędów jego, On go kochał i kocha zawsze i uczyni wszystko, by go zbawić.

Niebezpieczeństwo potępienia rozbudza niejako w Bogu wszystkie ojcowskie uczucia, bo inaczej tego nazwać nie umiemy. Podwaja więc swe nalegania, puka mocniej niż przez całe poprzednie życie do drzwi tego serca niedbałego, czy nawet zatwardziałego, wstrząsa niem, dobija się gwałtownie, pomnaża ataki swego miłosierdzia, wypełnia tę duszę łaską skruchy i nawrócenia, czyni wszystko, by to nieszczęsne dziecko, które za chwilę ma wpaść w ręce Jego sprawiedliwości, wykorzystało jeszcze tych kilka ostatnich chwil, by wejść w siebie i ujść potępienia.

Do ostatniej chwili oświadcza mu dobry Bóg gotowość swego przebaczenia, nalega, by je przyjął. On sam, można powiedzieć prosi go o to i do tego zmusza Nie opuszcza go nawet wtedy, gdy nieszczęsny zapamiętuje się i uparcie odrzuca te wszystkie oznaki łaski i miłosierdzia. Nie ustaje ze swą ojcowską natarczywością aż do chwili, gdy wreszcie rozkruszy opokę twardego serca, albo, gdy prawo natury, działające nieubłaganie, otworzy naoścież bramy wieczności.

„Trzciny nadłamanej nie zegniecie, ani lnu kurzącego się nie zagasi" (Izaj. 42:3),... nie chce śmierci grzesznika, ale, by się nawrócił i żył" (Ezechj. 33:11).

„Kiedy człowiek umiera — mówi Biskup Bougaud (Le Christianisme et les temps présents, t. I. str. 155) — ten człowiek, którego On stworzył, którego tak opatrywał hojnie swoją miłością w ciągu całego życia, którego napróżno dotąd usiłował doprowadzić do siebie, Bóg wydaje ostatnią walkę, walkę miłości, najtragiczniejszą i najbardziej wzruszającą walkę matki, której chcą z objęć wyrwać ukochane dziecię i dochodzi do ekstazy przywiązania i poświęcenia. Zstępuje więc z nieba ten Bóg Dobroci, nachyla się z czułością i niepokojem nad łożem, na którem kona jeden z jego synów. W tym ostatnim ataku do serca umierającego używa z podwójną mocą wszystkich dotychczasowych środków: łaski, nalegania, czułości....

Zapytacie się mnie: co o tem możesz wiedzieć, ty człowieku, taki, jak i my? gdzie wyczytałeś historję tej walki? A ja wam odpowiem: „w sercu waszem ją wyczytałem". Czy

nie jesteś ojcem? Czy nie jesteś matką? Czyżbyście sami nie zrobili tego dla własnego, nieszczęsnego dziecka? Cóż więc? Czyż serce Boga nie jest lepszem i czulszem od waszego? Czyżby Bóg dał się wam prześcignąć w zaszczycie poświęcenia wszystkiego dla swoich dzieci? — To niemożliwe.

„Czyż matka odrzuciłaby kiedykolwiek własne dziecko, choćby ono było bardzo dla niej niewdzięczne? Czyżby nie usiłowała wszelkiemi środkami doprowadzić go do siebie? Czyżby sama nie była pierwszą i ostatnią w tej walce o serce dziecka? Czyżby nie doszła wprost do szaleństwa miłości aż do końca, by je zbawić, nawet wbrew jego woli?... A Bóg jest więcej, niż matką dla nas"!...

Niema takiego ojca, ani matki tembardziej, którzy widząc, jak ich niedobry, niegodny syn leci w przepaść, nie zapomnieliby o wszystkich jego zbrodniach i nie otworzyliby swych ramion, by go uchronić od śmierci. Pamiętaliby wtedy tylko o jednem; że on jest ich synem i jedną mieliby tylko myśl: by go uratować.

Bóg nas kocha, każde ze swoich dzieci kocha więcej, niż najczulszy ojciec, lub matka na ziemi; jego oddanie się nam przewyższa nieskończenie najofiarniejsze przywiązanie rodziców ziemskich. Tyle i tak nieomylnych dowodów swej miłości i przywiązania dał nam na każdym kroku, że nie możemy wątpić, iż każda ludzka miłość może być tylko cieniem jego miłości boskiej. Więc myśl nawet sama, że dobry Bóg dla każdego ze swych dzieci, nawet najmniej godnych tego imienia, nie zrobiłby więcej dla wyrwania go od śmierci wiecznej, niżby to zrobił ojciec lub matka, nietylko tego Najlepszego Boga krzywdzi, ale jest wprost dla Niego obelgą i bluźnierstwem.

On nie zgwałci naszej wolnej woli, ale uczyni wszystko, co możliwem jest, by tę wolę uszanować, ale ją ku Niemu zwrócić.

Upoważnia nas do takiej pewności niewypowiedziana czułość i tkliwość Boga i najwyższe, niepohamowane niczem pragnienie zbawienia nas wszystkich To pragnienie boskie nie jest zwykłem pragnieniem, ale jakby jedynem zajęciem i potrzebą konieczną. Czegóż — bo nie spełnił, by je uczynić możliwem, a nawet łatwem? „On chce — mówi Ś-ty Paweł

(I Tym. 11:4) — by *każdy* człowiek był zbawiony i doszedł do poznania prawdy".

On tego chce. Nie jest to tylko Jego zachcianką, ani chceniem jedynie teoretycznem i spekulatywnem, ale chceniem realnem, owocnem i pociągającem za sobą czyn.

Dla każdego z nas przygotował i każdemu daje nadobfite, tysiączne sposoby zbawienia, siejąc je na wszystkie strony pełną garścią z prawdziwą rozrzutnością ojcowską.

Na każdym kroku naszej drogi życiowej, od początku wejścia na nią, aż do ostatniego tchnienia, ułatwia nam możność pojednania się z Nim zawsze, uzyskania przebaczenia naszych win, zachowania i umocnienia w nas Jego łaski, pomnożenia zasług i przeciwstawiania się pokusom.

Wszędzie woła i wszędzie nas wspomaga, a szczególnie w godzinę śmierci.

Możemy w to wierzyć, możemy być tego pewni, że umierającemu grzesznikowi Bóg zawsze daje jeden choćby moment przytomności, by mógł na tę chwilę wejść w siebie i zwrócić się do Niego z prośbą o przebaczenie. W tej ostatniej chwili, — jak to utrzymuje wielu teologów — Bóg jeszcze raz wzywa grzesznika umierającego do wyboru między Nim i grzechem, Jego miłością i przywiązaniem do rzeczy ziemskich, które już wtedy żadnej dlań nie mają wartości, między wiecznem niebem i piekłem...

Potępionym może więc być tylko ten, który pozostaje mimo to zatwardziałym dobrowolnie do końca i odwraca się z nienawiścią od Ojca, który go wzywa, przebacza i chce zbawić.

Kto się na to zdobędzie w tej tragicznej chwili?

„Miłosierdzie i współczucie Boga dla umierających— mówi O. de Condren — przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie. Zdaje się, jakoby im udzielał tyle swej łaski, że jest rzeczą niemożliwą, by ją odrzucili".

* * *

Ten ostatni wysiłek łaski bożej, impet ataku nieskończonej miłości i niewyczerpanego nigdy miłosierdzia boskiego pozwala nam wierzyć, że w godzinę śmierci wielu, nawet bardzo wielu dotychczas nawet zatwardziałych grzeszników otwiera oczy, zwraca się do Boga i zbawi swoją duszę.

Możemy się tutaj oprzeć zupełnie poważnie na nauce teologicznej, która mówi nietylko o tem, że Bóg każdemu człowiekowi bez wyjątku do końca jego życia daje wystarczającą łaskę do nawrócenia, ale i o tem, że aby otworzyły się szeroko ramiona boskie na przyjęcie nawróconego grzesznika, wystarczy z jego strony jeden jedyny akt żalu, prawdziwej skruchy, jeden krzyk duszy, jeden akt miłości i wybuch serca, na który prawie że nie potrzeba czasu, bo stać się może w jednym momencie i choćby on był ostatnim już w życiu.

Potwierdzenie tego znajdujemy w najwyższej wyroczni Prawdy nieomylnej , jaką jest Ewangelja, a w niej opis nanawrócenia i zbawienia duszy dobrego łotra na Górze Kalwarji. Był łotrem, grzesznikiem, za morderstwa skazanym na śmierć przez sądy ludzkie. Do ostatniej chwili trwał w swym grzechu i dopiero w obliczu śmierci zanosi krótką bardzo napozór ludzką prośbę do Boga miłości: „Panie, pamiętaj na mnie, gdy będziesz w królestwie swojem“. A. Zbawiciel, na świadectwo wszystkich wieków poprzednich i następnych, aż do stworzenia świata, na uspokojenie wszystkich ludzkich obaw i niepokojów, uroczyście ogłasza światu całemu wyrok miłosierdzia bożego: „Zaprawdę powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju!!!“ Całe życie zbrodniarza wyrównane zostało w jednej chwili i dusza jego przejaśniona łaską i blaskiem radości wiecznej za jeden akt prośby o przebaczenie, jedno zwrócenie serca ku Nieskończonemu Miłosierdziu...! Fakt tak wyraźny i niewątpliwy, że nie potrzebuje żadnych komentarzy... bo dobry jest Pan Bóg prawdziwie!

Przy łożu umierającego staje najlepsza z matek, której Syn powierzył w swym testamencie na krzyżu każdą duszę ludzką; staje Anioł Stróż, którego zadaniem jest doprowadzić człowieka do jasnej wieczności... a on tak zna duszę swojego pielgrzyma po ziemskim gościńcu; otaczają go wszystkie modlitwy, za nim do Boga wzniesione. Wszystkie łzy wylane, wszystkie ofiary złożone z całem zaparciem i wiarą przez matkę, siostrę, osobę kochającą serdecznie... To wszystko idzie na szalę i tak już przeważającego miłosierdzia boskiego.

Jakiż genjusz dramatyczny może wypowiedzieć ludzkiemi słowami to, co się w tym ostatnim momencie dzieje między Bogiem skrzywdzonym, ale pełnym miłosierdzia, a duszą pełną

win nieodpokutowanych, mającą za chwilę stanąć oko w oko z tym Najsprawiedliwszym... ale zarazem najlepszym, najbardziej kochającym...?!

Biedna dusza... która była raczej niedbałą, nieświadomą dobra niż złą... teraz, w świetle promieni, płynących już na nią z za progu wieczności i pod wpływem nieustannego działania łaski... wzrusza się cała... i wybucha jednym okrzykiem pełnym może panicznej trwogi, skruchy, miłości i wiary... okrzykiem zbawienia, które już na nią spłynęło z błogosławiącej nowego mieszkańca nieba prawicy bożej.

Miłosierdzia, które — mówiła św. Katarzyna z Sienny — idzie w świat za grzesznikiem, ciągle, nieodwołalnie, aż do momentu, gdy, zawieszony między życiem i śmiercią, już zdaje się nie należeć do tego świata. A wtedy, w sposób tajemniczy, którego niepodobna jest opisać, zjawia się przed nim jego Stwórca i Odkupiciel i pyta go poraz ostatni z całym boskim, nieskończonym czarem i mocą miłości: „Czy chcesz być ze mną...?!“ Któżby w takich okolicznościach odpowiedział: „Nie!“ Prawda, że będzie on musiał jeszcze przejść więzienie czyścowe na wyrównanie jego spóźnionego powrotu, ale zbawionym już jest na wieki... (Monsabré Conferences de N.-D. de Paris, Carême, 1889).

Liczne i może nawet przeważnie są nawrócenia w ostatniej chwili i do nich stosują się przedewszystkiem słowa Zbawiciela: „Będzie więcej radości w niebie z jednego grzesznika, czyniącego pokutę, niż z dziewiędziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty“. Radość będzie tem większa, im opór grzesznika był silniejszy i groźniejsze niebezpieczeństwo śmierci wiecznej.

W wielu bardzo wielu wypadkach ten najwyższy akt skruchy, przebaczenia, usprawiedliwienia i zbawienia odbywa się tylko między duszą i Bogiem bez żadnego zakazu zewnętrznego. Gdy już ciało sparaliżowane i unieruchomione nie może się zdobyć nawet na jedno drgnięcie mięśni, porażonych śmiertelnym ciosem, dusza, jeszcze trzepocząca się w swej ziemskiej powłoce, skupia całą swoją świadomość podniesioną do niesłychanej potęgi spojrzeniem w otwartą już wieczność i... staje się cud... już niedostrzegalny dla żadnego oka...

Nie trwóżmy się więc... nie rozpaczajmy po stracie napozór nieodwołalnej tych, których kochaliśmy z całej duszy i których odejście bez Boga takim nas napełniło bólem i niepewnością...! Zobaczymy ich wkrótce tam, u stóp dobrego Boga, gdzie nam opowiedzą o tym ostatnim cudzie„ którego tajemnicę zabrały ze sobą na wieczność całą.

Tak wierzył i nauczał św. Franciszek Salezy, teolog miłości bożej. Przyjaciel jego, biskup Belley, tak o nim mówi: „Nie pozwalał nigdy rozpaczać o zbawieniu grzesznika, aż do jego ostatniego tchnienia, twierdząc, że życie nasze jest drogą. na której ci co stoją, mogą upaść, a upadli z pomocą łaski bożej, mogą zawsze powstać na swój czas. Szedł jeszcze dalej, bo nie pozwolił nigdy przesądzać losu nienawróconych nawet grzeszników po ich śmierci, bo tylko, jak mówił, Objawienie boże mogłoby nas upewnić o ich postępowaniu. Poza wyraźnym wyrokiem Objawienia nie chciał, byśmy wchodzili w tajemnice boże, zastrzeżone Jego mądrości i wszechmocy. Jego argumentem było to, że jest pewna łaska, dana każdemu człowiekowi, bez żadnej zasługi ze strony naszej, tak również bez naszej zasługi dana nam jest ostatnia łaska wytrwania do końca i zbawienia: „Bo któż poznał umysł Pański? albo kto był doradcą jego? (Rzym. 11:34).

Z tego powodu polecał zawsze, byśmy nawet po zgonie najbardziej niepoprawnego do końca grzesznika, mieli zawsze pełną nadzieję o jego zbawieniu, albowiem my sami możemy mieć tylko najwyżej nasz sąd prawdopodobny, oparty na znakach zewnętrznych, które mogą omylić najbardziej biegłych psychologów".

Święty biskup często powtarzał słowa Ś-go Augustyna który był niegdyś grzesznikiem, a którego łaska miłosierdzia bożego uczyniła filarem Kościoła: „Bóg umie przebaczyć więcej, niż ludzie mogliby kiedykolwiek zgrzeszyć".

Tak więc, jak z jednej strony nieroztropną i niebezpieczną byłoby rzeczą odkładanie do ostatniej chwili spraw naszego sumienia i przygotowania się do wieczności, tak też z drugiej nieuzasadnionem byłoby również stawianie granic miłosierdziu i wszechmocy bożej i uznawanie za potępionych bezpowrotnie tych wszystkich, którzy żyli zdala od Boga i obo-

wiązków religijnych i umarli bez znaków swego nawrócenia.

Nie naruszając żadnej z zasad teologicznych, możemy mieć nadzieję, że w ich ostatniej godzinie Ojciec Niebieski był dla nich prawdziwym Ojcem Miłosierdzia i że wśród ciemności śmierci doświadczyli na sobie, jak pełnym niezaprzeczonej prawdy jest radosny wykrzyknik Psalmisty: „Łaskawy i łagodny jest Pan, cierpliwy i pełen miłosierdzia. Słodkim jest Pan dla wszystkich i miłosierdzie jego nad wszystkie jego dzieła“. (Ps. 144: 8,9).

Ks. A. Bogdański.

Rola i znaczenie indywidualności w religji chrześcijańskiej.

Człowiek nowoczesny, czując się wreszcie wolnym, nadzwyczajnie jest wrażliwy na wszelkie próby, podrywające jego swobodę osobistą. Zdrowy ten odruch jednostki jak i społeczeństw niejednokrotnie jednak przekracza granice mu należne i stąd przeżywamy dziś czasy skrajnego subjektywizmu i indywidualizmu. Ewangelja osobistości nadzwyczajnej, ewangelja nietzsche'ańskiego „nadczłowieka“ ciągle jeszcze pokutuje w umysłach i sercach. Ciągle jeszcze podchwytuje się echo słów twórcy „Zaratustry”, że chrystjanizm jest religją słabych i biednych ludzi, a nie szkołą wielkich i potężnych charakterów.

Jakże wobec zarzutu, iż nie wykształca indywidualności wielkiej i silnej ostoi się nauka religji chrześcijańskiej? Czy rzeczywiście miałaby dążyć do zniszczenia osobowości jednostkowej? Oto zasadnicze pytanie, na które tu odpowiemy. Wykażemy równocześnie błędne pojęcia kierunków nowoczesnych, oraz przedstawimy wobec kruchych ich podstaw jasne a niedwuznaczne stanowisko etyki Chrystusowej w stosunku do omawianego problemu. [1])

---

[1]) W wywodach naszych oprzemy się przedewszystkiem na dziełach Ks. dr. Sawickiego:

a) „Wert und Würde der Persönlichkeit im Christentum”, Kolonja 1906.
b) „Das Ideal der Persönlichkiet”, Paderbon 1925.

Powtarzamy zdanie, iż żyjemy w czasach skrajnego indywidualizmu. Indywidualizm ten zawsze był groźnym wrogiem wychowania, dziś jednakże w wieku narzekania na brak charakterów jest wrogiem większym, niż był, bo sam jest większy. Zanim więc przejdziemy do właściwego tematu, omówimy krótko genezę i objawy nowoczesnego indywidualizmu.[2])

Budowanie indywidualności na podłożu chrześcijańskiem, a więc nie indywidualistycznem, zaczyna się rysować już na początku 17-go wieku. Na podłoże skrajnego myślenia indywidualistycznego wprowadza myśl ludzką już Kartezjusz, który podstawy dotychczasowego myślenia podważa, wątpi nie metodycznie tylko, lecz rzeczywiście, nie buduje, nie rozwija, lecz neguje, wątek myśli przerywa. Jednocześnie z nim Bakon z Werulamu a za nim falanga budowniczych nowej myśli zrywa z autorytetem Arystotelesa. Poprzez autonomiczny imperatyw Kanta i pesymistyczne maksymy Schopenhauera dochodzimy wreszcie do najnowszych kierunków utylitarystyczno - eudomonistycznych.

Bezwarunkowo prądy indywidualistyczne, panujące w dzisiejszem społeczeństwie, bezpośrednio oddziałują na duszę jednostki, ale jeszcze silniej działają za pośrednictwem wypływających wprost z indywidualizmu—pesymizmu i analitycznego krytycyzmu.

Charakterystyczną cechą indywidualizmu jest pesymizm. Indywidualista chce budować coś nowego, stąd odrzuca przeszłość i nawet odwiecznych fundamentów, założonych przez Boga nie chce uznać, bo to nie nowa rzecz.

„Zdaje mu się, że buduje na nowych fundamentach, odrzucając i potępiając dawne niezachwiane, a tymczasem buduje on wogóle bez fundamentów. Stąd dzieło nowe zawala się, a indywidualistę przyprawia o najskrajniejszy pesymizm. Tem więcej potępia stare, im więcej przeraża go nikłość nowego, które sam zbudował. Dlatego też optymizm prawdziwej religii jest obcy indywidualiście".

---

[2]) Idziemy tu za referatem J. E. Ks. Biskupa Wetmańskiego: „Indywidualizm a indywidualności..."
(Pamiętnik III Zjazdu zakładów teologicznych). Lublin 1925.

„Każdy indywidualista jest analitykiem... Wszystko od niego bierze początek, a więc przyczyna sprawcza jest zbyteczna; wszystko zmierza do niego, więc i przyczyna celowa jest bez znaczenia...“

Jesteśmy wszyscy cząstką zbiorowej duszy nowego narodu, narodu słowiańskiego. Stąd nie dziw też, że specyficzne cechy psychiki plemiennej odbijają się na naszym charakterze dzisiejszym. W dziejowem zamiłowaniu naszem do wolności było dużo indywidualizmu. Indywidualizm ten przeszedł w dziedzinę religji, wybijając narodowej pobożności naszej pewne swoiste piętno. Stąd znamy specjalny typ Polaka religijnego „po swojemu". „U nas niema herezyj, bo gdybyśmy zaczęli ich szukać ściśle, znaleźlibyśmy zbyt wiele. Nasza zaś rodzinna herezja doszła do takich ekscentryczności, że tylko anormalnym indywidualizmem można ją wytłumaczyć".

Indywidualizm skrajny — jakąkolwiek przybiera formę — zawsze stoi na przeszkodzie w urobieniu prawdziwego charakteru i kształceniu umysłu przez zdobywanie wiedzy. Przy zwalczaniu jego nie wystarcza metoda zwalczania wprost, ale należy mu przeciwstawić środek nigdy nie słabnący: kształcenie indywidualności, rozumie się na podłożu chrześcijańskiem.[3])

Czemże jest osobistość każdego z nas?

Jest albo osobistością metafizyczną, albo etyczną. Osobistość metafizyczną w ujęciu filozoficznem łączymy z pojęciem substancji czyli istoty. Rozumiemy przez nią byt zamknięty w sobie i niezależny od innych. Takim bytem jest człowiek, wzięty jako istota, składająca się z ciała i duszy. Osoba zaś jest już najwyższym stopniem w rozwoju istoty, bo dołącza do niej cechę rozsądku. Stąd rozumiemy przez osobę: istotę rozumną.

Z osobistości metafizycznej wypływa pojęcie osobistości etycznej, która w danym wypadku nas najwięcej interesuje. Używamy terminu tego w znaczeniu całego życia wewnętrznego, jakie wypełnia naszą duszę.

Trzy są pierwszorzędne czynniki, które kształtują w nas indywidualność moralną t. j. osobistość etyczną: treść nasze-

---

[3]) Zob. zresztą dzieła pedagogiczne Fr. W. Foerstera: Szkoła i charakter, Wychowanie człowieka i t. d

go życia wewnętrznego, ujarzmienie własnych popędów i podbój wpływów zewnętrznych.

Myślom i woli naszej musimy umieć nadać formę pozytywnego czynu zapomocą możliwie najczystszych środków. Jednakże to samo nie wystarcza. Trzeba nam prócz tego wytrwale bronić życia wewnętrznego przed dwojakiego rodzaju niebezpieczeństwem: wewnętrznemi popędami i złem otoczeniem (naturą wewnętrzną i zewnętrzną). Jedno i drugie należy pokonać, a od wielkości zwycięstwa zależy wielkość nas samych.

Drzemie w nas wróg okrutny: nasze wrodzone skłonności i popędy. Namiętności w nas gnieżdżące duch ma coprawda nie zdeptać i wytępić całkowicie, ale przezwyciężyć i ujarzmić w służbę swoją. Wytępienie w nas doszczętnie wszelkich namiętności — jak tego żądali starożytni stoicy nie ma być celem naszym. Religja chrześcijańska żąda tylko, by namiętności nie brały góry nad rozumnemi postulatami życia, by nie były skierowane na przedmioty grzęszne, ale by były oddawane w służbę ducha, a jako uduchowione mogą się stać nawet pobudką i bodźcem do wielkich czynów. I w tym względzie ma słuszność głoszone zdanie, że bez namiętności wielkich, demonicznych prawie nie spotykamy wielkiego człowieka. Tylko duch ma przepoić naturę, a rozsądek musi jej nadać właściwy kierunek.[4]) Tylko ten, co siłą ducha, pokona w sobie „dzikie charty" namiętności, ma prawo do wielkiego charakteru. Człowiek, którywby bezkarnie w sobie rozwijał jeszcze popędy naturalne, byłby coprawda też mocny i wielki, ale nie w tem, coby go zbliżało do człowieczeństwa, tylko w tem, co graniczy już ze zwierzęciem. Nie byłby to triumf ducha, ale jego ujarzmienie i poddaństwo, — nie byłby to już żaden wielki „nadczłowiek", ale najgorszy „podczłowiek".

Zwycięstwu nad samym sobą towarzyszyć winna niezawisłość od wpływów zewnętrznych. Żadne przeciwieństwo, żaden zły przykład otoczenia, żadna siła i przemoc nie może podbić silnego duchem. Za żadną cenę wielka indywidualność nie zaprze się swych dobrych przekonań własnych, a gdy

---

[4]) Zob. Ks. dr. F. Sawicki: Die Wahrheit des Christentum, wyd 8, Paterborn 1924.

zajdzie potrzeba, jako bohater położy nawet życie swoje w ofierze, byleby sercem i duszą pozostać czystym...

Takie negatywne stanowisko jeszcze nie wystarcza. Trzeba też i pozytywnie piętno swego ducha umieć wycisnąć nawet na tej martwej naturze, ujarzmiając siły przyrody; trzeba umieć swych bliźnich podnieść swym przykładem i zapalić otoczenie mocą i wzniosłością swych idei. Wiadomo dobrze, że tu wysiłek indywidualny częstokroć nie wystarcza. W tej walce siły i rolę są podzielone. Każdy z nas podług swych najlepszych zdolności winien działać na tem stanowisku, na którem go Opatrzność postawiła. Każdy na swym terenie zbożnie dołoży cegiełki do wielkiej odbudowy ducha ludzkości...

Trzy są zatem podstawowe czynniki, dopełniające osobistości naprawdę wielkiej: wykształcenie życia duchowego i panowanie nad wewnętrzną i zewnętrzną naturą. Jeśli postęp jednostkowy oprzemy na tych fundamentalnych zasadach dojdziemy do realnych wyników, a jeśli na wstępie podkreśliliśmy znaczenie osobistości metafizycznej, jako substancjalnie niezależnej istoty, mieliśmy na oku uwydatnienie wyższości ideału chrześcijańskiego ponad panteistyczne teorje. W panteizmie, choćby przybrał formy najłagodniejsze, zawsze człowiek tkwi w naturze materjalnej a nie występuje ponad nią. Utożsamiając zaś Boga z naturą, panteizm nie może dać wyraźnego oparcia dla etycznego wyrobienia jednostki; odbierając wreszcie samodzielność naturze ludzkiej, stwarza mimo wszelkich prób tylko indywidualność połowiczną, jako część olbrzymiego wszechświata.

St. Gronowski.

(Dok. nast.).

Zaduszki o zmroku.

Wieczorem błyszczą lampeczki, tu—owdzie świeży wianuszek,
Jak uroczyście jest dzisiaj w dzień tegorocznych Zaduszek.
Świecą na grobach ogniki jakby przez woal widziane
I wokół widać mogiły w kwiaty i świece ubrane.
Wiatr cicho szepce pacierze w ten wieczór mglisty, jesienny
I cicho smutek się snuje jak światła promień półsenny.
Widać postacie schylone, każdy nad swoją mogiłą...
Czemuż to serce zamarło, co niegdyś żywo tak biło?
I w oczach łzy się się zaświecą jak pereł białe kuleczki,
I biegnie wzrok załzawiony w stronę zadusznej lampeczki.
Cisza dokoła poważna żałobnych wspomnień nić stwarza,
A myśli biegną z tęsknotą w smutne aleje cmentarza.
Powoli zgasną ogniki, mrok padnie, gwiazdy zaświecą,
A wówczas dusze umarłych do swoich siedzib polecą.
I będą czekać rok cały na swoje święto Zaduszek,
Czy będzie kto, co im złoży choć najskromniejszy wianuszek?
Czy będzie ten, co im choćby najmniejszą świeczkę zapali,
Czy się kto cicho pomodli, czy też się może pożali?...

Blade dogasły ogniki — wieczór w mrok nocy się zmienia,
Żegnamy groby westchnieniem, idąc w swój świat przeznaczenia.

21 paźdz. 1929 r. *BRUNON DRAMIŃSKI.*

ANKIETA „PRO CHRISTO".

Na czem polega Akcja Katolicka.

(forma natychmiastowego urzeczywistnienia jej postulatów).

Na zjeździe katolickim, w Poznaniu, we wrześniu b. r. wspomniał ks. kardynał Hlond o „solidnym froncie", jaki stanowić powinny wśród społeczeństwa wszystkie zrzeszenia katolickie a Jacques Maritain, profesor Instytutu Katolickiego w Paryżu w dziele napisanem z powodu wyroku Stolicy Apostolskiej na „Action francaise" p.t. „Czemu Rzym przemówił". (Pourquoi Rome a parlé) charakteryzuje akcję katolicką w następujący sposób: „Akcja katolicka jest czemś bardzo wysokiem, prawdziwie określa ją jedynie wyraz: apostolstwo".

Owe dwie enuncjacje ujmują akcję katolicką z dwóch zasadniczych punktów widzenia: w jej rdzennej istocie i w postawie tejże akcji wobec społeczeństwa.

Geneza jej także zdaje się być podwójną: geneza dalsza tkwi zasadniczo w racji bytu katolika i katolicyzmu, geneza bliższa w związku z potrzebami chwili obecnej wogóle, a zwłaszcza u nas wskazuje na konieczność „solidarnego frontu" wszelkich stowarzyszeń jakiegokolwiek typu, czy to politycznych, zawodowych, czy artystycznych lub czysto religijnych w założeniu jak sodalicje bractwa, itd. Bez względu też naturalnie na płeć i wiek. W №-rze wrześniowym „Pro Christo" zwraca Ks. profesor Bogdański uwagę czytelników na „ducha" akcji katolickiej; duch ten, to „atmosfera dzieła... sposób dotknięcia, ujęcia każdego problemu i rozstrzyganie wszystkich zagadnień" duch jest akcji „motorem i źródłem wszystkiej energji".

I rzeczywiście, nie można dość silnie i zasadniczo podkreślać roli „ducha" w zamierzonej przez Ojca Św. akcji; nim się rozwinie lub skurczy, stanie na mocnych podwalinach, lub wegetować będzie mniej lub więcej nominalnie: akcja to przedewszystkiem z ducha. A jeśli według słów wielkiego szermierza katolicyzmu we Francji profesora Maritain ujmiemy ją jako apostolstwo—to zaznaczyć trzeba w odróżnieniu od poszczególnego działania różnych zrzeszeń o zabarwieniu katolickiem, że mowa tu o apostolstwie najwyższego typu, polegającem nietyle na tem, *co się robi*, jak na tem, *czem się jest*. A jednak każdy katolik jest zobowiązany do takiego apostolstwa. Działacz na szerokiej arenie politycznej, czy społecznej, jak w ukryciu żyjąca mało komu znana jednostka winni współpracować w tej akcji katolickiej „z ducha", każdy według swojej miary i możliwości zewnętrznych, okoliczności i warunków. Potrzeba na to jednego, a mianowicie pełnego uświadomienia, czem jest katolik, jakie jego dostojeństwo i obowiązek. Nie tu miejsce na szczegółowe tego omówienie, ale pamiętajmy że „Christianus alter Christus". Przy stworzeniu świata człowiek urobionym został na obraz i podobieństwo Boże, od jego odrodzenia przez mękę Chrystusową na krzyżu chrześcijanin żyć powinien na wzór i podobieństwo Zbawiciela.

A więc na pierwszym planie stać musi sprawa, czyli służba Boża w nas i przez nas: „przechodząc dobrze czynić", a wszystko inne temu kardynalnemu zobowiązaniu jest podporządkowanem. Naogół sprawy życia codziennego i zawodowego a katolickiego są do siebie w stosunku równorzędności

paralelizmu, podczas gdy katolicyzm przenikać je wszystkie powinien i ożywiać, stanowiąc właśnie owego „ducha", owo „kształtowanie życiodajne", które francuz tak doskonale określa jako: une information vitale". Jaka postawa wobec życia (nie to co się robi, ale dlaczego i jak?) Taki światopogląd jest już sam przez się apostolstwem i promieniuje samorzutnie nazewnątrz. Jeśli zaś zajdzie potrzeba, logicznem następstwem takiego założenia będzie gotowość na wszelką ofiarę, o ile jej wymagać będzie służba Boża względnie Kościoła Katolickiego. Obejmuje ono całą skalę wyrzeczeń, od nieznacznych drobnych ofiar z wygody lub przyjemności dla święcenia niedzieli, lub zachowania postu do heroicznego usunięcia się od wysokich zaszczytów lub możności służby społecznej na odpowiednich stanowiskach, jeżeli by się one z ideologją katolicką pogodzić nie mogły.

Brzmi to nieco paradoksalnie a jednak *akcja* katolicka w najgłębszem ujęciu, to przedewszystkiem katolicyzm pełny i świadomy *in potentia*, gotów przy każdej sposobności wykazać się *in actu*. Falangi takich katolików stanowić będą „solidarny front" do którego ks. prymas Hlond nawoływał. Każdy należący do jakiegokolwiek stowarzyszenia wywieszającego sztandar katolicyzmu co ipso jest członkiem akcji katolickiej, której duch panować winien w jego poczynaniach tak u jednostki jak też w zgrupowaniu. „Akcja katolicka„ zaś nie potrzebuje stwarzać organizacyj o typie już istniejących ani je zastępować: solidarność światopoglądu jej członków i każdorazowe urzeczwistnienie zasad głoszonych na płaszczyźnie wymogów życia i okoliczności stanowią naczelny jej *czyn*.

By tak stanąć „solidarnym frontem" trzeba przed stwarzaniem nowych placówek konsolidować w duchu te, które już istnieją. Może niejedno pod godłami katolicyzmu żeglujące poczynanie wypadnie poddać rewizji, odrodzić wewnętrznie. Do tej pracy u podwalin zabrać się można bezzwłocznie, nie czekając lepszych, odpowiedniejszych warunków. Jeżeli każde ugrupowanie o etykiecie katolickiej w kraju naszym, jeżeli w tych ugrupowaniach każda jednostka tam będzie działała *czem jest*, promieniując Chrystusowe metody poczynania w każdej sprawie—, to akcja katolicka temsamem postawi u nas pierwszy, zasadniczy krok do silnego dalszego rozwoju. Do orjen-

tacji dopomoże Komitet zawiązany w Poznaniu pod przewodnictwem księdza prałata Adamskiego, pamiętać jednak zawsze musimy, że nie manifestacje zewnętrzne, a więc zjazdy, komitety, obchody (do których zbyt jesteśmy pochopni) ale z wewnątrz idąca tężyzna zapewnią akcji siłę i wpływ.

Na razie więc zdawałoby. się, że pierwszem zadaniem akcji jest wzmożenie „ducha" katolickiego wśród istniejących związków i organizacyj i w każdej w ich skład wchodzącej jednostce: będzie to apostolstwo na dużą skalę, choć bez szumnego frazesu.

O ileby zaś nowe miały powstawać ośrodki działalności katolickiej, to w pierwszym rzędzie mieć powinny na uwadze rodzinę, której bytowi zbożnemu zagraża tyle wrogich prądów i zamierzeń. Przepiękny wzór organizacji dla podniesienia ducha i żywotności rodziny katolickiej mamy w „trzecim zakonie Marji" założonym na wzór rodziny Przenajświętszej w Nazarecie. Instytucję tę doprowadził swego czasu do wysokiej wydajności błogosławiony ksiądz Zymard w Syonie. Obejmowała ona wszystkich członków rodziny złączonych statutami 3-go Zakonu Marystów a jednak zgrupowanych oddzielnie według indywidualnych potrzeb jako: matki chrześcijańskie, dziewice, mężczyzn i chłopców. Nie brakowało nawet koła „Maryjek". (les petites Marie")*).

Walną pomocą w każdem przedsięwzięciu akcji katolickiej okaże się z pewnością już zrzeszona katolicka młodzież, (Odrodzenie, Juventus Christiana itd.) w której spoczywa przedewszystkiem nadzieja realizacji najgorętszego życzenia Ojca Świętego: „instaurare omnia in Christo".

Celina Stoińska.

Kilka myśli o Akcji Katolickiej.

Jedna nam zawsze zostaje otucha:
Dostojnym czynem dowieść królewskości ducha.

Tak głęboko pogrążeni jesteśmy w materji, że chcąc wznieść się do świata idei musimy czynić niejako gwałt swej naturze, dając tem samem oczywisty dowód na potrzebę przypominania

---

*) Patrz: Żywot, bł. ks. Zymard tom I przez jednego z Ojców Stowarzyszenia Najśw. Sakramentu Paryż rue Cassette libraire St. Paul 1928,

sobie faktu, iż między „dziś" a „wieki" tkwi najkrótsza podróżna przestrzeń, jaka być może... A reguluje ją idea i czyn chwili obecnej.

Nowoczesny program pracy Kościoła Katolickiego obejmuje, podług woli Piusa XI trzy punkty: Pracę około pozyskania dla katolicyzmu świata pogańskiego, dalej powrót odszczepieńców do Kościoła i po trzecie: działaluość dla pogłębienia wiary wśród wiernych, nazwaną Akcję katolicką.

Podług klasycznej definicji Ojca św. „Akcja Katolicka oznacza udział świeckich w apostolstwie hierarchji Kościoła", czyli, poprostu uregulowaną, na warunkach kulturalnych, współpracę inteligencji śweckiej z duchowieństwem, względnie na odwrot.

W dzisiejszych rozważaniach pragnę uwydatnić kilka ogólnych pojęć o Akcji Katolickiej i wymienić kilka spraw, naszem zdaniem, w jej zakres wchodzących. Może być, że znajdzie się okazja omówienia z czasem kolejno poszczególnych punktów w szerszem opracowaniu.

Jesteśmy państwem młodem i zdolnem stanowić siłę pod każdym względem, dla siebie i na szerszej arenie. Gdyby siła taka w nas nie tkwiła, toby nas wrogowie tak bardzo nie zwalczali—a współzawodnicy nie usuwali w cień w szeregach katolickich krajów Europy, do jakich także należymy. Przez wysiloną pracę indywidualną i zbiorową w każdym kierunku mógłby kraj nasz zbliżyć się ze swym wrodzonym niejako charakterem katolickim, do wyżyn, o jakich marzy nasz poeta, gdy mówi: Chciałbym urodzić się w kraju, gdzieby patrząc na rząd mógłbym Boga ukochać... (Słowacki. Myśli).

Jest w nas bowiem młodość, i w porównaniu z innymi krajami, mniejsze skażenie, energje dopiero się budzą i są niezmierzone i mamy to przed drugimi, że czeka nas wielka przyszłość, bośmy dotychczas siebie nie odkryli przed światem.... Gesty Sobieskich, Bejzymów, są wskaźnikiem dla naszego niespełnionego jeszcze posłannictwa, które teraz, w odzyskanej wolności zaledwo świtać zaczyna.

Proszą dziś o wiedzę religijną—o dogmatykę i ascezę — nietylko ludzie wykształceni, ale również robotnicy, jak to czytamy z budującem zadowoleniem w Krakowskim Dzwonie Niedzielnym podającym głosy bardzo ciekawe dla dzisiejszej Akcji Katolickiej. Są to głosy, zmierzające bez ogródek do czynu,

o jaki dziś właśnie tak bardzo chodzi. Teoretycznych rozważań o złem jest już dosyć, już zło znamy... Czas uderzyć w czynow stal, rzetelną stal, każdy podług swego „powołania".

Jesteśmy obowiązani do tego czynu, jako członkowie Kościoła wojującego, Kościoł katolicki, „którego moce piekielne nie zwyciężą", to nietylko Papież i duchowieństwo, ale wszyscy wyznawcy prawd katolickich. Kościół nasz stoi z łaski Bożej dzielnością nas wszystkich. Ojciec św. rozumiejąc potrzeby chwili, apeluje do udziału w sprawie katolickiej szczególnie świeckich. Uprawnienie i zobowiązanie ludzi świeckich do Akcji Katolickiej związane jest z faktem przyjęcia Sakramentu Bierzmowania. Może o tem nie pamiętamy, że jesteśmy dlatego pasowani na „żołnierzy" Chrystusowych. Im prędzej nastąpi uregulowanie współpracy z wszystkimi w duchu wiary i tych praw i zobowiązań, tem prędzej zło straci swą śmiałość, a sprawa łacniej postąpi w dobrem. Wstrzymanie ruchu ku temu zespoleniu wszystkich katolików, tak mądrze stosowanem w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, podziałać może, niestety, jak hamulec i szkodnik-marnotrawca przecudnych energji i licznych talentów naszego młodego społeczeństwa jako państwo katolickie, talentów, które dostają nam się od troskliwości Opatrzności właśnie dlatego, bo ratowały obecną sytuację od upadku duchowego, przez wspólną jednolitą pracę na warunkach kulturalnych... Zmarnowane porywy w każdym kierunku mogą nie wrócić i przez to tyle dobrego mniej będzie na świecie i u nas.

Dla podkreślenia myśli naszych podamy podobne zapatrywania z pisma niemieckiego: Mitteilungen d. Verwaltunsgrates d. hl. Kindht. Achen. V. 1929. str. 60—61. Duszpasterstwo nasze skierowane jest za bardzo do jednostek, za mało jest pasterstwem społecznem ma za wiele pracy drobiazgowej, a za mało akcji dla całości. Duch pierwszych wieków chrześcijaństwa był inny. Działalność tych wieków była w wielkiej mierze w ręku laików, tak gotowych do pomocy i posiadających poczucie odpowiedzialności. Tajemnica prędkich postępów sprawy w starożytnem chrześcijaństwie spoczywa właśnie w udziale świeckich w apostolstwie, bardzo chętnych do czynu i gorliwych o dobro dusz.

Wszędzie zauważamy w praktycznem studjum nowoczesnego duszpasterstwa fakt, że brak w apostolstwie uczestników świeckich. Akcja Katolicka pragnie dać laikom, jako niezbędnym, odpowiedzialnym udziałowcom w apostolstwie—dawną ich godność w Kościele pierwotnym. Skoro to nastąpi, to i kapłani wyzwolą się z administracyjnego biurokratyzmu dla swobodniejszej działalności w wielkich zarysach.

Zdaje się, że w całkowitem swem działaniu zostawiamy zbyt wiele rzeczy czasowi, który sam nie tworzy, chyba niszczy: przychodzi i odchodzi, drwiąc sobie niejako z nas, że tak mało z niego korzystamy. Chce nam być kanwą, na której przez naszych lat kilkadziesiąt mamy snuć swe życiowe czyny i woła przejmującem milczeniem, które pilnie znaczy na zegarze, że nie wraca i nie czeka. I przypomina, że idea katolicka nie ma na ziemi innych pomocy, niż nasze serca, nasze dłonie i myśli.

Zdaje mi się wogóle, że oblicze wysokiej kultury duchowej wygląda dziś jako organizacja umiejętnej pracy-pracowitości własnej i propagandy w tym kierunku w drugich, z wiarą w wartość życia, które mojem zdaniem niesłusznie, nazywamy czasem marnością miast to wręcz niezmierną wartością — bo wszakże przygotowuje nam wieki... bez końca!... życie daje nam wielkie myśli, władze, odpowiedzialności, by niemi wytrwale tworzyć, nie opuszczając pewnej idei przed przeprowadzeniem jej mimo wszelkie trudności aż do dodatniego skutku.

Wysiłek taki wymaga charakteru, to też nie możemy sobie wystawić Akcji Katolickiej bez dzielności osobistej, na podłożu na wskroś uczciwego, szlachetnie urobionego charakteru, jak chce Sienkiewicz,—bez cnoty, która musi dziś wyrość na „katolickim charakterze", jak chce Kościół, ponad zwykłą miarę, skoro wszelkie dotychczasowe metody nie są już w stanie zmienić wyglądu ziemi. Może za bardzo pamiętamy na słabości, a za mało wywyższamy i wynosimy godność człowieka, aby pełnił czyny „synów królewskich". Poniżam człowieka, jeśli nie żądam od niego tego, co ma najlepszego.

Katolicyzm szczerze przyjęty wprzęga w swe służby wszystkie najcenniejsze władze ludzkie. I napewno potrafimy wzmóc swą wolę i nastrój do wyżyn, jakich chwila żąda — dowodzi nam tego Meksyk. Czemu jednak dopuszczać do takiej grozy,

kiedy, znając potrzeby i dobywając z siebie co najsilniejszych energji, możemy pełnić heroizm bez Callesowego kata!?

A bez heroizmu dzisiejszego zła już nie nawrócimy!..

Może też budujemy zbytnio na własnych, ludzkich siłach i dlatego swojej własnej pracy jakoś nie ufamy. A jednak faktem jest, że wszędzie jest jeszcze więcej ludzi dobrych, niż złych i to, że praca dobrych żłobi głębiej i szlachetniej. Jednostka jest lepsza od zbiorowości. Nią trzyma się dzieło, a nie zbiorowością: spróbujmy tylko usunąć jednostkę, a całe ugrupowanie rozpadnie się—na zera bez liczby na przedzie. (Fraszka Kostrzewskiego).

Nie może być, by mniej liczny i mniej potężny czynnik ujemny w społeczeństwie miał tworzyć opinję i nastrój do pracy! Jak to już jest u przeciwników, tak i u nas winny wypłynąć właśnie wartościowe jednostki i mieć ręce wolne do działania i poparcie całego ogółu.

Na około 30 miljonów ludności w Polsce przypada dwadzieścia przeszło miljonów katolików. Gdyby dziesiąta, bodaj tysiączna część tych ludzi, a więc choćby 25 tysięcy Polaków posiadało znamiona elity katolickiej, toby cały nasz kraj musiał odczuć na sobie działanie tej porywającej siły! Zdaje mi się, że w Akcji Katolickiej element kobiecy, który dla sprawy Kościoła na świecie jest bardzo genjalnym inicjatorem, jest u nas zbyt mało uwzględniany i doceniany. A jednak element ten, wciągany do pracy twórczej przez inne sfery, to bardzo pewny, bardzo wierny i nieustraszony ideowy bojownik i pracownik. Znany ks. Benson przypisuje właśnie temu niedostatkowi różne niepowodzenia w Akcji Katolickiej. Kobieta orjentuje się trafniej w potrzebach i sposobach zaradczych i łatwiej, niż mężczyzna, wypowie błogosławione: *Tak* — jako natychmiastową zgodę na krok heroiczny. Pióro — mowa — akcja kobieca nie jest mniej wartościową dlatego, ponieważ jest odmienną od męskiej. Bernard Shaw twierdzi nawet, że dziś pisują dobrze jedynie kobiety! co podobno i w Polsce w pewnym zakresie zgadza się z prawdą! -- Tak czy owak, w dzisiejszej Akcji Katolickiej potrzebne są wszystkie siły społeczne: duchowne i świeckie, męskie i kobiece, z decydującym w sądach i pracy czynnikiem osobistej dzielności.

I dosyć już idei. Do czynu: chodzi teraz o czołowych realizatorów, wolnych od brzemienia zbytniej formalistyki, na dzień codzienny, — o takich pracowników, którzy z ufną radością widzą w każdym ze swych pomocników dobrą wolę ludzką, duszę gorejącą, i pragną i pomagają jej, by mogła stać się użyteczną i rozwinąć skrzydła w dziedzinie, do jakiej ją Opatrzność przygotowała, nie lękając się myślą o sobie, że owa dusza może nas przerosnąć w dzielności.. mamy zawsze możność prześcignięcia jeszcze bardziej, jeszcze większą pracowitością twórczą na własnem polu, a już w tem rzecz Pana Naszego, że potrafi z tej mozaiki ułożyć wzorzysty wieniec prześlicznej Akcji Katolickiej!!.. która nas wszystkich ma cieszyć z głębi serca, bez względu na to, czyj kwiatuszek piękniejszy — bo one wszystkie są potrzebne i zależy od nas, czy będą mniej, lub więcej piękne.. Wolna droga dla dzielnych!..

Budzi się zaufanie do Akcji Katolickiej z udziałem świeckich dlatego, ponieważ ludzie tacy nie są zwykłej miary: Każdy z nas bowiem, duchowny, czy świecki, ma swój regulamin i tryb życia, a świecki ponadto troskę o chleb codzienny. Jeśli pracownik taki, mimo swych zazwyczaj ciężkich warunków bytowania, znajdzie czas i ochotę na pracę nadprogramową, znaczy to, że jest w nim duch ofiary, bo daje nie ze zbytków, lecz kosztem swych potrzeb, które dla sprawy Bożej niejako zarzuca. I daje bezinteresownie i całem sercem. Dlatego to pewnie na tych to właśnie pracach spoczywa szczególnie błogosławieństwo Boże dla dzieła Kościoła!

A działalność ta jest różnoraka, i nazywając się Akcją Katolicką, nie obejmuje jedynie spraw religijnych, lecz wszystkie przejawy życia ludzkiego. Pewnik ten najwyraźniej podkreślamy, gdyż zamyślany rozłam Kościoła od państwa chciałby ścieśnić zakres Akcji Katolickiej wyłącznie do strony religijnej naszego życia. Za mało uprzytamniamy sobie, że katolicyzm — to życie naszego życia, najwyższy rozkwit duszy, charakteru ludzkiego, zdatności ludzkich — rozkwit osobowości w pracy społecznej i naukowej, w wytchnieniu, w stosunkach towarzyskich i w samotności naszej.. a nie jednostronny przydatek dla „prywatnych potrzeb" duszy naszej... Katolicyzm jest więc motorem i wartością w całem istnieniu jednostki i zbiorowości — motorem, który ma i potrafi regulować

wszelkie ruchy naszego bytu, bo nie ma nad siebie wyższej instancji i wynioślejszej wyżyny, z którejby było widać *wszystko*. Nic innego, żadna moc, nie ma władzy rozwiązywania wszystkich zagadnień naszego życia—tylko katolicyzym, bo jest *prawdą, obejmującą wszystko*. Dopóki Akcja Katolicka *przez nas* tej zasady zaznaczać nie będzie na każdym kroku swych poczynań, to nie pojęliśmy idei papieskiej z nią związanej i nie posiedliśmy owej prawdy, której nic nie zdzierży!..

Z powyższych wywodów wynika konsekwentnie, iż charakter Akcji Katolickiej jest bojowym, bo miłość, którą ona żyje, nie może tolerować złego. Rozpowszechnionym sofizmatem jest zdanie, że w imię miłości należy odstępować od zasad. (Przegl. Katol. nr. 14. — 1929, str. 214).

I znany, silny Szczerbiec (Warszawa) co to tak dobrze szczerbi różnice między złem a dobrem, dodaje uwagi podobne powyższym: (II 1929 str. 1). Nie można nazywać pogłębianiem rozterek.. budzenie jasnej, zdrowej myśli i wskazywania, skąd grozi niebezpieczeństwo, ale należy zrozumieć, iż to jest obowiązkiem.. i konieczną samoobroną naszą"..

Nie odstępuje od zasad żaden genjusz katolicki gdy chce dopiąć powziętego celu. Św. Ksawery woła, aby zedrzeć aureolę z rzekomo dobrych i sprzeciwiać się złemu, by snać nie sądziło z naszego przyzwolenia, że jest dobrem. Prorok St. Testamentu każe gniewać się na zło, lubo bez grzechu, a św. Tomasz Anielski nie nazywa cnotą zgody na zło. Ludzie z charakterem zaś piętnują mianem tchórza tego — kimkolwiek by nie był — kto nie oburza do żywego na otaczając go zło nie bierze w obronę prawdy. Rzekome wpływy uzyskane chwilowo schlebianiem słabościom ludzkim, są wartości bardzo problematycznej.

Cenne pismo francuskie dla księży: Pretre et Apotre (Paris. Bonnę Presse) wypowiada w tym względzie takie myśli o prawdziwie katolickim charakterze: Czy nazwiemy doskonałą duszę, która biernie patrzy na zło, jakie ma przed sobą? Czego jej brak? Odczucia oburzenia na zło. Oburzenie to, oburzenie na niesprawiedliwość jest świętym gniewem. (VII 1927. str. 194).

Akcja Katolicka, ze swą daleką perspektywą na przyszłość, musi więc stać na straży pojęć wśród ludzi, aby oni

przedewszystkiem odróżniali złe od dobrego i palili między niemi wszelkie mosty. Ponadto dobro musi być pewne obrony ze strony przekonanych katolików, bez względu na „konjunkturę” powodzenia danego pracownika na forum publicznem, gdzie każdy pioner na razie nie bywa rozumiany — tembardziej skazany jest więc na poparcie elity katolickiej. która nie boi się w przeprowadzeniu sprawy nawet pewnych niewygód dla siebie, to właśnie nazywamy poniekąd cnotą heroiczną, albowiem, ona nie widzi siebie, lecz — sprawę i tylko tacy pionierzy pchną ją naprzód, choćby sami zginąć mieli.. Dziś figurować i górować ma nie urząd, nie osoba, lecz idea i jej zwycięstwo przy pomocy naszej wysilonej, bohaterskiej pracy, przy pomocy naszych zasad, jakie w życiu konsekwentnie, wpatrzeni w dalekonośność naszych czynów, z wielką prawością serca przeprowadzamy.

Z pewnością więcej znaczy dla sprawy: nie dopuścić do złego, niż dozwolić na nie i naprawiać po niem szkody. Zresztą, prób takich, z fałszywej wyrozumiałości która w naszych warunkach jest już wyraźnie przewinieniem, — mamy za sobą już bardzo dużo i zdaje się, niestety, że nie możemy zanotować od nich postępów w mądrości życiowej, skoro wokoło nas jest tyle zawrotnej potworności. Wybitnem zadaniem Akcji Katolickiej jest zatem uroczysty, publiczny protest przeciw złemu, od razu, na miejscu, bo wtenczas jest najsłabsze. Wystąpienie naszej kochanej młodzieży akademickiej w Teatrze Nowym w Poznaniu winno być gorącem wołaniem na baczność publicznej czujności. Po naszej stronie jest *prawda* — i w tem jest nasza wręcz szalona przewaga! I przeciwnik nieraz się dziwi, że z niej nie korzystamy!

Naród nasz, jako rasa, jest młodym, w państwowości swej świeżym i uposażonym przez Opatrzność w bogate dla danych okoliczności dary przyrodzone i nadprzyrodzone. Mamy więc zapał, zdolności i — *ludzi! Mamy ludzi!* Czekają tylko apelu, zostając na razie na ustroniu, uznani i doceniani raczej przez przeciwników niż przez swoich... Es sind die schlechtesten Fruchte nicht, woran die Vespen nagen! Nie najgorszy to owoc, do którego zabierają się gąsienice!..

Oni by wszystko mogli mieć
Tylko oni nie chcą chcieć! Wyspiański. Wesele. Chochoł.

Jako cel swych protestów silnych, dla oczyszczenia atmosfery społecznej, weźmy np. teatr, okna wystawowe, kina z reklamami „boskich" co boskiem nie jest, kioski z gazetami, niektóre produkcje muzyczne w radjo, wykłady publiczne gdziekolwiek, sprzeciwiające się zasadom naszego młodego katolickiego państwa, które na zdrowych podwalinach u gruntu stawiać mamy. Wszelkie poczynania w tym kierunku ludzi z katolicką odwagą cywilną zasługują na uznanie i winny doznać zbiorowego poparcia ogółu. „Zbrodnia w Meksyku nie byłaby do pomyślenia, gdyby nie słabość nasza, jako zbiorowości. Za to zło potrafi wytworzyć opinję dla swoich spraw, jaką chce i my godzimy się na to bez myśli...

Usunięcie złego otworzy nowe możliwości dla dobra. Oczy działaczy katolickich zwracają się przedewszystkiem ku prasie katolickiej, by była obroną i propagatorką idei naszych i przekonań. Każdy z pracowników katolickich, dając dla sprawy to, co ma najdroższego, winien móc być pewnym zrozumienia, uznania i poparcia w pismach katolickich, które ze swej strony całą siłą rozszerza naokół. Zadaniem pism, to nietylko bierne, referujące przedstawianie w duchu katolickim spraw bieżących, jakie same z siebie się nasuwają, ale ponadto i przedewszystkiem wybieranie i uwypuklanie wytycznych dla życia katolickiego, w najszerszem znaczeniu, o czem już była mowa, podług najsłuszniejszych dyrektyw Stolicy Apostolskiej, z tej samej racji przynajmniej, dla jakiej umiemy podkreślać fakty innych dziedzin życia, jakie nam się wpraszają. Dlaczegoby prasa i radjo nie miały posiadać sekcyj stałych z Akcji Katolickiej, bodaj na równi, jeśli nie więcej, z działem ruchu sportowego i t. p.

Prasa wywrotowa jest mistrzynią w publicznem poznawaniu swych obowiązków i swych pracowników. I znów mi wstyd, że idę po naukę dla własnej prawdy do metod ludzi słabszych od siebie stokroć!..

Działalność prasy, jaką opisuję, jest koniecznością i nic jej w tem posłannictwie wobec Akcji Katolickiej nie zastąpi!

W ogólnym planie Akcji Katolickiej wymienimy chociaż niektóre pilniejsze sprawy, jak nam się wydaje. Zachodzi pytanie, czy nie pora myśleć o wyraźnie katolickich Związkach

zawodowych: lekarzy, pielęgniarek, higjenistek, adwokatów, artystów, nauczycielstwa, studentów, dziennikarzy, pisarzy itd. jak to już na miejsce w innych krajach Europy. (8).

Oto sprawy:

1) Wykształcenie teologiczno-ascetyczne, stosowane, dla wszystkich warstw społecznych.

2) Współżycie z rokiem kościelnym przez liturgję.

3) Domy rekolekcyjne, otwarte przez cały rok, ogłaszające swój program w prasie katolickiej. „Gość Niedzielny" w Katowicach daje w tem początek, wypisując program Domu rekol. w Kokoszycach na Ślązku, urządzanych dla różnych stanów, Katowice robią też początek chlubny z metodycznemi wykładami z religji. (Wspominamy o piśmie: Dzwonek Rekolekcyjny w Trzebini OO. Salwatorjanów, jako pierwszej publikacji tego rodzaju).

4) Pismo ascetyczne dla inteligencji.

5) Tygodnik parafjalno-kościelny w duchu apologetycznym

6) Działalność świeckich, po przeszkoleniu, systemem parafjalnym i poza — parafjalnym, dla utrzymania i krzewienia wiary i katolickiej etyki wśród odstępców i innowierców, wśród t. zw. dzikich małżeństw i między opuszczonemi dziećmi itd. W Rzymie istnieje osobne Dzieło dla Zachowania Wiary, z celem obrony jej przed protestantyzmem, u nas wchodzą w grę różne sekty religijne (Opera della Fede. Roma, via deli Umiltá 36), i organ: Fides (Możemy też dobrze zwrócić uwagę w tem miejscu na podręcznik ks. Danka: Katechizm dla Konwertytów, Kraków, Jezuici).

Kto wie, czy nie należałoby pomyśleć u nas o zakonie ludzi świeckich na wzór Paulistów Medjolańskich. Zaczątki tego ruchu u nas widzimy poniekąd w pracy naszego Caritasu i w Instytucji Sanitarjuszek Miejskich. Pauliści mają filje po różnych krajach katolickich, m. in. we Francji: Paris 21 rue Blanche. Wydają mnóstwo pism na czasie i prowadzą szeroko pomyślaną Akcję Katolicką w przeróżnych kierunkach pracy społecznej. Podobne cele mają najrozmaitsze, instytucje, pracujące prawie w każdym kraju katolickim: np. Belgja: Filles de l Eglise w Brugji.

Ze starego pnia Beginek wyrasta świeża, nowoczesna gałąź pracowniczek dla Kościoła, pod egidą OO. Benedyktynów z Lophem.

7) Kolportaż pism katolickich po wioskach, dobrze zorganizowany.

8) Domy katolickie dla studentów i dla młodzieży rzemieślniczej.

9) Budowa domów dla bezdomnych, co już dzieje się gdzieindziej wspólnym wysiłkiem prywatnym, w warunkach nawet mniej od naszych dogodnych. (11).

10) Wreszcie Apostolstwo Cierpienia tam, gdzie praca jest niemożliwą i modlitwa zdaje się niewystarczającą. Tam, gdzie kołem rozpędowem w dziele jest miłość, nie brak pola do poświęceń. Są one najcenniejszą perełką naszego życiowego różańca; niemi utrzymuje się równowaga i celowość bytu. Centralą Dzieła: Apostolstwo Chorych jest: ks. Willenborg. Bloemendaal p. Harleem, Holandja. Dzieło organizuje się w Polsce. Zgłoszenia można na razie przesyłać do podpisanej.

Niemały zakres Akcji Katolickiej, jaki pozwoliłam sobie nakreślić, wskazuje na to, jak kruchem jest szczęście człowieka, kiedy trzeba tyle zachodu, by je stworzyć i utrzymać! A jednak—cała nasza istota rwie się ku szczytom: dowodem na to nasze niezadowolenie w codziennem zyciu, świadczące o wybrednych gustach i o daleko sięgających dążnościach. O zdolnościach naszych mówi bodaj rozbudowa naszego pięknego miasta z okazji Powszechnej Wystawy Krajowej. Szczególnie w dziale religijnym Wystawy podziwiać pragniemy dorobki kultury katolickiej. Wszyscy mamy w pamięci szczupłą, lecz niezmiernie estetyczną wystawę misyjną w r. 1927 w Poznaniu, z okazji naszego Międzynarodowego Kongresu Misyjnego. Jak się dowiadujemy, to niektóre domy misyjne dysponują eksponatami z misyj wartości kilkudziesięciu tys. zł., m. in. Misjonarze św. Rodziny Górka Klaszt. WKP. Szkoda by było, gdybyśmy tego dorobku naszej młodej Polski misyjnej między innemi pracami Akcji Katolickiej nie mieli przy tak wspaniałej okazji zaznaczyć!..

Kończąc, pragnę wyrazić ufną nadzieję, że skromne słowa moje znajdą serdeczny odgłos w czytelnikach i może będą gdzieniegdzie podnietą dla kulturalnej współpracy, która ma na celu wykrzesanie jaknajwięcej radości życia w działach Akcji Katolickiej między rzeszą ludzką,

Panu Bogu Naszemu tak drogiej! Aby Radość Wasza pełną była! (Z Ewangelji św. Jana na 5 Niedzielę po Wielkanocy). Trzeba pewnie często wspomnieć na wołanie wybitnej apostołki świeckiej, Pauliny Jaricot we Francji, które kierowała szczególnie do przodowników w Akcji Katolickiej: Nie naśladujcie Apostołów, którzy spali, podczas gdy Pan Jezus czuwał w niebezpieczeństwie!..

Kazmira Berkanówna.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Katolicyzm a nacjonalizm.

Stosunek faszyzmu do Kościoła, — Ustępstwa Kościoła w dziedzinie dóbr doczesnych. — Walka o dobra wieczne. — Konflikt w płaszczyźnie zasadniczej. — Prześladowanie młodzieży katolickiej. — Etyka państwowa i narodowa. — Błędy materjalistycznego nacjonalizmu! — Niezdrowe tendencje i walka z nimi.

Na terenie włoskim zaszły w ostatnich miesiącach wypadki, na które baczną uwagę winien zwrócić cały świat katolicki. Wprawdzie fakty, na które się powołamy zaszły już przed kilkoma miesiącami, lecz tem nie mniej warto je przypomnieć, zastanowić się nad nimi na chłodno i wyciągnąć z nich konsekwencje... Tembardziej, że zbyt słabym echem odbiły się one w polskiej prasie katolickiej, a już specjalnie— zupełnie prawie je pominął pewien odłam tej prasy...

Chodzi o stosunki między Watykanem a faszystowskim rządem włoskim. Zdawało się początkowo, że traktat loteraneński stosunki te całkowicie uregulował, że olbrzymie ustępstwa terytorjalne i polityczne, jakie Kościół poczynił, będą wystarczające dla ambicji narodowej włoskiej, reprezentowanej przez Mussoliniego. Ustępstwa te tak scharakteryzowała „Polska" w № 241:

Ustępstwami temi Pius XI pokazał całemu światu swą wspaniałomyślność, oddając wszystko państwu włoskiemu za cenę duchowego pokoju. Ale robiąc taką ofiarę z dóbr doczesnych, Papież postanowił nie robić żadnej ofiary z dóbr duchowych, t. j. bronić misji duchowej Kościoła na ziemi, bez względu na to, kto po te dobra duchowe wyciągnie zaborczą rękę. I w tem należy szukać źródła zgrzytów, jakie od kilku miesięcy powstają pomiędzy Watykanem a pałacem Chigi.

A więc ustępstwa natury materjalnej nie wystarczyły faszyzmowi. Zapragnął on ustępstw w dziedzinie dóbr duchowych, ustępstw, których Kościół katolicki nikomu jeszcze nie uczynił i nie uczyni. Stąd powstały zgrzyty.

Pierwszy zgrzyt powstał 13 maja r. b, kiedy Mussolini wystąpił ze znaną mową w Izbie deputowanych z okazji dyskusji nad dokumentami, podpisanemi na Lateranie w dniu 11 lutego r. b., przyczem poddał krytyce historję Kościoła i Papiestwa oraz błędnie tłumaczył rozszerzenie się Kościoła. Już nazajutrz (14 maja) Papież w mowie, wypowiedzianej do seminarzystów z Collegio di Mondragone potępił wystąpienie Mussoliniego i podkreślił, że Kościół pod żadnym względem nie zrzeknie się swych praw duchowych jakie otrzymał od Boga do prowadzenia narodów.

Potem już poszło de crescendo... dalsze napastujące enunciacje i wydawnictwa Mussoliniego i za każdym razem niezłomna odpowiedź Stolicy Apostolskiej i... atak na nią faszystowskiej prasy. Równocześnie, jakby na potwierdzenie tezy, że Mussoliniemu nie wystarczą koncesje materjalne, lecz w pierwszym rzędzie chodzi mu o względy dokrynalne—ideowe, które są źródłem jego pominięć praktycznych i stawiają spór na gruncie zasadniczym — traktat lateraneński został mimo wszystko przez parlament ratyfikowany, dokumenty wymienione, wzajemne poselstwa ustanowione, dworzec kolejowy i poczta papieska powstają bez żadnych przeszkód itd.

14 września Mussolini wygłosił nowe przemówienie, które znowu wywołało odpowiedź Stolicy Apostolskiej i polemikę prasową. Oddajmy głos „Głosowi Narodu", który w № 253 świetnie scharakteryzował istotę sporu:

Incydent cały wyniknął z paru ustępów mowy Mussoliniego, w których „Duce" dał ilustrację faszystowskich poglądów na państwo.

W pierwszym z nich oświadczył, że „państwo ma nie tylko prawo i obowiązek kształcić dzieci (we własnych szkołach), ale także wychowywać je w swojej własnej etyce", i że — nie może w tej sprawie żadnego zrobić ustępstwa na rzecz Kościoła.

Dalej, przedstawił „Duce" faszystowską koncepcję państwa, polegającą na tem, że jednostka zostaje właściwie pochłonięta przez państwo i tylko takie ma prawa, jakie mu państwo przyznać zechce.

Wreszcie, podniósłszy, że większość duchowieństwa włoskiego czuje się dobrze pod rządami faszystowskiemi i współpracuje z niemi, bardzo gwałtownie wystąpił przeciw tej części duchowieństwa, która podtrzymuje

„tezę o pośredniej władzy Kościoła w sprawach społecznych, doczesnych, — tezę jedną z najniebezpieczniejszych, ponieważ nie wiadomo, ani gdzie się ta władza Kościoła zaczyna, ani gdzie się kończy".

Z okazji przyjęcia pielgrzymki młodzieży zorganizowanej w stowarzyszeniach katolickich, nazajutrz, w niedzielę, wystąpił Ojciec św. stanowczo przeciw tym oświadczeniom Mussoliniego. A, jak je poważnie potraktował, świadczy jego wezwanie do przygotowania się na rzeczy najgorsze, nawet na męczeństwo. Oświadczył między in., że może nadejść dzień, w którym

„trzeba będzie (w organizacjach katolickich) duchów dzielnych, członków zdrowych, ludzi o wierze prostej, o wielkoduszności niepodejrzanej, i sercach, które poważnie traktują sprawę świętego Kościoła".

Przemówienie papieskie wywołało istną furję wściekłości na łamach pism faszystowskich, przyczem w pierwsze skrzypce zagrał tym razem „Giornale l'Italia", mający najściślejsze stosunki z Mussolinim. Rozpętała się gwałtowna polemika i walka prasowa z katolicyzmem, posunięta aż do osobistych ataków na Papieża, że korespondent rzymski „Temps'a nie wahał się napisać, iż

„tak twardych słów przeciw Kościołowi nie powiedziano w Italji od długich już lat".

Bezkrytyczni entuzjaści faszyzmu, których nie brak i wśród polskich katolików, będą może tem wszystkiem zdziwieni i zaskoczeni. W rzeczywistości jednak niema podstaw do zdziwienia. Rzeczy rozwijają się w Italji po torach, które można było przewidzieć...

Faszyzm ma wszelkie cechy gotowego i skonsolidowanego kierunku polityczno-kulturalnego, a jest na drodze do stania się ponadto ruchem o własnym światopoglądzie i własnej ideologji. Nawet w dziedzinie życia religijnego. „Katechizm Balilli" zawiera bluźniercze „Credo", w którem miejsce Boga zastępuje „Roma",—i „dekalog" faszystowski, którego wszystkie „przykazania" wychodzą z dobra narodu włoskiego jako ostatniej, najogólniejszej normy etycznej. W takim stanie rzeczy konflikt z katolicyzmem, z religją objawioną, jest nieunikniony. Uchylić go i zlikwidować może tylko wyparcie się tego światopoglądowego nacjonalizmu przez faszyzm, więc nawrócenie się faszyzmu na katolicyzm. Na to się jednak nie zanosi... Można przy dobrej woli przynajmniej ograniczyć płaszczyznę tarć. I do tego celu zmierza konkordat zawarty w lutym b r. Niestety, wykonywanie konkordatu przez rząd faszystowski dostarcza właśnie w ostatnich miesiącach częstych powodów do nieporozumień. — W szczególności sprawa katolickich organizacyj, skupionych w t. zw. „Azione Cattolica".

Mimo wyraźnego brzmienia konkordatu, który tym organizacjom gwarantuje wolność i swobodę działania, Mussolini poddaje je pod nadzór policyjny, co Ojciec św, z oburzeniem wytknął rządowi w swej mowie. I to raz dlatego, że te organizacje są rzekomo politycznemi organizacjami. Drugi raz w imię „interesu państwa", który wymaga, by młodzież była wychowywana wyłącznie w duchu specjalnej „etyki państwowej".

Do chóru prasy prawdziwie katolickiej potępiającej antykościelne zakusy faszyzmu przyłączyła się również i katolicka „Polonja", która w Nr. 1803 w sposób jasny i plastyczny przedstawiła istotę zagadnienia i dodała kilka ciekawych szczegółów.

Tak więc staje dziś do boju — z jednej strony światopogląd chrześcijański, który twierdzi, że każdy człowiek ma swój cel i swe prawa i obowiązki, przeznaczone mu od Boga i określone w prawie natury i w pozytywnem prawie boskiem — a z drugiej ludzie, którzy głoszą, iż Bogiem jest państwo, że dobro państwa jest najwyższym celem i normą moralności. Ta ostatnia zasada łączy we wspólnym froncie rosyjski bolszewizm z włoskim faszyzmem.

Jednakże pomiędzy bolszewicką a faszystowską metodą walki z religją, istnieje duża zasadnicza różnica. O ile bolszewizm twierdzi, że religja jest „opjum dla ludu" i stara ją się bezwzględnie zgnieść, to faszyzm uważa religję za bardzo ważny czynnik kulturalno-społeczny ale w myśl swych bezwzględnie dyktatorskich zasad pragnie, czy to we Włoszech, czy we Francji podporządkować się państwu.

We Włoszech walka toczy się głównie o duszę młodzieży. Mussolini z swą koncepcją państwa centralistycznego i wszechwładnego, nie chce dopuścić do wpływu na wychowanie młodzieży, jakiekolwiek czynniki, poza państwowemi, podczas gdy kościół rewindykuje swe prawo do wychowywania młodzieży katolickiej, w duchu katolickim.

Przewagę środków administracyjnych ma tutaj państwo. Stąd też czytamy ciągle o zamykaniu prasy katolickiej we Włoszech, która po niedawnym zamknięcin dzienników „Il Momento", „Unita Catolica" „Corriere d'Italja", zaledwie jeszcze dyszy.

Z dzienników faszystowskich w tej kampanji prym wodzi „Glornale d'Italia", która przeprowadziła atak frontowy wprost przeciwko Głowie Kościoła, jednakże ten atak, jak zwykle ataki frontowe, skierowane na wysokie wzniesienia, nie udał się. Teraz faszyzm zaczyna stosować politykę okrążenia przez oddanie pod nadzór policyjny wszystkich bractw i związków kościelnych tudzież stowarzyszeń katolickiej młodzieży. — Aby dać sprawną formę temu szpiegostwu wewnętrznemu. Rada ministrów zniosła par. 218 ustawy policyjnej, który to paragraf zawierał ograniczenie dozoru policyjnego normowanego przez paragr. 214 wyłącznie do związków politycznych.

Po zawarciu układu laterańskiego i utworzeniu „Citta di Vatficano", związki młodzieży katolickiej stanęły na stanowisku, że już czas zapomnieć o wygasłym zatargu. Innego jednak zdania okazało się państwo włoskie. Dwu przywódców tejże młodzieży zostało skazanych na dotkliwą karę dwuletniego dozoru policyjnego. Sprawa przeciwko przywódcom związku młodzieży katolickiej nie toczyła się w sądzie zwyczajnym, ale szła „drogą admistracyjną". Mimo to w ostatnich miesiącach szeregi organizacji włoskiej młodzieży katolickiej powiększyły się o 50.000 osób.

Wobec faktów tak jaskrawego prześladowania zupełnie zrozumiałym staje się ton przemówienia Ojca św. które podajemy według streszczenia K. A. P.:

„W przemówieniu, wygłoszonem dnia 16 września do Związku katolickiej młodzieży Włoch, Ojciec św. dał wyraz swej radości z powodu pomyślnego rozwoju Związku, tembardziej god-

nego uwagi, że dokonuje się wśród wielkich trudności. Są trudności wyższego rzędu — mówił Papież — które budzą tęsknotę za zwycięstwem, ale są też inne, ukryte trudności. Znane są one Papieżowi, ponieważ z wielu stron otrzymywał o nich bezpośrednie wiadomości. Ojciec św. wspomniał następnie, że w ostatnich czasach otrzymał od kierownika jednej z grup Związku młodzieży katolickiej list z zawiadomieniem o wielkiem przerzedzeniu się organizacji. Ale prezydent Związku przedstawił Papieżowi natychmiast wspaniałą statystykę z której wynika, że Związek w ciągu ostatnich miesięcy roku zwiększył się o 50.000 członków. Jeżeli taki rozwój możliwy jest wśród takich trudności, to zapytujemy — dodał Papież— czy nie należałoby prosić Boga, by dopuścił jeszcze większe trudności.

Papież wie o tem i wszyscy wiedzą, że młodzież katolicka jest śledzona przez tysiące donosicieli. Nie wydając sądu o tego rodzaju zarządzeniach, Ojciec św. zwraca się do młodzieńców, ponieważ młodzi katolicy mają jego pełne zaufanie... Życzyłby sobie, by donosiciele, jeżeli to możliwe, byli jeszcze liczniejsi i by lepiej śledzili. Chcąc pocieszyć młodzież katolicką, Papież zaznaczył, że te śledzenie rozciąga się także na księży, a nawet na biskupów i kardynałów. Jesteśmy przekonani — dodał — że im wyżej będą patrzyli, to będą widzieli tylko rzeczy, godne widzenia.

Papież dowiedział się także i o innych trudnościach, których doznają młodzi katolicy. Więcej niż jednemu z nich przynależność do związku katolickiego przyniosła szkodę w zawodzie obywatelskim, czemu, wobec dzisiejszej kultury, nie chce się poprostu wierzyć. To jest jednak ciężkie i bolesne dla serca papieskiego.

Jedno jest jednak pocieszające: Jeżeli młodzi katolicy byli tak pilnie śledzeni, to musieli przecież przedstawiać jakąś wartość. Nadejdzie dzień, a nie każe on na siebie czekać, kiedy potrzeba będzie siły duszy i ciała, niewzruszonej wiary i niezłomnej uczciwości i kiedy będzie się wymagało więcej niż tego tylko, co może być osiągnięte przez samo tylko spełnianie obowiązków. Wówczas pomyśli się o młodych katolikach, to znaczy o tych ludziach, o których Manzoni powiedział, że poważnie pojmują prawo świeckie i prawo Kościoła.

* * *

Fakty wyżej przytoczone mówią dużo każdemu człowieku nieuprzedzonemu, a umiejącemu wysnuwać logiczne wnioski. Okazuje się, że z wielkich prądów czasów dzisiejszych nietylko komunizm i socjalizm, nietylko liberalizm, ale także integralny nacjonalizm nie jest zgodny z doktryną i odwiecznymi tendencjami Kościoła. Czemże jest bowiem faszyzm, jeżeli nie integralnym nacjonalizmem, który doszedł do władzy i pragnie ze wszystkich swoich pierwiastków i idei wyciągnąć jaknajdalej idące konsekwencje w życiu praktycznym. I tu okazuje się, że stanowi on sam dla siebie samodzielny światopogląd, inny w kilku ważnych ideach od światopoglądu Kościoła katolickiego. W tem tkwi główny powód powtarzających się raz po raz starć.

Widzimy więc, że spór ma charakter ideowy i zasadniczy. I aczkolwiek specjalne zaognienie wywołał tylko we Francji („L'Action Française") i we Włoszech (faszyzm) — tem nie mniej istnieje on potencjalnie we wszystkich krajach, tam zwłaszcza, gdzie działają ugrupowania nacjonalistyczne.

W Polsce sprawa nie jest należycie wyjaśniona, ani też postawiona we właściwej płaszczyźnie. Mówi się u nas bardzo często o idei narodowej, nie wyjaśnia się jednak dokładnie, czy chodzi tu o nacjonalizm integralny, stawiający naród, względnie państwo w miejsce Boga, czy też o katolicką ideje narodową, której treścią jest zasada instaurare omnia in Christo, a motorem działania z niej wypływającego — przekonanie, że tylko wówczas naród, czy państwo dojdą do prawdziwego i rzetelnego rozwoju, gdy wszystkie ich instytucje oparte zostaną na zasadach katolickich — miłości i sprawiedliwości.

Trzeba te rzeczy umieć rozróżnić, tembardziej, że istnieją w Polsce ludzie i ugrupowania, hołdujące całkowicie, lub w pewnej mierze zasadom pogańskiego nacjonalizmu.

Oto niedawno prezes rady naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej p. Mosdorf, polemizując z „Odrodzeniem" na łamach „Awangardy", pisma Obozu Młodych Wielkiej Polski, poruszył zagadnienie t. zw. „etyki narodowej". Podajemy wywody jego w streszczeniu „Prądu" z miesiąca września:

„P. Mosdorf — pisze „Prąd“ przyjmuje etykę narodową, sformułowaną zwłaszcza przez Balickiego. Młodzież Odrodzeniowa etykę tę odrzuca i „kierując się (według p. Mosdorfa — przyp. Red.) moralnością abstrakcyjną, zmuszona jest w twardych warunkach życia ciągle od niej czynić odstępstwa. To sprawia, że wielu działaczy tej grupy zaczyna podświadomie traktować moralność, jako ideał, który posiada znaczenie czysto teoretyczne. Takie stanowisko prowadzi nieuchronnie do oportunizmu moralnego“ (s 103b). Wiadomo, że „Odrodzenie“ kieruję się etyką katolicką. Zatem „moralność abstrakcyjna“ to moralność katolicka, która zdaniem p. Mosdorfa (zresztą był to także pogląd p. Balickiego) nie jest zdolną do ujęcia w karby wszystkich warunków życia. Nadto p. Mosdorf, również zgodnie z kierunkiem myślenia narodowego, poddaje etyce katolickiej (abstrakcyjnej, indywidualnej) życie jednostkowe, a dla życia zbiorowego stwarza etykę narodową. „Ta etyka narodowa (pisze — przyp. Red.) — nietylko nie jest sprzeczną z nauką Kościoła katolickiego, lecz w jej ramach, daje się doskonale zmieścić, stanowiąc znakomite jej uzupełnienie“ (s 103-b). To właśnie trudno przyjąć, żeby etyka katolicka potrzebowała uzupełnienia w tak olbrzymiej dziedzinie życia, jaką jest dziedzina życia narodowego wewnątrz kraju i między państwami, ta etyka, która zanim stworzono etykę narodową z gruntu odrodziła świat“.

W ten sposób streszcza i zarazem ocenia poglądy działacza Wszechpolskiego autor artykułu, podpisany inicjałami „a. s.” na łamach „Prądu", redagowanego przez znanego teoretyka doktryny katolicko-społecznej, ks. profesora Antoniego Szymańskiego.

Że „etyka narodowa” Balickiego przypomina aż do złudzenia „etykę państwową" Mussoliniego — to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dzisiaj p. Mosdort proponuje nam uzupełnić etykę katolicką „etyką narodową”. Balickiego, a jutro, gdy obóz jego dojdzie do wpływów, gotów popaść w konflikt z naszą hierarchją duchowną o wychowywanie młodzieży w myśl zasad „etyki narodowej”. Nie snulibyśmy tak pesymistycznych przypuszczeń, gdyby tezy ujawnione przez p. M. nie powtarzały się raz po raz z dziwną uporczywością w ustach ludzi tego obozu.

W r. 1928 Obóz Wielkiej Polski i Narodowa Demokracja wyparły się oficjalnie pogańskich założeń nacjonalizmu, dostosowując w wydanych publicznie deklaracjach i drukach swoje dotychczasowe poglądy do zasad katolickich. Tak się złożyło, że było to wkrótce po potępieniu przez Kościół „L'Action Francaise”. Odtąd przestały ukazywać się w „Gazecie Warszawskiej” enuncjacje Maurrasa i Valois—dotychczas umieszczane zwykle na pierwszych miejscach i traktowane

z całym pietyzmem. Rozmaicie o tem mówiono, nikt jednak nie przypuszczał, że tak szybko odżyją dawne poglądy i to właśnie wśród młodego pokolenia tego obozu.

Sprawa „etyki narodowej" ma swoją historję na terenie akademickim. Każdy z senjorów „Odrodzenia" przypomina sobie liczne polemiki i dysputy, które toczyło na ten temat „Odrodzenie" z Młodzieżą Wszechpolską; pamiętamy wszyscy, jaką mieliśmy satysfację, gdy pod wpływem i naciskiem wyraźnego katolickiego stanowiska „Odrodzenia" Młodzież Wszechpolska zmuszona była korygować raz po raz swoje poglądy i, zdawało się, stanęła wreszcie oficjalnie na stanowisku etyki katolickiej, czego wyraźne ślady znaleźć może każdy w zmienianych kilkakrotnie deklaracjach ideowych tej organizacji.

Niedawno tenże sam p. Mosdorf udzielił wywiadu przedstawicielowi „Polski" (Nr. 237), w którym oświadczył. że deklaracja ideowa Młodzieży Wszechpolskiej ulegnie dalszej ewolucji w kierunku katolickim, gdyż „pozytywistyczne ujęcie dotychczasowej deklaracji nie jest już odzwierciadleniem poglądów zarówno sfer kierowniczych, jak ogółu członków". Jednakże po tak sympatycznej dla każdego katolika zapowiedzi dodał zaraz przywódca Mł. Wszechpolskiej, że „etyka narodowa" w sformułowaniu Balickiego nie jest sprzeczna z prawdami wiary katolickiej.

Konia z rzędem temu — kto zrozumie p. M. Czyżby przypuszczał on możliwość istnienia obok siebie dwóch różnych etyk?! A może zachodzi tutaj tylko wypadek ignorancji i poplątania w terminologji...

Tak, czy owak, wypadek ten wskazuje, że tendencje zmącenia idei katolickiej i narodowej istnieją w naszym społeczeństwie. Przeciwko tym tendencjom musimy się bronić bardzo mocno i energicznie, piętnując natychmiast z całą surowością każdy wypadek. Tylko wówczas, gdy twardo i zdecydowanie stać będziemy na straży czystości idei katolickiej, chroniąc ją przed wszelkimi nieszlachetnymi domieszkami i w zarodku już tłumiąc wszelkie niezdrowe tendencje ze strony wrogów, lub fałszywych przyjaciół — zdołamy uniknąć w przyszłości wstrząsów i konfliktów, których terenem stały się Francja i Włochy. *S. J. K.*

Mason o Papieżu.

Że można w błocie — w mule dna morskiego — znaleźć czasem perłę, to wiadomo powszechnie, ale żeby z pośród zaprawionych błędem wywodów pisarza wolnomularskiego wyłoniła się piękna apoteoza ojca chrześcijaństwa, to coś niespodziewanego i dla nich i dla nas. A przecież tak się zdarzyło niedawno.

W roku 1926 ukazała się we Francji praca o masonerji pióra Alberta Lantoine, wydana przez Emila Nourry: „Hiram w koronie cierniowej“ — jej tytuł, zapowiada jakieś bluźnierstwa, lecz treść jej co innego głosi: narzeka, że wolnomularstwo nie jest takiem, jakiem być powinno.

„Nie łudźmy się, pisze autor, wolnomularstwo powszechnie nie ma jednolitości. Nie posiada takiego, jak Religja Katolicka, organu kierowniczego, wyższego nad czynniki świeckie, któryby mocen był uchronić jej ideały od żrącego wpływu namiętności, którym przecież tamte muszą z konieczności ulegać".

„Nie mogą masoni zdobyć się na to, żeby, jak księża, naprzykład, wznieść się ponad swe stanowisko, stanowisko członków państwa. Zawsze, we wszystkich krajach, było wolnomularstwo pachołkiem już nie to żeby rządu, ale panującego w danej chwili porządku“.

Jedność, okrzyczana solidarność związku, to tylko powłoka zewnętrzna, wewnątrz w nim jest zbyt wiele rażących różnic i niekonsekwencji. Masonerja anglo-saksońska, klęcząc przysięga na Biblję, masonerja pruska do niedawna jeszcze nie dopuszczała do przybytku swego żydów. Odtąd pastorzy Desaguliers i Anderson założyli swoje związki, nastał rozłam między wolnomularstwem krajów protestanckich a wolnomularstwem katolickich. Główną troską masonerji stała się ochrona protestantyzmu. Próbowano wprawdzie otrząsnąć się z tego, ale wtedy Pitt w Anglji poddał loże pod nadzór policyjny, a książe Brunswiku, choć sam wielki mistrz, poprostu zniósł u siebie masonerję. I tak, ilekroć ktoś chce odczepić masonerję od rydwanu protestantyzmu, masoni powtarzają jezuitom przypisywane słowa: „sint ut sunt, aut non sint“—albo niech zostaną jakimi są, albo niech wcale nie egzystują.

Ze zdziwieniem stwierdzono, że w ciężkich chwilach wojny wolnomularstwo angielskie wykazało zbyt wielki związek z lożami niemieckiemi. Na zjazd wolnomularstwa narodów koalicyjnych i neutralnych, w roku 1917 anglicy nie stawili się wcale.

Oburza się Lantoine, że „dla anglików zbór masoński stał się poprostu filją zboru anglikańskiego". On sam wyklina się od wszelkiej słabości dla religji; pomimo to, że rodacy jego, „bracia" z lóż francuskich, mocno pobłażają protestantom i żydom, on chce pozostać wolnym od wszelkiej religijności, jak przystało na prawdziwego wolnomularza. Ale... zrozpaczony takim stanem rzeczy w lożach, szuka po świecie wzoru stałości i wytrwania na stanowisku, stawia za przykład masonom... papieża.

O następujący właśnie ustęp z „Hirama" chodzi nam tutaj: „W czasach, gdy ludzkość przedstawiała istną dżunglę dziką, w której jedne bestje rzucały się na drugie, istny zwierzyniec, w którym obłąkani pogromcy powyłamywali kraty klatek — jeden tylko człowiek miał śmiałość pozostać człowiekiem. Podczas gdy ziemia cała wróciła do stanu pierwotnej zwierzęcości, jedna tylko dusza zachowała swój blask w pełni. Gdy duch zła ogarnął świat cały, zostało jedno miejsce, uciechy dla miłosierdzia. W całej tej atmosferze ciemności i krwi, przepowiedzianej zdawna przez okropnych proroków Pisma, jedyna lampka żarzy się bez przerwy — podsyca ją Ten, który będąc sługą Chrystusowym, nie ulega zwątpieniu w moc ofiary swego Boga. Wśród rozhukanych wód, na których wielkie cnoty pękają i spływają, niby drzazgi marne, sama tylko łódź Piotrowa nie tonie".

„Niema w dziejach postaci bardziej wzruszającej nad postać Benedykta XV-go, gdy w stronach wojujących nie chce widzieć nic innego niż grzeszników, uwiedzionych przez złych pasterzy. Wyrzucają mu, że się miesza w zatargi między narodami. Wyrzucają? Proszą Go przecież o to, błagają, grożą. Pociski nienawiści kruszą się o mury Watykańskie. Najwyższy kapłan stąpa raz jeszcze po krzyżowej drodze, którą szedł Mistrz jego boski. I on kosztuje żółci zdrady gorzkiej. Wierni złorzeczeniami swemi przykładają do krzyża jego ciężaru. Katolicy francuscy i katolicy austryjaccy, próżno napawają go

zniewagami, z szatańską jakąś zawziętością. Ci podają go za „papieża niemieckiego", tamci oskarżają, że działa za francuskie złoto. A on zdaje się nie słyszeć. Modli się i płacze. Krwawi ze wszystkich ran, które pragnąłby owiązać, cierpi na wszystkich duszach, które chciałby zbawić, a jednak odmawia robienia różnicy pomiędzy ofiarami, bo wie, że wszystkie one są zarówno niewinne, albo zarówno winne wszystkich tych okropności i wszystkich bezeceństw. Fanatyzmowi patrjotycznemu przeciwstawia ewangeliczną swą pogodność. Baranek wielkanocny nie domiesza do wilczej szerści szaty swej niepokalanej. Chcą go uczynić sędzią krwawych igrzysk cyrkowych, chcą, żeby wskazał, kto sprawiedliwy, kto nie, żeby na pośmiech dokonał rozróżnienia między męczennikami". Nie! Cofa się i ukrywa w świątnicy swego sumienia".

„I ten starzec w białej todze, którego wątłe barki utrzymały — i uratowały od zguby — ludy chrześcijańskie, raz jeszcze w rocznikach Wiecznego Miasta budzi pamięć sławną niewzruszonych owych senatorów rzymskich, co na kurulnych swych krzesłach czekali niegdyś wtargnięcia barbarzyńców".

„Bo Ojciec święty po to zeszedł z Kalwarji, żeby pójść drogą śmierci" (tom II, str. 353).

Jakiż piękny, jakiż wspaniały obraz!

Jak doszedł wolnomularz do tak wysokiego zrozumienia wielkich spraw Bożych?

Czy to, że Bóg zmusił szatana wbrew swej woli dać świadectwo prawdzie. Czy, że w nieszczęsnym z nieprzepartą siłą odezwała się dusza z pochodzenia katolicka.

Na zawstydzenie wielu, którzy się zwą katolikami.

(„Les cahiers de l'Ordre", maj 1929).

Ks. W.

Na marginesie artykułu p. Marji Jehanne-Wielopolskiej o misjach.

Nawiązując do „dnia modlitwy i propagandy na misje" który wyznaczony został na dzień 20 października r. b., p. Marja Jehanne-Wielopolska, nowa feljetonjstka „Kurjera Porannego", uważała za stosowne wtrącić swoje trzy grosze—„gdzie

konia kują" — oraz wystąpić z uwagą, że katolicy polscy nie powinni brać udziału w dziele wspierania misyj katolickich, do czego tak gorąco nawołuje „papież misyjny", Ojciec św. Pius XI. Skąd to taka teza? Ot, stąd, że polscy misjonarze, pracując wśród pogan, rzekomo wysługują się różnym „często nawet wrogim mocarstwom" (ciekawe jakim). „My kraj, zubożały wojną, kraj, w którym wzdłuż wschodnich rubieży brakuje kościołów i szkół, argumentuje ta publicystka — kraj, który posiada minimalną ilość ochronek, żłobków, domów dla starców i nieuleczalnych i żadnych interesów wśród pógan,... my nie możemy sobie pozwalać na luksus misyj zagranicznych. Przynajmniej do chwili, kiedy nasz własny lud będzie zaopatrzony we wszystkie potrzeby ciała i ducha".

Prowadzić z p. Jehanne-Wielopolską polemiki w tej sprawie nie myślę zupełnie. Polemizować z nią na temat misyj to — coś takiego, jak, stojąc na podłodze, tańczyć walca np. z osobą, stojącą na stole. P. Jehanne - Wielopolska rozpatruje misje pod kątem widzenia nawskroś materjalistycznym, utylitarystycznym. Poza korzyściami tu na ziemi nie widzi żadnych innych, a przecie dla każdego katolika nie na tem kończy się wszystko. Przecież za dobry uczynek czeka nas przedewszystkiem nagroda w Niebie. O zasługiwanie na tę nagrodę przez przyczynianie się do nawrócenia innych należy nam zabiegać koniecznie („Z rzeczy Boskich najbardziej Boską jest współpraca nad zbawieniem dusz" — powiedział św. Dionizy Areopagita, a św. Augustyn dodaje: „Kto zbawił chociaż jedną duszę, zapewnił zbawienie duszy własnej").

Tego wszystkiego p. Jehanne-Wielopolska nie chce zrozumieć, bo bielmo materjalizmu, grubego zmysłowego materjalizmu (wychodzi on jaskrawo na wierzch z jej „Tacita'ów"), nie pozwala jej spojrzeć głęboko w istotę tego zagadnienia, lecz przecież misje w pierwszym rzędzie oraz przedewszystkiem śpieszą z pomocą materjalną ludom pogańskim, kojąc cierpienia chorych, opiekując się trędowatymi oraz nieuleczalnie chorymi, ucząc dziatwę, z dzikusów robiąc ludzi, szczepiąc kulturę w zakątkach, gdzie rzadko staje noga innego poza misjonarzem katolickim europejczyka. Jeżeli w tej pracy biorą udział synowie Polski, — cześć im za to! — to jeno

spełniają najchlubniejsze zadanie Polaka, które ks. Stanisław Staszic sformułował w tych oto słowach: „Polak ma obowiązek iść z pomocą cierpiącej ludzkości“. Owe wysługiwanie się obcym mocarstwom, to jedynie owoc wtórny. Rządy kolonjalne nie mają tyle kłopotów z ludami nawróconemi, bo te dzięki misjonarzom urządzają sobie życie tak, iż mają egzystencję przynajmniej znośną i nie urządzają wskutek tego ciągłych rebelji.

P. Jehanne-Wielopolska, współautorka „Książki o przyjacielach", lituje się nad zwierzętami, miłość swą ku zwierzętom doprowadza aż do skrajności, lecz o naszych cierpiących bliźnich innej narodowości, innej rasy zapomina, bo... z tego niema korzyści. Wiwisekcja dla p. Jehanne-Wielopolskiej — to zbrodnia, ale zato zbrodnią nie jest skazanie na śmierć głodową n.p. murzynów afrykańskich. Gdzież tu sens, gdzież tu zdrowy rozsądek, gdzież tu logika? Trzeba naprawdę nie mieć zmysłów w porządku, by roztkliwiać się nad małpami, psami, kotami, a o ludziach zapominać.

Nie podoba się publicystce z „Kurjera Porannego“ działalność Sodalicji Klawerjańskiej, a ta właśnie instytucja jest największym dobroczyńcą dla Afryki. Kiedy czcigodna i tak pełna szlachetności p. hr. Marja Falkenhayn, generalna kierowniczka Sodalicji Klawerjańskiej, bawiła w Warszawie, — wtedy też poznałem ją osobiście — nadszedł list jakiejś misjonarki z doniesieniem o głodzie w Abisynji. Świętobliwa następczyni hr. Marji Teresy Ledóchowskiej momentalnie telegraficznie przekazała kilkanaście tysięcy franków na żywność dla głodujących. Czyż to jest wysługiwanie się obcym mocarstwom? Proszę tylko odpowiedzieć całkiem szczerze?

W porównaniu z Niemcami — biorę umyślnie państwo bez kolonji — Polska daje ogromnie mało na misje, a tu p. Jehanne-Wielopolska występuje jeszcze z projektem przerwania dawania i tych nędznych zasiłków. Dlaczegóż to tak? Dlatego, by te fundusze spożytkować na zaopatrzenie ludu naszego we wszystkie potrzeby ciała i ducha. „Wszystkie"— to utopja nie do wykonania, gdyż zachcianek ludzkich nigdy nie da się zaspokoić całkowicie a wreszcie niewiele się zaopatrzy biedy sumą, dawaną na misje. Ręczę, że katolicy polscy napewno więcej dają na biednych w Polsce, aniżeli na

misje. Czy p. Jehanne-Wielopolska wie, ile działają Konferencje św. Wincentego à Paulo? Czy wiadomem jej jest, ile dobrego robią ubogim klasztory? Niech tak przejdzie rankiem koło furt klasztornych w Warszawie, a zobaczy, jak rozdawany jest nędzarzom chleb czy strawa, rozdawany wszystkim bez wyjątku: dziadom, pijakom, wyrostkom o zbrodniczych fizjonomjach, wyrzutkom różnym!

Na zakończenie wysunąć chcę kontrprojekt. W „Drobiu Polskim" p. Janina Maszewska-Knappe pisała o „dniu ochrony zwierząt", wyznaczonym na dzień 10 listopada r. b.: „Tegoż dnia urządzona będzie kwesta po kawiarniach i restauracjach, przyczem osoby kwestujące będą miały przy sobie psy lub koty, którym przyczepione zostaną skarbonki dla zbierania w nie ofiar na poparcie i rozwój placówki tej doniosłości, jak Polska Liga Przyjaciół Zwierząt, oraz utworzenia przez nią schroniska dla bezdomnych zwierząt". Niech sobie amatorzy wszelkiego rodzaju, co setki złotych wydają na koty angorskie, dogi, pudle, ratlerki, pointry, małpy,— prasa wielkopolska nie może zapomnieć, jak to nawet sama p. Jehanne-Wielopolska „zafetorzyła" swemi małpami jakieś miasteczko — niech amatorki piesków, kotków i małp, złożą bodaj połowę roztrwonionych sum na otarcie łez ludzkich, a zapewne uczyni to bezmała tyle, co ofiary na misje. Na misje najwięcej dają proste kobieciny, służąca, stróżki potrafią składać setki złotych na pogan, odmawiają sobie przyjemności, by wesprzeć misje, nie zapominają również o nędzy w kraju, ale histeryczki, zakochane do absurdu w pieskach, nie dadzą biedakowi grosza.

Dobra rzecz — humanitaryzm. Trzeba jednak pamiętać również w o hierarchji celów. Co innego przytułki dla zwierząt, a co innego misje dla ludzi, lub zakłady dobroczynności?

P. Jehanna - Wielopolska pragnie pouczać katolików, wszakże lepiej zrobi, gdy swoje projekty zwróci w stronę swych przyjaciół — zwierząt. Niech towarzyszka redakcyjna p. Boya-Żeleńskiego zacznie sanację od swego otoczenia, zamiast pouczać przyjaciół misyj.

Niegłupi to powiedział, iż cudze widzi się pod lasem, lecz swego nie dostrzega się pod nosem.

Medice, cura te ipsum! *Józef-Marjan Chudek*

Kilka słów w sprawie kobiecej.*)

...„Kobieto! puchu marny!
Ty wietrzna istoto...”
A. Mickiewicz.

W ostatnich czasach wiele hałasu robią na świecie niektóre konsumentki pudru, różu i t. p. kosmetyków. Oświadczają, że dzieje im się krzywda, że Kościół katolicki zakuł kobietę w kajdany i wydał na łup satrapy-mężczyzny. Zanim ktoś się roztkliwi nad losem rodu niewieściego, warto, w myśl starorzymskiej zasady: „Historia est magistra vitae” (historja jest nauczycielką życia), zapoznać się z tymi przeobrażeniami, którym uległa sytuacja kobiety w ciągu wieków. Każdy wtedy z łatwością pojmie, co zawdzięczają te „pokrzywdzone” istoty katolicyzmowi.

Przyjrzyjmy się, jak to wyglądała idylla kobieca w czasach przedchrześcijańskich. Rozkoszne to były czasy. Żyć nie umierać. Mężczyzna był samowładnym panem domu i wszystkich osób w nim zamieszkujących. Żoną mógł rozporządzać wedle swej woli. Miała ona wartość przedewszystkiem, jako objekt zaspakajający jego miłostki i następnie jako siła robocza. Wrazie nieposłuszeństwa można ją było zabić, skazać na chłostę, sprzedać itd.

Obecnie na wschodzie bogactwo człowieka mierzy się ilością wielbłądów, a w dawnych czasach świadczyła mnogość kobiet. Ten stan rzeczy istnieje dziś jeszcze u pierwotnych ludów Afryki południowej. Tam żona biedaka stara się przysporzyć swą pracą, majątku mężowi, aby ów mógł sobie kupić drugą małżonkę, a wówczas dwom będzie łatwiej, niż jednej znieść ciężar pracy w gospodarstwie. Później obie pracują wspólnie na trzecią itd.

Pierwotnie zdobywano sobie kobiety w walce, lub poprostu kradziono. W miarę jednak pacyfikacji stosunków wchodzi w zwyczaj kupno. Początkowo kwitnie handel zamienny, później jednak zostaje wyparty przez system monetarny. Można było także dostać żonę na wyrobek, który się odrabiało teściowi. Młody małżonek zwykle jednak wypłacał ojcu panny młodej całą sumę. U niektórych ludów tak wysoko stała „kultura“, że znana była sprzedaż na raty, Przy zawarciu

*) Artykuł dyskusyjny.

małżeństwa wypłacało się zaliczkę, a po pewnym czasie, gdy żona sprawowała się wzorowo, resztę. Dla uzyskania rozwodu trzeba było zgody obydwóch stron: ojciec zwracał pieniądze, mąż żonę.

Wyżej wymienione fakty świadczą chyba dość wymownie o poniżeniu kobiety. Inna rzecz, że nie zawsze mężczyzna traktował niewiasty, jak kupny inwentarz. Względy praktyczne skłaniały go niejednokrotnie do lepszego obchodzenia sie z niemi. W starożytnym Egipcie mędrzec Ptahhotep tak radzi swemu synowi:

„Jeśliś mądry, to załóż sobie dom. i kochaj swą żonę,
Dawaj jej jeść i okrywaj jej plecy;
Lekarstwem dla jej ciała są wonności".
Ona jest rolą, która się opłaca swemu panu".

Z upływem wieków kupno straciło swój właściwy charakter, coraz bardziej łączyło się z dodatkami sakrametalnemi, przybierając charakter ślubu. U Rzymian t. zw. „coemptio" jest obrazowem zawarciem małżeństwa, dokonanem już tylko w formie kupna władzy nad żoną.

Należy nadmienić, że w krajach, gdzie panowało jednożeństwo (np. w Rzymie) położenie kobiety było znacznie lepsze niż tam, gdzie kwitło wielożeństwo (wschód). U żydów prawo mojżeszowe zapewniało większą ochronę, niż to czyniło prawodawstwo innych narodów.

Chrześcijaństwo, przynosząc wolność niewolnictwu, dokonało także kompletnej rewolucji w prawie małżeńskiem. Związek mężczyzny z kobietą został podniesiony do godności sakramentu. Katolicyzm widział w rodzinie komórkę społeczeństwa. Starał się ją jaknajbardziej utrwalić, uodpornić od niszczących wpływów zewnętrznych. Kobieta stała się kapłanką domowego ogniska, nad całością którego czuwał sam Kościół. Mężczyźnie za potarganie węzłów rodzinnych groziły daleko idące sankcje religijne, mogące przekreślić jego szczęście wiekuiste na tamtym świecie. Co przy głębokiej religijności pierwszych chrześcijan, było dla nich rzeczą doniosłą.

Wiele się przyczynił do podniesienia autorytetu niewiast kult Matki Boskiej i męczenniczek, poległych za wiarę, a następnie postawionych na czele Kościoła triumfującego. Nieznanym dotąd szacunkiem otoczono kobietę-matkę.

Ogromnie także polepszyło się położenie prawne, kobiety uzyskały możność rozporządzania swoim majątkiem na wypadek śmierci, prawo sporządzania testamentu, adoptowania przybranych dzieci i t. d.

W wiekach średnich otaczano w dalszym ciągu kobietę troskliwą opieką. Wiele uczyniono dla polepszenia jej doli u świeżo nawróconych ludów. U plemion germańskich mężczyźni pogardzali pracą i spychali ją na swe żony; uważając łowy i wojny za swe właściwe zajęcie; mówili, że prawdziwy mąż „krwią nie potem zdobywa sobie utrzymanie". Kościół oddziaływa na rzecz kobiet, wpływając łagodząco na przepisy prawne i obyczaje. Za obelgi rzucane na kobiety ustananawiano wysokie grzywny: za „czarownicę" 12 soldów, za „dziewkę publiczną" 25 sol., za dotknięcie ramienia 30 sol., piersi 45 sol. i t. d. Za zamordowanie niewiasty była stosowana kara większa, niż za zabicie mężczyzny. Rycerstwo średniowieczne z wielkim szacunkiem odnosiło się do kobiet i miało obowiązek stawać w ich obronie.

Kobiety odgrywają wtedy wielką rolę w życiu religijnem. Wiele z nich oddaje sprawie Kościoła znakomite usługi i zostają zaliczone w poczet świętych Dla przykładu przytoczę stosunki polskie w XIII i początkach XIV wieku: Św. Jadwiga, księżna Trzebnicka żyje na tronie książęcym jak zakonnica, nosi szatę Cystersek, funduje klasztory, a po śmierci męża sama zamieszkuje w celi klasztornej; także zamieniają mitrę książęcą na habit zakonny Bł. Kinga, księżna krakowska, Bł. Jolanta, księżna wielkopolska, Jadwiga, żona Łokietka, Salomea Piastówna, żona króla Kolomana.

Nic też dziwnego, że nigdy nie otaczano takim szacunkiem kobiet jak w wiekach średnich. Z ich imieniem na ustach walczono, ich cnoty sławili poeci, dla nich układali kantaty śpiewacy i muzycy.

Minęły jednak średnie wieki pełne tajemniczego uroku, gigantycznego rozmachu i mocy. W pomroce wieków zniknęli dzielni rycerze, święte i mądre niewiasty. Świat skarlał i zmalał. Przyszło t. zw. „odrodzenie". Wspaniałe turnieje zostały zastąpione przez wyuzdane zabawy i widowiska. W kobiecie zaczęto cenić nie jej duchowe zalety, lecz przemijające wdzięki,

Strącona z wysokiego piedestału, nanowo stała się igraszką mężczyzny.

„Sic transit gloria mundi". Dziś już żaden trubadur nie zanuci pieśni na cześć swej bogdanki, najwyżej plugawy żyd w kabarecie zaśpiewa tłustą piosenkę. Coraz bardziej obdziera się kobietę z tego szacunku, którym ją otaczano, jako matkę. Upadek religji — jest schyłkiem jej autorytetu. Kościołowi bowiem jedynie zawdzięczała swe wywyższenie, dzięki niemu stanęła wyżej od niewolnic haremowych.

Sakrament małżeństwa był hamulcem dla mężczyzn i skuteczną obroną dla niewiast. Rozwody — to zguba kobiety, to nawrót do czasów pogańskich. Coraz bardziej zanikają w ostatnich czasach obyczaje chrześcijańskie. Zapożyczono fryzury od starożytnych egipcjan, tańce od murzynów, wyuzdanie i cynizm od żydów. Rozbicie rodziny byłoby zagładą kultury katolickiej, która jest podstawą współczesnej cywilizacji.

Józaf Lubicz.

„Nie wolno zasypiać!"

Glosy o masonerji w Polsce.

Nie jest już rzeczą tajną, że u nas w Polsce działa masonerja. Samo życie polityczno-społeczne żdaje się o tem mówić. I niejednokrotnie padały ze strony przywódców katolickich słowa przestrogi, nieraz władze kościelne widziały się zmuszone zwrócić ogółowi uwagę na niebezpieczeństwo wolnomularskie. Tak np. żywo mamy w pamięci te niezliczone rezolucje zjazdów katolickich od roku 1926 począwszy, pamiętamy orędzie Najdostojniejszych naszych Księży Biskupów, którzy w marcu 1927 roku tak dobitnie wskazywali na grożące religji i Kościołowi w Polsce niebezpieczeństwa. Pamiętamy też i wszystkie późniejsze przestrogi przez przeciąg ostatnich lat trzech i nawoływania wiernych do obrony interesów kościelnych przeciwko zakusom tajnej mafji masońskiej. Ostatnio nawet sam Ojciec św., głowa Kościoła, nie omieszkał w publicznem przemówieniu zwrócić Polakom uwagę na działanie masonerji w Polsce. Mianowicie na posłuchaniu, udzielonem

w pierwszych dniach października b. r. pielgrzymce polskiej, papież Pius XI, znawca stosunków polskich, w te zwrócił się do pątników naszych słowa:

„...Z szczególną troską śledzimy losy i życie religijne Waszego kraju, stan Kościoła i rozwój Królestwa Bożego wśród Was i dlatego też musimy ostrzec Was, jak ongiś Chrystus ostrzegał apostołów, mówiąc do nich: „Czuwajcie i módlcie się".

Czuwajcie, gdyż grożą Wam niebezpieczeństwa i zasadzki podstępne. Wróg wszelkiego dobra, którego Chrystus Pan nazwał bramami piekielnemi, nie śpi, ale czuwa i działa wśród Was.

Mam tu na myśli przedewszystkiem sektę masońską, która szerzy swe przewrotne zasady i zgubne wpływy również i w Polsce, usiłując w szczególności zniszczyć Waszą świętą spuściznę duchową i religijną, która stanowi moc i chlubę Waszą. Dlatego też powtarzamy: czuwajcie, gdyż wróg nie śpi, a więc i Wam nie wolno zasypiać."

Jakież to groźne dla nas memento! Zresztą każdy, kto choćby pobieżnie śledził przebieg publicznego życia w Polsce ostatnich lat, musiał dojść do przekonania, że działa jakaś tajna siła, która cały atak swój kieruje przedewszystkiem przeciwko prawom Bożym. Nie kryjemy się wcale z tem, że właśnie po sławetnym przewrocie majowym w roku 1926 masonerja zaczęła w Polsce występować na publicznem forum. Cała ta sprawka rozlewu bratniej krwi i przeprowadzenie t. zw. moralnej sanacji stała się niewątpliwie z rozkazu loży, dlatego też na bieg życia polityczno-społecznego naszem zdaniem nie jest odpowiedzialna tyle jednostka, ile właśnie skryta ręka, która podstępnie walcząc z ideologją Kościoła i Narodu umiała wysuwać jako swój szyld różnych swoich ludzi.

W kilka dni po przewrocie majowym ogłosił „Kurjer Poznański" (№ 248 z 1. VI 1926) ciekawy artykuł zatytułowany: „Polska w uścisku masonerji". Autor tego artykułu już wówczas zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co my dzisiaj widzimy. Pióro rwie się, by całemi ustępami przytoczyć przestrogi w tym artykule wyłuszczone; jednak ze względów dla każdego zrozumiałych możemy tylko niektóre podać wyjątki.

„Jest faktem niezbitym, — czytamy w tym artykule — że masonerja uderzyła na Polskę w gremjalnym ataku i że atak ten przyniósł nam najstraszniejsze klęski, a masonerji niebywałe sukcesy...”

„Niechaj nikt nie myśli, że masonerja ukrywa się tak szczelnie, że niepodobieństwem byłoby przychwycenie jej na gorącym uczynku, przejrzenie jej roboty. Być może, że czyni wszystko, ażeby robota jej nieznana była szerokiemu ogółowi dla śledzących atoli pilnie życie polskie, nie może uciec przed okiem niejedno, co czyni i zamierza polip masoński."

Dzisiaj po trzyletniem panowaniu idei masońskiej w Polsce można, niestety, już stwierdzić niejedne jej pociągnięcia. Kalejdoskopijnie tylko przytaczamy: walkę z religją w szkole, dążenie do rozdziału Kościoła od państwa, zakusy na nierozerwalność małżeństwa, walka z krzyżem w domach chorych i na uniwersytecie, ataki na duchowieństwo, propagowanie i ochranianie przeróżnych sekt, nawet najbardziej wyuzdanych, tolerowanie panoszącej się wstrętnej rozpusty po ulicach i teatrzykach, publiczne bezkarne miotanie bluźnierstw na łamach rządowych organów, a wreszcie konfiskaty pism i artykułów narodowych i katolickich, nie wyłączając ogłoszeń Katolickiej Agencji Prasowej, stojącej pod protektoratem Najprzew. Księży Biskupów. Zamierzenia masońskie, o których wspomina artykuł „Polska w uścisku polipa masonerji” dzisiaj stają się powoli jedno za drugiem faktami.

Jakie znaczenie przypisywała masonerja polska zamachowi majowemu i jakie z niego wyciągała horoskopy, o tem świadczy przemówienie wielkiego mistrza loży warszawskiej, p. Andrzeja Struga, wygłoszone na zebraniu masońskiem w dniu 25 maja 1926. W pierwszej części swej przemowy „buja” wielki mistrz o „uczciwym człowieku" w Polsce, który walczył o niepodległość państwa polskiego, o „czarnych duchach“ panoszących się w Polsce, o czynnikach złych, skorumpowanych, ciemnych i zdecydowanych! Mówi o okresie (przedmajowym!) „kiedy ciemnotę siano zarówno z katedr jak i z ambon“. Trzeba było dopiero krwawego przewrotu, by sprowadzić „uzdrowienie moralne". Tak czytamy w tekście sprawozdawczym z owego masońskiego przemówienia (cytujemy według „Kurjera Poznańskiego" l. c.):

„I oto przyszły przełomowe dni majowe. Dzięki zwycięstwu Wielkiego Człowieka, rozpoczynamy nowe dzieje zwycięstwa uczciwości. Jeden człowiek nie opowiadając się nikomu, sam rozważył, rozstrzygnął i zwyciężył"...

„Komendant zrobił swoje, — teraz na nas kolej. W epoce, kiedy Stary Świat konał, moralność musi się budować na odczuciu nowej epoki".

„Będziemy godni tego, czego świadkami uczyniły nas dzieje. Jeżeli cały demokratyczny obóz ulegnie nakazom chwili, będzie niezadługo triumfować w Polsce zwycięstwo moralności — my zaś w spokoju i gorliwości będziemy rządzili Nową Polską".

Na tem samem posiedzeniu Loża powzięła następującą rezolucję (wyjątek):

„Krew przelana na ulicach Warszawy w dniach 12—14 maja nie może spłynąć bezpłodnie. Cały naród pragnie, by z jej posiewu wyrosło odrodzenie, nowa potęga moralna. Lecz nie żądajmy, aby ją zbudował wyłącznie jeden człowiek, nawet ten najlepszy i największy. Aby on mógł dzieła swego w pełni dokonać, musi się oprzeć na nas i to oparcie nie może co chwila z pod stóp Mu się usuwać".

Że nowy okres, który się dla Polski rozpoczął z dniem 12 maja 26, potoczyć się miał torem „utarczek" z katolicyzmem, o tem zupełnie szczerze wygadał się swego czasu ówczesny minister Wyznań Relig. i Oświecenia Publ., p. Sujkowski, który na zapytanie, jakie stanowisko zajmą nasze sfery rządowe (pomajowe) w stosunku do Kościoła katolickiego, odpowiedział: „Większych prześladowań i walk z katolicyzmem władze rządowe wszczynać obecnie nie będą, ale do pomniejszych utarczek zapewne wkrótce dojdzie" („Polak - Katolik" Nr. 225 z 1-X-1926 r.) Rezerwa zawarta w słówku „obecnie" ustępuje coraz bardziej, pokazując konkretne oblicze stanu rzeczy.

To mając na uwadze, zrozumiemy przestrogi najwyższe głowy Kościoła oraz naszych Księży Biskupów. Pozostawiając sobie na przyszłość omówienie niektórych szczególnych objawów pociągnięć masonerji polskiej, kończymy na ten raz tym gorącym apelem, jakim sam Ojciec św. do nas wołał: *„Nie wolno zasypiać!!!"* *A. F. Kowalkowski.*

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Śmierć Woltera.

Część II. Jak umiera bezbożnik.

Proboszcz parafji św. Sulpicjusza, uprzedzony o nagłem zasłabnięciu Woltera, poszedł do Arcybiskupa z prośbą o instrukcje. W kilka dni potem na zebraniu, gdzie byli obecni: prefekt policji paryskiej, pan de Dempierre d'Hornoy, wnuk filozofa po kądzieli, i ksiądz Mignot, siostrzeniec Woltera, proboszcz postawił sprawę jasno i stanowczo, że jeżeli chory nie zrobi wyraźnego odwołania i potępienia wszystkich zgorszeń, jakie dał w ciągu swego życia, jak również i wszystkich swych pism, nie może otrzymać pogrzebu kościelnego. Przyjaciele Woltera, oburzeni takiem postawieniem kwestji, usiłowali zyskać interwencję króla, lecz ten odmówił, wyjaśniając, że to całkowicie należy do proboszcza i arcybiskupa.

Jeszcze 30 maja, w dzień śmierci filozofa, ksiądz Gaultier, którego gorliwości nic osłabić nie mogło, w serdecznym liście zaofiarował swoje usługi Wolterowi, pragnąc z największą radością powrócić jeszcze do niego, jeśli tylko sam chory jakimkolwiekbądź znakiem okaże, że tego zapragnie.

Skoro tylko list został wręczony pani Denis, zjawia się natychmiast u księdza Gaultier siostrzeniec filozofa ks. Mignot, i oświadcza: „Przychodzę do księdza z wielką prośbą, by zechciał wyspowiadać Woltera; ostatni list księdza zrobił na chorym wrażenie, on chce się wyspowiadać, ale tylko przed księdzem"...

Wyrażając swe zadowolenie, spowiednik oświadczył jednak, że musi nasamprzód zażądać odwołania, autentycznie podpisanego przez chorego, albo wypowiedzianego przed proboszczem św. Sulpicjuszą, bez współudziału którego on sam nic zrobić nie może. Udali się więc obaj natychmiast do proboszcza, który im towarzyszył do domu chorego niosąc z sobą następującą formę odwołania:

„Odwołuję wszystko, cokolwiek mogłem powiedzieć, uczynić, lub napisać przeciw dobrym obyczajom, przeciwko religji katolickiej, w której miałem szczęście się urodzić, przeciwko

Boskiej osobie Jezusa Chrystusa, którego Bóstwo zwalczałem, i przeciw jego Kościołowi, w którym pragnę umrzeć. Czyniąc obecne odwołanie w obliczu całego świata, który tyle lat gorszyłem przez moje czyny i pisma, robię to nie wskutek osłabienia władz umysłowych w tak późnym wieku, lecz z łaski Jezusa Chrystusa, której nie byłem godzien, a która otwiera mi dziś oczy na straszne niebezpieczeństwo, w jakie wpadłem, idąc za zboczeniami mej wybujałej wyobraźni.

Pragnę, by to odwołanie było umieszczone we wszystkich dziennikach i pismach Europy, by w ten sposób, o ile to jest możliwem, naprawić zgorszenia, których byłem przyczyną. Resztę dni jakie mi jeszcze pozostają, pragnę też temu celowi poświęcić.

Działo się w Paryżu 30 maja, w obecności księdza proboszcza od św. Sulpicjusza i księdza Gaultier".

Obaj kapłani przybyli do domu chorego już po godzinie 6 wieczorem; salon był pełen gości. W sypialni zastali chorego na łóżku w pozie siedzącej, ramiona miał owinięte kapą, a głowę odkrytą; robił wrażenie śpiącego. Gdy pan de Vilette zawiadomił filozofa o przyjściu do niego proboszcza od św. Sulpicjusza, Wolter poruszył się gwałtownie, odwrócił się w jego stronę i po kilkakroć wyciągnął pięści z wyrazem oburzenia i groźby, rzucając przytem pełne wściekłości spojrzenie i bełkocąc wyrazy, których zrozumieć było niepodobna.

Ksiądz Gultier zbliża się do łóżka: głos tego kapłana uspokaja wściekłość chorego, który bierze ręce księdza, mówiąc: „Księże Gaultier, proszę wyrazić moją życzliwość dla księdza Gaultier..." To bredzenie, świadome, czy udane, trwało bez przerwy. Po upływie pewnego czasu proboszcz, przekonany o bezskuteczności swoich i ks. Gaultier wysiłków, polecił temu ostatniemu oddalić się od łoża chorego.

W salonie kapłani zostali zatrzymani i zaatakowani z taką siłą i niedelikatnością — jeden w sprawie pogrzebu kościelnego, a drugi w sprawie wydania świadectwa spowiedzi, — że ostatecznie wydali dokumenty następujące:

Proboszcz, nie ustępując co do odmowy pogrzebu kościelnego, napisał kartkę tej treści: „Zgadzam się, by ciało pana Woltera było pochowane bez żadnych ceremonij i pod tym względem ustępuję moich praw proboszczowskich. 30 maja

1778 r. Podpisano: F. S. Tersac, proboszcz od św. Sulpicjusza".

Ksiądz Gaultier dał takie świadectwo o spowiedzi: „Poświadczam wobec każdego, do kogo to należy, że przyszedłem na żądanie pana Woltera i że go zastałem w takim stanie, iż wysłuchać spowiedzi nie mogłem. Działo się w Paryżu, dnia 30 maja 1778 r. Podpisano: Gaultier kapłan".

Pomimo nowych nalegań pani Denis, proboszcz kategorycznie odmówił pogrzebu kościelnego, jak również oświadczył, że nie pozwoli żadnemu księdzu na wzięcie udziału w przeprowadzeniu ciała do domu na miejsce spoczynku. Ksiądz Gaultier prosił krewnych, by mu dali znać, skoro tylko chory odzyska świadomość; otrzymawszy tę obietnicę, obaj kapłani wyszli.

Trzy godziny potem, około wpół do dziesiątej, Wolter wyzionął ducha.

*
* *

W ciągu ostatnich dni życia, a nawet w dniu śmierci, filozof zachował doskonałe używanie rozumu; świadczą o tem listy i bilety, jakie w tym czasie pisywał do marszałka Richelieu, dr hrabiego d'Argental, do swego lekarza Tronchin'a etc; zresztą protokół lekarski przy sekcji trupa wykazywał, że głowa i mózg były w bardzo dobrym stanie.

Cała choroba usadowiła się w podbrzuszu sprawiała tam taką gorączkę, że nie można było utrzymać ręki na skórze. W tych cierpieniach nieszczęśliwiec nie okazał się ani chrześcijaninem, ani filozofem, a naoczni świadkowie opowiadali straszne rzeczy z zachowania się jego podczas choroby. Nie mogąc nikogo znieść przy sobie, będąc sam dla siebie ciężarem, chory doznawał od czasu do czasu takich napadów szaleństwa i rozpaczy, że tego opisać nie podobna. „Palę się" krzyczał często; bił, wymyślał, miotał najokropniejsze przekleństwa, a przedmiotem tych obelg byli ci, którzy go w chorobie pielęgnowali. Pewnego dnia poprosił pielęgniarkę Roger o swą laskę i, zanim zdołała się usunąć, uderzył ją laską tak silnie, że złamał jej paznokieć u palca i zadał ranę na ciele, która przez dłuższy czas sprawiała jej silny ból. Innym razem znowu uderzył ją w głowę drogiem porcelanowem naczyniem tak silnie, że potłukło się w kawałki.

Podczas choroby Wolter często żądał „lodowatego stawu". By spełnić to życzenie, o ile było możliwem, urządzono mu zimną kąpiel, z wielkim wysiłkiem jednak zdołano go w nią włożyć. Gdy poraz drugi miano go zanurzyć w wodzie, rzucił się z taką wściekłością, że pielęgniarka musiała się przed uderzeniem ratować ucieczką; kąpieli więc trzeba było zaniechać. Wszystkie jednak zewnętrzne środki chłodzące jakich używano nie mogły ugasić żaru, który go palił wewnątrz.

Będąc w łóżku, Wolter leżał zupełnie nago, nie chcąc i nie znosząc żadnego okrycia. Jeśli pielęgniarka nie zrozumiała jego prośby czy polecenia, unosił się straszliwym gniewem, objawy zaś tego gniewu nie były jednakowe, zmieniał je według okoliczności i nie powtarzał się w tem nigdy, tak że otoczenie nieraz podziwiało wymowę i płodność jego szaleństwa.

Wreszcie chory zaczął objawiać jakieś nowe i dziwne znieprawienie smaku. Brał i przykładał do ust naczynia nocne, w którem była uryna i ropa z ran jego, a że nie mógł tego połknąć więc kładł doń palce, a następnie je lizał. Ten filozof, szydzący ze wszystkiego, drwił sobie za życia ze słów proroka Ezechiela, przepowiadającego w stylu przenośnym straszne sceny, jakie przyjdą na zbrodnicze Jeruzalem; teraz, w obliczu śmierci, sam dosłownie spełniał groźbę proroka.

Lizał wszystko co było pod nim; ustawicznie kładł ręce na swój kał a potem podnosił do ust. Pani Denis siostrzenica Woltera, wyprowadzona nieraz z równowagi widokiem takich obrzydliwości, wołała: „Cóż to! Wolter, tak czystość miłujący, że zmieniał bieliznę trzy razy na dzień, nie mogąc znieść najmniejszej plamy, — do jakiego doszedł upodlenia! Cóż za okropna przemiana!" Wyżej cytowany manuskrypt „Śmierć Arrouet'a Woltera" podaje jeszcze inne szczegóły z ostatnich chwil filozofa.

Lorry (lekarz-niedowiarek) nawiedzał Woltera wspólnie z Tronchin'em. W dniu śmierci Woltera to jest w sobotę, doktór Lorry doktór Thierry, podobnież kierownik fakultetu medycznego w Paryżu, odwiedził chorego około 10 godziny wieczorem. Wszedłszy do mieszkania filozofa nikogo tam nie zastali. Gdy doszli do sypialni i ujrzeli chorego, leżącego bez

ruchu i nawet bez pulsu, sądzili, że już umarł. Gdy jeden z nich, ze świecą w ręku, podszedł do leżącego i potarł mu skronie trochę szorstko, chory odczuwszy dotknięcie, otworzył oczy bardziej ogniste niż pochodnie (wyrażenie obu lekarzy) i mierząc ich dzikim wzrokiem rzekł przeraźliwym, do głębi przejmującym głosem: „Pozwólcie mi umrzeć!"

Na kilka minut przed śmiercią Wolter wydawał okropne krzyki, miał konwulsje i tak straszny wyraz twarzy, że wszystkich z przerażenia przejmował dreszcz. Pielęgniarka Roger, chociaż przyzwyczajona do różnego rodzaju umierających, a nawet do pewnego stopnia oswojona z postępowaniem Woltera, o mało że nie umarła ze strachu i przez długi czas nie mogła otrząsnąć się ze strasznego wrażenia, jakie niej sprawiła ta śmierć.

Wyżej wspomniana Bardy, żona kucharza Woltera, która go również pielęgnowała podczas ostatnich czterech dni, tak była przejęta tem wszystkiem co widziała w ostatnich chwilach życia filozofa, że wpadła w ciężką chorobę. By ją uratować, trzeba było uciec się aż do dwukrotnego puszczenia krwi. Jej córka, przybywszy do klasztoru zakonnic w celu szukania pomocy dla matki, wyraźnie zaznaczyła, że matka swój opłakany stan zdrowia przypisuje okropnej śmierci Woltera. — „Umarł jak pies — mówiła do zakonnic, — podobny do potępieńca"... „Bez wątpienia stracił przytomność i świadomość" zauważyła jedna z zakonnic. „Nie, nie, siostro on miał doskonałe używanie rozumu aż do samego końca!"

Dr. Tronchin, protestant, rodem z Genewy, człowiek powszechnie szanowany i ceniony, który od dłuższego czasu i podczas ostatniej choroby leczył filozofa, w liście do swego przyjaciela Bonnet'a z dnia 27 czerwca 1778 r. to jest w niespełna miesiąc po śmierci Woltera, tak pisał: — „Mój drogi przyjacielu! gdyby kiedy zaszła potrzeba utrwalenia moich przekonań, związania ich jak gdyby węzłem, którego nic rozwiązać nie mogłoby, to taki węzeł gordyjski zadzierzgnąłby we mnie widok człowieka, który w moich oczach ginął — konał — umierał... Jeśli porównywam śmierć człowieka sprawiedliwego ze śmiercią Woltera, staje mi przed oczyma pogodny wieczór pięknego dnia i przerażająca swoją grozą burza.

W pierwszym wypadku to pogoda duszy człowieka, który godnie spełnił zadanie życia, w drugim — straszliwa męka tego, który zadania swego spełnić nie chciał". Z chwilą gdy spostrzegł — mówi dalej Tronchin — że wszystko, cokolwiek czynił w celu przywrócenia zdrowia, wywoływało skutek przeciwny, — śmierć była zawsze przed oczyma jego. Od tej chwili burza wściekłości szalała w jego duszy. Przypomnij sobie szaleństwo Oresta: „Umarł targany przez furje" (Furiis agitatus obiit).

W kilka dni po śmierci filozofa tenże sam dr. Tronchin wyrażał się niejednokrotnie i w różnych miejscach — w Palais-Royal, na wsi i w salonach: „Obraz śmierci Woltera towarzyszy mi zawsze i wszędzie, nie mogę go w żaden sposób z myśli usunąć, każde wspomnienie o nim przejmuje mnie dreszczem. Co za okropna śmierć! Pragnąłbym bardzo, by niedowiarkowie Paryża byli tej śmierci świadkami! Jakżeby piękną naukę otrzymali od swego Szefa."

Te wyznania gniewały przyjaciół Woltera do tego stopnia, że d'Alembert wyrzucał gorzko Tronchinowi, że jest niedyskretny i zdradza tajemnice rodzinne. Zarzut ten jest najlepszem potwierdzeniem prawdziwości przytaczanych faktów.

Ksiądz Depery, sekretarz biskupa de Varicourt z Orleanu, a brat rodzony pani de Villette, twierdzi (w biografjach sławnych ludzi z departamentu Aix), że jego siostra opowiadała mu o śmierci Woltera w sposób zupełnie zgodny z opowiadaniem dr. Tronchina, dodając jeszcze szczegóły o plugawem znieprawieniu smaku.

Przygnębiony okropnym smutkiem, dr. Tronchin w kilka dni po śmierci filozofa udał się na wieś, gdzie zapytany o szczegóły, towarzyszące ostatnim chwilom Woltera, opowiadał jasno i wyraźnie o wszystkiem, czego sam był świadkiem.

Stosownie do tego opowiadania pewna osoba wysokiej godności i wielkich cnót napisała o tem list, z którego przytaczamy szczegół następujący:

„Jest rzeczą całkiem pewną, gdyż wiem to od wiarogodnej osoby, która po kilka razy dziennie odwiedzała Woltera w czasie jego choroby, że ten człowiek, tak bardzo chlubiący się swym rozumem, a tak mało godny nazwy człowieka dla swych przewrotnych uczuć, umarł nie z uczuciem zbawiennej

skruchy, lecz w strasznej rozpaczy, powtarzając często, że został opuszczony od Boga i ludzi i że na takie opuszczenie zasłużył. Całował on ręce dr. Tronchina, zaklinając na wszystko, by go ratował od śmierci. Takim był koniec Woltera, a obraz jego okropnej śmierci sprawił, jak mi opowiadano, że świadkowie tej strasznej sceny wyrzekli się jego doktryny".

Współczesne dzienniki we Francji i zagranicą nadały analogiczne szczegóły. „Gazeta Kolońska" z dnia 7 lipca pisała:

„Ta śmierć nie była śmiercią pełną pokoju. Według tego, co podaje z Paryża pewna czcigodna osoba, i tego, co poświadcza naoczny świadek dr. Tronchin, nie ulega żadnej wątpliwości, że niedługo przed śmiercią Wolter wszedł w okres okropnych burz wewnętrznych, powtarzając w szaleństwie: „Jestem opuszczony przez Boga i ludzi!" Gryzł sobie palce, kładł ręce do nocnego naczynia i, biorąc zawartość jego do ust, spożywał. Chciałbym — mówił dr. Tronchin, aby wszyscy, których uwiodły jego dzieła, byli świadkami tej śmierci". Wobec takiego widoku nie można się oprzeć strasznej prawdzie która z niego płynie."

A jeszcze jedna cytata: kucharz pana de Villette, zapytany przez pewnego kapłana od św, Sulpicjusza o szczegóły tej śmierci w kilka dni po niej, odpowiedział, że cała służba ma wyraźnie i surowo zabronione mówić o tem, a wszystko, co powiedzieć może da się streścić w tych słowach: „Gdyby djabeł mógł umierać, nie umarłby inaczej."

Tak umarł Wolter dnia 30 maja 1778 r.

Na dziesięć lat przedtem Wolter ogłosił, że przyjmuje dewizę swego współzawodnika w bezbożności ateusza Des Barreaux, który żył w XVII wieku: „Piekła się nie bojący, niebo lekceważący..." (Tartara non mentuens, non afectatus Olimpim).

tłumaczył z francuskiego

O. Aleksander, paulin.

Lourdes.

W sierpniu tego roku już 57-ma francuska pielgrzymka narodowa przybyła do Lourdes. Każda taka pielgrzymka jest we Francji sprawą, która budzi powszechne zainteresowanie,

Prasa pisze o niej na wiele tygodni przed jej wyruszeniem, a następnie podaje codziennie wszelkie szczegóły z jej pobytu w Lourdes. Można ją uważać zupełnie słusznie za wcale znaczną cząstkę Francji katolickiej, gdyż liczyła w tym roku 60000 uczestników, a byli to przedstawiciele różnych stanów i zawodów. Trudno mi powiedzieć, czy przeważał lud czy warstwa inteligencka, gdyż na każdym kroku spotykałam ludzi, spalonych od słońca, w oryginalnych strojach ludowych (zwłaszcza Bretonki i Alzatki) obok eleganckich, wytwornych sylwetek. Stawali wszędzie ramię przy ramieniu i zgodnie głosili chwałę Matki Bożej, i błagali Ją o zmiłowanie nad przeszło tysiącem swych chorych, nieszczęśliwych współbraci, których przywieźli z pielgrzymką do Lourdes.

Lourdes, którego własny obraz wytwarza sobie każdy jeszcze w dzieciństwie, u nas, w dalekiej Polsce, gdy słyszy z ust matki o cudzie, jest niewielkiem miasteczkiem na południu Francji w departamencie Hautes-Pyrénées. Położone pięknie na górach i otoczone górami odrazu zewnętrznie robi miłe wrażenie. Podczas pielgrzymki narodowej panuje tu ruch niezwykły, trudno znaleźć nocleg w licznych hotelach i pensjonatach. Ale to dość hałaśliwe miasteczko—to jeszcze właściwie nie jest to Lourdes, o którem się tyle mówi, do którego się tęskni. Ono się zaczyna z chwilą, kiedy się mija pomnik, przedstawiający chorych u stóp Matki Najświętszej i napis. Salus infirmorum. I oto po lewej stronie na drodze ku jaśniejącej w słońcu Bazylice zatrzymać się trzeba w tem właśnie miejscu, gdzie tylu chorych i nieszczęśliwych szuka cudownego ratunku. Tu jest woda, pochodząca ze źródła, które już tyle razy okazywało swą moc nadprzyrodzoną. W tem miejscu narzuca się każdemu potężne i jednocześnie dziwne uczucie, któreby można nazwać oczekiwaniem cudu. Tu jest coś, czego się gdzieindziej nie zobaczy, nie dozna. Same łazienki możnaby uważać za zwykły budynek kąpielowy, gdyby nie znaki krzyża nad drzwiami. Przed wejściem na noszach i wózkach setki nieszczęśliwych. Służbę koło nich pełnią ci, którzy z wielką chrześcijańską miłością na nią się ofiarowują. Większa część tych „brancardiers" to ludzie, którzy mogliby o wiele przyjemniej, w zwykłym tego słowa znaczeniu, spędzić letnie miesiące, ale im jest tu najlepiej. Co chwila kogoś przenoszą. Tłum weir-

nych otacza łazienki i powtarza za księżmi słowa modlitwy, lub śpiewa pobożne pieśni. Byłam w Lourdes przez 23 i 24 sierpnia i w tym czasie zdarzyły się liczne uzdrowienia, które zapewne w roku przyszłym będą potwierdzone przez Bureau des Constatations. Orzeka ono po długich badaniach, czy cud rzeczywiście nastąpił. Podam tylko niektóre nazwiska uzdrowionych. W piątek dnia 23 sierpnia o g. 2-ej została uzdrowiona podczas kąpieli 18-letnia Irena Contsoumby, greczynka, niedawno nawrócona na katolicyzm. Tu, podczas kąpieli, odzyskała zdrowie Marja Chauvin, chora, od r. 1900. Tu uczuła nagłe polepszenie w stanie swego zdrowia Marja Trolong, która od pięciu lat była ciężko chora na tle gruźlicznem. Od lat dwóch nie mogła się poruszyć, a następnego dnia po kąpieli, t. j. w sobotę 24 sierpnia, chodziła zupełnie samodzielnie, nawet biegała i ona, która oddawna przyjmować mogła tylko płyny, jadła wszystko, co tylko jej podano. To parę nazwisk, a uzdrowień było więcej. Wiara tysięcy ufnych i kornych jest tak wielka, że wydaje się niemożliwością, aby Bóg nie wysłuchał tych, którzy go błagają. „Boże, spraw, abym widział. Boże, spraw abym chodził!” Cud wydaje się czemś koniecznem dla tych którzy się modlą nie za siebie.

Niezapomniane wrażenie pozostawia również procesja o godz. 4-ej po południu. Wielki plac przed Bazyliką otoczony chorymi. Za nimi i wyżej, na schodach kościoła, rozmodlone tłumy. Po skończonej procesji następuje uroczysta chwila błogosławieństwa chorych Przenajśw. Sakramentem i potężna litanja, zakończona słowami: Hosanna! Hosanna! Hosanna. Synowi Dawidowemu! W tym momencie również zdarzają się liczne uzdrowienia.

Dotąd mówiłam tylko o łaskach, które Matka Boża hojnie rozdziela wśród potrzebujących Jej Nieustającej Pomocy. Ale nie wspominałam nic jeszcze o Grocie, którą sobie obrała w r. 1858 za miejsce swego ukazania. Oświetlają ją setki świec, zapalonych na ofiarę, a zdobią kule i protezy, pozostawione przez cudownie uzdrawianych. Jest przerażająca wprost tą swoją prostotą, potężną i świętą. W tem miejscu na skale, gdzie się ukazała Cudna Pani bł. Bernadecie, stoi posąg niestrojny w żadne wota, prócz dywanu z żywych kwiatów, które u stóp jego układają pobożni. Byłam tam kilka razy. Trudno

wyrazić słowami doznawane tam wrażenia. Zdaje się, że to próg innego świata, jasnego i czystego, że lada chwila rozstąpią się kamienne ściany Groty i zobaczy się go w całym blasku. Szczególnie w ciszy nocy księżycowej tak mi się zdawało, kiedy przed kratkami Groty klęczała tylko mała garstka ludzi.

Jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam być w Lourdes. Ale będąc tam ani na chwilę nie zapomniałam o Częstochowie. Gdyby miłość nasza dla cudownego obrazu Matki Boskiej bardziej się ujawniała, gdybyśmy go odwiedzali częściej i tłumniej, to możeby łaski tam doznawane były równie obfite, jak w Lourdes. Bo Królowa Korony Polskiej jest Tą samą, co Królowa Francji i nie zna krajów, ani narodowości. Zna tylko ludzi, którzy Jej ufają i dla tych czyni to, co jest niemożliwe dla najuczeńszych doktorów. Czyni dla nich cuda, gdyż „błogosławiony niech będzie ten, który przychodzi w Imię Pana".

Dr. M. K.

Warszawa podczas okupacji niemieckiej.

MOST KIERBEDZIA w NOCY.

Śpi miasto. Cisza zaległa ulice.
Zdaje się słychać mruganie latarni,
Co długim rzędem—jako nocne świece,
Lśnią w Wiśle — głodnych — pamiętne męczarni.
Cisza. Wtem tramwaj z zakrętu wybiega,
Szumi i huczy jak grzmot. Dopadł brzega . . .
Wpada na most . . . Rośnie . . . Mrużysz oczy . . .
Przebiegł i skurczył . . . Znikł . . . A z przezroczy
Wypada drugi a naprzeciw trzeci,
Trzęsąc światłami jak grzechotką dzieci.
Pędzą . . . mkną . . . huczą ! . . . O, już zginąć muszą !
Wpadną na siebie ! Połamią i skruszą . . .
Nie ! . . . jeden w prawo — drugi pomknął w lewo.
Zda się śmiech słychać . . . A tam ! Co to? Mlewo
W parowych młynach. Jak dziwne odgłosy:
To szczęk łańcuchów, zgrzyt stali, brzęk kosy . . .
Tam psa szczekanie. Jak smutne bezradnie,
Jakby wpadł w przepaść i płacze gdzieś na dnie.
Łatwa odpowiedź : głód jemu doskwiera,
Czuje śmierć blizką . . . no i pan umiera,
Głód nie żartuje. Śmierć ma dobre żniwo . . .
Teraz nie widać . . . Ale w dzień . . . Na dziwo —

Ludzie padają — jak podcięte kłosy —
Młody czy stary, ubrany czy bosy.
Zrównane stany — Idzie i upada . . .
Chce prędzej umrzeć — twarz tak sino blada . . .
Jakiś robotnik . . . Z ust mu płynie woda . . .
Jak piękne rysy ! . . . Szkoda chłopca, szkoda . . .
Sypią mu grosze na otwarte dłonie —
Każą mu płynąć gdy on w nurtach tonie.
Dziw taka litość . . . Wszak niema gdzie kupić !
— Mógł chyba ukryć albo na kim złupić . . .
Po chleb kobiety chodzą po mil kilka —
Wówczas się boją Niemca gorzej wilka . . .
Złapie . . . odbierze . . . jeszcze butem kopnie . . .
Lecz nie ustają — każda swego dopnie . . .
Po moście wózki dwukołowe dążą,
Czarnoodziani w szeregi się wiążą,
Ciągną na pasach jakieś proste skrzynki —
Co to ? To trumny — to ludzkie dożynki —
Na lepsze nie stać. Kto je robić będzie —
Gdy ich setkami potrzeba tu wszędzie,
Zato w szpitalach nie bardzo się bawią
(Co jednych sprzątną — to drugich dostawią)
Omnibus czarny na ludzi czterdzieści,
Zsypanych razem i bez wielkiej cześci,
Wywiezie rankiem do wspólnego grobu.
Biedne ofiary zgłodniałego globu,
Teraz tu cicho . . . O ! . . . ktoś konia wiedzie
Chyłkiem po moście — by zaradzić biedzie.
Biedne konisko ! . . . skaleczył kopyto —
Dawniej—leczono, dziś, by go zabito,
Pan jego smutny, wiedzie za rogatki,
By mięsem druha dekorować jatki.
Na srebrnej smudze księżycowych blasków,
Lśniącej na Wiśle — na tle żółtych piasków —
Stoi „Zamojski", cień rysując w wodzie,
Przy nim „Califaks" „Dancing" w pięknej zgodzie.
Wreszcie spóźniony „Robert" szybko płynie,
Jak strojny młodzian śpieszy ku dziewczynie,
Fala, rozbita piersiami figlarza,
Burzy się, perli, bez liczby pomnaża . . .,
Już dostrzegł przystań. Gwizdnął gamą tonów,
Lekki. Wesoły — jeden wśród miljonów . . .
I tylko światła drżą, jak wierne straże,
Póki jutrzenka iść spać im nie każe.
I znowu cisza. Ruch ustał. Śpią moce.
Piekło zasnęło ! . . . O ! zbawienne noce !

JAŚKO KOZERA.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY KATOLICKIEJ.

„Odrodzenie" w momencie II Kongresu.

W dniach 17, 18 i 19 listopada r. b. odbywał się w Warszawie II Ogólnopolski Kongres Odrodzenia. Sprawozdanie z jego przebiegu i rezultatów możemy ze względów technicznych podać dopiero w przyszłym numerze. Na razie więc ograniczamy się do kilku uwag ogólnych na temat Ruchu Odrodzeniowego.

Dziesięć lat już mija od chwili wkroczenia na teren życia akademickiego grupy studentów katolików, zorganizowanych w Stowarzyszenie „Odrodzenie".

Wejście odrodzeniowców w życie akademickie z gorącem pragnieniem realizowania hasła: „Instaurare omnia in Christo" powitane zostało przez młodzież studencką, przesiąkniętą pozytywizmem i sceptycyzmem, z niemałem zdziwieniem. Cóż ta grupka akademików—bojowych katolików—ma do powiedzenia na terenie młodzieży tak dalekiej od nastawienia katolickiego? A jednak Odrodzenie idąc na podbój młodego pokolenia—wiedziało gdzie wkracza—szło tam, gdzie biją serca wrażliwe na dobro, gdzie umysł w poszukiwaniu Prawdy, a wola w gotowości do wielkich, pięknych i ofiarnych czynów. Odrodzeniowcy powiedzieli sobie, że nie będą szczędzić wysiłków, aby oddać Naród Chrystusowi, aby wszystkie jego warstwy natchnąć pracą dla Wielkiej Polski Katolickiej.

Dla realizacji swych ideałów Odrodzenie prowadziło swe prace po dwuch niejako torach—po torze pracy wewnętrznej, organizacyjnej i po torze pracy zewnętrznej, społecznej, akcentującej i wcielającej w życie publicznie zasady katolickie. Idąc na te boje o duszę młodej inteligencji polskiej Odrodzeniowcy powiedzieli sobie, iż zrywają „z fałszywą pokorą i ckliwie pojętą miłością chrześcijańską, wypleniają lek i zwalczają bezradność wobec idących olbrzymich, a nieraz bolesnych przewrotów współczesnych, bowiem Katolik-Polak winien iść na przedzie i władać życiem, bo z ducha Chrystusowego płynie wiara w życie oraz siły i zapał do jego budowy". Obudzić należało przedewszystkiem żywe zainteresowania intelektualne. Głosiliśmy stale konieczność pogłębienia wiedzy religijnej, urzą-

dzaliśmy tygodnie filozoficzno-religijne, sobotnie wieczory dyskusyjne. Wiedzieliśmy dobrze, że samo życie intelektualne nie jest pełnią życia, musi być uzupełnione urobieniem uczucia i woli, musi czerpać moc w Chrystusie — w życiu nadprzyrodzonem. Pełnia życia religijnego—to kosekwencja założeń odrodzeniowych.

Zastanawiając się nad słabością wpływów katolickich w Polsce doszliśmy do wniosku, iż musimy zwalczać nasz indywidualizm etyczny, a krzesać zrozumienie dla akcji zorganizowanej.

Powiedzieliśmy sobie, że jesteśmy katolikami społecznemi, że kwestje społeczne dadzą się jeśli nie rozwiązać to przynajmiej złagodzić—jedynie wtedy, gdy w życiu publicznym zatryumfuje sprawiedliwość i miłość katolicka. Wsparci na tych zasadach mieliśmy sposobność należycie oświetlać i korygować pewne poglądy społeczne i narodowo - państwowe, które się ujawniały w życiu akademickim. Byliśmy głęboko przekonani o tem, że prowadząc naszą akcję pracujemy z pożytkiem dla państwa i narodu, bowiem sprawdzaniem dla nas wartości moralnych zarówno w życiu indywidualnem, jak zbiorowem była i jest etyka katolicka. Po dziesięciu latach pracy ruch nasz wyszedł poza ramy działalności akademickiej, znalazł swój dalszy etap w organizacji Senjoratu i wkracza na teren młodzieży pracującej, by i ją zdobyć dla Chrystusa. Odrodzeniowiec senjor i akademik staje do pracy tam, gdzie go życie rzuci— pracują więc odrodzeniowcy w Chrz. Zw. Mł. Pracującej „Odrodzenie", ewentualnie w Stow. Mł. Polskiej i w innych organizacjach katolickich. Znakomitą okazją do wymiany myśli i dyskutowania problemów życia Polski katolickiej daje rok rocznie urządzane przez Odrodzenie przy uniwersytecie w Lublinie t. zw. tygodnie społeczne. Odbyło się ich 8. Robiąc przegląd naszego dorobku organizacyjnego bogatsi jesteśmy w doświadczenie 10 lat pracy.

Za nami 10 rad naczelnych, jeden kongres, 8 t. zw. tygodni społecznych, kongres „Pax Romana", szereg zjazdów zagranicznych, cały dziesiątek lat zmudnej pracy 2 dziesiątki już blisko roczników „Prądu"—a przedewszystkiem przeświadczenie, że dzięki łasce Bożej i naszej skromnej działalności została w pewnej mierze utorowana droga dla akcji katolickiej.

Kongres tegoroczny precyzuje zasady deklaracji ideowej, ustala program praktycznej pracy dla placówek naszego ruchu organizacyjnego—oraz metody pracy wychowawczej i dokumentuje, iż dla jedynego celu „Odrodzenie" powstało, pracuje i pracować będzie: dla Wielkiej Polski Katolickiej.

Bogumił Budka.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Mszalik dla dziatwy od 2 do 5 klasy szkoły powszechnej. Ułożył Ks. Dr. Zygmunt Bielawski. Nakł. Tow. „Bibljoteka Religijna". Lwów 1929.

Bardzo miła w swym zewnętrzym wyglądzie i układzie książeczka do nabożeństwa dla dziatwy od 8 do 15 latek. Nowość sposobu słuchania Mszy św. i łatwość, z jaką jest podana w tym Mszaliku będzie bardzo pociągającą.

Pomysł współudziału „Przewodniczącego" — t. j. kogoś ze starszych: rodziców lub najczęściej wychowawców, w modlitwie dziatwy, jest bardzo trafny i znaczący z tego względu, że dziatwa zachęci się do modlitwy, widząc żywy w niej udział starszych, a ci, przewodnicząc dziatwie i sami z wielkim pożytkiem Mszy św. słuchać będą, choć prosta w formie modlitwa dzieci jest zupełnie odpowiednią i dla starszych; do tego też zachęca Zbawiciel mówiąc: „jeśli się nie staniecie, jako dziatki małe, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego".

Uważam za rzecz konieczną, by w następnem wydaniu „Mszalika", które nie wątpię wkrótce się ukaże, była dodana ministrantura z wyjaśnieniem sposobu służenia do Mszy św. nadto zatwierdzone Litanje, parę modlitw okolicznościowych, jak za rodziców, kolegów, o światło w naukach, za Ojczyznę, para pieśni kościelnych—eucharystycznych i marjańskich, nie obciąży zbytnio modlitewnika a urozmaici, uzupełni i uczyni zeń mszalik i razem modlitewnik.

Pomnażaj się „Mszaliku" miły w leciech i w mądrości i w łasce u Boga i u ludzi! Wzbogacony sam w te przymioty i tym co się tobą posługiwać będą, podobne dary pośrednio z nieba sprowadzaj!

Ks. A. Bołtuć. M. I. C.

„Historja Biblijna" w krótkości opowiedziana, we Lwowie 1929. Nakł. Tow. Bibl. Relig. 1,20.

Podręcznik ten w swej treści nie jest, bo i nie może być rzeczą nową, jest tylko według nowej metody opracowany z dostosowaniem bardzo łatwego sposobu opowiadania wydarzeń ze Starego i Nowego Testamentu

Aczkolwiek chodziło, przypuszczam, Autorowi podręcznika o nieprzeciążenie go szczegółami biblijnemi, to jednak wielką jest luką pierwszej części — opuszczenie działu historji Narodu Wybranego jako królestwa i jego losów; idea Mesjaniczna, którą dziatwa, — w formie łatwej rozumie się, ale powinna poznać w nauce Historji Starego Testamentu, została pominięta.

niema stąd naturalnego łącznika Starego z Nowym testamentem, proroctwa tego nie zastąpią. Należało również podać niektóre postacie wielkich niewiast St. Test., jako figur N. Marji Panny i do ważniejszych wydarzeń w życiu Narodu Izraelskiego naukę moralną, boć dziatwa samodzielnie na te myśli nie wpadnie, ucząc się przeto samych faktów historycznych, nie skorzysta nic pod względem duchowym, co wszakże jest równorzędnem zadaniem nauki Historji Biblijnej.

Można to było uczynić w formie pytań, po opowiadaniach.

W dziale Nowego Test. Autor przeoczył rozdział — O życiu ukrytem Pana Jezusa, trzydzieści lat — to okres nie bez znaczenia, dziatwa ucząc się o tem powinna wyciągnąć dla siebie pouczające wnioski.

Nowe wydanie podręcznika winno nowe też wprowadzić poprawki i uzupełnienia.

Ks. Al. Bołtuć. M. I. C.

„Kalendarz Jasnogórski" na rok Pański 1930. Nakładem „Niedzieli" Ilustrowanego Tygodnika Katolickiego Diecezji Częstochowskiej.

Nawskroś swojski, rzekłbyś stary znajomy, bo czemże się różni od Kalendarzy Jasnogórskich z lat ubiegłych? Ta sama bogata część powieściowa, przeplatana wiadomościami z życia Kościoła poza Polską i w Ojczyźnie, a przedewszystkiem co jest zupełnie słuszne, z życia Diecezji Częstochowskiej, dalej niezbędne prawie dla każdego gospodarza wiadomości i pouczenia społeczno-gospodarskie i — omasta kalendarzowa—żarty więcej czy mniej dowcipne. Tyle da się powiedzieć o nowym Kalendarzu Jasnogórskim, a teraz refleksje nad kalendarzami naszemi wogóle:

Ponieważ kalendarze zwykle są tak poczytne, szczególniej przez warstwy robotniczo-wieśniacze i na początku każdego nowego roku są gorliwie wertowane, więc czyby nie była wskazaną, kiedy gruntowna reforma tego doskonałego środka agitacji katolickiej, boć jeśli kalendarze niereligijne przemycają wszystko czego tylko da się użyć do celów ideowych ich kierowników — tak sprzecznych z religją i moralnością, czemuby katolickie kalendarze poprzestające na wiadomościach luźnych i krótkich o tem co jest pożyteczne, nie mogły poświęcić więcej miejsca w swym układzie, albo dzieląc na parę lat, podawać czytelnikom w odpowiedniej formie, zaopatrzonej w ilustracje, jakąś całość pouczających wiadomości czy to z zakresu historji kościoła, czy popularnej apologetyki w formie dialogów (jak np. „Towarzyszu na słówko!") czy też zagadnień społecznych i t. p.

Niewyzyskana sposobność woła o zorganizowanie jej na przyszłość.

Początek nich da Kalendarz Jasnogórski, jako wychodzący w Stolicy Królowej Korony Polskiej, która Tronowi swemu Jasnogórskiemu daje moc *przeciwko nieprzyjaciołom swoim.*

Kalendarz św. Piotra Klawera za rok 1930.

Nawskroś misyjny. Tryska zeń gorliwość o pozyskanie dusz Chrystusowi a to w najrozmaitszy sposób, więc i kartki poszczególnych miesięcy w kalendarzu rzucają ziarenka ewangelicznej miłości bliźniego, i zdania z Naśladowania, lub świętych albo ludzi wielkiego ducha miłości bliźniego do tegoż pobudzają celu, i powiastki z ilustracjami z terenów afrykańskich,

i u dołu każdej strony, krótkie wskazówki jak można popierać misje, słowem hasło i czyn:

„Wszystko dla misyj afrykańskich!” Całość zachęca gorliwych do większych wysiłków ofiarności, obojętnym oby dała do myślenia, że nie tylko o siebie i nawet własnem zbawieniu troszczyć się należy, lecz, że cokolwiek się uczyni jednemu z maluczkich afrykanów — Jezusowi to się czyni, a datek najmniejszy zasługuje na żywot wieczny.

Niech ten Kalendarz przynajmniej tyle zyska w roku 1930 zelatorów misyj, w ilu egzemplarzach jest w świat puszczany.

Ks. Al. Bołtuć.

Auffray. Le Bsc. Don Bosco. 1815—1888. Vitte. Lyon 3 Pl. Bellecour, 1929. — 20 fr. -- 560 str.

Zajęły mnie szczególnie rozdziały o przeciwieństwach ze strony różnej w życiu Ks. Bosco. Studjum psychologiczne bardzo cenne. Ileż chwil, wydarzeń podobnych dzisiejszym wypadkom. Matka zapowiada mu los życia kapłańskiego: Z dniem święceń wchodzisz na drogę cierpień! Cierpi tem więcej, ponieważ *chce i ma* działać *twórczo* — to znaczy ruszać ludzi ze snu, zniewalać do większej, niż dotąd pracowitości. W swych śmiałych bo nowych przedsięwzięciach, które pełni sumiennie i z zapałem, za warjata uchodzi. Koledzy chcą go umieścić w domu zdrowia. Najgorszy to krzyż nie mieć pomocnika dla swego dzieła. Odsunięto mu ich. Zawodził się często na charakterach ludzkich, a raczej z powodu braku charakteru. „Tyle złego padało na jednego”, że bez pomocy Bożej nie byłby przetrwał i wytrwał i sprawy do skutku doprowadził! *Czytać, czytać* ten życiorys jako historję wielkiego katolickiego charakteru posłusznego przykazom łaski. Mało biografij świętych tak dobrze przedstawia nam—człowieka i jego wysiłki pod tchnieniem łaski i w walce ze skażeniem natury. Nie dziwiłbym się, gdyby znakomite dzieło Ks. A. ukazało się w tłómaczeniach...

K. B.

Walka z bolszewizmem. W październiku b. r. ukazał się kolejny 23 zeszyt miesięcznika „Walka z bolszewizmem”. Zeszyt ten zasługuje na szczególną uwagę prasy codziennej i szerszych sfer społeczeństwa polskiego, gdyż ogłasza streszczenie instrukcji bolszewickiej Moskwy dotyczących militaryzacji partji komunistycznej, oraz wskazówek Kominternu, jak organizować rewolucję w krajach cywilizowanych. Czytelnik znajdzie tam też zestawienie przebiegu dnia 1 sierpnia w Polsce.

W dziale antybolszewickim miesięcznika ogłoszono memorjał Czechosłowacki do Ligi Narodów domagajacy się zdecydowanej walki z bolszewizmem. Rozważanie na temat „Karać czy nie karać?” przestępców komunistycznych, kronika wypadków, wiadomości o sytuacji więźniów w Bolszewji dopełniają całości zeszytu.

Poprzedni numer wrześniowy (22) „Walki z Bolszewizmem” zawiera: Rozważania o roli kontrjaczejek w walce z akcją rozkładową komunistów, dokumenty dotyczące sierpniowych manewrów komunistycznych w Państwach cywilizowanych, informacje o Rosji Sowieckiej i t. d.

„Walka z bolszewizmem" jest oficjalnym organem Centralnego Biura Porozumienia Organizacyj współdziałających w zwalczeniu komunizmu. Adres: Warszawa, Widok 5 m. 1; tel. 342-30: konto P. K. O. 14.738.

Zofja Wołowska, Jadwiga Siemieńska i Helena Siemieńska: Ku czci Wandy Malczewskiej. Wsrszawa, 1929. Nakładem Domu Prasy Katolickiej. Str. 56 + 3 plansze z ilustracjami

Postać czcigodnej służebnicy Bożej Wandy Justyny Nepomuceny Malczewskiej wzbudza w szerszych sferach społeczeństwa katolickiego zainteresowanie coraz większe. Publikacje i życiorysy oparte na pracy czcigodnego Paulina z Jasnej Góry, sędziwego o. Grzegorza Augustynika, mnożą się z każdym rokiem. Nowe wydawnictwo Domu Prasy Katolickiej jest zbiorem trzech artykułów: „Ku czci św. patronów polskich i... godnej powiększyć ich grono Wandy Malczewskiej" pióra Zofji Wołowskiej, „Wanda Malczewska, orędowniczka Polski" pióra Heleny Siemieńskiej, Wanda Malczewska na służbie Boga i Ojczyzny" pióra J. (adwigi) S. (iemieńskiej). Artykuł pierwszy przynosi szereg spostrzeżeń o świętobliwej Polsce natury ogólnej, przeplatanych aluzjami patrjotycznemi. Napisany on jest z erudycją i umiłowaniem tematu, strona zewnętrzna jednak trochę szwankuje. Autorka nadużywa tu kresek, wtrącając je w zdaniu tam, gdzie są zupełnie zbędne. Na str. 36 powołuje się na „O. Maćka (skąd znowu?) Jandołowicza". Jest to błędna pisownia, źródła archiwalne bowiem znają postać o, Marka Jandowicza. Artykuł drugi — to wiązanka wspomień osobisych Heleny Siemieńskiej, krewnej, „siostry ludu polskiego", owianych miłym sentymentem oraz uczuciem, wreszcie artykuł trzeci stanowi drobna notatka informacyjna Jadwigi Siemieńskiej. Ozdobę książeczki stanowią ryciny, zwłaszcza podobizna czcigodnej naszej rodaczki według autentycznej fotografji, lepsza powielekroć od rozpowszechnionego portretu. *J. M. Ch.*

O. Konstanty Marja Żukiewicz: Królewska pociecha. Cudowna Matka Boska Różańoowa w kościele żółkiewskich Dominikanów. Żółkiew, 1929. Nakładem konwentu o. o. Dominikanów. Str. 64 + 8 plansz z ilustracjami.

Jako pamiątka koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej z kościoła Wniebowzięcia Najświętscej Marji Panny przy klasztorze o.o. Dominikanów w Żółkwi, wydana została broszurka o. Konstantego Marji Żukiewicza, przeora tamtejszego konwentu dominikańskiego, autora całego szeregu dzieł z zakresu marjologji. O. Żukiewicz treściwie kreśli dzieje cudami wsławionego wizerunku na podstawie aktów klasztornych, przytacza szereg informacyj o samym kościele z klasztorem, fundowanym przez matkę króla Jana III Sobieskiego, wreszcie o działalności tamtejszych o.o. Dominikanów. Dla czcicieli Królowej Niebios miła to wielce lektura, ponadto książeczka ta znaleźć się winna obowiązkowo w rękach badacza historji rodu Sobieskich.

Szata zewnętrzna wydawnictwa przedstawia się zadawalniająco.

J. M. Ch.

Błogosławiona Teresa Małgorzata od Najśw. Serca P. Jezusa, Karmelitanka Bosa. 1747 — 1770. Poznań, 1929. Nakładem s. s. Karmelitanek Bosych. Str. 64 + 6 plansz z ilustracjami.

Drobna ta rozmiarami książeczka — to prostemi słowy a dziwnie powabnie skreślony życiorys beatyfikowanej w dniu 9 czerwca r. b. Karmelitanki Bosej z Florencji. Niema w życiu jej wydarzeń nadzwyczajnych, ale ciche spełnianie codziennego twardego obowiązku. Taką oto jest wzpółsiostra zakonna „małej świętej" z Lisieux i tą swą prostotą krzepi na duchu. Broszurę tę polecamy w pierwszym rzędzie młodym panienkom.

J. M. Ch.

Muckermann SJ. Katholische Aktion. Ars. Sacra. Josef Müller. München 23. Werneck Str. 9 — 1.25 mk.

Dla wzmagającego się ruchu Akcji Katolickiej w Polsce polecamy powyższą i dalsze broszury. Pierwsza część broszury O. M. omawia sprawę teoretycznie. Drobiazgi zasadnicze mniej lub więcej uchwytne. Druga natomiast odsłania rąbek już skrystalizowanych pojęć i praktyk: Akcja Katolicka to nic innego jak uregulowana na warunkach kulturalnych współpraca świeckich z duchowieństwem i naodwrót. Nie potrzeba rozwodzić się nad szczegółami. One same uregulują się, gdy ten punkt wyjścia będzie już załatwiony... Chciałoby się wołać za śladem Francji: Nie zwlekać, a przystać na pierwszy krok ku zbliżeniu...

Książeczka wydana wykwintnie, z ilustracjami, z przedmową ks. nuncjusza Pacelli'ego.

K. B.

Pie XI. Lettre Quae Nobis. Principes et Fondements Géneraux de l'Action Catholique. Paris. Bonne Presse 5 rue Bayard 2 fr.

List Piusa XI o Akcji Katolickiej do ks. kard. Bertrama w Wrocławiu 13. XI 1928 tworzy padstawę dla ogólnej działalności katolickiej świeckich. Do tego dokumentu przybywa dziś List ks. kard. Gaspari'ego do ks. ksrd. Hlonda na ten sam temat.

„A co zwiążecie na ziemi"... Piękną i chlubną kartę ma powieść w historji polskiej. W latach niewoli nieciła ona patrjotyzm w sercach późniejszych orląt lwowskich, bohaterów Radzymina i Ossowa. Dziś gdy wiara ojców naszych jest zagrożona, nowe zadanie przed nią się otwiera: walka o dusze ludzkie i sumienia. To też z radością należy powitać książkę Jadwigi Rzepeckiej p.t. „A co zwiążecie na ziemi"...

Autorka, bohaterka głośnego procesu, snuje opowieść o nowoczesnem małżeństwie, które, jakkolwiek pobrało się z miłości, po kilku latach wspólnego współżycia ulega całkowitemu prawie rozbiciu: mąż romansuje z aktorkami kabaretowemi, a żona z artystą filmowym Do ostatecznej katastrofy

nie dochodzi wskutek interwencji prababki młodego małżonka. Ona potrafiła jednym przemówić do honoru, drugim do sumienia i w ten sposób ocaliła domowe ognisko od zagłady.

Pozwolę sobie zacytować jedno z jej piękniejszych przemówień: „Rozwiodła się, kogo oszukuje? Ludzi, bo Pana Boga nie oszuka. Jeszeze gorzej postąpiła, bowiem własną religją frymarczy, tą w której ją wychowano od dziecka, a najpiękniejszej na świecie. Dla własnego interesu, ażeby ją świat szanował, kupczyła swojem wyznaniem... Pan Jezus wygnał przekupni z Kościoła. Wcale nie została żoną mego wnuka, gdyż Pan Bóg nie błogosławił tego związku z chwilą gdy tamten nie został przez Niego rozwiązanym".

Zaiste trudno o bardziej aktualny temat. Nieustają w prasie ataki na nierozerwalność małżeństwa. W Sejmie wkrótce, zapewne rozpocznie się generalna batalja o rozwody. W tych warunkach książka p. Rzepeckiej nabiera szczególnej wartości i każdy powinien ją przeczytać.

Józef Lubicz.

Redakcja prosi Szan. Prenumeratorów, którzy otrzymali **numery propagandowe „Pro Christo", aby postarali się o doręczenie ich osobom odpowiednim.**

Katolicy! Popierajcie pismo katolickie!

CENY OGŁOSZEŃ W „PRO CHRISTO".

Stronica okładki	80 zł.
1/2 stronicy	40 zł.
1/4 stronicy	20 zł.
Stronica poza tekstem.	70 zł.
1/2 stronicy	35 zł.
1/4 stronicy	15 zł.

WARUNKI PRENUMERATY „*PRO CHRISTO*":

Kwartalnie	3.—	Rocznie	12—
Półrocznie	6.--	Cena pojed. numeru .	1.—

Zmiana adresu 50 gr.

WARUNKI PRENUMERATY ZAGRANICĄ.

Kwartalnie	4.50	Rocznie . , ...	18.—
Półrocznie	9.—	Cena pojed. numeru .	1.70

MY MŁODZI KATOLICY CHCEMY:

1. przyśpieszyć triumf Chrystusa w Polsce na wszystkich polach naszego życia indywidualnego i społecznego;
2. pomnożyć zastępy kapłanów, którzy w pierwszym rzędzie pracują dla Królestwa Chrystusowego;
3. budzić powołania zakonne w celu przeciwdziałania potęgą dziewictwa współczesnej demoralizacji społecznej;
4. przygotować czystych ojców i matki przez pogłębienie w młodzieży życia katolickiego;
5. oczyścić i uświęcić atmosferę rodzinną przez wprowadzenie do niej kultu Najświętszego Serca Jezusowego i życia eucharystycznego;
6. demaskować i zwalczać podstępne usiłowania wrogów, zmierzające do podkopania dogmatu katolickiego;
7. zwalczać czynnie wszelkie objawy demoralizacji;
8. współdziałać ze wszystkiemi szlachetnemi usiłowaniami ku wyzwoleniu Polski z pod tyranji żydowstwa i masonerji;
9. stawiać przed oczy wzory wybitnych mężów w Narodzie ku pokrzepieniu serc i spotęgowaniu miłości Ojczyzny;
10. szerzyć wśród inteligencji katolickiej uświadomienie społeczne i zrozumienie konieczności czynnej współpracy z masami ludowemi;
11. czerpać światło i moc z orzeczeń papieskich oraz wskazań Episkopatu polskiego.

OD ADMINISTRACJI.

Załączamy blankiety P.K.O., prosząc o regulowanie zaległości.

Drukarnia Djecezjalna w Łomży.